

353183

BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

1858. T. A

---

NOWA SERIA.

STYCZEŃ. ZESZYT XIII.

---

WARSZAWA.

W DRUKARNI GAZETY CODZIENNEJ  
przy ulicy Daniłowiczowskiej N° 617, w dawnéj Bibliotece Żelazkich.

1858.

OGÓLNEGO ZBIORU ZESZYT CCV.

BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

WYDZIAŁ

NAUK, SZUKOM I PRZEMYSŁOWI.

**BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.**

NOWA SERJA

Tom pierwszy.

253/123

1858/1

WARSZAWA

W Drukarni GAZETY DZIENNEJ.

przy ulicy Działoszyńskiej Nr. 617, w dawnej Bibliotece Yagupicki.

1858.



# BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

**1858.**

WARSZAWA, W DROKARNI  
DANILOWICZOWSKIEJ

353/183  
1858/11

NOWA SERJA.

Tom pierwszy.

**WARSZAWA.**

W DROKARNI GAZETY CODZIENNEJ,  
przy ulicy Danilowiczowskiej Nr. 617, w dawniej Bibliotece Załuskich.

1858.



# WARSZAWSKA BIBLIOTEKA

PIRMO PÓRWISGOMZ

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa, dnia 17 (29) grudnia 1857 r.

Cenzor, RADCA DWORU

**Stanisławski.**

NOWA SERIA

Tom pierwszy.

WARSZAWA

W Drukarni Gannety Godzenniej

przy ulicy Działoszyńskiej Nr. 61, w dawnej Bibliotece Xawerskiej.

1858

## OD REDAKCYI.

Pismo poznańskie *Przyroda i przemysł*, ze szlachetnemi chęciami na obu polach przez siebie zagodło przyjętych, pracujące, w numerze 34 z roku 1857 zamieściło gorącą odezwę do redakcyi Biblioteki Warszawskiej, o zajęcie się zbliżeniem i zjednoczeniem słownictwa chemicznego polskiego, dotąd przez różnych pisarzy i wykładających tę naukę, rozmaicie używanego lub przerabianego. Wezwanie to, w nader zaszczytnych dla redakcyi Biblioteki wyrazach podane, mogłoby samo stać się dla niej silną pobudką do usiłowań w doprowadzeniu do skutku ważnego dla nauki zadania, chociażby nie była powodo-

wana własnym przeświadczeniem o potrzebie i pożytku ustalenia słownictwa chemicznego. Przeświadczenie to już oddawna redakcją kieruje, i jeszcze przed pięcią laty, zamierzywszy posłużyć za pośrednika, dla wspólnego porozumienia się chemików naszych, przyłożyła czynnie rękę do dzieła tego, starając się podać ułatwienia w jej mocy będące, i stać się ogniskiem głównym, za którego pomocą, uczeni polscy mogliby przyjść do jedności coraz więcej pożądaney. Trudności na tej drodze napotkane, odezwa *Przyrody i przemysłu* bardzo trafnie odgadła, przywodząc: że w ujednostajnieniu słownictwa chemicznego, „z jednej strony występuje zamiłowanie mowy rodzinnej, dążące do wyrobienia słownictwa jak najbardziej odpowiedniego duchowi języka i wymaganiom nauki; z drugiej strony chęć odznaczenia się... co jest dążnością dla nauki zgubną“. Redakcja Biblioteki mogłaby jeszcze z nabytego doświadczenia dodać: że miłość własna źle zrozumiana, niemałe zajmuje miejsce w oddalaniu wzajemnym, zdań ludzi badaniom lub zastosowaniom nauki poświęconych. Jednak błędem byłoby mniemać, tak jak wielu osobom powierzchownie rzeczy sądzącym zdawać się może, że trudność dojścia do zgody co do słownictwa między chemikami polskimi, leży wyłącznie w uprzedzeniach, lub bezzasadnym uporze pewnej ich liczby. Jeżeli gdzie, to w zadaniach naukowych, a mianowicie w naukach przyrodzonych, wywo-

łujących spostrzeżenia pojedynczych badaczy, zdanie osobiste jest poszanowania godne i pomijane być nie może. Wszakże nauka i kraj mają prawo żądać, aby każde zdanie takie było usprawiedliwieniem poparte i przed nieomylny areopag ogółu ludzi naukowych stawione. Kto tej próby wyrzeka się, opuszcza pole bez sławy; wchodzi w rządy najszkodliwszych w społeczeństwie naukowym ludzi bez zdania, obojętnych na postęp nauki, a tylko w kółku swojego widzenia rzeczy zacieśniających się. Prawdziwy więc miłośnik nauki po tém się poznaje, że dobro ogólne postępu, nad własne przenosi zdanie.

Już pierwsze usiłowania redakcyi Biblioteki Warszawskiej bez owocu nie pozostały, bo skutkiem licznych i sumiennych narad za jej pośrednictwem odbytych, był ogłoszony w r. 1853 *Projekt do słownictwa chemicznego*, podany przez mężów znanych z głębokiej nauki i ważnych w kraju zasług. Ze jednak do dzieła tego nie przystąpili wszyscy chemii oddający się, którzy do wspólnych narad wzywani byli, redakcyja Biblioteki nie poczytywała jeszcze zamierzonego sobie celu za osiągnięty, i postanowiła stanoweże jego urzeczywistnienie zostawić dalszemu wyrobieniu, przez stopniowe uznanie dokonanej pracy, w świecie nauki krajowej. Od tego czasu słownictwo chemiczne znakomitemu już poddać zostało doświadczeniu: nietylko projekt z r. 1853 wszedł w użycie w wielu pismach, ale nadto po-



dane zostały do wiadomości publicznej i sądowi naukowemu przedstawione nowe w tej mierze prace w Krakowie, Poznaniu i Wilnie. Sądzi więc redakcyja Biblioteki, że nadszedł już czas, w którym z tych wszystkich usiłowań, ostateczny wypadek będzie mógł być wyprowadzony, i zamierzyła na nowo przedsięwziąć starania, ażeby jej pośrednictwo w tej mierze użytecznym się stało. Jednak zobowiązanie redakcyi nie może iść poza granice jej możliwości, a przedstawiając się jako pośredniczka dla ludzi naukowych dobrej woli, dbających o postęp chemii i języka naukowego w kraju, redakcyja gotowa jest im udzielić wszelkie ułatwienia w jej mocy będące, i szczęśliwą się ujrzy, jeżeli w skutku tych nowych jej zachęceń, zdoła otworzyć karty swoje dla słownictwa chemicznego, na wspólnej zgodzie miejscowych chemików opartego.

Jeżeli ten pożądaný cel osiągnięty będzie, redakcyja z przekonaniem, że działa dla dobra ogółu, chętnie zobowiąże się nie przyjmować do pisma swego prac z innym słownictwem chemicznym jak to, które ustanowione zostanie, i dołoży wszelkiego starania, aby i inne pisma na tę samą drogę weszły, względem czego ze strony *Przyrody i przemysłu* już wyraźne ma oświadczenie, a z wielu innych miejsc zapewnione przyzwolenie.

...Czas do wykonania takiego dzieła i zło-  
 żenia go pod ręką redakcyi. oznaczył wypra-  
 jak najmniej na lat trzy, jeżeli nie więcej, żeby  
 praca mogła być dostatecznie wytrawiona, dola-  
 dzać a przeto w zupełności celowi odpowiednia.

...Słownik rzeczony obejmować powinien wszy-  
 stkie języka polskiego wyrazy blisko-znaczne,  
 bez żadnego pominięcia czyli wyłączenia, ści-  
 śle wykazując ich właściwe znaczenia, związki

Redakcyi Biblioteki Warszawskiej. Później-  
 szym, obejmującym pracę taką, nieodkownem  
 będzie objaśnienie się, chociaż z konieczności  
 tego rodzaju, niepodobna być, a to stało  
 już dawniej, a ten rozporządzenie, a to stało  
 xwały do przedsięwziętej pracy własnej. Wska-

### Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Do bogactw języka polskiego należy wielka  
 w nim ilość wyrazów blisko-znacznych czyli syno-  
 nimów, których dokładne oznaczenie, a odcieni-  
 onych rozróżnienie, wiele byłoby pożądane.

Na ten koniec upraszam redakcyą Biblioteki  
 Warszawskiej, ażeby ogłosiła od siebie nagrodę  
 za najlepszy słownik ogólny wyrazów blisko-zna-  
 cznych języka polskiego. Ofiaruję potemu złp.  
 4,000, które wypłacić obowiązuję się za pośre-  
 dnictwem redakcyi i na jej zawezwanie, zostawia-  
 jąc pisarzowi wszelkie dalsze z wydania swego  
 dzieła korzyści.

Czas do wykończenia takowego dzieła i złożenia go pod sąd redakcyi, oznaczyć wypada, jak mniemam, na lat trzy, jeżeli nie więcej, ażeby praca mogła być dostatecznie wytrawiona, dokładna, a przeto w zupełności celowi odpowiednia.

Słownik rzeczony obejmować powinien wszystkie języka polskiego wyrazy blisko-żnaczone, bez żadnego pominięcia czyli wypuszczenia, ściśle wykazując ich właściwe znaczenie, związki i różnice.

Podjęjącemu pracę takową, nieodzownem będzie obznajomienie się bliższe z celniejszemi tego rodzaju około języków obcych dokonaniem już dziełami; z ich rozpoznania ułoży sobie stałe zasady do przedsięwziętej pracy własnej. Wskazują się tu przeto z dzieł owych co znamienitsze. Dla języka greckiego, *Ammonius*; dla łacińskiego, *Gardin Dumesnil*; dla francuzkiego, *l'Abbé Roubaud*, *Beauzée*, *Diderot*, *d'Alembert*, *Duclos*, *Dumarsais*, *F. Guizot*; dla niemieckiego, *Joh. Chris. Gottsched*, *S. J. E. Stosch*, *J. A. Eberhard*, *J. G. E. Maass*, *Fr. Delbrueck*, *J. F. Jahn*, *Joh. Fr. Heynatz*.

W Warszawie, d. 15 grudnia 1857 r.

*Ed. Rastawiecki.*

Ogłaszając w piśmie naszym odezwę pana Edwarda Rastawieckiego, oceniamy należycie jej wartość i szlachetne pobudki. Redakcyja ma zaszczyt zawiadomić, iż czas do nadesłania prac tego rodzaju ostatecznie oznacza do 1 stycznia 1861 r. Rękopisma mają być nadsyłane opieczętowane, właściwém godłem opatrzone, a oddzielnie z témże godłem imię i nazwisko, oraz miejsce zamieszkania autora: pod adresem: „Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej“. Po oceniu nadesłanego słownika synonimów polskich przez właściwych sędziów, i uznaniu jego wartości, nagrodę ofiarowaną złp. 4,000 natychmiast autor otrzyma, wraz ze swym rękopismem, ażeby przez ogłoszenie drukiem, dalsze korzyści z wydania swój pracy otrzymał.

## ZACZĄTKI PIŚMIENICTWA POLSKIEGO.

PRZEZ

*Dominika Szulca.*

Żyjące dziś pokolenie jest spadkobiercą bogatej puścizny myślowej, której całość stanowi punkt wyjścia do przyszłego udoskonalenia. Zajmujące więc jest pytanie: na jakiej podstawie, na jakiej drodze rozwijało się piśmiennictwo nasze i zdobyło we wszelkich gałęziach wiedzy i smaku znakomite skarby; jakie są środki właściwsze, krótsze i pewniejsze w osiągnięciu większych jeszcze korzyści.

Piśmiennictwo polskie, jako część składowa powszechniej literatury, ulegało tymże samym prawom postępu. Raz przewodnicząc oświacie ogólnej, drugi raz idąc za jej ruchem, wyrobiło sobie wysokie stanowisko we wspólnych usiłowaniach ludów. Jak każde inne wyszedłszy z dzikiej ciemnoty, powoli, przez setki lat, wśród najmniej przyjazniejszych przeszkód postępowało do pożądaných ulepszeń. W znacznych bowiem tylko odstępach zdobywało jaką prawdę, czystsze uczucie, praktyczne narzędzie, lub sprawiedliwość braterską; często stało nieporuszone, póki nie zaczęło znowu odkrywać, trafiwszy na prąd przyjazny, nowych prawd i stosunków. Tymczasem wady przestarzałe ciągnęły się przez następne stulecia, bo zasady głębsze i płodniejsze w odmiany nie przyjmowały się na gruncie ogółu nieuprawnym, a nawet i w epokach najoświecenijszych niezawsze były bezpieczne. Znowu więc złudzenie co do powszechnego po-

stępu ludzkości, znowu zasmucający zawód. W oddali tylko widzieć można, jak na podwalinach wyrozumowanych wzniesie się kiedyś okazały budynek udoskonalonej myśli. Cały zatem przebieg powodzeń, zawodów i nadziei w osiągnięciu pożądanego uspołecznienia i oświaty składać winien wybitny obraz piśmiennictwa krajowego, oparty nie na bibliograficznych, najczęściej przestarzałych zdaniach, ale na właściwych źródłach rozbiórze i poglądzie piszących na surowy materiał. Pe-ryód pierwszy, dochodzący do sejmu radomskiego, 1504 r., jest widocznie najuboższym w osnowę, ale nie pozbawionym zajęcia. Występują tu tylko duchowni i ziemianie, posiadacze wyłączni niewielkiej wiedzy, są nawet ludzie wyjątkowi wielce znakomici; pozostała jednak część narodu wystawia obraz odrętwienia, dziczności i ubóstwa.

#### *Stan nieruchomy.*

Lud przez tysiące lat oddany czei bóstw rolniczych nagle się spotkał twarz w twarz w Xtym wieku ery zwyczajnej z religią mającą zupełnie odmienne cele, przepowiadającą równość przyrodzoną w obliczu tego, który deszcz spuszcza równie na złych jak dobrych. Lel, Poświst, Marzanna, Dziewanna ustąpić miejsce miały *prawdzie, która ludzi wyswobadza*. Ale duchowieństwo tej ciemnej epoki, dalekie jeszcze było od zrozumienia zasad głoszonych przez Jezusa Nazareńskiego na ziemi izraelskiej. Samej stolicy rzymskiej szło bardziej o upowszechnienie chrześcijaństwa na północy, aniżeli o bezpośrednie korzyści serca. Dlatego gdy Mieczysław zebrał sejm z wyobrazicieli swojego ludu, większość była za zachowaniem bóstw domowych, a Niemiec Jordan przysłany z Magdeburga znojem się okrył, nim potrafił nakłonić ziemian polskich do zrzeczenia się przyrodzonej wiary. Mieczysław rozdał ludowi nowe sukmany, czapeczki z piórem pawiem i stroje niewieście, ale ten wzdychał za sobotkami i wiankami, rzewnie żałując zatopionych posągów w Gople. W odleglejszych prowincjach, na Mazowszu, Podlasiu, Pomorzu jeszcze większy niż w Wielkopolsce

był upór, który orężem Bolesław przełamywać musiał. Rodziny spokrewnione z Popielami, świątnicy pogańscy i wieśnice duszą przywiązani do bóstw rokujących obfite plony, mieli wstręt do surowych postanowień Bolesława, który karał wyrwaniem zęba za użycie masła w piątek. Oba więc panowania ojca i syna nie zdołały przerobić głęboko zakorzonego uczucia. Za mylną można uważać wiadomość Długosza, iż Mieczysław I urządził dyecezye w kraju, bo list Matyldy pisany do zięcia jej Mieczysława II mówi o nawracaniu przez przodków drogą tylko namowy i oręża; jemu zaś przypisuje urządzenie duchowieństwa i służbę ołtarza. Lecz i te starania okazały się próżne. Zaledwo Mojsław dzielny pan na Mazowszu dał hasło do powstania, cała Wielkopolska z dziećmi i trzodą cisnęła się za Wisłę dla połączenia z obudzonym żywiołem; wkrótce miejsca nie było dla przychodniów. Pozostali w Poznańskim i w Krakowskim burzyli kościoły i kamienowali księży; zniszczenie kraju było powszechne; Ryksza z Polski uciekać musiała, a za nią po niejakiem czasie i młody królewic Kazimierz. Wtenczas korzystając z zamieszenia kmiecie, wybijali panów za uciski. Lud massami zaczął się zbierać w świątyniach pogańskich, pod przewodnictwem starych kapłanów; znalazły się ukryte bóstwa, i znowu zabrzmiały przepowiednie szczęśliwych urodzajów, staropolskiego obyczaju, i sławy narodowej. W opisie tej epoki ileżby się znalazło kolorytu i charakterystyki dla tylu zdolnych pisarzy powieści, zdobiących nasze czasy. Ale jak się tknąć tego, kiedy kronikarze powiesili *Mustawa* w Prusach? Nie—Masław waleczny, obrońca przedchrześcijańskiej myśli narodowej, wróg dowolności Piastów nie był powieszony, ale zginął odważnie, z orężem w ręku, przeciwko posiłkom Kazimierza, z za Buga nadeszłym. Jestto tak wielka postać, jaką w późniejszym czasie była bohaterka Krystyna z Gozdowa.

Od ustalenia władztwa Kazimierza rozpoczyna się utrwalenie chrześcijaństwa w Polsce. Książę ten zrzekłszy się tytułu królewskiego, za otrzymane posiłki wojenne od cesarza niemieckiego, postanowił utwierdzić los dynastyi swojej za pomocą klasztorów i silnej hierarchii kra-

jowej. Tym końcem sprowadził Benedyktynów do Tyńca, oddawszy im dobra na skarb zabrane w ostatniem powstaniu, jednej z najdawniejszych rodzin. Za tym przykładem poszli i inni książęta, zakładając w duchu pobożnym wszelkiego rodzaju klasztory. Ale przydomek *Mnicha* utrzymał się wyłącznie przy Kazimierzu, jako najgorliwszym zakonów zwolenniku; z czego niedołężni kronikarze wymyślili nedorzeczną powiastkę, iż w habicie przez siedm lat chodził, i że na tę pamiątkę dwór rzymski polecił Polakom golić włosy na głowie. Niektóre z założonych klasztorów, mianowicie Benedyktynskie służyły gdzieindziej nauką, ale w Polsce prócz dostatku żadnego śladu nie zostawiły oświaty, a tém bardziej współdziałały w życiu narodowem. Nie zaleciły się kronikarstwem, nie wzniosły dla pożytku krajowego szkół wyższych, nie zastępyły nauką. Opat tylko tyniecki pożyczył 2,000 grzywien srebra Kazimierzowi W. na wojnę. W teraźniejszym wieku zapleśniałe ich biblioteki weszły do składu księgozbioru publicznego w Warszawie, za staraniem dyrektora biblioteki Samuela Lindego. Oprócz Benedyktynów osiedli w kraju Cystersi, Franciszkanie, Dominikanie, Templaryusze, Augustyianie, Stróże grobu Chrystusowego, Bernardyni. Wszyscy nieszkodliwi, nawet Dominikanie, którzy otrzymali polecenie w r. 1326 zaprowadzenia inkwizycyi w Polsce. Niektórzy z nich jednak otrzymali szkodliwy dla ogółu kraju przywilej przyjmowania do zakonu samych Niemców, z wyłączeniem Polaków. Niebaczny ten postępek cierpkie wkrótce wydał owoce. Mnisi albowiem cudzoziemscy, chcąc się otoczyć życzliwą sobie mową, usuwali ludność krajową, sprowadzali osadników niemieckich do dóbr ze szcudrośliwości książąt i panów polskich sobie nadanych; w szkołach początkowych wykładali naukę po niemiecku, i autorów łacińskich na ten język tłumaczyli; nadewszystko w kazaniach innej mowy prócz niemieckiej, do osadników zrodzonych w Polsce nie używali.

Silniejszą otrzymało organizacją duchowieństwo świeckie, wcześniej opatrzone znacznymi dochodami. Biskupi krakowscy od dziesięcin przyszli z czasem do posiadania ośmnastu miast i księstwa siewierskiego; ploc-



ey byli książętami na Sieluniu i władcami szlachty tej części ziemi pozbawionej bezpośredniej zależności od króla. Dobra kościelne najpierw uwolnione zostały od podatku poradnego dwunastu sztuk srebra z lanu, oraz powinności krajowych, a pozyskały prawa książęce. Sami zaś biskupi dosyć wczesnie weszli do senatu jako przewodnicy dusz, urząd swój w imieniu nieba sprawujący. Przez nieznamość pisowni XVI wieku niektórzy chcieli w naszych czasach dowieść, że ksiądz i książę dawniej znaczyło jedno, ponieważ Zygmunt August w r. 1552 nazywa się księdzem litewskim. Ale ten *ksandz*, wymawiał się *księć*, jak okazuje przypadek drugi, księcia. I Bogufał z XIII wieku świadczy, że *ksiandzi*, t.j. księć więcej waży niż pan dawny, i znaczy władzcę, króla. Proboszcze mieli grunta, opłatę od małżeństw, chrztu i pogrzebu. Od XII wieku majątek pozostały po księdzu nie spadał na rodzinę, ale powiększał fundusz kościelny. Przyczyną tak wielkich dostatków i znaczenia duchowieństwa stała się zależność królów i książąt polskich, którzy uciskani od cesarzy niemieckich, posuwających coraz dalej swoje zdobycze na kraju rolniczym, szukali pomocy w Rzymie, kierującym umiejętnie sprawami europejskimi.

Przez długi czas nauka duchowieństwa kończyła się na klassach początkowych, w których wykladały się tak nazwane sztuki wyzwolone, z encyklopedystów rzymskich, przy upadku państwa żyjących, wypisane. Rzadko kiedy wyborowsze zdolności udawały się do uniwersytetów zagranicznych po wyższą oświatę; z ich liczby był Jarosław Skotnicki, znakomity prawnik i arcybiskup gnieźnieński za Kazimierza W. Zwykle kończyło się wychowanie naukowe na szkole noszącej nazwę *trivium* lub *quadrivium*. W pierwszej z nich wykladała się grammatyka, retoryka i dyalektyka; w drugiej muzyka, arytmetyka, astronomia i geometrya. Każda katedra biskupia jedną z tych uczelni musiała utrzymywać. Najpospolitsze było *trivium*, jako nieodbycie potrzebne dla każdego księdza: w niem grammatyka uczyła języka łacińskiego, retoryka wymowy kaznodziejskiej, a dyalektyka rozprawiania o pytaniach teologicznych. Jak daleko te umiejętności sięgały, powziąć możemy wyobrażenie

z grammatki lichęj rzymskiego Donata, który w pierwszej części umieścił wykład głosek, sylلاب, i stóp, a w drugiej ośmiu części mowy. Ale i dla naszego czasu nie przynosi to zaszczytu, że ośm jego części napisane w r. 354 po Chr. w wielkiej świetności dotąd się utrzymują, kiedy w całej przyrodzie są tylko rzeczy, własności i stosunki: trzy części, które się odbijają w myśli i mowie. Nauka jednak o stopach, czytanie poetów łacińskich, wpływały czasem skutecznie na utwory krajowe w tymże języku, niezgrabne wprawdzie i wymuszone, ale świadczące o wyższej uprawie umysłowej. Nie można bez podziwienia szczególnego spojrzeć na poezye Kadłubka allegoryczne, ku czci i pamięci Kazimierza Sprawiedliwego napisane; komiczność staje obok roszczenia prawa do wykończenia sztuki starożytnęj. Również wymuszony i ciemny jest wiersz Grzegorza z Sanoka 1399 r. napisany na zgon córeczki Jagielly z Jadwigi węgierskiej. Pretensya więc do poezyi łacińskiej duchowieństwa w średnich wiekach wcale się nie powiodła. Pieśń na nawrócenie z bałwochwalstwa Polski, przytoczona przez Micchowczyka „Benedic dominum regum cunctorum, Conversa gens Vandalorum” nosi znamie cudzoziemskie.

Wyższe niby umiejętności dawane były w *quadri-vium*, jak: muzyka, astronomia, arytmetyka i geometrya, dopełniające liczbę siedmiu nauk wyzwolonych. Ale muzyka byłato tylko nauka śpiewu kościelnego, wymagająca do wydoskonalenia się lat dziesięciu przed wynalezieniem znaków pisanych, a kilku lat później; tak zwana astronomia obliczała dni świąt przypadających w roku; arytmetyka ograniczała się na początkowych działaniach, a geometrya najmniej na siebie ściągala troskliwości, jako wiedza trudna, a prawie obca dla powołania duchownego. Co do nauk przyrodzonych, te w mistycznym usposobieniu wieku były wzgardzone, i zastąpione dziwami nadprzyrodzonymi w rzeczach najprostszych, a najczęściej grubemi zabobonami. Dlatego dziwić się należy, jak w takiej ciemności mógł się znaleźć umysł szukający praw łamiącego się światła. *Vitellio*, to zjawisko. Pisarz ten sam się mianuje Polakiem; w ks. X. wspomina o Borcu krakowskim, pod 50 stopniem szerokości północnej,

jak mówi, leżącym *in nostra terra Poloniae*; lecz że początek swój z Turyngii wyprowadza (*Turingo-Polonus*), wnieść należy, że był raczej zakonnikiem, aniżeli księdzem świeckim. Vitellio uczeń akademii padewskiej zebrał najstaranniej w XIII wieku wszystkie wiadomości dotyczące się tej gałęzi fizyki. Lubo zwykle się trzyma Alhazema, który żył r. 1100 po Chr. zdaje się jednak, iż nie obce mu były i inne dzieła tej epoki. Jan Leckham prof. matematyki w Paryżu napisał r. 1292 „*Perspectiva communis*”; współczesny mu Roger Bacon czerpa optykę z Ptolemeusza tłumaczonego na język łaciński, bo pośrednikami wiedzy arabskiej i europejskiej byli hiszpańscy żydzi, przekładający pisma muślemeńskie na język łaciński.

Z trywiiów wyszli kronikarze nasi; nikt się za tём po nich nie spodziewa wyższego usposobienia i szczególnego pióra. Kroniki są wyrazem dzieciństwa wieku i bezmyślnym najczęściej zasobem wiadomości. Ze stanowiska dziejów kościelnych pisane, stały się stronne i niewiarogodne. Z niedorzeczności zwykle przez następców powtarzanych, z trudnością prawdziwsze wybrać można zdarzenia współczesne autorowi, a i te pozbawione są kolorytu, dokładności i życia towarzyskiego. Od XI do XV wieku, cztery stulecia są dla nas prawie stracone, i najdzielniejszą wyobraźnią odtworzyć się już nie dadzą. Wiele dokazał talentem swoim Szajnocha, ale jak błądny jest jeszcze jego Przemysław, jak niewydatna rzeźba ziemian polskich z owój epoki! Jestto najznakomitszy pisarz dziejowy czasów naszych, który, przez zręczne ugrupowanie wypadków jednorodnych, rzucił nieznaną dotąd świetność na historią polską. Rozwój życia na łonie przyrody bardzo mało zajmował rozmyślaczy nad bytem przyszłym. A jednak chęć pokazania wiedzy nieprzydatnej, a nawet szkodliwej opanowała umysły starych kronikarzy. Kadłubek naprzykład oświadczywszy z góry że „trzej, z trzech przyczyn teatralną znieawidzili wystawę” udaje się co rychlej do Karynty, i samego Rzymu, po założyciela Polski, aby na tём tle mógł łatwiej snuć hańbiące jego umysł bajki. Nie może się zaś ciemnością wieku wytłumaczyć, bo Gall, według podobień-

stwa do prawdy Projekt, Benedyktyn tyniecki, o sto lat od niego starszy śmieje się z baśni kądzielnych i wybrańsze tylko podaje szczegóły. W też ślady idzie Bogułał, wypisując z kronik czeskich śmieszności o Lechu i rycerzach kraju niemieckiego. Wyżej sięga Marcin Polak autor kroniki cesarzy i papieży, lecz że pochodził z niemieckiego Szlązka, że nie ma w sobie pierwiastku ojczystego, że się zupełnie krajem nie zajmował, i całe życie spędził za granicą, nie wiem czy ściśle rzecz biorąc należy do piśmiennictwa polskiego. Inaczej postępuje sobie Długosz, duszą oddany ojczyźnie: poprawia jak może błędy poprzedników kronikarskich, dopełnia dzieje, nie szczędzi osób wysoko stojących, a nadewszystko zamieszcza niemało dowodów urzędowych, które większą mają wagę niż marzenia błahych pisarzy. Długosz jest najlepszym i najobfitszym materiałem do znajomości wieków średnich; on też chlubnie zamyka pierwszy okres prac historycznych.

Streszczony obraz oświaty zakonnej i świeckiej dość wyraźnie okazuje, że roślina cudzoziemska do gruntu nie była zastosowana, a sama w sobie wątła, źle się przyjęła. Wyjątek od tego zaszczytny stanowi, jakieśmy powiedzieli, Długosz, z życiem narodowym najściślej związany.

Najlepszym dowodem małego wpływu duchowieństwa na oświatę jest czyn, że sam język rodzimy nie wzrastał do godności piśmiennictwa jak we Włoszech. W obojętności powszechnej, niektóre tylko osoby z duchowieństwa, zamilowane w mowie ojczystej, jakożkolwiek nią się zatrudniały. Widać, że brak wyższego usposobienia i pojęcia abstrakcyjne tłumili polot wyobraźni ku przyrodzie, a odciągały rzeźkość umysłową od pytań żywotnych społeczeństwa. Inaczej się nieco rzecz ma pod względem prostoty i szczéroty uczucia pieśni kościelnych, złożonych na główne uroczystości religijne. Te nie tylko mają tę wartość, że są najdawniejszymi pomnikami języka, gdy pieśni pogańskie, tak dla nas ciekawe, bezpowrotnie zaginęły; ale budzą dla siebie w wysokim stopniu dziecinne przywiązanie czytelnika. Muzeum takiej starożytności są kantyczki, początkowego zwłaszcza

wydania, w których się w całej szanowności, język jak zielony pieniądz odkopany, i pojęcie kolebki społeczeństwa naszego odbija. Do liczby niewielkiej miłośników języka należą biskup Bniński, opat Witowski i Stanisław Ciołek, w czym jednak Wielkopolska celuje. Tłumaczenia biblii przez długi czas były cząstkowe, dopiero w XV wieku w niajaką całość zlewać się zaczęły, ale psalmy zawsze więcej zajmowały niż ewangelie, ów kodeks dobroci i społecznej prawdy.

Z pomiędzy wszystkich zabytków językowych największą na wartość historyczną pieśń Bogarodzicy, z powodu oznaczonej swojej starożytności; gdy innych dawność ściśle nie jest określona. Czas jej powstania zbija mniemanie nieraz powtarzane przez filologów słowiańskich, jakoby pomniki języka polskiego były późniejsze od czeskich, i że w epoce przyjęcia chrześcijaństwa, niczem się prawie nasz nie różnił od innych. Na poparcie zdania swego przytaczają rękopis zwany krółodworskim z XIII wieku, kiedy Bogarodzica podług nich należy do XV wieku. Dla zapewnienia sobie wygranęj zaślaniają się wielkiem imieniem Czackiego, który te wątpliwości wyczytał w autorze postylli ewangelickiej, Kraińskim. Ale od daty téj pieśni kościelnej, a potem bojowej, sława wielkiego historyka nie wcale nie ucierpi. Za jego życia mniemań tak nieuważnych nie puszczano w obieg, gdyby się zaś to wydarzyło, Czacki nie przedstawałby na przytoczeniu jednego, niekrytycznego pisarza, ale ze zwyczajną sobie przenikliwością zgłębiłby należycie pytanie.

Długosz pisząc o wyprawie rudzkiej nazywa pieśń Bogarodzicy narodową. To piękne miano nabyte zostało nie w XVtém stuleciu, ani téż za Bolesława W., ale za Krzywoustego 1106 r. Stanowcze w tym względzie są wyrazy współczesnego historyografa Galla. „W sobotę, powiada, przybywają pod Kołobrzegę; nocy poprzedzającej Bolesław kazał odśpiewać pieśń na cześć Bogarodzicy, którą potem z ducha pobożnego w stałe użycie wprowadził”. Dokładniejsze wyjaśnienie rzeczy dają Baroniusz pod r. 1095, i Arnold Vuion Lig. vit. 1. 20. Pierwszy

z nich, świadczy, że na wniosek Urbana II, concilium w Clairmont, dla otrzymania wstawienia się Matki Boskiej u Syna o szczęśliwe zdobycie Grobu Świętego, postanowiło, aby duchowni razem ze świeckimi śpiewali pochwałę Najświętszej Panny; drugi, że na tym soborze wszyscy należący do wyprawy, i posiadający sztukę czytania, mieli ustanowioną dla siebie cześć tak zwaną sobotnią. Więc zaraz po r. 1095, to jest w XI-tém stuleciu pieśń Bogarodzicy została przetłumaczoną z łacińskiego dla Polaków, jak i dla innych ludów; z kościoła dopiero na pole walki z poganami przeszła za Krzywoustego, i stała się odtąd hasłem do natarcia na nieprzyjaciół. Pomnik ten zatem dawniejszy jest od zabytku króloworskiego i innych słowiańskich.

Co do różnicy zupełnej obu języków w najdawniejszych czasach historycznych, o tém przekonać mogą źródła dawne, a szczególnie sama pieśń Bogarodzicy. Główną, jak wiadomo, różnicę polskiego od czeskiego stanowią brzmienia *ą, ę, é, dz, ść*. Te dźwięki znajdujemy pod r. 1054 w imieniu Świętochny, a pod r. 1065 w nazwie Gołęb. W Bogarodzicy zaś znajdujemy: potępienie, zastąpił, święta, ręce, gdzie, dzieci, gospodzin, zjść, spuść, domieść, śmierć, cierpiał, radość, miłość. Z tego się okazuje, że mowa polska nie była dyalektem słowiańskim, to jest odmianą miejscową, ale oddzielnym językiem, jak angielski, duński, szwedzki w obec z niemieckiego.

Wymowa kaznodziejska pierwszych czterech wieków nosi na sobie znamię ciężaru i smętności, jako skutek umysłowego usposobienia. Przypomina ona ponure posążki Egipcyan, zmartwiałe bezwarunkową zależnością w życiu i pojęciu. Ci, którzy nad innemi w tym zawodzie celowali, powodowani zapewne próżnością lub lekceważeniem mowy ojczyściej, przekładali kazania na język, noszący później imię kucharskiej łaciny. Stosy takich rękopisów nie doczekały się druku. Z tej liczby Kazimierz ze Skarbimierza, czyli Szkalmierza, uchodzi za górujący talent. Lecz kazanie, które miał na pogrzebie pięknej Jadwigi w r. 1399 dosyć jest nudne z treści i wykładu, jak wszystkie wygłoszenia tego rodzaju nawet w późniejszych czasach. Mówimy tu o zbytecznej przewadze wy-

obrażeń teologicznych nad myślą towarzyską i żywotną, bez której się żadna wymowa publiczna, nie obrażając prawa przyrody obejść nie może.

Należało się spodziewać, że początkowa błahość oświaty czerpana ze szkół katedralnych i zakonnych wśród najciemniejszych zabobonów, zamieni się na świetny postęp rozumu przez założenie szkoły głównej w kraju, przez działalność jej umiejętną na społeczeństwo i niższe zakłady naukowe. Nadzieje te jednak nie w wielkiej mierze zostały spełnione. Przychylny wszelkim ulepszeniom Kazimierz W. wyjednał w r. 1364 pozwolenie w Rzymie na założenie akademii prawnej, z wyłączeniem teologii; wzniosł w przeciągu sześciu lat mury na przedmieściu, zamówił część profesorów z Pragi, ale dla wczesnego zgonu nie mógł utworzyć tego tak potrzebnego dla kraju przybytku nauk. Władysław Jagiełło wypełniając ostatnią wolą Jadwigi doprowadził do skutku pożyteczny zamysł Kazimierza Piasta, wyjednaawszy w Rzymie powtórne założenie akademii, ale już z teologią. W przywileju na ten cel danym r. 1400 król wynurza życzenie, aby ta wszechnica nauk stała się źródłem gaszącym pragnienie narodu, aby na wzór sławnej w *Germanii* szkoły głównej oxfordzkiej zajaśniała blaskiem umiejętności. Omyłka geograficzna co do Oxfordu leży w nieusposobieniu wieku, bo i sobór konstancyeński zaliczył biskupów polskich do narodu germańskiego. Klejnoty królowej poszły na kupno domów, a płaca profesorów opierała się na dochodach królewskich, żupach solnych i probostwach kollacji panującego. Właściciele ziemscy żadnego w tym udziału nie okazali. W kolegium teologów, kanonistów i artystów wykładali naukę Czesi, Polacy i Niemcy.

Akademia krakowska służąc szczególnie potrzebom duchownej, mającej na celu osiągnięcie wyższych dostojęństw, w pierwszej połowie wieku XVgo nie może być uważana za czynnik cywilizacji, bo żadna myśl wznioślejsza nie przewodniczyła uczonemu składowi. Krzesła tylko teologiczne miały wyższe wynagrodzenie i bogatsze probostwa; inne wcale źle były opatrzone. Możliwe na usprawiedliwienie lichego postępu przytoczyć brak lepszych książek w tej epoce, i cenę ich nadzwyczajnie wy-

soką, ale tu idzie o zasadę, czy oświata w akademii swobodnie rozwijać się mogła? Otóż mimo powagi czasu i uprzedzenia, cel tego zakładu zdaje się być w sprzeczności z poszanowaniem dla samodzielnego zdania. Długosz świadczy, że szkoła główna ustanowiona była „dla wstrzymania herezy” (tom 1, str. 168). Kiedy na soborze konstancyjskim Zawisza Czarny bronił od śmierci Hussa, jako przybyłego za listem żelaznym cesarza Zygmunta, nie zasługującym na lekceważenie, pokazano oskarżonemu pismo z akademii krakowskiej przywiezione, własnej jego ręki, o nauce Wecklefa, i na mocy tego, jako heretyka bez względu na list żelazny, na spalenie skazano. Dopiero w drugiej połowie XVgo stulecia dźwignęła się szkoła główna w wymowie, poezyi, astronomii, a mianowicie matematyce, tak jednak, że na uzupełnienie innych nauk, jak języka greckiego, nowszej filozofii i medycyny, młode pokolenie udawało się do uniwersytetów włoskich.

Stojąca na czele teologia trzymała się odwiecznego dzieła Piotra Lombarda, mistrzem zdań powszechnie zwanego. Nauka była ułożona dyalektycznie, to jest zawierała zarzuty i odpowiedzi na założenia czerpane z pism ś. Augustyna. Dzieło to w drugiej połowie XV wieku czternaście razy było wydane. Wyjaśnieniem jego w akademii krakowskiej trudnili się Andrzej z Kokorzyna, Jan z Kęt, Michał z Bystrykowa, Michał z Wrocławia, nawet Wojciech Brudzewski, którzy utwierdzali umysły słuchaczy przeciwko wszelkim wątpliwościom ludzi, używających tylko zdolności przyrodzonych, i niewyrobionego teologicznie rozsądku. Mistycyzm Jana z Fidanzy i Tomasza z Kemten mniej miał tu wpływu.

Filozofia, której najuczestniejszym u nas był wyobraźcą Jan z Głogowy, nosiła najsilniejszą znamię scholastyczności. Profesor obowiązany był mówić o wszystkich częściach filozofii Arystotelesa, podług wyjaśnień arabskich. Zadaniem więc nauki było ciągłe utrzymywanie się w jednym położeniu. Nowsze wyobrażenia włoskie nie miały przystępu. Rozsądek zaś przyrodzony nie tylko nie mógł się od scholastyki wywikłać, ale codziennie tracił, przez wzrastające umysłowe zakucie. Wielkie wrażenie zrobił Michał z Bystrykowa, kiedy wróciwszy



z Paryża 1485 r. dysputował publicznie z trzydziestu przeciwnikami, „czy materya pierwsza jest istotą rzeczywistą”? Następca Jana z Głogowy, Jan ze Stobnicy był uczniem tego głośnego mistrza.

Moralności świeckiej, wypływającej z należytości i powinności społecznych wcale nie było. Oderwane tylko myśli scholastyków o cnotach i występkach, zwane *zwierciadłem*, lub rozwiązywania sofistyczne postępków w danym przypadku, składały całą dziedzinę słabiej filozofii obyczajowej. Jednego z tych pisarzy Leonarda Aretina dał poznać młodzieży krakowskiej Jan ze Stobnicy.

Collegium artystyczne więcej zajęcia, więcej żywiołów społecznych wystawia, zawsze na tle scholastycznym. Wymowa jak ją nazywano, t. j. retoryzm stawszy się potrzebą kraju świetniej się niż dotąd rozwijać począł. Uczeń akademii krakowskiej Jakub Sienieński, synowiec Zbigniewa przybywszy do Mantui od króla Kazimierza w poczcie dworzan okazałym, dla złożenia posłuszeństwa naczelnikowi kościoła Piusowi II, zachwycić miał wszystkich wymową. Była to poprostu gładka retoryczność, która Włochów mniej zadziwiła jak tłuste konie, czapeczki z piórami i kołczan na ramieniu zawieszony, przybranego w jednostajny strój orszaku. Głośne także w tym wieku jest kazanie miane w Płocku do wojska idącego na Krzyżaków przed bitwą tanenburską czyli rudzką; miało ono do lez wszystkich pobudzić. Lecz kazania takie mają na celu wzbudzenie zapaku i odwagi w spotkaniu się z nieprzyjacielem, mianowicie chciwym i okrutnym, u kronikarzy zaś słuchacze zawsze płaczą, nawet Czesi, kiedy obcego rodu króla, w osobie Władysława Jagiellończyka otrzymują. Również chwalona jest mowa arcybiskupa gnieźnieńskiego na czele poselstwa, miana do Kazimierza księcia litewskiego, wzywająca do objęcia rządów w Koronie. Widać tam bezwątpienia wiele rozsądku, przyzwoitości i godności w obec księcia litewskiego, ale żadnej wymowy; jest to raczej nota dyplomatyczna ustnie wygłoszona. Bo do czegoż więcej mogła doprowadzić retoryka Arystotelesa dawana w akademii, bez znajomości

wielkich wzorów starożytności, w odmiennych okolicznościach kraju powstałych.

Poezya łacińska w wiekach średnich liczyła wielu pisarzy najrozmaitszej osnowy, z których mało udowodniło samorodność, a tém bardziej jeniusz. Forma wierszy leonińska, to jest rymowa, jak u Galla, zamieniła się później na stopową. Leonińska była skażona najdziwaczniejszym wykręceniem w anagrammy i podobne sztuczki dziecinne; stopowa wzniosła się do hexametru. Cała Europa scholastyczna wysilała się na utwory poetyczne, współubiegając się niby z rzymskimi o pierwszeństwo. Włosi jednak wyprzedzili Francuzów, Anglików i Niemców. Treść tych poematów maluje kolebkę społeczeństwa; taką jest naprzykład: *o tajemnych siłach kamieni*. Uczeńsza nierównie o Aleksandrze W., wojnie trojańskiej i czynach Achillesa; elegie zaś, epigrammy i satyry uzupełniają tę galeryę sztuki. Dla potomnych satyra ma tę ważną korzyść, że kreśli obraz obyczajów ówczesnych. Rzecz dziwna, iż po pierwszych próbach przeduniwersyteckich, o którychśmy wspomnieli, Kraków w drugiej połowie XVgo wieku, owa matka żywicielka, także nie znakomitszego w poezyi nie wydała. Owszem dowiadujemy się z Dąbrowki, że dzieło Ganifreda o sztuce poetycznej, wielką tu miało cenę. Najlepszym utworem z tej epoki jest elegia Adama Swinki na śmierć Zawiszy Czarnego, który ziomków swoich na zgubę przez cesarza Zygmunta wystawionych, nie opuścił. Wawrzyniec Korwin obdarzony przyjemnym talentem i dobry wierszopis łaciński, który zaszczerpił utworami swojemi smak w młodzieży uniwersyteckiej, był Szlązakiem; narodowych znakomitości wcale nie widać. Owszem ze smutkiem postrzegamy, że owa grammatyka Donata właściwa tylko *trivium*, przy której wykładano wersyfikacyę, grammatyka Aleksandra galijskiego do XVI wieku w całej wiosnie swojej kwitną w akademii krakowskiej. Najlepszym tego świadectwem są pisma Jana z Głogowy, wydane w 1503 i 1504, wyjaśniające te zabytki zbutwiałe.

Medycyna w pierwszych czasach chrześcijaństwa znajdowała powszechne i dostateczne lekarstwo w szczerej wierze, relikwiach i grobach świętych; niekiedy w zamó-

wieniu czyli zakłęciu choroby. Uczoność arabska inny jej dała kierunek. Dziber wynalazł powszechne lekarstwo tak pewne, jak kamień filozoficzny alchemików. Myślano o złocie, srebrze, drogich kamieniach, kości słoniowej, azali nie mają pewnego związku, jako twory szlachetnej natury z czerstwością zdrowia. Kiedy to nie pomagało, rzucono się nakoniec do własności roślin i diety. Z tego stanowiska ułożyli dzieła swoje: Ybn Sina czyli Avicena, i Razes. Za pożyczanie rękopisu ostatniego z nich Ludwik XI król francuzki ofiarował w r. 1471 srebra swoje i szlacheica: taka była ważność pisma *Hawi Elkawi*. Uniwersytety powszechniej się trzymały Aviceny. Ze wszystkich środków używanych w medycynie, jedna dieta była zbawienna; inne jak smaragdy, rubiny i złoto, nawet mylnie własności roślin, więcej szkody niż pożytku przynosiły. Praktyczniejsza, lubo zaostra była metoda niby krajowa: Jan Radlicki lekarz królewski, mając w podejrzeniu pokarm sobie podany i spożyty, kazał się u belki za nogi powiesić głową na dół, i cienkimi prątkami smagać się po żołądku. Ten energiczny eksperymentalista nie był członkiem krakowskiej akademii, która była teoretyczniejsza i sprzyjała zasadom galeno-arabskim. W terapii niebardzo ustępowała uniwersytetom zagranicznym, a nawet Padwie, gdzie Kopernik zaczerpnął nieco przymiotów alchemicznego lekarza, używając drogich metali i kamieni dla wzmożenia zdrowia. Anatomia mało zrobiła postępu w Krakowie, bo tylko rozbiór gospodarskich zwierząt był znany; gdzieindziej Leonardo da Vinci użytym był do rysunków anatomicznych. Nauka życia, biologia, lubo także bez zasady, na drodze fizyologicznej winna była myśl ciekawą Janowi z Głogowy. Wykładając on traktat Arystotelesa o duszy, podług widoków kranioskopicznych Versora, przytacza zdanie brytańskiego lekarza Gordona, że wszystkie zdolności zwierzęce jak pamięć, wyobraźnia, uwaga, domysł są częścią nierozdzielną organizmu, azatém materialne; szczęśliwy zaś i boski rozum, leżąc za granicą organu, jest niematerialnym.

Czego nie rozwiązała medycyna, dokonywała astrologia, wielce szacowana od możnych, których bogactwa

uwalniają zwykle od gruntowniejszego na rzeczy poglądu. Jest nawet rzeczą pewną, że ta ich łatwowierność przyczyniła się do wzrostu ścisłej nauki astronomicznej, przez zabezpieczenie bytu ubogim miłośnikom prawdy, bo za przepowiednie przyszłości dobrze płacono. Nie obwiniany akademii krakowskiej, że miała w XV wieku astrologów, bo sławny Keppler w XVII był jej zwolennikiem; ale z chlubą powiedzieć możemy, że Brudzewski jej nie hołdował, owszem czystą astronomią postawił na takim stopniu sławy że Hartman Schedel Norymberczyk rozległej nauki człowiek, astronomii krakowskiej dał pierwszeństwo przed wykładem jej w najcelniejszych uniwersytetach niemieckich: „*astronomiae tamen studium maxime viret, nec in tota Germania clarior illa reperitur*”. Dla początkowych słuchaczy wykładano w akademii stare dzieło o sferze Jana z Holiwood czyli de Sacrobosco, jak widzimy ze wstępu Jana z Głogowy do tej elementarnej książki, która dotrwała w całej Europie do XVI wieku; ale Brudzewski jasny, dokładny i uczony professor matematyki, od r. 1483, którego uczeń Kopernik nie tylko nie nowego w tym względzie nie posłyszał we Włoszech, ale z ucznia medycyny i filozofii w Padwie wprost był wzięty do Rzymu na profesora matematyki; Brudzewski powiadamy matematyk, napisał także wyjaśnienie do teorii planet Peurbacha astronoma wiedeńskiego, które było załeczone przez Ottona de Valle Uracense jednemu z książąt włoskich jako dzieło znakomite. Wyszło ono w Medyolanie 1495 r. Pisało wielu przed i po Brudzewskim tak zwane teoriki planet: do najdawniejszych należy Jan Campanus z Nowary, r. 1200; ale wszyscy i Brudzewski mylnie. Dlatego nie mniemamy bynajmniej aby professor akademii krakowskiej odkrycie jakie w astronomii zrobił, lub uczniowi do wielkiego wynalazku drogę wskazał, ale jesteśmy tego zdania, że wykład rozsądny, jasny i gruntowny matematyki wielką był pomocą młodej zdolności do posunięcia astronomii. Po Brudzewskim nastąpił Jan z Głogowy, znajomy nam scholastyk. Ten napisał wstęp astronomiczny do kalendarza i wyjaśnienia prawdziwych ruchów planet podług Jana Regiomontana. Przynosi to zaszczyt Głogowczykowi, że już nie Peurbacha, ale Regio-

montana wziął za przewodnika w postępie czasu; uderza jednak ta uwaga, że poważne korporacye uczone siłą się na powtarzanie rzeczy ubitych, kiedy gieniusz mało komu znany, sam jeden bez pomocy i zachęty życia publicznego, odkrywa nowy porządek, i wychodzi na prawodawcę wszechświata. Jeometrya Euklidesa i trygonometrya służyły za nauki pomocnicze do obliczeń planetarnych.

Cóż mamy powiedzieć o wykładzie historii, krytyce i zamiłowaniu do niej? Jan Dąbrowka czytał z uczniami Kadłubka, i objaśniał jego trudności. Na samym wstępie kiedy tłumaczył, co znaczył Kodrus w tekście wspomniany, jako nie lubiący teatralnej wystawy; jeden ze słuchaczy zarzut mu głośny uczynił, że to nie był wcale król grecki jak nauczyciel powiadał, ale jakaś inna osoba z tradycyi kronikarzem znana, i z osnowy Kadłubka, wątpliwość swą udowodnił. Umiera Długosz w r. 1480 składając dzięki Opatrzności, że mu dozwoliła pięćdziesięcioletniej pracy dokonać. W troskliwości o dalszy ciąg dziejów ojczystych, tak mozolnie przez się zebranych, błaga akademią krakowską, aby zdolnej osobie po jego zgonie tę pracę powierzyła, odpowiedni wynalazłszy fundusz. Uczone zgromadzenie przeznaczyło dodatkowe do innej płacy wynagrodzenie dla historyografa, który przy końcu roku po jednym arkuszu, czasem nie spełna rocznika swojego przynosił.

Drukarstwo, które się od r. 1472 upowszechniać zaczęło w Europie, we dwadzieścia kilka lat dopiero zaprowadzone zostało w Krakowie dla odbicia mszałów. Później hussyci czescy polecili Violovi odlanie głosek słowiańskich i wytłoczenie oktoicha, to jest śpiewnika kościelnego, ale drukarz musiał kraj opuścić pod naciśkiem kapituły krakowskiej. Ojczyszczony po polsku znajduje się w agiendzie wrocławskiej, a dłuższa pieśń Bogarodzicy dopiero odbitą została w Statutach Łaskiego 1506 roku.

Po tych smutnych obrazach narzuconych pojęć i bezwładności, przejdźmy na weselsze pole żywotnego postępu, w pierwszej epoce oświaty.

## SŁÓW KILKA

O STAROŻYTNEJ ODBUDOWIE KOPALŃ OLKUSKICH, I MACHINACH  
W TYCHŹE, O PŁOCZKACH, PRAŻENIU RUDY OŁOWIANEJ,  
I HUTACH DAWNYCH POD OLKUSZEM.

PRZEZ

*Hieronima Łabęckiego.*

Czyto pozbawieni światła dziennego przy rąbaniu pod ziemią niekształtnych brył rudy, czy przy zbytecznym żarze ognia, wysączając kruszec z roztopionej rudy, górnik i hutnik poszczycić się nie mogą, aby ich zmudne rzemiosło było nacechowane poetycznością. Jednakże i to zatrudnienie ma swoje powaby, bo przecież z zamiłowaniem górnik doń przywiązany; w niém ma on swoje podania, wspomnienia ubiegłych pokoleń, tajemnicze uprzedzenia, a sam w zbliżeniu z naturą i jej tajnikami, nabywa skłonności do rozmyślania. Owionie go nie raz w samotném odcięciu od świata i ludzi, tęsknota poetyczna, która rzeczywiście ludzi tego zawodu odznacza w ich życiu, uczuciach i toku myśli.

Lecz nie o tém tu mówić zamierzamy, nie tu miejsce przedstawiać: czém jest górnictwo, jak obszerne w niém pracy pole, jakie przedstawia trudności, jakich wymaga środków, jakie czerpie pomocy z nauk przyrodzonych i ścisłych, jaka jego zacność i jakie przynosi ludzkości korzyści.

Zamierzaliśmy przerzucić się w ubiegłe wieki, dotknąć starożytności górnicznych polskich w słynnych niegdyś kopalniach olkuskich ze stanowiska sztuki i krótko skręślić

jak to rzemiosło było prowadzone, jakimi środkami obchodzono się przy wydobywaniu rud ołowianych i ich przetapianiu na ołów lub odciąganiu srebra.

Do opisu takiego materiały prawie zatarte, bo dawne kopalnie olkuskie od półtora wieku zniszczone i nieczynne, huty rozwalone; widoczne jedynie są liczne warpie i zawaliska szybów, zapadnięcia tu i owdzie ziemi nad dawnymi wyrobami; sączą się wody stokami sztolniów, dziś zalanych piaskiem i zarosłych, a które niegdyś ciągnęły się daleko na około Olkusza; gdzieniegdzie tylko porzuczone stosy bogatych zuzli po ołowiu, świadczą o obszernym przemyśle, a podania miejscowe i baśnie urojone o olbrzymich bogactwach dawnych gwarków, o przepychu mieszczan olkuskich, głuchy rozgłos o przeszłej świetności górnictwa srebrnego w tym miejscu roznoszą.

Wiele w tych podaniach przesady; wprawdzie obfite to i bogate były kopalnie rudy ołowianej, która i srebro zawierała, nawet dobrze się miewali ich gwarkowie; zbyt jednak wiele nakładów wymagało ich prowadzenie, aby zbożać się można było łatwo, to też raptowne fortuny nie często tu powstawały, ani nie były pospolitą rzeczą. Od czasu do czasu, zwłaszcza w latach suchych, miejscami łatwiejsze zdarzało się kopanie, głębiej wówczas pod ziemię sięgnąć się dawało po bogatszą rudę, bywały więc i lepsze zyski w ręku zamożniejszych gwarków, a mieszczenie Krakowa, nawet szlachta okoliczna wtedy nie pogardzała gwarectwem w kruszcodajnym zakątku krakowskiej ziemi.

O tym dowiedzieć się można szczegółów najciekawszych z dawnych akt żupniczych olkuskich; w pomoc im idą częstokroć akta wójtowskie a później radzieckie miasta; lecz w współczesnych pisarzach, uporne milczenie lub zaledwie wzmiankę ogólnikową a mało znaczącą o kopalniach olkuskich natrafić można. Akta przeto żupnicze stanowią obfite i główne dla nas źródło, zawierają one bowiem rozliczne i szczegółowe wiadomości; lecz po większej części dostępne są jedynie dla tego, kto jest świadomy języka naszego górniczego. Szkoda, że dla ich uzupełnienia nie dochowały się niestety żadne rysunki dawniejsze w archiwie olkuskiem, bo najwcześniejsza mapa, która nas doszła, jest dopiero z końca panowania

Augusta III, a może początków następnego; lecz nie ma śladu mapp tych mierników, którzy one szynowali już za Zygmunta Augusta czasów.

Ileżto trzeba wczytać się w akta owe, aby zrozumieć te dawne szpargały, które są jednakże skarbem archeologicznym, aby dojść w przepisach żupniczych, w uchwałach spółnych narad gwareckich w relacjach zsyłanych na grunt przysięgłych, właściwego rzeczy znaczenia. Nudna to droga, i nie myślę przeto po niej wodzić czytelnika, wolę mu przedstawić w skróceniu z wypadków badań zestawioną lepiankę, unikając (o ile mi się to uda) zbytecznych szczegółów, bo zamierzam tylko pokazać to, co było i jak było, a mianowicie jak prowadzono owe dawne górnictwo kruszcowe nasze, przy dawnych środkach i wiadomościach. Może kto ciekawszy a rzeczy świadomszy, po odczytaniu tego, zajrzy gdzie kiedyś następnie, do dzisiejszych jakichś kopalń lub hut, a przyzna, że i w ubiegłych wiekach owe prace olkuskich górników były przemyślnie, dobrze pomyślane, chociaż w porównaniu z wielu dzisiejszemi przedsięwzięciami niewielkie, nie dostateczne w środkach; lecz nadewszystko dostrzeże, że obszerniejsze roboty, jak np. utrzymanie sztolniów, dla braku ciągłego zjednoczenia sił i funduszków przedwcześnie ustały, co dowodem jawnym jak naród nasz nie miał wytrwania do przedsięwzięć prowadzonych na spółkę.

Trudno na polskiej ziemi kąta mniej urodzajnego i więcej do pustyni podobnego jak położenie Olkusza. Morze piasku ciągnie się od samego miasta na milę blisko na zachód i znów się dalej rozlewa. Kto przejeżdża koleją żelazną od Szczakowy i Macków, spojrzawszy po obszerniej płaszczyźnie ruchomego bielącego się piasku, gdyby nie tu i owdzie zarosła lub jaki laszek jodłowy, dojrzałby snadno Olkusza, a oko oparłoby się dopiero o sterczące skały, wiekiem swym juraskim spółczesne, które okalają miasto od wschodu i północy. Na pozór upośledzona to od natury pustynia, a okolica, która ją okrąża nie wiele zdaje się powabniejsza; miejscami pokazują się grunta nie bardzo urodzajne i te niekiedy nawet żyjącym organizmom nieprzyjazne; mam tu na myśli przedewszystkiem stary Olkusz, osadę na zachód niedaleko od miasta Olku-



*Opis odc gory Krzyw*

*Fig 1.*

*Opis odc gory Obrowany*



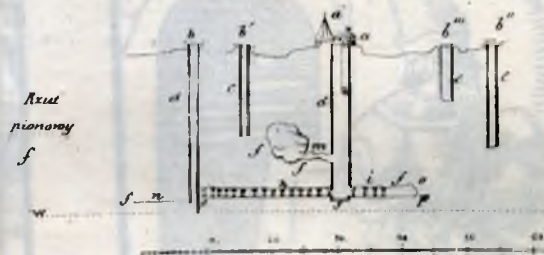
*Azyl proxiomy*

*Szalnia*



*Azyl proxiomy f*

*Hanobina Gwarochow  
Gara Zagrodnia  
przy Szalni glinowej*



0 10 20 30 40 50 60 70 80 Latow

*Fig 4*



*Fig 5*



1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19 20 21 22 23 24 25 26 27 28 29 30 31 32 33 34 35 36 37 38 39 40 41 42 43 44 45 46 47 48 49 50 51 52 53 54 55 56 57 58 59 60 61 62 63 64 65 66 67 68 69 70 71 72 73 74 75 76 77 78 79 80 81 82 83 84 85 86 87 88 89 90 91 92 93 94 95 96 97 98 99 100 101 102 103 104 105 106 107 108 109 110 111 112 113 114 115 116 117 118 119 120 121 122 123 124 125 126 127 128 129 130 131 132 133 134 135 136 137 138 139 140 141 142 143 144 145 146 147 148 149 150 151 152 153 154 155 156 157 158 159 160 161 162 163 164 165 166 167 168 169 170 171 172 173 174 175 176 177 178 179 180 181 182 183 184 185 186 187 188 189 190 191 192 193 194 195 196 197 198 199 200 201 202 203 204 205 206 207 208 209 210 211 212 213 214 215 216 217 218 219 220 221 222 223 224 225 226 227 228 229 230 231 232 233 234 235 236 237 238 239 240 241 242 243 244 245 246 247 248 249 250 251 252 253 254 255 256 257 258 259 260 261 262 263 264 265 266 267 268 269 270 271 272 273 274 275 276 277 278 279 280 281 282 283 284 285 286 287 288 289 290 291 292 293 294 295 296 297 298 299 300 301 302 303 304 305 306 307 308 309 310 311 312 313 314 315 316 317 318 319 320 321 322 323 324 325 326 327 328 329 330 331 332 333 334 335 336 337 338 339 340 341 342 343 344 345 346 347 348 349 350 351 352 353 354 355 356 357 358 359 360 361 362 363 364 365 366 367 368 369 370 371 372 373 374 375 376 377 378 379 380 381 382 383 384 385 386 387 388 389 390 391 392 393 394 395 396 397 398 399 400 401 402 403 404 405 406 407 408 409 410 411 412 413 414 415 416 417 418 419 420 421 422 423 424 425 426 427 428 429 430 431 432 433 434 435 436 437 438 439 440 441 442 443 444 445 446 447 448 449 450 451 452 453 454 455 456 457 458 459 460 461 462 463 464 465 466 467 468 469 470 471 472 473 474 475 476 477 478 479 480 481 482 483 484 485 486 487 488 489 490 491 492 493 494 495 496 497 498 499 500 501 502 503 504 505 506 507 508 509 510 511 512 513 514 515 516 517 518 519 520 521 522 523 524 525 526 527 528 529 530 531 532 533 534 535 536 537 538 539 540 541 542 543 544 545 546 547 548 549 550 551 552 553 554 555 556 557 558 559 560 561 562 563 564 565 566 567 568 569 570 571 572 573 574 575 576 577 578 579 580 581 582 583 584 585 586 587 588 589 590 591 592 593 594 595 596 597 598 599 600 601 602 603 604 605 606 607 608 609 610 611 612 613 614 615 616 617 618 619 620 621 622 623 624 625 626 627 628 629 630 631 632 633 634 635 636 637 638 639 640 641 642 643 644 645 646 647 648 649 650 651 652 653 654 655 656 657 658 659 660 661 662 663 664 665 666 667 668 669 670 671 672 673 674 675 676 677 678 679 680 681 682 683 684 685 686 687 688 689 690 691 692 693 694 695 696 697 698 699 700 701 702 703 704 705 706 707 708 709 710 711 712 713 714 715 716 717 718 719 720 721 722 723 724 725 726 727 728 729 730 731 732 733 734 735 736 737 738 739 740 741 742 743 744 745 746 747 748 749 750 751 752 753 754 755 756 757 758 759 760 761 762 763 764 765 766 767 768 769 770 771 772 773 774 775 776 777 778 779 780 781 782 783 784 785 786 787 788 789 790 791 792 793 794 795 796 797 798 799 800 801 802 803 804 805 806 807 808 809 810 811 812 813 814 815 816 817 818 819 820 821 822 823 824 825 826 827 828 829 830 831 832 833 834 835 836 837 838 839 840 841 842 843 844 845 846 847 848 849 850 851 852 853 854 855 856 857 858 859 860 861 862 863 864 865 866 867 868 869 870 871 872 873 874 875 876 877 878 879 880 881 882 883 884 885 886 887 888 889 890 891 892 893 894 895 896 897 898 899 900 901 902 903 904 905 906 907 908 909 910 911 912 913 914 915 916 917 918 919 920 921 922 923 924 925 926 927 928 929 930 931 932 933 934 935 936 937 938 939 940 941 942 943 944 945 946 947 948 949 950 951 952 953 954 955 956 957 958 959 960 961 962 963 964 965 966 967 968 969 970 971 972 973 974 975 976 977 978 979 980 981 982 983 984 985 986 987 988 989 990 991 992 993 994 995 996 997 998 999 1000

Fig. 2.



Fig. 3.



Fig. 4.



sza, gdzie wszelkie ptastwo wypada, domostwo bez myszy, pola bez kretów, ale téż i bydelko nędzne; pies, kot, przechoruje tu przybycie swoje konwulsyjnym drganiem, powyciąganiem członków, i biednie się chowa, towarzysząc przywiązaniu człowiekowi. Dzieci w tej osadzie górniczej urodzone, wszystkie cierpią w niemowlęctwie na konwulsje i trudno się wychowują. Roslinność drzew tu nie bujna, lecz utrzymuje się, a z roślin właściwych tej miejscowości rośnie włóczęgowa: Nietata (*Lycopodium selago*), także i na polach pod Sławkowem gdzieniegdzie znajdowana, trucizna dla koni i bydła.

Otóżto w takiej okolicy, gdzie nic człowieka nie ęci, wynaleziono kiedyś rudy bogate kruszcowe, właśnie na brzegu tego morza piaskowego, które się tak przeciągle rozlega. Jakaś antyteza w człowieku, może myśl, że Najwyższy Stwórca wynagradza pozorne niedostateczności ukrytymi zaletami, mogła posunąć do szukania tu skarbów podziemnych. Nie wątpię, że to sami krajowcy pierwsi tu rudę ołowianą znaleźli, w wierzchnich warstwach gdzieś na nią przypadkowo natrafwszy; ruda ta bowiem w świetnych kruszcowego połysku kryształach sama łatwo w oczy podpada; my ją zwiemy dziś błyszczem, dawniej ją zwano krusiec, bo do kruszczu podobna.

Już w XIII wieku (jak dowodem dyplom Bolesława Wstydlwego z r. 1257 na założenie klasztoru Klarysek w Zawichoście) znany był ołów olkuski. Za Łokietka wznosił się klasztor Augustjanów i powstało miasto Olkusz na prawie niemieckim, a obok tego było wójtostwo (1331 r.). Snać po opuszczeniu dla zjadliwej aury, owęj dawniej osady, przy której nazwa Starego Olkusza pozostała, naprzód wieś, potem dopiero miasto wzrosło na dzisiejszem miejscu, a Kazimierz Wielki opasał je murem i nowemi obdarzył przywilejami. Dawniejsze nazwanie stariej osady, oraz wójtostwa, a w końcu i miasta do XVII wieku, zrazu Ilkus, potem Ilkusz, a w ostatnich dopiero wiekach Olkusz, naprowadza na myśl, iż pierwsza osada musiała być z tych, co ową rudę wynalazłszy, z pośród ilów ją kuć zaczęli.

Chęć zysku i połysk kruszcowy wabił przybyszów; rozszerzały się kopalnie i słynnemi być poczęły, rządząc

się zwyczajami, które napływająca ludność z zachodu przynosiła z Czech i Niemiec wraz z prawem niemieckim i jego wyobrażeniami.

Pierwszy przywilej monarszy Elżbiety Łokietkownej z r. 1374 dla kopalń olkuskich, dozwala na gwarkowanie, to jest: iż każdy z kądkolwiek przybyły, czy sam, czy w spółce może trudnić się górnictwem czyli kopaniem rud i wytapianiem z nich kruszców ołowiu i srebra, byle zapłacił panującemu, jakto oddawna jest w zwyczaju (mówi ów przywilej) dziesięcinę górnictwą zwaną olborą.

Kopali przeto gwarkowie, a im ich więcej było, im dalej się zapuszczali pod ziemię, powiększał się napływ wód, tak, iż tych już ściągać ręcznie nie można było. Zrazu stawiano kołowroty końmi ciągnię, potem sztuczne maszyny czyli antwerki (pompy). Konie do kołowrotów utrzymywali gwarkowie i kolejno je dostawiali. Jest wzmianka pod r. 1457 (w księdze metrycznej koronnej C. II, str. 315), iż w czasie napadu rabusiów szlązkich na ziemię krakowską, ciż razu jednego do stu koni z kopalń olkuskich wprowadzili. Liczba kołowrotów do ciągnięcia wody i używanych w nich koni wzrastać musiała, gdy za czasów Zygmunta Augusta 600 do 800 koni utrzymać gwarkowie musieli. Kołowroty te ciągnęły wodę, jedne bułgami czyli worami ze skór wołowych zeszytami, albo beczkami czyli tunnami, inne pompami, a na budowę tych rozmaitych maszyn spotykają się liczne przywileje monarsze w księgach metrycznych, lub téż kontrakty wpisane w akta żupnicze i w akta grodzkie krakowskie. Jakiej były konstrukcyi te przyrządy, nie mogą dokładnie wskazać, bo zwykle tajemnicą okrywano ich sztuczność, przywilejem osłaniano się od naśladowania, a wiadomość o nich doszła nas tylko w ogólnych nazwaniach: artificium, magisterium albo maysterium (to jest: sztuczne urządzenie, majstrowe dzieło) z r. 1474, ingenium (przyrząd), instrumentum quod kieras vocatur (kołowrot konny), -kolusch (koło wodne) z r. 1475, instrumentum artificiosum cum duplicibus canalibus, alias dwa zacziej rur (sztuczny przyrząd pompowy z podwójnymi rurami), ein Wasserkunst (wodociąg) z r. 1513 i t. d.

Żadnych rysunków dawniejszych nie posiadamy, wnosić się nam jednak godzi, iż one być musiały w tym rodzaju budowane jak maszyny z XVI wieku w górnictwie używane, przedstawiają drzeworyty dzieła Agrykoli, o którym jeszcze poniżej wspomnieć nie raz nam tu wypadnie.

Zbyt trudne było takie wody ściąganie, wymagające regularnego z strony gwarków dostarczania koni; z opuszczenia niektórych gwarków, częstokroć ogromne dla ogółu wynikały straty, których niedbali wynagrodzić nie byli w stanie. Przyszło więc do tego, iż chwycić się musiano właściwego a jedynie skutecznego w tych kopalniach środka, to jest prowadzenia sztolni, czyli podkopywania się chodnikiem z miejsc niższych położeniem, pod ziemię, w głąb kopalni, aby nim woda spływała do rzeki najbliższej. Pierwsza sztolnia na Starczynowie, Królewską zwana, w r. 1548 kosztem króla Zygmunta I rozpoczęta została. Za nią poszły dwie główne sztolnie: Ponikowska r. 1564 i Pilecka czyli Staro-olkuska r. 1575 w kierunku ku miastu, pierwsza z nich więcej od strony północnej, druga za nią na południe, a od siebie prawie równoodległe; w końcu dwie pomniejsze sztolnie: Czajowska i Ostowicka czyli Centuryjska, między Ujkowem a Bolesławiem.

Po tém rzeczy wstępném przedstawieniu, skreślę, jakto prowadzono roboty w kopalniach olkuskich; obraz tego uzupełnić mogą z naocznie oglądanych przezemnie dawnych robót podziemnych, na które przy prowadzeniu dziś kopalń galmanowych w tychże miejscach zdarzyło nam się niejednokrotnie natrafić. Mają bowiem i takie dawne zroby swoją wymowę dla górnika i są niepośledniem dlań świadectwem. Akta żupnicze temu, kto się w nie wczyta, nie jeden także szczegół swym dawnym językiem dość nauczająco wypowiadają.

W owych czasach, nim jeszcze prowadzić zaczęto sztolnię, czyli do środka XVI wieku, kopalnie były rozrzucone po całym polu na zachód i południe Olkusza. Górą, zwano taką pojedynczą kopalnią, a pozwolenie (licencyę) na jej prowadzenie dawał żupnik przez wymiar powierzchni, wydzielając pole na 24 łatrów (sążni) w każdą stronę od kołu wbitego w miejsce, gdzie szyć miał być

pogłębiony; także być miało i pole podziemnej rozciągłości. Górze takiej i szybowi jej nadawano nazwisko od jakiego przedmiotu, własności, ptaka, zwierzęcia, miejsca, imienia lub nazwiska właściciela i t. d. np. góra Boże wspomnienie, Rozesłanie, słońce, elefanty, cietrzewie, rabsztyńska, Cyglar, Wojciechy i t. d. Gdy która z nich została wybudowaną, czyli jakbyśmy to w pospolitym języku powiedzieli: wyprzątniętą z rudy, porzucano ją, a obok brano pozwolenie na rozpoczęcie nowej góry; a takich gór opuszczonych i w odbudowie, było wiele i bardzo wiele; mappa Dajcza z końca panowania Augusta IIIgo lub początku Stanisława Augusta Poniatowskiego wskazuje przeszło 400 gór mających wiadomych gwarków czyli właścicieli czasowych a daleko więcej zapadłych szybów; zatem przeszło tysiącem szybów na tej płaszczynie dosięgano niegdyś wnętrza ziemi.

Grunt olkuski, który liczy się do utworu tryasowego wapienia pod powłoką dość grubą piasków lub ziemi piaszczystej, składa się z wapieni muszlowych i dolomitowych przegrodzonych tu i owdzie kurzawką, lecz zwykle pokładami iłu, wśród którego leżą gniazdowate warstwy błyszczu ołowiu lub galmanu. Wapienie te i dolomity mnóstwo mają szczelin, a gąbkowate ziemie i piaski dozwalają przesiąkania lub przelewania się niemi wód; toteż w latach dżdżystych wszędzie się woda wznosi, a opadanie w suchszych bywa ogólnem. Jeżeli gdzie są dawne zroby podziemne, sąto tyleż przejść dla wód zaskórnych, i ztądto w miarę rozszerzania się kopalń i wybierania rudy wzrastały trudności z wodą.

Góra dana gwarkowi za licencyą żupnika, odbudowywała się w ten sposób: oprócz szybu głównego erszybem zwanego, w odległości mniej więcej 24 łatrów od niego i tyleż prawie między sobą, zbijano 3 lub 4 szyby mniejsze zwane szlamiskami, a to dlatego, żeby utrzymać przewiew w kopalni, ułatwić wyciąganie rudy, obstachów (złoża), płonnych ziem mokrych czyli szlamów, gdyż główny szyb zwykle do ściągania wody bywał przeznaczany. Jeżeli nad którym z nich stał kołowrot lub pompy w nim ustawione były, to już ściąganie to skutkowało i dla kopalń sąsiednich, czyli jak je zwano w opolu; dlatego

chętnie rozpoczynano nowe szyby w bliskości takich gór, lecz zawsze w nowem polu, (który także zwano opersałem, z niemieckiego: Ueberschaar, to jest pozostający nad wymiar), aby nie być na przeszkodzie dawniejszym gwarkom w robocie.

Spodem wszystkie szyby każdej góry były w łączności przez chodniki, któremi pędzono za rudą, wycinając ją w przodku i po bokach.

Robota była prosta. Kiloś, motyka, żelaza (kliny) i młoty do rąbania, a opałki i niecki, to narzędzia dawnego górnika.

Szyby i chodniki nie bywały wielkich wymiarów, a częste nadsiewłamy i szerzyny gdzie ruda obfita; szyby nie głębokie, bo tylko do poziomu wód. Obudowa czyli oprawa szybów i chodników cembrowana, to jest drzewna, w chodnikach odrzwia, w szybach zaś wiązania z okładzinami od wieńca do wieńca, równie proste jak do dziś są w zwyczaju na naszych kopalniach galmanowych; gdzie przez kurzawkę przechodzić przypadło, cembrunek właściwy zewnętrzny szybu, czyli jak to zwano szyb gweszny lub prawy, poprzedzać musiano założeniem straconej cembrzyny.

Zjeżdżano do szybów na powrozie (na linie), a te w najdawniejszych czasach były zwykle łykowe wici, najlepsze gdy z lipiny. Powierzał życie swe górnik wątlęmu łyczkowi, gdy zawieszony na nim spuszczał się do szybu; i w tém szukać należy początku sposobu mówienia: „życie na łyczku ważyć“. Schodzono też, czyli jak mówi górnik: zjeżdżano wążkami szybami, opierając się rozszerzonymi nogami i rękami po krąglakach wieńców cembrzyny; zaprowadzenie drabinek dla zjazdu jest późniejsze.

Od rozpoczęcia sztolniów, nastąpiły tu pewne zmiany; ilość kołowrotów i potrzeba dla nich koni zmniejszyły się, i bywały tylko w górach opolnych, t. j. takich, z których sztolnie wód nie odciągały; jednakże znajdowały się one gdzieś tam, nawet w linii sztolni czyli nad świetlnikami sztolnioweni, idąc tymże niekiedy w pomoc.

Sztolnie prowadzone były od doliny rzeki Przemszy; rozpoczynano je od tego, iż najprzód wycinany był obszer-

ny rów, roznosem zwany, na kilkaset, tysiąc, lub półtora tysiąca sążni, który następnie podchodził pod ziemię chodnikiem (sztolnią) mającym spadek niejaki do roznosu, aby nim woda spływała.

Przypuścić można, iż da się prowadzić bez pomiarów i planów kopalnie, zwłaszcza takie, jakimi były tu i owdzie rozrzucone pojedyncze góry olkuskie, aż do XVI wieku; lecz z tego cośmy tu wspomnieli o konieczności odpływu wód z pod ziemi, pokazuje się już, iż nie dałaby się poprowadzić sztolnia bez poprzedniego poziomowania, czyli niwellacyi. Rejestr wydatków pieniężnych najpierwszej sztolni pod Olkuszem od Starczynowa, królewską zwaną, wspomina wyraźnie pod r. 1548 o pomiarze onęj, i mówi, że sztolmistrze (dozorcy sztolni) Sziwek i Hanuszek, pomierzali z razu sztolnię ku Czartoryi sznurem i wodą (zatem niwellowali), powtórnie zaś pomierzał i wytykał jej kierunek Alexy Starczewski z Chrzanowa, co kosztowało złp. 5 gr. 18, (czyli wartość około 50 złp. dzisiejszych). Nie dość na tém, robiono i następne pomiary téj sztolni, a nawet sporządzono tego rysunek, który rejestr sztolni starczynowskiej z r. 1562 nazywa „odmalowaniem położenia miejsc sztolni” dodając, iż zań zapłacono złp. 1 gr. 3 (wartość dzisiejszych złp. 11); ktoby jednak ten plan sporządził, nie wymienia.

Sztolnię pilecką, także staro-olkuską zwaną, pomierzał Marcin Siennik (1), jeden z gwarków téjże sztolni przed jej rozpoczęciem w r. 1577.

Oto jest wypis z początku pierwszego rejestru sztolni pileckiej, gdzie względem tego pomiaru i pierwszego wytknięcia linii sztolni zapisano: (z zachowaniem dawnéj pisowni).

(1) Marcin Siennik z Krakowa, autor dzieła: „Lekarstwa” wydanego u Szarfenbergera r. 1563, tłumacz „Wyroków soboru trydentskiego” drukowanych r. 1565, a następnie wydawca dzieła Hieron. Spiczyńskiego: „Herbarz, tojest ziół tutecznych, postronnych i zamorskich opisanie” r. 1568, tłumaczył także z niemieckiego dzieło „O budowlach”, jak świadczy Ambr. Grabowski w swéj Skarbnicze archeologicznej, które jednak nie wyszło.

Siennik był gwarkiem w Olkusz przy sztolni Ostowickiej. O tym Sienniku wiadomo z pism Ambr. Grabowskiego, że na starość musiał podupaść, bo mu rajcy krakowscy w r. 1587 wyznaczyli jałmużnę.



„Schinowanie stolly staro-olkuskiej an. 1576 die 16 8-bris, przez pana Marczyzna Siennika, jako do gor niżey opijsanich, jako głęboko przyszcz ma do kaźdey gorij.

„Przed hutą oplarowską na drodze, ma przyszcz na głębią łathrow 4 minus członków 4; przeciwko kosciołkowi ma prziszcz na głębią łatr.  $7\frac{1}{2}$ ; przeciwko Wirgacyey ma przyszcz na głębią łatr. 10 członkow 8; do gory lubelskiej ma przyszcz na głębią łatr  $17\frac{1}{2}$ ; do gory pileckiej dolney ma przyszcz na głębią łatr 20 członkow 16; do gory wszechświęthe ma przyszcz na głębią łatrow 21 przes łokcia; do gory walney ma przyszcz łatr 25 y łokiecz; do gory Simonow, na oney stronie myasta, w ogrodzie pana Jarosza, ma przyszcz na głębią łatr 26.”

Dodać tu wypada w objaśnieniu powyższego, że sztolnia Pilecka z powodu, iż przechodziła przez osadę starego Olkusza, zwana téż była staro-olkuską, że wspomniany kościółek, byłato murowana obszerna kaplica Sgo Jana, którego rozwalina do dziś stoi, że łatr zawierał 4 łokcie, a łokieć 24 członków czyli cali, i w końcu, że za ten pomiar zapłacono złp. 1 gr. 8, czyli wartość dzisiejszych złp. 20.

Rejestra dalsze sztolni pileckiej świadczą, iż Siennik domierzał ją i później, mianowicie w r. 1580.

Są ślady, że i sztolnia ponikowska była pomierzana, i że tych pomiarów dopełniał, czyli szynował w r. 1626 Grzegorz Sraga gwarek i hutman (nadzorca) téjże sztolni.

To, cośmy wyżej przytoczyli o pomiarach Siennika, łącznie z tém, co najpierwszy o markszajderyi (miernictwie kopalń) pisał społeczesny mu Agrykola, objaśnić nas może, na jakim wówczas stopniu stało miernictwo podziemne naszych kopalń. Sznur, pion, półkole zawieszalne z skazówką (*hemicyclium cum lingula*), puszka z okrągiem koła i magnesową igłą (*buxula cum orbe et indice*), używane były przy pomiarach takich w XVI wieku.

Żałować trzeba, iż żaden rysunek wspomnianych pomiarów nie dochował się i rąk naszych nie doszedł.

Wróćmy się po tym ustępie o pomiarach sztolni, do dalszego opisu samychże kopalń.

W ciągu prowadzenia sztolni, zbijane były szyby w jój linii kierunkowej, które służyły za świetlniki, a w razie wielkich wezbrań i napływów wód, lub zamulenia się

sztolni, dopóki jej nieoczyszczono, zdarzało się, iż czynne na nich były kołowroty pomagające, jak już wspomnieliśmy, do wyciągania wód zbytecznych.

Góry, to jest kopalnie aż do 24 łatrów od linii sztolni zakładane i prowadzone, zwały się górami sztolnemi, i te już sztolnia z wód oswobodziła czyli osuszała, inne dalsze zaś opolnemi. Podobnie, jak poprzednio wzmiankowane góry opolne, zaczynało je od zbiccia erszybu i pobocznych szybików czyli szlamisk, a od spodu prowadzono chodniki i przedsobia, wybierając rudę w ich przodkach i pobokach.

W górach opolnych, chodniki dawniej cachami także zwane, były zwykle krzyżowe, rozchodząc się od podszybia erszybu, a miejsce, gdzie robotnik kopał, zwało się przodkiem czyli ortem. W górach sztolnych podobnież było kilka szybów i chodniki krzyżowe, lecz w nich coraz więcej rozróżnień w robotach i ich nazwach, dowodzą odbudów staranniejszych i skrzętniejszego wybierania rudy.

Szyb lub szybik niedobity zwano dawniej niedogzynek, dogłębiony dogzynkiem (z niem. gesenkt), gdzie się woda w podszybiu zbierała rząpiem; chodniki czyli orty, według położenia swego względem sztolni, zwały się przednim ortem gdy były w stronę sztolni skierowane, spaczny ortem, gdy oddalając się od sztolni i w stronę roznosu były prowadzone; inne krzyżowe chodniki, bocznemi albo przecznemi nazywano; nadto, według tego, czy chodnik wyżej czy niżej był pędzony, idąc jużto za rudą w stropie, lub w spągu leżącą, rozróżniano wierzchnie i dolne orty, a jeżeli jednymże chodnikiem, stropowe i spągowe dosięgano rudy, wierzchnią i dolną stronę w nim odróżniano. Że zaś chodnik rozszerzano, t. j. przybieranemu w pobokach czyli policzkach dla wybierania w nich rudy, (jak my to dziś zowiemy: przedsobiem brano rudę), przeto to zwano: robić na policzkach, na pobokach lub na sztosie; i tak idąc np. ku przodkowi przedniemu, brano 1<sup>sz</sup> sztos ku ortowi (czyli przy orcie na szerokość chodnika), za nim 2<sup>gi</sup> sztos, i t. d.; podobnie w spaczny chodniku, 1<sup>sz</sup> sztos spaczny, 2<sup>gi</sup> sztos spaczny i t. d.

Jedna góra bywało, iż łączyła się z drugą przyległą, chodnikiem zwanym przebitką lub sztrośszą.

Bez tego wyjaśnienia, nie mogą być zrozumiałe dawne akta i dokumenta górnicze olkuskie: aby zaś uwydatnić to wytłumaczenie moje, dołączam rysunek z pamięci dla przykładu, przedstawiający, jakie roboty i odbudowy mogły mieć miejsce w górze jakiej sztolni (fig. 1).

Kopalnie olkuskie dostarczały dosyć rudy ołowianej, chociaż stan wód podziemnych, koszta utrzymania machin wodę ciągnących i koni przy nich, a potem prowadzenie sztolni, znakomitą były przeszkodą w ich rozwijaniu, i koszta wydobywania pomnażały. Za Zygmunta Augusta, wydawały te kopalnie tyle rudy, iż z niej wytapiano corocznie od 12 do 20,000 centnarów (po 160 funt.) ołowiu, a od ołowiu odciągano od 1500 do 3000 grzywien srebra (1).

Kopalnie te były i później dość świetne, lecz utrzymanie sztolniów coraz było kosztowniejsze, zwłaszcza w latach mokrych; a gdy mniej pomyślnie iść zaczęły roboty, gdy szkody się od wody wydarzały, zatem i zyski gwarków wielce się uszczuplały; ztąd niechęć do składek, a gdy niepłatni bywali górnicy w kopalniach pracujący, i nędza srodze do nich zaglądała. Za Władysława IV, Jana Kazimierza, skargi górników na niepłacę powtarzały się (2), upadała chęć do robót, bo nie było chętnych do nakładów; niszczały sztolnie, ów klucz kopalń, i tu powód upadku, tego źródła bogactw krajowych.

Jeszcze przed przybyciem Szwedów w Krakowskie r. 1655, zanieśli górnicy zażalenie do żupnika i gwarków o niewypłacanie im myta (zarobków), którego zaległo 5200

(1) Wartość tego wynosić mogła, licząc centnar ołowiu

po 46 zł. 900,000.

a grzywnę srebra po 83 zł. 249,000,

a że przytém otrzymywano glejty 3000 centnarów po 36 zł. 108,000,

ogólna zatem wartość tego wydobywania zł. 1,257,000.

(2) O nędznym stanie górników olkuskich zostawił świadectwo le Laboureur, w sprawozdaniu podróży, gdy pani de Guébriant odwoziła do Polski Maryą Mantuańską żonę Władysława IV r. 1645 (patrz Zbiór Pamiątek o dawniej Polsce Juliana Niemcewicza Tom IV, str. 249): „całym ich ubiorem (mówi on), są gatki z grzebuego płótna, tak mocno napuszczone kolorem téj ziemi kruszcowej, iż się wydają świeżo żółto farbowanemi; chodzą bez obuwia wśród rażących kamyków, a to w naj-ostrzejsze czasy”.

ówczesnych złp. przy jednej tylko sztolni ponikowskiej, przepowiadając ztąd blizką ruinę gór. Tymczasem jeszcze za Jana Kazimierza bywały lata, w których topiono do 14,000 centnarów ołowiu i odciągano po 1200 grzywien srebra. Nawet za Michała Wiśniowieckiego i za Jana III, kopalnie te przynosiły, bo sam dzierżawca olbory czyli dziesięciny, trzymał takową od skarbu królewskiego za 18000 złp. rocznie. Były to jednak nieszczęśliwe czasy dla przemysłu w Polsce; wojny w kraju wiedzione, to z najezdnikami Szwedem, to konfederacye, to zmienione dawne obyczaje za Sasów, nie dozwalały szczerze jąć się pracy w kopalniach. W chęciach upadali gwarkowie pozostali, nie byli w stanie opędzać wszystkich kosztów utrzymania obszernych już kopalń, uszczuplało się wydobywanie, niszczały przeto same z siebie kopalnie i sztolnie dla braku spólnych nakładów; wreszcie przemogły w podniszczonych sztolniach wody podziemne i kilkakrotne ich przybranie po gwałtownych uléwach (np. w r. 1655, i 1674), aż w początku XVIII wieku (r. 1712), główne z nich dwie: ponikowska i pilecka, zamulone i zapadnięte, przecięły dalszą możność prowadzenia kopalń. W r. 1728 już mało szybów było takich, któremiby się spuszczać było można, a które miały najwięcej do 17 sążni głębokości, w innych stały wody.

Wroćmy się do rudy wydobywanej za świetnych czasów pomyślności kopalń olkuskich, aby zobaczyć, jak z nią dalej po wykopaniu postępowano. Ruda ta musiała być przebiieraną; brylasta i czysta szła prosto do huty odmierzona na korce, których szło 4 na nieckę a 96 na stos, czyli ruszt. Drobne rudy i miał, oraz rudy zbierane na warpiach (czyli ziemiach pustych sypanych na około szybów), szły do płóczek, co zaś po pierwszym płókanu nie było dość czyste i z itu omyte, szło powtórnie na płóczkę, a taką rudę zwano fursztussy.

Znajdujemy wzmiankę w rejestrach żup olkuskich, że były płóczki polskie z rynnami (mianowicie każda o kilku rynnach), i płóczki niemieckie. Co to rozróżnienie znaczyło, objaśnia nas dzieło najdawniejsze górnicze, Niemca Jerzego Agrykoli (urodzonego 1494, zmarłego 1555), którego wszyscy uważają za pierwszego pisarza o górnictwie i ojca hutnictwa nowszego. Dzieło to po łacinie pisane,

nosi nadpis: „Georgii Agricolae Kempnicensis medici ac philosophi, de re metallica libri XII. Basileae: pierwsze wydanie u Frobenia r. 1556, folio, z drzeworytami (1). Na str. 280 daje nie tylko opis, ale i rysunek w drzeworycie płóczki polskiej do rudy ołowianej. Oto jest dosłowne tłumaczenie tego ustępu: „Polacy płóczą nieczystą rudę ołowianą czarną warstwową, w kanale długim stóp 10, szerokim trzy stóp, a wysokim 1 i ćwierć. Gdy ta pomieszana jest z ziemią prawie ilastą, a pokrywa ją glina mokra i piaszczysta, przeto tę naprzód odkopują, a potem rudę, którą przywożą do strumienia lub rzeki i wrzucają w kanał, do którego rynna wodę doprowadza; płókarz stojąc w niższej stronie kanału, podrzuca ją rzapnicą wążką i prawie kończastą, osadzoną na drągu do 10 stóp długim; tym sposobem woda porywa ziemię do strumienia lub rzeki, błyszcz ołowiu zaś (galena) w kanale się osadza; dla otrzymania jej czystej, płócze się ją raz jeszcze lub dwa razy, następnie na słońcu wysuszywszy, przesięwa w sicie, czyli rzeszocie z blachy miedzianej, a tak okruchy mniejsze, które przelecą przez sito, oddzielają się od większych, i te ostatnie na rosztach, mniejsze zaś w piecu wytapiają się.” (kanał A, rynna B, rzapnica C, sito D) (fig. 2).

Podobne opisanie płóczki olkuskiej, z opisem Agrykoli zgodne, znajduje się w relacji dwóch przysięgłych górniczych olkuskich: Krzysztofa Kurzycha i Błażeja Gorącego, złożonej kommissyi wysłanej do Olkusza za Augusta II r. 1701.

Według nich (Górnictwo w Polsce, tom II str. 453), płókano rudę płócznikami, czyli gracami żelaznymi w rynnach, pod którymi są rzapie (doły) gdzie się szlamy zbierają. Wodę na rynny przylewano z antwerku z pompą, w której łańcuch z węzłami ze skór surowych chodził i wo-

(1) Liczne drzeworyty w dziele tém przedstawiają roboty w kopalniach i hutach z różnych okolic, zachowując właściwe tychże krajów oddzielne ubiory ówczesnych górników.

Samo dzieło ważny zabytek dla dziejów przemysłu i rękodzieł tak miało wielki zaraz rozgłos, iż Zygmunt August kazał je sekretarzowi swemu Decyuszowi dla swego księgozbioru zakupić. Rachunki Decyusza pokazują, iż zapłacono za egzemplarz królewski, ówczesnych zł. 2, gr. 21 (około złp. 26).

dę podnosił. Potem rudę wypłókaną osiewano na sitach żelaznych lub miedzianych.

Następném działaniem po płókanu rudy mianowicie brylastej i grubszej płóczkowej, było jój prażenie. Taż relacya Kurzycha i Gorącego, mówi, że usypane bywały rosty (stosy), aby wiatr dobrze poddymał, na nich układano łoże z drzewa t. j. klocki, na nich wierzchowiska (wierzchołki), a nawet śpilki jodłowe i posypywano wilgotną ziemią; na takie łoże kładziono łupane drwa i rudę ołowianą obłożoną szczapami bukowemi. Prażenie to, czyli raczej utapianie ołowiu było ciągłe, bo przykładano rudę i drzewo warstwami w miarę opuszczania się i nadtapiania rudy.

Z działania tego otrzymywano ołów utopiony, który spływał, tudzież masę zuzlastą przejętą ołowiem, którą zwano rostwarkiem.

Do opisu tego dodać należy jeszcze jedną okoliczność, jak się okazuje przez naszych sprawozdawców opuszczoną, to jest: iż stosy te prażelne układane bywały między murkami, lub przynajmniej osłonięte murkami, jak to objaśnia rejestr olkuski z r. 1558, wykazujący zapłatę murarzom, którzy murowali ściany prażelni, na których mają się ustawić stosy rudy.

Całe postępowanie przy prażeniu rud pod Olkuszem, opisuje nam Agrykola (str. 320) mało co odmiennie, a że przedstawia także i tę robotę na drzeworycie, domieszcza tłumaczenie opisu tego: „Polacy używają ognisk z gliny zrobionych, z boków obmurowanych, wysokości stóp czterech, z obu końców spadzistych. Na wierzchu płaskim ogniska czyli na łożu, układają wielkie szczapy drzewa, na tych zaś przedzieliwszy je warstwą gliny drobne szczapy, na które wióry kładą, na to wszystko zaś sypią rudę ołowianą opłókaną, i tę przykrywają znowu dużemi szczapami. Po roznieceniu ognia, ruda topnieje i spływa do spodniej warstwy drew; po wygorzeniu ognia wytopiony rostwark zbiera się, i gdy tego zachodzi potrzeba, znowu łoże podobnie do topienia rudy zakłada się. Zebrany rostwark przetapia się w oddzielném dużem ognisku, odchody zaś zuzłowe (recrementa), wraz z forsztusami, czyli okruchami z płókaných rud (ramenta), w innym jeszcze

piecu otwartym od góry, przetapiają się.” (Ognisko, czyli prażelnia polska V) (fig. 3).

Dalsze postępowania, poczynając od owego pieca od góry otwartego, który właśnie niczem inném nie jest, jak piecem szmelcowym, mają na celu wytopienie ołowiu, lub odciążanie z niego srebra.

Przytoczmy to naprzód, co w tej mierze mówią w swój prostej a ciekawej relacyi, starzy: Kurzych i Gorący. Piec szmelcowy do topienia ołowiu, według nich, miał mieć kształt kosza we młynie, i w niego sypano węgle jako najgrubsze, a na te rudę drobną płókaną i gierzynę czyli zuzel bogaty ołowiany; przy tym piecu, mówią oni, jest tygiel, po którym gierzyna z pieca odchodzi (czyli spływa wierzchem tygla); ołów co 4 lub 8 godzin wypuszczają otworem u spodu, a po wypuszczeniu, zatykają go miałem węglowym z piaskiem. Miechy, które dmą do tego pieca, obraca koło z wałem, a w nich para koni chodzi na ośm godzin.

Odciąganie srebra w piecu probownym, taż relacya przysięgłych tak opisuje: „Ołowiu narobiwszy do sta albo półtorasta centnarów, dopiero na tryb sadzą do pieca probownego, pod który ołów dają glinę, potem popiół dobrze wypłokany i osiany, a na to słonę. Drzewa dorzuca się łupanego do paleniska na kracie rusztowej. Gdy się ołów roztopi, ściągają szumowiny, które zowią obstrychy, potem zdejmują dziwocynę (glejtę z częściami srebra), aż do przeczyszczenia ołowiu, żeby był tak czysty jak woda. Potem glejtę puszczają po trosze, którą miechy do okna spędzają, które koło obraca z wałem, w którym konie chodzą. Kiedy glejta wszystka z pieca odejdzie, dopiero srebro wyjmują z pieca, potem je porąbawszy na sztuki brantują w inném oknie przy węglu, które okno zowią fargalem, a w piecu jeszcze pozostaje hart, to jest ołów z popiołem zmieszany, który potem wylamawszy na szmelcowym piecu topią.”

Oba te, że tak powiem chłopskie, ale rzetelne opisy, zgadzają się zupełnie z rysunkiem dwóch pieców, które nam dochowała wspomnianą już powyżej mappa olkuskich

kopalń, sporządzona między rokiem 1762 a 1765 przez jeometrę Deutsch'a (fig. 4). Już wówczas stało tylko kilka hut pod Olkuszem, lecz te mało i to od czasu do czasu, lub wcale nie były czynne; a kiedy dawnemi laty było ich 17, w końcu panowania króla Poniatowskiego już tylko 5 stało, i to opuszczonych, a dziś zaledwie są widoczne ślady, gdzie niektóre z nich istniały, w porzuconych zużłach.

W r. 1728 wytopiono jeszcze około 3000 centnarów ołowiu, a odciągnięto 400 grzywien srebra. W r. 1762, z wygrzebanych tylko i płókanych rud wytopiono 800 centnarów ołowiu i około 100 grzywien srebra, a w r. 1780 już zaledwie 200 centnarów ołowiu, a 53 grzywien srebra uprodukować zdołano.

Kapitan Jan Filip de Carosi, w wędrówce swój górniczej po kraju około r. 1780 (*mineralogische Reise durch etliche polnische Provinzen*, 1781 tom I str. 203), przy opisie Olkusza domieszcza rysunek pieca szybowego do topienia ołowiu, już w złym stanie i prawie rozwalin wówczas będącego, który dla porównania z powyższemi opisaniami i rysunkiem Dajcza, jest ciekawy, i dlatego również go dołączam (fig. 5).

Gdy odciąganie srebra od ołowiu w Polsce, i piece ku temu opisuje oddzielnie Agrykola (str. 384) i przedstawia je w drzeworycie, przeto na zamknięcie niech nam się godzi i ten zabytek stanu hutnictwa ołowiano-srebrnego u nas w XVI wieku, przytoczyć w tłumaczeniu: „U Polaków i Węgrów używają pieców do odciągania czyli trybowych, z wierzchu zasklepionych, podobnych do pieca chlebowego. Dno pieca jest ubite, bez spływu. Od jednego boku jest przymurowanie (na palenisko), w którym jest droga pokryta prętami żelaznemi w mur wpuszczanemi, co dwa palce od siebie rozstawionemi, dochodzącemi aż do ogniska czyli kotliny pieca (zatem krata rusztowa). Na dno czyli kotlinę pieca przygotowaną, wrzuca się słoma, na niej kładzie bochenki ołowiane, a na ruszty szczapy drzewa, które zapalone, ogrzewają kotlinę, i takich bochenków centnarów osmdziesiąt do stu przetapiają. Ogień lekkiem niechów dęciem podnieca się, a tyle szczap na ruszty dorzuca, iżby wydać płomień, któryby przechodząc przez



ognisko pieca, ołów od srebra mógł oddzielić. Glejta ściąga się z boku otworem dość obszernym, izby majster mógł nim dosięgnąć aż do kotliny." (Piec podobny do piekarni A, droga B, ruszty żelazne C, otwór do ściągnięcia glejty D) (fig. 6).

Jak widzimy, opis ten i rysunek zgodne są z opisem Kurzycha i Gorącego i rysunkiem mapy olkuskiej Dejeza, a wszystko to, cośmy starali się przedstawić, uzupełnia obraz stanu przemysłu w ubiegłych wiekach kraju, któremu powszechnie więcej aniżeli się godzi odmawiają przemysłowości w rzemiosłach i kunsztach, i ducha przedsiębiorczego zaprzeczają.



## O PIECZĘCIACH OLKUSKICH.

### *Pieczenie miasta Olkusza.*

Herb Olkusza: mury miasta z bramą otwartą i dwiema wieżami, każda z oknem w środku, i trzema murkami strzelniczymi u wierzchu; między wieżami samo żelazo od motyki, w kształcie sercowym z okiem u góry.

Najdawniejsza pieczętka miejska miała napis nad wieżami *ILKUS*, a z boków wież litery *S* i *C* co znaczy *Sigillum Civitatis*. Pieczęci tej używano do czasów Stefana Batorego.

Od Zygmunta III pokazują się dwie pieczęcie z podobnym herbem, lecz z odmiennymi napisami na obwodzie, które dowodzą, iż jedna należała do rajców, druga do wójtostwa, albowiem napisy te są:

*Sigillum consulare civit(at)is Ilcusi(ensis).*

*Sigillum advocat:(iale) civit(at)is Ilcusien(sis).*

Za Stanisława Augusta używaną była pieczęć z takimże herbem miasta i napisem na obwodzie:

*Sigillum consulare civitatis S. R. M. Ilcusiensis.*

*Pieczenie kopalni Olkuskich.*

Żupnicy używali własnych herbowych pieczęci z napisem na obwodzie: NN. zupparius ilcusiensis, albo zupp. montium ilcus.... i t. p.

Z tych jedna godna uwagi, to jest Ludwika Dycy czyli Decyusza Sekr. król. i żupnika olkuskiego (od r. 1567 do 1576), gdyż posłużyć może do sprostowania pomyłki w Niesieckim, który go niewłaściwie mieni, iż pierwotnie używał herbu Kosy, a u nas przybrał Topor; pieczętka bowiem jego wskazuje wprawdzie cztery pola, z których dwa na krzyż, to jest górne lewe i dolne prawe z toporem prostopadłym, dwa inne z dwugłowym orłem cesarskim; lecz tarcza środkowa czyli tak zwana zaszczytna przedstawia Sierp, zatem ten był herb rodziny jego właściwy, (patrz Niesiecki pod. Decius h. Topor).

Pieczęć ławników prawa górniczego, przykładana na wyciągach z wyroków sądu żupniczego, była także oddzielna. Żupnik lub podżupek w jego zastępstwie, z siedmiu przysięgłymi ławnikami wybranymi z pomiędzy gwarków lub górników osiadłych w mieście Olkuszu, stanowił sąd żupniczy; pieczęć ławnicza górnicza nie miała żadnych godeł górniczych, lecz na znak iż żupy były królewskie, przedstawiała koronę królewską, ale bez czapki i napis w obwodzie: S(igillum) Scabinorum juris mont(ani) ilcus(iensis) 1588.

OBJAŚNIENIE FIGUR.

FIGURA I. Plan kopalni gwareckiej z pamięci dla przykładu i objaśnienia narysowany, w rzucie poziomym i pionowym, wskazujący sposób prowadzenia niegdyś odbudowy w dawnych kopalniach pod Olkuszem.

Objaśnienie liter i dawnych nazw górniczych olkuskich.

A. *stola* czyli sztolnia, główny chodnik wodny.

B. *szyb stoły* czyli świetluik nad sztolnią.

C. *okno, drzwi* czyli ujście sztolni.

D. *roznos* czyli rozkop aż do rzeki idący.

E. *stok*, spływ wody w roznosie..

- a. *góra, erszyb*, czyli główny szymb.  
 á, kołowrot i jata nadszybowa.  
 b. *szlamisko* albo *pobok* czyli szybik poboczny,  
 c. *niedogzynek*, szymb rozpoczęty niedobity,  
 d. *dogzynek*, szymb zbity, dogłębiony szymb.  
 e. *zagzynek*, podgłębienie szymbem.  
 f. *ort*, *przodek*, strona w którą postępują roboty;  
 f'. *ort* czyli przodek chodnika, gdzie górnik kopie.  
 g. *spacznica*, strona przeciwna przodkowi, gdzie spadek wód.  
 h. *przedni ort*, chodnik dobywalny.  
 i. *spaczny ort*, chodnik ku spacznicy.  
 k. *przecny ort*, chodnik boczny, chodnik krzyżowy.  
 l. przebitka do innej góry.  
 m. *wierzchni ort*, wierzchnica, chodnik w wyższym poziomie.  
 n. *spodni ort*, chodnik w niższym poziomie.  
 o. *wierzchni sztos*, wcięcie wierzchnie w przodku.  
 p. *spodni sztos*, ława dolna w przodku.  
 r. *pierwszy sztos*, pierwsze przybranie w przedsobiu czyli rozszereżonym chodniku.  
 r' *drugi sztos*, za pierwszym sztosem wybrany.  
 r'' *trzeci sztos*, za drugim sztosem i t. d.  
 s. *rzqp'* w podszybin, gdzie się woda zbiera.  
 w. poziom najniższy wód.

FIGURA 2. Płókanie rud w skrzyniach i ręczne w sitach, oraz

FIGURA 3. Prażenie rud ołowianych na rusztach murowanych, z drzeworytów w dziele Agrykoli: de re metallica.

FIGURA 4. Przekrój pieców do topienia ołowiu i odciągania srebra, których się jeszcze pięć hut znajdowało pod Olkuszem około r. 1761.  
*Piec szmelcowy*, piec szymbowy, gdzie się pierwszy raz topi ołów;  
 Koło wodne miech pędzi.

*Piec trybowy*, czyli *probowy*, piec płomienny, gdzie srebro od ołowiu odciągają.

FIGURA 5. Widok z przodu i przekrój pieca wysokiego do ołowiu czyli szmelcowego pod Olkuszem, który się tamże znajdował jeszcze w r. 1780.

FIGURA 6. Piec płomienny czyli trybowy do odciągania srebra od ołowiu, z drzeworytu w dziele Agrykoli: de re metallica.

## KOLENDOWANIE.

### I.

Gospodarzu, hej do kleci!  
Nabierz kielbas, chleba, sera,  
Nieś kolendę dla swych dzieci,  
Bo jej godna czeladź szczera.  
Niech na drogę się zasili,  
Gdzie ją Pan Bóg poprowadzi.  
Myśmy długo ci służyli:  
Daj kolendę dla czeladzi,  
W zamian serca damy radzi!

W twojem gumnie brogi zboża,  
W twoim śpichrze zasiek żyta,  
W twojej kleci laska Boża,  
Twoja kiesa jak nabita.  
Wszakże myśmy to zrobili,  
Nasza praca to gromadzi.  
Myśmy długo ci służyli:  
Daj kolendę dla czeladzi,  
W zamian serca damy radzi!

Myśmy z kurem się zbudzali  
Być do nocy zaprzężeni,  
Znojem twardym jak ze stali  
Plon ci kładli do kieszeni.  
Cośmy znieśli, co przebyli,  
Niech już o tém Pan Bóg radzi.  
Myśmy długo ci służyli:  
Daj kolendę dla czeladzi,  
W zamian serca damy radzi!

Święte przyście Zbawiciela  
 Pastuszkowie rozgadali:  
 Świat się cały rozwesela,  
 Pobratani wielcy, mali.  
 Gospodarzu, w takiej chwili  
 Po Bożemu niech się ładzi!  
 Myśmy długo ci służyli:  
 Daj kolendę dla czeladzi,  
 W zamian serca damy radzi!

## DOLA SKOWRONKA.

Wsi spokojna, wsi wesola....

*Kochanowski.*

### II.

Wy mnie wzywacie do waszej sfery,  
 Bym dzielił radość w pysznej komnacie,  
 Bym latał z pieśnią kędyś w etery,  
 Siadał z gwiazdami za panie-bracie...  
 Mnie świetne życie wcale nie łodzi,  
 W marzeń ogrodzie chodzę powoli:  
 Wszystkiego pragnę dla szczęścia ludzi,  
 Dla siebie tylko skowronka doli.

Słynie kolibrów z tęczy ubranie,  
 Herby się zdobią w ogony pawie;  
 Lecz z takim pierzem ptak jaśnie-panie,  
 Na nic niezdatny, prócz ku zabawie.  
 Na skowroneczku szara sukmana,  
 Bo w skwar i słotę na łanie żyta,  
 On strzeże plonów z rozkazu Pana:  
 Dla mnie najmiłsza skowronka świta.

Słowik namiętne piosenki nuci,  
 W płochem uczuciu sam się przepala;  
 Krzyk orła w chmurach wre siłą chuci,  
 Słabe ptaszęta odrętwia zdala.  
 Pieśń skowronkowa zwiastuje ciepło,  
 Spiącym przed zorzą pobudkę brząka,  
 Wzmacnia żniwiarkę pod znojem skrzepłą:  
 Dla mnie najmiłsza pieśń skowronka.

Górny i bystry jest lot sokoła,  
 Nic się nie wymknie jego pogoni;  
 Motyl prześmiga z ziołek na zioła,  
 W kręgach swawoli żywot swój roni.  
 Skowronek płynie prosto do nieba,  
 Z ziemi modlitwę niesie do Boga,  
 Z niebios przynosi obfitość chleba:  
 Dla mnie najmiłsza skowronka droga.

Remiz buduje pałac wspaniały,  
 Zaslepia oczy prostej gromadzie;  
 Na niedostępnym odłamie skały,  
 Sęp swoje gniazdo plugawie kładzie.  
 Skowronek chatkę kleci na roli,  
 W niej cicha dziatwa, czuła małzonka,  
 Sąsiadem wieśniak spółnik ich doli:  
 Dla mnie najmiłsza sadźba skowronka.

Po co mi piąć się gdzie wielcy siedzą,  
 Zamierać żłopiać obce powietrze?  
 Niech ze skowronkiem zamrę pod miedzą.  
 To przyjdzie wiosny oczy nam przetrze (\*)!  
 Tam duch strapiony, rzeźwym się budzi,  
 By wzywać wioskę na znój dla plonu:  
 Wszystkiego pragnę dla szczęścia ludzi,  
 Dla siebie dzisiaj skowronka zgonu.

W. Korotyński.

(\*) Lud mniema, że skowronki nie odlatują do stron cieplejszych, lecz zimują u nas pod śniegiem.

# PRZEGLĄD LITERATURY ZAGRANICZNEJ.

## LITERATURA ANGIELSKA.

Hallora: Pobyt w Lookoo, w Japonii i Chinach 1857. — W. K. Loftus'a Podróże w Chaldei i Suzyanie. — Odkrycie pomników starożytności w środkowej Ameryce. — Pamiętniki Elkanach Watsona. — Historia Normandyi i Anglii Fr. Palgrave. — Najnowsze dzieła.

*Dziennik ośmiomiesięcznego pobytu w Lookoo, Japonii  
i Potoo, przez Alfreda Hallora 1857.*

**P.** Hallor, z królewskiej marynarki, przedstawił nam ciekawe zarzysy wschodniej Azji. Wyobrażenie nasze o Chinach i Japonii dadzą się porównać z wiadomościami astronomicznemi; albowiem również jak i te, nie sięgają dalej nad teleskopowe poglądy. O wewnętrznym składzie i rozwoju życia ludów Chin i Japonii, jeszcze mowy nie było. W ostatnich dopiero latach pomysłano o stałym i systematycznym wpływie Europy na państwo kwiatów i na cesarstwo niebieskie. Wypadki, spełniające lub gotujące się na morzach Chin i Japonii, są nie mniej jak koniecznym zjawiskiem programu powszechnej cywilizacji. Poprzednio już wspomnieliśmy o dziele opisującym pobyt eskadry amerykańskiej na tych morzach, mającej na celu zawiązanie stosunków handlowych między Ameryką i Japonią. Wypracowana podstawa, w jakiej się przedstawiają zachodniej Azji

narody oświecone, skróciła o jeden akt wielką dramę zbliżenia się ludów! Od chwili przybycia eskadry amerykańskiej pod dowództwem kommodora Perry, czy świata zwrócone są na postępy wpływu rzeczonoego, i gdy ludzie stanu obliczają prawdopodobieństwa i układają plany, ludzie myślenia i wiedzy oczekują co chwila na ciekawe rysy, określające ducha, dzieje, podania i zwyczaje. Głównym przedmiotem spostrzeżeń Hallora było pięć ważnych punktów: Szangai, wyspy Pootoo, Ningpo, brzegi Japonii i wyspa Loochoo. A że jego obrazy są ciekawie schwycone, że zapoznaje nas z zasceną życia tych dziewiczych plemion, musimy więc przyklasnąć zasadzie, usprawiedliwiającej fakta dokonane. Hallor najszczegółowiej opisuje miasto Szangoi, w którym najdłużej bawił, i gdzie najsilniej wsparty został pomocą Missyonarzy, obeznanych z językiem krajowym. Szangai jest składowym punktem zagranicznego handlu; co do rozległości (ma trzy mile obwodu) ustępuje miastu Ningpo, mającemu pięć mil obwodu.

„Ulice Szangai są brudne i ciasne, w gorących zaś miesiącach, sierpniu i wrześniu, kiedy termometr dochodzi wyżej 90<sup>o</sup>, powietrze jest nadzwyczaj niezdrowém. Miasto leży w obszernej, żyznej i spadkowej płaszczyźnie, przeciętej małemi rzekami i kanałami we wszystkich kierunkach. Mury mają sześć bram, szczyty murów służą za miejsca do wygodnej przechadzki. z trzech stron otoczone pięknymi ogrodami brzoskwiniewami. Anglicy kupili sobie u rządu chińskiego przywilej budowania się na przestrzeni pomiędzy murami a kanałem Souczow; i powstało już dosyć europejsko wyglądające miasto, z domami nakazującej postaci, lecz jako budowane z cegły obsuszanej na słońcu przez chińskich wyrobników, przeto za pierwszym uszkodzeniem chyła się do upadku. Na moście kanału Souczow stoi kilka kamiennych słupów, do których przywiązują wykraczających przeciw chińskim prawom, z rękami w tył skrupowanemi; nad ich głową przybity papier z obwieszczeniami z kąd winowajca rodem, jego imię wyrażone zarazem i zbrodnia jakiej się dopuścił. Tak wystawionych widzieć można w wielu miejscach, gdzie się ulice rozchodzą, przystrojonych kanguem, to jest drewnianym łańcuchem, około sześciu cali grubości i trzech stóp długości, zamkniętym na szyi tak skrupulatnie, iżby winowajca nie był w stanie ani jeść, ani ucieć?”



Opisując Chiny pod względem wpływu misyjonarzy chrześcijańskich, autor dowodzi, iż przesadzono nieco religijną dążność wszczętego od lat kilku powstania; „wszakże nawet w obozie powstańców, znajomość biblii jest rozszerzoną, a dzieła i rozprawy misyjonarzy krążą szybko po cesarstwie. W kraju, gdzie cała ludność umie czytać, wpływ nowych zasad nierównie prędzej szerzyć się musi. Indyferentyzm i zachwianie narodowej wiary, bezwątpienia utorowało misyjonarzom tém łatwiej drogę do propagandy. Już niejednokrotnie dostrzeżono tam zobojętnienia mieszkańców ku wierze przodków, świątynie nieraz lat już kilka czekają przychodniów. Ołtarze nie mogą się doczekać drzewopalnej ofiary: „Drzwi, jeżeli kiedy były, oddawna już znikły, a samotne bożyszcze tam stojące, już się zdawało upadać w zwaliskach, równie zaniedbane jak dach co je nakrywał. Już ofiarne połano nie płonie na ołtarzu; a z wilgoci i nędznego stanu świątyni śmiało wnioskować można, że wiele lat upłynęło od czasu, jak mieszkanie bożka uczczone było ofiarą. Z drugiej strony, wprost naprzeciw wejścia, stała ciekawa, nader starożytna kadzielnica żelazna, jaką znajdujemy w wielu miejscach państwa chińskiego; lecz rdzą pokryta, domyślać się każe, że dawno nie pamięta w swém łonie ognia i kadzidla. Japończycy, pod względem powierzchowności są ludem pięknym, mającym wyraz pewnej zniewalającej powagi; ich uprzejmość i dobroć okazywana cudzoziemcom, zasługuje na szczególną uwagę. Podczas naszego pobytu w portach, jakkolwiek okręty angielskie były zalane cizbą ciekawych Japończyków, nie zdarzyło się jednak dostrzedz najmniejszego śladu niewzględności, lub nadużycia, i jakkolwiek każdy ciekawszy przedmiot pokazywano im, zamiast tłoczyć się gromadnie, *jak lubią Anglicy*, dla bliższego przyjrzenia się, każdy starał się zająć jak najszczerzejsze stanowisko, aby natarczywą ciekawością nie ścięsnić położenia drugich: zgoła, zdają się być ludem z natury łagodnym i moralnie rozwiniętym. Doktor Ainslie, w swoim sprawozdaniu, wręczoném Sir Stamfordowi, utrzymuje, iż Japonki swobodnie uczestniczą w stosunkach towarzyskości, że kobieta w kraju kwiatowym nie ulega bynajmniej ograniczeniu krępującemu położeniu płci pięknej w Chinach; atoli, jakkolwiek wiele dam miało zwiedzić okręt „Moryson” naszego jednak żadna nie zaczęła odwiedzinami, gdy tymczasem mieliśmy ciągle po kilkuset mężczyzn z miasta. Del-

katność punktu zapatrywania się, nie wzbroni nam uczynić tój uwagi, że mnogość zwiedzających okręt jednocześnie, szybkość, z jaką wchodzono i wychodzono bezustannie, nastęrczyłaby im łatwo sposobność dogodzenia swoim upodobaniom, gdy swobodnie mogli oglądać rozliczne drobiazgi. Ale żadnego faktu w tym rodzaju nie dostrzegliśmy.

„Ze wszystkich spostrzeżeń zawnioskowałem: że lud w ogólności jest nader pochopny do wejścia w stosunki handlowe z Anglikami, lecz zawistne usposobienie ich rządu, złożonego w rękach niewielu rodzin, stłumia groźnie wszelki objaw życzeń narodu; a dozorczy są tak liczni, że nikt nie śmie odważyć się na kupno lub wymianę, chyba z niebezpieczeństwem życia; wyjąwszy w Magasoki z Hollendrami, i to za pośrednictwem rządowych ajentów. Śmiało wyrzeknę, iż gdyby nasz okręt wojenny był posyłanym co kilka miesięcy do ich portów, i zostając przez czas niejaki, unikał zająć uwłaczających zwyczajom lub charakterowi mieszkańców, wkrótce zawiązałyby się na brzegach przyjacielskie stosunki z mandarynami, a te następnie otworzyłyby drogę odbytowi naszych wyrobów, oraz wróciłyby postępowi i szczęściu tych miłych, lecz nieoświeconych bałwochwalców.

„Na również przychylne zdanie zasługują gościnni i wykształceni mieszkańcy wyspy Loochoo. Niejednokrotnie dali oni zniewalające dowody swego charakteru w pomocy danėj okrętom rozbitym na ich brzegach. Mają wszakże nieprzełamany wstręt od stosunków zagranicznych i zmian wewnętrznych z ogólnego instynktu stagnacyi, ciężącego nad plemionami wschodniej Azji. Płacą oni pewną daninę Chinczykom i Japonom, tytułem ustąpiionych sobie przywilejów handlowych.

„Stolica Loochoo zbudowana jest na najwyższym wzniesieniu wyspy w odległości 10 mil angielskich od Nappa-Kiang; znaną jest pod imieniem Soomar. Nappa-Kiang, druga stolica i główny port jest miastem miernych rozmiarów, którego dachy tylko przedstawiają się oczom podróżnego, domy bowiem zastania szereg ogrodów, których wysokie mury tworzą ścianę szerokich, pięknych i starannie wysłanych brukiem ulic, nadzwyczajnie czystych. Nad murami widać gałęzie wiecznie zielonych drzew, barwinków i krzewin, a w głębi widać pełne przepysznej wegetacyi ogrody. Dwa razy tylko miałem szczęście spotkać kobiety, których strój wykwiintny, kształtna postawa, wydatne oko i piękna

twarz, korzystne dały mi wyobrazenie o typie piękności zachodniej Azji. Klimat wyborny sprzyja rozwojowi roślin tak zwrotnikowego pasa, jak umiarkowanego: na szczytach gór wznoszą się sosny, gdy tymczasem wybrzeże wieńczy szeregi bananów i kokosów”.

*Podróże i poszukiwania w Chaldei i Suzyanie, przez W. K. Loftus. 1857.*

Już drugie ćwierć-wieku upływa, jak Byron, płacząc nad zwaliskami Grecyi i zlorzcząc muzułmańskiej dłoni, za zdeptanie świętych szczątek Hellady, nie przebaczył i swoim ziomkom, którzy tak drapieżnie zdierali zwłoki starożytności, dla ozdobienia swych pałaców. „Wstydz się, wstydz Kaledonio, że łupieżca twoim był synem, że zdarł doreszty to, co oszczędzili Gotowie i Turcy. Lord Elgin złupił Ateny”. Nie wiem, co by rzekł twórca Child-Harolda przeczytawszy, ile łupów wygrzebanych spod ziemi, zdobi dziś zbiory brytańskiego muzeum! Arabowie tym przesądem tłumaczą swoje nienawistne spojrzenie na trudy kopiących antykwaryuszów, że co raz zagrzebane w ziemi, w ziemi drzémac winno snem wiecznym. Od lat kilku jak wiadomo p. Layard daleko posunął archeologiczne badania w zwaliskach miast chaldejskich. Dziś te badania postępują szybko i w dosłowném znaczeniu tego wyrazu sięgają głęboko. Godnym następcą Layarda jest p. Loftus, o którego dziele nadmieniliśmy. Podczas kilkoletniego pobytu na Wschodzie, zwiedził on słynne zwaliska Suzy i część południowej Babilonii, szczególnie zaś ruiny Warka.

Po dwóch latach Towarzystwo assyryjskich wykopalisk, przełożyło go nad nową wyprawą w podziemia Assyryi. Uczone i nader ważne sprawozdanie p. Loftus urozmaicone jest przytém ciekawém skreśleniem wypadków i niebezpieczeństw, nieodłącznych w wyprawach tego rodzaju.

„Nie pamiętam, mówi autor, nie silniejszego nad wrażenie, jakie wzbudza pierwszy widok jednego z wielkich zwalisk w samotnym majestacie wyzierających z okolicznej płaszczyzny i bagien. Tysiąc myśli i podszeptów wyobraźni o ich przeszłości, pochodzeniu i dziejach pełnych zdarzeń, budzi się w duszy przychodnia. Pochmurna atmosfera poranku dziwnie

podnieca rozwałę i wrażenie w tym charakterze zrodzone, a siwe mgły zalegające między widzem a przedmiotem tych rozmyślań, nadają kształtom owym pozór, jakby sennego istnienia. Czarodziejski wpływ wysoko podniesionym zostaje przez miraż, który fantastycznie przemienia kształty jego, wyrzucając go nad ziemię i kręcąc go wirowym tańcem w rozrzedzonym powietrzu. Nie dziw przeto, iż patrzący gubi się w powątpiewaniu o rzeczywistości zjawiska, które ma przed oczyma.“

Główniejsze wały obejrzone przez p. Loftus są Niffer (w Piśmie ś. Kalneh), Hamman, Warka (Erech). Najważniejszym z nich jest Warka. Leży na wschodnim brzegu Eufratu w pustym pasie, słabo wzniesionym nad bagna otaczające go ze wszech stron; główne zabytki jego zamknięte są murami 5 i pół mili obwodu mającemi i w niektórych miejscach dotąd jeszcze na 40 stóp wysokości. Obszerny i wysoki taras dźwiga na sobie ogromny gmach: Buwaryach, którego materiałem są surowcowe cegły, spojone gliną, cementowane smołą ziemną. Z wycisków na cegle dostrzeżonych wnioskujemy, że samo miasto poświęconém było księżycowi przez króla Urukh, którego panowanie sądząc ze zbiegu rozlicznych skazówek, przypadło na dwadzieścia cztery wieki przed Chrystusem, a zatem na 1800 lat piérwój, nim część Niniwy została zbudowaną. Wypada więc przypuścić, że początek winno to miasto przed-semityckiej czyli chamiickiej ludności. Główne zwaliska Warka (wału) składają się z dwóch gmachów noszących nazwy miejscowe: Buwaryach i Wuswuss, oba położone wśród murów. Piérwszy z nich zdaje się, iż był wieżą o 200 stopach obwodu, zbudowaną całkowicie z surowych cegieł, wspartą na krytych łukach. W wydrążeniach zrobionych przez p. Loftus znaleziono cegły z imieniem pierwotnego króla Urukh i Sind Szada (około 1500 przed Chrystusem), zapewne na pamiątkę poczynionój przez nich zmian lub naprawy. Drugi: Wuswuss jest budową najgodniejszą uwagi. Wznosi się na placu podługowatym o 7 i pół akrów powierzchni, z bokiem wschodnio-południowym na stóp 500 i północno-zachodnim stóp 650 długim. Dziś ma wysokości 80 stóp, przyczém stoi na nasypie 50 stóp wysokim. W niższej części fasady widzimy grupę z siedmiu kolumn złożoną, powtarzającą się siedm razy, co naprowadza na domysł, że

rząd palmowych gałęzi umieszczonych na końcu był ich pierwotnym typem. Cały przód téj ciekawej budowy pokryty był białym gipsem od 2 do 4 cali grubości.

Przez mur udało się przeniknąć w głąb zwalisk i przejrzeć siedm pokoi. Ściany sal były grubo gipsowane; o 12 stóp nad posadzką rozpoznano otwory dla światła. Żadnych jednak śladów drzwi ani okien nie odkryto. Dachy być musiały sklepione. Warka jest bogatą kopalnią wzorów architektonicznych dekoracyj.

Nader ważnym odkryciem jest cmentarz w Warku: „Trudno dać czytelnikowi całkowite wyobrażenie o pokładach zwłok ludzkich, które najobojętniejszego widza przejęłyby zdumieniem. Wyjąwszy trójkątną przestrzeń pomiędzy głównemi zwaliskami, pozostała część nasypu i nieznaną przestrzeń pustyni poza niemi, napelnione są kośćmi i grobami zmarłych. Bez wątpienia nie ma w świecie okolicy dającój się pod tym względem porównać z Warką; same nawet groby Tebów nie zawierają tyle pokładów śmiertelników. Od założenia jęj przez Urukha, aż do ostatniego opuszczenia przez Partów w ciągu 2500 lat Warka musiała być świętém miejscem pogrzebów. Zdaje się, że te pokłady ciągną się w głąb na 60 stóp aż do podstawy.“

Poszukiwania i wyprawy w tym obrębie uwieńczone zostały wydobyciem kilku glinianych sarkofagów, okrytych zieloną, szklistą polewą, obecnie złożonych w British-Museum. Po badaniach dokonanych w Warka, p. Loftus skierował swoje wyprawę ku zwaliskom Suzy. Najdawniejszą wzmiankę o Suzie (Zuza v. Szusza) znajdujemy na rzeźbach ostatniego króla: Aszur-bani-pal, który podbijając okoliczne ziemie, zdobył i miasto Suze (około 655 p. Chry.). Najpiérwszym owocem poszukiwań w głębi zwalisk było odkrycie kolumn ogromnego pałacu, którego budowa była zapewne dziełem Achemenian, należących do dynastyi owych książąt, którzy założyli Persepolis. Wielką salę składały liczne grupy kolumn, tworzących razem ogromny front na 343 stóp o 244 stopach głębokości. Kapitele kolumn ukształtowane w głowę wołu i lotusowy rysunek ich podstawy, pokazują związek architektury suzańskięj z persepolską”.

Z przytoczonych ustępów czytelnik nabierze wyobrażenia jużto o olbrzymich trudnościach podjętych przez archeolo-

gów, jużto o ważności dzieła, które nam przedstawia mistrzowska ręką skreślony obraz stopniowego zmartwychwstania dziejów pod gruzami i pyłem Azji zagrzebanych.

Autor nie pominął i artystycznej strony dzieła. Skreślił nam kilka zajmujących scen z życia Arabów, któremu przypatrywał się pod ochroną zbrojnego oddziału Turków. Oto opis derwiszowskiego tańca, który nawet na Wschodzie jest przedmiotem podziwu dla widzów.

„Humza, tak się zwał tancerz, stanął teraz w kole i wykonywał swój cudowny taniec. Rozpoczął go na podobieństwo derwisza wolnym kręceniem się wkoło na miejscu, stopniowo przyspieszając ruch podług muzyki aż do zadziwiającej szybkości. Następnie zaczął częściami zdejmować z siebie rozliczne ubiory i ozdoby; każdy jednak szczegół zdejmowany był tak wolno i starannie, a szybkość kręcenia się była tak wielka, że gdy podawał je w ręce osoby stojącej dla ich odbierania, zaledwie dostrzedz było można poruszenie. Tym sposobem pozostała na nim tylko zwykła część ubrania. Tu osłoniwszy się szalem, szybkość krążenia posunął do bystrości przerażającej tak dalece, że w końcu zdał się jakby utkwionym na zawiasie. W tém wirowaniu ubrał się napowrót we wszystkie stroje i ozdoby i po takim półgodzinnym tańcu nagle zwalniając, wykonał kilka artystycznych ruchów, oddał hołd (salam) cudzoziemcom i oddalił się wśród grzmotu okłasków.” Żadnemu z podróżyjących Europejczyków nie powiódł się zamiar zwiedzenia dwóch najświetniejszych cmentarzy perskich w Kerbelo i Maszed Ali (oba miasta leżą między Babilonem i południowymi równinami Babilonu); albowiem fanatyzm straży grobów i meczetów czyni tę wycieczkę niepodobną, wyjąwszy „dla wiernych wyznawców”. Meczet „Maszed Ali” jest najważniejszym pomnikiem tego miasta. Jak w ogóle największa część meczetów ma on kształt czworokątny. Mauzoleum stoi w samym prawie środku rozległego dziedzińca, którego mury równie jak i głównej budowy, ozdobione są od podstawy do szczytu kwadratową polewaną dachówką. Dachówka rysowana w liście, gołębie i rozliczne wzory. Kolory choć jasne, tak przedziwne są złagodzone smugami białymi, że powierzchnia cała zdaje się bogatą mozaiką sadzoną srebrem. Każdą ścianę dzielą dwa rzędy ślepych łuków, ozdobionych podobnym stylem, nad niemi zaś znajdują się texta z Koranu, wypisane

złotemi głoskami. Widziany z oddalenia Meszet Ali może być wziętym za złoconą warownię, wznoszącą się wśród pustyni. Nie ociągaliśmy się długo, wyczytawszy z postawy otaczających nas Persów, że nie jesteśmy pożądanymi pielgrzymami do świętych grobów; cofnęliśmy się przeto z wolna, rzucając badawcze spojrzenie na ten szlachetny i czarodziejski wzór perskiej sztuki. Na wyjściu z bramy ujrzelśmy dopiero, w jakim celu towarzyszył nam oddział turecki. Przewidując nieprzyjazne usposobienie i natarczywą postawę tłuszczy Persów, Tahir Bej przedsięwziął niespodzianie wszelkie środki ostrożności, prowadząc nas wprost ku meczetowi nim lud mógł domyśleć się jego zamiarów lub zgromadzić się dla oporu. Wkrótce atoli uznał sam, że postawa ludu była zatrważającą. Zaiste nie małowały się na ich twarzach uczucia przyjaznej gościnności. Nigdy nie zapomnę wyrazu nienawiści, jakim powitano jednego z moich towarzyszków, który przypadkiem otarł się o suknię „wiernego wyznawcy”. Znieważony ortodoksa, cofnął się nagle, mruknął słowami przekleństwa na nieczystego Ferengi i odszedł, aby się obmyć i oczyścić z plugawiącego dotknięcia, albo sięgnąć dłonią po rękojeść szerokiego puginału i pomścić wyrządzoną sobie zniewagę. Turcy nie poszczycą się mniejszą pogardą u Persów niż Chrześciance. W Kerbelo przyszło do czynniejszych zajęć. Podwoje meczetu napelnione były tłumem żebraków odrażającej postaci, uzbrojonych w drągi, kije i puginały, i tamujących nam wejście. Na czele tłumy stał derwisz z szatańskim wyrazem na twarzy. Kępa rozczochranych włosów spadała po błyszczącej skórze jego łysiej głowy, a odzież zdarta, ledwie wystarczająca do osłonięcia nagości, połatana była w różne kolory i we wszystkich kierunkach. Skrzyżowawszy nogi, z sztyletem w rękę i ogromną pałką nad ramieniem wzniesioną, jego prawowierność wyglądał na złoczyncę gotowego do zbrodni lub do jęj nakazania. Meszet Ali i Kerdelo, jako miasta grobów kalifa Ali i Hussejna, w pewnych porach bywają nawiedzane przez miryady pielgrzymów; przyczem są one miejscem pogrzebu najznakomitszych familij, mogących ponieść ogromne wydatki na przewiezienie tu zwłok; zmarłych przeprowadzają często z odległości kilkuset mil na mułach”.

o) Dzieło pana Loftus ozdabiają piękne ryciny i mappy, utworu już to samego autora, już innych znakomitych rysowników.

*Odkrycie pomników starożytności w środkowej Ameryce.*

Oprócz Celtów, żadne z plemion ucywilizowanych nie uległo tak silnemu naciśnieniu losów historycznych jak plemiona pierwotne Ameryki: pierwsi jój zwycięzcy, zdeptali świętą starożytność, pogrzebioną w ziemi, z której łona przyszli wyprowadzić złote żyły. Gdyby nie wandalizm tych zdobywców zbyt troskliwych o wytepienie kąkolu, świat uczony byłby dziś bogatszym o jedną fazę dziejów powszechnego postępu. Losy chciały inaczej! Szczątki zatraconego bytu pierwotnych ludów Ameryki z tém większą czcią winny być powitane, że odkopująca je ręka pochodzi właśnie z plemienia, które w kolejach rozwoju świata, odegrało najujemniejszą rolę. Edward Squier udziela następujące doniesienie z Gwatemali (od Antonio Urruta, proboszcza w jednej z parafii środkowej Ameryki).

„Panie! uczestnicząc w sprawach towarzystwa archeologicznego naszej prowincyi, tak opływającej w zabytki starożytnej cywilizacji, poświęciłem się od niejakiego czasu śledzeniom starożytności w powierzony mi parafii, i pospieszam naprzód z udzieleniem wiadomości o nieznanym dotąd zwaliskach miasta zwanego: Anaca Mecallo. Ku południowi, niedaleko miasta Komapa wznoszą się urwiste góry, których podnóża oblewa szeroka rzeka Pazi, stanowiąca granicę między Gwatemalą i Sansalvadorem. Na najwyższych z tych ciągnie się rozległa płaszczyna, zroszona mnóstwem małych rzeczek, których wody złączone w ogólne koryto, rzucają się po spadku skały na 15 jardów wysokości, a następnie zmieszane z wodami rzeki Paz, tworzą jeden z najpiękniejszych wodospadów Gwatemali. Na najwyższym wzniesieniu owój płaszczyny, znaleziono szczątki starożytnego miasta, zajmowanego niegdyś przez pierwotnych mieszkańców Ameryki, które w ciągu wieków odpierało natarcia czasu, a ciężkie jego mury zdawały się dumnie wyzywać potęgę żywiołów. Wysokie położenie tych ruin, z kądem wzrokiem ogarnąć można wspaniały bieg Pazu, płynącego podnóżem gór aż do morza i przeglądać rozległe płaszczyny, zasypane wioskami sąsiedniego państwa Sansalwador, dosięgając zarazem wulkanów Chingo i Izaleo, wezuwiuszów Ameryki, z ich kolumnami dymu bijącemi w niebo, i jeziora Ateska-tempa, to położenie podnosi godność poetyczną zwalisk, uwydatniając



estetyczny pomysł pierwszych założycieli miasta. Miejsce gdzie leżą zwaliska jest, jak nadmienilem, znane po imieniu Cinaca-Mecallo, które w narzeczu meksykańskim, dziś jeszcze używanem w naszym powiecie, znaczy: sznur z węzłem: nazwa pochodząca być może od mnóstwa winorośli, pokrywających okolice i służących na wiązania w chatach i domach ludu meksykańskiego. Mury, albo szczątki murów miasta, stanowią całość owalną, wewnątrz zaś zauważać można rozliczne drogi, ulice i podziemne przejścia, oraz wiele rozwalonych gmachów. Materiałem budowli są po największej części wielkie głazy albo raczej rodzaj kamienia łupkowego, spojonego pewnym cementem, kolorem i miękkością podobnego do topionego ołowiu. Z pomiędzy pomników trzy zasługują na szczególną uwagę. Pierwszym z nich jest świątynia poświęcona słońcu, wykuta w skale: jej drzwi wychodzą na wschód. Pod łukiem wchodowym ułożonym z talli kamiennych, spotykamy rzeźbione wyobrażenia słońca i księżyca, wewnątrz zaś kilka hieroglifów. Pomnik ten znany jest u Indian pod nazwą: Tee-tunał, czyli „kameń słońca”. Oprócz płaskorzeźby, na kamieniach znajdują się jeszcze hieroglify, malowane czerwonym werniksem, który mimo długoletniego wpływu powietrza, został nieuszkodzony. Wiele kamieni znalezionych w głębi zwalisk, mają podobne malowidła.

Pomiędzy przejściami podziemnymi, jakie się dały odszukać w zwaliskach, słynie szczególnie jedno, i dotąd jeszcze jest przedmiotem wielu podań ludowych, jakoby niegdyś było schronieniem sławnego bandyty Partideno, który nakoniec dostał się w ręce mieszkańców Komapy. Pragnąc wysledzić to przejście, nieczuły na postrachy zabobonnych Indian, groźnie odwołujących mię od zuchwałej ciekawości, puściłem się tam, zaopatrzony w topór i pochodnię. Po wielu trudnościach zdołałem dostać się do jednej sali, gdzie znalazłem rozmaite sztuki głazów, rzeźbionych w orężu starożytnych Indian, zupełnie podobne do tych, jakie posłałem prezydentowi Gwatemali w 1853.

Drugim znakomitym przedmiotem jest ogromny kamień, pokryty napisami hieroglificznymi, których znaczenia odkryć nie umiałem: są tam przytém przedstawione sceny domowego bytu; drzewo, godło życia, i czaszka, godło śmierci.

Trzecim pomnikiem jest zwierz podobny do tygrysa, wykuty ze skały, w olbrzymiej postaci, który zdaje mi się być

utworem, przypominającym jakieś wielkie zwycięstwo. Opieram zaś to przypuszczenie na następującej zasadzie.

W tém mieście (Komapa) jak w największej części miast indyjskich, panuje dotąd jeszcze zwyczaj zachowywania pamiątki wielkich wypadków historycznych, przez obchody publiczne, zwane *bailes* (tańce), które są rzeczywiście tańcami, odbywanymi na rynku w dzień lub w wieczór znakomitych uroczystości. Dla człowieka, obeznanego z językiem ludu, nader zajmującą jest obecność na tych *bailes*: mogą bowiem nasunąć mu przed oczy obrazek odległych podań i wypadków historii indyjskiej. Na jednem z nich, którego byłem widzem, przedstawiano ogromną bitwę. Orszak tancerzy, odziany w skóry, mając łby zwierzęce na głowach, rozdzielił się na dwa tłumy, które się uszykowały do boju. Przed rozpoczęciem bitwy jeden oddział ofiaruje drugiemu warunki pokoju, które wnet odrzucono. Następuje dany znak napadu z dzikim okrzykiem. Po długiej walce, zwycięstwo przechyla się na stronę tych, co na głowach mieli łby zwierzęce. W końcu widowiska strona pobita opuszcza pole, druga zaś drągiem kreśli na piasku postać jakiego zwierzęcia. Rzeźbowe wyobrażenie zwierzęcia o którym nadmienilem, i odległość miejsca, gdzie je znaleziono od miasta, naprowadza na domysł o koniecznym związku tego pomnika, z uroczystością *bailes*.

To są znalezione dotychczas zabytki wśród miasta. Poza murami nie w dalekiej odległości na małej płaszczyźnie, leży mnóstwo okopów, będących bez wątpienia miejscem pogrzebu. Dotąd jeszcze zachowuje się zwyczaj rzucania garści ziemi lub kamienia na groby znakomitszych zmarłych, jako hołd ich pamięci.

Mam nadzieję przesłania panu wkrótce doniesienia o innych odkryciach. Tymczasem przyjmij pan etc. Jose Antonio Urrutta”.

*Czasy i ludzie roku 1782, czyli pamiętniki Elkanach Watsona, wydane przez jego syna, Winslowa Watson, w Nowym-Yorku roku 1857.*

Dzieło nader ważne tak z treści, jak i wykładu i niezbędne dla dziejopisarza pragnącego ujrzeć w należytem świetle

wypadki wojny północno-amerykańskiej i wyniki z niej nowe stosunki starego świata z nowym. Jakkolwiek pisane ze stanowiska amerykańskiego, przyjętem było z zapalem przez prasę londyńską. Autor jego p. Winslow Watson, zamieścił tu podróże swojego ojca odbyte po Europie i Ameryce od roku 1777—1842. Jako uczeń p. Watson wraz z innymi towarzyszami oddawał się ćwiczeniom wojskowym. Po wybuchnięciu wypadków, mógł więc wstąpić w szeregi dla obrony świeżo zaimprovizowanej sprawy. Poprzednio wysłany był z misją polityczną do Karoliny. Oto kilka jego spostrzeżeń uczynionych w New-Yersej.

„Nadzwyczaj miłe sprawy na mnie wrażenie zwyczajne i obyczaje dostrzeżone pomiędzy tym ludem; szczególnie uderzyło mnie ich zachowanie się przed stołem. Zamiast wypracowanych form religijnych, gospodarz domu, z odkrytą głową, trzymając w ręku kapelusz, górną część twarzy zakrywający, stał chwilę w milczeniu”.

Watson tak opisuje Wirginia:

„Znaleźliśmy ten kraj wśród dzikiej okolicy, zajęty przez pół-dziką ludność. Wyzwoliliśmy tu jednego z nieszczęśliwych żeglarzy, którego okręt uległ rozbiciu. Któż opisze moje zdziwienie, gdy na samym wstępie do Wirginii po raz pierwszy ujrzałem młodych Murzynów obojg płci, dwunasto lub piętnasto-letnich, którzy nie tylko biegali koło domu, lecz i usługiwali przy stole, w takiej nagości, w jakiej przyszli na świat, nie mając za osłonę nawet figowych liści. Wrażenie moje podwyższonem zostało tą niezwykłą dla mnie okolicznością, że znajdowałem przy stole kilka kobiet, zupełnie obojętnych na tę scenę.”

Autor w dalszym ciągu opisuje zdarzenia towarzyszące wyborom w Wirginii, gdzie był świadkiem zbyt naiwnie objawionej demonstracji stronnictwa. Niedługo potem p. Watson był obecnym na wyborach w Londynie w *Covent Garden Square*, trwających już od czterech tygodni. Tu zamiast „pełnego godności milczenia, odznaczającego zwykle wybory amerykańskie, przedstawiał się oczom zamęt i wzburzenie obok krwawych scen”. Wszakże wyłączność poglądu na stosunki metropolii nie stłumiła w nim głosu sprawiedliwości.

We Francyi Watson ze słodyczą spoglądał, jak damy francuskie głaskały Franklina po twarzy, nazywając go: Papa

Franklin. Taniec francuzki przedstawił mu się zupełnie podobnym do tańca Indyan amerykańskich, lecz więcej ożywionym. Lecz wiejska ludność we Francyi zdumiała się mocno widząc *białego* Amerykanina. Wyobrażali sobie bowiem wszystkich Amerykanów dzikimi Murzynami.

„W tym czasie znakomity Tomasz Paine przybył do Nantes na fragacie Alliance, jako sekretarz pułkownika Laurensa nadzwyczajnego posła od kongresu, i zajął u mnie mieszkanie. Byłto człowiek szorstki w obejściu, rubasznój powierzchowności i odpychający, samolub, bez granic zamięlowany w mówieniu o samym sobie. Nie mogę jednak przemilczeć uczucia najgłębszej wdzięczności ku niemu, jako użytemu przez Opatrzność za narzędzie do ogłoszenia naszej samoistności. Był on zaiste przeważną sprężyną w przysposobieniu publicznej opinii do tego znakomitego zdarzenia. Pojęcie samoistności nie dosięgło jeszcze głębi uczuć publicznych.

„W Rhode Island znajdowałem się sam w liczném zgromadzeniu znakomitych przywódców stanu. Przypominam sobie, że przedmiot był z wielką względnością wprowadzony przez jednego z ultra wigów i zdawał się być przyjętym przez całe zgromadzenie ze wstrętem. Po kilku tygodniach myśl Paine'a przebiegła cały ląd z szybkością iskry elektrycznej. Imię jego stało się drogiem dla serca wszystkich wigów i przebiegło całą Europę. Skoro oznajmiono o jego przybyciu, mer i kilku najznakomitszych obywateli miasta Nantes, wynurzyli chęć oddania mu hołdu. Wówczas służyłem nieraz za tłumacza, chociaż głęboko upokorzony zaniedbaną jego powierzchownością i chropowatém ułożeniem. Wkrótce jednak pozbył się czcigodnych gości, którzy opuścili hotel z wrażeniem wstrętu i zadziwienia. A gdy prosił mnie o pożyczanie schludniejszej odzieży, odważyłem się pomówić z nim otwarcie o niezbyt zniewalającym jego ubiorze i wymogłem na nim, że poszedł do ciepłej wanny na godzinę. Nie pochlubię się jednak, abym to wymógł bez usilnych nalegań i nie pierwej aż gdy otrzymawszy gazetę angielską, przyrzekłem mu, że dopiero wróciwszy z kąpeli czytać ją będzie. Zgodził się szanowny członek missyi i towarzyszyłem mu do łaźni, gdzie utrzymującemu ją zaleciłem w języku francuzkim (którego Paine nie rozumiał), aby nieznacznie powiększał gorącość wody, dopóki *le Monsieu* nie ugotuje się na piękne. Następnie Paine tak zatopił się

w czytaniu podanej sobie gazety, że moje zalecenie ledwie się nie spełniło dosłownie na moje szczęście i jego poprawę."

Jakkolwiek w wielu miejscach dzieła dostrzegamy ślady pióra zbroczonego w międzynarodowych namietnościach, jednak co chwila przebudza się instykt braterstwa. Szczególniej dostrzegamy to w odmalowaniu tych chwil, które Watson spędził w byłej metropolii. Wylądowanie jego w Anglii nastąpiło jeszcze przed zawarciem pokoju. Z sercem pełnym trwożących przeczuć, Watson wchodził do pałacu książąt i hrabiów. Lecz nader wzniosła gościnność jakiej tam doznał, głęboko upokorzyła jego podejrzenia i wywołała to rozrzewniające wyznanie „jeszcze to była ojczyzna mych przodków. Widzę się tutaj jakby w pośrodku moich współobywateli”.

Do najwydatniejszych miejsc podług naszego zdania, należy to, w którym Watson opisuje pamiętny dzień 5 grudnia 1782, kiedy wprowadzony do izby lordów usłyszał z ust Jerzego III przyznanie samoistności Ameryki. „Stalem blisko króla Jerzego i z natężoną uwagą śledziłem każdy odcień jego głosu i każdą grę jego twarzy. Była to dla mnie chwila uroczystej twógi i wzruszenia. Po kilku ogólnych i zwykłych uwagach wyrzekł te słowa: „Lordowie! nie straciłem ani chwili w wydaniu potrzebnych rozkazów, aby wstrzymane były dalsze kroki zaczepnej wojny na północno-amerykańskim lądzie, przyjmując, jak mi zawsze skłonności moje wskazują z mocą i stanowczością to wszystko, cokolwiek mniemam być uczuciem mojego parlamentu i mojego ludu. Wszystkie widoki moje i środki, tak w Europie jak i w północnej Ameryce, skierowałem do zupełnego i serdecznego pojednania się z koloniami. Uważając zaś to za niezbędne do osiągnięcia tego celu, nie wahałem się użyć całej rozciągłości przynależnej mi władzy i ogłosić ich,” tu Jerzy zatrzymał się, wrażenie było widoczne; czy to zachodziła trudność w odczytaniu mowy, ponieważ w izbie było ciemno, czy jakieś bardzo *naturalne* wzruszenie. W jednej chwili podniósł głos na nowo: „i ogłosić ich samoistnemi i niezawisłemi stanami. W takim zezwoleniu na oddzielenie się od korony tych prowincyi (Kingdoms) wszelki wzgląd osobisty poświęciłem życzeniom i opinii mojego ludu. Będzieto moją pokorną i gorącą modlitwą do Boga wszechmogącego, aby Wielka Brytania nie uczuła klęsk wyniknąc mogących z tak wielkiego rozczłonkowania państwa, i aby

Ameryka wolną była od nieszczęść, które poprzednio dowiodły w metropolii, jak dalece istotą państwa jest szanowanie ustawy. Religia, język, interesa i skłonności mogą i jak spodziewam się będą stanowić węzeł niustającego związku między dwoma krajami". Zauważano, że Jerzy III słynie z czytania mów swoich w sposób dobitny, swobodny i wyrazisty. Tą razą łatwo było dostrzedz zawikłania, wahał się i wypełnił dotkliwie stanowisko z postawą niezwykłą sobie. Mojego wzruszenia nie będę w stanie określić, po każdej głosce tej mowy czułem, że silniej biła w mych żyłach dumna krew amerykańska.

„Wkrótce po mojem przybyciu do Anglii, byłem na obiedzie u Copleya znakomitego malarza, który był rodem z Bostonu (1) i postanowiłem sumę 100 gwinei uzyskaną w Insurance-Office, poświęcić na mój portret. Malarz wykończył to dzieło w wybornym stylu, wyjąwszy tło, które podług moich i Copleya życzeń przedstawiać miało okręt „niosący do Ameryki wiadomość o uznaniu niezawisłości, i promienie wschodzącego słońca padać miały na herb unii. Już wszystko było gotowém oprócz flagi, którą wywieszać w obecnych okolicznościach Copley uważał za niestosowne, zwłaszcza, że jego galeria była stałym punktem uczęszczania rodziny królewskiej i wszystkich znakomitości. Byłem tedy na obiedzie u artysty w wiekopomny dzień 5 grudnia 1782, po wysłuchaniu z ust jego mowy, urzędownie przyjmującej i uznającej Stany Zjednoczone za samoistne w rządzie mocarstw. Przed obiadem wkrótce po opuszczeniu izby lordów zaprosił mnie do swojej pracowni i tu dumną ręką mistrzowskim rzutem pędzla i nie wąpię z sercem Amerykanina przyłączył do okrętu *gwiazdy*. Po razto pierwszy zdaje mi się, flaga amerykańska powiewała w stariej Anglii”

*Historja Normandji i Anglii przez Fr. Palgrave*  
(*History of Normandy etc.*).

Dotkliwy frazes Emersona (nazywającego normandzkich rabusiów założycielami izby lordów) nie odstrasza angielskich

(1) Ojciec lorda Lyndhurst.

dziejopisarzy od wiązania swych dziejów z najazdem 60,000 dzikich żeglarzy, których wodza ówczesny świat zmuszony był uczcić skromnym mianem: *Dux Piratarum*. Franciszek Palgrave znany już ze znakomitego dzieła: „Powstanie i wzrost Rzeczypospolitej angielskiej”, występuje z nową pracą, która nam wyświeca wielki proces rozwoju i zlania się trzech żywiołów narodowości angielskiej (Anglo-sasko-normandzkiej). Olbrzymie rozmiary tego dzieła, (w przypuszczeniu bowiem obejmować ma przeszło 20 ogromnych tomów), którego w tej chwili dopiero dwa tomy wyszło, rokują nietylko dziejom Anglii, lecz i dziejom powszechnym świetny nabytek. Przedstawiają one dokładnie i nader obrazowo historią Normandyi, a mianowicie panowanie króla Ravalu i Ludwika d'Autremere; księcia Wilhelma o długim mieczu, jego syna Ryszarda nieustraszonego; ścieranie się w Normandyi dwóch żywiołów; długie trwanie czysto-duńskiego stronnictwa w księstwie normandzkiem; stronnictwa pogańskiego lub przynajmniej poglądującego z szyderczą obojętnością na Chrystyanizm, stronnictwa, które zamilowane w mowie duńskiej i korsarskiem rzemiośle ojczyzny, nienawidziło swych zromanizowanych braci, przyjmujących chętnie język i religią podbitego przez siebie narodu. Za właściwego założyciela Normandyi autor uważa Ryszarda nieustraszonego, wnuka Rollona.

Wędrowiec chcąc dociec początku rzeki, nie zawsze zwraca się do źródła najodleglejszego od ujścia. Niejeden strumień mimo swęj długości, w jakiej się nam przedstawia na karcie, może być podrzędnym dannikiem, nitką, mogącą zaginąć w bagnach, gdyby nie splywał jako gałąź do głównej rzeki opierającej swą wielkość na naturalnem położeniu w poziomej kotlinie. W hierarchii sławy ludzkiej, założyciel państwa zajmuje najwyższą sferę, przecież nie zawsze tu prawa ręka wojownika kładzie węgielny kamień murów, nie zawsze bohater lewą nogą stawający pierwszy krok na brzegu, miewa wieczną sławę założyciela. Postęp jest zazwyczaj złożonym procesem; owocem, utworzonym przez ciągłe stykanie się popędów wzajem od siebie niezawistych, ale nie rozłączonych, jednostronnych szczegółowo, niezbędnych zbiorowo. Człowiek podlewający szcep nie dokaze nic bez szczepiącego i odwrotnie. Wszakże jestto nietylko zgodnie z przyrodzonemi skłon-

nościami człowieka, lecz i pomocne do ustanowienia wspomnień, stanowiących historią w pewne cało-kształty, ażeby kanonizować pewne postaci na godność założycieli państwa. Wszakże przejąwszy się całą głębokością idei dziejów, wyszukującej owego sprawcy, który był uprzywilejowanym narzędziem do przeprowadzenia wyroków bożych, możebyśmy to namaszczenie przyznali raczej Numie niżeli Romulusowi, raczej mężowi rozumnemu, czy szczęśliwemu, czy śmiałemu, który założył i dokonał moralno-politycznego rozwoju państwa, anizeli temu, który z przypadkowego położenia chronologicznego stoi na czele dynastji. Szczep książąt normandzkich wychodzi od Rolla, lecz Ryszarda bez trwogi (*Sans peur*) wypada nam przyjąć za pierwszego twórcę księstwa Normandji; co mówię! pośrednio przez księstwo za głowę brytańskiego mocarstwa. Podczas długoletniego panowania Ryszarda i mocą jego czynów, Normanowie powzięli tego ducha sprężystości, który ich ciągle cechował, dopóki zachowali swój byt narodowy. Ryszarda czyny nadały księstwu Normandji kształt i oprawę. Z nim powstał lud jego. Przez niego to wprowadzone lub zakreślone, jego osobistym wpływem ożywione instytucje spowodowały, że surowy napływ Duńczyków lub pół-Duńczyków i ludów mowy rzymskiej, uzyskał wyrazisty i jednolity charakter narodowości. Ta ważna w dziejach sytuacja nie przyszła do skutku bez Ryszarda; jegoto plastyczny geniusz dźwignął owych Normanów „których krew, przelana w żyły słabowitej (*fainting*) rasy Anglo-Saksów, o prowadziła ją naokoło kuli ziemskiej”. Wszakże, dodaje autor, ani wspólność języka i religii, ani uczucia przyjaźni nie ukryły przed Karłowingskim okiem śladów czarnej krwi Duńczyków. W żyjącym lub umarłym Duńczyku czuli oni zawsze wyziew przejmujący odrazą.

W końcu musimy przytoczyć zdanie autora o pobudkach, jakie zmusiły Wilhelma Zdobywcę do przyspieszenia wyjazdu z Francji, której dwór tak się brzydził książętami normandzkimi.

„Gdyby Wilhelm nie był się pospieszył z odpłynięciem do Anglii, tedy na odchodnym byłby na dworze francuzkim usłyszał pożegnanie, które weszło w przysłowie. Wiemy, jak Ludwik i Herberga sztydził sobie z rozbójnika i jego oślawionej towarzyski. Wilhelm! Wilhelm, kto on jest, co on jest! oto drugi Łodbrok, świecący swoim płaszczem książęcym, któ-



ry ojciec jego skradł w garderobie królewskiej. Brzydko, brzydko! patrzcie; gdy odszedł, jeszcze po nim słyhać zapach smoły”.

W dalszym ciągu dzieła wyczytujemy, iż pasowanie na rycerza w Anglii dopiero przybrało pozor uroczystego ceremoniału; że rytuał koronacyi również wprowadzonym został do Francyi od Anglo-Saksonów. Autor maluje obraz dziejów Anglii, nie spuszcza z oka ani na chwilę światła giermańskiego, Włoch i Francyi, i czytelnik ma tym sposobem przed sobą cały prąd wieków średnich, w głównych działaczach i działaniach uosobiony.

### *Najpóźniejsze dzieła angielskie:*

*Pamiętniki* Sir Roberta Peela, wydane przez lorda Mahon i E. Cardwell.

*Polityczne, moralne i religijne zarysy Indyi* przez J. Novton.

*Izabel*, poemat p. Crex.

# STAROPOLSKA MIŁOŚĆ.

URYWEK PAMIĘTNIKA

SPISANY PRZEZ

*J. I. Kraszewskiego.*

Jak w pokładach naniesionego przez wody mułu i osadów, badacz odgaduje epoki kataklizmów i wielkich wstrząśnień, którym uległa ziemia nasza; tak w starych i zbutwiałych papierach często niepozornych i nie obiecujących na oko, przywykły do śledzenia wszystkich życia objawów, odkrywa skarby niespodziewane, piętnujące warstwy przeszłych czasów. Na nieszczęście przeszłość przeznaczona na zagubę, ułamkowo, cząstkowo, przypadkowo maluje się w pozostałych po niej zażytkach; potrzeba umieć dopełnić ją i odgadnąć, *ex ungue leonem*, a z pióra skrzydeł gołębia. Zprastarych czasów kilka wierszy na omszonym kamieniu, urzędowy i suchy akt na żółtym pargaminie, zrynek papieru oszczędzony cudem, na którym kilka nazwisk zostały na świadectwo o życiu: ot i wszystko. Dalej pismo coraz do poufalszych służy zwierzeń i na powszedniejsze potrzeby, obszerniejsze zapełniają się niem karty; ale znowu to, co naówczas najgodniejszym zdawało się ku uwiecznieniu, dziś nas nie prawie nie obchodzi: łakniemy zapomnianej reszty, którą sponiewie-

rano jako niepotrzebną. Ledwie na boku dopisane słowo, coś przylepionego do okładki, jakieś nazwisko i data ukradkowo nakreślone, wypływają na wierzch z nieużytecznego słów wylewu. Im bliżej nareszcie nas, tém papierowe pamiątki mnożą się, rozszerzają, gromadzą; piszą wszyscy, piszą już o wszystkiém: papier i kunszt pisania stają się pospolitą własnością ogółu, mnóstwo tedy ciekawości, ale i śmiecia bez miary. Co tu wybrać? gdzie się skrytowało i osiadło życie? W tych przebutwiałych kartach jest potrosze wszystkiego; rejestra, notaty, listy, mowy, poezye, grobowce, rachunki, na jednéj często spotykają się karcie. Trafiło się nam taneczną pieśń Wiśniowieckiego dziwnie niewstydliwą znaleźć obok kazania i spisu nasion do wirydarza. Niejeden człowiek bezpowrotnie zmarły i zapomniany, żyje tylko jeszcze na wątłym rożku papieru, na którym w chwili próżnowania od niechcienia się podpisał. Mógłże się spodziewać, że proba pióra da mu zakosztować nieśmiertelności!.. O losy ludzkie, o życie!!

Grzebiąc w starych listach, w tych wstążeczkami i sznurkami dawno skostniałą powiązanych ręką fascykułach, człowiek powoli wchodzi w świat grobowy jak do lochów podkościelnych, rozwidnia się przed nim horyzont ciemny, występują na tle jego nieznanome a dziwne postacie, zarysowują się niespodzianie kształty i odradza z nicości dawno zmarłe i zapomniane. Resztki to niedogastego życia! Odgadujemy czego nie widzimy, domyślać się musimy tego co zginęło, ale obraz i po téj restauracyi mniej więcej zręcznej, pozostaje niepełnym. Jest to czaszka Hamleta, której brak rąk i nóg, lub piszczel, któremu niedostaje zbutwiałej i w proch rozsypanej czaszki.

I tu są trafiały szczęśliwe i niezastężone przekleństwa.. Niejedna postać majestatyczna i wspaniała przedstawia się z za mroków mogiłnych ułamkowo, nie pełna, blada, gdy lada najpospolitsza a gadatliwa istota

z fizyonomią startą i zwyczajną, występuje ci przed oczy aż do zbytku drobnostkowo narysowana, choć nie warta.

W najciekawszym często miejscu urywa się nie-  
litościwie, gdy powszednie dzieje, dzień po dniu, godzi-  
na za godziną, nieprzerwanym snują się ciągiem. Wszę-  
dzie tak spotykamy dowody znikomości ludzkiej, a nie-  
śmiertelność nasza, to tylko przedłużone konanie.

Gdy długie nieraz godziny siedzę nad stosem pa-  
pierów pożółkłych, i tą stęchlizną śmierci i grobu wła-  
ściwą śmierci woniejących, jedynych minionego życia  
ostatków, oczy łzami zachodzą, serce mi się ściska  
i myślę jak to nas później ludzie fałszywie odgadywać  
będą z tego, co po nas zostanie? Ale co po nas ocaleje?  
i czy zostanie choć trochę? Co przeżyje? czy dowody  
słabości, czy ślady poczciwych uczynków, czy nic nie-  
znaczących chwil blade szczątki. Bóg jeden to wie,  
bo to co starano się zachować jak najskrzętniej, pogi-  
nęło przecie, a co na strychu gniło, w czym się wróble  
gnieździły i co myszy jadły, ocalało cudownie. Ka-  
mien i bronz tak są znikome jak papier, a pamięć ludz-  
ka od nich nie trwalsza... Prawo zniszczenia panuje  
wszystkiemu, a ząb czasu nie mogą ukąsić granito-  
wych obelisków, start z pamięci alfabet hieroglifów.

Czasem w ogromie tych niedogryzionych kości  
ryjesz się napróżno, żeby odkryć coś znaczącego, co-  
by ci dało czasów i ludzi pojęcie. Nieskończone szere-  
gi słów i cyfer przesuwają się czeze i próżne, a gdzieś  
na brzeżku jedno rzucone słówko wprawia w zadumę  
i odkrywa całe światy. Wstajesz od tej pracy, jak gdy-  
byś przeszedł się po cmentarzu z wonią śmierci i my-  
ślą znikomości, szepcząc mimowoli wieczne odpocznie-  
nie umarłym.

Już z ostatnich lat wieku, co nasz poprzedził, zo-  
stało papierów bez liku: ogień i robactwo, myszy i zgni-  
lizna nie miały jeszcze czasu pochłonąć ich i przebrać

jak Bóg przeznaczył, co zginąć powinno, a co ma ocalać. Potrzeba umieć szukać, żeby tu coś znaleźć i jak nurek po konchę perłową, po gałąź koralu, zstępować w otchłań głęboką, by często z niczém z przepaści powrócić. Rzadko wątek natrafia się dłuższy, i milczenie grobowe co chwila przecina ślady żywota.. A tam gdzie los przerwie mowę przeszłości, już jej nie dopełnić niczém... Domyślasz się, zgadujesz, chwytasz nici końce rozstrzępione, spajasz je, i gdyś wymarzone przysztukował do rzeczywistego, krzyczy, odbija jaskrawo: pożenić ich nie sposób.

Jednakże mimo ciężkość pracy i nieuchronnych z nią powiązanych zawodów, nie ma miłszego zajęcia nad badanie starych zabytków, nad sledzenie przeszłości wprost u źródła, a żadna historia tak nie wyuczy wieku, jak maleńki szpargał współczesną nagryzmolony ręką nie dla jutra, ale bez myśli o tém, że pozostać i powiekować może. Pamiętniki, jeden z najciekawszych materyałów, mają to do siebie, że w nich człowiek maluje się zawsze mniej więcej nie takim, jakim był, ale jakim być pragnął. List, notatka, rejestrzyk odkrywają go nam, gdy nie myśli o publice, stojącego jak go Bóg stworzył i czém uczyniły okoliczności. Jeżeli jeszcze szczęściem rzadkiem na jedną postać, na jedne lata zbierze się dosyć światła ze stron różnych, aby je w pełni nam ukazać: już wówczas lada niteczka powiązać się dadzą fakta, i odtworzy umarłe o ile je nam wskrzesić dozwolono, niby ów szkielet, który prosekator spaja drucikiem i stawia jak był za życia.

Z człowieka niestety! więcej daleko umiera, niż przeżywa, ginie więcej ludzi niż w pamięci zostaje, a los często najmniej charakterystyczne postacie wybiera na przedstawicieli całych epok. Ci znowu Bóg wie kogo przynoszą z sobą pod pachą do nieśmiertelności. Ludzie czynu, którym pióro i papier były wstrętliwe, jeśli ich nie poda potonności jaki skromny kała-

marz, przebijają się przez pokłady wieków ułamkowo, przedstawiają fałszywie i niepełno. Drudzy wspominają i piszą o nich wedle tego jak ich na swoją pojęli skalę: oni sami nie mieli ani czasu, ani ochoty podać się pamięci wnuków. Ludzie myśli i ducha także w piśmach swych niezupełnie się malują: krapuje im usta to nawyknienie udawania, to względy czasowe, to jakiś wstyd, to niedbalstwa trochę, a rzadki Montaigne lub Pascal wszystkie swęj duszy wątpliwości na papier wyłaje. Często najlepsza część człowieka zostaje pokryta milczeniem. Natomiast pośrednia klasa popolitości w wielkiej liczbie egzemplarzy występuje przed badaczem, i z odbicia na jęj obliczu znakomitości wieku, wnoić ledwie o nich możemy.

Wszystko ulega jednym prawom ogólnym na tym świecie: ze świata przedpotopowego olbrzymów ledwie są szczątki, z których postaci ich odbudować nie można, a drobnych muszelek i liści traw miliony. Na jednego mastodonta, ileżto infuzoryów zwapniałych!

Nie zresztą przedź nie przychodzi nad zapomnienie. Lat kilka i po człowieku niema śladu: jak w morzu po majtku pochłonięm zanęęły się fale, poszedł na dno. Przeszłość rozpoczyna się nazajutrz po pogrzebie, w tydzień tworzą się podania bajeczne, w rok najdalej człowiek się na mythus przerabia, a jeśli kto jest tak szczęśliwym, że się nim po śmierci zajmują, w kikaset lat robią z niego, coraz inaczej obracając szczątki pozostałe, dziwolęga, którego każde pokolenie po swojemu przestraja i przybiera, aż w końcu nikt już nie odgadnie, co pod tym slosem nagromadzonych domysłów spoczywa.

Często długie wypoczynku godziny poświęcam drabowaniu starych papięrow, któremi się otaczać lubię: było to i jest dla mnie miłą zabawką, nawet bez jakiegobądź celu korzystania w uzbieranych w ten sposób szczegółów. Najzwyczajniej massy te pozostałości

nie mają ciągu, któryby je w jakąś całość zbić dozwalał, ale i te drobne rozpięzchło szczątki z jednej epoki dają jakąś o niej ideę, a te wychodzące nagle z ciemności i niknące natychmiast figury, których starte postacie za ledwie uchwycić można, mają także swój urok, choć połowę ich dostarczyć musi wyobraźnia.

Wśród jednej takiej szczęśliwie nabytej wiązki papierów, napadłem wśród mnogich listów, kartek i rachunków, na oberwany raptularz, nadpalony w części, pokreślony, z powszywanemi kartami, w kilku miejscach adnotowany obcą ręką i innym atramentem. Był to pamiętnik człowieka, który na starość przypomniał życie własne bez myśli uwiecznienia go, dla powtórzenia przed sobą samym spowiedzi uczuć, które je zatruły. Ręka przyjaciela w kilku miejscach dopełniła tych wyznań notami, które w części jako powtórzenie znanego, potrzebne mi się nie zdały, w części tu zamieszczone będą. Poprzyłączane listy i notaty oryginalne, dokumenta prawne, zapewne przez tego, co komentaryusz pisał, nie mają dla nas żadnego interesu.

Szpargał ten jakkolwiek maluje nie tyle epokę, co pojedynczego człowieka, zdał nam się dosyć ciekawym studjum i dajemy go tu prawie bez żadnej zmiany tak, jakśmy znaleźli w starych papierach: to tylko wyrzucając, co niepotrzebnie opowiadanie przedłużało. Czytelnicy nasi osądzą, czy warto było lub nie ocalić ten ułamek pamiętnika i zachować pamięć człowieka, którego imienia ledwie się domyślać możemy. Kamień grobowy pozostał:—nazwisko z niego zmyły powódzie i nogi przechodniów zatarty...

„Bądź pozdrowiona starości, co mi trochę spokoju przynosisz: błogostawię ci wieku spoczynku i rozmyślań, bez którego życie ludzkie nie byłoby pełnem. Wszystko tedy dokończone, z rękami założonemi na

piersi wystygłe, siedzę otoczony grobami wśród wielkiej ciszy wieczora i patrzę jak mi słońce zachodzi... na wieki wieków!

Myślą zbieram chwila po chwili uczynki moje jak paciorki różańca i przesuвам je nawleczone wspomnieniem, modląc się i płacząc.

O biedneż to życie nasze, kiedy ja sam, com je przebiegł, ledwie dziś z niego myślą pochwycić mogę kilka chwil, a gdyby mi przyszło odeśnić dzień po dniu, i połowybym go już nie potrafił przypomnieć. Wszystko przeszło, utonęło, a ocalałe reszty pływające po morzu, lada dzień fala rozkruszy na proch i drobiazgammi na nieznany brzeg wyrzuci.

Kocham jednak to wczoraj moje i wspominać je lubię, choć gorzkiem mi jest, a długie dziś godziny niem tylko zajmuję i rozjaśniam. Nikomu się to pewnie na nic nie przyda, że żywot mój, a raczej część jego tylko spiszę próżniaczą i drżącą już ręką; ale to dla mnie starca jakieś zajęcie i zabawka. Zdaje mi się, że tak przebiegając życie, drugi się je raz przeżywa. Wreszcie co robić? jak długie godziny zająć? Nie zawsze modlić się można, nie co dzień ma się ludzi i ucho powolne.

Pamiętam dobrze dom rodziców moich, którego dach dziś moich synowców pokrywa, krwią ze mną związanych, ale wiekiem i wyobrazeniami obcych dla mnie. Nie dano mi było ani żyć długo pod tą strzechą, ani tu wieku dokonać. Mieszkali rodzice moi naówczas na tym skraju Litwy, a raczej Rusi litewskiej, który się ponad Bugiem od Brześcia Litewskiego rozciąga. Strona ta pozostała dla mnie rodzinną i gdy mi się chce odetchnąć nieco i orzeźwić wspomnieniem, tam biegnę myślą, nad Bug, Szczarę i Jasiołdę. Chociażem dawno tu nie bywał, jeszcze mi ta okolica żywo przytomną cała i dziwnie piękną się wydaje. Może się to zmieniło latami, ale podówczas Brzeskie było cichym i ubłogo-



stawionym kątem. Ziemia w niém nie wszędzie urodzajna, piaszczysta, jednak lepsza niż ku Grodnu; lasy bardzo piękne, piaszczyzna poprzerzynana to gajami brzozowemi, to sosnowemi borami, to niezmiernemi błoty, po których brzegach śliczne olszyny wznoszą się wiecznie od pniów odrastające. Pamiętam i zapach tych brzóz i olch wiosenny, i czerwone jakby krwią oblane pnie ich, długo po ścięciu świadczące o barbarzyństwie człowieka. Wioski dosyć były gęste, a dworki przy nich szlacheckie schludne, czystiotkie i miłe. Pańskich rezydencyj nie było wiele i dóbr rozległych także, ale nasz szlachecki żywot wiejski ziemiański, kwitnął tu swobodnie. Na całej wielkiej przestrzeni kraju tego, rzekłbyś jedna rozrodzona mieszkająca rodzina, tak z sobą żyliśmy zgodnie, w pokoju i przyjaźni serdecznój. Dworek ze dworkiem mało który bliżej lub dalej przez kogoś nie był spowinowacony, jeden rodzaj życia prowadzili wszyscy, jedno kochali, jednym oddychali, a do ochoczój pomocy każdy dla brata był gotów. Zwali się wszyscy braćmi, i nie było to czcze słowo, ale wielkiego znaczenia wyraz, malujący stosunki chrześcijańskie społeczeństwa. Ani partyj, ani podziału na stronnictwa, ani różnicy w sposobie pojmowania rzeczy nie było i być u nas nie mogło. Nikt się nad drugiego nie wynosił, ani chciał rej wodzić: prawdziwa to była republika, do której garnęli się i możniejsi nawet, ściskając pana brata bez obłudy, boć z nim żyć musieli i bez niego się obejść nie mogli, a wówczas jeszcze wychowanie i pojęcia nie tak bardzo klasy rozróżniały.

Z dworku do dworku w killach płóciennych, z laską w rękę szedł szlachcic do szlachcica, jak do rodzzonego brata, a wszystko się tu znało i kochało i niedaleko szukając związków, żeniło i wiązało do kupy jeszcze mocniej. Sami to byli kumowie, szwagrowie, powinowaci, i rzadki nie nazywał drugiego po imieniu

i pokrewieństwie. Starczyło to za tytuły. Gdy niestało wyrazów na stosunki, mianowano, to cioską, to rówieśnikiem, to kolegą, zastępując pokrewieństwo, a zawsze węzeł jakiś musiał łączyć z sobą wszystkich w spójną i nierozzerwaną całość. Pokazał się obcy, to go naprzód badano, czy jakiego Brześcianina nie miał w familii i w pół godziny już go zwano panem bratunkiem, lub siostrzanem, choćby po prababce. A stosunki te nie były tylko w słowach i wyrazach próżnych, pociągały one za sobą obowiązki, które ściśle spełniano. Wszyscy ujmowali się za jednego, gotowi byli z pomocą, z radą, i na myśl nikomu nie przyszło od jakiegokolwiek wymawiać się postugi.

Broń Boże dopustu ognia, tośmy bywało wszyscy zaraz kupą pogorzela ratowali, i drzewem, dobytkiem i czem kto mógł i jak kogo stało. W biedzie u tóżka chorego mieniali się sąsiedzi; na pogrzeb niepotrzeba było zapraszać, ale też i chrzciny bez sąsiadów nie obeszły się.

Ówczesne szlacheckie życie inaczéj też wyglądało niż to, na które się dziś zanosi: bliżéj byliśmy chłopka i prostoty patryarchalnéj, niewiele człek potrzebował, na małym przestawał, a do głowy nikomu nie przyszło gwałtownie się fortuny dobijać. Utrzymać co Bóg dał po rodzicach, zaszczędzić na czarną godzinę umieliśmy, ale z nas nikt nie pragnął nazbyt wiele, ba! i użycia tego nie byłby zrozumiał. Każdy kochał swoją wioszcynę i nie zamieniłby jéj na najwspanialsze pałace i klucze, a gdyby mu dawano nie wiem wiele zysku, nie sprzedałby jéj dla z bogacenia się. Dziś to zupełnie inaczéj i nie wiem czy lepiej. Obojętni jesteśmy na pamiętki i nie przywiązujemy się do miejsca; skończy się na tém, że i dla kraju będziemy zimni: jedno za drugim idzie. Kto zaczyna od tego, że mogiły ojców dla margosza frymarczy, ten daléj i całe wielkie cmentarzysko wieków, w którém się urodził, sprzedać będzie gotów.

O ile sobie przypominam ówczesne życie na wsi, inny ono miało charakter i znaczenie. Przybyszów między nami i przybłędów tak jak nie było, wszyscy swoi, spójnia między nami wielka, miłość wielka i związek, jakiego dziś już nie widać.

Wkradł się zbytek i próżność, poczęliśmy iść na wyprzodki i stare musiało się odmienić. Już dziś więcej się chce błyszczeć, niż spełniać co do kogo należy; zdaje się to nic zrazu, ale wielka rzecz w istocie rozpaść miłość własną ludzi. Ten i ów dla niej zaszargał się, wyprzedał, wychrzta po nim ziemię kupił, dalej drugi i trzeci Niemiec, któremu wszędzie dobrze, byle b. r. d. Ot nowe życie weszło i społeczność się rozsypuje na części, kleju dawnego niestało, bo są rzeczy, których nakleić niepodobna jak żelazo z czerepem.

W tamtych czasach, które pamiętam, choć ludzie byli ludźmi, ale więcej powiem, ogół tyle miał w sobie braterstwa i miłości, że potęgą tych świętych uczuć, nawet obce sobie pierwiastki przyswajał i pokonywał. Trafiło się i Tatarą, i żyda neofitę z obcych stron przywłokę widzieć, których już dzieci i wnuki tak z nami się zrosły, jakby od wieków tu żyli. I nie tęskniło to już po niczym, bo miało rodzinę. Na większą skalę dowód tego był na Tatarach, którzy się z nami tak zrosli, że mimo jedności wiary i pochodzenia, kraju od Turka i Perekopców bronili nie gorzej od innych. Krzyczą na żyda i ja sam się nim brzydzę; prawda, że nas ssał nieraz, ale zapominamy, że i w nim często odzywało się serce i przywiązanie do szlachty. Nie ma co już nawet mówić o wieśniaku, bo z tym dziedzie był jak z bratem. Do jednego chadzali kościołka, chrzcili sobie dzieci nawzajem, wspomagali się wzajemnie, a czasu żniwa siadłszy na półkopku, pan dziedzie tak gawędził swobodnie z chłopkiem i tak mu się dawał wywnętrzać, jakby się pod jedną urodzili strzechą.

Jużto w ogólności pod owe czasy jeszcze kraj cały żył i myślał jedno, a choć się trafiały i waśnie i procesa i kłótnie, bo bez tego być nie może, tak były wyjątkowe i chwilowe, że nie spoczliśmy, póki się to nie zatarło i nie zagoiło. Ledwie szlachcie z sąsiadem się podrapał, wiele nas było, jeździliśmy, chodziliśmy, pośredniczyli wszyscy póty, póki sobie rąk nie podali. Zamiast ogień rozdmuchiwać, gasił go każdy i zalewał jako mógł. Bo takie rozdrażnienie bolało zaraz wszystkich i dawało się czuć nieprzyjemnie całemu bractwu: już że potrzeba było oglądać się kto jedzie, ażeby się tam jeden z drugim nie spotkał, żeby w domu nie mieć historyi nieprzyjemnej, a jak się zejść, a co gadać, żeby nie obrazić: więc z tém długo wytrwać nie było można. To téż bywało jak się wezmą wszyscy, jak poczną jeździć, gadać, namawiać, prosić i zaklinać, to najtwardsze serce się zmięczy, i największa musi uleść obraza. Tożto potem radość, to przyjaźń serdeczna, to ściskania i całowania bez miary między pojednanemi, jakby chcieli czas stracony w kłótni odzyskać.

Dziś, choć się to do tego nikt nie przyzna jawnie, dla reszty poczciwego wstydu jakiegoś, każdy sobie i dla siebie: gotów popchnąć z kładki, byle sam przeszedł suchą nogą. Wówczas nie o sobie się jednym myślało, ale jakby było lepiej dla wszystkich. Już niech sobie co chcą gadają ci, co tego nie rozumieją, ale to była *republica re et nomine* zarazem, i taka jedność serdeczna, jakiej może nigdzie na świecie nie zobaczyć. Nawet jeśli się kłóciło, to po bratersku i pociachu, a sprawy kończyły się w kącie, żeby za granice powiatu nie wychodziły. Człtek nie potrzebował do zbytku przemyślać o sobie, bo myśleli o nim wszyscy potrosze, i jeszcze nie dopatrzył się czasem co mu czynić wypadato, a już mu dziesięć rąk wskazywały kędy droga bezpieczna.

Nie powiem tam, byśmy aniołami byli, bo mało aniołów na ziemi Bożej i prędko ich powołują niebiosy; ale inny był taki świat, i dalipan lepszy od dzisiejszego. Piszą, jakoby ziemia powoli stygła: bodaj czy także i nie ludzie.

Gdzie to podobieństwo do naszego szlacheckiego żywota w Brzeskiem, jak ja je w młodości mojej pamiętam! Trudno to opisać, a ciśnie mi się tysiąc szczegółów, którychbym na wołowej skórze nie pomieścił; ma-luczkie rzeczy, a każda znacząca. Trzeba było widzieć jak się to szlachta zjedzie do kościołka na odpust do Zbirowej, albo do Berezy; co Bogu to Bogu, ale potem i aniołom w niebiesiech miło być musiało popatrzeć, jak to się witało, ścisnęło, radowało i kochało co żyło. Toś tylko słyszał całowania, uśmiechy, pytania, a wszystko takie, jakby się to rodzeństwo zjechało po długim niewidzeniu. Nawet nieznajomi inaczej wówczas byli przyjmowani jak dzisiaj. Teraz nieufnym spogląda się okiem: a nuż przybysz nie myśli nam co wydrzeć, a broń Boże nie mali złych zamiarów, wita się człęk i obawia; to pierwsze uczucie na widok obcej twarzy. Wówczas się garnęło, zapraszało i pierwsze uczucie było wyszukać stosunku, znaleźć powód kochania, pomódz, wesprzeć, zaprosić. Niechby się w niedzielę pokazał człęk podróżny, nieznany w czasie nabożeństwa, tobyśmy spokoju nie mieli, ażby go kto poprosił, ażby go ugoszczono i poratowano, skierowano w drodze i opatrzone jak brata. Społeczność przygarniała miłością ku sobie i pracowała nad powiększeniem się prawdziwemi skarby; dziś każdy członek z osobna się obmurowuje, odosabnia, wydziela i na klucz zamyka. To téż osobliwsza to teraz dla was zagadka, jak ci starzy ludzie, śmieszni często, niebardzo wysoce wykształceni, prości, trochę przesadni, w wielu swych dziełach byli potężni. Cóż to robiło?—oto duch miłości

chrześcijańskiej, jaki w nich gorzał, którego ani rozum, ani nauka, ani żadna siła nowa nie zastąpią.

Ta spójnia człowieka z ludźmi nie wyradzała wcale niewoli: siodką była i swobodną. Czyniło się wedle serca, wedle obowiązku to właśnie, co najpewniej do szczęścia prowadzi. Pragnienia były ograniczone, pojmowano lepiej życie i rozumiano, że czy wyżej trochę, czy nieco niżej się żyje, byle poczciwie, wszystko to koniec końcem jedno.

Pogarda zbytku i zniewieściałości przyczyniała się wielce do dania hartu ludziom i uczynienia ich swobodnemi. Fraszka to na oko, że się człowiek przyzwyczai do miękkości, alić nie obejrzy się, jak mu te róże na których śpi, w kajdany się przemienia. Przywykł do czegoś tam, ot zabrakło: oho! już i podłość gotów spełnić, żeby mu nie dokuczał niedostatek rzeczy, z której sobie nałóg dobrowolnie uczynił.

Nic prostszego nad to dawne życie nasze, jak ja je u rodziców pamiętam jeszcze: człowiek musiał być szczęśliwy, bo nie pragnął nic, czegoby mieć nie mógł. Wszystkie, i najmajętniejszej szlachty dwory prawie na jedno podobieństwo stawiane były, a miał kto liczniejszą z łaski Bożej rodzinę, to alkierz z tyłu przyczepił. Dachy pod słomą, ściany z drzewa... wszędzie sernik piętrowy w dziedzińcu i stajenki i gumna pod jedną formę stawiane, z krzyżami wyszywanemi na dachach. *In hoc signo vinces*. Nie było dworu bez krzyża; a szło o to szlachcicowi, nie żeby u niego lepiej i okazańiej było jak u drugiego, ale tak samo nie inaczej jak u wszystkich. Toż w stroju, toż w życia sposobie; dostał kto co nadzwyczajnego, zaraz się dzielił i rozsyłał, żeby to nie u niego jednego było tylko, hoby smutno mu było samemu używać. Jeżeli się trafiło bodaj większego złapać szczupaka, obdzielali się nim po dzwonku sąsiedzi, lub zapraszali nań (*lucium a cauda* najstarszemu ofiarując). A taki

to był święty nałóg, że ani pić, ani jeść samemu się już nie chciło. I gdy szlachcic sam jeden chwilowo został we dworze, to choć ekonoma, pisarza, lub ciwuna do nisy zawezwał, boby mu w gardło nie szło, gdyby do stołu siadł samotnie.

Już tam zazdrość miejsca mieć nie mogła, ani pociecha z cudzej biedy niepoczciwa; owszem najrzałoli cudze oko co u sąsiada szkodliwego, wnet o tém znać dawało, jeśli samo zaradzić nie mogło. Upadki lęz fortun, jak nabycia i wzbogacenia się gwałtowne i nadzwyczajne, miejsca tu mieć nie mogły i nie miały.

Nie dorabiano się majątków, ale czasami składały się tak okoliczności, że go jeden więcej dostawał niż drugi; wymarli krewni, zebrały się spadki po rodzeństwie i na jedną głowę znaczna przeszła majątność. Tak ze szlachcica stawał się ktoś panem, a w trzecim pokoleniu rozrodzonem, znowu na szlachetkę przechodził. Znałem wsie takie, gdzie tyle prawie dziedziców, ile włościan było. A gdy się komu losem więcej dostało, nie zmieniał wcale fantazyi, ani życia sposobu; poczuwał się do większych obowiązków i spełniał je pocichu, szanowano go za to co uczynił, i po wszystkiem. Choć się to później wyrodziło i popsuło obcemi wpływami, ale w pańskich domach starych długo widać było ślady takiego pojmovania szafunku majątności. Którężeto dom nie chował secinami ubogiej szlachty, panien respektowych, rezydentów i t. p. Potem się to przerobiło na narzędzie wpływów i stosunków, ale pierwsiastkowo było spełnieniem braterskich obowiązków. Pamiętam jeszcze podkomorzego Burtyłowicza, który miał wioskę porządną, choć się bogatym nazwać nie mógł: ożenił się był, owdowiał bezdzietnie i postarzał, gdy wtem umiera mu brat rodzony, potem stryj jeden i ciotka, wszyscy jakoś bezpotomni, i w lat trzy Burtyłowicz staje się całą

gębą panem. Przypominam sobie jak wielce tém zafrasowany przyjechał do ojca mego po radę.

— A co ja z tém będę robił? mówił: dwóch żołądków nie mam, żebym więcej zjadł, ani mi to potrzebne, a kłopotu przez wierzch głowy! Poradźże mi asindziej jak tego użyć, boć niedarmo to Bóg dał w ręce, trzeba zrobić jakiś użytek. Mnieby się już chciało spokoju, a tu praca na stare lata nad siły.

I nie pomyślał podkomorzy, żeby używać, ale się troskał jak tego dopilnować, żeby nie przepadło, jak to na dobre obrócić. Dorozumieć się łatwo, że taki człowiek z poczciwemi chęciami nie zmarnował fortuny, ale trzeba go było widzieć, jak nie przez chciwość, jeno z uczucia obowiązku świętego jeździł, gospodarzył, troskał się około tych wiosek, które później w najlepszym stanie krewnym ubogim rozpiisał. Radzili mu, żeby się ożenił: i mógłby być wziąć kogo chciał, ale miał ten rozum, że tego nie zrobił. W końcu na dewocyi osiadł przy klasztorze Dominikańskim w Brześciu, dwa tysiące złotych warując sobie na utrzymanie, i z uśmiechem na ustach powróciwszy z prymaryi, życia dokonał.

Jak go jeszcze pamiętam, to więcej było daleko widać frasunku na jego twarzy, niż radości z tego przybytku, bo miał to przekonanie, że majątek jest powierzony człowiekowi do szafunku, nie do użycia osobistego i używać go nie może uczciwie, jeno w miarę pracy jednając sobie do tego prawo.

To też nie widzieliśmy w naszym kącie ani owych dziwnych, szybkich, a podejrzanych dorabian się majątku, ani katastrof i ruin, jakie potem w ślad za nimi przysłyły. Nikt nie sprzedawał ziemi, bohy to bez konieczności za świętokradztwo prawie było poczytane, nikt nie myślał o zakupywaniu więcej niż mógł dojrzeć i zagospodarować. Dziś ziemia stała się towarem, jak i wszystko, ale nią nie była dawniej.



Przywykliśmy większą do niej przywiązywać wagę, a kłoby lada groszowitemu przybłędowi dla garści pieniędzy marnych zbył ojcowiznę, ocożoby był między ludzi pokazać nie śmiał.

Dziśto naturalna droga sprzedać, tanio kupić wioskę, zarobić na niej i znowu nabywać w widokach zysku; dawniej dzikoby na takiego patrzano, coby śmiał o podobnym frymarku pomyśleć. Powoli przyszliśmy do wcale innego stanu i pojmovania rzeczy, a że to wyrabiało się stopniowo i nie nagle, dziś zdaje się naturalném i całę godziwém, na coby przed stu laty ojcom włosy na głowie powstawały.

Może być, że ten kął, o którym mówię, przechował od innych dłużej stare obyczaje i wyobrażenia, ale ja go jeszcze takim pamiętam.

Ojciec mój nie był bogatszym od innych, bo tam jakoś ziemia się na równe prawie dzieliła części: osady były niewielkie w ogólności, a rzadko która wioska nad trzydzieści chat liczyła, co się już nazywało majątnością znaczną. Były i takich, nawet więcej. Wioseczki po chat dziesięć i piętnaście, całkiem odrębne. Niemal jedną formą, jakem powiedział, stały wszystkie dwory i zabudowania u gaju olchowego, co je od północy zastaniał, wpośród starych grusz i jabłoni sadu, w którym dziećmi na smolanki i sapieżanki polowaliśmy.

Nasza rodzina jak zapamiętam, składała się z jegomości ojca mojego, matki mojej, starszego brata, siostry i stryjecznego ojca, który u nas przemieszkiwał, bo swojego nie miał kąta.

Gdyby kto tak dziś ubogiego krewniaka bez sukni na grzbiecie i bez grosza w kieszeni przyjął z łaski do domu, nie inaczejby to pewnie uczynił, jak dając mu uczuć bez ceremonii wielkie dobrodziejstwo swoje. Wówczas i to inaczej się działo: zawsze gość był gościem, i łaskę czynił temu, pod czyj się dach schro-

nił. Nigdy rotmistrz nie uczuł się upokorzonym, ani draśniętym, bo mu pilnie starano się ośłodzić przykre jego już samo z siebie położenie. My dzieci szanowaliśmy go na równi z ojcem, a gospodarz sadzał go zawsze na pierwszym miejscu, matka czuwała nad jego wygodami, a kiedy rozczulony starowina chciał sam być w czém pomocnym i posłużyć za kawałek chleba, nigdy mu nie pozwolono pomyśleć nawet o jakiejś wdzięczności. Dobry uczynek zyskiwał jeszcze na tém, jak go spełniano, nie dając poznać ofiary, dziękując za to, za co się należała wdzięczność. Znosiliśmy czasem i kaprysy rotmistrza, my i rodzice w pokorze i milczeniu.

Ja i starszy brat oddani byliśmy do szkół księży Piarów do Lubieszowa, bez szczególnych o nasze wychowanie zabiegów, ale pod dozór dalekiego krewnego, który tam był podówczas prefektem. A choć w domu był dostatek i rodzice nie ubodzy, nie wypieszczano nas wcale hartując do życia. Jeździliśmy prostym wozem do szkół i na wakacje, staliśmy u mieszczanina we dworku, a jedli co Bóg dał: krupnik i kartofle najczęściej, jajecznicę z kiełbasą od wielkiego święta. Nie strojono nas i nie chuchano nad nami, a zdrowośmy i krzepko wyrosli. Między mną a bratem rok tylko był różnicy wieku, to też szliśmy w szkołach razem prawie, a że on nie miał szczególnych zdolności, często mnie łatwiej przychodziło niż jemu, bom pamięć miał okrutną, Ja też pilniej się musiałem przykładać, mając przed sobą czynniejsze życie, bo nami tak rozporządzono *salva melioratione* od kolébki, że brat miał pozostać przy wiosce i siostrę spłacić, a jam powinien być szczęścia i doli szukać sobie po świecie. Nie byłoto wydziedziczenie, bo mi kiedyś rodzony miał zapłacić co należało i kapitał u ks. Sapiehów ulokowany miałem dla siebie przeznaczony, ale fundum powinno było zostać przy starszym. Naówczas

w młodej głowie nie powstało nawet, żebym miał kiedy rodzinnej strzechy pożatować, i uśmiechał się świat, w który puścić się miałem. Brat mój znowu więcej do gospodarstwa czujący powołania, rad był także ze swojego udziału.

Nieboszczyk ojciec nasz był człowiekiem w całej okolicy wielce szanowanym i na poszanowanie zastępującym. Prosty wieśniak i hreczkosiej, ale poczciwość i szlachetność chodząca, rozum zdrowy, serce młode i ciepłe. Rzadko za dom wyruszał, ale téż to życie nasze szlacheckie, klórego był członkiem i spółnikiem pojmował i znał, jak nikt lepiej. Tradycye szlacheckie i ducha starego miał w sobie jak mało ludzi. O mil kilkanaście przyjeżdżano się go radzić, a w sprawach zawitych nigdy się bez jego uczestnictwa nie obeszło. Gospodarz był zawołany i to nie dla grosza wcale, ale wprost z jakiejś można rzecz namiętności i miłości pracy. Kochał ziemię, lubił swoje hydełko, bawiły go kłopotliwe dla innych zajęcia gospodarskie, nie wyłączając żadnego. Całe dnie bywało odziewszy się stosownie do pory pracuje z ludźmi uśmiechając się, żartując, nie rzadko i własną ręką coś robiąc. Na obiad przyjdzie, zje wesół, otrze usta i znowu rusza. Już jak raz do gumna schował zboże, to tam się o sprzedaż niebardzo troszczył i na małkę ją zdawał, która lepiej sobie z tém poradzić umiała; ale do siejby, do żniwa, do zwozu nie wyręczał się nikim. Powiadał on zawsze: wszelka praca poczciwa, ale najszlachetniejsza około roli, i ta najlepiej szlachecowi przystała. Była mu ona najmilszą razem pracą i zabawą. Kiedy w jesieni rzucone ziarno poczynano nad czarną wytryskać grzędę, zielone i rumiane puszczając kielki, to biegał co rana niespokojny, to śledził i rozpowiadał, nagadać się o tém nie mogąc, jak to się ruszało i rośło. Każdy zagon znajomy mu był doskonale i z góry odgadł, gdzie, co i jak wyrośnie.

W każdój porze roku znajdował jakies tego rodzaju zajęcie: zimą około dobytku w oborach, przy owieczkach i koniach. A pomimo tego zamiłowania i takiój zapobiegliwości, nikt nadeń święciój i cierpliwiój przeciwności nie znosił. Kiedy mu burze i grady zboże powybijały, a matka płakała, to się bywało aż gniewał.

— A coto nasze, czy co? mawiał do niój. Boskie to moja jejmość nie czyje, i Bóg z tém czyni co mu się podoba. Z głodu nie pomrzemy, z torbami nie pójdziem, a dobrze, że nam Bóg przypomni, iż my tu Jego kmiecie, On zaś sam gospodarz.

— Żal mi waszeci, mówił nieraz do mnie, że ci wypada innego chleba skosztować i gospodarstwa się podobno wyrzec przyjdzie. No! ale taki choć na starość, musisz do roli powrócić, boto nasze przeznaczenie: jeżeli nie wojak, to hreczkosiej, i bodajto zagon w pocie czoła uprawiać. Nie ma życia jak na wsi. Niemcy i przybysze miasteczka pobudowali, w których śmierdzi i ciasno; szlachcicowi nie żyć w tym barłogu, a wlezie tam z biedy, to sparszywieć musi. Pamiętaj to i taki prędzój późniój na wieś powracaj, bo tu jedno poczeiwie Boga można chwalić i szczęścia pokosztować.

Stało się, jak mówił stary ojciec: gospodarzyłem potrosze i gospodarzuję niby jeszcze, ale mi popsulemu nie smakuje to zajęcie, jak mite było staremu naszemu patryarsze.

To życie nieustannie czynne nie dawało mu się zestarzyć, i choć nie młodo skończył, do ostatka się jeszcze gospodarstwem zajmował.

Przeszliśmy szkoły pijarskie i ja i brat mój bez wielkich sukcesów: ale pilnie się ucząc, wynieśliśmy z nich to, co wówczas wszystkiój naszej braci na drogę życia dawano. Umieiliśmy dobrze po łacinie, bez czegoby człowiek okulał, trochę arytmetyki i matematyki i maluczko obcych języków. Gdyśmy

powrócili do domu razem, ojciec brata przy sobie zatrzymał, chcąc go wdrożyć do gospodarstwa, a mnie z listem wysłał do książąt Sapiehów do Kodnia, obli- gując o protekcyą i pokierowanie na świecie.

Może znając bliżej ówczesny skład dworu i rodziny książęcej nie byłby ojciec tego uczynił, ale po staremu ani się domyślał, aby w tej pańskiej rodzinie, do której zdawien dawna, z dziada, pradziada należeliśmy krwią i stosunkami nieprzerwanemi powiązani będąc, tak się wiele rzeczy odmienić miało.

Wkradła się tam przez podróże i obcowanie z dworem, przez nieogłędne małżeństwa pańskość nie nasza i nie republikańskiego ducha. Podania stare, na których stał kraj i domy, zapomniane zostały, a rwano się do naśladowania obczyzny, której nie rozumiano. Zład i to nawet, co gdzieindziej w związku będąc z całością i z nią wyrosłe, dobrem być mogło, u nas stało się zgubnem, przesadzone na inną ziemię i nietrafnie przyczepione do naszych obyczajów. Dwór Sapiehów w Kodniu nie był już na starym zamku rycerskim, w którego podwórzu stała kaplica uświęcająca gród wodza: wyniósł się poza miasteczko do ogrodu, który zakładano wielkim sumptem i drewnianego dworu o kilkudziesiąt salach i pokojach.

We wszystkiém, co człek czyni, jest jakieś zna- czenie: było i w tém na pozór obojętném porzuceniu starego zamku, a budowaniu się nowém i do innych potrzeb zastosowaném. Czasy rycerstwa minęły i ten co stał na straży pilnej, przenosił się w szerszą dolinę, odetchnąć świeżem powietrzem wśród dzikiej pro- menady, zabawiać w wielkich salach.

Zastałem dosyć nieładu w Kodniu; książęta po- dróżowali naówczas i w domu ich nie było jak zwy- czajnie. Niemiec i Polak gospodarowali za wojewo- dzica, jeden w dobrach, drugi we dworze, a księżna pani zajmowała się interesami, które nie musiały być

w najlepszym stanie. Okazałość była jeszcze wielka, ludu dosyć, ale mnie to uderzyło zaraz, że dwór cały jakoś z cudzoziemska wyglądał. Zamek się pomatu walił, a pałac dźwigano nie podnosząc go. W jednej oficynie uczyła się kapela, w drugiej przerabiano mundury regimentu na fazę zagraniczną. Kancelarya była liczna, darmozjadów mnóstwo, krzątania ogromna, porządku nigdzie. Księżna sama w towarzystwie generała K. i sędziego M. dwóch swoich tołumfackich, cały dzień pisała listy, lub siedziała zamknięta i nieprzystępna, a koło niej robili co chcieli otaczający, niebardzo oglądając się na jej rozkazy.

Możebym nie został przyjęty na dwór i odprawiony tylko z grzecznym do ojca odpisem, gdyby nie ta summa, którąśmy mieli u książąt Sapienhów, bo księżna zapłacić jej w tej chwili nie mogąc, poniekąd zmuszona była mnie zatrzymać. Nazajutrz po przybyciu mojem zostałem jej przedstawiony przez sędziego w nowym domu drewnianym. Sala była duża, tylko co jako tako dokończona, ale zastawiona meblami przepysznyemi, choć niedobranemi, bo je widać z różnych rezydencyj pościągano dla przybrania nowego pałacu, który się budował włoskim zupełnie smakiem. Księżna siedziała za stołem zarzuconym papierami i odwróciła się ku mnie z badawczym i śmiałym wejrzeniem, które mnie oczy spuścić zmusiło. Wzrok jej był dziwnie przeszujący.

— Cóżbyś to ja dla Wpana zrobić mogła? i jak go tu pomieścić?—zapytała mnie.—Nie masz Wpan ochoty do wojska?

— Do artyleryi wątpię, ażeby był usposobiony—podchwycił sędzia—a gdzieindziej dziś go trudno ulokować stosownie.

— Pisziesz dobrze? he?—spytała księżna pani—tobym mogła zostawić go przy kancelaryi?

Charakter ręki miałem staroświecki trochę, ale dosyć wyraźny i czysty, chwalić mi się jednak z nim nie wypadało; odpowiedziałem więc skromnie, że wyraźnie i czysto pisać potrafię.

— A prędko?—zapytała wojewodzicowa.—O! najlepiej spróbować, dodała żywo, robiąc miejsce u stołu.—Siadaj Wpan i pisz, a śmiało.

Wskazała mi miejsce obok siebie, sędzia uśmiechając się przysunął papier i kałamarz, księżna wstała i chodząc po sali, a przeglądając się w lustwach zaczęła dyktować. Chociaż miałem dosyć wprawy, ale się z tego nie mogłem dobrze wywiązać w żaden sposób. Poczęła tak żywo sypać mi wyrazami, mieszając co chwila francuzkie, łacińskie i polskie, że na drugim wierszu ustać musiał zawstydzony, i poplątałem się wiekuiście. Sędzia śmiał się ze mnie, jam się niezmiernie zapłonił, księżna spojrzała tylko na charakter i ten się jój widać podobał.

— Zostaniesz przy mojej kancelaryi — rzekła z uśmiechem i wejrzeniem dosyć łagodnym. Niechże go tam umieszczą, dodała, odwracając się do sędziego.

W taki sposób przy dworze kodeńskim zatrzymany zostałem, nie wiedząc na jakich warunkach i do czego, bo księżna o tém odpisała tylko ojcu memu, mnie zaś mało do czego używano zrazu. Dali mi zaraz izdebkę w starłej oficynie nad wystawą, miejsce u stołu marszałkowskiego, codzień chodziłem do kancelaryi, gdzie mi kiedyniekiedy coś przepisywać kazano, a większą połowę dnia miałem wolną.

Na dworze téż tym było swobody do zbytku i choć czasem wybuchał rygor nadzwyczajny po jakiejś awanturze, to znowu po niejakiem czasie puszczano nam cugle bez miary.

Przy księżnie, która całe to lato bawiła w Kodniu, fraucymer był bardzo mnogi, ale wśród ubogich panie-

nek szlacheckich, jedną tylko odrazu zauważyłem i podobno dla niej w Kodniu pozostałem, choć mi się zresztą to próżniacze życie niewiele podobało.

Mogłem mu być rad jako młody człowiek skłonny z natury do próżnowania i zbytnej wolności, podobało mi się czasem, że mnie tu nikt do zbytnej pracy nie pędził, ani tak bardzo wglądano w czynności; ale obok tego tak wpojone mieliśmy uczucie obowiązków i surowsze ich pojęcie, że mnie ta swoboda nieograniczona niepokoiła jakoś i w sumieniu gryzła. Nie widziałem do czego by mnie to na przyszłość prowadzić mogło, że mnie czasem całe leżał do góry brzuchem, świszcząc w pustej mojej izdebce, lub po ogrodzie chodził za pannami, albo w kancelaryi popisawszy pół godziny, na polowanie w nadbużańskie łągi i wyżary ruszał.

Byłbym zaraz pewnie inaczej o sobie pomyślał, gdyby nie jedna istota, która mnie i do tego dworu i do miejsca i do życia przywiązała. Tyle lat od tego czasu ubiegło, a jeszcze bez wzruszenia opisać nie potrafię, jakem ją pierwszy raz zobaczył, i jakie na mnie uczyniła wrażenie. Choć chłopiec byłem dobrze pod wąsem, nie śniło mi się wcale o ożenieniu i kobietach; wiedziałem dobrze, że o tém myśleć nie powinienem, sercem miał spokojne, a choć się pożartowało patrząc na drugich, że to czynili, namiętności nie rozpasane dzięki Bogu spały jeszcze spokojnie. Byłem przytém z natury więcej skłonny do czi i poszanowania, do rycerskiego przywiązania dla niewiasty, niżeli do płochych jakichś zalotów. Nicem jeszcze w życiu nie widział, coby mnie popsuć i rozczarować mogło, a kobietę stawiałem tak wysoko, otaczałem taką światłością, że przed nią, jak przed niezemską istotą bił czołem. Odwracałem zawsze w ciągu życia oczy od wszystkiego, coby mi inne wyobrażenie o świecie dać mogło, a wówczas czysty jeszcze byłem i spokojny na duchu, widząc w kobietach matrony święte, żony zacne i anioł-



ki cudnego wdzięku, a niepokalanéj czystości. Dlatego oczyma wodząc po świecie, rychléj w górę niż na dół spoglądałem, szukając czémby wzrok i duszę pokarmić. Wszystko to jeszcze dziś tak mi jest przytomném, jakby dopięro wczoraj przebyte: najdrobniejsze okoliczności i jaki był dzień, i jak wyglądała ziemia, którą deptałem, i jaki zapach rozchodził się w powietrzu, doskonale pomnę.

W ogólności na dworze księżnéj dosyć było swobody i wesołości: panny respektowe i my choć z zachowaniem wszelkiéj przyzwoitości i pod okiem starszyny schadzaliśmy się wieczorami w Placencyi, owym ogrodzie przy pałacu założonym. Ale ja byłem trochę dziłki i choć mnie do tego ciekawość ciągnęła, a towarzysze namawiali, żebym z niemi szedł do panien, odkładałem od dnia do dnia, obawiając się po części, abym jako prostak wyśmianym nie był. Czułem instynktowo, że tu się dziwnie jakoś wydać ja muszę z tego, jak mi się oni wydawali. Nie byłem ani tak wytworny, ani tak śmiały, ani tak swobodny i pewien siebie jak oni. Znacze mnie było lubieszowskich uliczek wychowańca, który jeszcze żadnego dworu i świata nie widział. Musiałem się wprzódy nieco otrzeć i ostrzelać, nimbym śmiało mógł się pokazać. Rzucając więc ukradkowo wzrok na wszystko co mnie otaczało, ucząc się obyczajów miejscowych, więcéj w mojej izdebce nad wystawką i w kancelaryi siadywałem, niżelim się pokazywał w liczniejszych zgromadzeniach i zabawach dworaków. Postrzegłem wkrótce, że tu najwięcéj zależało na śmiałości, której mi w sobie jakoś trudno było wyrobić. W ogóle to miał wielce dobrego cały dwór księżnéj, że choć się tam, jak wszędzie, młodzież do śmiechu i pustoty skłonna przedrwiwała trochę z siebie i z nowo-przybyłych, ludzie jednak to byli prawie wszyscy serdeczni, poczciwi, nie zazdrośni. Mnie téż nie mieli czego zazdrościć, ani względów saméj pani, bo ta umie-

ściwszy mnie w kancelaryi, ani się już o mnie zapytała, ani wysokich protekcyj, bo tych nie miałem, ani szczególnego w świecie położenia. Przy stoliku u którego ja zwykle pracowałem, było nas kilku młodych, wszystko świetniejsi i pokaźniejsi odemnie: albo Warszawiacy, albo z takich domów, w których się światu lepiej przypatrzeć mogli, a ja jeden wieśniak i człek całkiem prawie nowy.

Jak to prawie zawsze bywa między młodzieżą, w kilka czasów dobraliśmy się we dwóch ze skarbnikowiczem Mierzejewskim na dozgonnych przyjaciół. Skarbnikowicz daleko był i starszy i doświadczeńszy odemnie: proste i dobre chłopię, temperamentu bardzo żywego, nie lubiący pracy, uśmiechający się do życia, przystojnej powierzchowności, wesół i miły. Przyszłość go tak bardzo nie obchodziła, był jej prawie pewien, zabijać się robotą dla niej nie myślał, a pilnie nad wszystko było mu zakazanego owocu ukąsić. W kancelaryi ledwie czasem pióro umoczył, a że miał stryja sędziego możnego patrona i nie obawiał się nikogo prócz niego: czas trawił na przechadzkach, myślistwie i umizgach do panien.

Potrzebował się zwierzać nieustannie jak wszyscy ludzie téj natury, a żem ja najmniej mu się sprzeciwiał i nie żartował sobie z niego nigdy, obrał mnie na druha i powiernika. Przychodził bywało do mnie na górkę, kładł się na mojem łóżku, wzdychał, opowiadał, śmiał się, płakał, szeroko rozpowiadał o swoich projektach i całe niemal dni przesiadywał u mnie. On mi najlepiej dał poznać dwór księżnej, nie żeby to miał na celu, ale ciągle paplając: nie było czegoby nie zaczępił. On wreszcie wyciągnął mnie na pierwszą do Placencyi przechadzkę, która mogę powiedzieć, wpływ stanowczy na całe życie moje wywarła.

Było to późną już jesienią, ale dni mieliśmy piękne, w ogrodzie z mnóstwem ludzi pracowali dwaj Niem-

cy około zasadzania ulic, ślimaczój górkę i projektowanych przyozdobień. Chodzili tam wszyscy, począwszy od księżnej, oglądać ich roboty. Jak zaczął mnie skarbnikowicz namawiać i przymuszać, żeby zobaczyć grootę, którą z kamieni i muszli bardzo misternie z fontanną w środku robiono właśnie, takem mu się dał wyciągnąć do ogrodu... Ubrawszy się tedy przystojnie, zszedłem razem z nim na Placencją. Korzystając z pięknego wieczora cały dwór przechadzał się po ogrodzie i koło tej grotki, którą właśnie mchami obtykano, a gdy wszyscy oczy na mnie obrócili, czułem, że mi się cały krwią oblał.

Ale cofać się już nie czas było i szliśmy dalej z Mierzejewskim. Najwięcej zmieszają mnie panny księżnej wojewodzicowej, które widocznie palcami sobie przybysza ukazywały, a figlarne ich minki zwiastowały, że nie myślą nowicyusza wypuścić bez jakiejś frycówki. Szedłem tedy dalej trzymając się Mierzejewskiego, a w głowie mi się kręciło: nicem nie widział, choć oczy wytrzeszczałem na wszystko. Wtém, gdy tak pędzę, że skarbnikowicz ledwie mnie dogonić może, oko w oko na ulicy zetknęliśmy się z samą księżną panią, która szła osobno z kilką pannami, jenerałem Kurdwanowskim i sędzią M... Ustąpiliśmy się na bok zdjawszy czapki, a gdy na przesuwaną się powoli orszak oczy podniosłem, przypadek, czy wola Boża chciała, żebym spotkał wzrok ku mnie wymierzony dziwnie pięknej osoby, tuż idącej za księżną.

Piękną, mało powiedzieć, bo na wyrażenie jak mnie jej piękność uderzyła, słów braknie. Zdawało mi się, że ją już kiedyś widział, twarz uderzyła jak niby znajoma, jednak czułem, że nie z tego świata... Była to dziewczeczka lat piętnastu, niestychanego wdzięku figury i twarzy, jaką chyba na obrazach widzieć można. Niezbyt słusznego wzrostu, szykownej na podziw kibici, biała jak alabaster, wydała mi się anio-

tem z nieba zstępującym na ziemię... Wzrok jój czar-nych oczu, który tak niespodzianie napotkałem, ła- godny był, smutny i pełen dobroci uiewystawionej. Chociaż cała była niewypowiedzianej piękności, twarz, którą objąłem jedném wejrzeniem, przechodziła zda się wszystko, co wyśnić może człowiek. Takięj re- gularności rysów, doskonałości wszystkich linii, takięj całości przedziwnęj nie widuje się na świecie, gdzie tysiące okoliczności ludzką postać wykrzywiają i kale- czą. Zdarzyło się pewnie każdemu nieraz ujrzeć pię- kność na pierwszy rzut oka doskonałą, cóż, rozpatrzy- wszy się, gdy przemówiła, ruszyła się, odetchnęła, dostrzeżesz skazy pierworodnej. Tu ja jój nigdy się nie dopatrzyłem... Była regularna jak ją zowią gre- cka piękność, z wyrazem pokoju i siły na twarzy wcale nieziemskim, oko czarne słodczy pełne, usta malutkie i uśmiechnione zawsze łagodnie, czoło wy- pogodzone jak niebo dnia wiosennego... Ale tego pió- ro żadne nie określi, gdyby najmoźolniej się siliło; fra- szka szczegóły przy całości tak niewypowiedzianie cudnej, że przed nią klękać było potrzeba. Wszy- stkie twarze gaśły przy tój i wydawały mi się grube i pospolite, zbrukane, pokrzywione, ułomne... Sama księżna wspaniała jeszcze, i resztki dawnęj, a niepo- spolitéj piękności na licu nosząca, dziwnie zwiędła i zmęczoną przy nięj mi się ukazała; inne dzieweczki choć miały świeżość i młodość, jak proste chłopki przy królowęj wydawały się. Jakem stał, gdy prze- chodziła koło mnie, takem kołkiem w ziemię wrosnął i musiał mnie p. Mierzejewski targnąć dobrze za potęg, żeby z nim szedł dalej.

Nicem już nie widział nad nią, a gdy główkę obróciwszy drugi raz na nową i nieznaną sobie twarz moją spojrzęła, uczułem się tak ubłogostawiony, szczę- śliwy, że śmiercibym nie poczuł, gdyby mi wówczas w oczy zajrzała...

Księżna znać dostrzegła mojego osłupienia, tłumacząc go sobie zapewne mojem dla niej uszanowaniem, i skinąwszy dobrotliwie ręką, uśmiechając się poszła dalej, parę razy jeszcze obejrzawszy się na mnie.

Mnie już niecierpliwy skarbnikowicz rwał w przeciwną stronę, bo mu pilno było do panny Izabelli Różańskiej, w której się naówczas na złość pannie Maryannie Duninównie kochał.

Trzeba - bo wiedzieć, że u niego owo kochanie przychodziło tak dniami i odchodziło paroxyzmami, a gdy mu która co skrewiła, brał się immediate do drugiej, nigdy popróżnować nie mogąc, bo serce mieć musiał zawsze zajęte. Ciągnął mnie tedy w ulicę grabową, gdzie panny inne chodziły, i po chwili znaleźliśmy się przed fraucymerem księżnej, który śmieszkami i szeptami nas przywitał. Na czele jego szła dojrzała już panna Solska, jeszcze niebez pretensyi, ale ospowata i bardzo brzydka, figurę tylko miała szykowną, a znać o tém wiedziała, bo się wykręcała różnie, żeby ją wszystkim pokazać. Po tej twarzy, którą jeszcze olśniony byłem, dziewicze wdzięki panien fraucymeru straszliwie mi się pospolitemi wydały: panna Solska okropną, reszta nieledwie brzydką. Były tam i wcale przystojne panienki i oczki żywe i usta rumiane, ale to tak wyglądało po mojej bogini, jak zgrzebne płótno, choć czyste i białe, po szwabskiém.

Dokuczając pannie Maryannie Duninównie za to, że łaskawie spojrzała na kogoś innego, mój towarzysz minął ją, jakby nie postrzegłszy i poszedł wprost do panny Izabelli Różańskiej. Naówczasem się ciekawie wpatrzył w obie i nie mogłem w duszy zrozumieć, jak on się mógł w której z nich pokochać. Obie były brunetki wcale nieszpętne, ale wodę im było wozić za ową moją nieznajomą, która szła za księżną. Panna Duninówna przysadzista była i tłusta, z oczkami jak dwa węgielki rozżarzone, z usty wydatnemi, niezmier-

nie widać wesotój i figlarnój natury; panna Izabella zaś dumna i skromna zarazem, bojaźliwa, smutniejsza, wysoka i szczupła, oczy spuszczała ciągle ku ziemi a oglądała się ukradkiem, jakby obawiała się czego. Jużem tam nie słyszał i nie widział, jak skarbnikowicz stodycze jój prawie począł, ciągnąc się za niemi powoli: wciąż miałem na oczach obraz cudowny, którym byłem jak oczarowany. Nie śmiałem spytać nikogo o tę nadzwyczajną piękność, żeby się ze mnie nie wysmiewali, a zmiarkowałem, że kiedy szła przy księżnej, musiała być albo jaka daleka jój krewna, albo jakaś osoba wyższego urodzenia, do pospolitego fraucymeru nie należąca.

Panna Duninówna na przekorę skarbnikowiczowi zaczepiła mnie zaraz, alem nie zrozumiał z początku o co spytała i odpowiadałem trzy po trzy, co ona biorąc za karb wrażenia, jakie na mnie uczyniła, śmiać się zaczęła i chichotać serdecznie. Wreszcie ulitowały się znać mojej biedy i frasunku panny i widząc że ze mnie słowa nie wyciągną, dały mi jakoś pokój. Już też zmierzchało dobrze i panna Solska weszła do oficyn z fraucymerem. Szepnąwszy coś na ucho pannie Izabelli, Mierzejewski chwycił mnie pod rękę i wprowadził. Lżej mi się zrobiło gdyśmy sami zostali, a obawiając się nowój jakiej ciężkiej próby, poprosiłem go, żebyśmy zaraz do mnie na górkę wrócili. Że on tu już nie miał co robić, zgodził się na to i zawróciliśmy się do oficyny.

Tu ledwieśmy weszli, zabębniłi wedle zwyczaju na wieczerzę i trzeba było iść do stołu: więc gadać nie było czasu, choćem żywo pragnął dowiedzieć się od niego, co to była za jedna ta istota, która takie na mnie uczyniła wrazenie. A jak z jednej strony ochota brała zapytać, tak z drugiej śmiertelnie znów obawiałem się, aby mój towarzysz nie postrzegł, żem nią był zajęty i nie sztydził, żem tak wysoko odrazu oczy podniósł.

Wieczерzę sprzątnęliśmy prędko i każdy poszedł w swoją stronę, a po rychtém ujściu z placu skarbnikowicza domyslić mi się było łatwo, że miał jakąś nadzieję choć przez okno zobaczyć twarzyczkę, lub zdaleka usłyszeć głosik panny Izabelli. Ja na górkę poszedłszy, tylkom dumał o tój niezwyyczajnej widzianej przezemnie, jakby we śnie, piękności. A tak mi obraz jęj tkwił w pamięci, że nie pojmując jeszcze co to znaczyć miało, gniewał się sam na siebie za głupstwo moje, które nie bez tego, żeby mnie jakoś nie męczyło.

Nazajutrz rano piekło już Mierzejewskiego opowiedzieć mi, jak wczoraj do ostatniej złości doprowadził Duninównę, jak nań panna Izabella była łaskawa, jak na pamiątkę od nięj pierścioneczek otrzymał i tym podobnie. Z tęp więc przyszedł do dnia. Mnie równie pilno było się coś dowiedzieć, a strach usta zaklejał. Nareszcie po długich przyborach rozpytując o to i owo, płonąc jak rak, czego szczęściem Mierzejewski nie zobaczył, zagadłem go o orszak wczorajszy księżnej pani.

— A taż śliczna panienka, co z nią szła?—zapytałem.

— To panna Barbara Szujaska—rzekł mi skarbnikowicz, wielkiego rodu kniaziówna: jakaś podobno krewna samęj księżnej czy księcia... Ma tylko ojca zubożatego szlachcica, który dźwigając się, a chcąc się po pańsku utrzymywać jak imieniowi przystało, nie-szpętną styszę fortunę utracił. Siedzi jeszcze na kilku wioskach odłużonych, które po nim kiedyś weźmie jedynaczka... Szukają jęj męża, ale to nie łatwo będzie, bo ojciec patrzy wysoko, a posagu ani grosza.

I więcej już mówić nie chcąc, lub nie mając co, począł znowu o swojej pannie Izabelli.

Kilka dni upłynęło, a ja wciąż odurzony dziwną apparycją, chociażem się śmiał z siebie i wyrzucał sobie głupstwo moje, pozbyć się nie mogłem utrapionego

o t $\acute{e}$ m myślenia; a że rzadko zbliżałem się do księżnej i tych, co ją bliżej otaczali, nawet już i postrzedz panny Barbary nie miałem zręczności. Zwierzyć się panu Mierzejewskiemu mojej preokupacyi anim myślał, gdyżby mnie wcale nie zrozumiał i srodzeby żartował... Tak wysoko sięgnąć oczyma biedakowi! aż do krwi książęc $\acute{e}$ j! cóżby to ludzie powiedzieli! Wprostbym z siebie pośmiewisko uczynił.

Miesiąc czy więcej tak upłynął, ja się powoli do pisania listów i dyspozycyj wprawiałem, a że charakter dosyć miałem czytelny i czysty, spotkało mnie to szczęście, że księżna pani kilka razy do siebie dla sporządzenia kopij listów sekretniejszych, których do kancelaryi posyłać nie wypadało, zawezwała. Może t $\acute{e}$ ż i znajome usposobienie moje, małomówność i bojaźliwość to szczęście wyjednały; dosyć, żem raz na próbę w niebytności pana Śmietankowskiego, pot $\acute{e}$ m w pomoc jemu, a dalej i sam już był wzywany do księżnej, która z całym światem korespondując, tysiące mając interesów, codzien najmnie $\acute{j}$  godzin kilka na dyktowaniu listów i przepisywaniu gazetek spędzała. Odbywało się to w różnych pokojach: w wielkiej sali, w gabinecie księżnej, i w sypialni nawet, jeśli się czuła niezdrową, bo zapadała często na gardło, a wówczas powietrza wystrzegać się musiała. Zwykle tam bywała sama, ale za drugą razą zastałem przy niej księżniczkę Barbarę. Siedziała w oknie u krosienek i gdym wszedł, oczy na mnie podniosła, długo po dziecinnemu przypatrując mi się, co mnie tak przejęło, żem nie usłyszał dyspozycyi księżnej, światła zapomniał i nierychto mogłem przyjsć do opamiętania. Znowum ją inacz $\acute{e}$ j piękną, ale zawsze cudownym jaśniejącą blaskiem ujrzał tutaj, tak, że gdyby nie księżna i nie wstyd, byłbym padł na kolana jak przed cudownym obrazem. Jakoś bowiem w sposób tak dziwnie miły, tak uprzejmie i z lakiem zajęciem spozierała na mnie, żem się czuł wzruszony do



głębi, i od drugiego razu byłbym się dał za nią w drobne sztuki posiekać.

Bóg tam wie, jak tego dnia pisałem, księżna mi kilka omyłek własnoręcznie poprawiła i wyniosłem się co najrychlej, bo choć mi słodko jak w niebiesiech było patrząc na pannę Barbarę, ale przy niej czułem się jednak jakby przygnieciony ciężarem uciskającym piersi i głowę: nie będąc panem siebie wciąż jej każdy ruch oczyma ściagałem. Kilka razy wśród pisania jeszcze spotkałem wzrok jej we mnie ciekawie utkwiony, czego księżna nie musiała dopatrzeć, boby ją pewnie, lub mnie z pokoju wyprowadziła.

Nie miałem ja naówczas żadnego pojęcia o uczuciu miłości dla kobiety takiem, jakiem je w książkach swych historycy i poeci malują, bom mało co czytałem, owszem czyby ono egzystowało nie wiedziałem prawie; jednakże samo przez się rozbudziło się ono we mnie tak gwałtowne, a zarazem czyste i wielkie, iż mnie, rzecz mogę, całego przetworzyło do gruntu. Byłoby jakby namaszczenie do żywota: w chwili przestałem być dzieckiem i stałem się człowiekiem, dojrzałem i zmężniałem, a Mierzejewski, który ze mną całe niemal dni przepędzał, nie mógł się wstrzymać, żeby mi nie powiedział, jak wielkiej we mnie zmiany dopatrzył. Innym ją jednak powodom przypisując, wcale się prawdy nie domyślał.

— Tażło ciebie poznać nie można — rzekł mi jednego wieczora — tak ci nasz dwór posłużył i w tak krótkim czasie! Wszyscy to obserwują i ja ci winszuję, a zdaje mi się, że ci i ja do tego dopomogłem. Otóż co znaczy otarcie się na świecie, a choć się dobrowolnie w kąt szyjesz, jakeśmy cię wytresowali!

Sam ja czułem choćby mi tego nie gadał, że wewnątrz mnie odbyła się wielka zmiana, ale to przyszło nie skutkiem chęci, ani pracy własnej, ani z wrażeń zewnętrznych, ale wprost niepojętym sposobem z dziwnego uczucia tego, które mnie opanowało. I stało

się to niespodzianie, niewyrachowanie, cudownie: położyłem się spać dzieciakiem, a wstałem mężczyzną, i uczucie dla panny Barbary, nie płóche i nie samolubne, tak mnie dźwignęło odrazu wysoko, że nie wiem na co bym się dla niej, by jej szacunek pozyskać, nie ważył.

Chociażem jej wcale nie znał, zaledwie parę razy widział, a słowa z ust jej nie słyszał, osobliwszą operacją umysłu mego czułem, że ją znam głęboko, że ją pojmuję doskonale i że inną być nie może, jeno taką, jaką ja sobie ją wyobrażałem. Widziałem ją nieskończenie wyższą nad siebie i świat, w którym żyła, a miłość moja dla niej pędziła mnie do podniesienia się samemu, by stanąć bliżej jej i lepiej ją zrozumieć. W wejrzeniu jej anielskiej dobroci czytałem duszę, a żem się wcale nie mylił w zawczesnym moim o niej sądzie, o tém się później przekonałem. Za całe wówczas szczęście jedyne wyobrażałem sobie zawsze tylko móżdż na nią zdala poglądać i być na jej usługach, choćby nawet spojrzeć na mnie i skinąć mi nie miała. Nie wiem jak się to działo, ale jej piękność żadnych we mnie młodzieńczych nie poruszała passyj, jakąś tylko cześć i poszanowanie, które wszelka doskonałość i wyższość obudzać zwykły.

Tylem o niej tylko wiedział co od skarbnikowicza, niewiele więcej i drudzy i on sam: właściwie bowiem rzekłszy, nie należała wcale do dworu i fraucymeru księżnej pani, ale przy niej mieszkała jako krewna. Bystre oko młodzieży dostrzegało, że to ciche, potulne, a jednak nie bez wielkiej mocy charakteru dziewczę, żywej, fantastycznej i kapryśnej pani, niebardzo do serca przypadało.

Za to we dworze nie było, kto by jej nie kochał i nie szanował, a ci co najwięcej złego upatrywali we wszystkich, na nią nie pomyśleć nawet nie mogli. Zresztą mało ją kto widywał i słyszał, siedziała albo w swoim pokoiku przy garderobie księżnej dla niej wyznaczonym, albo w sali na rozkazy wojewodzicowej

i dla jój towarzystwa, czytając jój głośno listy, gazety i różne książki. Na przechadzki tylko z księżną wychodziła, a w stosunkach ze dworem nie przez dumę, ale z obawy jakiegóś bardzo była powściągliwą i oględną. Dla mnie widoczném było, że to nie pochodziło z pogardy ani z lekceważenia, ale z bojaźni, którą w niej dosyć swobodnie obejście się mężczyzn i zbytnia poufalość obudzały. Mnie chociażem okazyi wyszukiwał, aby ją choć zdaleka zobaczyć, bo zblizka nie śmiałem i nie rosiłem nawet, rzadko się to szczęście trafiało, krom gdy do listów pisania wzywano, a potem w kościele na nabożeństwie, na które uczęszczała z księżną, z panną Solską, a nawet niekiedy sama z garderobną. Z Placencyi do kollegiaty dobry był kawał drogi, w czas pogodny odbywaliśmy go pieszo, a ja stałem się nawet pobożniejszym niż kiedy, dlatego może, aby się jój zdaleka napatrzeć. Kościół infułacki w Kodniu, jak wiadomo, przepyszny, sławny jest obrazem cudownym N. Panny z Rzymu przez jednego z Sapielów skradzionym, potem przez papieża z przebaczeniem winy pobożnemu przywłaszczycielowi darowanym i koronowanym. Gmach to obszerny, wspinały i na okolicę najświetniejszy; mnóstwo téż ludu gromadzi się tu na odpusty i nabożeństwo przed Tautomaturgą odprawiane. Panna Barbara chodziła regularnie niemal codzień do kaplicy Matki Boskiej na mszę ranną śpiewaną, co gdym zaraz odkrył, i mnie téż gorąca jakaś pobożność chwyciła. Dawniej mi dosyć bywało niedzieli i święta, teraz pomyślałem, że mając czasu dosyć nie źleby było codzień mszy w tak łaskami słynącym miejscu słuchać: obawiałem się tylko śmiechu, gdyby przewąchano, że chodzę nie dla Pana Boga, ale przypatrzenia się gładkiej twarzy. Tom się téż wykręcał i tak robił, aby jednego dnia przyjsć na koniec, drugiego na początek mszy ś., innego wreszcie tak, abym ją powracającą napotkał. Nie byłem ja nigdy libertynem, z Lubieszowa jeszcze wyniosłem przy-

wyknienie do ścisłego spełniania religijnych obowiązków, ale czyniło się to bez namaszczenia, ze zwyczaju i bez wielkiego podniesienia ducha. Teraz znowu wielką w duszy mojej dostrzegłem zmianę, żem się nieraz zamodlał godzinami rzewnie, serdecznie poufając się z Bogiem i łącząc się z nim istotnie modlitwą.

Ale bo też jej przykład także na mnie podziałać musiał! Nie wiedziałem wówczas, czyli ma jakie powody błagania Boga o pomoc tak gorąco, lub jakie ukryte zmartwienia: domyślić się tego jednak byłem powinien, tak cudownie się modliła. Na naszym dworze nie było bezbożności jawnej, ale znowu i ducha też wielkiego próżnoby szukał. Sama księżna spełniała obowiązki religijne z dystrakcją, z obowiązku, dla przykładu bez przejęcia. Była kobieta swojego wieku, zwolenniczka Voltair'a, admiratorka Rousseau, czytająca wiele po francuzku i filozofka. Ale kobieta z taktem i znajomością świata choć straciła wiarę, nie wdawała się ani w propagandę sceptycyzmu, ani się chlubiła filozofią ową, zatrzymując ją dla siebie. Znać pospolity lud za niedojrzały do niej uważała. W towarzystwie poufałem swoich przyjaciół pozwalała sobie żarcików z księży i ceremonij religijnych, wszakże wiary nie wytępiła wcale, chodziła raz w rok dla decorum do spowiedzi i nie pilnując zbyt na swoim dworze pobożności, nie wyśmiewała też tych, którzy ją ze starych obyczajów zachowali.

Jakkolwiek to jej postępowanie było umiarkowane i rozsądne, wszelako dawało się to jej uczuć mimo jej woli, że w sercu nie miała wiary głębokiej, dwór nie był pobożny, panny nawet podżartowały czasem ze świętości, a mężczyźni postępowali sobie jak im było dogodniej, nie zmuszając się do niczego, uwalniając od wielu rzeczy.

Jak najmniej zresztą mówiono o przedmiotach religijnych i zaczepiać się unikano. W kościele choć JO. kollatorkę szanował ksiądz infułat i księża wikaryusze

ale że się to nic ukryć nie może, a pobożność jej nie dochodziła dawniej Sapiehów gorliwości, gromili z kazalnicy oziębłość powszechną, nastając na to, co znaczy przykład z góry. Słuchano ich uważnie, śmiano się w kątku i swoje robiono, choć śmiało prawdę mówili nie ustępując. Można przewidzieć, że jedna panna Barbara najpobożniejszą była ze dworu całego, a gdy czasem trochę cierpko wstrzymywała ją księżna od regularnych przechadzek do kościoła i wysiadywania tam długich godzin, lub dobijania się po błocie do kollegiaty, choć nie odpowiadała, starała się jednak przy swoim pozostać. Że zaś kobiety nie tak jeszcze były naówczas popsute, zwłaszcza niższego stanu, wpływała wiele na fraucymer księżnej, który powoli naśladować ją począł.

Tak to ja do kościoła więcej uczęszczać zacząłem, i zdaje mi się, że nie jedno łaskawe jej wejrzenie winien był postępowaniu mojemu. Nie było to bez zgryzot i walki z mojej strony, bom pojmował, że Pana Boga nie oszukam, a grzeszę chodząc tam dla kobiety, gdzie dla modlitwy iść byłem powinien. Ale dobre z jakiegokolwiek czyni się powodu, zawsze dobrem jest, tak jak złe, które i z dobrych pobudek uczynione, złem jest zawsze.

Zrazu włóczyłem się obojętny, potem taki z serca modlić się zacząłem, wreszcie dla modlitwy samej, słodyczy i pokoju, jaki mi dawała, chodziłem do kościoła. Jakkolwiek to bacznie robiłem, aby wysmianym nie być, że nic we dworze oka ciekawych wścibskich nie uchodzi, postrzeżono zmianę obyczaju a moją zbytnią żarliwość, z której wytłumaczyłem się im tem, że mnie Pijarowie lubieszowcy do tego przyuczili.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## KRONIKA PARYZKA

### LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Etudes d'Histoire religieuse, przez Ernesta Renan członka Instytutu.—  
Joanna d'Arc, dramat historyczny w pięciu aktach przez Daniela Stern  
(hrabina d'Agout). — Projekt podmorskiego tunelu pomiędzy Francją  
i Anglią podany przez francuzkiego inżyniera p. Thome de Gamond.—  
Wiadomości literackie.

Ostatnie dwa miesiące roku poświęcone wyłącznie przygotowywaniu noworocznych darów, są zazwyczaj porą martwą dla literatury poważnej. Sławni i niesławni autorowie siłą jedynie głowy na ułożenie jak największej liczby powiastek, gawęd, wierszyków, anegdot, szkiców z podróży i tam dalej, mających być treścią mnogich Almanaków, Albomów i Keepseków, czyli pretextem do złożonych okładek i obrazków, które w pożądanym dniu Nowego Roku, jak stado różnobarwnych motyli, rozlecą się na wszystkie strony świata, i zaścielą stoliki wszystkich dam, dziewic i dziewczątek, niecierpliwie na nie oczekujących. Prócz więc literatury kolendowej, która w tych czasach potraja swoje siły, i z szybkością maszyny parowej rzuca drukarzom zapisane arkusze, innego znaku życia, nawet chciwe oko korespondenta, nie dosłodzi na tutejszej szerokiej belletrystycznej niwie.

W tym tedy przednówku literackim, nie mając posilniejszej strawy dla czytelników naszych, podajemy im bliższą wiadomość o książce, której pojawienie anonso-  
waliśmy przed dwoma miesiącami. Czynimy to tém śmielej, że książka ta ma tu rozgłos wielki, a jeźliśmy

o niej dotąd nie pisali w tej kronice, to dlatego jedynie, że nie lubimy dotykać mimochodem dzieł, którym się coś więcej nad pobieżną wzmiankę należy. Chcemy mówić o *Studjach historyi religijnych*, dziele jednego z najznakomitszych teraz pisarzy francuzkich i członka Instytutu, Ernesta Renan.

Jak to odgadnąć łatwo z tytułu książki, przedmiotem studyów Renana jest bardzo wysoka a bardzo zaniedbana we Francyi nauka. Badania historyczno-religijne, któremi w Niemczech tylu znakomitych zajmuje się uczonych, tutaj zaledwie kilku i to miernych znalazły adeptów. Przyczyną tego nie jest brak zmysłu krytycznego, ale raczej powszechne u Francuzów mniemanie, iż krytyka historyczna religii jest rzeczą bezbożną. Prócz tego pojęcia, zapewne skutkiem jej płytkości i niesprawiedliwości, wyrobiła się we Francyi za naszych czasów ogólna dla krytyki pogarda; autorowie nawet wysoko stojący w tutejszej literackiej hierarchii, twierdzą głośno, że krytycy są to półgłówki, którzy sądzą to, czego by nie potrafili stworzyć, ograniczeni kłamcy, których piórem sama tylko zawiść powoduje: i w ogóle, co do swoich krytyków, mają słusność. Ale dlatego że u nich w niedbałe lub nieprawe wpadła ręce, nie można potępiać ani lekceważyć samej krytyki, która jest rzeczą nader ważną. Zapewne większą ma zasługę ten co napisze książkę, niż ten, co o niej artykuł zredaguje; ale prócz literackich recenzyj są jeszcze inne objawy krytycznego ducha, w którym w pewnych epokach historycznych skupia się całe życie intelektualne narodu. Epoki te nie są ani mniej wzniosłe, ani mniej płodne od epok poetycznych; piękna jest młodość, ale wiek dojrzały, jeżeli rzeczywiście jest dojrzałym, kto wie czy od niej nie piękniejszy.

W zaraniu cywilizacji poezya jest jedynym objawem ducha człowieczego. Wtedy ludzkość nie rozumiejąc wrażeń, opiewa to, co ją dziwi, zachwycą lub przeraża: bezmyslna, żyje igrając w krainie złudzeń. W miarę atoli jak spostrzeżenia i fakta historyczne zastępują młodzieńcze wizye, imaginacya, która jest wszystkim w owych wiekach pierwotnych, słabnie. Rzeczywistość

w coraz większej dozie mieszająca się do baśni, odejmuje jej pierwotną ważność i znaczenie. W tej epoce sztuka staje się rozmyślną, pierwsze systemata filozoficzne pojawiają się na świecie; ponieważ zaś dzieło przeobrażenia ludzkości postępuje bez przerwy, obserwacya i rozumowanie w końcu zupełną biorą górę, a baśń znika. Kiedy pojawia się Arystoteles, Grecya nie ma już wielkich poetów; nowy Achilles, Alexander Wielki napróżno szukał swego Homera.

Ale sama tylko historia cywilizacyi greckiej przedstawia regularny bieg tych faz rozmaitych, które są wskazówką pochodzenia ducha ludzkiego. Rozwój rzymskiej oświaty już mniej prosty; wszystkich zaś nowoczesnych jeszcze więcej zawikłany. W późniejszych wiekach nawną spontaniczność, która jest czystą poezją, tylko w niektórych legendach napotkać można, i to mniej jasną, mniej pogodną; żaden średniowieczny poemat nie posiada wieczystej młodości Iliady. Dante był już filozofem; duch sekty potężniejszy w nim niż poetyczny zapal; Boska komedya jest owocem długiego rozmyślenia, dziełem rozumu, nie tworem fantazyi lub natchnienia; poezyi, we właściwym znaczeniu tego słowa, bardzo tam mało.

Później, mieszanina imaginacyi z rozumem coraz staje się widoczniejszą, jawią się najdziwniejsze kombinacye w ludzkich unysłach; i tak na przykład: Niemcy, swego największego krytyka i poetę posiadały w jednym człowieku, w Goethem.

Im bliżej naszych czasów, tem więcej duch krytyczny przeważa, w końcu przeważy zupełnie. Świat nie będzie zapewne nigdy tak piękny, żeby ludzkość mogła się obejść bez otwartego okna na krainę ideału; poezya przeto istnieć nie przestanie, tylko nie będzie tem, czem była dawniej: nie będzie tęczowym płodem niekonsekwentnej wyobraźni, ani natchnionem prorocstwem, ale jakąś rozmyślną i uczoną kombinacją.

Sztuka dziś oscyluje pomiędzy śmiałością pomysłami a słabym naśladownictwem wyczerpanej formy: dzieł jej tegoczesnych nie można porównywać z cudami starożytności, nie dlatego, żeby były mniej potężne, ale dlatego,



że są zupełnie odmienne. Nie zbudujemy już dziś Parthenonu, prawdopodobnie nie dokończymy nawet katedry kolońskiej; ale za to nadając myśli szybkość błyskawicy, skasowaliśmy przestrzeń, nakryjemy świat siecią kolei żelaznych, powiązemy z sobą dwa światy, przewiercimy drogi w granitowym łonie gór niebotycznych, pod morzami bezpiecznie jeździć będziemy. To są nasze cuda, cuda rzeczywistości, tryumfy umysłów tegoczesnych; w nich leży weale nie prozaiczna wielkość naszej epoki i charakter wszystkich jej dzieł. Nie mamy Homera ani Hezioda, ale mamy Newtona, Watta, Cuviera, Humboldta i im podobnych. Wielcy ci ludzie nie stworzyli, tylko przez obserwacyą i analizę doszli do olbrzymich rezultatów, które pchnęły świat nowemi tory: nie byli to twórcy, ale tylko krytycy. Krytykami są także sławni filologowie, którzy przez porównywanie n rzeczy, złożyli pierwsze rozdziały historyi rodzaju ludzkiego, wykazali migracye, pokrewieństwa i różnice ras; krytykami nakoniec historycy i badacze pomników religijnych, którzy szperają w kurzawie wieków i odtwarzają oczom naszym ubiegłe życie znikłych pokoleń i aspiracye ich ducha.

To jest właściwa krytyka, matka wielkich rzeczy; ta druga, którą teraz tą poważną nazwą ochrzczono, ta literacko-skandaliczna, to tylko zabawka psotnych dzieci. Jak słusznie powiedział Goethe, tyle ona wpływa na oświecenie umysłów, ile kat na umoralnienie społeczności.

Z narodów europejskich dotąd tylko Niemcy pojęli wysoką krytykę, i zajęli się studyowaniem rozmaitych religij, uważając je za najdawniejsze i najszczytniejsze objawy ducha ludzkiego, bez zbadania których, najwyższa nauka, filozofia historyi, nie może być kompletna. Baur, sławny professor teologii, doktorowie teologii Zeller, Hilgenfeld, Ritschl, Volkmar, Koestlin, Schwegler, Ewald, Dorner, Lechler, Schweizer, wszystko to wysoko uczeni krytycy, którzy rozbierają obecnie początki Chrystyanizmu, nie sądząc, ażeby mu przeto w czémkolwiek ubliżali, tak jak również krajowe rządy nie sądzą, żeby wykład tych professorów miał w czembądź szkodzić religii. Większa część wymienionych teologów są figura-

mi rządowemi i zajmują katedry publiczne, z których wykładają wolno, spokojnie i sumiennie. Robotnicy następują po sobie bez przerwy i pracują bez wytchnienia w Niemczech, tej ojczyźnie wielkich myślicieli, która jeżeli jeszcze nie zdobyła sobie wolności politycznej, to za to w wyższym stopniu niż wszystkie inne narody posiada drogą wolność umysłu.

Takiejto wolności scyentyficznej domaga się Renan dla intelligencyj francuzkich, chociaż arystokratycznie, domaga jej się tylko dla pewnej liczby ludzi. Zdaniem jego, rozkosz wiedzy powinna być udziałem szczupłego koła wybranych; większość, jak twierdzi, nie wyjdzie nigdy poza granice pojęć banalnych i pospolitych.

Nie dyskutując tego zdania, przeciw któremu wiele by powiedzieć można, przystępujemy do samego dzieła.

*Etudes d'Histoire Religieuse*, jestto szereg artykułów poprzednio ogłaszanych po dziennikach i przeglądach. Autor, wedle przyjętego dziś zwyczaju zgromadzając rozpierchłe swoje prace pod jedną okładkę, w przedmowie wytyka wady takowych zbiorowych publikacyj: „Ulepiona z artykułów książka, powiada, grzeszy zawsze przeciw regułom pracy ciągłej i prawom jednolitości. Niepodobna jest, ażeby w zestawionych sztucznie kawałkach, nie znalazło się wiele ustępów, które miały swoje znaczenie w piśmie peryodycznym, a nie mają go stanowiąc całość same przez się”. Moznaby dodać nadto, że przegląd, a mianowicie téż dziennik, nie jest miejscem wyczerpywania do dna przedmiotów. Przeciwnie: autor nurtujący zbyt głęboko w kilku-kartkowym artykule, rozmija się ze swym celem, zadaniem bowiem piszącego do pism czasowych nie jest rozstrzygnięcie, ale poruszanie kwestyi; winien on wskazywać punkta z których się na nie zapatrywać należy, podniecać raczej, nie zaspakając ciekawość czytelników. Gruntowność, stanowiąca pierwszą cnotę autora książki, nie jest wcale zaletą autora artykułu; artykuł powinien zostawić czytelnikowi wiele do myślenia, książka zaś powinna być kompletnym odzwierciedleniem myśli piszącego.

Dzielo, o którym mowa, rozpoczynają uwagi ogólne nad religiami starożytnymi, studyum o wielobóstwie

greckim i rozbiór Ewald'a *Historji ludu izraelskiego*. Potem następuje artykuł o historykach Chrystusa, dalej studyum o Mahomecie; dalej dwa wyborne artykuły o Kalwinie i Channingu; po nich rozprawa o nowój szkole Hegla. Zakończy dzieło ocenienie obrazu Ary Scheffera, przedstawiającego: „Pokusę Chrystusa”. Konkluzya ta charakteryzuje talent i umysł autora.

Renana zarówno obchodzi piękno i prawda, czasem nawet więcej piérwsze niż drugie; krytyka jego dla miłości estetyki gotowaby nieraz chętnie odbudować to, co zburzyła zapatrując się na rzeczy z historyczno-filozoficznego stanowiska. Umysł jego jest dwustronny: do najwyższego stopnia krytyczny, a obok tego silnie czujący podniosłość religii i sztuki. W tém ustawicznym spieraniu się artysty z filozofem leży oryginalność Renana, ale także pewna chwiejność, która cechuje jego dzieła. Renan jest tylko absolutnym tam, gdzie o rozsądek chodzi. Co do konkluzyj krytycznych, te nie zawsze u niego zgadzają się z sobą i nie zawsze są jasno określone. Ale trudno być dokładnym, mówiąc o nieskończoności; niepewność zaś szczerego i wzniosłego umysłu zawsze więcej warta, niż arogancka pewność fanatyzmu i ciemnoty.

Nie ma się więc co dziwić sprzecznościom, które w dziele pana Renana napotkać można, chociaż czasami są rażące. I tak naprzykład, raz uważa on religią tylko jako podporę umysłów niewykształconych, którym zastępuje naukę, sztukę i wszystkie wzniosłe uczucia; w inném znów miejscu powiada: „że religia jest nieodłączną częścią natury ludzkiej, najlepszym dowodem obecności w nas cząstki ducha Bożego, która przez aspiracye swoje odpowiada ideałowi”.

Sprzeczność wybija jeszcze mocniej, kiedy autor wystawia kolejno religią, raz jako płynącą z Boskiego pierwiastku, drugi raz jako rzecz nie mającą w sobie nic nadnaturalnego. Tutaj stają naprzeciw siebie bez możebnej zgody dwa sprzeczne pojęcia, które są jakby dwa odwrotne bieguny myśli ludzkiej, od wieków bite falą hipotez i systematów: Bóg kościoła i Bóg filozofii. Który z nich jest Bogiem Renana? Domyślić się można

czytając jego dzieło, nie można atoli twierdzić na pewno, autor bowiem stanowczo tej kwestyi nie rozstrzyga. Mówi wprawdzie, że z całości systematów religijnych „wypływa fakt ogromny, stanowiący najwięcej pocieszającą rękojmią tajemniczej przyszłości, w której rasy i *indywidua* znajdują owoc dzieł swoich i swoich poświęceń”, z czego wnosiłoby należało, że Renan wierzy w nieśmiertelność indywidualną, a przeto i jej konieczne następstwo, osobowość Boga; ale kilka kart dalej zbija to, mówiąc: „że Bóg, Opatrzność, nieśmiertelność, sąto stare pocziwe słowa, których filozofia nigdy korzystnie nie zastąpi, ale je wytłumaczy w wyrafinowańszym sensie”.

Z ogólnych uwag nad religiami przechodząc do studyów nad religią chrześcijańską, Renan oświadcza, iż chrystyanizm jest religią świętszą od wielobóstwa greckiego, ale że nie można porównywać jednego z drugim bez ubliżenia jednemu, lub pokrzywdzenia drugiego. Bez porównań więc bada początki chrystyanizmu, zastanawia się nad Chrystusem i rozważa pisma apostołów.

Część ta pełna sprzeczności wydaje nam się najślabszą. Raz wybrnąwszy z tej kwestyi, pogląd autora staje się pewniejszy i logiczniejszy. Znakomite studyum o Mahomecie tak zaczyna:

„Krytyka w ogóle powinna się wyrzec dowiedzenia się czegoś pewnego o charakterze i biografii fundatorów religii. We wszystkiem co się ich tyczy, legendowa tkanka pokryła całkowicie historyczną. Byli oni piękni czy brzydzy? pospolici czy wzniośli? Tego nikt się nie dowie. Książki i mowy, które im przypisują, są zazwyczaj układane później, i uczą nas nie kto oni byli, ale jak ich uczniowie pojmowali ideał. Nawet piękność ich charakteru nie należy do nich, ale do ludzkości, która ją na swój obraz urobiła. Przetwarzana tak przez tę wiecznie twórczą siłę, najbrzydsza gąsienica może się stać prześlicznym motylem. Szczęśliwi ci, których osłania tajemnica i którzy walczą zakryci grubą chmurą! W Mahometanizmie nie znajdujemy duchowej fantastyczności innych religij; już znać było zapóźno, żeby tak wysokim tonem rzecz zaczynać” i t. d.

Ostatecznie Renan w opiniach swoich nie różni się bardzo z filozofami niemieckimi: główną różnicę jego dzieła stanowi mniej ścisła od niemieckiej logika, a większa sympatya dla chrześcijańskiego ideału. Renan żywiej niż Niemcy czuje splendory katolicyzmu i mówi o nich językiem brylantowym, który przyjemnie łagodzi ostrość sądu, choć często kosztem prawdy. Czasami nawet artysta bierze zupełną górę nad filozofem, poczucie piękna głuszy w nim wszystkie inne względy. W końcu naprzykład książki, Renan woła: „Gdyby w oczach naszych miały się zapaść Włochy z całą swą przeszłością i Ameryka z całą swą przyszłością: która z tych dwóch strat większą zostawiłaby próżnią w sercu ludzkości? Czemże jest cała Ameryka przy promieniu owej nieśmiertelnej chwały, którą jaśnieje nawet podrzędne włoskie miasteczko?”

Co do tego ostatniego zdania jesteśmy w zupełnej z autorem sprzeczności. Przyszłość wydaje nam się ważniejsza od przeszłości, a piękność moralna wyższa od fizycznej; w tym zaś względzie Ameryka spłaciła swój dług ludzkości, dając światu najczystszy ideał człowieka nieskazitelnego — Washingtona.

W obec tylu daremnych usiłowań, tylu prób bezowocnych, dramaturgowie i poeci francuzcy nieraz zadawali sobie pytanie, czy Joanna d'Arc, ten wcielony ideał ojczyzny, może być ujęty w ramy sceniczne? Większość uznała przedsięwzięcie za niemożliwe. Zdanie to podzielał każdy kto zna wymogi sztuki dramatycznej, każdy kto w czystym sercu nosi przeczysty wizerunek natchnionej pasterki. Krótkie jej życie, któremu nie ująć i nie dodać nie można, Boskie posłaństwo dziewczicy, tylko ofiarą swą związaną z ludzkością i nie znającą innej miłości prócz miłości ojczyzny, fatalny koniec na stosie, wielkość i świętość tej postaci, jej anielstwo i rzeczywistość, wszystko to nie znosi żadnych dodatków i zmusza dramaturga do niewolniczego kroczenia za bohaterką po wązkiej ścieżce, którą przebiegła od cudownego drzewa Domremy aż do rueńskiego stosu. Każda

ozdoba dorzucona do jej historii jest profanacją, każda miłość ziemską wmieszana w to serce nadziemskie, obelgą. Piękność przedmiotu zaćmiewa wszystkie kombinacje dramatyczne. Wspomnienie Joanny budzi w duszy zapal i extazę, którą słowa poety mogą tylko oziębic.

Dla tych wszystkich powodów zdawało się, że tę dziewiczą epopeję tylko rzewne pióro natchnionego liryka, albo stałowy rylc historii godnie opisać może.

Powszechne to mniemanie zachwiało nieco świeżo wydany dramat hrabiny d'Agout, znanj w świecie literackim pod pseudonimem Daniela Stern. Znakomita autorka znęcona zapewne trudnością przedmiotu, bardzo szczęśliwie przeniosła na scenę poemat Joanny. Trzymając się ściśle podań historycznych, przejęta głęboko natchnioną prostotą pasterki, pani d'Agout suchą kronikę potrafiła zmienić w dzieło odpowiadające ze wszechmiar prawidłom dramatycznym, nie ubliżając przez to w niczém anielskiej piękności bohaterki. Cudu tego dokazać tylko mogła kobieta, posiadająca prócz nauki wysoki smak artystyczny i prawdziwie niewieścią duszę. To ostatnie jej dzieło o wiele wyższe od poprzednich, które przecież bez wyjątku zalecają się niezwykłym myśli polotem, zasługuje pod każdym względem na uwagę.

Dramat poczyna się we wsi Domremy i jej okolicach. Podnosząca się zastłona odkrywa las dębowy, pośród którego stoi cudowne drzewo, co z Joanną tajemnicze wiodło rozmowy. Wszystkie legendy, przesady i naiwne średniowieczne gusła zebrane w jednej scenie tworzą rodzaj prologu, potrzebnego dla przygotowania umysłów do przyjęcia bohaterki. Obraz ożywiony jest niezmiernie: grupy wieśniaków ubrane wedle ówczesnej mody, a wedle ówczesnych pojęć działające, przerzucają widza w owe dawno ubiegłe lata. Ludzi na scenie pełno: jedni szukają po lesie ziela mającego wskazać ukryte skarby, inni szczęsnego kwiatu paproci; starzec ślepy prowadzony przez dziewczynę przybywa myć oczy w czarowném źródle, błagając dobrych duchów, żeby mu dozwoliły oglądać niebo; gromada dzieci bawi się w wojnę: sędziwi gospodarze pochyliwszy zasępione czola, opowiadają sobie smutne wypadki i straszne klęski, któremi do-

tknięta Francya. Pośród nich, oparty o drzewo, powracający z Ziemi świętej zakonnik Eliasz, który właśnie przebywał zakrwawione prowincye Francyi, przypomina stare przepowiednie i czyni nadzieje rychłego oswobodzenia. Ukojeni dobrą wróżbą wieśniacy, widząc zapadające poza drzewa słońce, rozchodzą się do domów.

Po tej malowniczej scenie, teatr chwilę zostaje pusty, poczem zapowiadana i oczekiwana Joanna wychodzi powoli z głębi lasu, słuchając szmeru drzew i odpowiadając tajemniczym głosom, które ją namawiają do wielkiego dzieła. Niepewna i drżąca walczy nieśmiało ze świętym naciskiem woli Bożej. Trwożna jak gołębia chciałaby oddalić od siebie ten kielich chwały i nieszczęścia: ale głosy mówią coraz wyraźniej, coraz mocniej nalegają: pasterka poddaje się wyższej woli. Zakonnik Eliasz bada ją, zamiar potwierdza, a poznawszy po znakach cudownych, że dziewica jest wybranką nieba, klęka przed nią i świętość jej ogłasza.

Poważny ten mnich, pełen wiary i pokory, który Joannie na drogę błogosławi, jest historycznym przeciwstawieniem potężnego a niewiernego duchowieństwa, które ją potępia, sądzi i pali.

Akt pierwszy kończy się w domu Joanny. Bohatka żegna ze łzami swą chatę, błaga rodziców, żeby ją nie posądzali o niewdzięczność, siostrze zaleca, żeby przy domowym ognisku zastąpiła jej miejsce. Powyższa scena cicha a głęboka jak westchnienie anioła nad przyszłością męczennicy, uwydatnia delikatne odcienia tej prawdziwie dziewiczej duszy, której największym heroizmem odniesione zwycięstwo nad wrodzoną nieśmiałością i trwożliwością gołębią. Gdyby zamiast tej wiotkiej postaci, autorka była postawiła jakąś w stal zakutą Kloryndę, ten jeden fałsz zabiłby całe dzieło. Żaden, choćby najwznioślejszy charakter nie jest ulany z jednej sztuki, najtrudniwszemu przeto zadaniem pisarza przebić marmurową skorupę idealnych posągów i wewnętrzną ich mozaikę odsłonić. Z tego uważany stanowiska, cały koniec pierwszego aktu jest arcydziełem.

Akt drugi odgrywa się w Chinon. Oblężony Orlean rozpaczonym krzykiem wzywa pomocy; ale król bawiony

i pieśczoney w kobiecém gronie, ogłuchł na jęki narodu. Zabawa tyle kosztuje skarb publiczny, że nie ma za co uzbroić żołnierzy. Oplakany stan kraju prawie syny ojczyzny przywodzi do rozpacz, raduje zaś ambitnych intrygantów, którzy w mętnej wodzie ryby łapiają. Na dworze największy nieład i zwada; król czasami ocknąwszy się z uspienia, gorzko sobie wyrzuca swą słabość, ale wnet własne winy spędzając na Boga, poddaje się Jego woli i walczyć przeciw Jego dopuszczeniu nie chce: odpierać ciosy nieba, to toż samo co gasić grzesznie ogień piorunowy.

W takiem usposobieniu umysłu, Karol dowiaduje się od Baudricoura o natchnionej pastérce mieniającej się być wybranką, której Bóg zbawienie Frauceyi poruczył. Monarcha nie chce wierzyć słudze swemu, chytry doradcy utrwalają go w niedowiarstwie; ale wtém Joanna przybywa na dwór i mimo zakazu La Tremoill'a i arcybiskupa reimskiego, który ją chce exorcyzmować, omińawszy zasadzki, przediera się aż do króla, cuci omdlałe serce jego, zyskuje zaufanie i jedzie oswobodzić Orlean.

Trzeci akt jest tryumfem dziewicy. Koronacya w Reims przedstawiona z całym swym poważnym przepechem zajmuje większą część jego. Joanna inniemając, iż dopełniła swój missyi, chce odejść do domu; cicha strzecha rodzinnéj zagrody i zapach łąk ojczystych wabi silniej niż kiedy, już przesyconą sławą bohaterkę. Intrygi i zawiści dworskie, zdradliwe podszepty La Tremoilla, który ją namawia, żeby przyjęła propozycye księcia Burgundzkiego, słowem, cała ta atmosfera szatańska, która jéj czystą pierś uciska, nagli ją do odjazdu. Ale ciche szczęście nie było już na téj ziemi udziałem téj, której skronie nie girlanda polnych bławatów, ale korona cierniowa uwieńczyć miała. Do zajętej radosnemi przyborami odjazdu przybywa poważny Duchâtel i kilka słowa zmienia postanowienie Joanny. „Zdrada! — woła, stanąwszy w progu, haniebny pokój ma być podpisany!” Usłyszawszy to dziewica, znowu przywdziewa zbroję, idzie na radę, zawstydzona stronników pokoju i mimo, że złamana szpada smutną jéj wróży przyszłość, żąda, żeby ją wysłano na odsiecz Paryża.



Akt czwarty przenosi widza do zamku Beaurevoir, pod Compiègne, gdzie hrabina de Ligny niespokojnie oczekuje powrotu syna swego Jana Luxemburga. Siedząc w gotyckim oknie komnaty, z kądem widok na szerokie błonia, przez które syn ma powracać, matka rozmawia z córką Bertą o czarownicy Joannie i o jej czarach. Wtém trąba oznajmia powrót Jana, który wbiega, wołając: „Górą nasi! Joanna pojmana!” Wkrótce pojawia się Dziewica Orleańska jako niewolnica hrabiego Luxemburga. Cała ta scena, w której Joanna odpowiada na pytania przejętej zabobonną trwogą hrabiny, rozmawia z Bertą pełną instynktowego uwielbienia dla cudownej pastérki, oddana jest nader subtelnie i przeprowadzona ze znajomością serca ludzkiego, dowodzącą wielkich zdolności dramatycznych.

W następnej scenie księżę Burgundzki odwiedza uwięzioną, chcąc ją pozyskać swęj sprawie; i zamiast przekonać Joannę, już prawie przez nią jest przekonany, kiedy przybywają do zamku La Tremoille i Talbot domagając się jej wydania: piérwszy z unyślną nieśmiałością w imieniu króla, drugi rozkazująco w imieniu Anglii. Księżę oddaje Joannę Talbotowi, który z nią odjeżdża do Rouen.

Ostatni akt mający zawierać dotąd niewysłowiony ludzką mową opis męczeństwa, szczytniej było oddać obrazem, jedną aparycją, którąby widz w sercu swoim dośpiewał... taki koniec byłby niezawodnie dramatyczniejszy; ale Daniel Stern pisząc dramat historyczny dla narodu francuzkiego, może słusznie, przez wzgląd czysto artystyczny nie chciał pozbawiać ogółu nauczających szczegółów. W piątym tedy akcie przedstawia rozmaite fazy procesu, także dość dramatyczne, bo trzymające widza w ciągłej o los bohaterki niepewności. Zakonnik Eliasz broni ją przeciw przesładowaniu duchowieństwa; dziewica ma za sobą naród cały; Duchâtel podejmuje się w jej obronie całe miasto Rouen poruszyć; zdaje się że oswobodzoną będzie niezawodnie: w końcu Poulangy przynosi ulaskawienie wielkiego inkwizytora, który daje jej wolność, ale pod warunkiem żeby się wyparła swęj missyi, to jest, bluźniła Bogu. Lepsza śmierć

niż za taką cenę kupiona wolność! Święta męczennica pokonawszy w sobie omdlenia materji, odpycha stanowczo wszystkie te pokusy, i z promienném czołem wstępuje na stos, którego mściwe popioły mają przez długie wieki sypać wyrzutem w oczy Francyi i Anglii.

Czy nadszedł czas, ażeby śmiały i głęboki utwór Daniela Sterna mógł być przedstawiony na scenie paryzkiej, jeszcze nie wiadomo; ale to pewna, że jeśli nie dziś, to jutro do rzędu arcydzieł narodowych policzony zostanie.

Jeżeli na literackiej niwie trudno w tych czasach o utwory odznaczające się geniuszem, lub przynajmniej owym porywającym talentem, którym tryskało piśmiennictwo francuzkie przed dwudziestą laty, to za to na naukowo-praktyczném polu nigdy na większe nie zrywno się przedsięwzięcia, nigdy zuchwalszych nie podawano projektów, nigdy olbrzymszych nie zaczynano robót; robót w obec ogromu których egipskie piramidy, mury chińskie, wiszące ogrody Babilonu i rodyjskie kolosy, dziecinną wydają się zabawką. Cała społeczność zachodnia, jakby jednakiem zbudzona hasłem, jedną żywioną myślą i jedną żądzą palona, pędzi na wyścigi ku jednemu celowi, którym jest materialne przeobrażenie kuli ziemskiej, ujarzmienie żywiołów i natury, stojącej na zawadzie potrzebom, czy zachceniom pana swego — człowieka.

Na jednym punkcie miny rozdarły już granitową pierś góry Cenis, a tysiące młotów kuje w alpejskich wnętrznościach gładki dla handlu i podróżnych gościniec; na drugim, grono niezmordowanych pracowników cierpliwie dokonywa mozolnej pracy powiązania elektryczną nicią dwóch światów. Tam, na ocean spuszczają okręt bajecznych rozmiarów, rodzaj pływającej wyspy mogącej pomieścić 15,000 ludzi i zaspokoić wszystkie ich potrzeby; owdzie, lada chwila, roje robotników rozpoczną realizacją dzieła, o którym ludzkość marzyła przez wieki: przerzną kanałem pustynię, i puszcza do Europy bogactwa wschodnie, a na Wschód europejską

oświatę. Londyn, dla zyskania kilka minut czasu, nową sieć ulic pod sobą nurtuje. Paryż, ażeby wstrzymać nędzę od rozpacznych wybuchów, buduje dla robotników całe ulice domów, gdzie będą mogli mieszkać i żyć po ludzku. Słowem, na którymbądź punkcie Zachodu wzrok zatrzymasz, zobaczysz rozpoczęte, lub mające się rozpocząć jakieś potężne prace, realizacją jakichś cudów, które dotąd tylko w tysiącu nocy przedstawiały się wyobraźni człowieka.

W takiej więc chwili, kiedy barometr świata stanął na wielkich wynalazkach i żadnej odmiany w atmosferze umysłowej nie wróży, mniej zdziwił i więcej niż kiedy zajął powszechność, olbrzymi, a praktycznie w osobnej książce wyłożony projekt połączenia tunelem Francyi z Anglią, który francuzki inżynier Thomé de Gamond, świeżo rządowi obu tych krajów przedłożył.

Nie jest to już pierwsza tego rodzaju propozycja. Już w roku 1802 inżynier Mathieu wygotował i podał pod zatwierdzenie pierwszego konsula plan przekopania podwodnej drogi pod La Manchem. Napoleon uderzony tym pomysłem, bardzo pragnął jego realizacji, i była chwila, po zawartym w Amiens pokoju, w której zdawało się że urzeczywistnionym zostanie. Kiedy angielski minister Fox przybył do Paryża, a wszystko zapowiadało przyjazne pomiędzy dwoma narodami stosunki, rzeczony projekt pana Mathieu był przedmiotem długiej rozmowy pomiędzy angielskim ministrem a pierwszym konsulem. Napoleon mówił: „Jestto wielkie dzieło, które my dwaj wspólnymi siłami możemy i powinniśmy uskutecznić”. Anglik nie był od tego; ale wnet zapalona wojna, wraz z nadziejami przyjaźni zniszczyła zamiar usunięcia dzielącego dwa narody morza.

Później, projekt franko-angielskiego tunelu znowu był brany pod rozwagę. Wielu uczonych inżynierów, między innymi Favre, poczynili w nim zmiany i ulepszenia. W roku 1846 inżynierowie Franchot, Tessier i Payerne w długich artykułach dowodzili możebności tego przedsięwzięcia. Ale wszystkie te plany odrzucone zostały, raz dlatego, że nadto świeżo tkwiły w umysłach trudności z jakimi walczyć musiał tunel pod Tamizą, powtóre dlatego, że żaden z tych projektów nie był oparty

na dostatecznej znajomości podmorskiego gruntu, którego dokładne poznanie decyduje o możebności dzieła.

Otóż nowy projekt pana Thomé zaleca się przede wszystkim badaniami geologicznymi, na których zbywało planom jego poprzedników; pod tym względem jest nawet tak dalece znakomity, że czy projektowane dzieło przyjdzie, czy nie, do skutku, geologiczne studia cieśniny kaletańskiej Thomego, zostaną najużyteczniejszym nabytkiem naukowym w tym przedmiocie. Z badań tych wynika: że grunt pod La Manchem zupełnie innej natury jak grunt pod Tamizą, nadaje się do kopania drogi podziemnej.

Zarys ogólny planu projektowanego przez pana Thomé de Gamond podmorskiego tunelu, jest następujący:

Projektuje on tunel owalny z kamiennym sklepieniem, którego wyższa cięciwa miałaby 32 stóp długości, a wysokość cała 24 stopy, aż do niższej cięciwy. Dolne, wklęsłe sklepienie owalu, pokryłaby gruba warstwa betonu, w której zostawiony kanał pozwoli upływać wodzie ze zgęszczonej pary lub przecieków pochodzącej; na powierzchni tego betonu, którą nazwaliśmy niższą cięciwą, szłaby droga żelazna. Dno w ten sposób zrobione, niezależne od sklepienia tunelu, znosić może wstrząśnienia przechodzącymi pociągami wywołane, bez udzielenia im sklepieniu. Dwie boczne ścieżki równoległe do dwóch dróg żelaznych, zostawione będą dla pieszych. Wedle obrachunku, dwie drogi żelazne byłyby dostateczne dla przejezdnych i towarów, nawet w przypuszczeniu cztery razy większego ruchu niż obecny.

Autor zaczyna tunel od przylądka Grinez i prowadzi go na Eastware, klin wystający w morze między Douwrem a Folkstone. W środku kanału La Manche, między wspomnionymi dwoma punktami, znajduje się bardzo znaczne podniesienie dna morskiego, które żeglarze zowią *Warneską skałą*. Na tej skale ma być zbudowana stacya ponad najwyższy poziom morza wystająca. Ogromna ta baszta, na której spodzie pociągi zatrzymywać się będą, stanowi główną stacyą. Fundamenta tej budowy, głęboko zapuszczone w ławicę Warny, nadadzą jej konieczną moc; u góry otoczy ją zewnętrznie murowane

wybrzeże, na które okręty wyladowywać lub zabierać zeń będą towary. Tamy, jak odnogi rozchodzące się, sformują port bezpieczny; na ich końcach staną morskie latarnie. Zbudowanie tego portu nieśkończenie podnosi ważność tej kolei. Przejezdne okręty zabierałyby ztąd, lub zostawiały towary dla Anglii i Francji przeznaczone, a płynęły dalej z tém, co do Ameryki lub na morze Bałtyckie wieźć mają.

Spód wieży *Warna* będzie w kształcie elipsy; za pomocą drogi idącej w ślimak z tunelu pod górę, ladowne wagony wyjeżdżać będą aż na wybrzeże, gdzie znajdują się w bezpośredniem zetknięciu z okrętami.

Tunel opisuje pod ziemią krzywiznę wklęsłą, której pochyłość nigdy nie przejdzie pięciutysięcznych metra (na metr długości).

Przystęp od lądu do tunelu podmorskiego, tak z brzegu francuzkiego jak i z angielskiego, mieć będzie siedmtysięcznych metra pochyłości; na brzegu angielskim galerya podziemna między stacyą *Eastware* a *Douwrem*, miałaby trzy ćwierci mili polskiej długości, na brzegu francuzkim przystęp podziemny przeszło milę, od stacyi *Grinez* aż do miasta *Marquiz*, gdzie wydobywszy się na powierzchnię ziemi, łączylby się z kolejami bulońsko i amieńsko-paryzką, oraz belgijsko-niemiecką. Stacje *Grinez* i *Eastware*, które są kończynami linii właściwie podmorskiej, będą stanowić głęboko wkopane baszty, do których przystęp byłby z lądu, ale kolej na ich spodzie leżąca, w pierwszej 170 stóp, w drugiej 100 stóp pod powierzchnią najniższego stanu morza znajdować się będzie. W głąb' każdej prowadzą schody kręcone.

Te dwa obszerne bastiony najprzód zbudowane, posłużą za podstawę do drażenia galeryi podmorskiej; ziemia tędy będzie wydobywana, materiał budowlany tędy spuszczany; przez nie także wpłynie powietrze do wentylacyi i osuszania potrzebne.

Być może, iż po zupełnem przebicciu tunelu, utworzy się prąd powietrza w podziemiu, który utrzyma świeżość należytą, a jest nawet prawdopodobnem, że ten prąd okaże się zanadto żywym. W razie przeciwnym, potężne

wentylatory będą wtlaczać lub wyciągać powietrze, co w każdym razie przez ciąg roboty jest niezbędnem.

Teraz zachodzi pytanie, jakie są sposoby i środki ku wykonaniu tak kolosalnego podziemia pod dnem morskiem?

Pan Thomé tak na nie odpowiada. Proponuje najprzód, żeby napoprzek cieśniny kaletańskiej rzucić w morze trzynaście kamiennych wysepek, w kierunku projektowanej drogi. Olbrzymie prace około sztucznych portów w Algierze, Marsylii i Anglii, jeżeli jeszcze nie nauczyły, ho to rzecz wedle dna, prądów i wedle natury morza bardzo zmienna, to przynajmniej wskazały jak budować w morzu; miliardy, które sama Francya w morze wrzuciła, nie przepadły bezowocnie, chociaż wiele z nich rozplynęło się. Otóż w każdej z trzynastu wysepek wierconoby studnię, której ściany ubezpieczyłaby blacha.

W ten sposób praca około bicia tunelu byłaby podzielona na czternaście działów, z których każdy miałby tylko wiorstę długości. Te wyspo-studnie byłyby warsztatami do wydobywania ziemi, spuszczenia ludzi i t. d., oraz wytycznymi kierunku téj zarazem podmorskiej i podziemnej drogi. Zaczynając robotę z dwóch brzegów i w dwóch odwrotnych kierunkach od każdej wysepki, pracowanoby tym sposobem jednocześnie na dwudziestu ośmiu punktach, coby pomogło do prędszego ukończenia dzieła.

Autor projektu dzieli roboty na trzy peryody:

*Pierwszego roku:* usypanie trzynastu hydraulicznych wysepek, czyli kopców i wywiercenie w nich studni, (na co, mówiąc nawiasem rok czasu wydaje nam się zamało).

*Drugiego roku:* przebicie pięciu działów tunelu, brzeżnych i środkowych, wytykających jego kierunek.

*Trzeciego, czwartego, piątego i szóstego roku,* przebicie dziewięciu pośrednich działów.

Pan Thomé twierdzi, że sześć lat wystarczy na wykonanie dzieła.

Po ukończeniu roboty trzynaście sztucznych wysepek, jako niepotrzebne rusztowania byłyby wysadzone w powietrze, aby nie zawadzały w cieśninie.

Wedle kosztorysu autora, budowa tunelu przypadająca na Francją, to jest połowa całkowitej linii ciągnąca się od miasta Marquiz do skały warneńskiej, kosztowałyby w przybliżeniu 3400 franków na metr długości, cały zaś wydatek wraz ze stacyami wynosiłby dla Francji 170 milionów fr., to jest połowę summy, którą wydano na kolęj z Paryża do Lyonu.

Wyłożywszy swój projekt, pan Thomé poddaje go skromnie pod rozwagę intelligencyj wszechstronnych w tym fachu, jakimi są zbiorowe ciała Instytutu *Min i Ponts et Chaussées*, wzywa oraz pomocy, którą tylko budżet państwa dać może. W końcu, gorąco zaprasza publiczność do poważnej a rozważnej krytyki.

Powyższy projekt wywoła zapewne tysiące zarzutów, może nawet uważany będzie za niewykonalny, przez tych mianowicie, co go dostatecznie nie zglębili; ci jednak, którzy czytali książkę pana Thomé bez chłopskiego do innowacyi wstrętu, mniej są skorzy do uważania ważnej pracy jego za inżynierski poemat. Jak to już poprzednio powiedzieliśmy, projekt jest poparty długoletniem studyowaniem geologii kanału La Manche, jak niemniej specjalną wiedzą i ścisłym rachunkiem. Tym, którzy utrzymują, że plan jego zbyt olbrzymi, aby się dał ludzką ręką wykonać, autor odpowiada, iż każda część proponowanego przezeń dzieła, znajduje odpowiednią sobie w jakiejś już dokonanej pracy: tunel podmorski jest więc tylko synteza potwierdzającą wielkie dzieło, którego poprzednio dokonane roboty są częściową demonstracją.

Ale, zapyta kto, jakże usypać te wyspy na morzu? To mrzonka! Bynajmniej, odpowiada pan Thomé: obaczcie Cherbourg, Plymouth, Algier, a mianowicie Portland. Zbudowanie tych portów przedstawiało daleko ważniejsze trudności, niż usypanie trzynastu kopców w cieśninie kaletańskiej. Weźcie trzynastą część każdej z tych tam, i rzućcie ją w morze, a stanie wysepka, z tą różnicą, że rzucona na środek morza, mniej niż przy brzegu będzie niepokojona przez morskie fale.

W końcu jeszcze słowo o obecnym stanie kwestyi podmorskiego tunelu.

Z tak ogromnym projektem pan Thomé de Gamond musiał się naturalnie udać do najwyższych władz krajowych; zapukał tedy do drzwi obydwóch interesowanych rządów: dzieło swoje posłał Anglikom, a plany, mapy i próbki geologiczne przedłożył cesarzowi Francuzów, oraz ustnie projekt swój mu objaśnił. Wysłuchawszy go cesarz, wyznaczył kommissyą do sprawdzenia części najważniejszej, t. j. studyów geologicznych. Kommissya ta składa się z pp. Beaumont wieczystego sekretarza Akademii nauk; Combes, generalnego inspektora *Min: Mallet'a* i Renauda, generalnych inspektorów instytutu *Dróg i mostów*; i Keller'a inżyniera hydrografa marynarki.

Dla ostatecznego rozstrzygnięcia kwestyi rzeczona kommissya uznała za potrzebne:

1. Kopanie dwóch wielkich studni, jednej na przykładku Grinez, drugiej na cyplu Eastware.
2. Przebicie od tych studni dwóch podziemnych galeryj dla dowiedzenia się o gatunku gruntu.
3. Wyprobowanie w téj pracy maszyn parowych przeznaczonych do kopania podziemnych galeryj.

Na te wszystkie próby kommissya zażądała 500,000 franków, którato summa przez rząd francuzki i angielski przyznana została.

Jak tego dowodzą powyższe fakta, obadwa rządy nieobojętnie przyjęły projekt pana Thomé; cesarz Francuzów mocno go popiera, a lord Palmerston ze zwykłym sobie humorem, powiedział niedawno: „Sądzę, że ten projekt przyjdzie do skutku: raz dlatego że jest mądry i rozsądny, powtóre, że go popierają wszystkie damy angielskie”.

---

Wyszły z druku *Ostatnie piosenki Berangera*: jest ich dziewięćdziesiąt dwie. Zbiór ten zawiera wszystkie prace poety od 1834 do 1851 roku; poprzedza go bardzo znakomita przedmowa, którą Beranger jeszcze 1842 roku napisał. Ostatnie poezye mniej wesołe i mniej sarkastyczne niż młodzieńcze znane całemu światu utwory francuzkiego pieśniarza, przewyższają poprzednie staranném obrobieniem i artystyczną formą, mianowicie też *Pożę-*



*gnanie Francji*, które obecnie paryżki lud śpiewa, jest może najpiękniejszą ze wszystkich piosnek Berangera. Za kilka dni wyjdzie zapowiadana biografia Berangera przez niego samego napisana.

— Henryk Mürger wydał jednotomowy romans pod napisem: *Les Vacances de Camille*. Utwór ten mimo swój spowszedniałej, bo znów z cygańsko-bretańskiego życia wysnutej treści, podoba się tu powszechnie, zapewne dlatego, że jest niepospolicie dowcipny i gryzący.

— W dzienniku swym *Monte-Christo*, Dumas rozpoczął druk nowego romansu pod tytułem: *Ainsi soit-il*. Jestto, jak dzisiejsze utwory wszystkich sławnych romansistów francuzkich z 30 roku, wyskrobek dawnego talentu, nader przykry do czytania dla tych wszystkich, co pamiętają pełne potężnego życia drammy Dumasa, lub którzy niedawno na tutejszej scenie podziwiali *Antoniego*, ów zuchwały twór ognistej wyobraźni, w którego żyłach afrykańska krew płynie, a płomienny oddech pali jak *syroko* czoła słuchaczy. Przerzucając terazniejsze nędzne bazgraniny Dumasa, czytelnik co chwila zadaje sobie pytanie, jak autor tamtych rzeczy, które są wylewem przepelnionego namiętnością serca, lub fajerwerkiem przepelnionej fantazyą głowy, mógł tak dalece stracić smak i poszanowanie własnego talentu, żeby dla zysku pokazywać światu swój upadek, i szmat po szmacie zdzierać z siebie złocisty urok dawniej sławy! Toż samo pytanie nastęrcza się czytającemu nowe utwory autora *Indyany*. Ostatnia jego powieść z czasów Henryka IV *Les Beaux Messieurs de Bois-Doré*, obecnie wychodząca w feletonie dziennika *la Presse*, dobra na bezsenność. Zdaje się, że romans ostatecznie skończył swoją rolę we Francji.

— Dwa pierwsze tomy *Historji rewolucji włoskich* przez pana Ferrari, mają w tych dniach opuścić prasę. Słychać, że to ma być dzieło znakomite, napisane z umiarkowaniem i z czysto narodowego stanowiska. Wyjdzie także niezadługo nowa edycja poważnego dzieła pana de Broglie: *l'Eglise et l'Empire Romain au XV siècle*, oraz drugie wydanie *Historji Gallów*, Thierrego.

— Sławny fotograf paryzki Nadar wydał powiększoną znacznie swoją galeryą śmieszności, znaną pod nazwą „Pantheonu Nadara”. Zbiór ten liczy teraz blisko trzysta karykatur zdjętych z tutejszych artystów i literatów. Każdy z nich jest uderzająco podobny, chociaż brzydki i śmieszny; brzydota jednak ani śmieszność w żadnym z tych portretów nie jest posunięta do absurdum. Pekieńska akademja uczonych mandarynów ubrana w strusie jaja i fryzowane lwie skóry na jakiś obchód solenny, musi być mniej śmieszna niż ta galerya Nadara, będąca jednym z najmodniejszych podarków noworocznych.

## ZBIEG,

### LEGENDA GÓRALI KAUKAZKICH.

(Z LERMONTOWA).

Harun ucieka przedź od łani,  
 Prędzej niż zając przed orła szponem,  
 Z pola, gdzie ogniem walki zagrzani  
 Czerkiesi męztwo swe płacą zgonem.  
 Ojca i obu Haruna braci  
 Bynajmniej jawna śmierć nie przeraża.  
 Ciało ich depczą już apostaci,  
 Głowa odcięta w pyłe się tarza.  
 Zamiast się pomścić ich krwi przelanej,  
 Harun umyka, zewsząd ścigany,  
 W zamęcie strzelbę, szaszkę utraca,  
 I strachem gnany w góry się zwraca.

Dzień już się kryje, mgliste tumany  
 Odziały ziemię białą oponą,  
 A powiew Wschodu, świeży, różany,  
 Rzeźwi ją skwarem słońca spaloną;  
 Ponad proroka niemą pustynią  
 Wznosi się księżyc, i zwolna płynie.  
 Resztki sił zda się opuszczą zbiega;  
 Lecz nie ustaje, pot ściera z lica,  
 A w tęp przy srebrnym blasku księżycu,  
 Pełznąc, rodzinny ań spostrzega.  
 Niedostrzeżony tam się podkrada:  
 W okół milczeniem noc cicha włada,  
 Bo z krwawej walki on, pelen sromu,  
 Sam jeden tylko wraca do domu.  
 Spiesz, znajoma sakla już bliska,  
 Gdzie konające światło ogniska.

Jak może ducha w odwagę zbroi,  
 I ot na progu sakli już stoi:  
 Znajduje druha swego Selima,  
 Którego niemoc na łożu trzyma;  
 Starzec samotny milcząc umiera.  
 Nie poznał gościa, próżno nań wziera.  
 „Wielkim jest Allach! on cię młodzianie  
 Jasnym aniołom kazał pilnować,  
 Od wszelkiej zdrady, zguby zachować,  
 Aż imię twoje sławnem się stanie.  
 A co tam słyhać?” Selim zapyta,  
 I oko ogniem nadziei błyska;  
 Powstał na łożu, i za broń chwyta,  
 Z zapalem drżącą dłonią ją ściska:  
 I w wojowniku krew młoda płynie,  
 Jeszcze zagrała w zgonu godzinie.  
 „Przez dwa dni trwała walka zawzięta.  
 Ojciec i bracia moi polegli;  
 A mnie czekały niewoli pęta:  
 Już mi wrogowie drogę zabiegli,  
 Lecz im umknąłem, i jak zwierz dziki,  
 Scigany, kryję się w puszczy tajniki,  
 Śród nieprzebranych gęstw szukam drogi,  
 O głąz i krzaki krwawię me nogi;  
 Byle uniknąć pewnej zagłady,  
 Wstępuję w dzików i wilków ślady.  
 Czerkiesi giną, wszędzie już wrogi:  
 O stary druhu! przyjm mię w twe progi,  
 A na proroka, wdzięczność ma za to  
 Aż do mogiły będzie-c zapłatą”.  
 Lecz konający na to odrzeczł:  
 „Precz ztąd pogardy godzien człowiecze!  
 U mnie przytułku nie ma dla tchórza!”.  
 Harun wyrzuty w milczeniu znosi,  
 Na srogie słowa się nie oburza  
 I już się starca więcej nie prosi.  
 A opuściwszy próg niegościny,  
 Wnet kolo sakli znalazł się innj:  
 Spojrzał na chwilę, powstrzymał kroku,  
 I sen przeszłości w mknącym obłoku  
 Owiał płomieniem zastygłe czoło  
 Jak pocałunek: słodko, wesolo,  
 W młodzieńca duszy. Wtém mu się zdało,  
 Że nań laskawie w mroku spojrzęło  
 Dwoje błyszczących, palących oczu.  
 I w ich czarownem tonął przezroczu,  
 Marzył: „mną żyje, dla mnie oddychał!”  
 Chce wejść, wtém słucha, piosnka brzmi cicha;

Słucha, pieśń starą śpiewa dziewica;  
I on się bledszym stał od księżycyca;

„Miesiąc świeci

I płynie spokojny,

A młodzian zbrojny

Do boju leci.

Dzigit nabija w broń kule,

A dziewica rzeczce czule:

„Mój luby! ty więcej

Zaufaj losowi,

Módl się ku Wschodowi,

Wierny prorokowi;

A kochaj goręcej.

Bo dopuściwszy

Się zdrady krwawej,

I swoich zdradziwszy,

Umrzesz bez sławy.

I deszcz ran twoich nie obmyje,

I zwierz twych kości nie zaryje!”.

Miesiąc świeci

I płynie spokojny,

A młodzian zbrojny

Do boju leci”.

Schyla się smutnie głowa tułacza;

I ztąd czempredziej pospiesza dalej,

Czasem lza wielka na pierś się stacza:—

To niemy świadek wewnętrznych żali.

Lecz oto młodzian już stąpa śmielej,

Domek rodzinny zdala się bieli,

I znowu męztwa w swém sercu szuka,

Z błogą nadzieją do okna stuka.

Tam stara matka jego wspomina,

Za niego modły tam w niebo biega,

Tak—ona czeka powrotu syna,

Ale nietylko jego jednego.

„Otwórz mi matko! Wędrowiec biedny;

Jam jest twój Harun! Z pośród kul wrogów

Do mych rodzinnych powracam progów

Nieuszkodzony....”

—„Tyś sam?”

—„Sam jeden!”

—„Gdzież ojciec, bracia?”

—„Oni zginęli,

Prorok ich śmierci pobłogosławił,

Anioły duszę do raju wzięli”.

—„Tyś krew ich pomścił?”

—„Nie, nie pomściłem,

Na ziemi-m cudzej miecz mój zostawił,

Strzałą się w góry nasze puściłem,  
By nie zostawić ciebie sierotę  
I lzy twe otrzeć, stłumić tęsknotę”.

— „Milcz Giaurze, próżno chytrością nie radź,  
Kiedys ze sławą nie chciał umierać.

Starym mym latom krzywdy nie zrobię!  
Zbiegu wolności, precz, sam żyj sobie!  
Nie chcę haniebnym dzielić się czynem:  
Tyś tchórz! niewolnik!... tyś nie mym synem!”

Nagle umilkły pogardy słowa,  
I znowu w okół cisza grobowa;  
Lecz wkrótce ciszę ową przerwała  
Modlitwa, jęki, żale, przekleństwa:  
Wtém Harun jednym ciosem kindżała  
Przyspieszył koniec swego męczeństwa.

Spostrzegłszy zrana, że we krwi broczy,  
Matka z pogardą odwraca oczy,  
I trup przez wiernych w wstrętem trącany,  
Niepogrzebiony został na ziemi;  
Dzieci się zbiegły i wyszydzwały  
Depcząc martwego bezwładne zwłoki;  
Tylko pies lizal, wyjąc nad niemi,  
Krew, co płynęła z szerokiej rany;  
W pieśniach wolności pozostał trwały  
Pomnik Haruna wzgardy głębokiej.  
I dusza jego z oczu proroka,  
Uleża, pośród gór Wschodu znika;  
A skoro nocy padnie pomroka,  
Cień jego błędny w wzgórzach pomyka.  
Ledwie się świtu zbliży godzina,  
Stuka do sakli, błaga, zaklina,  
Prosi na chwilę niech go przytulą;  
Lecz gdy usłyszy wiersze Koranu,  
Ucieka znowu w cienie tumanu,  
Jak pierw przed wrogów uciekał kulą.

*Bolesław Wiktor.*

# IGNACY BOHUSZ.

PRZEZ

*Juliana Bartoszewicza.*

---

Dzisiaj, kiedy o przeszłości naszej chodzą takie dziwne powieści i wyobrażenia jak o żelaznym wilku, trudno jest dla nieznających rzeczy pojąć wpływ i znaczenie takiego człowieka, jakim był np. pan Bohusz, doradca i przyjaciel Radziwiłłowskiego domu. Nie było ani senator ani żaden nawet dygnitarz rzeczypospolitej. Po latach wielu krwawej trybunałskiej pracy dostał się ledwie na ziemski urząd w swoim województwie, i aż po koniec życia był tylko prostym miecznikiem wileńskim; a przecież Bohusz jestto jedna z najjaskrawszych i najdzielniejszych postaci wieku Stanisława Augusta: imię jego szeroko zasłynęło w dziejach, jakby imię jakiego z magnatów kilkuwiecznych, wojewody, pana albo księcia obok herbów, buław i tytułów. Miał Bohusz wysokie umysłowe zdolności; bez wielkiej nauki, było samorodny gieniusz i stanowił ze tak powiemy, wcielenie się szlacheckiej Polski. Jeżeli kto ze społeczeńsnych jemu, to on polityką, postępowaniem swoim, sposobem myślenia i życia, obyczajami, odzieżą, wszystkimi cnotami i wadami, był typem owego szlachcica, który już się przeżył i z orężem w rękę, jako zasada, miał umrzeć dla historyi w bojach konfederacyi Barskiej. Los szczęśliwy zdarzył, że ta energiczna dusza, że ten żelazny a nieugięty i dziki charakter, padł na ręce Radziwiłłom, którzy szlacheckiej rzeczypospolitej bronili przeciw bijącej

potędzie intrygi: więc mógł przy nich Bohusz rozwinąć w całej pełni ogień swojego żywota. Słuchał go stary hetman, a potem książe Karol *panie kochanku*, drugi typ poetyczny dawnych charakterów szlacheckich: ztąd pan Bohusz został człowiekiem historycznym. Jak we Francyi znali markizowie wszystkie kochanki króla i ministrów, Pompadury, Du Barry i t. d., tak u nas w całej Polsce jak była długa i szeroka, znano pana Bohusza. Chociaż tylko niecznik wileński, było całą gębą minister w Nieświeżu; minister Radziwiłłowski znaczył coś przecie w rzeczypospolitej, tem bardziej jeżeli głowę Bohusza nosił na karku. Wszakże książe Karol całe prawie życie rozprawiał się ze swoimi nieprzyjaciółmi politycznymi: w tej walce nie jedna myśl Bohusza wcielała się czynem w historią, nie jeden czyn jego rozgrzmiał szeroko po ziemi: byłyto ciosy za ciosami, grom za gromem, na dom i systemat Czartoryskich, który zbiegiem dziwnych okoliczności przyszedł do panowania nad Polską w osobie króla Poniatowskiego. Zabity wróg cudzoziemczyzny Bohusz, według wyrażenia się poety, podsadzał ciągle jeża pod stolec królewski. Książę Karol, acz dzielny szlachcic, nie byłby tak długo wytrzymał przeciw potędzie, która się na dom jego zwała, gdyby nie Bohusz. Rozumieli to dobrze stronnicy królewscy i sam Poniatowski, ztąd ich nieprześlągana dla Bohusza nienawiść. Otóż powiadają, że mało mieliśmy za dawniej przeszłości, mężów stanu, to jest wyniosłych polityków, których starzy Polacy *statystami* nazywali. Statystą takim polskim czysto-narodowym, ostatnim statystą szlacheckim, był pewnie nasz Bohusz.

Rozbujala się straszliwie zaciekłość dwóch stronnictw, które pod spokojnym panowaniem Augusta III po sejmikach i trybunałach miały rzeczpospolitą. Książę kanclerz litewski *per fas et nefas* chciał postawić na swoim i wszystkie do tego celu poruszył sprężyny: przekupywał Bryła, zrywał sejmy, obierał samowolnie których chciał posłów i deputatów, gnębił przeciwników swoich na różne sposoby, w zemście nieubłagany, dziki. Z nim nie było żadnego sposobu: i albo ślepo się poddać wyrokom pańskim, albo zginąć z kretesem. Genialne



miał księżę pomysł, tysiączne prawnicze wybiegi, żeby Radziwiłłów zmartwić, żeby ich przyjaciela jakiego pozabawić, a sam zręczny, układny na pozór i grzeczny, łatwo się jak żmija wysuwał im z rąku. Trafiła jednak kosa na kamień: Czartoryski na Radziwiłłów. Gdyby księżę nie napotykał ich w Litwie po swojej drodze, szczepiłby jak ogrodnik na drzewkach, tak on na ziemi polskiej, swoje plany reformy monarchicznej i nieby mu się na świecie nie opierało. Ale jeżeli kanclerz miał rozum, hetman litewski miał miłość szlachty, i chociaż po stronie kanclerza stanęli intryganci, to jest ludzie wyłącznie rozumni bez serca, za to po stronie księcia hetmana stanęła cała historia kilku wieków Rzeczypospolitej, to jest sami ludzie serdeczni, którzy nie mogli znieść zamorskich mądrości.

Byłoto w roku 1755. Bohusz mieszkał wtedy w Wilnie i należał do palestry trybunalskiej, w której się odznaczał jako biegły prawnik i doświadczony mecenas. Nie był jeszcze wprawdzie jawnym stronnikiem Radziwiłłowskiego domu, ale serce i stosunki jakie miał z przyjaciółmi starego księcia hetmana, skłaniały go ku stronie Radziwiłłowskięj. Zresztą nic dziwnego; człowiek szczerego serca i otwarty, a zabity szlachcic, był miłośnikiem dawnego porządku rzeczy. Bohusz, chociaż jeszcze tego żadnym czynem nie zdradził, boto niebezpieczna rzecz była, nie cierpiać Wołczyna i całego domu księcia kanclerza. Te stosunki Radziwiłłowskie Bohusza, o jakich mówiliśmy, byłoto poprostu przyjaźń dla dwóch braci Abramowiczów, z których jeden Jędrzej był pisarzem ziemskim wileńskim, a drugi Jerzy podwojewodzym i także wileńskim. Obadwaj bracia byli bardzo zaćnemi ludźmi; staropolski był obyczaj ich, staropolski sposób widzenia rzeczy, staropolskie serce. Jędrzej miał dzielną głowę, a obadwaj posiadali ogromny wpływ pomiędzy bracią szlachtą swojego województwa, których zaczęły już zdaleka macać postronne wpływy księcia kanclerza. Na dobitkę obadwaj bracia byli zaciętymi przyjaciółmi Radziwiłłów, jak całe województwo wileńskie, któremu czternasty już w kontuszu Radziwiłł przewodził. Jędrzej Abramowicz dał właśnie Bohuszowi, bo od niego to zależało, regencyą ziemską wileńską.

Księciu kanclerzowi litewskiemu naraził się niechęcący i najniewinniej w świecie starościc stokliski, Matuszewie, który dawniej jednak z wszelką gorliwością mu służył, zwyczajnie jako chudy pacholek wielkiemu panu. Ale to było dosyć, bo niechby się księżę nawet domyślał, nie mając żadnych na to dowodów, że ktoś z biedniejszej szlachty był przeciw niemu, już obadwaj niespokojnie spali, kanclerz, że szlachcic żyje, szlachcic, że kanclerz gniewa się na niego. A tutaj przeciw starościcowi jeszcze bardzo ważne walczyły poszlaki; powiadano o nim, że kredytem swoim u szlachty księciu sejmiki w Brześciu litewskim pozrywał. Szlachcic mierzył się z kim? z kanclerzem! to było okropne dla pana, to zasługiwało na najsurowszą, najprzykładniejszą karę, bo milczenie mogło uzuchwalić umysły, a Matuszewie mógł wyrosnąć na politycznego nieprzyjaciela. Żeby go więc zgubić, uderzył kanclerz w najdrażliwszą stronę dla szlachcica polskiego; zarzucił mu gminne pochodzenie, podszywanie się pod herb i klejnot szlachecki, a na dowód swojego twierdzenia stawiał jakąś babę złego prowadzenia się, którą kupił umyślnie od usłużnego poplecznika, a więc własną poddankę. Baba ta twierdziła, że jest rodzoną siostrą starosty stokliskiego, ojca prześladowanego niewinnie pana Marcina Matuszewica, a nie zapierała się przytém, że ten jej brat, chociaż dziś starosta, związkami familijnemi połączony ze szlachtą, pasał niegdyś barany jako prosty parobek, urodzony z poddanych jakiegoś tam dziedzica. Nic w tém wszystkiém ani na grosz prawdy nie było. Ale w czasie kiedy stronnictwa stanowiły trybunały i kiedy sprawiedliwość była na rozkaz, dosyć było pozorów, żeby zgubić niewinnego człowieka: ztąd nie raz sędziowie przekupieni, wydawali najniegodziwsze wyroki, a drudzy więcej poczciwi, z obawy milczeli. Ten systemat sądu wprowadziła do Polski *Familia*, a jeżeli Radziwiłłowie także niesprawiedliwie po swoich trybunałach sądzili, z ich strony byłto odwet. Wtenczas już nie o pojedyncze osoby chodziło, ale o zwycięstwo stronnictwa jednego nad drugim. Kto winny był w tej sprawie? Jużćie nie kto inny, tylko ten, co pierwszy zaczął ze sprawiedliwości Bożej, robić namiętności ludzkie.

Gdzie się uciec biednemu szlachcicowi, jak nie pod opiekę możnego pana? Stać o własnych siłach, toćto przecie najwidoczniejsza zguba. Ale przeciw gniewowi kanclerza jedynie postawić można było obronę hetmańską, dwa wpływy łatwo wtedyby się zrównały. Tak myślał i tak zrobił Matuszewicz, znany już osobiście od jakiegoś czasu księciu ordynatowi: stanął poprostu przed nim ze łzami w oczach i polecał się jego łasce. Nie te jedne skargi dochodziły uszu hetmana: nie było prawie okolicy, w którejby nie znalazł się jaki chudy pacholek prześladowany od kanclerza, niewiadomo za co, często za pozory; nie było sejmiku, na którymby przeciw Radziwiłłom Czartoryski min nie podsadzał. Zbrakło księciu hetmanowi oddawna już cierpliwości, ale że to złoty był pan, do rany go przyłożyć, serce najlepsze w świecie, a wszelkich zawichrzeń w rzeczypospolitej bał się, jak diabeł święconej wody i sam wysuwać się nie lubił, kłótni z nikim nigdy nie zaczynając, więc od dnia do dnia wlekle się to jakoś: księżę kanclerz tymczasem powiat zdobywał za powiatem, województwo za województwem i hulał sobie po Litwie jakby jaki dyktator. Ale jak mówimy, przebrała się miarka, hetman postanowił dać pomoc skrzywdzonym i na pokątne intrygi rzucić *veto*: w tym celu szczerze myślał ufundować na przyszłą kadencją trybunał czysto Radziwiłłowski i do łaski marszałkowskiej prowadzić swego jedynaka księcia Karola, później sławnego *panie kochanku*, żeby młokos uczył się pod sterem ojca, jak ma służyć rzeczypospolitej i braciom szlachcie.

Stało się jak chciał księżę hetman. Nastał wprawdzie kanclerz na trybunał do Wilna stado swoich kruków gotowych na wszystko, ale na sejmikach daleko więcej obrano deputatów Radziwiłłowskich. Zatem z pomocą hetmana, po szalonych walkach i sporach, w których nie obeszło się bez krwi rozlewu, stanął marszałkiem, księżę miecznik litewski Radziwiłł, vice marszałkiem pan Jerzy Abramowicz wybrany deputatem ze Staroduba i Czartoryjszczyki musieli umilknąć. Bardzo naturalnie, młode książątko nie pilnowało sądów, a łaskę piastowało tylko dla honoru i jeździło sobie po wizytach, lub polowało po lasach; otóż cały ciężar kierowania trybunałem przypadł

Abramowiczowi. Pod jego dzielnym i energicznym wpływem, wszystko szło na sądach porządnie, żwawo, sprawiedliwie a po szlachecku i po Radziwiłłowsku. Pan vice marszałek dał Bohuszowi rejencyą teraz na trybunale, jak poprzednio brat pisarz dał mu ją w ziemstwie wileńskim. Ważnyto był bardzo urząd, témbardziej wśród ówczesnych okoliczności. Otóż ci trzej ludzie, obadwaj Abramowicze i Bohusz trząsali trybunałem księcia Karola, i coby chcieli, toby wyrabiali, gdyby nie było silne w nich trzech uczucie sprawiedliwości. Abramowicze jednak otwarciej działali jak Bohusz: już mieli wziętość wówczas u szlachty, wpływy w Nieświeżu, posiadali urzędy ziemskie i bogate dobra, z większą zatem niepodległością działać mogli. Bohusz zaś ukrywał się poza niemi do wszystkich rad ich i postanowień należał, ale pocichu, ale ze wszelką oględnością, żeby się księciu kanclerzowi jakim sposobem nie naraził. Dla niego bezpieczniej było, że księżę nawet o jego życiu nie wiedział.

I tak się zgrabnie wywijał z trudności Bohusz, że kruki kanclerskie ani się domyślały, co zacz jest pan rejent trybunalski. Naturalnie Matuszewic sprawę wygrał o szlachectwo chociaż za wielką forszą i większością tylko jednego głosu, tak zacięcie bił przeciw niemu kanclerz, na Radziwiłłowskim trybunale. Wywiódł najświęszymi dokumentami na świecie, że jest szlachcicem czystej krwi i jednego rodu z książętami Giedrojczami, ale jednak redakcyą wyroku mogła znakomicie osłabić to wrażenie nieprzychylne dla kanclerza. Teraz kto zredaguje wyrok? było pytanie, kto się odważy być jawnie przeciw księciu z Wołczyna? Mówiono w Wilnie, że Bohusz podejmuje się téj pracy. Więc Kłokocki pełnomocnik wołczyński zabiegając około niego, dawał mu 200 czerw. zł. aby nie dyktował wyroku, bo wiedział że Bohusz na palcach zna statuta i wszystko pięknie ubarwić umieć, a zresztą taka litera prawa była wyraźna: infamia dla wszystkich co zarzucali komukolwiek nieszlachectwo a nie dowiedli zarzutu, jaki tutaj właśnie był taki wypadek. Wprawdzie kanclerz aż nazbyt ostrożny, sam osobiście nie występował przeciw Matuszewicowi, tylko się ukrywał poza innemi powodami; ale cała Litwa wiedziała że to jego maszyny biją na trybunał,

powagaby jego na tém cierpiała, a cios moralny z téj ręki odebrany byłby okropniejszy od innych. Bohusz obiecał wszystko Kłokockiemu może dla niepoznaki, ale pieniędzy jednak nie wziął. Dopiero gdy widział że nikt z lepszych rejentów nie podjął się zredagowania wyroku, ni ztąd ni zowąd nagle podyktował on sam cały, a dowodził tak logicznie, napchał cytacyi statutu tak wiele, zastosował najdrażliwszy artykuł 27, którego kanclerz w żaden sposób przyjąć nie chciał, tak trafnie do sprawy, że przeciwnik przepadłby z kretesem pod ciężarem wzdargy publicznej, gdyby intrygi i siły nie miał na swoją obronę i gdyby się już nie wyuczył temi środkami jak szlachcic szablą wywijać. Juścić sam text wyroku był piorunujący przeciw księciu kanclerzowi, kiedy zawierał te słowa: „dobremu człowiekowi nie godzi się źle mówić o poczciwym”. Mówiono wtedy, że Bohusz tak ostro podyktował wyrok, nie dlatego jednak, żeby się kanclerzowi miał przekomarzać, ale że mu więcej chodziło o poklask dwóch panów, księcia hetmana w Nieświeżu i pana marszałka nadwornego koronnego Mniszcha w Warszawie. Podchlebiając Radziwiłłowi, wnącał się do łaski hetmańskiej, a tego głównie mu się chciało; pochlebiając Mniszechowi, pozyskiwał łaski dworu i rosnął w opinii księcia Radziwiłła. Celu swojego dopiął pan Bohusz i chociaż artykuł przez niego zacytowany, wiele na Litwie potém narobił bigosu, chociaż w Wołczyńnie wywołał namiętności i chęć zemsty, ale już wtedy hetman uważał za swoją powinność, zasłonić biédnego rejenta, który się dla niego i całej szlachty osobiście narażał.

Ale burza mogła obalić się na sprawców tak nieznośnego dla Wołczyńny wyroku, dopiero na drugim następującym z kolei trybunale: kilka zatém miesięcy czasu mieli Bohusz i Abramowicz, żeby się namyśleć nad sposobami ku dalszej obronie. Matuszewic wdzięczny wciągał rejenta do stronnictwa francuzkiego, które się wtedy przy hetmanie Branickim i panu Durand wiązało, a dawało pewne rekojnie. Ale nim myśl dojrzała, sejmiki deputackie odbyły się i nastąpiła nowa kadencya sądów. Małoco do wojny domowej nie przyszło między dwoma domami, i aż król musiał posyłać z Warszawy swego pełnomocnika z warunkami ugody; dosyć że po wielkich odgrążaniach się i kłó-

tniach przyszło wreszcie do najformalniejszych układów: zupełnie tak samo państwa europejskie godziły się na kongressach w Westfalii i w Utrechcie. A że kanclerz był wtedy panem położenia, zięć jego Fleming, chociaż minister, utrzymał się przy lasce marszałkowskiej i zemsta się zaczęła. Naprzód zaskarżono poprzedni wyrok jako przeciw prawu wydany i napisano manifesta na księcia Karola, a dalej wniesiono skargi przeciw pisarzowi i rejentowi, obu wileńskim. Abramowicza wprzód a potem Bohusza od czci i od wiary odsądzono, a co zatem poszło, i od urzędów; aż wstyd mówić o powodach jakich użył trybunał Flemingowski dla tak surowego skarcenia ludzi niewinnych. Bohusza np. oskarżano o depaktacyą, to jest o przekupstwo, kiedy nasz rejent był czysty jak szkło pod tym względem, a że nie brał pieniędzy od strony, tego na sobie doświadczył jawnie kruki wołyńskie za zeszłego trybunału. I cóż za dowód przekupstwa rzucono w oczy Bohuszowi? oto że raz wziął czapeczkę nocną w podarunku od pani Giecowiczowej podstoliny wileńskiej: jako oskarżyciel stanął przed sądem i zeznał o tój zbrodni, sam pan Giecowicz, człowiek mało rozsądny a krzykun wrzaskliwy, który cały trybunał napełnił wrzaskami o czapeczkę żoniną. Jak się tam sędziowie z niego i z siebie nie śmieli? pojąć trudno. Był też i drugi zarzut: Wolski patron trybunalski prawił szeroko i długo o tém, jako Bohusz był człowiekiem wielkiej pychy, nieprzystępnym, niedyskretnym dla stron. Święta prawda: pan Wolski nie skłamał. Bohusz jak mówiono wtenczas „w prezumpcyi swojej,” dla stron był rzeczywiście nieznośny, ależ to kwestya czysto osobista, która nic wspólnego nie miała z jego rejencyą. Za to karać nie mógł trybunał w żaden sposób nikogo, niechajby same strony nauczyły rejenta rozumu. Jednakże przytomnością swoją chociaż pomiędzy nieprzyjaciółni, Bohusz uniknął jawnej zguby, którą mu gotowano. Znajdował się właśnie na sądach, kiedy wniesiono to ważne zażalenie na niego: było rano. Cięta sztuka, zaraz ex abrupto odpowiedział, że po południu osobiście przed sądem bronić się będzie z tych zarzutów. Gdyby nie tak przytomnie się znalazł, miał być zaraz pod straż wzięty i pociągany niby do tłumaczenia się: tłumaczenia tego alboby wcale nie słucha-

no, albo trybunał rozumiałby je jakby chciał, według stronniczego widzimisie, poczem zaraz ogłoszonooby dekret, a biedny Bohusz oczami nawetby nie mrugnął i zginął na wieki: przynajmniej spisek taki egzystował. Ale kiedy rejent odwołał się sam do ustnej obrony i termin do niej tak krótki wyznaczył, sędziowie oszukani wybiegiem, pokazali wszelką gotowość do wysłuchania prośby pacyenta, nibyto bezstronność tak im zrobić kazała. Otóż Bohusz pilnie wysiedziawszy ranne sądy wyszedł z nich po sessyi i jak rak za morze, tak on świsnął do klasztoru. Patron tylko jakiś w jego imieniu oświadczył, że stawać nie może. Piękno jeszcze była cecha ówczesnej cywilizacyi narodu, cecha która się ostała nawet w pośród takich potęg stroniczych, a pewno płynęła prosto strugą, z czasów Jagiellońskich, kiedy wiele jeszcze było cnoty u panow kierujących sprawą publiczną, że szanowano skromne ustroenie, poświęcone Bogu i modlitwie; żadna więc siła nie śmiała przemocą przejść furty klasztornej żeby dostać Bohusza, nawet sam marszałek trybunalski, przed którego wolą korzyło się wszystko, nawet sam Fleming, tylko co nawrócony katolik. Trybunał więc i pisarza i rejenta razem odsądził zaocznie „ab omni activitate in perpetuum,” to się znaczyło że odebrał im prawie szlachectwo, bo odtąd nic nie znaczyli w Rzplitej i do żadnych czynności więcej przypuszczonemi być nie mogli: nakazał tylko przysiądz Giecowiczowi dla lepszego dowodu i dla większej jawności tryumfu, podniecał swoich zauszników, że wydawali w Wilnie głosy radości, wesela i w niebogłosy wrzeszczeli i winszowali sobie, że raz przecie Litwa przez wyrok sprawiedliwy, uwolniła się od arbitralności Abramowiczów i Bohusza. Wyrok zaś zredagował pan Szukiewicz rejent trybunalski, człowiek bardzo wykretny, na wszystkie nogi kuty, a sercem i duszą zaprzędany księciu kanclerzowi.

Ale nie tak łatwo było pokonać Bohusza, frant to był zawiarki, a główka nielada. Tyle się pomysłów snuło po jego głowie jak po trybunale, i nigdy tak nisko nie upadł, żeby nie umiał sobie poradzić. Otóż jeżeli kanclerz pozbawił hetmana trzech przyjaciół, to jest strącając ich z wysokości na której stali, nie pozwolił im już działać na szlachtę

wileńską, trzebabyto w odwet, kanclerza pozbawić dzielnej jakiej opory. Bohusz więc cios wymierzyć postanowił na pana Sosnowskiego, który był wtenczas pisarzem wielkim litewskim i starostą brzeskim, a potem za panowania Poniatowskiego został hetmanem polnym i wojewodą smoleńskim, na tego samego, w którego córce kochał się potem nieszczęśliwie Kościuszko. Sosnowski człowiek rządny i rozuanny, posiadał wielką dozę ambicyi, i chciał wyjść na człowieka; w tym celu przywiązał się do Wołczyzna, a sercem i radą służył zawsze w każdej okoliczności kanclerzowi. Książę cenił go wiele, dlatego, że jak powiedzieliśmy, Sosnowski był rozumny a takich ludzi trzeba było szukać w ówczesnej Polsce z latarką Dyogenesa. Otóż ten pisarz wielki litewski, wiele bardzo przyczynił się do utrzymania Fleminga przy lasce marszałkowskiej i mówiono że nawet miał tajne polecenie od księcia kanclerza, w razie gdyby podskarbi postradał wszelką nadzieję, uderzyć w konfederacyą przeciw Radziwiłłom; w istocie wszystko do tego celu przygotowane było, a Sosnowski jako pólkownik, zawczasu już na swoją stronę w obronie niby wolności, usposobił dla konfederacyi wojsko. Nie było wprawdzie na to prawnego dowodu, ale wszakże w owej chwili, nikomu o dowód, a wszystkim o pozór tylko chodziło. Dla pozoru zginęli pisarz wileński z rejentem, dlaczegoż nie miał zginąć dla pozoru Sosnowski? Dosyć, że za zdrową radą Bohusza, książę hetman, który jako hetman miał władzę nad Sosnowskim pólkownikiem, a był gospodarzem i zwierzchnikiem naczelnym wojska, miał prawo powołać pana Sosnowskiego przed sądy swoje hetmańskie, że bez jego wiedzy i woli potajemnie buntował wojsko. Choćbyto w najlepszym zamiarze robił, zawsze krok jego był bezprawny, zawsze burzył wojsko przeciw hetmanowi, zawsze sama tajemnica go potępiała. Ani Radziwiłł ani Bohusz nie wierzyli na seryo, żeby się to czémś stanowczem skończyło, ale było zastaw jeden za drugi, i gdyby do zgody panów przyszło, mógł hetman kanclerzowi oddać Sosnowskiego za swoich dwóch przyjaciół.

Że wtenczas sejm zwyczajny nadchodził, wszystko co tylko żyło na Litwie, a cierpiało prześladowanie od księcia kanclerza, pobiegło do Warszawy płakać i żałować się przed królem. Cały więc półk chudeuszów zleciał się nad



Wisłę i wydawał głośne jęki: Bohusz na czele. Pomiarkował się Czartoryski, że zabrnął zbyt daleko, i dlatego przedsięwziął stosowne kroki, żeby się zawczasu jako pogodzić z Litwą przed przyjazdem królewskim do Polski. Nie chciał dla powagi swojej i znaczenia, żeby się żałoby na niego aż przed tronem, jednym chórem odzywały: wstyd fałszywy świecił kanclerzowi z czoła. Ale król zajęty wojną, bo mu właśnie Fryderyk Pruski wlaźł do Saxonii, nie przyjechał na sejm: gdy więc zgoda nie doszła dla uporu stron obudwu, książe, kanclerz i brat jego byli bardzo z wojny kontenci. Wtém chociaż po terminie król nadjechał. Bohusz znowu pobiegł do Warszawy i razem z innemi podał prośbę do pana, kiedy z sali pałacowej szedł wolnym krokiem ku kaplicy na nabożeństwo. Zyskali tyle, że król kommissyą wyznaczył, która ich pogodzić miała z kanclerzem a Litwę uspokoić. Bohusz przy téj okoliczności poznał się osobiście z panem marszałkiem nadwornym Mniszchem, który przez niechęć do Czartoryskich, szczerze przyjął jego stronę i wszystkich pokrzywdzonych. Po długich nareszcie sporach stanęła sprawiedliwość, ale kanclerz postawił jednak na swoim, bo ani Abramowicza ani Bohusza do dawnych urzędów nie przypuścił. Pisarzowi miała się dostać kasztelania brzeska, jakoż się w istocie niedługo potem mu dostała; co zaś do Bohusza, książe pozwalał, by przypuszczony został do używalności praw szlacheckich, to jest ad activitatem, ale ani dał sobie mówić o rejencyi ziemskiej wileńskiej. Tak robiąc ustępstwo dla króla, pozbywał się naraz dwóch strasznych nieprzyjaciół w Wilnie, bo Abramowicz na kasztelanii mógł mu szkodzić prywatnie u szlachty, a publicznie tylko w senacie, Bohusz zaś przez ugodę podobną zupełnie się i dobrowolnie usuwał ze stolicy litewskiej. Ale mało już wtenczas byłemu rejentowi o urząd ziemski chodziło, kiedy posiadał całą ufność księcia Radziwiłła. Byłato właśnie epoka jego największego wpływu na tego pana. Silny dobrze obraném stanowiskiem naprzeciw nieprzyjaciela, mógł więcéj teraz mu dokuczyć i szkodzić naraz całą potęgą Radziwiłłowskiego domu.

Z Warszawy gdzie bawił kawał jesieni i zimy dojeżdżając sprawy, pan Bohusz prawie prosto pojechał do No-

wogrodka, gdzie zaczęła się druga kadencya trybunału Flemingowskiego. W Nowogrodku miała podług układów warszawskich nastąpić stanowcza kombinacya pomiędzy stronami. Bohusz i tą razą stanął w klasztorze u Dominikanów dla większego bezpieczeństwa, bo nie dowierzał kanclerzowi, chociaż już zabezpieczony słowem królewskim. Ale co to u księcia kanclerza? Nie zapomniał urazy nigdy, a nie przebaczał nikomu; wszystkie sprężyny intryg trzymając w swoim ręku, mógł sprawę jeszcze rozognić, a kiedy się stare niechęci zacierały, za jego poręką mogły płomieniem buchnąć nowe. Dosyć było jakiej okazji, którąby sami Czartoryjszczyki namówiwszy się między sobą, nieostrożnemu podali, a Bohusz byłby połknął wstyd i albo de noviter repertis, albo o coś zupełnie innego, zaskarżony przed trybunał. Totież nie tracący nic ze swojej fantazyi rejent, jak najrzadziej mógł, wychodził na miasto z klasztoru, a jak się tylko ułatwił ze sprawami, co najprędzej wracał do swojego mieszkania; kiedy zaś przyszło mu odwiedzić Fleminga, jako marszałka, który miał o losie jego stanowić, wyprawiał się do niego jakby na ścięcie, jakby już śmierć nad głową jego wisiała. Tak mało wierzył tej malowanej zgodzie, która nastąpiła w Warszawie, że lękał się kroku jednego postawić. Mogli mu dać umyślnie okazyą, potem zaraz jak dawni Polacy mawiali, stante pede uwięzić, wreszcie osądzić i bez ceremonii zdjąć głowę. Bohusz wziął tedy z sobą krucicę, bo na przypadek, gdyby go miano zamiar wziąć pod wartę, nie chciał ginąć sam jeden niewinnie ale i Fleminga śmierciaby poczęstował. Niebezpieczna i to wielce gra była, bo wreszcie mogli mu ludzie marszałkowscy nie dawać żadnej okazji; a jednak gdyby się wydało nieszczęściem, że miał z sobą krucicę, zguba byłaby widoczna, bez ratunku: osoba marszałka była święta i nietykalna w czasie odbywającego się trybunału, dlatego kto nachodził zbrojnie jego mieszkanie, był uważany przez prawo za gwałtownika, krucica byłaby jawnym świadectwem i dowodem przeciw któremu żadneby perswazyje w świecie nie pomogły; a wreszcie gdyby przyszło do ostateczności, mógł Fleminga nie trafić, a dworusy coby chcieli toby z nim zrobili. Poszedł przecie do marszałka, ale nad wszelkie spodziewanie, przyjął go Fle-

ming grzecznie i łagodnie, obiecując sprawiedliwość. Skończyło się więc na próżnym przestradchu, ale miał też co za to Bohusz słuchać od Matuszewica. Obadwaj ci prześladowani przyjaciele, a może jeszcze nie zupełnie przyjaciele, bo pan Bohusz miał takich jak stolnik, za hetkę pętelkę, przeciwnej sobie byli natury. Matuszewic ciągle się modlił, płakał, ubolewał nad swoim nieszczęściem; Bohusz szedł na przekor losowi: chciał siłą, rozumem i odwagą przełamać wszystkie niebezpieczeństwa. Dlatego Matuszewic ze wszelką względnością aby go nieobrazić, perswadował Bohuszowi, że źle zrobił idąc z bronią do Fleminga, i że lepiejby daleko było, Bogu się powierzyć jak ślepemu azardowi i krucicy, a potem życie swoje i cudze wystawiać na niebezpieczeństwo. Ale Bohusz, acz pobożny człowiek jak ojcowie, myślał sobie pewno na te uwagi „a gadaj sobie wasze zdrów”.

Pokazało się, że Bohusz przewidywał prawdę, kiedy mówił, że pomimo pozorniej grzeczności familii, sprawiedliwości dla prześladowanych nie dojdzie, bo obietnice warszawskie były nieszczerze i dlatego rzucone na wiatr, by lepiej otumanić umysły, a przeciąganiem sprawy nękać nieprzyjaciół. Jednocześnie kiedy się zaczynała kadencya nowogrodzka, odbywały się sejmiki gospodarskie, na których obierano deputatów do przyszłego trybunału; te sejmiki wszędzie prawie fakcyja kanclerska pozrywała, było więc dowód jasny jak słońce, że fakcyja chce dalej utrzymywać nierząd, nie wyrzekając się swoich dawnych zamysłów przewodzenia w Rzplitej. „Ha! nie ma co robić, mówi Bohusz do Matuszewica, biegnij do Warszawy po pieniądze”. A było już raz tak, że pan Durand poseł francuzki dał 2,000 dukatów Matuszewicowi na popieranie stronnictwa republikańskiego w Litwie. Wśród ogólnego zepsucia, pieniądze był jedyną dźwignią, za pomocą której robiło się wszystko. Kanclerz płacił swoich deputatów, więc broniąc się, trzeba było innych sędziów płacić; a że Durand obiecał kiedyś jeszcze dać 2,000 dukatów, więc Bohusz kazał pisać do niego Matuszewicowi o pieniądze. Namysłiwszy się jednak, sam postanowił jechać do stolicy z listem, a pomoc księcia hetmana pozostawiał dopiero nakoniec, wtenczas, jeżeli już wszystkie środ-

ki ostrożności zawiodą. Myślał przy zdarzonej szczęśliwie sposobności, przestrzedz dwór o tém, że jego starania posejmowe bez nowego poparcia, pójdą w niwecz; myślał latać wszędzie od Bryła do Mniszcha, a nawet dostać się do samego króla, i jemu całą prawdę o prześladowaniu niewinnych obywateli, przez kanclerza wypowiedzieć. Napróżno przekładał mu staroście stokliski, że nie ma się czego z tej strony spodziewać, bo Bryłowi o nic też nie idzie, tylko o pieniądze. Kołatać do serca jego próżno inaczej, tylko pieniędzmi; więc jeżeli familia go uprzedziła i zaskarbiła sobie wszechwładnego ministra grzeczności, słowo królewskie pójdzie za nic i nieszczęśliwi przepadną nic nie wskórawszy i dwór jeszcze cały na siebie obruszą. Nie przekonały te uwagi Bohusza, który zwycięstwo brał zwykle szturmem, zaufał więc i teraz swojej zręczności. Potrzeba tylko było oszukać podejrzliwość trybunału i wymknąć się mu z przed oczu niepostrzeżenie, zrobić te sto mil drogi do stolicy tak, żeby nikt tego nie uważał, powrócić jak gdyby nic i w czasie jak może być najkrótszym. Co postanowił, zaraz wykonał, bo u Bohusza jak słowo, tak i czyn były na zawołaniu. Była wielka niepogoda na świecie, a najgorsze drogi; mimo to otulony szubą, wyjechał pan Bohusz do Warszawy w zimowej nocy, nędznym wózekkiem, a w najgłębszej tajemnicy. Trybunał daleko już zaszedł w sądach, więc nie było chwili jednej do stracenia. Dniem i nocą pędził pan Bohusz po błotach i roztopach śnieżnych, nie pocztą jednak żeby się nie wydało kto jedzie, ale wszędzie najętymi końmi, co mu także czasu wiele zmarudziło: najnował konie jakie gdzie dostał, od żydów i od chrześcian, a pędził, pędził strasznie. Jakoż czwartego dnia stanął w Warszawie. Wszakże i to była sztuka.

Znalazł łakomego Bryła wrogiem. Przecież i prosząc i wadząc się nieustannie na pokojach pańskich, wyrobił to u ministra, że napisał list do Fleminga, w którym grzecznie Niemiec jeden drugiemu przypomniał obowiązek dotrzymania słowa danego królowi przy kombinacyi warszawskiej, to jest żeby Abramowiczowie i Bohusz do urzędów swoich przywróćeni byli. List ten dostał Bohusz zapieczętowany, ale nie tak łatwo było szczwanego lisa wy-

prowadzić w pole. Pocóż napróżno droga, myślał sobie, jeżeli ten list jest obojętny, toż ni grzać ni ziębić nie będzie marszałka trybunalskiego i stanie się wtedy co się ma stać; więc bez ceremonii pan Bohusz list odpieczętował i znalazł w nim w istocie, „słabe obligacye”. Rozdany biegnie natychmiast do pana Mniszcha i do Bryla, i przed zięciem oskarża teścia, a dowodzi, a krzyczy, a prosi, żeby obadwaj dali do Fleminga listy mocniejsze. Szło czas jakiś oporem, bo jeżeli Mniszech miał w tem interes, żeby ugryźć księcia kanclerza, Brylowi za to wszystko jedno było; czy ten czy drugi, aby zapłacił. Ale Bohusz tak dokuczał i póty dosiadywał placu panu ministrowi, że wreszcie musiał Bryl napisać inny list do Fleminga (ile że rejent trzymał już w zanadru gotową prośbę do króla, którą odgrażał się) i dał mu na ręce kopią tego listu dla wiadomości księcia hetmana Radziwiłła. Skończywszy to, poleciał Bohusz do Duranda, otrzymał zaraz owe 2,000 duk., i przędź już napowrót, bo dlatego na żydowskich saniach, świsnął piorunem do Nowogrodka. Ale trafiła kosa na kamień, ksiązę kanclerz już przewąchał tę wyprawę Bohusza do Warszawy i odebrawszy o niej nawet pewne wiadomości, pchnął gońca do Fleminga ze stosownemi instrukcyami. Kilka dni tylko zostawało do limity; pan marszałek trybunalski wziął się na sposób, przewłóczył unyślnie sprawy, zagadywał deputatów, póty marudził, póty figlował, aż wreszcie nastąpiła prawem oznaczona limita. Wtedy już otwarcie trybunał pan podskarbi pożegnał, a sprawa Bohusza pozostała jak dotąd w zawieszeniu. Już tedy rok przeszło, jak był pozbawiony używania wszelkich praw szlachectwa.

Bohusz dla ukarania kanclerza za te odwłoki nowy i dowcipny sposób obmyślił. Pojechał zaraz do Nieświeża i tajemnie podał swój projekt księciu hetmanowi. Był w dobrach Radziwiłłowskich komisarzem ekonomicznym niejaki Jasiński dobry i rozumny szlachcic, ale ubogi i bez wpływu. Otóż kiedy Pac deputat Radziwiłłowski i kandydat do łaski, nie mógł się na zeszłym trybunale przeciw Flemingowi, pomimo usilnych zabiegów utrzymać przy marszałkostwie i był prostym deputatem bez żadnej funkcji nawet podrzędnej; teraz wypada, prawil księciu, marszałkiem

trybunalskim postanowie Jasińskiego, służyć Radziwiłłów: będzie to wet za wet, a im książę hetman niedorzeczniejszego, im mniej spodziewanego kandydata wykieruje do laski, tém większa się jego moc i wpływ na Litwie wykaże, a Wołczyn pęknie ze złości. Zawsze tak bywało, że przed mającym się reassumować trybunałem, stronnictwa swoich wysadzały kandydatów. Czartoryscy prowadzili tą razą przyjaciela swojego Jodkę, ale kandydat Radziwiłłowski nie zjawiał się, bo książę hetman nie wiedział komu dać głos swój; teraz kiedy Bohusz Jasińskiego podsunął, zgodził się i zachował o tém największą tajemnicę, dla lepszego skutku. Z tém wszystkiém nasz rejent nie ufał hetmanowi. Książę był tak szczerzy, tak prosty i tak niewinny, że dałby się łatwo skusić i łatwo by od swojego postanowienia odstąpił, gdyby go tylko zażył z mańki, a wreszcie gdyby uderzył mu do serca, jak woskby stopniało przed gorącym. Bywało, że książę z urzędu zawsze zjeżdżał do Wilna dla reassumpcyi trybunału; jako wojewoda zagajał sądy, jako hetman dawał deputatom assistencyą, a sam swoją osobą świetność uroczystego obrzędu pomnażał. Gdyby i teraz pojechał, mogliby go nasiąść Czartoryscy, ubłagać dla siebie, przejednać dla Jodka i książęby na wszystko przyzwolił; ależ zatém szła zguba przyjaciół Radziwiłłowskich: książę chciał jej zapobiedz serdecznie, ale nie miał odwagi i nie wiedział jak ma sobie poradzić. Więc Bohusz widząc, że książę słucha, namowił go, żeby sam nie jechał do Wilna i żeby nawet księcia Karola nie posyłał: wszystko to niby dlatego było, żeby pokazać lepiej Czartoryskim Radziwiłłowską sztukę. Jeżeli książęta obadwaj nie pojedają, mówił Bohusz, żaden Radziwiłł więcćj nie pojedzie do Wilna, bo nie będzie miał dla czego, wszakże i tak wszyscy inni kolligaci nieświeżskiego domu tylko dla orszaku zawsze towarzyszyli hetmanowi na reassumpcyą trybunału. Jeżeli zaś w ich nieobecności stanie marszałkiem Jasiński, znaczenie tej elekcyi będzie dosyć wyraźne, a książę kanclerz przekona się wtedy, że Radziwiłłom dosyć wyjawić jedno życzenie, żeby temu życzeniu chórem zawtorewała szlachta litewska.

Stańto więc na tém, żeby książę hetman nie jechał wcale, i żeby w zastępstwie swoim niby pełnomocnika, od siebie wysłał pana Pocięja strażnika wielkiego litewskiego. Nad-

to kazał wyliczyć czterdzieści tysięcy złotych na utrzymanie przy lasce Jasińskiego. Bohusz naturalnie jako główny doradzca, pojechał także z Pociemem do Wilna.

Nasz statysta tak się od razu zgrabnie wziął do rzeczy, a prowadził ją w tak wielkiej tajemnicy, że zwycięstwo Radziwiłłowskie najmniej spodziewane, nagle się objawiło w sali sądowej. Kiedy deputaci po przysięgach weszli do izby dla elekcyi marszałka, wtedy pierwszy raz na wierzch wyplłynęło imię Jasińskiego i większość która go kierowała do laski o kilka krések przeważyla mniejszość przeciwną. Obrany więc marszałkiem kommisarz księcia hetmana litewskiego, zaraz wszystkie urzędy trybunalskie porozdawał przyjaciółom Radziwiłłowskim.

Pierwszym krokiem bardzo naturalnie nowego trybunału było: skassować wyrok przeciw Abramowiczowi i Bohuszowi i wszystkich trzech do godności powrócić. Ale to stało się tylko dla honoru, bo dawny pisarz ziemski wileński miał już jakby w rękę kasztelanią brzeską i więcj pisarzem być nie mógł, a więc Bohusz uprzedzając przyjaciela na kilka dni jeszcze, nim tamten złożył urząd, sam się pospieszył i podziękował za rejencyą (1), gdy księżę hetman już poprzednio wyrobił mu miecznikostwo wileńskie. Został więc Bohusz miecznikiem, Abramowicz kasztelanem: Abramowicz zaraz wyjechał do Warszawy złożyć przed królem przysięgę na senatoryą. Bohusz zaś został w Wilnie pełnomocnym faworytem księcia hetmana. Patronowie trybunalscy, którzy pomagali Flemingowi w poprzednich robotach, pospuszczali nosy a najwięcej może z nich pan Jakowicki, który był wielkim szalbierzem i fabrykatorem a nie ostatnim konsyliarzem do zguby naszych trzech przyjaciół Radziwiłłowskich. Niecierpiano go w Litwie i nazywano djabelem kulawym. Onto właśnie stawał przeciw nim za laski Fleminga.

Bohusz coraz więcj tonu i pretensyi przybierać zaczął; już nietylko wtenczas radził kiedy go się zapytywano o co, ale zawsze podnosił głos, proszony o to czy nieproszony. Już nietylko w sprawy przyjaciół Radziwiłłowskich, ale w sprawy familijne i majątkowe książąt zaczął

(1) Kurjer Polski nr. 22 r. 1757.

się mieszać i chciał wszystko po swojemu urządzać. Staro-  
rego hetmana już ani na krok nie opuszczał; hetman do  
Warszawy i Bohusz z nim do Warszawy, hetman w Nie-  
świeżu i Bohusz wiecznie przy nim w Nieświeżu. Na sej-  
mach, w odwiedziny, w kościele, w trybunale, zawsze Bo-  
husz hetmana głównym doradcą. Kiedy potrzeba było  
przywieść do skutku rozwód młodego księcia Karola Panie  
Kochanku, ze starościanką bolimowską, któż jak Bohusz  
prędzej i lepiej urządzi te rzeczy? (Stary hetman nie  
chciał tego wprowadzić, ale rodzina starościanki wiecznie  
się rozwodu domagała). Więc zjechali obaj, powracając  
z sejmku warszawskiego do Białego Stoku, w którym mieszkał  
drugi hetman wuj rozwódki: Bohusz miał tu niby zważnio-  
ne strony pogodzić, ale gdy się to nie udało, więc z Branickim  
układał się o sumę, którą podług prawa miał książę he-  
tman synowej zapłacić. Dalej któż tak zgrabnie potrafił  
godzić księcia hetmana z księciem chorążym litewskim, jak  
Bohusz? Dwaj ci bracia przeciwnych charakterów, ciągle  
byli z sobą w niezgodzie, dla dziwnego charakteru młodszego  
brata, który zwykle przemieszkiwał w Białym, o pięć mil  
od Brześcia. Książę Hieronim, był to pan okrutny i dzi-  
wak, jak hetman zacny i pocziwy. Choć to w staropol-  
skich domach, w których się cnoty narodowe przechowa-  
ły, świętą była przewaga starszeństwa, tutaj na opak się  
działo: hetman ulegał często bratu jakby się lękał gniewu  
jego, który naturalnie dla niego w żadnym razie nie mógł  
być niebezpiecznym. Księciu Hieronimowi dosyć było je-  
dnego spojrzenia, żeby się obraził i dąsał, a często i tego  
nie potrzeba było: jedno przywidzenie wystarczało. Tak  
więc często dąsali się z niczego na siebie obadwaj bracia,  
a Bohusz zawsze się zdobywał na różne sposoby i zgodę po-  
między nich sprowadzał. Tak było np. pod koniec r. 1758,  
w Warszawie: bracia przyjechali do stolicy na inwestytu-  
rę kurlandzką królewicza Karola, obadwaj szczerze do sa-  
skiego dworu przywiązani, pragnęli się nacieszyć osobiście  
tą familijną króla uroczystością; książę chorąży gotował  
już zaimprovizowane łowy pod Warszawą. Hetman je-  
dnak uprzedził brata i stanął w swoim pałacu w mieście.  
W samą wilią Nowogoroku, nadjechał i chorąży litewski;  
ale że mu właśnie wtedy wypadło gniewać się jakoś za nic



na brata, nie pojechał do Warszawy, ale stanął w dworku hetmana Branickiego na Pradze. Przykro to było niezmiernie księciu hetmanowi. Ale cóż robić na to? Nie było żadnego sposobu. Ale z księciem chorążym przyjechał przesładowany dawniej stolnik brzeski; żał i jemu było księcia hetmana, więc wyniosł się cichaczem do Warszawy, żeby się rozmówić z Bohuszem, a w duszy powiedział sobie: „on to pewnie pogodzi.” Bohusz na to jak na lato, ani jednej chwili się nie namyślał: projekt był u niego od razu gotowy. Nic nie mówiąc hetmanowi, pojechał na Pragę, nibyto z rozkazu swojego pana i zaprosił księcia chorążego do pałacu w Warszawie, a wróciwszy z Pragi, zaraz udał się do hetmana i zmyślił na prędce, że księżę chorąży wprasa się do brata w gościnę, bo mu na Pradze stać niewygodnie: hetman rozczulił się z tego dowodu przyjaźni braterskiej i posłał co prędzej pólkownika swego Domańskiego z zaprosinami. Tak chorąży przeniósł się do miasta i dwaj bracia ucałowali się z wielkim affektem, niczego się nie domyślając o koncepcie Bohusza.

To wszystko jeszcze mało: Bohusz nieraz więcej sobie pozwalał, jakby pozwolił sobie sam księżę Radziwiłł. Potrafiła familia pochlebstwem zjednać przychylność dla siebie niedaleko sięgającego rozumem księcia Hieronima. Za Hieronimem ku Czartoryskim jawnie się już przeważał marszałek wielki Ogiński, który jednak łaskę swoją był winien hetmanowi: ale zato marszałek trzymał wielkie dobra słuckie za bezcen od księcia chorążego i jego piosnkę śpiewał. Wszystko już było tak zgrabnie nakręcone, że na trybunale przyszłym, jeden z Ogińskich zostanie marszałkiem, i że potem stanowcze zerwanie z księciem hetmanem nastąpi. Gdy te tajemnice przeczuł Bohusz, krew w nim zawrzała i nie wytrzymał ani chwili, a spotkawszy się z Ogińskim, tak śmiało i zuchwale w oczy mu niewdzięczność rzucał i zasypał gradem pocisków, że pan marszałek rad nie rad teraz zmilczał, ale potem stracił zupełnie serce do hetmana. Tą razą zbytnią gorliwością źle przysłużył się swojemu stronnictwu miecznik wileński, ale pan jego umiał cenić serce i pobudki swojego doradcy.

Mimo to jednak hetman poświęcał Bohusza przyjaźni kanclerza, który zaczął się wtedy serdecznie unizgać do

Radziwiłła i prawie mu o swoich najlepszych chęciach i o swojej gorącej miłości ku Rzeczypospolitej. Obadwaj więc teraz książęta znosili się razem i stanowili trybunały na Litwie. Kanclerz wymawiał sobie pomiędzy innymi warunkami, żeby Bohusza książe hetman nie popierał do deputacyi; ale nad wszelkie spodziewanie obu panów, pan miecznik z obudwu zażartował i został obrany w Wilnie (w lutym 1760). Zaraz przeciw tej elekcyi złożył do grodu manifest pan Horain podkomorzy wileński, a zabity przyjaciel księcia kanclerza, Marszałkiem też został kasztelaniec trocki Ogiński, wprawdzie partyzant dworu, ale też razem niepośledni druh Czartoryskich: wiele sejmików było pozrywanych.

Nie pilnował Bohusz tego trybunału, bo z hetmanem wyjechał na sejm do Warszawy. Z sejmu książe wracając wstąpił do brata do Biały, a był jakoś wtedy niekontent z Bohusza, bo pycha pana miecznika tak wzrastała i na kiel brała, że nawet z kośćmi dobry książe nie mógł wytrzymać. Zdarzyło się właśnie, że jakby umyślnie, jakby na złość, pojawił się w Biały za swemi i siostry interesami stolnik brzeski, który wielkie miał łaski u księcia Hieronima. Hetman łaskawszym okiem jak zwykle zaczął spoglądać na Matuszewicza, a może tylko tak się przywidziało Bohuszowi; dosyć, że pan Bohusz pękał ze złości i już przeczuwał może na wieki zgubę swoją, na czém miał skorzystać ktoś drugi. Zły humor jeszcze więcej się skwasił, kiedy książe zasiadł w Biały i obwołał swoje sądy wojskowe; więc zaciągało się na dłuższy pobyt hetmański w mieście, z którego rad był Bohusz ptakiem co prędzej wylecieć. Zaszła i na tych sądach okoliczność, która rozkrwawiła serce Bohuszowi. Przypadła sprawa pomiędzy Chodźką koniuszym księcia a Lebler, porucznikiem janczarskim. Wszyscy głosowali za Chodźką, ale kiedy przyszło z kolei dać głos Matuszewiczowi, książe choć nie wojskowego, przypuścił go jednak do turnu, tyle ufał jego prawości i sercu. Ow staroście stokliski niespodziewanie odezwał się przeciwko Chodźce, dowodząc, że nie miał Chodźko żadnego pozoru ani prawa, oficera stojącego na służbie gromić i łajać. Powiadano księciu, że oficerowie janczarscy ujmując się za swego kolegę, chcieli napaść

potajemnie na Chodźkę i zbić go, a nie skarżyć się; to właśnie zgubiło sprawę, bo sędziowie zakrzyczeli w jeden głos, że to wyraźny bunt przeciw powadze hetmańskiej. Dlatego téż ksiązę odsądził Lebla od szarży, a Chodźkę skazał na 12 niedziel więzy. Bohusz starał się u księcia hetmana za przyjaciela swoim Chodźką, żeby go uwolnić zupełnie od kary, ale ksiązę pochwalił zdanie Matuszewicza i wyrok swój utrzymał w całości. Oto już i w ręku Bohusza jawny był dowód przewagi Matuszewicza na umyśle książęcym.

Więc pierwszy raz w życiu spiskuje teraz przeciw hetmanowi i dobroczyńcy swemu pan miecznik, chcąc się pozbyć mniemanego wroga swojego. W Białym układano deputacyą na przyszły trybunał i zjechało się ochotników siła; był między niemi pan Wereszczaka łowczy brzeski. Otóż Bohusz ni ztąd ni zowąd radzi Matuszewiczowi, żeby starał się równie o deputacyą, a wreszcie jawnie mu oświadczył, że ksiązę hetman chce tego. Z drugiej strony namawiał księcia, żeby po Matuszewiczu żądał także tego dowodu przyjaźni i żeby go po prostu deputatem naznaczył. Spodziewał się Bohusz, że tym sposobem łatwo dopnie celu. Klientowi wypadało koniecznie posłuchać woli pańskiej, a tutaj wielkie podobieństwo do prawdy było, że Matuszewicz wymawiać się będzie dla bardzo wielu powodów i widoków, a wymawiać się było to jakby obrażać księcia, jakby sobie łaski jego niecenic. Otóż naprzód Matuszewicz mógł się opierać hetmanowi z tego powodu, że marszałek nadworny Mniszech już go chciał wykierować na posła, a razem być posłem i deputatem prawo nie pozwalało. Powtóre, przyjmując deputacyą Matuszewicz, rozdrażniałby tylko napróżno księcia kanclerza i sprawę swoją w której mało nie zginął, rozdmuchiwałby na nowo: dla rodziny więcej nie na rękę był Matuszewicz w trybunale, jak na sejmie. Ale nad wszelkie spodziewanie Bohusza, stolnik nasz ustąpił i zrzekał się nawet poselstwa dla deputacyi, tylko to sobie wymawiał, żeby nie był kandydatem w Brześciu, bo kanclerz nigdyby na to nie pozwolił, a jeżeliby pozwolił to chyba wtenczas, żeby kombinacya pomiędzy stronami nastąpiła i gdyby drugi kandydat z Brześcia był jego klientem a do tego przyszłym marszałkiem trybunału. Zawcza-

su więc przedstawił Matuszewicz trudności, jakieby tę kandydaturę jego w Brześciu spotkały, bo znowu honorem było księcia hetmana niepozwalac na marszałka Czartoryskim i on sam nie chciał służyć przez poczciwość swoje widokom obcego stronnictwa. Ale to właśnie podobało się Bohuszowi, którego uwagi i rozumowania stolnika nie przekonały: napierał się gwałtem, by Matuszewicz został deputatem z Brześcia. „Więc chcesz, by się na mnie sejmik brzeski zrywał? zapytał go stolnik: bez kombinacyi nie będzie sejmiku, a ja znowu nie chcę żeby się na mnie zrywało, to niepoczciwie.” A Bohusz na to: „książę tego chce.” „Chce? to dobrze” odparł Matuszewicz.

Książę wyjechał z Białej do Wysokiego, gdzie mieszkał wojewoda połocki, pan Sapieha, za nim dwaj spółzawodnicy do deputacyi. Tutaj zamiast zatrzymać w sekrecie przed Weresz zaką, że Matuszewicz przeznaczony na kandydata do Brześcia, książę zdradził się. Tak Bohusz pośrednio przynajmniej dopiął celu, bo jeżeli nie naraził stolnika księciu, przynajmniej postanowił go w nieprzyjemnych stosunkach do pana łowczego. Musiał się znowu naprzykrzać Matuszewicz księciu o pewne łaski dla Wereszczaki.

To nic: Bohusz postanowił wysadzić koniecznie z łaski księcia, swojego urojonego nieprzyjaciela. Na sejmikach brzeskich już trzeba było ogromnej forsy, żeby się księciu kanclerzowi opierać. Otóż polityka Radziwiłłowska na ten punkt oddawna strzały swoje skierowała, żeby chociaż jednego przeprowadzać tam zawsze swojego kandydata. Był to jednak półśrodek; dla stanowczego ciosu, trzeba było wysadzić zupełnie kanclerskich w Brześciu i zniszczyć wpływ Fleminga w tém wojewodztwie, a trudno to było; bo pan Podskarbi był czynny, zwawy i bogaty, a mieszkał w Terespolu, naprzeciw samego miasta w pałacu, rzeką tylko oddzielony od szlachty. Z resztą nie każdy z obywateli mógł się podjąć deputacyi Radziwiłłowskiej z Brześcia, wśród takich okoliczności. Stolnik Matuszewicz jednak podjął się kierować tajemnie rzeczy ku temu celowi, a miał w istocie wiele wpływu pomiędzy bracią szlachtą; był też pełnomocnikiem hetmańskim w tych stronach, namawiał, odwiedzał, dowodził, przekonywał szlachtę. Na sejmiki następujące udało się mu namówić na deputacyą kniazia

Szujskiego. Zawiadomił o tém hetmana (w stycz. 1761), ale Bohusz żeby zgubić w łasce pańskiej stolnika, źle i opacznie całą tę sprawę przed księciem wyłożył: że zaś nie było co odpowiedzieć na list Matuszewicza, uniżony a rozumny, więc zatrzymano umyślnego posłańca i po sejmiku dopiero pchnięto go z Nieświeża z powrotem. Przywiózł on stolnikowi list hetmana krótki i obojętny, z którego widoczne były wstręt księcia a nienawiść do niego Bohusza.

Z powodu tych intryg zwawo się przemówili obaj przeciwnicy na sejmie następującym, na którym razem posłowali, Bohusz z Wilna a Matuszewicz z Kowna (w kwietniu 1761). Kiedy na piątym posiedzeniu sejmowém szlachta z miejsc już ruszyła biorąc się ku wyjściu, stolnik brzeski jakby szukając zaczepki, prosto poszedł ku Bohuszowi, który siedział obok Łopacińskiego posła mściśławskiego. Miecznik wileński pierwszy się zapęrzył, zamiast co miał spokojnie czekać wyrzutów od stolnika, „musiałeś być WPan zły bardzo, prawil do niego, kiedyś jadąc do Warszawy list do mnie pisał, żaląc się na to, żeś był wystawiony na szablę, i że na tobie zrywał się sejmik brzeski”. A Matuszewicz na to: „nie ze złości to było, ale z żalu.” I zaczął się rozwodzić obszerniej, kiedy mu dźwiękła raz strona sercowa; tłumaczył się, że służył księciu hetmanowi wiernie, że nie żałował na to swojej fortunki, że wszystkołożył dla łaski pańskiej, a jednak książę hetman mu nie wierzy. Tak zdaleka zachodząc plwał stolnik w oczy Bohuszowi, że to jego sprawka, ale miecznik zuchwały korzystał zrzęcznie z okoliczności stosownie do swoich widoków: „kiedy WPan tracisz ochotę, zawołał z gniewem, to daj pokój, obejdzim się bez WPana.” A na to stolnik: „znowu już ja dawno widzę niechęć waszmości ku mnie a bez mojej winy, i to coś mi teraz powiedział, toś ze złości powiedział, dajmyż sobie pokój: nie uciekam ja od księcia hetmana litewskiego, mego protektora, ale co do naszych osób, to się obaj obejdzimy bez siebie.” Wpadł miecznik w cholerę i byłoby przyszło może do gwałtowności jakowej, gdyby między zwaśnionych nie wdał się Łopaciński. Matuszewicz wezwał go na świadectwo rozmowy, jeżeli tego będzie kiedy potrzeba przed księciem.

Wojna była wydana: obie strony jawnie przeciw sobie wprzódę spiskowały, teraz pozory wszelkie odrzucono, Bo-

husz podniósł głos jeszcze silniejszy przeciw stolnikowi, a księżę nie wiedząc o rzeczy, słuchał go. Matuszewicz więc postarał się o sprzymierzeńców, a łatwo mu było, bo któż na dworze nieświeżskim nie miał jakiego gniewu na dyktatora? Znalazł gorliwego pomocnika w panu Bernatowiczu, który był wielkim faworytem księcia, a mimo to solą w oku Bohuszowi. Bernatowicz z Ormian pochodził, więc go pan miecznik miał za ba i bardzo, znał go chłopcem, lżył go w oczy i za oczy. Znieśli się tedy obadwaj stolnik brzeski z ulubieńcem księżęcym i razem odtąd buty szyją Bohuszowi. W miesiąc po rozerwanym sejmie, Matuszewicz pognął z Bernatowiczem za księciem (w czerw. 1761), ale go nie zastali już w Kiwaczycach, gdzie go znaleźć się spodziewali; pojechali dalej, a w drodze uczył stolnik Bernatowicza co ma powiedzieć księciu, jak go zobaczy. Rozpowiedział jak Bohusz oczerniał go przed hetmanem, jak on wszystko łożył, żeby na sejmiku brzeskim utrzymać kandydatów księcia, jak Bohusz spiknął się z Kropińskim (1) przyjacielem od serca, na jego zgubę, jak zawiedli sejmik brzeski i stronnictwo Radziwiłłowskie, aby się tylko na nim pomścić, jak koniecznie mu potrzeba było menażować Fleminga dla pomyselnego skutku i jak on właśnie menażował podskarbiego. Bohusz korzystając z okoliczności, udał to przed księciem za zdradę. Dalej prawił jak go Bohusz znieważył w izbie poselskiej i powołał się na świadectwo Łopacińskiego. Na zakończenie że Matuszewicz był poetą i wcale nie złym poetą, wręczył Bernatowiczowi jedną odę przetłumaczoną z Horacyusza (IV. 8) a zastosowaną do księcia i dał mu list od siebie. Dobrze się sprawił i ostrożnie Bernatowicz. Nastąpiła tedy tragedia. Jużśmy powiedzieli, że Bohusz tracił łaskę, teraz upadł ciężko przez zbytnią swoją zuchwałość. Trzeba było jednego jeszcze ciosu, a cedr podcięty, zwałyby się z łoskotem na ziemię.

Ułagodził się trochę Bohusz i rozejm tymczasowy zawarł z wrogami.

Pokazało się jednak nie długo, że pan miecznik ciągle potrzebny na polu walki trybunalskiej. Na łeb, na szyję przegrali Radziwiłłowie z kolei na sejmikach, a Massalski

(1) Ojcem generała autora Ludgardy.

syn hetmański, duchem Czartoryszczyk, otrzymał łaskę marszałkowską na reassumpeyi wileńskiej. Bohusz tą razą mizerną wyplatał sztuczkę swoim politycznym przeciwnikom: namawiać było trudno starszych i rozumniejszych deputatów, więc się wziął na biednego Kurzenieckiego, który wybrany był z Pińska i chciał go zrobić koniecznie przyjacielem Radziwiłłowskim, chociaż w duszy był chorążyc piński Czartoryszczykiem. Mizerna to zdobycz i mały zaszczyt z tego robić rozumnym. Otóż nie wiemy co zaprawdę przyszło do głowy panu Bohuszowi, co za rachuby w tym były, ale dosyć, że nasiadł żwawo na Kurzenieckiego, a miał w rękach swoich protestacyą przeciw jego wyborowi księżę panie kochanku. Więc straszyc wygodnie było. Bohusz chcąc chorążycia dobrodziejstwem zobowiązać, wrócił mu tę protestacyą, aby tylko zmienił przyjaźń swoją ku kanclerzowi. Przyrzekł to dla utrzymania się przy funkcyi nasz deputat, ale Bohusz dla większego dowodu wziął od niego zaręczenie pod kpem i szelmą. Chcąc go jeszcze więcej zobowiązać wrócił mu i tę ostatnią kartę i na kilka par sukien kazał mu wziąć kosztem księcia Karola. I tutaj znowu spotkali się dwaj spółzawodnicy, Bohusz z Matuszewiczem. Stolnik brzeski także był na tym trybunale deputatem, a Radziwiłłowie wy kierowali go na marszałka duchownego. Miecznik wileński pochwalił się Kurzenieckim przed Matuszewiczem. Nie zdało się to panu Marcinowi i dla tego odparł krótko: „jeżeli nie znasz charakteru owego Kurzenieckiego, to się na nim zawiedziesz, bo takie łaski tylko pocziwych i dobrych jednają, ale nieprzewrotnych i głupich; a kto się pod kpem i szelmą opisuje, ten pewnie jest już albo podły albo gałgan.” Zgadł pan Marcin, a przyszłość dopiero wykazała, że miał po sobie słuszność, chociaż Bohusz straszliwie się gniewał na niego, że nie podziwiał genialnego sposobu, na jaki się zdobył.

Kiedy więc niewiele było pociechy z Kurzenieckiego, a przyjaciół Radziwiłłowskich koniecznie wspierać należało, Matuszewicz wystąpił ze swojemi radami: „marszałek, mówił do Bohusza, jest zawzięty i złośliwy, więc ciągle będą do niego latały rozkazy od księcia kanclerza, ażeby ucisnąć naszych: trzeba nie żałować dukatów i przekupić jakiegokol-

wiek z agentów kancelerskich, żeby nam tajemnie donosił o ich sprawach i zamiarach<sup>22</sup>. Ale Bohusz w odwet Matuszewiczowi śmiechem zbywał te praktyczne rady. Nadto jakby mu na złość, zaraz po reassumpcyi odjechał książę Karol z Wilna do Nieświeża razem z Bohuszem, opiece Boskiej polecając losy przyjaciół swoich na tym trybunale. Osobliwie stracił na tej obojętności księcia, wiele Matuszewicz, którego uważano za głowę partyi Radziwiłłowskiej; ale Bohusz nie mógł zapomnieć stolnikowi dawnych niechęci, i mścił się po swojemu. Spotykały też Matuszewicza liczne affronta i zmartwienia, zastawiano często na niego sidła. Chciano go w złą jaką sprawę koniecznie uwikłać, żeby łatwiej potem zgubić. Marszałek nie kazał mu dawać ani warty ani szyldwachy przy mieszkaniu: nawet w dzień, w którym rozpoczynał sądy *compositi iudicii*, Massalski zakazał surowo żołnierzom aby mu werbla nie bili na powitanie, więc biedny Matuszewicz unikając jawnej szykany innemi drzwiami wchodził na sądy, nie temi przy których stała warta. Potem Massalski dotykał go w sprawie czysto osobistej, majątkowej; aktoraty siostry jego Ruszczykowej z rozkazu marszałka deputat Hutorowicz poniżył, żeby nie były wolane podług prawa. Dostyc biedy skupiało się zawsze na tę stronę, której się chwycił Matuszewicz: sprawa ta na pewne była zgubiona. Ale politykować umiał wybornie pan stolnik brzeski, znosił to wszystko pokornie i owszem coraz grzeczniejszy bywał dla marszałka i biskupa wileńskiego, który znajdował się ciągle na sądach dla dorady bratu. Tym dumnym panom wcale nie na rękę była ta pokora i te niziuchne ukłony: szukali ciągle najnniejszej sposobności, żeby Matuszewicza postawić w kollizyi jakiej z marszałkiem, a wtedy mając deputatów po sobie, łatwoby go odsadzili od laski duchownej. Położenie więc Matuszewicza fatalne było; nie mógł nic zrobić, a z całej partyi Radziwiłłowskiej na trybunale, p ozostali tylko biskup żmudzki i kasztelan brzeski dla swoich spraw, dlatego żadnej pomocy nieść mu nie potrafili.

Niedługo powrócił Bohusz do Wilna, ale już tą razą z księciem hetmanem. Zaczny ten pan chciał przyto-



mnością swoją uświetnić wjazd na stolicę biskupią wileńską kniazia Massalskiego, chociaż politycznego swego przeciwnika, tak był daleki od zawziętości i dumy. Ale roznieógł się i niebezpiecznie zachorował tak, że co godzina prawie stan jego się pogorszał. Nie było czasu do stracenia. Bohusz posłał czémprędzej gońca po księcia Karola, żeby przybywał, jeżeli chce ojca widzieć jeszcze przy życiu. Nie doczekał się miecznik upragnionego przybycia młodego pana, a kiedy stary hetman zawarł powieki, wziąwszy z sobą Abramowicza podwojewodzkiego wileńskiego piorunem pospieszył przeciw księciu, mając w tym swoje wyrachowanie. Spotkali wojewodzica w Sobotnikach, wiosce, którą zastawą trzymał u zmarłego księcia podwojewodzy. Na pierwszą wiadomość o śmierci ojca udzieloną przez Bohusza, młody książę strasznie płakać zaczął; dał folgę pierwszej boleści miecznik wileński, ale po chwili, na alteracyą poradził wino. Młodemu Radziwiłłowi nie trzeba było długo o tym mówić: wychowanie zbyt wolne, przykłady zbyt częste, które widział, już go oswoiły z biesiadą szlachecką. Łyknął tedy z przyjaciółmi jedną, drugą i trzecią szklanke. Kiedy do szczętu nowego pana swojego Bohusz upoił, wyjął z kieszeni pewne pismo, na którym zliczone stały wszystkie zaległości i pensye, do jakich miał prawo w skarbie książęcym i pokazał je wojewodzicowi. Brakowało coś niewiele do okrągłej liczby, Bohusz więc sobie dodał tę liczbę tak, że cała zaległość wynosiła 60,000 złotych polskich. Pretensya była jasna jak słońce, ile że przez samego hetmana podpisana: książę stary, był cokolwiek za skąpy i wolał dawać takie zapisy i obligacye jak gotówkę. Miecznik wileński upraszał teraz syna o wypłatę ojcowskiego długu. „Co chcesz za to?” pytał się książę. Bohusz mu podał swoje żądanie i otrzymał w zastawę dożywocie miasteczko Dubinki, to samo, w którym kiedyś mieszkała królowa Barbara udając wdowę, nim zjechała do Krakowa. Z Dubinek miał Bohusz co rok 30,000 złp., zatem w dwa lata wybrałby już swój kapitał, do którego sam Pan Bóg wie jak przyszedł, a tutaj dochód z zastawnych dóbr był tylko procentem od kapitału; po najdłuższem życiu Bohusza, spadkobiercy jego

mieliby prawo jeszcze do owych 60,000 złp. Żeby zaś nie dla siebie tylko coś zrobił i za samoluba nie uchodził, Bohusz podał księciu do podpisu drugie pismo dla podwojewodzego na dożywocie Sobotnik. Bez namysłu książę podpisał i jedno i drugie. Tak Radziwiłłowie płacili hojnie szlachcie za przywiązanie do siebie, i dziwić się tutaj, że szlachta za nimi szalała.

Potém we trzech, książę, Bohusz i podwojewodzy pospieszyli do Wilna na exportę księcia hetmana.

Nowy pan na Nieświeżu, był daleko rezolutniejszy jak ojciec; ojciec ciągle się obawiał wojny domowej, a nawet chętnie ustępował nieprzyjaciolom swoim, i nikomu w ogóle narazić się nie chciał: w księciu Karolu młodsza krew wrzała. Śmiertelnie nienawidził Massalskich, którzy go za nic nie mieli; a na wspomnienie księcia kanclerza cały aż się wstrząsał. Gdyby ten człowiek miał wychowaniem ukształcony rozum, jak miał serce wylane i poświęcone dla szlachty i dla Rzplitej, przy dostatkach swoich i wpływie, łatwo by strząsał dumę Czartoryskich; ale był z nim tylko instynkt i wrodzona, nieprześlągana nienawiść ku wrogom swoim. Bohusz wyłącznie nim wtedy kierował, ale mało mógł zrobić z człowiekiem, który miał tysiące zgubnych nałogów. Zresztą w całej energii, jaką rozwijał książę wśród zapasów, widać jaśnie było rękę i rozum Bohusza. Z drugiej strony miecznik wileński wiele zyskał na śmierci księcia hetmana: ze starym panem trzeba było postępować sobie ostrożnie jak z ogniem, żeby go nie obrazić, ale z księciem Karolem rzecz inna. Młody książę inaczej patrzył na Bohusza jak ojciec: mniej doświadczony, i zostawiony sam jeden sobie, patrzył na niego jako na człowieka, bez którego pomocy obejść się nie mógł. Jeżeli u ojca miał Bohusz łaski i zachowanie, syna całego miał pod swoimi rozkazami. Trzymał téż księcia surowo, nieraz wołę mu swoją narzucał i być tak musiało jak chciał ongi Bohusz.

Tak i teraz po śmierci ojca objąwszy kierunek Radziwiłłowskiej polityki w Litwie, wziął się energicznie książę Karol do obrony swoich przyjaciół. Pobiegł prosto do Warszawy po exportacyi ciała; bo mu szło o jaki

urząd, o jeden chociażby najniższy wakans senatorski, któryby się skutkiem śmierci hetmańskiej otworzył. Luboć to Radziwiłł zawsze był Radziwiłłem, jednakże zawsze co wojewoda, co senator, to nie prosty szlachcic: jeżeli lat nie miał dojrzałych i siwych włosów księżę, krzesło samo jużby mu dodawało powagi i znaczenia politycznego w kraju. Ale wyjechawszy do Warszawy zostawił Bohusza w Wilnie z najsilniejszymi poleceniami, żeby spraw przyjaciół Radziwiłłowskich bronił i upaść im w żaden sposób nie pozwalał. Zwijał się też miecznik dobrze i obchodził często deputatów, zwłaszcza po jednym liście który nadszedł do Massalskich z Wołczyna. Był wtenczas w wielkich opałach pan Zabiello łowczy wielki litewski, dziedzic Czerwonego dworu pod Kownem, na którym chciał się zemścić księżę kanclerz, za niedawne urazy i przeniewierstwo swojej chorągwi. Bohusz bronił go słowami perorując do deputatów, ale Matuszewicz ile że z Zabiellą spokrewniony, bronił go czynami i zabiegami przed trybunałem. Spostrzegł raz Massalski Bohusza kiedy z koła już wychodził, i jakto gorący i zacięty przeciw Radziwiłłom, zwawo go z furją wielką okrzyknął, że sieje pewnie praktyki pomiędzy deputatami. Wpadł Bohusz w ogromny ferwor, ale się spostrzegł zaraz; więc ani jednem słowem nieobraziwszy marszałka, zaraz wyszedł z izby sądowej. Nie tego się chciało panu Massalskiemu, ile że postanowił już raz skończyć z miecznikiem wileńskim, i wziął przed się stosowne ku temu sposoby. Było to rano i pan marszałek pobiegł zaraz do brata biskupa i obaj potem polecili do Pioromontu, gdzie była główna stacya tajemnej konfederacyi ich stronnictwa. Ściągnęli tam przebiegłych a bez sumienia dwóch mecenasów wileńskich, Szukiewicza i Przyjałgowskiego, którzy pomiędzy niemi rej wodzili, doradzając różne sposoby i nasuwając gęsto potrzebne prawnicze wybiegi dla panów i opiekunów swoich. Tam np. u Piory odbyło się w czasie obiadu pierwsze posiedzenie starszyny konfederackiej, a po obiedzie drugie, na które wezwani zostali celniejsi z deputatów wołczyńskich: stanęło tam za wspólnem porozumieniem się prawo, że gdy Bohusz przyjedzie na sądy po południu, Ejdziatowicz deputat smo-

leński da mu okazyą, ale tak, żeby Bohusz koniecznie zwadził się z nim słowy albo uczynkiem, np. żeby go potracił, odepchnął, zelżył. Marszałek krzyknie na to: horrendum! że zgwałcony jest majestat najjaśniejszej Rplitéj, że szlachcie śmie deputata w izbie sądowej w obec całego koła poniewierać, kiedy osoba jego święta i nietykalna; każe go więc natychmiast imać, oddać pod wartość i *stante pede* sądzić na gardło. Nie więcej, byłoby tylko spisek na drugi akt tragedyi już raz niedawno odegranej z Wołodkowiczem ulubieńcem księcia Karola. Za jednym zamachem dałoby się zaraz po exekucyi Bohusza zgubić i Zabiellę, o co głównie starszyznie tajnej konfederacyi chodziło.

Takimi sposobami myśleli Massalscy pozbywać się swoich politycznych nieprzyjaciół.

Bóg czuwał nad biednym Bohuszem. Ściągając tylu świadków do Pióromontu, naradzając się tak jawnie Massalscy, niechęć roztrzęśli po mieście wieść o spisku, a raczj nie tyle się strzegli swojej służby, ileby wypadło w ich położeniu. Pewien dworzanin biskupa wileńskiego a krewny Bohusza, dowiedział się o tajemnicy; pobiegł więc zaraz do Sawaniewskiego rejenta, z którym wiedział, że Bohusz żył w przyjaźni. Sam obawiał się przestrzedz swojego krewniaka o grożącym mu niebezpieczeństwie, wołał to zrobić przez trzecią osobę. Jak na nieszczęście, Sawaniewskiego nie było w domu, znajdował się na sądach: dworzanin zatem pobiegł do Matuszewicza. Stolnik brzeski wiedział, że Bohusz znajduje się u podwojewodzego Abramowicza, ale także się obawiał szukać go; więc zaraz pojechał na sądy i do ucha szepnął Sawaniewskiemu, żeby się udał natychmiast do Abramowicza, a jeżeli tam nie znajdzie Bohusza, żeby go szukał po całym mieście i nie mówiąc dlaczego, poradził mu niby od siebie po przyjacielsku, nie przychodzić na sądy i zaraz wyjechać z Wilna. Matuszewicz widać się lękał, żeby gdy spisek z Ejdziatowiczem nie powiedzie się, nie szukano innego kruczka dla dopięcia celu. Jak na szczęście nie trzeba było już tych zachodów, bo niecznik wileński tylko co za księciem Karolem pobiegł do Warszawy, żeby mu co pomódz w zabiegach o krzesło.

Stolnik brzeski zaraz pierwszą pocztą napisał do Warszawy do Zboińskich, starosty kowalskiego i jego brata, którzy wtenczas wiele znaczyli i wpływać mogli na sprawy publiczne przezto, że byli ulubieńcami marszałka Mniszcha. Donosił obszernie o tych nędznych wybiegach marszałka względem Bohusza i Zabielly, ale do samego miecznika ani słówka o niczem nie dał znać, bo łatwo nie przez złe serce, ale przez gorączkę mógłby się Bohusz z temi rzeczami wymówić publicznie i tém samym narazić jego położenie i tak nieszczególne w trybunale. Ale podwojewodzy wileński, który także był w Warszawie, wiedział o wszystkiem, i wzięwszy parol od Bohusza na tajemnicę przynajmniej do czasu, objaśnił mu cały spisek, jaki był na jego głowę uknuty. A musiał to zrobić, bo zdarzyło się właśnie, że tegoż samego dnia, obadwaj, podwojewodzy i miecznik, zaproszeni byli na obiad do Zboińskiego starosty nowskiego; starosta kowalski, który także był u brata, podochociwszy sobie zaczął żartować z karku Bohusza, że mocny i gruby. Bohusz nie w ciemę bity, odrazu się domyślił o czem rzecz, a więc po obiedzie bierze na bok starostę kowalskiego i prosi, żeby mu objaśnił zagadkę o karku, i co to jest i z kąd wie o tém? Zboiński przyznał się wtedy, a Bohusz za to z góry na starostę, że szlachta litewska wierna d. b. w. jest w ucisku, a król i ministrowie popierać jej nie chcą. Ga- dał mu wiele innych jeszcze rzeczy, a podwojewodzy rad nie rad musiał mu potem o szczegółach rozpowiadać.

Wtenczasto dopiero zrozumiał miecznik wileński jak dobra była rada Matuszewicza, żeby się postarał o jakiego szpiega pomiędzy deputatami trybunalskiemi. Wprawdzie tą razą obeszło się bez katastrofy za widoczném zrządzeniem Bożem, ale gdyby nie toż zrzządzenie, życie Bohusza wisiało na włosku: jeden przypadek go zbawił, ten przypadek, że dworzanin biskupi dowiedział się o spisku.

Teraz pan miecznik zapalił się chęcią zemsty. Dodał mu chodziło o stronnictwo, o swobody Rplitéj: teraz już osobiście był zdraśnięty. Jakże nie rzucić się z zapalem do walki na śmierć, na życie z ludźmi, którzy już zgubę mu stanowczą przygotowali? Jak nie dać im poczuciu ciężaru swojego ramienia? Całą energią Bohusz

w to pchnął, żeby ksiązę Karol pokazał się stanowczo i dzielnie Czartoryskim na przyszłym październikowym sejmie. Gdy zaś książęta nie chcieli osieroczonego hetmanowiczadopuszcząć do krzesła, trzeba więc było je zdobyć.

Jeszcze nigdy tak ostro nie stanęły naprzeciw siebie stronnictwa, jak na tym sejmie następującym. Książę Karol prosił o byle jaki wakans, nie marzył ani o województwie wileńskim, ani o buławie, ale dwór rozdał tylko starostwa hetmańskie, a z rozdaniem urzędów jego zwłóczył, bo się namyślał. Dla obudwu stronnictw ważna była okoliczność za kim się dwór oświadczy: jeżeli za stronnictwem kanclerskim, nowa twierdza na Litwie zdobyta; jeżeli za Radziwiłłowskiem, to dwór chce wojny. Czartoryscy chcieli przemocą wyrwać te nominacye dla siebie, a to może więcej ich sprawę zgubiło, jak natrętne próby młodego Radziwiłła. Otóż sejm przedstawiał formalnie plac bojowy: codzień na sessye, stronnictwa zjeżdżały się zbrojno, codzień walka mogła nastąpić: wszystko było w oczekiwaniu. Książę Karol nie przywykł do takiej cierpliwości. Wprawdzie w Warszawie obecność króla, majestat sejmu wstrzymywały w nim krew gorącą; ale kiedy partya kanclerska chciała się gwałtu dopuścić na Brylu, i miecze już z pochw blyśły, Radziwiłł był tém samem upoważniony do jakiego wyskoku. Ale Bohusz umiał czekać, i on tę sprawę poprowadził sam jeden; był jakby w ręku już przywilój dla księcia na województwo wileńskie, poco dobrowolnie go dać sobie wydzierać? Na młodego księcia wiele złych rzeczy gadano, że zaprędky i gwałtowny, po co gwałtem jakim i w Warszawie pod bokiem sejmu, wieściom tym dawać zatwierdzenie? a możeby się król obejrzał i umknął wtedy laski, gdyby miał dowód gwałtowności? a choćby nawet i dał się przebłagać i wojewodą księcia zrobił, po co stać się winnym obrazy Rplitej, przez walki na sejmie? po co rozrywać jedność narodową? Byłbyto zły przykład, plama w oczach szlachty. Dotąd Czartoryscy rwali sejmy: po co ma je rwać ksiązę Radziwiłł?

Tak myślał Bohusz i stosownie do tego działał. Żywy i energiczny, umiał wśród ciężkich okoliczności panować nad sobą. Tą razą był zimny, obojętny, spo-

czuć ciężaru swojego ramienia? Cóż energja Bohusza

kojny jak głaz, przytomny jak zwierzę czyhające na zdobycz. Rozrządzał więc siłami Radziwiłłowskiemi, dawał hasło zbrojnym, którzy otaczali księcia, udzielał instrukcye sprzymierzonym posłom, co i jak mają robić; jeden stanowił ostatecznie i wyłącznie w przybożnej radzie książęcej. Polityką Bohusza było, wytrzymać dopóki można; nie dawać zaczepki, nie narażać się na nią, unikać słów i spojrzeń, a milczeć i czekać, niechby się tamci zrywali do szabli. Kiedy więc Bohusz milczał, wszystko milczało; książę Karol jako poseł inflancki zasiadał sam na końcu izby i milczał: do niego lecieli z prośbami o pomoc, to stary minister Bryl, to marszałek nadworny Mniszech ślali posyłki i listy; książę zawsze przyjeżdżał świtą otoczony do zamku, zbrojnych rozstawił i milczał. Przy Bohuszu, co wszystkich dziwiło, kręcili się: Ogonowski obożny wileński i Wysso-gierd, posłowie litewscy, obadwaj też świeżo przeszli na stronę Radziwiłłowską. Ogonowskiego ogromnie dawniej Bohusz nienawidził, a teraz w szczególnym miał go respekt; mówiono też że 2,000 pensyi rocznej pan obożny otrzymał od księcia: Bohusz więc silny był na swém stanowisku i milczał. Wiedział dobrze, że wyjdzie na swoje, bo Radziwiłł miał siłę w Warszawie, a Czartoryscy jej nie mieli; dobrze wiedział, że pierwiej oni nie zaczepią, więc wygrana była najpewniejsza (1).

W istocie jednego dnia przywilej dla księcia na województwo podpisany został, drugiego rad nierad kanclerz litewski pieczęć do niego przyłożył i zaraz z tryumfem Bohusz przywilej przyniósł Radziwiłłowi (8 października 1762).

Tryumf księcia Karola sadzał znowu Bohusza pomiędzy urzędników wileńskich, mających władzę, z gro-na których poprzednio był wyparty przez kanclerza, albowiem wojewoda wileński był razem starostą stołecznego grodu Litwy, a jako starosta dobierał sobie jakich chciał pomocników władzy, to jest ustanawiał gród. Każdy gród, a bytło zwyczaj Korony i Litwy, trwał póty, póki żył starosta: z nastaniem nowego starosty, nowy na-

(1) Najdokładniejszy tego wszystkiego opis w Malinowskiego Źródłach do dziejów polskich tom 2gi.

stępował, wybrany według woli jego. Tak więc i ksiązę Karol mógł zmienić do szczytu gród wileński, w którym dla Bohusza znalazłoby się miejsce. Ale trzeba było czekać na uroczysty wjazd księcia do Wilna, bo wtedy dopiero zaczynała się właściwie jego władza. Do tej chwili ksiązę Karol, który już przestał być miecznikiem litewskim, nie był jeszcze wojewodą.

Otóż pierwsiastkowo wtedy ksiązę przeznaczał swojemu doradcy pisarstwo grodzkie: Bohusz już występował jako pisarz grodzki, lubo bez władzy. Ale pan Bohusz patrzył na coś dostojniejszego, chciał zostać podwojewodzym wileńskim na miejscu Abramowicza. Podwojewodzy na Litwie był tém, czém podstarosta w Koronie: pan, który gród jaki otrzymał, zwykle nie sądził i brał urząd tylko dla zaszczytu, więc z ramienia swojego instalując gród przy wjeździe na starostwo, zostawiał zaraz na swoim miejscu podstarościęgo, który zasiadał na sądach i wyrokował w jego imieniu. Podstarości więc był najpierwszą osobą w grodzie, jakby to dziś powiedzieć, prezesem sądowym. Na Litwie też same obowiązki pełnił podwojewodzy w mieście wojewodzkiem, bo zwyczajem litewskim było, lubo nie wszędzie i zupełnie inaczej niż w Koronie, że wojewoda był zaraz i starostą grodu swojego. Jeżeli tedy Bohusz miał zostać podwojewodzym, potrzeba było czém wynagrodzić Abramowicza, ksiązę Karol nigdyby nie śmiał tak bez niczego puścić swojego przyjaciela. Bohusz więc prosił księcia o starostwo starodubowskie dla Abramowicza. Ksiązę obiecał wprawdzie pisać już o to starostwo dla szwagra swojego Stanisława Brzostowskiego. Starał się też o nie i Matuszewicz, ale mu odmówiono. Niczego nie mógł przecież odnowić wtedy wojewoda wileński Bohuszowi i zmienił listy swoje do Warszawy. Do Staroduba miał się przesiąść Abramowicz, z czego był kontent, bo tam byłby jak wojewoda jaki i sam gród od siebie fundował, a na jego miejscu podwojewodzym miał zostać Bohusz, który zaraz pisarstwa ustąpił panu Górskiemu.

Ksiązę *panie kochanku* z miecznikiem wileńskim bardzo wtenczas pracowali nad ufundowaniem przyszłego Trybunału, który miał być ściśle i wyłącznie Radziwiłłowskiem. Ksiązę wjazd swój do Wilna odłożył do



kilku miesięcy, miał z urzędu znajdować się na reassumpcyi trybunału, zatem przy jednym ogniu chciał upiec dwie pieczenie: odbyć wjazd i reassumować Trybunał. Postawa księcia była znowu milcząca i zapowiadała energią. Bohusz miał być deputatem z Kowna, Radziwiłł który marszałkować, a on właściwie ster sądów utrzymywać i kierować niemi jako vice-marszałek. Kowno zaś sobie dlatego obrał, że to był jedyny punkt w Litwie, w którym nigdy nie przepadały sejmiki, więc raz była tam pewność utrzymania się na deputacyi, drugi raz z tego powiatu byli zwykle marszałkowie i vice-marszałkowie trybunalscy. Otóż Bohusz pojechał z Janem Łopacińskim na sejmik do Kowna: przeciw Łopacińskiemu nie było wielkich trudności, ale na Bohusza powstał wielki kłamantes. Nasadził na niego wrogów pan Chełkowski stolnik kowieński a partyzant Czartoryskich; nie śmiejąc sam dlatego pokazać się na sejmiku, żeby się intryga nie wydała i żeby potem nie odpokutował za to, podmówił Skorulskiego pisarzewicza grodzkiego kowieńskiego, żeby nie przyzwalał na Bohusza na żaden żywy sposób. Sam jednak Chełkowski grzeczny był, uniżony, i kłaniał się uprzejmie, bo się obawiał marszałka powiatowego Zabielly, wuja swojej żony, który mógł mu w porze wyrzucić owe 4,000 złp. wzięte od stolnika brzeskiego na zeszłym sejmiku, za niesprawiedliwe pretensye jakie rościł. Ale Zabiello uprzedzając veto szlacheckie, w wilią sejmików zaprosił do Czerwonego Dworu Skorulskiego i przekonał go brzęczącym sposobem, bo obiecał 4,000, złp. od Bohusza po elekcyi: Skorulski więc odstąpił, Chełkowski zachorował ze zmartwienia i nie pokazał się wcale na sejmiku, a Łopaciński i Bohusz stanęli jednomyślnością deputatami.

Zatém wjazd na województwo odbył się na wiosnę, na którym *panie kochanku* ufundował gród i Bohusza zrobił podwojewódzym (14 kwietnia 1763): księżę grzeczny, uprzejmy, odwiedzał w Wilnie przyjaciół i wrogów swoich. Jeszcze nigdy nie było tyle życia w stolicy litewskiej, jeszcze nigdy mury tego miasta nie widziały tylu senatorów, tylu zbrojnych. Obadwa stronnictwa zebrały się w poważnej sile: byli i pośrednicy królewscy

z Warszawy, którzy wszystko kłonił ku zgodzie: ale o zgodzie nikt nie myślał. Następowala reasumpcyja trybunału: jeszcze żaden nie stawał w tak gwałtowny sposób, jako ten, a jednak żaden wśród do najwyższego stopnia rozmarzonych namiętności, nie rozpoczynał sądów tak gwałtownie. Scena warszawska z sejmu powtórzyła się w Wilnie. Znać tutaj było znowu rozum Bohusza.

W obec Massalskich, w obec wojska obcego, księżę *panie kochanku* reasumpcyjował trybunał, Radziwiłła podkomorzego litewskiego zrobił marszałkiem, a vice marszałkiem Bohusza. Z początku sędziowie byli nieliczni, deputaci unikali koła, to nie: trybunał wciąż odbywał sessye, więc po niejakiś czasie, ten i ów, co nie chciał albo się obawiał, szedł na zamek i zasiadał w kole, jakby nic nie było. To kolejne poddawanie się deputatów, podnosiło ogromnie znaczenie trybunału. Massalscy wściekali się ze złości.

Bohusz jednak miał tam awanturę, tylko nie z powodu trybunału, ale z powodu swojej pychy i chciwości. Abramowicz starosta starodubowski, jak wprzód za księcia hetmana tak i teraz za księcia Karola trzymał w dzierżawie wioski, należące do uposażenia województwa wileńskiego. Bohusz uprosił u swego pana przywilej dla siebie na dzierżawę tych wiosek; był to nieszlachetny z jego strony postępek, to też kasztelan brzeski ujął się za brata i ostatniemi słowy zelżył Bohusza za to na trybunale w obec sędziów; przypomniał mu jego początki, przypomniał swoje dobrodziejstwa i obrzucił go zarzutem nikičemnej niewdzięczności. Bohusz, acz pyszny, wytrzymał tę straszną kanonadę z krwią zimną, bo rad nie rad szanował w duszy kasztelana, i wszystko było prawdą co tamten mówił.

Zresztą pan Bohusz piastował dyktaturę na tym trybunale: wszystko tam działo się po jego woli. Chociaż pychy znosić deputaci nie mogli, gadali na nią za oczami, ale w oczy ślepo zwykle poddawali się wszelkim pana Bohusza życzeniom i zachceniom, patrzeli na niego jak w tęczę i nim słówko jakie wyrzekł, wprzód spojrzeniem o jego zdanie pytali. Nie radzili się serca albo sumienia, ale pana Bohusza. Tenby też nie zniósł ich samowoli, kiedy

sam ksiązę marszałek we wszystkim go słuchał i zawsze się dał mu powodować: panie kochanku zalecił wyraźnie księciu, żeby nie robił bez porady z Bohuszem, a dla wszystkich Radziwiłłów, święte było słowo naczelnika rodu. Potém ksiązę marszałek trybunalski nie wiele miał rozumu, a Bohusz miał go zawiele, więcęj jak wszyscy deputaci: wpływ zatém dyktatora na umysły był naturalny. A wyrabiał takie praktyki Bohusz, że niepodobna byłoby wierzyć temu wszystkiemu, co o nim rozpowiadano, gdyby naoczni świadkowie jego sprawek nie ponotowali. I tak np. miała sprawę w trybunale o Gienejciszki pani Ruszczycowa starościna porojska z panem podstoliu litewskim, który się brał do księżniczki Radziwiłłówny, wojewodzianki wileńskiej a siostry księcia Karola: długo się już ciągnęła ta sprawa, stolnik brzeski za nią biegął, bo tu chodziło o jego siostrę, marszałek nadworny Mniszech z Warszawy za panią Ruszczycową pisał, a sam ksiązę wojewoda wileński polecił jej sprawę trybunałowi. Ale Bohuszowi uburdało się na złość wszystkim, a Matuszewiczowi w szczególe, sprawę tę na stronę Paca wyrobić, więcę podług jego rady pisał ksiązę podkomorzy marszałek do swojej matki co robić ma, a matka odpisała mu na to w tej treści: „kiedy Matuszewicz dla siostry robi, rób i ty synu dla siostry”. To księcia przekonało, a pani Ruszczycowa wbrew takim poważnym instancyom skazaną została na kondemnatę. To nic jeszcze: lepsze on sztuki wyrabiał jak zobaczymy; więcę znowu przebrała się miarka.

Książę wojewoda siedział tymczasem w Niechniewiczach i hulał z przyjaciółmi. Poleciał do niego pierwszy Romanowicz deputat trocki ze skargą, że niepodobna wytrzymać z Bohuszem, że pycha jego nieznośna, że źle się obchodzi z deputatami, że niepowściągliwy w gniewie, że nareszcie chce go zgubić na wszystkim. Kiedy tak Romanowicz prawił księciu, nadbiega druga skarga od księżny hetmanowy wileńskiej wdowy a macochy księcia, który ją więcęj jak rodzoną matkę kochał i szanował, przez pamięć na ojca. Otóż pani ta donosiła synowi, że gdy Rowinsey szlachta już notowani, klienci księcia kanclerza, najechali jej folwark w Nowogrodzkiem, podstarościego zrąbali, a ona zaskarżyła ich do trybunału za gwałt i najście;

nietylko za sprawą Bohusza nie wygrała na nich terminum tactum, ale jeszcze pyszny podwojewodzy złażał bezpiecznie jęj pełnomocnika, który się domagał sprawiedliwości. Książę wojewoda, ile był przy dobrym humorze, strasznie się na to zaindyczył, tém bardziej, że już sam wiele wycierpiał od swojego *alter ego* i zaraz dwa listy napisać kazał do Wilna: jeden do szwagra starosty bystrzyckiego, żeby mimo wiedzy Bohusza utrzymał dla księżny hetmanowy terminum tactum, drugi bardzo żwawy, który miał Bohuszowi pokazać. W istocie nasz vice-marszałek trybunalski nie był tak bardzo winien, owszem trzymając się tutaj jak i wszędzie ślepo litery prawa, które nie pozwalało sądzić sprawy *ex termino tacto* o mil kilkanaście od Wilna, Bohusz, żądał zachowania wszelkich formalności i tak zawsze postępował, żeby go na niczém złapać nie można było. Ale książę wojewoda mniej był z prawem ojczystego kraju obeznany, więc niezmiernie to bolało Bohusza, kiedy się dowiedział, że Romanowicz wyjechał do Niechniewicz. Nie tracąc chwili czasu posłał zaraz do księcia, przyjaciela swego rejenta trybunalskiego Janowicza, żeby się dowiedział, co tam książę robi i co o nim myśli? Dlatego Janowicz niby przypadkiem miał zawadzić o Niechniewicze. Ale bawił wtenczas przy księciu dawny spółzawodnik Bohusza stolnik brzeski, któremu chodziło o siostrę, żeby nie przepadła z kretesem na sądach: ten więc przyjął stronę vice-marszałka i w liście poufnym przestrzegał go o skardze księżny hetmanowy, radził dalej żeby się jęj nie sprzeciwiał w niczém i starał się o łaskę tej pani, bo lubo w tej sprawie miał on słuszność, ale nie księżna, jednakże stawiał Matuszewicz dowody, że nawet w sprawach spadkowych były takie fakta za łaski pana Ignacego Paca, że na trybunale wszystkie sprawy z tego rejestru *termini tacti* sądzono; na bok więc można było odrzucić wszelkie skrupuły.

Starosta bystrzycki tak się uwinął, że wyrobił wszystko, co tylko chciał książę i wtedy list ów drugi pokazał Bohuszowi. Krew trysnęła podwojewodzemu do twarzy, a że był człowiek zuchwały, niepokazując po sobie, że go to co obchodzi, prosił tylko Brzostowskiego, aby mu list księcia wojewody pozwolił przepisać. Czemu nie? otóż

przepisawszy list ten Bohusz, na arkuszu fracta pagina, z drugiej strony punkt za punktem odpisał odpowiedź na żądanie i dowody księcia. Pycha tam wszędzie była, a mało racyi. Pan Bohusz ten list odesłał więc z odpowiedzią do Niechniewicz; książę przeczytawszy to wszystko niesłychanie znowu się rozgniewał i posłańca odesłał z powrotem do Wilna bez żadnej odpowiedzi. Wtenczas dopiero Bohusz pomiarkował, że złapał się w sidła: książę gniewał się nie na żarty.

Raniutko poleciał Bohusz do Niechniewicz przeproszać, a może wyklócić się z panem, jeżeli sprzyjać będą okoliczności. Tylko co powrócił z Grodna stolnik brzeski, którego książę w sprawach swoich posyłał do Massalskich, był też i kasztelan brzeski. Bohusz zastał księcia jeszcze w łóżku i używając praw dawnej poufałości, chciał po dawnemu się u nog księcia na łożu i pogawędzić jak dawniej. Ale Radziwiłł się zerwał skoro go tylko zobaczył i powitawszy z uszanowaniem jako vice-marszałka trybunału, kazał podać Bohuszowi krzesło i ciągle go panował. Co usta otworzy Bohusz, książę zawsze do niego „pan, pan”. O! źle! bardzo źle! ale ani weź do księcia, jakiś mruk, małowówny, nie tak jak dawniej, wesoly i rubaszny, ciągle jakieś przymówki: widocznie było że książę zły a politykuje. Nastąpił obiad. Bohusz zawsze siadywał u stołu obok księcia, dzisiaj wojewoda sadzi go na pierwszym miejscu, jako vice-marszałka trybunału. U stołu wielkim kielichem książę pije zdrowie Bohusza, który się dąsa, ale pokryjomu, a kontent że stolnik brzeski przynajmniej jego upokorzenia nie widzi (właśnie odpisywał z woli księcia na listy prymasa i hetmana wielkiego koronnego). Wreszcie po obiedzie prosi Bohusz księcia o tajemne posłuchanie, a książę na to „nie mam nic skrytego przed memi przyjaciółmi, możesz waszmość publicznie do mnie mówić.” Cicho tymczasem każe kolaskę zaprzęgać na łowy. Nim Bohusz odważył się słówkiem rozpocząć rozmowę, kolaska zaszła, a książę zaraz nic nie robiąc sobie z niczego wyszedł, wsiadł do niej z kasztelanem brzeskim i podstolim litewskim Pacem, obudwoma nieprzyjaciółmi Bohusza. Wtedy pan vice-marszałek z pokorą już przystępuje do kolaski i pyta się czy książę pan

każe mu z sobą jechać na łowy? A ksiązę niemiłosiernie natrzęsając się z upadłej wielkości: „jak wacpan jesteś wielkim obserwatorem prawa i sprawiedliwości, tak lepiej uczynisz, że według juramentu swego pospieszysz do trybunału,” i koniom kazał ruszać.

Zbity z tropu dumny vice-marszałek dokądże się miał udać? a juścić do salki Matuszewicza na górę. Ten krok szlachetnie uprzedza o dobrém sereu stolnika brzeskiego, który miał najdogodniejszą porę do zemsty za tylokrotne fochy, ale też świadczy że i Bohusz był człowiekiem szlachetnym, kiedy się nie wahał oddać w ręce mniemanych nieprzyjaciół swoich. Tam zaczął się usprawiedliwiać, a zaczął najpierwszy ustęp od pani Ruszczykowej. Matuszewicz krótko odparł „proszę tylko o lepszy respekt, a co do mnie pomimo tylu dokuczań jestem twoim szczerym przyjacielem i przez Janowicza przestregalem cię, żebyś z księżną hetmanową występował dobrze, a teraz widzisz, że źle jest.” Posłał po wino do podczaszego: dali najlepszego. Kiedy sobie ci dwaj gwarzą, nadszedł pan Jasiński były marszałek trybunalski: po pierwszym, drugim i trzecim kieliszku, we łbie zaczęła, więc kurzy się Bohuszowi z czupryny i wielka rezolucya mu wróciła. „He! co tam, prawil do przyjaciół kieliszkowych, jeżeli stracił łaskę u księcia wojewody, poradzę sobie łatwo i znajdę innych panów fawory”. Była to pogróżka, że przejdzie na stronę kanclerza. Bohuszby tego nie zrobił, ale słowo nie było posłuszne rozumowi. Matuszewicz z poufałością zgromił go za tę jeszcze pychę w upadku, a mówił do niego rozsądnie „jeżeliś, prawil w ten sens, wpadł w niełaskę u naszego księcia, nie pochlebiaj sobie bynajmniej, że znajdziesz zachowanie u Czartoryskich: dużoś im sadła zalał za skórę, a są niezmiernie zawzięci; kiedy więc pomiarkują, żeś z księciem wojewodą zerwał, runą na ciebie całym ciężarem i wpędzą najniechybniej w nieszczęście.” Nie był Bohusz do tyła ograniczony przy swojej dumie, żeby nie dostrzegł prawdy w tych słowach; rozumiał, że interesem jego jest nie rozgłaszać przed światem tajemnicy Niechuiewickiej. Miałci on rozum i zdolności, to prawda, ale w ówczesnym położeniu rzeczy i Salomon nichy w Polsce

nieznaczył, gdyby nie mógł się oprzeć na opiece jakiego możnego pana. Wiedział, że jest ważną osobą tylko przy Radziwille, a bez Radziwiłła że będzie niczem, mniej jak niczem, bo zginie: albożto mało narobił sobie nieprzyjaciół! Więc znowu upokorzył się przed Matuszewiczem. „Dobrze, ja cię pogodzę z księciem, odparł mu stolnik brzeski, ale odmień swój ostry humor, a bądź mi nadal szczerym przyjacielem.” Bohusz przyrzekł i odjechał do Wilna.

Łatwo coś zepsuć, ale nie tak łatwo naprawić: doznał na sobie samym Bohusztój prawdy. Matuszewicz upatrywać musiał stosownej chwili, żeby mógł w tej materii przemówić do księcia, a długo się to nie udawało: tak upadek ulubieńca był zupełny i okropny. Potem był ktoś przy boku księcia wojewody, co miał w tém interes, żeby do zupełnej zgody nie przyszło, a tym ktosiem był bardzo potężny, bo chociaż ubogi, był panem z panów i konkurował o siostrę książęcą. Podstoli Pac obawiał się dawnego wpływu Bohusza na umysł księcia, bo chciał ten wpływ wyłącznie skonfiskować dla siebie. Zgrabnie też oddalał sposobności, odwracał rozmowy, a w stanowczej chwili uwodził z sobą księcia to na pijatykę, to na łowy. Rzeczywiście Pac został teraz generalnym doradcą i pełnomocnikiem nieświeżskim: wszystko od niego teraz zależało, jak wprzód zależało od Bohusza, bo książę musiał koniecznie mieć kogo przy sobie takiego, któremuby mógł zaufać i ślepo zaufać. Pac jednakże nie był do takiej rady. Zawsze podchmielony, dobrze tylko dotrzymywał kompanii księciu przy kielichu, a spraw wszelkich zaniebdywał; nie miał też do nich żadnej głowy. Więc źle się działo za niego u księcia wojewody; od rana do wieczora pijatyka, a każdy kradł co mógł: kradli wszyscy jak drapieżne kruki. Już księciu samemu było tęskno i markotno, zżymał się czasem bez potrzeby, zamyślał się, nie miał humoru: wyraźnie żał mu było Bohusza.

Otóż upatrzywszy jedną z takich chwil, przyjaciele na drugi dzień po Nowym roku (a było to u hetmana Branicznego w Wersalu podlaskim) zaczęli rokowanie. Król umarł, a książę z hetmanem naradzali się jak bronić ma-

ją Rzplitej: wojewodzie wileńskiemu w złej doli, w przesileniu losów ojczyzny, koniecznie gwałtownie potrzeba było rady, serca a choćby i szabli Bohusza. Wreszcie chodziło o los stronnictwa: książę coraz się więcej zapominał; pił, kiedy coraz trzeźwiejszym być potrzeba było. Nikt go jednak nie ocuci nówiono, i nie poprowadzi tak jak Bohusz, który jeżeli potrzeba krzyknie zgóry, hardo się nadmie i na swoim postawi.

Otóż w Białymstoku razem uderzyli książę Kuczewski stary ulubiony dworus Radziwiłłowski do księcia a Matuszewicz do hetmana. Przed obiadem Branicki wniósł te instancje i wykazywał, że Bohusz koniecznie w tych rzeczach potrzebny. Panie kochanku prawil coś na to, ale gotów był dla hetmana zrobić wszystko z warunkiem jednak koniecznym, żeby się Bohusz poprawił: utyskiwał przecież, że pan podwojewodzy rozjątrzył na Litwie wszystkich jego przyjaciół, obawiał się konfuzyi jakiej, lękał się żeby interesowani widząc Bohusza wracającego do łaski, nie zabili go. Ale dało się to wszystko jakoś połagodzić. Panowie zawołali zaraz do siebie stolnika brzeskiego i kazali mu pisać co prędzej listy do Bohusza. Tymczasem książę rozpowieział o wszystkiem Pacowi, który zalterował się i nic u stołu ani kęsa jednego przelknąć nie mógł. Żeby ztąd nie było jakichcis kwasów, stolnik brzeski uderzył znowu do hetmana, który nasiadł na Paca, żeby winy swoje Bohuszowi darował. Tymże samym sposobem powszechnie rozgrzeszenie i od innych osób nastąpiło. Pac nibyto przystał na hetmańskie prośby, ale marszczył się na Matuszewicza. Teraz szło tylko o napisanie listu: stolnik brzeski zabierał się do niego jak do sakramentu, żeby to najmniejszym słówkiem, najmniejszym przypomnieniem nienarazić Bohusza, bo to ogromny był passionat, a wszystkie przestrogi jakich mu udzielał, nie od siebie mu dawał, ale dla większej powagi, od hetmana. Otóż sługa, któremu dobrodziejstwo świadcza, ale którego trzeba prosić prawie na klęczkach, aby przyjął to dobrodziejstwo: taki był charakter Bohusza.

Massalscy chcieli na wędkę złapać księcia wojewodę wileńskiego, nibyto sami godzić się z nim chcieli i nibyto wspólnie sejniki konwokacyjne w Myszy układać. Otóż



rozpisał się o tej zgodzie obszernie w liście do Bohusza Matuszewicz, i prosił go imieniem księcia, żeby jechał co prędzej do hetmana Massalskiego na układy. Ale Bohusz odebrawszy list trzeciej osoby, rozdał się na nowo: jemu się chciało, żeby ksiązę do niego sam napisał z przeproszeniem a przynajmniej z zaprosinami. Więc nie odpowiedział i nie pojechał do Myszy. Książd Kuczewski, który wiedział o tém wszystkiem, bo list do Bohusza odsyłał, nie chcąc rozgniewać księcia, utił przed nim, że podwojewodzy się zżyma. Tak więc nastąpiła zwłoka. Radziwiłł nie wiedział czemu ma przypisywać obojętność Bohusza, Bohusz zaś czemu ksiązę do niego nie pisze? Zgoda z Massalskimi nie doszła, ale nie był tam przy niej Bohusz; sejmiki więc konwokacyjne układano, jednak z niemi, wspólnie w Nieświeżu, ale do rady chociaż o rzecz najważniejszą chodziło, nie stawil się dobrowolnie Bohusz. Czekal wciąż na zaprosiny listowne od księcia. Wreszcie kiedy nie było już co robić, polecil zaś do Nieświeża, ale przybył za późno, po całej robocie; więc Massalscy zrobili posłem kogo im się żywnie podobało, mimo opozycyi Paca. Gdyby się nie namyslał od Nowego Roku przez półtora miesiąca Bohusz, możeby to cokolwiek inaczej poszło księciu wojewodzie. Panie kochanku przyjął go jednak z radością, a że nadchodziła konwokacya, dał mu tylko informacyą na sejmiki do Wilna. Bohusz uszczęśliwiony zwróconą sobie łaską, popędził natychmiast do Wilna.

Pobiegł naprzód do biskupa Massalskiego i przeproszał go, że nie był w Nieświeżu przy zgodzie jego z prześwietnym domem Radziwiłłowskim. Ale biskup odparł na oko, że nie zawierał wcale zgody, czując się zaś mocniejszym na zawojowanym gruncie, ani chciał gadać o jakich tam warunkach i pokojach. Na dobitkę zazdrośny Pac zwadził się z Bohuszem i przyszło do przymówek; podwojewodzy wileński, że to świeżo po zgodzie było, nie narzucal się Pacowi, żeby niepowiedziano o nim, że znówu głowę do góry zadziera. Usunął się tedy zupełnie i umyl ręce, a on tylko jeden mógł pokierować sejmikami i coś dla swego stronnictwa wyrobić. Urażony, patrzył tylko na roboty Paca jako widz spokojny, i sejmiki wszystkie prze-

padły z kretesem i kaptury i posłowie, podwójne albowiem elekeye nastąpiły, a rozdwojenie złym było symptomem dla słabszych. Dla niego osobisty był to tryumf, bo na oczy stawił księciu wojewodzie, co to Pac a co to Bohusz.

Źle się działo. Kaptur wileński na sejmiku biskupim obrany, przez wydane pozwy myślał uciemieżyć wszystkich przyjaciół Radziwiłłowskich. Bohusz to widział i postanowił upadłą sprawę wybiegami prawnymi jako tako ratować. Ponieważ do sądzenia kapturów należał także sąd grodzki, którego księżę wojewoda wileński był głową, więc Bohusz namawia księcia, by osobiście zjechał do miasta na kaptury. Że zaś na sejmiku wileńskim Radziwiłłowskim obrano tylko sędziów kapturowych, a marszałka nie, i tylko prosto następną kadencją oznaczono w marcu, więc Bohusz zaraz namawiał téż księcia, żeby dla zaimponowania przeciwnikom, pozwolił się w Wilnie na nadchodzących rokach obrać marszałkiem kapturowym, dla obrony swoich. Byłto zapewne środek energiczny, narażający nawet osobę księcia wojewody, ale nie było innego sposobu dla powetowania przegranej. Więc Pac zaczął odradzać księciu tę wyprawę wszelkimi sposoby. Wtenczas Bohusz zwrócił uwagę księcia na to, jak to się role od niejakiego czasu zmieniły, na zeszłe sejmiki on odradzał, a Pac chciał, by księżę jechał do Wilna, a dlaczego? bo miał w tém swój osobisty interes. Chciało się być posłem na konwokacyą, a Massalscy mu nie dawali. Chciał więc Pac, by wymódcz na biskupie wileńskim prośbą czy groźbą poselstwo i w tym celu radził, żeby z dwóch sejmików, które przewidywano, jeden zrobić a przez kombinacyą wzajemną każdej stronie pozwolić po jednym posle: od Radziwiłłowskiej partyi, sam chciał jechać na sejm i od kanclerskiej podawał Horaina, który był na liście Massalskich. Takim sposobem dwóchby dobrowolnie ustąpiło, jeden z każdej strony. Księżę jednak nie wahał się, i nim jeszcze wyjechał, sam roztrząsał wiece o tém, że ma ochotę zjechać do Wilna dla reasumpcyi kapturów. Do hetmana koronnego w Białymstoku napisał wyraźnie, że ufunduje kaptury i że będzie

obranym marszałkiem. Łatwo pojąć ileto postanowienie przeraziło dwór i polityków białostockich. Wielkie rące walczyły przeciw temu zamiarowi. Naprzód książę nie był na sejmiku wileńskim, na którym stanęły już kaptury kanclerskie wprawdzie, ale to zawsze były kaptury i prawo było za niemi; dalej nie był obrany na nich sędzią, jakże więc mógł być marszałkiem, gdy prawo stanowiło że nie obcy, ale koniecznie jeden z sędziów ma trzymać laskę? Gród zaś do którego książę miał prawo, jak wszystkie inne sądy, ustawał w bezkrólewiu i nic nie znaczył: grodu powinnością było otworzyć tylko poprostu akta grodzkie dla przyjmowania do nich manifestów, relacyj, pozwów i t. d. Sejmik kapturowy biskupa wileńskiego daleko był lepszy, formalniejszy i nietak gwałtowny, jakim być obiecywał teraz sejmik drugi nieprawny Radziwiłłowski. Sędziowie byli na nim obrani jako należało i marszałek; wszyscy zaraz na urzędy swoje przysięgli i jurydykcyą zafundowali. Bał się też hetman koronny, żeby książę czasami nie podochcił sobie wyprawiając się na tę napaść, żeby breweryi nie narobił i przez wysoki jakie nie zmusił kanclerskiej partyi do konfederowania się przeciw sobie. Bo mogło tak się zdarzyć, że na psikus Massalscy wyrządzałyby mu psikusa, wtedy książęby zginął i cała z nim sprawa. Wieszczeń przeczuciem zgadywał stary hetman to, co się potem dla innych okoliczności zdarzyło.

Rzeczywiście wywiązała się z tego nienajprzyjemniejsza chryja dla młodego Radziwiłła. Zjechał do Wilna i gospodarował sobie po swojemu. Miluchny, słodziuchny, i grzeczniutki odwiedzał go biskup wileński, ale się pokłócił z księciem przy świadkach, broniąc prawa. Nazajutrz napilemu księciu przysłała myśl odwiedzić też biskupa, ale gdy ten zatarassował bramy, otworzył je siłą bez żadnego gwałtu: nie proszony, nie pożądanym gościem stanął w komnatach biskupa. Massalskiemu pozorowi było potrzeba, więc zaraz podniósł ogromne krzyki na gwałty, na przemoc, napaść i Bóg wie nieco: rozpisywał listy na wsze strony do prymasa, do ojca, do wszystkich; najokropniej powstawał na znieważenie praw narodowych, na gwałt wolnościom szlacheckim nadany

i t. d. Osobno ogromne chryje ciskano na Bohusza. Biskup wileński i dworzanie księcia wojewody krzyczeli, biskup że wszystko to co się działo, było z jego namowy, a dworzanie widząc, że źle się jakoś ma, znowu drugim chorem, że temu złemu winien Bohusz. Chciał książę wojewoda uniewinnić się z zarzutu, dlatego radzono mu żeby pisał do hetmana ojca biskupa, i opisał rzecz całą; był w tém i Bohusz, ale za to znów większe na niego wrzaski, że piwa nawarzył, a teraz chce by go inni wypili; wprawdzie oszukał już hetman na sejmiku, ale Pac powiadał, że ojciec jeszcze sto procent lepszy od syna. Po długich tedy naradach, stanęło na tém, że książę napisał do hetmana skarżąc się na Bohusza.

Miał to nieszczęście czy szczęście pan podwojewodzy, że co tylko się stało na dworze Nieświeżskiego pana wszystko to jemu przypisywano; dowód w tém wyraźny, że tylko jednego Bohusza wrogowie Radziwiłłów widzieli na tym dworze jako człowieka z rozumem. Tak i tą razą się przytrafiło: chociaż to jeden, i drugi, i trzeci doradzał księciu żeby pisał do hetmana, jednak biskup dowiedziawszy się, że tajemnica jego przed ojcem odkryta, a nie spodziewał się żeby po tém co zaszło w Nieświeżu, książę wojewoda dobre słowo dał Massalskim: otóż dowiedziawszy się o tém biskup, za list ten postanowił zemścić się na Bohuszu i wielkie machiny na niego przygotował, nie na niego samego już, ale na cały dom Radziwiłłowski: w jego głowie już świtała myśl złupienia i wypędzenia z Litwy całej nienawistnej rodziny księcia wojewody, chciał Radziwiłłów zubożyć i zgubić, a potem zgubić wszystkich ich przyjaciół. Już więc o niczem nie było słyhać w Wilnie, jak o prędko wybuchnąć mającej konfederacyi przeciw Radziwiłłom i Bohuszowi.....

R. 1853.

## KRONIKA LITERACKA.

*Listy z Krakowa, napisał J. Kremer. Wilno. Trzy tomy. 1855.*

**W** 1841 roku wydał p. Kremer Iszy tom Listów z Krakowa, przyjęty od publiczności naszej z prawdziwem uwielbieniem. Ten rodzaj przyjęcia odbił się w duszy autora, w sposób właściwy wyższim umysłem, sprawił bowiem wpływ odwrotny. Zamiast poczucia zachęty do dalszej niezwłocznej pracy na tem polu, pracy któraby mu niosła, po świeżo odebranych, coraz nowe wawrzyny, autor uczuł jakby z wyrzutem sumienia, że się odosobnił od grona pracujących prawie w zapomnieniu uprawiaczów ścisłej umiejętności, a wszedł na i tak zbyt szeroko u nas uprawianą niwę literatury nadobnej. Czuł oraz potrzebę dźwignienia naprzeciw fałszywej doktryny, wysysającej z piersi ludzi najświętsze prawdy, umiejętności gruntownej a prawdziwej. Pospieszył więc połączyć się z owem zacnem gronem pracowników z okolicy ścisłej nauki i oddał się pełnej trudu pracy, której owocem były dwa tomy wykładu systematycznego, filozofii. Jakkolwiek omylił się w ocenieniu pierwszej swojej pracy, która jeżeli formą swoją wchodziła w zakres literatury nadobnej, treścią wszakże czerpała w samem ognisku głębokiej wiedzy i nauki; jednak sądził, że znajdzie orzeźwienie i ochłodę a zabawę, wracając do dalszego ciągu listów z Krakowa i przerobiwszy Iszy tom, wydał w 1855 r. dwa dalsze tomy tegoż samego dzieła, obejmujące dzieje artystycznej fantazyi.

W Iszym tomie autor podaje ogólny widok na sztukę, jej stosunek do natury i zmysłów, rozumu i uczuć wiary i filozofii, streszcza istotę sztuki i ideału, kreśli rys świata właściwego dla

sztuki. W 2im przedstawia dzieje artystycznej fantazyi, daje charakter fantazyi z bliższym jej rozbiorem, okazuje stosunek fantazyi do dziejów powszechnych, opowiada dzieje fantazyi historycznych narodów. Omijając 1szy tom jako już dawniej znany, podamy ogólne zarysy treści dwóch następnych, zawierających dzieje artystycznej fantazyi.

Z różnych stosunków ducha do natury wypływają różne epoki fantazyi. W epoce symbolicznej sztuki treść tak mało się rozwija, że nie równie więcej wyrażają same formy preistoczone na dzieła piękności. Treść równoważąc się z formą w harmonii ducha i natury, daje klassyczną epokę sztuki. Nakoniec w romantycznej epoce treść ducha tak jest rozwiniętą, że przesięga za formy z natury wzięte i w nich pomieścić się nie może. Do pierwszej epoki należą Chiny, Indye, Egipt, Assyrya, Babilon i Persya, oraz Mahometańskie ludy. W Chinach człowiek pomieszał się chaotycznie z potęgami przyrody, głuchy na duszy, bez Boga w sercu, kwituje się z wiarą mechanicznymi praktykami, poezya jest tylko łamigłówką, do której potrzeba komentarzów. W Indyach, pod panowaniem zmysłowej natury nad duchem człowieka, mieszają się dzikim nieładem jestestwa duchowne z materyalnemi, przez fantazyą rozkolysane, zapustną, podobną do sennego marzenia, nieznającą prawideł i ustaw w sztuce, i wydającą jakby z powodu czci dla olbrzymich potęg natury, olbrzymie rozmiary poematów. Symboliczności szczególniej jest charakterem Egipt, dlatego tu przedewszystkiem rozwinęła się architektura, człowiek tu ma przecucie wiekuistości, ale zamiast jej, uczcił tylko śmierć. W architekturze Egiptu wszystko jest symbolem, nawet pochyłość ścian przypominająca piramidy, przybytek śmierci. Assyrya, Babilon i Persya wielkimi sprawami podawały osnowę do dzieł fantazyi, ale same jej nie miały, nauka bowiem Zoroastra, oparta na abstrakcyjach i pojęciach ogólnych, przeciwna jest wszelkiemu obrazowaniu, przez sztuki piękne. Filozofia i religia mahometańskich ludów, przypisując wszystko co się dzieje, chwilowemu dopuszczeniu, lub zwyczajowi przyjętemu w stworzeniu, roztworzyła furtkę do państwa czarodziejskich dziwów i fantastycznych widziadel. Fantazyja tu nie może wydać ani dramatu, ani Epopei, ale tylko liryczną poezyą, w której wieszcz wylewa całą swobodę uczuć, nie znając ani więzów, ani prawideł, ale obok tego staje się rozsądkową, prozaiczną, w ogromnych zbiorach przysłów, maxym i sentencyj.

Za to w Grecyi, w epoce klassycznej sztuki, duch już nie podlega naturze, ale zostaje z nią w harmonii. Ze wszystkich rodzajów sztuki rzeźba jest najwłaściwszą Grecyi i tylko uboczne promienie fantazyi jej padają na architekturę, malarstwo i poezyę. Przeważne znaczenie skulptury było powodem ogromnej wartości pięknej postaci ciała. Postacie poetyczne w poezyi są jakby rzeźbione posągi. W poezyi Greków nie ma rozdwojenia i walki świata zewnętrznego i wewnętrznego, ale umiarkowanie uroczyste i spokojne fantazyi. Jonija wypiastrowała epos, Doryda zabrzmiała hymnem, Attyka stworzyła dramat. W Eschylu i Sofoklesie rozjaśnione nocne tło przeznaczenia, postacie sprawiedliwych karzących bogów, ale w Eurypidesie już uczucie osobiste i sztuczne powikłanie bajki. Duch dziejów wszechobecny wywołał walkę żywiołów Grecyi, i przez rozdwojenie które tchnęła już w filozofii Sokratesa, a które Sofokles przedstawił w Antygonie, sprawił nawrót człowieka ku sobie.

Rzym miał tylko jedną ideę, której cały żywot poświęcił: wielkość Romy, państwa. Lud urosł w jurystę, żołnierza; fantazyja dławi utylitarność i proza. Allegoryja jest arcydziełem jego fantazyi, dydaktyczna poezyja ulubionym rodzajem. Wszakże nad wszelkie sztuki ukochali Rzymianie architekturę, bo ona jedynie unaoznić mogła materialne bogactwo i potęgę Rzymu.

Gdy wszech-ludy odstąpiły od wiary w prawdziwego Boga, lud hebrajski sam jeden zachował ją i odezwalo się w nim uczucie liryczne niewypowiedzianej głębi, wylewające się w hymnach, odach i psalmach, które jak kadzidło ofiarne wznoszą się ku niebu, otaczając tron Boży. Pieśni te liryczne wyrażone są w obrazach plastycznych, wypływających z natury języka, którego każdy wyraz był obrazem. Ta liryczność dosięgła najwyższego stopnia zalet Dawida i Salomona, a muzyka równorodna siostra, nastroiła je do melodyj i harmonij swoich.

W dziejach nowożytnych i u ludów chrześcijańskich myśl człowieka cofnęła promienie swoje z zewnętrznego świata i zebrała się sama w sobie, we własnej zewnętrznej nieskończonej istocie człowieka. Tu ludzkość jest morzem punktów świecących, a każdy człowiek jest taką iskrą, odrębną jednostką, co w siebie patrzy. Ale duch cofnięty w siebie, doznaje tęsknoty do nieba, czuje sprzeczność w sobie. Sztuka nie wystarcza nowój epoce; bo co zewnętrzne i ciekawe nie zdoła być wyrazem wiekuistości. Gdy duchowa strona przerwała rzeczywistość i zerwana między niemi harmonia, potęgi natury upomniały się

o swoje prawa, gdy społeczność nie była uorganizowana, przetrzuciły ją z idealności nadzwyczajnej w grubą zmysłowość. Fantastyczność awanturnicza, śmiałość męztwo, honor i miłość idealna, składały życie romantycznego świata, i osnowę dla fantazyi artystycznej, która z drugiej strony zapełniła przyrodę rojami jestestw nadprzyrodzonych. W budowlach gotyckich rozjednostkowanie i sprzeczność, w muzyce lekceważenie prawideł.

W XVI wieku spostrzega się roztworzenie oczu człowieka na świat. Duch i natura poznały się, sprzeczność rozdierająca duszę ulagadza się. Główną cechą nowożytniej sztuki jest idealność klasyczna połączona z głębią uczuć chrześcijańskiego świata. Zestrojenie natury i rzeczywistości z tęsknotą zaświatną, rzewność pełnej słodyczy i wdzięku i piękności niebiańskiej z indywidualnością pełną siły i potęgi. Ale nie zawsze ona sprostała temu zadaniu i często każdy z tych pierwiastków odrębnie i samopas się rozwinął, wydając albo fałszywą idealność, albo sztuczną klasycyzm, lub bezpłodną mechaniczność. Ogólne usposobienie każdego narodu odbiło się w jego rodzinie artystycznej. Bakona filozofia zapowiada cechę angielskiej fantazyi, tak jędrnej i ujmującej z gruntu rzeczywistości. Mistycyzm Boehme jest wysłaunikiem liryki niemieckiej, duch Kolumba odpowiada południowej fantazyi. Dekart z myśli wywiódł istnienie i rzucił kamień węgielny nowożytniej filozofii. Machiawel pojął moce działające w dziejach. W XVI wieku fantazyja powszechna straciła jednolitą moc, pozrywała struny, w sobie mącąc się i bałamucąc. Z tego względu przestała być zdrojem dla fantazyi artystycznej. Dlatego architektura w tym braku rodzinnego pierwiastku udaje się do tworców klasycznych i stwarza renaissance, Leonardo de Vinci, Rafaël, Palestryna, Tasso, Ariost i Kamoens, a u nas Kochanowski wyobrażają fantazyją artystyczną XVIgo stulecia, jednoczącą ducha i naturę, zostającą w harmonii, świat zewnętrzny i wewnętrzny, nawracającą niejako romantyczność ku klasycyzmowi.

Z zalem rozstajemy się z osnową tego dzieła, o tyle głęboką ile piękną, o tyle uczoną ile wdzięczną, poetyczną i filozoficzną zarazem, roztaczającą w treści istotę i rozwój ideału, a w formie swojej odzianą w estetyczną, idealną szatę. Czujemy żeśmy przytoczeniem treści przekroczyli granice nakreślone dla sprawozdania, a jednak zaledwie zdołaliśmy przedstawić kościotrup jój nagi bez wdzięcznych konturów, zachwycającego słowa, bez ożywiającego go tchnienia wyższych, niebiańskich



światów, bez glori i wzniesłego zamyślenia na czole, bez wyrazu głębokiego i patrzącego w oblicze prawdy, uczucia w oku. Sztuki piękne w idei twórczej i w jej utworach, skupiają jakby w ognisku myśli i fantazyą, ducha i natchnienie, naturę i głębokie zbadanie tajemnic przyrody, a z tego ogniska wystrzelają promieniami twórczości, stanowiącemi odrębne rodzaje sztuki. P. Kremer w listach swoich chociaż co do treści ograniczył się na zamknięciu się w granicach znakomitszych systematów estetyki, wszakże zamienił ją na własną krew, rozwija je własną myślą, zdobi swoją fantazyą, zatapia w głębiach swego myślącego ducha, a wspiera rozległą znajomością nauk przyrodzonych, oraz dziejów człowieka i artystycznej jego fantazyi.

Traktując o sztuce uwidomił on w słowie swém i stylu różne jej rodzaje. W uporządkowaniu, jakby w symbolice myśli obficie nagromadzonych materyałów, w układzie ich pełnym prostoty i harmonii w całości, w architektonicznej oprawie ich w rozjednostkowane świątniczki uczuć i marzeń, wspomnień wrażeń, buduje architekturę symboliczną klassyczną i romantyczną. W uwidomieniu istoty ideału, w warunkach kompozycyi, w wykonaniu plastycznym stosunku sztuki do natury i uczuć, do wiary i filozofii, w rozwoju uwydatniającym treść i dzielność w formach wypełniających wszystkie wymiary zewnętrzności, w stylu jasnym równoważącym potęgę myśli z poletem fantazyi, prąd uczuć z hartem i powagą słowa, daje dzieło godne rzeźby. W zachowaniu śród roztrząsających różnych kierunków, twórczości, artystycznej perspektywy na wiekiustą prawdę, w malowniczym przedstawieniu krajobrazów pod których wrażeniem snują mu się myśli o sztuce, w rozlaniu na całość swego obrazu sztuki, światła ducha i cieniów rzeczywistości, w złudzeniu czytelnika czarami słowa, porywającego od przybytku sztuki do nieba prawdy i wiary, autor jest malarzem. Gdy dalej potrącając o wszystkie struny naszej duszy tonami swojego słowa zlewa melodyą nieskończoną co płynie przez światy od wieków w dziejach fantazyi, w harmonią chrześciańskiego ducha; gdy zestrąja wszystkie tony ludów, wszystkie melodye wieków, całą harmonią bytu człowieka w akkordzie ducha, w kontrapunkcie wiekiustej prawdy, śpiewa muzyką. Śród téj czarującej pielgrzymki po dziedzinie fantazyi, gdy od rozmaitego upostaciowania sztuki sięga w jej istotę i kształt ideału, a patrząc w nieskończoność i wiekiustotę ducha wznosi myśl i serce na nie-

biańskie wyżyny prawdy, kędy przebywa gieniusz poezyi i źródło czystych natchnień, autor wieszczy poczyą.

Rozwijając myśli o istocie sztuki, jej warunkach i stosunkach, oraz kreśląc dzieje fantazyi, autor potrąca piórem ledwie nie o wszystkie formy twórczości na polu literatury, posługując się to perską pieśnią o miłości słowika dla róży, to tym tak głębokiego znaczenia pełnym mytem Amora i Psychy, malującym stosunek zmysłów do ideału; tu rozrzucając charakter fantazyi każdego ludu opowiada legendę o Bożennic, lub powieść o Władysławie Gniewkowym, tam przytacza Machabaratę i Szachnamę, dalej rozbiera Antygonę, lub Romeo i Julię. Dla więcej wydatnego skraślenia charakteru fantazyi każdego ludu, ideę przewodniczącą jego twórczości rozwija w przedstępnym obrazie, umieszczonym na czele każdego listu. Przy wstępie do dziejów fantazyi Indyów opowiada o dziecięctwie lubiącém się bawić baśniami. W Egipcie rozwodzi się nad śmiercią, gdy Grecya daje mu wątek do porównania jej z wiekiem młodości, której wdzięk i urok maluje. Do Rzymu przystępuje po długim spacerze po rynku krakowskim, przy świetle księżycy, gdy za powrotem do domu ujrzał jak mu to samo światło księżycy rozświecało w kącie jego gabinetu, przez pryzmat zapewne wyobraźni, forum Romanum. Tyle ma tu związku rynek krakowski z Rzymem, ile i księżyc i jego światło z forum Romanum. Gra tu autor w allegoryę, bo też allegorya jest główną cechą i rodzajem twórczości artystycznej Rzymu. Gdzieindziej zapalająca się na mglistém dotąd niebie łuna, rozświecająca w oczach autora stojącego na szczytach Wawelu posępny krajobraz, przedstawia mu wpływ sztuki i ideału na rzeczywistość.

Tak tu wrażenia z własnego życia autora wzięte i dzieje wewnętrznego żywota w duszy pozostałe, a w żywém wspomnieniu odbite, zlewają się z myślami o ludzkości, o dziejach przeszłości świata, o sztuce. Tak tu nauka idzie w zawody z uczuciem, ścisła wiedza splata się z wyobraźnią, a fantazyja powszechna i artystyczna ludów i talentów spływa z fantazyją autora w jeden dźwięk uroczy, iż rzec można, że dzieło to jest szczytnym utworem fantazyi o fantazyi, sztuki o sztuce, poezyi o poezyi, myśli o ideale sztuki, utworze estetycznym o estetyce. Autor wziął się do tej pracy dla wytchnienia i zabawy po męczących, twardych trudach około wykładu systematycznego filozofii. A jeżeli prawdę powiedział Szyller: „że łatwo poznać czém kto jest, z tego czém się bawi“, niepodobna nie podziwiać

w p. Kremerze umysłu wyższej siły i potęgi, rozległej wiedzy i dzielności myślenia, kiedy bawiąc się i darząc nas igraszką swojego wytechnienia, wzbogaca nasz umysł, podnosi i uskrzydla wyobraźnię, odradza ducha, odświeża myśli, a dla literatury daje dzieło pomnikowe. Należy mu się więc cześć prawdziwa od nas, a wdzięczność od piśmiennictwa naszego.

Ale taka konieczność rzeczy ludzkich, że muszą mieć swoją odwrotną, ujemną stronę. Jak skończoność bytu człowieka naprowadza na myśl o wieczności, jak idea wiekuistości znowu roztwiera i rozjaśnia lono wszechrzeczy, jak sam pełniejszy rozwój idei i jej postęp wymagają rozbicia się jej na odwrotności; tak z drugiej strony przedmiotowa doskonałość dzieł ludzkich gdy się nawet przeistacza w naszą krew, zamienia w nasze własne uczucia i myśli; musi zabrzmieć chwilą poczęcia, ozwać się pierwiastkiem myśli, która jej dała życie. A ta myśl, ile skończona, względna, zamyka się w danych granicach pojęć czasu i wieku.

Ztąd czytelnik nawet bezwarunkowie wierzący i wielbiący, im się więcej wczytuje w dzieło, im bardziej pragnie przywłaszczyć sobie myśli autora, tym więcej usiłuje je pogodzić z myślami, jakie piastuje we własnym umyśle, a proces takiego godzenia, musi wywołać rozbiór. Przytém dzieło, będące owocem nauki, zamyka się ściśle w granicach powszechnie przez naukę przyjętych pojęć, teoryj i wywodów; nie bacząc, że duch przyszłości technie w umyśle czasu obecnego zarania nowych idei i pojęć. Gdy w tych warunkach rozważamy Listy z Krakowa p. Kremera, musimy zadać sobie pytanie. 1) Czy autor w zasadach i wywodach swoich o sztuce wyczerpał jej treść i uczynił zadość jej istocie. 2) Czy w podziale epok, zarysie fantazyi zgadza się on z ogólnem filozoficznym swoim stanowiskiem, skreślonym w Wykładzie systematycznym filozofii t. I, i II, a tém samym, z sobą samym i prawdą dziejową sztuki. Zaczniemy od tego ostatniego względu, zanim z kolei nie przejdziemy do ogólnych poglądów na sztukę.

\* \* \*

Jak w wykładzie systematycznym Filozofii, tak i w Listach z Krakowa p. Kremer oparł się na stanowisku przedmiotowego idealizmu Hegla, podług którego Bóg będący li ideą bezwzględną, tkwiącą panteistycznie w rzeczywistości przedmiotowej, świeci prawdą w umiejętności i filozofii, a pięknem z dzieł

sztuki przeglądu. Taka bezosobowa idea nie może być w innym stosunku do człowieka, jak w stosunku naturalnego związku, między nią a prawdami w duchu człowieka od wieków bez jego wiedzy złożonemi, czy jako idee Platońskie, czy jako dzieci Sokratesa, idee Malebrancha lub monady Lejbnitza, lub nakoniec jako światło udzielające się ludzkości w postępie. P. Kremer przeprowadził idee bezwzględny Hegla w osobowość i obdarzył ją atrybutami chrześcijańskiego dogmatu. Jednak ta osobowość jedyne w Trójcy Śtój Boga, jest darem objawienia. Objawienie bezpośrednie udzielonem było ludzkości w chwili stworzenia jej, gdy Adam dzwignął błagalną a ociążającą rękę ku Ojcu, której Pan dotknął się palcem, iskra wiekuistości i nieskończonej prawdy wstąpiła w praojca rodu ludzkiego, a przez wszystkie wieki udziela się jej za pośrednictwem zstąpienia ducha boskiego na człowieka, ducha odkrywającego mu wszelkie prawdy człowieczeństwa. Ten rodzaj objawienia, jest dziełem samego stworzenia i idzie niejako w porządku natury. Pochodząc od Boga w tchnieniu ducha w człowieka powraca do tego źródła nieskończoności na promieniu tęsknoty skończonego ducha do wiekuistości, w postaci natchnienia. Natchnienie jest tym nadzwyczajnym stanem ducha, jak mówi Libelt, co siłą twórczą fantazyi wywołuje i ogniem niebieskim rozpala. Ale oprócz tego porządku natury, jest jeszcze porządek łaski, którego zaprzeczyć nie można bez zaprzeczenia istności Boga i mądrości Jego nieustających rządów. W tym porządku łaski, Stwórca nie mógł w swém miłosierdziu nawet po opuszczeniu raju przez człowieka, puścić go na drogę żywota ciernistą, nieuposażywszy go objawieniem prawdy wiekuistej. Pierwiastkowe to objawienie przechowywało się u pierwszych ludzi w całej czystości, jaśniało nad kolebką ludów w całej świetności, gdy dopiero później w rozosobnieniu ludów, ciemności błędu je ogarnęły. I rzeczywiście w całej starożytności zaczęwszy od Chin i Konfucjusza aż do Rzymu i Cycerona, przechowuje się w ustach mędrców uwielbienie dla tradycyjnej prawdy religijnej, którą praojcowie otrzymali od Boga, która czystą jest w nas, a którą zastąpiły innowacye filozoficzne i racjonalizm, wyradzając ją w przesady i błędy. «Wielka, smatna i piękna jest nauka, którą mędracy nam podali», mówi Konfucyusz. Plato mówi: «dawnym mężom wierzyć w tém należy, gdyż pochodząc od bogów, jak mówią, najlepiej

znali swych rodziców, a niepodobna jest niewierzyć synom bożym (1).« Cycero zaś «et profecto ita est, ut id habendum sit antiquissimum et Deo proximum, quod sit optimum», a w innym miejscu: «Jam situs, familiae, patrumque servare id est quoniam antiquitas proxime accedit ad deos, a diis quasi traditam religionem tueri (2):« I rzeczywiście, wiedza o rzeczach nadprzyrodzonych o Bogu, nie mogła przyjść inaczej w posiadanie człowieka, jak drogą nadprzyrodzoną. Postęp i doświadczenie, prawowite w sferze nauk przyrodzonych nie mogły stworzyć pojęć o rzeczach, które ani postępowi, ani doświadczeniu nie ulegały. Przynętem myśl o wiekuistości i nieskończoności jak każda myśl, musiała być poprzedzona przez słowo, gdyż żeby myśleć, potrzeba pierwiej nazwać rzeczy po imieniu, władać mową, a temi darami obdarzył Bóg człowieka, darząc go słowem. Ztąd wysokie znaczenie słowa w starożytności: *fatum* greckie pochodzi od *fari*, mówić. Przynętem u wszystkich prawie ludów religia naturalna w całej swojej czystości poprzedzała bałwochwalstwo, co dowodzi, że była objawioną ludzkości; gdyż żeby była owocem badań i wynalazków człowieka, rozwinęłyby się najpóźniej, a przynajmniej poszłyby w parze z postępowem umysłu ludzkiego.

Nakoniec całą swoją wiedzę czerpie człowiek na łonie społeczeństwa, które dlatego samego nie mogąc prawdy, jakie posiada otrzymywać od człowieka pojedynczego, musiało je pierwiastkowie posiadać drogą objawienia od Boga (3). Jakoż Bóg przyobiecując przysłać Syna swojego, odkupiciela świata, tém samém ponowił dar pierwiastkowego objawienia i utwierdził byt porządku łaski.

Tak więc równie z dogmatu chrześcijańskiego, jak z dziejów myśli ludzkości i z samej natury rzeczy, wypada zasada objawienia. P. Kremer acz ją przyjmuje, jako bezpośrednio udzieloną praojcu rodu ludzkiego i pośrednio zesłaną ludowi izreelskiemu, ale tylko jako okoliczność dziejową, a nie zasadę, którąby za stanowisko i podstawę do rozwoju dziejów obrać należało. Ztąd z braku zasady przenikającej wszystkie epoki, i górującej nad wszystkimi zwrotami dziejowemi, musia-

(1) Plato in Timaeo. Oper. IX p. 342.

(2) Tusc. libr. I cap. XI.

(3) Nicolas: Etudes philosophiques T. I, p. 197—244.

ła wyniknąć abstrakcyjna charakterystyka epok i ich podział, nie wyczerpujący wszystkich faktów, które wymykając się z karbów nałożonych na nie cech, rodziły sprzeczność. P. Kremer jak w odrzuceniu zasady objawienia, tak w następstwie przeglądu ludów historycznych i charakterystyce ich fantazy poszedł ściśle za Heglem. Ale co się zgadzało z panteistycznym przebóstwieniem w idei bezwzględnej, zewnętrznej, historycznej rzeczywistości; to p. Kremerowi służyć nie mogło, ile że tę bezwzględną ideę wcielił w osobowość i podniósł się na wysokość chrześcijańskiego dogmatu. A jeżeli Bóg jest osobą, jeżeli stwarzając świat, mądrość i potęgę swoją objawił i wolę swoją człowiekowi wyraził w objawieniu; przeto w dziejach starożytnych do przyjścia Chrystusa Pana porządek przeglądu ludów słusznie winienby się opierać na stopniach przechowania objawienia pierwotnego, lub odpadnienia od niego. P. Kremer podniósł ideę Hegla do osobowości, ducha do nieśmiertelności, doczesność do wiekiowości w życiu przyszłym; słusznie więc te prawdy żyjące w sercach ludzkości, tkwiące w najgłębszych tajnikach jej sumienia winien był zwinąć w objawieniu, i to stanowisko obracć sobie do poglądu na dzieje powszechne i dzieje fantazy.

I zaiste zkađ w Chinach postawionych u pierwiastkowych kończyn historii, to przetrwanie dogmatu, widocznie ztraconego i przeistoczonego jedynie w zewnętrzne formy i obrządku, oraz w porządek społeczny, oparty jedynie na zewnętrznym prawie, zkađ to pochłonięcie religii przez czcą moralność? Nie jestże tu wszystko dowodem ulotnienia się dogmatu, po którym zostały tylko czcze praktyki bez wiary, jałowa moralność bez sumienia, władza patryarchalna bez uczucia sprawiedliwości. W Indyach, na jedynej podstawie wziętej z pierwiastkowego objawienia, którą jest Trimurtis, czyli troistość bóstw: Bramy, Wisznu, Sziwy, związanych w jedność, gdy Wisznu jest wciele niem Bramy: na tej jedynej podstawie prawdziwej religii rozwija się różność i niezwiązłość wierzeń i podań religijnych. Są to jakby okruszyny wielkiej niegdyś całości. Dlatego taka między niemi zachodzi sprzeczność: bo są to tylko ułamki, pozbawione spójnych swych części. Bóstwo tu jest otchłanią bezdenną, głuchym istnieniem nicestwem, obok odróżniających się między sobą jestestw zmysłowych i duchowych świata rzeczywistego. Z drugiej strony rozplątność i rozwicwność swia-

ta rzeczywistego, zatracenie się i zapomnienie człowieka, w dobrowolnych katuszach i męczarniach, obok oddania się na oślep rozhlukanyim namiętnościom.

Nicestwo jest gruntem tej religii, podstawą i tłem jej filozofii i fantazyi, a do idei nicestwa przyprowadzić może jedynie zatracenie prawdziwego dogmatu, rozpaczliwe zwątpienie o wszystkim, topiące jednostkę w otchłani głuchego istnienia. Człowiek zapomina o sobie, bo stracił najwyższe dobro t. j. ideę o prawdzie, z której tylko pozostała głucha abstrakcja; oderwana idea istnienia wyzuta z treści zatraconej.

Egipt przechowując wiarę w wiekuistość ducha, a raczej czcząc śmierć, pojmując ducha jako istotę rozumną, a razem skazując duszę na wędrówkę w ciałach zwierzęcych w razie nie odpokutowanej winy, napoły tylko poznał prawdę: cofa się przed zagadką, której całym istnieniem swoim rozwiązać nie może, lamie się w sprzecznościach, które dowodzą że duch jego stanął na szczątkach rozbitej prawdy, które w całość będącą zagadką dla niego złożyć nie zdoła.

Grecya fantazyą swoją usiłowała zlać i złożyć te rozbite podania w jedną całość, ale zamiast ducha i wiekuistej prawdy złożonej w pierwiastkowym objawieniu, utworzyła religią plastycznej piękności przebóstwioną cielesność, ciało lub człowieko-bożeństwo. I trapiło ją złowrogie przecucie, że całe jasne grono promienistych olimpijskich bogów pochłonie nieprzeblągane fatum. Nie było to poczucie fałszywej kompilacji, która kiedyś zgaśnie w obliczu światła samej prawdy. I noc skonu bogów Olimpu, stała się dla świata wielką nocą zmartwychwstania.

Jeden lud hebrajski zrywając z odpadłym Wschodem uniósł przez wieki wiarę w jedyne Boga, zachował w całości pierwotne objawienie. Oddając cześć prawdziwemu Bogu, *który duchem jest*, on sam utonął w głębi ducha, zajrzał Boga oczyma serca, skupił się w sobie i oddziaływał na bałwochwałstwo. Jego hymny, ody i psalmy są owem kadzidłem ofiarnym, co się wznosi ku niebu i otacza tron Boży, śpiewając chwałę Panu na wysokościach. A jako Bóg jest początkiem i stwórcą wszechrzeczy, tak i fantazyja hebrajskiego ludu, chwalać Pana na wysokościach winna rozpoczynać dzieje fantazyi. Wszak sam autor twierdzi, że lud ten przechował wiarę, od której inne ludy odpadły. Dzieje więc jego powinny wystąpić jako twierdzenie, gdy

dzieje innych ludów, ujemną odwrotną stronę złożyć mogą. Zresztą gdy utwory fantazyi innych ludów np. Ramajana ledwie 800 lat przed Chrystusem, a Szachname 1030 lat po Chrystusie sięgają, najszczytniejsza epopeja opiewa w księgach Mojżesza stworzenie świata na 2000 lat przed Chrystusem, a na 1000 lat przed Chrystusem dźwignął lud hebrajski ów sławny Salomonowy kościół w Jeruzalem. O ileż wyższą jest pod względem treści i idei poezya hebrajska od indyjskiej i perskiej. Gdy ta w luźnych ustępach opiewa w Szachname dzieje perskiego narodu, tamto boje Ramy z rodem olbrzymów, księgi Hiobowe uczą wiernie stać przy Bogu i ufać głęboką ufnością w Jego łaski.

Architektura hebrajskiego ludu była najwyższą między symbolicznymi rodzajami Wschodu, ona była symbolem ofiary z rzeczy tutecznych Najwyższemu Panu, owiewał w niej duch nieskończoności, uzmysłowione przypomnienie całemu ludowi opieki Jehowy. Gdy pękła lupina tego ludu, samo ziarno dojrzałe padło na niwę chrześcijańskich ludów i wydało nowożytną historią. Duch więc występuje z hebrajskiego ludu, jako pojedynczość, od której odróżniają się odwrotnością szczególności przewagi natury na Wschodzie, cielesności i społeczeństwa w Grecyi, przewagi społeczeństwa już w kształcie państwa w Rzymie. Słowem Zbawiciela duch ludzki ogrzany zjednoczył te różnice szczegółów Wschodu Grecyi i Rzymu i pojedynczość ducha hebrajskiego ludu, w ogół; który człowiek skupił w własnej wewnętrznej istocie i ku niej się nawrócił.

Jeżeli Bóg jest początkiem, treścią i końcem wszechrzeczy, jeżeli stwarzając człowieka, tchnął weń ducha wiekuistego; toć żywot człowieka, nie ma być czem innem w obliczu prawdy, jak roztozeniem, rozwojem ducha, a jego dzieje na ten rozwój ducha, pierwszy wzgląd mieć powinny. A jeżeli dzieje są umiejętnością, a wszelka prawdziwa umiejętność winna rozsnąć się wedle pojęcia, a zatem dążyć do utworzenia jedności w ogół z dwóch różnie odwrotnych, więc historia ducha ludzkiego w ogólności, lub w jednym z jego przejawów, powinna wytknąć te odwrotności i złożyć je w ogół. Tym ogółem całej starożytnej historii było chrześcijaństwo, zaszczeplone w nowożytnym duchu. Ten duch nowożytny i chrześcijański rosnąc nasieniem Bożem musiał uleść warunkom swojego rozwoju, rozczepić się na swoje odwrotności i szczegóły i znowu w ciągu wieków dążyć do złożenia ich w całość, w pojedynczość.



To zastosowanie nasze filozofii ducha do dziejów powszechnych zgadza się z wywodem autora w wykładzie systematycznym filozofii (t. II str. 343). Gdyby się autor był tém zastosowaniem przewodniczył, zamiast rozrzucania kwiatów swoich myśli, na ubitych ścieżkach Hegla, byłby nie jedną sprzeczność ominął, nie jednym świeżym pomysłem jeszcze więcej upiększył pielgrzymkę swoją, w dziedzinie dziejów fantazyi.

Na Wschodzie widzi autor, jako przebudzanie się ducha, walkę i sprzeczności. Tu jednak cześć przyrody, niewolnictwo jęj potęgom i szal zmysłowy, obok zatracenia się jednostek są fenomenami jednej natury. Świadczą one o wyłącznie panującym na Wschodzie jętwie natury. Jęj potęgę olbrzymią, człowiek do tyła czei, że czuje się błogosławionym, gdy się w jęj łonie rozsypać, zgruchotać, w jęj bezdeni zatracić, lub być jednym tylko z jęj zjawisk, ale nie duchem walczącym z nią, lub górującym nad nią. Szal zmysłowości jest także czeią dla natury, uszanowaniem dla jęj popędów, gdy zatracenie się dobrowolne na jęj łonie, nie stanowi poświęcenia się, ale jedynie składa popęd do zlania się w jedno z naturą.

Jeżeli na Wschodzie duch drżemie w jętwie natury, dla czegoż bez żadnego przejścia przebudza się nagle w Grecyi i przychodzi do harmonii ze światem zewnętrznym, z przyrodą. Dla czego w Grecyi duch już ma się rozwijać aż do harmonii z naturą, kiedy w Egipcie i na Wschodzie ledwie sobie przeczyna i od przemożnych jęj form oddzielić się nie zdoła. Gdy na Wschodzie nie ma społeczności, tylko rząd siły i kast jako potęg natury, człowiek nie odróżnia się od natury; żywiołami Grecyi są człowiek i społeczność cywilna. Ona powstała z miast założonych przez przybyszów, lub z emigracyi ludów sprowadzających wolne stowarzyszenie obywateli, na tle harmonii pojedynczych praw i dobra całej społeczności. Że społeczność jest połączeniem ludzi w zewnętrznych stosunkach, ztąd tu duch zjawia się pod przewagą zewnętrzności społeczeństwa i człowieka jako zewnętrznej społecznej istoty pod przewagą ciała. Tu duch jest ucieleśniony i zostaje w bezpośredniej jedności z ciałem. *Prawdziwego zjednoczenia i harmonii ducha i ciała tu niema.* Gdyż dlatego potrzebaby było poprzedniego rozdwojenia, którego nie było na Wschodzie i którego starożytna plastyka nie znała, bo nie znała prawdziwego połączenia tych dwóch światów, pierwój, aż w czasach poplatońskich, gdy idealizm filozofii

zaczął przesiąkać do sztuki. Nieznana ztąd była wyższa różnica płci na przymiotach duszy oparta, ani miłość jako zamiłowanie ducha duchem. Achilles kochał Patrokla jak kochał Bryzeidę, a Olimp grecki zaludniony był pięknościami we wszystkich form doskonałościach. Wszędzie w sztuce widzimy tylko cielesne personifikacye przymiotów ducha, wszędzie plastyczną wydatność. Głębi ducha ani duchowości w utworach greckiej sztuki nie dopatrzysz, jak mówi Libelt, bo ciało i duch były im nierozzerwaną jednością i nie widząc ducha przed ciałem Grecy zmysłową tylko i wydatną wykształcali stronę piękna. Niema tu wydzielenia ducha a umysłowa doskonałość ducha jest zmysłową doskonałością ciała. Natura przez ducha w niej mieszkającego staje się piękną (1).

Gdy człowiek stworzył tu sobie własne społeczeństwo, nie dziw, że ze szczątków podań religijnych osnuł sobie własną religią, tworząc na wzór swój bogów, i zakładając na Olimpie społeczeństwo odzwierciadlające byt jego na ziemi. Jednak on czuje, że te bogi są dziełem jego twórczości, i drży o nich, jak drży o siebie, bo nieubłagane fatum jako objaw wyższej niebiańskiej potęgi, której wiedzę zatracił, lękiem go napelnia. Malując fatum ślepem, on własną ślepotę wyobrażał. Prometeusz żżyma się na kary Jowisza, bo przeczuwa wyższe władze na prawdziwem niebie. Stworzywszy sobie społeczność i religią człowiek w Grecyi, rozwijał wszystko, co jej służyć może. Dlatego tu sztuki, literatura i poezya miały na celu społeczeństwo. Na grach Olimpijskich Pindar śpiewał swe ody, lub czytano historią Herodota. Sokrates zaś ginie za prawdę, która podkopuje byt moralny greckiej społeczności. Najdokładniejszém wyrażeniem tego społecznego, zewnętrznego charakteru Grecyi jest tragedia Sofoklesa—Antygona. Kreon jako wyobraziciel społeczeństwa i prawa, karze Antygonę za dopelnienie obowiązku serca, przeciwnego prawu społecznemu, a chór w tragedyi, jeden z najszczytniejszych żywiołów jej piękności, jest głosem myśli społecznej. W tragedyi klassycznej człowiek nie doznaje ani żalu, ani walki, ani zgryzoty, gdyż w nim nie wyrokuje osobiste przekonanie; w jego piersi nie przebywa prawda, ale w społeczności której on jest ułomkiem rodzącym dysharmonią i dlatego ulegającym zniszczeniu.

(1) Libelt, T. Iszy Estetyka czyli Umiećstwo piękne.

Nie harmonia więc ducha i natury, ale przewaga społeczności człowieka, jego zewnętrznej strony, przewaga cielesności człowieczej, stanowią charakter greckiej fantazyi. Rzeczywiście człowiek zanim poznał ducha i poczuł go w sobie, pierwszy czcił naturę w jej wszechgromie na Wschodzie, później w sobie w Grecyi.

Co do idei państwa w Rzymie i przeważnego jej wpływu na religią, literaturę i sztuki, sam autor ją przyznaje nie przypisując jednak cnot obywatelskich Rzymian temuż wpływowi idei państwa i wielkości Rzymu. Tu idea społeczeństwa, przetrutowawszy już łona obywateli, pociągnęła ich za sobą na zewnątrz ku stworzeniu państwa i jego wielkości.

Ludy mahometańskie autor mieści między ludami Wschodu przed Grecyą. Treść ich religii i fantazyi oparta na wiedzy Jedyneho Boga, a Koran wiele wyjątków z Pisma Świętego zawiera. Tu obok wiedzy o Jedynym Bogu, wiary w żywot przyszły, i ścisłych przepisów religii, porywanie się do panowania nad światem; z drugiej strony wpływ natury Wschodu wprawia człowieka w pewną gnusność leniwą, marzącą; wiedza o Jedynym Bogu rozplywa się w panteizm mistyczny, tęskniący, do abstrakcyjnej jakiejś bezosobowej nieskończoności, do zlania się z Bożą istotą w jedność nierozdzielną, gdy obok ścisłych przepisów wiary dusza tonie w oczarowaniu i upojeniu zmysłów. Ztąd walka i rozdwojenie, wynikające z nawrotu ducha nowożytnego do Wschodu, rozdwojenie to mające miejsce u chrześcijańskich ludów, zachodzi tu przy większym spotęgowaniu wpływów natury i strony zmysłowej. Fantazyja islamskich ludów drwi sobie ze wszystkich ustaw statystyki i mechaniki, ze względu na moc i konstrukcyą. Nie ma spólnego ogniska, przecież rozlewa pewną harmonią na całość, a to przypomina w pewnej mierze charakter architektury chrześcijańskich ludów, w średnich wiekach. Gdy w poezyi np. w Schachnamie wysławiają się mity i mgliste podania w luźnych obrazach, nieuznających żadnych prawideł, nie złączonych w ścisły organizm, występuje w romantycznej postaci Pelwana, europejski i średniowieczny charakter. W Alhambrze grzmiały turnieje maurytańskich rycerzy w obec ogniookich piękności wschodnich. Romantyczność tu zjawia się podobna do romantyczności Europy, acz różna od niej krokiem miłości, pochodzącej z pierwiastku chrześcijańskiego. Nareszcie sam Koran sięga po

tradycje Pisma Śgo. Wszystko to naznacza mahometańskim ludom miejsce w dziejach nowożytnej fantazyi, miejsce usprawiedliwione i samą chronologiczną datą. Wiesze Szachnamu Ferduzi umarł w 1030, a maurytańska poezya i sztuka są jeszcze późniejszej daty w nowożytniej historii. Nakoniec powołujemy się w tym względzie na powagę arcymistrza chrześcijańskiej poezyi. Dante nazwał Mahometaniem herezją zrodzoną na łonie chrześcijaństwa.

Wstarożytnych dziejach pojedynczość i szczególności rozwoju ducha złączyły się w ogół, którym jest chrześcijaństwo, zaszczerpione w nowożytnym duchu. Jeżeli w pierwszych wiekach duch opromieniony wiedzą wiekuistego objawionego mu słowa, pogrąża się w toniach nieskończonej prawdy i rozświeca głębie człowieczego serca światłem wiary, miłości i poświęcenia, królujących w życiu; jeżeli tu żywot cały tylko patrzeniem ducha w nieskończoność, to w następnych średnich wiekach, człowiek czując wszczepione w swym duchu, promienie wiekuistości, zwrócił się do własnych wewnętrznych głębin, a zapominając o przewodniczącej mu gwiazdzie wiekuistości, wziął indywidualne nastroszenie swojego umysłu oraz ducha swoistego, posiadającego wiedzę prawdy, za samą prawdę, odróżnia się i odosabnia od przedmiotowej prawdy objawienia, odrywa się od zawisłości, od nieskończonego ducha; sądząc że go mieści w własnym swoistym wnętrzu. Odwraca się od natury którą zaludnia obcym mu światem optycznych złudzeń i czarnoksiężskich istot. Równie cofa swoje promienie z zewnętrznego świata, a chociaż zna różnice odwrotne sobie, różnice natury, ciała człowieczego i społecznego, czyli państwa, wszakże odrywa się od nich i zamyka się w sobie, w swojej osobistości, jakby w ognisku. W tym wycofaniu się ku wewnętrznym głębiom swoistości, pod wpływem parcia ze strony zewnętrznego świata duch rozpojedynicza się, rozjednostkowuje na odrębne jednostki kościoła, państwa rycerskiego stanu i indywidualności, z których każde mieści w sobie swoje prawo, a mało waży ustawy zewnętrzne i świat zmysłowy natury. Kościół oddzielił się od państwa, człowiek od natury, państwo rozbiło się na mnóstwo pojedynczych części i szczegółowych jednostek. Każda ta jednostka powołuje czyny swoje przed trybunał własnego sądu i mieni się być samą prawdą, bo jest podmiotem, duchem swoistym, w którym prawda wszczepioną została. Ztąd taka dys-

harmonia, walka taka i sprzeczność. Ztąd obok czynów poświęcenia napady i rozboje, obok pustelniczego, ascetycznego życia, awanturnicza romansowność i tak dziwna mieszanina pobożności i rycerskiego rzemiosła. Zakony rycerskie są dlatego najdobitniejszym wyrażeniem średnich wieków. Tu duch nieskończony, objawiony w słowie Chrystusa, pozostaje jakby w abstrakcyi, oderwaniu od życia. Pod firmą tylko chrześcijaństwa żyje tu cała społeczność w ciągłej walce, w stałej dysharmonii, którą duch chrześcijański usiłuje godzić uczuciem wiekuistości, jakby odgłosem innych światów. Tak całość gotyckiej świątynicy zestraja w harmonią szczegoly sprzeczności pełne. Ale jak to harmonijne zestrojenie całości w gotyckiej świątynicy, nie jest tyle w niej samęj, ile w podmiotowym duchu widza, tak w średnich wiekach tai się ono w wycofnieniu się swoistego ducha z rzeczywistości rozpadlęj na same różnice i odwrotności.

Sród takiej dysharmonii ducha osobniczego z rzeczywistością, duch podmiotowy, swoisty, oderwany, nie mógł nic zatęsknić za przedmiotowym światem, za przejawieniem się w świecie zewnętrznym, za wyrażeniem się w rzeczywistości, gdy z drugiej strony duch przedmiotowy powszechny nie mógł znieść tego dufania jednostki w swoją osobniczość. Przyjawszy zaś z dziejów starożytnych ideę natury cielesności i społeczeństwa, oddziaływał przeciw tej osobniczości wywołując zwroty: do natury czyli nawrót do Wschodu, zwrot do cielesności, czyli nawrót do Grecyi, zwrot do społeczeństwa i państwa, czyli nawrót do Rzymu.

W pierwszym nawrocie uczucie potęgi i wszech ogromu natury oraz wpływ zmysłowości wydały mahometanizm, gdy wzór instytucyi Wschodu, stworzył dążność do teokracji objawiającą się w stosunkach kościoła do państwa i ludów. Jeżeli epoce osobniczości jednostkowego ducha pogrążonego w wewnętrznych głębiach, odpowiadają w sztuce architektura gotycka, muzyka kościelna średniowieczna, wikłająca się w dziwnych kombinacyach, równie jak w nauce filozofia scholastyka, tonąca w subtelności czczych syllogizmów, to zjawiskami nawrotu fantazyi do Wschodu są: architektura maurytańska i poezya perska.

Zwrot do natury w życiu i instytucyach religijnych podał powód do badań nad tajemnicami i pięknościami przyrody, a te powiodły do prawdziwego jęj poznania i ocenienia. Poznając

naturę, człowiek idąc za tym samym popędem oznajmił się z rzeczywistością społeczną, która naprowadzała myśl na rzeczywistość dziejową. Gdy tam okazywały się piękności zmysłowego życia, tu na tej ostatniej drodze odkrycia arcydzieł klassycznej literatury, dała poznać wdzięk ucieleśniony duchowości. Jako Grecya winna była swe dziejowe początki przybyszom ze Wschodu, a żywot jej wyłoniony z natury będącej ideą Wschodu dążył do połączenia i pogodzenia z nią w jedność ducha; wszakże pod przewagą ciała, jako sama stworzyła sobie społeczeństwo swoje, będące równowagą siły i woli, władzy i obywatelstwa, jako sama stworzyła sobie religią swą i bogów, tak osobistość nowożytna wylaniająca się z jedności kościoła, tworzyła odszczepione odeń społeczeństwo religijne, wprowadzała w świat ducha i wiary, żywioł cielesny, zmysłowy. Był to nawrót do Grecyi, poczynający się, niejako od wieku XIV, był to zwrot do umysłowania wiary, do poddania, ducha cielesności, do ubostwienia człowieka, do sprowadzenia nieba na ziemię i zawarowania religij w ziemskich tutecznych widokach. Ten nawrót stworzył sekty odszczepieństwa, sprwadające walkę i rozdwojenie kościoła. Władza doczesna mieszając się dla swych widoków do tej walki, gdy ujrzała z jednej strony osłabienie groźnej jej dotychczas władzy kościoła, a rozmaganie się z drugiej strony osobniczego indywidualnego ducha w sferach państwa, zwróciła się do Rzymu i do królującej w nim idei wszechwładztwa państwa, pod ostateczną jego formą cesarstwa. Państwo rzymskie stało się ideałem dla władzy od cesarzów niemieckich, Ludwików XIV, aż do Napoleonów. I to jest trzeci zwrot nowożytnego ducha ku jego szczególnościom, czyli nawrót do Rzymu.

Wiek XII był ogniskiem, w którym na najwyższym szczycie stanęły te wszystkie zwroty z odpowiadającymi im nawrotami. Był on erą kulminacyjną zwrócenia się ducha nowożytnego od ogółu idei chrześcijańskiej do swoich odwrotności i szczególności natury, człowieka, państwa. Wiek XVI jest konstellacją geniuszów piérwszej potęgi, epoką w której wszystkie zwroty łączą się i wzajemnie na siebie działają, dając najszczytniejsze tego połączenia się i wzajemnego na siebie działania objawy, w dziedzinie literatury i sztuk pięknych. Zwrot do natury wywołał badania Bakona, Kopernika, Keplera, a odkrycie arcydzieł klassycznej literatury i sztuki okazało piękność człowieczą, urok

cielesności, wdzięk treści, zostającej pod przewagą formy. Obok idei bezczłowieczych i religii zamykającej się w skończonych formach i ziemskich celach, uspołeczniającej się niezawisłe od tradycyjnej znikającej w niebiańskich początkach wiary kościoła, zjawia się idea cesarstwa rzymskiego, wprowadzenie i ustalenie rzymskiego prawa, zwrotu sztuki do idei rzymskiej. Obok Tassa, Ariosta, Kamoensa, Kochanowskiego, Rafała, Michała, Leonarda de Vinci, jasnieje świetny poczet najznakomitszych monarchów. Sam Dante mieści w niebie cesarza Henryka luksemburskiego, co marzył o państwie rzymskiem na tle zjednoczenia Niemiec i Włoch.

Ztąd gdy z jednej strony prawie wszystko co wydał wiek XVI w literaturze i sztukach nacechowane nawrotem do Grecyi, z drugiej strony styl Renaissance i pomysł umieszczenia kopuły na kościele św. Piotra i Pawła znamienują natchnienie rzymskiej myśli i sztuki. Jak Szekspir jest objawem ducha pozostającego w swojej podmiotowości, swoistości indywidualnej, gdy Ariost z wewnętrznego uczucia snuje treść i formę naśladowując rzeczywistość: Tasso śpiewa rzeczywistość, jakby ona była natchnieniem jego wewnętrznego ducha, a Michał Anioł sam tworzy z ducha swojego i treść i formę, Rafał i Leonrado da Vinci okazują żywą dążność do plastyczności klassycznej, a Kamoens do wiernej rzeczywistości. Później już wylęła sztuczna literatura klassyczna, jest całkiem pod wpływem idei wielkości władzy doczesnej, wszechwładztwa państwa.

Od XVI wieku jednak nad wszystkimi zwrotami góruje zwrot do państwa rzymskiego, idea państwa oddziaływająca przeciw osobniczości indywidualnego ducha, idea wyższości władzy doczesnej nad duchowne ciężenie ku ziemi i ziemskim celom, z niewiarą spoglądające w niebo. Rozwiązują się ztąd pierwiastki wszystkich zwrotów ducha, tocząc między sobą walkę, sprowadzając rozdwojenie. Zwrot do natury wyradza się w materializm, zwrot do Grecyi w autropomorfizm, i bożoczłowieczeństwo, tworzące religijne sekty, rozczłonkowanie kościoła, i rozerwanie jedności wiary; nawrót do Rzymu, wsparty materializmem i rozerwaniem jedności kościoła i wiary, sprowadza utonienie ducha osobniczego w doczesnych interesach, prawach i przywilejach, wywołując walkę wolności i władzy, prowadzącą do cesarstwa rzymskiego na Wschodzie i Zachodzie. Jak sztuczna literatura klassyczna będąca

naśladownictwem rzymskiej i wpływem idei Rzymu, sprawiła w nowożytnych mistrzach romantyczności nawrót do średnio-wiecznej fantazyi podmiotowego ducha, zaludniającego naturę światem legend i bajek; błądzącego w walce i rozdwojeniu; równie wpływ idei rzymskich na władzę obudził reakcją nawracającą ducha do osobniczości i dumności na sobie ludów i jednostek w polityce. Rewolucye polityczne i społeczne dokonały się pod wpływem idei cesarstwa i nawrotu do Rzymu. Cesarstwo niemieckie przybrało tytuł rzymskiego, a gdy je rozwiązał Napoleon tworząc związek reński i sam się nazwał cesarzem, wprowadził senat i prawo rzymskie w najważniejszych częściach do swych kodeksów. Na odwrót i rewolucye zapatrywały się na rzeszpospolitą rzymską, ustrajając się w miana konsulów, trybunów, dyktatorów.

Od XVI wieku zarazem zaczyna się epoka negacyjna przecząca chrześcijańskiego nowożytnego ducha: epoka ironii, w której duch przeniknąwszy wszystkie szczególności i odwrotności, poznawszy nicość bytu we wszystkich sferach natury i człowieka i państwa, nie przewodniczonego wiarą żywą przedmiotową i objawioną, a jaśniejącą w sercu jednostki miłością, dąży do epoki pojedynczego, chrześcijańskiego ducha, w której ogół zjednoczy się ze szczególnościami, dąży do epoki, w której słowo Boże będzie prawdą natury jednostki, człowieka i państwa, gdzie człowiek i państwo będą jednym żywym słowem miłości. Po walce sprawiającej rozdwojenie, po tęsknocie do bytu nieureczywistniającego się, sprowadzającej zwątpienie i rozpacz: duch wykraczając z obrębów podmiotowości i swoistości jednostkowej wraca na łono przedmiotowej prawdy słowa Bożego, wlewa wiary i miłości słowa prawdy Chrystusowej. I ta epoka będzie zlanie wszystkich uczuć ziemskich jednostki, potrzeb człowieka, społeczeństwa państwa, w daninie miłości i wiary, w żyjącem słowie Chrystusa.

Taki zda się nam winien być pogląd na dzieje nowożytne, jako na rozwój ducha chrześcijańskiego, stosownie do zasad rzuconych w Wykl. syst. T. 2, § 394 et sq. przez samego autora. Jednak z tego stanowiska nie spojrzął on na dzieje i własnej swojej idei o rozwoju ducha w ogólności, nie rozwinął, nie przeprowadził w jego dziejach, różnych epok charakteryzujących zwroty ducha, nie uwzględnił i odpowiadających im przejawów i utworów fantazyi nie odróżnił i nie wykazał. Autor znajduje w dziejach nowożytnych jeden tylko zwrot od osobni-



czości do natury w XVI wieku, upatrując w utworach szeregu mistrzów, których ten wiek wydał, harmonią natury i rzeczywistości z duchem; z drugiej strony autor tą harmonią, będącą jakby celem nowożytnego ducha i sztuki, zupełnie się zadowolnia i osiągnięcie jej w rzeczywistości fantazyi za najwyższy szczyt rozwoju ducha poczyta. Wszakże sam przyznaje, że duch nowożytny w ogólności i w utworach nowożytnych mistrzów nawet, jest zawsze niezaspokojony, pozostając w walce i rozdwojeniu. I rzeczywistość tęsknotą zdjęty on przysięga za formę. Jakkolwiek Tasso, Ariost, Kamoens, Rafael i Leonardo da Vinci dążyli do zjednoczenia z naturą osobniczego ducha: tej harmonii jednak nie osiągnęli. Zawsze tu duch osobniczy lub świat wewnętrzny przysięga za rzeczywistość. Szekspir jest najwyższem wyobrażeniem nowożytnego ducha w fantazyi, gdyż wszystkie jego postacie są wyrażeniem swoistości, osobniczej podmiotowości, poniewierającej zewnętrzną rzeczywistością i ustawami świata moralnego, a pogrążonych we własnych indywidualnych głębiach. Tu toczy się walka bohaterów we własnem ich lonie, równie jak z rzeczywistością i wiekuistą prawdą. Zaś harmonii i zgody z natury, której autor dopatruje, tu niema, ale tylko forma dorównywa w szczytności i samej treści, a przeto jest piękną.

\* \* \*

System przedmiotowego idealizmu Hegla, za którym poszedł p. Kremer, opiera się na tożsamości idei i rzeczywistości. Z dyalektycznego rozwoju tego systematu miało wynikać zjednoczenie ducha, materyi, idei i rzeczywistości. Ale ta idea jest tylko formą rzeczywistości, to zjednoczenie jest przewagą natury i materyi. Bóg tu tkwi fantastycznie w stworzeniu, duch jest tylko pojęciem rzeczywistości, myślą natury, tchnieniem materyi. Ztąd piękność form ciała w Grecyi jest w tym stosunku harmonią ducha i natury. Osobniczość, indywidualność będąca zwrotem do osobistości i natury w nowożytnych czasach, duchem; a zwrot do natury w utworach sztuki i życiu, jest szczytem duchowego rozwoju i zaspokojeniem nowożytnego ducha; równie jak państwo pruskie i społeczne Heglowi było dla niego ideałem. P. Kremer idąc w całej budowie systematu filozofii i estetyki za Heglem: uwieńczył szczyt tego systematu ideą chrześcijaństwa, ale tej idei w całej jej ścisłości nie przyjął i wszystkich części systematu i rozczłonkowań jego budowy

nią nie przeniknął. Wykazaliśmy już w przeglądzie dziejów następstwa tego kierunku, które sprawiły, iż p. Kremer był tu niezgodnym z zasadami własnej swojej filozofii o fenomenologii ducha i poniekąd rzeczywistością dziejów sztuki.

Przewaga plastycznego poglądu na sztukę, wynikająca ze zwrotu do natury i materji, wywołała i we wstępnych zasadach estetyki p. Kremera kierunek osobniczości i indywidualności. Sztuka u p. Kremera odrywa się od łańcucha, którym wiąże wiekuista prawda istnienie wszech rzeczy. Autor utrzymuje, że sztuka sama sobie jest celem, i żadnym innym celem, krom siebie samej i piękności nie służy. równie jak cnota, wychowanie, prawdy matematyczne i gwiazdy na niebie. Zapewne cnota nie na ten cel winna zdobić człowieka, aby zrodzić pokój wewnętrzny i dać podwalinę towarzyskiej budowie; wychowanie nie dlatego udziela się młodzieży, aby się dobrze wydała w towarzystwie i umiała poradzić sobie w każdej potrzebie; prawdy matematyczne nietylko dla zastosowań w miernictwie, astronomii i przemyśle istnieją; równie jak gwiazdy na niebie nie pobłyszcza gromadami, aby zdobić mieszkanie człowieka na ziemi. Ale któż zaprzeczy, że cnota jest wpływem prawdy zamieszkałej w sercu człowieka, że wychowanie daje mu obyczaj zgodny z prawdą, przebywającą w społeczeństwie, że prawdy matematyczne są prawdą świata fizycznego, myślą bożą objawioną wiedzy człowieka, a gwiazdy nie są uwidomieniem prawdy rozwieszonych wszechpotęgą Najwyższego, jak w całym stworzeniu tak i na firmamencie? Słowem prawda jest treścią i celem wszechrzeczy. Że jednak spoczywa ona w duchu nieskończonym i wiekuistym, przeto Bóg i jego święta prawda są celem człowieka, jego żywota i działalności w nauce, społeczności, literaturze i sztuce. Bóg stworzył świat dla chwały swojej, mówi Pismo Św. Przeto dał On człowiekowi władzę fantazyi i artystycznej twórczości jedynie dla chwały swojej, dla czci ducha nieskończonego. Człowiek jest ogniwem tego świata: wszystkie władze jego są harmonijnym węzłem organicznej jedności związane z sobą. On winien wszystkimi władzami, całym żywotem swoim i całym sobą, dla chwały Tego, który go stworzył, służyć, a zatem nie tylko wiarą i wiedzą, ale czynem i prawdą, duchem i sztuką.

Zresztą autor sam wyznaje, że sztuka ma za cel piękność. Ma więc inny cel krom siebie, chyba że piękność jest samą istotą sztuki, a w takim razie należałoby się porozumieć co jest

pięknością i ideałem. Autor podaje za piękność harmonią ducha i natury, potrzebuje dla stworzenia ideału i piękności, potrącenia doznanego od rzeczywistego przedmiotu. Jednak jeżeli duch nieskończony i prawda wiekuista w nim będąca, są początkiem, jądrem i celem wszechrzeczy, przeto i panowanie ducha nad naturą, przemaganie nad zmysłami, przeświecanie ducha nieskończonego w duchu ludzkim patrzącym w niebo z otoczenia ziemskiej natury i ziemskich uczuć, jest ideałem. A jeżeli duch i duchowe formy są ideałem, a celem ducha jest życie i czyn, przeto sztuki idą po sobie stopniami wyższości, w miarę odnoszenia się ich do zmysłów, a zbliżania się do czynu i życia. Architektura, snycerstwo i malarstwo, jako sztuki przestrzeni zwracają się do zmysłu widzenia, muzyka jako sztuka czasu, do zmysłu i słuchu; poezya przemawia do myśli, do fantazyi i ducha. Poezya z muzyką są sztukami idealnemi, wywierającemi największy wpływ na ducha, przeto są wyższemi sztukami od innych; ale najwyższą sztuką jest sztuka żywota. Przeto jak najniższem jest stanowisko sztuki do natury, tak najwyższem będzie jej stanowisko do ducha i Boga, naśladującej Jego twórczość, przechodząca z ducha nieskończonego w czyn człowieka, czyn cnoty. A że taki czyn tylko na tém ostatniem stanowisku nastąpić może, a zatem, i ta najwyższa sztuka, sztuka żywota: potrącenie swe nie od świata zewnętrznego, ale od Boga i ducha nieskończonego otrzymuje, na promieniu wiary świętej, w źródłach łaski, pod zbawiennem przewodnictwem objawienia. Jeżeli zaś pięknym jest czyn szlachetny jednostki, tém piękniejszym będzie czyn zbiorowy społeczeństwa, objawiających się w obrzędach religijnych, w obyczajach i czi ustaw, oraz w wielkich narodowych cnotach. One wyrabiają miłość, a ta jest szczytem piękności ducha człowieczego.

Dlatego zdaje się nam, że autor w swych zasadach i myślach o sztuce zbyt powolnie poszedł w ślady filozofii i estetyki protestanckiej barwy, napiętnowanej względem chrześcijańskiego ducha przeczeniem, zbyt wazącej pierwiastek zmysłowy i plastyczność wystarczającą dla Grecyi, ale niedostępną dla chrześcijańskiego ducha, a ztąd i uwzględnić nie mógł stanowiska sztuki do Boga i ducha.

P. Kremer opierając się na bezwzględnej idei niemieckiej filozofii, podług której prawda będąca w umiejętności myślącą samą siebie, przeglądając w sztuce z materiału zewnętrznego

staje się pięknem, uważa, że jeden jest tylko ideał piękna. Gdy w utworach natury okazuje się autorowi tylko cząstkowy pogląd idei, w utworach sztuki ma się przeglądać idea całkowicie. Jednak, gdy z jednej strony niema dowodu dla czegoby z twórców natury koniecznie był ułamkowy pogląd idei, z drugiej strony idea sama przez się nie jest twórczością, ale staje się nią dopiero w duchu mistrza. Z jego dzieła nie sama idea do nas przegląda, ale ideał, który w pierwotnej swojej formie jest w Bogu samym, a na który sztukmistrz, jak mówi Libelt, daje tylko pochodną formę. Wszystkie ideały dają się sprowadzić do trzech naczelných ideałów piękna, prawdy i dobra. One objawiają się w życiu powszedniem, w dziejach i w naturze, ale pod wpływem konieczności przypadku i zmienności. W sztuce zaś one są wyjęte z pod tych wpływów i dlatego taki urok sprawiają.

Dzieląc fantazyą na powszechną i artystyczną, autor podaje tu niefilozoficzny podział i miesza nieraz imaginacją i fantazyą. Imaginacja jednak buduje tylko na wrażeniach przychodzących do niej przez zmysły, z zewnętrznego świata; fantazyja zaś płynie ze styczności w objawieniu i natchnieniu ducha człowieka z duchem nieskończonym. I taka różnica zdaje się być wskazaną w Wykl. syst. fil. t. 2 § 469.

Nakoniec autor dzieląc sztuki jedynie na idealne i plastyczne, zapomina o wymowie, którą nowsi estetycy załączają do sztuk idealnych, a która łączy w jedność rozwój ideału formy, czyli piękna w muzyce i ideału treści, czyli prawdy w poezji: rozwija głównie ideał dobra. Z drugiej strony plastyka i idealność nie wypełniają jeszcze całego zakresu sztuki. Czas i przestrzeń czyli rzeczowość i umysłowość, dusza i ciało, jak stanowią tam rzeczywistość, tu ducha, tak powinny się rozwinąć w systemacie całokształtów w sztukę żywota, sztukę upiększającą, idealizującą życie, w pięknokształty żywotne. Ta sztuka wyczerpie dwie trójce ideałów plastycznych i idealnych i da trzy osobne sztuki: piękna formy żywotnej, piękna treść żywotnej, piękna treści żywotnej i piękna dobra żywotnego. Tu formą i treścią w połączeniu będzie żywot społeczny narodów i ludzkości, upiękniiony w harmonii oświaty i religii, cały żywot narodu podniesiony do ideału, wedle narodowych jego usposobień i żywiołów. Autor jednak jak o wymowie stanowiącej przejście od trójce ideałów treści do ideałów rzeczywistości, tak o samej sztuce żywotnych ideałów nic nie wspomina.

Pochodzi to ztąd, że w tym jak w całym swoim systemacie zasad i myśli, autor stanął na stanowisku bezwzględnej idei niemieckiej filozofii, a szczególnie filozofii Hegla, na stanowisku tożsamości idei i rzeczywistości, wyradzającej się w tym systemacie w przewagę i wyższość idei filozofa, zwróconej do natury zmysłowej i zewnętrznej, nad ducha i żywot.

Wyłożywszy we wstępnych zasadach estetyki pierwiastki sztuki, autor w dziejach artystycznej fantazyi winien był rozklasyfikować jej utwory wedle tychże pierwiastków. Tym sposobem uwidomiłby się dokładnie charakter różnych szkół w dziejach sztuki. Przemaganie wewnętrznego wyrazu nad zewnętrznymi formami natury w szkole starych Niemców, plastyczności, zewnętrżności i natury w Rafaelu, Leonardzie i Goethem, wierne i ślepe naśladownictwo w Brenghelu i flamandzkiej szkole mogły podać wątek do rozklasyfikowania dziejowych epok i utworów sztuki wedle pierwiastków wykazanych na wstępnych zasadach estetyki. Opuścił to autor, charakteryzując szkołę flamandzką humorem i wesolnością ludu, co sam sobie winien był swoją szczęśliwość. Zdaje się jednak, że jedynie dążność do wiernego naśladownictwa natury jest cechą flamandzkiej szkoły.

Zjawienie się każdego dzieła filozoficznego w ogólności, a zatem i estetyki, powinno budzić jakiś smutek. Gdy czezość spada na serca, i umysły wyludniają się z myśli; gdy fantazyja umiera, rodzą się reguły i rozbiory. Gdy Rzym zapomniał o cnocie obywatelskiej, Cyncero spisywał jej zasady, gdy Bajard skonał i Franciszek I poznał, że rycerskość już nie popłaca, powstał styl renaissance na miejscu tumów gotyckich. Boileau zjawia się z przepisami i regułami, gdy na miejscu sztuki stanęła sztuczność, gdzie niema myśli śmielszej, a wszystko utrefione od stóp do głów. Listy o estetyce p. Kremera zjawiając się wśród niepośledniej epoki naszego piśmiennictwa, budzić się mogą z tego smutnego uczucia, jakie sprawia sekcyja po śmierci. Podając bowiem myśli o pięknie i zasady sztuki przystraja w piękną artystyczną formę, stanowiącą z jego dzieła prawie utwór poezyi.

Ten charakter dzieła p. Kremera, jego wdzięk artystyczny i urok formy dowodziłyby, że jest ono raczej artystycznym utworem naszej literatury, jest estetyczną jej sekcyją. Tę ostatnią rolę odegrywa ono raczej względem obcych literatur. I rzeczywiście jest ono raczej estetyką przeszłości, jak gwiazdą prze-

wodniczącą przyszłym objawom naszego ducha w sztuce i literaturze.

Niech nam wolno będzie tu złożyć wyznanie uroczyste, iż powyższe uwagi pragniemy mieć raczej hołdem oddanym p. Kremerowi, jak rozbiorem jego dzieła. Jeżeli bowiem ktokolwiek i kiedykolwiek mógł to sprawdzić na sobie, to my najbardziej czujemy i wyznajemy w niniejszej chwili, w obce dzieła p. Kremera, sprawiedliwość przysłowia:

„La critique est aisée, l'art est difficile”.

P. Kremer, jako synu swojego czasu i wieku, jako uczonego, ogarniający wiedzą wszystkie stulecia pracy dziejowej ludzkości, jako myśliciel głęboki i pełen zamiłowania prawdy, acz oparł się na stanowisku społecznej filozofii, wszakże jej myśli użył tylko za kanwę, nie tracąc niezawisłości i własnego piętna, przeniknął ją tchnieniem wiary, rozognił treścią chrześcijańskiego ducha, opromienił bezwzględną ideę skrzydłem własnej rodzinnej fantazyi. Jako pisarz, co się wczytał w klasyczne wzory a uczuł urok romantycznej poezyi, odział on myśli o sztuce siłą cudownego, a pełnego uroku słowa; nauce estetyki dał wdzięk estetycznej piękności, badanie nad sztuką uczynił przystępnym, zrozumiałem i pełnym powabu, romantycznej treści dał formę klasyczącą. Słowem jako poeta, artysta, filozof zarazem, a nadewszystko jako człowiek, połączył w swém dziele rozum z sercem, myśl głęboką z uczuciem ciepłym, żywą fantazyą z darem bystrego postrzegania, naukę z humorem i dowcipem; cześć dla ludzkości, z sercem bijącym dla swojego kraju. Ztąd dzieło jego jest uczone i estetyczne zarazem. Tak rozwijając zasady i dzieje sztuki, wcielił autor ich treść we własne swe dzieło; dźwignął jęj, sobie i piśmiennictwu swojego kraju najpiękniejszy pomnik.

Pisałem dnia 16 listopada 1856 r.

Leopold Jakubowski.

*Szermierz z Rawenny, przekład z Fryderyka Halma.*  
Lipsk. 1857.

Wiek nasz nie wydał ani jednego wielkiego dramaturga: mówimy tu o dramacie właściwym, scenioznym, a nie o poematach dramatycznych. Czemu to przypisać? czy istotnie temu,

że powieść skupiła w sobie wszystkie środki działania, jakie dotąd w różnych rodzajach literatury były rozproszone? Jeśliby tak było, to wówczas należałoby sądzić, że skazani zostaliśmy duchem czasu na odbicie w sztuce tej pośpieszności i nagłości, jaka samo życie cechuje; bo powieść rzadko przeżyje swój czas: chyba gieniusz potrafi wydrzeć niepamięci utwór, nie mający określonej formy, architektoniki tworzenia, w elastycznych, mglistych, nieoznaczonych kształtach wyrażony. Ale to przyczyna tylko pozorna, prawdziwa leży głębiej:—w zmateryalizowaniu i odpoetyzowaniu społeczeństwa szukać jej należy. W samej rzeczy, jeśli dramat jest poezją ludzkich czynów, jakże ma powstać, kiedy w tych czynach nie ma poezyi? A jednak dramat ma wysokie w kulturze społecznej znaczenie: po wszystkie czasy był on symbolem rozkwitu gieniuszu narodów, czego świadectwem Grecya, Hiszpania, Anglia, które wydały Eschyla, Sofoklesa, Euripida, Lope de Vegę, Kalderona i Szekspira. Dramat wszędzie czerpie swój początek w religii, tym nieustającym węzle między Stwórcą i stworzeniem. I tak w Indyach, tej kolebce oświaty europejskiej, dramat powstał z pieśni połączonych z tańcem w czasie wielkich uroczystości religijnych (śląd tego zachował się w samej nazwie dramatu *Nataka*, która zarazem oznacza aktora i tancerza); dziś jeszcze można napotkać tam przedstawienia publiczne z życia Wisznu i Ramy, z improwizowanymi dyalogami i żartami, które przypominają misterya średniowieczne; a wedle podania najdawniejszy, najpierwszy dramat, jaki był w niebie Indry przedstawiony, wzięty jest z historii Wisznu: treścią zaś jego jest wybór małżonka przez Laxmi, żonę Wisznu. W Grecyi dramat ma takie same obrzędowe, religijne i wychowawcze znaczenie, jak i w Indyach.

Wszakże najbardziej zajmującym jest śledzenie powstania dramatu chrześcijańskiego. Kościół długo walczył przeciw przedstawieniom scenicznym; wymownie potępia je Tertulian w piśmie swém *de spectaculis*, w którym oświadcza: że dla niego istnieje jedno tylko widowisko *powrotu Chrystusa i ostatecznego sądu*, jakie w świetnych barwach na końcu tego pisma maluje. Chryzostom z całym oburzeniem mówi o teatrach; to samo ś. Augustyn, Laktancusz i Cypryan, którzy powstają również przeciw mimom, ukochanej rozrywce panów rzymskich (o czém obszernie traktuje Charles Magnin w swój: „*Histoire des marionettes*”, godnej ze wszechmiar czytania). Liczne uchwały soborów zakazują wiernym uczęszczania na przedstawienia sceniczne;

A nawet i w prawodawstwie świeckim znajdziemy w tym względzie różne surowe, ograniczające przepisy, poczynając od zbiorów Teodozjusza i Justyniana.

To nieprzyjazne stanowisko kościoła w części powodowane było tem, że przedstawienia sceniczne, — pociągając zmysły wdziękiem rzeczywistego życia, — odrywały ducha od idealnego świata i tłumily tęsknotę do niebieskiej ojczyzny. Lecz główniejszą i dotykalsniejszą przyczyną były rozkielznanie namietności i dzikość, jakich nasycenia szukali Rzymianie w teatrze: dochodziły one do tego stopnia, że sceny Pazyfei z bykiem i Ledy z łabędziem wyobrażano z możliwą dokładnością; kiedy zaś przedstawiano tragedya o Herkulesie, wówczas wybierano skazanego na śmierć przestępcę dla udotkalnienia chwili, w której bohater ten w płomieniach na górze Eta umiera. To nam tłumaczy, dlaczego Rzymianie nie wydali ani jednego wielkiego dramaturga; bo zatraceni tragicy Pakuwiusz i Attius, i doszli do naszych czasów komicy, Plautus i Terencyusz, byli naśladowcami Greków; a dziesięć tragedyj, przypisywanych Senece są tylko wysilonem, uganianiem się za efektem, przerobieniem Eurypida i Sofoklesa. Bo jakże naród, — który potrzebował lechtać stępieale zmysły walką gladyatorów z secinami lwów i słoni, w arenę puszczonych, oraz gorącą parą rumianego soku życia, — jakże taki naród mógł znajdować rozkosz w śledzeniu wewnętrznej walki duchowych uczuć lub cichego postępu boleści?

Ale musiała nadejść chwila, w której kościół pojednał się z teatrem, używając go za środek ucieleśnienia tajemnic wiary i dziejów swoich; i inaczej być nie mogło, skoro pierwsze wieki kościoła były właśnie ciągiem wielkich dramatów w żywotach męczenników urzeczywistnionych, skoro samo życie Chrystusa, jak pięknie powiedział Klemens Alexandryjski, było dramatem ludzkości, skoro sama liturgia stała się symbolicznym dramatem. W samej rzeczy, jak w Grecyi z obrzędów dyonizyjskich, tak w chrześcijaństwie z liturgii (odzywanie się przy odprawianiu nabożeństwa, kapłana, dyakona i ludu; antyfony, responsoria, chóry, działania symboliczne) i życia Chrystusa powstały misteryum i *morał* (moralité) chrześcijański, których najświetniejsza epoka przypada na wiek XIV, rozwinięcie zaś ich oznaczają w wieku XII i XIII (\*). Zład powstał dramat świecki,

(\*) Obok tak powszechnego kierunku w owej epoce do dramatyżmu, zabawnem jest usiłowanie wskazania tego lub owego utworu za naj-



którego wszakże drugim, posilkowém źródłem były mimy, czyli przedstawienia mimiczne, jakie spostrzegamy u wszystkich narodów. Podobnie jak Grecya miała dejkelistów, etelontów i hilarodów, w czasach nowożytnych znajdujemy mimów, histrionów i jokulatorów. Właśnie te mimy,—które przy schyłku państwa rzymskiego, wygluzowawszy dramat jako ulubiona rozrywka Rzymian, przez tychże szeroko upowszechniły się,—stanowią jedyny węzeł upadającego starożytnego i powstającego w chrześcijaństwie dramatu. Tymczasem Gerwinus w znakomitych zkądinąd studyach nad Szekspirem (tak umiejętnie upożytecznionych przez Jana Komierowskiego, tłumacza angielskiego poety), mało wając wpływ jaki wyżej za główny uznaliśmy, i nie uzasadniając bliżej swego zdania, utrzymuje: iż dramat nowoczesny bardziej rozwiniął się z krotofil ludowych przy współdziałaniu Plauta i Terencyusza, naśladowców Menandra, aniżeli z misteryów.

Takie wysokie znaczenie, o jakim powyżej rozwiedliśmy się, ma dramat jedynie wówczas, gdy posiada w sobie warunki przedstawialności, gdy w każdej jego części pulsuje pełne życie rzeczywistości. Taką stronę posiada właśnie literatura niemiecka kilkunastu lat ostatnich, w której na polu dramatycznym celują: Hebbel (Judyta, Genowefa, Marya Magdalena) siłą i fantastycznością i poetycznością pomysłów i formy odznaczając się; Gutzkow (Uriel, Wzór do Świętoszka, najwięcej u nas znany, dotykający nieraz głębszych kwestyj duchowych; i wreszcie najobfitszy z nich, a niemniej znakomity Halm (właściwie Münch-Bellinghausen), którego dzieła dramatyczne aż pięć składają tomów. Jego Szermierz Raweński, pod pseudonimem ogłoszony, o którego przekładzie mówić mamy, wielkie wywarł wrażenie w Niemczech jako apoteoza prawdziwego niemieckiego patriotyzmu, dążącego wznieść się nad drobne uprzedzenia i prowincjonalne przesady do jedności narodowej. Oto krótka treść dramatu:

Tusnelda, żona Arminiusza wodza Germanów, który pobit Warrusa, wziętą zostaje do niewoli; w Rzymie wydaje na świat

dawniejszy, jak to uczynił Chasles w swoich studyach nad literaturą średniowieczną, wskazując Roswitę księżkę z Gaudersheim (w wieku X) za najdawniejszego tego rodzaju autora,—w czem tem bardziej błędzi, że mamy dawniejszy zabytek, bo z IX wieku, rękopism zawierający dramat wierszem o narodzeniu Chrystusa (w bibliotece Monachijskiej).

syna Zygmar, który wydarty matce wychowuje się w szkole szermierzy w Rawennie. Kaligula, którego zezwierzęcenie i zużycie w jaskrawych przedstawione barwach, wpada na myśl szatańską, aby Zygmara, przewany Tumelikiem, walczył w cyrku w oczach matki, w oznaki swój monarszój godności przybranęj; a edylem igrzysk mianuje dworzanina swego, stryja Tumelika, Flawiusza, który zdradziwszy swoich, przeszedł na stronę Rzymian. W tym czasie przybywa Merowig do Tusneldy z wieścią o zdradzieckim zamordowaniu Arminiusza i o wezwaniu do władztwa Germanii Tumelika, i chce tegoż wraz z matką wprowadzić. Tumelik, z którego odzyskania rozradowana Tusnelda odpycha te zamiary, marząc tylko o tém, jak on walczyć będzie w cyrku przed Cezarem. Tusnelda, nie mogąc przenieść samej myśli pohańbienia wielkiego rodu Arminiusza, a tém samém Germanii,— zabija własnego syna.

Oto osnowa prawdziwie szczytna i bohaterka do dramatu z dziejów pogańskich.

Tłumacz, wiedziony chęcią przysłużenia się literaturze ojczystej, — jak sam przyznaje, — nie wymaga uznania jego pracy za odpowiednią, zwłaszcza, że ją pośpiesznie z rękopismu teatrowi drezdeńskiemu nadesłanego, wykonał. Formę przyjął wiersza miarowego jak w oryginale, bardzo rzadko jednak zdobywa się na siłę i poprawność dykcji i muzyczność rytmu. Nieraz grzeszy przeciw językowi np. *bijł ja w pomoc! Jakżeś zbladł Cezar; w sam południa duszny zar, gdy czat oczy słońca skwar przyknie.* Ale co najbardziej uderza, że czasami napotykamy przeistoczenie myśli, niewierność w przekładzie nierymowym, nie przedstawiającym tém samém trudności w wykonaniu; na jednym ograniczymy się przykładzie ze sceny 3ciej aktu III:

Wprzód oślepiacie kogo zniszczyć chcecie,  
 Nie strącacie go, ziarnko mu na drodze  
 Rzucicie tylko; pośliznąć się dacie,  
 Aż póki własną miotany wściekłością,  
 Nie podźwignięty, w przepaść się potoczy.

W miejsce wyrazów podkreślonych powinno być: *aż własnym ciętarzem popchnięty, niepowstrzymanie w przepaść się potoczy.* Na ważny także zarzut wystawił się tłumacz opuszczając kilka charakterystycznych ustępów, jużto dla mniemanego uczucia przyzwoitości, jużto z innych nie wiadomych powodów. Nie pojmujemy np. dlaczego pominął znaczną część pięknego

monologu Tusneldy w chwili kiedy zamierza zabić Tumelika;— oraz charakterystyczny dwuwierszowy monolog Flawiusza przy końcu drugiego aktu: po scenie, w której Kaligula, rozradowany piekielnym swym pomysłem zbezczeszczenia w cyrku rodu Arminiusza, daje hasło do wesołości, Flawiusz pozostaje sam i mówi do siebie:

Przeklęty, co we śnie marzeniem się ludzi,  
I gwałtu swawoli narzędziem się zbudzi.

Bolesław Wiktor.

*Biblioteka lwowska. Serya I, Zeszytów pięć. Wydanie K. Pillera i H. Stupnickiego. Drukiem Kornela Pillera we Lwowie, 1856—1857. W 8ce.*

Wydawcy w prospekcie swoim ogłosili, że pragną w edycji taniej wydać kilka celniejszych dzieł p. t. «*Biblioteka lwowska*» w przekonaniu, że światła publiczność kraju naszego, nie opuści tej sposobności, aby w drodze przedpłaty, za najtańszą cenę, silnie wsparła przedsięwzięcie nasze.

Serya ta zamyka: 1) Odsiecz Wiednia przez Jana Sobieskiego 1683 r. obraz historyczny w 5 aktach. 2) Oblężenie Jerozolimy przez Tytusa, przekład z francuzkiego Józefa Flawiusza Żyda (z mapą Ziemi świętej, 2 zeszyty). 3) Pamiętniki Jana Chryzostoma Paska, niegdy towarzysza pancernego (6 zeszytów z drzeworytami). 4) Rękopism z wyspy s. Heleny. Cała ta serya ma kosztować tylko 3 zł. reńskie czyli złp. 12.

Rzeczywiście, gdyby wydawcy prawdziwie doborowe dali nam dzieła, cena 12 złp. za 50 arkuszy druku nie byłaby drogą. Ale wybór, wyjąwszy Pamiętników Paska, zrobili najnieszczęśliwszy. Umieszczony na czele obraz historyczny w pięciu oddziałach Kazimierza Sadowskiego, wierszem, jest tak lichem ćwiczeniem szkolnem, tak niedowarzonem utworem, że w tej publikacji pod żadnym względem miejsca znaleźć nie powinien. Autor, najpoważniejsze postacie historyczne zkarykaturował i ośmieszył. Kulczycki, który z narażeniem życia przedzierał się z Wiednia do obozu polskiego, i dzieje zapisały na kartach swoich to poświęcenie bohaterskie, w tym obrazie przebrany za Turka, wtórzac sobie na lutni taką piosnkę śpiewa:

„Los żelazny nas nie nęka,  
 Nam zazdroszą chwały, bytu,  
 Nam nie szczeni Twórcy ręka  
 Swoich darów aż do sytu.  
 Król pan dobry, miłościwy,  
 Głośna światu jego sława,  
 Naród wielbi go szczęśliwy,  
 Bo mu swobód daje prawa.”

Śpiewa to właśnie w chwili, gdy jest w obozie tureckim, poczem *ujmując oręż* śpiewa dalej:

„Komu pora, temu czas!  
 A więc czasie, idźmy wraz!”

Po takim bohaterskim wykrzykniku, z dobytą szablą, usłyszał *głos jakiś*: i gdy autor przysposabia czytelnika do energicznej sceny, Kulczycki *kryje się przed nadchodzącą osobą*: podслуchuje *Laskarysa Andronikosa* księcia greckiego, narzeczonego Teofanii Darukas księżniczki greckiej z rodu Paleologów, szukającego kochanki (scena zawsze w obozie tureckim) i z *za altany kiwa głową!* Teofania za kulisami śpiewa. Laskaris także śpiewa. Nareszcie kochankowie się spotykają. Teofania rzuca się w objęcia Laskarisa: ten ją ścisną z wykrzyknikiem,.

Tobą jeszcze żyje,  
 Tak, tobą! i dla ciebie tylko serce bije!

Zaledwie się tak serdecznie powitali, słyhać *szum jakiś, ciemność się wzmaga*. Powiernica mówi:

„Natura kirem śmierci łono swe pokrywa.”

Laskaris bada: „*Czy zaćmienie księżycy?*” Ale Teofania lepsze ma oczy, poznaje: „wszakto chmura ptastwa.” Powiernica dodaje: „Chmura strasydeł.” Wtedy Laskaris objaśnia rzecz całą:

„To duchy tulactwa  
 Gonią zdobyc wśród cieni, i nieszczęsne sądzą,  
 Że je złowią: tymczasem bez ustanku błędzą.”

Kiedy szum się coraz wzmaga, chcą już uchodzić: ale Kulczycki nagle zastępuje drogę. Laskaris oczywiście rzuca się ze sztyletem na niego; ten pyta go: „*Znasz ty Termopile.*” Na te słowa książę grecki rzuca precz sztylet od siebie. Teofania pyta o Kulczyckiego— *Któż on?* Ale *on* nie daje się im poznać, ale uspakaja o ten szum ptastwa.

„Niech was nie straszy szum skrzydeł puhacza,  
 Ni też lękiem przejmuję ciemnej nocy mara,

Ta czerń złowieszcza trwogę niewiernym oznacza,  
 Lub wyklętych z poziomu jest to niebios kara.  
 Słyszycie nad obozy te okropne krzyki:  
 Tę walkę o niegodne za życia pomniki?  
 Patrzcie! jak gonią zdobycz krętami manowey,  
 Dusz czarnych pobratymcy, ich ciał pogrobowey!  
 Jak spędzają się wzajem ze szczytów budowy,  
 Obrzydłe niedoporze, kruki, wrony, sowy!

Laskaris zachwycony tak wymownym obrazem czeredy ptastwa, rozciekawiony, pyta Kulczyckiego: „Czyliż czują trupów?” Ten go poważnie o tém zapewnia. Ujrawszy Teofanią, bierze zaraz lutnią i mówi:

„Nim jednak mój bogini cześć winną poświęcę  
 Czym tu bezpieczny?”

LASKARIS.

Słowo.

Ten jeszcze nie dowierza, więc pyta czy:

„Słowo książęce”.

Chwila milczenia. Tymczasem powiernica *zwinnie obiegłszy kulisy* zapewnia, że nikt nie podsłucha, bo czerń ślepa i głucha śpi i marzy. Kulczycki więc śpiewa o miłości i poświęceniu. Ostatnią strofkę musimy przywieść:

„A jeśli legnie u kresu swój chwały,  
 Wówczas niech pielgrzym późnej potomności,  
 Zwiedzając kurhan skromny, poczerniały,  
 Otrze pierś swoją o pomnik miłości.”

Po tak czułym śpiewie „*staje w miejscu, w myśli zatopiony*.” Teofania w uniesieniu, ale *zciha* pyta:

Cóż za głos pełen uczuć, walki i tęsknoty,  
 Wydał go pierś Parta, czy serce Majnoty?

Poczem Kulczycki uchodzi: kochankowie gotują się na śmierć:

Laskaris woła:

Gdyby strykiem satrapy, lub kata toporem  
 Ginać nam przyszło? Zginie!

WSZYSCY.

Byle ojców wzorem.

(*Zasłona spada: koniec oddziału Igo*).

Nie będziem nużyć czytelnika ani treścią, ani wyjątkami z utworu, co go wydawcy za celniejsze dzieło uznali. Dodamy, że wezyr jak *dandys* oświadcza się z miłością Teofanii: że kozacy po rusku chórem śpiewają, i lud wiedeński także na chwa-

łę Sobieskiemu śpiewa. Wreszcie chcą udarować czém Kulczyckiego.

### PIÉRWSI Z LUDU WIEDEŃSKIEGO.

Czém chce, dług nasz zmażem!

KULCZYCKI (*do obywateli miasta*).

W mieście waszém chcę tylko być pierwszym kawiarzem:

Zajęte wonnej mokki obfite zapasy

Wystarczą, bym was raczył nią w najdłuższe czasy!

LUD (*z radością*).

Przystajem! Zgoda! zgoda!

KULCZYCKI (*do króla*).

Królu uwielbiony!

Od ciebie jednéj łaski.

KRÓL (*jakby przestraszony*).

Byle nie korony,

Ta sprawa jest własnością całego narodu!

Alc Kulczycki uspakaja Sobieskiego: że zbawił miliony, niechże kochanków zbawi: król więc uwalnia Laskarisa i Teofanią. Lud wykrzykuje:

„Niech żyje zbawca ludów, pogromca pogaństwa!

Niech żyje król Jan trzeci, zbawca chrześcijaństwa!

I na tém kończy się ten wspaniały obraz historyczny.

Wydawcy dodali do niego litografią, równéj wartości jak dramat, na której widzimy króla Jana III pasującego rycerzem syna księcia Jakóba, z tym dwuwierszem z tegoż obrazu historycznego wyjętym:

„Pasujemy cię miecza i kraju rycerzem,

Walcz szczęśliwie, zaś cnotę ostaniaj puklerzem.”

W zeszytcie 2 i 3 dali wydawcy z francuzkiego przekład *Oblężenia i zburzenia Jerozolimy* według opisu Józefa Flawiusza, przy końcu zamieścili wiadomość o życiu i pismach jego. Musimy sprostować mylne ich podanie. Piszą, że *Starożytności żydowskie* obejmują ksiąg siedm: tymczasem dzieło to ma XX ksiąg, i przełożone jest na polski język we 3 tomach, przez Jana Lippomana, b. chorążego powiatu czechryńskiego. Dzieło to wyszło w Warszawie p. n. „Flawiusza Józefa Jerozolimskiego kapłana: *Starożytności żydowskich ksiąg XX.* w Warszawie. Nakładem i drukiem N. Glücksberga, 1820 (3 tomy w 8cc). Zeszyty IV i V obejmują początek przedruku *Pamiętników Jana*

Chryzostoma Paska. W przedmowie, sumienni wydawcy objaśniają, że tym przedrukiem nie robią krzywdy żadnemu prywatnemu autorowi. Przymówka stosowna i przestroga na czasie, gdy pirateria naszych księgarzy zaczęła się tak mnożyć, aż głos opinii publicznej musiał powstać w obronie prawa własności autorskiej. Czytamy w tej przemowie, że przedruk ten zrobiony według rękopismu. „Porównywalimy go najstaranniej i najsumienniej z wydaniem poznańskim i wileńskim, i co do tekstu samego, nie znaleźliśmy w nim żadnej odmiany, prócz chyba niektórych słów i szczególniejszych wyrażań.» Wydawcy nie podali nam dokładnego opisu owego rękopismu, z kąd go otrzymali, i z jakiego czasu pochodzi. Wydanie to jest illustrowane drzeworytami w textcie. W dwóch tych zeszytach jest drzeworytów 31; przedmowa zapewnia, że drzeworyty te, są wykonane wedle wzorów rysowanych przez najzdolniejszych naszych i z polskimi dziejami najlepiej obznajmionych artystów. Temu nie przeczyamy, bo wszystkie prawie są wzięte z ilustracyi wybornej Paska przez Lewickiego, i z Album wileńskiego Zaleskiego; ale same drzeworyty nie mają śladów ręki prawdziwego artysty. Wiele z nich są karykaturami rysunków pomienionych artystów. Odbicie niestaranne, przez co udatniejsze nawet straciły na wartości. Wydawcy prócz tego, nieogłędnie dali do téj ilustracyi format za szczupły w 8ce, przez co drzeworyty w podłuż karty odbite, wiele tracą na oko.

Widzimy więc, że Pasek dla ozdoby téj publikacyi dany, nie potrafi sam jęj podnieść, przy takich pismach jak dramat K. Sadowskiego i przekłady z francuzkiego. W ostatku pytamy, co może mieć za znaczenie *Rękopism z wyspy S. Heleny*, ogłoszony drukiem przed kilkadziesiątu laty, i którego exemplarze walają się na pulkach naszych antykwaryuszów. Wartoż łożyć na to koszta papieru i druku? Czyż wydawcy nie mogli znaleźć nic lepszego do swęj biblioteki. Tyle dzieł szacownych czekających przedruku z literatury naszęj dawniejszëj, tyle rękopismów i zbiorów Lwów posiada, że nie mogli mieć trudności w użytkowaniu do swęj publikacyi. Taniósć zachwalona w prospekcie, niema znaczenia w wydawnictwie, niemającem wartości. Żalujemy, że pp. Piller i Stupnicki nie przestali na wydaniu samego Paska w większym formacie, odpowiedniejszym do wygodnego umieszczenia drzeworytów we właściwych miejscach textu. Wl.

**CZAS:** DODATEK MIESIĘCZNY za m. wrzesień r. b.

Na czele tego zeszytu czytamy obszerną rozprawę Michała Słomczewskiego: „Charakter i niebezpieczeństwa cywilizacji przemysłowej”. Po rzuceniu ogólnych uwag, zwraca głównie swój pogląd na Anglię, streszczając dzieła *Jonh'a Framis* i *Herberta Spencer*. Rozprawa ta wymownie odpowiadając zadaniu swemu, pokazuje w całej nagości niebezpieczeństwo cywilizacji przemysłowej, zasługuje na upowszechnienie. Prace tego rodzaju, oparte na dowodach historycznych, dobrą są nauką i przestroga. Alexander Groza poeta ukraiński, udzielił redakcyi *Czasu* ciekawy materiał do konfederacyi barskiej p. n. „Pamiętka nadzwyczajnego zdarzenia w klasztorze Berdyczowskim, praktykowanego 1768 roku”. Zapisaną była w księgach metrycznych tegoż klasztoru: jeden z Ojców Karmelitów przetłumaczył z języka łacińskiego na język ojczysty, i podług tego przekładu czytamy. Jestto opis oblężenia klasztoru, i poddania się Kazimierza Pułaskiego w pierwszym zawiązku konfederacyi barskiej; rzecz niemalżej wartości do tego zajmującego ustępu dziejów naszych. *List nieznanego awanturnika*, (z archiwów podhoreckich) pisany do jakiegoś hrabiego, charakteryzuje nam owe typy liczne w kraju naszym, jako oburzające zabytki z czasów Stanisława Augusta. Okres ten namnożył nam podobnych ludzi bez czei i wiary niemało: dziś pojąć nie możemy, ażeby podobnie spodleni ludzie na ziemi naszej powstałi, a przecież dowody historyczne niezaprzeczone temu dają świadectwo. Maurycego Manna: *Wizyta u panny Le Normand*, w zajmującym obrazku podaje nam tę ciekawą postać i głośną w niedawnych czasach. W przeglądzie piśmiennictwa L. Siemieński ważne poruszył pytanie: o znaczeniu łaciny w średnich wiekach, i że jej nie można pomijać w dziejach literatury polskiej.

„Romantyzm (pisze Siemieński), który trafnie ktoś zdefiniował liberalizmem w literaturze,” dopuścił się wielu grzechów i zbrodni, przybierających zbyt jednostronny kierunek: szczególnie w tém, że jak wszystkiego rodzaju liberalizmy, tak i on erę literatury poczynął rachować od napisania pierwszej ballady, a poczytując prace poprzednich wieków, z bardzo małemi wyjątkami, za błahe, niebyłe i niepotrzebne, nie uznawał tém samym historycznego pochodzenia, ani tradycyi. Osobliwy ten sposób pojmowania przeszłości umysłowej narodu, odbił się szczególnie w pewnych pisarzach naszego piśmiennictwa, którzy wychodząc z téj zasady, że wpływ klassycyzmu nie dał się rozwi-



nać samodzielnej literaturze, że wolne ducha poloty skrępował obcemi formami, rzucili potępienie szczególnież na tych pisarzy naszych, co pisali po łacinie. Skutkiem tego systematu uszczuplili oni granice umysłowej cywilizacyi, a nawet nie byli w stanie oznaczyć z czego i jak i dlaczego Rej i Kochanowski zaczęli pisać po polsku. Tak znamienity początek wyglądał zawsze na skok gwałtowny, niedający się rozumnie usprawiedliwić żadnemi ułamkami przekładów biblii, ani pieśniami kościelnemi, ani temi okruciami przemiatanemi z książkowych okładek: byłyto bowiem twarde, belkotliwe dźwięki języka usiłującego zostać piśmiennym, a niejaki odbicie się zbudzonej twórczej myśli, która pragnęła przemówić zarówno do uczonych i do prostaczków, do wielkich i do maluczkieli. Nieprzyznanie łaciny do literatury narodu było niezém inném, jak tylko nieuznaniem ogromnego cywilizacyjnego wpływu, wywieranego przez kościół rzymski w ciągu kilkunastu wieków: a tymczasem najwyraźniej to widać, że nasi pisarze łacińscy, których szczególnież zbudził wiek odrodzenia, przygotowali te wyobrażenia w narodzie, jakie Rej i Kochanowski rozszerzali i opiewali później w ojczystym języku. Propaganda reformacyi usiłująca przyciągnąć klasy mniej wykształcone, pobudziła u nas kościół i wiernych mu, że myśl swoją począł również w języku dla większych mass zrozumiałym objawiać, do czego niemało przyczyniły się i zmiany w wewnętrznej konstytucyi rzeczypospolitej zaszłe. Gmin szlachecki przypuszczony do obrad sejmowych, do współdziałania w rządzie, nie mógł używać mowy uczonych i dyplomatów”.

Następnie rozwija Siemieński te swoje trafne uwagi, wylizowaniem ważniejszych pisarzy łacińskich, a zarazem dowodzi potrzeby zrozumienia pomników téj literatury polsko-łacińskiej, ażeby dokładnie pojąć można rozwój piśmiennictwa polskiego, jaki pokazał się nagle w tak świetnym obrazie czasów ostatnich Jagiellończyków. Nie przeczymy ani znaczeniu łaciny, ani zasług tym naszym pisarzom, którzy wyłącznie w języku łacińskim pisali. Godzimy się nawet, że w dziejach cywilizacyi narodu polskiego, mogą i powinni właściwe sobie zająć stanowisko; ale jeżeli przyjmujemy za zasadę tę prawdę, że literatura rzeczywista każdego narodu objawia się wyłącznie w rodowitym języku, a to jak nam się zdaje nie potrzebuje dowodzenia: czyż na równi postawimy Sarbiewskiego, jakkolwiek go wysoce cenimy, z Janem Kochanowskim? Prawda, że cudzoziemcy cenią lepiej niż my Sarbiewskiego, że go czytywano i rozbievano na uniwersytetach nie-

mieckich i angielskich; ale to nie była wyższa wartość utworów jego nad Kochanowskiego, tylko dla cudzoziemców był dostępniejszym, pisząc po łacinie. Maż i on zajmować miejsce w rzędzie pisarzy, którzy w ojczystym języku literaturę narodową stworzyli, kiedy go trzeba tłumaczyć? My sądzymy, że miejsce jego najwłaściwsze w dziejach cywilizacji polskiej, ale nigdy w dziejach literatury ojczystej. Toż stosujemy do innych piszących w tym języku zamarłej Romy. Jeżeli zaś dla wypełnienia dokładniejszego obrazu i ciągu nieprzerwanego w dziejach cywilizacji narodu połączonej z dziejami literatury ojczystej, damy tym zasłużonym mężom miejsce: zawsze stanowić będą oddzielny zastęp, dobrze nazywanego: okresu literatury polsko-łacińskiej.

L. Siemieński w końcu daje nam życiorys Dantyszka, i żałuje, że Syrokomla, w przekładach swoich nie zaczął od niego: „Nie przełożył tych hymnów pełnych prostoty i namaszczenia Bożego, tém cudowniejszych, że wypłynęły z duszy długo miotanej burzami świata, długo oślniewanej blaskami tronów i dworów, a ciągle pojonej czarującymi truciznami półbożków reformy; przemawiających z całą elegancją i pychą klassycznego renessansu. Ażeby zrozumieć nieraz wielkość człowieka i poety z innego czasu, nie należy go mierzyć na skalę dzisiejszych wymagań i pojęć, ale postawić wśród świata i ludzi, pośród których wyrósł w to, czém był. Z Dantyszka zostało dla nas trochę żalu do świata za jego niestateczne uciechy i rozkosze, i pobożność prostaczka, wyśpiewana ubogim, skromnym rytmem na wszystkie uroczystości kościelne, obchodzone na cześć Zbawiciela i Najświętszej Panny. Mała spuścizna! powie kto, tak mała, że może i nie warta świetnego rymu i języka dzisiejszych poetów. Zapewne, brylantów myśli, stylu i Horacyuszowskiej werwy tu nie szukać, ale za to jest jakiś nieopisany urok wiejący z tych strof kościelnej łaciny, urok żadną sztuką niedający się naśladować, bo też wypłynął z głębi duszy, co wśród otaczającej ją wielkości i zaszczytów, sławy głośniejszej, i dumę budzących przyjaźni, zsuwała ze siebie, insygnie władzy, laury i herby na polu dowcipu, nauki, dyplomacyi zdobyte, i jakby w jednej koszulce z ułomnościami swemi, stawała przed oblicznością Najwyższego Sędziego. Sąto modlitwy pokajane go serca, przeto sztuki w nich nie ma, ani też podług wymagań sztuki sądzone być powinny, a jednak zdaniem mojem najcenniejsze to kwiaty, jakie w tym rodzaju literatura nasza posiada”. Następnie L. Siemieński robi przegląd krótki pism Dantyszka, i oddzielnie daje nam tłumaczenie Elegii jego *Do Grinei*.

Byłato Dn atyszka ukochana bohdanka, którą porzucić musiał na rozkaz swojego króla; tkliwie i gorąco opisuje pożegnanie swoje z ową płękną *Grineo*, i narzeka na smutek i cierpienia swoje. W przypisku przesyłając Zygmontowi baronowi Herbersztejnowi ten utwór lat młodszych, mówi:

„Jużem też postanowił, zgodnie z moim stanem  
I wiekiem, być pobożnym i czystym kapłanem.  
Wszystko w tym życiu naszćin tak prędko się kończy:  
Miłość tylko ku Bógu, z wiecznością nas łączy”.

**CZAS**, DODATEK MIESIĘCZNY, za miesiąc październik 1857 r. (Tom VIII. Zeszyt 22).

W podanej wiadomości historycznej przez E. Helleniusza o zgromadzeniu ks. Bazylianów w Humanii, znajdujemy równie ważne wiadomości rzucające niemałe światło na dzieje tamtej części ziemi dawniej rzeczypospolitej polskiej, jak zarazem mamy ważny przyczynek do historii szkół w Polsce. Józef hr. Załuski, z powodu broszury J. Łepkowskiego: „O broni siecznej w ogóle i w Polsce”, umieścił kilka słów o dawniej bronii w Polsce. Uwagi te są bardzo trafne i dopełniają badania naszego archeologa. Wartoby, ażeby spostrzeżeniami temi autor w późniejszym wydaniu swój rozprawy uzupełnił wiele szczegółów i spostrzeżeń zrobionych przez kompetentnego w tym przedmiocie hr. J. Załuskiego. „Badania historyczne podania gminnego o smoczej jamie w Krakowie p. J. Lisiewskiego, jakkolwiek pokazują wiele erudycyi, nie przemawiają do naszego przekonania.

Autor streszczając badania swoje, temi słowy zamyka rozprawę:

„Zdaniem mojem baśń o smoku Krakusa roznieśli między ludem naszym pozostali wraz z księciem (Krakusem) pochodzenia swego Goci, którzy wiarę chrześcijańską wyznając i już w III wieku w styczności z Słowianami zostając, chcąc nadać blasku panowaniu plemiennika swego Krakusa, a raczej chcąc skłonienie się jego ku wierze chrześcijańskiej przedstawić ludowi jako czyn wielki i wzniosły, wystawili go tak allegorycznie, budząc postrach przed pogaństwem wystawionóm w postaci smoka, kraj i ludzi pożerającego, a przywiązując sobie do siebie obcą jego osobę.

„Baśń ta o smoku, jedyny pomnik bytności Gotów nad brzegiem Wisły, utrwalona w pojęciu nieoświeconego narodu, utworami natury, które się ją potwierdzić zdawały, przetrwała między naszym ludem, z ust do ust przechodząc, przeszło przez wieków trzy i tym sposobem przeszła ona do naszych kronikarzy, którzy zbierając podania ludu i to jak sami mówią, co się od ludzi starych dopytać mogli, zestawili niemi pierwotną naszą historią: „dziejami bajecznemi „nazwaną”.

Leszek Moroz dał nam tak nazwany poemat satyryczny p. n. „Gracze”. Nie wart ten utwór takiego tytułu: bo poezji w nim nie ma, a całość sklecona z rymowanej prozy. Dziwimy się nawet, że w piśmie tém mógł znaleźć pomieszczenie. Jest tu wiele oburzenia, ale zamiast z potęgą zwykłą talentom wyższym, uderzenie silne na błędy i występki, wymowne i poruszające: mamy rządzenie jakby starca, powtarzającego swoje morały, które, że długie i pozbawione oburzenia prawdziwie poetycznego, przejdą bez wrażenia. Dość nam przytoczyć cztery wiersze z tego wielkiego poematu na próbkę poetycznego talentu autora, z ustępu o naśladownictwie obcych u nas:

„Niegdyś w wypisach szkolnych czytałem te słowa:

*Der Affe ahmet alles nach, a złość gotowa*

*Z małpami nas połączyć i wyrzec aż strach!*

*Der Pole und der Affe ahmen alles nach”.*

Nie ujmujemy przez to autorowi szlachetnych pobudek, które piórem jego kierowały: widzimy przecież, że porwał się na przedmiot przechodzący siłę jego talentu i mało zgłębiony. Po przeczytaniu tego poematu, autor zdaje nam się, że mało zna świat i graczy, na których pioruny rzuca. Ta niezajomość ludzi wyraźnie uderza i odejmuje wierszowanym Graczom wartość artystyczną.

Alexander Chodźko drugą dał powieść tłumaczoną z perskiego p. n.: „Przygody Padyszacha i czterech Derwiszów”. Przekłady te mają wielką zasługę, że oznajmują nas z literaturą zupełnie prawie u nas nieznaną. Tłumaczenie Chodźki odznacza się prócz innych zalet pięknnością języka.

„Szkice podrózne”, Władysława Kulczyckiego obejmują wymowny opis Pizy i najważniejszych jej pomników.

— Dziennik CZAS w N. 250 r. b. na wstępie przy dziewiątej rocznicy swego istnienia pisze:

„Ze wszystkich usiłowań jakieśmy od założenia dziennika przez ciąg dość długi trwania jego i w ciężkiej epoce i w ró-

żnych okolicznościach łożyli, najtrudniejszém było podjęte przed dwoma blisko laty wydawnictwo pisma miesięcznego czyli: Dodatku do Czasu. Najwięcej wymagało ono pracy, zachodów, starań i kosztów. Kto tylko kiedy przyłożył rękę do podobnego dzieła u nas, wie aż nadto dobrze, jakie mu towarzyszą trudności!" Następnie czytamy, że redakcyja założyła to pismo w myśli, że Galicya powinna mieć pismo miesięczne, skoro takowe posiadają: Królestwo Polskie, Litwa i Wielkie księstwo Poznańskie. „Rozbieraliśmy w nim (w dodatku Czasu) ruch literacki i polityczny; podawaliśmy rozprawy o kwestyach społecznych, historycznych, archeologicznych i obyczajowych: ogłaszaliśmy dokumenta historyczne, podróże, pamiętniki; staraliśmy się, aby każdy zeszyt urozmaicić poezją, powieścią lub innym belletrystycznym artykułem; nakoniec przy każdym zeszytcie podawaliśmy korespondencyą z głównych stolic europejskich z barwą ich chwilową i Gazetkę literacką, donoszącą o wszystkich polskich publikacyach w całej Europie. W pierwszym roku wydawnictwa 47 osób, nie licząc w to autorów korespondencyi, wzięło udział piórem w Dodatku: nazwiska ich podpisane. W drugim roku, to jest w bieżącym, liczba ich będzie jeszcze większa. Cyfrę tę podajemy, bo ona wystarcza, aby obronić pismo nasze od zarzutu zbytnej wyłączności, a oraz jest dowodem, żeśmy w ścisłym następstwie założonego celu, rozbudzenia umysłowego ruchu w kraju naszym postępowali". Po wyliczeniu ważniejszych artykułów, czytamy gorzką, ale sprawiedliwą wymówkę. „Wszystkie prawie dzienniki podają za ukazaniem się każdego zeszytu najmniejszego tygodniowego pisemka, co się w niém znajduje: wszystkie prawie uczyniły wyjątek dla Dodatku: to nie jest bezstronność, ani obojętność,— ale niechęć. Krytykę jakąkolwiek, choćby najostrzejszą, nie uważamy za niechęć, owszem uznajemy prawo krytyki. Tego prawa używa jedno tylko ze wszystkich pism polskich w obec Dodatku, a tém pismem jest „Biblioteka Warszawska" i publicznie jój tu z wielką przyjemnością oddajemy sprawiedliwość. Ona jedna pojęła stanowisko poważnego pisma w obec naszych usiłowań: powiemy więc—w obec kraju. Jak z drugiej strony musimy wynurzyć nasze zadziwienie, że pismo miesięczne poznańskie, które w swój kronice literackiej o każdej najmniejszej wspomina broszurce, do tego stopnia niechęci się posunęło, że nawet o ukazaniu się nowego pisma polskiego, peryodycznie wychodzącego nie wspomniało, i raz tylko zmuszone przytoczonym wyjątkiem w odsyłaczu małą o Do-

datku uczyniło wzmiankę. Przytoczyliśmy to stanowisko dzienników polskich w obec Dodatku dlatego, że jako niechęć z góry powzięta, nie była przewidzianą przez nas trudnością, której ważność atoli umiemy oceniać”.

Czytamy w dalszym ciągu, że wydawcy nie ustają w chęci, że pismo takie potrzebne dla Galicyi, że wsparte współzuciem ogółu, powinno samo o swych siłach utrzymać się; w ostateku, że są granice ofiar, i nie lubią ofiar bezowocnych.

Ze smutkiem odczytaliśmy tę odezwę redakcyi Dodatku Czasu, bo pismo to niemało zasług położyło w ciągu swego dwuletniego istnienia dla literatury ojczytstęj. Oprócz wielu pełnych wartości artykułów wywołało z ukrycia niemalą liczbę takich, którzy prace swoje po raz pierwszy w tém ogłosili piśmie. Powątpiewaliśmy, czy ta odezwa poruszy zmartwiały dla literatury krajowej ogół w Galicyi i życzyliśmy z serca, abyśmy się pomylili w naszym sądzie. Mamy przecież téj obojętności dowody, gdy Galicyanie, brakiem prenumeratorów takiej publikacyi jakim był „Tygodnik Literacki” Szajnochy pozwolili upaść. Odezwa powyższa przecież redakcyi „Dodatku Czasu” znalazła chociaż słaby odgłos. Wyczytujemy w Czasie, że zebrało się nieliczne grono prenumeratorów, które za ledwie połowę kosztów nakładu pokryć jest zdolne. Redakcyja jednak ufna w lepszą przyszłość, pokrzepiona współzuciem wszystkich pism polskich, zapowiada dalsze wydawnictwo „Dodatku”. Dzielimy się tą radosną wiadomością z naszymi czytelnikami, pewni, że pismo to pełne wartości znajdzie większe poparcie i dojdzie do tego jak u nas, w takim rodzaju pism najwyższego szczebla pomyślności, że potrafi koszta nakładu prenumeratą pokryć w całości.

# WIADOMOŚCI

## na drodze postępu nauk przyrodzonych.

### CHEMIA.

*Niektóre wiadomości o kawie i ciałach mogących ją zastąpić.*  
 Kommissya wyznaczona w Anglii, złożona z pp. Graham, Stenhouse i Campbell, w celu wykrycia istot roślinnych używanych zwykle do fałszowania zmielonéj kawy w handlu znajdującéj się, ogłosiła sprawozdanie; a jakkolwiek nie rozwiązała dostatecznie swego zadania, podała jednak ważne objaśnienia we względzie rozpoznania chemicznego wielu istot.

Ziarna kawy przez wodę morską nadpsute, utracają swój zapach, smak gorzki i całą ilość kafeiny, a zawierają jedynie 12 na sto części pierwiastków wodą gorącą wydzielić się dających. Również nie mają wartości i takie ziarna, które przez szczególny rodzaj fermentacyi, pewien przeciąg czasu w wilgoci były przechowywane. Gorzki, brunatny pierwiastek przy paleniu kawy powstający, tworzy się głównie z cukru w ziarnach zawartego, przechodzącego w tak nazwany karmel. Część pachnąca (aromatyczna) upalónéj kawy stanowi olej brunatny cięższy niż woda, rozpuszczalny w eterze i nieco we wrzącéj wodzie. Ciało powyższe przez pp. Boutron i Frémy nazwane zostało *kafeon*; posiada zaś tę własność, iż nadzwyczajnie mała jego ilość, dwom lub trzem kwartom wody nadać może swój właściwy zapach, co pochodzi z części rozpuszczalnych upalónego ziarna. Kwas kawowy surowych ziarn, zmienia się przez prażenie w kwas posiadający inne własności.

Nie masz owocu, któryby dzisiaj mógł kawę w zupełności zastąpić. We Francji używano w tym celu ziarn roślin zbożowych, owocu kosańca (*Iris pseudo acorus*), cieciorki (*Cicer arietinum*), traganku (*Astragalus creticus*), słażu drzewnego (*Hibiscus esculentus*), ostrokrzewu (*Ilex*), janowca (*Genista hispanica*), a oprócz tego żołądki, kasztanów dzikich, nasienia tubinu (*Lupinus angustifolius*), grochu zwyczajnego, bobu, bobiku końskiego, słonecznika i wielu innych; ale ze wszystkich powyższych ciał, upalony owoc kosańca (*Iris pseudo acorus*) ze względu swego zapachu, największe podobieństwo ma do kawy. W Niemczech dodawano do kawy upalonego korzenia cykoryi, marchwi, buraków, oraz korzeni cybory (*Cyperus esculentus*), ziemnego orzecha (*Arachis hypogaea*), przytulii (*Gallium aparine*), paproci (*Polypodium filix mas*) i iglicy (*Ruscus aculeatus*). Dodatek cykoryi, a w szczególności buraków starają się głównie przez to usprawiedliwić, że z powodu znacznej ilości cukru w tych korzeniach zawartego, powiększa się ilość cukru przypalonego (karmelu), co wpływa na ulepszenie smaku napoju.

Aby się przekonać o bytności poprzednich albo też innych znanych istot roślinnych w zmielonej kawie, uciążliwą byłoby rzeczą wyszukiwać w niej kafeiny i to nawet nie doprowadziłoby do pożądanego wypadku: poprzestać więc należy na pewnej liczbie porównawczych dochodzeń, polegających w części na różnicy natężenia barwy wytrawionego płynu, od roztworu cukru przypalonego (karmelu), (płyn zaś ten powstaje z jednej części w mowie będących dochodzonych istot, rozpuszczanych w 200 częściach wody); w części na oznaczeniu ciężaru gatunkowego, (do którego to celu wytrawia się 1 część kawy 10 częściami wody, a ztąd powstaje roztwór mający ciężar gatunkowy 1008—1009,5); w części znowu na wysłedzeniu cukru; a naostatek na porównaniu pozostałości popiołu. Dla porównania natężenia barwy i ciężaru gatunkowego odwarów, ułożono tablicę wielu ciał służących do zafałszowania, ale ocenienie ich ulega trudnościom, zwłaszcza gdy znaczna liczba ze względu na ich niejednakową wartość razem będzie pomieszana.

Z uwagi na cukier, nadmienić tu wypada, że wprawdzie z bobu zielonego można wydobyć cukier trzcinowy krystaliczny, ale dorozumiewać się należy, że znaczna jego część znajduje się tam w postaci cukru owocowego, chociaż tenże rzeczy-



wiecie nie został wydzielony. Przez zafermentowanie cukru w upalanej kawie jak również i w bogatych w cukier korzeniach, można wyskok otrzymać pomimo różnych przypalonych pierwiastków i olejków, skoro cukier przez prażenie w połowie nie uległ w nich rozkładowi. To jednak jest pewno, mimo tego co powyżej powiedziano, że kawa przez upalenie traci prawie w zupełności swój cukier. Oto jest wykaz ilości cukru w znaczniejszych ziarnach kawy:

	przed upaleniem	po upaleniu
Kawa uprawiana w Ceylan	7,53	1,14
„ „ z Jawy	6,73	0,48
„ „ z Costa Rica	7,72	0,49
„ „ z Jamajki	7,78	0,00
„ „ Mokka	7,46	0,50

Ilość cukru w następujących ciałach, jest:

	w świeżych na sto części.	po upaleniu na sto części.
Cykorya zagraniczna (nie angielska)	22,76	11,98
„ angielska	35,23	15,96
Burak polny	23,68	9,86
Marchew	31,98	1,53
Czerwony burak	24,06	7,24
Pasternak	21,70	6,98
Żołądź i t. p.	3,64	2,70

Wiele wykonano rozbiórów, w celu rozpoznania ze składu popiołu, zafalszowania kawy; z tych zaś pokazało się, że popiół kawy odznacza się głównie przez brak w nim sody i krzemionki i obfitość kwasu węglowego.

Na 100 części popiołu znajduje się:

	KAWA					CYKORYA		RÓŻNE OWOCE I KORZENIE.		
	uprawiana w Ceylan	z Jawy	z Costa Rica	z Ja- majki	Mok- ka	an- giel- ska	nie an- giel- ska	Lubin	Żo- ładź	Pa- ster- nak
Potaż	55,10	54,00	53,20	53,72	51,52	24,88	29,56	33,54	54,93	56,54
Soda	—	—	—	—	—	15,10	2,04	17,75	0,63	—
Wapno	4,10	4,11	4,61	6,16	5,87	9,60	5,00	7,75	6,01	6,85
Magnezja	8,24	8,20	8,66	8,37	8,37	7,22	3,42	6,18	4,32	6,49
Niedokwas żelaza	0,45	0,73	0,63	0,44	0,44	3,13	5,32	—	0,54	0,53
Kwas siarkowy	3,62	3,49	3,82	3,10	5,26	10,53	5,38	6,80	4,79	4,07
Chlor	1,11	0,26	1,00	0,72	0,56	4,63	3,23	2,11	2,51	2,09
Kwas węglowy	17,47	13,13	16,93	16,45	16,98	2,88	2,80	0,56	13,69	11,44
Kwas fosforowy	10,36	11,05	10,80	11,13	10,15	11,27	7,06	25,53	11,15	13,84
Krzemionka	—	—	—	—	—	2,61	12,75	0,87	1,01	0,57
Piasek	—	—	—	—	—	8,08	23,10	—	—	—
Ogół	100,63	99,97	99,06	100,18	99,68	99,98	100,66	101,09	99,68	102,42

Ilość saletrorodu w upalanej kawie wynosi od 2,5 do 3 na sto, a w świeżej nie angielskiej cykoryi 1,51, w upalanej zaś 1,42; w angielskiej świeżej 1,86, w upalanej 1,74.

Zasady, na których Rochleder się opiera, dla wykazania w kawie bytności kwasu cytrynowego i palmowego, nie są zdaniem autora niniejszej pracy przekonywające, a wzory chemiczne kwasu kawowego i drugiego jeszcze zawartego w tych ziarnach, bardzo są dwóznaczne. Również nie sprawdziło się podanie Rochleder'a, że z przepędzania na sucho kwasu kawowego, powstaje przypalony kafechin, jakkolwiek na znacznej ilości doświadczenie powtarzano.

Nie można także przyjąć z Rochlederem, że kwas kawowy znajduje się w herbacie paragwajskiej, (z rodzaju *Ilex paraguariensis*), jakkolwiek w niej jest pewien kwas, który podobny jest do rzeczzonego kwasu kawowego, ale te kwasy różnią się od siebie zapachem wyiewięzającym się przy ogrzaniu ich w otwartym naczyniu.

Dla otrzymania kafeiny, wytrawiano w zupełności świeżą kawę wrzącą wodą w ciepłe 100°, a podparowawszy nieco ciecz, dodawano do niej obojętnego octanu ołowiu, a potem octanu ołowiu trzyczasadowego; płyn odcedzono od osadu i wyparowano do sucha, poprzednio wydzieliwszy kwasem solnym nadmiar soli ołowianych. Na wysuszoną pozostałość nalano mocnego wyskoku, a ciecz ztąd utworzoną parowano do gęstości ulepku; wtedy po upływie dosyć znacznego czasu, kafeina w kryształach osiadła, tę zaś dla odłączenia od niej wody w bibule wyciskano.

Ilość kafeiny wynosi:

W świeżej kawie z Cejlan uprawianej 0,54; w cejlańskiej dzikiej 0,8.

Jeżeli potrzeba wyszukiwać kafeiny w mieszaninie mającej około 10 na sto kawy; najlepiej to skutecznie przez wyparowanie odwaru z wapnem i następne wytrawianie suchego osadu eterem. Po oddziaływaniu zaś kwasu saletrowego i gazu amoniackiego z łatwością kafeinę rozpoznać można.

Kwasu kawowego nie liczy autor do garbników, jakkolwiek Rochleder nazwał go kwasem kawowo-garbnikowym; ponieważ nie daje osadów z roztworem klejowym (galaretowym). Że zaś on zawsze w kawie się znajduje, a łatwo przechodzi w pierwiastek zwany chinon, tym więc przeto sposobem nie trudno śledzić kawę, kwas bowiem powyższy nie ulegnie zniszczeniu. Aby zaś otrzymać chinon, miesza się wyparowane do gęstości ulepku odvary, z czterema częściami na wagę kwaso-

rodka czarnego manganu, z dodaniem jednej części wiotryolu, równą objętością wody roztworzonego; wtedy tak wierzch re-torty, jakoteż i odbieralnia pokryją się kryształami chinonu: ciecz zaś żółta w odbieralni okaże wszystkie oddziaływania na chinon.

Właściwe kwasy herbaty paragwajskiej, herbaty zwyczajnej, kór chinu i ostrokrzewu (*Ilex aquifolium*) posiadają taką samą własność jak kwas kawowy: to jest, że wydawać mogą chinon. (*Journal für praktische Chemie* Bd. 69).

\* W dniu 2 listopada 1857 r. p. Bogdanow z Moskwy zawiadomił akademią umiejętności paryżką, że mu się udało otrzymać barwnik z piór wielu gatunków ptaków. Głównie wydzielił go z gatunków *Calurus auriceps* i *Catinga coerulea* w następujący sposób:

Odciąwszy starannie czerwone pióra ptaka *Calurus auriceps*, wkładał je w kolbę nalaną wyskokiem i gotował w kąpeli wodnej: po upływie kwadransa pióra były coraz bledsze, a wyskok jednocześnie zabarwiał się pomarańczowo-czerwono. Powtarzając ciągle gotowanie z coraz nowym wyskokiem, pióra czerwone prawie zupełnie się odbarwia, otrzyma się zaś roztwór barwnika, który po przedczeniu paruje się w kąpeli wodnej, strzegąc zagotowania wody i utrzymując ją tylko w ciepłe 60° do 70° C., a wtedy zbierze się na dnie naczynia proszek, który uważany w większej ilości jest ciemno-czerwony, a w małych cząsteczkach czerwono-pomarańczowy. Przepłukując ten proszek wodą wszystko się rozpuści wyjąwszy barwnika, który wówczas będzie zupełnie czysty. Barwnik czerwony nie rozpuszcza się w wodzie zimnej i ciepłej, ale pełźnie od słońca. P. B. uważa to ciało za nieznanne i nazywa je *zooxantyna*.

Wytrawiając ciepłym wyskokiem pióra jasno-fioletowe ptaka *Catinga coerulea*, otrzymuje się roztwór prawie takiej samej barwy jak piór czerwonych. Barwnik zawsze okazuje się czerwono-pomarańczowy, czasami zaś fioletowy. Nalewając na te pióra kwasu octowego, otrzyma się również roztwór czerwony, ale dopiero po kilku godzinach; osad rozcieku utworzonego przez wyskok, po wyparowaniu doskonale się przechowuje.

Nalawszy kwasu octowego gorącego na pióra żółto-zielona-we, otrzyma się roztwór tej samej barwy, lecz jaśniejszy. P. B. sądzi, że to jest także rozpuszczenie barwnika, który nazywa *zooverdyną*; ale ostrożnie o nim wspomina, jak również i o innym jeszcze barwniku czyli *zoofulwinie*, mającym ubarwiać pióra jasno-żółte wilgi (*Oriolus galbula*). Rzeczywiście nalewając na pióra tego ostatniego ptaka, kwasu octowego, otrzymuje się roztwór jasno-żółty, który jednak prędko się odbarwia. (*L'Institut* 11 Nov. 1857).

J. B...a.

## KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1857.

123. Gawędy o literaturze i sztuce, przez J. I. Kraszewskiego.  
(Z godłem):

„Dicendi periculum non recusa.  
Cicero.

Ciąg pierwszy. We Lwowie, nakładem Karola Wildta. 1857. (W 12-ce. Str. 339. W drukarni Zakładu Narod. imienia Ossolińskich). Rsr. 1, k. 50.

124. Melodye nowszych czasów, przez Augusta M. Grabowskiego. Warszawa. Nakładem autora. W drukarni Józefa Tomaszewskiego. 1857. r. (W 8-ce. Str. 16).

125. O poprawie Rzeczypospolitej, Andrzeja Frycza Modrzewskiego. Wydanie Kazimierza Józefa Turowskiego. Przemysł. Nakład Michała Dzikowskiego dzierżawcy drukarni Gr. k. kapituły. 1857. (W 12-ce. Str. 358).

126. Sielanki Józefa Bartłomieja i Szymona Zimorowiczów. Wydanie Kazimierza Józefa Turowskiego. Przemysł. Nakładem Michała Dzikowskiego, dzierżawcy Gr. k. kapituły. 1857. (W 12-ce. Str. 152).

127. Sielanki Szymona Szymonowicza. Wydanie Kazimierza Józefa Turowskiego. Przemysł. Nakładem Michała Dzikowskiego, dzierżawcy Gr. k. kapituły. 1857. (W 12-ce. Str. 81).

128. Wszystkie dzieła polskie Jana Kochanowskiego. (Z portretem autora). Wydanie Kazimierza Józefa Turowskiego. Przemysł. Nakład Michała Dzikowskiego, dzierżawcy drukarni Gr. k. kapituły. 1857. Dwa tomy. (W 12-ce. Tom I. Str. 265. Tom II. 242. Wydanie to na lepszym papierze kosztuje złp. 8, na najpiękniejszym 12 złp.

129. Zabytek dawniej mowy polskiej. W Poznaniu, czcionkami Ludwika Merzbacha. (Wydanie wspaniałe T. hr. Działyńskiego w 4-ce wielkiej. Kart 4 nieliczbowanych tytułów i przypisania. Textu str. 84, litografowanych tablic z fac-similami kart 14). Rsr. 10.

130. Żłobek. Kolęda dla dzieci, przez ks. Karola Antoniewicza. Poznań. Nakładem i czcionkami Ludwika Merzbacha. 1857. (W 8-ce z ryciną i nutami. Str. 92).

1858.

14. Annuncyata, powieść historyczna z czasów konfederacji Barskiej, przez Zygmunta Kaczkowskiego. 3 tomy. Warszawa. 1858. Nakładem S. H. Merzbacha księgarza. (W 12-ce. W drukarni J. Ungra. Tom I. Str. 414. Tom II. Str. 438. Tom III. Str. 502). Rsr. 5.

15. Dni doroczne na Litwie. Szereg obrazków, przez Władysława Syrokomlę. Część pierwsza i druga. Wilno i Dynaburg. Nakładem J. Krasnosielskiego księgarza, 1858. (W 16-ce. Str. 56. W drukarni S. Orgelbranda). Kop. 60.

16. Gawędy księdza proboszcza pod Lipami, dla czytelników Czytelnicy Niedzielnj. Ogłosił Jan Kanty Gregorowicz. Serya I. Warszawa. Nakładem A. Nowoleckiego księgarza. 1858. (W 12-ce. W drukarni Karola Kowalewskiego. Str. 120). Kop. 30.

17. Gorączka tyfoidalna i jej leczenie homeopatyczne, przez Augusta Rapou doktora medycyny fakultetu paryzkiego, wydał J. P. Warszawa. Nakład i druk S. Orgelbranda księg. i typogr. 1858. (W 18-ce, Str. 48).

18. Improwizacye i poezye Deotymy. Poczët drugi. Warszawa. Nakład i druk S. Orgelbranda, księgarza i typografa. 1858. (W 8-ce. Str. 354 i kart dwie spisu rzeczy).

19. Kwiaty i poezye. Wykonał własnym nakładem Maxymilian Fajans w Warszawie. 1858. (W 8-ce wielkiej. Kart 19. W ozdobnej oprawie. Text litografowany złotem). Rsr. 7, kop. 50.

20. Pisma Adama Mickiewicza. Wydanie nowe znacznie powiększone. Z portretem autora. Warszawa. Nakładem S. H. Merzbacha. 1858. Tom I. (Z pręnumeratą na 8 tomów). Rsr. 10. (W 12-ce. W drukarni J. Jaworskiego. Str. LXXIV—246. Wydanie drugie na lepszym papierze z 8 rycinami na stali kosztuje rsr. 15).

21. Poezye Teofila Lenartowicza w dwóch częściach. Warszawa. Nakładem Alexandra Nowoleckiego, księgarza. 1858. (W 12-ce. W drukarni J. Jaworskiego. Część I. Str. 153. Część druga, Str. 95. Oprawne razem). Rsr. 1, kop. 50.

22. Podręczne wyrachowania czyli zbiór wartości monet krajowych i zagranicznych, ułatwień w obliczaniu procentów na różne stopy i sposoby umarzania długu, tudzież miar i wag krajowych i obcych z rachunkami handlu zbożowego dotyczącemi, przez K. Ł. Warszawa. Nakład i druk S. Orgelbranda, księgarza i typografa. 1858. (W 12-co- Str. 94).

23. Powieści belgijskie z życia rodzinnego, przez Henryka Conscience, przełożone przez F. S. Dmochowskiego. Warszawa. W drukarni braci Hindemith. 1858. Dwa tomy. (W 8-ce. Tom I. Str. 344. Tom II. Str. 364).

24. Próbkę filozofii mowy Adolfa Kudasiewicza. Warszawa. W księgarni W. Rafalskiego. 1858. (W 8-ce. Str. 314. Przedśłowia XI. Skróceń i omyłek kart dwie. W drukarni Karola Kowalewskiego).

25. Tomiło. Obrazek z życia ludu, przez Wincentego Korotyńskiego. Wilno i Dynaburg. Nakład J. Krasnosielskiego, księgarza. 1858. (W 12-ce. Str. 120. Drukiem Józefa Zawadzkiego). Rsr. 1.

26. Wieczory w Ojcowie czyli opowiadania Grzegorza o dawnych czasach rzeczypospolitej polskioj, spisane przez Lucyana Siemieńskiego. Ozdobione dziewięcią rycinami. (Rysunki J. Polkowskiego. Litografia M. Fajansa). Warszawa. Nakład i druk S. Orgelbranda, księgarza i typografa. 1858. (W 8-ce. Str. 352). Rsr. 2, kop. 25.

## DONIESIENIA LITERACKIE.

## WARSZAWA.

Ruch w piśmiennictwie peryodycznym nowy się objawia. Gazeta Codzienna, która przed laty cieszyła się tak ogólną w kraju sympatją, że więcej od Kuryera Warszawskiego liczyła prenumeratorów: przeszedłszy różne koleje, zmieniła obecnie właścicieli, i nowe życie zaczyna. Redaktorem odpowiedzialnym pozostaje Jan Kanty Gregorowicz. Dawny współredaktor tej Gazety Stanisław Kamiński, i Alexander Niewiarowski, który fejtleton pod znacznikiem *gwiazdki* pisywał do Gazety Warszawskiej, objęli jako współwłaściciele redakcją i tu poszukiwaną od wielu *gwiazdek* będziemy mieli. W odezwie redakcyi czytamy: że część wiadomości politycznych zostanie rozszerzoną; krytyka literatury krajowej, sprawozdania, i przeglądy literatury zagranicznej, sprawozdania prawne, będą obrabiane specjalnem piórem. Zawiązała redakcyja stosunki ze wszystkimi prawie stolicami Europy, a korespondencye z Paryża, Londynu, Berlina, Krakowa, Poznania, Lwowa i t. d., mają zająć w tém piśmie rubrykę interesującą, uzupełnioną korespondencyami z różnych stron nadsyłanymi. Rozbiory dzieł dramatycznych, przedstawianych na scenie tutejszej, pisane będą przez autora *gwiazdki*. Artykuły o malarstwie i muzyce, sprawozdania o pracach krajowych artystów, jak równie z dziedziny naukowej, znajdują miejsce. *Gazeta Rolnicza*, zostająca pod dotychczasową redakcyą znacznie rozszerzy pole swego działania. Sprawozdania o nowo wydanych dziełach, w tej gałęzi przemysłu prawdziwie narodowego, każdego z obywateli ziemskich objaśnią o ruchu literatury rolniczej, jak również przeglądy wszystkich pism rolniczych peryodycznych polskich. Będą dołączone nadto plany budownictwa wiejskiego, łączące w sobie prostotę wykonania, z ozdobną o ile można powierzchownością. J. K. Gregorowicz prowadzić będzie redakcyą Gazety Rolniczej. Redakcyja nowa, powiększając ramy swego pisma dodatkiem na tydzień, kończy swoją przemowę w tych słowach:

„Znając trudności obranej drogi, i zarazem ważność swego zadania, odwołuje się do wszystkich tak w dziedzinie myśli pracujących piórem, jak i miłujących dobro literatury ojczyźnej, aby wspierali szczerze jej chęci. Rozwój myśli serdecznej, i zaspokojenie moralnych potrzeb ogółu, będą naszą główną dążnością, rękojmnią zaś jej jest ten zapał i niezłomna wola, z jakimi przystępujemy do czekającej nas pracy, ufni, że odezwa nasza przez wszystkich ludzi z sercem, ze współluczczeniem przyjętą zostanie”.

— Album Kaliskiego, Edwarda Staweckiego, wyszedł zeszyt 3ci i obejmuje wraz z obszernym tekstem widoki: 1) Kościoła Reformatorów w Kaliszu. 2). 3). Trybunał i więzienie w Kaliszu. 4). Kościół Śgo Wojciecha na Zawodziu pod Kaliszem. Śliczny to obrazek, przedstawiający skromny kościółek pod wezwaniem jednego z pierwszych apostołów,

otoczony starami więzami. Ciekawą wydawca podaje miejscową legendę: „W kościele znajdują się trzy ołtarze: w ołtarzu wielkim stoi statua Śgo Wojciecha w pontyfikalnym ubraniu, jedna ręka w rękawicze, a druga podniesiona do góry, obnażona z takowej, świadczy o niej.

Gdy Śty Wojciech opowiadał słowa wiary świętej zgromadzonemu ludowi, rękawiczki i laskę położył na ziemi przy sobie. Jeden ze słuchaczy przysunął się bliżej i skradł jedną rękawiczkę: co spostrzegłszy ś. apostoł uniesiony gniewem, że to mogło się zdarzyć właśnie w tej chwili, kiedy on najzarliwiej naukę Zbawiciela głosił, z niemogąc się dowiedzieć o sprawcy, miał wyrzec zaklęcie: że na pamiątkę tego występku, żaden ze słuchaczy ani ich następców, głosić słów Zbawiciela nie będzie, czyli inaczej, że księdzem nie zostanie. Jakoż, jak twierdzą najstarsi mieszkańcy wsi Zawodzia, bardzo wielu już się kusilo o ten zaszczyt z mieszkańców tamtejszych a żaden mszalnym księdzem nie został: jedni nie wytrwali nowicyatu, innych z tegoż nowicyatu usunięto, a ci co szczęśliwie go przeszli, przed samem wyświęceniem się na księży, poumierali”.

— Wspomnieliśmy, z jakim zapałem szlachetna młodzież nasza rzuciła się do nauki, w otwartej Akademii Medycznej; wymieniliśmy pracę jednego: z pociechą przychodzi nam doniesić o pracy naukowej także studenta tejże Akademii. P. L. Mikołaj Bruner przełożył dzieło doktora J. Müllera i przypisami powiększył, p. n. Zasady Krystalografii. Dodanych będzie kilka tablic ze 112 figurami.

(Wyjątek z listu Wł. Syrokomli). „W jednym z ostatnich numerów listopadowych r. z. Wiadom. kraj. i zagr. kroniki, była dorywcza i niedokładna wiadomość o jakimś panu Wodowozowie, który jakoby po rossyjsku do Moskowskich wiadomości dawał zdania o literaturze polskiej z Wilna; prostuję tę wiadomość. Ten pan nie zowie się Wodowozów, ale Wiesiołowski: wygotował kilka sumiennych bardzo rozbiórów naszych dzieł historycznych i belletrystycznych, które ciągle w pomienionem piśmie wychodzą.— Umarł w miesiącu październiku prof. Michajłowski, tłumacz mój na język rossyjski. Przełożył: Spowiedź Korsaka, Królewskich Lutnistów, Chodykę, ułamki z Margiera i mnóstwo drobiazgów; całego Kirgiza Zielińskiego. Rękopisma posiada częścią familia, częścią redakcyę pism peryodycznych rossyjskich. Zuane mi przekłady Michajłowskiego, o ile znam język rossyjski, były wyborne.”

— Szkiców i obrazków wyszły zeszyty 7 i 8, i zawierają dwa szkice: „Dowcipniś salonowy i Stary wiarus.” W pierwszym mamy dokładną charakterystykę dowcipnisi salonowego i odpowiednio scenom w nim zawartym, wyborne pochwycone postacie przez F. Kostrzewskiego: czy to siedzącego w fotelu, otoczonego słuchających gronem, czy przewodzącego w grze towarzyskiej, czy przy śniadanku albo przy bilardzie w kawiarni. Ryciny te szczęśliwie schwycone, wiele dopomagają tekstowi, który zaleca się trafnością spostrzeżeń, i zbadaniem tych salonów naszych figur. — Szkic „Stary wiarus,” podaje nam wiernie w szczegółowych zarysach ów typ z dawnych legionistów armii księstwa Warszawskiego i Królestwa, który wkrótce przejdzie do wspomnienia tylko, bo już resztki starych wiarusów dogasają z wolna. Miał tu szersze pole

dła swego talentu p. Kostrzewski: to też wiarus stary miosący dobosza na plecach drogą ku Fridlandowi, albo podpity kanonier, otwierający drzwi Kazimierzowi Brodzińskiemu. Jak wiarusy drwale i wiarus gotujący rosół kanonierski, okazują niepospolity talent artysty, który potrzebuje tylko odpowiedniej treści w szkicach, ażeby mógł nim zajaśnieć. Sądźmy, że wydawca postara się, ażeby weszły do tej publikacji i obrazy ludowe, nietylko z Warszawy, ale z kraju całego, a wtedy nabierze w szerszych ramach wyższej literackiej wartości, przez co zyska współczucie i upowszechnienie jak największe, przy tak umiarkowanej cenie, jaką jest prenumerata za tom in 4, o 200 blisko stronnicach, z 48 rysunkami, wynosząca tylko złp. 20.

— W nowej drukarni K. Kowalewskiego, w starannym wydaniu wyszło dzieło p. n. „Próbki filozofii mowy,” Adolfa Kudasiwicza. Owoc to studyów długich i sumiennych, a w literaturze naszej obecnej coraz rzadszych. W przedstowiu autor mówi: „Cóż umysł człowieka więcej zajmować może, jeżeli nie to, co jest czysto ludzkie, co się człowieka dotyczy i do niego się odnosi? Cóż godniej w nim iskrę interesu, rozetlic zdolne, jeżeli nie to wszystko, co stanowi wyraźne piętno człowieczeństwa, co go wznosi nad bezwładną materią lub instyktową zwierzęcość, i stawia go na właściwem tylko jemu stanowisku? — Najwyższą cechą duchowości człowieka jest mowa, owa aureola człowieczeństwa, widome dla samych nawet jasne swe nad nim rozlaczająca promienie. To też zajęcie się badaniem mowy, dostarcza dla umysłu bardzo interesującego przedmiotu. Mowa jest owym klejnotem ludzkości, nadziemskim prawie bijącym blaskiem, pryzmatem, przez który przepuściwszy promień duchowego światła, zobaczymy kolory tęczy, na które się rozłoży; najpierwszą nareszcie religią ludzkości, najpierwszym węzłem łączącym człowieka z Bogiem i przypominającym jego wyższy początek, ale zarazem i wyższe przeznaczenie w świecie. Dziwne jej i wielokształtne oblicze, to patrzy do nieba wskazując na swe pośrednie zlamtąd pochodzenie, to na świat, który ma nazwać, jako swoją dzierżawę, to na ludzi, dla których spełnia się ta wielka tajemnica społecznego ich życia. Chcąc badać początek mowy, trzeba zajrzeć w serce człowieka, trzeba się przenieść w stanowisko jego duchowe, przypatrzeć się jego stosunkowi do świata, i rozpatrzeć się w środkach do tego z Góry otrzymanych, a tak wdzięcznie odbijających jego duchową stronę. Rozważając w ten sposób mowę, przekonamy się, że badanie jej natury wpłynie niepomalu na rozświecenie wielu kwestyj duchowych.” Spodziewać się nam należy, że wkrótce ujrzymy poważny dzieła tego rozbiór, odpowiedni jego wartości, przez kompetentne pióro.

— Zygmunt Komarnicki, którego prac kilka historycznych drukowaliśmy w piśmie naszym, wykończył i przygotował do druku obszerną we 2 tomach monografią p. n. „Dzieje katedry Kujawskiej, od domniemanych jej początków, aż do najnowszych czasów, w treściwym zarysie skreślone.” W przedmowie swój autor wskazuje źródła z jakich czerpał, braki jakie w nich dostrzegł, ze skronnością godną sumiennego badacza objaśnia, że będąc pierwszym lanającym zawady dotąd nieprzebyte, znajdzie wyrozumienie u czytelników, rozumiejących ten



rodzaj znojnęj pracy. Dzieje katedry kujawskiej, spodziewamy się, że wkrótce ujrzymy ogłoszone drukiem.

— Pisma nasze codzienne, których głównym żywiołem feiletonu są powieści, przygotowały niepospolite ich zapasy. Gazeta Warszawska drukuje J. Korzeniowskiego powieść p. n. „Szczęście za górami;” Kronika wiadomości krajowych i zagranicznych, aż dwie na raz w r. z. drukując powieści: „Annuncyate” trzyltomową Z. Kaczkowskiego, i K. Bujnickiego: „Prawdowódcę,” zapowiedziała na r. b. i rozpoczęła druk powieści Eleonory Szyrmer w 3 tomach: „Noc bezsenność,” i aż w 6 tomach Kaczkowskiego p. n. „Ubodzy.” Te dwie powieści dziewięć tomów obejmujące, nasycą dostatecznie przez rok 1858 czytelników Kroniki, chciwych tego rodzaju lekkiej literatury. Powieści te są obecnie i niezłym towarem: wydrukowane w piśmie, odprzedają się księgarzom z korzyścią, tak, że feiletan albo przychodzi darmo, lub bardzo mało kosztuje. Uważamy przecież od pewnego czasu, wyraźny objaw opozycji między czytelnikami, na tę gazet naszych przesadę powieściową, coraz mniej cierpliwych czytelników na ciągnące się po pół roku i więcej opowiadania. Kto czytuje wszystkie warszawskie pisma codzienne, czy jest w stanie naraz aż cztery powieści czytać? Niedługo czekać jak ujrzymy, iż powieść nie potrafi podtrzymywać wartości naszych gazet, bo dojrzałsi czytelnicy potrzebują silniejszej, zdrowszej i rozumniejszej dla siebie duchowej strawy. Dlatego Gazeta Warszawska, która nie daje sobie pierwszeństwa żadnej wydrzeć, przeplata swój feiletan artykułami poważniejszej treści z innych gałęzi literatury, i przygotowuje do druku pamiętniki, które godnie miejsce powieści zajmą potrafią. Korrespondenci gazet, w interesie redakcyi, podnoszą znaczenie i wartość powieści do przesady. Jeden z nich w zapale wypisał, że przyjdzie czas, iż cała literatura zamieni się w powieściową. Nie zastanowił się, że wtenczas jużby literatury we właściwem znaczeniu nie było: bo powieść jest nikłą jej tylko gałązką, która czy się zieleni, czy uschnie, piękności drzewa nie zaszkodzi wcale. Mielibyśmy literaturę piękną i bogatą bez powieści: będziem ją mieli, chociaż powieść zejdzie na niższy stopień, uszczupleje do małych rozmiarów, lub też całkowicie zniknie.

— Pisaliśmy już o Bibliotece polskiej, pod redakcyą Kazimierza Józefa Turowskiego, wychodzącej naprzód w Sanoku, następnie w Przemysłu, a obecnie w Krakowie. Zasięgnąwszy bliższych objaśnień co do tego wydawnictwa, pospieszamy objaśnić czytelników naszych, bo pragnęlibyśmy szczerze tej ważnej publikacyi dać jak największe i najszczerze poparcie, tem bardziej, gdy wedle udzielonego nam nowego planu, wszystkie nasze żądania dopełnia. Biblioteka polska zyskała współpracownictwo W. Pola; główny zaś jej redaktor K. J. Turowski zwrócił w nowych seryach, które teraz ciągle ogłaszane będą, główną uwagę na ważniejsze dzieła dawnej literatury, zupełnie dla ogółu nie znane, a dla wielu specjalnie pracujących z odgłosu tylko znajome. Wstęp, jaki sobie ten redaktor dobrze pojmujący plan nowy wyjednał do najzamożniejszych księgozbiorów polskich, daje nam rękojmią spełnienia go w zupełności. Po wydaniu Jana Kochanowskiego, drukuje teraz: Kazania Sejmowe Skargi, pisma pomniejszych biskupa Wereszczyńskiego, pi-

sma Jana Tarnowskiego hetmana. Te wejdą w nową seryą 60-ciu zeszytów, podzielonych na serye, a do tego będziemy mieli przedruki: Herbarza Paprockiego, dzieła nadzwyczaj ważnego dla dziejów naszych; z Ogrodu królewskiego, tegoż pisarza ustęp cały o Polsce; dzieła Reja łącznie z broszurami (Figliki, Zwierzyniec Stanów Szlacheckich i inne); poczye: Grochowskiego, Kochanowskiego, T. Wiszniowieckiego, Rybińskich, Zbylitowskich, Górnickiego Dworzaniina i kilku broszur rzadkich a ważnych. Dziękujemy szanownemu wydawcy, że o tych broszurach nie zapomniał, że pojął całą ich wagę. Kto bowiem dobrze zna literaturę dawną polską, ten ma przekonanie pewne, że bez nich tchnąć się życia domowego od końca XVI wieku żaden badacz nie może. Taki plan rozwijając Biblioteka Polska przy sumiennej i starannej redakcyi, przy troskliwości korekty, i czystości przedruków, stanie się z czasem rzeczywistą skarbnicą dla chcących poznać naszą starożytną literaturę, tak bogatą, i tak godną zgłębienia, mogącą podnieść i ugodnić duchowo. Przywiedziem w ostatku spis wydanych zeszytów Biblioteki Polskiej:

Z wieku XVI i pierwszej połowy XVII, prozą: 1) Kronikę Polską, Marcina i Joachima Bielskich; 2) Roczniki Stanisława Orzechowskiego; 3) Tureyki (mowy do wojny przeciw Turkom zagrzewające) tegoż; 4) Żywoć Jana Tarnowskiego tegoż; 5) Dzieje w Koronie, Łukasza Górnickiego; 6) O Elekcyi, Wolności, Prawie i Obyczajach polskich, tegoż; 7) O Prawie Rzeczypospolitej, Andrzeja Frycza Modrzewskiego; 8) Hetmana, Bartosza Paprockiego; 9) Żywoty Świętych Pańskich narodu polskiego, ks. P. Skargi; 10) Kazania (pogrzebowe do dziejów odnoszące się), ks. Fabiana Birkowskiego. Wierszem: 11) Dzieła polskie, Jana Kochanowskiego; 12) Łacińskie Elegie tegoż po polsku p. Brodzińskiego Kazimierza; 13) Wyzwołań Jeruzalem, Piotra Kochanowskiego; 14) Jeftesa Jana Zawickiego, tragedya; 15) Dzieła Polskie Szymona Szymonowicza, 16) Poezye Polskie braci Zimorowiczów. Z wieku XVII, prozą: 17) Przysłowia Mów Potocznych, Andrzeja Maksymiliana Fredry; 18) O porządku wojennym i pospolitem ruszeniu małym, tegoż; 19) Pamiętniki Jana Chryz. Paska; 20) Rozmowy Umarłych Polaków. Z XVIII wieku, prozą: 21) Przypadki Mikołaja Doświadczyńskiego, ks. Ignacego Krasickiego; 22) Leszka Białego, ks. M. Krajewskiego; 23) Żywoć Lwa Sapiehy; 24) Żywoć Karola Chodkiewicza, przez ks. Adama Naruszewicza. Wierszem: 25) Bajki i Przypowieści, ks. Ignacego Krasickiego; 26) Powrót Posła, komedya J. U. Niemcewicza; 27) Komedye Franciszka Zabłockiego. Z wieku XIX, prozą: 28) Podróże po Słowianszczyźnie, księcia Aleksandra Sapiehy; 29) O Fizycznym wychowaniu, Jędrzeja Śniadeckiego; 30) Jana z Tęczyna, J. U. Niemcewicza; 31) Życiorysy niektórych poetów i uczonych, Brodzińskiego Kazimierza; 32) Rozprawy o Literaturze, tegoż. Wierszem: 33) Maryą, Antoniego Malczeskiego; 34) Poezye, Brodzińskiego Kazimierza; 35) Barbarę Radziwiłównę, Alojzego Felińskiego. Zeszyt pojedynczy kosztuje w drodze prenumeraty w cesarstwie Austryackim 18 kr. Wszystkie dzieła Jana Kochanowskiego (polskie) z rytym na stali portretem autora i podobiznami niektórych jego dawnych wydań, także z najdokładniejszymi bibliograficznymi wiadomościami, kosztują na papierze dobrym i białym, przy ozdobnym druku tylko 1 złr. 48 kr. m. k.

(w drodze prenumeraty). To daje wyobrażenie o niezwyklej dotąd fa-  
niości dzieł polskich i dążności wydawnictwa, pragnącego rozszerzenia  
skarbów ojczystych. Za granicami cesarstwa Austriackiego, mianowicie  
w cesarstwie Rossyjskiem i królestwie Polskiem wynosi prenumerata  
na 1 zeszyt kop. sr. 20. Wszystkie wymienione dzieła wyszły w 120 ze-  
szytach (w które nie wliczają się dodatki bezpłatne tom I wynoszące)  
i kosztują dla prenumerujących na całą B. P. w cesarstwie Austriac.  
36 złr. m. k. zaś w cesarst. Rossyjs. i królest. Pols. rubli sr. 24.

Wydawnictwo w usiłowaniach swoich nie ustanie, pokąd B. P. nie  
dojdzie do 1000 zeszytów. Prenumerata na całą B. P. przyjmuje się cią-  
gle w Administracji Biblioteki Polskiej w Krakowie, przy ulicy Mikołaj-  
skiej n. 626. Składa się z góry w ces. Austriac. tylko 1 złr., 48 kr.  
w król. Pols. i ces. Ross. 5 rubli sr.

— Idąc za wzorem Warszawy, litografia gazety Czas w Krakowie wy-  
dała Kalendarz chromolitografowany na rok 1858. W pięknie pomyślanych  
ozdobach gotyckich mieszczą się z najlepszych miejscowych Krako-  
wskich zabytków wzięte figury świętych patronów naszych, jak ś. Woj-  
ciecha i Stanisława; dwie te figury stoją po bokach. Na samej górze wi-  
zerunek N. Panny Częstochowskiej, mającej pod spodem widok klaszto-  
ru Jasnogórskiego; trochę poniżej kłęczy po jednej stronie ś. Jacek Odro-  
wąż, po drugiej ś. Bronisława; u samego spodu wspaniały widok na za-  
mek krakowski od strony Zwierzyńca. Układ tego kalendarza z tak sto-  
sownemi emblematami katolickimi, odpowiada swemu przeznaczeniu;  
tem więcęj, że wszystko są to zabytki miejscowych świętości, tak drogich  
sercom naszym.

— Więca, pisma zbiorowego wyszedł zeszyt IV i obejmuje wiel-  
ką liczbę artykułów; z pomiędzy tych wyliczym większej wartości: Jó-  
zefa Gołuchowskiego: „Dumania nad najwyższymi zagadnieniami czło-  
wieka” (wyjątek); Gabryeli z Güntherów ks. Puzyniny: Do S. Jachowi-  
cza, Zielona Sukienka; Cypr. Norwida: „Toast” fantazya; M. Balińskiego:  
„Król Jan III Sobieski jako geograf;” Władysławy Rogozińskiej: „Brat  
Sokół;” Katarzyny z Lipińskich Lewockiej: „Głos ubogiej matki do cór-  
ki na służbę idącej” (wyjątek); Józefa Paszkowskiego pułkownika: „Kar-  
dynalskie buty;” Eleonory Ziemięckiej: „Stanowisko Jachowicza jako  
grammatyka;” Fr. H. Lewestama: „Wyjątek ze wstępu do Historji litera-  
tury polskiej;” A. Wejnerta: „Spominki dziejów polskich za panowania  
Zygmunta III;” Wiktora z Baworowa (Baworowskiego): Poezye; Zofii  
hr. Hauke: „Myśli” z pism L. Kropińskiego i Klementyny z Tańskich  
Hoffmanowej; Fr. Kowalskiego poezye; Ferd. D. Chotomskiego: „Wypi-  
sy z VI księgi Eneidy Wirgiliusza trawestowanej.

— Księgarz S. H. Merzbach kończy w druku tom II dzieł Ada-  
ma Mickiewicza, w którym mieszczą się: „Grażyna, Wallenrod i Dziady”  
oraz powieść Z. Kaczkowskiego w 3 tomach p. n. „Annuncyata.”

— W drukarni S. Orgelbranda ukończono druk: Opisu Cmentarza  
Powązkowskiego i innych cmentarzy chrześcijańskich pod Warszawą  
i w okolicach tego miasta położonych. Całość składa trzy wielkie w 4cc  
tomy z rycinami. Wszedł z tejże drukarni poemat Wł. Syrokomi p. n.  
„Dni doroczne na Litwie,” w dwóch częściach. Typograf ten i księgarz

zarazem, wprowadził pierwszy nowość w handlu księgarskim. Wydane dzieło L. Siemieńskiego: „Wieczory w Ojcowie,” mamy oprawiane egzemplarze w okładkach bogatych zagranicznych, co dotąd służyło tylko książkom francuzkim, których wielki u nas pokup bywał. Zewnętrzna ta ozdoba, dziełu rzeczywiściej wartości, przydaje nowy powab do kupna.

— „Kwiaty i poezye” w pysznem wydaniu M. Fajansa, ukazały się w znacznej liczbie przed świętami Bożego Narodzenia. Dedykowane są Najjaśniejszej Maryi Alexandrównie, Cesarzowej Wszech-Rossyi, Królowej Polskiej. Oprawa ozdobna i staranna, nie ustępuje w niczem paryzkiej i londyńskiej.

— Donosiliśmy, że Wład. Syrokomla ukończył poemat, czyli jak sam nazywa, sielankę bojową p. n. „Ułas.” Ta wkrótce w Wilnie wyjdzie z pod prasy drukarskiej. Podamy tu z niej mały wyjątek.

W r. 1812 szlachta Poleska, zgromadziwszy się w kółko, udaje się na ruchawkę, ukrywając się w niedostępnym bagnistym lesie, w uroczysku Czartowy-Ostrów, gdzie stary leśniczy Ułas dostarcza im żywności i amunicyi. Jedną ze scen zaszyłych na Czartowym-Ostrowie, przedstawia następujący urywek:

„W nocy—w odludnej puszczy dwa ogniska płoną,  
 Na drzewach smugi światła błyszczą się czerwono:  
 Nad nimi dym kłębami zwija się, majaczy,  
 Co chwila fantastyczniej, co chwila inaczej.  
 Ze słupa, co nad lasem iskrzy się i dymi,  
 Piętrzy się smok ognisty lub orzeł olbrzymi,  
 Wionie skrzydłem na prawo, to znowu na lewo,  
 Rzuci tysiące blasków na poźółkę drzewo,  
 Zamigoce na listkach, na badylach ziela,  
 Spłoszy ze snu ptaszynę i w górę wystrzela.  
 Z trzaskiem płonie chróst suchy na stosie ogniska,  
 Coraz nowemi iskry pod niebiosa pryska,  
 A przy żywym płomieniu, jak gdyby w pożarze,  
 To czarne, to czerwone migają się twarze:  
 To szlachta cześnikowska w niedostępnej głuszy  
 Warzy strawę wieczorną i odzieżę suszy,  
 Gwarzy o dziennych sprawach, biędzy się lub chwali,  
 Albo trąbi w szklanice, albo luki pali.  
 Stary cześnik Belina do ziemi przypadłszy,  
 Długiem, smutnem spojrzeniem na ognisko patrzy,  
 Ze żrenie nieruchomych, po zoranej twarzy,  
 Dwie lzy spadły na ziemię—śnadź boleśnię marzy.  
 I nie dziw—stary Ułas wczorajszego rana  
 Przyniósł smutną wiadomość: że pani kochana  
 Umarła po niedługiej, lecz ciężkiej chorobie,  
 Nawet miejsca w święconym nieznalazłszy grobie;  
 Że gdzieś w dzikim ostępie wędrowki tułaczój,  
 Krzyżyk z jodłowych żerdzi jej mogiłę znaczy;  
 Że się w trumnie zdawała aniołem z postaci,

Że umarła modłać się za męża i braci!  
 Nagła ta wieść przeszyla biedne serce męża,  
 Lecz jak prawy Spartanin boleść przewycięża,  
 By widokiem swych cierpień i łez co uroni,  
 Nie dał upaść na duchu towarzyszom broni:  
 Bo każdy z towarzyszków w rycerstwie ochoczem,  
 Miał czego pożałować, miał zapłakać po czem:  
 Temu dom zrabowany, temu działwa chora,  
 Temu w chłodzie jesiennym wypadła obora;  
 Lecz każdy krzepiąc ducha w braterskiej gromadzie,  
 Na ołtarz wspólnej sprawy swe boleści kładzie.  
 Myśl zasługi obrońca ku domowej strzesie,  
 Hardy z ofiar co poniósł lub jeszcze poniesie.

Senną głowę złożywszy na torbie borsuczej,  
 Pan mostowniczy *Kurdesz* jakąś piosnkę mruceży:  
 A opodal na mokrój trawie rozciągnięty,  
 Spi suchy i sążnisty szlachcic pan *Walenty*.  
 Pan *Wrzosek* piecze w ogniu sarninę na roźnie,  
 Drobnym podśedek *Kością* modli się pobożnie,  
 A insza szlachta z boku gwarzy i broń czyści,  
 A wszyscy jeszcze rzeźwi, a wszyscy ogniści!

Pan *Baltazar Kapota*, wstał, pokiwał głową,  
 Dobył kapciuch skórzany i lulkę piankową  
 Naładował potężnie; wziął z ogniska główne,  
 I na pana *Kurdesza* spojrzawszy wymownie  
 Rzekł: „Czy wyjdziem na sucho, czy zginiem w tej dzieczy  
 „Na dwoje babka wróży, panie mostowniczy.  
 „A z mojej *karkulacy* najwłaściwsza rada,  
 „Że wziąwszy się za strzelbę, rzucac nie wypada.”

— „A jabym z tej kryjówki drapnął pokryjomu,  
 I wróciłbym do domu, ale nie mam domu!  
 Słyszę, jacyś złodzieje podkradli się cicho  
 I spalili dwór cały—a bierze go lichy;  
 Jeszcze sobie potrafię poradzić na świecie:  
 Żona z dziećmi przy siostrze w *Owruckim* powiecie,  
 Mam w trzosie kilka groszy i mam silne ręce,  
 Poprobuję dalszego szczęścia na wojence.”  
 Tak powiadał pan *Kurdesz*: „Widno jak na dłoni,  
 Albo my ich pobijem, lub nas zbiją oni.  
 W pierwszym razie uważasz, mospanie *Kapoto*,  
 Poleją się honory, posypie się złoto;  
 A kiedy się fortuny i sławy dorobię,  
 To nie taki folwarczek odbuduję sobie.  
 A jeżeli zabiją—wtedy się umiera:  
 W ziemi i w czterech deskach najlepsza kwatery!

Już ja dobrze w mej głowie obliczyłem skutki,  
Wiesz co, panie Kapota: napijmy się wódki.”

— „*Bene dictum*— rzekł Kościa pan podądek piński,  
Który lubił i trochę znał język łaciński.

„I ja waściom pomogę; a czemu? a czemu?

Mówią: *Kto się w opiekę poda Panu swemu,*

Nigdy na tém nie straci:— a znowu od śmierci

Żaden *mortalis homo* wszak się nie wywierci.

Czyż nie lepiej umierać na polu i z bronią,

Niż w domowej komorze gdzie łyzy baby ronią?

Co na to aspanowie? *qui vólet, qui nolet?*

Bierzmy strzelbę na plecy, a za pas pistolet:

Tak radzą wszyscy mądrzy, ot *exempli gratia*

Choćby i nasz pan cześnik...

— „Czysta karkulacya!

Odpowiedź pan Kapota chyląc kielich do dna—

Tylko widzisz jegomość sprawa niedogodna:

Odcieł nas od wojska — nie masz z folwarku,

Tu nas mogą ogłodzić, a zima na karku.

Będziemy tutaj siedzieć podkurczywszy szyję:

Póki słońce nadejdzie, rosa oczy wyje.

W lesie jak rude myszy poginiemy marnie.”

— „A czy tobie niedosyć, że masz mięso sarnie!

Krzyknął chorąży Wrzosek nasrożywszy minę,

Odkoczywszy od ognia, kędy piekł sarninę.

„A czy to my niewiasty, czy broń Boże, szewce,

Aby mając grankulki i proch na panewce,

W lesie pełnym zwierzyny z głodu zamrznąć żywo,

Albo zginąć od chłodu kiedy jest krzesiwo:

Wstydz się panie Kapota!”

— „Tak moi panowie!

Zawołał pan Jan dziedzic na Oczeretowie,—

Bać się chłodu i głodu my nie mamy prawa,

Z takimi sprzymierzeńcy jakich Bóg nam dawa.

Patrzcie jak wszystko dla nas poświęcić gotowi

Nasi rybacy, strzeley i chłopci wioskowi:

Kiedy szczęście chybnęło na szlacheckiej szali,

Twardą pierś, bratnią rękę, patrzcie jak podali!

Przytulili rodziny i nabytki nasze,

Wzięli grunta w opiekę, a trzody na paszę.

Oni idą do miasta narażając siebie,

Kupują proch i kule ku naszej potrzebie:

Wszak smaczna panie Wrzosek twoja pieczeń sarnia?

Panie Walenty, słodki sen co cię ogarnia?

Panie Kościa, dziś w boju usłużyła kulka,

Pysznie panie Kapota dymi twoja łulka;

Panie Kurdesz, aż miło po szklance gorzały:  
 • Ucałuj chłopską rękę, bo to chłop zuchwały,  
 Przekradł się przez kozackie pikiety i czaty,  
 Nie lękał się swobody lub życia utraty;  
 Kupił ci twoje zbytki, przeniósł po zdradziecku,  
 I rozkazał swą córcę, bezsilnemu dziecku  
 Nieść przez błota, przez lasy ciężar nad jej siły,  
 Abyś nabił swą strzelbę, by twe usta pily.  
 A gdy ty z jego łaski chyliłś czarękę do dna,  
 Może w tej samej chwili twoja żona głodna,  
 Z czarnej ręki wieśniaczej czarny chleb zajada:  
 Ani głód, ani zimno, ani żadna zdrada  
 Nie zagraża ni tobie, ni twojej rodzinie.  
 Zobaczmy szlachcicu, kiedy groza minie,  
 Czy potrafisz chłopowi wywdzięczyc się szczerze!

— „Według twój *karkulacyi* każdy rzeczy bierze,  
 I często trafi celu jak kulą do płota—  
 Rzekł wąsaty z Brzozaniec Baltazar Kapota.  
 Jaśnie Wielmożny panicz biedną szlachtę hasa,  
 Bo sam polubił córkę starego Ułasa:  
 Któż się broni wpisywać do takiego cechu!  
 Cha! cha! cha! z przeproszeniem, ja sam nie bez grzechu,  
 Ale choćby krzyczała cała Europa,  
 Nigdy nie *karkuluję* na uczucie chłopca.”

— Z młodych naszych poetów litewskich, od lat dwóch daje się  
 chlubnie poznać z rzeczywistego talentu Wincenty Korotyński. Mały  
 zbiorek jego poezyi wydany w r. z. p. n. „Czém chata bogata tém rada,”  
 oraz drobne utwory, któreśmy w naszym piśmie drukowali, są tego wy-  
 mownym dowodem. — „W Tece Wileńskiej“ w tomie II czytamy jego:  
 „Okruhcy.“ Z tych poezyj przywiedziem tu poezją p. n. „Wigilia Bo-  
 żego Narodzenia.” (Do czarnych w Stanach Zjednoczonych):

„Dzielać opłatek z nędzą—i do was przychodzę,  
 Do was nowego świata hłotowie starzy!  
 Jakto? w domu wolności, na postępu drodze,  
 Przemoc żyje grabieżą, a mord gospodarzy!  
 Jakto? ta wielka ziemia, matka Waszyngtona,  
 Dla was tylko niezmierna więzienna komnata!  
 Ach! po cóż mi powiadasz, nadziejo strapiona:  
 Jutro dzień narodzenia Zbawiciela świata!  
 O! wy z duszą człowieczą zaprzężne bydłeta!  
 Cera wasza, niestety, ciężka wina wasza!  
 Wam się Chrystus nie rodził, nie stargane pęta.  
 „Ludzie, zostańcie bracią! było głos Judasza.  
 Oświecony plantator, tłumacz myśli nieba,  
 Rzekł: „Marzyciel, szaleniec, kto z czarnym się brata:

„W społeczeńskiej budowie niewoli potrzeba!  
Jutro dzień narodzenia Zbawiciela świata!

Ślucham: to śmiech jak samum, od morza do morza  
Leci, aż na starego świata pogranicze...

Nędzni! ileżto wieków świętych Magów zorza,  
Oświeca wasze jarzma i ciemieżców bicze,  
I gdzie się, gdzie odezwie głos prawdy za wami,  
Gdy kraina swoboda, rozumem bogata,  
Kościół Salomonowy frymarkowstwem plami?  
Jutro dzień narodzenia Zbawiciela świata?

Na ławie właścicielskiej, w trybunałów sali,  
Przebóg! nawet w świątyni, kat sędzią w potrzebie!  
Ziemia, co-c dała ciało, głazy na cię wali.  
Niebo, co-c wlało duszę, wyrzekło się ciebie.  
Lecz nie! Ten, na czyj obraz twa dusza stworzona,  
Ten, co światy buduje, lub jak proch je zmiata,  
Ten, aby cię wyzwolić, przyjdzie z wieków łona:  
Jutro dzień narodzenia Zbawiciela świata.

Poznacie go po krzyżu, co noc rozpromienia.  
On wypędzi przekupnie ze swego kościoła,  
Oświeci was, że umarł dla wszystkich zbawienia,  
I nad duchem ciemności swój tryumf obwoła.  
Święta zorza, co bladła na widok Iloty,  
Krwawiła się na Aten długiej kary lata,  
Skrześli wam złotą drogę braterstwa i cnoty:  
Jutro dzień narodzenia Zbawiciela świata!

Dziś, gdy braknie mi głosu, by zbudzić świat cały,  
Gdy serce bolejące dławi krew zapiekła,  
Gdy łzami omyć bratniej nie mogę zakąły,  
Posyłam wam anielską nowinę do piekła.  
Na krwią waszą i potem użyznią ziemię,  
Z tym opłatkiem niech do was pociecha przylata:  
Powstań, przyzodób ducha, o nieszczęsne plemię!  
Jutro dzień narodzenia Zbawiciela świata!

— Robiąc sprawozdania o wszystkim, co na polu naszej uny-  
sławności godne uwagi, nie mogę pominąć i osobliwego zjawiska, że z za-  
możnej rodziny znalazł się jeden pisarz, który porzucił niewdzięczny  
jak widać dla siebie zawód literacki w ojczystym języku, i woli służyć  
w cudzej sprawie. Hr. Stanisław Kossakowski wydał w końcu r. z.  
w Paryżu aż kilka pism: wszystkie w języku francuzkim. „Essai de me-  
dicine pratique.” i „Recueil de recettes populaires”. Korrespondent paryzki  
Czasu, nazwał tę książkę bardzo pożyteczną i bardzo piękną; ale za-  
razem nie może zataić, że medyczna ta książeczka chybia celu, wy-  
chodząc na świat w Paryżu. „Jej należało się urodzić w Warszawie lub  
Wilnie, gdzie korzystałyby nasze gospodynie wiejskie, obeznane w części



z zamkniętymi w niej receptami i sekretami” „Życzyłbym (dodaje w końcu naiwnie), żeby który lekarz polski, jak najprędzej ten poradnik domowy na nasz język przetłumaczył, jeżeliby do tej pracy sam autor nie dał się zachęcić. My sądzimy, że lepiejby zrobił autor, gdyby wprost w ojczystym języku napisał, z zastrzeżeniem, jeżeli jego praca warta była polskiego druku. Wydał jeszcze tenże sam hrabia dwie sztuczki dramatyczne w języku francuzkim p. n.: „Le Comte Tristan de la Réverie” i „Surprise”. Tenże sam korespondent nie mówi nic nam więcej o nich jak tylko: „że czytane w poufném gronie przed wyjściem na świat, zyskały miłe przyjęcie.” Czy i czytelnicy, wydrukowane tak miłe przyjmą, później zobaczymy.

— Dr. Teodor Tripplin wyjechawszy z Konstantynopola, gdzie czas długi bawił, podróżuje w Azji i ma się znajdować w Jerozolimie. Wędrówkę tę swoje ma opisać w nowém dziele: „Podróż z Warszawy do Jerozolimy.”

— J. I. Kraszewski wydał we Lwowie „Gawędy o literaturze i sztuce” 1857. W nich wyczytujemy następné zdanie o piśmie naszym: „Trudno w daném położeniu i okolicznościach więcej i inaczej zrobić nad to, co Biblioteka Warszawska uczyniła. Jest to jedyny nasz przegląd, który zawierać w sobie musi bez względu na całość, co tylko gdzie się w kraju wypracuje naukowego i literackiego. Ztąd często niestała barwa jego: to raz zbyt wyłącznie literacka, to znów zbyt sucho naukowa; całe poemata obok ogromnych rozpraw o prawie hypoteczném i sukcesyi; ornitologia i materiały historyczne surowe, filozofia i mineralogia, dramat i geografia. Nie obwiniamy o to bynajmniej redakcyi Biblioteki Warszawskiej, której pierwszym obowiązkiem dawać schronienie wszelkiej uczciwej i pożytecznej pracy, inaczej zaginać mogącej; ale niemniej, tak jak ona dziś jest, wiele naturalnie przedstawia do życzenia. Pierwsza, żeby nie była samą i podzielić się mogła na dwoje: to jest na pismo czysto naukowe, i zbiór peryodyczny literacki. Ale któż znowu u nas naukowej treści publikacją czytać i prenumerować zechce, i jakże się ona utrzymać potrafi, czém zapelnić? Widzimy więc, że Biblioteka mimo zarzutów jakie jej czynić można, nie jest w stanie odmienić swęj treści i planu redakcyi. Ważniejszą wymówką nie dość baczone śledzenie literatury krajowej, nie dosyć regularne z nięj sprawozdania i rozbiory, w których często są wielkie przerwy i opuszczenia. I na toby coś przecie zaradzić można, powierzając jednemu z członków redakcyi rodzaj, choćby pobieżnej kroniki literackiej, skupiającej w sobie miesięcznie lub kwartalnie wiadomości i sąd o tém wszystkiém, co u nas wychodzi. Wprowadzona kronika zagraniczna, widać że odpowiedziała potrzebie czasowej, gdyż ją przyjęto z pobłażaniem i współczuciem, chociaż bardzo zkądną nie spojną, niedostateczną i nazbyt już wyciąganą z przeglądów i gazet zapelnioną. Kronika ta wszakże jaką jest, zawsze użyteczna, daje nadzieję, że się z nięj wyrobi coś samoistniejszego, gdy się wprawi i wdroży do tej pracy autor jeszcze z nią nieoswojony. Może w tym rodzaju krajowy przegląd wcaleby nie był do odrzucenia. Oprócz tego paryzki korespondent nie może obejmować ogółu faktów świata literackiego: potrzebaby równém prawem, niemieckiego, angielskiego, włoskiego i rossyjskiego. Dopiero wiązka takich sprawozdań wtajemni-

czyłaby nas w to, co się na świecie dzieje, a cośmy wiedzieć powinni, by się od świata nazbyt w naszym zagonie zapatrzywszy, nie zostać. Ale aż nadto oceniać umiemy pocziwe chęci i wytrwałą pracę i poświęcenie tych, których gorliwością trzyma się jedno u nas w kraju pismo zbiorowe, literacko naukowe, byśmy od nich za wiele nad siły wymagać mogli. Wiemy, że to co oni czynią, jest już i tak szlachetnym wysiłkiem i pełnym zasługi dziełem; niech więc nie ustają tylko, a gdy przyjdzie chwila ulepszeń możliwych, pewni jesteśmy, że nie zaśpią. Miło nam tu imiona tych ludzi, którym kraj winien tak wytrwałą i ważną publikacją wymienić, a na tych czele Leona hr. Łubieńskiego. Każdy rok istnienia Biblioteki, w takich jakich ona exystuje warunkach, nowy im wieniec upłata: obok redaktora K.W. Wójcickiego, A. Tyszyńskiego, Szabrańskiego, dwóch pp. Kurców, Zielińskiego, Majeskiego, Goltza (1) wspomnieć tu potrzeba, że innych niemięj ceniąc pominiemy, aby tego szeregu imion nie zwiększać. Nie potrzebujemy ich zachęcać do wytrwałości, której dawali dowody w ciężkich chwilach przesilenia; życzymy tylko pomyślności, postępu, i gdy okoliczności dozwolą, dalszego rozwinięcia w duchu i myśli pierwotnej."

— Henryk Jabłoński, którego zbiór poezyj p. n. „Gwido i Dumki” we Lwowie wydany, wprędce rozchwytanym został, a mamy obecnie drugą edycją w Wilnie przez J. Zawadzkiego ogłoszoną: pisał list z Zanzibar na wschodnich brzegach południowej Afryki d. 6 kwietnia 1857, który Dziennik literacki lwowski w jednym ze swych numerów ogłosił.

— Jeden z pierwszorzędných powieściopisarzy naszych Józef Dzierzkowski, który mniej szczęśliwy od innych, nie znalazł odpowiedniego zasługom swym i talentowi rozgłosu, napisał nową powieść p. n. „Żeby choć raz w życiu”.

— Otrzymujemy wiadomość, że J. Bohdan Zaleski, zamieszkały w Fontenebleau, po długim milczeniu ukończył rapsod p. n. „Potrzeba Zbarańska”. Jestto jeden z najobszerniejszych poematów, jakie dotąd ten wieszcz ukraiński wydał.

— S. Orgelbrand rozpoczął już druk zapowiedzianego przez nas dzieła p. n. „Dzieje księstwa mazowieckiego”, przez b. prof. Kozłowskiego, znanego tłumacza dzieł Platona. Dzieło to pomieniony księgarz wydaje własnym nakładem: złoży dwa spore tomy. Autor, podejmując tę pracę po H. Kownackim, który pierwszy w Pamiętniku F. Bentkowskiego dał nam dzieje Mazowsza, korzystał ze wszystkich nowych zdobyczy na tem polu, ażeby ubogacić i uzupełnić swoje badania. Jestto postęp wielki od Kownackiego czasów, i zasługujący na uwagę wszystkich rodaków: praca prof. Kozłowskiego będzie rzeczywistym zbogaceniem literatury naszej dziejowej.

*Wilno* (wyjątek z listu). „Druk numeru 3 Teki wileńskiej już skończony i obejmuje: Legendę i przekłady z ruskich poetów (Puszkińska, Chomiakowa, Żukowskiego, księcia Wiazemskiego) A. E. Odyńca. Wiersz do syna, tegoż. St. Rosołowskiego: „Co miłość może?” Gabryelli księ-

(1) Musimy sprostować tu omyłkę: p. Goltz znany z prac naukowych, nie należał i nie należy do składu redakcyj Biblioteki Warszawskiej.

żny Puzyrinej: „Czarno i biało.” „Szum brzożki.” Wł. Syrokomli: „Do prof. Abichta.” Szlagiera: „Cel pieśni.” „Peryody życia, urywki z autobiografii.” Ign. Chodźki. Gawęda, J. Łepkowskiego. B. Trentowskiego: „Hegiel i Kremer.” Olbracht Łaski i Jan Heraklides” Mik. Malinowskiego. (Jest to epizod z dziejów polskich z XVI wieku, ale odrębny i skończony w sobie). Adama Kirkora: o ludności Wilna. „Wiadomości historyczne o klasztorach. (ciąg dalszy). „O zamkach na Litwie i Rusi Litewskiej” Eu. T. Dalej w tym zeszytce mamy prace Konst. hr. Tyszkiewicza, T. Narbutta, Juliana Bartoszewicza, St. Buszczyńskiego. Do tego tomu dodany będzie pierwszy zeszyt „Ikonotheiki J. Kraszewskiego, która zeszytami aż do wydania całości do Teki wileńskiej dodawaną będzie. Jest to dodatek niespodziewany a ważny dla prenumeratorów „Teki,” bez podniesienia jej ceny. Pismo to znalazło wielkie współczucie u nas: z wydania całego mało co się egzemplarzy zostało. Spodziewamy się, że i u was znajdzie gościnne, serdeczne i życzliwe przyjęcie. Wszyscy litewscy pisarze wzięli w niem udział z zapałem: spodziewać się możecie coraz większego rozwoju i udoskonalenia naszej „Teki.” Muszę wam donieść o czynnie pięknym i szlachetnym, który Bóg daj, by i u was mógł się powtórzyć. Znany tak szaczątnie Mikołaj Malinowski przez zbieg nieszczęśliwych okoliczności, lubo posiada znaczny majątek, zachwiał się w swoich interesach. Praca i kłopoty z tego wynikłe wytrąciły mu pióro z ręki. Czcigodni obywatele robią naradę: składają potrzebne kilkadziesiąt tysięcy rubli na wypłaty gwałtowne, sposobem pożyczki z małym procentem i łatwą upłatą; biorą dalszy obrot interesów na siebie i wracają nam czcigodnego męża do pola mu właściwego. Tak odetchnąwszy nasz badacz i historyk swobodniej, ujął na nowo pióro, i oprócz studyów wymienionych, dla „Teki” przeznacza swoje prace następujące: „Stanisław Orzechowski w stosunku do Kmity, Tarnowskiego i Maciejowskiego” „G. E. Groddek w Puławach i Łancucie.” „Książę generał Ziem Podolskich i księgarz Zawadzki.” A. E. Odyniec zaczyna się krzątać około druku swego dramatu: „Barbara Radziwiłłówna.” Z pod prasy drukarskiej ujrzycie wkrótce nowy poemat Wł. Syrokomli p. n. „Dni doroczne na Litwie.” Poemat ten obejmuje dwie części. W. Korotyński wydał obszerny obrazek z życia ludu: „Tomiko:” z którego maleńki wyjątek podaliście w swoim piśmie. Jest to młody, pełen talentu i prawdziwego natchnienia poetyckiego pracownik. Czy utwor ten większych rozmiarów uzyska waszą aprobatę, zobaczymy.”

*Kijów.* W drukarni uniwersytetu św. Włodzimierza w Kijowie (Józefa Zawadzkiego) są obecnie pod prasą: „Pisma urywkowe wierszem i prozą Józefa Prospera Gromadzkiego, wydane staraniem A. Syroczyńskiego. Oprócz drobnych poezyj, z prozy ważniejsze są rozprawy: Studya nad historią akademii krakowskiej; Uwagi nad znaczeniem prowincjonalizmów w dziejach Polski. Przegląd dziejów piśmiennictwa polskiego J. Majorkiewicza i L. Kondratowicza. Pisma te wyjdą w ciągu marca r. b. w tomie jednym. Cena prenumeraty rsr. dwa. Dochód przeznaczają się na cel dobroczynny.

*Kraków.* Dzięki poświęceniu i energii sędziwego kasztelana Franciszka Wężyka, dom dla Towarzystwa Naukowego krakowskiego już wzniesiony, wyrosł z fundamentów. Niedługo będziemy mogli do-

nieść już o zupełnem wykończeniu tego gmachu, jeżeli współczucie rodaków dotychczasowe nie ostygnie. Ze składek zebrano 80,000 złp., ale na liście dających nie masz imion naszej arystokracji ani rodowej, ani pieniężnej. Pierwsi woleli rzucić na banki zagraniczne miliony, wkładać kapitały w akcje kolei indyjskiej—i potracić, jak małym dalkiem wesprzeć instytucją narodową. Smutne świadectwo upadku moralnego tych, co zawsze pragną rej wodzić w kraju. Pieniądz znaczenie ich podtrzymywał; po wielkich stratach i umniejszeniu tej dźwigni, zejść do nicości. Czcigodny kasztelan Wężyk wymawiał się od przewodniczenia dalszego Towarzystwu Naukowemu, ale jednomyślnie wybrany na rok b. przyjął ster dalszy. Wice-prezesem równie jednomyślnie obrano słynnego w świecie naukowym fizyologa Dra Józefa Majera. W. Wielogłowski wydał nowy obrazek „Kucharki”. Dodatek Czasu pisze: „Jestło wyborna i z wielką znajomością przedmiotu napisana książeczka, która niejednę panią domu oświeci przez wykrycie oszukaństw, jakich się dopuszcza ten rodzaj sług, a i niejednę kucharkę naprawi, gdy się zastanowi nad smutnym losem, jaki niewierne służki spotyka. Idzie tylko o to, aby się ta książeczka do ich rąk dostała”. Nakładem i drukiem Józefa Czecha wyszła pięcio-aktowa oryginalna wierszem tragedia: Filip II przez Fr. Jakubowskiego. Dramat ten mógł być sobie odpoczywać, i powinien, w tece autora, a wydawca nie położył żadnej zasługi ogłaszając go drukiem.

— Prenumerata na Tygodnik rolniczo-przemysłowy krakowski na rok 1858 wydawany przez c. k. Towarzystwo gospodarczo-rolnicze krakowskie, będzie wychodził i na rok 1858 w tym samym formacie, w tych samych peryodach i w tych samych warunkach.

Przedpłata na Tygodnik przesyła się do biura c. k. Towarzystwa gospodarczo-rolnicz. krakowskiego przy ulicy Szewskiej pod l. 335/6 z wyrażeniem: „pieniądze prenumeracyjne” franco.

Wynosi rocznie na prowincyi . . . . .	złr. 6 kr. — m. k.
„ półrocznie „ . . . . .	złr. 3 — — —
„ rocznie w miejscu . . . . .	złr. 5 — — —
„ półrocznie „ . . . . .	złr. 2 kr. 30 — —

W Królestwie Polskiem jak i za granicami państwa austriackiego przyjmują przedpłatę wszystkie urzędy pocztowe za cenę półroczną rsr. 3 kop. 8.

*Lwów.* Przeci tom w przedruku Słownika Lindego już wyszedł z pod prasy drukarskiej, czwartego tomu druk znacznie posuniono. Spodziewać się należy, że w roku 1859 cała ta publikacja ukończoną zostanie. Wiktor hr. Baworowski zuany z prac swoich na polu literackiem, dotrzymując danej obietnicy, ofiarował ponieść koszta wydania pierwszego tomu Monumentów. O ile przypominamy sobie projekt na te Monumenta zapowiedziano w nim, że ruskie pomniki będą z tłumaczeniem obok, a łacińskie tylko w texcie oryginału. Obawiamy się, ażeby tej zapowiedzi nie dotrzymano i nie opuszczono tłumaczenia polskiego. PP. wydawcy powinni wiedzieć, że umiejętność języka łacińskiego jest dzisiaj bardzo rzadką, na chęci do nauki nie zbywa: dla czegoż młode pokolenie pozbawiać zgłębień źródeł historii narodu? Dziś każda nauka powinna być popularyzowaną. Dodamy, że myśl

przekładu polskiego dokładnego jest w interesie samychże wydawców. Tym sposobem rozprzedaż 1,000 egzemplarzy mogą mieć zapewnioną: bez tłumaczenia sprzedadzą 200 lub 300 tylko, reszta będzie spoczywać na pułkach spokojnie przez długie lata, i koszt wydania nigdy się nie wróci. Marcin Gallus ma być w Monumentach: dlaczegoż przekładu jego nie dać? Jeżeli wydawcy upornie (co wielu tak zwanych erudyków popiera, a bez doświadczenia i pojęcia ducha czasu) opuszczają tłumaczenie polskie: niech wcześniej przygotowują się na straty niepowrotne, i całe przedsięwzięcie mogą narazić, że w zupełności do skutku nie przyjdzie. August Bielowski ze zwykłą sobie energią zajął się już drukiem ich. Przedmiot godny wszystkich współczucia, a hr. Baworowski tym szlachetnym czynem, nabywa prawa do wdzięczności ogółu. Spodziewamy się, że znajdują się, idąc w jego ślady, i inni zamożniejsi rodacy, którzy pospieszą z potrzebnymi funduszami na druk dalszych tomów Monumentów. U was księgarz G. Sennewald miał tę odwagę, że kosztłożył na wieko-trwałe dzieło Zygmunta Helcla: u nas nie znajdziesz żadnego księgarza tak odważnego. Wołają oni drukować powieści, broszurki, i liche wiersze, a na tych nigdy nam nie zbywało i nie zbywa. Karol Szajnocha, dotknięty słabością oczu, musiał wszelkich prac zaniechać: ogólne budzi jego stan współczucie tak u nas jak i u was. Mamy jednak nadzieję, że wróci do pożądanego zdrowia. Józef Dzierkowski jeden z pierwszych powieściopisarzy polskich, nie ustaje w pracy: wkrótce doniosę wam o nowych jego utworach. Biblioteki lwowskiej wydawaną przez Pillera i Stupnickiego wyszedł nowy zeszyt: „Kobieta, czyli historia łzy i śmiechu, napisana oryginalnie przez Julią G. Nakładem zaś H. Stupnickiego wyszedł poemat Romana Zmorskiego: „Wieża siedmiu wodzów”. Pieści z podania w drugim wydaniu. Pięknym utwor poetycznym, nacechowanym prawdziwie wyższym talentem.

*Poznań.* Jeden z najczynniejszych nakładców naszych J. K. Żupański prowadzi dalej wydawnictwo prac historycznych Joachima Lelewela. Obejmuje je dzieło w 7 tomach p. n.: „Polska i jej rzeczy”. Tomy 3 i 4 już wyszły: obecnie pierwszy tom drukuje się i zawiera: 1. Pierwsze dziesięć wieków, czyli chronologia Polski. 2. Piszący tak w języku polskim jak i w innych o rzeczach polskich. 3. Obraz czyli dzieje Polski. 4. Geografia. 5. Kultura kraju. 6. Alfabetyczny spis, dziesięć arkuszy druku obejmujący, bibliografii polskiej. W tomie tym, rozprawa p. n. „Kultura w kraju”, jest nową pracą autora. Tom II zawierać będzie: „Dzieje Polski synowcom opowiadane”. Tom V: panowanie Stanisława Augusta, z nowemi dodatkami. Tom VI: „Polskę odradzającą się”. Tom VII i ostatni: „Dzieje Litwy i Rusi z przydaniem mitologii i wiele innych”. Nakładem tegoż księgarza wyszła tragedia Eschylesa, przekładu Zygmunta Węclewskiego p. n.: „Choefory”, czyli oliara grobowa. Pierwszy tom dzieł Platona, przełożonych z greckiego przez Antoniego Bronikowskiego znanego z pism swoich i nauki języków starożytnych, wyszedł na widok publiczny i mieści w sobie następujące rozmowy Platonskie: „Fedros” czyli wymowa. „Biesiada” czyli mowy o miłości. „Hippias większy” czyli piękno. „Lyzis” czyli przyjaciele. „Charmides” czyli roztropność. „Euthyfron” czyli pobożność. „Jon” czyli rhapsodika. „Menexenos”.

„Dyalogi te (pisze Dodatek Czasu w zeszycie 23) są, jak widzimy, krytycznie przygotowańszej treści i nie wchodzą jeszcze ściśle w obręb tak zwanego systemu Platonowego, zawartego częściowo w Filebie, Sofistcie i Parmenidesie, a głównie w Rzeczypospolitej i Timaeosie. W drugim tomie zamysła tłumacz podać w przekładzie: „księgi praw” także leżące poza ścisłym systematem Platoniejskiej filozofii. Jakaż wdzięczność należy się p. Bronikowskiemu, że nas w ojczystym języku obznajmia z płodami największego myśliciela starożytności. Oby tylko publiczność umiała ocenić tę żelazną pracę, z jaką podobne dzieła przenoszą się na żyjące języki, skrupowane i swemi własnościami, i koniecznością zbliżenia się do oryginałów”.

*Londyn.* Alexander Rypiński znany z kilku gładkich przekładów z angielskiego i z oryginalnych poezyj, wydał przekład poematu Tomasa Moore: „Zakwefiony prorok Korasanu”, z przedmową opisującą życie irlandzkiego poety. Przekład ten odznacza się ścisłością i powabną potocznością.

† Dnia 13 grudnia 1857 roku, zmarł w 67 r. życia Teodozy Sierociński, zasłużony dobrze krajowi jako pedagog i grammatyk.

† Dnia 24 grudnia t. r. w samą wigilią Bożego Narodzenia umarł Stanisław Jachowicz, nie tak styranym wiekiem jak pracą i poświęceniem. Zna kraj cały zasługi tego męża; pewni jesteśmy, że znajdą się tacy, którzy pośpieszą ze szlachetną pomocą wdowie i sierotom, a nad mogiłą zgasłego Jachowicza wzniosą godny jego pamięci pomnik.

*Redakcja Biblioteki Warszawskiej.*









Średnia wysokość barometru miesięczna	m. 757.702	27	11.886
Najwyżej barometr dochodził d. 18 o g. 10 r.	768.91	28	4.854
Najniżej — — — d. 26 o g. 10 r.	741.63	27	4.761
Średnia zmiana dzienna barometru	2.490		1.104
Największa zmiana dzienna barometru d. 22—23 o g. 10 w.	10.75		4.765
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 31 lat poprzedzających	750.165	27	8.545
Dotąd jeszcze ani razu listopad nie miał tak wysokiej średniej wysokości barometru.			
Średnia temperatura listopada wynosi:	+ 0°.48 C.	+	0°.38 R.
i ta jest niższa o	0.84 „		0.68 „
od stanu normalnego z 31 lat poprzedzających	+ 1.32 „	+	1.06 „
Największe ciepło było d. 1 o g. 4 wiecz.	+ 7.6 „	+	6.08 „
Największe zimno — d. 18 o g. 10 wiecz.	— 8.2 „	—	6.56 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	1.872 „		1.498 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 17—18 o g. 10 r.	7.4 „		5.92 „
Termometrograf wskazał:			
Maximum: + 6°.6 R. d. 1 po połud.			
Minimum: — 7°.4 „ d. 18—19 w nocy.			
Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 91.4, biorąc 100 za zupełne nasylenie atmosfery parą wodną; albo co do ciężaru 5.18 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest prawie równia normalnej.			
Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 6.0 mil. czyli 2.66 lin. par.; ilość ta wody jest o 17.69 lin. par. mniejsza od tej jaka śre- dnio w listopadzie u nas spada. Dotąd w listopadzie jeszcze ani razu nie spadło tak mało wody jak w r. b.			
Dni pogodnych było 2, napół pogodnych 4, pochmurnych 23.			
Dni deszczu 8 (d. 3, 4, 8, 10, 11, 15, 22, 27).			
— śniegu 3 (d. 7, 11, 20).			
— gradu (krup) 1 (d. 7).			
— mgły 6 (d. 1, 2, 14, 15, 16, 30).			
Wiatrów mocnych było 2 (2 PdW.).			
Wiatr panujący Północno-Wschodni; częste były także Zachodnie i Wschodnie.			
Listopad r. b. przy niezwykle wysokim stanie barometru, był niepogodny, bardzo suchy, w pierwszych dziesięciu dniach ciepły, w ostatnich dwudzie- stu chłodny, w ogóle o 0.68 stop. R. zimniejszy niż zwykle; najcieplejsze dni były d. 1, 2, 3, 4, 5, 8; najzimniejsze d. 14, 18, 19, 20, 21, 22, 23, 24. Pod względem ciśnienia atmosfery, miesiąc ten należy do wyjątkowych, w sze- ściu bowiem tylko dniach to jest d. 23, 24, 25, 26, 27, 28 barometr stał niżej; w innych zaś wyżej od średniej normalnej, w skutek tego średnia wyso- kość barometru jest o 3.341 lin. par. wyższa od normalnej a o 0.21 lin. par. od najwyższej jaka była w r. 1853, a o 5.08 lin. par. od najniższej jaka przy- padła w r. 1850. Wody z deszczu spadło bardzo mało, gdyż ta zaledwie wynosi siódmą część ilości wody, jaka zwykle w tym miesiącu spada. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był mniej pogodny niż zwykle; w stanie normalnym stosunek dni pogodnych, do napółpogodnych i pochmurnych jest jak 2.9 : 6.0 : 21.1; w r. b. stosunek tychże dni jest jak 2 : 5 : 23.			
W skutek panującej suszy stan wody na Wiśle był bardzo niski.			
Największa wysokość wody dochodziła stóp 2 cali 7 d. 8, 9, 10.			
Najmniejsza — — — — — stóp 2 cali 0 d. 3, 4, 25, 26, 27, 28, 29, 30.			
D. 18 i 21 pokazały się plamy na słońcu.			



**Biblioteka Warszawska** najregularniej w pierwszych dniach każdego miesiąca na pocztę dla prenumeratorów jest oddawana. Nieregularne dochodzenie zeszytów BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ, nigdy winą redakcyi być nie może. Ktoby jej z prenumeratorów na pocztę nie odbierał w zwykłym czasie, to jest: najpóźniej w tydzień po wyjściu, lub odbierał nieopieczęlowaną, z kartami rozciętemi, pobrudzonymi: proszony jest od redakcyi, aby wprost do niej się udawał na jej koszt pod adresem: „Do Redakcyi BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ przy ulicy Daniłowiczowskiej pod Nr. 617.” W razie zaś nieodebrania zeszytów, ażeby do tego dołączył kwit otrzymany pocztamtu, gdzie złożył przedpłatę. Z takim tylko kwitem redakcyja może otrzymać zadosyćuczynienie, ażeby regularnie nadal i niezwłocznie każdy zeszyt dochodził we właściwe miejsce.

Również redakcyja uprasza, aby każdy z prenumeratorów, który nie przez pośrednictwo poczty BIBLIOTEKĘ WARSZAWSKĄ prenumeruje, wrazie nieodebrania zeszytu należnego raczył nieodwłocznie o tem redakcyją zawiadomić.

### Przedpłata na rok 1858:

1. *Przedpłata całkowita* wynosi na rok złp. 60 (rub. sr. 9).
2. *Przedpłata kwartalna* przyjmuje się za złożeniem złp. 15 (rub. sr. 2 kop. 25) na pierwszy kwartał, i za opłatą przy drugim zeszytcie złp. 15 (rub. sr. 2 kop. 25) na kwartał następny. — Przy prenumeracie kwartalnej, prenumeratorem podpisać winien zobowiązanie, iż na cały rok zaprenumerował BIBLIOTEKĘ i warunkom prenumeraty zadosyć uczyni. Z opłat czynionych i odbieranych zeszytów, prenumeratorem pokwitowanym będzie na bilecie, którego jeżeli nie okaże, obowiązany jest poprzestać na kontroli w tym celu utrzymanej.

Na urzędach i stacyach pocztowych w Królestwie zapisywać się można na BIBLIOTEKĘ na rok 1858 za opłatą roczną w ilości złp. 60 (rub. sr. 9), lub *półroczną*, to jest za złożeniem naraz za *dwa kwartały* złp. 30 (rub. sr. 4 k. 50).

W Cesarstwie Rossyjskiem przedpłata roczna z przesyłką pocztową w kopertach wynosi rub. sr. 10, które nadesłać trzeba *franco* albo: do Expedycyi Gazet w Warszawie, lub wprost: do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej, przy ulicy Daniłowiczowskiej nr. 617 w dawnej Bibliotece Załuskich.

Zamknąwszy pierwszy period nieprzerwanego istnienia swojego pisma, postanowiła redakcyja, z powodu częstych w tej mierze zgłoszeń, ułatwić późniejszym i nowym prenumeratorom nabycie całego zbioru lub lat pojedynczych, a to przez niższenie ceny. — Odtąd cały 10letni komplet od 1841 do 1850 roku włącznie, złożony ze 120 zeszytów, czyli 40 tomów, można nabyć tylko w redakcyi za połowę ceny prenumeracyjnej, t. j. za złotych 300 (rub. sr. 45). — Komplet z lat pojedynczych 1842, 1843, 1844, 1845 i 1846, odstępuje redakcyja po złotych 40 (rub. sr. 6). Na kompletach z lat 1841, 1847, 1848, 1849, 1850, 1851, 1852, 1853, 1854, 1855, 1856 i 1857 jako znacznie lub zupełnie wyczerpanych, zmniejszenia ceny redakcyja postanowić nie może. — Pojedyncze zeszyty z całego ciągu Biblioteki o tyle tylko mogą być osobno sprzedawane, o ile ich zbywać będzie nad komplety. Cena pojedynczego zeszytu pozostaje niezmienna złotych 5 (kop. 75).

Na przedpłatę całkowitą lub kwartalną na rok 1858, zapisywać się można we wszystkich księgarniach krajowych i zagranicznych.

Pragnąc zapewnić pismu swemu ciągłą pomoc, redakcyja wzywa i najuprzejmiej zaprasza do wspólnej pracy osoby poświęcone literaturze i zawodowi naukowemu. Artykuły nadsyłane z wdzięcznością przyjmie, a nawet jest w gotowości opłacać na żądanie wszelkie zamieszczone w piśmie swoim prace czyto według umowy z autorem, czy stosownie do zasad, które przyjęła. Żądanie jednak zapłaty powinno być wyraźnie na artykule przez autora zamieszczone.

Autorowie, księgarze i inni nakładcy, których życzeniem jest, aby ich dzieła nakładowe były rychlej wymienione w *Kronice bibliograficznej*, i ocenione w *Kronice literackiej* Biblioteki Warszawskiej, zechcą zaraz po skończonym druku składać tychże dzieł egzemplarz, do kantoru redakcyi przy ulicy Daniłowiczowskiej nr. 617 w dawnej Bibliotece Załuskich.

## T r e ś ć.

	Stron.
Od redakcyi Biblioteki Warszawskiej.....	I
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej, od bar. <i>Edwarda Rastawieckiego</i> , przeznaczającego złp. 4,000 za napisanie Słownika synonimów polskich.....	V
Zaczątki piśmiennictwa polskiego, przez <i>Dominika Szulca</i> .....	1
Słów kilka o starożytnej odbudowie kopalni olkuskich i machinach w tychże, o płoczkach, prażeniu rudy łożowianej i hutach dawnych pod Olkuszem, przez <i>Hieronima Łabęckiego</i> (z dwiema rycinami).....	18
Przegląd literatury zagranicznej. Literatura angielska. Hallora: Po- byt w Lookoo, w Japonii i Chinach 1857. — W. K. Loftusa Po- dróże w Chaldei.—Odkrycie pomników starożytności w środko- wej Ameryce.—Pamiętniki Elkanach Watsona.—Historja Nor- mandyi i Anglii, Fr. Palgrave.—Najnowsze dzieła.....	41
Staropolska miłość. Urywek pamiętnika, spisany przez <i>J. I. Kra- szewskiego</i> .....	60
Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. <i>Etudes d'hi- stoire religieuse</i> , przez Ernesta Renan.—Joanna d'Arc, dra- mat historyczny w 5 aktach, przez Daniela Stern.—Projekt pod- morskiego tunelu między Francją i Anglią, podany przez p. Thomé de Gamond.—Wiadomości literackie.....	96
Ignacy Bohusz, przez <i>Juliana Bartoszewicza</i> .....	121
POEZYJE. Kolendowanie. 38.—Dola skowronka, przez <i>W. Korotyń- skiego</i> . 39.—Zbieg. legenda górali kaukazkich (z Lermontowa), przez <i>Bolesława Wiktora</i> .....	117
KRONIKA LITERACKA. Listy z Krakowa, napisał J. Kremer. Wil- no. 3 tomy. 1855. Przez <i>Leopolda Jakubowskiego</i> . 167.— Szermierz z Rawenny, przekład z Fryderyka Halma. Lipsk. 1857. Przez <i>Bolesława Wiktora</i> . 192.—Biblioteka lwowska. Serya I. Lwów. 1856—1857. Przez <i>Wł.</i> 197.—Czas, dodatek miesięczny za m. wrzesień i październik r. b.....	202
WIADOMOŚCI na drodze postępu nauk przyrodzonych: Chemia, przez <i>J. B...e</i> .....	209
KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.....	214
Doniesienia literackie.....	216
Dostrzeżenia meteorologiczne za m. listopad r. b.....	233

Do niniejszego zeszytu dołącza się Tom Iszy Zbioru Pamiętników do  
dziejów polskich, wydawanego przez Włod. hr. Platera.

Ukończono druk dnia 6 stycznia 1858 roku.

BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

1858.

---

NOWA SERIA.

LUTY. ZESZYT XIV.

---

WARSZAWA.

W DRUKARNI GAZETY CODZIENNEJ  
przy ulicy Danilowiczowskiej N<sup>o</sup> 619.

---

1858.

OGÓLNEGO ZBIORU ZESZYT CCVI.



# ROLNICZA LUDNOŚĆ W POLSCE

OD XV DO XVI WIEKU (\*).

PRZEZ

T. X<sup>oia</sup> L.

## II.

Na chwilę zatrzymamy się w dalszych badaniach: przedstawimy uważać wpływ przytwierdzenia na zakupstwo i ratajstwo, a zostawiwszy chłopów polskich, obrócimy się ku Wschodowi i zobaczymy jaką drogą szedł ruski chłop, nim dostał się w prąd polskiego prawa, nim obręcz przytwierdzenia kostkę jego nogi ścisnęła.

Historja rolniczej ludności na Rusi przerywa się od wyrzeczenia ostatniego artykułu Prawdy ruskiej, i trwa aż do chwili, w której polskie prawo staje się obowiązujące. Ci, do których badanie tej epoki z urzędu należy, tracą czas na rozżarzaniu narodowej nienawiści, na składaniu złotych textów naszych historyków w łataninę niekczemną jak zazdrość, a wątlą jak żywot młodzieńca namiętnościami zużytego.

Zródła ruskiego prawa dosлідzają się w tych najdalej czasach, kiedy po ogłoszeniu prawomocności polskiego, ruskie prawo walczyło przeciwko jego wpływowi, zdradzając w obec zwycięzcy dawne zwyczaje, swobody

(\*) Zob. Bibliot. Warsz., 1857 r. T. II, str. 791.

i niewole. Dotychczas treść tego prawa wyczerpywać możemy jedynie z akt pisanych pod laską prawa polskiego: te więc tylko własności jego uchwycić można, które były sprzecznymi z prawem nowozagajonem i ogłaszaniem za nieważne w świeżo zaprowadzonym porządku rzeczy. Tło ukrywa się: oczekując szczęśliwszych lub głębszych rozpoznawców téj sprawy.

Podług ruskiego prawa, stał na samym spodzie ludności niewolnik, a do tego z najsurowszemi warunkami niewolnictwa: znak niewoli rozerznięcie nosa, jeszcze w XV wieku był tu we zwyczaju; ojciec za dług zaprzędał córkę (1); właściciel osobę niewolnika zastawiał starozakonnemu (2). Rusin wykupiony z jassyru wystawiał się na sprzedaż w Łucku, dokąd Ormianin po niego ze Lwowa przyjeżdżał (3). Niewolnictwo tak pojmowane, pod wpływem prawa polskiego natchnionego w tym ustępie przez papieży (owych potężnych gromicielei niewoli

(1) A. Halic. 1435—56. Zen. km. exns. actor ppsuit. contr. d. Johm. Cola quia ips. recepit mihi filia. meam Katherinam nullo jure me vincens que no. erat illibera stans aut. J. C. rndit. dne. Judex no. recepi ego filia. eius violent. sed iste Zen. exns. me. ho. fures deduxt. sup. dom. meum qui deduccos. ipus. domu. meu. rescians at he. smen. hom. meu. Judicm. locavi de ipo. in quo aquisivi sexaginta marc. jure et ipse ventas. ad jus cum filia dcta. Kath. pp. tenut. m. pmissis. penis sexgnta. mrcarum. det. filia. ips. et isti ancille nasu. cisit stans aut. dus. J. C. dixt. dne. Judex decr. mihi pena. sup. ipo. qa. ipse ppnit. p. srva. mea et qtam ancillam no. ht. penes se qm. eam deservare no. potuim. sed ipm. distul. ad Colloqm. ipm. ad discernd.

(2) A. Lwows. 1441—6. Raphael. Stanislaus. Trm. suspes. e. intr. Mag. dom. Raphael de Tharnow Cast. Woynic. et Capit. Russ. gnlis. taqm. actor. pte. ab una et Noblem. Stanisl. de Szczepyerzem tqm pte advsa pte ab alta. p. muliere qua. id. S. libera. dr. vendidisse in illibertate. Judeo.. dus Cap. p. pcur. sum. pposuit tle. mo. put. descriptu. e. q. muliere. libera. vdidit Judeo in illibera. Ille aut. vt. prs. adrs. respond. q. no. vendidit s. invadiavit in pecuniis suis quas sibi mulier pedta. teneb. p. S. fidejussit nobilis Josko. Ideo nos p. trib. residentes deder. ad 2 ebd. ad interrogand. etc.

(3) Ib. 1447—56. Andreas Zolthaski. Iwanis. Gens. d. Andreas. de Sennow evicibat contr. Iwanis Armen. put. prefat. Iwanis nobls. Petr. Żol. citav. dicens quia dm. Thartari trm. Russ. woyowali tunc sibi recep. Johm. iuvenem sui kmis. Schymkonis de Zoltanicze et matr. Hancze cu. q. juveno recep. binos equos et trginta capras et d. Andreas evictor dixit q. eund. iuvenem Rutheno Jacowycz emit in Luczko apud Jndeum

w średnich wiekach) powinno było zaginać. Król Władysław pisze do arcybiskupa lwowskiego, żeby ziemianie jeńców z Prus wolno puszczała (1). Sądowa władza nie znajdując w księdze ustaw wzmiarki o niewolnikach, odsyłała po wyrok do wojewody, a ztąd na sejm do króla. Wyrok tu wydany zaprzeczał istnieniu niewolników, a tylko sługi w nich uznawał.

Następnie spotykamy się z niewolnikami osiadłymi (Ordyńcy, Kalanny, Kabalni) (2): różnica między temi a pierwszymi wynikała ze zwyczaju. Ordyńcowi odmówiona była bezwarunkowo swoboda przechodzenia z miejsca na miejsce (3), ale nie sprzedawano go bez osiadłości: osiadłość utworzyła mu przeto wygodniejsze od niewolnika nieosiadłego położenie. Człowiek stawał się ordyńcem przez nadanie królewskie i przez dobrowolne od-

et eud. p. rutheno vendidi et mercipetoes. dixit se hre et Schymko pater cu. Hanka matre stantes psnti. dixerunt q. s. iste juven. fil. eor. est nom. Johanis et no. Jakowyecz et est Xanus. et no. Ruthenus et dus. Petrus Odrowansch de Sprowa Palat. et Cap. tre. Russ. grlis dedt. ad tract. et sentent. hec caus. post. Convenc. pxam. tb. septim. post. fest. Penth. et ibi dus. pt. interrog. d. Reg. et alias domos. qua ista causa sententiari debet.

(1) A. Metr. kor. 1419.

(2) A. Hal. Oczepca Off. de Kaluscha pbare. ht. sex hominib. Kalanich. de Kalusza pro homine Dmitr. erg. Nob. Petr. de Choczen., et si pmssi test. iurabunt extunc det. P. ips. hom. perdet sin aut. no. iurabnt. tand. det. Oczepca retinebit homin. pmssu. qui test. sic iurat. ht. q. datus. ho. est kalanny.

(3) lb. Nob. Johes. vuyewod. Halic. ppsuit c. d. Johann. Arch. Leop. in h. vrba q. ipe no. vult mihi homins. meos in tpe. reclinat. mittere Iwan et Andream de Chochomon neq. jure reclinats. ab ips. capere vlt. et ipos vior. ibid. posicons. Tre tenet. Stans d. Petrus Romanowsky tanq. legitim. dis Arch. precurator dixit dne Jud. homes. isti p. quis contr. d. Arch. pponit. sunt ordincezy p. d. Reg. dat. ad Ecclam et sup. ds. Arch. ht. litras. Reg. maiest. qua. easd. def. dis. neq. descerunt no. potuerut sed ipm dedert. ad gener. colloq. pxim. ventur. halic. ad terminand. In. Dec. Ter. Leop. 1446—52. A. D. 1452 fria 2da fto circumcisionis p. hominib. reclinat. Skumailo. Clymko...ppsuit. mittre. noluit Cholosz de trcia part. curie. ad Dernow. et recession. dabat et m. mitt. noluit et Johes a Clymkone dixt. est arealis tributarius et sup. eo paratus sum sup. eo doce. vir. tributariis q. est tributarius et frat. eor. et dni. decrev. ad pxos. trnos. particulares jurament. et ibi sex vicini debent iurare q. est tributarius et frat. eor. no. pcedens.



danie się „ad ordam” (1), a nie znajdujemy przykładu, ażeby niewolnik nabyty był w moc królewskiego nadania. Gdybyśmy nie wiedzieli, że przytwierdzenie przyszło z Niemiec, gdyby nam nie ukazywał się fatalny jego pochodź znad jezior gnieźnieńskich w głąb rzeczypospolitej, pewnie w tych ordynkach upatrywalibyśmy początek przytwierdzenia na Rusi: bo mają wszystkie znamiona cechujące od XVI wieku całą rolniczą ludność. Gdy w Polsce prawodawstwo niemieckie utworzyło przytwierdzenie, na Rusi tatarski wpływ dał początek tej klasie pośredniej pomiędzy nieosiadłymi niewolnikami a ludnością sotną.

Ustawodawstwo Włodzimierza W., któremu Nestor przypisuje podział ludności na tysiącznie i sotnie, głęboko się wkorzeniło w kraje ruskie; trzecim bowiem odzieniem obejmującym większość rolniczej ludności byli ludzie sotni (2): w prawnym znaczeniu odpowiadali oni polskim kmieciom. Podział na sotnie miał przeważny wpływ na swobodę gospodarza; ilu było nad dziesięć, dwadzieścia i t. d. sotnych, tylu ich mogło grunt opuścić. Jeżeli kiedy nie okazało się we wsi więcej nad dziesięciu ludzi sotnych, to tego roku nikt ruszyć się nie mógł; jeżeli było jedenastu, dwunastu i t. d. wtedy jeden, dwóch, mogli się wynieść: to stanowiło pierwszy warunek ograniczający swobodę chłopca (3). Warunkiem drugim było,

(1) Ib. Juscha... Iste ho. recognit se cora. ministrli. q. benevole se dedit ad Ordam w kalanstwo.

(2) A. Sanoc. 1454. Ibid. Tunc dixt. Nbs. Nicolus. Chrapek istos fres. suos no. inculpo neq. ipos. timeo q. st. possessionati sed ist. timeo q. est. ho. inordinat. Stans Senko dixt qualitr. sum inordinat. tuc. dixt Nob. N. Ch. tu es fur et equus est furatus. Tuc. id. S. no. expurgans se de furto dedit sibi vicevrsa culpa q. es tu fur. Tuc. jus locav. In q. Jure Nob. N. C. qrubat. sup. Senkou. q. tu no. existens mihi slis. et exns. ho. Sothnij de Ulicz et k. inculpasti me p. furto. Tuc. nos Jud. adjudicav. qd. linguam in eo acquisivit ex quo sibi est dissimilis. Ideo reep. ad intrgand. ad dm. utr. linguam sibi det excidere vl. p. lingu. det. exem. als. ocupicz.

(3) A. Halic. 1435—56. Ib. cause. vertebantr. in Gsam. d. Elisabeth de Podhaycze pte adv. et Jaceon. de Sphestelniky p. hominib. qui homes. no. missit reclinatos ad Maszur p. qb. dederunt computand. in Podhaycze qu. d. Zawalowsky computae. ht. et si aut. plues. quam

że nie w innym czasie mógł się wynieść jak na święta Bożego Narodzenia, zawsze wolny od wszelkich opłat. Jest w tém odrębność ruskiego prawa: niemieckie wymaga osadzenia roli, albo trzech grzywien osiedleczyny; wołoskie jałowicy lub pół grzywny. Ruskie za warunek swobody nie kładzie opłaty pieniężnej; widać w tém jego dziewiczość, pierwotność; powinowactwo źródłowe z prawem przyrodzonym (1). Tak ustawy wydane w Wislicy

viginti exte. emitt. sibi homes ht et si no. erunt. plues. nisi vigint. tue. no. except. tue. in numro. pop dzesathnik et aliis trib. hominib. qui sruunt ad curiam et non laborab. tram. nec ht. aream.

Ib. magnif. D. Elisabeth. olim consors d. Mich. Pal. Podol. Jacone cons. una cu. dno Jaccon. de Sphiscelniki de jue. dedrt. ad fros. trnos. ad numerand. homes. in Byalobrzezani quos minles. debet numerac. etsi ibi erunt plues. homes. qum. decem oxtuc. homin. su. emittere ht. deta dna. deto Jaccon. detus Danilo.

Ib. Nicolaus Minist. de jue. datus Nli Stan. de Zawalow ad numerand. als przelicznieniu areas possess. in Saranczuky qui S. assert. q. plus aree sunt in S. q. trigint. et pcurato. Skarbek dixt. qua. no. sunt 30 aree plenalitr.

Ib. 1456—69. Acta sunt pro homine. Danielo Judex et subjd. dederunt ministerial. ad computand. hom. sdm. consuetud. trstrem. in Martinow utr. esset mittandus an non.

(1) A. Lwows. 1447—56. Wnuczek. Czebrowski. Put. gns. Petrus W. de Cuthna als. de Pyanthnyczani subcam. Leop. act. atteptab. trm. sup. str. Petr. Czebrows. de Zabokri part. adv. q. sibi Mass hom. reclinatu. de Stoki de jue Valach. mitte. noluit cu. bois. eius uxor. et puer. val. 20 mr. et sts. Nob. P. filius ip. d. P. C. dixit d. Judex Ego a pre. meo recipio recessionales ab hoe. pcto. et hom. mittit pter meus cu. ist. bonis cu. duab. vacc. et duab. vitul. et judex Georg. snt. homin. mitte. et recessionales recepit et jus innobt. d. P. W. in duab. sept. post data. pncia. in Co. Pyanthnyczany d. P. C. aut filio eius p. qo. culpa. daret sub trib. mare. pene sub ista pma tle jus trst sicut spetat ad hoc jus tlis hois et vitula. debet solv. d. P. homin. pdicto. aut. med. mrc. nec jure evadendo excogitato ne. trr. nec Castr. in Leopol. stae. et pp. tota. causa. amitte. nec Colloqo. ne. a. qua re in mdo excogitata evad. sed pdc. totu. in po. trno et d. Petrus W. debet locare eud. hom. in jure Ruthenic. an in alio qo. ei q. ubi vult. Ib. 1442—8. Przedslawski. Janussius. Prout strus. Paulus P. actor. nob. J. de Podmostna tqm ptem. adrsa. citavit. p. home. Hrydz. de Maleczkowicze reclinatu ab eo de je. theuto. sub. dm. Paulm. P. ad Ostroszani q. homo agrum habet et possessione put. minisles. directu. recognt. quia no. locavit agrum et voluit reclinari. Ideo hom. eund. Hrydz. Janussio adiudiver. Ib. 1441—6. Parawa Myszka Nob. d. Petrus M. de S. debet ducere tres testes de Stratiu. qui debet. recognt. tlter. utr. Kalennyk et Manyecz sedebant in J. Walach vel

i Kijowie w wieku XIV i XI, przez monarchów Polaka i Rusina, monarchów niemających pomiędzy sobą nic wspólnego w religii, zwyczajach, duchu, przez jakieś niepojęte przeznaczenie zdążyły obiedwie do zatamowania swobód ludności rolniczej. Czas opuszczenia gruntu poczynał się od wigilii Bożego Narodzenia i trwał przez dwa tygodnie. Przed nadejściem terminu właściciel przez swego watamana oznajmiał wsi z której ugodził kmiecia, o swoim zamiarze (1). Wyjście odbywa się podczas dnia: porzucenie gruntu nie za widnia uważano za „nieprzystojne” (2). Nazajutrz po Trzech Królach rozpoczynały się roki, na których rozstrzygały się sprawy kmieci: pomiędzy końcem grudnia a dwoma pierwszymi tygodniami stycznia, zamykały się prawnie na cały rok sądy co do spraw kmiecych. Pierwszym pytaniem, które czyniono przed sądem, było: czy chłop stroną będący, jest ze stanu mogących się wyprowadzić. Uznawano stan albo w skutek zaprzysiężenia bądź sześciu równych, bądź dwóch tylko i watamana, albo w skutek zdania się na gromadę, na ludztwo (3). Drugie pytanie czynione kmieciowi w sporze będącemu, miało na celu dowiedzenie się czy był nadliczbowy. Ażeby całkowicie przekonać się o tém, zsyłano woźnego dla policzenia dwo-

Ruthen. et si recognoscent q. sedeb. in j. W. tunc ipos. d. Parawa lucrabitur si aut. in J. R. sedeb. tuc. ipos. d. Petrus Miszczycz lucr. Parawa. Mys. testes recogn. q. K. et M. sedebat. in jure Ruth. et no. in Wal. quod. adjudicavimus pctos kes. pcto d. Petro de Str. tlr. q. id. hones. debnt. seder. apud usq. ad fest. Nativ. Xti pxm. et si al. ipor. placuerit excipi ab ipo fto pfixo tuc. pnt. excipi sub aliu. dm. ubi is placuerit et sup. hoc ab ipo recepin. adiudicatum quia ipos lucratus est recto et vero jure.

(1) A. Halic. 1435—56. Stepan vathamana de Solca stans coram pnti Judic. recognovit quia exclamat mulierem Chathca a Nob. lwaskone de Chelpow de integra area cu. oms. jure sicut aliqm. homm. kmethon. que mulier est in numer. tempre. transit. hom. ab nat. dom.

(2) Ib. llnath. de Kutiszca.

(3) Ib. Vathamana met tercius de Chrostowicze det. Stepan ex comso. dis. Jud. iur. ht. cor. Eccliam modo Ruthenico quia Gierdei et Paulus sunt servi Regales ab eviternum temporib. et Ordinczi cu. quib. minisles. est missus et veniens minist. narravit cor. Judic. sic vathamana det. iuravit mettercius quia hes. pmissi sunt srvi. Regal. et essent ordinczi et in hoc memoriale dus. Cola ponebat volens hre. p. lucr. et ecc. mag. d. Parava Cap. Halic. vovit p. lucro et sic hanc caus. ad advent. d. Pal. Leop.—A. Sanoc. 1423—61. Nicolaus Chrostowski Cap. Sanoc. Signif.... Quo.

rzyszcz. Nie liczyli się do sotni dziesiątnicy, duchowni, karczmarze, zagrodnicy, czeladź, ludzie niepracujący koło ziemi, nieosiadli i wszyscy siedzący nie pod ruskiem prawem (1). Członkowie rodziny gospodarza sotnego, „wspólnego z nim zażywający chleba” szli za losem swęj głowy (2). W témże rozumieniu odróżniano bydło i rzeczy sotne od bydła i rzeczy wolnych: sprzężaj do uprawy służby, dwie pary bydła, wóz, bronę i pług uważano za sotne, i tém rozporządzać się nie było wolno (3). Dogodności prawa ruskiego w porównaniu z inneini prawami, szczególnie niemieckim, były tak sprzyjające wolności chłopu, że ten porzuczał grunt na prawie ruskiem; a że ono nie wzbraniało mu przyjmowania gruntu u innego dziedzica na prawie jakimkolwiek, przyjmował go więc na niemieckim; w którym stałość powinności, przemaganie czynszu i zakupności nowemi były korzyściami dla niego. Sądowa władza postrzegłszy to nadużycie, warowała, że, gdy człowiek, który wyszedł na mocy ruskiego prawa, w przeciągu roku dostrzeżony będzie pod prawem niemieckim, ma być zwrócony do poprzedniego właściciela, dla postąpienia z nim podług prawa także niemieckiego (4).

Nicolaus Zamba cu. kme. doto Clis et remiserunt se mutuo in testimonium als. na luztwo sup. kmes de Wissoczani et du. servilis ibid. venisset ut testimoniu. phibent. als. ludziliby convoc. kmeth. als. mązow ad testimo. phben. utr. Klisch fuit ko. Ze. vl no. qui testificav. in huc. mod. Clisch ambulavit querens victum suum. als. poschiwyona sed nesciv. qd. fuisset aliq ko. d. Za.

(1) Ib. in... villa gnroni D. Nicolai Holesse si erunt plures kmetoes qua. viginti demptis hominib. in Valachico jue. popone tabernatorib. et podszodecones circa duob. hoib. exmissis jur. Ruthenic. extc. habet mitte. duos homes. Nob. Phetheoni p. quib. citavit de una area et ibi minister computabt. homes de jue. sb. amissioes. cause et lucri.

(2) A. Lwows. 1442—8. Hedv. Swinka.

(3) A. Sanoc. 1462. Maschiam vidua. Phil. et Iwan filios suos remasit. dus. Cap. in agro in Thirawa salis et dedit ipis. bydlo sothne duos boves et scropha et seminacoes. q. iam post obitu. mariti eiusd. Maschia ad d. Capm. ptineb. Ita q. dent. labores postumpowacz iuxta posse put ceter. km. ib. faciunt, et dent. residenc. facere in eod. agro no. recedendo p. eo sunt fideiuss. Len. Manyowicz et Paschek et Strok et Chodor.

(4) A. Hal. 1435—56. Kunaschowsky Sloczylo. Kunradus K. misit de Czemchow sb. Sloczylo in Zukoczyno tres homs. vt. Mandrinyo Iwano Iwa-

Poza niewolnikiem, poza ordyncom i sotnym znajdował się czwarty stan, którego swoboda, oprócz umowy, niczem nie była tamowana. Byli to ludzie pochoży, pochodząscy, wolni. Do nich należeli ci, co nigdy nie bywali w stanie niewolniczym, ordynca lub zaliczonemi do sotni (1).

Istniał tu jeszcze i piąty odcień ludności: bojarzy, odpowiadający lemanom w Prusach, manom i sołtysom polskim, prócz, że nie posiadali sądowniczej władzy. Przez ciąg XV wieku nie znajdujemy o nich wzmianki, chociaż wiemy, że jeszcze w połowie XVI wieku zamieszkiwali jedną wieś we Lwowskiem (2).

Co do powinności, rolnicza ludność mało się różniła od odpowiednich jej odcieniów w Polsce, z wyjątkiem, że sotni w znaczniejszym niżli polscy kmiecie stosunku, uiszczali powinności roboczną: zwykle przy wsiach ruskiego prawa dodawano: „robią ile im rozkażą, ponieważ są w prawie ruskiem.”

Prawo polskie wprowadzone zostało w roku 1435 (3), ale zwyczaj (*consuetudo terrestris*) ze swym odrębnym charakterem, przetrwał jeszcze przez całe stulecie. Przez ten czas mnożące się osady pod niemieckiem lub wołoskiem prawem, uchwały sejmików, przesiąknięte zasadami sejmów krakowskich i radomskich, coraz bardziej zacierały powiatowe zwyczaje. Czeladź porzucając służbę powinna już była opłacać wychód (4), poje-

schko jure ruthenico secdm. insitu. om. hom. qui vero iux. decism. ani. K. pfatus. homines in jur. Theut. invenit exte. cum trib. mreis tles restitui dt.

(1) In. Dec. Ter. Leop. 1446—52. Nob. Jura Woyew. de Glyniany statutit sex ordynczow de Zadworze et Borschowycze et si totum non potuit ordinczi tuc. viros et isti det. jurare sic nob. Deus adiuvat et Seta Dei genetrix q. Issac. ho. de Zadworze que. reclinavit dus Jura Hal. ad Dedyłow est tributarius verus illiberus no. pcedens nyepochodzanczy.

(2) Inv. st. Lw. 1553.

(3) A. Hal. Ano dni. 1435 pxima fer. seda. p. fest. Nativ. post dacou. Jur. Polonici terre Russ. p. Serenis. Princip. d. Wladis. pns. Reg. Tor. fact. p. judic. Terre etc.

(4) Ib. 1470—80. Garosi, dom. iudex et subiuudex Halic. decreverunt q. labus, Halgas noe. Jacobus srvs. d. Czahrowsky de Liczyncze

dynczemi umowami wymuszano zrzekanie się prawa do wychodu (1). W roku 1444 obudziło niesnaski zaprzeczanie swobodnych wychodów: z tego powodu opisano winy pieniężne, określono postępowanie sądowe w razie zbiegłych. Podczas toczącej się sprawy kmieć nie może być ciężonym, rzecz zagrabiona oddaje się na rękojmię (2). W roku 1493, na trzy lata przed statutem Jana Olbrachta, szlachta halicka uchwałą ziemską przyjęła dla wszystkich odcieni praw, na jakich kmieć jest osiadły, następujący przepis: kmieć wychodzący winien dać kopę w pieniądzach, dzber pszenicy, dwie kłody owsa, cztery séry, cztery kopy kur, wóz dREW i wóz siana (3). Od tej uchwały Ruś straciła odrębną swą cechę i dostała się

no. dt. transire ab eo alio iure nisi tempore roczstwo sicut srvus cu. rclinacón. als. szwychodem et sup. he. memoriale Czabrowsky posuit qd. iudic. recep.

(1) A. Sanoc. 1442. Vs. pslr. Panko de Ullicz cessit et resignat serviciu. als. sluzba in qua residebat Hinato deditq. eid. Hinato quor. pecora 3½ mes. silig. tres scrophas et equm. et alia ad servic. ptinencia. Ibid. stans. pslr Hinath recepit illud serviciu. als. sluzebnym bycz no. solu. sbmet sed et suis puer. tpb. perpt. emititq. et liber pnunciat id. Hynath eid. Pan. et suos pueros ab eisd. svicijs. ad tp. pptua deniq id. Panko fideiussit pptue q. id. Hynath no. det. exire de serv. regle sive de villa U. si aut. exiret vel mortuus vl. si suis filiis no. esset aptus sre. pptr. anos. iuveniles tue. Panko dt. illud totu. svicium. reassumere et svire. put. ceter. srviles serviunt et put antea sviebat et quvs. ipm. Pankone. de svicio. emittim. tu. ipe. et sui. puer no. dent exire pptue de hrdite regali sed semp. dent. f. sothny put. cet. sut. sothny.

(2) A. Halic. 1435 - 56. Acta in Halicz, tcia feria ipo. d. S. Marie Visitacón. a. d. 1444 etc. Put. Couvenco. gnalis in Halicz est celebra ta ad fstum Sti Nicolai de unsq. rebus ptuc. etc. Na końcu poprzedniej uchwały znajduje: Ibid. ecc. qudo movebitr. Leopold. et Halic. Tra. ad exped. d. dent desvare. oves ipor. walachorum.

(3) Ibid. 1488—98. Forma Statuti tre Pole. et Li. forata de ano. XXXV iux.... Scti Marti p. domos. tre. Statutum Mfci et Generosi tre. Polonie. Sandiwogius Pallat. loci. tr. Maior. Polon. Johaes. de Olesznychza Marscaicus poloe. grnalis als. Gławacz Capit. Leopold. Michael de Buczacz Cast. et Capit. Halicz. Jacobus Gijza Tutor tre Halic. cum mult. aliis doms. tre Halic. etc. Cum aliquis incolar. de dono. villae a fsto Nativit. Xti. a domo suo recessit exte. dno. ville sexagenam. vicum tritici als. dzbor. duos trun cos avene. quor. tortas rutilus jjiijor sexgnar. gallor. als. cur. crum. feni currum lignor. dar. deb.

w prąd, który z bystrością wezbranego Wisłoku lub Dunajcu, rolniczą ludność polską do przytwierdzenia poniósł.

Szlachta ubiegała się z wprowadzeniem zasady dla całej Rzplitej przyjętej; sami chłopci zeznawali przed aktami, że w majątnościach, które zamieszkują, prawo ruskie nie ma mocy; że ich powinności (a zatem swobody) nie są ruskiego ale pospolitego prawa (1). Statut Jana Olbrachta roku 1496, nie pozwalający wypuszczać rocznie nad jednego kmiecia, i statut Alexandra z roku 1505 wający wszelki wychód wolą właściciela, stały się odtąd wyłącznie prawomocnymi, puszcżając w niepamięć odrębności prawa ruskiego (2).

Tyle szczegółów mogliśmy wynaleźć: historyk ludu jest to jeszcze wyrobnik, co spuszcza się z poleskich moczczar na żyzną wolińską ziemię, lub z hal sandeckich na sandomirskie rędziny dla zarobku, wnet go do swoich zanosząc. Skwierk nie dopuszcza mu myśli o oszcze-

(1) Ind. Ins. Sandec. 1578. Recognitio emeth. d. v. Labova spontan. no. coacti erectis duob. digittis ad astra recognov. quia oms subti et emeths. de v. sup. L. a iure eor. Ruth. ad ius Polon. quo ad labores et servit. sunt translati a dominis ipor. etc.

(2) Ustępy konstytucyi sejmu radomskiego r. 1505, ostatecznie przytwierdzające kmieci, dotąd nie były znane, wynaleźliśmy je w Ind. Ins. Cri Premis. 1502—13. Constitucos. Temporales Radomien. Conveconis. generalis proxime pterite. Alexander Dei gratia etc. De licencia s. recessu kmethonu. et de Judicio eordem. recedenciu. Statutu. q. nulji kmethonu. liber. erit de cetero recedere a dno. suo et de bonis residentie sue dno. invito aut inscio q. ver. contra hec statutu. recede. sive fuge. psumserit dus. apd. que. invetus. fuerit kmethonem restituere teneatur. nuljius tps. pscripcon. evadendo. ubi vero eu. restituere noluerit ad iudicju. Capitanei evocetr. ubi in pmo. truo. sicut in pemptorio tenebr. respondere Capitaneus vo. det. p. suam. mandare kmethm. prori dno. restitue. eu. pena triu. mrcar. iudicio et pti. cogere q. reum ut in duab. septimas. pro pena satisfaciatur si vo. k<sup>o</sup>. negaret se unq. fuisse apd. illum dom. q. eum repet. dus. debebit pbac. contra eum q. su. ipsius erat iuxta pmu. stat. De kme. violr. recepto. Si aut. q. kmem. alicu. violent. receperit coram Capeo. prout prius scriptum est conveniatur. cuius mandato ko. restituatur. cum p. 10 mrc. parti solveda. ad qua. ecia. intr. duas septas. p. eund. det. cogi. De libera kmis. missioe. et qd. recedendo dus. loci debeat. Si vo. dno. placuerit kmeth. ex bona voluntate. dimitte. extunc ko. tenebr. solvere hospitale als. gosczyinne nec no. et dno. septa et alia iuxta antiq. modum reformare et fideiubere. De Judicio kis. recedentis q. ad tras. maioris Polonie. Nuncii ter. Mis. Pio. peciert. ut in tali casu fecerit. iudiciu. trstris iudicij et q. iudicarent in trmis.

dnosci: oddaje całą kaletę, dopokąd nie przybędzie tęższy od niego wyrobnik zdolny pracować i czekać, i przez uczucia ku pokoleniu, które przed oczyma jego cierpi, nie poświęci dla niego przyszłości. Wtedy powstał historyk dla ludu: my zbieramy jeno snopy letniej pracy dla utrzymania dziennego życia w zimie.

Okazaliśmy wyżej, że przytwierdzenie stało się przyczyną zwiększenia robocizny: w przytwierdzeniu znajduje się przyczyna drugiej katastrofy — pomiaru.

Osiadłość kmiecia różne miała nazwiska, jakoto: objazd, ślad, źrebie, łan, włoka, dział (mansus, laneus) w Polsce; dworzyszczce, czertoże (area) na Rusi; dziedzi-na, ojcowizna (patrimonium) na Polesiu; luda, posiadło, płosa (lira, argula, mergula) w Mazowszu; gburstwo w Prusach. Naznaczenie liczby łanów lub osiadłości nie miało na celu równej ilości gruntu, ale równy przypuszczalnie dochód; według dobroci gleby półłana we wsi jednej równało się całemu łanowi w drugiej. W Poznańskim osiadłość zawierała cztery ćwiercie, każda po 25 morgów, a zatem cała osiadłość wynosiła morgów 100. W województwach sieradzkim i łęczyckim znajdują się łany o 16, 18, 20, 24, i 60 zagonach. W Pilźnieńskim w osiadłości liczone pięć ćwierci, razem 125 morgów. W Sandeckim średnia osiadłość zawierała 700 i 800 zagonów, ale były o 900, 1100, 1200 i 1300. W Sandomierskim na osiadłości mieściło się od dwóch do sześciu półćwiertnych i ćwiertnych gospodarzy. Na Podlasiu włoka miéwa: 1631, 2283, 3026, i 4239<sup>3</sup>/<sub>4</sub> łokci. W Chełmskim na Zabuzu przyjmowano za osiadłość przestrzeń, na której 20 korey wysiewało się (1).

Rozszerzający się folwark i mnożąca się liczba gospodarzy, umniejszały wielkość dawnych osiadłości. Na początku XIV wieku gospodarz dzierżawił dwa łany, na

pticularib. als. naporoczky silr. in primo. trno pentoris in qo. ecia. tenebr. respondere et snciam. suscipe. sub penis supriorib. De Judicio p. ke. in Cracov. et Sandom. tris. Craco. et Sando. tre. q. no lut. trnos. pticulares sd. iudicia frunt solum qter in ano. primam viam tanqua. pmore. et parat. indicij suscepert. ad iudicium. pro ke.

(2) Jabl. Hist. m. Dolsk. Compend. Inv. Ar. Gnes. 1685. A. Sąd. Ref. Inv. kl. Grabs. 1725. Komis. Sandom. Iuv. Bwa Łuck. 1740



końcu tegoż wieku ograniczono jego osiadłość do jednego łanu (1). W XV wieku naznaczono, że osiadłość powinna wynosić nie więcej nad pół łana, „inaczej majątność i budynki niszczeją.” Co nad pół łana znajdzie się, ma być odebrane i osadzone nowym gospodarzem (2). Poglówne z XVI wieku okazało, że w czterech wielkich dzielnicach Rzplitej było 195,936 gospodarzy na 62,933 łanów: zkad wypada, iż każdy trzymał mało co nad  $\frac{1}{3}$  łana (3). Gospodarstwa dążyły odtąd do ćwiertnych: na początku XVII wieku ćwiertne już się rozdrabiają w prętowe: „nieole-dwie wiele jest w dobrach prętów gruntu tyle pieców i domów.” Liczba sprzężaju w stosunku umniejszenia gruntu zmniejszała się tak dalece, iż większość gospodarzy nie posiada zaciągu: „gdy przychodzi kolej ciąglej pańszczyzny, jeden drugiemu ze znacznym nakładem wynajmuje.” Mnożąca się liczba gospodarzy, obracanie pastwisk w orne pola, szkody w lasach i stawach, przerażają urzędników: „dobra o tyleż niszczały od powietrza i nieurodzaju, co i od pomnożenia liczby ćwiertnych. Na nie nie posłużą czynienie zabiegów, łożenie kosztów, zaciągnięcie biegłych urzędników, jeżeli obok nie postawi się tama drobiazgowaniu gospodarstw” (4). A jeszcze na sto lat przedtém w mnogości gospodarzy widziano rękojmię zamożności dóbr! Sprzeczności podobne zawsze się okażą tam, gdzie rządzi przymus w miejsce swobody. To samo pokolenie, które wydało konstytucyą o przytwierdzeniu, było świadkiem nieszczęśliwych jój następstw. W pięćdziesiąt lat po konstytucyi, w obec zwiększającej się nędzy i wydatków na załogę postrzeżono, że mnożenie liczby przytwierdzonych nie stanowi zamożności, że pytaniem wstępném jest mnożenie kapitału. Można było pomnożyć robotnika od razu wydaniem ustawy, ale to

(1) Cod. Rysz. II. 1. CCLVI. Potherców. 1334. CCCXI. Srocko. 1370.

(2) A. Kap. Gniez. 1485. Lubeza. It. qd. secund. antiquam consuet. nullus habeat nisi per med. mans. etc. Visit. Pabyan. 1531. Pred. v. Swyathnika... dom. censunt ex re fore ut 6 emeth. qui in laneis integr. resid. p. med. lanci adimeretur et tres lanei pred. iunget.

(3) Percap. pecc. Contrib. 1552.

(4) A. K. Plock. 1569. A. K. Gniez. 1571—1609. A. K. Warsz. 1602. De excrescentia numeri subd. in qrtis locatorum.

znaczyło stworzyć nędzarzy, a nie móż ich użyć: kapitał mnoży się tylko swobodą, zabiegami i oszczędnością.

Sołtysom do XV wieku dawano do 6 łanów, w XVI odbierali do dwóch, w XVII stali się oni gospodarzami ćwiertnemi (1).

Dla wstrzymania popędu do mnożenia gospodarzy postanowiono, ażeby nie przyjmować wójtów, jako osadza-czy wsi nowych, ale jako urzędników do zarządu w dawniejszych; ażeby nie karczować lasów a żeby wykupy-wać osiadłości ćwiertne: zamożniejsi mieli być zachęcani do wykupowania u mniej zamożnych. Zabroniono sprzedawać mniej od całkowitej ćwierci, dopuszczając wtedy tylko wyjątku, gdy gospodarz nabywa dla dopełnienia ćwierci. Przy odkryciu się spadku grunt ma być oddany jednemu ze spadkobierców za spłatą innych. Czyniono rozporządzeniom tym zarzuty ze stanowiska ekonomicznego i prawnego: uważano „wątpliwość czy nadają prawo wzbraniać posiadanie mniej od ćwierci: sądzono, że za usunie-niem pewnej liczby kmieci, rola nie będzie tak starannie uprawiana: umniejszą się dziesięciny i pewne czynsze wybierane nie z gruntu, ale podług liczby domów, iż muszą zaginać pożytki z warzenia piw i z młynów (2).” Wartość tych dowodów jest wątpliwą; nie przytoczono zaś jedne-go, a stanowczego: że z góry tylko oświecać trzeba, a w niczem nie rządzić. Zmuszając ogrodników do przyjmowania ćwierci a ćwiertnych do przyjmowania półwło-czków, okładano powinnościami większemi, niżeli na nich stosunkowo przypadać mogły, lub wybierano nie według ilości gruntu, ale według liczby domów. Narzucano sprzężaj (którego uszczuplona osiadłość nie była w stanie utrzymać) drogą pożyczki, lub drogą przymusową, rozka-zując, ażeby go chował i nabywał pod zagrożeniem karą, i okładając we dwójnasób i we cztery razy robocizną pieszego w porównaniu z ciągłym. Dobrowolnie przenoszono gospodarzy; połowę obracano na komorników.

(1) A. Bisk. Pozn. Szamarnewno. 1422. A. K. Warsz. Advoc. Raznij. 1535. Siedleza. 1538. A. K. Gniez. 1609.

(2) A. K. Gniez. 1545—1571—1609—1610—Ordinatio. A. K. War. 1597. Decretum de qrtis, agrorum. 1619.

Nareszcie nie widziano innej rady, jak rozdać folwarki pomiędzy chłopów, lub wyzuć ich z osiadłości, obrócić role na grunta folwarczne i obrabiać je wynajętymi parobkami (1).

Pruska ludność stanowi wyjątek: w Gniewskiem gbur od dwóch do trzech włók posiada; w Sztuńskiem od dwóch do sześciu, a w przecięciu po cztery; w Brodnickiem, po wypuszczeniu prawem emfiteutycznym, od pięciu do dziewięćdziesięciu morgów; w Malborskiem rozbiegają folwark, pięciu i sześciu gburów, każdy obejmując od czterech do dwustu morgów; w Tucholskiem w przecięciu posiadają po dwie włóki (2).

Przeciw mnożącemu się proletaryatowi w Rzymie, podawano za środek podział należących do Rzplitej gruntów; u nas przeciwko mnożącym się drobnym osiadłościom użyto pomiaru czyli regulacyi. Zapal, z którym chwycono się pomiaru od północy do południa, przypomina słowiańską wspólność własności i roczny jej podział. Zygmunt August, zkaład król zacny, przez pierwsze dziesięć lat rządów zrujnował na Litwie królewszczyzny, które stanowiły trzecią część tamtego kraju; w drugich dziesięciu latach zastosował pomiar do królewszczyzn w Koronie: poszło za nim duchowieństwo i szlachta. Dovolnie zaprowadzane rozporządzenia w górnych warstwach, znajdowały oddźwięk w namiętnościach na dole. Nie mało gospodarzy wspierało pomiar: byli to pośledniejsi, dla których powab miała myśl stania się równemi zamożniejszym, którzy przez pokolenia pracą i stateczno-

(1) A. K. Płoc. 1633 Revis. Episc. Płoc. 1650. Arch. T. Supl. 1702—1752... Drugi bydłęcia nie ma swego, za to ludzi biją y bili pokładając, że drugi ledwo z miejsca wstanie, jako niejednego bito przy całej gromadzie". Bibl. W. Sup. 1732 z Wolki „któryby nie miał konia, to koniecznie aby było, jeśliby nie było to tedy po sześćdziesiąt postronków" etc. A. K. Lwow. 1678. Odp. etc. Kamer. 1744. Les sujets économiques s'éloignent de l'établissement als. osiadłość; sur les arpents ou lan se trouvent en bien des endroits plusieurs sur une éwieré qu'un seul devrait occuper. 1741. Les sujets établis et demeurant en grand nombre sur un arpent, eussent à se transporter sur les arpens qui sont en friche dans l'espace d'une année, et qu'en cas qu'ils ne voulussent le faire, qu'ils soient tenus aux travaux non selon les Inventaires par arpent, mais un jour par semaine de chaque maison.

(2) Lust. Inv. 1564—1767.

ścią doszli większego mienia. Przy pierwszej kłótni, żądza zemsty zgromadzała kupę gospodarzy przed dwór: sprzężajni wyrzucali zwiększenie gruntów pieszym; ci zazdrościli rozprzestrzenionych placów pod zagrodnikami, a wszyscy skarżyli się na powiększenie osiadłości soltysa, łąki karczmarza i ogrodu młynarza. Zdrowa ludność odpowiadała na pomiar jękiem boleści: suppliki zapelnione narzekaniami i rozpaczliwą przepowiednią dla przyszłości (1).

Rozpatrzmy wpływ pomiaru na zakupność, przyrobki i na porównanie osiadłości.

Grunta kmieci dzieliły się na pańskie i wyzwolone czyli wkupne. Kmieć wkupny, który służebności wypełniał, nie mógł być poruszony, dopóki nie byłoby mu zwrócone wkupne i wynagrodzenie za ulepszenia. Przy usuwaniu się z gruntu pańskiego miał prawo do wynagrodzenia tylko za jedne ulepszenia. Przyznanie zakupności poczytywano za wstępną rękojmię dobrego gospodarstwa (2); ochraniało to swobodę, ponieważ im znaczniejsze ulepszenia w gospodarstwie zrobiono, tém la-

(1) A. K. Krak. 1531... *inter omnes agros emeth. et ortul. emensurando et cocquando mandaverunt.* 1534. *Visit. Paby.* 1519. A. K. Lwows. 1559, *Cyrkassy villa.* In ead. *Caplo. cum subdit. talis ordecio. fet. est ut illor. agri dimeciantur ut fuit. aequales.*— A. K. Warsz. 1554. *Decrt. occone. comens. bonor. et predior.* 1556. *Querella subd. de Kyczky questi sunt contra vicin. suos qd. in agris majore. mesura. qum. ex equo habere deberent.* 1558. 1562. *De agris comiserut. bonor. als. perownacz ut sit equalis.* *Bibl. Imper. Harlay.* 242. *Réformation du fisc public.... de Jehan Zaboroski.* O lustracyach z r. 1564 i 70 powiada: „qu'ils semblent avoir causé grande affliction au populaire... ils ont tout imposé des charges, des fardeaux, griefs sur ce misérable peuple tant par laboures (robocizna) inaccoutumés, diverses exactions, *mesurement des terres*, amplifications des héritages. Porów. z Rs. w *Bibl. de l'Ars. A. K. Gniez.* 1563, *Arch. S. Sup. Kaluskie* 1721... postarzeliliśmy się tu, nigdy tego nie znaleźmy co Gdal wymyślił, pomierzył pola zarosłe łożami, krzakami y chaszczami na czarany, tedy bez żadnego respektu z tego ciężar na nas ubogich charłaków Gdal zalażył.

(2) *Registr. Castr. Sochacz.* 1510. *Czerwonka...* *si ista avena ab incolis v. eiusd. in toto repetitur presertim ano. psnti. quod incole ipsi penitus depauperabantur quoniam resident in agris no. empticiis et pauperiores sunt q. in aliis villis et quotidianis onerib. affice. soleant qua proprius sub Castro resident.*

twiej znajdowano nabywcę i zastępcę. Wielki ekonomista powiada, że zwyczaj ten tyle dogadzający dzierżawcom, przyczynił się do terażniejszej wielkości Anglii, bardziej, niżeli wszystkie wzięte razem prawa, wydane rzekomo na korzyść handlu (1). Zakupstwo miało swe ognisko wokoło miast: Kraków, Poznań, Sandomierz, Przemyśl, zewsząd się otoczyły gruntami zakupnemi. Podgórskie, o ubogiej glebie, powiaty utrzymywały się przy osiadłości kmieci jeno przez zapewnienie im zakupstwa, a butność charakteru nie dopuszczała lekceważenia (2). Pomiędzy Wisłą a Wartą częściej spotkasz się z zakupnym budynkiem, niżeli z gruntem (3). W Prusach wszystkie grunta są zakupne, ale na Podlasiu, na Rusi, gdzie oddaje się jeszcze w niektórych miejscach grunta na tłokę, zakupstwo, oprócz wsi uprzywilejowanych jest nieznanem (4). Uważając pomiar za sprawę dobra publicznego, z urzędu naruszano zakupstwo. Żale tém wywołane ponuro i głośnie dźwięczały. Dla uniknienia nadal podobnych trudności i szemrań, usiłowano znosić zakupstwo, postanawiając, że grunta nie mają być wyzwalanemi, sprzedawanemi, zamienianemi lub zastawianemi. Konstytucya o przytwierdzeniu jest zaczątkiem zniesienia zakupności, dalsze rozporządzenia na tej drodze są koniecznym rozwinięciem jój (5).

(1) Smith's The Wealth of Nations III.

(2) Inw. Ctr. Brest. 1492. A. Metr. k. XLVIII, 1533. Pensio. A. K. War. 1529. Rev. Glonkowa wola. Jud. Ind. Pilzn. 1544—60. Komiernieczky dział.

(3) Visit. Pabijanic. 1527.

(4) A. K. Lw. Czerkasy. Dymitr... iste exivit et est recessurus d. 1 Ian. q. intr. kes. post ips. recessu. dividi dt. et de novo dt. dividere tre. oms. juxta valor. et singulis duntaxat distribui. Visit. Decan. Lwow. Żolk. etc. 1732... pola idą w tłokę.

(5) A. K. War. 1529. Decr. ut agri p. kmet. in libertate Studzyanka non venderentur etc. 1534. Subditi in villis prestim. agros dividere no. debent.— Inw. Tyniec. 1634... powiadają, że mają role zakupne, ale teraz to zaginęło y ustąpili tego. A. S. Ass. 1566. S. Leżay. Komis. Sendom. 1742... w tey ekonomii irepsit abusus, że poddani pretendunt fundorum hereditatem... więc abrogando hec abusus practensae hereditatem potrzebny wymiar etc. A. K. Kr. 1530. Rewiz. Bstwa Plock. 1610—35. Młynarza starożytnego tu zrodzonego ztąd poruszono sic non sunt securi hereditatem suarum.

Ale zasada wstrząśnięta, potępiona bezwzględnie w dobrach szlacheckich jako uwłaczająca stosunkom utworzonym przez prawo 1496 i 1505 roku, ledwie cierpiana w dobrach duchownych, nie zawsze popierana przez sądy referendarskie i assessorskie w królewskich, mimo to wszystko, została jednakże w wieku następnym dowody istnienia: tyle znalazła oparcia poza prawem, tak się wraziła w umysły. Jako brzoza na stepie, która ulegając wiatrom, rośnie poziomo, a tylko w cieplejszą dobę ku górze puszcza gałązki, tak i zakupność przy ucisku niknie, a przy poznakach powolności i wyniesienia się ze stanu majątku biernego na czynny, wnet się odradza. Z zaprzeczeniem zakupności gospodarz zaniedbał się około roli i budynków; odtąd grunta zarastają mu chwastem: krzaki nietamowanym pochodem zdobywają osiadłość, wiatr unosi snopki z dachu, potok podmywa podwaliny: wszędzie nieochędństwo (1). W wieku XVI gwałtowne przedsiębrano środki, ażeby zmusić do porobienia najkonieczniejszych napraw; w XVIII zmuszano do tego zagrażając karą cielesną. Nie chciano się bliżej rzeczy przypatrzeć i poznać, że przyczyną niepowodzenia było zaprzeczenie zakupności. W drugiej połowie XVIII wieku, kiedy powtórnie w duszach odezwała się modlitwa Jana Kazimierza, zakupność w dobrach królewskich, duchownych i szlacheckich, powszechnie uznaną została (2).

Wsie nad osiadłości miały przyrobki: świadczyły one o zwiększeniu się siły roboczej i kapitału (3). Była

(1) Arch. O. Z. 1725. Sup.... czasu niemas sobie chalup jako oprawie ktore już prawie stoją jak latarnie. Lustr. 1789. W. Raw... chalup bardzo wiele złych y pustych, y dla ubóstwa nie wszyscy są w stanie reperowania... possesor... postawił kilka chalup murowanych... lecz poddani w tych domach osiadać nie chcą y dawnych swoich nie reperują, a ztąd grożą niebezpieczeństwem życia y pożarem.

(2) A. S. Ref. 1782. Inw. Ar. Gniez. 1759. X. Jabłonow. Ust. dla dóbr. m. rz.

(3) A. S. R. 1605. A. M. K. LXIII. 1547. S. Lwow. Inv. Cri. Lubacz. 1534—1569. A. K. W. 1569. Colodzyacz. Vis. Paby. 1503. Viszkijthna in ista v. sunt XVIII l. licet ipsi km. dice. XVI. lan. tum inter se duos suffocabant.

to tajemnica, tajemnica święta, bo tylko ubogich naduży-  
cia okrywająca, że pola, wsie miały we dwójnasób wię-  
cej, niż pokazywały rejestra. Pomiarem odebrane zosta-  
ły bez wynagrodzenia i albo rozdane pomiędzy gospodar-  
zy uboższych, albo przyłączone do folwarku. Zerwany  
został łącznik pomiędzy rolnikiem a gruntem; zadano  
cios przemysłowi. Grunta zakupne przechodziły z rąk  
do rąk, nabywane za gotówkę: kto zaś wyłożył grosz na  
nabycie ulepszanego gruntu, temu pomiar daje grunt  
wywietrzały po gospodarzu niedbałym. Utwierdzono  
przekonanie, że dosyć jest namnożyć rodzin lub przypaść  
na sznur jeometry, ażeby być wyzutym z prac ojców.  
Chcącemu karczować, pomiędzy krzakami, co kaleczą bo-  
se jego nogi i tumanem mgły, zachodził drogę upiór po-  
miaru (1).

Porównanie osiadłości było jednym z zadań pomi-  
aru: dawniej odbierano grunt stosownie do swego kapitału  
ruchomego; nie grunt ograniczał zabiegi, ale zabiegi  
określały granice. Dla utrzymania miedz w położeniu  
opisanem przez pomiar, zabroniono kupowania i wynaj-  
mowania roli pod utratą plonu, lub pod ciężkimi jedynie  
pozwalano go warunkami. W imieniu biednych witano  
równość w pomiarze: z biednych nie zrobiono bogatych;  
lecz owszem zamożnych wyprowadzono na biednych, wy-  
padek zwyczajny, kiedy się wychodzi ze stanowiska  
stronniczego, chociażby tak tkliwego jak ubóstwo: bo jest  
cóż wymowniejszego i nad ubóstwo, potężniejszego nad  
żelazo:—prawo i rozsądek.

Przytwierdzenie poprowadziło do zmienienia kształ-  
tów dzierżawy. Trzy są znane rodzaje dzierżawy:

Dzierżawa za czynsz z góry oznaczony: zostawuje  
dzierżawcę niezawisłym i pobudza go do podnoszenia  
gospodarstwa na coraz wyższy stopień, gdy jest pewnym,  
że już z nikim owocem zabiegów nie podzieli. Stosunki

(1) Inw. Send. 1583.. skarżili szie strony odmiany rol za pomiarem  
za kthorym role słabego y podłego grunthu piaski bagnami zaległego na  
mieysce ról dobrych których przedtym używali naznaczono y dano; gdy  
chcieli zicchać (komisarze) dla dokonania pomiaru, chłopci prośbami swemi  
użyli nas u p. starosty, aby im role nie byli mierzone, bo gdy się był  
pomiar stał, siłaby ich było musiało ze wsi iść.

między dzierżawcą a właścicielem, między dzierżawcą a najemnikiem są oparte na wypłatach pieniężnych, wymagają massy gotówki i utrzymać się mogą jedynie przy handlu. Dzierżawa za roboczną utrzymuje we współzawodnictwie gospodarstwo odbywającego roboczną, z gospodarstwem, na którego korzyść ona się odbywa. Im pilniej prowadzonym jest gospodarstwo dominialne, tem bardziej upada gospodarstwo posługujące; o ile pośpieszono z obsianiem gruntów dominialnych, o tyle musiano się opóźnić z posługującymi. Im troskliwiej sprząta się z lanu folwarcznego, tem pewniej ulegną zepsuciu zbiory z drugiego. Zawód gospodarski zależy od dni pomiędzy żniwem a zwózką: chwile te rozstrzygają, czy powodzenie w tym roku należy dominialnemu, czy posługującemu gospodarstwu; energiczny urzędnik obmyśli potrzeby pierwszego ze szkodą drugiego; opór posługujących wystawi na sztych zbiór dominialny: zwiezie wcześniej ubogie kopy i na cały rok się zabezpieczy. Surowe serce przyklaskuje energii pierwszego, tkliwe powodzeniu się posługujących, a rozsądny ubolewa, że na takie współzawodnictwo sprawa kraju jest wystawiona. Dzierżawę z podziału plonu sądzono surowo, lub przychylnie podług tego, jak w którym kraju miano sposobność ją uważać; powiadają że tysiąc dowodów jest do przytoczenia przeciwko niej, a żadnego za nią; że skopczyzna doprowadza do nędzy; że kopiarz ma pobudkę do obsiewania pola zbożem mniej nakładu potrzebującym, ale i mniej cennym: bo plon na jego część przypadający, znaczniejszy jest w pierwszym niżeli w drugim razie. Przeciwnie, mówią inni, iż gdy gospodarstwo z kopy przechodzi z ojca na syna, kopiarz ma korzyści wypływające z własności gruntu nie mając żadnych jej niedogodności. Jung przypisuje skopczyźnie upadek rolnictwa we Francyi, Sismondi, owszem wzrost jego w Toskanii. Skopczyzna w porównaniu z dzierżawą za czynsz i z roboczną sprawiedliwiej plon dzieli, zatrzymuje przy osiadłości massy ludzi, którzyby stali się luźnemi, lub przytwierdzonemi na przysiewku; utrzymuje spójnię pomiędzy oświeconą a mniej wykształconą ludnością, wpływając na jej wiadomości techniczne i umysłowe. Interes wyrobnika przymusowego jest w sprzeczności z intere-



sem uprawy, ponieważ o ile pracuje w dominium, o tyle zadaje szkody swojemu gospodarstwu: właściciel w niewygodnym względem niego znajduje się położeniu, bo nie może mu zagrozić wypowiedzeniem roboty. Skopczyzna mniej ściśle niżeli czynsz zespała interes dzierżawcy kopowego z interesem właściciela: tu jest zespolenie względem całego plonu, tam względem części. Pierwszeństwo przeto należy dzierżawie czynszowej, ale skopczyzna więcej sprzyja produkcji, niżeli dzierżawa za robociznę. Pierwsza ma za podstawę dobrą wiarę, zjawia się w czasach pewnego wykształcenia moralnego; skopczyzna oparta na rozbudzającym się interesie własnym, oznajmia stan przechodowy. Powszechnie uznano ważność jej historyczną, jako stanowiącej przedział pomiędzy robotą wyzwoloną a robocizną niewolną. Wyzwolony w średnich wiekach, któremu i nadal w posiadłość grunt zostawiono, uprawiał za pomocą właściciela, dzieląc się z nim plonem: skopczyźnie należy się niezaprzeczenie cecha wyzwolenca. Przymusowy wyrobnik, oparty na obawie kary, jest współczesny nieistnieniu handlu i oświaty.

Prawda ruska, która zastosować się da do południowych województw, odróżnia tuina sielskiego od ratajskiego, przeto rataj jest jej znajomy. Ustęp w Latopiscu Wołyńskim, który skreśla klęski Rusi w XIII wieku, wynurza szczególny żal nad losem ratajów: ich nieszczęścia obchodzą piszącego, jakby dotykające klasę poważną. W Sofijskim Wremienniku, w dodatku do Prawdy, znajdują się obrachowania wiele w pewnym czasie być powinno przypłodu z ziarna i bydła danego w ratajstwo. Chociażby dodatek ten i był ułamkiem z greckiego wiejskiego prawa, niemniej będzie dowodził istnienia podobnego stanu rzeczy na Rusi, gdy z całego prawa tylko ten jedyny ustęp już tak weześnie przetłumaczonym został. W wieku XIII Jan Berładnik i Mścisław znaleźli liczne powstańcze żywioły—znanie wyzwajającej się ludności. Ratajstwo istnieje tu pod kształtem „tretejnych pługów i połownictw” jak na Podlasiu pod kształtem „siabrstw” (1).

(1) A. Metr. K. XCIII. 1288. Kniasz Liw... przydayemy y daruyemy boyarzynowy... Nerumowy... ossadzycz siolo Strassowijcze... y z ludzi

W Mazowszu wardeżyn płaci wstanego ćwierć kopy groszy, kmieć kopę, rataj trzy grzywny: przeto rataj pierwsze miejsce zajmuje (1). Po Wielkopolsce rozrzucone wsie, nazwiskami które noszą, przypominają zajęcie swoich mieszkańców (2). „Rataj wart jest więcej, niżeli dwóch i trzech osiadłych na robociźnie” zauważyła dawna ekonomika; kmiecie powiadali: „jeżeli o dziesięcinę: urodził Pan Bóg siła, to my więcej i dali, urodził mało małośmy dali” (3). Przy wydzierżawieniu gruntu z budynkiem i sprzężajem rataj stosownie do dobroci gleby i zaludnienia bierze od 10% do 20%; przy gruncie z budynkiem bez sprzężaju do 50%; przy gruncie bez budynku, bez sprzężaju od 75% do 90%. Gdy łowi ryby własnymi sieciami bierze 66%, gdy właściciela 50%; gdy na łowy idzie z powinności, bierze 33% (skarży się jednakże, że przedtém dawano 30%); gdy dla swego przemysłu 75%. Z młyna gotowego młynarz bierze 33%; z owiec postawionych na pański karm owczarz odbiera 50%. Bartnik dzierżawiący barcie skarbowe, bierze 33%; od barci własnych 50%. Najemnik przy młocce 10%, przy uprawie ogrodu 2 1/2% (4).

nashych robotami y s tretinnymi plugami. A. Lw. 1441—46. Kniaz Liew. wyzwaliaemy... dwa bratienca Tuteynia a Mondrzyeka. Daleśmy jemu w Peremyskoe wolosti selo Dobanewicz.. y z winami z polownictwom y sierpom. Inw. Stołowicki (XVI w.) Pszczoly dworuyje sut w domiech u ludey w siabrowstwo postawienye.

(1) A. Ciechan. 1424—9. Schidlo de Wilani ducet test. Iaco u mnije Nicolay gimul w gerzynie szosti snopp bracz. Ibid. Dus. Zanak. Judex egit super etc. Et tunc d. Judex iter. scabinos suis testis est qui talis testificarunt. Sunim, sup. nrum. antiq. jurament. quia Andreas tenuit apud dm. nrum. Judic. duos boves sup. agricult. w rataystwo etc. Inv. Javorov. 1513 in distr. Ostrolec. v. Białowierz incole istius ville nil aliud laborare tenetur nisi agros prediales arare et mettere de decima manipula.

(2) Inv. Cri. Gost. 1496. v. Rathaye. Reg. cens. Pysdr. 1542. v. Rataie.

(3) A. K. Gniez. 1620. Arch. S. Sup. Między. 1702—50.

(4) Inv. C. Sandec. 1540. In predio manet Ratay qui pecorib. predij agros designatos laborat et semina. Isto Ratay de frumentib. predij datur cassula quint. et sexta ita. p. om. frumeator. crescen. Ratay receipt a undec. cassulis duas cassulas et victu. inde habet et nihil al. eid. solvr. Inv. Cap. Costen. A. K. Gniez.. 1499 Visit. Pabijan. 1502... ad venand. vadunt

Ratajstwo i przytwierdzenie nie mogą istnieć wspólnie: skoro ratajowi nie służy prawo odrzucenia warunków, jak się to dzieje z ratajem przytwierdzonym, właściciel nie da względu na wszystkie odcienia jego wydatków: przeto przytwierdzenie jest wyrokiem śmierci na ratajstwo. Gdy folwarczne grunta były wolne od poborów, te z nich, które uprawiano przez ratajów, płaciły jednakowo z gruntami kmieciami, przeto system podatowania nie sprzyjał ratajstwu. Najpierw ustało wydzierżawianie folwarków ratajom (1). W Wielkopolsce w wieku XVII byli rataje z dziesiątej kopy, ale gdy odbierają myto i wikt, policzyć ich należy w poczet parobków. Poglówne z roku 1662 już o nich milczy, ponieważ przeszli w osiadłych na robociznie; nieosiadłe grunta uległy tejże dążności. Na początku wieku XVI polecono, ażeby wydzierżawiać z połowy czynszu lub z kopy, w drugiej ćwierci tego wieku dzierżawę z kopy ograniczono do gruntów tylko pod jarzynę, w roku 1537 wzbroniono wypuszczania z kopy, a gdzie się to zostało, to przy tak uciążliwym odsetku, że „łzawnie” poddani prosili o zamienienie na stałą rentę (2). Pod wpływem przytwierdzenia, przeludnienia i współbiegania się, grunta przeistaczano na osiadłe, jeżeli zaś i wypuszczano niektóre, te gdy w XVI wieku oddawano w 80%, w XVII zmniejszono

qu. mandr. sed teia. fera. recipiunt s. dorca. dicebunt ipi. kmes q. ab ist. p. onagr. e. scrophis silvestrib. medietat. recipbt. A. Krak. 1492. Nicol. Kamyenyecz. etc... Incole simlr. dnt. habere libertatem in silvis ecc. venaudi et in fluminis piscandi sed rone. venand. qrtam prtem cuiusl. fere et rone pisc. tm. qut. cond. et aprec...dae. et sole. teneb. Inv. Serceyski. 1674 „Młód połowinny etc. Arch. R. Suppl. Rybo.. 1736. Ja Iwan Kiesienia sprawiłem zagonów 40 na rzepe... zwyczaj jest dawny, że należy zagon rzepy, ale mi (Dzierż.) nie dal.

(1) Akt. Kap. Gniezn. 1526. Omnes kmethones de Janczewo exponentes quomod. p. Capitan. ad angarias intolerabiles et insolitas astringunt, ubi ante hanc habebantur in prediis Rathaije illic hodie labores dicti kmeth. pergunt. Visit. vill. vbili Capit. Pozn. 1570. Lib. II Gortartowo labor 3 dierum suberint pterea d. Regens p. sum. rathay duobus arathris superiorib. anis. agros excolebat qui licet ht. boves 16 aratores, nunc tantum uno aratro utitur ppter defectum et penuriam familiae quam aquirere no. potest. A. K. Pozu. Rev. Lib. III, 1613. (kmiecie) proszą o rathaia etc.

(2) A. K. Gniez. 1514—1530, 1537, 1609.—Visit. Pabijan. 1531.

odsetek do 75<sup>0</sup>/<sub>0</sub>, a w XVIII aż do 66<sup>0</sup>/<sub>0</sub>, ale pod tym ostatnim odsetkiem poddani grunt opuszczali (1). Po wojnach wieku XVII i początku XVIII, wypuszczano pustki po 90<sup>0</sup>/<sub>0</sub>; za powrotem pokoju umniejszano odsetek, a następnie powracano do najmu i robocizny. W ostatnim wieku w Wielkopolsce skopeczyzna zaginęła, w Małopolsce mało gdzie się zatrzymała; w województwach ruskiem, podlaskiem, wolińskiem wypuszczenie nieosiadłych gruntów przybrało charakter mieszany: poddany brał 90<sup>0</sup>/<sub>0</sub>, ale do tego dopłacał stały najem i daninę; w innych miejscach urzędnik oceniał urodzaj i stanowił należytość w pieniądzech (2). Na Ukrainie tylko zachowywała się skopeczyzna z sutym odsetkiem (3).

Zniesienie ratajstwa przecięło drogę do dorabiania się ruchomego kapitału i stworzyło konieczność, raczej pozór konieczności,

*Astra periclitant, non necessitant,*

do uwłaszczania drogą darowizny, gdy przez ratajstwo można go było dojść drogą pracy i czasu.

Wskażemy nareszcie wpływ przytwierdzenia na czeładź, nieoddzielną od dzierżawy z czynszu. Statut Kazimierza Wielkiego nieoddzielonemu bratu pozwala pozyskiwać sługę, chociażby inni bracia byli temu przeciwni; pozwany najemnik ma oczyścić się przez sześciu świadków. Przywilej z roku 1388 uwalnia od podatku

(1) Arch. O. Z. Sup. Goray... z pol wyrobionych y kopaniu (Dzierżawca) nie brał czynszu według Inwent. ale trzeci snop zboża wybierał, poddanych dziesięciu uszło z Gorayca dla oppressyi. A. S. R. 1596. Ratno. Ze strony nowo wykopanych roll o które się skarżą, że z nich wielką kopszczyznę wybierano... Arch. N. 1690. Sup. Chodorow. Ten się (urzędnik) nad roskaś p. Oconoma nietylko s wyrobkow własnych alle ze starych ych własnych gruntów nad wszelką służność pobrać kasał czynsz gdy podani J. K. M. prosyły aby nie brał niektórych kalczył a od niektórych odkupy trzeci snop brał, w czym pokornie prosymy aby ten przyaresztowany był. Inw. kl. Ossolin. 1745. Kto pustki sieje daje trzeci snop.

(2) Arch. S. Suppl. Kalus. 1721. Skopszcizna tako bywała wyiechał pisarz na pole zwazył jaka była krescencya bo się tylko owies rodzi y to nie zawsze, to napisano na całą wicę złp. 30, teraz na każdego chłopca Gdał kładzie po 8, po 9 złp.

(3) Inw. kl. Czudnowa. 1717. Z pust. grunt. 10ta kopa.

„ogrodników ogrodu nieuprawiających:” są oni nie początkiem pańszczyznianych chłopów, ale śladem ginącej klasy wyrobników. Statuta mazowieckie dworników i rządnych co do dotrzymania umowy, porównywiają z kmieciami. W Kolskiej uchwale najemnik płaci podatku po 2 grosze od wiardunku (16%). Umowa pomiędzy ziemiami łączycką a gostyńską ustanawia, że dziedzic zbiegłego sługę winien zwrócić lub zapłacić sumę równą rocznemu mytu jego (1). Prawa z roku 1496

(1) Ta umowa nie była dotąd drukowana. A. Z. Łęcz. Feria secunda in Vigilia Conceptionis S. Marie an. d. 1478. Laudum. Venies. Magnf. Gsi. dni Nicolaus de Cuthno Palat. Lanc. et Capitaneus Gostin. Thomas de Szubotka Castell. Lanc. Andreas de Cozlouo Castell. Gostin. Andrs. de Czyechonycze vexilif. Gostin. Martus de Unyenie. Subiud. Lanc. Mart. de Crosznyewicze vicecap. Lanc. Recognov. Quonia. uniert. et composuerunt inter terras Lanciciens. ex una et Gostiuen. partib. ex altera cu. consensu et voluntate partium. pdictor et tocius communit. Lancic. et in Gostinyyn. In convencionib. ptunc congreg. Ita tamen quia inter easd. terras domin. Capitanei earund. terrar. et domi. et tota communitas cuinscunq. status fuerit. tam spitualiu. qm. sacratm. psonar. no. debent intr. se homes. ex utraq. parte pfugos acceptae. kmethes Thabnatores Molandinatores Ortulanos opidanos familiares et ancillas ordinatas et cu. aliquis quaruenq. parciu. acceptavit vt. km. Tab. Ortula. Molandinat. et protestatus fuerit p. duos nobiles de illa terra unde km. mol. Thar. Orus. fugam dedit et avisabit eund. herde. ubi arestatus fuerit talis profugus homo ut sibi eud. pfugu. restitueret et cum restituat et cu. omb. bonis eiusd. homis. cum quib. ad illum venit ipm. recipe. pars adversa debet sine quavis pena sed cum se permisert. cittae. pro eod. pfugo in qua accio terra facta fuerit viginti gr. actor. ver. tres mcas pmo et secundo et teio similitr. et hoc debent s. det. semp. in duab. septimanis terminu. attemptae coram judico. Cri. utriusq. terre et cu. mentabilis fuerit. id. heres et restitue. noluet. eund. hom. cum suis bonis extunc in ultimo tno. vt. teio luens easd. penas dom. Capit. debet condestinare ministelm. ut sibi eund. prfugu. restituert cu. bonis ipius et in esd. penis det. impignorare secund. consuetud. terstre et si eud. hom. profugum id. hes. restitue. noluert. tunc actore luet. decem mrcas. pro home eod. et bonis pmiss. et iam eund. pfugu. obtinebit cu. suis bonis p. quib. dec. mre. dus Capit. utriusq. terre det. dae. minist. ad pignor. aut ad intromittand. sedm. consuet. terre et cu. ille nobiles vellent iniuste recognosce. quib. avisavit extunc ille hes. potest illos als. prziganyez dando euit. p. fertom. et cu. se voluert. expurgae. illi Nobles tuc. iuart. et cu. actore quia iuste recognovit. De familiarib. utrusq. stat. ordinatis simitr. vit. de profugis cu. arestatus fuerit ipm. heres tal. restituere det. dum avisatus fuerit. p. 2 Nobles et cu. ipm. restitue. noluert. extuc. debet. actori apud que. prius. ordinatus fuerit. s. fuit preciu. dae. pro quo apud ipm. erat ordinatus et id. actor. det. jurare q. pro tali suma. fuit ordinatus alioquin cu. actor. jurare noluerit extunc

i 1505 ściętnili swobodę czeladzi. Pobór nie sprzyjał wyrobnikom: podatek ten wynosił zwyczajnie po groszy 6 od wyrobnika, to jest kładł go na równi z półłanowym gospodarzem. Poglównego w roku 1521 składali kmiecie po jednym groszu, zagrodnicy komorą mieszkający i najemnicy po groszy 3; najemnice jeszcze ciężej opoborowane były, bo płaciły po groszy 6. Poglównego w roku 1662 kmiecie, bez względu na wielkość osiadłości i ludzie luźni, bez żadnej osiadłości, płacili zarówno po 1 fl. od głowy. Czeladź dzieliła się na zamkową, folwareczną i kmiecią. W XV wieku dopiero poczęło się wyradzać myto. W wieku XVI najmniejsze myto było na Rusi; koło miast np. koło Krakowa, zwiększało się ono, ale największe było w Prusach. Na południu pastuch, owczarz, wolarz odbierają myta od 1 do 2 fl., w Krakowskiem od 3 do 4 fl. w Pruskich województwach od 4 do 6 fl. Dziewka na Rusi w Rohatyńskiém bierze cielę lub 1 fl., w Sanockiem całego myta groszy 12, w Krakowskiem do 3 fl., a w Pomorskiem do 6 fl. W XVII wieku w Czerskiem pastuchowi płacono 4 fl., parobkowi 12, dziewczce 6 fl., a w Prusach tej ostatniej płacono 16 fl.; parobkowi

ille familre. jurare det. quia no. erat apud ipm. ordinatus aut pro qua suma erat ordinatus et cu. se pmisert. cittae. id. hres extunc restitue. det. pfugum ead. cu. pena fertonis actori et fertone judico. et p. omb. ist. suprascript. tum kmethonib. qm. familiarib. se voluntarie submiserunt in Cro. respondere tminis. peremptoro. ex utraq. parte trar. Tantum modo semel trminum potest prorogae. simplici iufirmitate sive corporali juramento in sdo. veo. trmo. pare. tenebitur tno. peremptorio nullomodo trminu. prorogando. De kmethus. ve. qui in tpo. consueto vellent recede. ex utraq. pte. de terra in tram. vt. de terra Lancie. in duob. septimais. ante fest. nativ. Dom. soluto Statuto trstri. sedm. consuetud. tre. p. duos Nobles fideiubendo reformac. domor. et sepiu. et omia. sdm. cursum terre dent. mtti tam kmes. Thab. et Ortulni in terra vero Gostinsi. in duob. sept. ante fstum S. Mart. usq. ad fstm. S. Mart. et post octavam S. Mart. pro tcia. fria utrq. terre. Cu. aliquis noluert. mitte. cittatus dt. paere. Judicio trio. perempio. nihil excipiendo sed in. tra. Lancie. et Gostin. iuvamen. als. pomocz remane. in herditate. det. et tene. put. aliqua terra tenet. jus sum. inter semetpos. et statutu. nullas cittacons. in ter. Lanc. kmethm. occasion. no. destruendo solito moe. et kmes. qui ante Gostin. ipm. laud. ex terris utriusq. distugent. tam extra. Gost. qum. tra. Lane. liber. fier. debent et exonerati nec qudqm. de eisd. movere a pnti. laudo et eiusd. exclamacon. sed iam mittere iuxta terra. cursum et consuetudinem servatam debebuntur.

zaś do 24 fl.. W XVIII wieku w Prusach parobek młodszy pobiera do 27 fl., starszy do 37., w Wielkopolsce do 16 fl.. Trudno nam było dojść myta na Rusi, bo tu nie natrafiłszy na parobków; wyżej od nich stojący leśniczy i gumieny mieli po 80 fl., a tywon, oprócz gruntu, brał 30 fl.. Na Wołyniu gospodyni dawano do 18 fl., pastuch brał od 15 do 18 fl.. Przez cały ten czas pomiędzy kmiecią czeladzią myto się nie utworzyło: służono za przysiewek, odzież i utrzymanie; i tak oddalone było od postępu, że przez parę lat służby parobek dosługiwał się na własność osiadłości gospodarza.

Przytwardzenie i zapewnijająca je dążność do osiadłości, przyłożyły się do zatracenia zarobkującej najemnej ludności. Folwarki, wyjąwszy w Prusach, nie wiedziały z kąąd dostawać czeladzi do obory, do gumna, radła, pługa, a podczas lata najemnika do żniwa, flisa do spławu. Na parobków brano z kolei lub gwałtem od osiadłych gospodarzy; do żniwa narzucano pieniądze lub kartki, z kąąd wyrodziła się powinność przymusowego najmu, co ostatecznie rujnowało kmiecie gospodarstwa (1), jak z drugiej

(1) Arch. N. 1700... Nie tylko parobka alie swego dziecięcia nie możemy utrzymać, pańszczyznę od niedzieli do niedzieli robimy ze wszystko družyno co jest w chalupie, drugi gospodarz nie może sobie chleba kawalka ugotować, przeto ginieemy.... Supp. Kalus. 1721.. komornik któren tylko wody się napije, zarowno z nami ciągnie z pociężnemi, A. S. R. 1605—18. „dobytek morza, czeladź rozganiano zaczęu chować icy nie mogą. Arch. T. Sup. 1702—52. Czelaodzi utrzymać nie mogą y tylko poddanki służyć przymuszają, bo jadlo skąpo dają, za lada szkodę zasługi potrącają, o lada bagatelkę biją a okrutnie... Lustr. Czers. 1789. Sup... prócz pańszczyzny kwitami zarzucają y z temi do arędy odsyłają, za które pieniądze nigdy nie odbieramy tylko trzeba pić za nie, bo inaczej toby przepadły. Arch. S. Sup. Kalus. 1721... choć wywiezisz drow do Żuppy to zupnik kwitek da, z tym kwitkiem cały rok trzeba chodzić, a zapłaty nie można odebrać y kwitek się podrze y pisanie się zetrze y zginie, tak wszystko przepadnie, a zupaik za to sromoci, co nachce nabije, surowicą oczy wrzącą wodą zalewa. Arch. T. Sup. 1702—52... na insze państwa nas pędzi zabirając pieniądze po 1/2 zł. a nam tylko po 6 gr. daje... tam kanezugiem popędzają... mówią róbcie... to za pieniądze... gdy się jemu prosimy mówi: idźcie do swor diabłów etc. Arch. O. Z. Supl. 1720... „przyjąłem sobie”, powiada supplikant: „w komorne czleka postronnego, który podiał mi się pańszczyzny odrabiac. Pan jego dowiedziawszy się o niem przycechał po niego y wziął pomionego czleka, nasz rządca każe dać sobie zł. 11, powiedając to że ia temu Panu dał za ciebie racyone tego czleka, który u ciebie komorował”.

strony ogólny stan zdrowia tracił na przymusowym flisie (1). Właściciel jeden wydał nakoniec rozporządzenie, że gospodarze winni pod karą chować po chałupach czeladź do dworskiego żniwa (2). Tenże sam niedostatek czeladzi czuli i kmiecie. Dwór odłączając komorników, zagrodników, izdebników, podsadków, podsusiedków od gospodarstw kmiecyh, pociągnął do bezpośredniego robotowania, przeto pozbawił najzdrowszej części czeladzi (3). Co zostało w drobnej ilości, i to się rozbiegało przed surowością obchodzenia się, nędznym wyżywieniem, przeciążającym robotowaniem, a wreszcie i z ponęt wschodniego nieba. „Ultaje się rozešli na niz” powiada poborca kijowski.

W Mazowszu do osiadłości składowych należało siedm części: dom z sieniami wielkości łokci dziesięć, z kominem i piecem, pokryty deskami lub łubami; od domu szło ogrodzenie z desek do śpichrza, a dalej chróściane płoty. Śpichrz miał ośm łokci długości; stodoła do pomieszczenia 40 kóp i chléw (4). W Przemyskiem cha-

(1) Arch. S. Supl. Wyszatyicy. 1750... ze nas flisem bardzo gubi... ze za łeb z gruntu bierze gospodarzów z których się tak wiele nie powróciło z flisu... teraz przeto nie możemy nająć gdy się tego flisu tak bardzo boją do myta dopłacamy flisowi każdemu po 2 tal. b. Lustr. Urzędow. 1789. Supl. 23<sup>o</sup>. Jako z flisem mamy wielkie uciążenie, każdy gospodarz nie ma parobka, sam musi dom porzącać, a wychodzić na flis przez co się mizerujemy. bo na wiosnę na sam czas złoty do domu wracać nie ma po co, pańszczyznę zatrzymaną musimy odrabiać toż samo y pod jesień... przez flis cała wieś strasznie podupadła. 46<sup>o</sup>. Użala się gromada że iak się trafi wyrobnik jaki w tej wsi żadną miarą wytrzymać nie może, a to przez dworskie robocizny, przez co ze wsi poysć musi, przez co mamy krzywdę wielką. 48<sup>o</sup>. Użala się ta gromada będąc w starości mając dzieci, które odrabiają pańszczyznę, jednakowoż tym starym ojeu lub matce narzucają przedziwa, przez co muszą poysć po żebrany chlebie, coby mogli u dzieci odpooczywać na starość. Arch. S. Grom. Łazka. Suppl. 1727. ... na flis przymsza starego człowieka.

(2) Inw. Majet. Staromiejs. (Rzeszow.) 1701.

(3) Arch. O. Z. Bielin. 1690. Suppl.. do młocki musimy posyłać po dwóch chłopów co się nam nie należy bo my mając czeladź służebną a posyłaąc ją na pańszczyznę, żadnym sposobem wytrzymać nie może tego ciężaru, bo nie kontentując się ich robotą, przy robocie ich zwykł częstokroć bić y kaleczyć, tak my też ubodzy ludzko postradawszy czeladzi, sami pańszczyznę obrabiać musimy.

(4) Dis. Łęcz. 1478—80. Reformaco. Juris terrestr. Bernardus vicepreco Czirnén. de jure datus in judicio recognovit quia laboriosus



łupa z komorą i sienią, obora okolista, brogów trzy, stodołka z komorą, wszystko z drzewa. Blżej Przemysła budynki na słupach, izba, komora z sienią, pod słomą, stodołki i stajenka z chróstu. W Krakowskiem na kmieccie budynki potrzebowano dwóch dębów, sześciudziesiąt sosen, dziesięciu płatw, sześćdziesiąt krokiew i sto ośmdziesiąt lat. W Chełmińskiem gbur mieszkał w chałupie w szachulec, rzadko w okrągłaki lub w słupy; stodoły i szopa były z chróstu. W Płockiem budynki się składają z chałupy wzrębem z dwiema komorami, przytém szopa, stodoła o dwu bojew, obora chróstem grodzona. Na Polesiu wloczny gospodarz miał na swej osiadłości do trzech i czterech chat. Na Rusi sad poczytywano za konieczną przynależność (1). Na obrazach łaskami słynących, malowanych w wieku XVI i XVII, na których przedstawiano szereg cudów miejscowych, wyobrażane są chałupy wielkie, ochędożne, wewnątrz mające okna w ołowiu i na łózkach bielizna biała w znacznej mnogości, naczynia kuchenne liczne po półkach i szafach, sprzęt gospodarski szczupły, w stołach, ławkach roboty stolarskiej (2).

Chałupy rozrzucone, dalekie jedne od drugich, ale od czasu przytwierdzenia, dla dozoru i skuteczniejszej obrony od żołnierza, do środka wsi ściągnięto siedliska gospodarzy. Odosobnionego gospodarza poczytywano za zbyt niezawisłego (3). Jak w latyfundiach rzymskich niewolnika, tak tu przytwierdzonych lubiono mieć pod ręką.

W XV wieku w Krakowskiem kmiotowna z Sieradzie posiada sześćset kóp zboża, czterdzieści siedm sztuk bydła, siedemdziesiąt ptastwa i sprzętu gospodarskiego na trzydzieści grzywien; kmieć z Czudzinowic ma pięć wołów, siedm krów z cielętami, dziewięć koni i szesnaście

Sigismundus qui exivit de Crazel in Panczlaw de sepes, stubam, olodium, palacem. stabula et reliquia solum granarium no. reformavit et istud prece no. acceptavit et det. istud granariu. ad tpus iuxta consuet. tre. reformare.

(1) Inv. Jaslisk. Radym. Odpow. etc. Kamer. Inv. Bwa. Płock. 1610—35.

(2) Patrz w kośc. OO. Bernard. w Rzeszow. 1672. Stanisław Pecek ze wsi Łukawiec. 1679. Szwiada z Krasnego i t. d.

(3) A. K. G. 1613.—A. S. R. Wiszenka. 1671.

nierogaczny; Stanisław z Wyatowie skarży, że mu zabrano całą jego osiadłość: pięć sztuk sprzężaju, wieprza, sześćnaście kóp żyta, jedną jęczmienia i wóz z jarzmem wartości pół grzywny. Inny kmięć posiada ośm sztuk bydła, trzy sterty zboża i siana, a z innym statkiem domowym majątność jego da się ocenić na dwadzieścia jeden grzywien. W Bieckiem kmięć z Łazmi spór toczy z mieszczaninem z Garlic o bróg jęczmienia wartości trzech grzywien, bróg pszenicy, ośmnaście sztuk nierogaczny i 68 ptastwa. Komornik uwięziony Larek, skarży, że poniósł w zamkniętej przez właściciela „chyzę” grzywien cztery szkody. W Sanockiem gospodarze zbierają od czterdziestu do siedemdziesiąt kóp zboża. We Lwowskiem, w wołoskiej wsi, ruchomy gospodarza statek cenią na dwadzieścia grzyw., a w Przemyskiem tylko na dziewięć. Grzegorz sołtys z Golczowie posiada sukmanę, wóz, koła, poduszki, pierzynę, wańtuch, siodła, miecz, czapkę, *lentunam*, wszystko to wartości grzyw. dwadzieścia cztery. Posiadanie broni, miecza, łuku, strzał, rohatyn, jako i chartów, jest rozpowszechnione na Rusi. W Haliickiem u jednego znalazło się piętnaście kłód zboża w ziarnie, u drugiego piętnaście sztuk bydła, a cały statek ostatniego ceniono na trzydzieści siedm kóp groszy. Dostatek Podolskiej ludności był jeszcze znaczniejszy: po napadzie Wołochów wyliczenie szkód odkrywa, że tam gospodarz miewał do sześciu wołów, parę koni, do siedmiu krów, a u niektórych do trzydziestu. W Mazowszu osiedli na ćwierci cenią swój majątek od dwóch do czterech kóp groszy; na półwłoczku do piętnastu a do dwudziestu na całym łanie. Komornika chyzę cenią na jedną grzywnę (1). W Łęczyckiem kmięć ze Strzelec (królewszczyzna) posiada piętnaście owiec, dziesięć wieprzów, piętna-

(1) Lib. Xanch. 1427. Ins. Cas. Crac. 1428—29. k. de Slona. Lib. A. Xiąż et Prosz. 1432. Sic nos etc. q. Swanthochna clausit camera. chysan Johnis. Larek qndo. sedit in turri et lpm. in supellectib. als. wszebrzusze in qutuor. marc. dampniificavit. Ib. 1434—5. A. Ter. Prem. 1436—49. Chader. k. de Medica. A. Biec. 1401. Pfalek. A. Lwow. 1447—56. A. Halic. 1435—56. Johes. de Kropyecz A. Sanoc. 1442. kmethones de Strachoczina. Castr. Scala. Camieniecz. 1494. A. K. W. 1480—92.

ście rogatego bydła i pięć koni. W Przedeckiem wieś podczas wojny ze szczętem zrabowana, poczynione szkody cenę na trzydzieści kop gr. Jan Marcin, kmięć z Kobylieh błot, cenę swe konie na pięćdziesiąt grzyw. Mikołaj kmięć pożywa, że mu odebrano łan gruntu, siedm miar mąki, czynsz i nierogaciznę, wszystko tylko do trzech grzywien wartości. Statek kmięcia z Blony wlicza się: grunt wartości 1 kopy groszy, karczma, para wołów ośmdziesiąt g. dwa brogi pszenicy, po dwadzieścia kóp owsa i siana, tataraki jeden bróg, dwa wieprze ukarmione, czapka wartości 6 skojeów. Gospodarz miewał zwyczajnie cztery sztuki sprzężaju. Budynki ceniono na pięć grzywien, a łan sprzedawano za 18 grzyw. (1). W Wielkopolsce mówiono zwyczajnie przed sądem: „nie oddam mojego statku ruchomego za dwanaście grzywien,” co wynosiłoby złp. 476. Odzież pomieszczała się we dwóch skrzyniach, ruchomy statek na dwóch wozach. Córka kmięcia bierze posagiem w odzieży i srebrnych ozdobach, grzyw. 7 (2). W Krakowskiem

(1) A. Łęcz. 1485—90. A. Brzes, Przed. Evasio. Palat. Brest. 1399. Not. q. Nblis dns. Creslaus Palat. Brest. coram jur. evasit omnes et singul. kmeto. de Mniehouice pro triginta sexage. gross. que ad. mod. sup. ipm. querulabant. ut ipos. spoliam recepet. in pecudib. et in aliis tpe. illo quo Ungary tram. Cuyavie intrabant p. quib. ipi. kmeth. pptuo debet. silero. Ib. 1427. Johs. Kukulka k. de Panewo dno. Conarian. dob. adduce. tres kmes. qui hrent. jjiior. sprzanszaya ad duas ebdas. zossadziez et si no. posset alique. tuc. deb. sive dae. un. mrc. ad med. icunia. et un. ad ftum S. Adlbt. pt. et deb. sua bona de P. tollere etc.

(2) A. Łęcz. 1413. No. Nicolao k. de Przedecz egit de dna. Chebda de Slothniky ista sup. te conquerear. ubi mihi recepisti mansum. septem mensur. farine, censum et unam seropham minus iuste hec omnia. in valor. 3 mrc. g. Extunc dus. C. rndit. Dom. Ego nolo rnde. isti hom. quia est iste homo meus et sup. hiis paratus sum pbare. put. Ju. dec. Accio. Stanislaus k. de Stanislao C. subpnca. Brest. Ista de te ppono. ubi m. recepisti eqm. frumen. siligin. seroph. hec omnia in val. 3 mrc. g. ad hec nulla jure sptante. te et si ut mihi hec no. recepisti ita mihi tua omnia. placet. Extunc d. C. rndit. Dni Ego loquor. q. est iste ho. meus et cu. mo. cens. fugit mihi et stubam me. mihi fregit. Sia autem mihi negaret partus. sum probare Nob. q. est ho. meus tand. S. km. dixit fui ho. tuus sed me Deus adiuvavit surgere tand. nos hanc caus. dedim. ad d. Jud. Testes C. de Swenthoslawycze etc. Rot. Taco nam etc. Jaco to swathczimi iaco Sthashek yest Chebdziju czlowek a czo gij yal to gy yal o czinsz y o swoij

kmieć pożycza właścicielowi 18 grzyw. biorąc hipotekę na dwóch łanach; włodarz kupuje za 100 grzyw. łan soltyski; we Lwowskiem tywon trzymał wieś zastawą w 50 grzyw. a w Łęczyckiem w 70 grzyw., co mogło wynieść 3360 złp. Wszędzie zakupują kmiecie dziesięciny wartości 50 do 70 grzyw. i cały roczny plon z folwarków szlacheckich. Widzimy z tego co poprzedza, że dopóki miasta kwitną, drobny zbożowy handel w ich jest ręku, i że ich obrotowy kapitał przenosi potrzeby dziennego życia, szuka, ażeby był użyty i przychodzi w pomoc szlachcie i mieszczanom (1). Podług Liber Beneficiorum dyecezyi krakowskiej, wartość zbioru gospodarza z łanowej osiadłości w Krakowskiem i Sandomierskiem wynosiła grzyw. dziesięć, od dwunastu do piętnastu w południowej części Sieradzkiego, dziesięć w Radomskiem i Lubelskiem, co może odpowiadać summie od 420 do 520 złp.. Podług Liber Beneficiorum archidyecezyi gnieźnieńskiej, w części Małopolski i północnej Wielkopolski, kmieć zbierał od 20 do 30 korcy ziarna, a dochód jego mógł wynosić od dwóch do półtrzecia grzywny, t. j. od 96 do 120 złp. (2).

Wiek XVI był wiekiem walezenia wielkiej uprawy z drobną, dzierżawy za czynsz z dzierżawą za robociznę. Na północy wsie ściągaly produkujace sily do folwarku, na południu osiedlaly się pustynie z czynszu lub odsetku, a pomiędzy temi dwiema dążnościami, pośrednie powiaty zatrzymywały wolność pracy i czynsz jej towarzyszący. Czasy te odznaczyły się wybuchami tu zamożności tam nędzy. W województwach Wielkopolskich, w Mazowszu, Podlasiu, rolnicza ludność stawała się coraz uboższą; w Sandomierskiem, Krakowskiem, Belzkiem jeszcze się trzymała niezawisłe, w uboższych tylko okolicach lub przyciśnięta robocizną, daje poznaki nędzy. Na południu wolna od

wynij y othdanskije dlugye o czo sprawem mal. A. Pozn. 1417. Stanislaus k. de Grabowo ducit test etc. Taco gym pomoz bog y swanti † iaco tho swacza iaco Pan Mroczek Sedleczsky wszanl Stanyslaowy yego sbosza tace wele iaco trzynaczcze grzywen. A. Kons. Poz. 1470. A. Pyzd. 1492.

(1) A. Krak. 1420. A. Łęcz. 1410. A. K. Lwow. 1521.

(2) Liber. Benef. Dioc. Crac. 1440. I, II, III. Jana Długosza. Liber. Benef. Arch. Gnez. p. Arch. Laskj 1513.

folwarku, przymusowej pracy i załogi, okazuje życie, poznanie swych sił, zamożność. W Trębowelskiem na gospodarza przypadało w przecięciu owiec po sto, pszczoł pięćdziesiąt, nierogacizny pięćdziesiąt. W Stryjskiem z wkupujących się do lasów Dolhańskich (osada słynna z zamożności), gospodarz miał od 60 do 70 owiec, a jeden (Vlastin) wkupywał owiec sto dziesięć. W Halickiem na łan przypadało w zamożniejszych wsiach po sześćdziesiąt owiec, w uboższych po dziesięć. We Lwowskiem z bogatym miastem pośrodku powiatu, chłopci posiadają młyny, sadzawki, stawy; słodownicy po kilka łanów dzierzawią; tu się spotyka gospodarz w Zorniszczach, co ma trzy cyrografy, każdy na kilka tysięcy złp. W Kamionackiem zamożniejszy gospodarz na dziewiętnaście sztuk bydła, średni siedmiu, a komornik od trzech do pięciu. W Drohobyżskiem gospodarze ofiarowali Zygmuntowi królowi całą sumę, w której była ich wieś zastawiona. W Lubaczowskich wołoskich wsiach niektórzy mają od ośmdziesiąt do sto sześćdziesiąt owiec, od trzydziestu do pięćdziesięciu innego bydła, a w przecięciu w zamożniejszych wsiach (Żukow) przypadało owiec dwadzieścia siedm, bydła innego trzynaście; w uboższych (Prusie) owiec piętnaście, a bydła po pięć na gospodarza. W Samborskiem, na początku wieku było dwa tysiące sześćset owiec, a dzięki gospodarności Odrowążów, szczególnie zaś królowej Bony, ku końcowi liczone trzydzieści tysięcy owiec (przypada po dziesięć na łan) i dwadzieścia tysięcy nierogacizny. W Sanockiem na gospodarza przypada od dwóch do sześciu owiec i po trzy wieprze: osiadłość sprzedaje się tu od sto pięćdziesiąt do czterdziestu fl. W Przemyskich wsiach przypada po trzynaście owiec na gospodarza. W Sandeckiem osiadłość sprzedawano po czterdzieści fl. Młynarz zostawia w spadku 10 grzyw. na młynie, pięcioro bydła, kozuch, czapkę aksamitną (przedmiot chełpliwości dobrze mającego się w XVI wieku), pierzynkę, zagłówek, dwa półcie mięsa, 2 wiertele tatarskie i żyta, rańtuch, przedkę lnianą i „skrzynkę jedną maluczka.” Można to przyjąć, jako wyraz średniego statku gospodarza (1). Tu przechowuje się pa-

(1) Inw. 1502—1600. Lustr. 1564—70.

mięć o srebrnym pasie, na którego blaszkach wykuty żywot Zbawiciela, a pod Przeworskiem dotąd pokazują pasy, na których w nadobnym wizerunku złączono winogron, sosnową szyszkę i żołądz: podróżującemu następuje się myśl o winodajnym a zatraconym Illiryku, już już ginącej Wielkopolski i jeszcze żywotnej Małopolski. Pod Bochnią gospodarz sprzedaje grunt od 60 do 90 fl. Na cyplu pomiędzy Sanem a Wisłą, w słynnej z urodzajności i gościnności mieszkańców ziemi, gospodarze mają po 40 sztuk bydła; w spadku zostawują po 12000 fl. Zmienne koryta rzek ciągle tam wypłukują garnki srebra na osiadłościach wsi dawnych. Główna zamożność rolniczej ludności ześrodkowuje się koło stolicy: są tu królewskie dobra, w których żaden gospodarz nie ma mniej od 2 osiadłych łąnów: podgórskie spuszczają z Oświęcima do polnych wsi, masę drzewa i gotowych rozebranych domów; wspominają się wsie, których gospodarze mają po 3 i 4 cugi rosłych koni i wynajmują je pod przejazdy króla do Wilna, do Wiednia i Prus. Massa karczmarzy wiejskich posiada tu po pięciu i sześciu kmieci na swych własnych gruntach (1). Zład na północ ślady robocizny okazują się coraz wyraźniejsze: w Sieradzkim opisują się budynki chłopskie, jako grożące niebezpieczeństwem dla mieszkających: spróchniałe, dachy ich podziurawione, słupy stoczone przez robaki; zamożniejszy ma nie więcej nad półpiętej kopy zbioru, żaden nie jada chleba żytniego, ale owsiany „tak ubodzy, że nie wiedzą zkąd już nadal mają żyć.” Ubóstwo ich razi cudzoziemca: widać kobiety „w jednej koszuli, bosą nogą chodzące po śniegu.” Sprzężaj znędzniały, nie zdolny jest wozić po ciężkich Podgórskich drogach wino z Węgier lub drzewo masztowe z borów (2). W Czerskiem z uboż-

(1) Ins. Cas. Crac. 1572. Supl.... Między niżej opisanemi kmieczami dobrze majątni y zamożni bili y wielie ich wozniczami biwalo thak u s. p. króla starego Oicza J. K. M. iako thesz y króla J. M. dzi. niektorzy thesz miowali wozników po trzi y po czterzi czugi y furmanili czassu potrzeb K. J. M. które wsitłkie nizei opisane tentho Czeczothka znędził dobytek y majątnoscie pobral, one rozegnał... Contrib. 1553.

(2) Visit. Pabian. 1519. Tek. Narusz, Desc. della Polonia fatta da Mons. Fulvio Ruggieri.

szych osiadłości zbierają od 20 do 30 kop żyta, 5 pszenicy, 2 jęczmienia, a 10 owsa. W Krasnystawskim podany zostawia po sobie „łyżki srebrne, kilka kawalków srebra i cztery tysiące złp.” Na Polesiu przybużskim zamożny gospodarz ocenia ruchomość na trzysta kop groszy. Pod Warszawą sprzedają osiadłość włóczną za grzywien 16, za Wisłą w Mazowszu zamożny bartnik posiada osmdziesiąt drzew z pszczołami, drzew pustych kóp osmnaście; uboższy, pierwszych dziewięć, drugich kóp dziewięć; średnią barć odprzedawano po czterdzieści kóp groszy; w posagu za córkami dawano do dziewięciu kóp groszy. W Pyzdrym dwóch kmieci zakupują zboża za sto siedmdziesiąt grzyw., co może wynosić przeszło siedm tysięcy złp.; inny kmieć, Matias Konieczny, posiada dziewięćdziesiąt dziewięć sztuk bydła w oborze, „znaczną gotówkę, srebro i złoto, robione i niewyrobione, przez różne osoby u niego zastawiane.” We Wschowskim, Jan kmieć, tytułem posagu za żoną, bierze w pieniądzech pięćdziesiąt zł., owiec trzydzieści, drew olszowych sągów dwadzieścia (1).

Oświata, handel i przemysł Europy zachodniej, przebudziły u nas od połowy XVI wieku, zabiegi około poruszania niekniętych źródeł bogactwa; ale już w wieku XVII objawia się w tém działaniu dążność do wyłączenia od tych korzyści najliczniejszej kategorii czynników, to jest chłopów. Właściciel folwarku zamożnieje, a to nie kosztem targu, ale ograniczeniem zapłaty pracującym, taniością produkcyi. Upadek miast niweczy krajowy, dotąd przez chłopów prowadzony wewnętrzny handel, utrudza zamiannę wyrobów przemysłu miejskiego na rolnicze; targ oddala się, zależy od zagranicy, zatem przechodzi siłę kapitału chłopu. Samokupstwo handlów, szynków, rzemieślników, łowców, niepewność posiadania, odbiera ludności środki i bodźce do produkcyi. Gospodarstwo leśne, które zastępowało niedostatek przemysłu, zaginęło, a nim jeszcze zradza się przemysł, już podczas nieurodzajów ludność zostaje bez wszelkiej podpory, i musi prosić o wsparcie w folwarku. Pod wpływem tych wszystkich przyczyn,

(1) A. Metr. Lit. XXVIII. 1539. A. K. W. 1519. 1597. A. Wsch. 1603. Lib. Terres. Pyzd. 1638. Man. Pobor. 1627.

do których się przyłączyły i wojny, stan ludności musiał się pogorszyć. Na kierunku od Karpat przez wierzebowiny Dunajcu, gospodarz na prawo od Sącza, zbiera od trzydziestu do pięćdziesięciu kóp zboża, cztery wozy siana, pastwisk i lasów ma podostatkiem, osiadłości sprzedają się tam po sześćdziesiąt fl.; na lewo, zbiera od czterdziestu do stu pięćdziesięciu kóp. Gospodarze mają po dwie pary wołów i jednej koni; ale sprzężaj wypożyczony, krów własnych do sześciu. Zagrodnicy po dwie krowy. Dalej ku północy, pomiędzy Tarnowem a Wisłą, wpośród wsi zamieszkałych przez kmieci znajdują się inne, całe osiadłe przez zagrodników: z zagrody robią po pół dnia pieszo na tydzień, i kupują zagrodę po czterdzięci fl.; kmiecie zbierają od czterdziestu do sześćdziesięciu kóp zboża, a są, których zbiór i ośmdziesiąt kóp dochodzi. Sprzyja tu gospodarstwom rozległość pastwisk. Koło Tarnowa gospodarz mający gruntu do trzech prętów chowa parę wołów, jednego konia i do trzech krów; cztero-prętowy gospodarz ma parę wołów, do sześciu koni i do pięciu krów. Odleglejsi od prawego brzegu Dunajca, w okolicach Bochni, zbierają po czterdzięci kóp oziminy, lubo w niektórych wsiach zbiór ogranicza się dwudziestu kopami; cena roli równej co do przestrzeni i płonu, ale nierównej co do powinności, zmienia się między ośmdziesięcioma a czterema fl. W okolicach Krakowa na lanie znajdzie się do dwóch par wołów, para koni, krów do ośmiu a od ośmiu do czternastu sztuk innego bydła. Na lewym brzegu Wisły, koło Lipowca, zbierają od dwudziestu do pięćdziesięciu kóp zboża; wartość osiadłości wynosi tam do stu pięćdziesięciu fl. Koło Siewierza grunta niskie, błotniste; są tu liczne wsie zagrodnicze; kmiecie od dziesięciu do ośmnastu kóp zbierają, a rzadko więcej nad dwadzieścia cztery; od czterech do ośmiu kóp zbierają zagrodnicy. Bawią się tu chowem bydła; gospodarz ma po dwie pary wołów, krów do ośmiu, owiec do czterdziestu, i do ośmiu sztuk innego bydła. Dalej ku północy zbiór od szesnastu do dwudziestu kóp wynosi, bo grunta są piaszczyste. Koło Sławkowa siana nie zbierze nad dwa wozy, a od piętnastu do czterdziestu kóp zboża; gleba piaszczysta i kamienista. Na osiadło



ściach koło Olkusza, gdzie grunta są powate, piaszczyste i skaliste, plon wynosi od trzydziestu do czterdziestu kóp, a osiadłość sprzedaje się, z obowiązkiem czterodniowej robocizny na tydzień, po trzydziści do trzydziestu ośmiu fl; z sześcioma dniami robocizny do roku, ze zbiorem o połowę mniejszym niż w pierwszej, np. kop piętnaście, po dwieście fl. Ku Szkalmierzowi grunta są żadne, pastwiska obfite; od czterdziestu do osmdziesięciu kóp zbierają, a robotują po dni trzy i cztery t. j. tyle co pod Siewierzem, lubo zbiór tylko połowę tego wynosi. Nad Nidą najmniejszy urodzaj przynosi kóp trzydziści, średni sześćdziesiąt, ale dochodzi zbiór i do dziewięćdziesięciu. Pod Sandomierzem urodzaj pewniejszy, i ziemia prawie wszędzie równiej żyzności, równiej podziela, a wydajność pól zmienia się pomiędzy pięćdziesięcioma a sześćdziesięcioma kopami oziminy. Na południe od Radomia, koło Ilży, z gruntów glinowatych i piaszczystych zbierają od dwunastu do dwudziestu pięciu kóp zboża: rzadko której wsi udaje się zebrać kóp czterdziści—a wszystkie zarówno robią po dni cztery i trzy. Tu rolnicy mają po cztery woły, zagrodnicy po dwa, a więcej i jednych i drugich bez sprzężaju. Koło Kielc, na gruntach piaszczystych i kamienistych, mogą zebrać od czternastu do siedmdziesięciu kóp, więcej jednak pomiędzy dwudziestoma a trzydziestoma kopami zbiera. Na zachód od Łowicza ku Kaliszowi, bywało na włóce od trzech do pięciu sprzężaju, krów do trzech; w niektórych wsiach przypadało i po szesnaście sztuk bydła na włókę. Po wojnach szwedzkich liczba bydła umniejszyła się na cztery, owiec do sześciu; a w kilkanaście lat później liczba owiec wynosiła na włókę przeszło piętnaście. W Poznańskim kmieć robotujący każdodziennie, ma trzy pary wołów, trzy konie, a są, którzy i po dwanaście koni chowają; kmiecie i chałupnicy trzymają po kilkanaście owiec; po wsiach mieszkają owczarze utrzymujący stada po sześćdziesiąt i więcej, a w Nakielskiem, karczmarze (klasa tu zamożna) chowają w stadzie i po trzysta. Zamożność chłopów pruskich zwracała uwagę podróżujących: w Malborskiem włóka gruntu sprzedawała się po siedmset fl; na Żuławach gburowie swoim kosztem stawiali tamy, za-

ciągając pożyczkę i wypłacając po kilkadziesiąt tysięcy tynfów. Cofając się wstecz Wisłą, w Płockiem ogrodnik samotrzeć wysiewa parę korcey oziminy, zbiera parę kóp żyta i kilkanaście snopów pszenicy, a w oborze ma parę krów, jedną owcę, parę nierogacizny i ze trzy woły. Rzemieślnik samotrzeć (kołodziej, cieśla, szewc) wysiewa oziminy korcey ośm, zbiera żyta kóp ośm., pszenicy dwie; może mieć wołów cztery, krów parę, parę owiec, nierogacizny pięcioro i konia jednego. Półwłóznik, od samoczwart do samosiódm, wysiewa od trzech do szesnastu korcey oziminy, a od trzech do czterestu kóp zbiera; ma dwie pary wołów, parę koni, do czterech krów, kilkoro nierogacizny i do trzech owiec. Włóznik od samosiódm do samodziwiąt, wysiewa nie mniej nad ośm korcey żyta, dwa korce pszenicy, półtrzecia jęczmienia, siedm owsa i t. d.; krów ma do pięciu, cztery owce i sprzężaj taki, jak półwłóznik. Który trzyma dwie włóki, np. włodarz, ma wołów dwie pary i koni ośm. Na Podlasiu na dwie włóki przypada pięć sztuk bydła i wysiewa się od trzech do pięciu korcey oziminy; bliżej Bugu, w Bialskiej i Drohickej ziemi, sprzężaju na sześciu gospodarzy przypada sztuk siedm, na siedmiu gospodarzy sześć ulów z pszczołami. Najwięcej ulów w jednych ręku jest ośmnaście. W Lubelskiem gospodarz ma po parze wołów lub koni, i cztery krowy. Na Wołyniu przybużskim, na włókę oziminy przypadało pięć sztuk sprzężaju; dalej ku wschodowi, na włókę wypada od siedmiu do jedenastu sztuk sprzężaju; ale względem liczby gospodarzy na dwóch trzy sztuki przypada. Za Lwowem, trzymający trzecią część dworzyszczą, chowa jednego konia lub parę wołów; ćwiertny gospodarz ma jednego konia, lub wołu, albo jest zgoła bez sprzężaju; podsadek zaś nietrzymający gruntu, posiada parę koni i parę wołów: wielkość inwentarza nie idzie za rozległością gruntów, ale za zmniejszaniem się powinności. Koło Doliny i Lwowa, po nieszczęśliwych wojnach Jana Kazimierza, w zamożniejszych wsiach (Perehińsko) przypada w przecięciu na gospodarza po siedmnaście owiec; w innych (Troszczaniec, Huziejów, Ilenia) po sześć, a od jednego do trzech ulów. Później półćwiertni trzymają po parze koni lub wołów.

éwiertni od pięciorga do siedmiorga sztuk bydła. W Rohatyńskim naznaczyć można po siedmnaście ulów na gospodarza, w Kołomyjskim po pięć, a owiec dziewięć; w Sniatyńskim tych po siedm, nierogacizny po pięć, pszczoł po cztery. W Halickim gospodarze mają od dwóch do sześciu wołów, do trzech koni i do trzydziestu owiec; zamożniejszy chowa do czterech krów i do dwustu owiec. W Samborskiej ekonomii, w lepiej uposażonych wsiach (Rossohacz, Ilnik królewski), przypada na łan po pięćdziesiąt owiec, a na gospodarza po dwadzieścia, nierogacizny zaś po dwanaście; w innych na łan po dwadzieścia, a w niektórych tylko po sześć owiec. Na gruntach wolnych od robocizny (wolnietwach) owiec sto na łanie. Gdzie chowają pszczoły (Czernilowa, Olszanica) przypada na gospodarza po czternaście ulów. Koło Przemyśla gospodarz ma trzy konie, sześć sztuk nierogacizny i jałówkę. Nieco ku północy największy dochód gospodarza jest złp. sto dwadzieścia, średni od sześćdziesięciu do siedmdziesięciu (1). Pierwszym znakiem zamożności jest mnogość żelaza w używaniu. Żelazo dla północnych województw odbierano przez Gdańsk, dla południowych z Węgier. Wyroby żelazne krajowych fabryk, leżących między Kielcami a Lubaczowem, daleko taniej się sprzedawały, ale daleko niższej dobroci były. U naszych chłopów mało używano żelaza (2).

Usunięcie ludności rolniczej od korzystania z owoców produkeji zniweczyło w wieku XVII zamożność kmieci; a w końcu tegoż wieku i w następnym XVIII, dotknęło nareszcie i tych, co rzekomo korzystali już wyłącznie z produ-

(1) Inw. Bwa. Krak. 1668. Arc. Gnieź. 1685—1759. Bwa. Płoc. 1610—35. Bwa. Łuck. 1686—1755. Arc. Lwow. 1701. Bwa. Przemys. 1747. Inw. Brzeżan. 1683. Tarnow. 1607—9. Rzeszow. 1694. Łańcut. 1765. Radzim. 1726. Siemaw. 1703. Boćkow. 1694. Kurnik. 1654. Rozwad. 1700. Włodawy. 1694. Stepan. 1654. Poryck. 1690. Rakolupy. 1696. Lust. Inw. Rew. Dóbr. Król. 1616—64.

(2) Wyr. Tryb. Lubel. Wyroby żelazne w Drohickim 1605. Szabla, szyny z kół, świder, siekaczki, szosniki, wyrwanty, pęta, żelazo do klepania kos, kosa, siekiery, dłóto, pilki. Lwow. 1607. Żelazo pluzne, świdry, noże osne, siekiery, kosy, sierpy, rydle, motyki, podkowy, zęby od bron żelazne.

keyi, to jest właścicieli. W XVII w. nędza zgmiotła kmiecia, obnażyła go i chałupę jego z dostatku; w XVIII zajrzała do dworu i jemu téż samém zagroziła. Gospodarstwo leśne straciło swoje ostatnie przytułki: przemysł, bez którego rolnictwo podnieść się nie może, jeno się poczynak: instynktowo massy brały się do niego, widząc swe obnażenie i niedostateczność zapomogi dworskiej; ale jakże daleko jeszcze był od wzrostu i dojrzałości? Najdawniejszą wzmiankę o wyrobach płóciennych natrafiamy na początku drugiej połowy wieku XVI, w Sandeckiem, (najdawniejszy warsztat ma rok 1634); trzymając się on gór, już w XVIII wieku rozpostarł się aż po Pokucie. Przemysł ten podaje punkt oparcia się dla mniej silnych w walce ich z nędzą, ażeby skupili kilka groszy podczas taniości ziarna, lub przekarmili się podczas głodu. Wypalanie garnków, wyrabianie kamienia, palenie wapna, robienie galarów nad Sanem i Wisłą, gdzieniegdzie dopomaga rolnictwu, utrzymuje ludność, ale musi walczyć z przynagleniem do tygodniowej robocizny i zbytmi wymaganiami właścicieli. Podgórska ludność zarobkuje na wyrobach z drzewa i żelaza, i chętnie je mieszczanin pod Sukiennicami kupuje: rozwózka soli, obfite dawniej źródło zarobku, pod naciskiem przytwierdzenia, samokupstwa i braku gościńców, ustala zupełnie. Na południu oplaca się ogrodnictwo, a już i tytuń; po podgórskich żłobinach niskie gatunki wełny przynoszą drobny zarobek; na Rusi opędza wydatki włościanina tuczenie wieprzów. Ale dalej na północy, pomiędzy Wartą a Bugiem, ludność jeszcze bardziej zostaje obnażoną; barcie Podlaskie i Radomskie poniszczą, kuźnice Kieleckie nie postąpiły, Olkuskie góry zaniechane. Żeby poznać jak ubogim jest skarbem rolnictwo gdy obok niego nie kwitnie przemysł, potrzeba było zwiedzić Mazowsze. Tu podczas nieurodządu wsie wyludniały się, dwory stały pustką, a gdy do tego przyłączyła się wojna, targowiska miast grodowych zapełnione bywały inwentarzem chłopskim sprzedawanym w drodze ekzekucyi za nieopłacone podatki (1). Flis, wyrób dziegieciu, kół, smoły, przywóz

(1) Wyr. Tryb. Label. 1650—80.

drew do Warszawy, słabem były zaopatrzeniem potrzeb rolniczej ludności. Nędza przeto chłopów straszliwym ciężarem upada na dwory: załoga i wsparcie podczas nieurodzajów pochłonywają korzyści z wyprzedania zbóż podczas urodzaju, lub, gdy podczas głodu ceny miejscowe nie mogą w równi iść z zagranicznymi i ziarna zatrzymać, rolnik albo ginie z głodu, albo opuściwszy osiadłość zaludnia wschodnie województwa. Przytwierdzenie nie pozwoliło wzrosnąć miejskiej ludności i przemysłowi, na targach przeto krajowych nie ma cen, a zatem i środka na przymnożenie kapitału, utworzenie zapasu na dni nieurodzaju. Uprawa wielka z przytwierdzeniem bezustannie mnoży siły robocze, mnoży samokupstwa, wydoskonala środki przymusu, pochłania wszelkimi organami zasób ludzi i ziemi, a mimo to nędza we dworze, nędza w chałupie. Niezmierne massy ziarna i pieniędzy przelewają się po powierzchni kraju, a nędza z rozpaczliwą wytrwałością miłuje Polską ziemię. Uprawa wielka skarży się, że zgoła żadnego nie ma dochodu: że jednego drzewa chłopci spalą rocznie tyle, ile cały dochód wynosi; że kilkunastu parobków zrobi to, co teraz skutecznie kilkadziesiątu przymusowych osiadłych; kilka lat dzierżawy obraca się na zapomożenie. Chłopi wyprzedają się z odzieży, inwentarza, porzucają rolę, odwykają od poprawy budynków: wszystek czas oddają robotowaniu do dworu, ale też wszystko chcą mieć ze dworu: żywność, inwentarz, budynki (1). Ośmnasty

(1) Odpow. etc. Kamer. 1763..... les Economies de Crac. consommation par an en bois de toutes sortes, pour les métairies, brasseries et batimens des sujets une quantité de bois qui surpasse au double le montant de la ferme de ces économies. 1738. Adminis. Bwa. Krakow. 1792. Sup. Zrodzeni y wychowani w dobr. niegdyś Bwa. Krak. a teraz obróceniu na Skarb N. R. P. a nadto przez uwielbioną od całego Narodu nową w d. 3 maja 1791 r. zapadłą konstytucyą, poddani pod łaskawą prawa opiekę, niezgorszeni dawnym, lecz słusznie czujący zbytek krzywdzących nakazów nowego dzierżawcy rządu, ile uciażeni nad przepis w Iuw. z jawną krzywdą naszą nie w żadnym błędzie niecierpliwości lub niepodległości, bo znamy Boga i Wiare, że należy szanować Zwierzchność, lecz jedynie bojąc się na dalszy czas ostatniej nędzy dla nas y dla naszych dzieci udaiemy się z pokorą do Nayłaskawszych etc. Oświadczył też y to gromadzie (p. Tyborowski,) że nas wszystkich ma wygnąć ze wsiów, a 20 parobków z wołmi

wiek sato Saturnalie robotowania. Cały ciężar tego położenia spadł na pokolenie, które z nieszczęsną lubo godną chwały odwagą podjęło się naprawić stan rolniczej ludności w drugiej połowie przeszłego wieku.

*D. c. n.*

zastąpić nasze miejsce, więc żądamy rezolucyi, czy nam wolno będzie odejść za granicę etc. Supl. Krasnyst. 1789.... od wieku y dawnych czasów antecessorowie y my sami pańszczyzny nie więcej, jak w jednym tygodniu wielką po dni 2, a w drugim tygodniu mniejszą zwaney po dniu 1 odrabialiśmy; od lustracyi zaś r. 1765 wszyscy, prócz zagrodników, w każdym tygodniu po dni 3 odbywać musimy, przez co nie tylko do ostatniej mizeryi przyszlizmy, że któren z dawniejszego zasobu miał chudobę y odzież, na żywność wyprzedać zniewolony został, ale nadto jeszcze, gdyby nie litość JW. Pana Naszego Miłościwego, ratując nas w ostatniej potrzebie nie wspierała, z głodu umierać, albo zebrawszy dziatki uchodzićbyśmy musieli. Sup. Urzęd. 1789.... 21<sup>o</sup>. Jako w tak ciężkich robotach utraciwszy sprzężay y mocno pomarnowawszy musieliśmy się u dzierżawcy zapożyczyć na sprzężay pieniędzy, a na wyżywienie siebie y dziątek zboża, prawda że poratował, ale niech Bóg od takiego ratunku zachowa, bo za te pieniądze w prowizyi niezmiernie ciężary musieli wozic do Wisły, a przeto ten sam sprzężay zniszerowaliśmy (jakoto tarcice na złą drogę po 6 kłoców) y powtórnie utracili. Myśli polit. r. 1789..... Nie jestże ubóstwo kiedy chłop od zbioru do zbioru zbóż obżywić się swoim chlebem nie może, koniecznie z szpiclerzów pańskich pomocy potrzebuje, albo jeżeli się który obżywi składa dwoje lub troje bydła. Wówczas ubóstwo nie jest, kiedy prócz żywności ubezpieczony w pomoc na różne przypadki swojej osoby. Takiego chłopca w wielu wojew. nie znajdziemy na mil 4 kwadr. nad jednego, a w wojew., które się zowią bogato, nad czterech lub pięciu.

Wiek jako Szamrańskie robotowania. Cały ciężar te-  
go położenia spadł na barki, które z niebezpieczną  
lubo godną chwałą obywateli podjęto się naprawić stan  
rolniczej ludności w drugiej połowie piętnastego wieku.

## ZACZĄTKI PIŚMIENNICTWA POLSKIEGO.

PRZEZ

*Dominika Szulca.*

(Ciąg dalszy).

### *Ziemiańskie.*

**Piśmiennictwo krajowe** wyrasta z działania sił żywo-  
tnych pojętności ludzkiej, zostających na wzór ziarna  
pod wpływem okoliczności rozbudzających lub opóźnia-  
jących ich rozwój. Te zatem warunki winny istnieć,  
nim się organizmy myśli objawią i nie zapiszą na wyka-  
zie postępu narodowego.

Ze wszystkich położzeń w społeczeństwie polskiem,  
ziemiańskie najwięcej posiadali warunków przyspieszyć  
zdolnych rozwój towarzyski. Od czasów albowiem  
przedhistorycznych mieli udział w prawodawstwie, pil-  
nowali swojej samoistności, i roztrząsali na zjazdach  
środki dobra powszechnego. Przystęp jak najdawniej  
zastrzegli sobie obowiązek tylko obrony krajowej, nie  
myśląc wcale o zdobyczy. Wielkim przeto byłoby błą-  
dem poczytywać ich za rycerstwo średniowieczne lu-  
dów zachodnich, które służyło za wierne narzędzie  
podbojów dla panów feudalnych.

Z tych powodów wśród szkolarstwa jałowego dla życia obywatelskiego, Ostrorogowie, Rytwiańscy, Tarnowscy, Melsztyńscy pierwsi wywiesili chorągiew postępu, i to pod dwojakiem hasłem: zniesienia niedorzeczności panujących, i zmiany reprezentacyi narodowej. Później z tego samego źródła wyszła oświata filozoficzna, i dość długo przodkowali ziemianie, póki ogólny upadek ich umysłowy, i podział pracy, zgodny z potrzebami cywilizacyi nie zaczął wyraźniej odkreślać od nich rzędu ludzi poświęcających się wyłącznie wykryciu prawdy, wynalazkom i sławie narodowej.

### *Dawność bytu narodowego.*

Zawięź społeczeństwa polskiego sięga nietylko czasów przedpiastowych, ale wyprzedza o wiele wieków samą erę zwyczajną. Na lat 450 przed tą epoką Herodot wspomina o Wudynach mieszkających u źródła Dniestru, rozdzielając ich w tym miejscu na dwa pokolenia. Ci Wudyni są Wendowie, którzy w całej Europie oznaczali dawniej Słowian, jak dziś w Saksonii są nazwą Serbów łużyckich. Dniestr zaś i Sando dnia dzisiejszego odgranicza Rusinów od Polaków. Pytheas w peripluswoim, czyli podróży morskiej, odbytej w r. 334 przed Chrystusem, dla zwiedzenia brzegów w bursztyn obfitujących, mówi o przepłotach zbożowych używanych dotąd na Litwie. Nazywa on ludy tu zamieszkałe Estiami, które to samo znaczą co Litwini, za świadectwem księcia Witowta. Od ujścia zaś Wisły w morze przed Królewcem, do Żuław i Mazowsza bardzo jest blisko; nie mogło zatem być nieznanie w ten czas rolnictwo u Polaków o kilka mil odległych. Gdzie zaś rolnictwo, tam istnieją stosunki własności, sądownictwo, administracya i prawodawstwo. W ostatnim względzie jednogłośne jest świadectwo pisarzy greckich i niemieckich, że tak południowi Słowianie koło morza Czarnego jak i północni nad Bal-



tyckiem zamieszkali, roztrząsali sprawy krajowe na zgromadzeniach powszechnych, *ἐν δημοκρατία*, reprezentujących wszystkie interesa. Prokopios z Cezarei sekretarz Belizaryusza dodaje nawet, że nieinaczej od wieków najdawniejszych postępowali. Z tego się pokazuje, że od niepamiętnych czasów jeden był typ prawodawczy właściwy wszystkim pokoleniom wielkiego szczepu.

Z ogólnej Słowiańszczyzny nazwa Polaków występuje w drugim wieku po Ch. u Ptolemeusza, jeżeli wyraz nie jest mylnie napisany, bo w niektórych rękopisach zamiast *Bulanes*, czyta się *Sulanes*. Ale żadnej wątpliwości niema co do samego rodu polskiego, bo tenże Ptolemeusz wspomina o Gołędzianach na wschód Wisły mieszkających, których książęta mazowieccy ustąpili Krzyżakom, a których wymieniają, kroniki ruskie. Jest to mazursko dzisiejsze z miastami Działdowem i Szczytnem. Pliniusz koło r. 79 po Ch. po staremu nazywa Nadwiślan Wendami. Jordanes zaś biskup raweński, piszący w VI-tym wieku, poczytuje Słowian nad Wisłą zamieszkałych, za naród bardzo rozległy i liczny, używający miejscowych nazwisk, różnych od głównego miana Słowian. Od końca X tego wieku nieprzerwanie już nazywają się Warcianie i Wiślanie Polakami.

Ten ród polski rozciągał się przed 700 laty do źródeł Eidory u granicy duńskiej, a dalej opierał się o Wezerę i Elbę. Ważna ta prawda, najnowszemi badaniami wyjaśniona, może tylko napotkać wątpliwość u tych, którzy około nauki nie chodzą, albo żyją uprzedzeniem i trwają w uporze dziecinnym. Nie lękajmy się jednak o jej pomyślność; jest ona tak zjednoczona z dziejami krajowemi, tak żywotna i łatwa do sprawdzenia, że się nie domaga od nikogo poparcia.

Położywszy zasady dawnego bytu, ludności i prawodawstwa, przystępujemy do skreślenia stanu kraju w czasach przyjęcia chrześcijaństwa, odmian zaszytych przez zetknięcie się z cesarstwem rzymskiem i re-

formy rzeczypospolitej dokonanej przez ziemian. Jaśniejsze pojęcie o należyłościach i powinnościach obywatelskich, o potrzebie światła z głębi duszy natchnionego, czyli zjednoczenia ludzkości z rozumem, jako odwiecznych praw człowieka, stało się przy coraz przyjaźniejszych okolicznościach dźwignią ważnego w tej epoce postępu.

### *Początkowe uspołecznienie.*

A naprzód wszyscy właściciele części kraju nazywali się ziemianami; wyraz szlachcic jest późniejszy. Każdy z nich był dziedzicem do ósmego pokolenia, co zupełnie jest przeciwne feudalności. Wszyscy w prawach równi, tak że właściciel zagrody tyle ważył w obliczu prawa cywilnego, administracyjnego i politycznego co wojewoda. Ich lepianki zalegały kraj cały; gdziekolwiek tylko ukazywały się dworki: świadectwo większej zamożności. Obraz tych przodków zachowali do dnia dzisiejszego Pobożanie i Łukowianie, szacowny zabytek dawniej prostoty. Drobnosc ta na Mazowszu, przed dwustu jeszcze laty, podług Starowolskiego, dochodziła do czterdziestu pięciu tysięcy rodzin ziemiańskich. Wśród tych siedzib wznosiły się świątynie bóstw opiekuńczych nad bezpieczeństwem, cnotami domowymi i gospodarstwem: Światowida, Borowida, Jarowida, Radgosta, Prawdy czyli słuszności, Żywia, Dziewanny, Pogody; lub szkodliwych w zatrudnieniach rolniczych: Gromu, Pochwiściciela, Lela, Polela, Morzanny. Obchody połączone były ze śpiewami, których ułamek nas doszedł, z powodu dłużej zachowanego zwyczaju rzucania bałwana Morzanny urobionego ze snopu, do błota:

Smierć się wije po płotu,  
Szukająca kłopotu.

Przy prostocie życia płody rolnicze, zwierzyna, ryby, miód i owoce stanowiły dostatek. Płótno było najpowszechniejszym przedmiotem zamiany, za które na targach nabywano prawie wszystko. Użycie pieniędzy zastępowały czasem bobry, kuny, gronostaje, popielice, lisy. Największą osobliwością handlową było sukno zagraniczne, którego kilka łokci, koloru zwłaszcza karmazynowego i para wołów wystarczały do nabycia fortunki ziemiańskiej.

Ale pod prostą oponą było serce ludzkości pełne; każdy się dzielił jak Piast całym mieniem ubogiego domku; każdy codziennie zastawiał stół z jadłem dla przychodni, przykryty obrusem chroniącym go od much natrętnych. Przyjaciele na znak pokoju podawali rękę, a w zakład wiary zostawiali rękawicę. Tak jeszcze postępował Bolesław Krzywousty z Pomorzanami, chcąc ich ogniwem braterstwa z Polską połączyć. W chwilach wolnych oddawali się namiętnie polowaniu, co dało powód jednemu z papieży, podług świadectwa starożytnych kronik, uczynienia uwagi nawróconemu na chrześcijaństwo niedawno narodowi, iż więcej myśli o psach niż dzieciach. Naczelnika narodu, księcia, wybierali ze stanu ziemiańskiego, a nie nazywano go dlatego królem, podług zdania dziejopisa Bogufała, że to miano pożyczano za niewłaściwe dla brata z jednego rodu pochodzącego. W całej zachodniej polszczyźnie, jedni Rugianie mieli króla, którego się wielce lękali, dla związku jego z bogami albo raczej duchami. Dla oznaki woli powszechnej wybór następował nie przez posłów, ale przez wszystkich ziemian zebranych. Do księcia należał domiar sprawiedliwości, szczególnie w wątpliwościach ważniejszych, dotyczących dziedzictwa, oraz zarząd najwyższy kraju i stosunki międzynarodowe.

Corocznie w jesieni zbierali się ziemianie z Naczelnikiem dla załatwienia sporów sądowych, na tak zwane

wieca czyli rozmowy, które się odbywały na łąkach pod namiotami. Strona szukająca sprawiedliwości, doradzała sobie w tém położeniu jak mogła; a chociaż wieca trwały tylko dni kilka, nie obeszło się jednak bez nadużyć w stodółach, stogach, dachach i płotach, co uchodziło za prawo pospolite czyli publiczne.

Zjazdy inny cel miały. Książęta przewidując napad nieprzyjacielski na swoją lub sąsiednią ziemię, szukali zezwolenia ziemian na pospolite ruszenie, a uzyskawszy je, rozsyłali wici po powiatach oznaczając termin ostateczny wyprawy. Na zjazdy takowe zbierali się i książęta sąsiedni, jeżeli w tém dobro swoje widzieli.

W razie wystąpienia z karbów władzy przodkującej, ziemianie wołali na rokosz (confoederatio), który według ustawy przyjętej, był hasłem obowiązującym każdego pod najsurowszą karą, bez względu na stosunki osobiste. Ten zwyczaj nazwano później nierządem, o którym Andrzej Koryciński żartobliwie powiedział, że był kilka tysięcy lat rzeczypospolitej szkodliwy.

Przy małej ludności, a znacznych obszarach ziemi leżącej odłogiem, lub pokrytej lasami, uprawa ręką jeńców, jak się niekiedy zdarzało, była wielce niedostateczna, tém bardziej, że znaczną ich liczbę na targach bałtyckich przedawano, lub za okupem wypuszczano na wolność. Należało więc myśleć o osadnikach dobrowolnych, którzyby za ustąpione użytkowanie z roli przyносили właścicielom pomoc w zatrudnieniach gospodarskich, albo płacili dzierżawę płótnem lub futrami. Pierwszy sposób okazał się praktyczniejszym. Gdy własność ziemska i wynikający ztąd obowiązek pospolitego ruszenia były podstawą praw politycznych za pogaństwa, wieśnice zatem pracujący na cudzym gruncie, i nie idący na wyprawę wojenną o własnym koszcie, tych swobód nie używali. Ale przeszło nie byli wcale wyłączeni od ogólnej sprawiedliwości krajowej, jak tego najwido-

czniej dowodzą wieca na granicy dwóch epok pogańskiej i chrześcijańskiej, odprawiane. Bolestaw W. nie tylko rolnikom domierzał sprawiedliwość wspólnie z ziemianami, ale pilnie przestrzegał pierwszeństwa skargi.

Dzielili się wieśnice na osadników, zagrodników, chałupników i kmieci. Pierwsi trzej byli wolni; ostatni tylko do roli przywiązani.

Osadnicy uprawiający nowinę, przez lat kilka nie pełnili prestacyj, potem odprawiali zaciągu zwykle dzień jeden w tygodniu z włoki, a po upływie zakreślonego czasu, wyprowadzać się mogli swobodnie na inne miejsce.

Podobnie i zagrodnicy na małej części gruntu, za umówioną robocizną siedzący, opowiedziawszy się na dwa tygodnie, przed terminem, bez przeszkody opuszczali miejsce.

Tém bardziej chałupnicy mieszkający w dworskich lub rolniczych budynkach, w oznaczonym czasie uwiadomiwszy właściciela, zmieniali siedzibę.

Inaczej było z tak zwanymi kmieciami: ci dzierżawę mieli znaczną, ale ucisk i niewolę jeszcze większą. Właściciele i książęta oprócz gruntu dawali im załogę w koniach, wołach, narzędziach gospodarskich i obsiewie. Za to obowiązani byli kmiecie pracować najwięcej dni trzy, jak się z ustaw synodalnych różnowierców XVI-tego wieku okazuje. Lecz i ci w oznaczonym czasie mogli się wyprowadzić, dawszy na swoje miejsce innego gospodarza. Tak się działo obyczajem dawnym na Mazowszu (Czacki o Lit. i Pol. praw. T. II, str. 200). Wtedy tylko, kiedy kmieć nie w terminie wyszedł, właściciel go poszukiwał, lub przyjmował za ręczenie nowego pana co do uiszczenia szkód poniesionych, i kary za nieprawne odejście. W innych częściach Polski, prócz trzydniowej robocizny, kmiołek ponosił ciężar żniwa i zasiewów. Szczególniej potrzeba pastwiska, wrębu lub zbieraniny, oraz zapomogi do tego sto-

pnia powiększyła prestacye, że w końcu kmieć sześć dni pracował, a siódmego listy nosił. Takie poddaństwo osobiste zrodziło srogość i okrucieństwo w umyśle chciwym i zdziaczłym nie jednego właściciela. Dziwić się przeto nie należy, że zubożały i spodlony rolnik szukać musiał ocalenia w ucieczce, najstraszniejszej karze dla dziedzica.

Z tego się okazuje, że stosunki rolnika do właściciela były od początku dzierżawnej przyrody, że ucisk nastąpił z powodu ustnej umowy, załogi, i dozwoleń tak pastewnych jako i leśnych. Wydzierżawienie samego gruntu, bez patryarchalnej i zgubnej pomocy, pod rękojmą prawną, oznaczyłoby na czysto stosunki wzajemne, i zapobiegłoby nadużyciom, na które narzekała stolica rzymska przy wprowadzeniu do Polski chrześcijaństwa; ale włościanin, równie jako i ziemianin zostawali wtenczas w stanie początkowego uspołecznienia.

Za chrześcijaństwa, od Bolesława W. odkryło się wielkie pole do potęgi, narodowości i ulepszeń towarzyskich. Nadewszystko pierwszy raz daje się widzieć dążność do połączenia wszystkich części rodu polskiego w nierozzerwaną całość. Jakoż ten władca spoił Małopolskę, Pomorze i Mazowsze z Wielkopolską; pod okiem króla niemieckiego odebrał Serbiam, a Bolesław Krzywousty zaodrzańskich Lutocian, z wyspami Lubinem, Uzną, Rugią i morzem. Gdy to jednak niedługo trwało, a nastąpił zupełny upadek kraju we XII-ym i XIII-tym wieku, wtenczas Przemysław, Łokietek i Kazimierz dźwignęli naród, pokrzepili go nadzieją, i przygotowali odrodzenie za Jagiełłów, którzy nie tylko wrócili dawną wielkość nowej ojczyźnie, ale rozciągnęli jej granice do portu Koczubeju na euxynie i Nowgorodu północnego, a potęgę przez związki rodzinne do morza Adryatyckiego.

W hierarchii duchownej jeden z Bolesławów usuwawszy cudzoziemców, oddał naczelnictwo kościoła

rodakom, aby podlegając władzy zagranicznej nie przestawali być obywatelami.

Niektórzy z książąt, okazali troskliwość względem polepszenia doli rolnika. Przed Bolesławem Wielkim żaden kmiotek z wolikami i owcami nie uciekał, żaden się nie troszczył o sprawiedliwość na wiecach, bo król w obliczu sprawiedliwości różnicy nie czynił. Kazimierz Sprawiedliwy obronił chudobę rolnika od łupieżstwa powstańców książęcych, Henryk Brodaty miał znieść podatek zwany dziewiczym i wdowim; Kazimierz W. dozwolił dwom synom z chałupy poświęcić się nauce; Ludwik uchylił podwoły, naprawę zamków i dróg oraz stacye książęce.

#### *Wsteczność feudalna.*

Ale obok tego nie mniejsza jest liczba wypadków które tak dalece nie odpowiedziały potrzebie postępu, że wielki miłośnik rzeczy krajowych, ale nie mniejszy i prawdy, Długosz, poczytywał Polskę do XIV-tego wieku za kraj dziki. Główną przyczyną wstrzymania soków przyczyniających się do wzrostu narodowego było zetknięcie się z niemczyzną. Bolesław I król polski, na wzór królów niemieckich zaprowadził u siebie dwunastu doradców, którzy zmniejszyli potrzebę częstszego zwoływania zjazdów. Na czele dworu stał minister pałacowy, comes palatinus, jakim był później Sieciech za Władysława Hermana, i Skarbimierz za Krzywoustego. Zaprowadził na tenże wzór szlachtę, różniącą się od ziemian arystokracją rodową, zdobną złotym łańcuchem. Urządził dwór feudalny z krajezych, podczaszych, podkomorzych i pachotków, dla których codziennie czterdzieści stołów zastawiano. W zarządzie zaś wewnętrznym, zamiast osobistego przewodnictwa na sejmach, wysyłał nakaz do wojewodów, aby na zjazdach zebrali podatek łanowy zwany królestwem,

lub poradnóm. Najbardziej jednak uderza surowość kar wprowadzonych: Bolesław W. zęby wyrwał, Śmiały szczytę niewiastom przy piersi wieszał, Krzywousty kłuł oczy Zbigniewowi i Skarbimierzowi, Władysław II uciął język Duninowi. Ten straszny peryód w wyteżeniu swoim trwał do Krzywoustego, który go zamknął ustawą pierworodztwa, pod rękojmią aż zagranicznej władzy, cesarskiej i papieżkiej!

Co było najlepsze od Bolesława W., to jest połączenie wszystkich części ród polski składających, to zupełnie upadło: największe księstwa, ziemie i powiaty stały się łupem szerzącej się potęgi niemieckiej. Tak odpadły Szląsk, Pomorze, Kaszuby, część Mazowsza, Drezno, Santok. Rozdrobnienie zrodziło nierząd i ubóstwo skarbu. Zdzierstwa Kazimierza mazowieckiego, Konrada Miećtawica, Leszka i Ziemomysła, są prawie niczem w porównaniu czynów Bolesława Rogatki, który w pijaństwie ścinał dowolnie ziemianom głowy. Niektórzy z książąt przeciwnie na zakonników zesłali: odbywali pielgrzymki, nosili włosiennice, biczowali się i dręczyli niestęchanym postem. Takimi byli: Henryk szlązki, Bolesław kaliski, Bolesław Wstydlivy, Przemysław Stary. Żony ich zamykały się po klasztorach, lub intrygowały: jak Agrafena Leszkowa.

Jaka była wtenczas sprawiedliwość łatwo pojąć można; dosyć powiedzieć, że tortury w postępowaniu sądowym największe miały znaczenie, na których wyciśnione u męczennika zeznanie, stawało się hasłem zguby dla innych.

Bolesław Wstydlivy nadając w r. 1257 prawo niemieckie Krakowowi, tak był nieuważny, a raczej wyzuty z uczuć narodowych, że wzbronił Polakom obywatelstwa we własnej stolicy. Niemcy też korzystając z takiej nieudolności wywozili do Magdeburga na apellacyą, od jednej sprawy po ośm fertonów, czyli 216 złotych dzisiejszych, nie licząc w to znacznych kosztów podró-



ży, i poniżenia krajowego. Chcąc nakłady sobie wynagrodzić, kupcy i bractwa rzemieślników wysoko podnosili cenę wyrobów, ze szkodą konsumentów.

Nowo utworzona szlachta nie tylko okazywała największy wstręt do podatku poradnego, ale często na wzór księcia Rogatki trudniła się rozbojem na drogach publicznych, lub pomagała nieprzyjaciołom do zguby własnych ksiąg. Znane są w tym względzie imiona Borkowiców, Szamotulskich i Gryfów. Odczepianie pieczęci od nieważnych, a przyczepianie do podrobionych pergaminów stanowiło tylko dowód zrzeczności.

Wszyscy na wzór niemiecki podpisywali się komejami czyli panami: wojewoda, kasztelan, sędzia nadworny, łowczy, koniuszy. Widzimy to w kronikach i przywileju księcia mazowieckiego, danym Krzyżakom w 1228 r. Późniejsi z tej nazwy chcieli korzystać, i uważać się za hrabiów; lecz tych zdawna nie było w Polsce i dopiero od XV-tego wieku zaczęli się ukazywać z nominacyj cesarzy niemieckich, jakim był np. Rafał z Gołuchowa Leszczyński w r. 1473. Gdyby dawni Comites byli hrabiami, nie potrzebowaliby starać się u Niemców o też same tytuły. Jakoż na sejmach takie roszczenia zostały uchylone. Paprocki w Ogrodzie królewskim (list 143), przytacza anegdotę, że za wyprawy Kazimierza W. na Wołoszę szlachta wysyłała panów naprzód do boju, jako przodkujących na dworze i w radzie, i dopóty nie ruszyła pod słowem pocziwego szlachcica z miejsca, póki panowie nie przyrzekli szanować nadal równość ziemiańską.

Powiększyła się nędza i ucisk włościan w tym peryodzie do ostateczności. Do zastarzałych nałogów, wady pierworodnej według Długosza, przenoszącą dobro osobiste nad słuszość, przybyła feudalna ustawa herbów, z którą się łączyło sądownictwo nad włościanami. Ze statutów Januszowskiego widzimy, że

kmieć książęcy mógł pozywać właściciela ziemskiego, o krzywdy sobie wyrządzone (ks. V, część I, lit. 2); więc i ziemiański w czasach dawniejszych używał tegoż samego prawa. Lecz przyjęcie herbów potworzyło rody mające prerogatywę sądenia, i tak już przez nędzę ściśle poddanych włością. Według niejakię do prawdy podobieństwa nastąpiło to około czasów Ryksy, znanych z okrucieństw kmiecy, przypominających wypadki świeższe. Przynajmniej klejnot Belina za Krzywoustego dany, skazuje na początek tych zaszczytów w wieku XI-tym. Podług przywileju danego rodowi herbu Starykon i Topor żadna jurysdykcyą, nie wyłączając kasztelańskiej, wojewodzińskiej, a nawet książęcej i królewskiej, sądzić nie mogła włością do tego rodu należących, prócz samych Starych koni i Toporów. Do nich należał Sieciech wojewoda krakowski z XI-tego wieku. Takie przywileje szerzyły się po możnych, od których przeszły do mniejszych ziemian, z których każdy mający w herbie koronę, mógł być razem stroną i sędzią.

Przydawszy do tego podatki i ciężary rządowe w tej epoce stworzone, jak królestwo wynoszące 54 złote dzisiejsze z włoki, stawianie i naprawianie zamków, utrzymanie dróg, osobno zaś dziesięciny kościelne i Świętopietrze, będziemy mieli wyobrażenie o stanie nędzy rolnika.

W dobrach jednak królewskich nadużycia były rzadsze, ale za to starostowie dzierżawni zdzierstwem niszczyli włością.

Czacki w litewskich i polskich prawach przytacza z Biblioteki barberynskiej wiadomość o skardze podanej przez duchowieństwo polskie, że niektórzy prałaci nie lepiej od szlachty postępowali z kmiotkami (T II, str. 209).

Zdawałoby się, że w chwilach ważnej reformy prawa publicznego kraj pomyśli o uldze obarczonej najbardziej klasie społeczeństwa; ale się stało przeciwnie:

prawo ziemiańskie wzięło pierwszeństwo przed prawem człowieka; im wyżej szły prawa szlacheckie, tém niżej spadli kmiecie. Statuta Jana Alberta z 1496 r. potwierdzające postanowienie Kazimierza Jagiellończyka względem przypuszczenia postów ziemskich do rady, w razie pytania podatkowego, zrujnowały do reszty swobody rolnika. Zabroniły naprzód synom opuszczania prac gospodarskich, pod pozorem nauki. Jednemu tylko i to za pozwoleniem pana, wolno było korzystać z ustawy Kazimierza W. Powtóre nie dozwoliły plebejuszom wstępu do wyższych godności kościelnych. Niegdyś Wawrzyniec, Ciołek, Gamrat od pługą doszli do dostojństwa biskupiego; odtąd postanowiono nie poniżać krzesła senatorskiego. Kanonikami nawet mogli zostać ci tylko, którzy sobie na ten stopień zasłużą wykładem nauk teologicznych, prawnych i medycznych. Potrzebie zabroniły plebejuszom kupowania na wieczność wsi podległych prawu ziemskiemu, ani trzymania ich prawem zastawném, ze względu, że nie należą do pospolitego ruszenia.

Dalsze czasy były tylko rozwinięciem dokładniejszém tego postanowienia i doprowadzeniem rolników do stanu, w którym właściciele ziemscy z Maksymilianem Fredro powtórzyć mogli „każdy z nas ludu swojego jest niejako samowładnym monarchą!“ (w ułamkach politycznych).

Nieporównanie szczęśliwsi byli osadnicy niemieccy, którzy dawszy z góry okupne, otrzymywali dogodnie dla siebie warunki na piśmie, a zatém i rękojmią prawa. Do nich należeli wójci, sołtysi, młynarze pod prawem niemieckim swobodnie żyjący. Możnaż było słusznie wymagać od ludu wolnego jak ptaszek po zapłaceniu dwóch złotych z morgi, aby się wcielił do nowój ojczyzny mową i obyczajem, kiedy widział przed sobą najcięższą niewolę? Wina leżała w prawodawcach.

Potęga duchowieństwa w Polsce jak w całej Europie średniowiecznej nadzwyczajnie szybko wzrosła, a od Krzywoustego przeszła w stanowczą przewagę. W wieku XIII biskupi bili monety; prócz tego niektórzy z nich posiadali osobne księstwa z podwładną szlachtą, jak Siewierskie i Sieluńskie. Od r. 1496 uczynili rozbrat zupełny, z plebejuszami.

### *Powrót do dawnego stanu.*

Po takim stanie ogólnym spotęczenia przez lat kilkaset, nastąpił wiek XV-ty, który ważne dla kraju sprowadził wypadki. Wstrząśnienia hussyckie, podróże częstsze do uniwersytetów włoskich, a nadewszystko w porze dogodnej zmieniona dynastia postawiły Polskę na drodze postępu. Wyborowi ludzie postrzegli, że co było spróchniałe i szkodliwe należało odrzucić; co ożywcze i pożyteczne zachować: do pierwszego z tych celów posłużyła nauka prawa, do drugiego wymowa obywatelska: w znaczniejszej części to im się udało.

Od przeszłego stulecia znana była w Europie nauka Wiklefa, ale w Polsce okazała się na początku XV-go. Huss wyobraziciel jęj czeski postanowił rozszerzyć ją w kraju sąsiedzkim, językiem i obyczajem do swojego zbliżonym. W tym zamiarze napisał list do króla polskiego Władysława Jagiełły, prosząc o pozwolenie zwiedzenia stolicy. Otrzymałszy przychylną odpowiedź przybył do Krakowa w r. 1412 i został świetnie przyjęty przez króla i królową otoczonych dworem i senatorami. Bawił krótko, ale zasadę że cały świat jest świątynią Bożą łatwo zaszczerpił; a co więcej w kilka dni tak niestychane wrażenie zrobił, że wszystkich za sobą pociągnął. Świadczy o tém list biskupa krakowskiego Wojciecha Jastrzębczyka, przytoczony przez Pałackiego (Dzieje czeskie, dział III, część I, str. 144).

Nim odjechał zostawił kopią nauki, własną ręką pisaną, jednemu z zaufańszych zwolenników. Nikt wtenczas nie przewidywał, że ten odpis miał wkrótce posłużyć za najważniejszy dowód winy przeciw rozszerzycielowi Wiklefa. Kanonik krakowski Długosz dochował nam wiadomość, że rękopis widziany w Krakowie, znalazł się na soborze konstancyjskim, w czasie sądu na Hussa: imię sprawcy takiego czynu zakryte zostało przed potomnością.

W roku 1415 sławny zwolennik angielskiego reformatora, zapozwany został przed najwyższy sąd biskupów katolickich całego chrześcijaństwa dla usprawiedliwienia się z czynionych mu zarzutów. Huss wcale nie był skwapliwy do tej podróży; polegając jednak na słowie danym cesarza niemieckiego Zygmunta, i liście żelaznym, przybył do Kostnitz, gdzie natychmiast przytrzymanym został. Napróżno się powoływał na zasady prawości: Zygmunt nie tylko mu bezpieczeństwa odmówił, ale radził soborowi, aby w niczem oskarżonemu nie wierzył. Jest to władca znany w dziejach polskich jako odrzucony rościciel prawa do korony polskiej, po Ludwiku węgierskim.

Wtenczas świeccy postowie nasi na soborze: wojownik Zawisza Czarny, Jan Zaręba kasztelan kaliski, Bałicki, Dunin, Borota weszli z podaniem do Concilium „aby Huss miał wolność obrony zupełną, i jawnie był sądzony.“ Za rozpoczęciem sprawy wszyscy powstali na obwinionego, który z dziwną odwagą i przytomnością umysłu, żelazem skuty, odpowiadał. Czuł jednak głęboko swoje opuszczenie; dlatego z wdzięcznością wspominał o ludzkości sobie okazanej. W całym zgromadzeniu, mówił, nie znalazłem żadnego księdza sobie życzliwego prócz jednego patra, i znajomego doktora polskiego. Któż był tym pamiętnym rodakiem? Jakób Kurdwanowski, biskup płocki, doktor obojga prawa w uniwersytecie bonońskim. Nie zapomniał jednak

Huss w ostatniej godzinie i o posłach świeckich, którym w liście do przyjaciela podziękował serdecznie.

*Postęp piśmiennictwa.*

Około połowy tego wieku udał się na nauki do Włoch Jan Ostroróg, syn wojewody kaliskiego, namiestnika królewskiego za wyprawy warneńskiej. Chcąc się poświęcić prawu, wybrał Bononią, gdzie taki postęp uczynił, iż stopniem doktora obojga prawa, to jest cywilnego i duchownego, zaszczycony został. To jedno otworzyłoby mu pole do najwyższych dostojęństw krajowych, gdyby nawet wyższych od przyrody nie otrzymał zdolności. Ale właśnie rzadki rozsądek i odwaga obywatelska, nieoddzielna od wzniosłego charakteru, zdobyły tego znamienitego młodzieńca. Kiedy we wrześniu 1459 r. naczelnicy opozycyi: Jan Rytwiański starosta sędomierski, Tarnowski, Melsztyński na zjeździe piotrkowskim wzbraniając zasiłków na wojnę pruską, dokładniejsze roztrząśnienie pytania odłożyli na 6 grudnia, postanowiono wtenczas, aby dwanaście osób przedniejszych, za zgodą króla i senatu wybranych, zajęło się zbadaniem zakorzenionych nadużyć, i złożyło w tym względzie na przyszłym zjeździe swoje uwagi. W tej liczbie był najmłodszy wiekiem, ale wyższy od innych rozumem Ostroróg, który na wniosek towarzyszy objąwszy redakcyą, wygotował sprawozdanie pod napisem: Uwagi o naprawie rzeczypospolitej, za króla Kazimierza Jagiellończyka na sejm podane, przez Jana Ostroroga doktora obojga prawa. Jaki skutek ten pamiętnik wywarł na zgromadzeniu prawodawczém, zamilczała historia; to jednak pewna, że do naszego stulecia leżał w rękopisie, i tylko szerzącemu się światłu, winien swoje ukazanie się na świecie. Nie możemy ominąć tej uwagi, że Ostroróg piastując dostojęństwo senatorskie nie opuszczał nigdy stopnia uczonego, co dowodzi wyż-

szości tego człowieka nad przesady wiekowe mitościwych panów, wśród których się zrodził.

Wejdźmy w treść tego pisma. Język polski leniwo był popierany, przy panującej wszędzie łacinie. Zaledwo w XIII-ym wieku napotykamy postanowienie naczelników kościoła Pełki i Swinki, polecające szkołom, przez zakony niemieckie utrzymywanym, użycie języka krajowego do przekładu z łaciny. Parkosz z Żórawic kanonik i rektor akademii krakowskiej około 1440 roku ułożył pisownią, która walczy z niepokonanemi trudnościami w oznaczeniu brzmień nosowych. Potrzebę użycia mowy krajowej tłumaczy Parkosz przez niedokładne rozumienie niektórych wyrażen łacińskich w rzeczach wymagających największej jasności. Krok ten jakkolwiek lęklivy, wielce był szacowny, przez zwrócenie uwagi na ważny przedmiot. Więcej korzyści przynieśli proboszcze warszawski i rożański przekładem Statutów wiślickiego i mazowieckiego, około 1450 r. Jest to największy zabytek języka ojczystego z owej epoki. Dopiero Ostroróg stanowczo do sejmu wyrzekł, że wszelkie umowy między stronami winny być pisane po polsku.

W sądownictwie przyjmąwszy za zasadę: że rzeczpospolita sprawiedliwością stoi, nie upatruje w prawodawstwie krajowem dostatecznej dla niej rękojmi, z powodu różności przepisów każdemu stanowi służących, tém bardziej dla niektórych nadużycia takie jak lichwa, prowadząca do kradzieży, jest dozwolona. Radzi więc sejmowi uczynić na to miejsce umiejętny wyciąg z prawa rzymskiego, chociaż wie o tém, że się go lękali, jako cesarskiego; bo jak powiada, użycie ksiązek nie stanowi poddaństwa. W postępowaniu sądowem uważa za rzecz potrzebną postanowienie, aby załatwienie spraw odbywało się podług zrobionego wpisu; aby uchylono zwyczaj, iż za czwartym dopiero pozwem obżalowany stawa u sądu, ze zwłoką sprawiedliwości.

Użycie obrońców poczytuje właściwem tylko w interesach wdów, sierot i ubogich; woźnych do przywoływania spraw i podawania pozwów, nie zaś do obdukcji: bo rząd wynika niedokładne sprawozdanie i niesprawiedliwość wyroków. Dla domierzenia rychłej każdemu słuszności podaje myśl zjazdu corocznego komissarzy najwyższej instancji, mogących zastąpić króla, którego obecność każdego roku na wiecach, w tak rozległym kraju jest niepodobna. Jestto jak widzimy, pomysł wstępny do przyszłych trybunałów wielko i małopolskich. Nadewszystko za hańbę dla rodaków uważa udawanie się mieszczan po sprawiedliwość do sędziów magdeburskich, ludzi nieokrzesanych i nieoświeconych.

Silniej powstaje na prawo kryminalne, które karę śmierci wymierza na proste i bezecne zaskarżenie niewiasty. Poczytuje ustawę za okrutną i niegodziwą. Domaga się wolnej obrony dla pociągniętych do sądu z powodu zeznań torturowych oraz nieodpowiedzialności za rany w obronie własnej zadane.

W administracji nagania spodlenie monety, niepłatność urzędników ziemskich, niejednostajność miar i wag, zbytek karczem piwnych; a zaleca podwójne drogi na mostach, odsyłanie żebractwa do szpitali duchownych mających na ten cel uposażenie, nakoniec zniesienie bractwa rzemieślniczego, jako instytucji samolubnej, podnoszącej cenę wyrobów z uszczerbkiem nabywców.

Jako doktor prawa kanonicznego, biegły w glossatorstwie, bierze pod rozwagę i stan ówczesnego duchowieństwa, twierdząc, że najczęściej święcili nieuków, że ci w wieku dojrzałym udawszy się na kilka tygodni do stolicy włoskiej, wracali doktorami patentowanemi, że nie wszyscy wolni byli od winy świętokupstwa. Utrzymuje także, iż podatek publiczny nie wyłącza żadnej klasy obywateli, że majątek pozostały po duchownych, jako z ciężkiej pracy ludu zebrany, powinien być na po-



trzeby kraju obrócony; że gdy wszelka ułomność ludzka zasługuje na wyrozumiałość, kiedy jest wynagrodzona pracą i choć groszem wdowim na dobro publiczne danym, przeto składki dobroczynne winny być obrócone na korzyść krajową, nie obcą, jak się zdarzyło w roku 1451 z trzema skrzyniami złota i srebra. W reszcie czyni wniosek, aby z mocy prawa kanonicznego dochody z dóbr zakonników na wszystkich zarówno podzielone zostały; gdyż każdy w stosunku do liczby towarzyszy w klasztorze, winien mieć życie i utrzymanie ubogie, na które ślubował.

Obedyencyą królewską uważa raczej za uszanowanie niż postuszeństwo, inaczej nieunikniona sprzeczność mowy z uczynkami.

Tak wielkie kwestye wносиła na sejm szlachta w wieku XVstym.

Reforma prawa publicznego szła nierównie dłużej i powolniej, walczyła bowiem z niepokonanymi trudnościami, ale w końcu zwyciężyła je i dojrzała.

Przez cały przeciąg panowania Piastów szlachta rzadko była zadowolona. Podług nadwornego pisarza Bolesławskiego Galla, panom dziedzicznym wiary dochować nie chciała; podług zaś ducha dziejowego urażona była za zmniejszony swój wpływ na zjazdach, i wynikającą ztąd dowolność w ustanowieniu starszeństwa dynastycznego, mianowaniu na urzędy wojewódzkie ludzi w inną prowincyi zrodzonych, w zwoływaniu częstym pospolitego ruszenia, i zatrzymywaniu podatku po 12 groszy szerokich, na koszta wojenne, kiedy dobra królewskie, rozleglejsze od całej własności prywatnej, wystarczały na ten wydatek. Szczególniej to niezadowolenie dawało się widzieć w wieku XIstym, za Bolesława W., Ryksy, Bolesława Śmiałego i Władysława. Podział kraju na księstwa ułatwił wybuch tego niezadowolenia. Jakoż Mieczysława Starego i Ziemiowida inowrocławskiego, szlachta z księstw wyzuła, a w bez-

królewiał opierała się zatwierdzeniu małoletnich z tój uwagi, że przyznanie dziecku rozumu dojrzałego człowieka przeciwne jest przyrodzie. Ale wyjaśniły się czota za Kazimierza Wielkiego, gdy za wybór Ludwika znaczne pozyskali ustąpienia, i te właśnie, których najbardziej pragnęli. Pospolite ruszenia bez zgody narodu nia miały mieć miejsca, prócz przypadku nagłego najścia nieprzyjaciela; urzędy w województwach i powiatach ci otrzymać mogli, którzy tam są osiedli, poradne zmniejszone zostało do szóstój części: wszystko to Ludwik 1374 roku zatwierdził. W związku radomskim 1386 r. przypomnieli dawny rokosz: skonfederowana Mała i Wielka Polska, Zygmunta brandeburczyka, przeznaczonego przez matkę za męża dla starszój córki Ludwika nie przyjęty, młodszą zaś Jadwigę w mury Krakowa wprowadziły. Te są czyny za Piastów: gasnące ich dziedzictwo dozwoliło powrócić ziemianom do pierwsiłtkowego układu społeczeństwa. Tęczyńscy niegdys dziedzice na Tyńcu, przesładowani od Kazimierza I. za wypadki bezkrólewia po Mieczysławie II., stają na czele nowych przeznaczeń kraju, i najczynniej je rozwijają; przeciwnie, przychylni dawnemu porządkowi rzeczy, jak Zborowscy, potomkowie rycerzy Bolesława Śmiałego przeszli do opozycyi: tём bardziej skompromitowane rodziny wielkopolskie za Przemysława i Leszka Białego.

Wielka epoka Jagiełłów rozpoczęła się wyjednaniem zatwierdzeniem dawnych, a pozyskaniem nowych ustąpień i postanowień, z których dwa są najważniejsze: naprzód, że nikt bez wyroku sądowego przytrzymanym być nie może; powtórę, że w sprawach pociągających mogących utratę życia, nikt na ziemian wyroku nie wydaje prócz sądu sejmowego. Było to zabezpieczenie obywateli od straszliwój kary stosu, wymierzanej w tym wieku na hussytów i ich zwolenników. Za Kazimierza Jagiellończyka umysły publiczniejszém życiem przebudzone zdążyły do ważniejszych celów. Jakoż

naczelnicy stronnictwa postępowego odkrywwszy źródło rozwoju krajowego w potrzebach rządowych, postanowili dopóty zwlekać zezwolenie na podatek większy od oznaczonego przez Ludwika, pokiby postowie ziemscy, upoważnieni do tego przez ogół, nie zasiedli w senacie, i tym sposobem nie wrócili do równości prawodawczej z panami. Pożądana w tym względzie odkryła się dogodność, gdy Kazimierz Jagiellończyk potrzebując pieniędzy na spłacenie długów zaciągniętych, na ukończenie wojny pruskiej, przyznać musiał prawo postom ziemskim stanowienia podatków. Było to w roku 1468; na zjeździe wiślickim szlachta się wymawiała od zadosyć uczynienia wnioskowi królewskiemu brakiem upoważnienia od braci. Przy końcu zatem tegoż roku postowie z Wielkiej i Małej Polski pierwszy raz zebrani do Koła i Korczyna otrzymali wolność wspólnego obradowania z senatem, zgodzili się na sześć groszy szerokich z łanu dworskiego i włościańskiego, czyli na złotych dzisiejszych 27. Duszą tej reformy stał się Jan Rytwiański starosta sędmirski, sławny z mowy mianej do króla w r. 1459, w której wyliczywszy obowiązki domu Jagiellońskiego dla Korony, wykazywał obojętność i niestudźność Kazimierza, płynącą ze zbytniego jego przywiązania do Litwy. Mowa ta tak się szlachcie podobała, że przez sto lat utrzymywała się w rękopisie pod strzechą wiejską; potem dopiero roku 1587 wydrukowaną została. Rytwiański postępkami swoimi nie tylko nie stracił u baczego króla, ale pozyskałszy uznanie wyższych zdolności swoich, doszedł do dostojenstw marszałka wielkokoronnego i kasztelana krakowskiego.

Pomimo tego wątpić nie należy, iż nowa, a raczej wrócona forma prawodawstwa miała w łonie senatu niechętnych, którzy z lekceważeniem poglądali na szaraków powołanych do obrad wspólnych z karmazynami; owszem w lat sto niezadowolenie to odbiło się pod piórem Kromera. Lecz i dwór nie okazywał wielkiej skwa-

pliwości w zastosowaniu przepisów do praktyki, i tak: Jan Albert powtórzył tylko w roku 1496 postanowienie ojca o zwołaniu po dwóch postów z powiatu na umówienie się o podatek. Pierwszy raz wtenczas użyto wyrażenia, że postanowienie to wydane zostało za zgodą prałatów, baronów, i postów ziemskich. A jednak król starał się obchodzić bez postów w zwykłych obradach. Zniecierpliwieni ziemianie wymogli na Alexandrze w r. 1504 postępek największej wagi, mocą którego nie tylko podatki, ale nie a nie zgoła, tak w zarządzie wewnętrznym, jako i polityce zewnętrznej, król z senatem postanowić nie mogą, bez zgody postów ziemskich: edykta zatem miały być zastąpione uchwałami. Rzecz zdawała się skończona, lecz i Zygmunt Stary, przez lat trzydzieści ociągał się z wykonaniem statutu radomskiego, a panowie widząc upadek znaczenia nie opierali się, dla odróżnienia od szlachty, przyjęciu tytułów hrabiowskich od cesarza Maxymiliana I. Szlachta unikając podkopania równości obywatelskiej, żywo się upominała ciągle o egzekucyę statutu radomskiego; nie widząc jednak skutku, postanowiła korzystać z przedsięwziętej wyprawy króla na Wołochów. Zebrana pode Lwowem w roku 1537 mocno nacierała na Zygmunta I., aby zaręczył wykonanie praw, jeżeli chce ich użyć pomocy przeciwko nieprzyjacielowi. Doświadczwszy nieprzełamanego uporę w królu i Janie Tarnowskim wróciła do domów. Ta protestacya szlachty zniewoliła Zygmunta do wezwania w roku następnym postów ziemskich na obrady, i trzymania się odtąd ściśle przepisów.

#### *Postęp akademii.*

Akademia krakowska najkorzystniej postęp swój objawiła w filozofii scholastycznej, przez zamianę Tomistów na Skotystów, to jest zasady istoty rzeczy, na zasadę własności, które dziś są podstawą ścisłych

umiejętności przyrodzonych. Wprowadzicielem tego systemu był Andrzej Gałka, prześladowany jak wszyscy potrącający na nową drogę zastarzałe przesady. Niemniej jednak zasłużył sobie u potomności na imię myśliciela i przyjaciela postępu.

Głośniejszym od niego jest Grzegorz z Sanoka, jako przeciwnik schostyki; ale że nic filozoficznego nie pisał, że wiadomość o zdaniach jego rozsądnych winniśmy obowiązanemu przyjacielowi Buonacorsi, wychodźcy włoskiemu, nie może zdaniem naszym iść w porównanie z Gałką.

Jan z Głogowy prócz wypisu ustępu o kranioskopii z lekarza angielskiego Gordona, był najzupełniejszym arystotelikiem w wykładzie wiedzy i syllogizmu. Z trudnością zatem do postępowych policzyć się może.

Nauka matematyki, astronomii i wierszowania łacińskiego, zajęty w uniwersytecie stanowisko zaszczytne.

### *Zamknięcie.*

Te są koleje społeczeństwa polskiego, i usiłowania znamienitych ludzi w wydobyciu się z atmosfery feudalnej, panującej od Bolesława Wielkiego i jego następców: usiłowania wielkie, zasługujące na głębszą uwagę i uznanie myślicieli tegoczesnych. Zawady stojące przed wyzwoleniem uczuciem usunięte zostały, lecz przeszkody do wyzwolenia myśli zaledwo były poruszone; dalszy zatem bieg udoskonalenia zależeć będzie od zastosowania siły zdobytej do oswobodzenia od przesądów rozsądku. Będzie to pole równie rozległe, jak obfite w czyny i wyroby umysłowe. Tu już Polska z ogólnego postępu wzniesie się na szczybel przewodnictwa europejskiego w najważniejszych odnogach uprawy umysłowej, to jest filozofii i umiejętności.

# KUPIEC WENECKI.

DRAMAT SZEKSPIRA.

PRZEKŁAD

*Józefa Paszkowskiego.*

## OSOBY.

DOŻA WENECKI.

KSIĄŻĘ MAROKAŃSKI

KSIĄŻĘ ARRAGOŃSKI

ANTONIO, kupiec wenecki.

BASSANIO, jego przyjaciel.

SOLANIO

SALARINO } przyjaciele Antonia.

GRACYANO }

LORENCO, kochanek Jessyki.

SZYLOK, żyd.

TUBAL, żyd, jego przyjaciel.

LANCELOT GOBBO, sługa Szyloka.

STARY GOBBO, ojciec Lancelota.

SALERIO, posłaniec z Wenecyi.

BALTAZAR

STEFANO } służy Porcyi.

LEONARDO, służący Bassania.

PORCYA, bogata dziewczka.

NERYSSA, jej powiernica.

JESSYKA, córka Szyloka.

Senatorowie weneccy, urzędnicy sądowi, dozorczy więzienia,  
słudzy i inne osoby.

*Rzecz dzieje się częścią w Wenecyi, częścią w Belmont, majątku Porcyi na stałym lądzie.*

## AKT I.

## SCENA PIĘRWSZA.

*(Wenecya.—Ulica).*ANTONIO, SALARINO i SOLANIO *wchodzą.*

ANTONIO.

W istocie nie wiem, dlaczego tak smutny.  
 Już mam dość tego, i wy też podobno:  
 Lecz zkąd to przyszło, jakem w ten stan popadł,  
 Co on ma znaczyć, z czego powstał, jestto  
 Dla mnie zagadką. Bądź jak bądź, takiego  
 Smutek ten robi ze mnie niedołęę,  
 Że sam zaledwie mogę siebie poznać.

SALARINO.

Umysł twój błąka się po oceanie,  
 Gdzie twe galery, dumnie prężąc żagle,  
 Niby bogaci fal obywatele,  
 Albo reprezentanci władców morza,  
 Z góry na drobny lud kupiecki patrzą;  
 Który je wita, skłania się przed niemi  
 Z uszanowaniem, gdy tkanemi skrzydły  
 Ciągną opodal.

SOLANIO.

Wierzaj mi, że gdybym  
 Na grę hazardu tyle co ty stawił,  
 Ciągłoby myśli moje żeglowały  
 W trop mych nadziei; wciążyłbym zrywał trawę,  
 By się przekonać o kierunku wiatru;  
 Siedziałbym w mappach, dukwiąc nad śledzeniem  
 Zatok, przystani i portów: i wszystko,  
 Coby mi mogło nasuwać obawę  
 O moje statki, niewątpliwie-by mię  
 W smutek wprawiało.

SALARINO.

Wiatr którybym czynił  
 Dmuchał w zupę, aby ją ostudzić,  
 Nabawiałby mię febrycznego dreszczu,  
 Skorobym przytém pomyślał, jak zgubnym  
 Silny wiatr bywa na morzu; ilekroć  
 Widziałbym piasek ciekący z klepsydry,

Tylekroćby mi przychodziły na myśl  
 Płytkie mielizny i ławy piaszczyste,  
 I trwożnym oczom mojej wyobraźni  
 Przedstawiałby się mój bogaty Argo  
 Ugrzęzły w piasku, zwieszający głowę  
 Do żeber, jakby chciał swój grób całować.  
 Mógłżeby, idąc do kościoła, spojrzeć  
 Na ten gmach święty, wzniesiony z kamienia,  
 I nie pomyśleć natychmiast o rafach?  
 Które drasnawszy tylko bok mój nawy,  
 Wnetby z niej w morze wysypały wszystkie  
 Moje korzenie i ryczące fale  
 Ubrały w moje bławaty. Tak łatwo  
 Mogłoby w niwecz pójść to, co przed chwilą  
 Tak było cenném. I mamże mieć władze  
 Myślenia zdolne do myślenia o tém,  
 A nie pomyśleć, że taki wypadek  
 Pograżyłyby mię w smutku? Co tu gadać:  
 Ja przekonany jestem, że Antonio  
 Smuci się, myśląc o swoich towarach.

ANTONIO.

Wierzcie mi, nie dlatego: dzięki szczęściu,  
 Widoki moje nie są przywiązane  
 Ani wyłącznie do jednego statku,  
 Ani wyłącznie do jednego miejsca,  
 Ani też mienie moje nie zawisło  
 Od powodzenia w tym jedynie roku:  
 Smutek mój nie ma więc związku z mym handlem.

SOLANIO.

Jesteś więc zakochany?

ANTONIO.

Fuj! fuj!

SOLANIO.

Jakto?

Nie zakochany? smutnyś więc dlatego,  
 Żeś nie wesoły; mógłbyś z równą racją  
 Śmiać się i skakać, mówić, żeś wesoły,  
 Boś nie jest smutny. W imię dwugłowego  
 Bożka Janusa! natura wydaje  
 Szczególniejszego rodzaju dziwadła:  
 Jedni się zawsze mizdrzą i gotowi  
 Z kobziarza nawet śmiać się do rozpuku;  
 A inni mają w sobie tyle kwasu,  
 Ze ust nie nagną do uśmiechu, choćby  
 Sam Nestor przysiągł, że się warto rozśmiać.



(*Wchodzi: Bassanio, Lorenzo i Gracyano*).

SALARINO.

Oto Bassanio twój przezacny krewny,  
Gracyano i Lorenzo. Do widzenia:  
Zostawiamy cię w lepszym towarzystwie.

SOLANIO.

Byłbym był z tobą pozostał tak długo,  
Ażbym był chmurę spędził z twego czoła;  
Gdyby mię byli nie przyszli wyręczyć  
Godniejsi przyjaciele.

ANTONIO.

Wasza wartość  
Wysoko stoi w moim poważaniu.  
Przypuszczam, że was nagłą interesa,  
I że chwytnie pretext, aby odejść.

SALARINO.

Dzień dobry, mili panowie.

BASSANIO.

Nawzajem.  
Kiedyż się znowu śmiać będziem? Powiedziecie.  
Rzadkie z was ptaki: czy zawsze tak będzie?

SALARINO.

W wolniejszym czasie będziem wam służyli.  
(*Salarino i Solanio odchodzą*).

LORENCO.

Bassanio, skoro znalazłeś Antonia;  
To cię żegnamy. Pomnij tylko, proszę,  
Że masz jeść z nami obiad.

BASSANIO.

Liczą na to.

GRACYANO.

Signor Antonio, źle nam coś wyglądasz.  
Za seryo na świat patrzysz; kto się nazbyt  
Troszczy o niego, ten go sobie zraża.  
Bardzo się zmienił, wierzaj,

ANTONIO.

Świat jest dla mnie  
Poprostu światem, kochany Gracyano;  
Sceną, na której się gra jakąś rolę:  
Moja jest smutną.

GRACYANO.

Ja zaś wolę na niej  
 Odgrywać rolę śmieszka: niech mi czoło  
 Pokryją zmarszczki od pustot i śmiechu,  
 I niech mi raczej pierś pała od wina,  
 Niżby mi miały serce mrozić jęki.  
 Potrzebaż, aby człowiek z krwią gorącą,  
 Siedział jak dziadek kuty z alabastru?  
 Spał, kiedy czuwał i w żółtaczkę wpadał  
 Od tetryczności? Posłuchaj, Antonio:  
 Kocham cię, przyjaźń mówi przez me usta;  
 Jest rodzaj ludzi, których twarz przybiera  
 Pewną powłokę, jak woda w kałuży;  
 Którzy z umysłu mileżą, chcąc uchodzić  
 Za wzór mądrości, wiedzy i powagi,  
 Jakby mówili: *ja jestem wyrocznią;*  
*A gdy otworzą usta, wara wleady*  
*Musze przelecieć.* O tak, mój Antonio:  
 Znam ludzi, którzy mają reputacyą  
 Głęboko mądrych, dlatego jedynie,  
 Że nigdy nic nie mówią; którzy mówią,  
 Na potępienie skazaliby pewnie  
 Swoich słuchaczy, bo ciby zgrzeszyli  
 Mianując swoich bliźnich półgłówkami.  
 Powiem ci o tém więcej innym razem;  
 A teraz, proszę cię, zaniechaj łowić  
 Takie piskorze obłudnej opinii.  
 Idźmy, Lorenzo. Bądź zdrów i krzep serce:  
 Skończę exortę moję po wyżerce.

LORENCO.

Zobaczmy się więc w porze obiadowej.  
 Muszę być jednym z owych niemych mędrców,  
 Bo mi Gracyano nigdy nie da mówić.

GRACYANO.

Żyj jéno ze mną przez parę lat jeszcze,  
 A dźwięku głosu własnego zapomnisz.

ANTONIO.

Bywajcie zdrowi! Dla miłości waszój  
 Stanę się z czasem gadułą.

GRACYANO.

Tak uczyni:  
 Milczenie bowiem zaleca jedynie  
 Ozór w pęcherzu i skromność w dziewczynie.  
 (Odchodzi z Lorencem).

ANTONIO.

Czy był w tém jaki sens? powiedz.

BASSANIO.

Gracyano

Ma nieskończony zapas ezczych wyrazów,  
Więcej nizeli ktokolwiek w Wenecyi.  
Rozsądne jego zdania w massie bredni  
Są jak dwa ziarna pszeniczne, w dwóch korcach  
Plew utajone; szukasz ich dzień cały,  
Zanim je znajdziesz, a gdy znajdziesz, korzystać  
Nie wynagradza trudu.

ANTONIO.

Dobrze mówisz.

A teraz, powiedz mi, co to za dama,  
Do której odbyć pielgrzymkę zamierzasz?  
Miałeś dziś ze mną mówić w tym przedmiocie.

BASSANIO.

Nie jest ci obcem, Antonio, jak bardzo  
Nadwerzęłem kredyt mój i mienie,  
Żyjąc wystawniej, niż mi na to moje  
Ograniczone środki pozwalały.  
Nie utyskuję nad tém, żem zmuszony  
Wysoką stopę zredukować; o to  
Mi tylko idzie, jakbym mógł uczciwie  
Wybrnąć z tych długów, w które mię pogrążył  
Dotychczasowy za pański tryb życia.  
Tobie, Antonio, winienem najwięcej,  
Bom ci jest dłużny pieniądze i przyjaźń:  
Twoja zaś przyjaźń pozwala mi śmiało  
Wywnętrzyć wszystkie myśli me i plany,  
W których spełnieniu leży możność spłaty  
Wszystkich mych długów.

ANTONIO.

Mów, mów, mój Bassanio.

Jeżeli, o czém znając cię nie wątpię,  
Zamiary twoje są zgodne z honorem,  
Mieszek mój, moja osoba i wszystko,  
Czém rozporządzam, jest na twe usługi.

BASSANIO.

Za szkolnych czasów, gdy m uronił strzałę,  
Puszczalem druga, takiej samėj miary,  
Tą samą drogą; lecz z większą uwaga,  
By tamtą znaleźć, i ważąc obiedwie,  
Obiedwie często znajdowałem. Przykład

Ten z lat dziecinnych przywodzę dlatego,  
 Że to co powiem, jest równie niewinnem.  
 Kredytowałeś mi wiele i wszystko  
 Coś mi pożyczył, marnie utracilem;  
 Jeżeli jednak zechcesz jeszcze jedną  
 Strzałę wypuścić w tym samym kierunku,  
 W którym poprzednia poszła, to nie wątpię,  
 Że albo znajdę obiedwie u mety,  
 Albo ci zwrócę niebawem w całości  
 Ową powtórnie zaryzykowaną,  
 Wdzięcznie za pierwszą pozostając dłużnym.

ANTONIO.

Znasz mię i tracisz tylko czas napróżno,  
 Krętą przemową obchodząc mą przyjaźń.  
 Pochopną moję chęć przyjscia ci w pomoc  
 W stanowczej chwili podając w wątpliwość,  
 Większą zaiste krzywdę mi wyrządzasz,  
 Niż żebyś wydał wszystko co posiadam.  
 Powiedz mi zatem tylko, co mam czynić,  
 Co się twém zdaniem, przezemnie stać może,  
 A znajdziesz k'temu mię gotowym: mów więc.

BASSANIO.

Jest w Belmont młoda, bogata dziewczeczka,  
 I piękna, piękna nad wszelkie wyrazy;  
 Rzadkich przymiotów: nieraz-em otrzymał  
 Z jój oczu słodką, milczącą przesyłkę.  
 Zowie się Porcyą, nietylko imieniem  
 Ale i sercem podobna do owęj  
 Córy Katona, Brutusowój Porcyi.  
 Świat téż wartości jój nie jest nieświadom,  
 Bo wszystkie cztery wiatry ze wszech krańców  
 Stałego łądu sprowadzają do niój  
 Niepospolitych zalotników. Świetne  
 Promienie włosów wiszą u jój czoła  
 Jak złote runo, czyniąc Belmont, miejsce  
 Jój zamieszkania, krainą Kolchidy.  
 Nie jeden Jazon kusi téż się o nią.  
 O! mój Antonio, gdybym tylko w ręku  
 Miał środki do współzawodnictwa z niemi,  
 Coś mi pochlebnie w duszy przepowiada,  
 Że niezawodnie-bym szczęśliwym został.

ANTONIO.

Mienie me całe jest, jak wiesz, na morzu;  
 Nie mam gotówki, ani źródeł, z których  
 Znaczniejszą sumę terazbym mógł podnieść:

Idź więc i spróbuj, co mój kredyt zdoła.  
 Wyciągnę go jak strunę, byś mógł w Belmont,  
 Przed piękną Porcyą godnie się pokazać.  
 Idź zaraz, pytaj, kto by miał pieniądze  
 Do pożyczenia; ja toż samo zrobię.  
 Nie wątpię, że ich z łatwością dostaniem  
 Za mą poręką i wspólném staraniem.

(*Wychodzą*).

### SCENA DRUGA.

(*Belmont. Pokój w zamku Porcy*).

### PORCYA i NERYSSA.

PORCYA.

Tak, Nerysso, moje maluczkie ja znudzone już tym wielkim światem.

NERYSZA.

Mogłoby to być, pani, gdyby cię był los upośledził tak szczerze, jak cię uposażył. A przecież, nieraz to widzę, że tym, co opływają we wszystko, równie źle bywa na świecie jak tym, co marnieją z niedostatku. Niepomierne to więc szczęście żyć w mierności; nadmiar wcześniej dostaje białych włosów i krócej żyje jak dostatność.

PORCYA.

Dobry-to argument i dobrze wyłożony.

NERYSZA.

Dobrze wykonany byłby lepszym.

PORCYA.

Gdyby czynić dobrze tak było łatwo, jak wiedzieć co jest dobrem, kaplice zamieniłyby się w kościoły, a chaty biédaków w pałace. Ten jest dobrym kaznodzieją, co postępuje według własnych przestroóg: jabym prędyż dwudziestu osobom wskazała, co byloby dobrze zrobić, niż poszła za własną wskazówką, będąc jedną z tych dwudziestu. Niech mózg dyktuje krwi jakie chce prawa, gorący temperament przeskoczy zimne nakazy. Młodość-szał, jak zając, jednym susem przesadza się moralu-kaleki. Ależ to rozumowanie nie doprowadzi mię do wyboru męża. Wyboru! Jak czeczmy jest dla mnie ten wyraz! Nie mogę ani wybrać tego, kogobym chciała,

ani odrzucić kogoś, coby mi się nie podobał; tak dalece wola żyjącej matki skrzepowana jest wolą zmarłego ojca. Nie smutneżto położenie. Nerysso, nie móżd ani wybrać sobie kogoś ani odrzucić?

NERYSZA.

Ojciec pani był wyprobowanój cnoty człowiek, a bogobojni ludzie miewają przy śmierci dobre natchnienia; nie można więc wątpić, że w téj loteryi, którą wymyślił z trzema skrzynkami, złotą, srebrną i ołowianą, z pomiędzy których wybierający jedną daną, ciebie, pani, ma posiadać; że mówię w téj loteryi nie kto inny będzie szczęśliwy, jak ten, którego pani kochać będziesz, bo będzie godnym twój miłości. Ale jakież stopień skłonności czujesz pani w sobie do tych książąt, którzy już przybyli ubiegać się o ciebie?

PORCYA.

Wymień ich, proszę; w miarę jak ich wypieniać będziesz, starać się będę ich opisać, a z opisu mego będziesz mogła wyprowadzić wnioszek o méj skłonności.

NERYSZA.

A więc naprzód stawię neapolitańskiego księcia.

PORCYA.

To młode źrebię: o niczém nie mówi tylko o swym koniu, i ma to sobie za wielką zasługę, że go sam umie podkuwać. Boję się, czy jego matka nie zapatrzyła się za bardzo na kowala.

NERYSZA.

Dalój idzie hrabia Palatyn.

PORCYA.

Ten umie tylko brwi marszczyć, jakby chciał mówić: *jeżeli mię nie chcesz, to się obejść*. Słucha zakazanych powieści i ani razu się nie uśmiechnie. Pewnie z niego będzie na starość płaczliwy filozof, kiedy za młodu tak nie-towarzystwo jest ponury. Wolalabym być poślubioną trupiej głowie, niż jednemu z tych dwóch: Uchowaj mię od nich, Panie!

NERYSZA.

Cóż pani powiesz o tym francuzkim markizie, monsieur Le Bon?

PORCYA.

Bóg go stworzył, jak innych ludzi; godzi się więc uważać go za człowieka. Wiem zaiste, że to grzech, szy-

dzic z bliźniego; ależ ten! Ma on wprawdzie konia lepszego niż Neapolitańczyk i lepszy zły z wyczaj marszczenia czoła, niż hrabia Palatyn; on jest wszystkiem i niczem. Gdy drózd zaśpiewa, on zaraz wyprawia kapriole; gotów się fechtować z własnym cieniem. Gdybym poszła za niego, dostałabym na raz dwudziestu mężów; gdyby mną pogardzał, przebaczyłabym mu: lecz choćby mię kochał do szaleństwa, nigdybym mu nie była wzajemną.

NERYSSA.

Cóżbyś téż pani powiedziała o tym młodym angielskim baronie?

PORCYA.

Wiesz, że z nim nigdy nie mówię, bo ani on mnie rozumie ani ja jego. Nie umie ani po łacinie, ani po francuzku, ani po włosku; a że ja za grosz angielszczyzny nie posiadam, na tobym śmiało mogła przysiąc w sądzie. Wygląda on na przyzwoitego człowieka, ależ niestety! któż się rozmówi z niemą figurą? Jak dziwnie się ubiera! Zdaje mi się, że kaftan jego z Włoch pochodzi, pantalonny z Francji, czapka z Niemiec, a manery ze wszystkich stron świata.

NERYSSA.

Jakież pani zdanie o tym szkockim lordzie, jego sąsiedzie.

PORCYA.

To, że jest pełen sąsiedzkiej uprzejmości. Pożyczył raz od Anglika policzek i przysiągł, że mu odda, jak będzie mógł; Francuz był podobno jego przyjacielem i podpisał się za niego.

NERYSSA.

Jakże się pani podoba ten młody Niemiec, synowiec księcia saskiego?

PORCYA.

Nieznośnie zrana, kiedy trzeźwy; a jeszcze nieznośniej w wieczór, kiedy ma w głowie. Kiedy się najlepiej przedstawia, wtedy się wydaje trochę gorzej jak człowiek; a kiedy się przedstawia najgorzej, wydaje się trochę lepiej jak zwierzę: niech mię co najgorszego spotka, od niego przynajmniej uda mi się wykręcić, mam nadzieję.

NERYSSA.

Jeżeli jednak zechce wybierać i wybierze szczęśliwą skrzynkę, w takim razie wzbrowiłabyś się pani spełnić wolę ojca, gdybyś go przyjąć nie chciała.

PORCYA.

Z obawy, aby się to nie stało, proszę cię, wsadź w niepomyślną skrzynkę sporą butelkę reńskiego wina, bo choćby szatan w inną siedział, a tej pokusy brakowało, gotówby inną wybrać.

NERYSZA.

Nie masz pani potrzeby obawiać się tych adonisów: żadnemu z nich się nie dostaniesz. Objawili mi oni swe postanowienie, którego treścią jest, iż wracają do domu i zalotami swemi naprzykrzać ci się dłużej nie będą, chyba w takim razie, gdyby mogli pozyskać panią w inny sposób, a nie według woli jej ojca, za pośrednictwem tych skrzynek.

PORCYA.

Choćbym tak długo żyła jak Sybilla, umrę tak czystą jak Dyana, jeślibym nie oddała ręki zgodnie z życzeniem mego ojca. Bardzom rada, że to grono aspirantów tak rozsądnie chce sobie postąpić, bo nie ma między nimi ani jednego, którego bym nieobecności najserdeczniej nie pragnęła, i prosić będę Boga aby im dał szczęśliwą podróż.

NERYSZA.

Nie przypominaszże sobie pani pewnego Wenecyana, oficera, literata, który tu był z markizem Montferatu, jeszcze za życia twego ojca?

PORCYA.

I owszem, to był Bassanio, zdaje mi się, że tak się nazywał?

NERYSZA.

W istocie, tak. Ze wszystkich mężczyzn, których moje głupie oczy kiedykolwiek widziały, najgodniejszym posiadania pięknej kobiety ten mi się wydał.

PORCYA.

Przypominam go sobie, i przypominam sobie, że zasługuje na twoją pochwałę.

*(Służący wchodzi).*

Cóż tam? co nam powiesz?

SŁUŻĄCY.

Owi czterej cudzoziemcy czekają na panią, chcąc ją pożegnać. Jest tam także goniec od piątego, od markizańskiego księcia, który przyniósł wiadomość, że jego pan na noc tu zjedzie.



PORCYA.

Gdybym mogła tego piątego powitać z tak lekkim sercem, z jakim tamtych czterech idę pożegnać, cieszyłabym się z jego przyhycia. Jeżeli ma święty umysł a naturę szatańską, tobym go wolała na spowiednika jak na zalotnika. Pójdź, Nerysso. Ledwie zamkniemy bramę za jednym konkurentem, jużci drugi do niej kołace.

(Wychodzą).

**SCENA TRZECIA.**

(Wenecya, Plac publiczny).

**BASSANIO i SZYLOK** *wchodzą.*

SZYLOK.

Trzy tysiące dukatów, dobrze.

BASSANIO.

Tak jest, na trzy miesiące.

SZYLOK.

Na trzy miesiące, dobrze.

BASSANIO.

Antonio, jak mówilem, będzie poręczycielem:

SZYLOK.

Antonio poręczycielem, dobrze.

BASSANIO.

Możeszże mi wygodzić? Chceszże mię zobowiązać? Mamże liczyć na ciebie?

SZYLOK.

Trzy tysiące dukatów, na trzy miesiące i Antonio poręczycielem.

BASSANIO.

Jakaż twoja odpowiedź?

SZYLOK.

Antonio, dobry.

BASSANIO.

Słyszałeś co nasuwającego przeciwne zdanie?

SZYLOK.

Aj, nie, nie, nie. Kiedy mówię: dobry, to chcę dać do zrozumienia, że jego podpis wystarcza. Ale jego od-

powiedzialność jest w kwestyi. Wystął jedną galere do Tripolis, drugą do Indyi; słyshałem także w Rialto, że ma trzecią na wodach Meksyku, a czwartą w drodze do Anglii; i inne jeszcze transporty w różne strony rozrzucone. Ale okręta to deski, majtkowie, ludzie; są szczury ziemne i szczury wodne; złodzieje ziemne i złodzieje wodne, to jest korsarze; a potem mamy hazard bałwanów, wiatrów i skał. Jakożkolwiek bądź, człowiek ten wystarcza. Trzy tysiące dukatów! Zdaje mi się, że mogę przyjąć jego poręczenie.

BASSANIO.

Możesz bezpiecznie to uczynić.

SZYLOK.

Chcę to uczynić bezpiecznie, i żebym mógł być ubezpieczony, muszę się namyślić. Czy mogę się widzieć z Antoniem?

BASSANIO.

Jeżeli zechcesz podzielić z nami obiad.

SZYLOK.

Tak, żebym wachał świninę; żebym pożywał strawę tam, gdzie wasz prorok, Nazareńczyk, wywoływał czarta. Gotów jestem z wami mieć stosunki i rachunki, układać się i gadać, ale jeść z wami, pić z wami i modlić się z wami, nigdy. Cóż tam słyhać na Rialto? Któżto się tu zbliża?

(Antonio wchodzi).

BASSANIO.

To signor Antonio.

SZYLOK (do siebie).

Jak ma chytrego celnika oblicze!  
 Nienawidzę go, bo jest chrześcianinem;  
 Lecz bardziej jeszcze za to, że z nikczemnej  
 Prostuduszności *gratis* borgi daje,  
 I nam tu stopę procentów obniża.  
 Gdybym mu kiedy mógł pomacać żeber,  
 Dawna ma niechęć ulgi doznała.  
 On gardzi moim ludem i publicznie  
 Na zgromadzeniach kupieckich szkaluje  
 Mnie, moje sprawy i ucziwe zyski,  
 Mieniając je lichwą. Niech będzie przeklętym  
 Mój ród, jeżeli kiedy mu przebaczę.

BASSANIO.

I cóż, Szyloku?

SZYLOK.

Obliczyłem w głowie  
 Moje obecne zasoby, i widzę  
 Z przecięciowego mniej więcej bilansu,  
 Że niepodobna mi będzie nateraz  
 Zebrać okrągłej summy trzech tysiąca  
 Dukatów. Ale nic to nie stanowi:  
 Tubal, zamożny jeden z Izraela  
 Przyjdzie mi w pomoc. Na ileż miesięcy  
 Żądacie?

*(Do Antonia).*

Witam was, wielmożny panie;  
 O waszej cześci była właśnie mowa.

ANTONIO.

Szyloku, lubo ani wypożyczam,  
 Ani pożyczam, gwoli brania albo  
 Wygórowanych dawania procentów,  
 Gotówem jednak złamać ten obyczaj  
 Dla przyjaciela w naglącej potrzebie.

*(Do Bassania).*

Czy wie on, ile ci trzeba?

SZYLOK.

Wiem, panie:

Trzy tysiące dukatów.

ANTONIO.

Nieinaczej:

Na trzy miesiące.

SZYLOK.

O tém zapomniałem.

Na trzy miesiące: tak, jużem to słyszał;

I za poręką waszą; bardzo dobrze:

Pożyczę. Ale chciejcie mię posłuchać.

Powiedzieliście, panie, zdaje mi się,

Że gwoli zysku nie wypożyczacie,

Ni pożyczacie pieniędzy?

ANTONIO.

Nie zwykłem

Odbiegać od tej zasady.

SZYLOK.

Gdy Jakób

Posł trzodę teścia swojego, Labana,—

Był on po naszym świętym Abrahamie,

Za sprawą mądrzej swój matki, z kolei

Trzecim, tak, rychtyk, trzecim patryarchą.

ANTONIO.

Cóż nam tu po nim? Czy i on brał lichwę?

SZYLOK.

Nie, lichwy nie brał, to jest wprost, w znaczeniu  
Przywiązywanem przez was do téj nazwy:  
Chciejcież uważać, co Jakób uczynił.  
Między Labanem a nim stanął układ,  
Że co się tylko pstrych i przegowatych  
Jagniąt urodzi, wszystkie Jakóbowi  
Na własę przypadną. Skoro więc, jak zwykle  
Z końcem jesieni wśród wełnistej rzeszy  
Na dobie było dzieło rozplemiania,  
Roztropny pasterz ponakrapiał kółki,  
J one, w chwili parzenia się, w okół  
Powbijał w ziemię tuż przed maciorkami,  
Które poczawszy wtędy, w swoim czasie  
Wydały same srokate jagnięta:  
I Jakób posiadał wszystkie. Tym fortelem  
Zyskał on korzyść i był błogosławion.  
Każdy zysk, panie, jest błogosławieństwem,  
Gdy nie kradzionym sposobem przychodzi.

ANTONIO.

Był to szczęśliwy traf tylko, na który  
Jakób zasłużył; nie mógł on sam przez się  
Tego dokazać, bez udziału nieba:  
Boskato ręka tak pokierowała.  
Ale do czegoż to zmierza? Czy żeby  
Uprawnić lichwę? Jestli wasze złoto  
I srebro stadem owiec lub baranów?

SZYLOK.

Nie wiem; lecz mnożę moje równie szybko.  
Ale pozwólcie mi, signore, jeszcze  
Słówko powiedzieć.

ANTONIO.

Patrz, Bassanio: szatan  
Śmie nam cytować Pismo. Duch skażony,  
Zastawiający się świętém świadectwem,  
Jest jak złoczyńca z uśmiechem na ustach,  
Jak jabłko z wierzchu piękne, wewnątrz zgniłe:  
O, jak błyszczący pozór fałsz przybiera!

SZYLOK.

Trzy tysiące dukatów, piękna summa!  
A trzy miesiące, to czwarta część roku.

ANTONIO.

I cóż, Szyloku? mamyż ci być dłużni?

SZYLOK.

Signor Antonio, wiele, mnogo razy  
 Zelżyłeś mię sromotnie na Rialto,  
 Za z bogacanie się moje przez lichwę;  
 Za każdym razem zniosłem to, z cierpliwem  
 Wzruszeniem ramion, bo cierpieć jest działem  
 Naszego ludu. Nazwałeś mię, panie,  
 Nędznikiem, psem niewiernym, za to tylko,  
 Że rozporządzam, jak chcę, tēm co moje.  
 Dobrze:— aliści teraz się wykrywa,  
 Że potrzebujesz mój pomocy: oto  
 Przychodzisz do mnie i mówisz: *Szyloku,*  
*Chcemy od ciebie pożyczyć pieniądze.*  
 Wyż-to mówicie, signore; wy, coście  
 Swój charch niedawno na brodę mi spluli?  
 Coście mię z wzgardą potracali nogą,  
 Jak psa obcego, coby wam wszedł w drogę?  
 Pieniędzy chcecie: cóżbym ja powinien  
 Rzec na to? Nie tak-żebym rzec powinien:  
*Ażali u psa są pieniądze? Możeż*  
*Muc trzy tysiące dukatów pożyczyć?*  
 Czyli też mam się skłonić i jak dłużnik,  
 Z tchem przytlumionym, pokornie bełkocząc,  
 Tak rzec: *Laskawy panie, pszeszłej środy*  
*Plunąłeś na mnie; kopnąłeś mię w piątek;*  
*Innego znowu dniu psem mię nazwałeś:*  
*Za te grzecczości, gotów-em ci chętnie*  
*Tyle a tyle pieniądze pożyczyć?*

ANTONIO.

Mógłbym cię łatwo znów tak samo nazwać,  
 Plunąć na ciebie i kopnąć cię znowu.  
 Jeżeli chcesz nam pożyczyć tę summę,  
 To nam ją pożycz nie jak przyjaciołom:  
 (Kiedyż albowiem przyjaciół czynsz ściągają  
 Od przyjaciela, za jałowy metal)?  
 Pożycz ją raczej jak nieprzyjaciołom,  
 Których, jeżeli chybią, z śmielszēm czołem  
 Będiesz mógł ściągąć.

SZYLOK.

Jak się unosicie,

Signore! Chciałem was sobie przejednać,  
 Żyć odtąd z wami w przyjaźni, zapomnieć  
 Doznanych od was obelg, przyjść wam w pomoc,

I nie wziąć ani szeląga procentu,  
Od mych pieniędzy; a wy nie słuchacie:  
Czy nie uprzejmy jestem?

ANTONIO.

W rzeczy samój.

SZYLOK.

I uprzejmości tój dowiodę. Pójdźmy  
Do notaryusza; tam mi podpiszecie  
Swoj oblię. z taką, dla żartu, klauzulą:  
Ze jeślibyście mi nie wypłacili  
Tój a tój summy, na ten a ten termin,  
W tém a w tém miejscu, jak w punktach stać będzie,  
Wynagrodzicie mi, panie, ten zawód  
Funtem swojego ciała, który będę  
Mógł wam wykroić, zkąd mi spodoba.

ANTONIO.

Zgoda; podpiszę taki akt i powiem,  
Ze i żyd umie być uprzejmym.

BASSANIO.

Nie chcę

Abyś akt taki za mnie podpisywał:  
Wolę pozostać w kłopotcie, jak jestem.

ANTONIO.

Nie bój się, nic mi złego się nie stanie.  
Za dwa miesiącc, a zatém o miesiąc  
Wcześniej niż termin, otrzymam niechybnie  
Dziesięćkroć razy wysokość tój summy.

SZYLOK.

O Abrahamie! co tóż to za ludzie  
Z tych chrześcian! Własna ich zawziętość czyni,  
Ze o toż samo posądzają drugich.  
Gdyby mi signor Antonio sfallował,  
Cóżbym ja zyskał, zważcie tylko sami,  
Na dochodzeniu i exekwowaniu  
Owój klauzuli? Funt mięsa wyjęty  
Z ciała ludzkiego, nie jest przecie ani  
Tyle wart, ani tyle użyteczny,  
Co funt wolego albo baraniego;  
Widzicie zatém, że chcę być uczynnym  
Jedynie, aby wam się przypodobać.  
Przyjmiecie moją przysługę, to dobrze;  
A nie, to bądźcie zdrowi i przynajmniej,  
Za dobre chęci nie krzywdźcie mię odład.

ANTONIO.

Dobrze, Szyloku, podpiszę ten oblig.

SZYLOK.

Udajcież się więc panowie niezwłocznie  
Do notaryusza i wskażcie mu, jak ma  
Ten żartobliwy układ wygotować.  
Ja zaś tymczasem pójde dukatami  
Napelnić worek i zajrzeć do domu,  
Który-m zostawił na śliskiej opiece  
Sługi urwisa: wnet zdążę za wami.

*(Wychodzi).*

ANTONIO.

Śpiesz się cny Izraelu.— Ten żydzina  
Gotów niedługo wyjść na chrześcianina;  
Spoczciwiał jakoś.

BASSANIO.

Nie wiele ja za co  
Mam piękne słowa tam, gdzie grunt ladaco.

ANTONIO.

Pójdź; w każdym razie nie osiądziem na dnie:  
Statki me wrócą, nim termin zapadnie.

*(Wychodzą).*

## AKT II.

## SCENA PIĘRWSZA.

*(Belmont. Sala w pałacu Porcyi).*

PORCYA, NERYSSA i inne osoby do Porcyi na-  
leżące. Odyłos trąb. KSIĄŻĘ MAROKAŃSKI  
wchodzi z orszakiem swoim.

KSIĄŻĘ MAROKAŃSKI.

Nie gardź mną, pani, z powodu méj cery,  
Tęj ciemnej barwy palącego słońca.  
Którego jestem tak blizkim sąsiadem.  
Kaź tu sprowadzić: obok mnie stawić  
Najpiękniejszego mężczyznę z Północy,  
Gdzie promień Feba zaledwie odwilża  
Zębate krańce lodowców, i pozwól,  
Abyśmy sobie, dla miłości twojej,

Otarli skórę, na świadectwo, czyja  
 Krew jest czerwienista: jego, albo moja.  
 Wiedz o tém, pani, że przed tém obliczem  
 Najwaleczniejsi drżeli, i najwyżej  
 Uszlachetnione dziewice stref naszych  
 Lubily na nie patrzeć. Nie mienialbym  
 Za nic téj maści, chyba za wzajemność  
 Twych uczuć, moja uroczna królowo.

PORCYA.

W wyborze moim nie mogę iść, panie,  
 Za płochą radą niewieściego wyroku,  
 Choćby los, co ma przyszłość mą rozstrzygnąć,  
 Nie ogołacał mię z możności dania  
 Dobrowolnego komubądź pierwszeństwa;  
 Gdyby mię wszakże ojciec nie był ściesnił,  
 I woła swoją nie był zobowiązał,  
 Abym oddała moje rękę temu,  
 Co mię pozyska w sposób wam wiadomy:  
 Wtedybyś pewnie miał, dostojny książe,  
 Równe w mych oczach prawo do mych uczuć,  
 Jak którykolwiek z twych współzawodników,  
 Których widziałam dotąd.

KSIĄŻĘ MAROKAŃSKI.

Przyjm i za to

Podziękowanie. Teraz-że, o pani,  
 Chciej mię do owych skrzynek zaprowadzić,  
 Abym spróbował szczęścia. Na tę szablę!  
 Która zglądziła Sofiego, syna  
 Perskiego szacha, która trzykroć razy  
 Zbiła sultana Solimana hufce:  
 Olsniłbym blaskiem najgwiazdzistsze oczy,  
 Zatarłbym męztwem najdzielniejsze serca,  
 Wydarłbym młode z gniazda niedźwiedzi;  
 Co więcej nawet, poszedłbym lwa drażnić,  
 Gdy ryczy z głodu: bylebym mógł, pani,  
 Pozyskać ciebie. Ale cóż mi z męztwa!  
 Kiedy Herkules gra w kości z Lichasem,  
 Który z nich lepszy, łatwo kość celniejsza  
 Może przypadkiem paść ze słabszej dłoni.  
 Tak zginął Alecyd z ręki młodzianiszka.  
 Tak i ja mogę, przy ślepej grze szczęścia,  
 Stracić to, co się kogoś mniej godnego  
 Stanie udziałem i umrzeć z zgryzoty.

PORCYA.

Musisz, mój książe, przyjąć szale losu,  
 I albo wcale wyboru zaniechać,



Albo poprzysiądz, nim wybór uczynisz:  
 Że jeśli błędnie wybierzesz, nie będziesz  
 Na przyszłość nigdy o małżeństwie mówił  
 Z żadną kobietą: bądź przeto ostrożny.

KSIĄŻĘ MAROKAŃSKI.

Nigdy też mówić nie zechcę. Gdzie skrzynki?  
 Prowadź, mię, pani; niech los mój rozstrzygną.

PORCYA.

Idźmy wprzód do świątyni: po obiedzie  
 Będziesz mógł ksiązę próbować hazardu.

KSIĄŻĘ MAROKAŃSKI.

Święć się fortune! stoję bowiem między  
 Szczytem radości a przepaścią nędzy.

(Wychodzą).

## SCENA DRUGA.

(Wenecya. Ulica).

LANCELOT GOBBO *wchodzi.*

LANCELOT.

Zaprawdę, sumienie pozwala mi uciec od tego ży-  
 da, u którego jestem w służbie; zły duch wciąż za mną  
 stoi i kusi mię i szepce: *Gobbo, Lancelocie Gobbo, mój ko-  
 chany Lancelocie; albo: mój kochany Gobbo, albo mój kocha-  
 ny Lancelocie Gobbo; użyj swoich pedałów: weź je za pas  
 i drapnij.* Sumienie moje mówi na to: *strzeż się, mój  
 poczciwy Lancelocie, strzeż się mój poczciwy Gobbo, lub wre-  
 szcie: strzeż się mój poczciwy Lancelocie Gobbo: nie ucie-  
 kaj: odepchnij ucieczkę nogą precz od siebie.* Ale zły duch  
 niczem nie ustraszony, każe mi się wynosić. *Marsz! mó-  
 wi zły duch; zabieraj manatki! mówi zły duch; na miłość  
 zbawienia! mowi zły duch, nabierz mężkiej odwagi i ruszaj.*  
 Sumienie moje zakłopotane rzuca się mojemu sercu na  
 szyję i mówi do mnie arcymądrze: *Mój poczciwy przyja-  
 cielu, mój poczciwy Lancelocie, ponieważ jesteś synem poczci-  
 wego ojca— czyli raczej synem poczciwej matki; bo mój  
 ojciec lubił czasem pozwolić sobie, miał przyrodzenie  
 kszynkę ciekawę,— otżę, sumienie moje mówi: Lancelo-  
 cie, nie ustępuj!— Ustąp! mówi zły duch;— nie ustępuj!*  
 mówi moje sumienie. Sumienie! mówię: dobrze radzisz;—  
 zły duchu! mówię: dobrze radzisz. Gdybym się dał po-  
 wodować sumieniowi, musiałbym pozostać w służbie u te-

go żyda, który, Boże mi przebacz, jest rodzajem szatana; a gdybym uciekł od tego żyda, tobym się dał spowodować złemu duchowi, który, (wybaczcie mi państwo,) jest samymże szatanem. To pewna, że ten żyd jest szatanem wcielonym, i (na sumienie) sumienie moje nie ma chyba serca, kiedy mi może radzić, żebym u tego żyda pozostał. Zły duch daje mi życzliwszą radę. Dam drapaka, zły duchu: nogi moje na twoje rozkazy.

(Stary Gobbo wchodzi z koszem w ręku).

GOBBO.

Kawalerze! powiedzcie mi, proszę, którądy tu się idzie do mieszkania pana żyda?

LANCELOT

(na stronie).

O nieba! wszakci to mój rodzony ojciec. Czy go do reszty katarakta oślepiła, że mię nie poznaje? Muszę go trochę zażyć z mańki.

GOBBO.

Mości kawalerze, powiedzcie, proszę, którądy tu się idzie do mieszkania pana żyda?

LANCELOT.

Udajcie się od rogu na prawo, ale od najpierwszego rogu na lewo, uważacie?—od najbliższego rogu nie udacie się ani na prawo ani na lewo, tylko się wykręcicie w bok prosto do mieszkania pana żyda.

GOBBO.

Ach mój Bożeczku! po takiej drodze trudno będzie trafić. Nie mogliścież mi powiedzieć, czy niejaki Lancelot, co jest u niego, jest u niego, czy nie jest?

LANCELOT.

Chcicie mówić o młodym panu Lancelocie? (na stronie) uważajcież teraz, jaką puszcę fontannę.— (głośno) Chcicie mówić o młodym panu Lancelocie?

GOBBO.

Nie o żadnym panu, moj panie, ale o synu pewnego biedaka. Jego ojciec jest sobie poczciwym, bardzo biednym chudziwą, ale Bogu dzięki przy dobrém zdrowiu.

LANCELOT.

Mniejsza z tém, niech jego ojciec będzie czém chce: mowa tu jest o młodym panu Lancelocie.

GOBBO.

O służce waszj wielmożności i o Lancelocie.

LANCELOT.

Powiedzcież mi przeto, mój sturuszku; proszę was przeto, powiedzcie mi, czy mówicie o młodym panu Lancelocie?

GOBBO.

O Lancelocie, do usług waszj wielmożności.

LANCELOT.

Przeto o panu Lancelocie. Nie mówcie, ojcze, o panu Lancelocie; bo młody ten pan, (z woli losów i przeznaczeń i tym podobnych technicznych wyrażen. za sprawą trzech siostr i tym podobnych gałęzi naukowych), prawdę mówiąc rozstał się z życiem, czyli po prostu mówiąc, przeszedł na łono wieczności.

GOBBO.

Niechże Bóg uchowa! ten chłopak był prawdziwym kijem mojej starości, prawdziwą moją podporą.

LANCELOT.

Czy to ja wyglądam jak palka, albo kłoda, żebym był kijem albo podporą? Nie poznajesz mię ojcze?

GOBBO.

Biédneż moje lata! Nie poznaję was, panie: ale powiedzcie mi proszę, czy mój chłopak, (Panie świeć nad jego duszą) zostaje przy życiu, czy umarł?

LANCELOT.

Nie poznajeszże mię, ojcze?

GOBBO.

Niestety! mam krótki wzrok: nie poznaję was, panie.

LANCELOT.

Dalipan, choćyście mieli oczy, moglibyście mię nie poznać: mądry to ojciec, co zna własne dziecko.—No sturuszku, dam wam wiadomość o waszym synu: pobłogosławcie mię! (*Przyklękuje*). Prawda wyjdzie na wierzch. Zabójstwo nie może długo być ukryte, ale prawdziwy syn swojego ojca może być; bądź co bądź, prawda w końcu musi wyjść na wierzch.

GOBBO.

Proszę was, panie, powstańcie: jestem pewny, że wy nie jesteście moim synem, Lancelotem.

LANCELOT.

Zaniechajcie już, ojcze, tych fecessyi i dajcie mi błogosławieństwo. Jestem Lancelotem, waszym chłopcem, który był, waszym synem, który jest, waszém dzieckiem, które będzie.

GOBBO.

Nie mogę myśleć, że jesteście moim synem

LANCELOT.

Nie wiem sam, co mam o tém myśleć; ale jestem Lancelotem, sługą tego żyda; i jestem pewny, że wasza żona Małgorzata, jest moją matką.

GOBBO.

Małgorzatać jej na imię. Jeżeli jesteś Lancelotem, to mogę na to przysiąc, żeś ty moja własna krew i ciało. Niech Bóg będzie pochwalony! Jakiegożeś dostał zarostu! Więcej masz włosów w brodzie, niż Jacus, mój stary koń holo-blowy, w ognie.

LANCELOT.

To widać Jacusiowi ogon w tył rośnie. Pamiętam przecie, że więcej miał włosów w ognie, niż ja na twarzy, kiedyś go widział po raz ostatni.

GOBBO.

Chryste Panie! jakżeś się odmienił! Jakże się znosisz z swoim panem? Przynoszę mu podarunek. Powiedzże mi, jak się znosiscie?

LANCELOT.

Dobrze, dobrze; ale co do mnie, jakem sobie raz postanowił odbiedz od niego, to też nie przedź stanę, aż ubiegnę kawał drogi. Mój pan jest prawdziwym żydem. Jemu dawać podarunki! Dajcie mu lepiej stryczek. Wychudłem z głodu u niego: moglibyście mi na żebrach palce policzyć. Cieszę się, ojcze, żeś przyszedł; daj mi lepiej swój podarunek dla pewnego signora Bassania, który sprawa sute nowe liberye. Jeżeli nie pójdę w służbę do niego, to pójdę w świat tak daleko, jak ziemia Boża dosięga.— Co za szczęście! Oto on sam nadchodzi. Wstaw się do niego, ojcze; bo przedź żydem zostanę, niż będę dłużej służył u żyda.

(Bassanio wchodzi: za nim Leonardo z kilku innymi towarzyszami).

BASSANIO.

Możesz to uczynić;— ale przyspieszaj tak, żeby wicherza była gotową najpóźniej o piątą. Oddaj te listy po-

dług adresu; zanieś te liberye do krawca, i proś pana Gracyana, żeby zaraz przyszedł do mego mieszkania.

(Służący wychodzi).

LANCELOT.

Zbliż się do niego, ojcze.

GOBBO.

Daj Boże wszystko dobre waszój wielmożności!

BASSANIO.

Dziękuję: czego chcesz odemnie?

GOBBO.

Oto mój syn, panie: biédny chłopiec!

LANCELOT.

Nie biédny chłopiec, panie, ale bogatego żyda służącego, któryby pragnał,— jak to mój ociec zaprezentuje.

GOBBO.

On ma, panie, wiele deklinacji, że tak powiem, do służby.

LANCELOT.

W istocie: krotko mówiąc, służę u żyda, i mam pragnienie,— jak to mój ociec zaprezentuje.

GOBBO.

Jego pan i on (z przeproszeniem waszój wielmożności) są z sobą tak właśnie jak pies z kotem.

LANCELOT.

Słowem, rzecz się ma tak, że ten żyd, u którego służę, przez złe obchodzenie się ze mną, przyprowadził mnie,— jak to ociec, mój który skutkiem wieku jest już stary, niniejszém zaprodukuje.—

GOBBO.

Mam tu paszlecik z gołębi, którybym rad zaofiarować waszój wielmożności; i prosić....

LANCELOT.

Mówiąc jak najkrócej, prosba ta jest względem mnie impertynentną, jak się wasza wielmożność o tém dowie od tego poczciwego starca, który chociaż stary, jak powiedziałem, biédny jest, i jest moim ojcem.

BASSANIO.

Niech jeden za dwóch mówi. Czego chcecie?

LANCELOT.

Wejść w służbę do Was, panie.

GOBBO.

To jest prawdziwy dekret naszej prośby.

BASSANIO.

Znam cię i prosbie twój uczynię zadość.  
To, co mi Szylok dziś mówił, wypada  
Na twoję korzyść; jest-li to korzyścią  
U bogatego żyda rzucać służbę,  
By zostać sługą biednego szlachcica?

LANCELOT.

Stare przysłowie dobrze się stosuje do was, panie,  
i do Szyloka: *lepszą cnotą w kapocie, niż niecnota w złocie.*

BASSANIO.

Masz słuszność. Idźże się pożegnać teraz  
Ze swoim panem, a potem do mego  
Zgłoś się mieszkania.

*(Do towarzyszących mu).*

Dajcie mu strojnniejsze

Oporządzenie niż innym: slyszycie?

LANCELOT.

Pójdź, ojcze. A co? Nie mogę dostać służby? Zapominam w gębie języka? *(Przyglądając się swojej ręce).* Niech-no mi pokażą piękniejszą rękę na całe Włochy, którą można choć na biblii położyć! Będę miał szczęście! ho, ho! Naprzód tylko! Tu za ciasne pole dla człowieka: skąpa miarka kobiet; kilkanaście kobiet, to nic; jednaście wdów i dziewięć dziewcząt, to kusy rysurs dla człowieka. A potem, trzy razy ledwie się wykręcić od śmierci przez utonienie i codzień się od niej wykręcać, będąc narażonym na rozbicie sobie głowy o kant łóżka z betami,—kaduk mi po takich wykrętach! Dalipan, jeżeli fortuna jest płci żeńskiej, to wkrótce ją nazwę wałą dziewczuchą. Pójdź ojcze; w dwa migi pożegnaj się z tym żydem.

*(Wychodzi z starym Gobbo).*

BASSANIO.

Zalaw to, mój kochany Leonardo;  
A gdy posprawiasz wszystko com ci zlecił,  
Wracaj natychmiast, bo daję dziś wieczór  
Dla mych najlepszych przyjaciół. Idź, śpiesz się.

LEONARDO.

Spuść się pan na mą gorliwość w tój mierze.

*(Gracyano wchodzi).*

GRACYANO.

Gdzie twój pan?

LEONARDO.

Oto przechadza się owdzie.

*(Wychodzi).*

GRACYANO.

Signor Bassanio, mam prośbę do ciebie.

BASSANIO.

Mów, jaką? jużes skutek jój otrzymał.

GRACYANO.

Muszę się z tobą zabrać do Belmontu.

BASSANIO.

Toć musisz, ale posłuchaj, Gracyano:

Jesteś za szorstki, za niepowsiągliwy,

W czynach i w mowie; sąto strony, które

Pomiędzy nami uchodzą i naszych

Oczu nie rażą, ale w oczach obcych

Dają ci trochę pozór libertyna.

Proszę cię przeto, zadaj sobie pracę,

I uskrom kilku chłodnemi kroplami

Obyczajności swą bryczną naturę,

Abym przez twoją rubaszność nie stracił

Sam na opinii tam, gdzie będziemy razem,

I w mych nadziejach nie upadł.

GRACYANO.

Posłuchaj,

Signor Bassanio: jeżeli nie przyjmę

Skromnej manieri, nie będę się z całym

Uszanowaniem tłumaczył i tylko

Kiedy niekiedy przeklinał; jeżeli

Nie będę nosił codziennie w kieszeni

Książki nabożnej, i trusięj miał miny;

A przy modlitwie u stołu nie będę

Ramion na piersiach w krzyż zakładał, wzdychał,

I mówił: amen; jeżeli nie będę

Strzegł pilnie wszelkich form przyzwoitości,

Jak ktoś, co postać świętoszka przybiera,

Chcąc się swęj staręj babce przypodobać,

To niech na zawsze mir u ciebie stracę.

BASSANIO.

Dobrze, zobaczę, jak się znajdziesz

GRACYANO.

Tylko

Dzisiejszy wieczór excypuję sobie;  
To, co dziś zrobię, w rachunek nie wchodzi.

BASSANIO.

Bynajmniej; szkoda by było: i owszem,  
Radbym, ażebyś się w najparadniejsze  
Szaty swojego humoru przystroił,  
Bo biesiadnicy nasi będą chcieli  
Wesoło czas przepędzić, nie mruklawie.  
Bądź zdrów tymczasem: mam pilny interes.

GRACYANO.

I ja mam także rendez-vous z Lorencem  
I resztą naszych, ale przed wieczerzą  
Nie omieszkamy stawić się u ciebie.

*(Wychodzą wszyscy).***SCENA TRZECIA.***(Tamże. W domu Szyloka).***JESSYKA i LANCELOT.**

JESSYKA.

Przykro mi że się z nami tak rozstajesz.  
Dom ten jest piekłem, a ty byłeś niby  
Djabelkiem, co je swoją wesołością  
Rozjaśniał. Bądźże zdrów! masz tu dukata.  
Słuchajno, Lancelocie, wkrótce będziesz  
Widział Lorenca, który u twojego  
Nowego pana ma dziś być na uczieie:  
Oddaj mu, proszę, ten list; tylko skrycie.  
A teraz bywaj zdrów, aby mój ojciec  
Nie dostrzegł czasem, że rozmawiam z tobą.

LANCELOT.

Adie! Łzy absolwują moją wymowę. O najpiękniejsza poganko! O najmiłsza hebrejko! Jeżeli jaki chrześcjanin nie popelni heretyctwa i nie pojmie cie, to wszystko na świecie zawodzi. Adie! Te głupie krople rozmiękcza we mnie męskiego ducha. Adie!

*(Wychodzi).*



JESSYKA.

Bądź zdrów, pocziwy Lancelocie.  
 Jakże jest wielki mój grzech, że się wstydzę  
 Być córką mego ojca! Chociaż jednak  
 Jestem dziecięciem jego krwi, nie jestem  
 Dziecięciem jego serca. O Lorencu,  
 Dotrzyмай słowa! a wkrótce ochrzczoną,  
 Wierną do śmierci będę twoją żoną.

*(Wychodzi).*

## SCENA CZWARTA.

*(Tamże. Ulica).*

GRACYANO, LORENCO, SALARINO i SOLANIO *wchodzą.*

LORENCO.

Tak więc wysłizniem się podczas wieczerzy,  
 Co tchu przebiorzem się, i za godzinę  
 Powrócim nazad, jakby nic nie było.

GRACYANO.

Nie zrobiliśmy k'temu przygotowań.

SALARINO.

I pochodniarzy-śmy nie zamówili.

SOLANIO.

Jeśli się tego zgrabnie nie wykona,  
 To nic nie warto i lepiej dać pokój.

LORENCO.

Teraz punkt czwarta; mamy zatém jeszcze  
 Do przygotowań parę godzin czasu.

*(Lancelot wchodzi z listem w ręku).*

Cóż tam, kochany Lancelocie?

LANCELOT.

To pismo oświadczy zapewne, jeżeli się waszój  
 wielmożności podoba je rozkopertować.

LORENCO.

Znam dobrze rękę, która to pisała;  
 Pięknato ręka i białosc téj ręki  
 Bielsza niż papier, na którym pisała.

GRACYANO.

Miłosny jakiś raport, ani wątpić.

LANCELOT.

Ściele się do stóp waszój wielmożności.

LORENCO.

Gdzie idziesz?

LANCELOT.

Idę zaprosić mego dawnego pana, żyda, do mego nowego pana, chrześcianina, na dzisiaj, na kolacyą.

LORENCO.

Weź to i powiedz przesłicznój Jessyce,  
Że przyjdę; powiedz jój to pokryjomu:  
Pamiętaj i bądź zdrów.

*(Lancelot wychodzi).*

No, cóż, panowie,  
Chcecież należeć do téj maskarady?  
Jam już zamówił pochodniarza.

SALARINO.

Chcemy,

I bardzo chcemy; zaraz pójdę za tém.

SOLANIO.

I ja.

LORENCO.

Zejdźcież się ze mną i z Gracyanem,  
W stancyi Gracyana, za godzinę.

SOLARINO I SOLANIO.

Zgoda.

*(Wychodzą obadwaj).*

GRACYANO.

Nie byłże list ten od pięknej hebrejki?

LORENCO.

Muszę ci wyznać wszystko. Tak jest: właśnie  
Pisze mi ona, jak ją z domu ojca  
Mam uprowadzić; że się należycie  
Zaopatrzyła w złoto i precyzoza,  
I ma już ubiór pазia w pogotowiu.  
Jeśliby ojciec jój poszedł do nieba,  
To tylko córce swojejby to winien;  
Gdyby zaś jaka kara niebios miała  
Spaść na nią samą, to chybaby za to,

Że winna życie niecnemu żydowi.  
Pójdźmy, Gracyano, przeczytaj to idąc:  
Jessyka będzie nam pochodnię niosła.  
(*Wychodzą*).

## SCENA PIĄTA.

(*Przed domem Szyloka*).

SZYLOK i LANCELOT *wchodzą*.

SZYLOK.

Dobrze: przekonasz się na własne oczy  
Czém jest Bassanio, a czém stary Szylok.  
Pójdź tu, Jessyko!—Nie będziesz, jak u mnie,  
Napychał brzucha—Jessyko!—i legał  
Całemi dniami, chrapał, darł odzienie.  
Jessyko! żywo! héj!

LANCELOT.

Jessyko! żywo!

SZYLOK.

Kto tobie kazał wrzeszczeć? Czym ja kazał?

LANCELOT.

Zwykliście mi byli mówić tylko, że nie powinienem  
*niczego* czynić bez rozkazu.

(*Jessyka wchodzi*).

JESSYKA.

Wołacie, ojczy? Cóż mi rozkażecie?

SZYLOK.

Jestem na ucztę zaproszony. Naści  
Klucze Jessyko. Ale pocóż pójdę?  
Nie zaprosili mię tam przez życzliwość;  
Chcą mi pochlebić tylko. Pójdę jednak:  
Nie przez uprzejmość, ale przez nienawiść,  
Aby nasycić się widokiem zbytku  
Tego chrześcijańskiego marnotrawcy.  
Jessyko, pilnuj domu moje dziecko.  
Idę z niechcenia. Coś niesfortunnego  
Kluje się przeciw mojej spokojności,  
Bo mi się śniły dziś worki z pieniędzmi.

LANCELOT.

Pójdźcie, panie, proszę was; mój nowy pan liczy na  
waszę przyszłość.

SZYLOK.

Jak ja na jego.

LANCELOT.

Przygotowano tam pewną przyzę. Nie powiadam,  
żeby to miała być maskarada, ale jeżeli zobaczycie coś  
podobnego, to nie darmo mi krew ciekła z nosa w osta-  
tni poniedziałek wielkanocny o szóstej z rana; któryto  
poniedziałek przypadł w tym roku na ten sam dzień,  
w którym przez cztery lata poprzednie była środa po-  
pielcowa.

SZYLOK.

Co? maskarada ma być? Maskarada?  
Pozamykajże drzwi szczelnie, Jessyko;  
A jak usłyszysz odgłos tarabana,  
I kwik przekłety koślawej piszczałki,  
To mi się wtedy nie wieszaj u okien,  
Ani wyścibiaj głowy na ulicę,  
Aby się gapić na tych chrześcijańskich  
Błaznów, z twarzami pomalowanemi;  
Ale zaszpuntuj uszy mego domu,  
Rozumiem przez to okna; i nie wpuszczaj  
Dźwięku téj głupiej, szalonej rozpusty  
Do uczciwego mego domu. Słyszysz?  
Na kij Jakóba przysięgam, że nie mam  
Żadnej ochoty do biesiadowania:  
Tylko gwałt sobie czynię.

*(Do Lancelota).*

Idź waść naprzód;

Powiedz, że przyjdę.

LANCELOT.

Idę naprzód, panie.

*(Do Jessyki).*

Stań jednak panna w oknie, mimo tego,  
Bo się tu zjawi ktoś o zmroku;  
Wart, żeby przed nim nie kryć wzroku.

*(Wychodzi).*

SZYLOK.

Co ci tam prawił do ucha ten hultaj  
Z rodu Hagary? he?

JESSYKA.

Powiedział tylko.  
Bądź panna zdrowa; nic więcej.

SZYŁOK.

Ten urwis

Jest w gruncie nie tak zły, ale obżartuch,  
Ślimak do pracy i skłonny do spania,  
Jak świszcz. Nie trzymam trutniów w moim ulu;  
Dlatego też go odprawił; tém chętniej,  
Że poszedł w służbę do kogoś takiego,  
Komu dopomóż nieomieszka pewnie  
Do wypróżnienia pożyczonych worków.  
Nuże, Jessyko, idź do domu. Może  
Wrócę za chwilę. Zrób tak, jakem kazał;  
A drzwi zarygluj. Zamknięta rzecz, święta:  
Dobry gospodarz zawsze to pamięta.

(Wychodzi).

JESSYKA.

Bądź zdrow!  
Jeśli mię szczęście nie ludzi zdradziecko,  
Nie mam już ojca, tyś utracił dziecko.

(Wychodzi).

## SCENA SZÓSTA.

(Tamże).

GRACYANO i SALARINO *wchodzą zamaskowani.*

GRACYANO.

Oto wystawa, pod którą Lorenzo  
Kazał nam czekać.

SALARINO.

Pora umówiona

Minęła prawie.

GRACYANO.

Dziw, że się tak spóźnia:  
Gachowie zwykli godzinę uprzedzać.

SALARINO.

O, stokroć prędzej gołębie Wenery  
Lecą skojarzyć świeży sprzęg miłości,  
Niżli się kwapią utrzymać niezłomnie  
Obowiązkową wiarę.

GRACYANO.

Tak się dzieje,  
 Bracie, we wszystkiem. Któż wstaje od uczty,  
 Z równym, jak do niej zasiadł, apetytem?  
 Któryż koń nowy kurs odbywa z ogniem,  
 Tak samo żartkim jak pierwszy? Wszystkiego  
 Chciwiej się żąda, niżeli używa.  
 Naksztalt młodzika, albo marnotrawcy,  
 Wypływa okręt z rodzinnéj przystani,  
 Gładki i cały, z pełnemi żaglami.  
 Cacko, pieścidoł wiewi rozkosznicy;  
 I wraca nazad naksztalt marnotrawcy:  
 Z żaglami w szmatach, z poprzecieranemi  
 Zewsząd bokami, chudy, poszarpany,  
 Ofiara téjże wiewi rozkosznicy.

*(Lorenzo wchodzi).*

SALARINO.

Otóż Lorenzo: schowaj to na potém.

LORENCO.

Wybaczcie mi tę zwłokę, przyjaciele:  
 Nie moja wina w tém. żeście czekali;  
 Lecz interesu, który mię zatrzymał.  
 Jeśli będziecie mieli kiedy spełnić  
 Kradzież kobiety, na własny rachunek,  
 To i ja na was tak długo zaczekam.  
 Postąpcie bliżej! Tu mieszka żyd, teść mój.  
 Hop! hop! hop! jest tam kto?

*(Jessyka w ubiorze pania ukazuje się w oknie).*

JESSYKA.

Co wy za jedni?  
 Powiedzcie, aby mię lepiej upewnić,  
 Choć mogę przysiąc, że mój głos wasz poznała.

LORENCO.

To ja, Lorenzo, twój kochanek.

JESSYKA.

Tak jest,  
 Lorenzo; tak, mój kochanek: bo kogoż  
 Serdeczniej kocham? Ale któż wie lepiej,  
 Jak ty, Lorenzo, czy i ty mnie również?

LORENCO.

Niebo, i własna twa myśl to poświadcza.

JESSYKA.

Wzē tę szkatulkę: warta ona trudu.  
 Radam, że ciemno, i że mię nie widzisz;  
 Bo mi wstyd bardzo w tém przebraniu: ale  
 Miłość jest ślepa; kochankowie nigdy  
 Nie widzą szaleństw, jakie popełniają;  
 Gdyby inaczej było, sam Kupido  
 Zapłonilby się, widząc mię w tēj chwili  
 Tak przemienioną w chłopca.

LORENCO.

Zejdź, kochanie:  
 Trzeba, ażebyś mi pochodnię niosła.

JESSYKA.

Pochodnię? Mamże sama jeszcze świecić  
 Memu wstydowi? Zbyt on i tak jawny.  
 Ej! luby! środek to uwidocznienia,  
 A mnieby trzeba być ukrytą.

LORENCO.

Czyliż  
 Nią już nie jesteś w tym ślicznym kostiumie?  
 Zejdź-no, bo noc już jest na przesileniu,  
 I towarzysze uczy u Bassania  
 Czekają na nas.

JESSYKA.

Zamknę drzwi, zabiorę  
 Jeszcze coś złota i zejđę natychmiast.  
*(Znika z okna).*

GRACYANO.

To nie żydówka, to bóstwo, na honor!

LORENCO.

Wiercie mi, że ją kocham z całej duszy:  
 Bo jest rozstropną, jeśli się znam na tém;  
 I piękną, jeśli oko mię nie zwodzi;  
 I wierną, o tém już mię przekonała;  
 Za tę więc piękność, rozstropność i wiarę,  
 Wieczną jęj z serca uczynię ofiarę.

*(Jessyka wchodzi).*

A! przecieś przyszła!—Dalejże, panowie,  
 Śpieszmy, bo musim stawić się na słowie.

*(Wychodzi z Jessyką i Salarinem).**(Antonio wchodzi).*

ANTONIO.

Kto tu jest?

GRACYANO.

Czyś to ty, signor Antonio?

ANTONIO.

Ej, Ej, Gracyano! Gdzież reszta kompanii?

Już po dziewiątej: czekają na ciebie.

O maskaradzie nie ma dziś mowy;

Wiatr się odwrócił: Bassanio chce zaraz

Siadać na okręt. Wysłałem za tobą

Z jakich dwudziestu posłańców.

GRACYANO.

Niczego

Bardziej nie pragnę i nie żądam więcej,

Jak być pod żaglem i w drodze czempredzój.

*(Wychodzą.)*

## S C E N A S I Ó D M A.

*(Belmont. Sala w pałacu Porcyi.)*

Odgłos tręb: PORCYA i KSIĄŻĘ MAROKAN-

SKI *wchodzą z orszakami swemi.*

PORCYA.

Idźcie firankę podnieść i odsłonić

Owe trzy skrzynki temu cnemu księciu.

Wybieraj teraz, panie.

KSIĄŻĘ MAROKAŃSKI.

Jedna ze złota; ma na wierzchu napis:

*Kto mnie wybierze, zyska to co wielu nęci;*

Druga ze srebra, a na niej te słowa:

*Kto mnie wybierze, wygra to, czego jest godzien;*

Trzecia z ołowiu, z godłem również lichém:

*Kto mnie wybierze, musi wszystko ryzykować.*

Po czém-że poznam, czy-m wybrał właściwą?

PORCYA.

W jednej z nich mieści się mój wizerunek:

Gdy tę wybierzesz, książe, będę twoją.

KSIĄŻĘ MAROKAŃSKI.

Niechże Bóg jaki kieruje mym sądem!

Muszę raz jeszcze przejrzeć te napisy.



Cóż mówi naprzód ta skrzynka z ołowiu?

*Kto mnie wybierze, musi wszystko ryzykować.*

Za co? za ołów? ryzykować wszystko,

Za podły ołów? ta skrzynka wątpliwa.

Kto ryzykuje wszystko, ten to czyni

W nadziei chyba sówitej korzyści.

Złota myśl nie dba o śmiecie, i ja więc

Nie ryzykuję wszystkiego za ołów.

Cóż mówi teraz z kolei ta srebrna?

*Kto mnie wybierze, wygra to, czego jest godzien.*

Czego jest godzien? Namysł się, Maroko,

I zważ w bezstronnej dłoni swoje wartości.

Gdybym był cenion w miarę mój zasługi,

Byłbym zaiste godzien wiele posiadać;

To wiele jednak mogłoby się nie dać

Rozciągnąć właśnie do tej pięknej pani:

Jakkolwiek, z drugiej strony, wątpić o tém,

Byłoby sobie samemu ubliżać.

Czegoż ja jestem godzien? Jój zaiste:

Godzien jój jestem przez ród, przez majątek,

Przez wychowanie i umysł: lecz bardziej

Nad wszystko godzien jój jestem przez miłość.

Gdybym też nie szedł dalej i tę wybrał?

Ale zobaczmy jeszcze, co opiewa

Napis wyryty na tej złotej skrzynce?

*Kto mnie wybierze, zyska to, co wielu nęci.*

O niej-to mowa, ona nęci wszystkich:

Ze wszech stron świata ciągną tu rycerze,

Aby się modlić do tego świętego,

Śmiertelną piersią tchnącego posagu.

Hirkańskie ślepy, nieprzebyte piaski

Rozległych pustyń Arabii, są teraz

Jakby drogami utorowanemi

Przez książąt, chcących ujrzeć piękną Porcyę.

Dumne królestwo wód, którego paszcze

Plują w twarz niebu, żadną nie jest tamą

Dla tych miłosnych pątników: jest ono

Dla nich jak strumień łatwy do przebycia,

Przez który dążą ujrzeć piękną Porcyę.

W jednej z tych skrzynek ma się tedy mieścić

Jój boski obraz. Czyżby w ołowianej?

Sama myśl o tém byłaby bluźnierstwem,

Taki sprzęt byłby za nikczemny nawet

Do otoczenia jój całunu w grobie.

Mamże przypuścić, że ją kryje srebro,

Którego wartość jest dziesięćkroć razy

Mniejszą niż złota? O bezbożna myśli!

Nigdy tak drogi, tak uroczy klejnot

Nie był oprawny inaczej jak w złoto.  
 Jest w Anglii złotej monety gatunek,  
 Z wyobrażeniem anioła w odbiciu,  
 W odbiciu tylko; tu w tém złotém łożu  
 Spoczywa cały anioł.— Tę wybieram:  
 Daj mi klucz, pani; niech się co chce staniel!

PORCYA.

Oto jest: otwórz ją książkę. Jeżeli  
 W niej jest mój obraz, będę twoją.

KSIAŻKĘ MAROKAŃSKI

(otworzywszy skrzynkę).

Piekło!

Co to takiego? Trupia głowa, w której  
 Wyniłem oku tkwi jakoweś pismo.  
 Cóż tu jest napisane? przeczytajmy.

(Czyta).

*Nie wszystko, co się lśni, jest złotem:*

*Oddawna ci mówiono o tém.*

*Nie jeden rozstał się z żywotem,*

*Co się dał złudzić mym błyskotem.*

*Grób złoty bywa tuczny błotem.*

*Gdyby twój zapach, ściśłym splotem,*

*Z mądrości złączon był przymiotem,*

*Byłbyś był treść mą odgadł lotem.*

*Idź precz, odpowiedź twa nic potem.*

*Precz więc, po gorzkim tym zawodzie,*

*Grzejący ogniu! witaj chłodzie!*

Bądź zdrowa Porcyo, kto tak jak ja stratny,  
 Ten do pożegnań dłuższych jest niezdatny.

(Wychodzi z swym orszakiem).

PORCYA.

Spuście zasłonę! To pierwszy akt próbny.  
 Oby tak wybrał każdy doń podobny!

## SCENA ÓSMA.

(Wenecya. Ulica).

SALARINO i SOLANIO *wchodzą.*

SALARINO.

Tak jest, widziałem Bassania pod żaglem;  
 Z nim i Gracyano się wyprawił: ale  
 Lorenca nie ma, ręczę, na ich statku.

SOLANIO.

Ten żyd szubrawiec krzykiem skłonił Dożę,  
Pójść z nim i okręt Bassania przetrząsnąć.

SALARINO.

Za późno przyszli, okręt był już wtedy  
Na pełnym morzu; doszło jednak Doże,  
Ze w jednej z gondol widziano Lorenca  
Z rozmilowaną jego żydóweczką.  
Przytém Antonio ręczył Doży słowem,  
Ze ich nie było na Bassania statku.

SOLANIO.

Jeszcze nie widział żalu tak dziwnego,  
Tak szalonego, tak sprzecznego w sobie,  
Jaki po mieście ten parch żyd wyzionął.  
*Moje dukaty!*— wołał—*moja córka!*  
*O moja córko!*— *O moje dukaty!*—  
*Uciekła z chrześcianinem!*— *O chrześciańskie*  
*Moje dukaty!*— *O sprawiedliwości!*—  
*O córko!*— *O dukaty!*— *Cały worek,*  
*Całe dwa worki opieczętowane,*  
*Pełen dukatów, podwójnych dukatów,*  
*Skradła mi własna córka!*— *i precjoza,*  
*Parę kamieni, parę drogocennych*  
*Kamieni, własna córka mi ukradła!*—  
*Sprawiedliwości!*— *Znajdźcie mi tę dziewczkę!*  
*Odajcie mi ją!*— *Ona ma przy sobie*  
*Moje kamienie i moje dukaty!*

SALARINO.

Wszystkie weneckie chłopcy biegą za nim,  
I krzyczą: *Córka! Dukaty! Kamienie!*

SOLANIO.

Niech się Antonio ogląda na termin,  
Bo mógłby za to przyplacić.

SALARINO.

To pewna:

Wczoraj poznałem się z jednym Francuzem,  
Który mi mówił, że w ciasnym przesmyku,  
Dzielącym Francją od Anglii, zatonał  
Jakiś nasz okręt z bogatym ładunkiem.  
Gdy mi to mówił, natychmiast Antonio  
Przyszedł mi na myśl i pragnąłem w duszy.  
Aby to nie było jego.

SOLANIO.

Powinienbyś

Antonia o tém uwiadomić; wszakże

Nie nagle, bo-by go to przeraziło.

SALARINO.

Nie ma na świecie poczciwszego serca:

Byłem obecny, kiedy się Bassanio,

I on żegnali; mówił mu Bassanio,

Że wszelkich starań doloży, ażeby

Wrócić co rychlęj; on zaś odrzekł na to:

*Nie, mój Bassanio, nie zbywaj tej sprawy**Byle jak; przez wzgląd na mnie; niechaj ona**Dojrzeje z czasem; a ów skrypt u żyda**Niech nie zakłóca twych troskliwych myśli.**Bądź wesół i zwróć całą swoją dążność**Ku pozyskaniu względów i zabiegom,**Jakie cię będą mogły tam zelecić.*

To mówiąc, z łzami w oczach twarz odwrócił,

Chcąc ukryć swoje wzruszenie; uścisnął

Rękę Bassania i tak się rozstali.

SOLANIO.

Zdawałoby się prawie, że on żyje

Tylko dla niego. Pójdźmy go odwiedzić,

I smutek jego rozerwać cokolwiek,

W ten albo inny sposób.

SALARINO.

Dobrze, idźmy.

*(Wychodzą).***SCENA DZIEWIĄTA.***(Belmont. Sala w pałacu Porcy).***NERYSSA** *wchodzi ze służącym.*

NERYSSA.

Podnieś zasłonę. Książę arragoński  
Formie przysięgi uczynił już zadość,  
I wraz tu przyjdzie dopełnić wyboru.*(Odgłos tręb. Wchodzą: książę arragoński i Porcy z orszakami  
swemi).*

## PORCYA.

Szlachetny książę, oto leżą skrzynki.  
 Jeśli wybierzesz tę, w której mój obraz,  
 Ślubny nasz obrzęd zaraz się odbędzie;  
 Jeśli zaś chybisz, panie, będziesz musiał  
 Ustąpić zład natychmiast, bez szemrania.

## KSIĄŻĘ ARRAGOŃSKI.

Przysięga, którąm złożył, wkłada na mnie  
 Trzy obowiązki; najprzód: nie wymieniać  
 Przed nikim, którą z tych skrzynek wybrałem;  
 Powtóre: jeśli nie trafnie wybiorę,  
 Nigdy się odtąd nie starać o rękę  
 Żadnej dziewicy; naostatek, w razie,  
 Gdyby mię szczęście zawiodło, niezwłocznie  
 Opuścić dom twój, pani, i odjechać.

## PORCYA.

Trzy te warunki zaprzysięga każdy,  
 Co chce niegodną mą osobę pojąć.

## KSIĄŻĘ ARRAGOŃSKI.

Będę im wierny. Terazże, fortuno,  
 Rozśmiej się!— Złoto, srebro, lichy olów.—  
*Kto mnie wybierze, musi wszystko ryzykować.*  
 Trochębys piękniej musiała wyglądać,  
 Żebym cię przeniósł nad inne. Cóż mówi  
 Ta świetnie złotem błyszcząca? zobaczymy:  
*Kto mnie wybierze, zyska to, co wielu nęci.*  
 Co wielu nęci? Przez ten wyraz, *wielu*,  
 Możliwy głupi gmin rozumieć, który  
 W wyborze swoim chwyla się pozoru,  
 Pojmując tylko to, co może tępym  
 Wzrokiem namacać: nie ogląda wewnątrz,  
 I jak jaskółka, watał swą budowę  
 Kleci w powietrzu u zewnętrznej ściany,  
 Na grę przypadku. Nie wybiorę tego,  
 Co wielu nęci, bo nie chcę stać duchem  
 Na równym stopniu z pospolitą rzeszą,  
 Ani się bratać z bezrozumnym tłumem.  
 Do ciebie teraz zwracam się, do ciebie,  
 Srebrna skarbnico! Cóż mi ty obwieścisz?  
*Kto mnie wybierze, wygra to, czego jest godzien.*  
 Sensowne zdanie! bo któżby się ważył  
 Kusić o szczęście i o cześć, nie mając  
 Stępla zasługi? Wara komukolwiek  
 W niezasłużony stroić się przywilój!  
 Gdyby lenności, stopnie i urzędy  
 Nie przychodziły sposobem nieprawym,

I gdyby każda godność piastowana  
 Była nabytkiem godności wewnętrznej,  
 Ilużby ludzi nakrywało głowy.  
 Zamiast stać kornie z odkrytemi! Iluż  
 Rozkazodawców słuchałoby wtedy!  
 Ileżby szui nikczemnej odpadło,  
 Z pomiędzy pełnych ziarn istnej wyższości!  
 A ile istnej wyższości powstało  
 Z plew i rumowisk czasu, aby nowym  
 Blaskiem zajaśnieć! Lecz wróćmy do rzeczy.  
*Kto mnie wybierze, wygra to, czego jest godzien.*  
 Dufam w zasługę. Daj mi klucz, o pani,  
 By mi otworzył tę drogę do szczęścia!.

PORCYA.

Za opieszale przystępujesz, książę,  
 Do tego, co tam masz znaleźć.

KSIĄŻĘ ARRAGOŃSKI  
*(otwiera skrzynkę).*

Co widzę?

Portret idioty, który, oczy mrużąc,  
 Wyciąga ku mnie zapisany świstek.  
 O jakżeś różny od obrazu Porcy!  
 Od mych nadziei i zasługi mojej!  
*Kto mnie wybierze, wygra to czego jest godzien.*  
 Godzienże jestem tylko głowy głupca..?  
 Toż mój dział? Nie wart-żem niczego więcej?

PORCYA.

Błądzić i sądzić są to dwa zadania  
 Różne i sprzeczne z sobą.

KSIĄŻĘ ARRAGOŃSKI.

Cóż tu stoi?

*(Czyta).*

*Czém srebro skutkiem chrztu płomieni  
 Tém w próbach ci są doświadczeni,  
 Czyj umysł sięga aż do rdzeni.  
 Niejeden cień zwodniczą ceną,  
 Totóż nie zyska nic prócz cieni.  
 Bywają głupcy posrebrzeni,  
 Jak ten, co prawdą to być mieni.  
 Z kimkolwiek waszmość się ożeni  
 Będziemy z sobą połączeni.  
 Bądź zdrow: już tego nic nie zmieni,  
 Przepraszam jak najuniżeniej.  
 Gdybym tu jeszcze dłużej bawił,  
 Więcejbym głupstwa się nabawił.*

Przyszedłem z jedną głupią głową,  
A wracam nazad z dubeltową.  
Adieu! nie dla mnie tu już pole;  
Odchodzę z wstydem znieść mą dolę.

(Wychodzi z swym orszakiem).

PORCYA.

Tak w świecy tonąśmy i mole.  
O światle głupcy! mędrzy z głową chora,  
Im głębiej wezmą, tym płyćiej wybiorą.

NERYSSA.

Dobrze to mówi stare axioma:  
Że śmierć i żona z góry przeznaczona.

PORCYA.

Nerysso, spuść firankę.

(Służący wbiega).

SLUŻĄCY.

Jest tu pani?

PORCYA.

Jest, mości panie.

SLUŻĄCY.

Przed bramą pałacu  
Zsiadł z konia jakiś młody Wenecyanin,  
Z uwiadomieniem o blizkiem przybyciu  
Swojego pana, od którego przywiózł  
Najuprzejmiejsze pozdrowienia, to jest,  
Oprócz grzeczności i pięknych słów, dary  
Znacznej wartości. Nie widziałem jeszcze  
Gońca miłości tak miłego. Nigdy  
Kwietniowy ranek nie zwiastował wabniej  
Zbliżającego się nadejścia lata,  
Jak ten posłaniec swego pana.

PORCYA.

Przestań.

Boję się, żebyś w końcu nie powiedział,  
Że on jest jakim blizkim twoim krewnym,  
Tak uroczyste sypiesz mu pochwały.  
Pójdźmy, Nerysso. Jak mi się też wyda,  
Ciekawa jestem, ten laufer Kupida.

NERYSSA.

Bassanio, królu serc! Coś mi się roi,  
Że to kwatermistrz z awangardy twojej.

(Wychodzą).

(Dokończenie nastąpi).

# STAROPOLSKA MIŁOŚĆ.

URYWEK PAMIĘTNIKA

SPISANY PRZEZ

*J. I. Kraszewskiego.*

(Ciąg dalszy).

Tymczasem życie szło swoim trybem dosyć jednostajnie całego tego roku: księżna dla niedobrego zdrowia i interesów swoich, nigdzie, nawet w Poznańskie nie wyjeżdżała. Siedzieliśmy cicho, gońce tylko biegali, to do pana Lipskiego, to w inne strony, i listami też nas nawiedzano niemal codziennie.

Przybywali także krewni, znajomi i interesowani o dzierżawy, zastawy, kapitały, gdyż księżna była w wielkich interesach i frymarkach nieustannych. Wiele czasem potrzeba było wystąpić i występowano co się zowie, a potem znowu cichośmy żyli jak przedtém. W niedzielę zwykle grywała kapela w kościele, potem na pokojach lub w ogrodzie, zjeżdżali się sąsiedzi, obiad był na kilkadziesiąt osób, a wśród tygodnia po dwie, po trzy osoby przybywały niemal codziennie.

Jednego dnia wchodzi do mnie skarbnikowicz z rana i powiada:

— Otóż mamy gościa.



— No, to nie nowina, — rzekłem.

— Ale ba, takiegoś jeszcze nie widział, bo to z Siemiatycz ksiązę Szujski.

Nie wiem czemu mnie tak tknęło, jakby kto nóż gorący w serce wbił. Jaki Szujski? — spytałem.

— A ojciec panny Barbary — rzekł chłodno.

— I cóż to za figura? — począłem rozpytywać.

— Co chcesz, żebym ci gadał: zobaczysz — odparł skarbnikowicz.

Z gawęd dowiedziałem się nieco więcej, bo go tam znali dobrze. Był to człowiek już niemłody, ale jeszcze fantazyi wielkiej; sniło mu się i to księstwo jego i preponderencya między szlachtą, na której pozyskanie cały niemal stracił majątek i resztkami już jeno go nił. Zarazem się tam ułożył, żeby go zobaczyć, gdy będzie iść do pałacu. Miał ze sobą kilku szlachty od Siemiatycz nie pysznej, ale zamaszystej, wszystko chłop w chłopa, sążniowi, starą modą poubierani, po litewsku z rękawicami łosiwymi za pasem, w przyjacielskich mundurach Szujskiego: zielone kontusze, żupany ponsowe, konfederatki białe. On sam olbrzymiego wzrostu, ramion szerokich, siwy jak gołąb, z wąsem i całkowitą brodą do pasa, ani mi wyglądał, żeby miał być ojcem takiego anioła. Tylko oko czarne, świecące z pod brwi nawieszistej, piękne, choć dziko patrzące, cośkolwiek córkę przypominało. Głowę nosił do góry, zarzuconą aż na plecy, wygoloną starym obyczajem z czubem na wierzchu. W istocie postawę miał wielką i wspaniałą. Obyczaj też tego człowieka, jakem go później poznał, odpowiadał gęstiej minie; całe życie trawił na robieniu sobie partyi i adherentów, a to mu najlepiej dogadzało, gdy jak najwięcej szumu i hałasu na sejmikach w Brześciu narobił. Rujnował się tém, aby dumie dogodzić. A co większa, nie spełna podobno wiedział czego chciał, bo wedle tego, jak mu która strona pokłoniła się szedł za tą lub za ową, w niej dobro publiczne upatrując i nie

jasno się w tém przeglądając. Niczego się tém wcale nie dorobił, a choć przed sejmikami o swojego kandydata i król czasem do niego pisał i magnaci zjeżdżali się, aby go sobie pozyskać, ledwo za to wszystko dali mu starostwo pohorelskie, które stanowiły kilkanaście chattek wcale nie intratnych: ale tytuł był.

Śmieli się z niego ludzie, korzystali z jego buty, a on się nigdy nie obejrzał, że marnie życie tracił. Polityk to był tego rodzaju, co się zawsze tego jeno strachał co sobie wyśnił, nigdy istotnego nie widząc niebezpieczeństwa. Podejrywał wiecznie wszystkich, że pracowali dla absolutum dominium, że kuli zdradę, że kraj sprzedać myśleli. Życie jego na dworze w Siemiatyczach całe upływało na rozprawianiu o sejmikach przed niemi i po nich, na rozrywaniu się kozackimi figlami swych dworaków i sług.

Szlachta mu nowiny dzikie zwoziła i pili a hałasowali objadając go co wlażło. Dla tej mniemanój roli statysty, którą chciał odegrywać, wszystkiego się wyrzekł i trzymając dom otwarty, coraz dalej brnął w długi. Głowa słaba, dał się prowadzić gdzie chciano hałasem i wielkimi słowy. Zresztą w gruncie najuczciwszy i zasad prawych, gdyby rozsądku miał więcej, byłby mógł istotnie być użytecznym przy swój gorliwości. Ale tak nim miotano gdzie chciano, a on się wcale nie postrzegał. Że na statystę chorując czytać i pisać nie umiał, byłoby nie do wiary, ale istotnie mimo sekretu, który z tego czynił, ledwie się swego podpisu rysować nauczył. Nie przyznawał się do tego, gdy przyszło do czytania składając się bolem! oczu, a w pisaniu cudzą zawsze wy ręczając się ręką: ale łatwo to było postrzedz. To, co pochwycił z rozmów i sejmikowój gadaniny, cały zapas jego stanowiło. Żonały z krewną księżną Sapiehów, która mu zmarła córkę na świat wydawszy, owdowiał nie bolejąc nad tą stratą, bo mu życie w stanie mał-

żeńskim nie dogadzało, a córkę jak skoro z pieluch wyszła, oddał na dwór księżnej pani.

Pan Bóg znać sam wychowywał sierotę, bo na niej ani nieładu domowego pana starosty pohorelskiego, ani innych znamion, jakieby wychowanie tutejsze wyrzucić mogło, znać nie było. Prawda, że staruszka ciotka, która jakoś prędko zmarła, zajmowała się nią początkowo w dzieciństwie, a musiała to być osoba pobożna i święta, która przez miłość dla Basi, znosiła ciężki krzyż w domu starosty.

Po jejto śmierci panna Barbara przeszła na dwór księżnej od lat młodych. Ale wierzę w to, że są istoty tak obdarowane od Boga, że same z siebie czerpiąc, bez pomocy obcej do dobrego dojść mogą. Przypuścić tu należy szczególną łaskę i opiekę niebieską nad niemi, bo inaczej słabość ludzka nie podołałaby zwyciężyć zła, ku któremu ciągnie ułonna natura.

Przybycie starosty pohorelskiego, nie wiem dla czego wzruszyło mnie mocno i jakby przeraziło; nie był jeszcze ni razu przy mnie, choć już go obiecywano i dawniej, kolnęto mnie coś przecuciem i nie bez przyczyny. Zaraz też wieczorem od Mierzejewskiego dowiedziałem się, że panna Duninówna, z którą znowu był już w najlepszej komitywie, mówiła mu, iż podsłuchując rozmowy poobiedniej z księżną w gabinecie, dorozumiewała się, że Szujski napierał się zabrać córkę z sobą. Mówił on, że dla niej wynalazł męża stosownego i że czas było wydać ją za mąż. Wojewodzicowa dopytywała się kłoby był dla Basi przeznaczony i zakrzyknęła głośno dowiedziawszy się o nim, ale panna Duninówna nie dosłyszała nazwiska. Miała mu księżna przekładać, że tu lub w Warszawie lepszą daleko partją wyrobić może dla krewnej, ale starosta pohorelski stał przyswojém ostro.

— Już ja to najlepiej wiem — mówił — co mojemu dziecku potrzeba; nie chcę, żeby dłużej cudze kąty wycierało: wdzięczem jestem za łaskę W. Ks. Mości, ale ją za-

brać muszę. Niech się uczy dom trzymać, gospodarzyć; przytém i mnie tęskno, słuszną abym się swojém dzieckiem pocieszył. Księżna spierać się miała długo i tak nie postanowiwszy rozeszli się. Czy panna Barbara wiedziała o tém, czy nie, dojsć nie mogłem; alem ją ujrzał z oczyma czerwonemi na nieszpórach, jakby zapłakaną. I nie dziw: spojrzawszy na tych kilku szlachty co przybyli ze starostą i z nich biorąc miarę towarzystwa, w które popaść miała, ochota nie brała ją z Kodnia wyjeżdżać. Ale wola ojca dla dziecięcia święta.

Nazajutrz rano zawołano mnie do księżnej jeszcze nim starosta z oficyny ze sweni akolitami do pałacu przyszedł na śniadanie: było coś pilnego do pisania. Wehodem na salę, nie ma nikogo: w bocznym pokoju tylko słyszę głos księżnej. Postąpić dalej nie śmiałem, odkaslnąłem, żeby o sobie dać znać, ale mnie nie usłyszano, i schwyciłem mimo woli kawałek rozmowy, który mnie przejął do gruntu.

Księżna mówiła naprzód:

— Ten szacunek i posłuszeństwo, jakie masz dla ojca, bardzo ci chwałę moja Basiu, ale Pan Bóg, ani ludzie daremnych poświęceń nie wymagają po człowieku. Jeżeli pojedziesz, zakopiesz się w Siemiatyczach i nic nikomu z tego nie przyjdzie dobrego. Wydadzą cię za mąż lichu i życie stracisz marnie.

— Ale wola ojca, M. Księżno — rzekł miły i stodziuchny głosik panny Barbary.

— Zapewne, gdybyś ojcu potrzebną była, lub użyteczną być mogła, nie mówię; ale on dla ciebie trybu życia nie zmieni, a wydać cię może za jakiego sejmikowicza.

— Juściż potrafi i moję wolę poszanować . . .

— Nie, moje serce, oni przywykli dziećmi się rozporządzać, bez odwoływania się do nich; taki był obycaj dawniej, takie jeszcze dziś chcą mieć prawo: to

darmo. Jeśli pojedziesz, ja nie ci z tego nie wróżę dobrego.

— Ale mogeż nie jechać, jeśli gwałtownie zażąda? . . . W. K. Mość nawet nic nie poradzisz na to!

— Postaram się, a W. Panna ze swój strony powiedz stanowczo, że życzyłabyś sobie zostać przy mnie.

W tém bonończyk księżnej zaszczekał zwąchawszy obcego, rzucił się z gabinetu, za nim szpice i cała psów pokojowych czereda obstała mnie ujadając. Księżna sądząc, że tylko co przyszedł wyjrzała, i przerwawszy rozmowę, poczęła mi zaraz dyktować list do pana hetmana. Tylem tylko uchwycił, ale i głos i myśl utkwiły mi w sercu.

Chociaż z nawyknięcia pisałem już bez omyłek, gdy od dykty wstał, zabiłby mnie, a nie mógłbym powiedzieć, co ów list zawierał, takim był obawą przejęty o to, co się stanie z panną Barbarą.

Ledwie miał czas złożyć pismo, gdy oznajmiono starostę pohorelskiego, który z attencyą przychodził. Dopiero go teraz zbliżka zobaczył, gdy nisko pokłoniwszy się księżnie, z nienawykłością jak widać do obcowania z kobietami, dosyć niezgrabnie przyszedł rękę jęj ucałować.

— A co kuzynie? — rzekła księżna wojewodzicowa do niego — wszak mi Basię zostawisz: nie zechcesz mnie osierocąć?

— A już to nie sierota, księżno dobrodziejko — rzekł gładząc brodę siwą — he? W. K. Mość masz tu się z kim zabawić i rozerwać, jam pustelnik. Gospodyni mi potrzebna, i mam moje projekta . . .

— Zmitujże się! a toć i ja bez nich nie jestem! mam i ja wyborne! Pojedziemy do Warszawy: z jęj wdziękiem, skromnością, nazwiskiem — przycisnęła księżna — Bóg wie jaką partya zrobić może. Takiej jęj w Siemiatyczach nie dasz . . .

Kniaź wziął się oburącz za pas.

— Hm—rzekł—co to mam obwijać! A na co mnie zięć Poniatowczyk i dworak? Ja sobie wybiorę szlachcica prostego, ale do mego serca. Tych modnych paniczeków z kusa wzięto i opięto poodziewanych niecierpie.

— Już ciż starego jęj nie dasz męża . . .

— Nie, ale dojrzałego i statystę . . .

Dalęj skinęła na mnie księżna żebym wyszedł i już nie nie słyszałem. Siedział jeszcze kniaź w Kodniu dni kilka, przyjmowali go dosyć przystojnie, ale mu tu było nudno. Ani pijatyki hałaśliwój nie miał, ani towarzystwa stosownego. Generał Kurdwanowski bawił go pokazowaniem psów i koni, na co on był obojętny; sędzia politykował z nim zdala, bo się kłócili. Dopiero jak do oficyn późną nocą ze swojemi poszedł, tam sobie pozwalali szumniej, ale im wszakże tęskno było do zabawek siemiatyckich . . .

Już tedy w dni kilka poczęli się zbierać napowrót, ale rozeszła się wieść, że choć kniaź córkę zostawił, to tylko do czasu i ochmistrznią po nią z wozami miał przysłać za kilka tygodni. Ani perswazye księżnój, ani tży panny Barbary nie pomogły: mnie jak kosą podciął, gdym się o tēm dowiedział.

Co tu robić? nie widzieć jęj, nie słyszeć i stracić na wieki, myślałem, to i mnie chyba nie żyć więcej. Ale to być nie może. Kiedy serce pragnie na swojém postawić, musi, a gdyby i za morzami była, znaleźć ją muszę i dojdę do niej. Nikomum tego mówić nie mógł, ale tak mocno to w sobie postanowiłem, że jeśli ją zabiorą ztąd, i ja z Kodnia ruszę, a starać się będę gdzieś bliżęj Siemiatycz umieścić. Jak? tegom nie wiedział i nie rozumiał, alem czuł, że to zrobię.

Tęmbardziej poznawszy ojca, a widząc jęj pozycyą potrzebującą przyjacielskiej pomocy, czułem się obowiązany dla sieroty, której tak ginąć dać nie było można . . .

Tu urywa się pamiętnik naszego nieznajomego, a ręka przyjaciela dopisała z boku następujące uwagi i objaśnienia, tém dla nas ciekawsze, że z innej strony i punktu widzenia o tém co nam autor przedstawił, sądzić pozwalają i dopełniają powieść jego.

---

„Zmarły przyjaciel mój, niech mu Bóg da pokój wieczny, najlepszego serca człowiek, a wielkiej mocy charakteru, tą miłością dla kobiety, której tu przedstawia początki za owych czasów, choć się z nią krył jak ze zbrodnią, stał się ciekawym i pokazywano go sobie palcami, bo to był fenomen osobliwy, jakiego od czasów może sławnego Abelarda i Heloizy, nie widziano na świecie. Obyczaje naszego wieku nic podobnego nie znosiły. Dwojako się działo w Polsce za owych czasów: albo po prastaremu, to jest bez tych tam wygórowanych sentymentów, a poczciwie i jak Bóg przykazał brali się i żenili; żyli z sobą i miłując małżeństwo nie mieli czasu na czułości; albo, jak to po miastach i stolicach, płocho sobie poczynając i sakramenta lekceważąc, miłostkami się zabawiali, które tyle trwały co ciekawość nowości i nasycenie próżności, lub żądzy nieprawej. Słyszeliśmy i my o tém, że innego rodzaju miłości po świecie się trafiały, o owych extraordynaryjnych przygodach kochanków, co za sobą całe życie gonili nie mogąc wyżyć bez siebie; ale to się uważało za coś nadzwyczajnego i wyjątkowego, do czego zwykła natura ludzka nie była zdolną.

Nieboszczyk znać należał do téj szczupłej liczby wyjątkowych ludzi, co taki sentyment w sercu piastować i dotrwać w nim mogli, jak to się okaże. I można rzec, mnie com na niego patrzył, że to godne szacunku było uczucie, jakiegośmy za żywota naszego ani widzieli, ani o nié m gdzieindziej słyszeli.

Znałem go za młodu i rodzica jego podkomorzego i całą familią godną, ale on jeden z pospolitych ludzi, jakimi ci byli, wyszedł, i stał się podziwem wszystkich przez to swoje dla jednej kobiety poświęcenie, co mu nawet za złe miano, i niemal go jako waryata niektórzy uważali. W szkołach byliśmy z nim razem, zawsze był milczący, zamyślony i posepny, a tak dziwny, że go prawie śmiejącego się nie widział. Nie, żeby mu brakło wesołości, bo był łagodny i przyjacielski do zbytku i przywiązujący się, ale go tak natura uczyniła poważnym. A z towarzyszków naszych, który szydził i miał żytkę do najgrawania się, jak to między młodzieżą nie rzadko się trafia, to go unikał jak zapowietrzonego. Nigdy urazy w sercu nie chował długo, i dziesięć razy go było można wywieść w pole, tak łatwo w dobre wierzył, a oszukaństwa nie przypuszczał. To też korzystali zeń do zbytku.

Jużem ja wówczas przy ojcu w Kuzawce gospodarzył o półtoręj mili od Kodnia, gdy on się na dwór księżnej dostał. Znałem i ja dobrze to miejsce i wszystkich co tam byli i do dworu należeli. Trzymaliśmy Kuzawkę i Krzywowierzbę dzierżawą od księżnej z dopózycką kilkudziesiąt tysięcy, mieliśmy często do czynienia z Kodniem, bo interesa były z niemi ciężkie i pieniędzy nieustannie wymagano. Widywałem go i tutaj, i przyjaźń się nasza stosunkami nowemi wzmocniła; alem podówczas nie słyszał od niego nic o tych sentymentach i nikt ich się nie domyślał. Raz czy dwa widziałem pannę Barbarę w kościele i na pokojach. Piękna była ani słowa, ale żeby tak coś nadzwyczajnego jak on pisze, tego w niej nikt nie upatrywał. Naprzód nieco mała i szczupła, nie miała wspaniałości téj i majestatu, jak naprzykład księżna, która choć stara już, okazała figurą i postawą pańską prym trzymała. Twarzyczka prawdziwie wdzięczna, oczy śliczne, ale życia mało; i tak zamknięta była w sobie, że zdawała się raczej odpy-



chać niż przyciągać. Słowa się od niej dopytać było trudno i zwano ją nawet milczkiem, tak mało mówić lubiła. Sytuacye na dworze księżnej, jej i podkomorzycy tak były nierówne, że nikomu pewnie na myśl nie przyszło, aby na nią miał rzucić okiem. Kuzyna księżnej, choć nie bogata, ale zawsze taki dobra w ziemi po ojcu dziedziczyła, parentellę miała wielką i książęcą. Szlachcicowi ubogiemu do niej się posunąć, ani pomyśleć było można. I to dziw, że sobie życie tém spędził, odrazu czując i widząc sam, że to tylko do ofiar i męczarni poprowadzić go może, a pożądanego skutku nie otrzyma nigdy. Zresztą ta jego miłość takiego była rodzaju, że nawet nie wiem czy małżeństwa pragnął, coby szaleństwem było; wprost tylko bałamucił się, znać zawziąwszy się na bohaterstwo jakieś, co mu złamało życie i do torby go prawie przywiodło, jak to sam dalej wyznaje. A choć w tém był postrzelony, nie mogę inaczéj powiedzieć, tylko, że m drugiego takiego w życiu nie spotkał, coby tak serce miał poczciwe i duszę czystą. I mimo tego dziwactwa, nad którym ubolewano, ludzie go bardzo szanowali.

W Siemiatyczach téż nieraz mi się być trafiło, do kościoła jeżdząc od ciotki, która tam w okolicy mieszkała. Dwór stał na ustroniu drewniany, wielki, opuszczony, a obok skarbczyk murowany na pagórku, jak dziś pomnę, i ogród z tyłu jodłami i lipami wysadzany. Dzień i noc w tym dworze wrzało i szlachta sobie hulała niewytwornie, ale swobodnie. Jużto tam na wielkie przyjęcie nie sadził się książ, ba i nie było z czego: miód sycony u siebie i gorzałkę przepaloną dawał, krupnik, zrazy, baraninę, ale całym sercem, i bywali tacy co do niego zjechawszy na dzień, po kilka lat siedzieli, tak im tam dobrze się zdało.

We dworze oprócz klucznicy, kobiet nie było: więc swoboda wielka i dzień zwykle tak schodził, że zrana wszyscy szli lub jechali na mszę do kościołka, prawie

pół ćwierci mili w miasteczku za groblą stojącego. Potém wracając, albo zachodzili na probostwo, albo nie, i już o południu obiad zastawiano; po obiedzie czytano manifesta, lauda, listy różne i politykowano szukając zdrajców. Potém następowała wieczerza, przy której libacye mnogie, a zatém sen czy w łózkach jeśli o swój mocy do nich doszli, czy gdzie kto padł, jeśli się zbyt uraczyli. Były tam zabawy jeszcze różne dla przepędzenia czasu. Śpiewacy dworscy, którzy różne pieśni umieli, co bardzo zabawiało gospodarza, ruskie i polskie; teorbanista doskonały z pod Janowa, kozacy zręczni do płatania figlów różnych i niemal teatru wyprawujący, bo się to cudacznie przebierało, i całe sceny czasem przedziwnie przedstawiali, że się za boki brać trzeba było ze śmiechu. A choć ich tego nikt nie uczył, że to lud z Rusi praworny a sprytny, sami sobie wymyślali bajki takie, i tak to przedziwnie pokazywali, iżbyś przysiągł, że żywą prawdę widzisz. Kiedy czasem nowego człowieka, co téj zabawy nie znał, chciano zwieść w siemiatyckim dworze, często i strachu nabawiono i obałamucono, żeby był najprzenikliwszy. Tak razu jednego sędziego Pietułowicza, który z pod Brześcia zaproszony przyjechał, postawili na noc w izbie przy skarbcu na ogrodzie; cóż tedy robią, żeby sobie z niego scenę wyprawić? Oto z wieczora prawią mu o rozbojach, jakie tam na dwory trafiały się różnemi czasy napaści w sąsiedztwie. Wszyscy w znowie, ten i ów nie bywałe opowiada. Daléj z latarką powiedli sędziego do skarbcu i zostawili z pacholęciem, któremu kozactwo téż tém głowę nabiło. Sędzia był dosyć ciężki i otyły.

Ledwie się rozpasawszy legł, słyszy hałas, do drzwi bicie i strzały; a ot drzwi łamią, jacyś ludzie z zasmolonemi twarzami wpadają, pacholik na piec się chroni, a sędzie nie mając gdzie, bo izba była naga, cztery kąty, a piec piąty: w ciemny zapiecek. Tu że

przestrzeń szczupła, a on był gruby, tak się ze strachu zapakował w dziurę, że gdy go tam odpytał Szujski, niby z odzieżą przychodzący, piec rozbijać musieli, bo inaczej wyleźć nieboraczysko nie mógł i śmiertelnie ten żarcik odchorował.

A to była Szujskiego zabawa najmiłsza te bajki kozackie, jak je tam nazywali, i nie było dnia, żeby ich nie okazywano; niektóre powtarzając często, inne coraz inwentując z wielkim dowcipem, lub przerabiając z bajek gminnych.

Jeden był szczególniej Sereďa kozak stary, który miał do tego umysł tak usposobiony, że i drugich uczył i kierował niemi i grał: i czy żyda, czy chłopa, czy szlachcica ad vivum udawał tak, że przysięgłbyś, że się w niego przedzierzgnął.

Zawsze tam w Siemiatyczach komponowano Bóg wie jakie zabawy, i na tych bałamuctwach i sejmikowej gadaninie czas im upływał.

Stary Szujski miał i to do siebie jeszcze, że jak sam był płochoy i szalona pałka nie troszcząc się o jutro, ani mocno cokolwiek biorąc do serca, tak w drugich złęgo humoru niecierpiał: wszyscy mu być musieli weseli i ochoczy, a nie, to się gniewał, klął i przepędzał: ani na oczy. A miał swe osobliwsze klątwy, które zawsze powtarzał, któremi go w sąsiedztwie denominowano: imienia szatana nie wspomniał nigdy, ale je uśiłował zawsze czém zastąpić, mówiąc naprzykład: Niech go kaduk! niech go paralusz! niech go słota porwie, bodaj go wciornasty i t. p. Z tém wszystkiem choć dziwak, był to w gruncie człek dobry, dla braci szlachty uczynny, gotów się ostatnim kawałkiem chleba rozłamać, pobożny, tylko go już tak Pan Bóg stworzył na osobliwszego wartogłowa.

Żonę kniazia znałem także, jeśli nie z widzenia, to z opowiadania matki mojej, która się z nią razem wychowywała na dworze Sapieżyńskim. Kobieta być mia-

ta dobroci anielskiej i łagodności wielkiej, a piękności cudnej. Niedługo żyła z mężem i zakrótko, żeby go przerobić. Po jej śmierci odbolawszy ciężko i ustawicznie usiłując się rozweselić, takim się stał, jakżeśmy go widzieli. Były tylko dni niektóre w roku żałobne, rocznica wesela, zgonu żony, które od rana do nocy w czarnej sukni w kościele siemiatyckim przepędzał na modlitwie. Na intencyą za duszę pani i on i cały dwór pościł i modlił się, surowo te rocznice obchodząc; ale nazajutrz szaleńsze jeszcze zabawy i owe kozackie komedye, i termedye, i sejmikowe perorowania powracały.

Ojca téż nieboszczyka przyjaciela mego, pana podkomorzego dobrze znał i często widywał, a był takim właśnie, jakim go tu syn opisuje: gospodarz zawołany nie dla grosza, ale dla pracy i dlatego, że powołanie swe lubił, a nad nie piękniejszego nie znał. Człęk rozumu wielkiego, stateczny i surowy. Nieraz my z Kuzawki jeździli na Ś. Marcin do nich, bo to były imieniny jego, i ludzi się tam dużo zbierało. A radzili się go często w rzeczach różnych, bo był głowy jasnój i miał to do siebie, że drugi lat dwa myśląc tak nie objął byle czego, jak on do razu. Szedł wprost do dna i wskazywał ci, gdzie był węzeł sprawy, a kłóredys miał wyjść z labiryntu. Już to podówczas zaczynało się naśmiewać ze wszystkiego co stare a nasze własne, nawet z gospodarstwa; zaprowadzano powoli gospodarstwa niemieckie i rozumowano nad tém; ale on po staroświecku sobie poczynał i na te nowiny ramionami wzruszał, a samem go słyszał jak mówił: „Może się w czém mylimy, aleć wolę mieć za sobą doświadczenie wieluset lat i podanie, niżeli jednego Niemca przenikliwość, która bodaj największa nie sprostą temu, co nam zostawili ojcowie. Wielu rzeczy nie rozumiemy i śmiejemy się z praktyki różnych, ale to prezumpcyą tylko, żeby wszystko rozumem ogarnąć. Powiadają naprzykład, dlaczego na starych dniach siejby inny mają mieć

skutek, a inakszy na młodziku? co księżycowi do tego? I ja nie rozumiem, jak on działa, co robi; ale wiem, że skutek jest. Robię tak jak i drudzy, bo nie wszystko co człek doświadczył zrozumie zaraz, a drzewo ścięte na nowiu inaczéj się znajduje, inaczéj na dniach starych. Tak i w innych rzeczach, jakby człowiek chciał wszystko wiedziéć co dla czego robi, w końcuby się do niczego wziąć nie mógt, tak mało wie dotąd.“

Dalszy ciąg pamiętnika rozpoczyna się temi słowy: „Trzeciego czy czwartego dnia, nie pomnę, starosta pohorelski odjechał, córkę jeszcze zostawując, ale zapowiedzianem jéj było, że musi do Siemiatycz wprędce powracać. Mnie jakby kosą podciął, alem nie mógt nawet dać poznać po sobie, że mnie to obeszło: śmieliby się byli ze mnie, i na nią cieńby spadł głupstwa mego. Księżna głośno użalała się nad położeniem sieroty i tém, że przypadnie tam u ojca, który ją wyda za lada szlachcica, który mu do jego bałamuctw dopomagać zechce; ale się opierać władzy ojcowskiej nie było sposobu. Nazajutrz po wyjeździe starosty widziałem ją w kaplicy Matki Boskiej i na drodze spotkałem powracającą, a po twarzy dojrzałem że cierpiała. Tylko w niej nie po naszymu i po ludzku się nie wydawało: innaby zapłakana i przyciśnięta była, ta tylko piękniejszą jeszcze i wspanialszą, jakby ją ta boleść dojrzała, silniejszą uczyniła. Jakiś wówczas blask miała osobliwszy w oczach, powagę na czole, stodycz na ustach niezrównaną. Przy niej wszystkie inne słuźebnicami się wydawały, ta zawsze królową. Mijając gdym powracał z kościoła, a ona szła z Duninówną, pokłoniłem się nie śmiejąc słowa rzec i byłbym minął je, bobym sam zaczepić się nie ośmielił, ale Duninówna chichocząc mnie zatrzymała, a Barbara obejrzała się z uśmiechem pełnym dobroci, i gdym kroku zwolnił, poczęła się rozmo-

wa o tém i o owém. Gadała Duninówna, ja potrosze, tamta więcej słuchała wzrokiem i uśmiechem pomagając rozmowie; ale znać było, że ją to wcale nie obchodziło, bo co innego kamieniem na duszy leżało. Byłbym wówczas Duninównie ręce ucałował, takem był jej wdzięcznym, że mi tę chwilę sprokurowała, bom się mógł do syła piękności jej napatrzeć i nabrać jej wejrzeń, jak zapasu na drogę życia. Nie dochodząc nowój bramy pałacowej uciekłem do swojej górki tak szczęśliwy, jakem dawno nie był, albo raczej nigdy.

Jeszcze raz pomnę miałem zręczność się do niej przybliżyć na pokojach księżnej, gdzie mi jak zawsze pisać kazano, a ja zapatrzwszy się na pannę Barbarę szyjącą w krosnach, cały kałamarz inkaustu potraćiwszy, na stolik i papier rozlałem, od czego mnie taki strach porwał, że się za głowę schwywszy począłem biegać wokół stoła, nie wiedząc co począć. Panna Barbara naówczas przybiegła mi z radą i pomocą, znalazła czém ów nieszczęsny atrament wywabić i nim księżna nadeszła, już mojego niezgrabstwa indziej jak na rękach moich i potach kontusza, śladów nie było. Z wielkiej wdzięczności pochwytiłem jej rękę i ucałowałem ją gorąco; widziałem jak się mocno zaczerwieniła, lekko mi ją wyrwała i wejrzawszy na mnie z jakimś politowaniem i serdecznością, powoli milcząc do krosien odeszła.

Jakoś w niewiele czasu potem, gdym już nabierając odwagi czasem się i zbliżyć usiłowałem i widywałem ją nieco częściej, zaszyły jednego rana bryki z Siemiatycz, i Mierzejewski dał mi wiedzieć, że ochmistrzyni starszka, krewna jej matki, po pannę Barbarę przybyła. Co się ze mną stało nie wiem, tylko chodził jak błądna owca po dziedzińcu, usiłując zobaczyć ją jeszcze. Los tak chciał, żeby mnie księżna do listu, który pisać miała, córkę odsyłając staroście pohorelskiemu, wezwała; panny nie było w pokoju, gdyż się pakowała płacząc na swą dolę, ale gdy gotowe było pismo i jam je

odczytywał, kazano poprawić w dwóch miejscach i księżna sobie odeszła: panna Barbara po swoje krosienka przybiegła, z których robotę zdejmować miała. Po oczach poznać było łatwo że płakała, ale coś tak miała w sobie odważnego i męskiego przytém, że mi się zdziwił jój wielkiej rezolucyi. Spojrzała na mnie uśmiechając się smutnie i jak staremu znajomemu skinęła mi głową.

— Wiesz pan że jadę,— rzekła— bądź zdrów... żegnaj i szczęścia życzę...

— Jakżebym ja o tém nie wiedział— zawołałem dosyć śmiało nie postrzegłszy się nawet co mówię — toć cały dwór po panie Barbarze płacze.

Ruszyła ramionami, jakby niedowierzając.

— Kiedyż to się zobaczymy znowu?— spytała.— Bóg wie czy się spotkamy w życiu?

— Chybaby Bóg nie chciał tego— odparłem żywo— Siemiatyceze nie za górą... a ja...— Nie mogłem dokończyć, takem się własnego przeląknął zuchwalstwa, bom nie wiedziéć co miał na języku.

Już tylko spojrzeniem mnie żegnając, odeszła powoli, ale tego jój anielskiego wzroku pókim żyw nie zapomnę. Dziś pod siwemi włosy mieszam się na wspomnienie jego i tży płyną mi z oczu. Spokojnie, śmiało, ale z niewyczerpanéj dobroci wyrazem spuściła na mnie wejrzenie długie, i główki skinieniem żegnając, znikła mi we drzwiach, a jam osłupiał i oniemiał przykuty do stołka.

Nazajutrz do dnia wstałem, żeby najrzeć jeszcze jak odjeżdżać będą i nie stracić jój widoku. Mogę powiedzieć, że tej nocy oka nie zmrużył z niepokoju: szczęściem, że tego wiedziéć nikt nie mógł. Nadedniem zatoczyli owe dwie bryki przed ganek i ludzie siemiatycecy pakować zaczęli do jednéj kufry z rzeczami, do drugiéj mniejszy pakunek, wyściełając dla podróżnych siedzenie. O ósméj saméj księżna jejmość wy-

prowadziła ją sama w ganek zakwefioną: siadła ona i ochmistrzyni, a konie ruszyły. Mignęła mi się tylko jój postać, po której schyleniu i ruchach poznałem, że płakać musiała. Nie wiem kto mi powiedział, że-  
bym tam szedł, ale jakim stał tak na prost ruszyłem do kościoła przeczuwając snać, że tam się zatrzyma-  
ją przededrogą. Tak się i stało: nimem ja dobiegł, już bryki były przed bramą, a panna Barbara z ochmi-  
strzynią u kratek kaplicy. Ksiądz wikary ze śpiewa-  
ną wolywą na jój intencyą wychodził właśnie; poklą-  
ktem i ja zdala niewidziany, a gorąco modlić się  
począłem.

Pan Bóg mi to odpuści w liczbie innych grzechów  
moich, żem się w téj modlitwie, tak jakom był powinien,  
nie do Niego obracał, a o ziemskich rzeczach myślał  
i smucił. Anim postrzegł jak się msza skończyła i ksiądz  
z patyną i błogostawieństwem na drogę czytaném, kro-  
piąc święconą wodą do klęczącej przystąpił. Jedna  
kropelka téj wody padła mi na twarz i byłbym jój za  
skarby świata nie oddał, bo mi się zdało, że Bóg mi  
nią także błogostawi na drogę życia, za przywiza-  
nie jakie do niej w sercu mém miałem. Gdy wstały  
i jam postąpił ku drzwiom sam nie wiedząc co czynię,  
ciągnąc za niemi ku brykom. Panna Barbara obejrza-  
ła się, zobaczyła mnie, uśmiechnęła się znowu smu-  
tnie, i we drzwiach kościelnych wstrzymała się chwilę,  
aby mi się dać ku sobie przybliżyć.

— Bądź pan zdrów—rzekła mi—a rączki księżnej  
pani ucałuj odemnie i powiedz, że łask jój dla mnie  
nie zapomnę nigdy... Ze łzami modliłam się za nią  
i za wszystkich dla mnie dobrotliwych...

Schylita główkę, uśmiechnęła się, ale tęg miała  
w oku jasną i błyszczącą, a ochmistrzyni coś zamru-  
czała, i stędzy podali jój rękę do wsiadania. Jeszcze  
raz z za kwefu czarnego błysnęły mi jój oczy, potém  
ruszyły z miejsca i ja zawalawszy się com miał począć,



znowu do kościoła powróciłem. Lepiej się teraz modliłem, acz smutnie, prosząc Boga, żeby mi życie moje pozwolił poświęcić dla niej. Anim śnił żądać więcej, anim myślał inaczej, tylko tak jako sługa i niewolnik chciałem żyć dla niej i umierać gdyby było potrzeba.

W chwili kiedym to votum czynił, ksiądz inny wyszedł ze mszą czytaną i wziętem to za wróżbę przyjęcia ofiary, usłyszawszy przez niego wymówione wyrazy:

„*Domine exaudi orationem.*“

Jakem to usłyszał, duch we mnie jakiś dziwny wstąpił i pokrzepiony odszedłem z kościoła do siebie, gdzie się zamknąłem na rozmyślanie, nie wpuszczając nawet Mierzejewskiego, który kilkakroć pukał do mojej izby; alem się obawiał pustej i cichej rozmowy jego i wolałem sam być z sobą.

Dalsze życie moje na tym dworze nie wesołe było i dni mi się długimi wydawały, jakby mnie co gdzieś indziej ciągnęło. Pół roku przecie tak wybyłem, mało co robiąc, chodząc milczący; i znać we mnie zmiany dojrzeli, nie wiedząc jakaby jej była przyczyna, bo kilka razy księżna wspominała mi, żebym szukał rozrywki, domyślając się, że mnie tęsknota za domem opanowała. Sama mi ona poddała, żebym na czas do rodziców pojechał, na com się i ja najchętniej zgodziłem. Chociażem się do tego sam przed sobą nie przyznawałem, ale mi się i to uśmiechało, że mi się miał ku Siemiatyczom przybliżyć.

Wreszcie nie było co robić u księżnej, a próżnowanie było także uprzykrzeniem, przy tej niespokojności jaką w sobie nosiłem.

Nająwszy tedy żyda w Kodniu, pożegnawszy księżną i pomodliwszy się przed cudownym obrazem, przeprowadzany przez poczciwego Mierzejewskiego aż do Kłótkowa, po śniadaniu u księdza infułata ruszyłem do domu. I niech sobie kto mówi co chce, nie bez wzruszenia odbyłem tę podróż i przyjechałem pod dach ro-

dzicielski. Serce zadrżało na widok matki, siostry i brata, wybiegających przeciwko mnie, gdy wysiadającego poznali.

Ojca nie było, gdyż swoim zwyczajem robotnika w polu pilnował, i jużśmy się dosyć nagadali, gdy przyszedł nareszcie.

Bałamuctwa plotą ci, co dziś o bizunach ojcowskich, o srogiem obejściu się, o owém stawaniu przy drzwiach dzieci dorosłych przed rodzicami, plotą jakoby to było zawsze i wszędzie: ani tak było, ani być mogło. Surowiej nieco ale z miłością obchodzono się z dziećmi, kar cielesnych jak dziś chyba w ostatecznym razie używano, nie za lada fraszkę i nie każdy ojciec do nich się uciekał. A co powiedzieć można raczej, nie rodzice byli srożsi ani ostrzejsi, ale dzieci powolniejsze, i to nie skutkiem strachu, ale przywiązania. Nie broniło to, ani przystojnie usiąść przy ojcu, ani odezwać się, tylko rozwałać się po stołkach i poczynać sobie lekko nie było w obyczajach, ani dziś jest dla tych, co znają poszanowanie dla siwych włosów.

Ojciec mnie, Bóg widzi, tak serdecznie wyściskał, jak i matka, nawet nie wiedząc jeszcze z czém i dla czego przybyłem. Dopiero zadość uczyniwszy sercu począł rozpytywać o dwór, księżną i o moje tam badać successa. Nie wiele co było rozpowiadać, ale i tego słuchano chciwie. A że musiałem szczegółowie dwór i życie jego opisywać, wspomniało się i o Szujskich: ojciec ręką machnął i rzekł: „próżniaczysko!“ Potém już tylko o sobie mówiliśmy. Kilka dni bawiąc u rodziców, że mi się teraz co innego po głowie snuło, a na dwór niebardzo powracać chciało, spiskowałem z bratem jakby to ojca namówić, żeby mi gdzie dzierżawę wziąć pozwolił za część tych pieniędzy, które mi u książąt Sapiehów wyznaczył; ale mnie jeszcze miał za zbyt młodego i kazał powracać nazad do Kodnia, odkładając to napotém.

Tak kilka dni zabawiwszy u rodziców, musiałem nazad powracać, choć mi się niebardzo chciało. Staratem się tu dowiedzieć o pannie Barbarze, i jakoś do tego doszedłem przemyśleniem wielkim, żem dostał języka. Ksiądz z Siemiatycz przyjeżdżał do dziekana po oleje św., i tum go wypadkiem złapał, a nie puściłem póty, pókim z niego nie wyciągnął co było można. Starowina był gaduła, ja miałem powód rozmowy znając kniazia i jego córkę, i takem się cokolwiek pożywił. Pleban rzadka wprawdzie bywał we dworze, bo się tam działy cudaki, które mu do smaku nie przypadały, ale o kilkanaście staj, to choćby uszy zatykał, słysząc mu było co się działo u starosty. Przybycie panny Barbary nic, jak mówił, trybu życia zwykłego nie zmieniło; ona tylko z ochmistrzynią wychodziła do obiadu i czasami zmuszana na jakieś kozackie komedye, resztę czasu pędziła zamknięta u siebie dosyć odludnie i smutnie. Gadali, że ojciec miał zamiar wydać ją za kogoś, ale różne były głosy; to pewna, że nie czując, by jój wiele mógł zostawić po sobie, chciał zięcia bogatego, na resztę się nie oglądając.

Opowiadał ksiądz, że nad losem panny Barbary wielce się wszyscy użalali, że ją tam w zamknięciu klasztorńem trzymano w nudach śmiertelnych. W domu, w którym co chwila cierpieć musiała, widząc upokorzenie ojca, pijatyki, hałasy, krzyki i w ogóle życie pełne niespokoju, wśród życia, które jój wiekowi i usposobieniu nie przystało, męczyła się srodze biedaczka. Jeszcze i dobór ochmistrzyni co domem zawiadywała i przy panu starości nabrała jego obyczajów, wcale nie był trafny.

Nie wypadało mi się księdza bardzo dopytywać i badać, pochwytałem w rozmowie co mogłem i jako mogłem; ale mi się łatwo ze znanego charakteru starosty podhorelskiego domyśleć było można, co niedostawało.

W życiu ileżto razy człowiek do kogo się przywiąże, uczuje dlań afekt i radby mu jak najlepiej; ale trudno temu uczuciu całkiem się zaraz poświęcić i ono przedewszystkiem piastować. Najczęściej człowiek je zachowuje, wcale się niemię nie wiążąc i nie stosując do niego innych czynności, tak aby ku niemu miał inne sprawy swe kierować i one mu poświęcać. To pobieżne widzenie panny Barbary w Kodniu, kolejną zwykłą rzeczy ludzkich nie powinno też było mnie ani tak zbyt mocno wiązać, ani ciągnąć ku niej, ani mi życia zamać. Takem to sobie sto razy mówił, gdy mi uparcie na myśl przychodziło, żeby się do Siemiatycz przybliżyć, i żeż żadnego prawa do opieki nad nią nie miał i żeż śmieszny był sobie i drugim, lecąc za osobą do której ledwie w życiu przemówić miałem z pewnością, a ona wedle wszelkiego podobieństwa, musiała być względem mnie całkiem obojętną. Pomimo to rozsądne rozumowanie i różne perswazyje własne, wpita się we mnie ta myśl tak uparcie, żeżem się jej obronić nie mógł, jakoby koniecznością dla mnie być miało rzucić wszystko, a na miejsce kędy los powoływał, pospieszać. Widziałem całą śmieszność pozycji mojej i dziwactwo, czułem, że inaczej mi o życiu myśleć wypadało, opierałem się sam sobie, a uspokoić nie mogłem, póki nie wykonałem com pragnął.

Stało się to wcale niespodzianie i dziwnie, jak w życiu ludzkim dzieje się wszystko w niepojęty sposób. Powróciłem do Kodnia ani przewidując co dalej być miało ze mną, i przesiedziałem tam znowu miesiący kilka. W tym czasie gości było dosyć, przyjechał generał artylerji z Francuzami dwoma, był książę Radziwiłł, i innych wielu; dwór jakoś ożył i księżna zaczęła się na zimę wybierać do Warszawy na sejm, gdy jednego ranka kiedym medytował co ja z sobą mam począć i co mnie spotka, czy podróż z kancelaryą, lub pobyt w opuszczonym Kodniu, gdzieby mi nic innego nie zostawało

jak z księdzem infułatem w maryasza grać i kaczkę strzelać po błotach, a wilki ganiać po lasach; wpadł do mnie plenipotent księżnej, pan Zabokrzycki, naówczas chwilowo miejsce P. N. zastępujący.

Był to człowiek rzadkiej poczciwości i dobroci serca, a szczególnie dla mnie skłonny, i nie wiem czém na jego zasłużyłem łaskę, bom mu się nie miał czasu dać poznać i przeczuwał chyba, że go szacuję. Mało jest prawników takich jak on na świecie, całe życie się bawił w Lublinie i Piotrkowie przy trybunałach, ztamtąd go pan Lipski jego krewny wyforytował księżnie do interesów. Człtek był stary, poważny i miły, rozumu bystrego, a co rzadziej bywa, takiej prawości, że na lada dwuznaczną czynność cały ogniem płonął. Wcale go tu niezręcznie zarekomendowano i on to sam czuł, że nie będzie długo, interesa bowiem księżnej były tego rodzaju, że się nieustannie *per fas et per nefas* potrzeba było wywijać i nie zawsze czysto się wychodziło salwując od konflagracyi. Procesa z dzierżawcami, z zastawnikami, o successye, o summy, mnóstwo tego, a niektóre odziedziczone po dziadach, które choć krzywe, przez punkt honoru utrzymywano. Inaczéj to jakoś księżna, a inaczéj Zabokrzycki pojmować i pogodzić się nie mogli. Dla niéj litera prawa była wszystkiém i jakibądź środek obrony dobry; a stary inaczéj to widział, i krzyczał o krzywdę i nieprawość. Księżnę to mieszało i choć go szanowała, nudził ją temi nieustannemi narzekaniami i pełną uszanowania, ale szczerą demonstracją jak sobie postąpić należało.

— Prawo w sumieniu się nosi, a pisane dobre tym, co go w sercu nie mają. Co mi prawo, kiedy czuję, że niem się popełnia nieprawość?

Ale księżna ruszała ramionami i wołała: Ratuj! i niecierpliwiła się, a wszyscy mówili, że wprędce skończy się panowanie Zabokrzyckiego, bo ciągle nudził, aby długi płacić, processa kończyć, majątków część odda-

lonych sprzedać, gdy księżna właśnie inaczej całkiem chciała. Więc na włosku już wisiął i wiedząc o tem mało się troszczył, do ostatniej godziny swoje robiąc. Bywało poufnie wieczorami stęka przedemną i mawia: „nie długo ja już tu będę popasał, mospaneńku, oni myślą, że za ich kiepskie honorarya człek przekonanie i sumienie sprzedać powinien i dziwią się, że ztój sprawy popierać nie chcę. A co mi tam mospaneńku! popsuci ludzie, ja ich nie poprawię i sambym się zamazał; niech sobie czynią co chcą, bylem rąk w to nie maczał.“

Otóż ów Zabokrzycki wchodzi do mnie z listem w ręku na górkę. Sto razy się to trafiało, że do mnie przychodził z papierami, żebym mu je przepisywał; ale teraz jenom okiem rzucił na kartę, tknęło mnie coś choć litery jednej nie widziałem, że to o mnie chodzi i zerwałem się, gdyby ukropem polany.

Widzę stanął zmieszany cofając się, a ja nie czekając, mówię mu:

— Czy do mnie?

— Tak, do waści mopaneńku — ale miej rozum i pomiarkowanie — Bóg wie co i kiedy czyni, z Jego ręki wszystko przyjąć potrzeba.

Choć mi i słowa więcej nie rzekł, krzyknąłem, nie wiedzieć zkąd mi przyszło — mój ojciec!

— Jakże wiiesz? — spytał zdumiony.

— Nic nie wiem, ale co się stało? mówcie na Boga!

A ten mi list podał. Pisany był drżącą ręką matki, która obawiając się zbyt gwałtownie mnie przerazić, do p. Zabokrzyckiego się z tém addressowała, donosząc, że ojciec miał wypadek straszny, że z konia spadł i nogę złamał przed kilką tygodniami. Miano z początku nadzieję wyratować go, ale się zła jakaś gorączka przyczepiła i gdy ów list wyprawiono, ksiądz go na śmierć dysponował. Pisała matka, żebym pospieszał po rodzicielskie błogosławieństwo.

Jakem stał, takem zaraz na miasteczko pognął po furmana i w pół godziny nagłąc datkiem i obietnicami leciałem co konie wyskoczyć mogły do domu. Jechałem dzień i noc i takem się znużył, że gdym do dworu przybył, na nogach się utrzymać nie mogłem... Zastałem ojca jeszcze przy życiu, ale już był od dwudziestu czterech godzin przytomność utracił i nikogo nie poznawał. Gdym się do łóżka, z matką przybliżył zastałem go tak zmienionym, że ręce załamał. Oczy miał iskrzące, usta wyschłe i zapadłe, policzki wciągnięte, a broda zarosła i włosy nagle posiwiałe zmieniły go do niepoznania. Popatrzał na mnie, uśmiechnął się jakoś i przeżegnał mnie, poczem zaraz wpadając w obłąkanie począł dawać rozkazy ludziom, jakby w polu był jeszcze i przy robocie.

— A Boga nie macie w sercu, tak opieszale kōto roboty chodzić — mówił — a toć Bóg dał dzień do pracy, a tu dary jego giną. A nu! żywiéj dzieci! żywiéj mi... Potém niby siał, pokazując jak potrzeba ziarno rzucać i różne wyprawiał sceny, że się serce krajało. I coraz miotając się więcéj, wreszcie nie rychło drzémac i usypiać począł. Matka i inni wzięli to za znak dobry, ale cyrulik mi dał znak, że się ostatnia zbliżała godzina. Jakoż jeno usypiać począł rzuciło go razy parę, krzyknął słumionym głosem: Jezus, Marya, Józef! jakby nagle oprzytomniał i Bogu ducha oddał chwytając się wkoło jakby czego szukał. Tuż ryk i płacz nastąpił w domu całym, bośmy go jak ojca kochali i jak dobrodzieja, a ludzie, dwór, wioska czcili także jak rodzica i dobroczyńcę.

Trzeba było w tym smutku matce i bratu pomagać i wyręczać ich znużonych, choć człek téż sobą nie władał. Ani wiem co się ze mną przez tydzień działo, a to tylko pamiętam, że z pogrzebu powróciwszy położyć się musiałem i leżałem dni kilka jak kłoda bez duszy. Zna-

lazłem się dopiero czwartego dnia słaby i kaszlący, a we dwa tygodnie ledwie powoli do siebie przyszedłem.

Szanując dawne rozporządzenia ojcowskie, anim pomyślał z majątkiem inaczej postąpić tylko tak jak on pragnął. Brat zresztą z gotówki dał mi zaraz na moje potrzeby i gospodarstwo, bom już nie chciałem powracać do Kodnia. Wziąłem dziesięć tysięcy i ułożyliśmy się o resztę jak jemu i mnie było dogodnie. Matka dała mi wolność czynić coby mi żywie chciałem, tylko żebym się nie oddalał zbyt daleko, a mnie też zaraz kolnęto w okolicy Siemiatycz czegoś sobie poszukać.

Kiedy się to dzieje, jakby z woli Bożej przyjeżdża do nas dziekan, który tam bywał często i powiada słyszając, że matka o mnie się frasuje, iż słyszał od siemiatyckiego proboszcza, jakoby w Pohoretem, właśnie gdzie było starostwo Szujskiego, w tej samej wiosce o pół mili od Siemiatycz, była dzierżawą do wypuszczenia część J. M. Panów Siemiaszków. Ci w Warszawie bawili oba, a tu im possessor dawny umarł, po którym część dogodna i dobra za tanie pieniądze do wzięcia zostawały. Poznałem w tym wolę Bożą wyraźną i łaskę jego nade mną, że mi się to tak złożyło, a pewien już, że mnie to nie minie, wprost do Pohoretego pojechałem. Zastałem tam jak na toż plenipotentą, który po zmarłym dzierżawcy panu Dowgirdzie obejmował na rzecz juryzdatora folwark i biedził się co począć, bo pp. Siemiaszkowie na gwałt pieniędzy krzyczeli. Miałem list od dziekana do plenipotentą co mu był dawno znajomy z ławy szkolnej, a ten jak się dowiedział o co szło, tylko że mnie nie uściskał, bo był nadzieję puszczenia wioszczyzny utracił.

— Jak W Pan zechcesz sam tak mu puszczyć — rzekł — ale pieniędzy dawaj. Dostycie że w targ, obejrzałem folwark z bratem, pokazał się nie zły; daję tedy pięć tysięcy zań i dwuletnie pieniądze z góry. Tegoż dnia objąłem zaraz na siebie. Remanent mi brat obiecał dostarczyć i wszystko poszło jak z płatka, cicho, prędko,



a skądnie. Nazajutrz rano obudziłem się i zobaczyłem wójtę przy drzwiach po dyspozycją. Ale mnie nie tak gospodarstwo było w głowie jak sąsiedztwo Siemiatycz. Coś tam zadysponował piąte przez dziesiąte, z czego się nie wiele wójt nauczył, a sam sposobitem się zaraz odwiedzić sąsiada. Do niedzieli jednak nie było sposobu ruszyć, bo tego, to owego brakło; lada jako się pokazać nie chciało, czas zszedł na forsztellowaniu. Rano w niedzielę, kazałem do malowanego wózka zaprządz trzy konie i ruszyłem do Siemiatycz, ale naprzód do kościoła na mszę świętą. Trafiłem jak dzwoniono na sumę i już telega kniazia i wózki jego przyjaciół stały przed cmentarzem. Wszedłem, przykląkłem, a tuż widzę nie twarz księżniczki, bo do mnie bokiem obróconą była, ale postać jój, której nie mogłem nie poznać; aż mi w piersiach zawrzało. W pierwszój ławce, która była ponsowém sukniem okryta, z prawej strony stał sam kniaz, obok niego ona z ochmistrzynią, krewną domu panią Horochową; dalej jakiś lat około pięciudziesiąt mężczyzna otyły i wielki a barczysty, pod wąsem czarnym, pysznie odziany od galonów i guzów pozłocistych. Wkoło to stali, to siedzieli sąsiedzi i adherenci Szujskiego, różnego kalibru figury, w przyjacielskich mundurach.

Jam się z hoku przy ścianie oparł i przyklęknąwszy modliłem się. Nie mogłem ani razu twarzy panny Barbary dostrzedz i w obec Bożego ołtarza choć z myślą czystą, szukać jój nie śmiałem; ale gdy do processyi ruszać się zaczęło i obracać, poczułem jakby mnie kto gorącą wodą oblał: obracam głowę—ona patrzy na mnie i widać dziwuje się; podniosłem oczy i spotkałem jój wejrzenie—uśmiechnęła się i skinęła głową, jam się sam nie wiem jak pokłonił. Już téż za jój oczyma idąc i inni mnie postrzegli i sam kniaz poznał mnie, ale tego nie pokazał po sobie. Widziałem jak szeptali inni i pytali jedni drugich cobym był za jeden, ale jeszcze nikt nie wiedział. Po mszy świętój i suplikacyach, gdy

się ruszać poczęli z kościoła i ja tuż wyszedłem za panną Barbarą i jej ojcem, która gdy w progu obróciła się do mnie z powitaniem, ja ukłon oddawszy jej, ojcu też z uszanowaniem się przedstawiłem.

Nazwisko mu było dobrze znajome, chociaż ojca mego nie lubił, bo inaczej wcale wotowali na zjazdach; twarz także sobie przypomniał, że ją w Kodniu widział, ale przyjął mnie dosyć chłodno.

— A cóż tu WMość porabiasz? — zapytał.

— Wziąłem Pohorełę dzierzawą.

— Aha! Pohorełę szlachecką! — rzekł poświstując i kiwając głową — z pod nosa mnie! patrzajcież... Dowgird na swoim postawił! — Patrzajże WMość — dodał — nie wstępuj w ślady i przykłady swego antecessora, który mi kością w gardle stanął.... Bo to i ja tam mam szmatek królewskiejczyzny.... a lepsza zgoda niż wojna.

— A, ze mną wojny być nie może — odezwałem się — bo za pierwszy sobie obowiązek poczytuję zasłużyć na łaskawe względy W. K. Mości.

Jakoś to nie źle przyjął. — A no, to do Siemiatycz na barszczyk z nami nim co będzie, he?

Skłoniłem się tedy i zaczęli siadać do powozów.

Już z tego przyboru i dworu widać było, że książę nie w bardzo świetnych musiał być interesach: bryczki którym poprzyjeżdżali były liche, konie wychudzone, ludzie w barwie wytartej. Szlachta otaczająca księcia nie lepiej wyglądała, a jej szkapy i kałamaszki także. Panna Barbara z panią Horochową siadły do najporządniejszej bryki, książę z otyłym tym jegomością do pięknego powozu, który musiał do niego należeć; reszta pieszo, konno, na bryczkach, na przyczepku, jak kto mógł, przez groble puściła się do dworu. Ja z niemi miałem tę pociechę, że mój wózek wcale nie najgorzej wyglądał.

Brama wjazdowa murowana nawpół była opadła i bez dachu, wrót w niej śladu nie było. Dalej przestronny dziedziniec osadzony drzewami, ale na lipach

tyko powydzierane, i gałęzi suchych co niemiara: wszędzie nieład i opuszczenie. Dwór czarny, drewniany stał w pośrodku do ogrodu przyparty, a około niego też nie widać było starania. Kozactwa na ganku stała cała gromada. W sieni ogromnej komin wielki otaczała dwornia, która się hałaśliwie bawiła. Na prawo zaraz weszliśmy do sali. Jam coś podobnego pierwszy raz w życiu oglądał, bo to niby z pańska, a ubogo; z pompą, a wszędzie niedostatek wyglądał. U ludzi kontusze ałasowe, a taty na nich barakanowe, jedni w butach podartych, drudzy boso i w łapciach.

Ledwieśmy: weszli kniaź krzyknął — Do stołu, już dawać!

I kozak faworyt podał na tacy bochen chleba razowego, soli miseczkę i ogromne dwie flaszki wódki, z których kieliszek spory wypił do owego grubego, wspaniale ubranego jegomości, pan starosta. Poszła czarka z rąk do rąk dalej i jam usta do niej przyłożył. Na biędę nikogom w tym tłumie znajomego nie miał i zagadać nie miałem do kogo, błądząc w wielkiem utrapieniu od kąta do kąta.

Szczęściem jeden z tych co byli z kniazem w Kordniu poznawszy mnie, zbliżył się. Był to domownik i przyjaciel starosty, pan Przetok; nos czerwony, policzki także, wąs czarny, rębacz widać i zawadya sejmikowy, bo miał dwie kresy przez łeb czerwien sze od reszty twarzy i jeden palec u ręki obcięty po stawę.

— He? a cóż kawalerze — zawołał — otóżes wpadł z kodeńskich elegancyj na siemiatyckie gody ewangeliczne: cóż na to?

— Do elegancyi nie przywykłem, bom ani czasu, ani serca do nich nie miał; a tu mi się widzi ochoczo, wesoło i dobrze,—odpowiedziałem.

— A niechno się lepij poznasz z nami, dopiero mi powiesz...

— El niech go słota porwie! bodaj go paralusz naruszy! czemu nam jeść nie dają!—zakrzyczał księżę, a kozacy piorunem ruszyli do kuchni.

Myśmy pocichu gadając ustąpili do kąta. Chciałem się bardzo dowiedzieć, ktoby był ów wysoki i gruby mężczyzna, bo mnie kolnęło, że gdy księżniczka weszła, on zaraz do niej jakoś się bardzo ruszył żwawo, ojciec z nim, a panna Barbara niezmiernie się zaczerwieniwszy oczy spuściła. Siadł potem przy niej, nie odstępując. Spytałem tedy:

— A to, Mospanie—rzekł Przetok pocichu—JMPan Obuch Bartłomiej wojski brzeski, sąsiad nasz godny z Bereznisk; toż WPan o nim nie słyszał? Znają go tu wszyscy jak złego, a raczej jak dobrego szeląga—ziółko daleko pachnące. Na okolicę nie ma dworu i piwnicy jak u niego. Coś mi się zda, że o naszą pannę Barbarę starać się zamyśla—dodał ciszej.

— W tym wieku?—zawołałam.

— A cóż? zdrów, silny, lat niespełna pięćdziesiąt, nie więcej.—Dwa razy był żonaty, *expers rei*, dzieci kupa prawda, ale co to ma do tego? Majętny, wzięty w naszej ziemi, hoży, czemuby się nie miał żenić? Partya doskonała, a że dwakroć wdowiec, to i ze dwakroć żonie zapisać powinien;—Nie do odrzucenia Mospanieńku, nie.

Jużem nie śmiał nic powiedzieć, ale aż pomnie mróz przeszedł. Obuch miał istotnie postać i twarz hajduczą: barczysty, gruby, otyły, na chłopca wyglądał, tak nie w sobie szlacheckiego nie miał. Gadał i śmiał się nieustannie, a więcej jeszcze śmiał się tubalnym jakimś śmiechem, niż gadał; wszystko go do wesołości pobudzało, nawet najsmutniejsze rzeczy. Panna Barbara oczy spuszczała mało nie płacząc, a on ją co minuta w rękę całując nie puszczał i przytrzymywał.

Nie mogłem patrzeć na to. Starosta pędził, żeby do stołu dawali, a tymczasem wódka obeszła raz drugi

i trzeci kolejną i pan wojski nie odmówił kieliszka, a coraz weselszy bliżej się do panny przysiadł. Na mnie nikt nie zważał, z kąta więc przyglądałem się temu, co się tu działo: służba wciąż latała, porządku nie było, a starosta kłął. Nareszcie w cynowych wazach i misach wniesiono barszcz i wszyscy zasiedli do stołu w drugiej izbie zastawionego. Ale obrusy były podarte, szlucce połamane, a miski pobite. P. Barbara, której znać wstyd było tego wszystkiego, czując że się ani domem ojca, ani towarzystwem jego pochlubić nie mogła, ukradkiem spojrzawszy na mnie rumieniła się jak wiśnia. Posadzili koło niej tego gbura z wiekuistym uśmiechem, który wciąż do niej zęby wyszczerzał, i czy co rzekł sam, czy postyszał, wciąż rykował, aż mnie to już niecierpliwilo. Chociaż gościa, ale jako młodego i bez znaczenia człowieka, starosta posadził mnie dalej nieco i niebardzo zważał na to com czynił, mogłem więc swobodnie patrzeć i przyglądać się. A były jakieś osobliwsze zwyczaje w tym domu, że i dwornia i kozacy którzy posługiwali, i panowie i goście, wszystko to jakoś na bardzo poufalej stopie było z sobą. Mieszali się pachotcy do rozmowy, usługa szła jak z łaski, nie do rzeczy; obiad też był niewyśmienity. Podano barszcz z rurą tylko że zabiłony, potem mięso jakieś pływające w sosie czarnym bobkami zaprawionym, kaszę jaglaną ze słoniną, dalej wyschłą pieczeń, a między tym piwo dzbanami krążyło i miód we fłaszach przysadzistych. I tego więcej wyszło niż jadła, bo gardła płuкали często. Ja, żem nie przywykł pić, anim mógł tyle wlać w siebie; siedziałem patrząc, aż sam starosta rzekł mi:

— A coto Waści nie do smaku piwo i miód siemiatycki? winkaby się chciało? Gębeś sobie popsuł u Sapiarów... Ale na twojem gospodarstwie daj ci Boże i to.

Choć to było niepospolite zagadnienie, odpartem grzecznie mitygując się:

— Wszystko to dobrze mości książe, ale jakem w Kodniu wina nie pijał, tak tu piwa nie mogę, bom pić nie przywykł.

— A czego się nie nauczysz, to i umieć nie będziesz—zawołał Szujski—potrzebne to jednak, żebyś braci szlachcie dotrzymał placu. Wino nam przywożą Niemcy, u nas się nie rodzi; piwo rośnie w jęczmieniu, miodek pszczołki nasze noszą: trzeba ich używać.

Jużem zamilkł, ałem z wejrzeń widział, że się moja trzeźwość nie podobała. Sąsiad panny Barbary choć jej rękę smoktał, kubka nie mijał, i pił na zabój aż pokraśniał cały; w końcu i pot mu kroplisty na czoło wystąpił, a humoru był tak wesołego, jakby go na sto koni wsadził. Panna widocznie cierpiąc kręciła się i czerwieniła, chciała widząc coraz gorszą pijatykę uciekać, ale ojciec nogą tupnął i kazał się zostać. Ja z litością spoglądając na nią, przycupnąwszy siedziałem cicho. Pod koniec przy pieczeniu umysły się bardzo poruszyły i poczęto o polityce rozprawiać. Przetok wyjął z kieszeni kopią listu księdza biskupa Sołtyka do marszałka Mniszcha i począł go na głos czytać; drugi o konfederatach wiadomość z Preszowa nadesłaną, trzeci jakiś manifest przeciw Bierz... Hałas się wszczął wielki tak, że jeden drugiego nie słyszał, a wojski tymczasem jak w kleszczach trzymając rękę panny, wciąż ją całował... Byłbym go ubił gdybym mógł, taką mi obrzydliwość robił stary ze swojemi umizgi, śmiejąc dotykać ręki tej, na którą wejrzyć nie był godzien. Ojciec nic znać przeciwko temu mie miał, bo poglądając uśmiechał się z ukosa i wąsa pokręcał, a wojskiemu dolewał a dolewał. Ludzie misy pozdejmowali, ale dzbany zostały i pijatyka nie ustawała; i ledwie nieledwie gdy się z ław ruszono, biedna panna Barbara uciec mogła.

Chciał za nią lecieć w ślad pan Obuch, ale z ławy się poruszywszy zatoczył tak szpetnie, że go musiano podtrzymać; podniósł tylko ręce do góry za uciekającą, przykląkł na znak uwielbienia, a że pijany był, tłem stuknął o ziemię. Dwóch akolitów zaraz go dźwignęli i na ławie znowu posadzili, na której oparłszy się i wysapawszy trochę, odzyskał przytomność. Wszyscy prócz mnie prawie pijani byli dobrze, ale że mnie czuli trzeźwym między sobą, krzywo jakoś spoglądali; bo to prawda wielka, że pijani między sobą trzeźwego jak zdrajcy cierpieć nie mogą. Chodzili więc koło mnie krzywo patrząc, a jabym się zaraz był wyniósł, gdyby nie nadzieja zobaczenia panny Barbary. Chodząc podle drzwi, a nuż jój gdzie nie ujrzę zdaleka, kiedym wypatrywał którądy poszła, coś zaczęli szeptać między sobą, starosta i dwornia, i wzięwszy pod ręce wojskiego poprowadzili go za sobą: szedł z nimi śmiejąc się ciągle i trzęsąc brzuchem. Nie wiedziałem co to ma znaczyć, ale i mnie ten honor spotkał, że mi starosta rzekł:— No, i Waś z nami przecie: zstąpimy ad inferos.

Co to miało znaczyć nie zrozumiałem, alem poszedł z drugimi; wyszliśmy naprzód do owych wielkich sieni, dalej do izby, która się z niemi łączyła: tu były drzwi wielkie, ale nie w ścianie, tylko w podłodze leżące, rozwarte na oba boki, a w głębi szerokie okazywały się wschody, po których bokach w przymurkach stały zapalone lampy, coś w sobie grobowego mające. Zdało mi się że do lochów pod kościół wstępujemy, alem już szedł nie opierając się za drugimi. Zstąpiliśmy tedy w szyję lochów tych, dziwnie pięknie pod domem zabudowanych; była to znać robota nie dzisiejsza i bardzo staranna: ściany na łokci cztery wysokie, szlifowane i sklepienie foremne. W murach były w rzędzie głębokie framugi, w nich lampy stały pozapalane, tak, że dosyć długa galeryja owa i boczne izby jak we dnie były jasne i dziwny widok podziemia przedstawiały... Prze-

szedłszy jeden i drugi korytarz dostaliśmy się do okrągłej piwnicy, wyższej nieco może dlatego, że do niej po kilku w głąb zstępowało się schodach. Tu ujrzałem znowu coś osobliwszego: wkrąg na heblowanych ligarach stały beczki i beczułki okute obręczami żelaznymi, przed każdą ceberek i czerpak i szklanki. Na dnach stały wypisane lata sycenia miodów. Od góry na haku wisiał pajak z rogów jelenich misternie wyrobiony, w którym paliły się żółte świece woskowe; dokoła były stoły i ławy. Już tam się byli wcisnęli inni: ja ze wschodów jeszcze patrzyłem aby za nimi pójść, gdy starosta krzyknął.

— Drzwi na rygle! przyłóżyc siedm pieczęci!

Kozacy wnel je zamknęli z hałasem, a ja dosyć rad z przypadku zostałem sam w szyi i przytomny będąc wycofałem się przez galerye do górnych pokojów.

Ze zgrozą i litością myślałem odjechać zaraz, widząc co się święci, gdy szukając czapki i szabli, ujrzałem pannę Barbarę stojącą we drzwiach zapłakaną.

— A! mój Boże — zawołałem — pani płaczesz! Co to jest!

— Widzisz pan, — rzekła mi — może być większe nieszczęście nad moje... Przybyłam tu patrzeć, płakać... i nie móżd nic poradzić!

— Lecz czyż na to nie ma środka?

— Żadnego! Dzień tak za dniem upływa, a są ludzie, co go jeszcze ku temu pobudzają...

Wtém i pani Horochowa nadeszła całując ją w głowę.

— Nie płaczże moja Basieczku — rzekła — to nic nie pomoże. Ojcu się nic nie stanie, bo przywykł do tego; więcej gości poi niżeli sam pije: otóżto się tak na wojskiego zasadził.

Chciałem coś powiedzieć, gdy jak burza wpadł niespodzianie starosta.



— A Waś tu!—krzyknął—ha! ślicznie! pod protekcyą kobiecą uciekłeś. Cóżto Waści kompania nasza śmierdzi? Pić nie chcesz, to już pachnie zdradą, bo coś złego myśleć musisz, gdy się z tém kryjesz i wydać obawiasz... Ale kat cię bierz, pijesz czy nie, za kołnierza ci łać nie będę, szkoda trunku i kołnierza; a placu przynajmniej dotrzymaj, bo to nie szlachecka rzecz od swoich uciekać... Więc marsz... do lochu!

Widziałem jak mi panna Barbara skinęła, żebym szedł i nie mając co lepszego czynić, ruszyłem ekskuzując się, a starosta za mną. Znowu tedy w tym samym lochu znaleźliśmy się, a ja w kącie przy beczce. Szklance starego miodu krążyły, szczęściem przy mnie siedział dobrze pijany szlachcic i u nóg miałem ceber, więc co mi nalano, tom zręcznie, albo w szklankę jego, albo pod nogi w naczynie przelewał, ledwie usta maczając.

Gdy się tak zabawiając cudacznie politykują, a pan Obuch wciąż poczyna:

— Postuchajcie co wam powiem, postuchajcie...

Nie mogąc nic powiedzieć, bo mu się język w gębie nie obracał, szmer się zrobił koło drzwi i weszła jakaś postać osobliwsza: starzec zgarbiony, o kiju, zarosły gdyby pasiecznik lub żebrak, broda w pas siwa, policzki zapadłe, dopytując o starostę i przedzierając się ku niemu. Wszyscy się rozstąpili przed nim, sztykula idzie, nareszcie do nóg mu pada...

Widzę, historia jakaś dziwna. Obuch wstał z ławy i chce się przybliżyć, ale mu nogi nie służą, inni się cisną: ja też radbym się coś dowiedzieć. Aż i starzec mówić poczyna, ale go zrozumieć nie można, dziwne jakieś dzieje prawi, podkaszlując i szepleniąc. Za nim tuż wprowadzają żyda równie starego, babę o kiju w płachtach zawiniętą; wrzawa, hałas, ani zrozumieć.

W głowie mi się zakręciło od krzyku, a dojsé sprawy nie było sposobu. Uciszyli się wreszcie i stary

co naprzód wszedł, rzecz jakąś rozpoczął. Powiada, że był w Turcyi w niewoli u pogan przez lat wiele; że z niej cudem powrócił, że wprzód jeszcze na wojnę się wybierając, skarb był zakopał; że żyd mu go doszedłszy miejsca, skradł. Na to świadkiem stawi żonę staruchę, która miejsce poruszone znalazła i żyda grzebiącego się przy niém.

Następnie dodaje owa żona powróconego z niewoli, jak ją żyd chciał dać zabić, aby tajemnicy pochwyconego skarbu nie wydała. Że się zaś to wszystko dziać miało na gruncie siemiatyckim, niedaleko dworu, gdzie szlachcic miał dworek, o sąd i miłość przyszli prosić pana starosty.

Szujski, ponieważ ów szlachcic był żołnierz, a stało się to czasu wyprawy, przekazuje sąd panu wojskiemu Obuchowi. Wojski pijany nie długo myśląc zawołał tylko:

— Postuchajcie co powiem — żyda powiesić! czy winien, czy nie winien, mniej jednym nieprzyjacielem Chrystusowym będzie na świecie: a postronek dać grubo, żeby się nie urwał.

Ta scena, którą tu opowiadam summaryjnie, tak mi się wydała naówczas prawdziwą, żem dopiero po twarzach domowników i ich uśmiechach postrzegł, iż to była jakaś zabawka tylko. Jakoż przybliżywszy się lepiej zaobserwowałem, iż cała ta gawiedź byli poprzebierani kozacy i pachotkowie starosty.

Żyd tedy zagrożony szubienicą przyznaje się ze strachu niby, że pieniądze odkrył istotnie, ale je gdzieindziej przechował i obiecuje doprowadzić do skarbu. Tryumfuje pan Obuch nie zważając, że się reszta kompanii uśmiecha. Dalejże z żydem w miejsce, kędy skarb miał być ukryty przez niego: prowadzą na stryczku żyda, idzie starzec, i baba, i pan Obuch, i starosta, i wszyscy. Mnie już śmiech nie brał, ale litość, widząc, że to jakies kpiny z pijanego człowieka. Sunie się to wszystko po

wertepach, przez zarośla, przez dziury skacze p. wojski; a no, kiedy się obejrzy, żyd mu znikł i wszyscy w śmiech aż się za boki trzymają.

— A toć Seredy sztuka—trzymając się za brzuch woła starosta. Obuch oczy wytrzeszczył, nie rozumie; począł się gniewać, ale go udobruchali i počęto pieć znowu: tyle zyskał, że się dobrze upocił po ogrodowych zaroślach.

Jużem się tedy wymknął przez pokoje do domu spieszając, bo mój wózek stał dawno zaprzężony; a tak mi smutno było na sercu, żem sobie rady dać nie mógł: płać mi się chciało i ludzi w pień mordować. Idąc mimo ganku jeszcze się raz obejrzałem na ten dom, i z okna nad facyatą mignęła mi postać panny Barbary z chustką przy oczach; zdawało mi się jak gdyby ręką żegnając na mnie skinęła.

Pojechałem zamyślony jakie ona tam życie wieść musiała z ojcem takim, w pośród téj hałastry, wśród wrzawy, kobieta potrzebująca spokoju, kochająca ludzi i oddychająca modlitwą. Nie rychło mi się zachciało do Semiatycz, a gdy mnie ochota brata, to z drugiej strony strach patrzenia na te historye ogarniał. W tydzień po mojej bytności, pan Przetok przyjechał do mnie imieniem starosty przepaszając, że sam mnie nie służy, dla niezdrowia nigdzie jeździć nie mogąc. Kazałem mu dać miodu i wina, bom już miał wszystkiego podostatkiem od brata, który chciał, żebym wstydu imieniowi nie zrobił: przyjąłem go jak sam chciałem, aż dobrze podpójonego na wózek podsadziłem. Człtek był dobry, głupi, ale przyjaciel pański wielki i za starostęby się dał posiekać, zowiąc go protektorem szlachty, a stróżem wolności rzeczypospolitej. Jak mi zaczął malować jego wielkie sejmikowe zasługi, na sen mi się zebrało, bom czuł że kłamię, aż śmierdziało od niego tgarstwo. Otém i owém bajdurząc doszliśmy do panny, a że już był pijany dobrze, rzekł zaraz jenom o niej wspomniał:

— Otóż i wesele za pasem ...

— Co? jak?—Zerwę się ku niemu. A ten mi powiada, że już z wojskim po zaręczynach. Mnie jakby piorunem raził, chwyciłem się do niego nieostrożnie wołając, że to być nie może!

— A jak to nie może kiedy jest! — wybełkotał — i cóż to tak dziwnego? człek dojrzały, ale zdrow i silny, przystojny, bogaty, posagu nie potrzebuje, reformę zapisze, a my sobie z nim pohulamy jeszcze. Ojciec wie najładniej co dla szczęścia córki potrzeba.

Zamilkłem już nie chcąc mu się sprzeciwiać, ale mnie ta wiadomość zadławiła. Ledwie pojechał, poleciałem wraz za nim prawie do Siemiatycz, chcąc się widzieć z panną Barbarą, i gdyby mi tylko słowo szepnęła, wszelkimi sposobami starać się temu świętokradzkemu małżeństwu zapobiedz. Jeślim to czynił, Bóg widzi że nie z ładajakiego uczucia zazdrości, ani w tej myśli, abym kiedy sam na nią śmiał podnieść oczy; ale mnie oburzyło, że takiemu bydlęciu miała się dostać istota, której nie wiem czybym kogo na świecie znalazł godnym. I jeślim ją kochał, to zaprawdę nie tą miłością ludzką, co dla siebie pragnie i siebie miłuje w przedmiocie, który obrała: myśl moja i serce klęczały przed nią, ale się na równią z nią podnieść nie śmiały. Czcilem ją więc więcej niżelimi kochał, i nie zdaje się ziemskiego nie było w tym uczuciu, żadnych szalonych pragnień, gotowość do ofiar największa.

Choć mnie Siemiatycze i tamtejsze towarzystwo męczyło, pojechałem do starosty, gdzie znowu znalazłem Obuchę, ale tą razą trzeźwego i układającego się już o wesele, wyprawę i dalsze majątkowe interesa. Był to mimo swój ociężałości i pijaństwa człek jednak i zapobiegliwy, nie zapominający o jutrze. Starosta zawsze kończący sprawy pieniężne szablą i groźbą tego nie rozumiał, ofiarował się podpisywać co chciało, zapowiadając tylko, że Siemiatycz póki żyw nie od-

da, ani złamanego szeląga, a co po nim zostanie, to córka weźmie.

Gdy się te układy w osobnej izbie toczyły, ja do panny Barbary i pani Horochowój pod pozorem listu od księżnej wpuszczony zostałem; ale gdym ją zobaczył, stanąłem oniemiały, nie wiedząc od czego poczynać. W istocie ta miłość moja szalona opłatała mnie i natchnęła zuchwalstwem wdawania się nie w swoją rzecz: ale jak tu było obcemu powiedzieć córce, że ją przeciw ojcu własnemu gotów byłem bronić? Myślałem, że ją znajdę we łzach i strapioną, alem ujrzał spokojną i wypogodzoną, a tak poważną i cierpieniem wielką, żem ją świętą być mniemał.

Języka w gębie zapomniawszy stałem u drzwi, a pani Horochowa patrzyła na mnie zdziwiona obaławianiem mojem, gdy panna Barbara przywitawszy mile, spytała, dawnobym przyjechał.

— Tylkoco i to umyślnie—rzekłem spiesznie chwytając odwagę całą, na jakąm się tylko mógł zdobyć. Nieszczęśliwa wiadomość doszła mnie, że panią zmuszają zaślubić pana Obucha... Jeśliby tak być miało, rozkaż pani, pojedę do księżnej, jej wpływ i perswazyja może to odwrócić.

P. Barbara zaczerwieniła się.

— Taka jest wola ojca mojego—rzekła—księżna nic nie pomoże. Dla jego spokojności potrzeba, abym z siebie uczyniła ofiarę... P. Obuch dopótyczna mu gwałtownie potrzebną summę, i długi jaki ma na Siemiąteczach nie będzie wymagał. Bóg tak chce, ojciec każe...—dodała cicho—mogęż się sprzeciwić?

— I pani to znosisz tak słowa nie rzekłszy?

Płakałam—dodała—ale mnie Bóg pocieszył; nie jesteśmy na ziemi dla szczęścia naszego, ale byśmy się ofiarą uczyli enoty niebieskiej. Tak czy inaczej spłynie życie, byleby sumienie było spokojne!....

— Ale ten człowiek?

— Wybrał go mój ojciec.

— Ale wiek jego niestosowny?

Położyła palec na ustach...—Wola ojca, święta dla mnie. Któż wie—dodała—tak może potrzeba dla czyjegoś spokoju i szczęścia.... ludzie Bożej woli nie złamią. Już tu nie było co mówić, spuściłem oczy i stałem smutny.

— A za dobrą wolę waszę—dodała—przyjmcie serdeczne dzięki. Chciejcie wierzyć, że téj ofiary pamięć zachowam, choć jój przyjąć nie mogę.

Wtém starosta z Obuchem wtoczyli się do izby, a wojski poskoczył zaraz do ręki panny Barbary i sapiąc przysiadł do niéj, śmiejąc się, aż brzuch i potrójny podbródek trzęsły się mu szpetnie. Ujrzawszy mnie starosta nie spytał cobym tu robił, przywitał zimno, poprosił siedzieć, alem czuł, że mu byłem niepotrzebny i że nie miałem czego tu długo popasać. Przyniesiono kielichy pié zdrowie bohdarki wojskiego, a otyły narzeczony przyklął opierając się o krzesło z wielkim wysiłkiem i spełnił do dna wielki puhar miodu. Starosta nie dał złęgo przykładu, a dwór jego hurmem nadchodzący ze szklankami i puhami, tżawéj narzeczónéj wychylił zdrowie. Jam się od kielicha wykrecił i szukałem tylko dziury, którąbym mógł uciec.

Nie trudno mi to przyszło, bo wnet się głowy pozawracały, a ja siadłszy na bryczkę posunąłem się powoli do Pohorełego. Powróciwszy rozważyłem wszystko i pomimo słów panny Barbary umyśliłem jechać do księżnej, błagać ją aby temu nicnemu przeszkodziła małżeństwu. Nie czekając długo kazałem tegoż wieczora zaprzęgać i puściłem się do Kodnia. Droga mi wypadła mimo rodzicielskiego domu, chciałem wstąpić tam i świeże konie wzięwszy co najprędzej do Kodnia podążyć; alem rachował bez woli Bożej i mojego przeznaczenia.

Całą nocjechałem jakoś, choć ciemno było jak w rogu i szczęśliwie mi się udawało; konie same prowadziły znając drogę. Ale potrzeba znać ten kąt kraju by wiedzieć, co to za niebezpieczeństwo wlec się tu po nocy. Innej drogi nie ma prawie, jeno groble wąziutkie a mostki, z obu stron rowy często szerokie i głębokie na kilka łokci: minąć się na nich sztuka, cóż dopiero po nocy. Już dniało gdym się zbliżał do domu, wtém żyd, kat go nadał, jedzie przeciw mnie; jam się zdrzemnął, mija furman, wziął się w lewo zbyt mocno, koło w rów i bryczka moja się wali. Obudziłem się przykryty wozem z wielką boleścią w ręku... ani chybi, złamana. Nie chodziło mi tyle o rękę co o pośpiech w drodze: podnieśli mnie, ażem z bólu skowyczał, bo mi coś tam pękło. Dowlokłem się tak do matki. Tu jak mnie zobaczyli, wnet rady dawać, po doktora, po cyrulika, alem naprzód brata schwycił i powiedziawszy o co szło, do Kodnia do księżniej wyprawiał i dopierom się dał opatrzyć.

Już nie wiem czy kiedy w życiu ucierpiałem tyle, co tą razą, chociażem był w domu matki, otoczony najtroskliwszą opieką i najczulszém staraniem; ale mi się każda godzina wiekiem zdawała, a niepewność o los jój dręczyła i uspokoić się nie dawała. Wstyd jakiś wyznać méj męki nie dopuszczał, choć ją choroba i gorączka zdradzały. Do powrotu brata nie mogłem sobie dać rady, a gdy przyjechał z niczém, bo księżna była w Warszawie, tom szalał, żem Boga zapomniał, jak to się i najświętszemu zdarza. Dopiero gdy mnie choroba złamała i zgniotła, a upokorzyła niemoc, przyszła we łzach ta myśl, że woli Opatrzności poddać się potrzeba w pokorze. I począłem się modlić, a lżej mi się zrobiło. Przypuszczałem, że nie może to być, aby Bóg dopuścił spełnić się tak wielkiej ofierze, tak strasznemu, a niezastużonemu nieszczęściu. Sądziłem, że ojciec się opamięła, narzeczony zawstydzi, ludzie wsta-

wią i sprzeciwia, że się cud jakiś stanie, a małżeństwo to nie będzie mogło przyjść do skutku.

Ani słychu nie było o Siemiatyczach, alem brata znowu wyprawił do Pohoretego, aby gospodarstwo obejrział, i chciałem mu nie mówić jakie mi ma przywieźć wiadomości, sądziłem, że się sam domyśli, cobym wiedzieć pragnął. Pojechał tedy, a jam wszystko leżał a leżał w téj niemocy, bo zrastanie się kości było trudne i gorączka ciągła. Biedna matka nie mogła zrozumieć stanu méj duszy i niepokoju, jam się przed nią spowiadać nie śmiał i nie mógł, boby mnie ona nie rozumiała może. Wzięliby to za szalone zachcenie ożenienia, gdy mi i w myśli nie powstało, bom się nie czuł jój godnym, a wytłumaczyć się przed niemi było trudno, żem ją tak kochał jak postać Bożego, anioła, który na promieniu jasnym wstępuje na ziemię, łaskę Najwyższego przynosząc.

Nareszcie powrócił brat mój i jał naprzód o gospodarstwie prawić, a długom go dopytać nie mógł o to, o co mi najwięcej chodziło. Nie wiedziałem jak wpaść na to, a on się nie domyślał. Kilka godzin wymęczyłem się pókim nareszcie nieszczęśnej nie dowiedział się nowiny, że starosta córkę za mąż wydał, a brat mój przejeżdżając przez Siemiatycze sam był świadkiem ślubu, który bardzo wspaniale przy illuminacyi i wystrzałach moździerzowych się odbył. Padłem jako martwy na tę wieść i nie wiem co się ze mną stało, a gdym przytomność odzyskał, ledwie przeszłe życie moje powoli jako sen przypomnieć sobie potrafiłem. Owszem na zawsze zostało mi to dziwne uczucie żywota jakby przeciętego nadwoje, bo to co pozostało po za tą gorączką i chorobą strasliwą widziałem niby z drugiego świata, przypominałem jak inne życie jakieś, nie mogąc z późniejszym połączyć, Trzeba było poszanować wyroki Boże w tém co się stało i milczeć, alem się zwłóknęszy tak na wszystko zobojętniał i ostygł, że mi się już niczego nie chciało,



ani dzierżawy, ani gospodarstwa, ani przyszłości. Ci co mnie takim widzieli, różnie radzili, a między innymi ktoś szepnął o wojsku. To jedno mi do serca przypa-  
dło, bo mi zresztą równo było co z sobą poczęć, a na  
miejscu usiedzieć nie mogłem; więc oddałem dzierżawę  
bratu pani Horochowój ze stratą, a samem się zaciągnął  
do kawaleryi narodowój. Tu prędko postrzegłem, że nie  
było tak bardzo co robić, a los nami kierował więcej niż  
rachuba.... snuliśmy się jak cienie to tu, to owdzie, lub  
odpoczywali. Posyłano nas czasem, stawiano na kre-  
sach, tranzłokowano, musztrowano, ale czynności żadnej,  
prawdę powiedziéć, nie mieliśmy, i czasu wolnego aż do  
zbytku. Nareszcie przykomenderowano mnie na Ukrainę,  
w chwili, gdy się na coś zbierać poczęło, i zastałem ko-  
mendę moję pod Tywrowem, aby z nią razem cofnąć  
się ku Wołyniowi. Przyszliśmy pod Lubar, gdzie w re-  
konesansie postrzelony zostałem lekko nad Słuczą, ale  
mi ta rana nie przeszkodziła do dalszego pochodu pod  
Połonnę. Tu w fałszywym alarmie nocnym postradałem  
moje juki i konie, i z tém ledwiem się zostałem com miał  
na grzbiecie. Byłem dalej pod Szeptówką i pod Zie-  
lińcami, gdzie mi całonocna pikietta pod bronią ranione-  
mu dosyć dokuczyła; w samój potyczce choćem się nie  
oszczędzał, a kule mi ostatni płaszcz podziurawiły, wy-  
szedłem cało sam nie mogąc pojąć jak się to stało.  
Wlekliśmy się na Zastaw i Ostróg dalej; a ja tylem tylko  
był czynny, póki trwała ta kampania. Jak się to skoń-  
czyło, że rana ciągle drażniona zamykać się nie chciała,  
musiłem w Warszawie pójść do lazaretu, i powoli się  
wyleżałem z niej. Nie było już co robić w wojsku, a my-  
śli żadnej nadal nie miałem. Sądziłem błędząc tak po świe-  
cie i usunąwszy się z moich stron, że zapomnę o tém co  
mi najwięcej dolegało, o losie nieszczęśliwój kobiety  
i mojem do niej przywiązaniu. Dziwna to zaprawdę była  
passya jakiejby dziś nikt nie pojął: widywałem ją nie  
wiele, mówiłem z nią mało, nie śmiałem się jój dać po-

znać, ani wypowiedzieć, żem życie gotów był poświęcić dla niej; a po kilku latach niewidzenia ani oddalenie, ani praca, ani nieszczęście, ani przetrwane niebezpieczeństwa, ani ostudzenie z wiekiem przychodzące, nie pożyły we mnie tego, jakie miałem dla niej uczucia. Nie wiem czy tak drudzy miłują, alem ja tak kochał, a inaczej snąć nie potrafiłbym. Te lekkie miłostki pańskie i żołnierskie, uciechy zmysłowe i rozrywki płoche, obrzydliwości mi sprawiały. Byłemci mówią nie zbyt odstręczający, trafiały się nagabania i różne okoliczności, alem szanował w sobie uczucie jakie dla niej miałem i na inne kobiety patrzeć nie chciałem, bobym im miłości jakiejś kłamać nie potrafił, kiedy inną kochałem całą mocą serca i duszy. Wielem znowu znał pięknych i zacnych niewiast, cóż kiedy żadna takiego we mnie jak ona wielkiego i świętego uczucia wywołać nie mogła. A jakom z niem był szczęśliwy i biedny, to mnie wiedzieć tylko.

(Dokończenie nastąpi).

## KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

*Mojżesz*, Rossini'ego. — *Karnawał Wenecki*, opera pana Ambroise Thomas. — Uwertura ze *Struency* Meyerboera. — Teatr Włoski. — *Don Bruschino*, farsza Rossini'ego w *Bouffes Parisiens*. — *Le Rocher de Sisyphe*, dramat w pięciu aktach, przez p. Didier. — *Przemysł, sztuka i rolnictwo u Arabów*, przez p. Franchis. — Wiadomości literackie.

Opera Wielka chcąc wynagrodzić długie posty miłośnikom muzyki poważnej, wyprawiła im wspaniałą ucztę. Biblijne arcydzieło Rossini'ego, *Mojżesz*, przedstawiony w całej swój majestatycznej powadze, uciszył na chwilę skargi diletantów, narzekających na nieharmonijne czasy, zagoił poranione dyssonansami uszy, i jednym uderzeniem czarownej różeczki, wydobywszy żywy źródło ze skały, zmył wszystkie do dyrektora i śpiewaków urazy.

Reprezentacya była co się zowie przepyszna. Poważny Obin z sumiennością włoskiego artysty, przedstawił patryarchalną postać Mojżesza; Roger ze zwykłym sobie talentem odśpiewał rolę Faraonowego syna; orkiestra zaś, której Rossini użył w tém dziele za głównego swych myśli tłumacza, wywiązała się z dokładnością, którą sam *maestro* potakującym kiwaniem głowy uznał i pochwalił.

Uwaga zgromadzenia nie osłabła ani na chwilę, aż do ostatniej nuty. Znawcy i niezawcy zarówno uderzeni piérwszemi trzema akordami rozpoczynającemi introdukcyą, w których cała treść dzieła skupiona, a które nagłym, niewytłumaczonym dreszczem, jak zwiastuny nieszczęścia

przebiegają duszę — ze stłumionym oddechem słuchali tej straszliwej pieśni narodu ciśnionego ręką Bożą. Boleść jest jej jedynym wyrazem, dlatego genialny kompozytor raz swoje główną frazę znalazłszy, ją tylko wodzi wciąż po muzycznym labiryncie: koło niej grupuje tony, z niej wszelkie wydzwiecza przemiany. Całą potęgę tej niezrównanej introdukcji stanowi jej prostota. Ciągłe powtarzana na wszystkie tony rozpaczna zwrotka, oddająca wrażenie, jakie mrok zimny wywiera na lud do słonecznego żaru przywykły, w końcu ścina lodem słuchacza; wybuch zaś ogólnej rozpaczki w pieśni Faraona, co przejęty trwogą, korzy się i woła: „Boże Izraela! jeżeli chcesz, żeby wierny lud twój wyszedł z niewoli, to zmiłuj się nad nami!” zdumiewa go swą prawdą. Nigdy bowiem język muzyki nie wydał tak potężnej synthezy skutków naturalnych. Podczas wielkich klęsk narodowych, każdy członek tego narodu najprzód długo skarży się osobno, potem masy zaczynają jęczyć, w końcu cały naród przez usta swego naczelnika wydaje krzyk rozpaczki. Toż samo stopniowanie w dziele swoim zachował Rossini: najprzód przez wszystkie tony przeprowadził jeden akord boleści, potem go spotęgował chórmi, nareszcie w recitatiwie Faraona skupiwszy, jak grom zapalił i wystrzelił.

Z jakąż sztuką użył Rossini do tego ponurego obrazu, wszystkich ciemnych kolorów znajdujących się na muzycznej palecie! Te wilgotne tumany, co zalegają scenę, smucą jak mgły rzeczywiste; żalność dręcząca naturę, odbija się w sercach słuchaczy, jak czarna chmura w jeziorze: pałace, palmy, krajobrazy, wszystko co piękne, wdzięczne, śniejące i żywe, naraz ze sceny i z wyobraźni widza znika... ciemność jak ołowiany płaszcz ciąży każdemu... To też prawdziwym balsamem splywa potem na dusze owa religijna symfonia, którą doktor Boży ma uleczyć tę plagę.

A tu znów, przez jakże sztuczne kombinacje Rossini doprowadza słuchaczy do przepysznej inwokacji, którą Mojżesz wzywa pomocy Pana. Pieśni tej wtórują same dęte instrumenta: przez nie maestro nadał jej ową głęboko-religijną cechę: wszystkie strunowe narzędzia zachował na wyrażenie światła mającego nastąpić po ciemnościach, i tym sposo-

bem wielki twórca Mojżesza doszedł do jednego z najpotężniejszych efektów muzycznych.

Godnym jest także uwagi, że aż do recitatiwa Mojżesza, nie ma w operze ani jednej arii, ani jednego duetu. Kompozytor umiał się utrzymać samą siłą myśli, samą potęgą obrazów, samą prawdą deklamacyi. Ciemną tę scenę rozpaczy, ten obraz muzyczny, pełen jęku, złorzeczeń, łez i bluźnierstwa, porównać tylko można z widokiem potopu, oddanego mistrzowskim pędzlem Poussina. Następny, odkryty nagle czarowną różczką Mojżesza, który jednym skinieniem od nieba aż do ziemi rozdziela powietrzne kiry, jaśnieje spotęgowanym światłem słońca ciśnionego chmurami. Tutaj rzeczywiście słońce blasku swego użycza muzyce do uwidomienia wszystkich fenomenów budzącej się natury, tutaj sztuka do zenitu swego dobiega i dalej już iść nie może. Tony biją przyspieszonym tętnem, jak serce oduczonego z omdlenia Egiptu; czujesz jak ze światłem szczęście wnika wszędzie, każda nuta brylantowego *tremolo* jest okrzykiem ocalonego ludu, a finalne *tutti* rozlega się w duszy, jak „wielki płacz zmartwychwstania.”

Po tych dwóch ogromnych scenach, gdzie w pierwszej jedna zwrotka oddaje zbiorową boleść całego narodu; w drugiej jeden akord odsłania tajemnice budzącej się natury i radość ludu, obie zaś wiąże modlitwa do Boga, sprawcy téj boleści i téj radości: następuje kwintet, w którym obok wesela ludu, wzdycha miłość zagrożona rozstaniem. Maestro oddawszy potężne wstrząśnienia, wywołane powszechną żalobą i powszechną radością, powraca do zwykłych emocyi życia. Dramat rozłamuje się na dwie połowy: w jednej lud przez niewiernych ciśniony, a wspierany przez Pana, tworzy cuda, żeby odzyskać wolność; w drugiej monarcha zakochany w żydówce, a żeby jęj nie stracić, chce naród cały zatrzymać w więzach, mimo Boga. Obadwa nienawistne narody zachowują niezmiennie swój odrębny charakter, ścierają się w tonach, jak dwa przeciwne żywioły: natchnione hymny Hebrajczyków w ciągłej pozostają sprzeczności z beżbożnym chórem Egipcyan.

Spisek Faraona i pieśń jego: „Drzyj Izraelu.” której urwane akorda, to zgrzytną jak obrażona duma; to zachichoczą, jak kłamaną pokora, ostrząca w cieniu sztylet zem-

sty, jest także arcydziełem, ale potęgą jego blednie obok finału, gdzie podjęty przez całą orkiestrę natchniony marsz swobody, brzmi już nie jak przecucie, cicho i drżąco, ale jak zwycięstwo, śmiało i grzmiąco. Jest coś wojennego w tym marszu natchnionym swobodą i wiarą w Boga, który swemu ludowi gościniec w morzu otwiera. Słuchając go, obrazy biblijne snują się przed oczyma duszy... melodia uplastycznia jedną z najwznioslejszych scen starożytnego świata... Wtém nagle, śmiałe tony tryumfalnej pieśni mącą się, chwieją, mieszają zakłócone ciężkiem stąpaniem egipskich siepaczy; w końcu milkną pod ponurą nutą wypowiadającą rozkaz Faraona. Pochód zbrojnych tętni, coraz to bliżej, wyraźniej, aż długa kolumna żołnierzy, jak afrykański wąż, wysuwa się na scenę, zwolna otacza swą ofiarę, i rozpoczyna się walka. Zdrada! woła lud Boży. Gincie! woła Faraon, siejąc śmiertelne razy. Głosy walczących podchwycone przez całą kapele, najżywszych dobiegają tonów: gniew Mojżesza, wściekłość Faraona, krzyki żołnierzy, huk morza i wycie nawałnicy, oddane akordami, osadzonemi na trzechtempowym rytmie, padają jak grad, siekące i ważne, dopóty, aż przez proroka w deszcz siarczysty zmienione, zalewają ziemię i ludzi.

Cóż można porównać z tą sceną, nawet w muzycznym repertoarze niemieckim? Ani Haendel, ani Bach, ani Beethoven, ani Mozart nie stworzyli nic równego, może dlatego, że żaden z nich nie wziął tak wielkiego przedmiotu. Sławny finał *Don Juana* jest tylko zwadą rozpustnika z ofiarami, które zemsty Bożej na jego głowę wzywają; tutaj sto razy wyższy, tytaniczny bój się toczy: tutaj ziemia i wszystkie jej potęgi wydają walkę Bogu, i są przezeń spiorunowane.

A cóż powiedzieć o zakończającym sztukę hymnie do Boga? Modlitwa wyzwolonego z niewoli egipskiej Izraela, jest może najwyższem dziełem Rossini'ego: jak deszcz ożywczy omdlałe długą posuchą kwiaty, podnosi ona uwiedle zwątpieniem czoła, nadzieją rozbudza uspioune serca. Sztuka w tej pieśni znika zupełnie; samo natchnienie podyktało ją muzykowi, i wytrysła z duszy, jak krzyk miłości. Jestto utwór, który przetrwa wieki, jak psalm Marcela: „*Coeli enarrant gloriam Dei.*” Cimarozy: „*Pria che*

*spunti*;" Beethovena *Symfonia z Ut minor*, i *Stabat Pergolesa*. Modlitwa Mojżesza spotyka się w górze z płynącym z nieba chórem aniołów; z wyżyn na jakie nas tu Rossini wprowadza, już dojrzyć można ziemię obiecaną. Dzieło rozpoczęte taką introdukcją, a zakończone taką modlitwą, ma nieśmiertelność owych pieśni narodowych, które żyją dłużej niż pomyślność, sława i potęga narodu.

Chociaż dotknąwszy tego arcydzieła, od którego tak ciężko oderwać ucha, trudno jest słuchać innej muzyki, a trudniej jeszcze mówić o niej, jeżeli żadnego nie sprawiła wrażenia, zważywszy jednak, że uszy sprawozdawcy nie należą do niego, mamy sobie za obowiązek powiedzieć tu słów kilka o nowej operze: „Karnawał Wenecki,” którą pan Ambroise Thomas repertoire opery komicznej zbogacił.

Jeżeli nie głównem, to jednem z najważniejszych zadań dyrektora paryżkiej opery jest zawsze tak zwana *mise en scène* nowej sztuki, czyli dekoracje i ubiory; orkiestra, chóry, biegłość śpiewaków, słowem rzecz sama, drugie dopiero zajmuje miejsce. Tą razą sam tytuł opery nakazywał wystawę. Trzeba było koniecznie przedstawić Wenecją, i to przedstawić nie w jej codziennym stroju, nie jej ciche laguny i tajemnicze pałace, ale Wenecją pijaną karnawałowym szaleństwem, kipiącą życiem, skrzącą wesołością i złotem, gnącą się pod ciężarem kwiecistych, adamaszkowych i dywanów, powiewającą pękami krasnych wstążek i chorągwi, skaczącą, grającą, śpiewającą, przedrzeźniającą mowę wszech-stworzenia; słowem taką, jaką bywała w dniu swego narodowego święta, zanim jej Austriacy pogasili lampy i uciszyli dzwonki. Trzeba było koniecznie przedstawić wybrednemu Paryżowi ten rozkoszny obraz weneckiej stolicy: „co w pół na ziemi, a do pasa w wodzie, pływa jak piękna Syrena-dziewica,” albo narazić dzieło na śmierć niechybną. Wiedziała o tém dyrektorka, i pod względem wystawy nic do życzenia nie pozostawiła. Dekoracje są wykonane jak brabanckie koronki, ubiory jakby z obrazu Veroneza zdjęte.

A muzyka? a śpiewacy? a libretto? — spytacie. Muzyka jak w tych ciężkich czasach, ujdzie: śpiewacy nie zawsze śpiewają fałszywie; co do libretta, to przechodzi głupota wszystkie operowe treści, o których dawno powiedzia-

no, że dlatego są śpiewane, iż zbyt niedorzeczne, ażeby je wysłować.

Jednakowoż chcąc zrozumieć muzykę, wiedzieć potrzeba co do niej za pretext posłużyło; ztąd konieczność opowiedzenia treści libretta, którą w jak najkrótszych słowach zamknąć będziemy się starali.

Flaminia, Artemiza i Palifornio są głównemi osobami sztuki. Palifornio, senator wenecki, nader dumny ze swego rodu i znaczenia, w wolnych chwilach zajmuje się muzyką, gra na skrzypcach i komponuje utwory wedle swego zdania znakomite. Flaminia jest jego żoną, Artemiza siostrą.

Obie te panie nie są zbyt spokojnego temperamentu; jak jednej tak drugiej domowe koncerty nie zapełniają duszy, szukają przeto po za domem rozrywek żywszych, rozumie się o ile podobna niewinnych. Ale że i tam, ażeby się bawić, zmieniać potrzeba koniecznie, zdarza się potrzeba odebrania pewnych listów i portretu, które pierwsza do pewnego baletnika, a druga do pewnego kuzynka adresowała w napadzie jakiejś nieogłędnej czułości. Obiedwie poszłyby same upomnieć się o te fanty miłosne, przywdziewając jak zwykle na podobną wizytę: popielaty płaszcz skruchy, podszyty biało niezłomném postanowieniem cnoty, w którym niejednej bardzo nawet do twarzy; ale jakże tu iść? Ktoś może wypatrzeć, rozgadać, donieść senatorowi — a wtedy... wtedy nie można przewidzieć, gdzieby się zatrzymała wściekłość zazdrosnego małżonka i dumnego brata.

W dość figlarnym duecie, obie damy naradzają się tedy, jak zgryźć ten twardy orzech, jak oszukać dwóch kochanków, męża i brata tak, żeby i wilk był syty i koza cała. Na tej naradzie, nic względem siebie nie postanowiwszy, uchwalają opierać się wszelkiemi siłami ożenieniu swego krewnego Lelia, który nie pomnąc na godność rodziny, chce koniecznie zaślubić Sylwią śpiewaczkę.

Podawszy sobie ręce na znak, że obie będą bronić honoru senatorskiego rodu, zacne patrycyanki wychodzą, ustępując miejsca senatorowi, który w głębokie zadumanie pogrążony, nic nie widząc i nie słysząc, co się wkoło niego dzieje, siada, i wylewa na papier *Koncert* świeżo w głowie



wylęgly, a mający go postawić na równi z pierwszymi kompozytorami świata.

Podczas gdy Palifornio natchnienia swoje spisuje, wchodzi przebrana za służącą Sylwia, wprowadzona przez Caramella, który powiada jej, że jako subretka, zbadawszy tajemnice swych państwa, łatwo będzie mogła otrzymać przyzwolenie, od którego jej małżeństwo z Leliem zawisło.

Kto jest ten Caramello, co tak zbawienne daje rady? Nikt nie wie. Jestto myt jakiś, działający bez powodu, inówiący aby mówić; chodzący, bo chodzi: figura, której zamiarów zrozumieć niepodobna, może dlatego, że ich nie ma. Czy kocha Sylwią? Nie wiadomo. Czy jest przyjacielem Lelia? Nie można zgadnąć; czy to zdrajca, filantrop, wolny mularz, czy błazen? Prawdopodobnie sam autor nie umiałby na te pytania odpowiedzieć. W tej niepewności przypuścimy, że to *deus ex machina*, i idźmy dalej.

Caramello tedy, zainstalowawszy Sylwią w domu senatora, kłania się i wychodzi. Spiewaczka wierna swej nowej roli, bierze się do uprzątnięcia pokoju, a Palifornio napisawszy swój *Koncert*, zaczyna go grać na skrzypcach. Sylwia słucha uważnie, powtarza głosem tony instrumentu, i stara się zatrzymać w pamięci kompozycyą senatora. Zręczna pokojówka pozyskuje wnet zaufanie państwa. Senator jej się zaleca, a senatorowa posyła ją do kuzynka z rozkazem, żeby o tej a tej godzinie przybył na plac ś. Marka, i odniósł jej owe listy, na które ona w różowym dominie czekać będzie w umówioném miejscu. Kuzynek nie może się stawić o naznaczonę porze, posuwa więc schadzke na późniejszą godzinę, o czém subretka ma zawiadomić panią.

Podczas kiedy Sylwia wtajemniczona w intrygi senatorowęj pełni jej polecenia, wbiega na scenę siostra senatora: zakłopotana wielce rzuca się na krzesło, i raz jeszcze czyta dziennik, w którym znalazła bolesną wiadomość o śmierci swego miłego tancerza. Płaczliwa arya maluje stan jej serca; czuła Artemiza jęczy i wzdycha... ale w końcu utulona filozoficzną myślą, że kto się rodzi umrzeć musi, troszczy się już tylko o swój portret, który razem z ruchoinościami zmarłego będzie sprzedany przez licytacyą.

Portret, mój portret! śpiewa najwyższym dyszkantem, muszę go odebrać koniecznie!

— Uspokój się pani—odpowiada jej mytyczny Carmello, który właśnie jak na to znajduje się za krzesłem—znam sukcesorkę twego tancerza; bądź dziś wieczorem na placu świętego Marka, tam was zapoznam; to dobra kobieta, portret odda ci niezawodnie.

W następnym akcie o umówionej na schadzki godzinie, teatr przedstawia plac ś. Marka, po którym przeciągają karnawałowe wozy, i tłum ludu przebranego w najsmieszniejsze stroje. Maskaradowe chóry szumią czas jakiś podając sobie błazeńskie piosneczki; poczem Sylwia przebrana za Flaminia, odbiera jej listy od kuzynka, a od Artemizy zwierzenie i prośbę oddania portretu. Skoki i śpiewy masek, zajmują resztę aktu.

W trzecim, słuchacze przenoszą się do koncertowej sali, gdzie Palifornio daje koncert. Sylwia, której muzyczne zdolności ocenił senator, ma śpiewać najpierw jakąś wiejską piosneczkę; ale zamiast łatwej zwrotki zapowiedzianej programem, przebrana za służącą artystka, śpiewa jakąś nieznaną, nader świetną i trudną kompozycją, która zachwyca słuchaczy: śpiewa senatorski *Koncert*. Palifornio zdumiony, nie wie co począć. Publiczność natarczywie dopytuje o imię autora. Wtedy Sylwia rzecze cicho do senatora: sławę twoją mam w rękę; jeżeli chcesz żebyś ci autorstwo przyznała, zezwól na moje z Leliem małżeństwo. Tegoż przyzwolenia żąda od Flaminii w zamian za listy, które ma w kieszeni, a od Artemizy za portret o którym wiecie. Tak zagadnięta arystokratyczna rodzina, zezwała na wszystko, i Lelio zaślubia Sylwią.

Z tej bajki nauka taka, że skoro aktorka znajdzie opór w rodzinie swego dostojnego pretendenta, powinna się starać o docieczenie jej domowych tajemnic, a wtedy niezawodnie dopnie celu.

Uwertura nowej opery ułożona na znany temat *Karnawał Wenecki*, jest może najładniejszą częścią dzieła pana Ambroise Thomas; tak pod względem kombinacji harmonijnych, jak szczebiotliwej lekkości koniecznej w tego rodzaju utworach, zadawałonia amatora muzyki koniecznej.

Koncert senatora grany na skrzypcach w pierwszym akcie, jest dość oryginalny.

Drugi akt poprzedza krótka introdukcya przygotowująca słuchaczy do karnawałowej wrzawy, która na nie-szczęście wcale nie odpowiada oczekiwaniu; wyjąwszy kilku tańców i zwrotki granęj na kobzie, cała scena zapustna oddana jest blado i nie wesoło. Finał powtarza temat uwertury, i tém ratuje akt drugi, który bez tego pozostałby zupełnie zimny i martwy. W trzecim akcie dość ładna jest romansa Caramella, i duet jego z Leliem, zaczynający się od słów: „Un infidèle m'abandonne, Consolez-moi!” — Arya bez słów, czyli *Koncert* śpiewany przez Sylwią, łączy w sobie wszystkie trudności, na jakie tylko zdobyć się mogli goniący za niemi tegocześni kompozytorowie: jestto rodzaj *Steple-chessu* dla śpiewaka, w którym co krok kark może skrócić, przeskakując trylowe palisady, rzeki harpegiiów i manowce rulad, wodzące po muzycznych bezdrożach.

Tyle co do muzyki. Dekoracye, jak to już powiedzieliśmy wyżej, są bardzo piękne; mianowicie też przedstawiająca plac świętego Marka, liczy się do najlepszych, jakie widzieliśmy w Paryżu. Pałace marmurowe, posągi, kioski pobudowane na wzór Alhambry, wszystko to razem na szafirowém niebie osadzone, wydaje się jak klejnot wyrobiony ręką biegłego jubilera. Obraz ten ma tylko tę wadę, że nie jest dość zaludniony; ażeby złudzenie było zupełne, wypada zapełnić głowami wszystkie okna, wszystkie balkony, cały plac i wybrzeże; wtedy widz mógłby zapomnieć, że jest w paryzkiej łoży, i na chwilę mniemać, iż z weneckiego okna patrzy na *Karnawał Wenecki*.

— Teatr Włoski przedstawia *Don Pasquale* Donizzetiego, który bez Lablacha, Tamburinięgo i Grisi, dość smutnie się wydaje. Sam Mario, jakkolwiek śpiewa zawsze wzorowo, wszystkich zastąpić nie jest zdolny, i nic dziwnego, że zamiast brylantowych oczu Julii, widząc przed sobą obojętną fizys pani Wilhorst, natchnionym być nie może; temu raczej dziwić się należy, że choć na zimno, tak skrupulatnie i sumiennie wywiązuje się z wytwornych wymagań najczystszej metody swęj sztuki. Ale powtarzamy, on jeden nie wystarcza, i nietylko nie ratuje włoskiej trup-

py, lecz ją wyższością swoją zupełnie zaćmiewa przy teraźniejszym jej składzie; jednego tylko *Cyrulika* słysząc warto, gdyż Alboni i Mario, ta najpierwsza para śpiewających teraz na świecie artystów, sownie wszystkie próżnie i niedostatki w przedstawieniu tój sztuki nagradza.

— Oddawna zapowiadana w tutejszym muzycznym świecie uwertura ze *Struenzy* Meyerbeera, dotąd nieznaną Paryżanom, wykonaną została na *Koncercie Paryzkim* przez stu muzykantów, składających orkiestrę Arbana. Utwór ten głęboki i nader efektowny, przypominający nieustannie potężnego twórcę *Hugonotów*, a wykonany jak na Francuzów bardzo sumiennie, sprawił tu wielkie wrażenie, i jest dziś najważniejszym wypadkiem dla paryzkich artystów.

Uwertura rozpoczyna się słodkim, cichym i melancholijnym tematem, który podejmują instrumenta dęte, i rozprawdzają w głośniejszą gammę waryacyi; następnie skrzypce, wiolenczelle i altówki komentują absolutne założenia trąb, i umiejętną dyalektyką ciągle tenże sam obrabiając przedmiot, przez subtelne *crescendo* dochodzą do ogromnych efektów, nie zgubiwszy ani na chwilę w tym labiryncie tonów myśli przodownicy. Od pierwszej do ostatniej nuty ciągle ona obecna w uchu słuchacza, jak myśl o kochance w sercu zakochanego: to się przybliża, to oddala, to igra z nim, to go drażni łechcącym trylem, to go w aksamity obwija, to sama w gazy się drapuje lub roztoczywszy skrzydła, leci gdzieś w niebo; a kiedy już prawie znikła, znów powraca, i jak piorun chyża, płomieniem stroskanego ogarnia uściskiem. Nakoniec temat, jak sylf zmordowany tą powietrzną gonitwą, staje na ziemi, gdzie schwytyany i określony przez najgłośniejsze i najwyraźniejsze tony, porzuca spiorunowanych słuchaczy.

— Mówiąc o muzyce, wspomnieć tu jeszcze musimy o nowych dwu-klawiaturowych fortepianach, wynalazku Alexandra, zwanych *Piano-Listz*, które bardzo się upowszechniają na paryzkich koncertach. Jestto instrument nader trudny, ale jeżeli go kto należycie owoładnie, nader miły i harmonijny. Mielśmy sposobność przekonać się o tém na ostatnim z muzycznych poranków, które tutejsze Towarzystwo Philotechniczne co pół roku dla wyż-

szęj publiczności urząda. Na tym koncercie najwięcej zajęła wszystkich gra panny Karoliny Beauvais, która na fortepianie Lista wykonała wariacje z *Gwiazdy Północnej*, i poloneza własnej kompozycji. Wdzięcznie zaokrąglone ręce artystki, biegające to po jednej, to po drugiej klawiaturze: raz po fortepianie, to znowu po organach, nadawały jej postawie dziwne a pełne gracyi ruchy, nader miłe oku, melodia zaś wydobyta jej biegłemi palcami, sprawiała uszom bardzo przyjemne niespodzianki. Mnóstwo osób w Paryżu ćwiczy się w tym nowym sposobie grania. Jeżeli ta moda potrwa, *pianos-Listz* niezadługo do niezbędnych salonowych mebli policzony zostanie.

W teatrze *Bouffes Parisiens* grają teraz *farze* Rossini'ego, pod tytułem *Don Bruschino*. Rossini napisał trzy tak zwane farsy: *la Scala de Sete* (1812); *l'Occasione fa il ladro* (1812); i, *Il figlio per azzardo* (1813); wszystkie trzy dla weneckiego teatru San-Mose. Ostatnia, przezwana *Don Bruschino* i nieco zmieniona, jest obecnie przedstawiana w Paryżu. Muzyka téj włoskiej farsy dziwne sprawia wrażenie na północnym słuchaczu: jakby w pięty łechtany śmiać się musi bez ustanku i cieszyć sam nie wie z czego.

— W Odeonie przedstawiono pięcio-aktowy dramat pana Didier, pod tytułem: „*Le Rocher de Sisyphe*.” Należy on do lepszych utworów tegoczesnych, i został przyjęty gorąco przez tutejszą publiczność. Treść téj sztuki mitologiczném ochrzczonej mianem, nie z bajecznych, ale całkiem z naszych wzięta jest czasów: chodzi o żalującą za grzechy Magdalenę, której wbrew ewangelicznój zasadzie, mało przebaczone, ponieważ wiele kochała.

Magdalena jestto piękna dziewczyna, która, jak wiele innych, byłaby pozostała czysta i uczciwa, gdyby zamiast gdzieś pod strychem na słomie, była się urodziła na miękkim łożu, a przez znaną rodzinę wychowana i wyposażona, zaślubiła poczciwego człowieka. Natura dała jej duszę czystą i szlachetne instynkta. Jakim sposobem z tém wszystkiém, w ośmnastu latach została kochanką rossyjskiego księcia Traskina, każdy mniej więcej odgadnie, bo to historia jak świat stara i wiecznie się powtarzająca. Po jednej stronie zbytek, elegancya, sztuka panowania i uwo-

dzenia; po drugiej młodość, niedoświadczenie, wrodzona chęć podobania się i używania, która tyle niegłodnych i nienagich niewiast z prawej ściągnęła drogi. Magdalena mogła pracować, powie ten i ów; zapewne mogła pracować—ale nie każdej kobiecie dana tak wysoka odwaga, żeby potrafiła umrzeć z głodu na dziewiczym posłaniu... Ale... znalazłoby się jeszcze nie jedno *ale*; że one jednak nie wchodzi w zakres sprawozdawcy, pomijamy je chętnie, i powiemy tylko krótko, że Magdalena jest kochanką księcia.

Księżę ma sekretarza, niejakiego pana Séchard; młody ten człowiek należy do rzędu tych ludzi, których dobrodziejstwa drażnią, co to zawsze gotowi ukąsić rękę co ich karmi, lub zranic pierś co ich ogrzewa. Ten tedy sekretarz mszcząc się za doznane względy, postanawia odmówić księciu Magdalenę. Gra więc przed nią rolę nieszcześliwej ofiary, prześladowanej sieroty, wiernego sługi karmionego wzgardą i t. d., a że, jak to trafnie powiedział Wiktor Hugo: „Kobiety niezmiernie lubią zbawiać tych, co je gubią,” Magdalena czując, iż jest tylko zabawką dla księcia, porzuca go, aby całe życie swoje ponieść w ofierze temu, w którego nieszczęście na słowo uwierzyła, który jej powtórzył owę melodramatyczną wyszarzaną frazę: „jeżeli odmówisz, w łeb sobie wypalę;” odgrózkę odwieczną, oklepaną i śmieszoną, bo nigdy nie dotrzymaną, której jednak nie wiém czemu, dotąd najrozsądniejsze kobiety wierzą.

Séchard nigdy nie kochał Magdaleny: uwodząc ją chciał tylko dokuczyć księciu; dopiąwszy więc szczytnego zamiaru, spostrzega wnet, że zbałamucona kobieta jest mu ciężarem, galerniczą kulą, przeszkadzająca do śpiesznego dążenia ku samolubnym widokom. Człowiek ambitny, łakoiny znaczenia, jeżeli chce dojść do zamierzonego celu, powinien wszystko nieść z sobą, a nic za sobą nie ciągnąć, ani kochanki, ani rodziny, ani dzieci, ani przyjaciół. Czuje to Séchard i rozmyśla jakby się pozbyć Magdaleny.

W chwili rozpoczęcia akcji, to bowiem cośmy opowiedzieli jest prologiem sztuki, teatr przedstawia piękny widok Nicei, zakończony szafirowém morzem, na którego

brzegach piętrzą się białe wille i dojrzewają złote pomarańcze.

W tym rajskim zakątku szczęśliwa miłość mogłaby miękkie i rozkoszne uwić sobie gniazdeczko; ale Magdalena patrzy na świat przez łyzy, co zaciemniają wszystko, i czuje się nieszczęśliwa w tém niebie; już bowiem dostrzegła, dla jak niskiej poświęciła się duszy. Tymczasem, gdy ona płacze, Sechard konkuruje i ma się żenić z córką bogatego ex-golibrody; kłopoce się tylko wspaniałomyślnie, co zrobić z Magdaleną? Przyszły teść, człowiek usłużny, podejmuje się zdjąć ten ciężar z przyszłego zięcia: Magdalena dosyć mu się podoba, i...

Nieszczęśliwa kobieta domyślając się losu jaki ją czeka, przekłada śmierć nad takie życie, i rzuca się w morze, tam spodziewając się znaleźć koniec boleści i upokorzeń.

Ale niestety, ci co mają cierpieć na tej ziemi, nie mogą umrzeć, zanim do dna swej gorzkiej czary nie wychyła. Młody margrabia Castalgontier widząc tonącą kobietę, skacze za nią w morze i jeszcze żywą na brzeg wnosi. Nieubłagane przeznaczenie biednej grzesznicy, na nowe skazuje ją męki. Magdalena pierwszy raz w życiu czując się kochaną prawdziwie, pół omdlała, pół szczęśliwa, napół płacząca, wpół uśmiechnięta, pozwala się wieść do Burgundyi. Tam w starym zamku przodków margrabiiego, młoda para zdala od świata, żyje swobodnie i długo czuje się szczęśliwa, chociaż nieuznanego szczęścia kosztuje. Cicha i słodka Magdalena nie pragnie nawet lepszego bytu. Ile razy Henryk o małżeństwie jej mówi, ona kładzie mu rękę na ustach i przerywa projekta świetniejszego istnienia, odpycha obrazy pełniejszego szczęścia, któreby nań z uznaniem świata spłynęło; nie wierzy bowiem, żeby świat zapomniał czém była i winy jej darował. W pokornej swój dumie czuje, iż nie jest mniej warta od kobiet, których grzechy poślubną noszą datę, a któreby niezawodnie nie darowały jej ani jednej zatrutej strzały z arsenału obelg, któremi świat grzeszny zwykł intruzów swoich szpikować.

Żyją więc jak żyli w ukryciu, ale mniej szczęśliwi, bo zdrowie Magdaleny stargane cierpieniami, codziennie się pogorsza; w końcu tak wątłe, że lekarz rychłą jej śmierć zapowiada margrabiemu. Chora czując się także bliską gro-

bu, dla szczęścia syna, zezwala na małżeństwo i zostaje żoną Henryka. Ale kiedy tak pogodziwszy się ze światem, oczekuje śmierci, zdrowie margrabini polepsza się niespodzianie, i rumieniec znów na jej bladém zakwita licu. Przestraszona tą nagłą zmianą grzesznica, patrzy na ludzi jakby ich przepraszała, że żyje, jakby im mówiła: „to nie moja wina,” ale ludzie do przebaczenia nie skorzy, w miejscu jednej naturalnej, sto gwałtownych śmierci jej gotują.

Uszczęśliwiony cudowném wyzdrowieniem żony, margrabia przedstawia ją swojej familii i wprowadza w wielki świat. Tu, z początku zdawało się, że przeszłość młodej pani poszła w niepamięć; ale pewnego wieczora na balu, kiedy nieznanymi podziwiają piękność Magdaleny, jej wzięcie pełne godności, i dopytują na jakim genealogiczném drzewie rozkwitł ten kwiat szlachetny, Sechard podejmuje się objaśnić. Księżę Traskin milczy wprawdzie, bo szlachcic umie się szanować w kobiecie, którą kochał i nie plami swego dawnego ołtarza; ale obecność jego już jest męczarnią dla Henryka i Magdaleny, którą widmo występnej przeszłości piętnuje jak rozpalone żelazo. Wnet ironiczne szeptki rozchodzą się po sali... na usta występują szydercze uśmiechy; kobiety, któremi zmęczona obmowa już nie zajmuje się wcale, zakrywają udany rumieniec wstydu wachlarzem, te zaś którymby własna cnota powinna natchnąć pobłażanie, wychodzą z sali podnosząc oszpecone pogardą czola.

Cóż ma począć Henryk? Niepodobna bić się z kobietami, ani wszystkich mężczyzn wyzwać na pojedynek. Uwozi więc żonę czémprędzej do burgundzkiego zamku, ale i tam już nie znajduje szczęścia, bo go zabiło przywiezione z wielkiego świata wrażenie wstydu i hańby. Traskin i Sechard wiecznie obecni w pamięci Henryka, przesładują go jak cienie Macbeta, i podniecają w duszy jego palącą zazdrość przeszłości, męczarnią o której Dante w swoim piekle zapomniał.

Na domiar nieszczęścia, synek, jedyna spójnia tego małżeństwa, umiera. Śmierć dziecka dobiega moralnie niefortunną parę. Od chwili jak ich ten ostatni anioł porzucił, Henryk i Magdalena z zatrutém sercem i zranioną duszą, jak dwa widma błąkają się po swem ponurem zamczysku.



Nareszcie niespodziany wypadek zakończy to smutne życie. Zbuntowani przeciw panu chłopci, podpalają pałac. Margrabia zdawna przemysłający o samobójstwie, chwytając tę sposobność, zamyka się w swym gabinecie, który już wokół otaczają płomienie, i postanawia zginąć pod gruzami swego domu. Kiedy tak pan zamku niechybnej czeka zguby, Magdalena przychodzi połączyć się z mężem na tym stosie, gdzie jak Herkules palony suknią Dejaniry chce on spopielić swe bole razem z pamięcią przeszłości.

Taka jest treść *Szyzofowego Kamienia*. Idąc spiesznie za główną myślą autora, pominieliśmy w drodze wiele szczegółów godnych uwagi, jak ten naprzykład, że zhańbiona kochanka księcia i pokutująca grzesznica Magdalena, jest Polką, opuściliśmy także wiele ustępów rzewnych i smutnych obrazów, ale te sceny same przez się z położenia wynikające, czytelnik łatwo w swęj duszy dośpiewa.

W świeżo ogłoszonej w jednym z dzienników tutejszych seryi artykułów pod napisem: „*Przemysł, Sztuka i Rolnictwo u Arabów*,” znajdujemy wiele szczegółów rzucających światło na obecny stan cywilizacyi w Algieryi. Autor artykułów, pan Karol Franchis, od kilkunastu lat w okolicach Konstantyny osiadły rolnik, miał czas i sposobność rozpatrzyć się w stosunkach miejscowych, i poznać gruntowniej rzeczywisty stan tego kraju niż turyści, których fantastyczne opisy, Europa czytała jako poemata wschodnie, obfite w obrazy, ale nie dające najmniejszego wyobrażenia o stanie moralnym i materyalnym tej wielkiej plantacyi, gdzie Francya tak usilnie cywilizacyą swą szczepi, zasilając ją nietylko swém doświadczeniem, ale podlewając krwią własną.

Wedle sprawozdań pana Franchis, oświata francuzka przyjinuje się w Algieryi leniwo, i dotąd małe wydaje plony, nie z powodu nieurodzajności ziemi, gdyż ta nader jest żyzna, ale z powodu charakteru krajowców, którzy mniej niż jakibądź naród są zdolni zapłonąć złoto-dajną gorączką przemysłową.

Arab w obyczajach i potrzebach skromny i prosty, skutkiem klimatu leniwy, a z natury kontemplacyjny, nie produkcyjny; nie zna, i nie pragnie wcale zaznajomić się

z cywilizacją, której korzyści nie mają dlań żadnej pojęty. Zadowolony ze swego losu, wcale o polepszeniu jego nie myśli, skutkiem czego musi pozostać koniecznie obcy tej nieustannej pracy umysłu ludzkiego, zasadzającej się pomiędzy innemi, na codziennem wynajdywaniu nowych potrzeb i zaspakajaniu takowych przemysłem, który tym sposobem nieustannie dociągać się musi do sztucznego życia, jakie człowiek Zachodu obok rzeczywistego sobie stworzył. Zadowolenie Araba z zupełnie innego niż nasze płynie źródła: rozkosz wieje nań nie z ludzkich, ale z Boskich tworów; dla niego kwiaty szczęścia nie krzewią się na ziemi, ale spadają z nieba. Ztąd Arab sto razy szczęśliwszym się czuje pod swym namiotem, którego jedynym meblem rogoża, niż europejski książę w swoim marmurowym pałacu, obfitującym we wszystko co wymarzył zbytek w malignie; ten pośród dostatków może mieć jakie niezadowolone pragnienie, Arab zaś nic nie pragnie nad to co posiada: garść ryżu, kobieta, kilka owiec i koń, oto wszystko czego mu na tej ziemi do szczęścia potrzeba.

W inię więc czego Francuz ma wezwać Araba do zabiegów około codziennego życia, kiedy ich sposób widzenia tak różny; kiedy nadzieja dobrego bytu, która dla pierwszego jest bodźcem do wszystkiego, bo na końcu ciężkiej pracy ukazuje używanie, drugiemu nic nie obiecuje?

Arab tedy pracuje tylko przymuszony; inaczej, wyjąwszy lekkiej pracy około uprawy swój roli, nie robi nic zgoła. Cały drobny przemysł arabski spoczywa w ręku niewiast. Jest on trojaki: tkaniny wełniane na koszule i burnusy, dywany i garncarstwo. Kobiety arabskie z dziwną zręcznością umieją preparować krajową wełnę, której obfitość jest wielka; przez pranie nadają jej najprzód białość śnieżną, a przez czesanie miękkość i cienkość jedwabiu. Co do sposobów przedzenia, te pozostają na tymże samym stopniu doskonałości, na jakim stały za szczęśliwych czasów Mojżesza. Kobieta siada na ziemi, bierze każdą w jedną rękę, a drugą, bez pomocy żadnego innego narzędzia prócz wielkiego palca u nogi, wyciąga z garści wełny i kręci nić cienką, której doskonałości przy tak małych środkach Europejczyk dość wydziwić się nie może.

To przedzenie równie niepojęte dla nas, jak robota pająka, najdłużej w ciągu roku zajmuje piękną połowę społeczności arabskiej. Skoro cały produkt domowej trzody już jest sprzedany, zaczyna się tkanie burnusów. Robią się one z jednej sztuki i schodzą już gotowe z warsztatu; tkanina w tych płaszczach jest bardzo równa, często-kroć nader cienka, a choć nie przyrządzana ani gotowana wedle sposobów europejskich, miękka jak nasze najpiękniejsze sukno. Na tychże samych warsztatach co burnusy, Arabki tkają z posledniejszej wełny długie koszule, także bez szwu, które kompletują ubranie tak kobiet jak mężczyzn w tym gorącym klimacie.

Do tkania dywanów Arabki używają najgorszego gatunku wełny, którą im na jaskrawe kolory farbują żydzi po miastach. Z niej robione dywany są przeznaczone na sprzedaż; tkaniny do domowego użytku służące, wyrabiają z wełny ufarbowanej w domu na czerwono w korze drzewnej, ale tych dywanów robi się bardzo mało; widać je tylko w namiotach zamożnych, Arab bowiem sypia zwykle na ziemi, uważając kobierzec za niepotrzebny zbytek.

Namioty są najważniejszym i największym dziełem, jakie wychodzi z rąk kobiet arabskich. Jestto rzeczywiście sztuka nielada z koziej wełny uprząść i zbudować dom dość mocny i obszerny, ażeby mógł pomieścić nieraz liczną rodzinę, konia, woły, cielęta, kury; słowem ludzi i dobytek. Pan Franchis powiada, iż nieraz zdarzyło mu się widzieć namioty na czterdzieści łokci długie, a szesnaście szerokie: jestto rozmiar średni, gdyż często większe napotkać można. Tkanina z której uszyte te budynki, zdumiewa swą mięsistością nie przepuszczającą ani deszczu, ani nawet powietrza. Prawdziwe te arcydzieła w swoim rodzaju robią Arabki bez pomocy innego narzędzia i przyrzędu, jak rąk własnych i ram zbitych z czterech kawałków drzewa, spoczywających na czterech niskich słupkach tak, żeby w tych krosnach pracować można było siedząc na ziemi.

Trzecią gałęzią przemysłu arabskiego jest garncarstwo, którym także wyłącznie trudnią się niewiasty, i jak w przedzeniu i tkaniu, tak tutaj dochodzą do równie wielkich rezultatów za pomocą równie prostych środków. Al-

gierya obfituje w wyborną glinę. Takową tedy kopią i urabiają nogami kobiety, poczem z pomocą drewnianej łopatk, lepią z niej rozmaite dziwnie gustowne i kształtne naczynia, formą swą przypominające garncarskie wyroby Rzymian, od których Arabowie tę sztukę przejęli. Ulepiwszy znaczną ilość glinianych naczyń, Arabki ustawiają z nich klomb okrągły i nakrywają go suchemi gałęziami, poczem stos zapalają. Nazajutrz wyjmują z jego popiołów wybornie wypalone naczynia, które obok Sewrskiej porcelany, mieliśmy sposobność podziwiać na wystawie powszechniej w Paryżu, nie wiedząc, iż to są prawdziwie improwizowane płody arabskiego gustu, w żadne prawidła nie ujęte, ani wspomozone żadną mechaniczną siłą.

Wymienione rękodzieła z dodatkiem wyrobów drewnianych, jak naprzykład wielkie tace, mające nieraz przeszło dwa łokcie długości, a wystrugane niewieściami rękoma z suchego dębu, są alfą i omegą arabskiego przemysłu, który im tak dalece wystarcza, że ani przykład Francuzów, ani ich namowy, ani nawet przymus, którego nieraz względem krajowców się dopuszczają, nie skłoniły Arabów do naśladowania ich w czémkolwiekby: do starania się o wygodniejsze domy, praktyczniejsze odzienie, smaczniejsze jadło, słowem o byt lepszy, do którego tak zawzięcie dążą narody zachodnie.

Rolnictwo jest jedynym zajęciem Araba; tam rozwija on wszystkie siły i całą czynność swoje; ale ponieważ także uprawia ziemię sposobem patryarchalnym, bez pomocy oświaty i maszyn europejskich, rolnictwo stoi u nich na równi z gospodarką naszej zagonowej szlachty, której posiadłości bez inwentarza, bez płotów, bez dachów, mostów, ładu i kultury, ciągle mieliśmy na myśli czytając sprawozdania rolnicze Franchis'a.

Szczęściem, ziemia jest tak żyzna w tamtych stronach, że zaledwie poruszona, wydaje plony zaspakajające w trójnasób wszelkie potrzeby Araba. Narzędzie, którym orzą krajowcy, z opisu wydaje nam się zupełnie podobne do podlaskiej sochy. Z powodu górzystości kraju, francuzki pług na kółkach nie mógł tam być wprowadzony; sami nawet zamożni koloniści francuzcy doświadczywszy, iż jest zaciężki do uprawy tak pulchnego i żyznego gruntu, trzy-

mają się ogólnie arabskiej sochy, do której zaprzęgają parę małych ale krzepkich wołów miejscowych, umiejących jak kozy spinać się po górach i przywykłych do gorąca, którego poprawna rasa francuzkiego i angielskiego bydła w żaden sposób znieść nie może.

Orka zaczyna się w Algiieryi po pierwszych deszczach jesiennych i trwa do marca. Jak tylko spalona żarem słonecznym ziemia nieco nawilgnie i zagoi swą popadaną od upału skorupę, tysiące soch wyjeżdża na pole i każda z nich orze swój *kramm* (kilka morgów gruntu przypadające na jednego Araba). Zorawszy rolę nie w zagony, ale tylko w równe płytkie skiby, zasiewają takową bardzo obficie ziarnem i przyorują. Na tém kończy się cała operacya uprawy i siewby. Gnojenie, bronowanie nie znane tam wcale. Pierwsze zupełnie jest zbyteczne, bo grunt miejscami ma dwanaście stóp ziemi urodzajnej. Ugorów nie znają także w Algiieryi. Urodzaj zwykły sześć za jedno ziarno.

Oprócz pszenicy, owsa i jęczmienia, które wybornie się udają, Arabowie uprawiają w polu kukuruzę, arbuzy i melony, którym w ostatnich mianowicie czasach, dzięki dobrze uorganizowanej żegludze parowej, Algiierya rozpoczęła wielki handel z Francją i Anglią.

Stosunki zamożnego kolonisty francuzkiego z krajowcami są takie prawie, jakie powszechnie istnieją do dziś dnia pomiędzy właścicielem wsi a komornikiem na Mazowszu. Pan ziemi, Francuz, wyznacza Arabowi mały kawałek gruntu na ogród, daje mu swój inwentarz, trzydzieści franków za usług rocznie, i podarunek wartości pięciu franków dla żony, która ma obowiązek chodzenia do żniwa. Za to Arab pracuje dla pana cztery dni na tydzień i dostaje piątą część plonu z uprawionego przez siebie *kramna*.

Ostatecznie z relacyi pana Franchis pokazuje się, że skutkiem braku wszelkiej pomocy ze strony krajowców, jak niemniej zupełnego nieusposobienia tychże do przemysłu i handlu, Francuzi dalecy są od zysków jakie spodziewali się ciągnąć z tego podbitego kraju. Zdaniem jego, Algiierya wtedy dopiero stanie się dla Francyi kopalnią złota, jak będzie zaludnioną Francuzami. Dla Niemców byłaby to rzecz łatwa, ale tu zapewne nie rychło do tego przyjdzie, bo

chłop francuzki nieskory do porzucania ziemi ojczystej, do nieznanych krajów się nie kwapi; woli on swój ojczysty kawał chleba i swą szklankę wina z szynku gdzie tańcuje i śpiewa z przyjaciółmi, niż wszystko złoto wykopane na pustyni, gdzie zamiast na wesołej pogadance, która mu jest potrzebna jak powietrze do oddychania, spędziłby życie w ciężkiej samotności i pracy, nie osłodzonej żadną przyjemnością.

Tak więc pierwsza siejba cywilizacyi w Afryce, równie jak w Indyach, niepomysłnie się udała; prawdopodobnie bogate te ziemie dopiero po zupełnem wykarczowaniu swych dawnych mieszkańców, wydadzą obfite dla zdobywców owoce: Arabowie ani Indianie kosztować ich nie będą.

Znany w uczonym świecie europejskim jako biegły orientalista, pan Alexander Chodźko, został mianowany professorem literatury słowiańskiej w Collège de France, na miejsce pana Cypryana Roberta, który z powodu braku słuchaczy podał się do dymissyi. Wykład swój rozpoczął pan Chodźko od grammatyki rosyjskiej, której naucza tłumacząc wyraz po wyrazie na język francuzki wiersze Pušzki.

— Pan Villemain ma wydać wkrótce dwa jedno-tomowe dzieła: „*Życie Chateaubrianda*“ i „*La Tribune moderne*.“ Tytuły obu zapowiedzianych książek mocno zaintrygowały tutejszą publiczność.

— Jules Janin wydał znowu w guście kolendowym lekką książeczkę pod napisem „*les Symphonies de l'hiver*.“ Jestto jakby drugi tom *des Petits bonheurs*, które rok temu zyskały wielkie powodzenie w Paryżu, a z których zdawałiśmy sprawę w swoim czasie. W książce tej opisuje autor motylcze życie wielkich pań i paniczów, których imiona przez zbytnią grzeczność uwieczniła historia francuzka. Wszystkie te różowe widma zeszłego wieku, wszystkie z tej epoki wspomnienia *de l'ancienne France galante*, przesuwa się tu jak w kalejdoskopie, którego kapryśne wzory ilustrowała biegła ręka Gavarniego.

— Bracia Firmin Didot, dwaj najpierwsi edytorowie paryzcy, wydają obecnie w jednej edycyi kilkadziesiąt to-

mów Pamiętników dotyczących historii francuzkiej. Zbiorowe to dzieło nosi ogólny tytuł „*Bibliothèque des Mémoires relatifs a l'Histoire de France.*“ Pierwsze już wydane tomy zawierają między innymi Pamiętniki: pani de Staal, Saint-Simona, Duclos'a, pani du Hausset garderobiany pani Poinpadour, barona de Besenval, Marmontel'a, pani Roland, pani Campan, pani Genlis, jenerała Dumouriez, księdza Firmonot spowiednika Ludwika XVI, księcia Montpensier i t. d.

— Dziennik *le Siècle* rozpoczął druk pośmiertnego romansu Eugeniusza Sue, pod napisem „*les Secrets des l'Oreiller.*“ Piérwsze fejetony są dość zajmujące.

— Pan Autran wydał poemat „*Miliana*“ gdzie opiewa zwycięztwa Francuzów w Algieryi. Książeczka ta znalazła tu wielu panegirystów, chociaż zdaniem naszym, muza nie dopisała autorowi wcale.

— Niemiecki baron Guldenstubbé wydał u księgarza Franck'a książkę pod napisem: „*La Réalité des Esprits et le phénomène merveilleux de leur écriture directe.*“ W dziele tém pan baron przytacza stwierdzone licznemi świadectwami nadnaturalne fenomena, obok których błędną cuda sławnego czarodzieja Hum'a. Szanowny autor i siostra jego, nie poprzestając na tajemniczej sile obracającej stoły, suwającej krzesła, wyrrywającej chustki i dzwonki, zmusili duchy, żeby już nie za pomocą nóg stołowych, ale własnoręcznie redagowały swoje relacye. Z początku wywołane cienie pisały tak niewyraźnie, że ledwie gdziegdzie na zapisanym hieroglifami papierze rozpoznać było można literę; ale strofowane za swą niedbałość, poprawiły się, i powoli doszły do tego, że nie tylko czytelnie, ale nowo-ortograficznie piszą.

Jeden z przyjaciół barona, który imieniem, nazwiskiem i herbem wiarogodność słów swoich przypieczętował, opowiada, iż pewnego wieczora będąc u Guldenstubb'a, prosił go żeby przywołał ducha zmarłej jego kochanki. Wezwany duch przybył, ale pisać nie chciał, tylko wyznaczył obu tym panom schadzkę na cmentarzu Saint-Denis, i zniknął. Następnej nocy baron z przyjacielem stawili się o naznaczonej godzinie w umówionem miejscu, i położyli na grobowcu zmarłej arkusz czystego papieru. Skoro modlitwa, którą obaj klęcząc na grobie mówili, ukończoną została, zna-





## POEZYJE.

Z LONGFELLOWA.

### I.

#### WĘDROWNE PTASTWO.

Noc na ziemię opadła,  
 Niby senne widziadła  
 Drżących drzewin kołyszą się cienie;  
 A na błoniach zroszonych,  
 W głązy gajów zielonych  
 Uroczyście osiadło milczenie:

Tylko w górze nademną,  
 Ponad ziemią tą ciemną  
 Szmer się jakiś przybliża zdaleka.  
 Ach! to z chłodu Północy,  
 Wśród gwiazdzistej tej nocy  
 Stado ptasząt wędrownych ucieka.  
 Słychać skrzydeł ich wianie,  
 Słychać, słychać piór drganie,  
 Jak przez ciche szybują powietrze:  
 I gwar głosów zmieszanych  
 Niby pieśni nieznanych  
 Co w jesiennym kołyszą się wietrze.

Marzycielu nieboże!  
 Innych dźwięków to może  
 Chór pod niebem Północy przemykał  
 I w gwiazd blasku promiennym  
 Brzmi nad światem tym sennym  
 Jako ptasich piosenek muzyka?

Dusze wieszczów goniące,  
 Gdzie jaśniejsze lśni słońce,  
 Płyną może na skrzydłach natchnienia?  
 Lot ich drżący ku górze  
 Gra w eterów lazurze  
 U jasnego wszechświatów sklepienia.

Dźwięk dopiero odbity,  
 O gwiazdziste błękity,  
 Spada ku nam jak echo niepewne:  
 Spada w rytmów muzyce,  
 Przez dum ziemskich tęsknicę  
 Tony piosnek, rozchodzą się rzewne.

## II.

## STRZAŁA I PIEŚŃ.

Raz wypuściłem strzałę w powietrze:  
 Szparko świsnęła w porannym wietrze,  
 Lecz wzrok mój bystry próżno ją goni:  
 Któż kiedy strzałę dościgił w pogoni?

Raz zanuciłem zwrotkę piosenki.  
 W świat popłynęły słodkie jej dźwięki,  
 Daremnie słucham, bo któż dosłyszcy  
 Echo piosenki przebrzmiałe w ciszy?

Wiele lat przeszło od tej godziny,  
 Strzałę odkryłem w krzaku dębiny,  
 A w przyjaciela piersi gorącej,  
 Znalazłem piosnkę moję niechcący!

## III.

## ŚPIEWACY.

Trzech wieszczów zesłał Bóg pospołu,  
 Na te wygnania biedną ziemię,  
 By za ich pieśnią ludzkie plemię,  
 Wzrok gdzieś podniosło z nad padole.

Jeden młodzieniec z jasnym okiem,  
 Na lirę struny napiął złote:

W zielonym gaju nad potokiem,  
Opiewał rajskich snów tęsknotę.

Drugi mąż blady, smętnej dumy,  
Stawał wśród ulic miejskich ciesni,  
Potężnym dźwiękiem brzmiącej pieśni  
Jak piorun ciche wstrząsał tłumy.

Trzeci był starzec siwowłoso,  
W świątyni Pańskiej pieśń swą śpiewał.  
Kiedy natchnienia święte głosy  
Organ, ze złotych ust wylewał.

Aż raz rozpoczął się sąd ludzi:  
W którym z nich święta iskra płonie,  
Gdy dźwięk ich pieśni w ludu łonie  
Niezdolnych uczuć echo budzi?

Ale Mistrz wielki rzekł: „Sędziowie!  
Wszystkich trzech braci ja posłałem,  
Ku objawianiu ducha w słowie,  
Każdemu inny udział dałem:  
Zachwycić, wzruszyć, wznieść ku górze,  
Oto potęgi trzy są tony!  
Czyj słuch ku prawdzie nastrojony  
Harmonią znajdzie w takim chórze.

*M. Ilnicka.*



## WIADOMOŚĆ

**O KASSULI, DAWNEJ MIARZE POLSKIEJ.**

Do najniepewniejszych zabytków przeszłości, jakie nam praojcowie nasi w puściźnie pozostawili, należą bez zaprzeczenia miary i wagi. Pozornie sądząc możnaby ztąd wnioskować, iż przedmiot ten był zbyt drobiazgowy, lub niegodzien badań; spojrzawszy jednak na układ całej siły narodu i jego obronę zaczawszy od XIII wieku, na owe *piechoty łanowe* lub *role wybranneckie*, na tyle praw najdawniejszych w Koronie i Litwie, bez wyjątku prawa Chełmińskiego i Magdeburgskiego, przekonywamy się, iż miary zwłaszcza gruntowe, były jedyną i najglówniejszą podstawą dawnej siły obronczej narodu. Dla tejtó ważności, już nad tym przedmiotem Czacki jeden z najpierwszych naszych badaczy troskliwie pracował; mimo jednak licznych usiłowań, przedsiębranych w dawnych i nowszych czasach: przez Solskiego, Ostrowskiego i w wzorowém dziele Kolberga, przedmiot ten jeszcze w wielu razach ulega dotąd licznym wątpliwościom, lub wcale żadnych nie przedstawia objaśnień. W pierwszym razie może tu służyć za dowód, iż tak często wspomianana w dawnych naszych dyplomatach miara gruntowa *mansus* nie jest dotąd ostatecznie ściśle oznaczoną i udowodnioną, czyli to była morga lub włóka. Podobnież ta ostatnia, dotąd często także bywa braną za toż samo, co dawne *łany* w naszym kraju; również miara gruntowa *passus* w ciągłym błędzie jest uważaną za krok. Żeby dowieść drugiego, dosyć przytoczyć, iż wszyscy nasi pisarze, zaczawszy od Solskiego z XVII wieku, milczą zupełnie o kassuli jako miarze polskiej. Prócz tego liczne spory, jakie przed kratkami sądowemi do dziś dnia zachodzą, co do niepewności miar zwłaszcza gruntowych, tem silniej wywołują potrzebę wyjaśnienia

wszelkich tego rodzaju wątpliwości. W tym to celu dorzucamy dziś naszą cegielkę w tém przekonaniu, że stanowczo rozwiązuje jedną niewiadomość dotąd zupełną. Gromadząc materiały do tomu VI dzieła mego, między innymi dostrzegłem w lustracyi Warszawy z r. 1564, zatém w najdawniejszej, iż przy opisie szczegółowym folwarku warszawskiego z tego roku, jest wzmianka o miarze *kassuli* w następującym urywku: „Jest przy Warszawie folwark nie mały przy samém mieście, rozdzielony na trzy pola; dwa pola leżą na dobrym gruncie, ale na trzecie pole piasku się uradza; ale go łatwo poprawić, bo gnoju w mieście dosyć. Pierwsze pole leży na końcu miasta za św. Krzyżem, na które się pospolicie wysiewa ozimiego żyta korcy 110, uradza się kóp 350, a czasem 400, czasem więcej. Drugie pole średnie, na które się wysiewa żyta na zimę korcy 130, uradza się wedle roku *kassul* 400, niegdy *kassul* 450, niegdy 500. Trzecie pole skoniczne, na które się wysiewa korcy 140, uradza się żyta kóp: jednego roku 300, drugiego 400, a trzeciego 350 wedle urodzaju, bo tam pole podlejsze.”

Po raz pierwszy natrafiwszy na taką miarę polską, szukałem naprzód objaśnień w naszych pisarzach, a nie mogąc z nich niczego dowiedzieć się, zmuszony zostałem posiłkować się, w dykeyonarzach obcych średniowiecznych. Skrócony słownik z Du Cange'a, Fresnego i Karpentaryusza (1) przedstawia nam pięć wyrazów podobnych: *cassola*, *cassula*, *cazeola*, *cazola*, *cazola*; które z tych będą zbliżały się do naszego przedmiotu, przytoczenie następujące wyjaśni.

*Cassula* podług tego źródła miała trojakić znaczenie: 1<sup>o</sup>, oznaczała długą z kapturem suknię używaną przez duchownych a podług tłumaczenia grammatyków Pollucyusza i Hezychusza musiała być pilśnianna lub welniana albo długimi włosami pokryta. W ogóle miała przyodziewać całe ubranie na duchownym. 2<sup>re</sup>, tak zwano naczynie duchowne, gdzie przechowywał się sakrament Ciała i Krwi Pańskiej dla chorych; 3<sup>cie</sup>, tak miano wano pęki lub wiązki np. siana, słomy i t. p.

*Cassola* oznaczała: 1<sup>o</sup>, małą brytwanę do smażenia; 2<sup>re</sup>, miarę zbożową; 3<sup>cie</sup>, jako zdrobniały rzeczownik od *cassia v. cassa*, co między 11 odcieniami, oznaczało także miarę zbożową lub do wina dla duchownych w regule św. Benedykta.

(1) Edycya Halska z r. 1772.

*Cazeola* była to mniejsza miara zbożowa, podług której dąniny średniowieczne odbicrały się. Jaka zaś była jej wielkość lub podział, nasz autor nie poucza nas.

*Cazola* oznaczała jakieś naczynie lub miarę zbożową, której wielkości znów nie objaśnia tenże kompilator.

*Caxola* miała toż samo znaczenie co *cassola*. We wszystkich tych odcieniach, spostrzegamy jeden główniejszy, że była to miara zbożowa, która w pękach uskuteczniała się; atoli wielkości jej ani podziału jakiegokolwiek, nigdzie nasz kompilator nie podaje.

W takim ubóstwie autorów średniowiecznych co do naszego przedmiotu, nader ważnym jest urywek z naszej lustracyi z r. 1564, powyżej przez nas przywiedziony; z niego bowiem możemy stanowczo objaśnić to, czego nam wszystkie dowody cudzoziemskie nie dostarczają. Analogia czyli podobieństwo myśli, głównie nam do tego rozwiązania posłuży: rozberzmy więc całość na części.

Mówiąc lustratorowie o folwarku warszawskim przytaczają, że na trzy gatunki pól, dwa w dobrym gruncie a trzecie liche; następnie donoszą w jakim stosunku produkeyę roczną z lat kilku można oznaczyć z tych trzech pól, aby dochód dla skarbu przybliżonym sposobem ustalić. W tym celu przywodzą, iż 1<sup>od</sup> na najlepszym gruncie wysiewało się korcy 110, uradzało się kóp od 350 do 400 a czasem więcej; 2<sup>re</sup> w średniej dobroci polu wysiewano żyta korcy 130. a uradzało się *kassul* od 400 do 500. W trzeciem zaś polu najlichszém, wysiewano korcy 140 a zbierało kóp od 300 do 400. W pierwszym i trzeciem polu lustratorowie co do urodzaju używają naszej miary kopą zwaną, tylko w drugim czyli średniem polu przytaczają miarę *kassula*. Porównyując jednak cyfry produkcyi żyta z trzech pól, widocznie przekonywamy się, że *kassula* była w tem miejscu braną zupełnie za kopę. Że tę produkeyę średniego pola podług naszego objaśnienia brali lustratorowie, dowodzi zaraz następna myśl szczegółowo poświęcona urodzajowi, jaki w r. 1563 nastąpił z tegoż samego pola. Dodają bowiem „Na tem polu średniem roku przeszłego wysiano było żyta na zimę korcy 130, urodziło się i dziesięcinę odprawiwszy kóp 458; dawała każda kopa pospolicie po dwa korce, uczyni korcy 916 miary warszawskiej. Na nasienie zostawiwszy na pole pierwsze korcy 110 zostanie korcy 806, każdy korzec szacując po dziesięć groszy facit złp. 268

gr. 20. Ale iż pan starosta nie sprzedaje tu przy brzegu żyta, ale je spuszcza do Gdańska, a 8 korey warszawskich czynią 9 gdańskich, może się tego żyta przemieżyć na gdańską miarę, korey 100, które może być sprzedane jako i insze. Tej summy może wynijść nieco na kosztta szkutne, ostatek, do skarbu może być dano."

Nie potrzebujemy zwracać tu uwagi, ile ten ustęp jest ważny także, co do porównywania miar gdańskich z warszawskimi w tak odległej przeszłości, sami bowiem czytelnicy łatwo tę ważną wiadomość osądzą.

W całej następnej lustracyi, tak z tego roku jako i z lat następnych, nigdzie spisujący nie wspominają tej miary kassuli, lecz zawsze kopy, przekonani będąc, że kopa albo kassula była tożsamością. Otóż więc mamy i wielkość tej miary, jej podział i użycie.

Nie przestając na tak dokładném oznaczeniu z tego źródła, śledziliśmy czyli w naszych Voluminach Legum nie natrafimy na tego rodzaju miarę. Dotąd jeden tylko ustęp wykryliśmy pod r. 1523, a to w procesie sądowym króla Zygmunta I, który to urywek przedstawia nam zarazem inne szczegóły o tej miarze. Sam przedmiot domaga się przytoczenia. Prawo dawne stanowiąc w swęj procedurze różne kary na przestępstwa, tak co do danin zbóż i siana wyraża się:

*Pro eo quia tu recepisti violenter decem cassulas foeni in prato ipsius haereditario villae N. laboris ipsius: quod foenum pensat sibi ad viginti grossos et totidem damni; judicialiter responsurus.*

Za to iż ty gwałtownie zabrałeś 10 kassul siana na łące jego dziedzicznej w wiosce N. przez niego uprawianej (które to siano on sobie szacuje na 20 groszy i tyleż za szkody) masz odpowiadać sądownie.

Autorowie cudzoziemscy, przytaczając tenże sam ustęp, biorą tu miarę *cassula* za pęk lub pęczek a nie za kopę. Że to jest zupełnie błędne wyjaśnić nam należy. Prawodawca nasz stanowi w tym przepisie, iż za 10 kassul siana, zaborca wypłaci jako zwrot wartości 20 groszy i tyleż kary. Opuszczając ostatnią, przypatrzmy się jaka wartość byłaby samego siana, gdyby kassulę brać tu za pęczek. Kiedy za 10 kassul siana ma zapłacić wartości 20 groszy, zatem wartość jednej kassuli wypada na 2 grosze ówczesne. Że zaś grosz z r. 1523 równał się dzisiejszym 14, zatem za jedną kassulę siana podług tłumaczenia autorów cudzoziemskich miał zapłacić 28 groszy dzisiejszych. Czyż po-

dobna przypuścić, ażeby w czasach, kiedy korzec żyta kosztował w r. 1564 groszy dziesięć, a dzisiejszych złp. 3 gr. 10, pęczek siana kosztował 2 grosze a dzisiejszych groszy 28, zwłaszcza że obecnie nawet po karczmach sprzedają go po 5 groszy. Takie niepodobieństwo zmusza nas do uznania, że w tym ustępie naszych praw, kassula jest brana za kopę, a nie za pęczek jak twierdzą autorowie cudzoziemscy. Kiedy więc kassula znaczy tu kopę, wypada zatem jej wartość dzisiejsza na groszy 28, co w porównaniu z ceną żyta z r. 1564 nie jest małą ilością. Wiemy bowiem, że kopa żyta daje przecięciowo  $1\frac{1}{2}$  korca ziarna; jeżeli więc jeden korzec żyta kosztował w r. 1564 dzisiejszych złp. 3 gr. 10, kassula żyta kosztowała dzisiejszych złp. 5, a kassula siana groszy 20, co jest prawdopodobnym z obecnym położeniem cen.

Czyli nasz pewnik że kassula była kopą utrzyma się, następne badania okażą. Tymczasem dla ogólnego dobra upraszamy wszystkich badaczy przeszłości, aby postrzeżenia i pewne wzmianki jakie o tej nieznannej miarze polskiej wynajdą, raczyli nadesłać redakcyi Biblioteki Warszawskiej, jako do ogniska, które po raz pierwszy w tym przedmiocie roztilo się (1).

Pisałem

w Warszawie, dnia 18 listopada 1857 r.

Alexander Wejnert.

(1) W chwili kiedy nasz urywek drukujemy, znaleźliśmy idąc za uprzejmą wskazówką uczonego naszego Alexandra Waclawa Maciejewskiego następujące o tej miarze w Statucie Wiślickim dowody, które w zupełności z wariantów tego kodeksu potwierdzają nasze powyższe mniemania (a) § 496 tit. *De poena pro frumentorum receptione solvenda*. Item pro una *cassula* (b) *cujuscunq[ue] grani in die recepta poenam judicio sex marcarum et damnum passo quidecem alias pietnadziesta recipiens solvere teneatur; si autem tempore nocturno id factum fuerit, tunc furtum esse decernimus et declaramus. Tit. *De aestivalibus vel hiemalibus receptis*. Item pro *cassula* aestivalium vel hiemalium decernimus, unam mensuram ratione violentiae dum recipitur ad currum, dum autem in ponderibus recipitur furtum esse declaramus, id ipsum ad receptionem foeni extendentes.*

(a) Statut Wiślicki wydania Jana W. Bandtkiego z r. 1831. Str. 87.

(b) Tamże w odsyłaczu: „copa pro cassula winnych wariantach Rodexu”.



## KRONIKA LITERACKA.

1. *Włoszanie z okolic Krakowa, skreślił Józef Mączyński z rycinami Michała Stachowicza, nakład i druk Józefa Czecha. 1858 r. W 12-ce str. 122.*
2. *Obrazki z obyczajów ludu wiejskiego przez Walerego Wielogłowskiego, członka Towarzystwa rolniczego krakowskiego. Wydanie 3 zawierające sześć obrazów razem zebranych. (Leniwy Bartek, Kuba jarmarczny, Franek pijanica, Wsiowi złodzieje, Grzeszni rodzice, Występne dzieci i Narada gromadzka). Kraków, w księgarni wydawnictwa dzieł katolickich naukowych i rolniczych, drukiem Karola Budweisera i spółki 1856 r. W 16-ce 400 str. z drzeworytami.*
3. *Obrazki z obyczajów domownictwa wiejskiego przez Walerego Wielogłowskiego, w Krakowie nakładem księgarni i wydawnictwa dzieł katolickich naukowych i rolniczych 1857 r. W 16-ce 223 stron.*
4. *Obrazek oderwany przez W. W. Wielogłowskiego. (Pisarz prowontowy, Lokaj, Panna służąca, Garderobiana i Pokojówka). Kraków czcionkami drukarni Czasu 1857 r. 93 stron.*
5. *Obrazek wiejskich rozkoszy (Żniwo dworskie) przez Walerego Wielogłowskiego. Kraków nakład i druk księgarni i wydawnictwa dzieł katolickich naukowych i rolniczych 1857 r. W 16-ce str. 94.*

Zanim ośmielimy się przedstawić głębsze nieco studia krytyczne w dziedzinie literatury, a szczególnie téż belletrystyki polskiej, rzucamy tu pobieżnie kilka uwag krytycznych o dziełkach leżących przed nami, traktujących bądź rzecz o ludzie wiejskim, bądź téż pisane dla ludu samego. Starać się będziemy rzecz prze-

prowadzić *sine ira et studio* w sposób, aby czytelnik sam ocenił ile autorowie obadwaj, będący nateraz przedmiotem niniejszego sprawozdania odpowiedzieli zadaniu swemu.

Baczny dostrzegacz może łatwo dojrzeć, że obecnie panuje gorączka, którą literacką zwać można. Zdawałoby się, że całe tężno ogółu w tę jedynie stronę zwróciło się i wszystkie żywotne spożywa w tym celu soki. Kto dawniej nie spojrział na książkę i wolał smaczne zajadać kąski po zaułkach i piwnicach, dziś skwapliwie ją czyta i sam przyznaje, że oprócz ostryg i szampana, są jeszcze smaczniejsze potrawy i napoje, a tém jest pokarm ożywczy dla ducha. Pociuszającym jest spojrzeć na wykaz pocztowy gazet i czasopismów, które nigdy nie marzone przez wydawców posiadają cyfry swoich prenumeratorów. Nie rzadko widzieć można nawet i za kassą w sklepie książkę jeśli już nie poważniejszej treści, jeśli nie Kraszewskiego lub Korzeniowskiego, bo i te dla ogółu mniej są przystępne ceną swą wygórowaną, a przez autorów tolerowaną dotąd, to przynajmniej Pojatę Bernatowicza lub Ursyna Jana z Tęczyna, które jako wyszłe z mody i tańsze, chętnych nabywców znajdują.

Już to nie nowina i zaszczyt niesłychany mieć w rodzie swym literata; nie ma teraz w życiu narodu krzesel senatorskich i kaszteleńskich, jest przynajmniej fotel autorski. Koło piszących z każdym dniem powiększa się. każda cząstka dawniej Polski, każda prowincja kraju sama porusza w sobie ruch umysłowy, tworzy czytelnie wspólne, wypędza preferansę z próżniaczego dotąd koła, i chętnie zabawia się rozmową mającą więcej treści i jądra, rozmową często bardzo pożyteczną. Z pociechą nieraz przychodzi słuchać uwag potocznie czynionych, dosłyszam tam niekiedy i pomysły trafne, pełne głębokości i praktyczności rozumnej: a przecież autorowie ich skromnie i cicho siedzą w swoim kółku, nie pyszniąc się i nie szukając z swych zdań chwały próżnej i oklasków, za które przed dziesiątkiem lat rzesiste od zdziwionych i oniemiałych słuchaczy dawane bywały.

Lecz przyznać trzeba, że przytém wszystkiém objawiła się inna gorączka którą *autoromania* nazwiemy, i która się téż w lichych utworach pseudo poetycznych, korespondencyach, jakie prawdziwém utrapieniem stają się dla redaktorów pism czasowych, nakoniec w słabych i bladych powieściach prawie chorobliwie objawiła.

Czy to jest dobrą wróżbą, czy z bujnego pola wyrastające kłosa wszystkie dojrzwały wydają lub wydadzą owoc, to czas i przyszłość okaże.

Kilka tych pobieżnych uwag nastęrczyło nam małe dziełko p. Józefa Mączyńskiego. Autor znany, a raczej imię jego; głównie też dotąd z opisu Krakowa wydanego pod tytułem *Pamiętki z Krakowa*, z kilku zajmujących opowiadań z przeszłości umieszczonych w fejtynie Czasu i obecnej publikacji. Co do *Pamiętki z Krakowa* już żywa polemika prowadzona w *Oświetniku naukowym* w Poznaniu w r. 1845 przez W. K. i J. J. jasno wykazała kto jest autorem owęj składowej pracy. Pan M. nie zaprzeczył temu, że najmniej 15 osób imiennie wyrażonych wzięło współdziałanie w dziełku tém, które pod każdym względem niżej stoi od *Opisu Krakowa* Ambrożego Grabowskiego tylekrotnie w kilku wydaniach powtórzonego. Publikacje w *Czasie* p. J. M. mają pewną wartość pod względem nieznanich faktów i wydarzeń, a które w większej jeszcze liczbie mają być w posiadaniu *familii* czy też p. Józefa Mączyńskiego.

Co się tyczy „*Włościan z okolic Krakowa*“ szczerze mówiąc *sine ulla ira*, z przykrém uczuciem bierzemy pióro do ręki aby kilka o nich powiedzieć słów. Nie będziemy wchodzić kto tam znów jest teraz autorem, czyli pisał sam p. J. M. czy imię jego jest znowu firmą, to dla nas jest zupełnie obojętną rzeczą; mamy tu bowiem na baczeniu rzecz, nie zaś okładkę kolorową.

Opis ten włościan zdradza tę samę dążność i cel w jakim dawniej pisano i wydawano pod tąż firmą dziełka, to jest powzięto myśl uklecenia czegoś, ułożenia w pewną pozorną całość i wydania tego dlatego, aby było wydrukowane, aby odświeżyć swe imię na Rok Pański 1858 i przypomnieć czytającej publiczności nakładcę, który oprócz kalendarzy, wydał *Pamiętkę z Krakowa* i *Zbieracza* i *Rozrywki umysłowe*, gotowe w licznych egzemplarzach na usługi nie kupujących czytelników i inne.

Czas byłoby już opatrzyć się, że książeczki takie nie dają sławy autorowi, ani też wydawcy korzyści, a publiczności użytku przynieść nie są w stanie. Wydawca powinienby się zapatrzyć na swego kolegę właściciela wydawnictwa *Dzieł katolickich* lub *Juliusza Wild*, lub też poznańskich, warszawskich albo wileńskich nakładców: jak *Żupańskiego*, *Nowoleckiego*, *Zawadzkiego*, *Senevalda*, *Merzbacha*, *Orgelbranda* i innych. Praca i owoce jęj — te tylko mogą uznanie uzyskać i podać w szacunek i poważanie imię wydawcy i autora, u czytającej publiczności i u narodu całego. *Czas* blichtru już przeszedł niepowrotnie.

Smutno powziąłby wyobrażenie o ludzkie z okolic Krakowa, ktoby chciał go nabrać z opisu p. J. M., widno dziełko całę doro-

bione zostało do kliszy pozostałych z rycin nieodżałowanego i nie-  
dość jeszcze cenionego Stachowicza, którego samorodny talent  
wyprowadził i pokierował, nasz nestor kapłaństwa, niezapomniany  
nigdy prymas i biskup krakowski, Paweł Woronicz.

Ryciny kolorowane Stachowicza domieszczone były przez  
Ambrożego Grabowskiego przy pierwszym jego wydaniu *Opisu  
Krakowa*, tam one były i przy następnych jeszcze właściwe wyda-  
niach, chociaż sam autor spostrzegł się, że już były spóźnione  
i zdaje się dlatego nie powtórzył ich w nowych edycjach. Co  
bądź, obrazki te nie przedstawiają bynajmniej ludu z okolic Kra-  
kowa, przynajmniej jakim jest teraz; czy są wierni przeszłości,  
tego rozwiązywać nie będziemy.

Były malowane obrazki, napisała się do nich książeczka,  
i według takowych zrobiony został podział krakowskich włościan,  
chociaż o tym podziale nikt w świecie a tém mniej w Krakowie  
nie słyszał. Występują tam *Ogrodniki*, mają to być włościanie  
z Czarnéj Wsi, Nowéj Wsi i Łobzowa; dalej *Prudczanie*, dalej  
*Podgórzanie* i tych nazwę autor nadaje wyłącznie na Podgórzu  
mieszkającym, które przecież jest miasteczkiem przy Krakowie za  
mostem wiślanym leżącym; dalej jeszcze wydobywa *Wolniczanów*  
lub *Kijaków*, to mają być także włościanie; dalej znowu *Skotnicz-  
anów*, którym każe skóry zdierać z koni, nakoniec *Światniczanie*.  
Dziwnie że autor tą metodą postępując nie nie wspomniał o *Wo-  
lanach*, *Chełmczanach*, *Bielanczykach*, *Kaszubach*, *Bronowiczaniech*,  
*Piaskowych* i t. p. jako mieszkających we wsiach Woli, Chełmku,  
Bielanach, Kaszowie, Bronowicach, Piaskach, i t. d.

Do jakich to niekonsekwencyi i w malutkich można dojść  
rzeczach, jeżeli się fałszywą postawi zasadę. Autor na początku  
pisze:

„Powiadają dzieje, że Kraków jeszcze w przed Chrystuso-  
wych czasach był miastem leżącym w pośrodku osiadłego ludem  
słowiańskim tak wielkiego ziemi płatu, na którym ani zbyteczny  
mróz uczuć nie zamrozi ani zbyteczny skwar, namiętności nie  
rozogni.”

Nie słyszeliśmy czy w ten sposób i gdzie to świadczą dzieje  
że na tym *wielkim płacie*, są zbyteczne skwary. O ile wiemy  
w Krakowie nikt nie doznaje jednego lub drugiego, bo ciepło  
rzadko dochodzi 30 stopni, a mróz jest już nadzwyczajnym, zale-  
dwo kilka-dniowym, jeżeli więcej nad 18 stopni sięgnie. Zatem,  
jest to temperatura umiarkowana.

„Ale śladu tej Słowiańszczyzny (mówi dalej autor) nie ma w Krakowa budowlaach, a mało wydatnym jest w mieszkańcach, bo dawne drewniane świątynie i mieszkalne budynki przemurowano na kościoły i domy, a mieszkańców charakter, zwyczaje, obyczaje i ubiór, zobczyły po większej części stosunki z innymi ludźmi, to obcy przybysze.”

Radzibyśmy wiedzieć o jakichto śladach Słowiańszczyzny chce mówić autor, i gdzie ich pragnie szukać; jeżeli mówi o wykopaliskach, wszakże ich dosyć w okolicach Krakowa, jeśli o podaniach z czasów słowiańskich, to jakież znaczenie będzie miało owe podanie o smoku lub mogile Wandy i Krakusa, albo też sobótki? Ale możemy usłyszeć odpowiedź, że smok to utwór bajeczny, bo wtenczas kiedy go struto, siarki nieznano, ale jeśli znano to palić się zatłona w brzuchu potwornym bez przystępu powietrza nie mogła; a co do mogił Wandy i Krakusa, to, że nie byli tymi Słowianami, o których chce mówić autor, ale to byli Wielko Chrobaci: a wreszcie badania najświeższe odkryły, że Wanda i Krakus panowali w Dalmacyi, a mogiły, to tak tylko innym wyasypano. Sobótki zaś, zaciemny przedmiot i zupełnie nie wyjaśniony, aby go w ślad Słowiańszczyzny tej, którą ma autor na myśli, można brać na seryo.

Będziemy więc tylko w wątpliwości jaką Słowiańszczyznę autor w swjej pracy traktuje. Wszakże zdaje się, że możnaby wnioskować z rozumowań autora, iż w jego wyobrażeniu Słowiańszczyzna było jakieś państwo jednolite, zapewne Morawskie, bo mówi: „tej różności powodem są zmienne koleje, na których przejście wskazały losy też plemiona, po rozpadnięciu się Słowiańszczyzny. Chrobatowie których jedną gałązką są włościanie z okolic Krakowa (!?) należeli do tych szczęśliwych plemion, co najdłużej pod własnymi byli rządami, co przeszli potem pod władzę innych Słowian, jak to Morawów i t. d.”

W badaniach swoich autor widno dalej zachodzi jak sam Lelewel, on bowiem rzucił myśl że szlachta pochodzi z Lechów, niezaprzeczając bynajmniej aby Lechowie i chłopci czyli włościanie nie mieli od Słowian pochodzić; autor zaś powiada nam, że włościanie krakowscy pochodzą od Chrobatów!

Zabawném jest co mówi p. J. M. o wadach tych Słowian-Chrobatów czyli włościan z Krakowa. „W spuściznie po swych przodkach odziedziczyli nietylko chwalebne przymioty ale też i wady, ich równie uwielbiane cnoty jak kary godne występki (!). Odziedziczonych z wiary bałwochwalstw, przesądów, gusel, obchodów, niezdo-

łała w nich wyniszczyć wiara chrześcijańska przez blisko dziesięć ubiegłych wieków. Jedne dotychczas przechowują się, drugie połączone z powstałymi na łonie chrześcijaństwa, tworzą w nich dziwną mieszaninę pogaństwa z chrześcijaństwem" (p. 3). Zaiste nie słyszeliśmy nigdzie, aby w krajach które się liczą do Słowiańszczyzny, coś podobnego istnieć jeszcze obecnie mogło.

Dalej na str. 4 i 5 dowiadujemy się, że między temi pogano-chrześcijańskimi potomkami Chrobotów zachodzą się *rasy* (sic), które jak autor mówi na stronie 5 w wierszu 8, „wszystkie te jak nazwałem *rasy*, żyją prawie w odosobnieniu; ludzie z nich nie przenoszą się (z tych ras) jedni do drugich, ani łączą związkami małżeńskimi.”

Autor zapomniał, że wyrazu *rasy*, używa się do zwierząt czworonożnych, jak koni, bydła i t. d.. mówimy bowiem ulepszo-na rasa, czystej rasy i t. d., a o ludziach wcale nie; jeżeli zaś tak sobie upodobał ten czworonożny wyraz, to już rasami prędkiej zwać można szczepy ludów różniące się zewnętrznemi oznakami w składzie i ustroju ciała, jak rasa mongolska, rasa indyjska i t. d., ale dziwnie to brzmi, użyty ten wyraz *rasy* do włościan zaściankowo żyjących, w pewnym kole swoim otoczonych i w niem krzewiących się tylko, do tych pogano-chrześcian.

Teraz przystępujemy, opuściwszy te niewydarzone okólniki o początku włościan krakowskich, do ich podziału, w którym nam ich autor raczył podać.

Widno, że p. J. M. nie zadał sobie żadnej pracy w poznaniu różnych jak nazywa *ras* ludu krakowskiego i mianuje ich ryczałtem Krakowiakami; nazwa o której dobrze wiemy, ale napróżno jej szukalibyśmy na miejscu. Do włościan liczy trudniących się ogrodnictwem *Krowodrzanów*, mieszkańców z Czarnej i Nowej Wsi i Łobzowa, a którzy ani obyczajami, ani czystą mową, nie mogą być do nich zaliczani; témbardziej że posiadają częstokroć bardzo wysokie wykształcenie. Trudno bowiem między nimi znaleźć, nie już gospodarza lub gospodynię ale dziewczynę służącą i parobczaka, jeżeli pochodzą z miejscowości, czytać, pisać i rachować nie umiejących; nie mało też znajduje się takich, którzy po kilka klas łacińskich a nawet gimnazjum całe ukończyli. Są to prawie, mieszczanie krakowscy niższego stopnia i za takich uważani przez gminę, gdy wsie ich leżą w obrębie wałów miasta i wszystkie ciężary ogólne miejskie ponoszą. Nie pijają oni bynajmniej albo rzadko wódkę, chodzą skrzętnie do kościołów kra-

kowskich, jak na *Piaszek* lub też do Maryackiego kościoła, należą do Bractw miejskich pilnując wszystkich nabożeństw i modlitw. Nie są więc oni włościanami w znaczeniu tém jak przywykliśmy je rozumieć, od których jeszcze strojem na pół miejskim t. j. kapotą, a kobiety jubkami i trzewikami i t. d. odróżniają się. To, co nam autor podał o ich zatrudnieniu, jest za nadto już znane, i zdziwiliśmy się, że tam nie zrobiono wzmianki jeszcze *po raz setny piérwszy o karczochach* zwanych ananasami krakowskiemi lub głąbikach (*lactuca cracoviensis*).

Inny podział znajdujemy na *Prądniczaków*, dalej na *Skalbmierzaków* i *Proszowiaków*, i na tém autor kończy idąc do Galicyi za Wisłę i przedstawia nam swoich *Kijaków*, *Skotniczanów*, *Świątniczaków*. Niedbałość ta zmusza nas do sprostowania i uzupełnienia rzeczy.

*Prądniczanie* a raczej mieszkańcy kilku wsi pod miastem położonych, znanych pod nazwą Białe, Czerwone, Duchackie, Bosackie i t. d. Prądnik, są to włościanie jak inni, trudniący się uprawą roli i posiadali już grunta od czasów *usamowolnienia* przeprowadzonego przez Komisją Włościańską za b. rzeczypospolitą krakowską, a z których bardzo mały czynsz płacili. Mieli swoje szkółki dukąd skrzętnie posyłali dzieci swe, a gdy położenie rzeki Prądnika jest bardzo przyjemne i Krakowianie prawie codzienne tam wycieczki lubią robić, włościanie korzyści nie małe każdej wiosny, lata lub pięknej jesieni odnoszą, sprzedając mleko, masło, ser i chleb swój sławny; którego wypiekiem nie wielu trudni się, gdy wyrobienie jego jest rodzinną tajemnicą. Chleb ten pieczony w dużych bochenkach odznacza się właściwym smakiem i trwałością, tak że w 10 dni i dłużej po wypieczeniu, można go z wielkim smakiem spożywać. Zakupują go też oprócz miejscowych głównie flisaki i oryle puszczający się z zbożem Wisłą, mieszkańcy podtatrzańscy na targi krakowskie z wyrobami swemi przybywający, a często bardzo za osobliwość przesyłany bywa w odległe strony kraju, gdzie kromka prądnickiego chleba może być miłym podarkiem, szczególnież też dla rodzimego Krakowiaka.

Autor mówi o *Skalbmierzakach* i *Proszowiakach*, którzy należą obecnie do królestwa Polskiego; jeśli więc już przeszedł granicę dawnego Okręgu, czemuż nie opisał mieszkańców z okolic Wisłicy, Miechowa, Olkusza, Jędrzejowa i t. d., a którzy, znowu zupełnie różny mają typ między sobą.

Wątpimy aby się trzymał dawnego podziału województwa krakowskiego, bo go bynajmniej nie wypełnił opisami.

Z zadziwieniem ujrzelismy w dziełku p. J. M. brak wszelkiej, nawet jakiej bądź wiadomości o obecnych stosunkach włościan, jak na nich wpłynęło uwłaszczenie, jak z noszą ciężary, jak przyjmują niechętnie narzucanych nauczycieli, i jak z wstrętem odmieniają w szkółkach dzieci ich *der, die, das, mein, meine, mein*, i t. p. Są to rzeczy nazbyt zajmujące, abyśmy ich nie mieli prawa wymagać od autora, jakiego bądź opisu włościan a szczególnież téż krakowskich, którzy *niezaprzeczenie* za wzór wszystkim włościanom polskim, mogą być stawieni. A ponieważ autor opuszcza rzecz tak ważną, a wdaje się w opisy wesela rzeczy znané już z wielu poprzednich i gruntownych opisów, jak Brodzińskiego, Golembiowskiego, Konopki i innych; dlatego musimy go wyręczyć i kilka słów powiedzieć w tym względzie.

W kilka lat po utworzeniu rzeczypospolitej krakowskiej ustanowioną została *Kommissya Włościańska* celem oczyszczania gruntów włościańskich we wszystkich dobrach narodowych, czyli do skarbu miasta Krakowa, z jakiego bądź tytułu naówczas należących, i w dobrach instytucyjowych t. j. będących własnością wyłączną miasta, klasztorów, szpitali i t. p. Kommissya ta wzięła się energicznie do czynności, tak iż w pierwszych latach 10ciu wszystkie dobra narodowe były oczyszczane, a w kilka lat później ogólne oczyszczanie zostało dopelnione. Włościanie grunta jakie posiadali, otrzymali na wieczną dzierżawę, a raczej na własność niepodzielną, mającą oddzielną tabelę z właściwym numerem, opisem i nazwiskiem posiadacza. Zasada była bardzo umiarkowana w opłatach, obszerność: *kmiecie* mieli po 30 morgów, 16 *zagrodnicy*, ośm do pięciu, *pół-zagrodnicy* i tych było téż najwięcej. Opłata czynszowa nadzwyczaj miernie wyrachowana, tak iż włościan na pięciu i sześciu morgach płacił wszystkiego skarbowi wraz z podatkami i innemi ciężarami kilkadziesiąt złp. Zachowane jednakże zostały niektóre służebności według układu obowiązanych z mającemi prawo, bądź w naturze, (i tak *osepy* w niektórych wsiach zsypywano), bądź téż w gotówce umówionej płacono. Z dóbr narodowych pozostałe dwory z gruntami wraz z prawem do propinacji, rząd odzielnie wypuszczał w tak zwane wieczyste dzierżawy czyli *erbpachty*; które na licytacyach sprzedawano, za ofiarowaniem jednorazowego wkupna wynoszącego kilka, kilkanaście lub kilkadziesiąt tysięcy złp., a oprócz tego płacono czynsz dzierżawny dochodzący  $\frac{1}{3}$  lub  $\frac{1}{4}$  części dawnego czynszu. Przy przejściu z rąk jednych do drugich, rząd wtedy jedynie miał prawo



odkupu, albo jeśli zatwierdzał układ, otrzymywał tytułem *laudemii* 2% od kapitału ceny szacunkowej. Tym sposobem rząd uwolnił się od administracyi lub wydzierżawień, otrzymał z dóbr narodowych znaczny kapitał i mógł bez uciążenia nadać stałe posiadanie ziemi włościanom. Nadto utworzyło się kilkanaście folwarków i posiadłości drobniejszych, (jak młynów i t. d.), które z czasem doszły wartości i ceny dóbr. I tak jeden np. folwark 200 przeszło morgowy bez lasu, tylko z prawem propinacyi, przy licytacyi sprzedany w r. 1821 za 15,000 złp., z czynszem rocznym 2,500 złp., później w 15 lat odprzedany przez nabywcę za 37,000 złp., a w 20 lat potem, ten sam folwark sprzedany został za 108,000 złp. W tym stosunku wszystkie własności gruntowe dworskie i włościańskie podniosły się.

Przy takim urządzeniu włościanin krakowski przyszedł do bytu zamożnego, trudniąc się skrzętnie rolą, sprzedając wyborne siana, szczególnież z okolic rzeki Rudawy i ponad Wisłą, sadząc kapustę, jarzyny i ziemniaki, uprawiając tytoń na swoją potrzebę lub sprzedaż, szczepiąc drzewa ogrodowe; tam zaś gdzie grunta były drobne i bliżej miasta, trudniono się dostarczaniem masła, mleka i śmietanki, albo też rzemiosłami. Ale i włościanie z dóbr prywatnych, w których podobnież zniesiono pańszczyznę, przez oczynszowanie, jak w hrabstwie tenczyńskim i innych, niemniej się dobrze mieli.—Tak więc nieznający ciężarów, nieznający co to jest wojsko i branka; mając łatwy pozbyt na produkta swe jakiegobądź rodzaju: włościanin krakowski przyszedł do stanu jakiego nigdy nie miał i o jakim nie marzył wcale: to też był poczciwy, religijny, posyłał chętnie dzieci swe do szkółek kosztem gmin utrzymywanych i przyszedł do oświaty, tak iż niejeden sięgnął imaginacją i chęciami wyżej; to kierował swego syna na księdza lub uczonego, to znów oddawał się na większą skalę przemysłowi i przychodził do niemałego majątku. I nie rzadkie wsie w Okręgu krakowskim w których włościanina stać było na 30,000 złp. gotówki, 50,000, a nawet 100,000 złp. Włościanin taki, był panem sobie i szanował sąsiada swego, cenił właściciela we dworze, którego po dawnemu wielmożnym panem nazywał, przychodząc często doń w gościnę; to po poradę, czasem też prosząc o pomoc w złej doli; to na chrzciny swego dziecka lub na zaślubiny krasnej dziewoi albo mlekiem i krwią rumieniejącego się parobczaka. Księdzu proboszczowi składał chętnie daniiny, dawał często na msze, wyprawiał suty pogrzeb zmarłym, ofiarując krowę dla *jegomości*, a modlił się gorąco do wizerunków

Pana Jezusa, N. Panny, i Świętych Pańskich, których ołtarze odnawiał lub podarkami ozdabiał. Dla włościan krakowskich było istny raj i takim go też poczytują mawiając: „*éj już pono nie będzie takich casów jak za wolnizny*” tojest za b. wolnego miasta Krakowa.

Otwarcie granic królestwa Polskiego i Pruss postawiło go w możności prowadzenia handlu niektórymi przedmiotami, jak orzechami, jajami, owocami, miodem i t. p., które daleko często większemi partjami wysyłał, albo też pod wysłane, na furmankę chętnie się najmował. Znali włościanie krakowscy swój los i wdzięczni byli za niego rządowi i miastu, które uważali za sprawcę szczęśnej doli; szczerze kochali go też, uważając za swoją drogą własność.

Największą przyjemnością było dla nich, *kiędy Pan Bóg dał święto*, ubrawszy się w strojne szaty, iść na odpust do P. Maryi w Krakowie, lub na Zwierzyniec albo też na Piasek (kościół XX. Karmelitów), który też w szczególniejszej był u nich adoracyi. Inne też okoliczne odpusta, jak w *Mogile, Alwerni*, w sąsiednich lub dalszych wsiach, były licznie odwiedzane od tego pobożnego i poczciwego ludu krakowskiego.

Do *Kalwaryi* pod Lanckoroną i na *Jasnogórę* często też bardzo, kompaniami mającemi na czele organistę z chorągwią lub umiejącego śpiewy kościelne starego włościanina, pobożne pielgrzymki odprawiali

Rok 1848 i dalej, schmurzył ten pogodny obraz bytu włościana krakowskiego. W pierwszym dotknięty ucierpiał na członkach swych rodzin, z których wielu już nie powróciło; później zaś ujrzał kres szczęścia swojego, gdy go uwłaszczono, kazawszy płacić podatki wynoszące w trójnasób wszystkie ich dawne opłaty; obłożywszy go nieznanemi mu pożyczkami, ofiarami, kommissyami, a w końcu, straszliwym dla niego poborem do wojska, któremu nawet w okolicach Chrzanowa, nieopatrzny, siłą w r. 1849 opierał się.

Włościanin obecnie nie rozumie władz, które doń po niemiecku piszą, mimo wyraźnego patentu cesarskiego polecającego korespondencye czynić władzom w takim języku, w jakim podania wniesione zostały; nie potrafi znaleźć się między niemi; nie wie do czego prowadzą jakieś narady co dwa tygodnie w powiatowych urzędach (Bezirksamtach) czynione: kłania się tylko nisko przed każdą czapką urzędową, ale tego wszystkiego nie rozumie, a podrapawszy się w głowę, oglądając się, półgłosem do sąsiada swe-

go przebąkanie: „kumie a kiejże to lichy, a cóż się to porobiło?” „A cóżto nierozumiecie sąsiedzie, a dyc to niemieckie rządy.” I na frasunek idą po pociechę do starszego w gromadzie swój i gwarzą sobie po cichu: „kój to dawne casy się podziały, gdzie było srebra dużo, a miemców i papierowych ich pieniędzy nieznałiżwa” (1).

Włościanie krakowscy mimo usiłowań urzędników finansowych a potem niektórych kadastralnych, zostali tém czém byli: do wojska oddają samych próżniaków i nie lubią tych co wracają z niego lub na urlop przychodzą i uważają ich za wyrodzonych; po dawnemu zaś czezą kościół Boży, szanują ks. proboszcza i wielmożnego pana, a podszeptom złym nie dają ucha, a nawet sami do sądu zaskarżają: jak tego były fakta w trybunale krakowskim na niewiele lat przed jego zniesieniem; gdzie gromady stawały w domu badań, udowodniając nierozważne słowa jednego z delegowanych mierniczych, który chcąc dowieść źle zrozumianej gorliwości swój, i przywiązanie okazać, obrał drogę po temu taką, jakiej używano w cyrkulach bocheńskim i tarnowskim, nim się okropnych z tegoż skutków doczekano, temu lat blisko dwa-naście!

Nie jednakowo wszakże uważać potrzeba włościan krakowskich i lud w okolicach mieszkający. Był dawniej Rzplitej krakowskiej stanowczo wpłynął na ludność pod jój władzą mieszkającą, jak to z rzutu oka przedstawionego przez nas, zauważać można. Włościanie Galicyi, mieszkający w graniczących cyrkulach bocheńskim i wadowickim, są zupełnie innego usposobienia: zaledwo osiedleni po nad Wisłą, mają coś odpowiedniego krakowskim i zbliżają się nieco do nich ukształceniem i zachowują dlań poważanie i sympatyę. Włościanie odległej o mil kilka położeni, nienawidzą Krakowiaków więcej jeszcze, jak swych panów niegdyś nienawidzili. Nienawiść ta, ma przyczynę w zawiści ich swobodnego bytu i czystego sumienia. Nadwiślańcy z wadowickiego mniej są niechętni, a będący bliżej Szląska więcej są pracowici. O Góralach nie możemy tu mówić jako o Krakowia-

(1) W Okręgu krakowskim jedynie była w obiegu moneta król. polskiego i krakowska, bita w niewielkiej ilości w r. 1835 za prezesostwa senatu Kaspra Wielogłowskiego, w skutku wniesionego przez niego projektu na sejm krakowski. Moneta ta jest bardzo rzadka obecnie, głównie wykupioną została przez żydów dla dobroci srebra; wszelako można jeszcze złotówki spotkać sprzedawano jako numizmaty. Mają herb Krakowa: z jednej strony napis 1 złoty i z drugiej r. 1835.

kach, tak jak to autor uczynił: bo w żadnym oni razie do ludu krakowskiego liczyć się nie mogą, chyba tylko dlatego, że do Krakowa z wyrobami stolarskimi, druciarskimi i śliwkami, przyjeżdżają na targi, kupując za to zboże lub kapustę dla siebie i sąsiadów swych osiadłych na drogich im werbach i poloninach. Lud to poczciwy, religijny, pracowity, kochający kraj, i lubiony téż od wszystkich i prawie wszędzie znany. Dr. Tripplin w swojej Wyieczce w Karpaty starannie ich opisał; z pracy jego zdaliśmy sprawę w zeszycie czerwcowym Biblioteki Warszawskiej r. z. (1).

Włościanie z królestwa Polskiego inny mają typ, i obecnie równo z właścicielami Krakowiakami mieszać się nie mogą. Stosunki wszelkie między nimi po zamknięciu granic ustaly, tamten stanął, ten wszechstronnie postąpił naprzód.

Włościan w okręgu krakowskim rozdzielić można na kilka kategorii, prócz blisko miasta mieszkających trudniących się dostawianiem nabiału, jak z Woli Justowskiej, Chelmu, Białan, Zwierzyńca, Łobzowa, Bronowic, Rząski, Piasków, Czyżyn i ogrodnictwem, o których już wiemy; są jeszcze mieszkający wzdłuż doliny Rudawy, począwszy od Czerny, Czatkowic, Krzeszowic, Tenczynka, Niegoszowic, Zabieżowa, Rudawy i innych poblizszych, niemniej zamieszkujący powyżej powieśla jak we wsiach, Morawica, Balice, Aleksandrowice, Kaszów; dalej znów, Babice, Lipsowice i t. d., niemniej w stronie komory Igołomii, od Mogiły, Ruszczy, Karniowa, Brianie i t. d. położonych; wszyscy ci trudnią się uprawą gruntu i przemysłem drobniejszym, sprzedając produkty na targach krakowskich; są to najzacniejsi ludzie, pracowici, religijni, dosyć oświeceni, mający wszędzie prawie szkółki. Od

(1) Musimy tu nawiasem sprostować rzucone zdanie przez sprawozdawcę Gazety Warszawskiej z zeszytu tego Biblioteki, jakobyśmy starali się *rehabilitować* pana Tripplina; nie mając udziału ani w jego pracach, ani nie znając go osobiście, nie mieliśmy potrzeby wdawania się w obronę jego, która do niego samego należy. Sprawozdanie wspomniane o podróży pana Tripplina było pisane wraz z innemi, w miesiącu styczniu r. 1857, zatem na trzy miesiące wprzód, zanim obudzona czujność Gazety Warszawskiej przez Dziennik Literacki we Lwowie wychodzący, tyle hałasu narobiła. Nie potępiając ani pana Tripplina, ani jego antagonistów, ośmielimy się tylko zapytać, czyli nie dawniej trochę wypadło rozpatrywać się w pracach zbyt płodnego autora i dawniej zwrócić uwagę jego na tak lekkie cenie publicznosci polskiej, a nie zapominając stanowiska i obowiązku dziennikarza, milczeniem, na wszystko pozwalając.

lesistych granic Królestwa we wsiach Kobylanach, Radwanowicach, Żbiku i innych, są mniej już pracowici, grunta ich zimne, dostarczają znaczny kontyngens kontrabandzistom, którzy przyuczeni do lekkiego zarobku, a ztąd i do zbytków, często oddają się występkom i niejaki odsetek produkują, zaludniający więzienia karne. Toż możnaby powiedzieć o niektórych wsiach położonych nad Wisłą naprzeciw Wadowieckiego; z tych ostatnich szczególnież téż z Czernichowa i innych, głównie wynajmują się za flisaków do spławu drzewa i zboża do Gdańska. Część lesista włościan od granic pruskich i górnicza, jest najpracowitsza i najwyżej wykształcona. Są to prawie mieszczanie dobrze się mający jak we wsiach Jaworzno, Niedzieliskach, Dąbrowie, Sierszy, Dębniku i t. d. W niektórych niedawno ubiegłych latach włościanie z tych okolic czytelnie własnym kosztem zakładali i utrzymywali dla użytku swych rodzin i sąsiadów.

Niepodobna nam wdawać się w bliższe opisy stosunków włościańskich, zwłaszcza że to można dokładnie uczynić, tylko na miejscu z datami w rękę; w oddaleniu zaś, nie mogliśmy przynieść, by nie sprostować błędne i niedokładne podania, o tym najzaczyniejszym i najucywilizowańszym ludzie polskim.

Turysta, ciekawy poznać dawne pamiątki polskie, zwiedzwszy stary gród Krakowa, niechaj w wycieczce swój czynionój bądź wśród uroczych okolic, bądź téż koleją żelazną do prześlicznych okolic Krzeszowie, Tenczyna lub Czerny, poświęci kilka chwil i chacie wiejskiej, a możemy go naprzód upewnić, że całą przyjemność odniesie w rozmowie z poczciwym, bogobojnym i pracowitym włościanem krakowskim.

Ale wracając się do autora musimy w końcu podziękować mu za kilka zarysów włościan znajdowania się ich w czasie wojennych utarczek; byłyby one jeszcze więcéj zajmujące, gdyby kompletniejsze i świeższe nieco podać autor nieomieszkał.

Co do śpiewek danych przy obrzędach a szczególnież téż z wesela wiejskiego, to wolimy je w całości przeczytać sobie choćby z powtórzeniem z szacownego dziełka pana Juliana Konopki „*Pieśni ludu Krakowskiego*” wydanych w Krakowie w r. 1840, nakładem i drukiem Józefa Czecha, z którego zostały od stronnicy 41 do 59 w skróceniu wyjęte, i w pół prozą opowiedziane. Wydawca wydaniem swém wspomnianej p. Juliana Konopki pracy, lepiej się dawniej umiał zasługiwać publiczności. Nie wiemy czy i w wydawnictwach Krakowskich kryzys jaka nastąpiła, ale z tego błędnego przypuszczenia wywodzi nas dziennik *Czas*, jego doda-

*tek literacki* i tyle uczonych i użytecznych prac, których wydawnictwa krakowskie dostarczają.

Mówiąc o Pieśniach ludu krakowskiego p. Jul. Konopki, żalujemy mocno, że nowój edycyi doczekać się nie możemy, a która-by uzupełniła dawną tém wszystkiém, co na bogatém tém polu pracowity i zacny autor zebrał. Wiemy o tém dobrze, że dużo wielkiej wartości tego rodzaju prac posiada w ukryciu; dlaczego ich nie publikuje, nie możemy sobie tego wytłumaczyć. Zbyttnia skromność autorska w tym razie jest ze szkodą dobra publicznego (1).

Tu byłoby również miejsce przypomnieć się spadkobiercom nieodżałowanego zasnój pamięci Dra Juliana Sawiczewskiego, który część życia wolną od prac swego zawodu, poświęcił umiejętnemu zbieraniu pieśni ludu krakowskiego. Wiemy, że straszny pożar krakowski cztery wielkie in folio tomy z muzyką, któreśmy sami oglądali, zniszczył; ale śp. Julian S. zebrał później jeden gruby tomik z pamięci, który niemniej wielkiej jest wartości. Dłuższe pozostawianie go w rękopisie, pozbawia kraj tak ważnej i kompletnej pracy, a nie zabezpiecza jej bynajmniej od zupełnej z czasem zraty.

\*     \*     \*

Teraz idziemy do prac pana Wielogłowskiego t. j. do pobieżnie przez niego szkicowanych *obrazków z obyczajów domownictwa wiejskiego, stosunków dworskich i t. d.*

O obrazkach z obyczajów ludu wiejskiego powiemy tu tylko pokrótce, tém bardziej, że przedmiot ten jako dawniejszy gdzieindziej już był traktowany obszerniej, i w samój Bibliotece naszej znalazł wspomnienie.

Jest tam sześć pojedynczych obrazków przedstawiających pojedyncze charaktery włościan i ich wady; zawiązanie i rozwiązanie intrygi bardzo iuteresująco oddane; widać że autor usiłował przejąc się swym przedmiotem i z całą siłą wyrzec wrażenie na włościan, dla których widno pracę swą przeznaczał. Wierzymy że trzeciej edycyi w krótkim doczekać się mógł czasie. Autor powszechnego doznał uznania odbierając liczne zamówienia od

(1) Niektóre z zbiorku jego pieśni ludowych i z innych doczekały się tłumaczenia na język czeski wydanego w Pradze czeskiej przez Wacława Hanke pod tytułem: *Krakowiaky, polské národne spěvky, půwadné i w českém překlade, w Praze nákladem překladečowým 1851.* (2 edycya).

właścicieli ziemskich i księży proboszczy, którzy też szczególnie *leniwca Bartka* rozkupowali, i w zamian za uczynioną dedykacją obrazków swoich komitetowi C. K. Towarzystwa gospodarsko-rolniczego krakowskiego, otrzymał podziękowanie na czele dziełka umieszczone.

Co do nas oświadczamy, że nie są to bynajmniej obrazki z obyczajów ludu wiejskiego, ale pojedyncze wady i przywary wydarzające się dosyć i zbyt może często między ludem, wzięte za przedmiot wyszydzenia, aby oddziaływały na czytających.

Są one zanadto ogółowe, zanadto nie mające cechy miejscowej, aby sprawiedliwie zwać je można obrazkami wiejskimi. Pisano je na sposób bajeczek i powiastek dla dzieci, w których złe przedstawia się w wyraźnych, jaskrawych, odstraszających kolorach, aby tém mocniej raziły brzydotą i skażeniem swoim moralnym: pisane powiedzieliśmy dla dzieci, przez dzieci też wiejskie jak najskrzętniej powinny być czytowane, bo niezawodnie *leniwcy Bartek* i smutny koniec jego, może je od lenistwa odstrążyć. Lecz obrazki te jak są skrzętnie rzeźbowane, tak (powtarzamy raz jeszcze) nie mają żadnej cechy i charakterystyki obyczajów wiejskich.

Autor jest w błędzie, jeśli mniema, że lud może być tak niedorzecznie ograniczony i żeby między nim takie prototypy znajdować się mogły. I tak np. pan Bartłomiej wyidealizowany zapiecek, najwyższe zakłada swe szczęście w nieruchomości członków swoich na przyźbie w chacie lub w sąsięku stodoly. Lenistwo prawda, bywa między ludem zakorzenione, ale nie tak niedołączne i że tak powiemy niedorzeczne, jak autor je nam skreślił. Człowieka bez namiętności, bez żądź żadnych, bez życzeń jakichbądź, bez uśmiechu na widok jasnego słońca świecącego na zielone niwy i rolę, bez podziwu wszystkich piękności natury i przedmiotów otaczających go trudno jest, nawet na wsi znaleźć, chyba że autor chciał wyidealizować niedołączę!

Autor zdaje się pragnął przedstawić lud, wśród którego żyje i z niego jakby zbierał pierwowzory; lenistwo bywa częstym bardzo między ludem; ale protestujemy najmocniej, aby przedstawione typy mogły przedstawiać wady ludu okręgu krakowskiego, na który wywarło wpływ oczynszowanie, swobodny i dostatni był za b. rzeczypospolitęj krakowskiej. Ludu tego, pozwoli sobie autor powiedzieć, bynajmniej nie studyował, tylko z swęj młodości mgławę wyniółszy o nim wyobrażenia, takowe dopełnia ideami zaczerpniętymi w życiu miejskiem, a potem w ży-

ciu wiejsko-szlacheckim: pojęcia jego są tylko *a priori*. Takiegoż podobnie *Kuby jarmarcznego*, założymy się nawet z autorem, w całym ludzie krakowskim wiejskim nie znajdzie. Jestto jakiś *gamoń* (przepraszamy czytelników za to wyrażenie), coś posiadający z usposobienia pańskiego, który nie potrafi wyrobić sobie żadnego prostego i zdrowego sądu o ludziach i rzeczach; zostając ciągle pod wpływem nawyknienia, pozwala temuż nad sobą władać. Żyd, oszust wiejski, typ zbyt z powszedniały i więcej podobny do szachraja miejskiego, eksploatuje go bezprześcannie, wodzi za nos w sposób taki, że dziecko samo zdolnym byłoby na tém się poznać, ale nie *Kuba* posiadający własne gospodarstwo, konie, bydło i t. d. i trudniący się od młodości handlem po jarmarkach: widzi on wszystkie straty, na które go ów oszust naraża, laje go za takowe, a mimo to ciągle wchodzi z nim w konszachty i naraża się na utratę całego dobytku. Gdzież się więc podział ów sławny rozum chłopski, a który i najwięcej ograniczony chłop posiada.

Lud ma wady przyznajemy to, bo nigdyśmy w nim ideału nie widzieli; są one częstokroć w wysokim stopniu rozwinięte, ale bywają więcej powszechne, właściwe całej rasie (wyrażając się stylem pana Józefa M.), jak uosobione w jedném indywiduum. Jedną z głównych wad jego jest *nieufność*, bo zawsze i wszyscy zdaniem jego oszukują go; ścisły i zanadto wierny *konserwatyzm*, który nie dozwala mu odstąpić i na krok jeden od zwyczajów ojców swych. Jeżeli ojciec żył w chacie dymnej i bez komina, dlaczego i on podobnie w téjże chacie życia przepędzić nie ma; a odpowiedzią włościan zachęcającym ich do postępu bywa: „tak ta nasi ojcowie rabiali i nas nauczyli, my téż inaczej robić nie umiewa”. Jest dalej wadą *zbyteczna chciwość* zyskania dobytku, dla którego pozbywają się częstokroć najszlachetniejszych uczuć. Chłop posiadający rolę, rzadko kiedy kocha gorącą piersią krasną dziewoję i żeni się z nią, jeżeli mu ta gruntu, kilku krów, koralu i dostatek przyodziewy na wiano nie przynosi. Tymczasem nie rzadko znaleźć, można dwudziesto-kilkoletniego parobczaka krwią i mlekiem płynącego z *porządną* *familii* (bogatszej) ożenionego z kobietą, liczącą koło albo przeszło lat 40, z wdową już po drugim mężu, ale posiadającą grunt własny. Zdarzyło się nam widzieć wdowę *już po trzecim* mężu mającą obszerne grunta, duże gospodarstwo i *wiele grosza*, która po śmierci ostatniego męża młodszego od niej o lat 16 (sama bowiem liczyła lat 54) wybrała na 4go *za wolą i zgodą panów*



sąsiadów i krewnych, śwarnego i młodego parobczaka i po upłynionym terminie prawnym poślubiła go. Młody wieśniak nie krzywdzi sobie bynajmniej, bo przystając do bogatej wdowy, wchodzi w gospodarstwo i byt dobry; stając się gospodarzem, zyskuje znaczenie i poważanie w gromadzie i nikt mu nie powie, że sprzedał się. *Dziewka* nawet, chociażby ta, z którą on rad często rozmawiał pod kościołem po nabożeństwie, lub pod karczmą, rzeknie półgłosem do swój przyjaciółki: „ha juźci ta przystał do gdowy, bo mu tak ojcowie kazowali, cóz ta miał robić?”. Spekulacye małżeńskie, rachuby najbystrzejsze chociażby częstokroć przeciwne sumieniowi były, aby dojść w jakibądź sposób do kawałka roli, oto jest ogólne dążenie włościana: w niej on cel życia swego upatrzył, do niej wszystkie siły żywota obraca.

Obrazki ludu wiejskiego tak jak nam je przedstawił P. W., sąto domalowane kartony według planu, jaki sam nakreślił; może wiernie oddają błędy ogólne w ludzie wiejskim pojawiające się, ale nie posiadają w gruncie swym istotnej prawdy. Dzieci wiejskie jeżeli je czytywać będą, mogą skorzystać; ale w takim razie zawiele i zawczasie dużo rzeczy dowiedzieć się potrafią.

Starsi włościanie będą się śmiać czytając je lub słysząc czytane, bo każdy przypomni sobie podobnego temu, jakiego znał. W każdym więc razie sąto bajeczki prozą dyalogowane, ale nie obrazki ludu wiejskiego.

Język trafnie dosyć naśladowany, szczególnież téż u włościan mających *adukacyą*, co gdzieś dworsko służyli lub w mieście bywali; ale znajdujemy wyrazy wcale nieznanne nam z mowy ludowej, a które dopiero w drugim spotykamy autorze. W okolicach bowiem Krakowa i w ogóle znanych za krakowskie, nie słyszeliśmy wyrazu *po próźnicy* i nie wiemy co ma oznaczać. Pan Gregorowicz zbyt często kładzie go w usta swoich bohaterów; być może, że jest znany między ludem sandomierskim, kujawskim i na Mazurach, ale z ust włościana krakowskiego nigdy go nie słyszeliśmy.

Nie zaprzeczymy w końcu zabawy, a nawet i pożytku jakie obrazki p. W. przynieść mogą; ale mniemamy, że autor przy swoim znakomitym talencie nierównie więcej użytecznym być może w dalszych swych utworach, jeśli lepiej się wtajemniczy w lud sam, pozna istotne a nie ogólnikowe to jest katechizmowe, że tak się wyrazimy wady jego i grzechy (lenistwo, obżarstwo i t. d.), wady tkwiące w nim w gruncie, a które trują i nurtują wewnętrzne życie jego.

Z kolei przystępujemy do obrazków z *obyczajów domownictwa wiejskiego* przez autora poświęconych jako dowód *współczucia dla braci szlachty*, z Horacego dwuwierszem:

Beatus ille qui procul negotiis  
Paterna rura bobus — exercet suis.

które P. W. w takim tłumaczeniu podał:

Szczęśliwy kto dalekim jest od zgiełku świata  
A na zagonie ojców ledwo biedę łata (!)

W dedykacji téj i naiwném tłumaczeniu rzymskiego poety, autor zdradza nowy ton jaki przybrał t. j. ironią. Przyzna to każdy kto przeczyta książeczkę, gdzie pan i pani przedstawieni są jak owce, z której i krzak głogowy, i ostra skała, i poręcz przy moście, i ciernie z płotu, oset i pokrzywy, a w końcu i kundel wiejski co się zerwał z łańcucha, skubią i szarpia wełnę niemiłosiernie. Ironia ta, jest oznaką dobrego humoru autora, którym na żywości obrazki jego zyskują; nie zwrócilibyśmy na nią uwagi, gdyby się w najnowszej pracy, i to w sposób mniej stosowny, nie przedstawiła; o czém znowu pomówimy w swoim miejscu.

Obrazki te życie wiejskich oficyalistów i dworskich domowników malujące, wybornie przedstawiają gospodynię dworską, fernali i dziewczki folwarczne, jak podobnież i *Obrazek oderwany* wyszły oddzielnie w r. b., zajmuje doskonale scharakteryzowanie pisarza prowentowego, kucharza, lokaja, panny służącej, garderobianny i pokojowki; wszystkie te szkice są pełne humoru, dowcipu i trafności, powiedzielibyśmy nawet prawdy, gdyby nie były za jaskrawo przedstawione. Tu widno autor już z przedmiotem swym jest należycie obznajmiony, nie tworzy bynajmniej ideałów, ale je bierze żywcem z natury, nie pisze z żadną naprzd jakąbądź parcyalną tendencją, chcąc z umysłu obraz w mocnym przedstawić świetle, ale poprostu dagerotypuje je żywcem z życia dworu wiejskiego. Trudno nie uśmieć się czytając przewyborny obraz *pani gospodyni*, jak ona tam zabiegi czyni za swoim, goni za zarobkiem, z uszczerbkiem dobra pańskiego, jak zna dobrze swe podwładne dziewczki, wie która czém grzeszy.... i umie ich wad używać na pokrycie tego co chce, aby przed oczami państwa zakrytém było. Czytać te obrazki powinnyby wszyscy panowie i panie, a dużo porządek ich gospodarski i domowy zyskać może; nauczą się wybierać ludzi potrzebnych im do usług i wyręczania

w gospodarstwie. Autor tak starał się swe typy uwydatnić, że nie oszczędza nawet wyrazów z ust ich wydobywających się, które podслуchać tylko może pan lub pani, ale w oczach ich nigdy się nie wymkną. Tak ś....., ł....., łziesz mał., stul p... i t. p. przedziwne wytwory delikatnych usteczek gospodyń i urzędników wiejskich, które wprawdzie istnieją w istocie rzeczy, ale w piśmie jeśli już nie zupełnie opuszczone, jak to autor zrobił z innymi wyrazami tego rodzaju słownictwa, to przynajmniej zasługiwałyby na odkropkowanie; inaczéj w ręce czyste, białe i niewinne dawane, w gronie zaś przyzwoitém czytane społem i głośno, wcale być nie mogą.

Zabawna jest rozmowa pana inkwirującego gospodynią, z której ten ustęp dajemy:

*Pan.* Waćpani tu jesteś od tego abyś pilnowała, a więc ty mi odpowiesz. Ale cóżto, gdzież to ciele od holenderki?

*Gosp.* Odeszło, Jaśnie panie.

*Pan.* Jaktó odeszło?

*Gosp.* Tojest mówiąc, zdechło, Jaśnie Panie.

*Pan.* To być nie może, wszakże w zeszłym tygodniu było zdrowe; więc musieliście mu co zrobić?

*Gosp.* Oh, nie Jaśnie panie! cóżbyśmy mu zrobili? przecież jak Boga kocham, ani mu kto chciał co zrobić.

*Pan.* A więc cóż mu się stało?

*Gosp.* Nic, panie, tylko tak z dobrej woli zdechło—na to mówiąc jak byle co zdechnie. Tak się *breviter* rozpukło.

*Pan.* Więc go musieliście na konieczną puścić?

*Gosp.* O nigdy, Jaśnie panie, broń Boże, tylko co jeno pokosztowało, ale nie wiem czy zjadło jeden listek, albo dwa; mogą dziewczki zaświadczyć.

*Pan.* A więc zgodłem, żeście go próżniaki na konieczną puściły. Ale ja się oto nie pytam, szkoda z waszego niedbalstwa pochodząca, musi mi być wynagrodzoną.

*Gosp.* Ja nie mogę proszę JP. być za to w odpowiedzi, że jedno ciele albo drugie lub trzecie nie wydarzy się. Jemu, co prawdę powiem, to kazałam pięknie skórki rozciągnąć i wiszą tam na strychu, co nawet żyd za nie obiecywał po 4 złp., a ja chciałam po pięć.

*Pan.* Jakie skórki, to więc nie na jednym konie, i więcéj zdechło?

*Gosp.* Na to mówiąc prawda JP., bo i więcéj; ale co nawet ostatnie, bo kazałam dorznąć i śliczne było z niego mięso dla cze-

ladzi, co i nawet z tego jest *profit* bo się nie brało od rzeźnika ale cały tydzień ludziom dawało.

*Pan.* Ah, cóż to za ludzie, co za ludzie!! To głowę sobie urwać!!

*Gosp.* Oh, prawda J. P. że i ja sobie głowy nie urwę i le-dwie się gdzie nie zapodzieję z taką czeladzią. Gadaj: nie słucha-ją, weź na to mówiąc za łeb?... nie pomoże. Sama na to apren-duję.

*Margośka* (dziewka). Cóż ma pani na czeladź składać, kiedy sama kazała puścić na koniczynę, aby się przy domu pasły, a pasterkę wysłała pani za zwoim interesem. Nie byłabym ja nic, panie (kłaniając się) tego Wmu Panu gadała, gdyby pani gospo-dyni nie była wyrzekła na czeladź; ale kiedy tak, to całą prawdę w oczy wypowiem.

*Gosp.* Nie prawda J. Panie: *łże mał.. przejęta*, z przeprosze-niem, a to przez złość na mnie o Franka co mu się wyszczerza, a ja na to niech Bóg broni, jaka jestem niecierpliwa.

*Pan.* Ale słowem z winy Wać Pani zdechły cieleta.

*Gosp.* Nie J. Panie. Niech J. Pan będzie łaskaw wysłuchać: oto ja poszłam zobaczyć czy afrykanki (1) nie zniosły jaja, i na to mówiąc, *aby kury także pomacać* (!); aże tu słyszę, że z przeprosze-niem J. Pana prosię kwiczy. Pobiegłam do chlewa i jakoś co prawda kwiczało, bo go *wieprzek* krzywdził, czyli oczywiście kasał; tak ja wołam na dziewczki, aby która przyszła, a Margośka jak zawsze było w końskiej stajni: więc wołam i wołam, a tu nic. Od razu gwałt!! przybiega pański stangret, co jest z górala i mówi: „cieleta się zatruty!” Ja co tchu lecę i odczytałam urok, bo nawet węgiel w szklance wody spłynął; ale nic nie pomogło i je-duo się wyciąga, a potem drugie i trzecie i przecież na trzech się skończyło, a myślałam że i tamte zdechną. Oh! łaska Boża praw-dziwie, że tamte zaraz obmyłam z uroku i kazałam je otrzyć, z przeproszeniem JW Pana o *chłopskie spod...* i zaraz im się ulży-ło. Tak więc było, a nie jako mówi ten próżniak, coby jeno z chłopami broiła.

*Margośka.* A to wszystko nieprawda jak pani gada, bo z prze-proszaniem Wiel. Pana (kłania się), nie z tego prosię kwiczało że go wieprzek jadł, tylko że trzoda była głodna; bo pani od chle-wa klucz gdzieś zadziała, a skóbla ani kłódki ukręcić nie mogła, bo się trzymał, choć go pani siekierą podwazała, i cały dzień świ-

(1) Kurki indyjskie.

nie nie jady, aż się kamieniem skóbel utracił, a klucz był wsu-  
kni co ją pani na niedzielę prała. Tak był!

*Gosp.* A łesz mał.. (z przeproszeniem JW. Pana) (a my zno-  
wu z przeproszeniem czytelników że te i tym podobne choć odkrop-  
kowane przez nas, wyrażenia przytaczamy).

*Margośka.* Kiedy mnie niewiara, to dziewczki powiedzą, bo  
i dotąd skóbla nie ma, tylko się patyczkiem drzwi podpiera.

*Pan.* Flon... jesteś mazgaj, a nie gospodyni, i podobno kró-  
tko z sobą skończemy.

*Gosp.* Bardzo ślicznie dziękuję JW. Panu, bardzo, owszem  
z tego jestem kontenta. Ani słowa nie mówię, kiedy tak mam być  
w takiej posponacyi. Przecież ja służyłam nie w jednym miejscu,  
ale może we czterech albo w pięciu i to jednego roku, a nie usly-  
szałam, ani razu takiego słowa, coby nawet w pomysłeniu u mnie  
nie było. Dość ja się naturbowałam jak mi wszystkie indyki zde-  
chły na korale, i gęsi zginęły, a kaczki *pies wyduślił, czyli rzec mam  
suka (!)* abym jeszcze o głupie cieleta miała taką turbacyę? U księ-  
dza dziekana gdzie byłam w obowiązku, to sześć krów i dwa wo-  
ły na koniczynie się rozpękły, a nie było ani jednej części takie-  
go hałasu, jak tu o takie *małoletnie cieleta*. I owszem z duszy  
serca, ja dziś mam miejsce... i jakie, cobym nawet lepszego nie-  
chciała, dzisiaj mię przyjęli.

*Pan.* Więc bardzo dobrze: pakuj się WaćPani, a ja dam zaraz  
furkę co odwiezie.

*Gosp.* A jakżeto *Wiel. Pan*by sobie żądał, żebym ja przed  
kwartałem odeszła? To nie byłoby ani z honorem pańskim, ani  
też ze służgi, abym się tak obces oddaliła. Przyjdzie mój rok, to  
i owszem: nie sprzeciwiam się *Wiel. Panu*.

*Pan.* Kiedy WPani masz dzisiaj miejsce, jak powiadasz, to  
nie na tém nie stracisz, a ja zyskam, że się jój wyzbędę.

*Gosp.* Dziśbym miała, gdybym chciała; ale oto się nie mó-  
wi, bo coś miałam rzec?... iżby nie było z honorem, abym powia-  
dam umykała się przed kwartałem.

*Pan.* Już ja do końca kwartału WPani zapłacę, a zaraz mi  
*fora ze dwora*.

*Gosp.* Na to nie mogę nawet przyzwolić bez urazy pańskiej,  
bo nie jestem tak jako inna z chłopskiego stanu, co nie ma nija-  
kiej ambicyi. Sługiwałam po dworach i to większych jak ten,  
a nigdzie mnie taki *interes* nie spotkał. I owszem pan hrabia kie-  
dy mnie czasem widział, com była młodszą za nieboszczykiem

mężem, a zawsze do mnie mówił: „dobry dzień, pani Wędzichowska, czy mąż pani już poszedł w pole?”

*Pan.* Już ja to ułożę bez krzywdy WPani, ale i z zabezpieczeniem mego dobra.”

Jak widzimy z podobnym humorem maluje nam pan W. wszystkie obrazki z domownictwa dworskiego, humor ten odbija się nietylko w komiczném i naturalném przedstawieniu charakterów, ale częstokroć w *wyrażeniach*, które właściwe są figurom i ich wykształceniu, które nam przedstawia. Wady ich, niedołęztwo, lub zła wola, dążąca ku zarobieniu nieprawego grosza z kosztem i z uszczerbkiem pańskiego dobra, są bardzo prawdziwie, może nawet zbyt prawdziwie odwzorowane. Mniemalibyśmy że takie typy były, że się rzecz tak dawniej miała; ale chcielibyśmy wierzyć i wierzymy, że jak z jednej strony panowie są rządniejsi, rozumniejsi, szczególnież téż w Galicyi po nieszczęsnym r. 1846 i po zniesieniu pańszczyzny; tak znowu sługi i oficjaliści dworscy po przerwaniu węzła między warstwą społeczeństwa wiejskiego a klasą wyższą; gdy los swój widzą wyłącznie w ręku pana, gdy oddzieleni są od wsi i obcy jej częstokroć, w nim tylko znają nietylko swego chlebobawcę, ale i swego naczelnika że się tak wyrazimy *partyi* (choć nienawidzimy wyrazu tego), swój interes w końcu w interesie pana jasno widzą. Drugą zaś partyą nieprzychylną tamtéj i mającą przeciwne interesa, zupełnie dworskim officyalistom obce, są gminy wiejskie. Zdawałoby się więc nam loicznie myśląc, że usposobienie dworskich i officyalistów jest więcej jak dawniej, panu nietylko już przychylne, ale i sympatyczniej z tymże związane.

Wyborny jest obrazek pana w stajni końskiej: pełno w nim prawdy i humoru i interesu dla zajmujących się gospodarstwem.

(Franek, Jędrak, Matus, Szymek, fornale i pan).

*Pan.* Czy konie zdrowe?

*Fr.* Zdrowe W. Panie, coby im tam było?

*Pan.* Ale jakieś chude!

*Jęd.* Albo się nie napracują dzień w dzień; co trzeba niemi doganiać? a jeszcze *okunom* wrzeszczy, że mało robią. Ściągnie się to szkapsko, ściągnie!

*Matus.* Co się niema ściągnąć?

*Szymek.* A owsa mało dają i to jeszcze nikły...

*Matus.* A siana na *percy* (na porcy) co dawniej w postronek zawiązał i zarzucił.

*Pan.* Przecież trzy garnce na konia to dosyć?

*Jędrək.* Byłoby tam może, jakby nie robiły, ale żgać tём od rana do nocy, to się bydlę uszarpie.

*Matus.* Co nie ma?!!

*Pan.* Ale cóż ta gniada kobyła, tak nogę ulżywa?

*Fran.* Ej, to tam nie, tylko że ją kowal zagwoździł.

*Pan.* I rozkuliście ją zaraz?

*Fr.* Nie rozkuwaliśmy jęj tam, bośmy myśleli, że jęj jako przejdzie.

*Pan.* Jakże hun...y, mieliście tak myśleć, kiedy ufnal w żywém mięsie... pęcina jęj spuchła... kopyta gorące... okoślawili mi klacz najlepszą, łaj....! Idź mi zaraz po kowala.

*Fr.* Kowala w domu co prawda to i nie ma, bo już tydzień pije: jak zaczął w niedzielę, tak dotąd bałamuci.

*Pan.* To posłać po drugiego na wieś.

*Fr.* Chyba tam po drugiego, to można.

*Pan.* A ten znów koń siwy, jakąż ma grudę?... w istocie ma grudę na zadnich nogach.

*Matus.* A mać tam pono grudę? W. Panie, ale cóż mu tam na to robić?

*Pan.* A wymywać i nasmarować tłuszczem z prochem.

*Matus.* Ja tam na to głupi W. Panie, trzeba posłać na trzecią wieś po chłopca co tём traktuje.

*Pan.* A ten bułany czegoż on na oko płacze?

*Szymek.* Tak z dobrej woli W. Panie, albo się tём ździebelkiem zażgał w oko. Nic mu tam na to nie będzie.

*Pan.* Wyprowadź go!... No... widzisz lotrze, iż mu oko biczem wybiles, znać pręgę przez łeb, aż powieka spuchła. At galganie, jakież ty masz sumienie, aby biednemu stworzeniu krzywdę czynić.

*Szym.* Jeno tylko com śmignął na niego, bo marszyna nijak nie chciała cofać, i tak się go tam zawadziło samym koniuszkiem bicza.

*Pan.* Tak jest, węzłem w sam środek oka!! Oh galgany, galgany. Będzie w wieczór o to rozprawa. (Była w istocie i bardzo tragiczna, na zasadzie *prawa karności domowej*, jak się autor tłumaczy z tego epizodu zbyt dramatycznego, który w całej formie odbył się na scenie w oczach widza..).

*Szym.* Ej W. Panie. Ma się tam *Jaśnie Pan* na nas złościć albo sobie krzywdować, to wolimy podziękować za służbę W. Panu i odejść przed kwartałem kaj indziej na służbę, bo co prawda to i wicht (żywność) kiepski i chleb mały, ta gospodyni

piecze, co się człek nie obżywi, a i téż na czterech chłopów tylko jeden garnek, coby się takich i dwa zjadło... więc tam wolimy odejść.

*Pan.* Nie wolno wam jest przed kwartałem i to w czasie roboczym dziękować.

*Szy.* Na to tam nijakiego przyniewoliska nie ma.

*Pan.* Jest przepis rządowy, a jeśli go nie znacie, to go was w powiecie nauczą, ale *kijem!* Wszakże ja o was nie stoję i gdy się o innych postaram, to was chętnie uwolnię, byleście mi się ze wszystkiego wyrachowali i sprzęty oddali w porządku.

*Jęd.* Co o naczynie, na to mówiąc chomonta, uzdy i lice, to się rachować nie będziemy, bo się potargaly.

*Szy.* Ani téż o wozy odpowiadać nie będziemy, bo się potłakły pod kamieniami, co się wozilo taki ciężar.

*Matus.* Mnie się także pług urwał na kretowinie, cośmy nowiznę pokładali, a bronniaki to het powylatowały, co je złe kował upalił.

*Pan.* Wszystko się to sprawdzi i co się zużyło za to odpowiadać nie będziecie, ale co przez wasze niedbalstwo będzie zatracone, to się wam potraci.

*Szym.* Albo i zgrzebła, i to tych już od dawności nie ma.

*Pan.* Jaktol.. przecie przed miesiącem nowe sprawilem.

*Mat.* To dziewczki do krów wzięły, bo się tam przed dziewczką nigdzie nic nie skryje: wlezie lada kiój i zacapi.

*Pan.* Na później sprawa, a teraz, aby mi wszystko było w porządku według inwentarza, bo będę tego ściśle dochodził.

*Jędr.* My tam temu nie krzywi, choć czego nie ma.

Daléj następuje charakterystyczna rozmowa pana i pani z gospodynią, która pytającej się pani naiwnie tłumaczy i dowodzi jakto indyki na korale i gęsi znów na coś innego wyzdychały, a kaczki to pies burek wydusił.

Potém znów ciekawa scena jak się odprawia gospodyni, i jakie pan wydaje jój świadectwo:

*Wędzichowska.* JaśPan się téż zmiłuje nademną, a da mi jak najlepsze.

*Pan.* (Darowawszy jój straty z niedbalstwa i z kradzieży do 1000 złp. wynoszące). Zmiłowałem się już, bo Wpani do kryminału nie odesłałem. Ale wreszcie napiszę tak, aby tylko mądry zrozumiał.

*Węd.* Dobrze J. Panie (w książce u pana W. są wszyscy właściciele ziemscy Jasnemi panami. Dawniej w Polsce więcej było



mości panów jak Jaśnie panów i jakoś lepiej było jak dzisiaj przy niezliczonej liczbie ostatnich.

(Pan pisze) „Świadectwo”.

„M. J. pani Wędzichowska służyła u nas za gospodynią przez miesiący siedm i dni trzy, a wedle zasad St. Simona, Furiera i Prudhona, sprawowała się wiernie i zbyt pilnie. Chcąc zaś dalej tych teoryj próbować i one w zastosowanie bliższe wprowadzić, udaje się do innej gminy, które to sumienne świadectwo etc”.

*Pan.* Będzie tak dobrze?

*Węd.* Oh będzie *Jaśnie panie*, bardzo dobrze, bo mnie tam nikt o niewierność nie przekona, ani też co do pilności to się nigdzie nie powstydzę. Dziękuję ślicznie *Jaśnie państwu*.

Nie wiemy czy panu W. potrzeba było do zcharakteryzowania tego świadectwa, ale naszym zdaniem rys ten bynajmniej mu się nie udał, bo jeśli to ma być dowcip, otwarcie powiemy, że niewydarzony; jeśli zaś jaka krytyka tych myślicieli, to objawiona nie do rzeczy, trącająca niechrześcijańską złośliwością.

*Obrazek oderwany* maluje wybornie i z prawdą zakochanego pisarza prowentowego w pannie służącej, przedstawia także nieźle w tym *obrazku* pannę garderobianą i pokojówkę.

*Zabawną jest scena* tłustego kuchmistrza znającego sekreta panny służącej i umiejącego korzystać z nich przy wydawaniu artykułów różnych żywności i potrzebnych przypraw na stół pański. Jak tam kończy się na odprawie gospodyni, tak tu podobnie pisarza prowentowego, który z miasta w miejsce atramentu do znaczenia, przywozi jójmości emetyku i rumbarbarum; panna starsza odprawia się także, i kończy się weselem; autor pamiętny na zdrowie czytelników, oszczędza nam owę scenę stajenną. Kucharz żeni się z panną służącą i garderobianą Wikcią, a stary sługa Szymona z młodą pokojówką. Dziękujemy mu za tak szczęśliwe rozwiązania, ale nie zgodzimy się z nim na wprowadzanie do pism drukowanych, mających umoralnienie na celu, podobnie tragicznych epizodów (eksekucyi na fornalach) o jakiej wspomnieliśmy. Autor widno poszedł w ślady za panem Zygm. Kaczkowskim, który swoim bohaterom jak w Braciach ślubnych nielitościwie odliczać każe po 100 boćkowskich bizunów. Nie zazdrościmy im tak wysokiego uczucia estetycznego i głębokiego pojęcia obowiązku, który złamawszy, takiż expijacy z rąk hajduka daną

rezolutnie z całą pokorą skruchy poddają się!! Jestto zaiste godne bohaterów Troi i staréj Romy!

\* \* \*

*Obrazek wiejskich rozkoszy* jest ostatnim pióra P. W. W. na nowéj niwie, którą od lat kilku obrabia. Przedstawiać ma *Żniwa dworskie*.

Jak w poprzednich tak i w téj pracy nie możemy autorowi odmówić talentu, ogromnéj łatwości pióra, powiemy tylko, że częstokroć zaswobodnie bujać mu pozwala.

W piérszéj widzieliśmy autora z pojęciami, których nie wyrobił sobie o ludzie żyjąc z nim, ale przyszedł do niego już z danemi; złąd sąd jego fałszywy i zapatrywanie się nie mające cechy istotnéj prawdy; skutkiem czego obrazki jego nie są bynajmniej obrazami życia wiejskiego. W obrazkach z domownictwa dworskiego oprócz usterków przez nas wytkniętych, autor przeszedł sam siebie, charaktery, i choć zwyczajne sytuacye, jednakże silnie i żywo przedstawione. Widno że autor znał *dokładnie* subiekta, a znając je *con amore* malował. Malowidło to jego może się podobać.

W obrazkach znowu *wiejskich rozkoszy* nie widać ani znajomości, ani téż miłości przedmiotu jaką przy obrazkach domownictwa dworskiego objawił. Tu już od razu widno krzywe pojęcie, widno plan nakreślony z głowy, ale nie wyczerpany z życia i doświadczenia, wśród ludu, którego autor nie poznał, bo i w kilku latach zawodu swego agronomicznego, poznać nie miał czasu.

I tutaj w dyalogowaniu i szkicowaniu utworzonych figur zręczności odmówić autorowi nie można; zaprzeczamy jedynie, aby obrazek ten jego posiadał prawdę.

Odwołując się do tego cośmy wyżéj przy rozbiorze stosunków włościan krakowskich za b. Rzplitej powiedzieli, jak niemniéj do świadectwa wszystkich którzy stosunki te znając, mogli wdroidzić się w usposobienie włościanina, oświadczamy raz jeszcze, że autor w całym swém *żniwie dworskiém* zupełnie się rozminął z naturą. Przedewszystkiém wie wszystkie tworzą oddzielne gminy tak w Galicyi jak okręgu krakowskim, dwór zaś według woli należy do nich lub téż samoistnym zostaje, jak mu tego *ustawa* dozwala. Nie ma więc żadnego węzła między tém co p. W. nazywa dworem, a włościanami czyli gminą. Są to zwyczajni, w ściśłym słowa znaczeniu *sąsiedzi*, którym wolno żyć w przyjaźni lub w zwadzie, byle tylko nie łamali sobie karków, bo wtedy urząd gminny lub patrol żandarmów zrobi jaką interwencyą i rzecz się potoczy do

*Bezirksamtu.* Nie ma więc żadnych wzajemnych stosunków, nie ma zatém i wzajemnych obowiązków. We wsiach możnych włościanie bogatsi wynajmują uboższych po kilkunastu i kilkudziesiąt i dają czasem więcej jak w samym dworze, albo téż najemnicy, idąc za zbliżeniem się familijném wzajemnie sobie w pracy w polu, a szczególnież téż przy żniwie pomagają.

Ci co wynajmują drugich, są dla uboższych tém, czém był dawniej dwór, to jest pożyczają im pieniędzy na odrobek lub téż zboże i t. d., czy to robią w chrześcijańskiej myśli, czy téż w chęci zysku. Nie można się dziwić, że włościanin sam sobie najpierw zbierze, a potem sąsiadowi, którego jest swatem, kumem, bratem, przyjacielem. Ale przeczymy temu najmocniej, aby włościanie byli tak mało chciwi na *gotowy grosz* i dobrą zapłatę i na zarobek nie wyszli. Żyd znajdzie ludzi do żniwa na grunt, który od kogo wyszachrował, a wiemy w jakiej pogardzie u ludu jest służba i praca dla żyda; a czemużby pan, i to dobry pan, nie miał i nie mógł chętnych znaleźć ludzi do zbiorów. Jeśli płaci, jest uczciwym, nie prześladowuje włościan przy zajęciach i t. p. przypadkowych szkodach zwyczajnych na wsi, może być pewnym że jego nowi sąsiedzi wyjdą na żniwo, a *włodarz* jak u p. W. nie będzie potrzebował krzyczyć na wzgórzach na całe gardło (bo ten obyczaj zwoltywania na robotę już minął), lud zaś nie pójdzie na *ogranicę* i nie da zbożu porość na pniu.

Takie fakta nie zdarzają się w okręgu krakowskim, nie wiemy czy je kto nawet pamięta; w Galicyi mogły się trafiać nawet dość często w czasach zwłaszcza gdy stosunki wzajemne nie były uregulowane, a włościaninowi jeszcze brzmiały w uszach szatańskie podszepty nienawiści, zemsty i fałszywe zasady *komunizmu*.

Obrazki te więc jego nie mogą posiadać prawdy. O nią nam tu głównie idzie i to chcieliśmy wykazać.

Dodamy tu jeszcze, że charakter *pana* jest bardzo nieszczerliwie pomysłany, takiego bowiem trudno znaleźć w kraju, gdzie pańszczyzna zniesiona. Jeśli zaś byli jacy, już pewno dawno wyszli z swych własności zostawiając je na pastwę wierzytelom, brodatym i bezbrodnym. Cóż bowiem myśleć o gospodarzu, który w chwili żniwa, kiedy ziarno już prawie z kłosa, w skutku zupełnego dojrzenia lecieć poczyna, przypomina sobie, że czas zbiorów nadszedł, że trzeba poszukać ludzi do roboty; który w końcu, kiedy mu się nawet dworscy jego ludzie buntują, sprowadza górali i tym *każe kosą sieć* przejrzałe zboże; to chyba ten pan ani jego karbowy, żadnej idei o gospodarstwie nie mieli;

albo też chcieli, aby górale kosząc kosą, już rolę obsiali dojrzałą pszenicą na rok następny.

Lecz pomijając i te niedoskonałości ostatniej pracy P. W. nie możemy mu powinszować szkicu czterech panów wiejskich i księdza proboszcza. Scena ta ani prawdy nie posiada, ani wartości żadnej mieć nie może; jestto przeżuwanie dawno strawionych potraw. Na to autorowi, jak niemniej i na niezbyt szczęśliwie pomyslaną w miłości chrześcijańskiej dedykacją *przesadnym filantropom i humaniturzom (?) poświęca ex kollega*, odpowiemy słowami Virgilego (1):

*Sunt lacrymae rerum, et mentem mortalia tangunt*

*Solve metus; feret haec aliquam tibi fama salutem.*

Kazimierz Kalinka.

*Kilka filologicznych uwag nad dziełem Teodora Narbutta: „Dzieje Narodu Litewskiego” (\*).*

Z głębokim przekonaniem wyrzec możemy, że z pomiędzy tak nazwanych Indo-europejskich języków, litewski do dnia zachował w sobie najwięcej wyrazów i form grammatycznych, sięgających najodleglejszej starożytności, i że sam w sobie jest bogatszy od wszystkich razem wziętych słowiańskich narzeczy. Nie dziw przeto, że staje się przedmiotem badań najsłynniejszych współczesnych filologów.

(1) Aeneidos liber I, vers, 463—4.

(\*) Przy tym artykule otrzymaliśmy następną odezwę tegoż autora:

„Prawa zasadnicze filologii porównawczej, które tu w przypisku zamieszczamy:

„Filologia porównawcza odkryła i dowiodła następujące prawdy:

1. We wszystkich językach pierwiastki czyli jądra są jednozgłoskowe, a liczba ich jest ograniczoną (nie więcej nad pięćset). Pierwiastki po większej części wzięte są z natury, to jest utworzone przez naśladowanie naturalnych dźwięków; podobieństwo przeto pierwiastków nie dowodzi jeszcze pokrewieństwa języków. Pokrewieństwo języków (a zatem i narodów) dowodzimy tożsamością pierwiastków i jednakim ustrojem zdań, czyli jednakową grammatyką. Wyrazy otrzymują swoje zupełne znaczenie w zdaniu, i w rozmaitych językach tworzą się one rozmaitym sposobem z pierwiastków. W języku np. chińskim pierwiastki zawsze są nieodmienne, same w sobie czyli o sobie, nie wyrażają i w zdaniu do-

Rozbierając i porównyując uczonym sposobem narzecza słowiańskie i język litewski, dostrzegamy tę szczególną własność, zasługującą na uwagę ludzi myślących, że u Słowianina górował *wzrok*, u Litwina *sluch*; t. j. w słowiańskich narzeczach lubo dużo jest wyrazów oznaczających *ruch*, *światło*, stosunkowo jednak mało się znajduje takich, co oznaczają *dźwięki*. W litewskim zaś przy wielkiej liczbie wyrazów oznaczających *ruch*, *światło*, wyrazów naśladowujących dźwięki jest prawie nieskończona ilość. Najdelikatniejsze odcienia np. *trzasku*, *szelestu*, *szmeru* (i to takie, których ucho Słowianina nie jest w stanie uchwycić) Litwin dokładnie rozróżnia i dobitnie wyraża słowami. Można by to objaśnić wpływem miejscowości. Słowianie zwykle żyli po górach, po polach, ztąd *wzrok* bardziej się u nich rozwinął; Litwin zaś od wieków przebywający wśród odwiecznych puszczy i ciemnych lasów, *sluch* mógł udoskonalić do niewierzenia. Litwini mają wiele podań z odległej starożytności. Wedle pojęcia Litwinów, człowiek przebywając w raju, cały pokryty był rogową powłoką, i nie doznając przyjemnych

piéro otrzymują swo znaczenie, zawsze jednak pozostają niezmiennymi, jednozłogkowemi. W językach np. Indo-europejskich, dwa lub więcej pierwiastków mogą się zlewać w jeden wyraz i oddzielne wyrazy, same o sobie, mają pełne znaczenie np. *nauczy-ciel-owi*; wyraz ten bowiem składa się, jak widzimy, z trzech oddzielnych wyrazów: *nauczy-ć* (pierwiastek i jeszcze z przyimkiem *na*), *ciel* (przystawka oznaczająca osoby działające, pokrewna z łacińsk. *tor*) i *owi* (zakończenie trzeciego przypadku liczby pojedynczej rodzaju męskiego).

2. Rodzaj ludzki ze względu na język dzieli się na kilka gromad czyli plemion. Języki ludów należących do jednej gromady czyli plemienia składają całość organiczną, to jest mają też same pierwiastki i jednaki ustrój zdań, czyli jednakową grammatykę. Z tego powodu obrabiając uczonym sposobem jakikolwiek język, potrzeba koniecznie porównywać go ze wszystkimi pokrewnymi językami pod względem leksykologicznym i grammatycznym. A porównanie to powinno być historyczne, z upływem bowiem czasu w skutek rozmaitych przyczyn, i same wyrazy i ich znaczenia się zmieniają. Tak np. dzisiejszy niemiecki wyraz *Schatz* (czyt. *szac*) nie ma żadnego podobieństwa z słowiańskim *skot*, a przecież sąto wyrazy też same: gdyż z pierwotnego wyrazu *skat* (po gotsku *skatts*, po frizku *sket*, po duńsku *skat*) powstał staroniemiecki *scaz*, a z tego wyrodził się następnie dzisiejszy *Schatz* (*szac*).

3. Mieszkańcy Iranu i Hindostanu, Grecy, Rzymianie, Celty, Niemcy, Litwini i Słowianie składają ogromne tak zwane Indo-europejskie plemię. Zrobimy tu historyczną uwagę: w Hindostanie mieszkali pierwotnie ludy nie należące bynajmniej do tak zwanego Indo-europejskiego plemienia.

i nieprzyjemnych wrażeń, pędził błogie życie w świętej niewiadomości. Po upadku człowieka, zdjął Bóg z niego ową rogową powłokę, i człowiek stał się dostępnym dla wrażeń przyjemnych, lecz zarazem i dla cierpień wszelkiego rodzaju. Późnoście są to ostatki owej powłoki, stanowiące pamiątkę rajskiego pierwotnego bytu.

O mitologii litewskiej pisali ludzie nie mający żadnego pojęcia o języku litewskim; nawet p. Teodor Narbutt, autor monumentalnego dzieła: „Dzieje narodu litewskiego,” nie zupełnie wybiega z tej kategorii. Aby poprzeć to zdanie dowodami, zmuszeni jesteśmy wdać się w nudne i zrudne roztrząsanie dwóch lub trzech przykładów z dzieła p. Narbutta. *Wariti*, przez skrócenie *warit'*, *warit*, (pierwsza osoba czasu teraźniejszego trybu oznajmującego *warau*) znaczy: pędzić, treiben. Pan Narbutt znalazł w lichym i ubogim Słowniku Szirwida na stronie 224. „Pędzę—Ago pecora, etc. mino, agito—*Warau*,” i utworzył sobie (zamiast rzeczywiście *warit*), rozmaite tryby

Lud Aryjski wkroczył do Hindostanu i zawojowawszy kraje leżące pomiędzy górami Himalaja i Windja, w nich się rozsiedlił.

4. W językach Indo-europejskich są pewne stałe zmiany dźwięków. Tak np. głoska *h* w języku sanskryckim odpowiada głoska *z* w języku staroperskim i słowiańskim, głoska *ž* w litewskim. Np. sansk. *aham*, (ja), staropersk. *azem*, słowiańsk. *az*, *jaz ja*, litewsk. *asz* (właściwie *až*). Sansk. *vahāmi* (wiozę), staropersk. *vazami*, słow. *wezą*, *wiozę*, litewsk. *wezu*. W językach teutońskich czyli niemieckich istnieje tak zwane przesunięcie dźwięków (Lautverschiebung), w skutek którego głoski np. *h*, *d*, *z*, (w języku niem.) odpowiadają głoskom *k*, *t*, *d*, (w innych językach indo-europejskich) np. sansk. *dwi*, *tri*, (dwa, trzy), niem. *zwei*, *drei*; łacińsk. *calamus*, *culmus*, niem. *Halm*.

5. W językach indo-europejskich wyrazy powstają z pierwiastków za pomocą rozmaitych przystawek (suffixum); porównywając przeto wyrazy indo-europejskie, należy niezbędnie okazać w nich: pierwiastek czyli *jądro* i przystawkę.

Ma tedy filologia porównawcza pewne i niezmiennie zasady. I w samej rzeczy, jeżeli cały wszechświat jest, że tak powiemy, wcieloną matematyką, to dlaczegożby tylko w języku, w tym przejawie rozumnego i nieśmiertelnego ducha miała panować jakaś bezmyslna dowolność?

Prawdy te zasadnicze tém są w filologii, czém cztery działania w matematyce. I jeżeli każdy nieznający czterech arytmetycznych działań, nie powinien rozprawiać o matematyce, to i każdy nie mający pojęcia o wyżej pomienionych zasadniczych prawdach, nie powinien się wdawać w porównywanie wyrazów, a tém bardziej brać się za układanie słownika lub grammatyki jakiegobądź indo-europejskiego języka.

bezokoliczne, mianowicie: na stron. 360, tomu II *warikt*, ganiać bydło, paść,"—na stron. 478 tegoż tomu „*warikt*—ganiać, pędzić," i na stron. 81 tomu III „*warigt*—pędzić. wyganiać, jak trzodę na pastwisko, *warau*—pędzę, wyganiem (Słownik Szirwida na stron. 244)". W Słowniku Szirwida na stron. 371 wyrażono: „*Trapiciel—Afflictor—Wargūtojas. Trapię—Affligo, ango, vexo, crucio. Warginu*". P. Narbutt na stron. 81 tomu III pisze: „U nas w najstarożytniejszym znaczeniu języka litewskiego *warregus* znaczy trapiiciel, *Wargint*, albo *Warregt*, trapić, uciemniać (Słownik Szirwida str. 371)". Dla objaśnienia tedy wyrazu „*Warragi*" p. Narbutt z *wargintojas* robi „*warregus*" trapiiciel, i od znalezionej w Szirwidzie „*warginu*"—trapię, tworzy tryb bezokoliczny „*warregt*" obok rzeczywistego „*wargint*" i popiera to wszystko odwołaniem się (czy suniennem?) do Szirwida. Znany powszechnie statek wodny „*wicina*" po litewsku nazywa się „*witine*;"—kaczka zaś zowie się po litewsku: *antis. untis*. P. Narbutt na stron. 607 tomu III pisze: „*Wicina*, statek używany do splawu na Niennie, po litewsku *witynas* albo *Utinias*, pochodzi od *Utyna*—kaczka. przez podobieństwo". Litewski wyraz: *kropos, kruopos* znaczy: krupy, Grütze, wyraz zaś *mieżinis* znaczy: jęczmienny. P. Narbutt na stron. 278 tomu I pisze: „Litwini dawniejsi mieli jeszcze jeden napój, którego szczególnie używali kapłani, pleć żeńska i osoby chorowite; nazywał się *Miecionikas*, od *Mieciones*, krupa (Słownik Szirwida str. 116)". U Szirwida zaś na stron. 116 znajdujemy: *Krupa—Polenta, hordecifar—Kruopos mieżienes*". Z błędnie wydrukowanego wyrazu *mieżienes* zamiast *mieżines* t. j. jęczmienne, p. Narbutt pozwolił sobie utworzyć nietylko „*Mieciones*," lecz i dalszy wyraz „*Miecionikas*," i, nie zadowolając się swoją własną powagą, potwierdza jeszcze to wszystko powagą Szirwida! Niepodobną przytaczać wszystkich, nibyto litewskich wyrazów, Bóg wie na co i poco przez p. Narbutta pozmyślanych. Sądźmy, że i z tego cośmy przytoczyli, każdy łatwo przekonać się może, że p. Narbutt nietylko nie zaleca się znajomością języka narodu, którego tak obszerną napisał historią, lecz nadto przytacza niebywałe w litewskim języku wyrazy, legitymując je nie zawsze suniennem odwoływaniem się do Szirwida. Jeżeli tedy historyograf w XIX wieku piszący, mąż z gruntownym naukowym wykształceniem i znawca litewskiego języka, prawi nam niestworzone rzeczy; to cóż można pomyśleć o jego poprzednikach, którzy pisali o mitologii litewskiej, o języku litewskim, nie mając żadnego pojęcia? Miłujemy nad życie naukę

i prawdę; sędzimy przeto, że wypowiadając prawdę naukową, ze święcie poczutej potrzeby, nie obrażamy nikogo, i że p. Narbutta, którego tyloletnim trudem kierowała chęć prawdziwego zbadania litewskiej przeszłości, wziąć nam tego za złe nie może.

Ośmielamy się przytoczyć swoje domysły o prawdziwym brzmieniu kilku wyrazów z litewskiej mitologii, zapisanych u dawniejszych autorów i przytoczonych u p. Narbutta. Może te słabe początki dadzą pochop innym uczeńszym i zdolniejszym ludziom do wzięcia się gorliwiej do pracy.

1) *Patrimpas* życiodawca, „dawca pierwszych potrzeb człowieka”. W prusko-litewskiej mitologii było trzech wyższych bogów, t. j. *Perkun*, *Patrimp* i *Pikul*, którym zupełnie odpowiadają trzy wyższe istoty w mitologii Pomorzan, t. j. Słowian bałtyckich, a mianowicie: 1) *Perun*, 2) *Bielbóg*, *Swantowit*, *Swarożyc*, 3) *Czernobóg*. Nazwa *Patrimpas* pochodzi od sanskryckiego pierwiastku: *trip. trimp, triph, triumph* znaczącego 1) intransitive: nasycać się, radować się, satiar, saturari; exhilarari, gaudere. 2) transitive: nasycać, zadowolnić, saturare, satisfacere. Z rzeczonym sanskryckim pierwiastkiem są pokrewne greckie: *trephe*, hoduję i *terpe*—orzeźwian, rozweselan.

2) *Praurime*. P. Narbutta na stron. 38—39 tomu I przytacza następny wyjątek z rękopismu Piotra biskupa: „Znajduje się u nich (Litwinów) cześć fałszywej bogini, z rozmaitemi zabobonami uwielbianej, którą *Praurime* nazywają, na podobieństwo Westy albo Cybeli dawnego Rzymu. Przechybną dziewicą, nad ogniem przełożoną, dawczynią życia lud prosty nazywa. Ogień też jej poświęcają, za wieczny miany, ponieważ na świątecznym jej ołtarzu gore bezustannie. Również panny sprawujące obrządki kapłanic, są ku temu przeznaczone, które się nazywają *Praurime*; ich to ścisłym obowiązkiem jest: strzedz, aby ten ogień nie wygasił. Te dziewice dożgonne panieństwo zachowywać powinny; za złamanie którego, przepisy praw krajowych surową śmiercią karzą”. Wyrazy: *Praurime*, *Praurime*, oczywiście przekręcone (autor miał w pamięci łacińsk. *uro*—pałę, zapalam) i nie mogą być objaśnione z litewskiego języka. Łatwo domyślać się można, że wyrazy te brzmiały po litewsku: *prakurime* lub *prakurine*. Sanskrycki pierwiastek *kr* (czas teraźniejszy trybu oznajmującego: pojed. *karomi*, *karoshi*, *karoti*; mnog. *kurmas*, *kurutha*. *kurvanti*, tryb rozkaz. *kuru*—*fac*) znaczy: czynić, działać, *facere*, *agere*. Z tym pierwiastkiem pokrewne i nasze słowo: *wskórać*, *wskurać*. Litewskie słowo *kurti* znaczące: budować (t. j. robić domy, łodzie i t. p.); zapalać, niecić



(t. j. robić ogień) bauen, anziinden. Od tegoż pierwiastku pochodzą, bez wątpienia, wyrazy: *kuraj*, *kuri*, *kurszój* (Kurończyki, Kurlandczyki), z czego starożytni pisarze utworzyli *Chronus*, *Chrunus*, *Chronios* (Niemen), a także *Curche* (Kurkis) nazwisko bożka u Prusaków. Domyślać się można, że „Najprzedniejszy bóg—*Prokorymos*” u Strykowskiego, jest też sama istota co i *Plaurime* (Prakurime) u Piotra biskupa, a podobno i ów *Kurkiz* u Prusaków.

3) *wajsangtos*. Jestto bez wątpienia przekręcone litewskie: „*wajsiu gamintojas*,”—t. j. ten, co płodzi, rozmnaża, hoduje plody, owoce.

4) *Bezlea*, *Bezelea*—bogini wieczorna. *Brekszta*—bogini ciemności (wedle Łasicckiego). *Brekszta* lub *bezleja* przez skrócenie *be* z *lój* znaczy: już brzask, już zmrok, świta: zmrok pada, es tagt, es dämmert, es fängt an zu tagen, zu dämmern.

5) *Okkapirmas*, *Occupirno*. Wyraz ten oznacza: najpiérwszy, najprzedniejszy, i składa się z *pirmas* (piérwszy) i staropruskiego *ucka* (t. j. uka) Verstärkungspartikel, die den Adjectiven vorgesetzt diesen Superlativ-Bedeutung giebt. (Nesselmann: Die Sprache der alten Preussen, str. 88).

6) „*Alcis*. Olbrzym nadzwyczajnej siły, bohater bajeczny litewski”. (Dzieje star. narodu lit. t. I, str. 162). Wyraz sanskrycki *alka* znaczy: drzewo, ein Baum, a tree; gotski wyraz *alhs*, starosaksoń. *alah*, anglosaks. *ealh*, *alh* oznacza: święty gaj, świątynia. W języku łotewskim wyraz *elks* (drugi przypadek *elka*) znaczy: bożyszczce, Götze. W Litwie i na Zmójdzi znajdują się góry, które lud zowie *alka*—*katnas*. Na tych górach czy też kurhanach, wedle powieści, miały się odbywać jakieś obrządki pogańskie.

7) *Wejdelotas*. „Ofiarnik, kapłan niższego rzędu, sprawujący ofiary”. Znakomity historyograf pruski powiada, że nazwa *Wajdelotten* oznacza: „wissende Männer, Weissager, Seher”. W staropruskim języku jest pierwiastek *waid* (wiedzieć); od tego pierwiastku czyli jądra i przystawki (suffixum) *lis*, pochodzi wyraz *wajdlis*, forma pieczętliwa: *wajdlajtis*, *wajdlatis*: wieszcz, wróżek, czarodziej, znachor, po rusku: *вѣщій, вѣщунъ, вѣщунъ, волхвъ, знахарь*. Wyrazy tedy *wajdlatis* i *žinis*, *ženitis* (od *žinoti*—znać, wiedzieć) są zupełnie jednoznaczne.

Zakończymy tą uwagę. W dziele p. Narbutta w tomie III na stron. 223 czytamy: „Dzieje powiadają, że ci Czudo-Liwy mieli swoich sędziów, którzy wszelkie spory i przestępstwa

ludu sędzić byli powinni, oraz sami swemi rękoma wykonywali kary; zapewne dlatego, że mniej bacznego sędziego, lub uwiedzionego jakim powodem łatwo może fałszywy dać wyrok, lecz nie tak łatwo się odważy we krwi niewinnej ręce zbroczyć. Zwyczaj taki istniał u wielu ludów, a nawet i u nas samych; dlatego *oprawca* oznaczał po staropolsku sędziego. Z tego powodu nasze słowo *sądzić*, w staropruskim języku *sundintwei*, w łotewskim *sōdit*—znaczy: karać, karcieć, strafeń.

S. Mikucki.

### O KILKU NOWSZYCH ZBIORACH POEZYJ,

przez Bolesława Wiktora.

*Przez Felicyana, Kwiaty i Kolce. Warszawa. 1856 r.*

*Kartki z życia, zebrane przez Jerzego Laskarysa. Wilno. 1856 r.*

*Han-Akmet, powieść Kaukazka, Janczar, przez Ed. Stef. Machczyńskiego. Warszawa. 1857 r.*

*Z podań ludu i z obcej mowy, przez Jana Prusinowskiego. Warszawa. 1856 r.*

*Poezye mniejsze Fryderyka Krauza. Warszawa. 1858 r.*

Umilkli wielcy mistrze słowa, i tylko gdzieniegdzie wśród świstu lokomotyw, ezelestu kół parostatków, brzęku złota i czar rozkosznego użycia, odezwie się zamierające echo tych piewów przez usta wpeł namaszczonej ich zwolenników. Inaczej być nie może: wieszcz jest uosobieniem ducha czasu swego i narodu; dopóki zaś duch ten czołgać się będzie wśród wygodnych manowców używania, dopóki nie przepelni się pragmatyzmem i przecuciem innego życia, i nie skupi wszystkich żywiołów boskości w nich rozpierchniętych,—dopóty myśl jego nie wcieli się w pieśń nieśmiertelną. Materyalizm, ścierający ze wszystkiego ołowianą dłoń prozy motyle barwy marzenia, umiał i lutnię nastroić na swój ton, a mówiąc uświęconym dziś wyrażeniem, umiał ją zutilizować; stąd ceni on poezję, ale tylko taką, jaką z muzyką i rzeźbą upadającej Rzymu służyła, jak splugawiona niewolnica, do uidealizowania rozkoszy,—albo taką, która ślizgając się ponad myślą i uczuciem, zabawi, roz-

weseli, a może nawet zdolna będzie oddać wielką higieniczną przysługę,—dopomóż do normalnego trawienia. Mityczne to czasy, kiedy wieszcz miał posłannictwo wychowawcze względem społeczeństwa, kiedy był kapłanem serca i myśli: dziś łatwiej mu być kapłanem ciała.

Otóż więc zabieramy się do niewdzięcznej pracy, do pisania o nowych poetach, z przekonaniem: że jeśli nie wielu dziś czyta poezją, tem mniej jeszcze ciekawych, jaki sąd o niej krytyka wyda.

\*            \*            \*

*Kwiaty i kolce*, to ból i radość, nadzieja i zawód, marzenie i rzeczywistość: całe życie człowieka i poety zawarte w tych dwóch wyrazach. Czemuż autor nie pozostał wiernym tytułowi swych utworów, czemu namieszał trującego ziela i zgnilizny? bo jak nazwać wiersze z całą nagością Mussetowską malujące zmysłowość, a bardziej jeszcze z cynicznym szyderstwem Heinego obrzucające błotem to, co przed chwilą poeta ze czcią przenosił w najświętsze sfery ideału? Czy tak dalece wzór tego ateistycznego mistrza podziałał na autora, że ten za śladem swego germańskiego pierwowzoru, na nic swęj fantazyi niżąc perły, unyślnie dla efektu kałem je przekładał? Cieszylibyśmy się szczerze, gdybyśmy nie napotkali w tym zbiorze takich wierszy, jak: *Narcyz*, *Egle* i *Laura*, *Narodzenie miłości*, *Lilia biała*, *O gorącej miłości*, *Golizna*. Ironia życia i humor nie polegają na cynicznym malowaniu rzeczywistości, lub na przeskoku od wzniosłości do płaskości: bo jedno i drugie będzie świętokradztwem w poezyi. Poeta nawet wówczas gdy ujemne strony wyobraza, musi się utrzymać na górnym poziomie sztuki, aby nigdy nie zerwać tej tajemniczej nici, którą wiedzie słuchacza w świat fantastyczny; dlatego też humor prawdziwy nigdy nie będzie się tarzał w prochu wśród wrzawy ulicznej, lecz chwytając wyższym dowcipem uderzające sprzeczności ideałów i rzeczywistości,—nawet w ustępach na pozór krotofilnych potrafi głęboko wdrzeć się do duszy, i nie jedną myśl, niejedno uczucie i marzenie potrafi, ze snu zbudzi, i do jawu powoła.

Najczęściejświemi przedstawicielami tej *musae pedestris-simae* autora, są: *Kłopot*, *Panna młoda*, *Ikar* i *Nad kołyską*, w których jest humor nie bez myśli i uczucia na dnie, a granic smaku nie przekraczający.

Inny zupełnie rodzaj stanowią obrobienia podań ojczy-  
 stych lub starożytnych, tych ostatnich w formę romantyczną  
 na sposób Szyllera ujętych. To pobratanie klassycznej treści  
 z romantyczną szatą bardzo udało się autorowi w *Endymio-  
 nie* i *Zwycięzcy Hippodromu*, a nadewszystko w *Safonie ze skały*:  
 tu najkorzystniej przedstawia się plastyka słowa, to dążenie do  
 biegłego, jędrnego, strumieniem toczącego się oddania, w któ-  
 rem tak się kocha autor. To ukochanie strony zewnętrznej nie-  
 kiedy staje się manierą, i nadwiera równowagę formy i tre-  
 ści poetycznej, na czem właśnie harmonia i pogoda, na czem  
 klassyczność wrażenia polega. Za przykład tej ciemnej strony  
 plastycznego talentu autora służyć mogą: *Sprawa o królownę*,  
*Boj-Zabawa*, *Wiano królowej*, *Mieszko księżę*, w których usiłuje  
 się wrobić w krój i język dawny. Wszelkie podszywanie się  
 pod zamarłe formy sztuki, choćby było najudatniejszym, może  
 być tylko rozrywką, podziw obudzającą i świadczyć jedynie  
 o biegłości artysty, od którego przecieź ogół nie igraszki żąda,  
 ale obleczenia w słowo wypiastowanych w duszy narodu idea-  
 łów, które w samém życiu mają się oderwać. To ukochanie  
 strony zewnętrznej, ta maniera każe autorowi upodobywać naj-  
 rozmaitsze formy wiersza, czasem z rytmicznością języka nie-  
 zgodne (jak np. w *Boju-zabawie*), i poświęcać smak dla wyszu-  
 kanego rymu (np. *smakosz, wszakoż; zgoła, woła; skupi, głupi*).

Utwory liryczne stanowią trzeci i ostatni rodzaj, w któ-  
 rym, jako w najwłaściwszym sobie, występuje talent poety: tu  
 autor w czystych łzach boleści odnajduje pryzmat, tęczący  
 światło myśli i wrażeń, i roztacza całe bogactwo rozbudzałej fan-  
 tazyi, rozrzucającej swe wonne wieńce; ale to wszystko otoczo-  
 ne tęskną powłoką jakiegoś nienickienia, marazmu ducha, który,  
 jakby zamierając, w wyobraźni zdobywa harmonię konania.  
 Nadto w tém wszystkim jest jakaś monotonia, często nu-  
 żąca i mglista. Wszakże liryzm ten składa świadectwo święte-  
 go ognia, tlącego w duszy roztesknionego poety, który powi-  
 nien i może wydrzeć się z tej półsenności ducha, zapanować  
 nad nim jak dziś panuje nad formą, i przelać ten płomień w peł-  
 niejsze, rozleglejsze rozmiary, w którychby obok dążenia do po-  
 mysłowości w układzie, i inne strony talentu udział wzięły.

Z pomiędzy lirycznych wierszy odznaczają się: *Kwiat jas-  
 minu*, *Rozmaryn*, pociągające romantycznością myśli i wyraże-  
 nia; *Bojan-słowik*, który dramatycznie przedstawia potęgę pie-  
 smi; *Tęsknota do wiosny*, *Życie sen* i *Duch Boży*. Ale najwięcej

wdzięku prostoty, a nadewszystko tej świeżości, rzeźwości i zgody poety z sobą samym, które tak pragnęlibyśmy widzieć w liryce jego, posiada *Opętana od chochlika*: jak tu uchwycona żywo ta naiwność dziewczęcia, to budzenie się duszy, ta nieświadomość serca, na które po raz pierwszy pada światły i palący promień uczucia!

\* \* \*

Tę żywotność i moc słowa, jakich nie możemy się dopatrzeć w liryzmie autora *Kolców i kwiatów*, znajdujemy w niektórych *kartkach z życia* Jerzego Laskarysa, zwłaszcza w *Pieśni serca*, w *kilku urwanych myślach*, które pomimowolnie nastrajają duszę do tego stanu, w jakim znajdował się poeta w chwili tworzenia; bo tu panując nad przedmiotem, tym samym opanowując i czytelnika natchnieniem, czerpaniem w głębokim i silnym uczuciu, tym głównym źródle poetycznego tworzenia. Dowodem niech będą dwa ustępy:

Bo nie tak, nie tak serce przemawia,  
Jak ptaszek kwili ku wiosnie,  
Albo się błogo w szczęściu rozlżawia,  
Albo boleje żałośnie;  
Ale jak więzień, choć jątrzy rany,  
Targa się w szale rozpaczy,  
Podnosi pięści, wstrząsa kajdany,  
Przekleństwem ściga siepaczy!

Uczucie—piorun, iskra niebieska!  
A czarna chmura jej domem,  
I kiedy spada—to nie jak lezka,  
Zwiastuje przyjście swe gromem:  
Tak—gromem myśli i gromem słowa,  
Aż w głębi piersi zahuczy,  
Aż się rozpali pożarem głowa.  
Niemego mówić wyczuł!  
Gdy ci się serce z rozpaczy pęka,  
A życie—piekła obrazem,  
Wtenczas bij w struny! choć zadrży ręka,  
Pieśń będzie serca wyrazem.

Te urywki z *Pieśni serca* zbliżają się tokiem swym do dykcji Deotymy w niektórych jej utworach, gdzie napotykamy, jeśli tak rzec można, posągowość słowa, jakby odrazu w spiżowe formy odlanego: to też może najdobitniej tę *mocną stronę* swego talentu wyraziła w *Potędze słowa*.

Już nie przywodzimy nic z *kilku urwanych myśli*; wskażemy tylko między innymi na piękny pomysł poetyczny w tym dwuwierszu:

A śmiech ten będzie jak kwiat na grobie,  
Co w śmierci czerpie moc życia.

*Kartki z życia* zasługują często na zarzut przeciwny manierze, jaką przypisujemy *Kolcom i kwiatom*, t. j. na zarzut zaniedbania, jakiegoś *odniechcenia*, od czego nie strzegł się autor, ufny w swą łatwość i swobodę wersyfikacyi.

I tu znajdujemy humorystykę dosyć szczęśliwą w *Szkicach*, gdzie z dowcipem przeciwstawiony gruby materyalizm i poezya. *Podsluchana rozmowa* dwóch panien, zręcznie powtórzona, jest przecieź tylko igraszką poetyczną, której jako też *Listowi ze wsi do przyjaciela* zawiele zrobił autor zaszczytu, pomieszczając je w zbiorze swych kartek.

Próbkę opisowości napotykamy w wyjątkach, a raczej we wstępie do powiastki *Władysław*. Sądziiny jednak, że przed autorem *Kartek z życia*, postęp leży na drodze liryzmu.

\* \* \*

Bardziej młodzieńczą zdolność, z odleglejszą przyszłością przed sobą przedstawia twórca *Hana-Akmeta i Janczara*, do którego myśl wzięta z Lermontowa. Jak we wszystkich prawie pieśniach i podaniach kaukaskich, tak i w *Hanie Akmecie* dzika zemsta jest osnową poematu, którego treść nie łatwo da się uchwycić, z powodu: że autor niezawsze panując nad swoją żywą, czasem nawet ognistą imaginacją, i nad swobodą wierszowania, jednej i drugiej nieraz unieść się daje; ztąd wynika zbyt duża rozciągłość dykcyi, długie peryody, a w skutek tego niejasność. Kilka ustępów może dać bliższe wyobrażenie o dodatnich stronach, znakomicie przeciwważających ujemnie.

Jasny promień zawisł w górze,

I swe światło czyste

Na niebieskim zlał lazurze

W wstęgi płomieniste.

Lecz prócz ptastwa, co wędruje

Gdzieś w zamorskie kraje,

I prócz zwierza co koczuje

W górzyste rozstaje...

Wszystko zgoła skryto oku,

Nie nie widać zbliska,

Tylko w dali jakby w mroku

Jakiś cień połyska.

\* \* \*

Czasem gad zlekły napadem

Z swej kryjówki wytknie czoło,

I zatrutym plunie jadem.  
 Sowy w noc rzuciwszy nory,  
 Oko w oko patrzą trupom;  
 Do kamieni przyschłe zmory,  
 Przyglądają się swym lupom;  
 Stada kruków się przenoszą  
 Noc w noc z ciemnych puszczy Iranu,  
 I żerując chórem głoszą  
 Śmierć tak nagłą Katerganu.

\* \* \*

Ciemno jak na dnie morza, głucho jak w pustyni,  
 Straszno jak w końcu świata i dziko jak w górach:  
 Poważnie, uroczyście, jak z *rajskiej* świątyni  
 Majestat czarnoksiężki ukazał się w chmurach;  
 I zawładnął wierzchołkiem, co stoi ozdoba  
 I ojcem Araratu — a dumny z swej straży  
 Nie dał arce przymierza przepłynąć nad sobą,  
 Lecz wyniósł się nad potop i wstrzymał żeglarzy.

W obu tych powieściach jest życie, fantazya, koloryt nie-  
 raz bardzo wyrazisty i ogień zapалу, co wszystko, głównie  
 zaś wynalezienie poetyczne, ta najjawniejsza cecha twórczości,  
 zapowiada prawdziwego poeę, zwłaszcza, że obok takich we-  
 wnętrnych warunków, poprawność języka (przeciw której kil-  
 ka dostrzeżliśmy usterek), zwięzłość dykcji i jasność, pracą  
 i czuwaniem surowem nad sobą łatwo mogą być zdobyte.

\* \* \*

Takich nadziei na przyszłość nie możemy sobie wróżyć  
 z *Podania ludu i z obcej mowy*, ani z *Poezyi mniejszych*; pierwsze  
 bowiem obejmując dwudziestoletni prawie okres czasu (bo nie-  
 które z wierszy pochodzą z r. 1838), zawierają jedynie obro-  
 bienia podań i przekłady, jak to z samego tytułu widzieć się  
 daje; nie ma tu więc żadnego śladu samoistności. Gładkość  
 wiersza wszędzie niezaprzeczona; ależ to tylko świadectwo  
 wprawy i biegłości, a nie poetyczności wrodzonej duchowi pi-  
 szącego. Obrobienia podań całą swą wartość mogłyby jedynie  
 opierać na mistrzowskiem oddaniu, którego nie dostrzegamy,  
 a nawet i sama osnowa tych podań nie posiada w sobie nic  
 tak wydatnego, prócz *Dwóch upiorów* i *Podróży z tamtego świata*.  
 Najwięcej naturalności i zmysłu w odgadnięciu istoty podań  
 ludu dowiódł autor w obrazku obrzędowym *Swaty*. Przekłady  
 wszystkie prawie dokonane dosyć szczęśliwie.

\* \* \*

Bylibyśmy w wielkim kłopotcie, gdyby koniecznie trzeba było przywieść najpiękniejsze miejsce z *Poezyi mniejszych*, w roku przysłym, bo 1858 wydanych: musielibyśmy zawieść oczekiwanie, tak jak nie jednego później bibliografa zawiedzie data druku tych \*poezyj: w samej rzeczy niepodobna tu nie wskazać takiego, coby godne było przytoczenia. Gdzienigdzie błysnie światełko duchowe, ukaże się obrazek imaginacją na tle uczucia osnuty; ale to wszystko tonie w niewyrobionym języku poetycznym, w bezbarwności i rozwlekłości. Ani jeden ustęp, nietylko że nie pociągnie za sobą w świat marzenia, nietylko że nie da się pokochać i nie wpadnie w głąb duszy, ale nawet nie obudzi przelotnego zajęcia; zaledwie pierwsza połowa *Dwóch postaci* odznacza się od reszty utworów.

Z wiersza, oznaczonego r. 1855, dowiadujemy się, że autor wówczas już miał lat 43; ztąd wnioskować należy, że ten zbiór poezyi jest wyrazem najwyższego poziomu, do jakiego zdołał się podnieść: ma to więc być jego ostatnie słowo. W błogiem przeto złudzeniu o swoim talencie widocznie pozostawać musi. A jednak w samej rzeczy, bez złośliwości, w imieniu ogółu, możemy podziękować autorowi *Poezyi mniejszych*, że większych swoich utworów drukiem nie ogłosił: „utinam falsus sim vates!“

---

*Ulas.*—*Sielanka bojowa z błot poleskich przez Władysława Syrokomłę. Wilno. Nakład i druk T. Glücksberga. W 12-ce. Str. 86. r. 1858.*

Jednym z najnowszych utworów poetycznych jest *Ulas*, któremu z niewiadomych nam powodów dał Syrokomla nadpis *sielanki bojowej*. Nie wahamy się powiedzieć, że po *Dęborogu* ze wszystkich drobniejszych *Gawęd*, któremi rok rocznie zasiłali nas księgarze wileńscy, *Ulas* ma najwięcej wartości, jako opowieść poetyczna, w zaokrąglonej całości artystycznej, pełna prawdy i prostoty. Za godło wziął Syrokomla wybornie zastosowany ustęp z Zimorowicza sielanki „*Kozaczyzna*.“

„Usiadłszy na murawie pod wierzbnami w cieniu,  
Pogadajmy o naszym przeszłym utrapieniu,



Wszak i jaskółki skoro na wiosnę wylecą,  
 Bez przestanku się głośno witając szczebiecą,  
 Rachując wiele żywych, wiele zmarłych w wodzie;  
 Miło wspomnieć przypadki przeszłe na swobodzie.”

Na wstępie zapoznaje nas poeta z tą częścią ziemi dawnej  
 Rzeczypospolitej polskiej, w której mieści swoje opowieść.

„Smutny kraju Polesia! znajomyś mi nieco:  
 Mgliste twoje wspomnienia z dzieciństwa mi świecą:  
 Snują mi się niekiedy, jakby senne mary,  
 Nieprzemierzone okiem trzesawisk obszary,  
 Lasy gęste i ciemne, jak gdyby jaskinie;  
 Rzeka, co między łożą, a sitowiem płynie,  
 Uprzykrzonych owadów drużyna skrzydlata,  
 I zielony motylek co nad wodą lata,  
 I ta cisza powietrzna, rzadko przerywana  
 Ostrem krzykiem żórawia, klekotem bociana,  
 Albo pluskaniem czółna po spokojnej fali,  
 Kiedy rybak z węścierzem przemknie się w oddali.  
 Tajemny jakiś urok w mych oczach obwiewa:  
 Żółte Polesia piaski i ponure drzewa,  
 Czarne, podarte chatki na piasku lub mszarze,  
 Słomą kryte cerkiewki i wiejskie cmentarze,  
 Ozdobione jedliną lub sosną pochyłą  
 Gdzie sterczy mała chatka nad każdą mogiłą,  
 Gdzie w spokojnym tym dole pomieszal się społecm  
 Stary popiół pradziada z prawnuka popiołem.  
 Tu zasłonięci lasem i oblani wodą,  
 Z pokoleń w pokolenia ludzie wiek swój wiodą:  
 Żaden nowy obyczaj, żaden wymysł świeży,  
 Nie przemienił ich mowy, ni kształtów odzieży.  
 Żaden nowy duch wieku nie przyłożył ręki,  
 By zmienić bicie serca albo takt piosenki.  
 Jak przed wieki nosiły Słowiańskie narody,  
 Takie noszą sukmany, takie samo brody,  
 Takie same siekiery, którymi dąb wałą,  
 Takie same cerkiewki, w których Boga chwala,  
 Tak samo ich posila miód, jagła i ryba:  
 Nic tutaj nie przybyło, trochę nędzy chyba.

Po staremu lubią pieśni, stare podania, do których i nowe  
 przybywają. Zasłyszana powieść z *czasów jeszcze Francuza* (1812  
 r.): w Ulasie nasz poeta podaje.

Płynęła bystra rzeka, przez nią most rzucony, zbutwiały,  
 na palach chwiejący: do tego mostu wiodła grobla ciągnąca  
 się pół mili:

Wążka usłana chróstem, i pełna kałuży,  
 Z obu stron grzęzawisko, z obu stron las duży.

Na końcu mostu stała chata strzelecka. Była to jesień zimna, zmrok ciemny wieczoru: smutno na świecie, gdy nagle zabrzmiała wesola hulaszka piosnka myśliwska, i wysunęła się gromada z puszczy do dwudziestu myśliwych, co razem stanęli na moście: wszyscy żwawo po grobli śpieszą ku owej samotnej chacie. W okienkach jej błyska płomień kominowego ognia: przy nim na ławie siedział Ulas. Wzrost doniosły, czoło łyse, broda siwa: na mocnych barkach podarta siermięga, spięta sierścianym pasem ze grzbietu łosia; u pasa nóż myśliwski i niewielka torebka. Na ścianie wisi czapka barania, burka, torba borsucza, dwururna strzelba, i fiasza na lipowym lyku. Z bocznej komory ukazuje się śliczna postać szesnastoletniego dziewczęcia, jestto Oxena córka starego Ulasa. Gromada myśliwców wchodzi do jego chaty: Ulas poznaje w niej i swego pana, który żąda aby ich bezwzględnie zawiódł na *Czartowy-Ostrowo*. Daremne były prośby i przedstawienia starca, uległ woli pana, i wśród nocy powiódł cały zastęp szlachty w niedostępne knieje puszczy. Byłto czas smutny i straszny dla całego Polesia, czeready maruderów napadali dwory, rabowali i palili. Zniecierpliwiona szlachta porwała się do broni, pod dowództwem cześnika Beliny stanęła razem, i tento hufiec, obrawszy główne stanowisko w niedostępnym Czartowskim Ostrowiu, rozpoczął skrytą walkę z napastnikami. Przez most ów wiódł główny gościnniec, którego przemykali się *Dońce*. Gwiznęła jedna, druga kulka z bagna, z za krzaków: i kozak leży bez duszy. Nieraz gdy spocznie ich kilku na biwaku, zasięda wokół ognisko, spisy utkwia w ziemi: Bóg wie z kąd gromada szlachty napada, rozbija; zabięra zdobycz i stepowe konie i znika w puszczy, na miejscu walki przy zgasłym ognisku zostawując kilka trupów, i spisy połamane. Władza długo śledziła daremnie: żaden *władnik* dojść nie mógł gdzie się ten waleczny hufiec ukrywa, kto mu donosi żywności, prochu i kul (\*). W nim przebywał dziedzie wsi pobliskiej chaty Ulasa, Jan z Oczeretowa, młody i dorodny, pokochał piękną Oxenę, i był kochanym wzajemnie. Nie zważał na szyderstwa braci szlachty a towarzyszków broni. Hufiec szlachty wsparty dzielną pomocą Ulasa i jego dorodnej córki, przetrwał tak jesień; ale zbliżała się zima. Daremnie Oxena i stary strzelec ostrzegali o niebezpieczeństwie

(\*) Scenę w obozowisku szlachty na Czartowym-Ostrowiu podaliśmy w przeszłym zeszytzie na str. 222.

cześnika i jego towarzyszków: opuszczenie *Ostrowiu* odłożono na kilka dni później. Ostatniej nocy, nad przygaszonym ogniskiem smutnie pułacz zakwilił. Była to zła przepowiednia, przeczuł ją Baltazar Kapota, jeden z wydatniejszych postaci zbranej szlachty.

Ułás stary suchotnik, przy zbliżającej się zimie, złamany chorobą, nie może wyjść z chaty: Oxena go wyręcza, donosi żywności do Ostrowia, ale brak już prochu i kul, które dawniej kupował strzelec powalony na tapczanie. Nie było zkad dostać wieści o pułku kozackim, co się zbierał właśnie aby wytepić zastęp szlachty. Cześnik się niepokoił; szlachta głowę traciła. Baltazar Kapota niedowierzający nigdy chłopu, posądzał o zdradę Ułasa. A stary strzelec dogorywał, szarpany niepokojem o los pana i szlachty! Żyd arendarz, szpieg doskonały, powoli zwierzył, że Ułás wie kędy hufiec cześnika przebywa. Targ już zrobił po dukacie na głowę każdego szlachcica. Przybywa więc do chaty starca, obiecując podzielić się z nim zapłatą. Cnotliwy starzec dobywa resztę sił ostatnich, rzuca się na nikczemnika, a zbiwszy dobrze, jak psa wyrzuca do sieni. Żyd zapowiedział zemstę i dotrzymał, z kozakami i uradnikiem napada chatę strzelca. Uradnik nie żałuje harapa, kozak wstrzymuje jego rękę, wskazując że starzec już kona. Ale Ułás stworzył oczy, i pyta dlaczego go męczą? Ułásie, mówi doń łagodnie kozak, powiedz, gdzie kryje się gromada szlachty:

„Bo inaczej... rozumiesz łańcuchy i pletnie.”

— I bez tego za chwilę Bóg życie mi przetnie!

A tam dla grzesznej duszy sąd będzie łaskawszy,

Jeśli umrę przysięgi mojej nie złamawszy.

Jam przysięgał moim panom na Chrystusa rany,

Że tu wiecznie ich sekret będzie dochowany,

Że nie wydam nikomu, i za nic na świecie...

Czyż wy dla mojej duszy potępienia chcecie?

Nie! chociażby przyplacić życiem albo zdrowiem,

Ja wiem kryjówkę szlachty... ale wam nie powiem!

Żyd tryumfuje, że dobrze przyprowadził na ślad ściganych, i radzi, ażeby starego strzelca dobrze ochłostać i zmusić do wydania kryjówki szlachty; ale oburzony kozak odpędza podłego naszczekiwacza, pokazując mu, że już Ułás kończy. Jakoż wkrótce skonał, szeptaając stygnącemi ustami: „nie powiem! nie powiem!”:

„Kozak rozpiął czamarkę — z piersi odsłonił  
Zdjął swój krzyż miedziany w Kijowie święcony,

Włożył go w ręce starca—i rzekł głosem brata:  
 „Idź, duszo chrześcijańska w pokoju ze świata!  
 „Pocziwie żyć musiałeś, gdy konasz tak pięknie!”  
 Rzekł, i u nóg Ułasa pobożnie uklęknie.

Osierocona Oxena po rozpaczach nad zgonem ojca, przeczuła, że teraz stanowcza nadeszła chwila, ażeby co rychlej ostrzedz szlachtę o niebezpieczeństwie: żyd przebiegły przewidział to, i dlatego ostrzega dowódcę sotni, że w ślady jej skrycie pójdzie, drzewa naznaczy krędą, i tak doprowadzi do samego obozowiska, zastrzegając sobie po dukacie od głowy szlachcica, a dwa dukaty za cześnika.

Na *Czartowym-Ostrowiu* cześnik Belina zwoływa towarzyszy broni, gdy Oxena blada w rozpaczach pada mu do nóg bez siły, zaklina aby uchodzili, że ojciec jej umarł: gdy w tejże samej chwili zabrzmiały w okół okrzyki, i napadło kozactwo. Bitwa była krótka, szlachta w nieładzie; niewszystkie bronie nabite: kilku z nich padło trupem. *Jana z Oczertowa* związane i rzucono pod sosną: cześnik się dzielnie broni, ale przemożony i wzięty. Baltazar Kapota za panem stojąc w odwodzie, przyczaił się w leszczynę, odwiódł kurki z dubeltówki, i miarkuje gdzie wymierzyć. Nagle ujrzał Oxenę opartą o drzewo:

„Tyle dziś miała wrażeń, tak jej serce darto,  
 Ze pogląda na walkę żrenicą otwartą:  
 Twarz jej żółkła, zczerniała—już biedne nieboże  
 Ani się zarumienić, ni zblednąć nie może.”

Pewny, że ona naprowadziła kozaków, wycelował, rozległ się podwójny wystrzał i dziewczę padło martwe.

„Gdy ujrzał że kona:

„Panie cześniku! rzecze, już klęska zemszczona.”

Niedługą była jego radość, pchnięty piką kozacką padł obok zabitęj.

„Dońcy pieśń zaśpiewali na znak assawuly,  
 Kruki poczęły krakać, bo już żer poczuły,  
 W powietrzu czarne stado krąży gdyby fala.  
 A już tętent podkowy coraz się oddala,  
 Śpiewanie coraz głuchsze, jęk coraz ucicha:  
 Tylko sosna jak płaczka po umarłych wzdycha,  
 Tylko dąb kilku liśćmi żółtymi poruszy,  
 Jak gdyby mówił pacierz za spokój ich duszy:  
 Dzięki ci stary dębie za pacierz, za hymny.  
 Książd nie przyjdzie poświęcić ich mogiły zimnej,  
 Psalm za nich chyba w niebie odmówią anieli:  
 „Błogosławieni zmarli co w Panu zasnęli.”

Taka jest treść szczegółowa Ułasa, opowiedziana ze szczególnym wdziękiem i prostotą, które pokazują jakoby odżywny na nowo talent poetyczny Syrokomli. Jakże poważną i szanowną jest postać cześnika Beliny, silną i wyrazistą Baltazara Kapoty; najwydatniejszą przeciw z nich, górującą jest Ułasa sędziwego, który wierny przysiędze kona, niezdradziwszy tajemnicy. Obok niego stawil poeta uroczego wdzięku, ze szlachetnym poświęceniem młodą, szesnastoletnią Oxenę.

„Bieluchna lniana odzież i gorsecik siny,  
Uwydatniają kształty wysmukłej dziewczyny;  
Kruczy włos we dwa sploty po jej szyi spływa,  
Biała związana chusta jej głowę okrywa:  
Mały mosiężny krzyżyk błyszczy u jej łona,  
Jak serca dziewiczego od pokus obrona:  
To cały strój dziewczęcia—nie uderza w oczy,  
Lecz Bóg, co ubrał w barwę kwiat wodnej lotocy,  
Co w czerwonej kalinie blask rumieńca żarzy,  
Większy roztoczył urok po dziewczęj twarzy;  
Nauczył czarnobrewę a pełne jej oko,  
Jak do serca ludzkiego wpijać się głęboko,  
Po nad czołem rozwiesił jakąś rzewną chmurę,  
Na licach ogorzalych sam roztał purpurę,  
I kazał się w tej puszczy rozwinąć najprościej  
Najpiękniejszemu z kwiatków.”

Postacie *Jana z Oczertowa*, *Dońca*, co broni konającego Ułasa od katowni podłego żyda, są pełne prawdy.

W prostej tej opowieści niemało znajdujem ustępów prawdziwie poetycznych: do takich oprócz wielu, liczymy obrazek jesiennego wieczoru, którym zakończamy nasz przegląd:

„Padal jesienny wieczór—zciemniało wokół,  
Zimny był oddech niebios i pochmurne czoło:  
Z pomiędzy ciemnych sosen wychylały głowę  
Żółtym liściem okryte gałęzie klonowe;  
A jeszcze żółtsza brzoska z osiną czerwona,  
Zdawały się płomieńmi, co nad lasem płoną.  
Tęskno bywa w dni takie na duszy człowieka,  
Jak gdyby coś utracił, jakby czegoś czeka:  
Widząc, jak dogórywa natura powoli,  
Bolem trawki i listka to serce zaboli,  
Czoło jego pochmurne—a myśl ciężko płynie  
Jak te szare obłoki na niebios krainie.”

*Historya prawodawstw Słowiańskich, przez Wacława Alex. Maciejowskiego. Z rękopisów i druków zupełnie nowo zrobione, i na sześć tomów podzielone. Wydanie drugie, tom II. Obejmuje prawo polityczne Słowian w przestworze IX – XIV wieku rozwinięte. 8ka. Str. 378.*

Tom ten dzieli się na IV działy i obejmuje:

Dział I. *Rządy słowiańskich narodów.* Tu zaczynając od władzy stojących na czele rodów i plemion, przechodzi do władzy książąt, carów i królów; następnie traktuje o majestacyjnych prawach monarchy, o prawach rodziny królewskiej, opisuje dwór monarchy i monarchini, ziemstwo i urzędników ziemskich; zamyka dział ten wiecami czyli sejmem, dając dokładne jego wyobrażenie w szczegółach, aż do *liberum veto*.

Dział II. *Stany narodu i ludu, czyli szlachta i lud tak swojski jak obcy.* W nim mamy obraz *panów, szlachty, ludu, cudzoziemców* i ludność *miejską*; w końcu: wazalstwo słowiańskie i jego stosunek właściwy do dworu, ziemstwa, stanów narodu, papieża i cesarstwa.

Dział III. *Kościół i jego prawa.* Dzieli się dział ten na następujące rozdziały: 1. Chrześcijaństwo u Słowian. 2. Święty Kościół powszechny. 3. Patryarchaty istniejące i spodziewane. 4. Dyecezye w zachodnio i wschodnio-katolickim kościele podrzędne. 5. Organizacya kościoła i kształtowanie się prowincjonalno kanonicznego prawa. 6. Prowincjonalne kanoniczne prawo, uwydatnia się najwięcej w sądach duchownych, tudzież w wzajemnym stosunku władzy kościelnej a świeckiej. 7. Prawa ustanowione o funduszach i dochodach kościelnych. 8. Sądy duchowne.

Dział IV. *Gospodarstwo narodowe:* 1. Pogląd. 2. Ciężarów znaczenie i rozwój. 3. Ciężary podejmowane dla dworu, posługi i roboty ziemskie. 4. Policya i przywiązane do niej ciężary. 5. Skarbowość i wiążące się z nią niby ciężary. 6. Wojskowość, tudzież wojenne i wojskowe prawa.

Obszerne dodatki, w których autor podaje krytyczne rozwiązanie zdań celniejszych pisarzy: wyjaśniają wiele szczegółów tak do dziejów, jak i właściwie starożytności polskich. Mamy tu wyjaśnienie herbów, znaczenie pieczęci: *militia* i *jus militare*, podział roli na pługi, przyczynek do dziejów Kościoła



## ROZMAITOŚCI.

### KLECHDY Z PODLASKIEGO.

Śliczne Sandomierskie, urocze Krakowskie, rozkoszne Lubelskie, Podlaskie smętne, poetyczne.

Na tych przestronnych a płaskich i niskich polach, oko błąka się samowolnie, bez celu, bez punktu oparcia. Dymny, ciekmy, mglisty widokraż zasuwa myśl smętnością a serce poi tęsknotą. Zdaje ci się słyszeć głosy boleści, zbierasz prawie lzy uronione; o! bo smutne, smutne Podlasie!

Kraj cały nędzny, leśny, bagnisty, wygląda jak gdyby plaga moru lub wojny przeszła tędy; chałki dymne i zapadnięte, błotne podwórka, lud zbiedzony i ponury przejmuje obawą, drżeniem.

A gdy cię piosnka podlaska doleci, nuta jój tak łzawa, tak boleśnie odbije się w twój piersi, że mimowolnie posmutniejesz. Ton jój każdy, to ton rozpałczy: tyle w nim uciemżenia, niedoli, tyle razem stłumionych jęków, zdławionych westchnień, że zda się, za każdym tonem łza pada, za każdą łzą rozrywa się życie.

Podlasianie lud krzepki, barczysty, mało przecież między niemi dorodnych, rzeźkich mołojców; twarze ich bowiem mimo młodości, nie mają życia, ruchy ociężałe, powolne.

Co do szlachty ta dość zamożna, mianowicie obywatele ziemscy; las, piasek, karaski, ma szlachcic podlaski, mówi przysłowie.

Po prawdzie, jak wszędzie tak i tu powierzchowność i sposób postępowania dość do wyrzeczenia o zamożności szlachty przyczynił się. Szlachcic, tak zwany *hreczkosiej* nie przyjeżdża do miasta powozem i czterma końmi z brykami, dworem, służbą;



ale poprostu w wyszarzanój taratatee (1), w dobrze starój taradajce, jednym konikiem wlecze się za interesem; a stanawszy gdzie u poczciwego Moszka lub Lejbki, nieopróżniając bezpotrzebnie kieszeni, po załatwieniu sprawunków cichutko zmiata do siebie.

Spojrząwszy na niego, trzech groszybyś nie dał; ale pojedź do wsi, wproś się na obiad, przyjrzyj meblom, a co więcej szkatułce dobrze okutój pod łóżkiem, zmienisz zapewne zdanie.

Oprócz właścicieli dóbr, znajduje się drobna szlachta, zagonowa, czyli drażkowa, i z owój czasem cała wieś się składa. Takie wsie są: Tuczna, Huczna, Wiski i t. d.; co wieś to szlachecka, a co chata, to szlachcie.

Lubią oni sobie dobrze czasem pohulać, zależć komu za kołnierz, do bójki, procesu obcesem: a dumne to i harde, choć bięda i pustki.

Chłopki, biędacy: każdy uprawia swój kawał ziemi z potem czoła cały tydzień, w niedzielę zaprzągłszy szkapinę w hołobłę do wózka, wiozą na sprzedaż masło, serki, słomę, gruszki, jabłka, cebulę, kartofle i t. p.

Na jarmarkach, tém ruchliwóm a tak uroczystóm dla każdego wieśniaka zgromadzeniu, nie usłyszysz dziarskich: „dana moja, dana”; kiedy to chłopek z dobrze napełnioną głową, a bardzo wypróżnioną kieszenią śmiga galopem do domu. Podlasiak podchmielony, rozespany wlecze się na wozie powolnie, ze zwieszoną głową, czasem poruszy się gwałtowniej, i może wspomniawszy na jaką zwadę w karczmie lub oszukaństwo żyda, uniesie groźnie pięść i wybelkota: „sobacza wiro.”

Opilstwo bardzo rozprzestrzeniło się między tą klasą ludu, i w trunku szukają jakby zapomnienia swój nędzy.

Co spowodowało ich nuty tak smętne, tak rzewne: trudno zbadać. Może kłęski nieskończonóm pasmem walące się na tę okolicę, może te wojny, pożogi, napady, zaryły w duszy tamecznego mieszkańca boleść i niewolę. Kraj to bowiem, który niegdyś Jadźwing krokiem swym mierzył i zamieszkiwał; gdzie Tatar, Krzyżak w krwi niewinnych ofiar omywali swe noże i miecze.

Mnóstwo snuje się na Podlaskiem piosnek: z tych jedne obrzędowe, drugie ulotne, zdarzeniowe. Każda zawiera w sobie albo utyskiwanie na los nieszczęśliwy (dola), albo zwraca się do ptaszka, żeby przyniósł kilka słów od miłego; to znown żal po stracie: niektóre opiewają pewne okoliczności lub zdarzenia. Je-

(1) Nazwa sukni długiej, coś niby jak żupau.

dnę z nich, o Morozonku, przytaczam: dziwny ton tej piosenki, a przytém treść szczególna, bardzo utkwiły mi w pamięci.

„O Moroze, Morozonku, ty perekrasnyj kozaczce,  
 Za toboju Morozonku Polszoza, Ukraina płacze;  
 Oj postawili Morozonka na wysokiej mohili:  
 Pohlań, pohlań, wraży synu, po Polszczy, Ukraini.  
 Oj postawili Morozonka na zielonej murawi,  
 I sniali i z Morozonka sinie szarawary.  
 Posiadili Morozonka na żółtym pisoczku,  
 I sniali i z Morozonka krasnenku soroczku.  
 Oj powieli Morozonka na wysokoju horoczku,  
 I urezali jomu, urezali hołowoczku.  
 Da mateńka myslila, szezo to strilka letiła,  
 A to i Morozonka hołowońka zletiła.

Tak znajomą wszystkim pieśń o Podolance, która otruła brata, by dostać młodego kochanka, i na Podlaskiem słyszeć można.

Ubiór Podlasian prawie zastosowany do wieku każdego i obojój płci.

Ubiór mężczyzn: gunia, sukmana długa z burego sukna, wysoka baraniasta czapka, na nogach lyczaki, jak tam nazywają *postoły* (1). Kobięty noszą ogromne czepce obwiązane chustką, wysokie kołpaki owite rańtuchami (2), albo pewien rodzaj nagłówka, w podobieństwie nagłówków na kapelusze damskie; w sukmanie lub kożuchu żółtym bez pokrycia, w różne paski i centki po szwach umalowane, trzewiki na korkach. To ubiór męzatkki: panny noszą chustki związane na głowie po krakowsku lub też opaskę na głowie dość szeroką; wtedy przystrajają włosy kwiatkami lub rutą (3).

Niezmiernie przesądni są Podlasiacy: do dziś dnia w okolicach Biały, Tuczny, Huszczy, Studzianki, Piszczaca pojawiają się, według mniemania mieszkańców, upiory, djabli i t. p. Przesąd do tego stopnia opanował duszę i myśl Podlasiaka, że żaden chłopak, bez jakiegoś przerażenia, nie opowiada o upiorze lub straszyle.

Wierzą także w uroki, zmory, wilkolaki, zamawiania i opisywania atramentem ran, szczególniej róży.

(1) *Postoły*: trzewiki, a raczej treпки plecione z łyka, przymocowane do nogi łykiem lub sznurkiem.

(2) *Rańtuch*: ręcznik długi, szyty w różne figle czerwonymi nićmi, szczególniej po końcach.

(3) Zwracamy uwagę czytelników, że autor w niniejszej rozprawce mówi wyłącznie o plemienu Rusinów Podlasia. Przyp. Red.

Kiedy kto kogo przestraszy, mianowicie dziecię, wystrzygają mu ze środka głowy włosy, niby na uratowanie ustraszzonego, i wtedy nikt od podobnej operacyi, jeśli ma nieszczęście jęj podlegać, wywinąć się nie zdola.

Także przelewają jajka i tłuką garnek.

Co szczególném jest, to to, że w razie boleści żołądka, mierzą piędzią ręce i nogi a czasem piersi słabego. Niemniej są pewni o szkodliwości złych oczu; tak, że posiadający podobne, może urzec, zadać chorobę, popsuć coś lub przeszkodzić w robocie.

We wsi Huszczy jest podanie, jakoby pod mostem złe siedziało, któregdy nikt dowolnie i śmiało przejechać nie może, a tém bardziej nie trzeźwy, boby mu djabeł zaraz figła spletał. Opowiadają o czarnych baranach, które wskakują na wóz za jadącym i ten dopóty ruszyć nie mógł z miejsca, dopóki się nie przeżegnał: baran się wtedy roześmiał i zniknął. To znowu jakiś opily chłopek zwabiony przez djabła, długo tańcował na mniemaném weselu, a otrzeźwiawszy znalazł się w bagnie, zablocony od stóp do głowy i t. p.

Są mściwi, i tak: jeżeli który z gospodarzy na drugiego się rozniewa, daje na świecę do Matki Boskiej, w tym celu, aby ten, do kogo ma złość, tak skapiał (1) jak świeca stopnieje; dają na podzwonne, niby obchodząc już pogrzeb swego wroga.

Klą okropnie: „Szczob ty hołowej nałożył; szczob ty sobaczy synu swita ne baczył, szczob tebe palarusz naruszył, szczob ty skapiał, zmarniał.”

Kiedy kto umrze, dla okazania wielkiego żalu najmują płaczki, które płaczą, idąc za trumną,

Żał po stracie męża Podlasianka temi zawodzi słowami: „Oj biednaż ja biedna sierotońka, oj doleńka moja nieszczęśliwa, ojo joj, szczoż ja teraz zrobiu, oj biedna taj i moja hołoweńka.”

Przy pogrzebie na trumnie stawiają miskę z kaszą hreczaną, gotowaną w mleku, i każdy z obecnych pokosztować jęj powinien. Po pogrzebie piją na zabój.

Żaden obchód uroczysty nie obejdzie się u nich bez wódki; tak, że kiedy gospodarz obchodzi ślub, chrzciny i pogrzeb jedno po drugim, prawie zostaje zniszczony. Jużto bowiem będzie dowodem życzliwości, kiedy gospodarz wystawi dużo wódki i mię-

(1) Zniszczał, zbiedniał.

siwa. Zresztą jest przesąd, że kto chce, aby szczęśliwie żył z żoną i żeby mu się dzieci chowały, musi dobre sprawić i chrzciny i ślub.

Podlasianie bardzo obawiają się przekleństwa: i tak, kiedy zakładają nowy dom, przy wiązaniu krokiew, poją cieślę i karmią go dobrze, aby ten rozgniewany nie zaciął choroby. Widziałem kilkanaście domów, w których, jak mówiono, co rok ktoś musiał umrzeć, gdyż tak cieśla zrobił *założenie*.

W mieście Biwały, każdy opowiada jako rzecz prawdziwą, iż rok rocznie w rzece Krznie, która tam płynie, musi się ktoś utopić.

Przy weselu główną rzeczą jest korowaj i kołacze: korowaj jestto ciasto w kształcie i grubości naszych pasztetów. ubrany w zielone gałązki. Kołacze, poprostu bułki. Gdzie znajdą z takim kołaczem, gospodarz musi ich przyjąć wódką lub też obdarzyć pieniędzmi.

Pannę młodą przybierają w białą spódnicę i koszulę, czasem w gorset; do włosów splecionych w warkocz, przypinają kilkanaście różnokolorowych wstążek, głowę stroją w wianek ruciany.

Do kościoła jadą w kilka wozów. Na jednym siedzi muzyka i gra przez całą drogę; wszystkie wozy pędzą galopem, co koń wyskoczy: druchny pieją godowe pieśni.

Dożynki odbywają się podobnie, jak i w innych okolicach, nuta jednak przyspiewek żniwiarzy, więcej melancholijna jak radośna.

Podlasiak, kiedy śpiewa z radości, tony przechodzą w żywe i urywane, i wiążą się w kształcie kozaka. Nie skorzy do bójki i napici i rozdrażnieni, biją się zawzięcie. Główną rzeczą każdej bitwy jest uchwycić przeciwnika za włosy, które wielu z nich nosi bardzo długie; są jednak i tacy, co gołą głowę, zostawiając pośrodku kosmyk włosów.

Żydzi nad mieszkańcami Podlasia mają wielką przewagę, i każdy chłopiek chętniej sprzeda żydowi kurę, żyto i inne produkty, niżeli katolikowi, choć go żyd zwymyśla i da, co sam zechce.

Pobożni na odpust o kilka mil się zgromadzają. Dziesięciny swoim księżom oddają w jajach, kurach, snopach, a najczęściej w tak zwanych pirogach (1).

(1) Robią je w kształcie pirogów leniwych, z tą różnicą, że jest dobrane wysuszony i obsypany makiem. Smak ma wyborny.

W dzień połowy wielkiego postu jest zwyczaj *przebijać go*, to jest, że młode chłopaki, czasami dziewczyny, a najczęściej sąsiadka sąsiadce, rozbija o dom garnek z popiołem, mówiąc: „srodoposć! srodoposć!” Robią przytém różne psoty, to bijąc kamieniami w okienicę, to rzucając jeden na drugiego worki lub pończochy napelnione popiołem.

Tańce Podlasiąn ograniczają się na jednym tak zwanym *szalony*: podobny on jest do oberka, z tą różnicą, że go tańczą z niezwykłą szybkością. Muzyka do niego gra na nutę dawniej używaną galopady.

## I.

## O ZŁOTÉJ JABLONI.

Kmieć zamożny miał dwie córki: jedną z pierwszego małżeństwa, drugą z powtórnego. Żona jego bardzo nie lubiła pasierbicy i ciągle ją jak mogła dręczyła: to dawała jej dużo do przędzenia, to kazała płótno robić i bielić, tak, że ta napracowawszy się bardzo, zaledwie kilka godzin przespać się mogła: przeciwnie córkę swoją pieściła.

Raz kiedy już nie miała co wymyślić, dała pasierbicy kilkanaście garści lnu, kazała go sprząść, zrobić płótno i wybielić, przytém wszystkiém paść bydło. Biedaczka wzięła robotę od macochy i zalewając się łzami popędziła bydło w pole; kiedy tak płacze, byczek młody zbliża się do niej i mówi:

— Czego ty płaczesz?

— A jak ja nie mam płakać, kiedy oto macocha kazała mi len uprząść, zrobić płótno, wybielić i jeszcze was paść.

— Nic to nie szkodzi: daj bicz, ja popilnuję bydła, a ty będziesz przedła.

To mówiąc, wziął bicz w zęby i jak tylko bydło szło w szkodę, on je odganiał; ta tymczasem uprzedła len, wybieliła i wszystko jak należy, przypędziwszy bydło do domu, oddała macosze.

Zdziwiła się bardzo, że płótno wybielone i dobrze zrobione; na drugi zaś dzień posłała swoją córkę, żeby wyspiegowała pasierbicę, kto jęj pomaga.

Skoro donieśli jęj, że byczek pasie bydło, a pasierbica siedzi i przedzie, nie pozwoliła jęj już iść za bydłem, ale swoją córkę, dawszy jęj jeden motek tylko do sprzędzenia, wysłała.

Poszła: nic jednak nie uprzedła, bo chociaż ciągle wołała na byczka: „byczku paś! byczku paś!” byczek coraz to zaganiał było do szkody.

Rozgniewana przypadła do matki i zaczęła narzekać na byczka; matka więc przyrzekła jój, że go każe zabić: udała zaraz słabą, położyła się w łóżko i zaczęła krzyczeć, że jój się chce cielęciny.

Mąż zafrasowany i zmartwiony przyrzekł jój, że każe zabić byczka.

Usłyszawszy to pasierbica, pobiegła do chlewka, gdzie stał byczek, oparła się głową o ścianę i poczęła zawodzić (1).

Byczek spytał, czego płacze, a kiedy opowiedziała mu, że go chcą zabić, uspokoił ją mówiąc:

— Nic nie szkodzi, że mię zabijają; ale tobie dadzą kiszki szlamować: w jednej będzie złote jabłko, weź go, bo ono ci przyniesie szczęście. Jakby ci chcieli odebrać, to rzuć prosto w okno.

Kiedy już byczka zarznęli, macocha wstała z łóżka i sama pomagała do oprawiania.

— No, weźże przynajmniej kiszki wyszlamuj— zawołała na pasierbicę macocha.

Siadła biedna do szlamowania, ale płacząc ciągle; wtem w jednej kiszce znajduje śliczne złote jabłko; macocha zobaczywszy je, chciała jój odebrać, lecz ta rzuciła w okno i zaraz stanęła przed oknem śliczna, złota jabłoń.

W kilka lat potem, przejeżdżał królewicz przez tę wieś i bardzo zapachły mu jabłka, gdy nagle ujrzał owę jabłoń. Posłał swego furmana, ażeby ten, choćby przyszło dukata za jedno zapłacić, kilka jabłek dostał.

Furman poprosił macochy, żeby mu urwała parę; macocha sięgnęła ręką, a jabłoń w górę; zawołała córki swojej i męża, wszystko naprzóżno, jabłoń unosila się ciągle: dopiero pasierbica urwawszy kilkanaście, zanosła królewiczowi.

Królewicz bardzo się w niej pokochał i prosił macochy, ażeby mu ją pozwoliła wziąć za żonę; macocha przystała.

(1) W Podlaskiem kobiety płaczą bardzo rzewliwie, płacz ich podobny więcej do jakiejś smutnej, grobowej pieśni, którą żal i rozpacz z piersi przeciągłemi tony dobywa; dlatego też, jeśli chcą o kimś powiedzieć, że płacze bardzo, mówią: „zawodzi.”

Królewicz zabrał pasierbicę i odjechał, a jabłoń biegła przed końmi i dzwoniła jabłkami; dopiero przed samym pałacem wyprzedziła ich i stanęła przed oknem tego pokoju, w którym miała sypiać przyszła królowa.

Długo już z sobą żyli, królowej jednak tęskno było do ojca i prosiła męża, żeby jój pozwolił odwiedzić go.

Jak królowa przyjechała do domu, macocha bardzo jój asystowała (1) i nie wiedziała prawie, gdzieby posadzić tak wielką panią; tajemnie przecież z córką namówiły się ją zabić, a ponieważ obie były podobne do siebie, podstawić ją królewiczowi.

Zaprosiła się zatem córka macochy do powozu królowej i z nią pojechała.

Kiedy dostali się do lasu, wydobyla z kieszeni nóż i już zabierała się ją zamordować, gdy ktoś nadjechał: z pośpiechu i ze strachu przerznawszy jój tylko plevkę (2) na gardle, rzuciła ją w rów.

Przebrała się w suknię królowej i jako żona królewiczowi przedstawiła; ten wypytywał się ją o siostrę, macochę, ojca, zauważył jednak, że nie miała obrączki na palcu: spytał zatem groźnie gdzie ją podziła.

— Zamknęłam do kufierka, moje życie, żeby jój nie zgubić."

W samą zaś rzecz, zapomniała zdjąć jój z palca zabitęj.

W kilka dni, złota jabłoń zniknęła. Król zadziwiony, pytał marszałka o przyczynę, gdy ten rzuciwszy mu się do nóg, rzekł ze strachem: „mam ja więcej jeszcze coś powiedzieć, ale boję się, żeby mię król nie stracił (3).”

Kiedy go król uspokoił, marszałek wyznał, że królowa, bo poznal jój głos, już drugi dzień po północy przychodzi pod jego okno i wypytuje się o wszystkich.

Król nie wierzył temu z początku, ale w końcu kazał rozstawić wkoło pałacu, już nocą, żołnierzy, a sam zajął łóżko marszałka, aby się o tém przekonać.

Koło północy, ktoś zapukał do okna:

— Marszałku! czy spisz?

— Nie— odrzekł król.

— Czy moje dziecię spi?

— Spi.

(1) Robiła wielkie grzeczności.

(2) Pierwsza skóra na gardle.

(3) Zabił.

— A mój mąż spi?

— Spi.

— A moje bydło spi?

— Spi.

— A moje konie spią?

— Spią.

Kiedy głos ucichł, wypadł król na dziedziniec, kazał obtoczyć ją żołnierzami dokoła, i złapał za warkocz (1).

Królowa przemieniała się: w węża, w małpę, wilka, konia, a w końcu przyszedłszy do własnej postaci, upadła.

Zaniesiono ją do pokojów, król posłał po doktora, i kiedy ten przyjechał, zaraz opatrzyli ranę, zszyli, zasmarowali maścią, tak, że prawie królowa była zdrową.

Mąż wypytywał jęj, gdzieby była i co robiła dotychczas.

Opowiedziała mu więc całą swoją przygodę z siostrą.

Król rozgniewany okropnie, poszedł do pokoju, gdzie spała zabójczyni i trącając ją po ramieniu, wyrzekł:

— Wstawajno kochanie.

— Kiedy mi się jeszcze bardzo spać chce.

— To nic, wstawaj; napijesz się czarnej kawy (2): a gdzie masz pierścionek?

— Mówiłam ci już moje życie, że w kufierku.

Wtedy król zerwał z niej koldrę, kazał wywlec i końmi rozszarpać, a prawdziwa królowa jęj miejsce zajęła.

Zaraz i jabłoń stanęła przed oknem. Król wyprawił na pamiątkę powrotu żony bal; i ja tam byłem, miód, wino piłem, potem wsadzili mię w armatę, wystrzelili i tu przyleciałem (3).

## II.

### NAKRYTE MIASTO.

Młody królewicz podróżował sobie po świecie. Raz przyszedł on nad rzekę, nad którą siedział dziadek.

(1) Podanie niesie, że w każdym podobnym zdarzeniu, ujawszy kobietę za warkocz, dopóty trzeba trzymać, aż się nie wróci do własnej postaci.

(2) Co miałoby znaczyć, właściwie nie rozumiem; tutaj zaś jest rodzajem pogróżki.

(3) Zwykle zakończenie bajki. Kończą je czasami tak: „I ja tam byłem, miód, wino, piłem; po brodzie ciekło, a w gębie sucho było.



— Mój dziadku! jakbym to ja mógł dojść do miasta, co go widać?— rzekł królewicz.

— A tędy— odpowiedział dziadek— ale pamiętaj, żebyś nie pytał nikogo, dlaczego w niem ciemno, bo to jest miasto nakryte.

Królewicz podziękował za radę i poszedł.

Coś mu potrzeba było kupić, wchodzi więc do sklepu i chce obejrzeć towar; ale ponieważ ciemność nie dała mu go rozpoznać, przez zapomnienie z gniewem wyrzekł: „Coto u was tak ciemno?”

Kiedy to powiedział, wpadli zaraz żołnierze i poprowadzili go do króla; a król nie dając mu się nawet tłumaczyć, kazał go wsadzić do pustego kościoła, w którym coś (1), straszło.

Królewicz prosił żołnierzy, żeby go poprowadzili do dziadka nad wodę: z początku nie chcieli nawet słuchać, ale wreszcie poszli z nim.

Dziadek ujrzawszy go, rozgniewał się bardzo.—Widzisz! mówiłem ci, nie chciałeś słuchać: teraz cierp.

Królewicz zaczął go prosić ze łzami, aby mu poradził, jak się uwolnić z więzienia.

Dziadek dał mu gromnicę (2) i kredę święconą (3).

Otrzymawszy to, żołnierze odprowadzili go do kościoła.

Królewicz klęknął przy ławce, określił się święconą kredą, zapalił gromnicę i zaczął się modlić.

Okolo północy straszny zrobił się szum, pisk, huk i z lochów kościelnych wypadło coś podobne do kobiety z skorupianą maską na twarzy; oczy iskrzyły się, a z ust buchały płomienie: przeleciało jak wichra po kościele i z okropnym rykiem zbliżyło się, gdzie królewicz klęczał, chciało go złapać, ale nie mogło z żadnej strony dostąpić, bo określił się trzy razy kołem. Postąło, postąło, zawyło i uciekło!

Nazajutrz żołnierze weszli do kościoła i myśląc, że nie zastaną żywego królewicza, z wielkiem podziwieniem ujrżeli go; zaprowadzili zatem napowrót do króla.

Król rozkazał go znowu wsadzić do kościoła.

Królewicz, jak przesła razą uprosiwszy żołnierzy, poszedł z nimi do dziadka, który dał mu koronkę.

(1) Wyraz *coś*, oznacza zawsze nadzwyczajność i podług mnie boją się oni wyrzec wyrazu: „djaból”, „straszydło” by na siebie nie ściągnać gniewu tegoż; ale mówią; „coś pukało, coś chodziło, coś płacze i t. d.”

(2) Świeca poświęcana w dzień Matki Boskiej Gromnicznej.

(3) Kreda święcona w dzień Trzech Króli.

Kiedy go zawiedli do kościoła, *wyłaż* na chór, zapalił gronnicę i modląc się, oczekiwał.

Około północy przybyło jeszcze straszniejsze widmo jak wprzódy, długo szukało królewicza po kościele: a jurzawszy go na chórze, dalej przystawiać trumny i zaczęło wspinać się po nich; już, już miało dostać się na chór, kiedy królewicz zsunąwszy jedno *zdrowaś*, rzucił go na nie; wnet obleciały trumny i potwora spadła; to powtarzało się dotąd, póki aż ostatniego *ojcze nasz* nie rzucił, Straszydło (1) znudzone próżnym usiłowaniem z szumem i hukiem schowało się do podziemi kościelnych.

Król dowiedziawszy się, że więzień jeszcze żyje, kazał go zamiast do kościoła, jak zwykle, do piwnic podziemnych, gdzie straszydło się znajdowało, zaprowadzić.

Królewicz znowu prosił się do dziadka.

Dziadek mu nic dać nie chciał: w końcu zmięczony jego łzami i padaniem do nóg, dał mu kropidło i święconą wodę.

Zawiedziono królewicza do piwnicy kościelnej; tam ze strachu drząc cały, trzymał na pogotowiu kropidło.

Około północy, coś zawył, zahuczało, drzwi pootwierały się z trzaskiem i nareszcie wypadła potwora.

Królewicz nuż ją kropić święconą wodą: aż nagle opada skorupa z twarzy i w miejsce okropnego straszydła, staje przed nim śliczna, młoda panna: nie była to bowiem potwora, ale zaczerwowana królowna.

Żołnierze przyszedłszy nazajutrz, zobaczyli obojga kłęczących przed ołtarzem i modlących się gorliwie. Doniesiono królowi; król spojrzawszy na ową pannę, poznał własną córkę, którą od lat kilku oplakiwał: uradowany, z wdzięcznością przystał na oświadczyny królewicza i dobre sprawił im wesile (wesele).

Długo już żyli szczęśliwie, bogaci; kiedy królewicz raz przypomniał sobie o dziadku, co tchu pobiegł nad rzekę i zaczął go przeproszać za niewdzięczność.

Dziadek kazał mu przyprowadzić żonę.

Jak nadeszła, przeciął ją w pasie mieczem, połączył ich serdeczne palce (2) i oboje ulecieli do nieba. Dziadek zniknął.

(1) Często używają nazwy: „*cudowiszczę*”.

(2) Serdecznym palcem nazywa się piąty, najmniejszy.

*Przypisek.* Przytoczony wypadek przecięcia, u ludu ma znaczenie oczyszczenia; podanie bowiem głosi, że kobieta tylko do pasa jest czystą i nieskażoną. Dziadek, tak powszechnie wystawiany w wielu klechdach, jest podobno Bogiem.

## III.

## BRAT I SIOSTRA (1).

Był sobie królewicz i królowna, brat i siostra. Królowna tak była piękna, że się w niej własny brat zakochał, i na gwałt chciał żenić. Kiedy królowna napróżno mu opierała się, wyznaczyła zatem dzień ślubu; ale cóż się robi: jak już wszyscy zebrali się, królewicz niecierpliwym woła:

— Wychodź, wychodź, kochanie moje!

— Zaraz, tylko trzewiki włożę.

— Wychodź, wychodź kochanie moje!

— Tylko spódniczkę włożę.

— Wychodź, wychodź, kochanie moje!

— Tylko sukienkę włożę.

Nareszcie wyszła, a tak była ubrana do twarzy, że brat co tchu chciał jechać do kościoła.

Królowna tymczasem rzekła. „Ziemi! ziemi! rozstąp się podemną.”

Ziemia się rozstąpiła, a królowna zniknęła.

Bardzo długo biegła po pod ziemią przez ogień, wodę, góry; przemieniała się w sarnę, kozę, kotkę; przystawała do ptaków, ażeby znaleźć do siebie podobną.

Jedną razą ekonom królewicza chodził po polu i oglądał zboża; na prosię usiadły dwa wróble i zaczęły go dziobać.

Ekonom krzyknął: „A hysza z panoho prosa

Bo panu proso wypite (2).

Jeden z wróbli, odezwał się:

„Choć hysz, choć ne hysz, ja panowa siostra,

Siedm lat po pod ziemią latała,

Panu żony szukała

Żeb sama ne poszła.”

Zdziwiony ekonom pobiegł do królewicza i oznajmił mu to; królewicz naprzód go skrzyczał, potem jednak kazał zaprządz do karety i wyjechał sam przekonać się.

(1) Bajkę tę znalazłem w Klechdach p. Wójcickiego, ale zupełnie odmiennego tekstu, a raczej, można powiedzieć, sprzecznego. Dla porównania zatem, wiernie powtórzoną z ust ludu, przytaczam.

(2) Zjecie.

Zaledwie wjechali na pole, dwa wróble okrzyknęły karekę wleciały do niej i zmieniły się w dwie piękne i podobne bardzo do siebie panny. A kiedy królewicz to na tę, to na tamą oglądał się, zapytały:

— No wybierz z nas którą za żonę.

Królewicz wskazał na tę, co po lewej ręce siedziała.

— A widzisz bracie—odrzekła z prawej strony siedząca—siedm lat biegałam pod ziemią i znalazłam podobną do siebie, żebyś się ze mną nie żenił.

Królewicz ucieszony wyborem, zaraz wyprawił wesele: hulali, tańcowali, tak że aż po ziemi rzeką wino płynęło.

#### IV.

### O SZCZEŚLIWĘJ GODZINIE,

Ciekawy człowiek wybrał się w świat, aby znaleźć szczęśliwą godzinę.

Raz wstąpił do karczmy, chcąc przenocować. Szynekarka wypytywała gdzie idzie i po co; a kiedy jej powiedział, że idzie szczęśliwej godziny szukać, pobiegła do króla donosząc mu o tém.

Król zawołał go do siebie i prosił, żeby się dowiedział, co to jest, że jabłoń złota, która zawsze rodziła, teraz na połowę uschła.—Jak się dowiesz—rzekł król—dam ci pół królestwa w nagrodę. Potém go udarował pieniędzmi i wyprawił w drogę.

Znowu idzie, idzie; nareszcie trafia na królestwo, w którym król ogłosił, że kto mu wynajdzie córkę, która zaginęła nie wiadomo gdzie, nietylko że mu ją da za żonę, ale i bogactw niemiare.

Skoro usłyszał o tém, każe się prowadzić do króla i obiecuje wynaleźć mu córkę, byle tylko ją dostał za żonę.

Król przyrzekł i dał mu list do niej.

Mając takie polecenia znowu wędruje bardzo długo i spotyka człowieka; człowiek ten pyta go się, gdzie idzie? Odpowiada mu, że idzie szczęśliwej godziny szukać.

— O mój kochany!—mówi człowiek—dowiedz się téż dokąd ja tu stać mam; bo już wiele lat minęło, a ja jak stoję, tak stoję.

Podróżnik przyrzekł mu i puścił się dalej w drogę. Niezadługo widzi ogromny pałac; wszedł do niego: przechodzi jeden pokój, drugi, piąty, szósty nie ma nikogo: dopiero w dwunastym

znajduje pięknej urody pannę. Zadziwiła się ona bardzo. ujrzawszy obcego i ze strachem wyrzekła: „Człowiecze! uciekaj. bo jak mój mąż przyjdzie, to cię zabije.”

— Nie bój się niczego: mam ja z sobą i święconą kredę, i święconą wodę, i miecz; niemi go odpędzę: przyszedłem cię wybawić, ale zrobisz co każę.

— Wszystko zrobię: wybaw mię tylko.

— Oto zapytasz męża: kiedy jest szczęśliwa godzina? dlaczego w jednym królestwie jabłoni na połowę uschła? co się zrobiło z królowną, która niedawnemi czasy zniknęła?

— To ja jestem—odrzekła królowna—raz porwał mię Lucyper i tu zaniósł. Jak się też ma mój ojciec?

— Przyniosłem właśnie list od niego.

Królowna zaczęła czytać i z płaczem rzuciła się do nóg podróznikowi, prosząc by ją uwolnił.

Pamiętaj tylko co masz robić i o co pytać, a ja cię uwolnię. Zapytaj się jeszcze, dokąd ma człowiek stać na drodze, na straży: już mąż twój wie który.

Kiedy to mówią, zrobił się straszny szum; królowna krzyknęła, i kazała mu się schować pod łóżko.

Drzwi się z trzaskiem rozwarły, wpadł Lucyper, pociągnął nosem i krzyknął:

— Przaśna (1) dusza śmierdzi.

— Gdzie tam, mój kochanku: tu ptaszek nie doleci, a dopieroż człowiek.

Diabeł chodził, sapał, jakby mu ciasno było; wreszcie przysiadł do żony i zaczął się z nią pieścić.

Wtedy królowna udając senną, zmrużyła oczy: nagle z krzykiem zerwała się i zaczęła przewracać na łóżku.

— Co ci to moje życie—zawołał Lucyper?

— Ach! mój mężu drogi, miałam dziwny sen i nie mogę sobie go wytłumaczyć. Śniło mi się o jakiejś szczęśliwej godzinie: nie wiesz też, kiedyto jest szczęśliwa godzina?

— Cóż ci po tém?

— Zdaje mi się, że mi lepićj będzie.

— Szczęśliwa godzina jest wtenczas, kiedy mnie nie ma; to jest po południu pierwsza i po północy pierwsza.

Znowu zasnęła królowna i podobnie jak wprzód zaczęła się wic i krzyczeć.

(1) Dusza uzbrojona Sakramentami, czysta, której się szatan boi.

— Co ci to moje kochanie, co ci to?

— Miałam sen. Śniło mi się, że w jednym królestwie jabłoń do połowy uschła i nie chce jak dawniej rodzić owoców: co to znaczy?

— To znaczy, że pod tą jabłonią znajdują się skarby; i żeby tak naprzykład król, co ma dużo wojska i ludzi, kazał wykopać jabłoń, oświecił ziemię, otworzyłyby się mu one.

Używając tegoż sposobu zapytała królowna Lucypera, dokąd ma stać człowiek na drodze.

Lucyper ją ofuknął i rzekł: „dopóty, dopóki mi się zechce.”

Wtém podróżnik jak nie wypadnie z pod łóżka, jak nie zacznie go kropić (1) święconą wodą, aż diabeł wybiegł z pałacu i zniknął w powietrzu; tylko się rozeszła woń siarki i smoły.

— No królowno, teraz zabierajmy się.

Królowna zabrała swoje rzeczy i oboje wyszli.

Podróżnik po drodze uwolnił człowieka, który mu za to ze łzami w oczach dziękował; następnie po długiej podróży zaszedł do królestwa, gdzie ojciec królowy mieszkał.

Dowiedziawszy się król, że córka jego wolna, na rękach wniósł ją do pałacu, a wybawicielowi przyrzekł ją za żonę.

Podróżnik zawędrował do innego królestwa: tam opowiedziawszy o skarbach pod jabłonią, dostał ich połowę, bo król wdzięczny za przysługę, koniecznie go do wzięcia onych przy muszał.

Dopełniwszy zleceń, wrócił ów ciekawy człowiek do królowny, z nią się ożenił i żył po królewsku. Tak więc znalazł szczęśliwą godzinę: był bowiem bogaty i miał piękną, młodą żonę.

## V.

### TRUPIA GŁÓWKA (2).

Była sobie macocha, która niezmiernie kochała swoją córkę, a córki męża nienawidziła. Mąż ulegał jój we wszystkiém, do tego stopnia, że raz według rozkazu żony, wyprowadził pasierbicę do lasu, aby ją zabić; ale serce ojcowskie nie pozwoliło mu tego wykonać.

(1) Wyrażenie gminne.

(2) Mnóstwo kursuje bajek o macosze i pasierbicy na Podlasiu.

Nie śmiejąc przecież wrócić z córką do domu, kazał jęj iść po jagody dalej w las, a sam udając że drzewo rąbie, przywiązał drewno do sosny żeby się tłukło i odszedł.

Pasierbica długo zbierała jagody, myśląc że ojciec rąbie, bo echo ciągle niosło głos stukania jakby siekiery; zmordowana i napelnniejszy już dobrze garnuszek, wracała do miejsca, gdzie ojca zostawiła.

Zobaczywszy przywiązane drewno, domyśliła się wszystkiego: siadła więc przy drodze i zaczęła gorzko płakać.

Naraz zjawia się na kurzych nóżkach Trupia Główka i pyta, czego płacze?

Oto macocha wypędziła mię z domu i ja teraz nie wiem gdzie się podziać.

— Chodź ze mną, służbę będziesz miała łatwą: napasiesz tylko kotka i pieska, uprzątniesz, i po całej robocie.

Pasierbica zgodziła się.

Weszli do ładnej chatki w lesie. Trupia Główka zniknęła, pasierbica nagotowała jeść, dała kotkowi, pieskowi, uprzątnęła i tak ciągle.

Nadszedł rok, Trupia Główka pokazała się i rzekła:

— Rada jestem z ciebie dziewczyno, czy chcesz dalej służyć?

Dobrze mi tu, ale tęskno do domu.

— No, kiedy tak, nie zatrzymuję cię: chodź i wybierz sobie co sama zechcesz.

Wprowadziła ją do pokoju, gdzie były kufry z bielizną, sukniemi, pieniędzmi. mówiąc:

— Który się kufer zatrząsie, to twój.

Wnet zatrząsły się dwa kufry, pełne drogości i bielizny.

— To twoje: chodźmy do wozowni: która się karetą zagihocze, weźmiesz ją sobie.

Zatrząsła się śliczna karetka.

— To twoja—rzekła znowu Trupia Główka.—Chodźmy do stajni. Które konie zarzą, i który furman się do ciebie zaśmieje, będzie ci służył.

Zarzały cztery ładne konie i zaśmiał dorodny furman.

Pasierbica podziękowała Trupiej Głowce i tak udarowana wyjechała; towarzyszyli jęj kotek i piesek, którzy przez drogę wolali:

„Z przodu szczęk, z tyłu brzęk,  
A we środku srybla (1) pęk.”

W domu bardzo ją źle macocha przyjęła, i postanowiła także i swoją córkę na wielką panią wykierować.

Ojciec poprowadził i tę do lasu, zostawił jak wprzód, a macocha kontenta była, że córka dużo drogich rzeczy przywiezie.

Wypieszczona jednak dziewczyna nie chciała nic robić, kotek i piesek był głodny, tak, że Trupia Główka musiała ich karmić.

Po roku, poprowadziła ją jak pasierbicę do pokoju, gdzie były kufry, ale stare i zmurszałe.

Próżno dziewczyna śmiała się do koni, kufrow, karet; próżno cieszyła się nadzieją; wyjechała starym koczem, z parobkiem niezdarą i parszywemi końmi; jęj też towarzyszył kot i pies, którzy wołali:

„Z tyłu wisk, z przodu pisk  
A we środku węzów ścisck.”

Skoro macocha zobaczyła jadącą córkę, wybiegła do niej, i zaczęła klaskać w ręce.

Poznoszono kufry, ale zaledwie otworzyli, gdy chmary żmij rzuciło się na matkę i córkę, pokaleczyły i pokąsały tak, że obiedwie z bólu pomarły: a pasierbica miała przy sobie ojca, przeniosła się gdzieindziej i żyła jak królowa.

*Milkowski Stanisław.*

(1) srebra.



## KORRESPONDENCYE.

Wilno. Dwunaste i trzynaste posiedzenie wileńskiej archeologicznej kommissyi, dnia 11 listopada i 11 grudnia.

Dnia 11 listopada i 11 grudnia odbyły się zwyczajne miesięczne posiedzenia wileńskiej archeologicznej Kommissyi pod przewodnictwem prezesa Kommissyi, hr. Eustachego Tyszkiewicza.

Dnia 11 listopada prezes zagał posiedzenie, przemawiając do rzeczywistego członka, pomocnika kuratora wileńskiego Naukowego Okręgu JO. księcia Szyryńskiego-Szychmatowa, który pierwszy raz zaszczylił posiedzenie swą obecnością, w następujących wyrazach:

„Witamy Waszą Książęcą Mość, poraz pierwszy w tym nowym przybytku nauki, dźwigniętym prawicą naszego ukochanego MONARCHY, wzrastającym coraz więcej pod opieką szlachetnego naczelnika naszej prowincyi i kuratora Naukowego Okręgu i już z korzyścią zaczynającego próbować sił swoich na rozległej niwie naukowych badań dla zgłębienia przeszłości ojczyzstego kraju. Składamy panu dzięki za zaszczytne dla nas przyjęcie godności członka naszego towarzystwa. Przekonani jesteśmy, że znajdziemy w Waszej Książęcej Mości współczucie i pomoc w naszych naukowych pracach i dążnościach, tak blizkich serca każdego Słowianina.—Rozpocznimy, panowie moi, dzisiejsze posiedzenie odczytaniem protokołu z dnia 11 października, i spisu ofiar, które wpłynęły do naszego muzeum w ciągu przeszłego miesiąca, a w rzędzie których pierwsze zajmuje miejsce odlew naturalnej wielkości słowiańskiego bożyszczka Światowida, którego oryginał znaleziony przed laty w Zbruczu (rzece, w podolskiej gubernii) przechowuje się obecnie w muzeum krakowskiego Cesarsko-Królewskiego Naukowego Towarzystwa, a dwie dotychczas tylko z niego zdjęte kopie zdobią królewskie muzea w Wiedniu i w Berlinie. Przywieziony do naszego muzeum gipsowy odlew, zamówiony został przeze mnie w Krakowie za zgodzeniem się naukowego Towarzystwa, od którego wydane zostało stosowne świadectwo o zupełnym podobieństwie do oryginału. Tak więc muzeum nasze jest trzeciim z rzędu, które nabyło tę rzadką pamiątkę tak zajmującą i drogą dla wszystkich Słowian. Oryginał tego bożyszczka, wykuty z piaskowca, przewyższa ogromem swoim wszystkie znajome nam dotąd bóstwa naszej mitologii. Do rzędu ważnych dla nas nabytków policzyć także wypada popiersie Jana Kochanowskiego zdjęte przez naszego współczłonka w Krakowie Karola Kremera z pomnika nad grobem tego znakomitego pisarza XVI wieku, słusznie nazwanego *książęciem polskich poetów*.

Złożone w darze przez naszego członka A. H. Kirkora kopie z autentycznych rękopismów znajdujących się w CESARSKIEJ publicznej biblio-

tece, wzbogacają i tak już dość liczny oddział rękopismów w naszej bibliotece. Wezwę z kolei p. Kirkora, ażeby nam skreślił ważną treść tych rękopismów i zarazem podał swoje plany względem nabycia z tego znakomitego księgozbioru kopii ważniejszych pamiątek, dotyczących się historii naszego kraju. Z pociechą patrząc na ciągle wzbogacanie się naszego muzeum, nie mogę przenieść na siebie, żebym i tą razą nie podziękował wam z całego serca, szanowni koledzy, za wasze nieustające prace, mające na celu wzrost i dobro naszego towarzystwa, polecając zarazem i dalszy los jego waszjej gorliwej troskliwości i miłości nauki”.

Po tém przemówieniu prezesa odczytany został protokół przeszłego posiedzenia, również odezwy i listy odebrane w ciągu przeszłego miesiąca. Wyliczym tu ważniejsze z pomiędzy nich. 1) Odezwa rzeczywistego członka Józefa Łepkowskiego z sprawozdaniem o czynnościach krakowskiego Cesarsko-Królewskiego Naukowego Towarzystwa. 2) List honorowego członka Adolfa Kobylińskiego, przy którym przesłał w darze dla muzeum własnoręczne listy hetmana Massalskiego, X. Hugona Kołłątaja, generała Zajączka, marszałka Davoust; generałów Morand’a i Fiszera, a także Biblię wierszami wydaną przez nieświeżskich Jezuitów, należącą dziś do bibliograficznych rzadkości, i 22 starożytne monety. 3) List rzeczywistego członka Pawła Szaffarzyka w języku czeskim pisany, w którym ten znakomity uczony dziękuje towarzystwu za wybór go na członka i wyraża swe chęci stania się mu użytecznym. 4) Odezwę prezesa kijowskiej czasowej kommissyi dla rozpatrzenia starożytnych aktów, przy której przesyłając w darze dla biblioteki muzeum wydania kommissyi, prosi o przysłanie w zamian wydań wileńskiej archeologicznej kommissyi.

Z kolei rzeczywisty członek A. H. Kirkor, składając w darze dla muzeum dwa rękopisma (1), przepisane starannie z autentyków przechowywujących się w CESARSKIEJ publicznej bibliotece, przeczytał krytyczno-bibliograficzny ich przegląd, podając zarazem plan do dalszego nabywania kopii rękopismów z CESARSKIEJ publicznej biblioteki, dodając w końcu, że JW. dyrektor też biblioteki baron Modest Korf za wstawieniem się jego wydał łaskawe rozporządzenie dające naszemu towarzystwu prawo przepisywania i robienia potrzebnych wyciągów z polskich i łacińskich rękopismów tego bogatego i jedynego w swoim rodzaju księgozbioru.

Nakoniec przy zamknięciu posiedzenia, wybrany został na honorowego członka, na wniosek rzeczywistego członka Mikołaja Malinowskiego, hrabia Tytus Działyński (w W. Księstwie Poznańskim), a na członka współpracownika, podany przez prezesa i rzeczywistego członka Kirkora i wybrany kandydat obojga praw Włodzimierz Wiesiołowski.

*Posiedzenie 11 grudnia.* Prezes hr. Eustachy Tyszkiewicz zagałł temi słowy: „Panowie! Przez przeciąg dwuletniego już prawie istnienia naszej kommissyi, zakres jej działań, mających w związku na celu wyłącznie przedmioty starożytności, znacznie się rozszerzył, i dzięki ofiarom osób prywatnych i czynnej pomocy władzy Naukowego Okręgu, objął przedmioty nauk przyrodzonych, a w szczególności zoologii i mineralogii.

(1) Dziennik Campanij 1686 r., i Extrakc z metryki W. Koronnej spisania granic między Koroną i W. Ks. Litew. za Zygmunta Augusta i t. d.

Dążąc do przyniesienia rzeczywistej korzyści krajowi swemu nie tylko przez zbadanie przeszłości jego, ale i we względzie nauk przyrodzonych, przez zastosowanie nowych odkryć w społecznym życiu, nasze Towarzystwo Naukowe zwróciło szczególniejszą uwagę na geognozyą. Z tego powodu poleciłem niektórym Członkom naszym, mieszkającym w różnych stronach naszej prowincyi, ażeby raczyli zawiadamiać kommissyą o wszystkich ważniejszych zjawiskach z tą gałęzią nauki styczących się mających. Doszliśmy tą drogą do nadspodziewanych wyników, które dobroczynnie wpłynąć mogą na byt naszej prowincyi. Znakomity nasz członek Teodor Narbutt zawiadomił kommissyą, że w ludzkim powieciu w parafii Naczkić, w majątności Starzeniskach, będącej własnością Doktora Medycyny Józefa Jundzilla i leżącej na drodze między Naczą i Oranami; w 1856 roku przy kopaniu studni natrafiono w znacznej głębokości naprzód na warstwę składającą się według zdania p. Narbutta z ryb skamieniałych rozmaitej wielkości, a potem na pokład substancyi mającej pozór torfu. Donosząc o tém szanowny nasz historyk załączył próby tej substancyi, a takż jedną małą skamieniałą rybkę i zrobił przytém wzmiankę, że po wysuszeniu wypalił nią w piecu i przekonał się, że może być z korzyścią użyta jako paliwo, szczególnież przy eksploatacyi kolei żelaznej, w blizkości tego miejsca przechodzącej. Przesłana przez niego substancya oddana była dla chemicznego rozbioru współczłonkowi naszemu p. Tamulewiczowi i aptekarzowi Kuszewiczowi, którzy złożyli na to posiedzenie sprawozdania swoje w tym względzie.

Niepodobna było dotąd zbadać wszystkich szczegółów na miejscu, ale w obecnych okolicznościach fakt ten już sam przez się jest bardzo ważnym, i sądziłbym, że nie należałoby nam poprzestać na jednym tylko chemicznym rozborze, który chociaż nie uczy nas jeszcze z pewnością, że to jest materyał na opał przydatny, jednak bliższe zbadanie na miejscu, mogłoby nas lepiej oświecić jaką korzyść może przynieść to odkrycie. Dlatego więc wypada koniecznie, ażeby kommissya z załączeniem prób tego kopalnego materyálu zawiadomiła o tém JW. Jeneral-Gubernatora i Kuratora Naukowego Okręgu, prosząc o przedsięwzięcie właściwych środków ku bliższemu i ściślejszemu pod każdym względem zbadaniu oznaczonej miejscowości”.

Potém Członek współpracownik K. Tamulewicz odczytał sprawozdanie swoje i aptekarza Kuszewicza o rezultatach chemicznego rozbioru, któremu poddana była z osobna przez każdego z nich kopalna substancya. Z obu tych sprawozdań brzmiących prawie identycznie dają się wyprowadzić następujące wnioski: 1. Że ta substancya nie jest kamiennym węglem, ale coś pośredniego pomiędzy nim a *lignitem*. 2. że może służyć jako paliwo, chociaż miernej dobroci. 3. Że może być użyta jako materyał do wyrabiania gazu łatwo wydzielającego się i nienagannęj dobroci.

Z kolei rzeczywisty członek Kirkor zabrał głos w następujących słowach:

„W sprawozdaniu o archeologicznych poszukiwaniach uskuteczniionych przezemnie w upłynionym 1856 r. w wileńskiej i mińskiej gubernii, ja w liczbie innych miałem zaszczyt wspomnieć na posiedzeniu Towarzystwa o dziwnęj z wielu względów i przez nikogo dotychczas jeszcze

niezbadanej i nieopisanj Zamkowej górze w miasteczku Rzeczkach w wilejskim powiecie, głównem niegdyś siedlisku Słowian-Krywiczów. Jestto bardzo rzadki i w swoim rodzaju jedyne zabytek starożytnej warowni. Góra ta opasana jest dokoła głębokim rowem z dwoma wałami, wyłożonemi naokoło dużemi kamieniami. Na wierzchołku jój znajduje się kotlina usypana z czarnoziemiu, a w głębi samej góry dziwnie zbudowane sklepienie, poczynające się od drugiego wału złożone z kolumn rozmaitych kształtów i wielkości. Wdarłem się wewnątrz do tego podziemia pod górą i oczyściłem je z rumowiska na przestrzeni pięciu sążni, a jedną kolumnę ztamtąd przywiozłem jako wzór i złożyłem ją w naszym muzeum. Nie byłem w stanie zbadać wtenczas szczegółowjéj téj ważnej miejscowości, tém bardziej, że do tego potrzebną była znajomość sztuki wojennej. Ale niedawno zdarzyła się zrzeczność zbadania jój z bardziej naukowego w strategicznym względzie stanowiska. Znajdujący się czasowo w Wilnie sztabs-kapitan generalnego sztabu p. Korewa wyjeżdżał z rzeczy służby do wilejskiego powiatu. Korzystając więc z tego zdarzenia, zobowiązałem go, ażeby zbadał bliżej tę miejscowość, co téż dokonał z szczególniejszą dokładnością i z zupełnóm rzeczy pojęciem. Domysły moje najzupełniej usprawiedliwionemi zostały. Nie ulega żadnej wątpliwości, że to jest krywiczański warowny zamek, wzniesiony jeszcze przed wynalazkiem prochu. Posiadamy teraz plan jego i ile można żądać zbliżone do prawdy ocenie jego w fortyfikacyjnym względzie”.

Następnie p. Kirkor złożył plan miejscowości zdjęty przez p. sztabkapitana Korewę i list jego do siebie pisany, następującej treści:

„Czyniąc zadość prośbie pana, zwiedziłem miasteczko Rzeczek, położone na połockim trakcie o 15 wiorst od miasta Wilejki. Załączając przy niniejszém plan wskazanej przez pana miejscowości, po dokładném zbadaniu wszystkiego na miejscu w strategicznym względzie, mogę panu udzielić następujące uwagi:

1. Wierzchołki całego szeregu wzgórz wznoszących się z prawej strony pocztowego gościńca nieopodal od miasteczka Rzeczek, tworzą wklęsłą krzywą linią zwracającą się na południo-wschód. Wzgórze zaś razem połączone tworzą naturalnym sposobem obronną pozycyą, wzmocnioną z boków fortyfikacyami ziemnymi, których ślady bardzo dobrze zachowały się aż do dnia dzisiejszego.

2. Prawa i środkowa fortyfikacya oznaczona na planie literami A i C usypaną była w dwa piętra i górny wał oddzielony od dolnego rowem, który zapewne w późniejszym czasie został do połowy zasypany ziemią. Górny wał prawej fortyfikacyi liczy do 27 kroków wysokości, niższy zaś około 16. Nasypy lewej fortyfikacyi znacznie są niższe od prawej. Obecnie obie te fortyfikacye, prawa i lewa, zarówno pokryte są lasem.

3. Na środkowém wzgórzu (lit. B) wnosząc z miejscowości i względne go położenia do innych wzgórz je otaczających, musiały takżé znajdować się ziemne wały. Ale ponieważ spadzistość tego wzgórza jest dość pochyla i z wyjątkiem wierzchołka porośłego lasem, obróconą teraz została na uprawne pole, nie dziwnego, że resztki wałów zamieniły się

w skiby ziemi karmiącej chlebem rolnika, który zorał sochą pamiątki przekazane wiekami w spuściznie naddziadom naszym.

4. W ogólności rzuciwszy okiem na wszystkie wyniosłe wzgórza składające opisaną tu pozycyą, wnosić koniecznie potrzeba, że musiały służyć do obrony.

5. Prawe wzgórze panujące nad otaczającą je miejscowością musiało służyć za ochronę (reduit) téj pozycyi, a odkryte przez pana w głębi podziemiu jest już dowodem, że na samym wierzchołku wzgórza zbudowaną była warownia zdolna do obrony i przydatna na zamieszkałą siedzibę. W dawniejszych czasach moc fortyfikacyi zasadzała się głównie na jej wysokości; tém bardziej więc wzgórze wybrane na *ochronę* pozycyi musiało być koniecznie wyższem od wszystkich otaczających je pagórków. W tym celu wysokość góry zwiększoną była sztucznym nasypem, który prócz tego musiał dźwigać na sobie rozmaite budowle; mocny więc fundament koniecznie był tutaj potrzebny. Ślady jego zachowały się aż dotychczas i widoczne są aż nadto w przekopanych przez pana otworach. Szereg pionowo stojących słupów z mieszaniny wapna i piasku pokryty na łokieć grubą warstwą gliny, która przez wpływ czasu zmieniła się w jednę twardą jak cegła masę, stanowi właśnie ów fundament, na którym zrobiony nasyp z ziemi, wyłącznie prawie z czarnoziemiu.

6. W fundamencie zrobione było tajemne przejście dla połączenia zamku za górnym wałem z dolnym wałem. Opieram ten wniosek głównie na tém, że w starożytnych obronnych zamkach, a nawet i w fortecach za najniższy punkt uważane były wrota i dlatego w czasie oblężenia starano się je wzmacniać wszelkimi siłami, tarasując je z wewnątrz kamieniami, belkami i t. p. Tak więc komunikacya na zewnątrz mogła się tylko odbywać za pośrednictwem tajemnego przejścia. W zamku, o którym mowa, tajemne przejście było jeszcze koniecznie potrzebnem i dla bliższej bezpośredniej komunikacyi części załogi, która bronila dolnego wału z załogą i mieszkańcami znajdującymi się w budowlach na górnym wale. Dowódzca kierujący obroną będąc panem skrytego przejścia, mógł zawsze w porę podtrzymać walkę wysłanemi z góry świeżemi posiłkami, które zupełnie niespodzianie i nie narażając się na pociski nieprzyjaciela, mogły przybywać na pomoc swoim towarzyszom. W przypadku porażki u dolnego wału obrońcy mogli cofnąć się potajemnie do górnej warowni, odejmując tym sposobem nacierającym z tyłu za nimi nieprzyjaciółom możność wdarcia się na górne wały. Okoliczność ta zmuszała oblegających szturmować drugi raz do wyższej części fortyfikacyi, gdzie na spotkanie ich występowali obrońcy z świeżemi jeszcze i nie wyczerpanemi w boju siłami.

7. W lewej fortyfikacyi znajduje się i teraz jeszcze w górnym okopie otwór, który takż zapewne służył dla komunikacyi dolnego piętra wałów z górnym, chociaż stanowczo tego twierdzić nie możemy. Nie można wątpić o istnieniu takiego połączenia, bo wejście i wyjście przez wał było ze wszechmiar niedogodnem: ale w tym celu mogło być takżo urządzone podziemne przejście, które po rozkopaniu nasypów może się odkryć w późniejszym czasie.

Zważywszy teraz, że ta część wilejskiego powiatu leżała na pograniczu z innymi słowiańskimi plemionami, mniej więcej sobie nieprzyjaznymi i że w bliskości miasta Rzeczek przechodził trakt połocki, jedyna może w owym czasie komunikacyjna linia, przyznać potrzeba, że wybór wyżej wzmiankowanej pozycyi na warownią odpowiadał dostatecznie i strategicznym kombinacyom, wymagającym głównych punktów, mogących mieć wpływ na przebieg wojennych działań. Pod względem taktyki ta pozycya jest bezsprzecznie jedną z najdogodniejszych: *a*) panuje mianowicie nad okalającą ją miejscowością, i *b*) boki jej zasłania z jednej strony las wielki, a z drugiej jezioro i błotnista dolina, którą przerzyna rzeczka przepływająca przez miasteczko, tak, że broniący się mogą zwrócić całą swoją uwagę na inne słabsze części pozycyi. Dla zabezpieczenia się zaś od skrytych i niespodzianych napadów nieprzyjacielskich od strony błota usypane są w dwa piętra okopy, w nieprzerwanym po sobie ciągu idące.

W fortyfikacyjnym względzie widzimy tutaj zręczne zastosowanie się do miejscowości. Sztuka inżynierska przedstawia się tam wprawdzie w całej swojej prostocie, ale brak nanki zastępował tam zdrowy rozsądek, który umiał skorzystać ze wszystkich dogodności, jakie mu nastroczała sama natura. Przed środkową wyniosłością tworzy się krzyżowa obrona, składająca się z dwóch pięter warownych okopów. Przerwy między prawą, lewą i środkowemi wyniosłościami ostrzeliwiają się z dolnych wałów obu fortyfikacyj. Znacznie górujące nasypy ziemne ułatwiają rozpoznanie i obejrzenie za jednym rzutem oka otaczającej miejscowości. Urządzenie rowów między górnym a dolnym wałem daje możność dłuższego utrzymywania nieprzyjaciela u podnóża górnego nasypu i rażenia go za pomocą kamieni, berwion i innych pocisków używanych w owe czasy ku obronie.

Na zakończenie winniem jeszcze dodać, że jeżeliby ta pozycya nie zachowała nawet widocznych śladów swojego niegdyś przeznaczenia, jednakże jeden rzut oka na samą miejscowość wskazywałby ten punkt jako bardzo dogodny do obronnych działań.

Pojmując bardzo dobrze, z jaką trudnością bez stosownych wskazówek i przygotowawczych wiadomości przychodzi szukać światła w pomroce wieków, gdzie najprawdziwszy na pozór logiczny wniosek, może kryć w sobie zarody najgrubszego błędu, nie uważam moich przypuszczeń za nieomyślne, uręczyć jednak mogę pana, że widziane przezemnie wały sąto bez żadnej wątpliwości fortyfikacye wzmacniające wybraną do obrony pozycyą”.

Po odczytaniu listu pana sztabs-kapitana Korewy, rzeczywisty członek M. Gusiew, który w prędkim czasie zamierza rozpocząć dwuletnią naukową podróż po rozmaitych krajach Europy, pożegnał przed swoim wyjazdem Towarzystwo w następujących wyrazach.

„Szanowni koledzy! Cieszę się, że mi się teraz nadarza zręczność wśród tak liczного zgromadzenia złożyć publicznie hold serdecznej wdzięczności naszemu głównemu przedstawicielowi, panu ministrowi Narodowego Oświecenia, którego względem i staraniom zawdzięczam otrzymane Najwyższe pozwolenie odbycia dwuletniej naukowej podróży za granicą, w celu zwiedzenia astronomicznych obserwatoryj w Niemczech, we Francyi, we Włoszech i w Anglii. Wysoko ceniąc całą wartość Monarszej łaski, otwieram

jącej mnie drogę do wzbogacenia wiadomości w obrębie ukochanej przezemnie nauki, do rozszerzenia zakresu przyszłej mojej naukowej działalności i do stania się pożytecznym pracownikiem w ognisku ojczyznej oświaty, nie mogę jednak w tejże chwili pomimo pocieszających marzeń o przyszłości, otrząsnąć się z lęklivego zwątpienia w własne siły, jak również stłumić w sobie żalu na samą myśl, że mi na całe dwa lata wypadnie rzec się czynnego udziału w bieżących i szybko rozwijających się pracach wileńskiej archeologicznej komisji: godność Członka, której zaprawdę tak niezastąpienie pochlebną dla mnie, chciałbym jeszcze zatrzymać na długo i godnie jej odpowiedzieć. Nie tracę więc jeszcze nadziei, że i w czasie podróży mojej, nie spuszczaając z oka głównego jej celu, będę mógł przy zręczności stać się użytecznym Naukowemu Towarzystwu, raz spełniając dawane mi przez Towarzystwo polecenia, to znowu udzielając mu wiadomości o urządzeniu i czynnościach zagranicznych towarzystw, dążących do jednegoż co i my celu, albo też bliżej nas obchodzących z historycznych stosunków. Dlatego więc naprzód ośmielam się tu prosić wysoce przezemnie czonego prezesa, ażeby w programmacie miesięcznych posiedzeń komisji chciał zostawiać niekiedy miejsce dla mało znaczących notat, które czasami przysyłać będę Towarzystwu. Bez wątpienia korzyści ze zwiedzania przezemnie zagranicznych bibliotek, muzeów i naukowych Towarzystw mogłyby spłynąć obficie jak dla mnie samego, tak też może i dla komisji, jeśliby mógł od niej kiedy niekiedy otrzymywać instrukcje z wskazaniem przedmiotów, na które powinienem zwrócić szczególniejszą uwagę. Licząc w tym względzie na pomoc szanownych kolegów tak dla mnie potrzebną, wskażę tutaj główne punkta mojej podróży w takim mianowicie porządku, w jakim je zwiedzić zamierzam: Królewiec, Frauenburg, Malborg, Gdańsk, Toruń, Berlin, Hamburg, Bonn, Kolonia, Moguncya, Frankfurt, Gota, Wejmar, Lipsk, Drezno, Praga, Olomuniec, Brünn, Wiedeń, Ofen, Mnichowo, Zürich, Bern, Genewa, Turyn, Medyolan, Padwa, Wenecya, Modena, Florencya, Piza, Rzym, Neapol, zwaliska Pompei, Palermo, a w pomysłnym nawet razie może i Ateny; potem Marsylia, Tuluza, Paryż, Bruxella, Londyn, Edyburg, Dublin i inne ważniejsze punkta połączonych królestw; Amszterdam, Lejda, Utrecht, Getynga, Dessau, Halla, Wrocław, Kraków i Warszawa. Z żalem składam z siebie w dniu dzisiejszym obowiązek redaktora Pamiętników wileńskiej archeologicznej komisji, który uważałem dla siebie za największy zaszczyt, tem bardziej, że miałem szczęście pełnić go razem z tak dostojnymi kolegami, posiadającymi rozgłosną i zupełnie zasłużoną literacko-naukową sławę. Ubolewam, że druga część Pamiętników może poczęści z przyczyny ostatniej mojej choroby, a potem z powodu przygotowań do podróży, jeszcze nie prędko będzie mogła być puszczoną w świat. Winienem tu wyznać, że prócz dwóch artykułów moich o kalendarzach, mających wejść w skład tego tomu, nie przyjmowałem zresztą innego udziału w jego redakcyi; dlatego sprawiedliwość nakazuje mi domagać się, ażeby nazwisko moje jako redaktora było wyrzucone z tytułowej karty tego wydania. Nakoniec pozostaje mi tylko wynurzyć najserdeczniejsze życzenie, ażeby po dwuletniej nieobecności mojej mógł znowu zająć dawne miejsce w tem dostojnym gronie, ażeby nasze młode Towa-

rzystwo wzrastając w liczbę Członków, zarazem i rozszerzało zakres swojej naukowej działalności, dopóki nie obejmie tych licznych zagadnień, rozwiązanie których stanowi zadanie miejscowej archeologii, i nakoniec, ażeby za łaską Opatrzności żaden z terażniejszych gorliwych pracowników Towarzystwa nie przekroczył przedwcześnie poza tajemnicze granice tego państwa, którego bogate, ale nieme pamiątki przychodzi nam przywoływać z martwych do nowego życia”.

Wybrany na przeszłym posiedzeniu na członka współpracownika towarzystwa kandydat prawa moskiewskiego uniwersytetu W. Wiesiowski w dziękczynnej mowie swojej, starał się rozwinąć myśl o celach każdego naukowego Towarzystwa, które chce zdążyć za duchem czasu. Dla braku miejsca, nie mogąc umieścić w całości tej dość długiej mowy, udzielamy tutaj kilka z niej wyjątków:

„Panowie! Na przeszłym posiedzeniu na wniosek szanownego prezesa kommissyi hr. Eustachego Tyszkiewicza i A. Kirkora, spotkał mię zaszczyt wyboru na członka współpracownika kommissyi i połączonego z nią muzeum starożytności.

„Pół roku zaledwie upłynęło od czasu jak przybyłem do tego kraju, nieoznajomiony z jego życiem, językiem i zwyczajami. Przyniosłem tylko z sobą w sercu szczerą bratnią miłość dla jedno-plemiennego narodu, a w duszy gorącą żądzę poznania nowych otaczających mnie żywiołów. Rzuciwszy niedawno ławki uniwersytetu, pod którego opiekuńcze skrzydła Litwa nienaprawdę z zaufaniem oddaje kwiat swojej młodzieży, przynosząc z sobą miłość i szacunek dla narodu, miałem tylko prawo liczyć na współczucie pojedynczych osób.

„Ale, panowie, nie miałem prawa do współczucia Naukowego Towarzystwa, które chociaż niedawno jeszcze wyszło z kolebki, umiało już stanąć na czele naukowych dążeń kraju i trwale owładnąć sympatjami ogółu. Nie miałem prawa do współczucia, które się wywalczą długą i mozolną pracą a nieraz i poświęceniem całego życia, mając za sobą tylko jedną gorącą chęć do pracy i pierwsze moje nieudolne próby.

„Chlubię się tym wyborem i noszę zań towarzystwu serdeczne dzięki. Pozostaje mi teraz tylko na przyszłość zaszczytne dla mnie zadanie, w miarę sił i możliwości usprawiedliwić to szlachetne zaufanie, które wzbudziła ku mnie rękojmnia dwóch najczynniejszych przedstawicieli naszego towarzystwa.

„Ale, panowie, to niezasłużone, chociaż chlubne współczucie pada ciężarem wielkiej wagi na człowieka pojmującego własną godność. Znośniejszym się wprawdzie staje po części ten ciężar pod wpływem nadziei w możność wyplacenia się w przyszłości i serdeczną do niej gotowością. Pod wpływem tego ostatniego uczucia, gotowym będąc na wezwanie towarzystwa poświęcić mu i moją pracę i nieudolne siły, koniecznie musiałem naprzód zdać sobie sprawę z wymagań i warunków nowego dla mnie towarzyskiego żywiołu. Dlatego więc pozwolić mi dotknąć pobieżnie glówniejszych punktów tej kwestyi”.

Wytknąwszy jednostronność zarzutów robionych naszemu stuleciu względem jego wyłącznie praktycznego kierunku i powiedziawszy kilka słów o dążności współczesnych naukowych towarzystw do połączenia



swoich naukowych dążności z życiem zewnętrznem; p. Wiesiołowski wziął się do skreślenia tego panującego kierunku w nauce, który łączy nauki historyczne z naukami przyrodzonymi, i zakończył rzecz następującemi słowami:

„Milne-Edwards w liście pisanym do Amedeusza Thierry wykazał ścisły związek, jaki koniecznie istnieć powinien pomiędzy historią i naukami przyrodzonymi, i pierwszy z świetnem powodzeniem wkroczył na tę nieutorowaną jeszcze drogę. W ostatnich czasach kierunek ten przyniósł najpiękniejsze owoce. W układzie tutejszego muzeum uderzającym się wydaje na pierwszy rzut oka połączenie różnorodnych przedmiotów, które wypłynęło wprawdzie z przypadkowych, ale w istocie racjonalnych przyczyn. Przypadkowo, ale racjonalnie zbiegły się tutaj przedmioty nauk przyrodzonych, z rozsypującemi się w proch zabytkami dawnej Litwy, z pamiątkami jej przeszłości. Nie napróżno archeologiczna komisya wezwała do swojego grona i kilku naturalistów. Wiek nasz rozumnie postawił naukę przeszłości i nauki przyrodzone na czele swoich naukowych dążności, łącząc je z sobą w jeden piękny organiczny związek. Czyliżto jedno nie uwalnia naszego stulecia od zarzutów praktyczności i materializmu, które przybierają tylko olbrzymie rozmiary w oczach stronniczych krzykaczy?”

Dalój dowiódłszy, że każde naukowe Towarzystwo zerwawszy ścisły bezpośredni związek z społecznem życiem, traci sympatje publiczności i żyje nikłym, bezowocnym dla nauki i dla społeczności życiem, na poparcie czego przytoczył kilka zasmucających przykładów; p. Wiesiołowski zakończył swoją ożywioną mowę temi wyrazami:

„Napomknąłem tylko o jednym z głównych warunków życia każdego naukowego Towarzystwa. Pozwólcie mi teraz, panowie, zakończyć to przemówienie moje wyrazem serdecznej podziękji i serdecznych życzeń.

Pozwólcie raz jeszcze podziękować z całego serca prezesowi towarzystwa hr. Eustachemu Tyszkiewiczowi i rzeczywistemu członkowi A. Kirkorowi za tę szlachetną rękojmię i zaufanie ku mnie, z jakim raczyli przemówić do was za mną. Pozwólcie podziękować z całego serca wszystkim tym, którzy w imię tej rękojmi zaszczytli mnie przyjęciem do swojego grona. Pozwólcie nakoniec życzyć towarzystwu niedawno jeszcze zawiązanemu, ale już pełnemu moralnych zasobów, ażeby na zawsze zachowało żywotny bezpośredni związek z życiem. W ścisłym związku z życiem nie masz dla towarzystwa śmierci, ale tylko szereg następujących po sobie świetnych przeistoczeń”.

Z kolei potem rzeczywisty członek A. Kirkor odczytał wyjątki z listów do siebie i do prezesa towarzystwa pisanych, a w liczbie innych z listu znakomitego członka towarzystwa Wacława Hanki, w którym zawiadania Towarzystwo, że oficjalne podziękowanie za wybranie go na członka komisyy wręczone zostało przez niego osobiscie p. ministrowi narodowego oświecenia podczas bytności jego excellencyi tego lata w Pradze. 2) Z listu p. Przyborowskiego o czynnościach Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu, przy którym załączony został przez niego katalog muzeum tego Towarzystwa i 3) z listu hr. Adama Platara o ciekawym dre-

wnianym posągu znalezionym w okolicach Tylży, którego rysunek przy liście załączył.

Nakoniec, na wniosek prezesa i rzeczywistego członka A. Kirkora wybrani zostali na członków honorowych jednogłośnie: kamerjunkier dworu JEHO CESARSKIEJ MOŚCI hr. Stefan *Plater*, i hr. Adam *Plater*, a także w skutek listownej odezwy w której oświadczył chęć wejścia w skład towarzystwa, honorowy dozorca szkół w rosieńskim powiecie hr. Edward *Czapski*.

### Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Znany archeolog w Kownie pan Jan Prekier zwrócił mi niedawno poufnie uwagę, że w mojej podróży po Litwie, drukowanej w roku zeszłym w Bibliotece Warszawskiej, mówiąc o gubernii wileńskiej, o kolejach jakie przechodziła, zanim do granic dziś zajmowanych przyszła; popełniłem błąd w dacie (3 maja 1795), stanowiąc mającej datę utworzenia gubernii mińskiej. (Tom III, str. 141 Bibl. Warsz.).

Twierdzi dalej p. Prekier, że taż gubernia utworzoną została nie 3 maja 1795 r., ale w marcu 1793 r., i zdanie swe gruntuje na dwóch dokumentach:

1. Na ukazie cesarzowej Katarzyny II-jej ogłoszonym dnia 18 kwietnia 1793 r., w którym powiedziano: „Utworzyć nowe trzy gubernie: mińską, izasławską i braclawską. Do tych gubernii na generała-gubernatora przeznaczamy generała Kreczetnikowa i t. d.

2. Na akcie przez tegoż generała Michała Kreczetnikowa ogłoszonym d. 27 marca 1793 r., w którym wymieniono granicę gubernii.

Zdaje się, że twierdzenie swoje pan Prekier dostatecznie popiera, bo jeśli ukaz gubernię mińską ustanowił w r. 1793, bardzo naturalnie, że ona nie mogła być utworzoną w dwa lata później. Na mnie wszelako leży obowiązek usprawiedliwienia się z zarzutu. Postanowiłem to jednak uczynić za Szanownej Redakcyi pośrednictwem, tak z miłości prawdy, która jawną zawsze być powinna, jak niemniej dla usunięcia błędu, i dla niedopuszczenia powtarzania go w przyszłości. Pisząc o gubernii wileńskiej, rzeczoną powyżej datę przywiódłem z artykułu pana Ad. Kirkora: *Staticzeskiej wzgląd na Wilenskuju guberniu*, pomieszczonego w *Pamiętnoj kniżce wileńskiej gubernii* za 1853 r. Pan Kirkor więc wskazując obecnie źródło, z którego owę datę zacerpnął, mógłby kwestyą tę ostatecznie rozwiązać. Mam nadzieję, że odezwy naszej milczeniem nie pominie, zwłaszcza, że wskazanie rzeczywistych granic i daty utworzenia gubernii mińskiej, nie jest znów rzeczą tak zbyt małej wagi.

Warszawa, dnia 5 lutego 1858 r.

Ferdynand Nowakowski.

## DONIESIENIA LITERACKIE.

### WARSZAWA.

Z publikacyj z początkiem Nowego Roku wydanych, kładziemy na czele poezye Teofila Lenartowicza w dwóch częściach, nakładem księgarza Alex. Nowoleckiego. Część pierwsza obejmuje świeższe utwory tego poety; część druga wybór z dawniejszych, kiedy był współpracownikiem różnych pism czasowych. Żałujemy, że wydawca nie położył daty pod każdym, tym sposobem widzielibyśmy, jak ten wieszcz ulubiony rozwijał się z latami i wzrastał. Dziękujemy wydawcy za ten zbiorek, sąto bowiem jedne z najpiękniejszych kwiatów naszej dzisiejszych czasów poezyi, pełne wdzięku, formy i prawdziwego namaszczenia.

— Nie możemy pominąć wydanego nakładem S. Orgelbranda poczetu drugiego: „Improwizacyj i poezyj Deotymy” które równocześnie wyszły. Mieszczą się tu utwory tego wzniosłego talentu od r. 1853 do 1857 w części tylko znane. Spodziewamy się obszernego rozbioru tych Improwizacyj i poezyj, który wykaże całą ich wartość i znaczenie w literaturze naszej.

— Nakładem G. Sennewalda księgarza wyszła: Stenografia Polska; z rękopismu ś. p. K. Krupskiego b. redaktora Gazety Codziennej. Jest to pierwsza w tym rodzaju praca w naszym języku; upowszechnienie zasad stenografii i jej znajomość, niemałe może przynieść korzyści. Wydanie staranne objaśnione XXVI tablicami litografowanymi.

— Ogłoszonym został prospekt na Album widoków instytutu Alexandryjskiego ogrodu i okolic Nowej Alexandryi (pałacu) rysowane z natury przez panią Czernof, litografowane przez A. Cassagne w Paryżu. Wydanie z całym przepychem na welinowym i kolorowym papierze obejmuje 24 widoków różnego rodzaju rysunków, jakoto: sztychów i akwareli. Wyjdzie w sześciu zeszytach, każdy złożony ze 4 rycin. Cena numeraty 100 franków czyli 25 rsr.

— Wizerunków z galerii łowickiej arcybiskupów gnieźnieńskich i prymasów, objaśnionych textem historycznym przez J. Bartoszewicza, zeszyt trzeci wyszedł i obejmuje portrety: 1) Piotra Leszczyca A. G. 2) Marcina Zabawy. A. G. 3) Jakóba Zniusa. 4) Piotra Szreniawity. Text do tych wizerunków jest bardzo szczupły, bo nasz badacz nie miał pola do rozwinięcia takowego, choć wyczerpał wszelkie dostępne nam źródła: o tych też postaciach z XI i XII wieku, nikt nic więcej nam nie wypowie. Spodziewamy się w dalszych zeszytach, gdy przyjdą wizerunki z późniejszych wieków naszych arcybiskupów, obszerniejszych i bogatszych życiorysów, dwadzieścia dwa bowiem zeszytów stanowić będą całość tej publikacyi. Jak poprzednie wizerunki wyszły nakładem litografii A. Pecq'a, tak mamy z teje litografii wydany w porządku 9 zeszyt królów polskich, z obszernym textem J. Bartoszewicza. Zeszyt ten obejmuje wizerunki królów: Kazimierza Jagiellończyka, Jana Alberta z facsimilem podpisu i Alexandra (z facsimilem) Jagiellończyków, wedle rysunków Alexandra Lessera. Wszystkie odznaczają się tak pięknnością rysunku, i odbicia, jakoteż autentycznością swoją.

— Scena nasza z Nowym Rokiem obudziła powszechne zajęcie, wystawieniem długo oczekiwanej opery *Halki*. Ścisk o bilety był niesłychany: z góry na kilka przedstawień rozebrano łoże i krzesła. Wszystkie pisma nasze codzienne, jak i *Ruch* muzyczny J. Sikorskiego, szeroko rozpiły się o tym nowym utworze Stanisława Moniuszki, i oddały talentowi jego i pracy należne pochwały. Przywoływany po wielokroć po każdym przedstawieniu na scenie, znalazł najpiękniejszą nagrodę, jaką artysta może zapragnąć, widząc jakim zapalem przejął serca tysiąca widzów, którzy mu hołd tak wymowny składali. Artyści nasi dramatyczni opery, szlachetnie a dzielnie wsparli na scenie ten utwor narodowy, tak śpiewem i grą, jak starannością w przedstawieniu. Libretto ułożył Włodzimierz Wolski, wzięwszy za treść obrazek dramatyczny K. Wł. Wojcickiego ze *Starych gawęd i obrazów*. Oceniono już dostatecznie wartość pracy Wł. Wolskiego: my tylko dodamy, że wiele życia dramatycznego akt 2 stracił przez to, że obrzęd zaręczyn przeniósł do miasta: kiedy rzecz całą winien był utrzymać w Karpatach. Opera ta długo będzie zapewne zdobić scenę naszą.

Dnia 7 stycznia r. b. artyści teatrów warszawskich, amatorowie opery naszej, również jak redakcyje pism naszych w liczbie około siedmdziesięciu osób zebrałi się w jednej z sal hotelu Europejskiego, ażeby pożegnalnym obiadem uczcić autora *Halki*. Przy końcu biesiady, K. Wł. Wojcicki wniósł toast za zdrowie Moniuszki, z przypomnieniem obecnym rodzinnej ziemi czczonego gościa, która nam dała tytuł wieszcz, historyków, i mężów wiekopomnej zastugi. Moniuszko odpowiedział krótkim ale serdecznym słowem, z głębokim wzruszeniem. Nazajutrz opuścił nasze miasto, spiesząc do swej rodziny. Nowa księgarnia G. Gebethnera i spółki, nabyła operę *Halkę*, która wyjdzie: 1) W całej partyty z tekstem do śpiewu. 2) W pojedynczych numerach do śpiewu. 3) Cała partycja w układzie na sam fortepian. 4) Uwertura na sam fortepian. 5) Uwertura na cztery ręce.

— Pism Adama Mickiewicza, nakładem S. H. Merzbacha wyszedł z pod prasy tom drugi i obejmuje: Konrada Wallenroda, Grażynę; powieści historyczne; poema *Dziady* część 2 i 4 oraz nowe poezye, a między temi *Farysa*. Tom trzeci już jest pod prasą: w nim mamy sześć pierwszych ksiąg *Pana Tadeusza*: w tomie 4ym sześć następnych, stanowiących całość powieści. Wydawca z całą sumienną starannością przystąpił do druku *Pana Tadeusza*. Myłki druku w ostatniem wydaniu poprawione przez autora, jakoteż pozostawione dodatki w różnych ustępach; pierwsze zostały poprawione, drugimi text ubogacony. Dla wskazania zaś czytelnikom tych dodatków własnoręcznie przez ś. p. Mickiewicza skreślonych: każdy oznaczonym został gwiazdkami, wśród pierwotnego tekstu. Tak na pierwszy rzut oka czytelnik będzie mógł ocenić, o ile to wydanie wzbogaconem zostało temi autora dodatkami. Nadto w końcu każdego tomu dodane zostaną warianty różnych ustępów, z rękopismów pozostałych Adama Mickiewicza. Zapowiedziane ryciny przez wydawcę do droższego wydania (8 tomów złp. 100) już Alexander Lesser i Gerson zaczęli. Przy *prelekcjach* dodanym zostanie popiersie wieszca naszego w młodszym latach, wedle rysunku Wańkowicza.

— Wojciech Szymanowski b. artysta dramatyczny, znany z wielu prac literackich użytecznych, wydał teraz: „Wielką grę towarzyską z tablicą 63 portretów”. Na oddzielnej tablicy są portrety królów polskich od Mieczysława I poczynając, oraz znakomitych rodaków z numerem bieżącym pod każdym. Odpowiednio tym numerom, w oddzielnej książeczce są życiorysy; po każdym rzuceniu kostką obowiązany jest rzucający głośno przeczytać z niej właściwy ustęp: tym sposobem zabawa połączona jest z wielce użyteczną dla dziatwy naszej nauką. Gra ta powinna znaleźć miłe i gościune przyjęcie w każdej rodzinie. Wydawca, przygotowująca podobną grę jeografii polskiej: niedługo ujrzymy ją, i zdamy sprawozdanie czytelnikom naszym.

— Wkrótce w piśmie naszym z pośmiertnych rękopismów Jana W. Bandtkiego ogłosimy rozprawę o Tatarach. W r. z. professor uniwersytetu Petersburskiego znany orientalista Muchliński wydał w Petersburgu dzieło p. n. „Badania o pochodzeniu i obecnym stanie litewskich Tatarów. Autor, opierając się na źródłach tureckich i polskich, oraz mając zebrane w czasach ostatnich wiadomości statystyczne, wiele podał nam zajmujących szczegółów o dziejach tatarskich kolonij na Litwie od pierwszych hanów Złotej ordy aż do naszych czasów. Z tej szacownej pracy zapewne nasz uczony badacz Julian Bartoszewicz nie zaniedba korzystać do swjej rozprawy o Tatarach, którą mamy przyrzeczoną w ważnej publikacji A. Nowoleckiego Koranu.

— Ogłoszoną została przedpłata na dzieło p. n. „Wykład początków fizyki doświadczalnej i stosowanej oraz meteorologii przez A. Gannota. Przekład z francuzkiego podług siódmego wydania przez studentów Cesarsko-Królewskiej Medyko-Chirurgicznej Akademii w Warszawie, przejrzany przez S. Przysiańskiego. Z 558 drzeworytami w instytucie drzeworytniczym Jana Minheymera w Warszawie. Sześć zeszytów kosztować będzie złp. 23 gr. 10. Tłumaczyli to dzieło Ludwik Brzozowski, Mikulski, Łaguna i Wszebör.

— Wyszedł z druku 5 zeszyt „Więca” i zawiera 37 artykułów następujących osób: Justyna W., Stanimiry, Józefy Śmigielskiej, Tymoteusza Rodziszewskiego, D. K., —b—, Jana z Dukli L., Jana Seidlitz, Adama Pługa (Antoniego Pietkiewicza), Adama Mieczynskiego, Dra Ferdynanda Dienheim Chotomskiego, Franciszka Odrowąż Wilkońskiego, Maryi Imickiej, Romana Zmorskiego, Ludwika z Drewnowskich Młocickiej, Ludwika Jenike, J. W., Zygmunta Aurehana Lemnickiego, Wojciecha M. B., Pauliny z Radziejowskich Kraków, Henryka Chrzanowskiego, Antoniego Baranowskiego, Alexandra Łysińskiego, Antka Niwki, C. K., Max. Urbańskiego, Romuła Suchodolskiego, Karola Mecherzyńskiego, Julii Goczałkowskiej, L. C., Piotra w okowach D., B. Pakajzer, i Teofila Lenartowicza.

Artykuły te nadesłane były: z Warszawy, z Suwałk, z Potoku na Podolu, ze Lwowa, z Kalisza, Mohylova nad Dnieprem, Krakowa, Kiele, Hulcza w Galicyi, Rzymu. i t. d.

— Wspomnieliśmy jako o osobliwości o wydanym zbiorze poezyi w r. z. Eliasza Antoniego Łukaszewicza p. n. „Chwile od prac swobodne”. Teraz otrzymaliśmy tę książeczkę o 133 stronnicach ozdobnego wydania. Raczej więcej z ciekawości, jak zaufaniem o wartości poety-

cznych płodów autora, zaczęliśmy czytać: jakież było nasze zadziwienie, gdyśmy znaleźli prawdziwy talent i poezją! Forma wysokiego nastroju lirycznego cechuje wszystkie. Talent wyższego polotu, rokujący wiele dla naszej literatury, znaleźliśmy w pieśniach: „Bogu chwała”, „Łza”, „Trup” i „Światło”. Pomimo małych usterków języka, znać w autorze, że umie nim dzielnie władać, że ma wszystkie skarby jego na zawołaniu, pod ręką. Wiele z tych pieśni, jeżeli nie całych, to w ustępach, mogłyby być upowszechnione w kraju, gdyby kto równie jak zgasły Ignacy Komorowski, potrafił podłożyć melodyjną muzykę. Nie podajemy żadnych wyjątków, a to dlatego, że wyrwane ustępy nie dałyby poznać wartości całości. Wśród natłoku rymowanych gawęd, w których napróżno szukać poezji: miło jest powitać pieśniarza z dalekiego nadnorza, z miasta pełnego kupieckiego gwaru, który nam rzucił kilka kwiatów pełnych barwy i woni poetycznej.

— Księgarz i typograf S. Orgelbrand w r. b. wyda następne nakłady swoje: „Boska komedia Dantego, przekład Juliana Korsaka, z popiersiem tłumacza i drzeworytami do textu Dantego; Dzieje księstwa mazowieckiego, Kozłowski, 2 tomy; Gigantomachją Kordeckiego, przekładu J. Łepkowskiego; Powiastki mazurskie K. Wł. Wójcickiego. W tejże drukarni kończy się druk tłumaczenia W. Szekspira tom 2gi przez Komierowskiego, i rozpoczęło się drukowanie dzieła hr. Uruskiego w 4 tomach Kwestyi włościańskiej, które nakładem swoim S. Orgelbrand wydaje: równie jak: „Dzieje narodów słowiańskich wraz z obrazem ich rozwoju umysłowego i literatury, skreślone podług dzieł najcelniejszych, oraz najnowszych badań i poszukiwań.” Wypracował je Leon Rogalski, tłumacz historii powszechnej Cezara Cantu, znany z tyłu prac wielkiej wartości, któremi z bogactwa ciągle literaturę ojczyzną. W dziele pomienionem (które służyć będzie jako dopełnienie Cantu, i samo w sobie stanowi oddzielną całość) wystąpią nie tylko narody wielkie, przodkujące ogromnemu i szeroko rozgałęzionemu rodowi słowiańskiemu, ale i drobne, mało znane, biedne, prawie wygasłe pod germańskiem ciemnictwem i srogim prześladowaniem, nad-Baltyckie starowieczne słowiańskiego szczeplu ludu.

— Eustachy Marylski zajmuje się obecnie przygotowaniem do druku Opisu cmentarzy drezdeńskich, gdzie tyle zasłużonych naszych rodaków spoczywa. Format tego opisu ma być ten sam w 4ce jak opis cmentarza Powązkowskiego pod Warszawą K. Wł. Wójcickiego, stanowić ma niejako jeden ciąg, a zarazem i całość w sobie. W tym roku ma się druk pomienionego dzieła rozpocząć.

— Znany sztycharz Jan Minheymer nadesłał do redakcyi Bibliot. Warsz. odezwę swoją, którą w całości podajemy:

„Istotna potrzeba zakładu drzeworytniczego coraz wyraźniej u nas czuć się dawała. Rozwój literatury wymaga koniecznego postępu w drukarstwie, litografii i drzeworytnictwie, a na tém ostatniem zupełnie prawie nam zbywało. Chcąc ten brak zapełnić, połączyłem mój dawno istniejący zakład sztycharski z kompletnym zakładem drzeworytniczym, i tak dalece już w tém postąpiłem, że jestem w stanie najobszerniejsze wykonać obstatunki, i to po cenach takich samych, jakie się za gra-

nicą płacą". Bzczywiście dotkliwy brak tego rodzaju zakładu dawał się u nas uczuwać oddawna. Wskrzesił drzeworyty u nas w Warszawie znany artysta Wincenty Smokowski, ale sam je ręcznie wyrabiając, nie mógł podołać żądaniom, bo zakładu nie miał. P. Minheymer w zawodzie sztycharskim nie mało złożył dowody i znajomości sztuki, i sumiennę staranność. Mamy niepłonną nadzieję, że zakład jego drzeworytniczy do znakomitego dojdzie rozwoju.

— Tomasz Olizarowski, znany wieszcz nasz, który utworami prawdziwie poetycznej wartości przed dwudziestą przeszło laty dał się już poznać, w cichości pracując, ma teraz ogłosić drukiem trzy poemata dramatyczne: *Aurora*, *Wulpolup*, i *Marjan Mazowicz*. Na ukończeniu zaś ma mieć w obszernych rozmiarach trylogią historyczną p. n. *Wincenty z Pomorzau* (z *Szamotuł*).

— Z pewnego i niezaprzeczonego źródła dowiadujemy się, że znany pisarz T. Dr. Tripplin po powrocie z Jerozolimy przeszedł na łono katolickiego kościoła, i udaje się do Rzymu z Konstantynopola, gdzie bawił czas niejaki.

— Ruchu Muzycznego na r. b. pod redakcją Józefa Sikorskiego wyszło numerów 40. Na rzuconą myśl przez szanownego redaktora tego pisma, zbierania składki na pomnik grobowy dla uczczenia pamięci zmarłego Karola Kurpińskiego, dawna stolica Gedymina odpowiedziała najszlachetniej. Wileńskie stowarzyszenie muzyczne pod wezwaniem Śc. Cecylii, naprędce złożony ogłosiło wieczór muzyczny, a wsparte współzuciem braci naszych Litwinów, uzbierane z dochodu Rsr. 100 nadesłało na ręce J. Sikorskiego. Przytoczymy tu ustęp z listu p. A. Bonoldi członka pomienionego stowarzyszenia, ogłoszony w Ruchu Muzycznym Nr. 3 (Do redaktora tego pisma).

„Organ wasz niedawno jeszcze i prawie przebojem podjął głos w dobrej sprawie, do której najświeższych dziś symptomatów należy: uznanie potrzeby oddania sprawiedliwości zasługom ś. p. Karola Kurpińskiego i przedstawienie Halki Stanisława Moniuszki po dwunastoletniem zaniedbaniu. Odrazu szczerze przyznanie się do winy i pierwszy krok ku poprawie. Snać przejrzyliśmy nie żartem i przekonaliśmy się goniąc tak długo za cudzoziemskimi błyskotkami, jak najmniej z potrzebami naszego ducha zgodnemi, żeśmy sponiewierali świętokradzko estetyczne skarby naszej ziemi, i gwałtem przeczyliśmy prawdzie sercom naszym wrodzonej, aby niewolniczo zginać kolana przed bóstwem może potężnem, ale cudzem i dla nas nieprzychylnem. Pójdźmy więc dalej krok za krokiem, a wkrótce może i Zachód zacznie sobie przyswajać dzieła naszej muzyki dramatycznej. Alboż myśl Boża z nami nie gości?”

— W *Ruskim Wiestniku* wychodzącym w Moskwie, w zeszycie listopadowym, czytamy rozprawę p. n. Nowości polskiej literatury, w której obznajmiając publiczność rossyjską z najuowszemi dziełami polskimi, robi sprawozdanie z pisma naszego zeszytów lipcowego i sierpniowego r z., w którym szerzej się rozwodzi o *Wycieczce* na Litwę Ferdynanda Nowakowskiego, i zwraca uwagę na pracę pp. *Krzyżanowskiego*, *Romanowskiego* i *Bartoszewieza*. Wspominając „Czytelnia Niedzielną” przywodzi w przekładzie cały list przez dwóch włościan Be-

ryndy i Nockiego ze wsi Tomaszowka gubernii podolskiej nadesłany do redaktorki p. Petrów, któryśmy w naszym piśmie ogłosili.

— Korrespondent poznański Gazety Warszawskiej, mówiąc o Przeglądzie Poznańskim i jego wystąpieniu przeciwko J. Kraszewskiemu, pisze: „Od pewnego czasu zjawił się pomiędzy nami typ ludzi nieswojskich, przemawiających tonem nauczycieli, przywłaszczających sobie prawo napanowania wszystkich, nieprzyjmując żadnej uwagi od nikogo, usiłujących nauczać świadomych, nawracać nie zbłąkanych, coś na podobieństwo Missyonarzy salonowych. Wprawdzie nie trudne poświęcenie utonąć w miękkim fotelu, skupiać na swoje czoło aureolę z łagodnego światła alabastrowej lampy, i tak nauczać rzesze w glansowanych rękawiczkach, lub otuloni wdzięcznie fałdującymi się bławalami. Mimo tak łatwego posłannictwa, po jakimś czasie nauczyciele fanatyzują się, stają się dziwnie zarozumiętymi, wypowiadając każde swe twierdzenie dogmatycznie: najłżejsza też opozycja doprowadza ich do takiej gwałtowności, że nieraz tracą rozwagę. Przegląd Poznański jest piśmiennym wyrazem tych missyonarzy, którzy zamiast do skalistego Tybetu, puścili się w pielgrzymkę na woskowane posadzki. Spotykamy nieraz w tem piśmie artykuły z wyższym krytycznym poglądem, z głębszym pojęciem przedmiotu: znać i estetyczne ukształcenie i artystyczne poczucie, ale niech tylko samemu recenzentowi przyjdzie o kilka linii niżej mówić o autorze nie lubionym, traci natychmiast z uwagi czerstwość swojego sądu, główną myśl i cel moralny dzieła: pominie wartość strony umiejelnej lub artystycznej, czepiając się tylko ustępów, a nieraz i pojedynczych punktów, opierając na nich swój akt oskarżenia. Ma wprawdzie Przegląd całe szeregi autorów, którym się nigdy słówko nagany nie dostaje: temi wybranymi wśród poetów są: niedawno zmarły Kozłmian Kajetan, obok niego Fr. Jenerał Morawski; a pod drugim numerem za nimi Maryja z Gniezna. Z historyków jedyny P. Dzieduszycki, autor Skargi i Zbigniewa: o wszystkich innych pracujących na polu dziejów polskich zawyrokowało to piśmo jako nieumiejących pojmwować przeszłości narodu. W szczególności zaś głęboki badacz Leleweł wielkiej doznaje nielaski: przyznaje mu jedynie zasługę szperacza w starych papierach, jakie nieraz fałszywie odczytuje. Karcono też po wiele razy w tem piśmie poważnego historyka, zarzucano mu nawet, że nie umie prowadzić polemiki, gdyż dyskutuje w formie nieprzyzwoitej. W ostatnich czasach Przegląd zabrał się do wykazania nieudolności autorów z dziedziny pięknej literatury, obdarzonych prawdziwym talentem i posiadających ogólną sympatją czytającej polskiej publiczności. Syrokomli każdy szerszych rozmiarów poemat, jak i ulotna poezya, były rozsnuwane myśl po myśli, wiersz po wierszu, i wrzucane w trąbkę krytyki, gdzie wstrząsane po wiele razy, układały się w różne zygzaki i gwiazdki, jak szkiełka i suche ziarno w kalejdoskopie, lecz zupełnie różne od tych, jakie się objawiły w duchu poety. Od czasu jak J. I. Kraszewski upomniał się za nim w Gazecie Warszawskiej, pochwalono pierwszy raz jego utwór (Nocleg Hetmański), lecz za to w następnym poszycie zwrócono się z widoczną zemłą nie do dzieł, ale do autorskiego charakteru Kraszewskiego.” W końcu dodaje: „przykro to, że jedyne pismo literackie, jakie potrafiło się utrzymać w Poznańskim wśród nieprzyjaznych okoliczności piśmiennictwu poryodycznemu, nie-



chce pojąć czém jest krytyka w literaturze, i obróciło ją na swój użytek prywatny. Zaledwie też zdołało zgromadzić około siebie małe kółko zwolenników, w całej zaś rozbieżnej czytającej publiczności budzi do siebie niewiarę, odstraszać ją drobiazgową i stronniczą krytyką, z której wieje tak często zawiść i niechęć, usiłujące potępić pisarzy, co są jakby harfy najszlachetniejszych uczuć i najwznioślejszych myśli swego czasu."

(Wyjątek z listu Włod: S. hr. de Broel-Platera). „Franciszek Radwan Radziszewski gorliwie dalej nad swym słownikiem biograficznym pracuje. Wziął się krom tego do słownika geograficzno-historycznego Polski i Litwy. Za podstawę wstępną służy mu Starożytna Polska, ale jeśli powoli wykończy tę pracę, to większa różnica będzie między jego Słownikiem a Balińskim i Lipińskim, niżeli między temi a Święckim. Ogromnych rozmiarów będzie to praca: daj Boże, aby tylko pomyslnie ukończoną była."

— W. r. z. przez jednego z ziomków naszych oddających się pracom literackim, wyszło w Paryżu w drukarni braci Didot obszernie we 3 tomach dzieło p. n. „*Etudes historiques sur la Révolution Française de 1789 par un Etranger*." Każdy tom obejmuje z górą 500 stronnic. Autor, wychowaniec dawniejszych czasów, pochodząc z zamożnej rodziny, uległ tej nieszczęsnej kraju naszego manii, że od lat dzieciennych ćwiczony w języku francuzkim, bieglej go niż rodzimny posiada. To powód, dla czego pracowite studia swoje nad rewolucją francuzką w tym języku skreślił, poświęcając im najpiękniejsze lata życia swego. Obszerniejsze sprawozdanie o tém dziele, wkrótce czytelnikom naszym podamy.

— Cztery ostatnie zeszyty zamykające całość pierwszej seryi Szkiców i obrazków: IX, X, XI i XII wyszły z druku i obejmują: 1) O piwie i szynkach piwa w Warszawie. 2) Jak pan Naczelnik wygrał, a pan aplikant przegrał. 3) Od redakcyi. Rysunki p. Kostrzewskiego stoją prawie zawsze wyżej nad słowem tekstu, więcej mówią jak opisy „Złotej sali," dzielnego tancerza z podpisem „z drogi, bo ja idę" tańczącego kominiarczyka, równie jak w postaci dorózkarskiej warszawskiej. P. Wacław Szymanowski głównie redagujący te szkice, w przemowie swęj na końcu, dowcipem chce się zasłonić od zarzutów robionych temu wydawnictwu: zrzęcznie wykazał rozmaitość sądów i wymagań, wykręcając się *sianem* jak to mówiono po staremu. Według naszego zdania lepićjby uczynił, gdyby czytelnikom wykazał jakiego planu chce się trzymać w dalszej publikacyi, i co następna serya ma zawierać. P. Kostrzewski w dowcipniejszym jeszcze rysunku przedstawił wydawcę stojącego kornie przed sądem redakcyi piśm warszawskich, mieszcząc z podobieństwem twarzy (lubo dziecięcego oblicza) redaktora tej publikacyi, jak umywa ręce od wszystkiego. Rysunek ten z podpisem *finis coronat opus*, zakończy ilustracye tej seryi. Żałujemy, że wydawca śnać z pośpiechu zapomniał dołączyć karty tytułowej, i spisu przedmiotów przy ostatnim zeszycie; przypominamy mu o tém, prosząc o spieszne doręczenie takowych prenumeratom.

— Rozpoczęte dzieło K. Wł. Wójcickiego: „Cmentarz Powązkowski pod Warszawą," którego pierwszy zeszyt wyszedł w r. 1855, już ukończone w zupełności zostało. Stosownie do prospektu, prenumerato-

wie otrzymują 12 zeszytów z 48 rycinami, a dwa tomy. Gdy jednakże obfitość materyałów, jako też i potrzeba opisu innych cmentarzy warszawskich, nie dozwoliła autorowi pomimo dodatku kilkunastu arkuszy tekstu, objąć je w 2 tomach: w trzecim tomie więc objął, (który dorazu w całości wydał) tak uzupełnienie opisu cmentarza Powązkowskiego, jako zarazem i innych cmentarzy chrześcijańskich. Tom trzeci obejmuje 40 arkuszy ścisłego druku i zawiera: 1. Cmentarz Święto-Krzyżki (z ryciną). 2. Cmentarz w Warszawie przy Ulicy Leszno Ewang. (z ryciną). 3. Cmentarz w Wilanowie pod Warszawą (z 2 rycinami). 4. Cmentarz we wsi Czerniakowie pod Warszawą. 5. Dopelnienie opisu Cmentarza Powązkowskiego. 6. Literatura cmentarna: kartki pogrzebowe. 7. Cmentarz katolicki na przedmieściu Praga: (z ryciną). 8. Cmentarz na Bielanach: grób Stanisława Staszica: (z ryciną). 9. Cmentarz we wsi Wawrzyszew. 10. Cmentarz parafii wyznania Ewangelicko-Augsburskiego (z 4 rycinami). 11. Cmentarz parafii wyznania Ewangelicko-reformowanego (z ryciną). 12. Wieś Wola pod Warszawą i cmentarz (z ryciną). 13. Raszyn. Obszerne dodatki i przypisy kończą ten tom, który zamyka całość tego obszernych rozmiarów dzieła.

Z *Wilna* otrzymujemy zajmujące dla nas następnę ogłoszenie literackie: „Zakład księgarni Teofila Glücksberga ma honor zawiadomić szanowną publiczność, że po kilku latach przerwy, przystępuje do dalszego ciągu publikacji Dziejów literatury Władysława Syrokomli. Zwłoka pochodząca z przyczyn, po większej części niezależnych ani od autora, ani od wydawcy, nie została bez korzyści dla samego dzieła. W tym przeciągu czasu, autor zasięgnął o swęj pracy zdania światłej krytyki, i uzbierał nowe materyały tak, iż dzięki okolicznościom przyjaźniejszym dzisiaj dla historycznego sądu będzie mógł nietylko dokończyć swe opowiadanie o literaturze czasów przeszłych, lecz skupić w jedną całość rozpiezchłe gałęzie naszego nowożytnego piśmiennictwa, tak z rozmaitych prowincyi dawnej Polski, jako i z miast obcych, gdzie się drukują polskie książki. Zeszyt I tomu III już się znajduje pod prasą, a reszta dzieła w ciągu 1858 roku ukaże się na widok publiczny.”

Żałujemy, że podobnego uwiadomienia nie mamy co do przekładu Wapowskiego przez Mikołaja Malinowskiego: przecież powinno być usiłowaniem i staraniem tęj firmy księgarskiej, która swym nakładem wydała trzy tomy, ażeby i czwarty stanowiący całość dzieła ogłoszonym został. Czyż przeznaczeniem ma być księgarzy wileńskich, aby wszystkie większe przedsięwzięcia literackie ciągnęły się po lat kilkanaście niedokończone, z zawiedzeniem ufności publicznej, lub z całości wielkiej cząstkę tylko dawano, jak Obrazu bibliograficzno-historycznego Jochera. A przecież nie możemy tego zawodu przypisywać zastrudzonej firmie Józefa Zawadzkiego, który nakładem i zachodów w tęp przedsięwzięctwie nie pożałował nigdy.

*Kraków.* Znany archeolog Józef Lępkowski przygotował do druku Przewodnika Krakowskiego, do którego będą dodane liczne drzeworyty robione w Lipsku. Nakład tego dzieła podejmuje S. Orgelbrand księgarz warszawski,—Księgarnia Czecha wydała przedruk Rysu piśmiennictwa polskiego Lesława Łukaszewicza, pomnożonego wiadomościami odnoszącymi się szczególnie do pisarzy nowęj epoki.—Wydawnictwo katolickie

drukuje opis kościoła Śś Katarzyny z nabożeństwem do tej patronki: sprzedaż tego dziełka przeznaczoną jest na restauracyą tej wspaniałej Kazimirowej świątyni, dziś nrucono zrujnowanej. P. W. Wielogłowski powziął szczęśliwą myśl, którą rozwija w ten sposób, ażeby każda osoba, co nosi imię Katarzyny, ofiarowała na ten cel dochód iednego dnia; co rzeczywiście mogłoby złożyć ogromną summę — Juliusz Wildt prowadząc wydawnictwo Czytelni domowej, ogłosił teraz pierwszy zeszyt drugiego tomu Afrai, romansu Teodora Mügge, budzącego w każdym zeszytem większe zajęcie.

*Poznań.* Towarzystwo przyjaciół nauk poznańskie już się uorganizowało. Zarząd towarzystwa składa się z osób następujących:

August Cieszkowski prezes, ks. Malinowski vice-prezes: Heliodor Skórczewski, podskarbi: Wegner, sekretarz: Niegołęwski redaktor. Liczba wszystkich członków towarzystwa wynosi 146 osób. Podzielone jest to towarzystwo na wydziały: 1) Wydział nauk historycznych i moralnych. 2) Wydział nauk przyrodzonych. W pierwszym jest prezydującym Władysław Bentkowski, sekretarzem Maxymilian Śladnicki; w drugim prezydującym Felicyan Sypniewski. Posiedzenia swe towarzystwo odbywa w bibliotece Raczynskich: z wydziału nauk historyczno-moralnych co dwa tygodnie we środek; Wydziału nauk przyrodzonych co 15 każdego miesiąca. Z rozpraw czytano: „O niektórych przedmiotach sztuki polskiej, głównie o starych obrazach L. Jagielskiego.” Rys propedeutyki historycznej polskiej A. Mosbacha; „Ocenienie nowego wydania dzieł Jana Kochanowskiego w bibliotece Turowskiego”. „O zadaniu dziejopisarstwa polskiego”; filolog ks. Malinowski czytał rozprawę o *a* rozwartem. Z wydziału nauk przyrodzonych czytano rozprawy: „O mikroskopie” Felicyana Sypniewskiego; „O aerolinie, znalezionym w Świdnicy pod W. chową”; „O geologicznych stosunkach powiatów średzkiego, wrześniskiego i gnieźnieńskiego”. Głównym celem tego wydziału będzie zebranie flory i fauny W. Ks. Poznańskiego. Na wniosek A. Cieszkowskiego wydział nauk historyczno-moralnych otworzył konkurs z 1,000 talarów nagrody za napisanie Historii włościan i stosunków ekonomicznych w dawniej Polsce. Kommissya do ułożenia prospektu tej rozprawy składa się z Stanisława Koźmiana, Kierskiego Emila i Władysława Niegołęwskiego. Nie taimy, że zadanie to jest ogromnych trudności, bo najprzód zkąd wziąć, zkąd czerpać potrzebne ku temu materiały? W piśmie naszym rozprawa księcia Tadeusza Lubomirskiego o Ludności rolniczej, zwróciła uwagę na siebie wszystkich badaczy znających rzecz. Ileż autor jej miał pracy, ileż trudu, ślęczenia, aby z zapyłonych akt różnych archiwów, wydobyć te drogocenne szczegóły i w całość udatną złożyć. Zapowiedziany dalszy ciąg tych rozpraw, daje nam rękojmię, że dostojny autor wyczerpie na tém polu wszelkie dostępne mu materiały. Szczęście Boże tej szlachetnej a użytecznej wielce pracy! E. Stawiskiego poszukiwania wielką mogą być pomocą dla przyszłego autora rozprawy konkursowej. Przypnać wszelako musimy, że jakkolwiek tysiąc talarów jest niemałym honoraryum, chcąc odpowiedzieć zadaniu większą połowę wydać trzeba na poszukiwania. Tych bez metryk koronnych (archiwum główne Królestwa w Warszawie) zacząć nawet nie można: tam są nieprzebrane potemu skarby. Ale nietylko to jedyne dla badacza źródło: potrzeba śledzeń po archiwach całego Królestwa Polskiego, W. Ks. Po-

znańskiego, Galicyi, Litwy, Wołynia, Podola i Ukrainy, ażeby wydobyć z nich obraz jasny stanu ludności naszej rolniczej w dawniej rzeczywistości polskiej. Wzór i przykład takiej pracy i badań dał książę Tadeusz Lubomirski.

— Oddawna oczekiwany i wyglądany, wyszedł przecież w drukarni Kamińskiego i spółki: „Obraz wieku i panowania Zygmunta IIIgo czyli obraz stanu, narodu i kraju, tom 2gi, przez księdza Fr. Siarczyńskiego”. Tom pierwszy tego ważnego dzieła wyszedł w r. 1843; obawiano się czy rękopis nie zaginął, bo nie mogliśmy zrozumieć powodów powstrzymania druku przez lat 15. Teraz będziemy mieli całą pracę zmarłego historyka, jednego z najważniejszych panowań Zygmunta III. — Nakładem Żupańskiego wyszedł obraz dramatyczny p. n. „Demokraci i arystokraci” wierszem. Zapóźno wyszedł ten potworek literacki, na który szkoda nakładu na druk i papier. W Lesznie u Günthera wyszły dwa tomy „Żywotów świętych przez przyjaciela dzieci”. Autorem tego dzieła jest książę Koszutiński.

*Królewiec.* Jan Watterich ogłosił w Królewcu broszurę historyczną w języku łacińskim: O zasługach Łukasza Watzelroda biskupa warmijskiego na polu nauk i wsparciu, które od niego doznawał Mikołaj Kopernik.

*Berlin.* Obrabianie przedmiotów polskich na polu romantyki, aczkolwiek po większej części nieudatne w Niemczech, coraz bardziej w modę wchodzi. I tak płodny romansopisarz niemiecki Edward Brejer (Izraelita urodzony w Warzynie 1811 r. ex-artyleryzysta i b. redaktor gazety praskiej) ogłosił temi czasy w Peszcie historyczny romans z czasów pierwszego podziału Polski w 3 tomach p. n. Sabatnicy „Die Sabbathianer”. Za tło owego romansu posłużyła autorowi konfederacja barska i żydowska sekta Sabatianów czyli tak zwanych Kontra-talmudystów lub Soharjotów, zreformowanych na Podolu przez Jakóba Józ. Franka, zwanego Dobruszki, który wywodząc ród swój z córki Kazimierza Wielkiego i Esterki, przyjął pozornie część wiary chrześcijańskiej. Prócz owego Franka, którego awanturnicze życie i śmierć w Offenbach d. 10 grudnia 1791 nastąpioną romansopisarz w powyższem dziele obszernie skreślił; występują w temże Krasiniski, Pułaski, Kuźma, i główna bohaterka jakaś hrabina Zofia Kossakowska (?), głównie kierująca konfederacją barską, która z bronią w ręku ginie w bitwie pod Marynowicami, (ma to być Maciejowicami) obok Kościuszki. Podobnego rodzaju wydał także w Berlinie Leo Goldammer p. n. Litwa, powieści skreślone z natury i życia wiejskiego (Lithauen; Erzählungen aus der Natur-und Volksleben). Zbiór ten obejmuje cztery powieści: pierwsza z nich rozwlekła, wystawia zabiegi kurfirsza braudemburskiego o koronę polską r. 1660, przyczem pomiędzy innemi bohaterami niemieckimi, występuje także Bogusław książę Radziwiłł. Pomimo iż tło tychże powieści umieścił autor w Prusach nadbałtyckich na pograniczu Litwy, nie tu nie ma takiego, coby w najmniejszej części czasy dawniej Litwy lub Polski malowało. W. Bachmann wydał przerobiony z powieści Hen. hr. Rzewuskiego romans historyczny: „Schloss Krakau und das letzte Turnier”. Autor zyskał sobie już imię powieściopisarza w Niemczech przez powieść „Der Fürst Mein-Liebchen”. (Książę panie-ko-

chanku) i lubo ułatwia on Niemcom obeznanie się z naszymi obyczajami i zwyczajami, tak jak tłumaczenia Walter-Skotta dały poznać obyczaje i zwyczaje dawnej Anglii i Szkocji, wszelako autor zlekka tylko natrąca o źródle, z którego czerpał wszystko, a z recenzji nawet niemieckich tego romansu poznajemy, że go uważają w Niemczech za oryginalnego powieściopisarza, który ze starych dzieł i podań wydobywał materiały do swoich prac: gdy tymczasem materiały te H. Rzewuski w artystycznym już obrobieniu i całości podał. Zmiany zaś przez Bachmanna poczynione są tylko takie, jakie zdawały mu się być potrzebne, dla czytelnika niemieckiego, żeby mu ułatwić zrozumienie nieznanego mu zupełnie życia publicznego i domowego w dawnej Polsce.

*Wrocław.* Jeden z tutejszych fotografów wydaje portrety Adama Mickiewicza, i J. Kraszewskiego. Wykonanie obu portretów piękne, cena nie wygórowana.

*Lipsk.* Pułkownik Ignacy Szwykowski ogłosił drukiem w języku niemieckim: „historyczne badania nad zbiorami sztychowanych portretów malarzy flamandzkich, które z końcem XVI wieku i na początku XVII wydawał Hieronim Cock w Antwerpii i Henryk Houdius w Hadze, Praca ta stanowi ważny przyczynek do dziejów malarstwa i sztycharstwa flamandzkiego.—U Brockhause ukazało się dziełko politycznej wagi w języku francuzkim: Udzielność Czarnogóry i prawo narodów w nowoczesnej Europie.” (La souveraineté du Montenegro).—Na licytacji sprzedaży autografów sławnych ludzi, za list Tadeusza Kościuszki zapłacono talarów 7, za list Mazepy talarów 8.

*Rzym.* Wyszedł tu katechizm polski p. n. „Dar Boży czyli nauka chrześcijańska prostaczków.” Rzecz napisana z wielką prostotą. W naszym języku jest to prawie najlepszy katechizm przydatny dla dzieci i ludzi prostych.

### *Redakcja Biblioteki Warszawskiej.*

Wolno drukować.—Warszawa, d. 15 (27) Stycznia 1858 r.—Cenzor, Radca Dworu *Stanisławski*.



Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad po-  
 1g. 14<sup>m</sup>. 45<sup>s</sup>. 7 czyli w łuku 18°41'25", 7 na

ziom morza, jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie  
 wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0 <sup>o</sup>				TERMOMETR stusstopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. sredn. dzienne	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z	
	6 god.rano	10 god.rano	4 godz.w.	10 godz.w.	6 god.rano	10 god.rano	4 godz.w.	10 godz.w.		6 godz.rano	10 godz.rano	4 godz.wiecz.	10 godz.wiecz.	6 god.r.	10 god.r.	4 god.w.	10 god.w.	de- szczu	śnie- gu
1	760.10	760.89	760.02	758.62	- 3.4	- 2.7	- 2.3	- 2.4	100.0	mgła gruba	mgła gruba	pochmurny	pochmurny	Pd.	-	PdW.	Pd.		
2	755.92	755.87	756.32	755.92	- 2.3	+ 1.0	+ 3.1	+ 3.6	93.2	pogodny	pogodny	pochmurny	poch. desz.	PdZ.	PdZ.	Z.	Z.		
3	756.04	757.29	758.35	760.31	+ 4.8	+ 5.7	+ 5.7	+ 4.6	93.0	poch. desz.	pochmurny	poch. l. mg.	pochmurny	Z.	Z.	PnZ.	PnZ.	4.0	
4	760.92	761.81	761.50	761.58	+ 3.6	+ 3.6	+ 4.2	+ 1.3	91.5	pochmurny	pochmurny	pochmurny	lek. pochm.	Pd.	PdW.	Pd.	Pd.		
5	761.44	762.06	762.44	762.87	- 2.1	+ 0.3	+ 2.2	- 1.1	94.5	pr. pogodny	napół pog.	napół pog.	pr. pogod.	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.		
6	762.57	762.75	762.78	763.47	- 4.2	- 3.6	- 1.1	- 1.1	100.0	pogodny	pogodny	pochmurny	pochmurny	Pd.	-	PdW.	-		
7	764.65	765.55	765.91	766.17	+ 0.4	+ 1.5	+ 1.8	+ 1.2	99.5	deszcz	mgła	mgła gruba	mgła	-	-	-	-	2.4	
8	765.18	764.92	765.20	767.04	+ 0.9	+ 1.6	+ 2.0	+ 3.1	98.5	pochmurny	lek. zamgl.	poch. mży	pochmurny	PdZ.	-	Z.	Z.		
9	767.59	767.38	766.13	765.32	+ 2.9	+ 4.0	+ 3.2	+ 1.4	91.5	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
10	763.74	762.64	761.46	760.92	- 2.9	+ 2.4	+ 1.3	- 0.9	89.2	pr. pogod.	pr. pogodny	pr. pogodny	pogodny	PdZ.	PdZ.	Z.	Z.		
11	760.24	760.76	758.84	757.81	- 1.1	- 0.1	+ 0.6	+ 1.2	99.0	pochmurny	mży	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
12	759.17	758.65	760.23	761.32	+ 4.4	+ 2.1	+ 0.6	- 0.4	87.0	pochmurny	pogodny	pogodny	pr. pochm.	Z.	PnZ.	Z.	Z.		
13	761.74	761.86	759.23	757.63	- 2.1	+ 0.7	- 0.0	- 1.2	91.5	pochmurny	lek. pochm.	pochmurny	poch. śnieg	Z.	Z.	Z.	Z.		
14	754.62	754.55	753.90	753.59	+ 2.1	+ 2.4	+ 3.6	+ 3.6	97.5	poch. desz.	pochmurny	poch. desz.	pochmurny	PnZ.	Z.	Z.	Z.	3.2	
15	753.74	754.95	754.91	755.01	+ 3.6	+ 2.8	+ 1.5	- 0.6	93.0	poch. desz.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	3.0	
16	755.13	756.59	756.80	757.44	+ 1.0	+ 0.8	+ 2.4	+ 1.0	92.5	poch. mży	poch. desz.	pochmurny	pr. pochm.	Z.	Z.	Z.	Z.	1.8	
17	759.43	760.42	760.60	759.91	+ 0.5	+ 0.8	+ 0.7	+ 1.7	92.2	pochmurny	poch. desz.	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	PdZ.	PdZ.		
18	759.50	759.89	759.99	760.70	+ 4.0	+ 5.0	+ 6.0	+ 5.0	85.0	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
19	760.39	760.52	758.72	757.93	+ 3.6	+ 3.6	+ 1.8	- 2.5	86.8	pochmurny	pochmurny	pogodny	pogodny	PdZ.	Pd.	Pd.	PdZ.		
20	756.88	757.45	756.96	756.52	- 5.5	- 3.6	- 1.8	- 3.4	97.7	pogodny	pogodny	pr. pogodny	pochmurny	Pd.	PdZ.	Pd.	-		
21	754.80	754.72	752.95	752.17	- 1.3	- 0.5	- 0.4	+ 0.6	96.8	pochmurny	pochmurny	śnieg	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	Z.		
22	748.90	747.82	749.12	748.92	+ 0.2	+ 1.3	+ 6.0	+ 6.9	99.2	poch. śnieg	poch. desz.	mży	deszcz	Pd.	Pd.	Z.	Z.	10.4	2.8
23	748.92	748.52	749.40	749.83	+ 8.3	+ 8.9	+ 6.7	+ 5.6	87.0	pochmurny	napół pog.	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	7.6	3.6
24	748.44	748.89	751.14	753.90	+ 4.2	+ 5.2	+ 3.9	+ 0.2	87.0	pogodny	pr. pogod.	pr. pogodny	pogodny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	PnZ.		
25	755.72	754.92	749.76	744.07	- 0.5	+ 0.3	+ 5.0	+ 4.3	96.0	pochmurny	lek. mgła	poch. desz.	deszcz	Z.	PdZ.	Z.	Z.	2.0	
26	737.27	738.77	740.86	741.60	+ 4.5	+ 4.7	+ 4.3	+ 2.3	82.5	deszcz	poch. desz.	pochmurny	napół pog.	Z.	Z.	Z.	Z.	6.8	
27	745.12	747.50	750.44	753.09	+ 0.4	+ 0.1	- 0.8	- 2.5	94.0	poch. śnieg	śnieg	napół pog.	lek. poch.	PnZ.	PnZ.	Pn.	PnZ.		2.0
28	756.61	758.41	759.59	761.41	- 5.4	- 5.1	+ 3.7	+ 4.4	93.0	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnZ.	PnW.	Pn.	Z.		
29	762.08	762.84	763.43	763.04	- 3.3	- 2.5	- 1.0	- 2.9	88.3	pochmurny	pochmurny	pochmurny	lek. poch.	Z.	Z.	Z.	Z.		
30	759.81	758.97	756.92	756.08	- 2.4	- 0.8	0.2	+ 1.6	94.7	pochmurny	pochmurny	pochmurny	poch. desz.	Z.	Z.	Z.	Z.	1.6	
31	757.82	758.71	759.92	760.82	+ 3.8	+ 3.8	+ 4.7	+ 4.7	98.0	poch. l. mg.	poch. l. mg.	poch. mży	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	3.6	
Śre.	757.241	757.641	757.543	757.600	+ 0 <sup>o</sup> .54	+ 1 <sup>o</sup> .36	+ 1 <sup>o</sup> .95	+ 0 <sup>o</sup> .98	93.2									46.4	8.4

	m.	f.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	757.506	27	11.799
Najwyżej barometr dochodził d. 9 o g. 6 r.	767.59	28	4.270
Najniżej — — — d. 26 o g. 6 r.	737.27	27	2.829
Średnia zmiana dzienna barometru	3.420		1.516
Największa zmiana dzienna barometru d. 25—26 o g. 6 r.	18.45		8.179
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 31 lat poprzedzających	6.122		2.715
Średnia temperatura grudnia wynosi: i ta jest wyższa o od stanu normalnego z 31 lat poprzedzających	+ 751.384	27	9.084
	+ 19.21 C.	+	0°.97 R.
	3.66 „		2.93 „
	— 2.45 „	—	1.96 „
Największe ciepło było d. 23 o g. 10 r.	+ 8.9 „	+	7.12 „
Największe zimno — d. 20 o g. 6 r.	— 5.5 „	—	4.40 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	3.036 „		2.429 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 21—22 o g. 6 r.	8.5 „		0.80 „

Termometrograf wskazał:

Maximum: + 7°.6 R. d. 23 po połud.

Minimum: — 5°.8 „ d. 20 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 93.2, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo co do ciężaru 5.40 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest przeszło 0.01 mniejsza od normalnej.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 46.4 mil. czyli 20.57 lin. par.; z śniegu 8.4 mil. czyli 3.72 lin. par.; razem z deszczu i śniegu 54.8 mil. czyli 24.29 lin. par.; ilość ta wody jest o 9.13 lin. par. większa od tej jaka średnio w grudniu spada.

Dni pogodnych było 2, napół pogodnych 6, pochmurnych 23.

Dni deszczu 15 (d. 2, 3, 7, 8, 11, 14, 15, 16, 17, 22, 23, 25, 26, 30, 31).

— śniegu 4 (d. 13, 21, 22, 27).

— mgły 5 (d. 1, 3, 7, 25, 31).

— gradu (krup) 1 (d. 27).

Wichrów było 2 (2 Z.).

Wiatrów mocnych 10 (8 Z., 2 PnZ.).

Wiatr panujący Zachodni.

Grudzień r. b. był niepogodny, wilgotny, lecz ciepły, w deszcz obfity, więcej do jesiennego, niż zimowego miesiąca podobny, blisko o trzy stopnie R. cieplejszy niż zwykle, a nawet o 0.58 stop. R. cieplejszy od listopada r. b. Dnia 23 z rana termometr pokazywał 7.1 stop. R.; średnia dzienna temperatura tego dnia wynosiła 5.9 stop. R. Najcieplejsze dni były d. 3, 4, 18, 22, 23, 24, 26, 31; najzimniejszy d. 1, 6, 19, 27, 28. Dzień 7 odznaczał się mgłą grubą przez cały dzień trwającą. Barometr prawie przez miesiąc utrzymywał się wyżej nad stan normalny, dlatego wysokość jego średnia miesięczna 27 cali 11 8 lin. par. jest o 2.72 lin. par. większa niż zwykle i tylko o 0.13 lin. par. mniejsza od średniej najwyższej jaka była w r. 1840. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był mniej pogodny niż zwykle, albowiem w stanie normalnym stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest jak 3.5:5.1:22.4; w r. b. stosunek tychże dni jest jak 2:6:23.

Wichry i wiatry mocne były częste.

D. 19 pokazywały się plamy na słońcu.

Wysokość wody na Wiśle pod Warszawą największa stóp 8 cali 5 d. 29.

najmniejsza stóp 2 cali 0 d. 1, i 24.





# Wypadki średnie dostrzeżeń meteorologicznych w Obserwatorium Astronomicznym Warszawskim w roku 1857 robionych.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza; jego szerokość geograficzna 52° 13' 5", długość w czasie 1<sup>o</sup> 14<sup>m</sup> 45<sup>s</sup>.7, czyli w łuku 18° 41' 25".5 na wschód względem południka paryzkiego.

ROK 1857	WYSOKOŚĆ BAROMETRU W MILIMETRACH SPROWADZONA DO 0°					TEMPERATURA PODŁUG TERMOMETRU STUSTOPNIOWEGO					PSYCHROMETR Wilgotność średnia miesięczna biorąc 100 za zupełne nasyce- nie atmosfery parą wodną.				STAN NIEBA.							Ilość wody spadłej w mil- imetrach		KIERUNEK WIATRU							STAN WODY na Wiśle pod Warszawą																							
	ŚREDNIA					ŚREDNIA					ŚREDNIA				Dni pogodnych	Dni napół po- godnych	Pochmurnych	Dészczu	Śniegu	Gradu	Mgły	Grzmotów	Błyskawic bez grzmotów	Wichrów i wi- trów mocnych	dészczu	śniegu	Północny	Północno- Wschodni	Wschodni	Południowo- Wschodni	Południowy	Północno- Zachodni	Zachodni	Północno- Zachodni	Naj- wyższy stop. cali.	Dnia	Naj- niższy stop. cali.	Dnia																
	6 godz. rano	10 godz. rano	4 go. wieczór	10 go. wieczór	miesięczna	6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wieczór	10 godz. wieczór	miesięczna	6 g. r.	10 g. r.	4 g. w.	10 g. w.																									mie- sięcz.	6	10	4	10	mie- sięcz.	6	10	4	10	6	10	15	16	19	9
Styczeń.....	747.924	748.319	747.898	748.123	748.066	765.13 d. 7	733.74 d. 12	- 4 <sup>o</sup> .55	- 3 <sup>o</sup> .70	- 2 <sup>o</sup> .28	- 4 <sup>o</sup> .24	- 3 <sup>o</sup> .69	+ 4.0	3	- 15.75 d. 8	98.6	95.2	95.7	98.2	96.7	5	2	24	6	7	-	4	-	-	1	22.4	29.4	8	21	4	31	10	15	16	19	9	2	.....	2	3	10	.....	8, 9						
Luty.....	758.459	758.893	758.045	758.578	758.495	772.31 d. 24	737.36 d. 13	- 7.05	- 5.06	- 2.07	- 5.43	- 4.90	+ 5.1	27	- 17.62 d. 5	99.5	93.7	85.9	96.1	93.8	6	9	73	3	2	1	7	-	-	2	4.0	6.0	11	7	9	18	36	13	9	3	5	4	7, 8, 9, 10, 11	4	6	22, 23, 27, 28	4	5	.....	30	4	5	.....	1, 2, 3, 4
Marzec.....	751.360	751.636	751.130	751.548	751.419	771.59 d. 19	737.12 d. 9	- 1.39	+ 0.92	+ 2.37	- 0.25	+ 0.41	+ 10.6	31	- 7.75 d. 20	94.0	81.8	76.4	89.3	85.4	4	6	21	4	12	2	-	-	-	10	16.6	23.4	4	5	7	35	9	14	17	21	11	10	.....	30	4	5	.....	1, 2, 3, 4						
Kwiecień.....	747.250	747.612	747.018	747.632	747.378	760.57 d. 19	733.88 d. 13	+ 4.43	+ 8.24	+ 11.21	+ 6.52	+ 7.60	+ 19.3	11	- 3.25 d. 25	91.1	74.3	62.9	81.7	77.5	2	9	19	17	2	1	3	1	1	7	89.0	2.4	20	31	4	11	12	8	6	5	12	8	.....	7	4	1	.....	20						
Maj.....	750.444	750.560	749.794	750.184	750.245	758.03 d. 16	741.13 d. 26	+ 8.40	+ 13.55	+ 16.21	+ 10.33	+ 12.12	+ 28.7	22	+ 0.50 d. 16	79.9	54.8	48.8	71.4	63.7	8	8	15	10	-	1	1	1	2	16.2	16.2	21	15	3	14	7	3	11	29	10	11	.....	6	3	1	.....	27							
Czerwiec.....	750.159	750.450	749.700	750.062	750.093	760.29 d. 25	740.42 d. 16	+ 14.47	+ 18.66	+ 21.14	+ 15.69	+ 17.49	+ 31.5	8	+ 6.87 d. 13	82.8	60.7	52.1	72.9	65.8	8	10	12	15	-	-	1	4	-	3	80.2	-	36	10	-	2	2	4	17	23	13	3	.....	20	2	9	.....	13						
Lipiec.....	749.294	749.492	748.796	749.172	749.188	756.71 d. 14	741.07 d. 23	+ 15.17	+ 19.75	+ 22.55	+ 16.21	+ 18.42	+ 29.5	28	+ 6.75 d. 20	81.7	58.1	50.4	76.6	66.7	11	9	11	17	-	2	-	8	4	143.0	-	6	6	1	3	3	14	41	25	7	5	.....	8	2	3	24, 25, 26, 27	2	3	.....	19, 28				
Sierpień.....	750.710	751.039	750.192	750.754	750.673	760.09 d. 24	739.60 d. 17	+ 14.49	+ 20.27	+ 22.69	+ 16.84	+ 18.57	+ 28.5	11	+ 4.50 d. 27	86.8	62.4	51.8	74.0	68.7	12	8	11	12	-	-	5	2	1	37.6	-	21	16	9	9	4	3	9	20	3	8	.....	4	0	.....	19, 28								
Wrzesień.....	751.694	752.123	751.340	752.089	751.811	761.60 d. 24	739.46 d. 19	+ 9.22	+ 15.05	+ 18.21	+ 11.97	+ 13.61	+ 27.3	40	- 1.88 d. 24	88.4	68.0	57.1	80.4	73.5	12	5	13	9	1	-	1	3	1	23.9	-	7	2	-	36	13	2	28	19	2	7	.....	29	1	8	16, 17, 18, 19	1	8	.....	19				
Październik.....	752.300	752.859	752.114	752.490	752.456	763.00 d. 14	737.85 d. 10	+ 7.42	+ 10.93	+ 13.81	+ 9.10	+ 10.31	+ 23.3	5	- 0.88 d. 18	93.4	81.1	70.4	89.7	83.6	9	6	16	8	-	7	-	3	18.4	-	6	6	6	36	12	5	19	5	3	8	.....	19	2	9	11, 12, 13, 14, 15	2	9	.....	19, 28					
Listopad.....	757.455	757.967	757.537	757.847	757.702	768.91 d. 18	741.63 d. 26	- 0.22	+ 0.69	+ 1.59	- 0.16	+ 0.48	+ 8.25	1	- 9.25 d. 19	95.6	89.9	86.1	94.1	91.4	2	2	23	8	3	1	6	-	2	6.0	-	9	19	14	8	10	11	15	11	2	7	.....	8, 9, 10	2	0	.....	1, 24	30						
Grudzień.....	757.241	757.641	757.543	757.600	757.596	767.59 d. 9	737.27 d. 26	+ 0.54	+ 1.36	+ 1.95	+ 0.98	+ 1.21	+ 9.50	23	- 7.25 d. 20	96.5	92.2	90.4	93.8	93.2	2	6	23	15	4	1	5	-	12	46.4	8.4	2	1	-	3	16	14	67	12	8	0	.....	29	2	0	.....	1, 24	30						
Średnia roczna..	752.029	752.383	751.759	752.173	752.086	772.31 d. 24 Lutego	733.74 d. 12 Stycznia	+ 5 <sup>o</sup> .08	+ 8 <sup>o</sup> .39	+ 10 <sup>o</sup> .61	+ 6 <sup>o</sup> .46	+ 7 <sup>o</sup> .64	+ 31 <sup>o</sup> .50	8	- 17.62 d. 5 Lutego	90.3	76.0	69.0	84.9	80.0	81	83	201	124	31	9	34	22	8	62	503.7	69.6	151	139	57	206	134	106	255	192	13	3	.....	20	1	8	16, 17, 18, 19	1	8	.....	19			

Średnia wysokość barometru roczna..... 752.086 = 27 9.397  
 Najwyżej barometr dochodził d. 24 Lutego. 772. 31 = 28 6.362  
 Najniżej — d. 12 Styczn. 733. 74 = 27 1.264  
 Zmiana roczna barometru..... 38. 57 = 1 5.098  
 Średnia zmiana miesięczna barometru ... 3.107 1.377  
 Średnia zmiana dzienna barometru..... 3.174 1.407  
 Największa zmiana dzienna barometru d. 13—14 Lutego o godz. 4 wieczór..... 21. 42 9.495  
 Średnia wysokość barometru roczna jest wyższa o ..... 2.200 0.976 od stanu normalnego z 31 lat poprzedzających..... 749.886 = 27 8.421

Wysokość średnia barometru w miesiącach: Styczniu, Kwietniu była niższa; przeciwie w Lutym, Marcu, Maju, Czerwcu, Lipcu, Sierpniu, Wrześniu, Październiku, Listopadzie, Grudniu była wyższa niż w stanie normalnym. Szczególniej znaczna średnia wysokość barometru miesięczna była w miesiącach Lutym, Listopadzie i Grudniu, w skutek czego średnia wysokość barometru roczna jest o 0.976 lin. par. wyższa od normalnej. Dotąd jeszcze ani razu w Listopadzie nie było tak wysokiej średniej wysokości barometru.

Średnia temperatura roczna wynosi. + 7<sup>o</sup>.64 C. = + 6<sup>o</sup>.11 R. i ta jest wyższa o ..... 0.34 " od stanu normalnego z 31 lat poprzedzających ..... + 7.30 " + 5.84 " Największe ciepło było d. 8 Czerwca. + 31.50 " + 25.2 " Największe zimno było d. 5 Lutego. - 17.62 " - 14.1 "

Zmiana roczna temperatury ..... 49.12 " 39.3 "  
 Średnia zmiana miesięczna temperatury ..... 3.992 " 3.194 "  
 Średnia zmiana dzienna temperatury. 2.307 " 1.846 "  
 Największa zmiana dzienna temperatury d. 18—19 Września o g. 4 w. 14.9 " 11.92 "  
 Uważając miesiąc Grudzień (1856 r.). Styczeń, Luty r. b. za miesiące zimowe; Marzec, Kwiecień, Maj za wiosenne; Czerwiec, Lipiec, Sierpień za letnie; Wrzesień, Październik, Listopad, za jesienne, wypada: temperatura zimy... - 3<sup>o</sup>.12 C. i ta jest wyższa o 0<sup>o</sup>.58 C. wiosny. + 6.71 " niższa o 0.34 " lata ... + 18.16 " wyższa o 0.04 " jesieni. + 8.10 " wyższa o 0.47 "

od temperatury tychże pór w stanie normalnym.  
 Miesiące: Styczeń, Marzec, Kwiecień, Sierpień, Wrzesień, Październik, Grudzień, były cieplejsze; natomiast Luty, Maj, Czerwiec, Lipiec, Listopad, zimniejsze niż w stanie normalnym.

Średnia wilgotność powietrza roczna jest 80.0; biorąc 100 za zupełne nasycecie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 6.79 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza. Wilgotność ta jest blisko o 0.02 mniejsza od normalnej.  
 Miesiące: Styczeń, Kwiecień były wilgotniejsze; przeciwie Marzec, Maj, Czerwiec, Lipiec, Sierpień, Wrzesień, Październik, Grudzień były suchsze.

Średnia wilgotność miesięcy Lutego i Listopada była równa normalnej.  
 Ilość wody spadłej z deszczu wynosi: 503.7 mil. czyli 18 cali 7.29 lin. par. co do wysokości 69.6 " z śniegu ..... 2 " 6.85 "

Razem wody z deszcz. i śniegu 512.3 mil. czyli 21 cali 2.14 lin. par. to jest o 44.4 mil. czyli 1 cal 83 lin. par. mniej od ilości wody (617.7 mil. czyli 22 cale spada.

W miesiącach: Styczniu, Czerwcu, Lipcu, Grudniu, wody spadło więcej; natomiast w Lutym, Marcu, Kwietniu, Maju, Sierpniu, Wrześniu, Październiku, Listopadzie mniej, niż w stanie normalnym. Najwięcej wody spadło w Lipcu; gdyż blisko dwa razy więcej niż zwykle; najmniej w Listopadzie, gdyż zaledwie szóstą część tej ilości.

W całym roku było dni pogodnych 81, napół pogodnych 83, pochmurnych 201; dni deszczu 124, śniegu 31, gradu 9, mgły 34, grzmotów 22; błyskawic bez grzmotów 8; wichrów i wiatrów mocnych 62. Wiatr panujący najwięcej zachodni, częste były także Południowo-Wschodnie i Północno-Zachodnie; w stanie normalnym wiatr panujący jest zachodni.

Jeżeli rok uważać będzie jako całość podzieloną na 100 równych części, i w tych częściach wyrazimy liczbę dni pogodnych, napół pogodnych, pochmurnych, wypadnie w średnim przecięciu z 31 lat poprzednich (1826—1857) stosunek dni pogodnych do napół pogodnych jak 16.5 : 32.4 : 51.1. W r. b. stosunek ten dni jest 22.2 : 22.7 : 55.1; co pokazuje, iż rok ten był mniej pogodny niż zwykle.

Miesiące najpogodniejsze były: Luty i Sierpień; niepogodne Styczeń i Kwiecień.

W ogóle rok 1857 należy do lat mniej pogodnych, lecz suchych i ciepłych.

**Zima.** Z początku pogodna, łagodna, zarówno w deszcz jak i śnieg obfita, ciepła. Środek tej pory był niepogodny, słotny, wilgotny, bardziej do jesieni, aniżeli zimy podobny, cieplejszy niż zwykle; w śnieg obfity, który jednakże z powodu częstych odwilży, długo na powierzchni ziemi nie pozostawał. Koniec przy nadzwyczaj wysokim stanie barometru, pogodny, suchy, w śnieg nie obfity, mroźny, stanowił u nas właściwą zimę. W ogóle dość pogodna, sucha o 0.58 stop. C. cieplejsza niż zwykle. Największy mróz w tej porze dochodził — 14.6 stop R. d. 4 Grudnia r. z.

**Wiosna.** Początek tej pory był mniej pogodny niż zwykle, lecz suchy; więcej w śnieg, aniżeli deszcz obfity; pod względem temperatury zmienny, bardzo zbliżał się do stanu normalnego. Środek był niepogodny, wilgotny, słotny, w deszcz obfity, ciepły. Koniec suchy, mniej pogodny niż zwykle, chłodny. W ogóle niepogodna, dość sucha o 0.34 stop C. chłodniejsza niż zwykle. Szczególniej w tej porze odznaczał się d. 26 Maja, nadzwyczajną burzą połączoną z wichrem, grzmotami, piorunami i gradem, którego niektóre ziarna dochodziły wielkości wielkiego włoskiego orzecha. Burza ta zajmowała północną stronę Warszawy i Pragę, i wiele szkód w mieście zrzuciła. Przytem padał deszcz tak ulewny, iż niektóre ulice zamieniły się w rzeki, a pokryte warstwą gradu, przedstawiały postać płynącego szronu. Grzmioty w tej porze były nadzwyczaj wczesne, gdyż dnia 4 Kwietnia dały się już słyszeć, a d. 10 Kwietnia pioruny uderzały jak w środku lata, jeden nawet z nich uszkodził topolę w ogrodzie Saskim.

**Lato.** Z początku pogodne, suche, lecz nieco chłodniejsze niż zwykle. Środek tej pory był dość pogodny, suchy, ciepły. Koniec również pogodny, suchy, ciepły. W ogóle pogodne, suche, o 0.04 stop R. cieplejsze niż zwykle.

**Jesień.** Z początku pogodna, sucha, ciepła, pomimo iż ranki szczególnie przy końcu były chłodne, a nawet mróz dość znaczny, gdyż 1 1/2 stopnia wynoszący d. 24 Września dochodził. Środek tej pory był pogodny, suchy w deszcz nieobfity, ciepły. Koniec przy nadzwyczaj wysokim stanie barometru był niepogodny, suchy, chłodny. W ogóle pora ta pogodna, sucha, o 0.47 stop. C. cieplejsza niż zwykle. Z powodu suszy panującej, stan wody na rzekach był bardzo niski.

Ostatni mróz w wiosny był d. 26 Kwietnia z rana.  
 Pierwszy mróz w jesieni 1 1/2 stop. R. wynoszący, był dnia 24 Września z rana.  
 Ostatni śnieg w wiosny przuszył w nocy z d. 25—26 Kwietnia.  
 Pierwszy śnieg w jesieni spadł d. 23 Września w bardzo małej ilości.  
 D. 11, 16 Lutego; d. 3 Kwietnia; d. 5 Września; d. 19 Października; d. 18, 21 Listopada; d. 19 Grudnia pokazywały się plamy na słońcu.  
 Koło białe otaczało księżyc: d. 1 Kwietnia, d. 28 Października.  
 D. 11 Kwietnia o g. 5 w. widziano boczne słońce.  
 D. 15 Maja koło białe otaczało słońce.  
 D. 8 Stycznia lody na Wiśle powyżej mostu stanęły.  
 D. 22 Marca lody górne na Wiśle od strony Warszawy ruszyły.

Wysokość wody na r. Wiśle pod Warszawą:  
 Najwyższa stóp 13 cali 3 d. 20 Czerwca.  
 Najniższa " 1 " 8 d. 16, 17, 18, 19 Września.

**Biblioteka Warszawska** najregularniej w pierwszych dniach każdego miesiąca na pocztę dla prenumeratorów jest oddawana. Nieregularne dochodzenie zeszytów BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ, nigdy winą redakcyi być nie może. Kłoby jej z prenumeratorów na pocztę nie odbierał w zwykłym czasie, to jest: najpóźniej w tydzień po wyjściu, lub odbierał nieopieczęgowaną, z kartami rozciętemi, pobrudzonymi: proszony jest od redakcyi, aby wprost do niej się udawał na jej koszt pod adresem: „Do Redakcyi BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ przy ulicy Daniłowiczowskiej pod Nr. 619.” W razie zaś nieodebrania zeszytów, ażeby do tego dołączył kwit otrzymany pocztamtu, gdzie złożył przedpłatę. Z takim tylko kwitem redakcyja może otrzymać zadosyćuczynienie, ażeby regularnie nadal i niezwłocznie każdy zeszyt dochodził we właściwe miejsce.

Również redakcyja uprasza, aby każdy z prenumeratorów, który nie przez pośrednictwo poczty BIBLIOTEKĘ WARSZAWSKĄ prenumeruje, wrazie nieodebrania zeszytu należnego raczył niezwłocznie o tem redakcyją zawiadomić.

### Przedpłata na rok 1858:

1. *Przedpłata całkowita* wynosi na rok złp. 60 (rub. sr. 9).

2. *Przedpłata kwartalna* przyjmuje się za złożeniem złp. 15 (rub. sr. 2 kop. 25) na pierwszy kwartał, i za opłatą przy drugim zeszycie złp. 15 (rub. sr. 2 kop. 25) na kwartał następny. — Przy prenumeracie kwartalnej, prenumeratorem podpisać winien zobowiązanie, iż na cały rok zaprenumerował BIBLIOTEKĘ i warunkom prenumeraty zadosyć uczyni. Z opłat czynionych i odbieranych zeszytów, prenumeratorem pokwitowanym będzie na bilecie, którego jeżeli nie okaże, obowiązany jest poprzestać na kontroli w tym celu utrzymywanej.

Na urzędach i stacyach pocztowych w Królestwie zapisywać się można na BIBLIOTEKĘ na rok 1858 za opłatą roczną w ilości złp. 60 (rub. sr. 9), lub *półroczną*, to jest za złożeniem naraz za *dwa kwartały* złp. 30 (rub. sr. 4 k. 50).

W Cesarstwie Rossyjskiem przedpłata roczna z przesyłką pocztową w kopertach wynosi rub. sr. 10, które nadesłać trzeba *franco* albo: do Expedycyi Gazet w Warszawie, lub wprost: do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej, przy ulicy Daniłowiczowskiej nr. 619.

Zaniknąwszy pierwszy peryod *nieprzerwanego istnienia* swojego pisma, postanowiła redakcyja, z powodu częstych w tej mierze zgłoszeń, ułatwić późniejszym i nowym prenumeratorem nabycie całego zbioru lub lat pojedynczych, a to przez *zniżenie ceny*. — Odtąd cały 10letni komplet od 1841 do 1850 roku włącznie, złożony ze 120 zeszytów, czyli 40 tomów, można nabyć tylko w redakcyi za połowę ceny prenumeracyjnej, t. j. za złotych 300 (rub. sr. 45). — Komplet z lat pojedynczych 1842, 1843, 1844, 1845 i 1846, odstępuje redakcyja po złotych 40 (rub. sr. 6). Na kompletach z lat 1841, 1847, 1848, 1849, 1850, 1851, 1852, 1853, 1854, 1855, 1856 i 1857 jako znacznie lub zupełnie wyczerpanych, zmniejszenia ceny redakcyja postanowić nie może. — Pojedyncze zeszyty z całego ciągu Biblioteki o tyle tylko mogą być osobno sprzedawane, o ile ich zbywać będzie nad komplet. Cena pojedynczego zeszytu pozostaje niezmienna złotych 5 (kop. 75).

Na przedpłatę całkowitą lub kwartalną na rok 1858, zapisywać się można we wszystkich księgarniach krajowych i zagranicznych.

Pragnąc zapewnić pismu swemu ciągłą pomoc, redakcyja wzywa i najuprzejmiej zaprasza do wspólnej pracy osoby poświęcone literaturze i zawodowi naukowemu. Artykuły nadsyłane z wdzięcznością przyjmie, a nawet jest w gotowości opłacać na żądanie wszelkie zamieszczone w piśmie swoim prace czyto według umowy z autorem, czy stosownie do zasad, które przyjęła. Żądanie jednak zapłaty powinno być wyraźnie na artykule przez autora zamieszczone.

Autorowie, księgarze i inni nakładcy, których życzeniem jest, aby ich dzieła nakładowe były rychlej wymienione w *Kronice bibliograficznej*, i ocenione w *Kronice literackiej* Biblioteki Warszawskiej, zechcą zaraz po skończonym druku składać tychże dzieł egzemplarz, do kantoru redakcyi przy ulicy Daniłowiczowskiej nr. 619.

## T r e ś ć.

	Stron.
Rolnicza ludność w Polsce od XV do XVI wieku, przez <i>T. Xcia L.</i>	237
Zaczątki piśmiennictwa polskiego, przez <i>Dominika Szulca</i> (ciąg dalszy).....	278
Kupiec wenecki. Dramat Szekspira, przekład <i>Józefa Paszkowskiego</i> .....	301
Staropolska miłość. Urywek pamiętnika, spisany przez <i>J. I. Kraszewskiego</i> (ciąg dalszy).....	343
Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. <i>Mojżesz</i> , Rossini'ego. — <i>Karnawał Wenecki</i> , opera pana Ambrose Thomas. — Uwertura ze <i>Struenzy</i> Meyerbeera. — Teatr Włoski. — <i>Don Bruschino</i> , farze Rossini'ego w <i>Bouffes Parisiens</i> . — <i>Le Rocher de Sisyphe</i> , dramat w pięciu aktach, przez p. Didier. — <i>Przemysł, sztuka i rolnictwo u Arabów</i> , przez p. Francis. — Wiadomości literackie.....	386
Wiadomość o kassuli, dawnej miarze polskiej, przez <i>Alexandra Wejnerta</i> .....	411
POEZYJE. Poezye z Longfellowa. I. Wędrownie ptaństwo. II. Strzała i pieśń. III. Spiewacy, przez <i>M. Ilnicką</i> .....	408
KRONIKA LITERACKA. I. Włościanie z okolic Krakowa skreślił <i>J. Mączyński</i> . Kraków. 1858. — II. Obrazki z obyczajów ludu wiejskiego, przez <i>W. Wielogłowskiego</i> . Kraków. 1856. — III. Obrazki z obyczajów domownictwa wiejskiego, przez <i>W. Wielogłowskiego</i> . Kraków. 1857. — IV. Obrazek oderwany, przez <i>W. Wielogłowskiego</i> . Kraków. 1857. — V. Obrazek wiejskich rozkoszy. Kraków. 1857. Przez <i>K. Kalinkę</i> . 416. — Kilka filologicznych uwag nad dziełem Teodora Narbutta: Dzieje narodu litewskiego, przez <i>S. Mikuckiego</i> . 443. — O kilku nowszych zbiorach poezyj: Kwiaty i kolce, przez Felicyana. Warszawa. 1856. — Kartki życia, przez <i>J. Laskarysa</i> . Wilno. 1856. — <i>Han-Akmet, Janczar</i> , przez <i>E. Machczyńskiego</i> . — Z podań ludu i z obcej mowy, p. <i>J. Prusinowskiego</i> . Warszawa. 1856. — Poezye mniejsze <i>Fr. Krauza</i> . Warszawa. 1858. Przez <i>Bolesława-Wiktora</i> . 449. — <i>Ułan</i> , sielanka bojowa, przez <i>Wł. Syrokomłę</i> . Wilno. 1858. Przez <i>Wł.</i> 455. — <i>Historya prawodawstw słowiańskich</i> , przez <i>W. A. Maciejowskiego</i> . Tom II. Warszawa. 1858..	461
ROZMAITOŚCI. Klechdy podlaskie, przez <i>Stan. Miłkowskiego</i> ...	463
KORRESPONDENCYJE: Dwunaste i trzynaste posiedzenie wileńskiej archeologicznej kommissyi. 480. — Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej od <i>Ferdynanda Nowakowskiego</i> .....	489
Doniesienia literackie.....	490
Dostrzeżenia meteorologiczne za m. grudzień r. z.....	501
Wypadki dostrzeżeń meteorologicznych, w Obserwatoryum warszawskim w roku 1857 robionych.	

Ukończono druk dnia 10 lutego 1859 roku.

BIBLIOTEKA  
WARSAWSKA.

1858.

---

NOWA SERIA.

MARZEC. ZESZYT XV.

---

WARSAWA.

W DRUKARNI GAZETY CODZIENNEJ  
przy ulicy Daniłowiczowskiej N<sup>o</sup> 619.

---

1858.

OGÓLNEGO ZBIORU ZESZYT CCVII.

## PAMIĄTKI POLSKIE W RZYMIE.

PRZEZ G. Z.

Zwiedzając pamiątki starożytnego Rzymu i obchodząc liczne świątynie wiecznego grodu, pośród nieprzeliczonych pomników grobowych, nieraz mi się zdarzyło natrafić polskie nazwisko, które dziwnym losem daleko od swojego gniazda uniesione, do tych kamiennych pamiątek przymarło. Zebrać je razem wzięła mnie ochota, i jaki plon z tych rzymsko-narodowych wycieczek zebrałem, poniżej zamieszczam: plon wprawdzie mały, nieodpowiadający trudom poszukiwania, jednakże przy dzisiejszej dążności odgrzebywania wszystkich pamiątek naszej przeszłości, i taki obojętny być nie powinien. Nie pochlebiam sobie, ażeby ten przedmiot już był ostatecznie przezemnie wyczerpany, szukając bowiem tych pamiątek bez przewodnika, w nieprzeliczonym tłumie sarkofagów, grobowców i kamieni nagrobnych, łatwo niejedno imię przeoczyć mogłem; ale być może, że jakiego w przyszłości podróżnika Rzym zwiedzającego, weźmie chęć ten zbiorek skompletować. Zawsze to będzie, aczkolwiek nieobfity i w treść dziejową niebogaty, skromny przyczynek do materyałów naszej przeszłości historycznej.

Bezwątpienia, archiwum i biblioteka watykańska, najwięcej mogłyby dostarczyć materyałów do dziejów naszych narodowych, z powodu stosunków, w jakich ciągle Polska zostawała ze stolicą apostolską; ale przystęp do tej biblioteki nie jest łatwy, a znalazłszy takowy, potrzeba



jeszcze być obeznanym z decyrowaniem pism i charakterów starożytnych. Zresztą pomijając już poprzednie prace Albertrandego w tym przedmiocie, niedawno ogłoszona wiadomość bibliograficzna o rękopismach zawierających w sobie rzeczy polskie przez Alexandra Przędzieckiego, (Warszawa. 1850), dostatecznie nas objaśnia, jakie zbiórki dotyczące naszych dziejów, zawierają archiwum watykańskie i liczne rzymskie biblioteki.

Zbiorek nasz ogranicza się li tylko na tych pamiątkach polskich, które w Rzymie w różnych kościołach spotkać się nam zdarzyło.

1) W kościele Dominikańskim św. Sabiny na górze Awentyńskiej, jest cela a raczej oratoryum klasztorne, gdzie na ścianie czytamy napis następujący:

In hoc capitulari S(anctus) P(atriarcha) N(oster) Dominicus duo germana Poloniae lumina Hiacinthum ac B. Ceslaum sacro sui ordinis habitu, manibus propriis decoravit.

W galeryi obrazów w pałacu watykańskim znajduje się obraz Benozzi Gozzoli, ucznia B. Angelo de Fiesole, wyobrażający kilka scen z życia św. Jacka Dominikana.

W bazylice Najświętszej Panny zwaną Santa Maria Maggiore, w kaplicy bocznej Borghezów, na grobowcu Klemensa VIIIgo papieża z rodziny Aldobrandinich, między innymi czytamy:

Hyacinthum Polonum et Rajmundum Hispanum ex Praedicatorum familia, virtute et miraculis claros, Sanctorum numero adscripsit.

Niesiecki powiada, że św. Jacek i B. Czesław, synowie Eustachiusza z familii Odrowążów, znajdując się w Rzymie w orszaku Iwona biskupa krakowskiego a swojego stryja, gdy się Iwo poznał ze św. Dominikiem i prosił go, aby z nim bracią swoją zakonną do Polski posłał, mąż święty ochotnym się do tego pokazał; ale dla szczupłej jeszcze liczby swojej braci, prosił, czyby mu biskup nie mógł dać Polaków do wyćwiczenia w życiu zakonném. Biskup pomiędzy swemi najpiérwszego i najochotniejszego do tego znalazł św. Jacka (już podówczas kanonika krakowskiego) i drugich, to jest: Czesława, Hermana Niemca i Henryka Morawianina, którzy w r. 1219 do za-

konu przez św. Dominika przyjęci zostali, i w rok potem śluby zakonne oddawszy, św. Jacek z swojemi towarzyszami posłany był do Polski jako kamień węgielny i fundament w tej stronie. Klemens VIII papież w r. 1594 w liczbę świętych go policzył, i święto jego dnia 16 sierpnia *sub ritu semiduplici* w całym kościele święcić rozkazał, a to na instancją Zygmunta IIIgo króla polskiego, który w tej sprawie wysłał był do Rzymu Stanisława Mińskiego wojewodę łączyckiego.

Al. Przeddziecki w *Wiadomości bibliograficznej* wyżej cytowanej wspomina, że w bibliotece Chigi w Rzymie znajduje się rękopism z połowy XIVgo wieku, mający kart 26, żywot św. Jacka przez Stanisława, lektora krakowskiego zakonu św. Dominika, obejmujący; i uważa, że rękopism ten musiał być przysłany przez Dominikanów krakowskich, gdy się starano o kanonizację św. Jacka, albowiem akta tej kanonizacji z 1589 roku o nim wspominają.

2) W kościele księży Augustyanów znajdują się grobowce trzech młodych Polaków, którzy w końcu XVI wieku zwiedzając starożytną stolicę chrześcijańskiego świata, przedwczesny zgon w niej znaleźli. Grobowcami ich są trzy marmurowe tablice z napisem w mur osadzone: nad każdą tablicą herb i popiersie zmarłego, z białego marmuru, pięknego dłuta; napisy zaś następujące:

a) *Petro Andreae Jazłowiecki de Buczacz Capitaneo Czerwonogrodensi, Georgii Palatini Russiae, Scytharum et Walachorum domitoris ac exercitus Regni Poloniae Ducis praestantissimi filio, qui cum majorum suorum praestantia imitari decrevisset, Germania et Italia peragrata, Romam usque pietatis gratia pervenit, ubi cum se plurimis vitae honestate et morum gravitate commendasset ac spem futurae maturitatis et excellentiae ostendisset, febris correptus, in beatorum sedes raptus est, anno Domini 1581 d. 22 Septembris, vixit annos 23 menses 10.*

Jazłowieccy herbu Abdank, na Podolu, zdawna pisali się z Buczacza. Jerzy wojewoda podolski, a potem ruski, hetman polny koronny a potem wielki, starosta lubaczowski, śniatyński, czerwonogrodzki; znakomity wojownik swojego czasu, (który znacznie ojczyźnie służył,



mówi *Paprocki*, wszakoż dopiero po śmierci jego to ludzie do niego baczyli), posłował za Zygmunta Augusta dwa razy do cesarzów tureckich; umarł r. 1575, pozostawwszy z Tartłównęj krajczanki koronnej trzy córki i czterech synów. Z tych Jędrzej starosta czerwonogrodzki młodo umarł, a Hieronim wojewoda podolski z Eleonorą księżniczką Ostrogską żyjąc bezpotomnie, w r. 1607 zszedł z tego świata, i na nim wygasła rodzina Jazłowieckich. *Niesiecki* nie wspomina o nagrobku Jędrzeja w Rzymie, widać, że go nie znalazł w Starowolskim.

b) Joannes de Wrambezyo Falibowski Eques Polonus obiit Romae anno salutis nostrae 1596 die 23 Februarii, aetatis vero suae anno 25: cui Dominus sit propitius.

*Niesiecki* uważa, że Falibowscy z Chwalibowskiemi herbu Korab' jeden dom stanowią, i z Wrambezya się piszą: wspomina o nagrobku w Rzymie Jana Falibowskiego, opierając się na Starowolskiego *Monumenta Sarmat.*

c) Generoso Alberto Splawski Palatinidi Inowloclaviensi Polono, pietate, ingenio, fide, integritateque accepto, in ipso aetatis flore inexplebili mortis invidia, magna de se apud omnes expectatione, relicta vita functo, Generosus Andraeas Przyiemski Capitaneus Covalien., maestus fratri charissimo posuit: obiit die 12 Septembris anno Domini 1596, aetatis suae 22.

Nagrobek ten jest także zamieszczony w Monumentach Starowolskiego. *Niesiecki* o tém wspominając, niewłaściwie kładzie rok śmierci Wojciecha Splawskiego 1606 (edycya lipska J. N. Bobrowicza). *Paprocki* pod herbem Leliwa mieszcząc ród Splawskich, dodaje, iż był to dom znaczny w Wielkiejpolsce, własny także Granowskich, którzy się *de Splawie* pisali. Ojciec Wojciecha Jan z Targowej góry wojewoda inowłocławski, w r. 1587 podpisał elekcyą Zygmunta IIIgo króla.

3. W kościele św. Andrzeja na Monte Cavallo, przy którym jest nowicyat Jezuitów, w bocznej kaplicy poświęconej św. Stanisławowi i ozdobionej kosztownymi marmurami, znajduje się pod ołtarzem ciało świętego, w urnie z lapis lazuli zamknięte. Obraz w tym ołtarzu wyobrażający św. Stanisława Kostkę, gdy mu Matka Bo-

ska oddaje na ręce Jezusa, pięknego pendzla przez Karola Maratta, dwa zaś obrazy obok ołtarza odnoszące się do życia św. Stanisława, są pendzla Mazzanti. W przyległym klasztorze, cela, w której św. Stanisław życia dokonał, zamienioną została na kaplicę, a w miejscu, w którym stało łóżko świętego, na którym ducha wyzionął, znajduje się statua wyobrażająca świętego umierającego, dłuta rzeźbiarza Le Gros. Głowa, ręce i nogi są z białego karraryjskiego marmuru, habit z czarnego, materac i poduszki z żółtego marmuru. W głowach posągu znajduje się wielki obraz pendzla Józefa Chiary, wyobrażający Matkę Boską w chórze anielskim, sypiącym róże i kwiaty na głowę umierającego. Obraz ten i posąg stanowią jedną całość, lubo zestawienie takie sztuki malarzkiej i rzeźbiarskiej, jak również użycie tylu różnokolorowych marmurów, najlepszym są dowodem skażonego gustu; przecież co do samego posągu, rzeźbiarz tak uchwycił prawdę w szczegółach, że zdaje się patrząc, iż się widzi rzeczywiście umierającego. W tej kaplicy jest jeszcze kilka portretów świętego Stanisława, ile sądziłbym za życia jeszcze malowanych.

Stanisław Kostka, syn Jana na Rostkowie kasztelana zakroczymskiego, herbu Dąbrowa, i Małgorzaty Kryskiej, urodził się w Rostkowie pod Przasnyszem w końcu r. 1550, umarł w Rzymie d. 15 sierpnia 1569 r., mając lat 19. Klemens X papież, na prośbę Michała króla polskiego w r. 1670, święto jego w d. 13 listopada do obchodzenia naznaczył, z pozwoleniem mszy świętej i kapłańskich pacierzy jak o wyznawcy świętym. W r. 1674, tego błogosławionego między najprzedniejszych patronów polskich policzyć dozwoliwszy, uroczysty dzień jego w Polsce na pierwszą niedzielę po 13 listopada przeniósł. Innocenty XI papież, na instancją Jana IIIgo króla, w szereg najpiérwszych korony polskiej patronów policzyć go rozkazał, Klemens zaś XI w r. 1714, dekretem go swoim między świętych Pańskich zaliczył.

4) W bazylice Najświętszej Panny zwanéj in Trastevere, po lewéj stronie trybuny znajduje się nagrobek kardynała Hozjusza marmurowy. W medalionie zamie-

szczone jest popiersie kardynała, pięknego dłuta, z białego karraryjskiego marmuru, poniżej napis następujący:

Stanislao Hosio Polono S(acrae) R(omanae) E. Praesb. Card. Varm. ep. majori paenitent. vitae sanctitate, eruditionis et eloquentiae gloria celeberr. Catholicae fidei acerrimo propugnatori, qui, cum, antiquae probitatis et Episcop. vigilantiae praestantiam in humilitate, charitate, castitate, beneficentia expressisset, haeret. sectas scriptis et consiliis sapientiss. ferventer oppugnasset, multos ab erroribus revocasset, gravibusque legationibus pro pace Ecclesiae Dei, cum apud Carolum et Ferdinandum Caes., tum praecipue in Sanc. Conc. Trid. Pii IV Pont. nomine felicissime perfunctus, Christian. Reipub. plurimum profuisset. Omnium virtutum laudibus et exemplis ad imitandum abundans, obdormivit in Domino. Nonis Aug. anno 1579, aetatis suae 76. Stanislaus patruo et Stan. Rescius patrono beneficiatis execut. testament. pos.

Poniżej tego znajduje się napis:

Haec scripsit vobis de iis, qui seducunt vos.

A jeszcze niżej, w płaskorzeźbie księgi rozrzucone, z których jedna otwarta z napisem:

Catholicus non est, qui Romanae Ecclesiae in fidei doctrina discordat.

Niesiecki zamieścił ten napis z małemi wariantami i bez końca, bo w rękopiśmie, z którego zrobił odpis, ostatnich słów brakowało. Stanisław Hozyusz, syn Ulryka, którego Zygmunt I prokuratorem miasta Wilna uczynił, używał herbu tegoż nazwiska. Rodzina ta, jak Rescyusz w życiu kardynała rozumié, przybyła do Polski z Marchii Badeńskiej. Wcześniej wstąpiwszy do stanu duchownego, był biskupem chełmińskim, później warmińskim, nuncyuszem papieskim do cesarza Ferdynanda Igo i Maksymiliana IIgo, kardynałem, legatem à latere i prezydującym na koncylium trydenckiem. Jezuitów pierwszy do Polski wprowadził, w Brunsberdze collegium założył i seminaryum fundował. Wysłany przez Zygmunta Augusta w poselstwie do Rzymu, od Grzegorza XIIIgo najwyższym penitencyarzem mianowany, umarł w Capranica d. 5 sierpnia 1579 r. Ciało jego do Rzymu sprowadzone, w kościele Panny Maryi za Tybren, pod które-

go tytułem był kardynałem, pochowane. Wiele pism w obronie wiary katolickiej napisał przeciwko szerzącym się błędom dyssydenckim, które Niesiecki z tytułów wylicza. Przytaczać ich tu nie widzę potrzeby, pewnym będąc, że imię Hozyusza nie jest tak obcém nikomu, ażeby z powodu jego grobowca w Rzymie, w przydłuższe objaśnienia wdawać się tu należało.

5. W kościele jezuickim zwanym *del Gesu* (Imienia Jezus), najbogatszym w marmury i inne kosztowności między kościołami rzymskimi, w kaplicy na prawo, gdzie jest ołtarz św. Franciszka Xawerego, znajduje się w posadzce wielki kamień grobowy z herbem Radziwiłłów i napisem: Georgii tit. s. Sixti S. R. E. praesb. Cardinalis Radzivilii Episcopi Cracoviensis Ducis Oliciae et Niesysisii.

Jerzy Radziwiłł był drugim synem Mikołaja Czarnego wojewody wileńskiego z Szydłowieckiej; wyrzekłszy się w młodym wieku błędów heretyckich, przyjął wiarę katolicką i stał się jej wielkim obrońcą i pomnożycielem. Waleryan Protasewicz infułat wileński zrozumiawszy w nim chęć do stanu duchownego, przybrał go sobie za koadyutora; na co król Stefan przystał, i Grzegorz XIII aprobował: ale go do Rzymu wezwał, gdzie kilka lat na naukach pod kierunkiem Achillesa Gallardi Jezuity spędził. Po śmierci biskupa Waleryana, wrócił Jerzy na biskupstwo w roku 24 swego życia, a w r. 1583 od Belognetta nuncjusza papieskiego w Polsce, na toż biskupstwo wyświęcony został. Za staraniem Stefana Batorego otrzymał beret kardynalski, a Zygmunt IIIci w 8 lat potem, to jest 1590 r. na krakowską katedrę go przeniósł. Klemens VIII papież mianował go swym legatem do ugruntowania pokoju między Rudolfem cesarzem a Zygmuntem III królem polskim (1), co on swoimi zabiegami do skutku

(1) O témto pojednaniu mówi napis na nagrobku Klemensa VIII w bazylice Santa Maria Maggiore, o którym wspomnieliśmy wyżej mówiąc o św. Jacku: „Clemens VIII Florentinus ex Aldobrandina familia, post sedatas in Polonica legatione, inter Sigismundum Regem et Austriacam domum ortas in Comitibus regni discordias, ad Pontificatus apicem evectus” etc. Nie od rzeczy téż jest tutaj wskazać na *Katalog biskupów krakowskich* przez ks. Łętowskiego, gdzie pod żywotem Radziwiłła (T. II, 144) przywołując trzy na oddzielnych miejscach pamiątki jego grobowe (w Rzymie, u ks. Franciszkanów w Krakowie i w katedrze wileńskiej) stara się

przywiódł, i córkę cesarską Annę zmówiwszy w małżeństwo Zygmuntowi, sprowadził ją do Krakowa. Temuż Zygmuntowi chrzcił syna Władysława, potem króla polskiego. Na dwóch elekcyach papieskich w Rzymie zasiadał, tojest: Innocentego IX i Klemensa VIII. W czasie wielkiego jubileuszu, gdy będąc w Rzymie, Klemensowi przy ceremoniach otwierania Portae Sanctae assistował, niespodziewaną chorobą zwałony, w r. 1600, a wieku swego 44 życie zakończył.

Przybyły jednocześnie z Radziwiłłem do Rzymu, i z powodu tejeż okoliczności, tojest wielkiego jubileuszu w r. 1600, *Hieronim Rozrażewski* biskup kujawski, ceniony z zasług niepospolitych w kraju, pod królami: Henrykiem, Stefanem i Zygmuntem III, a przez Klemensa VIII z takim odznaczeniem poważany, iż miał zamiar niezwłocznie po Radziwille zaliczyć go w poczet kardynałów swoich; zakończył także dni swoje w Rzymie, w paroksyzmie wodnej puchliny, z której uleczyć się nie mógł. Zgromadzenie księży Jezuitów, którym tyle dobrego świadczył w ojczyźnie, ufundowawszy ich w Gdańsku, wielką prócz tego opinią o jego świętości powodowane, przyjęło zwłoki jego pośmiertne do swego kościoła. Nagrobku żadnego tu u nich z zachowaniem pamięci Rozrażewskiego nie znalazłem. Wspomina tylko *Damalewicz* w swoich *żywotach biskupów włocławskich* (p. 421), iż zostało mu sporządzone przez jednego z jego następców na katedrę kujawską, tojest Pawła Wołuckiego w r. 1619 *caenotaphium*, które dosłownie w zamknięciu żywota Hieronima umieszcza. Ale pisarz ten wymieniając Rzym, jako miejsce zgonu tego biskupa, nie wyraża się dokładnie, gdzie by szukać tego napisu grobowego należało.

W tejeż samej kaplicy jest jeszcze, oprócz Radziwiłła, kamień nagrobny w posadzce z herbem i następującym napisem:

Hevae, Mariae Laurentinae Josephi Comitiss Hurko  
Poloni filiae, religione vitae, liberalitate in egenos, libero-

ustalić daty odmienne jego nominacyi, jak na koadyutorstwo wileńskie w r. 1574 za Henryka Walezego, kardynałstwo dopiero po śmierci Grzegorza XIII przez Sykstusa V, a to wspierając się na świadectwach tych odmiennych napisów grobowych.

rum institutione, morum suavitate nomini secundae. Denatae 8 Kal. Decembris an. 1821, aetatis anno 28, Thad-dacus Comes Szczyt, uxori optimae et concordissimae cum lacrymis posuit. Qui legis pacem Caelitum adprecator.

Hurkowie i Szczytowie rodziny białoruskie, pierwsi herbu tegoż nazwiska, drudzy herbu Radwan. Herby te i na kamieniu złączone.

Nadmienić tu jeszcze wypada, iż w Rzymie umarł ks. Brzozowski, generał Jezuitów i zapewne w którym z kościołów jezuickich jest pochowany, ale grobu jego nie znaleźliśmy.

6. Najciekawszym co do rzeczy polskich jest kościół św. Stanisława biskupa, położony w bliskości Kapitolu na rogu ulic *Via delle botteghe oscure* i *Via dei Polacchi*, założony przez kardynała Hozyusza a darami Anny Jagiellonki uposażony. Niesiecki powiada, że Hozyusz „na postawienie kościoła a przy nim szpitala dla przychodniów Polaków niemalże koszt wysypał”. Jest on dotychczas, wraz z przyległą gospodą czyli ochroną (*hospitium*) dla pielgrzymów polskich, własnością polskiego narodu, i w jak najlepszym utrzymaniu stanie i porządku. Nad głównymi drzwiami kościoła od ulicy jest napis następujący:

*Templum s. Salvatoris et Sanct. Stanisłai hospitium natio. Polonorum. 1580.*

Zdaje się, że poprzednio istniał w tém miejscu kościół pod nazwą Zbawiciela, nim na własność narodu polskiego nabytym został przez Hozyusza, i tytuł dawny utrzymał się, ale z dodanym tytułem św. Stanisława. Kościółek nie jest wielki, ale pięknie urządzone i przypominający swoim urządzeniem polskie kościoły, gdzie naprzeciw wielkiego ołtarza, nad drzwiami głównymi jest chór i organ: czego w żadnym innym z rzymskich kościołów nie znajdujemy. Kościółek ten ma pięć ołtarzy marmurowych, sklepienia al fresco malowane, w ołtarzach obrazy świętych polskich wystawiające. I tak: w pierwszym ołtarzu na prawo św. Kazimierz królewicz; w drugim św. Stanisław biskup wskrzeszający zmarłego w Piotrowinie, podobno pędzla Smuglewicza;

w wielkim oltarzu obraz Zbawiciela, a u dołu kłęczący św Jacek. Po lewej zaś stronie kościoła, w pierwszym oltarzu od drzwi wchodowych, św. Jan Kanty w todze akademickiej; w drugim Chrystus na krzyżu, przed którym kłęczy św. Kunegunda. Po jednej i po drugiej stronie wielkiego oltarza są dwie tablice marmurowe w mur wprawione, pamięci Hozyusza i Anny Jagiellonki poświęcone, z następującemi napisami:

D. O. M.

*Piae memoriae Annae Jagellonae Reginae Stephani I Poloniae Regis Conjugi, cui ob ditatam hanc regali magnificentia eccles. et argenteam ejusdem supellectilem auctam, ne tam pium opus sua frustretur gratitudine piaculari sacro quotannis 15 Kal. April. instituto, ex decreto generalis congregationis provisores Stanis. Comes de Iipe Lipski Can. Plocen. Praepos. Krzemienicen. et Stephanus Wierzbowski S. Reg. Maj. Secret. p. p. Idib. Martii 1748.*

Na drugiej napis:

*Stanis. Hosio Polono Ep. primum Culmensi, deinde Varmiensi S. R. E. Cardinali, majori paenitentiario, editis libris sacris, legationibus, moribusque sanctissimis de univer. Christiana Reipub. optime merito, oecumenici Concilii Tridentini praesidi integerrimo, hujus templi et diversorii Peregr. Polon. conditori munificentissimo ad S. Mariae Trans Tib. sepulto, And. Wollowicz (1) Can. Plocensis D. N. P. Rector m. p. c. anno post Christum natum 1787.*

W kościele mnóstwo jest nagrobków zmarłych w Rzymie Polaków, które po większej części w posadzce są umieszczone; kładę ich tu chronologicznym porządkiem:

a) D. O. M. et memoriae Ludovicae de Matthia nuncupatae, Polonae, faeminae piissimae, Romae post vitam religiosissime actam die 22 Aprilis 1623 mortuae et hoc

(1) Andrzej Bogorya Wollowicz w 31 lat od daty powyższej, znany jest nam jako pierwszy, który po nowym podziale dycecyi dla Królestwa Polskiego, na biskupstwo kujawsko-kaliskie z archidyakona warszawskiego zamianowany został, mając wieku lat 68.

loco sepultae, provisores hujus Ecclesiae et hospitalis posuerunt.

b) D. O. M. Petrus Narbut Nobilis Lithuanus Illbs et piis parentibus natus, adolescens, Romae obiit a. D. 1633, aetatis suae 18, men. Octob. 18. Cui monumentum hoc perillustres D. D. Naruszewizii maesti patroni pp.

Narbutt herbu Zadora. O tym nagrobku wspominając Niesiecki, odwołuje się do Monumentów Starowolskiego.

c) Kamień grobowy z herbem Ostoja i literami herb otaczającymi A. E. S. P. N. C. R. Pod tym kamieniem spoczywają zwłoki Adama Eustachego Słuszki, którego grobowiec, po lewej stronie drzwi wchodowych, marmurowy, w mur osadzony, z popiersiem zmarłego, ma na tablicy napis następujący:

Eustachius Adamus Alexandri Słuszka Senatoris et Palatini Novogrodensis et Sophiae Zenowiczowna filius, Vladislai IV Poloniarum et Suec. Regis Cubicularius, Rzeczycensis Gubernator, aetatis cursum, natura, virtute, ingenio, sapientia, facundia, fortitudine roboravit, tantosque splendores in conspectum duntaxat patriae dare parum ratus, almam Urbem, indolis suae ad summa natae, spectatricem habere voluit et habuit, in qua dum animi corporisque dotes omni excolit studio et patriae bonus civis, parentum solatium, prosapiae ornamentum, omnium virtutum specimen efficeretur, mors raptum, Polonum Romano tumulo abdidit et pio fortique viro ubique esse patriam ostendit. Obiit Romae 27 Aug. 1639, aetatis anno 24, cui maestus frater Boguslaus Rzeczycensis Gubernator honoris et doloris haeres, monumentum hoc posuit.

U spodu napisu herb Ostoja, otoczony literami jak na kamieniu.

Wspomina go Niesiecki idąc za Starowolskim in Monument. f. 813. Ojciec Eustachego był nakoniec wojewodą trockim, starostą rzeczyckim, łojowskim, możyńskim i homelskim.

d) D. O. M. DD Mariae de Cardona Arragoniae DD. Francisci Segerbien. ducis filiae, quae non regina ducum vixit, non addita fastis condat, utrumq. licet fide-



lis urna genus exiguum hanc conjugalis fidei thessarum eques Andraças Radziszowski Polonus pos. obiit Cal. Junii a. D. 1645.

O tym nagrobku wspomina Niesiecki, idąc za powagą Starowolskiego in Monum. fol. 814. Nazywa Jędrzeja nie Radziszowskim, jak jest na kamieniu, ale Radziszewskim. Rodzinę tę mieści w Podlaskiem i Mazowieckiem, nie wymieniając jakiego jest herbu. Myli się narzeczcie co do daty śmierci małżonki Radziszowskiego, kładąc rok 1614 zamiast 1645. Nie mając pod ręką pierwotnej edycyi Niesieckiego, nie umiem objaśnić, czy te liczne pomyłki co do dat a nawet imion, pochodzą z winy autora, czy jego wydawcy lipskiego J. N. Bobrowicza.

e) D. O. M. Non despice tumulum hospes, documentum hic tuae calcas mortalitatis. Thomas Wojakowski Polonus ord. eq. juvenili aetate, veloci ingenio vix dum Urbem aspexerat praecipiti ereptus fato, patriae dammum, parentibus luctum, tibi offert hoc quod volvas mente saxum. a. D. 1645, aetat. suae 21.

O Tomaszu Wojakowskim i jego nagrobku wspomina Niesiecki ze Starowolskiego Monum. f. 813, a kładzie podobnie rok śmierci 1614 zamiast 1645. Wojakowscy herbu Brochwicz z ziemi przemyskiej.

f) D. O. M. Quieti aeternae consulens Martinus Katlewski Posnanien. Varsavien. Canonicus, anniversaria sibi justa ac unaquaque sexta feria sacrum faciendum annuo reditu constituto, hic ad aram Sanctae Crucis vitae terminum impositurus, pie delegit anno Dni 1656. 4 Kal. Maii, aetatis suae 56, exequente Mathaeo Joanne Judicki Archid. Pomer. Can. Gnesnen. S. R. M. Secretia. ex decr. S. Congreg. Visit. Apost.

Nagrobek ten jest marmurowy, po prawej stronie drzwi wchodowych w mur wprawiony, z popiersiem zmarłego.

Chociaż w herbarzu swym Niesiecki nie ma rodziny Katlewskich, zdaje się, że między szlachtą zamieścić ich był powinien, a mianowicie w powiecie michałowskim, gdzie wieś Katlewo mogła być gniazdem tej rodziny (1).

(1) Ze względu też godności kanonickiej, przypomniećby można prawo z r. 1496, niedozwalające otrzymania jej bez wyvodu z 4 pokoleń szlachectwa.

Nie wspomina on téż przy wyliczeniu członków rodziny Judyckich, herbu Radwan, naszego Mateusza Jana, archidyakona pomorskiego, chociaż imię to z chlubą jest wspominaane za arcybiskupstwa Macieja *Łubińskiego* w Gnieźnie, przez historyków kościelnych.

g) D. O. M. Piis manibus Martini Francisci Dalewski J. U. D. Canonici Chelmenensis, Parochi Lubomlensis, qui Romae, suae parochialis ac totius diaecesis Chelmenensis Ecclesiarum jura vindicans, acerrime dum ob sedem morte Clementis IX diutius vacantem litem caeptam passus differri, operum bonorum plenus, incurabili phtysi decessit, die III mensis Aprilis anno 1670. Executores sui dolentes Ignatius Gniński Archidiaconus Sremensis, Joannes Szolc Canonicus Varmiensis, Jacobus Kłosowski Protonotarius Apostolicus posperunt.

Podług Niesieckiego, Dalewscy herbu Crucini czyli Krzyż. Gnińscy herbu Trach. Zapewne ten sam, o którym pisze Niesiecki, Ignacy Bernard opat koronowski. Ten w Rzymie będąc od Alexandra VIIgo papieża Protonotarius apostolicus, od Klemensa IXgo laureatus juris utriusque doctor, od Innocentego XIgo praelatus domesticus et utriusque signaturae Referendarius uczyniony. Kanonikom poznańskim uprosił u stolicy apostolskiej rokiety. Trzech królów polskich sekretarz: Jana Kazimierza, Michała i Jana IIIgo; naprzód był osieckim proboszczem, dalej kanonikiem poznańskim. Jako sekretarz legacyi z księciem Radziwiłłem do Rzymu, po zejściu tegoż w Padwie, z rozkazu Jana IIIgo kończąc poselstwo, wszystko szczęśliwie u Innocentego papieża otrzymał. *Sidus infulatum*, byłto brat stryjeczny biskupa kamienieckiego; Samuel na opactwo koronowskie konsekrowany r. 1706, a podobno zaraz po śmierci Ignacego.

h) D. O. M. Jacobus Maximilianus Kłosowski Protonotharius apostolicus, S. R. M. Secretarius, mortis memor ac vitae, in memoria vivorum vivens posuit a. 1670. Obiit die 19 mensis Martii anno Domini 1682.

i) D. O. M. Jacobo Maximiliano Kłosowski viro morum optimo, ecclesiae S. Stanislai Polonorum addictissimo, qui cum haeredem universalem ipsam Ecclesiam constituisset, seutorum mille ducentorum numerata pecu-

nia, itidem scutorum vetingentorum in ereditis, excepta varia eidem Ecclesiae applicata supellectili, cum onere solemniter cantandi quolibet anno in perpetuum, missam die Immaculatae Conceptionis, die Assumptionis B. M. V., die S. Jacobi, nec non duo anniversaria perpetua solemniter cantanda quolibet anno. Unum die 2 Septembris pro anima Illustrissimae Marchionissae Mariae Serlupi de Torres, aliud die 19 Martii pro anima ejusdem Jacobi benefactoris, ut ex testamento peracta mori. not. Cap. Reg. die 19 Martii anno 1683 et ut hoc pietatis speculum perpetuo luceat. Perillustres et rev. domini Samuel Casimirus Hladovicki Canonicus Vilmensis et Carolus Marianus executores testamentarii et administratores posuer. anno Dni 1684.

Ze Kłosowsy herbu Rola w podlaskiém województwie się znajdowali, tyle tylko jest wzmianki w Niesieckim; pod tymże herbem Paprocki podaje: „Kłossowscy na Podlasiu dom starodawny i rozrodzony.” Czyny pobożne Jakóba i ofiary za życia kościołowi św. Stanisława poczynione, wylicza nagrobek, nie przywodząc rodowości żadnej, owszem za spadkobiercę téż jego jedyngo podając kościół, przy którym wiek strawił.

k) D. O. M. Hoc sub lapide sepultum Samuelem Casimirum de Hladovicze Hladovicki equitem Lituano-Polonum, patritium Grodnensem, canonicum Vilmensem, praepositum Scudensem S. R. M. Poloniae Secretarium. Lector amice praecibus respice, qui Romae in certis Rdmi Capituli Vilmensis negotiis, demoratus multis annis, hic suos locavit cineres, quos dum calcas viator, suos etiam brevi calcandos considera, obiit a. s. 1697, aetatis suae 68 die 30 Martii.

U spodu herb Prus 1<sup>o</sup>, tarcza z kapeluszem duchownego dostojnika, w otoku herbu litery C. S. Hl. C. V. P. S.

Niesiecki mówiąc o rodzinie Hladovickich herbu Pruss 1<sup>o</sup> wspomina Samuela i Kazimiérza, żyjących 1648. Jestto ten sam kanonik wileński, którego zamieszczamy wyżej nagrobek; w tém się myli Niesiecki, że z jednego dwóch oddzielnych uczynił.

l) Francisco Zakrzewski Bogoriano Palatinatus Cracoviensis Patritio, Serenissimorum Joannis III ac Mariae Casimirae Poloniarum regis et reginae M. D. L. P. P. et Ephebo annorum viginti vix exacto curriculo Romae 1700. 12 Maii immatura morte extincto, cui in paro(chia) li d. Marci funeralibus factis, hac in Ecclesia nationali tumulto, maerens parensve, Franciscus Wierusz Kowalski Eques Melitensis etc. Sodali, amico, fratrique piae memoriae ergo istud perenne poni fuit monumentum.

O Franciszku Zakrzewskim herbu Bogorya, dworzannie królowej Maryi Sobieskiej, zmarłym w Rzymie, wspomina Niesiecki.

Kowalski herbu Wieruszowa, który Zakrzewskiemu nagrobek wystawił, pochodzący z starożytnego domu od Piotra de Kowale, Wierusz, z sieradzkiego województwa, z liczby kilku Franciszków wspomnianych u Niesieckiego, wyszczególnia się w nagrobku tytułem jako *kawaler maltański*.

m) D. O. M. Conrado Andreae Radoszkowski Majoris Poloniae nobili viro, anno aetatis suae vigesimo nono Romae vivis erepto, 5 Nonas Maii a. D. 1755. Joannes Krasinski Antonii Castellani Zakroczym. filius, amico integerrimo suique itineris comiti fidelissimo pro lacrymis monumentum posuit.

W Niesieckim nie znajdujemy Radoszkowskich, tylko Radoszewskich i Radoszyńskich.

n) Jacobo Baronii de Puget Nobili Polono, a regibus Poloniae Augusto II et III S. sedem ministro deputati post 33 annorum spatium, hujus muneris summa omnium approbatione perfuncti, in hoc templo, quod pie vivens coluit, patri amantissime maerens ac lugens Josephus Baro de Puget, hoc devineti animi, perennisque memoriae m. p. anno Domini 1777.

Puszet czyli de Puget herbu własnego. Dom ten początek swój wywodzi od hrabiów Prowancyi. Benedykt Józef r. 1726 otrzymał w Polsce indygenat. Te wiadomości poczerpnięte są z herbarza Wielądka, który jednak Jakóba barona de Puget nie wymienia.

o) W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Stanisław ks. Parczewski św. Teologii doktor ur. w Litwie

1803 r. 1 marca. um. w Rzymie 1830 r. 1 maja, pochowany d. 3 maja. Ziomkowi ten kamień położyli przyjaciele.

p) D. O. M. Dorota Lubomirska, w kwiecie młodości zesła z tego świata w Rzymie 11 Lipca 1832. Henryk i Teressa z ks. Czartoryskich ks. Lubomirscy rodzice, ten kamień tu umieścili, a zwłoki do Przeworska przewiezione. Pod napisem herb.

q) Najświeższy nagrobek w tym kościele jest jakiegoś Włocha Jacobo Raffaeli, marmurowy z płaskorzeźbą.

Po obudwu stronach chóru, w murze osadzone są dwie tablice marmurowe z napisami. Po lewej stronie będąca, poświęcona na cześć Michała Jerzego Poniatowskiego prymasa, po prawej stronie zdaje się być na cześć Stanisława Augusta króla; ale ponieważ schody na chór prowadzące w całości ją zasłaniają, odczytać napisu niepodobna.

Na pierwszej napis jest następujący:

Honori Michaëlis Georgii Poniatowski, Reg. Stanisłai Augusti fratris Archiepis. Gnesnens. Primatis, primique Principis Regni Poloniae et Magn. Ducat. Lithuan. cujus auctoritate, instantiaque Juventute ad virtutem publicamque utilitatem exulta, literisque ac disciplinis optimis per amplissimas provincias florentibus, dignitas Reipublicae et sueri ordinis splendor revixit. Poloni Romae consistentes anno 1790 tanti hospitis adventu et patrocinio laeti dicaverunt, cura Danielis Ostrowski Archidiaconi Curzeloviensis, domus Nationis Polonae Rectoris.

W kościele, w oltarzu bocznym św. Stanisława biskupa, jest jeszcze mały obraz przedstawiający Najświętszą Pannę Częstochowską. Lampa przed wielkim oltarzem wisząca, pochodzi z daru Najjaśniejszego Cesarza Rossyjskiego Mikołaja. W dniu 7 Maja, jako w uroczystość św. Stanisława przypada w tym kościele odpust, pod tą datą we Włoszech obchodzony, gdy w Polsce 8 Maja się obchodzi.

Mówiąc o kościele, wspomnieć nam jeszcze wypada o rycinie, wewnątrz tego kościoła wyobrażającej, w czasie pogrzebowego obchodu za duszę ś. p. Jana III króla polskiego. Rycina ta 30 cali poł. wysoka a 18 szeroka,

którą Sebastianus Ciprianus Archit. inven. et del., Petrus et Franciscus Bartolus incid. ma podpis następujący:

Delineatio honorarii tumuli ac funebris pompae exhibitae Romae, in templo s. Stanislai Polonicae Nationis, cum memoriae Joannis tertio Regis Poloniae Magnique Ducis Lithuaniae Justa solemniter persolveret. Emmus et Rummus Carolus Cardinalis Barberinus, ejusdem Regni protector.

Na wspaniałym katafalku, zakończonym królewską koroną jest napis: Joannes III Poloniae Rex Magnus Dux Lithuaniae anno 1696. Cały kościół przybrany w krepowe festony, między którymi medaliony z wyobrażeniami do zwycięstw za panowania Jana III odnoszącymi się. Przy katafalku siedzi czterech biskupów odśpiewujących wigilie. W środku kościoła stoi grup kilka w duchownych lub włoskich ubiorach.

Zakrystya kościelna posiada wiele kosztownych aparatów, a mianowicie ornatów, z których jest ze 20, z darów rozmaitych familij polskich pochodzących. Prócz tego posiada ciekawe portrety, a mianowicie: Anny Jagiellonki, Hozyusza, Jana Kazimierza w ubiorze kardynalskim, Jana Sobieskiego, Augusta II i Augusta III Sasów, oraz jakiegoś prałata. Portrety w ogóle dobrego pendzla. Są nadto trzy obrazy wystawiające męczeństwo św. Stanisława, wskrzeszenie w Piotrowinie i apoteozę św. Stanisława: pendzel nieszczerólny, i kopia z obrazu Guidona Reni wystawiająca ukrzyżowanego Chrystusa.

W podwórzu jest sala ochrony a obok niej kilka pokoi przeznaczonych na przyjęcie pielgrzymów Polaków, Rzym odwiedzających, łóżka i pościel, oraz fundusze na podejmowanie, to jest na karmienie w czasie pobytu. Od wielu lat przecież nikt prawie z tego zakładu przodków nie korzystał.

W sali znajdują się następujące obrazy i portrety: św. Wojciech, św. Kunegunda, św. Stanisław Kostka, Najświętsza Panna z Dzieciątkiem Jezus na ręku, pod którym napis: „Principis Gagarini donum.” Pius VI, Benedykt XIV, Klemens XIII, papież; portret Hozyusza, Najjaśniejszego Cesarza Alexandra i jego Małżonki, Sta-

niślawa Poniatowskiego i jakiejs damy, zdaje się jego siostry: także obraz Matki Boskiej krakowskiej, znajdującą się u księży Karmelitów. Portrety w ogóle dobrego pendzla.

7) Również ciekawym pod względem rzeczy polskich jest kościółek śś. Sergiusza i Bacca, a zwany pospolicie della Madonna del Pascolo. Niegdyś kościółek ten z przyległym domem był rezydencją proboszcza z dwoma laikami, należącymi do klasztoru św. Franciszka di Paolo. Z rozkazu Urbana VIII papieża, chcącego na tém miejscu urządzić kollegium rusińskie, wprowadzeni zostali w r. 1639 Bazylianie ruscy, a proboszcz ś. Franciszka przeniesiony został do nowego klasztoru tegoż zakonu, wzniesionego obok kościoła św. Piotra w Okowach. Kościółek ten i ochrona (hospitium) przy nim urządzona, znajdowały się w opłakanyim stanie, kiedy je Bazylianie objęli, prawie w ruinie, jak o tém przekonać się można w archiwach klasztornych św. Franciszka, a dopiero staraniem i kosztem zakonu Bazylikańskiego, zostały odbudowane i powiększone, do czego znacznie się przyczynił ks. Barberini kardynał od św. Onufrego, naznaczając dla księży ruskich, zamieszkałych przy kościele śś. Sergiusza i Bacca rocznie skudów 100. Poprzednio miejsce to, po zaspokojeniu wydatków dotyczących miejscowości, przynosiło dochodu tylko skudów 4, bajoków 18  $\frac{1}{3}$ . Bazylianie następnie zakupili niektóre domy przyległe, a dawne zewnątrz i wewnątrz wyrestaurowali, przez co wynajem wzrósł do 57 skudów. W późniejszym czasie ze sprzedaży siedmiu placów, położonych w części miasta zwanej de' Monti, z kapellarii Flavii Radi, ze składek dobrodziejów narodowych i z zapomogi biskupa, dochody podniosły się do summy około 200 skudów wynoszącej.

Ta wiadomość poczerpnięta jest z opisu czynnego i biernego hospitium, uskutecznionego przez Jordana *Mickiewicza*, prokuratora jeneralnego zakonu Bazylianów i rektora tegoż hospitium, przesłanego sekretaryatowi wikaryatu rzymskiego d. 18 września 1800 r.

Kościółek ten i hospitium w r. 1829 przeszły na własność propagandy, i archiwum do archiwów propagandy wcielone zostało.

Najciekawszą osobliwością tego kościoła jest obraz Matki Boskiej znajdujący się w wielkim oltarzu. Ma to być kopia obrazu Żyrowickiego, która kiedyś na murze al fresco w przedsionku do hospitium była wymalowana. Zdaje się, że w czasie restauracyi budowli obraz ten tynkiem powleczono, a gdy w późniejszym czasie tynk opadł, lud uwierzył w objawienie się obrazu. Ówczesny przełożony, widząc zbiegowisko ludu, kazał na nowo obraz zamalować, ale i to na drugi dzień odpadło i utwierdziło wierzących w przekonaniu o cudzie. Nareszcie fresk wycięto z muru i przeniesiono do wielkiego oltarza, miejsce zaś na którém się fresk znajdował, oszklono i zamieszczono napis objaśniający. Sam obraz, dzieło jak się zdaje dobrego malarza, wyobraża Maryą trzymającą na ręku Dziecię Jezus, ale twarze tylko, ręce i nogi są widzialne, reszta bogatą srebrną ryzą zasłonięta. W otoku znajduje się napis ruski, cerkiewnemi literami. Na rycinie tego obrazu mającej tytuł: *vera e miraculosissima effigie della Madonna Santissima detta del Pascolo* ów napis ruski znajduje się po włosku w ten sposób przełożony: „Czcimy cię prawdziwa Matko Boga, czcigodniejsza nad Cherubiny a sławniejsza bez porównania od Serafinów, która bez zmazy porodziłaś Syna Bożego”. Nazwisko tego obrazu, znanego od ludu rzymskiego pod wyrażeniem *Madonna del Pascolo*, jest prostém tłumaczeniem wyrazu Najświętsza Panna Żyrowicka. Żér, jadło, pokarm po włosku *pascua, pascolo*. Ozdoby wielkiego oltarza są po największej części nakładem książąt Czartoryskich dopelnione, co potwierdzają herby teje rodziny tamże znajdujące się.

W kościele jest kilka nagrobków, z tych najciekawszy Korsaka.

Raphaëli ex Comitibus Korsak, Archiepiscopo Kijoviensi et Halicensi, Metropolitae totius Russiae, qui à Sigismundo III Poloniarum rege apud S. sedem ad gravissima negotia A. B. Josaphat Koncewicz, Archiep. Polocensis Martyrii causam agendam ablegatus. Rebus seduto....

Reszta napisu na kamieniu zupełnie zatarta, odczytać tylko można imię Urbana VIII, a w końcu rok 1641, zapewne śmierci Korsaka.



O Korsaku pisze Niesiecki, że był naprzód władzą pińskim 1633 r., potem w r. 1637 objął metropolią całej Rusi, co znać z panegiryku na jego wjeździe *Spes altera Russiæ*. Tam powiada autor, że Korsakowie kotwicami się pieczętują; przydaje i to, że się w Rzymie uczył, o kanonizacyą B. Jozafata starając się, Urbanowi VIII i kardynałom miły. Papież na dowód swego ku niemu affektu, dał mu wszystkie strój i aparat greckich obrządków bogaty. Był człowiek uczony, pobożny i pracami około unii świętej zalecony."

W oltarzu bocznym kościoła jest obraz św. Jozafata przedstawiający. Drugi obraz tego świętego znajduje się w zakrystyi.

Są jeszcze dwa nagrobki w tym kościele. Pierwszy, tablica marmurowa w posadzce, na której napis:

In pace illic sita est Marianna Farina ex gente Charzewska, natione Polona, morum candore, religionis puritate, rerumque domesticarum aptitudine lectissima faemina, vixit annos 40. Diuturna infirmitate abrepta, miro tamen animo laeta, obiit 4 kalendas Novembris anno Rep. salutis 1802.

Drugi z białego marmuru, w murze osadzony, z wyobrażeniem geniuszu gaszącego pochodnią, ma napis:

Julio Miszewski, pictori Polono d. 21 Julii 1826 in Subiaco infelici casu obito, afflicti amici posuerunt 1827.

Jestto nagrobek młodego malarza, który w Subiaco (w okolicach Rzymu) zdejmując widok, przez osunięcie się góry, spadł ze znacznej wysokości i życie postradał. Na tém miejscu stoi krzyż pobożną postawiony ręką. Mieszkańcy Subiaco opowiadając ten wypadek, dodają, że bytło *un forestiere*, cudzoziemiec.

W jednej sali hospitium znajdują się portrety Stanisława Augusta króla, jednego z Augustów Sasów, kardynała Barberiniego fundatora, dwóch metropolitów kijowskich i dwóch prokuratorów tegoż hospitium. Portrety w ogóle nieszczególnego pendzla. Oprócz tego posiada hospitium znaczną bibliotekę, złożoną z dzieł w greckim, łacińskim, włoskim, francuzkim, polskim i ruskim języku. Katalog tej biblioteki podług umiejętności i alfabetycznie ułożony, wykazuje liczbę dzieł teologicznej treści 207,

filozoficznej 23, prawoznawsta wraz z prawem kanonicznym 44, umiejętności przyrodzonych 11, literatury i językoznawstwa 142, historycznych 83, rozmaitej treści 74, razem dzieł 584. Katalog ten układał w r. 1834 P. M. B. Saintyver, rektor tegoż hospitium. W katalogu tytuły dzieł niezawsze dokładnie przepisane, bez wyrażenia miejsca druku i roku wydania. Rzadkości bibliograficznych ta biblioteka nie posiada: z polskich znajdują się druki Poczajowskie i w Rzymie wydawane. Dodać tu jeszcze winienem, że w książce pod tytułem: *Bulla et Brevia Summorum Pontificum... congregationem Ruthenorum concernentia*, wydanej w Poczajowie 1767 r. jest wzmianka o Izidorze metropolicie kijowskim, który się znajdował na koncylium florenckim, a który podobno umarł w Rzymie i w kościele św. Piotra na Watykanie miał być pochowany. Nagrobku przecież, ani objaśniającego napisu, nie znalazłem ani w górnym, ani w dolnym kościele.

8) Jest w Rzymie kościółek św. Brygidy, na placu Farnezych, który niegdyś był własnością narodu szwedzkiego. Tam mieszkała św. Brygida założycielka zakonu Brygitek, wraz z córką swoją błogosławioną Katarzyną, i cęła jęj dotąd ze czcią pobożnym jest okazywana. Po odpadnięciu od wiary rzymsko-katolickiej narodu szwedzkiego, papież przyznał familii Wazów panującej w Polsce, własność tego kościoła i hospitium przy nim będącego, a Jan Kazimierz aktem datowanym w Warszawie d. 9 czerwca 1652 r. urządził przy tym kościele kollegium dla Szwedów i Polaków pod dyrekcją Jezuitów, z zastrzeżeniem, że po wygaśnięciu familii Wazów, zakład ten przechodzi na bezpośrednią własność papieża. Nie ma śladu, aby to kollegium przez Jana Kazimierza założone egzystowało, a dom wraz z kościołem darowany został przez papieża bazylice N. Maryi di Transtevere i dotąd jęj własność stanowi. Kopia tego aktu z archiwów watykańskich wypisanego, znajdowała się w ręku zgasłego niedawno archeologa p. Jastrzębskiego.

Mówiąc o rodzinie Wazów, wspomnieć tu należy o nagrobku architekta Gizlena, znajdującym się w kościele Panny Maryi del Popolo, z napisem:

Joannes Baptista Gislenus Romanus, Sigismundi III, Vladislai IV et Joannis Casimiri I Poloniae et Sueciae Regum architectus, non uno in capitolio fuit... obiit anno 1670 aet. 70.

9) Chcielibyśmy teraz rozproszone po różnych kościołach pamiątki, dotyczące panowania Jana Sobieskiego i jego rodziny, zebrać w jedną całość.

a) W kościele św. Karola na Kwirynalu znajduje się na środku kościoła w posadzce wielki płyt marmurowy, różnokolorowemi marmurami wykładany, wyobrażający urnę grobową, na której oparta tarcza z napisem. Po dwóch stronach urny dwie figury symboliczne: jedna oznaczająca wiarę, trzyma w ręku krzyż a w drugiej księgę z napisem Biblia Sacra; druga przedstawiająca litość, wyobraża kobietę, dziecię u piersi trzymającą. Pomiedzy figurami nad urną tarcza herbowa. Robota tych figur podobna do posadzek w katedrze sienneńskiej, przez nacięcia w białym marmurze i napuszczenia farbą czarną, stanowi jakoby rysunek na marmurze. Napis na tarczy następujący:

Johannes Casimirus Dönhoff, poloniae nobilitatis decus, Joannis III Regis ad Innocent. XI pro faedere in Turcas ablegatus, ob virtutum splendorem Sti Spiritus praeceptor, mox S. R. E. Card. Caesenae que antistes à Pontifice ipso renunciatus inter discalceatos SS. Trinitatis ejus ope ac tutela in Poloniam inductos, tumulari mandavit. Obiit die 20 Junii an. 1697 aetatis suae 49. In perpetuum gratitudinis signum P. P. monumentum posuere.

Powiada o nim Niesiecki: „Jan Kazimierz Denhoff tegoż herbu, kardynał tituli s. Joannis ante Portam Latinam, biskup cezenacki, trzeci syn Teodora podkomorzego koronnego. W Reszlu, Pułtusku. Warszawie młodsze lata w naukach wypolerowawszy, Teologii i Jus Canonicum w Paryżu słuchał i publicznie defendował; do ojczyzny powróciwszy wziął opactwo mogiłskie, które nietylko restaurował, kościół osobliwie, ale też Wisłę wielkim nakładem, żeby gruntów klasztornych nie rwała, odwrócił i uhamował. Dziekanem plockim i kanonikiem warszawskim będąc, wizytował przykładowie archidyakoniat warszawski. Wysłany potem do Rzymu po owęj sławnej pod

Wiedniem z Turków wygraną, Innocentemu XI papieżowi chorągiew bogatą i najprzedniejszą samego Mahometa, w obozie tureckim wziętą, imieniem królewskim oddał, aby tam na Watykanie na pamiątkę takiej wiktoryi zawieszona była. Dziwnie był z tego prezentu kontent Innocenty: dlatego Jana Kazimierza Donhoffa między purpuratów rzymskich policzył, Commendatorem archihospitalis s. Spiritus de Sexia i tegoż zakonu protektorem ogłosił. Był na ubogich miłosierny; dlatego podczas powietrza w Warszawie, mizernych ludzi wiktem opatrywał. Św. Franciszka Salezyusza Viam perfectionis z francuzkiego języka na polski wytłumaczył (1), napisał krom tego *Tubam Evangelicam*, nie wiem jednak, czy do druku weszła. Jan Kazimierz król polski do chrztu go trzymał, z kąd obadwa jego imiona wziął na siebie."

Ks. Łętowski, który w swym *Katalogu biskupów krakowskich* pod oddziałem prałatów i kanoników (T. II, 200), w żywocie J. K. Dönhoffa co dosłownie powyższy opis z Niesieckiego wcielił, dodaje wzmiankę o nim przez Andrzeja Chryzostoma *Zaluskiego* uczynioną (*Epist. famil. T. II, p. 404*) z tém w duchu wieku zakończeniem: „*Diu vivere non potuit, qui diu mori non debebat.*” *Zaluski* zowiąc go wzorem pobożności i świętości ideałem, powiada, iż kapelusze swój kardynalski więcej był winien enocie niż szczęściu. Na kanonii krakowskiej według Łętowskiego zasiadał od r. 1681.

b) W bazylice św. Jana Lateraneńskiego jest w sklepieniu w kaplicy zawieszona turecka chorągiew, podobno też sama, którą Jan III po zwycięztwie pod Wiedniem przesłał w darze papieżowi. Powiada J. K. *Rubinkowski* w *Janinie*, że Jmé ksiądz Denhoff, opat mogilski, pocztą do Ojca Świętego z chorągwią Mahometa był wyprawiony, nazajutrz po zwycięztwie. Wizerunek tej chorągwi znajduje się przy wydaniu nowém tegoż pisma *Rubinkowskiego*.

c) Na placu Trajana jest kościół Pannic Maryi poświęcony, który z powodu oswobodzenia Wiednia od

(1) Tytuł książki tej w przekładzie: *Droga do życia pobożnego św. Franciszka Salezyusza*; a przez ks. Jana Kazimierza Denhoffa *Opata mogilskiego* po polsku przełożona I. O. 120.

Turków w r. 1683 zbudowany został. Kościół ten niezmiernie szczególnym się nie odznacza, tablica marmurowa objaśniająca powód wzniesienia jego, znajduje się na korytarzu wiodącym do zakrystyi. W napisie jednak, ani o Polakach, ani o Janie Sobieskim żadnej wzmianki nie ma.

d) W najwspanialszym z rzymskich kościołów Panny Maryi Anielskiej, urządzonym w starożytnych Terinach Dyoklecyana, podług planów Michała Anioła Buonarotti, na posadzce kościelnej jest przeprowadzony południk, a obok linii południka, dwie tablice brązowe z napisami:

1) Diem 12 Septembr. Christiano populo faustam felicem, Joannis III Polon. Reg. Viennensi Victoria de Turcis reportata anno 1683. Innocentio XI sedente.

2) Maria Casimira Poloniae Regina, Uxor, periodo decemnovennali absoluta, restitutisque solis ac lunae motibus Romae signavit anno 1702 Clementis Undecimi secundo.

Odnoszą się do przyjęcia poprawy kalendarza i bytności Maryi Kazimiry w Rzymie.

e) W kościele księży Kapucynów na placu Barberina, znajduje się nagrobek Alexandra Sobieskiego, syna Jana IIIgo. Nagrobek ten jest z białego karraryjskiego marmuru, rysunku i rzeźby Kamilla Rusconi, wyobraża w płaskorzeźbie grobową urnę wspartą na orle, trzymającym w dziobie węża (godło nieśmiertelności): nad urną dwóch geniuszów utrzymuje medalion z popiersiem Alexandra Sobieskiego. Nad medalionem szyszak rycerski, u spodu napis:

Alexander princeps Regius Joannis III Regis Poloniae filius ob. die 19 Nov. 1714.

f) W kościele św. Piotra na Watykanie, znajduje się wspaniały pomnik, Maryi Klementynie córce Jakóba Sobieskiego wzniesiony. W bocznej galerii kościoła, po lewej stronie nad wejściem na kopułę, jest sarkofag z porfiru, ozdobiony brązem złoconym i pokryty alabastrową draperyą. Nad sarkofagiem dwie figury: jedna wyobrażająca litość, druga geniusz utrzymujący medalion z portretem Maryi Klementyny, ułożonym z mozaiki, dzieło Christofari. Urna wspiera się na dwóch aniołach, z których jeden berło, drugi trzyma koronę królewską, a cała

gruppa opartą jest o piramidę. Pomnik ten wzniesiony został kosztem budowli św. Piotra, kosztował 96,000 franków i dokonany został przez Piotra Bracci, według rysunku Filipa Barigioni. Na urnie porfirowej znajduje się napis następujący:

Maria Clementina M. Brit. Franc. et Hibern. Regina.

Nad drzwiami zaś, na wstędze, którą wieniec róż związany, jest napis:

Obiit XV Kal. Febr. ann. MDCCXXXV.

Wstępując znów po wschodach na wierzch kopuły św. Piotra, na odwrotnej części muru, odpowiedniej sarkofagowi, jest urna z ciemnego marmuru z następującym napisem:

Corpus Mariae Clementinae Magnae Britanniae Reginae XV Kal. Februar. 1735, aetatis suae 33 mens. 6 defunctae, in hujus Basilicae cryptis positum, huc die 22 Januarii anno 1745 translatum et reconditum est.

g) W kościele ŚŚ. Apostołów na placu dei Apostoli, przy bocznym filarze nawy kościelnej znajduje się urna z verde antico, unoszona przez dwóch aniołów z białego marmuru; pod spodem na tablicy porfirowej napis:

Hic Clementinae remanent praecordia, nam cor, coelestis fecit ne superesset amor.

A poniżej:

Mariae Clementinae Magn. Britan. et C. Reginae, fratres min. Conv. venerabundi pp.

W tej urnie jak napis objaśnia, mieści się serce Maryi Klementyny z Sobieskich, żony Sztuarta, znanego pod imieniem Pretendenta.

Wspomnieć tu należy o pięknej rycinie (1), wyobrażającej sarkofag Maryi Klementyny w kościele św. Pio-

(1) Mówiąc o przedmiotach, poświęconych uwiecznieniu pamięci Maryi Klementyny, uważam za rzecz stosowną nie przemilczeć wiadomości udzielonej przez p. Skimborowicza o rycinie przedtytułowej dzieła *D'Azona* (w nr. 13 *Gazety Warszawskiej* z r. b.). Wiadomość ta nie okazała się dostateczną, z powodu defektowego egzemplarza pomienionego dzieła mianego pod ręką, stała się owszem przyczyną krótkiej polemiki, rzecz dostateczniej wyjaśniającej. P. Skimborowicz starając się w przyczynku do artykułów w *Pamiętniku krakowskim* (1830, s. 79—91) przez Samuela

tra, a przypisanej małżonkowi tejże Jakóbowi III W. Brytanii królowi, którą Rocens Pozzi uskutečnił. U spodu jój herby królewskie Sztuartów i Sobieskich.

h) Koło kościoła S. Trinita del Monte, na zbiegu dwóch ulic: Via Gregoriana i Via Sistina, pod kątem ostrym jest dom narożny kilkopiętrowy, który był własnością Sobieskich, jak tego ślad pozostał w herbie królewskim nad głównymi drzwiami ze stiuku zrobionym. Na głównej tarczy dwa orły i dwie pogonie nakrzyż pomieszczone, a w środku tarcza dwupodzielna, po jednej stronie mająca herb Janina, po drugiej zdaje się iż herb Maryi d'Arquien, żony Sobieskiego, niedający się rozpoznać z powodu uszkodzenia. Nad herbem korona.

10. W bazylice św. Krzyża jerozolimskiego, przy której jest klasztor Cystersów, w kaplicy za wielkim ołtarzem znajdują się grobowce opatów i zakonników tegoż zgromadzenia. Między temi na posadzce umieszczony jest prosty kamień grobowy z napisem:

D. O. M. D. Bernardus Bogdanovitz Polonus Monachus Cister., doctrina, religione et humanitate insignis. Obiit die 23 Novembris anno Domini 1722, aetatis suae 82.

Jest tamże drugi grobowiec, jednemu z opatów cysterskich przez Polaka wzniesiony, z napisem:

Filiberto Quarre, patritio Devionensi, Ordinis Cisterciensis Abbati.... 1739 mortuo, Chrysosthomus de Verbno Pawłowski Abbas Coronoviens. et Procurator Generalis, amico optimo et praedecessori meritissimo p.

Bandtkiego i w *Szkicach historycznych* (Lwów 1854 s. 253—282) przez Karola Szajnochę, złożyć dowód, jak mówi „że nietylko sam Ojciec Święty pragnął uczcić świątobliwość naszej ziemiarki, z taką godnością znoszącej przeciwności świata tego:” cytuje broszurę D' Azoua, kosztem Zgromadzenia do rozszerzania wiary r. 1736 wydaną w Rzymie, i poświęconą także pamięci tej Maryi, jako mowę żałobną w rocznicę jój śmierci, rycinę zaś przedtytułową opisuje w tych wyrazach: „wielkości arkuszowej, bardzo pięknie sztychowana; wystawia córkę Jakóba Sobieskiego w postaci klęczącej, modlącej się na książce, a lewą rękę przyciskującą do piersi. U stóp leży korona z berłem. Przed nią ołtarz czy też rodzaj klęcznika, ozdobionego po dwakroć imieniem Jezus i u góry chłodem aniołków. Poduszka, przeznaczona pod kolana królewskie, odsunięta na stronę. U dołu, w jednym wierszu podpis w kierunku linii krzywój: *Maria Clementina Magnae Britanniae etc. Regina.*”

11. Reszta nagrobków, jakie mi się spotkać zdarzyło, należą do bieżącego wieku i są niedawnego pochodzenia.

a) W kościółku konfraternii Jezusa, Maryi i Józefa, przy ulicy Via in arcione, znajduje się następujący nagrobek:

Thecla ex stirpe Czaplitorum, principis Antonii Jabłonowski ultimi Castellani Cracoviensis relicta conjux, vixit annos 62, obiit die 14 Februarii 1820. Matri carissimae liberi posuerunt.

b) W kościele św. Pudencyanny, obok kaplicy Gaëtanych jest grobowiec marmurowy, bez gustu, z następnym napisem:

Mihi autem adhaerere Deo bonum est.

A poniżej:

Calistae Venceslai filiae, è nobilissima apud Polonos gente Rzewuska, in omnigenae virtutis exemplum natae, sibi et infantibus liberis praematura morte abreptae, Michel-angelus Cajetanus Teani Princeps, conjugii dulcissimae, incomparabili, cum qua menses 5 supra biennium vixit concordissime, monumentum posuit. Obiit 9 Kalendarum Augustas anni 1842. Annos nata 31, menses 10, dies 10.

c) W kościele św. Jana i Pawła na Monte Coeli u ks. Passyonitów jest kamień grobowy z napisem:

Joanni Spilman Polono, Domo Varsavia, religione in Deum, charitate in proximos, pietate in suos, candore animi, integritate vitae omnibus spectabili, qui à Clericis Congregationis Passionis, quos vivens impense coluerat et moriens disjungeretur, in hoc forum tumulo reponi voluit. Obiit in Urbe die Kal. Juli. an. sal. 1835, aetatis suae 54.

d) W kościele św. Klaudyusza, w bliskości ulicy Corso, znajdujemy następujące pamiątki grobowe:

1) Sophiae nobili, Michaëlae et Ludovici Giżycki filiae, Eduardi Łubieński Comitis uxori, an. 26 natae, 9 Kal. Sep. an. 1847 immatura morte peremptae, mater, maritusque lugentes posuere.

Dat natale solum tibi Polonia Roma heic sepulchrum.



2) Memoriae Georgii Sobolewski Comitiss, natione Poloni, viri modestia, liberalitate in re Polonorum publica propugnanda, domi militiaeque praeclare meriti, qui patria extorris Romae 16 Kalen. Febr. an. 1846 vitam innocenter peractam cum morte pientissima commutavit, Ignatius pater, Josephus frater maerentes posuere.

Qui legis civis hospesve pius bonas ei preces precare.

Ciało spoczywa w Genui.

3. Josepha Maria Łopacińska, nobilis Polona, Josephi et Dorothae filia, dum ad patriam terram Roma rediret d. 22 Julii 1848 Centumeellis ad coelestem evoluit patriam, cujus corpus mater afflictissima humo tradidit Romano, vitam immaculatam gaudens commutavit. Virgo mitis, humilis, patiens, misericors, fortis corpori quod odovit, gloriosam paravit resurrectionem Ave Maria.

4. Joannae Benedicti Comitiss Tyszkiewicz filiae, Michaclis conjugii Polonae, amore Christi praecellenti, in pauperes liberalissimae, modestia candidissimae, filiae dilectissimae, uxori integerrimae, pater et conjux dolentes posuere. Nata in Czerwony Dwór Lituaniae 4 Non. Octobris a. D. 1827, obiit Romae 16 Kal. April. 1848. Dominus dedit, Dominus abstulit, sit nomen Domini benedictum, Ave Maria.

e) Nakoniec wspomnieć winienem, że na ementarzu głównym, założonym obok bazyliki św. Wawrzyńca za murami, jest część ziemi zakupiona dla umarłych Polaków, gdzie spoczywają:

1) Ks. Kazimiérz Czetwertyński, rodem z Komarogrodu na Podolu, zmarły r. 1838.

2) Bohdan Jański, zmarły r. 1839.

3) Stefan Witwicki i

4) Jenerał Klicki, zmarli w r. 1847.

5) Ksiądz Alfred Bentkowski zmarły dnia 26 lutego 1850 r.

# STAROPOLSKA MIŁOŚĆ.

URYWEK PAMIĘTNIKA

SPISANY PRZYZ

*J. I. Kraszewskiego.*

(Dokończenie).

**W**yszedłszy z lazaretu zdałem się zdrow, alem na nogę nakuliwał i w kościach mnie łamało, nie mogłem dalej z takim zdrowiem żołnierzem być, i wzięwszy absztyt powróciłem do domu. Miałem jeszcze część funduszu mojego, sumę u Sapienhów, której odebrać było trudno i coś grosza u brata. Trochę się nadtraciło w wojsku, alem się tém niebardzo frasowałem. W domu wielkie zaszczytne zmiany: siostrzym już nie zastałem, za męża była wyszła; matkę posuniętą wiekiem i schorzałą, brat się był ożenił, a nowe pokolenie otaczało go już wzrastając powoli. Strzecha nasza ojcowska nową już prawie pokrywała rodzinę, ziarno przyszłości; i ludzi wielu ubyło, mogli nasypano dużo po cmentarzach, i com jedno zastałem jeszcze w całości, to ową serdeczność starą sąsiedztwa i braterską miłość. Gdym przybył, nie jednego brata, ale stu ich dla siebie znalazłem; witali mnie, ugoszczali, chwyтали, a każdy żołnierzowi najlepsze miejsce dawał w domu i miał to sobie za szczęście przyjąć go i przytulić. Ale mi się

nie chciało nikomu być ciężarem i nie mając co robić, pomyślałem znowu o gospodarstwie. Jakoż tę summę u Sapielów, odpuściwszy procenta, wychodziłem w Kodniu, co nie było łatwo, ustępując ją dzierżawcy, który ją sobie miał wytrzymywać powoli z majątku. I to gdyby nie pomoc Mierzejewskiego, radybym sobie nie dał, a na dziś dzień byłaby tam uwięzła. Brat mój zapłacił mi zaraz moje, starych resztek coś się tam okroiło i tak trzydzieści kilka tysięcy zebrawszy, miałem z czém rozpocząć życie na nowo.

Zrazu nie śmiałem pytać o panią wojską Obuchową nikogo, bom się obawiał, aby się ludzie gorszych rzeczy nie domyślali, niżeli w istocie były; czekałem, aż mi co samo w uszy wleci: tak się i stało. Pojechałem do Siemiatycz i Pohorełego, bom tam ustępując dzierżawy, trochę rupieci zostawił, i zastanowiłem się u księdza na probostwie. Ksiądz już inny był, młodszy z wikarego installowany, trochę mi znajomy. Wdałem się z nim w rozmowę, pytam:—a kniaź nasz?

— Umarł przed kilką laty.

— Któż u was gospodarzy?

— Kredytorowie i exdywizya.

— A zięć?

— Ten sam ostatkami goni i musiał się wyrzec posagu, aby długów nie płacić.

— Cóżto się stało? rządny był człowiek.

— Ale proces przegrał z familią nieboszki pierwszej żony, ucisnęli go o posag i wyprawę i przygubili.

— Pierwszej czy drugiej?—spytałem.

— Nie wiem: ale trzecia żyje—rzekł ksiądz.

— A on téż?

— I on.

Jużbym był więćej nie pytał, ale mi sam ksiądz począł opowiadać ję życie, że to była niestychana męczarnia. Gdy się żenił wojski, resztki już tylko miał i sił i zdrowia; jakoż i zaraz po ożenieniu zapadł, a stał

się na nogi prawie kaleką, tak, że chodzić mu było ciężko. Nieszczęśliwa żona skazaną została na niewolą u krzesła niedołęgi starca, który mimo choroby najczęściej bywał pijany i grubijańsko się z nią obchodził. Szczęściem Pan Bóg jój dzieci nie dał i jedno to poświęcenie starczyło; ale też pociechy jaką z nich mieć mogła brakło. Od rana do wieczora musiała być mu na zawołanie, postugiwać, z oczów nie schodzić, bo jój czy przez głupią zazdrość, czy przez natóg oddalać się na krok nie dawał. Do tego w domu dzieci z pierwszego małżeństwa niesfornych i rozpuszczonych była kupa, ani ojca, ani macochy nie szanujących; nędza przyczepiała się, aby do cierpienia dodać jeszcze większe. Włosy mi na głowie powstały gdym o tém pomyślał, ale słowa nie rzekłem. Ksiądz dodał, że i to pomnażało utrapienie biednej kobiety, iż mąż nie po niej nie wzięwszy, ciągle jój to na oczy wyrzucał, że mu daremnie chleb jadła. Postanowiłem wywiedziawszy się o tém wszystkiem sam dotrzeć do Brzezin.

Myślałem sobie jak mnie przyjmą to przyjmą, pretext jakiś znajdę; a kiedy wszyscy o niej zapomnieli, niech choć ja dam dowód, że kochać umiałem i umiem. Dojechawszy więc do Pohoretego jakby dla oka, zaraz ztamtąd skręciłem do Brzezin, aby się naocznie przekonać, co się tam działo.

Była to niegdy rezydencya choć nie stara, ale pięknie urządzona: ogrody sławne, pałacyk włoską architekturą, cieplarnie, sadzawki, austerye murowane, ale już kilka lat biedy powyszczerbiało to wszystko. Gdym przed bramę zajechał, przed którą gliniane, powyszczerbiane stały wazony, a w dziedziniec chwastem zarosły spojrział, i na facyatę rzucił okiem odrapaną i z tynków obnażoną, serce mi się ścisnęło. Bięda wszędzie wyciskała tu piętno swoje. Zajechałem jeszcze nic nie wymyśliwszy z czémem miał przybyć, aż do ganku; tu dopiero wykoncypowałem jakoby przy-

był dla wypłaty długu zaciągniętego u starosty, bom miał z sobą właśnie obrączkowych sto czerwonych złotych. Mała to rzecz pomyślałem, ale jej się przyda, a powód będzie wysmienity. W ganku dwóch drabów odartych dosyć mnie kwaśno przyjęli, tuż ze wschodów ujrzałem wyglądające trzy urodziwe panny i dwóch sążnistych chłopców. Gdybym nie wiedział, że to potomstwo Obucha, tobym poznał po twarzach, które rysy jego w różny sposób z dyferencjami małemi powtórzały. Panny nawet były niczego sobie, ale jakieś zuchwałe uśmiechy i wejrzenia, szpeciły wyraz ich młodych twarzy.

Jedna z nich znać najstarsza, bardzo śmiało zaszła mi drogę i spytała mnie, czegobym chciał. Pokłoniłem się grzecznie oświadczając, że z JW. wojską z domu księżną Szujską widzieć się pragnąłem dla interesu.

— O! jużto my wiemy coto za interes—odparła żywo panna—pewnie się W. Panu co należy, ale tu nie dostaniesz.

— A gdyby interes wcale był inny?—spytałem.

— No, to sobie W. Pan szukaj pani wojskiej—odpowiedziała odwracając się, a ja poszedłem instynktem na górę. Mimo wcale niegrzecznego przyjęcia znać tam o kimś dać musiano, bo mnie jakiś chłopak w płóciennym kitelku w paski, zaprowadził do izby na prawo, i zamknąwszy drzwi od przedpokoju, samego w nim porzucił.

Była to ciasna izdebka zastawiona przez pół parawanem dość odartym, z której jedne drzwi wiodły dalej, za niemi stękanie i kaszel usłyszałem. Nie wiedząc co dalej czynić, czy iść dalej czy zlitowania czyjogoś czekać, pokaszliwałem także dając znać o sobie, gdy drzwi się przemknęły i w kobiecie szukającej okiem przybyłego poznałem dawną moją pannę Barbarę. Bóg tylko wie czegom doznał w tej chwili: ona cofnęła się i zawałała, jak gdyby oczom jej

wierzyć było trudno; rumieniec blady i nieśmiały wytrysł na twarz białą, i zawołała mnie po nazwisku, prosząc, ażebym wszedł za nią.

O! mój Boże, jakże była zmienioną, a jak jeszcze piękną! Gdybym losu jój nie znał, tobym go przeczytał na téj twarzy przywykłej do prawdy i szczerości, na której wszelkie uczucia co przez nią przeszły, wryły się i ślady zostawiły niezmazane.

Cierpienie wielkie albo niszczy lub uświęca; łamie słabego, a silnego wypięknia, czyniąc mu złocistą koronę z łez wylanych. Tak się z nią stało: mimo lat twarz jój stokroć dziś piękniejszą się zdawała, niż przedtem była. Młodość pierwsza z niój znikła, ale ofiary żywota i poświęcenia nowych jój ozdób dodały. Siła, którą mieć musiała, aby pokonać co doznawała, malowała się pogodą i cierpliwością wyrazem na téj twarzy anielskiej jeszcze piękności i czystości. Pojąłem odrazu dlaczego jój pasierbice nie mogły kochać, bo się przy niój jak wiejskie praczki wydawały. Wszedłszy do izby nicem zrazu rozeznac nie mógł w ciemności; jedno okno było całkiem zastłonięte, drugie przez pół: pokój mały i zaduchu pełny; ale gdym się nieco oswoił, postrzegłem wielkiego coś jakby tłumok w kącie nieruchomie leżącego, a głos chrypliwy zapytał, „kóżło tam taki?”

Pani Obuchowa dawszy mi znak, podbiegła ku temu krzesłu, gdzie jój mąż siedział i odpowiedziała mu:

— Nasz stary znajomy... pan...—mianując mnie, a ja dodałem:

— Z interesem...

Obuch kiwnął ręką.

— A to nic nie dostaniesz—rzekł—to darmo, wszystko wzięli, jak widzisz; został mi stary kontusz, buty i jejmość w dodatku: reszta dzieci... to darmo.

— Ależ ja się niczego nie domagam, tylko...—Tum się kłamstwem zadławił... maleńki dłużek.

— Terefere... choćby i trzy grosze, to ci nie dam, bo mi ledwie jeść dają.

— Ale to ja winienem, panie wojski, pani dobrodziejce.

— A no! to oddawajże zaraz, płać! gdzie? wiele? jak? co? A ja byłem pewny, że znajdą się tacy, co winni, bo pożyczał stary ludziom... Ot! widzicie!

Pani się zarumieniła czując żem skłamał, ale mi fałszu zadawać nie śmiała: dwie tzy zakręciły się jój w oczach i odwróciła się do okna.

— A to tam tego dużo?—zapytał niespokojnie wojski.

— Nie może być wiele... ja nawet nie wiem, bo... —cicho poczęła sama.

Wtém coś u drzwi zaszeleściało.—Cyt! cyt!—przerwał stary kładąc palec na ustach—jak postyszą te kruki to i to odbiorą... nie gadaj waspan! Obrócił się do mnie...—bo to widzisz, et! co mam kłamać... ot takie mam niepoczciwe dzieci, że mnie mało z domu nie wygonią, a gdyby się dowiedziały żeśmy co dostali...

Żona nań błagajaco spojrzata i zamilkł.

— Po wódkę pošlij do austeryi, trzebaż gościa przyjąć—rzekł Obuch—jużciż koniecznie.

Ona udata, że nie słyszy.

— Waćpan z drogi, możebyś się czego napić?—dodał z widocznym celem raczej się sam napić, niż mnie ucęstować. Nieszczęśliwa kobieta płonęła ze wstydu, ja nadrabiałem fantazyą, ale mi się w głowie kręciło, jak gdybym był świadkiem najprzykrzejszój w świecie profanacyi. Z za drzwi w istocie jakiś szelest dochodził, a nareszcie ciekawości nie mogąc inaczój dogodzić, weszła do pokoju panna najstarsza, która mnie była na wschodach przyjęła, nie zważając na ojca i macochę i usiadła mi się przypatrywać nieprzyzwoitym sposobem z miną drwiącą. Ojciec zaraz zmienił rozmowę.

— Otóż to pan ten... pan... który tu do nas przybył.. dawny nasz znajomy, bardzo zacny..—I schylił się do córki z przymileniem pocichu dodając — Wartoby go przyjąć? he?

— Albo to do nas gość!—odparła ruszając ramionami córka.

— Już ciż kiedy do mnie, toż ja przecie...

— Niechże go sobie ojciec przyjmuje...

Stary rozśmiał się ale gorzko, rozśmiał z natogu, z potrzeby pokrycia bólu.— Jaka ona zabawna i dowcipna! ha! ha!—rzekł.

Barbara milczała stojąc. Po chwili milczenia napatrzywszy się na mnie i nie zapewne ciekawego nie widząc w mojej wąsatąj twarzy wojaka ogorzałego, zaśpiewała coś panna i wyszła trzaskając drzwiami. Stary natychmiast począł znów o dług pytać... Jam pieniądze położył przed samą panią w milczeniu, ale ona ich tknąć nie śmiała; stary ruszył się z krzesła chciwie, pożądliwie z wyrazem dziwnego pragnienia, wyciągając rękę nabrzmiałą i siną i drżąc schwytał rulon szybko go pod odzież ukrywszy. Oblicze mu się rozjaśniło i minę jakąś zrobił osobliwszą; ona płakała patrząc nań: spojrzeliśmy na siebie, jam oniemiał. Taki los dla takiej kobiety!! o przeznaczenie ludzkie!

— He? czyż to wszystko? to wszystko?—począł niespokojnie wojski—a pewnie?

Barbara się zapłoniła, jakby litości prosząc u mnie za niego, a ja cicho odpowiedziałem:

— Co do grosza.

Starzec po żonie pomiarkowawszy przecie, że popełnił niedorzeczność, począł się śmiać, potem pochwycił się za brzuch i skrzywił.

— A pan wiesz na co ja chory jestem?—szybko mówił, jakby zagadując pierwsze pytanie.

— Nie.



— Jakżeż? to cała Europa wie, mospanie... bo to słabość niepraktykowana. I nie nie słyszałeś?

— Nic...

Barbara rzuciła nań wzrokiem błagającym politowania i odstąpiła trochę do okna; stary żywo zaczął rozpowiadać:

— Tak, tak! to wiedzą wszędzie, gazety o tém pisać muszą, to sławna przecie mospanie historia... głośne, głośne! A rzecz się tak ma. Będzie temu lat pięć czy coś, powracając ze świętojańskich tranzakcyj z Kobrynia, w gorący dzień, mospanie, jadę ja około Horodecznej; pić mi się straszliwie zachciało, ale tak, że rozstap się ziemio a wody gwałtu. Był to piątek i śledzianu starego zjadł na śniadanie; dobiłem się do karczmyska, a tu ani piwa, ani kwasu, ani żadnej rzeczy pocziwój, która jego jest.. mospanie... ha! ha! krzyczę wody. A ten pijak Osyp że był dźgnięty, zaczerpnął mi kowszem z żydowskiej beczki i podaje. Ja anim pomyślał co tam być mogło i jednym tykiem cały kubek. Aż-łfu! obrzydliwości, pomyje, nie woda! Narobiłem hałasu okrutnego, co? zkąd? pokazują mi ze studni; ale zrab równo z ziemią, a woda zieloną pleśnią pokryta. No, myślę myślę sobie, daj Boże nie chorować! Pojechałem i zapomniało się to mospanie. Ale w rok potém czuję ku wiośnie, źle! o źle! żołądek jak bęben nie służy, jakies w nim bełkotanie, przelewanie! kaduk wie co! Kiedy ja się przysłuchuję, aż tu u mnie w brzuchu wyraźnie żaby kumkają. Z początku śmieli się ze mnie, a teraz się doktorowie przekonali, że tak jest w istocie i żaby mam w żołądku.

Wierz, nie wierz, nie ma tu co oczów wyrapiać; na stotę to tak wrzeszczą, że je w trzeciej izbie słychać. I nie ma sposobu wyprowadzić, a znać tego coraz więcej. Radzili mi jeść mięso bocianie i to nie pomaga,— jeden spirytus cokolwiek robi folgi, bo one tego nie lubią. A!—westchnął—żeby co przynieśli, moja Basiu...

i szepcąc dołożył — toż i ten jegomość na czczo, odprawić go tak się nie godzi.

— Ja—odezwałem się żywo—po obiedzie jestem i niebym w usta wziąć nie mógł, a przylém—dodałem—pilno mi dla interesów.

W istocie choćbym tam na nią patrząc światła za był i czasu, ale tego jój życia i nieszczęścia być świadkiem cierpliwości brakło... Nic już pomódz nie potrafiłbym, a oglądać to serce się krajało; więc pożegnawszy wojskiego wstałem i wyszedłem, a ona za mną do pierwszej izby.

W progu, gdym jój rękę chciał pocałować, ścisnęła mi moje i zapłakała znowu...

— Pani wojska Dobrodziejko—rzekłem—rozkaż pani co tu czynić mam, aby być pani pomocnym; Bóg widzi, choćby duszę przyszło oddać, nie pożałuję.

— A, wierzę—odparła —wierzę i wiem, żeś waćpan dla mnie przychylny jak nikt w świecie; ale i ta ofiara którąś uczynił na nic się nie zdała, i nie mnie tu poratować nie może... Bóg mocen tylko, i wola Jego niech się z nami stanie.

— Ależto nikogo pani wojska nie masz, ktoby się ujął, zaopiekował.

— A któżby to chciał? a ktoby mógł?—odparła.

— A broń Boże śmierci na jegomości?

— Nie mów pan tego, ja nie wiem coby się wówczas ze mną stało... ale zawsze znajdę miejsce w klasztorze.

— Pani wojska Dobrodziejko—zawołałem żywo—przynajmniej mi Asiudźka przyrzecz, że w razie złym udasz się do mnie.. Któż wie, może i moja maluczka pomoc przyda się na co.

Chciałem dłużej mówić, ale słysząc szelest jakiś za drzwiami, położyła palec na ustach i dodała poważnie:

— Jakkolwiek święty obowiązek sprowadził waćpana tutaj, ale dla złych ludzi nie ma świętego: gotowi mnie posądzić o jakieś niepotrzebne zmywy. Wszystkiemu w tym domu z dopuszczenia Bożego doznała i wszelakię krzywdy spodziewać się mogą: jedźże waćpan i niech cię Bóg prowadzi, a cokolwiek mnie spotka, niech stanie się wola Jego.

Jakem siadł na bryczkę i złamał się wyniósł, ani wiem, ani powiedzieć potrafię; widok tego nieszczęścia kobiety, dla której według mnie korony byłoby mało, ubóstwa i utrapień, jakich się łatwo było domyślać, przejął mnie do kości, a Grzesio co mnie wiózł jeno się oglądał nie mówiąc, poznavszy że m jechał nieprzytomny. Co mi złego i dobrego przez głowę się przesunęło, ten tylko wie, co każdą ludzką myśl liczy i spisuje. Dopiero gdy m się w ganku domu dla odpędzenia mar przeżegnał, jakby chmura spadła z oczu moich i niecom ochłonawszy do siebie przyszedł.

— Stań się wola Jego!—powtarzałem ciągle—boć nam tu nie koniec i cel na tej ziemi, a Bóg wie dla czego na nią krzyż zesał tak ciężki, i da siły, aby go zniosła.

Kilka jeszcze dni jak pijany chodziłem, a nieszczęśliwe jej położenie z głowy mi wyjść nie mogło; w ostatku, gdy m się z funduszami obliczył, jakby było przedemną... Po co mnie tyle pieniędzy? he? a nie dośćby było i połowy?

I takem sobie odrazu powiedział, jakby inspirowany od dobrego ducha, że jej oddam połowę tego co mi się po rodzicach dostało... bodaj wszystko nawet... Przy krewnych i bracie kawałka chlebaby mi nie zabrakło, a do czego więcej? Orzech do zgryzienia trudny, jak tu dać? co zrobić, żeby przyjęła? jak jej to przestać?

Subhastacyjny sąd w Siemiatyczach jeszcze się ciągnął, boto temu końca nie było; jak się raz na czyich

dobrach exdywizya poczęła, więcój sędziowie często zjedli, niż wzięli wierzycciele. Miałem tam znajomego i kolegę z Lubieszowa pana Preciszewskiego mecenasa, bardzo uczciwego i serdecznego człowieka. Niepodobna mi było samemu tak zrobić, aby nikt o tém nie wiedział zkąd i jak jój pieniądze przyszły, bom prawa mało znał, a bałem się, żeby znowu stary wojski lub dzieci jego krwawicy mojej ojcowskiej nie pochwytyły. Każę tedy zaprzęgać i pojechałem do Preciszewskiego, który miał w piaskach około Drohiczyna naszego cząstkę małą w Wierzbowej. Wiedziałem, że był doma, jakoż zastałem go; przy nim żyła siostra stara panna i rezydowali ze dwóch przyjaciół z Siemiatycz, co mi nie było na rękę. Więc z interesem się przyczaiłem, a nazajutrz dopiéro gdy panna poszła do spiżarni, a ichmość na polowanie ruszyli, wziętem go na słowo do alkierza.

— Słuchaj—rzekłem—całując go w gębę po staremu — jesteś mi przyjacielem, czy nie?

— Cóżto o to pytać?—odpowié—albo wątpisz?

— Nie wątpię najmnieój, ale, że cenię przyjaźń twoję i potrzebuję jój, to się onej przypominam. Otóż—dodałem biorąc krucyfix ze stołu i podając mu go—jakeś mi bratem i kolegą, tak mi tu przysiąż na Chrystusa ukrzyżowanego, że mojej tajemnicy nie wydasz.

Ten myślał, że sprawa gardłowa i pobladł, ale nie zająknąwszy się przysiągł: „Tak mi Boże dopomóż.”

Wziętem go tedy do kąta i złożywszy ręce, musiałem mu się przyznać do wszystkiego krótkiemi słowy.

— Nie zrozumiesz mnie może—rzekłem—ale przebaczysz; ruszaj sobie ramionami jako chcesz, ale nie odradzaj, choćby ci się to szaleństwem wydało...

I opowiedziałem mu, jakom tego anioła ziemskiego ujrział i ukochał, i co dalój było aż do końca. Milczał zamyślony, w końcu rzecze:

— Toście się tedy wasaństwo kochali—i...

Skostniałem nie dając mu dokończyć, bom się domyślał, co chciał rzec, a słowo uwłaczające jój, byłoby mnie zabiło.

— Człecze—zawołałem—nie mów więcej, chceszli być żyw... Nigdy jej nie powiedział, że ją miłuję; nigdy na nią oczu podnieść nie śmiał; byłem i jestem jój przyjacielem: ale aniołowie z niebios na serce moje patrzeć mogą nie zakrywszy oczu, tak ono czyste.

Przeciszewskiemu tży się w oczach zakręciły i uściskał mnie.

—No, cóż tedy chcesz czynić? o rozwodzie myślisz?

— Co ci się śni? ja! rozwodu! ja, żenić się! albowiem to ja mizerny jój godzien: czyś oszalał?.. Ostatnim jój sługą być dla mnie wiele...

— Czysto waryat! — zawołał Preciszewski—no, a cóż ci potrzeba?

— Oto tak—rzekłem mu—zważ tylko dobrze jój nieszczęśliwą pozycją, którą ci opiszę...

Tum mu opowiedział, jakie życie prowadzili, choć on je lepiej pono znał odemnie.

— Żeby ona miała nędzę cierpieć i na czyjéjs łasce siedzieć, kiedy ja grosz mam przy duszy—zawołałem—tego nie zniosę. Mam trzydzieści tysięcy z górą, piętnaście jój przynajmniej chcę oddać; ale tu sęk jak to zrobić, a w tém mi twoja rada potrzebna.

— Pożyczyć? he?

— Gdzie zaś! daję, daruję, ale świat o tém wiedzieć nie powinien. Co więcej, tak to uczynić potrzeba, ażeby niby z Siemiatykiej exdywizyi na mnie spadło... i ona także nie domyślała się zkad przyszło. Ot na co mi musisz usłużyć.

Przeciszewski jął mi trudności robić, odradzać, ramiony dźwigać; ale ja jakem go począł za kolana ścisnąć, a modlić i prosić na wszelkie obowiązki, tak mi się nareszcie dał wziąć, powtarzając tylko:

— Szalony jesteś... szalony.

W końcu dodał.—Co ja ci tu poradzić mam? tu trzeba fałsze robić, dokumenta podstawiać, a jam tego w życiu nie czynił i dla niczyjój przyjaźni do tego się nie wezmę to darmo, choćby i na dobre; bo człek jak raz z sumieniem wejdzie w układy, później je zagłuszy. Kręć ty sobie głową jak chcesz, a ja mam moje principia; od których dla rodzonego ojca nie odstąpię.

Ale choć mi tak zrazu ostro odparł, jam na tém nie poprzestał; siedzieliśmy noc całą, i jakim go jał moroczyć, w końcu znalazł się sposób podprowadzenia z głowy matki, z summy posagowój niby tych piętnastu tysięcy. Już jak się to tam wykręciło nie wiem, bo tam tych prawności nie znam, ale gładko, że nikt się nie domyślił nawet roboty. Mnie jakby największy ciężar spadł z piersi: gdym to zrobił, dopięrom tchnął swobodniej.

Miałem trochę kłopotu ze swojemi nimem się im wyłgał z tych straconych piętnastu tysięcy, ale jakoś się to zatarto; a choć mnie posądzali Bóg wie o co, o szpetny natóg jakiś, o karty, może o co gorszego, dałem im myśleć co chcieli.

Rozkosznie było mi dowiedzieć się, że Przeciszewski z Siemiatyckiej exdywizyi wydzielił im jakoś za te piętnaście tysięcy kilku chłopków i już dopilnował, żeby i dworek mieli i sam namówił starego wojskiego, aby od niewdzięcznych dzieci uchylił się na spokojniejsze ustronie. Mnie ciągnęło znowu, żeby się tam gdzieś blisko nich usadowić i byłbym oddał drugą połowę tego co miałem, żebym to mógł uczynić; ale mnie jedna wstrzymywała refleksya. Co ludzie powiedzą? co ona pomyśli? nuż to moje zbliżenie się plamę na nią rzuci i złe języki rozwiąże? Wolałem jój w życiu nie widzieć, niżeli stać się dla niej powodem zmartwienia; ani więc noga moja tam nie postąpiła, myśl tylko posyłałem.

Zbierałem się rok walcząc z sobą, pókim tam pojechał: oprzeć się w końcu nie mogąc serdecznej niewoli, wymknąłem się z domu i z niepokojem w duszy wpadłem do słomą krytego dworku, w którym wojscy mieszkali. W sieniach mnie spotkała, i cały żywot męki byłby się zapłacał tą radością, tym ręki uściskiem jakim mnie przywitała. Widziałem z jej oczu, że mi była rada, a ja szczęśliwy, bom z twarzy postrzegł, że tu wolniej oddychać musiała. Inne kobiety starzeją się; nie powiem, żeby i ona nie miała się odmienić: ale twarzy jej coraz coś przybywało nowego, w miejscu tego wyrazu panieństwa i młodości, który powoli z niej schodził. Nie wiem nawet kiedy mi piękniejszą była, czy ową dziewczką w Kodniu, czy tutaj niewiastą w kwiecie wieku. Pomimo tego co ucierpiała, aniby kto rzekł, że dźwigała brzemię okrutne: czoło jej świeciło pogodą, usta uśmiechały się spokojem. Zapatrzyłem się w nią jak w tęczę i gdyby mnie nie powiodła do izby, byłbym tam tak stał do skończenia świata. Jakie ona na mnie wrażenie uczyniła, tego ludzkimi usty nie wypowiedzieć: coto było? czy namiętność ziemską, czy przywiązanie dziecięce, które Bóg wlał w serce moje, czy siła jakaś nieopisana, nie wiem; ale rzekła-by mi: „góry przenosić,” tobym je dźwigał jak piórka, a pod jej wzrokiem rośłem w olbrzyma i zdawało mi się, że głowąbym sklepienia niebieskie rozbijał. Jużem to nie był pierwszej młodości, już ta gorączka młodzińcza, na jaką wszyscy chorują w dwudziestu latach miała się czas wyburzyć... serce przystygnać, przecież nie zmniejszało się to, ale rośło. A znać w tém nie było nic złego, nic nieczystego, kiedym się z temi myślami tak do Boga modlił, jakby mnie one jeszcze nową gorącości w modlitwie dodawały.

Już tedy na tych nowosiedlinach wojscy nie tak byli jak przedtém w domu owym, gdzie im odwiedzał, kędy dzieci im przewodziły, a niedostatek brudny znać

było po kątach. Tu już ona sobie sama domek ów ogarnęła, przybrała i co z niego uczyniła, tom się zdumiał. Boto był lichy dworeczek o czterech izbach, prosty folwarczek, ale to czyściuchne jak szklaneczka, a z takim ładem urządzony, że wszedłszy wnet w nim gospodynią poczujesz. Umieciono, obmyto, wybielono, wylepiono, zapach kwiecia i świeżości w izbie; pyły, śmiecia i pajęczyn, jakto u najbogatszych bywa, nawet ani na lekarstwo, a tak jakoś wdzięcznie, gdyby w raj.

Tylko mi tu ten wojski ze swojemi żabami nieprzyjemnym był widowiskiem, bo ledwie mnie koło siebie posadził i spytał śmiejąc się, czy znowum nie poczuł się do jakiego długu, jak jął mi te żaby swoje rozpowiadać, tak do nocy wciąż o nich bredził. Jenom się tém cieszył, żem na nią patrzył jako się to miluchno krzątało po domu, a milcząc jej wzrokiem, mówitem, jakem ją czcił. I nakarmiłem się tak wejrzeniem, żem pijany poszedł na siano do karczmy, bo mi tam na noc zostać nie wypadało.

O! mój Boże, ileto człeku dajesz szczęśliwości, gdy czysty jest i więcej nie pragnie nad to, co mu się godzi!

Okam nie zmrzył przez noc, a nazajutrz do dworu poszedłem z tą determinacją, żeby ich pożegnać i pojechać. Ale bądźże tu mądry i silny, kiedy cię taka ogarnia namiętność; dziesięć razym wstawał z ławy i siadał, poczynął pożegnanie i w język się kąsał. Co zacznę, to mi się w piersi kołacze i porzucę i myślę, za godzinę jeszcze. Takem aż do ciemka dosiedział. Stary bredził o żabach, a jam już ani słuchał; w końcu gdy żona gdzieś wyszła, a znać ją jednak uważał, obraca się do mnie i rzecze ex abrupto:

— Coto ty myślisz, mosindzieju, że ja ślepy, czy głupi? he?

— Albo co? — pytam go.

— Czyto ja nie widzę po co ty tu siedzisz?



Jużem zanilkł, bom się uląkł, a on dalej:

— Cudzego ci się chce? he? Myślisz stary niedo-  
tęga, a żonkę ma niczego, kawaler de bona fortuna!  
Chciałoby się swoją pieczeń przy moim ogniu upiec; ale  
to z tego nic nie będzie, uprzedzam. Naprzód Basieńka  
kobieta uczciwa, a ja nie taki dureń jak ty myślisz..  
mospaneńku... Oczy mam i żaby mi ich jeszcze nie  
wyjadły.

Porwałem się mocno dotknięty.

— Za kogóżto mnie masz, mospanie wojski,— za-  
wołałem,— za lada młokosa i gaszka? Alboż nie wiesz  
jako szanuję i poważam tę niewiastę? mógłżeś we mnie  
przypuścić myśl podobną?...

I rozgorączowany mówiłem tak długo, a ten głową  
kiwał i wąsem potrząsał.

— To to... tak się to gada, ale ja taki swoje—powta-  
rzał.— Choć z waści chłop niczego, wszystko jabym  
wolał, żebyś ty sobie jechał... bo ja taki czegoś asin-  
dziejowi nie wierzę... Cicho siedzisz, do niewiasty się  
nie zalecasz, już to źle,.. bo ją oczyma żresz, a senty-  
ment ci wyłazi wszędy... Jak ja nogi zadre, a jejmość  
ci się podoba, no, to wówczas możesz do niej cholewki  
smalić; ale pókim żyw... wara! mospaneńku, nie dopu-  
szczę.. Jeszcze ja przyjdę do siebie.. coś od kilku mie-  
sięcy żaby mniej dokuczają... doktor powiada, że je po-  
truł...

•Szczęściem dla mnie weszła pani sama, a ten za-  
raz obrócił rozmowę inaczej; ja dopiero opamiętawszy  
się wziętem za czapkę i pożegnałem. Wzrok jój na-  
grodził mi za tę chwilę ciężką, którą z wojskim prze-  
byłem... Byłem pewien widząc jój życzliwość, że choć  
częstkę dla mnie miała téj przyjaźni, którą ja dla niej  
do zgonu poprzysiągłem w duszy mojej.

Jużem tedy nierychło mógł się tam pokazać i smu-  
tny wyjechałem ztamtąd do swoich... Wziętem za resztę  
grosza mego znowu dierzawę, ale mi gospodarstwo nie

szło, a ja do niego serca nie miałem. Ot tam siało się i zbierało i nie traciło, bo nie żyło się z ludźmi; ale przyrobić nic nie mogłem. A że mi doma tęskno było samemu, to się włóczył po swoich gdzie mi wszędzie radzi byli, i tak sobie mijał rok po roku. Swatali mnie nieraz i żenić chcieli, ale po mnie ciarki chodziły na samą myśl o małżeństwie. Gdybym był jej nie znał; uczciwa a nieszporna kobieta z dobrego gniazda każda by mi była do serca i przywiązałbym się mógł, i dobrym być jej mężem; ale innej miłość przysiędz, gdy dla niej miałem przywiązanie tak wielkie, zdawało mi się świętokradzkim kłamstwem. Jako tu poprzysięgać ofiarę tego, co wyczerpanem i w całku oddanem zostałem? Takem myślał i projektował żyć kawalersko do śmierci. Już tedy do nich nie jadąc, bo mi wojski stał ze swoją perorą w myśli, kręciłem się tak, że o nich wiedział zawsze. Nic też tam nowego nie zaszło, krom że się jakiś Niemiec, niby doktor, niby ogrodnik, ziółknowca uczepił do nich, i zrobił umowę wyleczyć wojskiego i żaby te z niego wyprowadzić. Żona, jako uczciwa niewiasta nie odmówiła tych trzechset talarów, których za swoją pracę zażądał, i chętnie się na kuracją zgodziła. Siadł tedy Niemczysko u nich w domu, a co sobie kazał wygódek czynić i jak tam żył, to się naopowiadać nie mogli. Że leki były na koszt chorego, Bóg wie co z za morza do jakichś kąpielu sprowadzał: zioła, zwierzęta, sole jakieś, i ingredyencye na wagę złota kupujące się, po które sam jeździł do Lipska i do Warszawy. Powiadano, że tam summy neapolitańskie wysłał ze starego na tę kuracją, coraz mu obiecując, że z niego żaby wyprowadzi, bo w wannach go jakichś moczył, karmił olejkami, a co dziw, że mimo téj łacińskiej kuchni i takiego utrapienia, czy to że imaginacja działać przestała, czy że istotnie pomogło to wojskiemu, ale Obuch znacznie lepiej się mieć począł. Zrazu o lasce przez izbę, potem na ganek i podwórze wycho-

dzić próbował, nareszcie prawie władzę w nogach odzyskał. Nie tanio mu jednak przyszło to zdrowie, bo gdy już lepiej się mieć począł, skubał a skubał Niemiec, i zadłżyli tak tę częsteczkę, że do mnie poczciwy Przeciszewski przyleciał dowiedziawszy się, iż wszystko poszło na apteki i zioła, a moja królowa znowu prawie została bez kawałka chleba. Bał się, żeby mnie to zkądnąd nie doszło, i żebym jakiego głupstwa nie zrobił; ale jego perswazye nic nie pomogły i wnet postanowiłem dzierżawę odstąpić, a grosz jaki z niej wyciągnę jęj oddać. Tak mnie to mało kosztowało, sercu dogadzało, żem odmłodniał tą myślą. Postanowiłem sobie sto czerwonych złotych na pogrzeb odłożyć i sacrosancte zapieczętować, aby ich nie ruszyć; drugie sto na nieprzewidziane wypadki mieć w kieszeni, koni trzy, wózek malowany i trochę gracików zostawić, a resztę spieniężywszy złożyć na ręce Przeciszewskiego dla niej. I choć on nalegał, żebym się przynajmniej napół podzielił tém, co mi zostało, jakoś mu wytłumaczyłem żem tego nie potrzebował. Istotnie trudno mi było co na siebie wydać: odzienia miałem na lat kilkanaście, gdzieś przyjechał to mnie, konie i ludzi przyjmowali i hodowali pókim chciał; prosili i całowali bym siedział: sąsiedztwo i krewni byli tak liczni, że gdybym rok krągły jeździł po nich i po trzy dni bawił, stałoby mi kąta na całe życie po raz tylko odwiedziwszy. Czegoż się miałem turbować? Gdybym umarł, sto dukatów na pogrzeb wystarczało, a drugiemu stu przy łasce Bożej i lat dziesięć obejść się było można. Tak się tedy stało. P. Buthak, który dawno na moję dzierżawę z pożądlivością poglądał i odstępstwo mi proponował, wziął ją z remanentem, płacąc gotówką holenderskiemi około 19,000 złotych. Jeszcze mi pięćdziesiąt czerwonych złotych dał porękawicznego, com dla gromady oddał na rozstaniu połowę, a sługom dworskim połowę.

Piętnaście tedy tysięcy odwiózłem Przepiszewskiemu i powiedziałem mu:

— Rób sobie jak chcesz, co chcesz, byleś to jój oddał, a ona o mnie ani wiedziała, ani się domyślić mogła. Głowę tłucz, już to do mnie nie należy.

Kiedym to dopełnił, wolny jak ptaszek podziękowałem Panu Bogu, że mi dozwolił być jój niewidzialnym opiekunem. Ot, rzekłem z niejaką dumą w duszy: mały i nic nie znaczący jestem człowiek, przeszedłbym nic może pocziwego nie uczyniwszy na ziemi, a tak na cośem się przydał, chwalić Najwyższego: téj sierocie podać mogłem rękę, bez czego by w ostatniej nędzy się męczyła, ona, co warta była koron i tronów królewskich.

Wybierać się tedy począłem od nas dalej ku Słomimowi do krewnych, a że mnie tam mogli pociągnąć aż w lidzkie, gdzie miałem stryjecznych, u którychem od urodzenia nie był, a teraz nie było się czego opierać, bom nie miał co robić i mogłem na ich prośby pojechać: skorciało mnie jeszcze zabiedz do wojskich i choćby ją pożegnać. Kto wie, rzekłem sobie, zobaczymy się my jeszcze na tym świecie, czy nie? Już ci mi téj pociechy, żem na nią popatrzał, za grzech nie policzą, a stary zechce się marszczyć na mnie, pal go djabli: nie będę tam długo popasał.

Jakem to sobie rzekł, spać nie mogłem, jeść nie mogłem, pókim na bryczkę nie siadł; a gdym się zbliżał do Hrehorowszczyzny, o Jezu mój miły, każda sekunda wydawała mi się godziną. Jużem w ganeczku, i co widzę: Obuch na ławie siedzi, a kufel piwa przed nim i Niemiec naprzeciw niego, popijają, marysza grając w chłodku. Na twarzy tak wybielał jakby go wyprał, a oczy mu pojaśniały i rzeźwy mi się stary wydał na podziw. Niemiec mała figurka, sprytna, jeno zerknął; postrzegłem, że tam musiał być panem w domu i jegomości za nos wodził. Niespokojnie mnie okiem zmierzył,

spojrzał na wojskiego, coś poszeptali z sobą i przysiedli rzucając karty. Obuch mnie przywitał dosyć kordyalnie, ale nie zbyt poufale, z pewną ceremonią i zakłopotaniem, jakby mi mówił: kaduk cię tu przyniósł, ale kiedyś już przyjechał, no to siedź.

— Wyjeżdżając z tych stron na długo—rzekłem—przybyłem państwa wojskich pożegnać.

— No! no! a dokądże Pan Bóg prowadzi?

W słońskie, a może aż w lidzkie zabiegnę do stryjecznych... ale zdrowieczko widzę dobre.

— Ot widzisz, to ten jucha Niemiec — dodał, wskazując nań i bijąc się po czole, jakby chciał pokazać, że ma olój w głowie—jak mnie wziął w swoją opiekę, wędził, moczył, parzył, zalewał, a finalnie na nogi postawił... tylko kieszeń djabelnie wysmoktał.

Niemiec tylko się uśmiechnął i brwiami ruszył.

— Udaje, że nie rozumie—rzekł wojski—ale ho! ho! słyszy on jak trawa rośnie! Cha! cha! cha! cha! czego nie pojmie, to się domyśli.

Na te słowa wyszła pani wojska, a jam już i nie widział i nie słyszał nic oprócz niej. Bo to się wyrazić nie może jak mi zawsze słodko było na nią patrzeć i w ustach języka zapomniawszy tylko spoglądaćbym chciał i słuchać, a nie więcej. Z jasnym okiem podeszła ku mnie i aż krzyknęła z radości, za czym był życie dał, bo poznałem w tym mimowolnym jej głosie, że nie byłem dla niej obojętnym... A przecie nie wiedziała nawet com czynił i jakim ją miłowałem.

— A mój Boże—zawołała—co W. Pana tak długie wieki nie było?

Wojski głowę podniósł, na żonę spojrzął i pokiwał.

— Nie mogłem M. dobrodziejko, nie mogłem—rzekłem zcicha—ale chciałem tu osobą moją nie być, tom często zaglądał myślą i dowadywałem się u ludzi, co się w Hrehorowszczyźnie dzieje...

do Siadła naprzeciw męża w ganku i wskazała mi miejsce podle siebie; a że tamci znowu się do maryasza wzięli i wojski począł duble brać jedna po drugiej, bo Niemiec arte grał i arte podglądał, mogłem się z nią półgłosem rozmówić.

— Jakże się powodzi?—zapytałem...

— Ot widzicie, dosyć dobrze—powiedziała, wskazując, że dla Niemca nie wszystko mówić mi może. Bóg tu waszmości w dobrą chwilę przyprowadził, mąż mój zdrowszy, ja dosyć spokojna, i znowu Opatrzność, gdyśmy się na tę chorobę wycieńczyli dopomogła nam. Spadło na mnie jeszcze kilkanaście tysięcy i to nas podtrzymało.

Jam oczy spuścił pomyślawszy: niech Bóg da wszystko dobre Precyszewskiemu, że mi się tak sprawił. Jęła mi tedy opowiadać o sobie, o domu, a potem rzecze z uśmiechem:

— A wyż co porabiacie?

— Zawsze toż samo—rzekłem—po świecie się włóczę darmo, póki nie zawołają z niego na drugi. Co mam czynić? gospodarki nie lubię i nie idzie mi... at! wałaszam się od komina do komina.

— Czemu to nie pomyślicie się ożenić? — spytała. Wybrałbyś sobie W. Moś dobrą kobietę... i byłibyście szczęśliwi.

Ja jakem siedział, aż wstałem z podziwu i spojrzałem na nią raz pierwszy w życiu, tak, że biedna kobieta zrozumiała jaką mi przykrość uczyniła, zapłoniła się cała gdyby róża, pokraśniała, a dwie łzy zabłąkały się w jej czarnych oczach.

— Pani wojska dobrodziejko—rzekłem po chwili—nie mnie to się żenić i szukać tego szczęścia, które może i przejrzałem na ziemi, ale mi je drugi wziął. A z sercem nie swoim jakże komu ślubować? Przymem stary już jestem... przywykły do włóczęgi, do swobody,

a z moją tęsknicą nie dałbym szczęścia téj, coby mi los swój powierzyła. Zawodu czynić nie chcę.

Westchnąłem; wtém Niemiec jak wrzaśnie: „ze czterdziestu!” Wojski nuż się kłócić, że pamfila podpatrzył i dlatego zabił; rozmowa się przerwała, a za ich szwargotem i gromubys nie słyszał, tak poczęli wrzeszczć. Jam znowu jeno patrzył, a patrzył na nią jak w tęczę. Oczy jój mówiły mi, że mnie rozumiała i więcej nie pragnąłem, królom i potentatom ziemi szczęścia ich nie zazdroszcząc.

— Na długo zapewne przyjdzie mi teraz Waćpanią dobrodziejkę pożegnać—rzeknę, gdy ucichło nieco—jadę do familii, może aż w lidzkie i nie wiem kiedy powrócę.

— A dzierzawa?

— Znudziła mnie i oddałem ją Bułhakowi.

— A brat?

— Tociem mu się do syła naprzykrzył, trzeba i drugich sobą obdzielić, a troskę powieźć dalej.

— Może ją Waćpan zgubisz gdzie po drodze.

— O! nie—odpartem—lat ją więcej dziesięciu noszę i już się ze starą towarzyszką nie rozstaniemy pono, i nie dałbym ja jój za skarby świata.

Spuściła oczy pani wojska, a jam postrzegł, że to niepotrzebnie powiedziałem; alem się tak jój wejrzeniem rozptłomienił, Panie przepuść, żem się zupełnie zapomniał, gdy zamężnej kobiecie ani tego prawić, ani dawać do myślenia nie godziło się, com dla niój czuł; ale człęk słaby. Opamiętałem się zaraz gdy mnie o co innego zagadnęła poważnie, a tuż że zmierzchało i gracze wstali, Niemiec ujął wojskiego pod pachę i tak go powiódł do izby, że rosa padała. Ja z nią poszliśmy także. Samem zmiarkował, że tyle mi Bóg dał, iż więcej już pragnąc nie miałem prawa; chciałem więc pożegnać ich zaraz, ale Obuch na podziw zatrzymać począł.—O! nie puszczyć—rzekł—noc ciemna,

przenocujesz Waćpan z Niemcem w alkierzu i w marysach do puli zagramy po wieczery.

Tak się i stało, a dla mnie gdybym ostatni grosz tam posadził, nie było większego szczęścia, jak choć zdaleka ją widzieć. Nad wszelki wyraz rad byłem, gdym choć oczy mógł napaść widokiem téj niewiasty, przed którą wszystkie inne gasty, jakby ich na świecie nie było. Siedliśmy tedy do puli, a choć ja dobrze grałem, na ten raz dla kupienia sobie dobrego humoru pana wojskiego umyśliłem prawie baki strzelać, a pulę po puli tracił. Nie śmiałem jednak uparcie się wpatrywać w wojską, aby mąż nie postrzegł, albo Niemiec ów nie pomyślał co złego; a mogę rzec, że ją widziałem nie patrząc i czułem ilekroć na mnie spojrzęła. Biedna kobiecina kręciła się po tym ubogim domku gospodarząc, ciągle głosem męża popychana i wstrzymywana, tak, że często nie wiedziała co począć; ale czyniła to z cierpliwością anielską. Cierpliwa i łagodna, nie odpowiedziała słowem, nie okazała skinieniem niecierpliwości, chodziła jak sługa, a choć może ciężko jój to było, kryła boleść uśmiechem anielskim. Pomyślałem ileto dni długich upłynęło jój w takim życiu nieznośnym i ścisnęło mi się serce, a podnieść musiałem myśl aż do Boga, żeby zrozumieć to życie i nie bluźnić przeciwko losowi.

Jak wszystko na świecie minął i ten wieczór, anim się spostrzegł nawet, a ledwie parę razy ze słówkiem do niej zbliżyć się potrafił; wszelako skorzystałem z niego, bom lepiej poznał coto była za święta kobieta, jak wielkiego poświęcenia i cnoty. Gdym ją żegnał oddając dobranoc, klękając mi się chciało przed nią, słów mi zabrakło w uściech: ucałowałem jój rękę i w oczy spojrzawszy znajomą mi łzę, co się zawsze w nich kręciła, nigdy nie spadając, znalazłem...

— Jedziesz Waćpan daleko — rzekła — niechże ci Bóg szczęścia wszędzie i błogostawi: my tu W. Mości nieraz wspominać będziemy.



Wojski, że parę talarów napót z Niemcem mi wydarł, byłby mnie gotów wstrzymać dłużej; alem to czuł, że im więcej pozostałbym w tym domu, témby mi ciężej z niego oddalić się było. Po mężku chciałem wyrwać się z niebezpieczeństwa, pókim jeszcze siły miał potem. Więc zaprosin nie słuchając pożegnałem ich, a jak świt nazajutrz ruszyłem w drogę, o niczém nie myśląc jeno o niej, i jak małe dziecko żyż czując nieraz na pomarszczonój już twarzy. I nie wstyd mi było tego rozmazania, bociem nie nad sobą płakał, ale nad nią, gorzki jój żywot mając przed oczyma, w którym żadnej osłody i wytchnienia nie miała. Pustka i męczeństwo takiel z takim człowiekiem, jój!..

A! gdyby losy ludzkie nie były twardo z woli Bożej postanowione raz na zawsze, byłbym zapewne wymodlił dla niej, aby jój mój spokój i moja scheda błogosławieństwa zostały przelane. Ale ludziom mieniać się nie wolno, ani dzielić, jeno tém co im do rąk dano:— reszta Boża.

Z krwawą boleścią przybyłem do domu i takim chodził dni kilka, że mnie brat wypędził prawie w stonimskie i lidzkie, sądząc, że mi ta podróż doda życia i humoru, bo o niczém nie wiedział co mnie gryzło i dolegało. Ja sam nie mając woli do niczego, dałem się wypchnąć i ruszyłem, gdyż mi to było wszystko jedno, czy tu, czy tam cierpieć, a wiedziałem, że troski méj po drodze nie posypię.

Wyjechałem tedy naprzód w stonimskie, testament mój i owe sto czerwonych złotych opieczętowane u brata złożywszy, mając jeszcze sto małe nadwergężonych obrączkowych przy sobie, trzy konie dobre i kałamazską kutą, garderobę porządną i wyrostka Jacka sierotę, którego sam wychował, bardzo dobrego chłopaka; jedną tylko miał wadę, że trochę był ślamazarny i nadto miękkiego serca, co słudze nie dorzeczy, a w prostym człowieku kalectwo; w drugich téż niewielka cnota.

Podróże w owe czasy nie tak się odbywały jak teraz. Szlachcic po całym kraju swoim jechał od komina do komina, karczmy nie powąchał, chyba go burza na godzinę do niej zagnała, grosza nie wyexpensował i nie opatrzył się nawet jak mu najdalsza droga nieznanie przeszła.

Prawda, że czasu dużo brała podróż taka, ani się można było obrachować ile; ale to nie była wędrówka ciężka i utrudzająca, jeno przejażdżka i rozkosz.

Jako to u nas w brzeskiem województwie wszyscy byli zbraceni i swoi, tak rzecz można wszędzie szlachta stanowiła jedną całość nierozzerwaną i jakby jedną rodzinę. Po matce czy ojcu z antenatów przez kogoś tam nie było familii, żeby z drugą szlachecką nie wiązała się jakiéms pokrewieństwem. To wyrażał ten tak używany tytuł, brat szlachcic, gdyż istotnie było braterstwo między nami wszystkiemi silne i nierozzerwane. Więc takiego jak ja podróżnego w Litwie to sobie ze dworu do dworu podawano, i tak się człek nieznacznie posuwał coraz dalej rzemiennym dyszlem w prawo i w lewo okręcając, aż się nareszcie nierychło do miejsca przeznaczenia dostał. A mnie, że nie było pilno i jechałem w słonimskie do krewnych, aby się czasu pozbyć, jakem ruszył z domu na noc do p. Andrzeja Sokołowskiego, od niego dwa dni zabawiwszy do Bułhaków, dalej do Borejszów, do Buchowieckich, do Machwiców, do Ordów, do Sołtanów, do Płotnickich i t. d., że wszyscy mi byli krewni anim się opatrzył, jakem się dostał głęboko na drugi koniec Słonimszczyzny, gdzie już u moich powinowatych Brońców zasiedziałem się więcéj miesiąca.

Gość-bo w owe czasy nie był nikomu ciężarem, ale istotnie pościańcem Bożym, pociechą i rozrywką. Szlachcic siedział zakuty w domu, z którego z faską bigosu raz, dwa jeśli ruszył do miasteczka, to z niego jeszcze prędzej się wynosił. Życie wiódł jednostajne,

a gdy mu się trafił przybyły, od którego trochę nowinek zaczerpnąć i przy nim się ożywić, a z nim rozgadać było można, to go trzymał jak mógł najdłużej i jak opłatkami dzielił się z nim sąsiadem. Toż przyjęcie było serdeczne, ale nie kosztowne: wszyscyśmy jedno wówczas i nie wykwinne wiedli życie; tych zapasów próżności i borykania się o lepszą, kto kogo przesadzi głupim zbytkiem, nie było pojęcia. Więc gościa przyjmowano na tym samym obrusie i tą samą misą, która była na codzień, témże jadłem i napitkiem jaki był powszedni. Kto pijał gorzałkę i piwo niemi się dzielił; kto miód, nim częstował, kto wino, a to nie występowało tylko na wielkie uroczystości nawet u bogatszych, ten winem traktował. Nikogo to nie zubożyło, że jeden talerz przystawiono i jedną szklanką było więcej, a prawdę rzec nierazemy w sześciu z jednej popijali, bo o szkło nie zawsze było łatwo gdy się wytknęło, a świątecznego na ręce dziewcząt i chłopców postugujących ryzykować co dnia nie chciano.

Gdyby mnie co jeszcze rozweselić i rozgrzać serce mogło, toby pewnie ta podróż potrafiła, boć od dworu do dworu jechało się jakby jedną osadą swoich: wszędzie ręce otwarte, serca gorące, a taka pocziwa braterskość, gotowość do usług, troskliwość o gościa, że bez też po dniach kilku rozstać się z niemi nie było podobna. Wystawy żadnej, ale co mi po niej, gdzie wiele blasku, a nie czują miłości i tego ciepła, co ogrzewa i wiąże. Tam przy krupniku z półgąską gdy ci jejmość sama wybrała najlepszy kawałek, gdy sam pan dorzucił na talerz, gdy odprowadzając do sypialni materaca próbował, i o pościel się twoją troszczył, i okno obtykał, i chłopca twego wypytał czy nie głodny, toś czuł, że ci życzą dobrze i że się nie popisują z niczem, a radziby ci krew swą dać, gdybyś chciał.

Więc dzień w odwiedzinach upływał jak zawsze: gość nie przeszkadzał, bo się do życia powszedniego

stosował, które i sam tymże trybem prowadził. A co miał sam gospodarz śpiewać rano godzinki, śpiewali je społem; co miał obejść chlewy i obory nudząc się, to je gawędząc schodził; potem w pole lub na polowanie i tak dzień do wieczora. W Słonimszczyźnie to już trochę było większego świata jak u nas w Brzeskiem, ale ludzie poczciwi jak po całej Litwie: hulano trochę i pito, ale to wszędzie się tak trafiało. Gdybym był chciał, byłbym tak całe życie przepędził od kąta do kąta, bo mnie prosili, konie wyprzęgali, ludzi poili, koła zdejmowali i nie wiem czego nie wyrabiali krewniacy. A że mnie ciągle jakoś było smutno i tęsknoty wytłumaczyć sobie nie umieli, domyślali się różnie, najwięcej, że to było po stracie ojcowizny. Ileto tam było różnych prób jakby mi rękę podać? a jak to czyniono cicho, ostrożnie, z jaką delikatnością i przemyśłem, aby nie obrazić.. tego wypowiedzieć niepodobna. Jeden mnie swatał bogato, drugi chciał dzierżawę naraić, inny pieniędzy pożyczyć, ledwie się było można obronić od dobrodziejstw i dobrodziejów. A co napracowali, ażeby mnie wypatroszyć i dobyć ze mnie boleść moję i po trzeźwu i po pijanul! Dosyć, żem nawet za jakiegoś mruka i wilczka uchodzić u nich musiał, za to, żem się przed nimi nie otworzył, i to mi w ich przekonaniu zaszkodziło, gdyż nie było wówczas w charakterze uczciwego człowieka z czémkolwiek przed swojemi się taić. Podejrzowano mnie może o zbrodnią jaką; ale litość tém była większa, im większy i niedobadany mój smutek.

Prawie tedy gwałtem wyrwawszy się im, przeprowadzany, opatrzony na drogę jakby ona rok trwać miała, wyruszyłem i to wcale nie gościńcem, ale po staremu. Z ostatniego dworu tak mi marszrutę wypisali i zakleli, żebym jój był posłuszny, iż do samėj Lidy ani jednego noclegu u żyda nie miałem. Szlachta sobie wcześniej podała wiadomość, gdzie miał być, i takem

już był związany, że nikogo minąć nie było podobna, bobym sobie na gniew śmiertelny zarobił. Jeden do drugiego jak pod ciupasem przeprowadzał, a coś znalazł pod którym dachem, toś podzielił z gospodarzem. Tu radość, wesele i tany, tam choroby i pogrzeb. Przydał się gość do jednego i drugiego, posłużył, podzielił się chlebem, łąką i uśmiechem... i znów na kałamazkę i dalej. W lidzkiem, jakom wspomniał miałem stryjecznych, których ani ja, ani brat nie znaliśmy, nakażywaliśmy tylko do siebie, bo wówczas pisano mało i pisać nie lubiono; list bez interesu nie szedł, a serdeczne westchnienie polecano nie papierowi, tylko ustom braci, którzy to tak zwane nakazywanie wiernie z ręki do ręki, od dworu do dworu sobie podawali.

Nakazywano tak do siebie dzieląc się urodzinami, zapraszając, witając, a poselstwo dochodziło wiernie. I było w tym obyczaju coś daleko żywszego, serdeczniejszego, prostszego, niż w dzisiejszym kawałku papieru, boć żywe słowo z ust do ust przechodzące więcej grzeje, niż pisane. Mój Boże! jak się to czasy zmieniły! a serca! a ludzie! Czym ja zestarzał, czy świat się popsuł, ale nie to to, co dawniej.

Pół roku tak włókłem się w lidzkie i com wyruszył o siejbie, to późną jesienią przy ozimych zasiewach, na zieloną ruń przybyłem do stryjecznych. Byli to ludzie zamożni, dwóch rodzonych braci, mieszkali w dwóch wsiach o miedzę położonych: jeden nie żonaty Kasper, drugi z Machwicówną ożeniony Paweł. Pan Bułhak cioteczny nam, z którym musiałem polować dwa tygodnie, nim mnie od siebie wypuścił, odwiózł nareszcie i zdał na ręce całego panu Kasprowi. Ten już od dwóch miesięcy mnie się spodziewał, bo mu nakazywano ze słonimskiego, że jadę a będę, i choć w oczy nie widział, powitał jak brata. Krew się w nas obu odezwała, i jam aż zapłakał w tym rzewnym uścisku poczeiwego człowieka, który drząc i cały poruszony witał mnie

z niewypowiedzianą czułością. Pół godziny nie upłynęło, a byłem jak w domu u siebie, bośmy z sobą ceremonii nie robili i Kasper mi przyszedł do serca jak nikt. Był też to istotnie człowiek serca wielkiego i starego obyczaju. Mówił niewiele, niewiele umiał, światła widział mało; ale pełnił co mu Bóg przykazał święcie i wiernie, nie lekko nie biorąc w życie.

Szkoły skończył w Szczuczynku i co złamał wyniosł tego nie zapomniał; pobożny był bez chęci popisywania się, i owszem z niejaką skromnością i wstydem prawie, tak, że się na modlitwie zamykał, aby przed ludźmi jej gorliwością się nie chwalić. Mruczek i mało mówiący, cichy, pokorny, cały był w uczynkach, pracował jak wół, nie poskarżył się nigdy, a gdzie trzech się zebrało czy dziesięciu, on zawsze szukał ostatniego miejsca i na szarym końcu siadał. Lewica jego na prawdę o prawicy nie wiedziała, tak czynił kryjomo co robił dobrego, a gdy co złego uczynił, to się kajał przed wszystkimi publicznie. Wesół przytém i niezachmurzonego czoła, serca sobie drugim dodawał spojrzeniem i uśmiechem.

Rozumu był niepospolitego, ale i z nim się nie chwalił: dopieroś go zeń dobył, gdy go do muru przyparto że się wygadać musiał. A trafiało się to jeno gdy się rozgorączkował, i pot poczuł, jak mawiał Paweł, który mógł być szkodliwym i zaraźliwym. Wówczas mu i na wymowie nie zbywało i innym się stawał człowiekiem, a płynęły mu słowa jako z krynicy woda; ale gdy tylko ochłonął, jakby się zawstydawszy wybuchu, gotów był za to co uczynił przeproszać, wracając do pokory powszedniej.

Dom Kaspra był jeszcze pradziadowski: niska chata, ale ciepła i dobrze utrzymana, w nim wszystko po staremu. W dziedzińcu świronek z gankami, tuż obejście całe, o trzy kroki kapliczka drewniana. Z ganku widać było Purnie, wioskę pana Pawła, i tak dobrze,

że czasami na długiej tyce wywieszona biała chusta służyła za umówiony znak zaprosin z jednego dworu do drugiego. A żyli z sobą bracia po bratersku, można powiedzieć jedną składając rodzinę. Paweł już całkiem inny: choć najpoczciwszy człowiek, zakrawał na statystę, lubił się mieszać do spraw publicznych, mieć swój głos między szlachtą; jeździł dużo, w domu gości miewał, mało gospodarzył, za to Kasper mu pilnował, dosypywał i ekonomował.

Gdyby tak teraz stryjeczny goły o trzykonną kałamaszce przed wrota zajechał do ubogiego szlacheckiego dworu, a choćby i do zamożnego pałacyku, którychto tyle jak grzybów powyrastało, co byto się pani nagryzła, co byto jegomość nastękał w strachu, żeby za długiego krewniak nie posiedziało, konie owsa nie wyjadły, a uchowaj Boże tytuło pokrewieństwa przybysz jeszcze nie zażądał czego.

Naówczas przy ubóstwie mieliśmy to w sobie wszyscy i najgorsi, że się każdy dzielił czém miał, wiedząc dobrze, iż w złym razie z nim się każdy podzieli, i nie stęknął nigdy na przyjazd ubogiego, jak się to dziś dzieje, ani na zesańca Bożego narzekał.

Jeszcze było przed wieczorem i zaraz na tyce wywieszona ze świronka biała chustka, do Purń zaniosta wieść, że się pan Kasper na wieczerzę domagał braterstwa. Kiedym się dowiedział co to znaczyło, prosiłem go, żebyśmy pieszo przynajmniej wyszli naprzeciw Pawłów: tak wszyscy razem ruszyliśmy wydeptaną miedzą, którądy była najbliższa ścieżka do drugiego dworu. Zdała postrzegłem gromadkę, która ku nam spieszyła z przeciwniej strony, i pod starą gruszą zetknęliśmy się, zdała śmiejąc do siebie jak do dawnych serdecznych przyjaciół. Ani mnie im przedstawiać było potrzeba: zgadli ktom był. Paweł mi się wydał poważniejszy, pani Pawłowa serdeczna kobieta, wesola, hoża jeszcze i rumiana pocałowała mnie w twarz ochoczo

i przywitała z tą kobietą uprzejmością, którą tylko spotkasz u Litwinek.

Chcieli zaraz nazad do Purń prowadzić, dzieci ich uczepiły się stryjaszka jak swego: czuły że się im na coś przydać mogą. Oprócz brata, bratowój i ich dziatwy, była tam jeszcze jedna osoba, której nie wymieniłem, bom jój nawet zrazu nie postrzegł: siostra dobrze starsza pani Pawłowój, panna Erazma Machwicówna, słusznego wzrostu, brunetka, nie świeża i nie piękna, wprost coto zowią stara panna, ciche i milczące stworzenie, w którym, jak to często bywa, dziwnie wiek już dojrzałszy jednoczył się z jakimś wyrazem niewinności i dziecięctwa... Myślę, że to właśnie ten charakter dla pospolitych ludzi czyni starą pannę istotą tak śmieszoną.

Pod gruszą tedy wszczął się zaraz spór dokąd iść, gdy i jeden i drugi ku sobie ciągnęli; ale Kasper zwyciężył i zawróciliśmy się wszyscy do niego, choć gwałtem Pawłowa nas do siebie chciała zabierać. Wesoło idąc gawędziliśmy, całą niemal historią naszej rodziny przypominając, od wspólnych począwszy dziadków, o których podania rodzinne i anegdoty Paweł doskonale wiedział wszystkie, i genealogią ich tak znał, że gdzie jacy jednego herbu i nazwiska pozachodzili, wszystkich na palcach liczył.

Zasiedliśmy potem do wieczerzy, a niżej się rozeszli było około północy, i dzieci śpiące powładaliśmy do bryczek, a ja nazajutrz na cały dzień obiecałem się do Purń z panem Kasprem.

Życia jakie tu wiodłem malować nie będę, bo jako przyjęcie zwiastowało, tak ono zeszło całe. W tydzień niespełna takem się wkleił w rodzinę, jakbym tu od dzieciństwa żył z niemi, i znać nie było, żem z brzeskiego do nich przywędrował, wprzód ich całe nie znając. Kasper i ja żyliśmy jak rodzeni i staliśmy się sobie potrzebni. Pawłowa mnie polubiła, bom jój dzieciaki kochał i całe dnie z niemi przepędzał; o Pawle



nie mówię już; słowem, że gdym o odjeździe zagadał, tak mnie zakrzyczeli, jakbym o zbrodni zamyślał...

I dość mi tu dobrze było, tylko jak wszędzie tęskno. Dzień cały bywało siedzimy z Pawłem w Purniach, a na noc miedzą podle gruszy wracamy z Kasprem, lub ja sam bez niego i znów rano do Purń. I tak codzien jeśli wszyscy nie szliśmy do Kaspra, tośmy siedzieli razem u Pawłowstwa. Jakaśmy się z sobą trochę obyli, poznał poczciwy Kasper, że nie swój był i że mi czegoś serce bolało; ale zrazu szanował cierpienie, nie zmuszając mnie do tłumaczeń. Wreszcie, gdy mnie z nim już nierozzerwana przyjaźń łączyła, raz uściskawszy, rzekł:

— Nu! gadajbo mi szczerze.

— A cóż ja ci powiem?—rzekłem.—Komu innemu-bym kłamał, tobie nie potrafię: mam w sercu przywiązanie do kobiety, jakiego może nie pojdziesz, i to mi życie daje i żywot zatruwa. Takie rzeczy i rodzonemu bratu się nie powiadają, zostaw mi je, bo ci się wstydzicie będą pokazać starém dzieckiem...

Kasper zamilkł, westchnąwszy i spytał tylko:

— A dawnoto temu?

— Poczęto się to około dwudziestego roku życia mojego.

Na tém stanęto. W parę tygodni powiada mi Kasper.

— A klin klinem?

— Nie—rzekłem—już z tém i umierać przyjdzie.

Nie nalegał potém więcej i dał mi pokój.

W raju lepiejby mi być nie mogło jak między temi poczciwemi ludźmi, ale boleść moja i obraz téj nieszczęśliwój kobiety szedł za mną zatruwając spokój, którego doznawałem. W piérwszych chwilach nowość położenia, trochę nieobycie się z ludźmi trzymały mnie na nogach; ale jenom się obsiedział, poczułem jakby się coś we mnie zepsowało. Osowiałem, zobojętniałem

na wszystko, dzieci nawet rozbawić mnie nie mogły: całe dnie siedząc trudno mi było słowa przemówić.

— Ty łęsknisz?— spytał Kasper.

— A na to rady nie ma i wszędzie to będzie— odpartem.

Ale z dnia na dzień czułem się gorzej i gorzej, siły tracił; poili mnie różnym zieleń, dawali kordyały: nie nie pomagało. Jakoś raz z polowania z Kaspresem powróciwszy, uczułem się zimnym dreszczem przejęty i chory. Siedzieliśmy w ganku w Purniach, nagle głowa mi się zawróciła, oczy zamglily, chwyciłem się ściany, bojąc się upaść i więcej nie pamiętałem co się ze mną stało, tylko jakby długi jakiś sen ciężki, w którym leżałem bezwładny.

Kiedym oczy otworzył i zaczął do siebie przychodzić, zobaczyłem z jednej strony Pawłową, z drugiej jej siostrę pilnującą tóżka mego. Chciałem się dźwignąć, nie mogłem; cały byłem jak porąbany i sobą nie władałem, a przemówić nawet zeschtym od gorączki językiem było trudno. Wszelako znak życia, który dałem ucieszył ich niezmiernie, postrzegłem po twarzach, że to mieli za znak dobry; kobiety porwały się do ziółek, a mój Jacek, co stał w nogach, jakby dziecko się rozbeczał.

Chociaż niby odzyskałem przytomność, alem mówić i ruszać się nie mogł; widziałem przecie co się koło mnie działo i ich pieczołowitość niezmierną koło mnie, która do głębi serca rozczulała. Szczególniej pocziwa panna Erazma z cierpliwością anielską i wytrwaniem niezmożonem dzień i noc była u tóżka mojego; jenom się ruszył, stęknął, jużem ją wiedział nad sobą: nie odstępowała mnie na chwilę, a czyniła to z pokorą sługi i niewinną bojaźliwością dziecięcia. Z dni tak przeżytych wyliczyć mi się było trudno, miary czasu nie mogłem schwycić, ale to trwało długo; a gdy mi się podnieść pozwolono, jużem nie mogł poznać świata,

bo zima była nadeszła na dobre, i świat leżał pod białą kołdrą Bożą.

Chorowałem tak jeszcze, chwilami niby rozeznając co się wkoło mnie działo, to znowu tracąc zmysły, tak, że sen i jawa mieszały się w dziwną jakąś chorobliwą i gorączkową całość. A jak to bywa kiedy człowieka całego wielkie wstrząśnienie jakieś porusza do dna, że mu przychodzą do głowy i cierpienia i uczucia stare i co w życiu doświadczył najdotkliwszego; tak mnie właśnie, chwile szczęśliwe pobytu w Kodniu i późniejsze spotkania z panią wojską, pochód nasz wojenny, domowa strzecha, różne wypadki życia na nowo malowały się w głowie, mieszając dziwnie z tém, co otaczało obecnie. Były takie dni, że m czułem i przypominałem co się ze mną działo, a doskonale byłem przytomny, choć nie mocem władnąć sobą; inne takie, że mi się najdziwniejszym sposobem przysniwało, co tylko umysł w gorączce mógł połączyć: ludzie zmarli z żywymi, miejsca jedne w drugich, wypadki poplątane—ale któż tego w życiu nie doświadczył aby raz??

Kiedy tak leżę jak spętane mając ręce i usta, widziałem, iż około mnie troskliwie chodzą; to znowu przywidywało mi się, jakobym przy sobie miał panią wojską. Ale jój tam jako żywo nie było, tylko poczciwa panna Erazma, która mnie gdyby dziecię pielegnowała; i nie mogę tego uczucia jakim dla niej powziąłem do innego porównać, tylko do synowskiego mego ku matce przywiązania.

Trudno było nie być jój wdzięcznym za tę pieczę macierzyńską, bo się zabijała dni i noce bezsennie pędząc przy łóżku mojem. A boleść lub raczej zestąpienie nie dawały mi jój ani okazać nawet, że m to rozumiał i widział, bom palcem kiwnąć nie mógł, tak leżałem bezsilny. Już było około mnie lepiej, gdy usypiając raz nad rankiem usłyszałem dwóch sióstr rozmowę, a trzeba wiedzieć, że w téj chorobie tak

miałem zaostrzone wszystkie władze przez długą boleść, że najcichsza rozmowa dochodziła mnie najwyraźniej z drugiego końca pokoju, i zapach najdelikatniejszy przez szczeliny drzwi dolatujący, dawał mi rozpoznać co gdzie o staję gotowano. Oczy na blask otworzyć mi było niepodobna, ale uszy i nos, których zamknąć nie można, o straszliwe mnie czasem przyprawiły męczarnie. Takem i tę cichą rozmowę schwytał, gdy mnie wcale o to posądzić nie było podobna.

Pani Pawłowa siedziała z Erazmą w drugim końcu, i to tylko pamiętam, że zrazu siostrę do spoczynku nagliła, potem ją czule strofować poczęła.—Dobra to jest litość,— rzekła— ale wszystko ma miarę, a ty się kochanie moje zabijasz dla tego człowieka.— Ta nic na to, a potem:— Już mi tego nie wyperswadujesz, że go kochasz więcej niż Bóg bliźniego przykazał.— Znowu cicho, mnie jakby ukropem oblał; ta dalej mówi— Ja to widzę nie od dziś, nie masz się co tajić; a Kasper mówi że z tego nic być nie może, bo on sobie postanowił nigdy się nie żenić i najlepsze partye, jakie mu się trafiały, odrzucił.

— Alboż ja myślę, żeby się żenił ze mną?— zawołała panna Erazma— cóż ci to jest siostruniu, kocham go, ale czuję, że Bóg nie dla mnie go stworzył. Niemniej serce moje wziął odrazu jakem jeno spojrziała na niego, a ty wiesz, że się ono nie narzucało nikomu. I słodko mi mu służyć, a to za całe szczęście życia staje i tyle już mego na świecie: ot przydałam się przecie komuś na coś, i nie umrę wyklętą i odrzuconą.

Ustyszałem płacz i szepty, gorąco mi się zrobiło, a dalej nie wiem już co było ze mną. Ta rozmowa jednak, której słowa utkwiły we mnie, dziwne uczyniła w głębi mej duszy wrażenie. Błysnęło we mnie postanowienie odptacenia poświęceniem za poświęcenie.

Wstałem powoli z łóżka, choć bardzo nieznacznie przychodząc do siebie, i gdy mi pierwszy raz pozwo-

no wyjść za próg, była już wiosna na świecie. Z rozrzewnieniem spojrzałem na świat Boży, młody, piękny a tęskny, a miły; i gdym z ganku w Purniach wyjrzał na lasy czarne, na łąki zielone, na puszczejące olchy, na polatujące hociany, posłyszał tysięczne płasztwa głosy i szum wiatru i pulsacye żywota świata: takie mnie porwało rozrzewnienie, żem łzami płakał. I pierwsze kroki moje skierowałem do kapliczki, gdzie pokłakił się modlić, a zmówiwszy jeden Ojciec nasz, już nie wyuczone napamięć modlitwy, ale moję serdeczną dziękczynną Bogu Wszchemogącemu złożyłem u stóp ołtarza z gorącości ducha wylaną i dziwnie przejęłą. Dziękowałem Mu w niej za to, że mnie podźwignął i jeszcze mi świat swój dał ujrzeć, a po nim chodząc być na coś ludziom przydatnym: modliłem się, aby dał szczęście i spokój téj niewieście, której obraz i żywot wplótkł się tak w moje życie. Nareszcie postanowiłem uroczyście wzorem téj świętej męczennicy z życia własnego uczynić ofiarę dla drugich, jak ona; i gdybym był nie mówię dla szczęścia, ale na chwilę ostody potrzebnym téj, która takie o mnie miała staranie, jéj nawzajem służyć i dług zaciągniony wyplacić.

Ledwiem mógł wstać, tak długo pozostałem na téj z Bogiem rozmowie, w której i słów nie było jeno jakieś akty strzeliste uczucia polatującego ku Stworcy. Jasno mi tu stało przed oczyma, że człowiek nie sobie jest stworzon, ale by był ofiarą, i żem ja dotąd swéj namiętności tylko, chociaż czystej, postugiwał, nie chcąc dla nikogo się poświęcić. Uczyniłem więc postanowienie silne rzucić nadzieje próżne i sny, i to życie bezczynne, a stać się członkiem społeczności stając ofiarą, przestając być odrzutkiem i jednostką nie mającą związku z pracowitym ulem pszczołek Bożych.

Jakem jeno pozdrowiał, panna Erazma odstąpiła, strzegąc się, bym jéj nie posądził o jakieś dla mnie uczucie; ale mimo wielkiego panowania nad sobą, jakie

miała, nie mogła zapobiedz bym nie dostrzegł, że jój nie byłem obojętny. Pocziwe serca przywiązują się do tych, którym uczyniły dobre. Tu i owdzie wydawała się z czémś, słowem, ruchem, rumieńcem mimowolnie, i ja téż począłem choć ze wstrętem może pokonywając uczucie, przybliżać się do niój i okazywać jój szacunek i przyjaźń.

Sam nie wiem jakem to spełnił com sobie postanowił, a sędzę, że dosyć niezgrabniem to robił i wielkie było podziwienie wszystkich, gdym przez pana Kaspra niedługo myśląc i własnej sile niedowierzając, nagle się jój oświadczył. Powiedziałem mu zaś otwarcie, że wszystko stracił i tak jak nic nie miałem; że dla niój czuję tylko szacunek, a pracować przyrzekam usilnie, aby nam obojgu chleba nie zabrakło.

Pan Kasper gdym mu to objawił, spojrzął na mnie oczyma wielkimi, ścisnął mnie za rękę jakby z rozumiał i zaraz rzekł mi, żebym się o niedostatek nie frasował, że się cała familia złoży i potrafi to, ażebyśmy mieli od czego poczynać. Ja mu na to, że nie przyjmę nic; pokiwał głową i słuchać nie chciał, machając ręką i powtarzając jedno, że co swoi dają, tego się nie odrzuca.

Daléj już nie wiem i opisać dobrze nie jestem w stanie jak się to tam do końca dowiodło. Panna Erazma gdyśmy po oświadczeniu sam na sam zostali, chciała mnie w rękę pocałować, alem nie dopuścił i do kolan jój przypadł, oświadczając, że pomnę co czasu choroby mojej czyniła, i nigdy niewygasta dla niój zachowam wdzięczność.

Posłałem tedy Jacka do brata po mój testament i owe opieczętowane na pogrzeb sto dukatów, a że mi tam lidzey krewni tak wszystko opatrzyli, iż ów pieniądz nie był mi pilno potrzebny, a z weselem naglono snąć bojąc się, bym się jeszcze nie rozmyślił, tylkom się do

ślubu gotował, jakby przeczuwając, że później na tę ofiarę siłby mi nie stało.

Była obok Purń wioseczka mała, którą zaraz zadzierżawiłem, dworek schludny, a tak mi się powiodło, że to pański kawatek był od dóbr pp. Strutyńskich oderwany, więc mi go puścili za nic i z remanentem na lat dwanaście. Chodził o to pan Kasper: Bóg go wie, czy cichaczem co nie dołożył. Na wyprawę nie trzeba było czekać, a tych obyczajów nie mieliśmy co dzisiaj, żeby człek koniecznie stojąc przed ołtarz kłamał czego nie miał i zajeżdżał przed kościół szóstką paradjerów, gdy mu na trójkę niestawało, albo koczem na kredyt wziętym, i liberyą nie zapłaconą. Poprostu bryczką krytą miał tylko i cztery żmudziaki butane z pręgami przez krzyże, a chłopca w sieraku, bo mnie na więcej niestawało.

Do domku też to tylko przysposobiliśmy, na co kieszeń starczyła. Indult i inne formalności jak wziął jeździć pan Kasper, tak duchem powyrabiał, bo to dla ubogich ludzi nigdy trudnem nie było: słowem, w kilka tygodni w kapliczce w Purniach ksiądz staruszek stułą nas powiązał, a wieczorem całe sąsiedztwo o mil sześć naokoło zjechało się na tańce i ochoczą zabawę; nazajutrz zaś zaprosiliśmy pozostałych do siebie do Ornian.

Wysiadając w ganku postrzegłem zaraz mojego Jacka, który tego dnia wprost od brata powróciwszy, tu sobie zajechał i na uboczu z listem czekał. Nie było mi w głowie zaraz go zawołać, bom musiał przyjmować, jako gospodarz gości; dopiero kiedyśmy do izby osobnej odeszli, mój Jacek na progu się jawi i list a węzełek opieczętowany do rąk mi wtyka. Czytałem go z dystrakcją nie wiedząc co robię, bo mi wesele szumiało w głowie i Bóg wie co za myśli obudzało to pismo z tamtych stron przywiezione, powietrzem ich

prześciąkłe. List był długi, w końcu patrzę post scriptum i jedno i drugie, a naostanku:

„W Siemiatyczach 15 praesentis odbył się pogrzeb JW. wojskiego Obucha, którego Niemiec piwem na piwo cieplejsze do Abrahama wyprawił. Wdowa została w ostatniej nędzy i nie wiem co z nią będzie; szkoda kobiety, której wszyscy dank cnoty i zacności przyznają.”

W oczach mi się zaćmiło, zielono i czerwono zrobiło, i jakim stał tak wielkim głosem krzyknąwszy padłem na wznak bez duszy.

Była to największa proba w mojem życiu i jakim ją przetrwał Ten tylko wie, co mi siły dał, bym ze zgryzoty nie umarł w miejscu. Ale mi się na razie tak w głowie przewróciło, żem ocuciwszy się z omdlenia i list za nadrę schowawszy, ledwie miał czas żonie słowo rzec aby była spokojną, gdyż mnie wielkie powołują obowiązki, i do stajni dopadłszy koniom osiodłał nie wiem jak, a wskoczywszy nań nie obejrzałem się aż mi szkapą ustała zupełnie.

Dopiero i ja zlazłszy z niej, jak połamany padłem i spałem jednym tchem dwadzieścia cztery godziny. Ocknę się, a Jacek w nogach siedzi i płacze. Tuż do siebie przyszedłszy nowegom konia wziął i tak leciał wprost aż do niej.

Ani mi nie przyszło do głowy, co mnie czekało, bo nigdy uboga myśl ludzka, jeśli ją nie oświeci przeczucie, nie może naprzód przewidzieć by najmniejszego wypadku, a kiedy go sobie wystawia, to go lub zwiększy, albo pomniejszy, albo przekrzywi. Tak się i stało. Szalałem jadąc, alem spokojnej boleści, której miałem być świadkiem i uczestnikiem domyślić się nie mógł. A tu potrzeba mi cokolwiek dla zrozumienia sytuacji mojej wybiedz z opowiadania i oznajmić to, o czém wówczas nie wiedząc wcale, później się dopiero dopytałem.



Po śmierci wojskiego ledwie się ona rozgłosila, Przeciszewski, któremu się do wszystkiego przyznać musiał, aby mi w udzieleniu jój pieniężnej pomocy dopomógł, w skok tam poleciał, chcąc się przyjacielsko przysłużyć. Znał on dobrze przywiązanie moje do tój niewiasty, a widząc ją młodą jeszcze i piękną, i nie wierząc w jój wytrwałość wdowią, nie miał nic pilniejszego nad to, by jój natychmiast o mnie co wiedział wyśpiewać. Powiedział jój tedy, że owe dwa spadki były przezemnie podrobione i z własnej wyciągnione kieszeni, że ja czuwał nad nią i ostatki majątności jój poświęcił. A że wcale nie wiedział o tём, że ja się ja ożenił, ba nawet gdzie był: zdało mu się, że mi tём drogę uściele i połączenie z nią ułatwi. Pocziwy przyjaciel nie domyślał się, na jaką mnie krwawą próbę wystawiał. Wojska przyjęła tę wiadomość ze łzami, a gdy jój listy moje jako dowody ukazał i wytłumaczył, że sam miał w tём udział i dlatego tajemnicę sobie musiał mieć powierzoną, rozplakała się rzewnymi łzami dopytując o mnie i żądając przybycia mego.

W rzeczy samój po wojskim i z tego co miał, i com ja im dał niewiele pozostało: Niemiec, który go leczył na żaby owe, wyciągnął co było można pod pozorem leków i nagrody, tak, że częśćka była niezmiernie zadłużoną. Zaraz po śmierci wojskiego znikł ów lekarz bez śladu, a z nim co jeszcze było lepszego w domu, powydurzanego za życia pacyenta. Wdowa została zagrożona przez wierzycieli i sama jedna w świecie tak, że gdyby nie mój Przeciszewski, żywaby dusza nie dowiedziała się o niej i radyby sobie dać nie mogła. Przeciszewski chciał zaraz dać mi znać, ale nie wiedział gdzie mnie szukać, bo i brat od wyjazdu w słonimskie, wieści o mnie nie odbierał.

Nic ja o tём nie wiedząc, jeno tyle, że pani wojska pomocy mojej potrzebować może, leciałem wciąż, ale już ochłonawszy nieco i opamiętywając się com czynił

i co mi robić pozostawało. Postrzegłem się, że mi należało na progu bodaj powiedzieć jój, że byłem żonaty... i jakie mnie nowe obowiązki pętały. Bogu ofiarując boleść i utrapienie, postanowiłem przybywszy uczynić co można, aby jój los ostodzić i pozwolić wlec życia resztę, spełniając święcie to, do czego się przysięgą zobowiązał. Zbliżając się ku dworkowi, gdy mi serce w piersi stukać poczęło, a głowa się palić, znowum wszystkich postanowień zabył i stanąwszy w ganku, rzuciłem się ku wychodzącej w żałobnych szatach pani Obuchowej z płaczem, zaprawdę nie mężkim. Ona uśmiechem smutnym powitała mnie i gdym rękę jój ujął, ścisnęła ją w zimnych dłoniach, całując mnie w głowę, gdym się do jój ręki nachylał.

— Wiem o wszystkiem—rzekła na wstępie—coś W. Mość dla mnie uczynił przez pocziwą swą przyjaźń... i słów nie mam na dzięki. Niech Bóg płaci, bo On tylko może za takie serce wynagrodzić. Czekając W. Pana z utęsknieniem, jako jedynego przyjaciela w świecie i Bóg dał, że mnie nie omyliła nadzieja i mogę mu żywemi usty podziękować. Wieleś uczynił, ale wielką sobie zaskarbiłeś wdzięczność.

— Pani wojska dobrodziejko—rzekłem—jedno takie słowo płaci za wszystko... i wymówką jest, żem zamało uczynił.

Położenie moje względem niój było bardzo przykre... Dotąd bowiem nie wiedziała wcale rozciągłości mojego uczucia ku sobie i mogła je poczytywać za jedną z tych przyjaźni, jakie się po świecie trafiają. Przeciszewski odkrył jój całą tajemnicę moję, to też mniej teraz była swobodną i spuszczała oczy nieśmiało się rumieniać, gdym na nią spojrzał.

Rozmowa poczęła się naturalnie o nieboszczyku, po którym, choć jój kością w gardle stanął, płakała biedaczka, jakby ojca utraciła, bo to było serce złote, które się i do swoich kajdan przywiązać umiało. Jęła

mi się tedy spowiadać, jak Niemiec wyciągnął z nich co mieli, jak się zadłużyli, jak ta choroba wojskiego powróciła mu się przed śmiercią, i jak ów doktor w samej prawie chwili skonu p. Obucha drapnął, zabrawszy co mieli najlepszego.

Z rozpatrzenia przez Przeciszewskiego interesów okazało się, że kawałek ów ziemi tylko imiennie należał do pani wojskiej, długów bowiem na nim tyle było co wartości, albo i więcej. Gdy sobie głowę łątał, jakby temu poradzić, oświadczyła mi p. Obuchowa, że ma mocne postanowienie do klasztoru PP. Bernardynek w Wilnie wstąpić, gdzie stryjeczna jej siostra ksienią była.

— Świata mam dosyć — rzekła, — a Bogu mało jeszcze poświęciłam czasu. Jeżeli nie na zawsze — dodała, — przynajmniej na jaki rok chcę się tam schronić dla odpoczynku..

Nie śmiałem ust otworzyć, bo cóżbym był jej powiedział? Przed kilką miesiącami nie zważając na nic padłbym jej do nóg prosząc, by mi swój los powierzyła... teraz usta mi ślub wiązały. Ona zdawała się zdziwioną trochę, ale w tak świeżem wdowieństwie nie wypadało też wspominać o nowych ślubach, i tём sobie zapewne moje milczenie wytłumaczyć musiała.

Gadaliśmy dalej, a że pierwszy raz w życiu byłem z nią sam na sam i swobodny, Bóg jeden wie jakim uczuciem napełniło się serce moje. Cóż z tego! W chwili, gdy się oddawał szczęściu, wspomnienie obowiązku i przysięgi przeszywało mnie mieczami: musiała widzieć w twarzy mojej co się działo ze mną i jak to sobie tłumaczyła, nie wiem.

Jak chwila jedna spłynęły szybko te godziny, a tyle mieliśmy przyzbieranego całém życiem do mówienia, żeby się nam nigdy nie wyczerpało... I bylibyśmy pierwszego dnia siedzieli do północkska, gdyby panna Szamo-

cka przyjaciółka i prawie nieodstępna towarzyszka pani wojskiej, nie przypomniawszy spóźnionej godziny.

Odszedłem do gospody, gdyż mi we dworze nie wypadało przyjąć u wdowy gościny i zasiadłem u komina, pograżając się w myślach nad życiem ludzkim, z jak dziwnych się ono plecie elementów i ku czemu prowadzi. Moje nieszczęście stawało mi w oczach, a sił zbywało na dźwignienie go. Gdy tak dumam wchodzi Przcziszewski, którego zrazu ani poznał, ani zrozumiał; gdy mi się rzuciwszy w objęcia począł wieszować....

— A czegoż mi wieszujesz? człowiecze? — spytałem.

— Albo to nie rozumiesz? Toć przecie rok sześć niedziel, a będziemy pewnie mieli wesele... bo gdym jej opowiedział coś dla niej uczynił, klękał, z płaczu wdzięczności swęj utaić nie mogąc i powtarzając:

— Co za serce! jaki człowiek! czyżem ja tego była warta!

Na te słowa spuściłem oczy smutnie, a Przcziszewski ostupiał.

— Co, albożes zmienić serce? to być nie może.

— I nie będzie! — rzekłem.

— Ona więc pójdzie za ciebie, to ręczę... i będziecie szczęśliwi...

— Ona nie może pójść za mnie, i szczęśliwi nie będziemy.

— Cóż to jest? enigma.

— Enigmę tę rozwiąże ci, — rzekłem, wyciągając doń rękę — ten pierścień na palcu.

— Ożeniłeś się! — krzyknął Przcziszewski splaskując w ręce — Bodajże cię! Jakież cię licho skusiło!

Jam już zamilkł i opuściwszy głowę padłem na ławę, a nierychło się ze mnie prawdy dopytał.

— Ona-ż wie o tém? — spytał.

— Nie miałem jej siły powiedzieć!..

— Żle, fatszywa pozycya—rzekł Przepiszewski— ale... Bóg dobry, a życie krótkie...

Ten jeszcze mówił, jam począł rozmyślać nad sobą, co czynić. Nie zwróćąc, owe na pogrzeb wyznaczone sto czerwonych złotych oddałem na pilniejszą potrzebę pani wojskiej Przepiszewskiemu, i jeszcze sto dołożyłem, które mi Kasper wcisnął na odjezdnem tytulo pożyczki, sobie tylko trzy zostawując. Postanowiłem potem nazajutrz i życie jój moje i sentymenta wyspowiadawszy szczerze a otwarcie, więćej sobie serca nie krwawiąc odjechać.

Gdym nazajutrz ledwie usnąwszy nad rankiem wstał o pierwszém słońku, a chcąc się nieco odziać spojrział na zwierciadełko, które mi sługa Przepiszewskiego podał, ażem się przeląknął nie poznając siebie. Ostatnia choroba, ślub, podróż ta, i wszystko co tak silnie umartwiło, uczyniły mnie wpół trupem prawie: oczy miałem zapadłe, skórę ściągniętą i żółtą... marszczki po twarzy gdyby zgrzybiały starzec. Nie gacha to były lice i nie do kochania już mi było, pomyślałem, raczėj do trumny. Młodość poleciała z ostatnimi żurawiami i nie powróci już wiosną. Spes unica vale, rozstać się z serdecznemi pragnieniami, a jarzmo dźwigać do ostatnich dni żywota.

Wyszedłem z tém do dworu poprzedzając Przepiszewskiego, aby się z nią jeszcze zobaczyć sam na sam, wszystko jój wyznać i pożegnać. Dzień ten ostatni Bóg dał piękny i za tom Mu dziękował: słońce świeciło rado, a piersi napełniając się ocieploném powietrzem, zdawały połykać nadzieję. Naprzemiany to dziwnie wesoło, to strasznie robiło się smutno, myśląc, że ją jeszcze zobaczę i na wieki opuszczę.

Takem szedł do dworku, gdy u krzyża pod staremi lipami w końcu grobli, najrzałem suknią jój czarną i serce mi zabiło jak za młodu, gdym ją idącą do kolle-

giaty w Kodniu między kilkunastą spotkawszy, poznawał po rozku sukienki, po rozwiniętej chustynce.

Wracały z panną Szamocką z siemiatyckiego kościoła, dokąd pieszo chodziły do dnia; a widząc mnie pono zbliżającego się, zatrzymały się pod krzyżem. Pani wojska ubrana była w kir i tak skromnie a ubogo wedle swojej możności, że niktby w niej wielkiej owęj krwi, z której pochodziła, ani się domyślił. Cierpienie i cnota jako balsamy utrzymywały ją w wiekuiściej młodości, nie miała zmarszczki na twarzy, rysy nie zmieniły się wcale, uśmiech kwitł na nich dziecięcy i zdało się mi, żeśmy jeszcze w kodeńskim ogrodzie. Szedłem powoli, aby się jęj napatrzeć, nie wiedząc kiedy znów zobaczę i czy zobaczę raz jeszcze.

— Mościa dobrodziejko—rzekłem, zbliżając się zwolna—cóżto dla mnie za szczęście, że dziś piérwszą ją na drodze mojej spotykam?

Uśmiechnęła się smutnie.

— Wracam z kościoła—rzekła—modliłyśmy się za żywych i umarłych.

— A! słusznie za żywych naprzód, bo tych jeszcze los niepewny, gdy zmarli są już w ręku miłosiernego Boga, który ich przyjął na łono swoje. Żywi może więcej potrzebują modlitwy.

I westchnąłem: panna Szamocka jakoby przeczuwając, że miałem coś mówić poufnego, dyskretnie usunęła się w przeciwną stronę grobli, przyczekując niby na idącego przeciw nam Przciszewskiego, a ja rozpocząłem rozpowiadać jęj życie moje. Gorzką jakąś miała w sobie przyjemność ta opowieść, w której dzieliłem się z nią całym żywotem: tak jak na spowiedzi grzechy, tu jęj przygody i myśli moje wyznając. Chciałem, by to życie, co do nięj jednę należało, znane jęj było i wyjaśniło resztę moich postępów przyszłych. Gdym przyszedł do tych dni, w których się moja passya dla nięj

zrodziła, nie utaiłem jój i owszem opisałem, jak była wielka i czysta, iżbym się jój przed całym światem wyznać nie wstydał. Powiedziałem jakom cierpiał, jakom szukał jój i miał obraz jój przytomny zawsze przed sobą. Słuchała pani wojska z widoczném wzruszeniem, niekiedy mi słowem dziękując, a siła się rumieniąc i prosząc, bym jój nie zawstydział. Przyszły ostatnie proby i moje liche ofiary, którem zbył słowem, aż do téj nieszczęsnej podróży w ludzkie i choroby. Tę tedy musiałem jój opisać tak szczegółowie, aby mnie pojęła i serce moje zrozumiała, a pobudki przyjąć mogła, żem się nie przez płochosć jakąś, lub niecierpliwosć, nie przez niewiarę jaką, ale z uczucia wdzięczności i obowiązku połączył z tą, która była żoną moją.

Znać się tego wcześniej domyśliła, biedna niewiasta, i stanęła jakeśmy dotąd szli zadrzewszy; a chwytając mnie za rękę, gdy pierścionek na niej ujrzała, odtrąciła mnie powolnie, szepcząc:

— Dosyć, dosyć: stań się wola Twa, Panie.

Słowam już nie powiedział więcej, ani ust otworzył, a gdym znowu na twarz jój spojrzeł, ujrzałem na niej ślady łez i więcej nie mówiliśmy już o sobie. Nadszedł Przeciszewski i panna Szamocka, poczęli o rzeczach obojętnych, a jam siedział jak umarły.

Tak zeszło do rannego obiadu; mnie i wyrwać się ztąd było niepodobna i czułem, że zostać nie mogłem: szepnąłem tylko Przeciszewskiemu:—Zostań i zrób, com ci powiedział; ja sam nie wiem co z sobą uczynię.

Po obiedzie pani wojska skinęła na mnie z alkierza; wszedłem za nią, a ona poważnie ujawszy mnie za rękę, rzecze:

— Co o waszmości i o mnie pomyślą, jeśli tu zabawisz dłużej? A tożes tam zostawił tę, której dozgonną przyjaźń poprzysiągłeś, we łzach może i niepokoju? Chceszli, by mnie przeklinała i W. Mości o twarde posądziła serce? Jedź W. pan, jedź, zostaw mnie opiece Bożej

nad sierotami. Wszystko przejdzie i życie minie. Jestem przekonana, że Bóg łaskawy choć rzekł, że tam żony, ni męża, ni ślubu, ni małżeństwa nie będzie, da się spotkać duszom, które świętej przyjaźni uczciwy węzeł połączył. Życie chwila, a w wieczności znajdziemy się wszyscy u Tronu tego, którego kochamy. Nie warto życie doczesne, byśmy jego szczęście znikome okupywali zgryzołą. Módl się W. pan za mnie, jak ja w codziennój mojej modlitwie wspominam będę najlepszego przyjaciela i brata.

Te jej słowa tak czule, z takim wyrazem żalu wyrzeczone były, że m padł na kolana, nie zważając na nic i stopy jej całując, zaryczałem z boleści.

Wszystkie i najdrobniejsze okoliczności dziś mi tak na pamięć przychodzą, jakby się to wczoraj działo. Upadłszy twarzą na ziemię, płakałem jak dziecko i milczeliśmy chwilę długą; czułem, że jej nie zobaczę więcej i widzieć nie powinienem, a myśl ta przejmowała mnie, jakby jakimś dreszczem przedśmiertelnym: podniosłem oczy i ujrzałem ją płaczącą pocichu.

— Przyjacielu—rzekła—uspokój się i ofiaruj Bogu co ci zesał boleści: oboje wracajmy do obowiązków naszych; niech cię Ten błogostawi, czyją miłością natchniony byłeś i aniołem stróżem życia mojego.

Trzeba się tedy było rozstać, a mężstwa mi brakło; zwlekałem tę chwilę, mgnienia oka odkradając przyszłości: żegnałem ją, wychodziłem i stawałem jak obłąkany, tak, że krzyż święty na piersiach dla opamiętania zrobić musiał, i nim zbrojny, rzuciłem się już nie oglądając za siebie na przygotowaną bryczkę, czując, że gdybym się był obejrzał, jużby mnie chyba umarłego ztamtąd wyciągnęli.

Wiele lat minęło od tej godziny straszliwej, a jeszcze mnie boleść tego rozstania strachem przejmuje, i tak mi się mąci w głowie i sercu, jak w oniej chwili, gdy m nieprzytomny, dłońmi oczy zakrywszy, uczułem, że



mnie konie z tego miejsca odnoszą. Ani wiem co się ze mną stało, kto w téj podróży kierował i jakim się znalazł w objęciach brata, który zbolełego utulił, nie wiedząc co mi jest. A żem zawsze taił i skrywał com w sercu nosił, a żywa o tém nie wiedziała dusza prócz Kaspra i Przeciszewskiego, wzięli to w domu za jakąś chorobę i leczyli mnie jakbym znowu na zdrowiu zapadł po niedawnéj słabości. Jakoż to wielkie cierpienie złamało mnie i istotnie rozchorzałem się w końcu. Dali znać mojej żonie, która w skok przybyła do łóża chorego. Pół roku tak nie wiedząc spełna czy żyję, karmiony jak małe dziecko, przeleżałem uspokajając się wewnątrznie modlitwą i zbrojąc do nowego żywota. Téj zacnej niewieście, z którą mnie los i wdzięczność związały, która mi nigdy najmniejszej nie uczyniła wymówki i z cierpliwością anioła służyła, spełniając ciężki obowiązek stróża u łóża boleści, trzeba było zawdzięczyć wreszcie jéj poświęcenie. Dźwignąłem się więcj wola niż siła i pojechaliśmy do domu.

Jeden Bóg wie ile mocy i mężstwa użyć musiałem, by przemódz odrazę do życia, jąc się pracy i wciągnąc znowu do czynnego spełniania świętych obowiązków. Ale w takich ofiarach człowiek ma poza sobą zapas jakichś sił łaski Bożej, które się nań zlewają, gdy się o nie modli i zasłużyć na nie stara. Więcem się ruszył jakoś i rozpromieniła się twarz pocziwój niewiasty i poczęliśmy pracować, a choć szczęścia rojonego niegdyś nie było pod dachem moim, był stał się znośnym, a spokój wrócił do duszy, dzięki téj, której ja tak źle za jéj najlepsze serce zawdzięczałem. Przyniosłem jéj z sobą pracę, cierpliwość, wytrwanie, dobry był, ale czoło zawsze chmurne, zdrowie liche, i chciałem się zwagał, aby być dla niej jak najlepszym mężem, czułem, że w małżeństwie przyjaźń, wierność i uczciwość nie mogły zastąpić miłości, której dla niej nie miałem. Litością i szacunkiem źle nagradzałem brak

ten, źle i nieudolnie, gdy serce zawsze obracało się gdzieindziej.

W pierwszej chwili, gdym pod poświęcone jarzmo obowiązków powrócił, uczyniłem sobie votum, że się ani dowiem więcej o panią wojską, ani spytam, ani szukać jęj będę. I tego ślubu dotrzymałem święcie przez lat pięć pożycia naszego z żoną, istotą tak cichęj, anielskięj cnoty i dobroci, jakięj pojęcia nie miałem. Wszystkie moje wady pokrywała stodyczą nieporównaną, wszystko jęj było dobrem, nigdy skarga z ust jęj nie wyszła, a smutek mój nie wyrodził w nięj żalu nad sobą. Szanowała boleść skrytą, nie pragnąc nawet poznać jęj przyczyny, a wierząc mi zupełnie i spuszczać się na mój charakter, że w nim nic nieuczciwego taić się nie mogło.

I tak tych lat pięć spłynęło, zem w nięj miał przyjaciela, jakiego nikt nigdy może w kobiecie nie doświadczył, a gdy dotknięta gorączką złą, którą nabyła pilnując na wsi słabego człowieka, uczuła się sama chorą, a jam postrzegł, że ją utracić mogę: boleści jakięj doświadczyłem opisać nie potrafię. Piętnaście dni trwała ta choroba, która pomimo wszelkich starań i zabiegów, doktorów i lekarstw, zawiodła ją do grobu... Gdym ujrzał martwe jęj zwłoki na katafalku, sam z nią do trumny wstąpić zapragnąłem... Świeć panie jęj duszy!

Po pogrzebie anim się już chciał czémkolwiek w życiu zajmować, bo mnie nie obchodziło: dom mi obrzydł, a trzymałem się go, nie wiedząc co począć. Tak mnie ośupiałego znalazł Kasper powracający nazajutrz z exekwii i zajął się mną, zabrawszy mnie do siebie, dzierżawę całą i interesa likwidując, o których ja już wiedzieć nie chciałem.

Robiłem co mi kazano, żyłem życiem jakięś zwierzęcém, nałogowo w pewnych godzinach modląc się i przy modlitwie płacząc, zresztą ani już myśląc

o czém, ani pragnąc czegokolwiek. Różnie tam probowali mnie rozerwać, ale to do niczego nie służyło: dopiero drugie nieszczęście, którém mnie Bóg dotknął w téj porze, oprzytomniło jakoś.

Rzekłbyś, że to mnie dobić było powinno, tymczasem przeciwnie, ani wiem jak się dzwignąłem, gdy mi znać dali o tém i pojechałem na pogrzeb już sam sobą władnąc, pierwszy raz jakąś objawiając wolę. Kasper, który się obawiał jednak puścić mnie tak samego, pojechał za mną.

Trafiliśmy, jak dziś pamiętam, na samą exportacyą; wieczór był letni i cichy i dojeżdżając do wsi postrzegliśmy długi szereg świateł, który groblą ciągnął ku kościołkowi i cmentarzowi. Kasper lękając się nagłego dla mnie wrażenia zawrócić chciał na bok, alem ja wysiadł i przecisnął się do samej trumny świece ująwszy. I tak aż na miejsce spoczynku prowadziłem jęj zwłoki, dziwną w tém jakąś rozkosz znajdując, jakbym co prędzej kielich ziemskich boleści chciał wychylić do dna.

I spełniłem wszystko co mnie rozedrzeć mogło, niejako lubując się w moim smutku; prosiłem o otwarcie trumny, abym martwe zwłoki matki i dobrodziejki mógł ucałować: padłem przed rodzicielką, dziękując jęj za wszystko, com w życiu od nięj doświadczył, sam otuliłem ją na wieczny spoczynek i usypałem mogiłę z grabarzami i odarnowałem ją własną ręką... A choć mi brat i krewni nie przeszkadzali w tém gorączkowém zajęciu, mówili mi potém, że się dziwili patrząc, z jak okropną jakąś zawziętością spełniałem te ostatnie postugi.

Wróciliśmy do domu z przyjaciółmi pieszo idąc i rozmawiając. Mnie to jakoś do tyła przejęło, żem odzyskał mowę, rozum i siebie, bom już dawno panem własnej istoty nie był. Kasper dziwił się słysząc mnie rozprawiającego, przypominającego żywot ojca i matki i wymownie głoścącego żal własny, jakem nigdy nie umiał.

Przy pogrzebowym chlebie wraz z bratem gospodarzyłem już przytomny i czynny, że mi się wydziwić nie mogli; słowem stałem się znowu jak przedtém człowiekiem, nie martwą kłodą. Zapewne modlitwy świętej matki naszej tę mi łaskę u Boga wyjednały.

Gdyśmy do stypy zasiedli, a było tam brzeskich obywateli dosyć, patrzę, w rogu siedzi Przeciszewski, który przez ostrożność, aby we mnie smutnych wspomnień nie obudzać, siadł zdaleka przychowując się za drugich.

Prostom tedy poszedł do niego i milcząc go uściśkałem gorąco, a tży mi się ciurkiem polały. Siadł Przeciszewski także się rozplakawszy, a jam go już z oczów nie spuścił; i gdy wszyscy się rozjeżdżać pozęli, wstrzymałem go w ganku biorąc pod rękę.

— Przyjacielu—rzeknę,—nie postępuj ze mną jakobyś się obchodził z dziećciem; widzisz że wiele złego wytrzymała pierś mężka: nie skąp mi wiadomości... Co się z nią stało? powiedz!

Ten ze strachu słowa w ustach znaleźć nie mógł i powtarzał mi tylko:

— Uspokój się... uspokój się.

— A no widzisz, zem dawno spokojny—rzeknę—matkę pogrzebłem, żonęm pochował, nikogo w świecie nie mam i niewiele mi zostało do końca. Cóż się z nią dzieje... Poszła za męża? nie prawdaż!

— Ale gdzież zaś!—oburzył się Przeciszewski—siedzi w Wilnie u PP. Bernardynek w klasztorze.

— Co? i suknią oblekła?

— Dotąd nie wiem—rzekł—ale miała tę intencją.

Jużem dalej nie pytał i czując, że mi nogi jakby obcięto, przysiedziałem na ławce.

— Ale ja ci tu—dotożył Przeciszewski—z twojego gospodarstwa mam zdać sprawę.

— Z jakiego?

— A toż ci zostawiła wojska tę część, którąś jej za swe pieniądze kupił, a jam tu na niej gospodarzył i oczyszczał ją.

Machnąłem ręką, bo nie to mi było w głowie: staremu niedołądze jeszcze dzika myśl przyszła, a serce niedostygłe zabiło nadzieją. Któż wie?—rzekłem sobie w duchu... któż wie? wyroki Boże niezbadane!

I cały stałem się inny.

W izbie mojej padłem na kolana modląc się do Boga tak gorąco, tak łzawo, tak z głębin serca i duszy, że modlitwa moja powinna była znaleźć drogę do tronu Przedwiecznego. Nicem nie pragnął, jeno chwili żywota przy niej: jeno jej poświęcić się choćby jako ostatni sługa.

Nazajutrz zdziwił się Kasper i brat mój, gdy im oznajmił, że do Wilna jadę, i zniepokoił się; alem ja prawdziwego im powodu nie mówiąc, wyklamał się interesami nieboszki żony, która mi coś zapisała, a jam to chciał uboższym krewnym rozdzielić.

Nazajutrz tedy w drogę, i rozmarzony przybyłem do Wilna, nie policzywszy ilem dni jechał, nigdzie nie wstępując, ani się zatrzymując. Około południa przywlokłem się do Ostrój Bramy, a że msza się odprawiała, bo dzień był sobotni, pokłakłem przed obrazem w chwili, gdy ksiądz zegnał lud odchodząc od ołtarza. To błogostawieństwo czułem, że mi wlało odwagę i siłę nową. Pieszko tedy dopytując się u przechodniów o drogę, ani chwili nie tracąc poszedłem do klasztoru PP. Bernardynek. A! w życiu naszym są kalwaryjskie drogi i pochody krzyżowe, które wieki trwać się zdają, tak je męczarnia niepokoju przedłuża; taką była ta moja przechadzka przez gwarne i wesołe ulice do téj cichej furty, do której myślałem, że już nigdy nie dojdę. S. Michalski zaułek zdał mi się milową drogą, przyspieszałem i zwalniałem kroku. Szedłem i stawałem spoczywać, czując, że spożywam osłatki nadziei. I gdy

już stanął u dzwonka tylko go było pociągnąć, jeszcze mi ręka drżąca służyć nie chciała, a serce ją powstrzymywało. Nie wiem jak pociągnąłem za sznurek i wkrótce: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus” siostry furtyanki dało się słyszeć za kołem.

— Pragnąłbym widzieć się z p. wojską Obuchową—rzekłem cicho i niewyraźnie, tak że drugi raz musiałem nazwisko powtórzyć, bo mnie nie rozumiano.

Ztój wróżby długie jakieś milczenie nastąpiło po mojem pytaniu; czekałem głosu, jak zbawienia... a ci-sza głucha dziwnym mi tylko grobowym głosem dawała niemą odpowiedź.

Powtórzyłem raz jeszcze pytanie.

— Kto Wpan jesteś?—zapytała siostra furtyanka.

— Przyjaciel stary pani wojskiój.

— Módl się za jój duszę—rzekła pocichu. Pani wojska dwa temu miesiące skończyła w zakonie naszym, obłóktszy suknię pod imieniem siostry Serafyny.

— Umarła!—zawołałem.

— Bóg jój duszę powołał na łono swoje.

\* \* \*

Taki był koniec, bo to końcem życia mojego nazwać mogę; cóż reszta? niedogryzki suche, modlitwa i cierpienie.

Grobu jój nawet odszukać i tżą go uczcić nie wolno mi było, bo pochowaną została wedle reguły zakonu we wspólnym grobie zakonnic, który klauzura dzieliła od świata innych umarłych. Nazajutrz modliłem się przed katafalkiem, który wzniesić kazałem u św. Michała, przez dni dziesięć powtarzając nabożeństwo żałobne po wszystkich kościołach.

A gdy to piszę z skronią popruszczoną siwizną, patrząc na nowe pokolenie, które mnie otacza, pytam się was młodzi, kto z was kiedy tak kochał, tyle cierpiał i wyszedł z namiętności z tak czystym jak ja su-

mieniem? Za naszymi czasami umiano kochać, miłość była istotnie wielkiem i świętym uczuciem: dziś przemieniliście je w sentymentalną rozrywkę. Powiadacie na nas starych, żeśmy niezdolni byli do tych wzniosłych sentymentów, które niby to udoskonaliście jak wszystko inne; ależ zaprawdę nie miłości u nas brakło, jeno u was wstydu. Myśmy to w głębi serca chowali jak świętą tajemnicę, kryli w piersi, z czem się wy bezwstydną grając komedią popisujecie; i wasza téż miłość nie jest tém czem nasza: ani tak czystą, ani tak trwałą, ani tak majestatycznie wielką. Tylkośmy się chwalić nie umieli, słów nam brakło, a srom poczciwy usta zamykał; i trwaliśmy kochając do końca, choć żaden z nas z rozpaczem w łeb sobie nie strzelił, aby o nim gadano. Inneto były czasy, inni ludzie, a obojga już nikt wam nie opisze, bo życie się nie wraca jakie było—nigdy.

Żytnierz,

d. 31 sierpnia 1857 r.

# KUPIEC WENECKI.

DRAMAT SZEKSPIRA.

PRZEKŁAD

*Józefa Paszkowskiego.*

(Dokończenie).

## AKT III.

### SCENA PIĘRWSZA.

(*Jedna z ulic Wenecyi.*)

SOLANIO i SALARINO.

SOLANIO.

Cóż tam słyhać na Rialto?

SALARINO.

Wciąż jeszcze krąży ta pogłoska, że okręt Antonia z kosztownym ładunkiem zatonął w owej cieśninie. Goodwins podobno nazywa się to miejsce; ma to być ława piaszczysta bardzo niebezpieczna, w której kości niejednego krzepkiego okrętu leżą pogrzebione, jeżeli jejmość pani Fama jest prawdziwą babą.

SOLANIO.

Radbym, żeby była babą plotkarka, jak każda z tych, co żują imbiér i wmawiają w sąsiadów że oplakują śmierć trzeciego męża. Niemniej dlatego jest prawdą, usuwając na bok wszelką rozwlekłość i nie tamując toku rozmowy niepotrzebnymi frazesami, że Antonio, nasz poczciwy,



nasz nieoszacowany Antonio,—gdzież znajdę epitet prawdziwie godny iść w parze z jego nazwiskiem!....

SALARINO.

Dociągnijże do końca.

SOLANIO.

Co takiego? Al koniec końców, nie ma kwestyi, że stracił okręt.

SALARINO.

Bogdajby się na tém skończyły jego straty!

SOLANIO.

Spieszę się powiedzieć: amen, zanim mi szatan do tego przetnie drogę; bo oto się tu zbliża w żydowskiej postaci.

(Szylok wchodzi).

Cóż tam, Szyloku? Jakież nowiny między kupcami?

SZYLOK.

Wyście wiedzieli; nikt lepiej jak wy nie wiedział o ucieczce mojej córki.

SALARINO.

Niezawodnie. Ja z mojej strony wiedziałem przynajmniej o krawcu, co jęj uszył skrzydła do tój ucieczki.

SOLANIO.

A Szylok z swojej strony wiedział, że jego ptak miał już pierze; w takim zaś razie wszystkie mają ten obyczaj, że wylatują z gniazda.

SZYLOK.

Potępienie ją za to czeka.

SALARINO.

Zapewne, jeżeli ją szatan sądzić będzie.

SZYLOK.

Taka niesforność własnej mojej krwi i ciała!

SOLANIO.

Wstydź się, stary, w tym wieku mieć krew i ciało niesforne.

SZYLOK.

Moją krwią i ciałem jest moja córka.

SALARINO.

Między twojem a jęj ciałem większa jest różnica, niż między hebanem a kością słoniową; między jęj krwią

a twoją, większa, niż między desserowem winem a lurą. Ale powiedz-no nam, czy słyszałeś, że Antonio na morzu poniósł stratę? Prawdażto czy bajka?

SZYLOK.

W temci nowy sęk dla mnie. To bankrut, utracysz; nie śmie się teraz ani pokazać na Rialto; to golec; on, co bywało tak strojnie przychodził na rynek. Niechże się ogląda na swój oblig! Zwykł był nazywać mię lichwiarzem; niech się ogląda na swój oblig! Zwykł był pożyczać przez miłość chrześcijańską, niech się ogląda na swój oblig!

SALARINO.

Nie zechcesz mu przecie rznać ciała, jeżeli nie zapłaci w terminie; na cóżby ci się zdało?

SZYLOK.

Na przynętę dla ryb. Jeżeli zresztą nie nasyci niko-go, nasyci przynajmniej moję zemstę. On mię lżył, wydarł mi na jakie półmilionia spodziewanych korzyści; nagrał się z mojej straty; bluźnił memu narodowi; krzyżował moje zarobki; odwoził odemnie przyjaciół a nie-przyjaciół na mnie podszczywał. I za cóż to wszystko? za to, że jestem żydem. Czyliżto żyd nie ma rąk, członków, organów, zmysłów, uczuć, namiętności? Nie żywił się temi samemi pokarmami, nie może być zraniony takim samym narzędziem, nie ulegał takim samym chorobom, nie leczył się takimi środkami, nie czujeż tak samo zimna w zimie a ciepła w lecie, jak chrześcianin? Nie ptniez z nas krew, jak nas zakłujecie? Nie śmiejemyż się, jak nas załaskoczenie? Nie umieramyż, jak nas otrujecie? a jak nas skrzywdzicie, nie mamyż się mścić za to? Jeżeliśmy we wszystkiem inném do was podobni, to i w tém chcemy wam dorównać. Jeżeli żyd skrzywdzi chrześcianina, w czémże się objawi jego pokora?—w zemście. Jeżeli chrześcianin skrzywdzi żyda, w czémże się ma objawić jego potulność na wzór chrześciański?—ny, także w zemście. Uczycie nas złości, ny, to ja ją zastosuję w praktyce; i źleby być musiało, gdyby uczeń nie przeszedł swych nauczycieli.

(Służący wchodzi).

SŁUŻĄCY.

Mój pan, Antonio, życzy sobio widzieć się z panami: jest teraz w domu.

SALARINO.

Właśnie-śmy mieli iść do niego.

*(Tubal wchodzi).*

SOLANIO.

Oto nadchodzi drugi z jego pokolenia: gdyby trzeci miał się jeszcze przymieszać, toby szatan musiał zostać żydem.

*(Salarino i Solanio wychodzą ze służącym).*

SZYLOK.

Tubal! Co przywozisz z Genui? Znalazłeś moją córkę?

TUBAL.

W wielu miejscach słyszałem o niej, ale jej nigdzie znaleźć nie mogłem.

SZYLOK.

Aj waj mir! aj waj mir! Przepadł mój dyament, dałem za niego dwa tysiące dukatów w Frankfurcie. Przekleństwo teraz dopiero spadło na Izrael, nigdy go dotychczas nie czułem. Dwa tysiące dukatów w tym kamieniu! i tyle innych drogich, kosztownych klejnotów! Wolalbym, żeby moja córka leżała trupem u nóg moich, a żeby miała w uszach te klejnoty. Wolalbym żeby leżała na marach u nóg moich, a w trumnie miała owe dukaty. Żadnej wieści o nich! Aj waj mir! i nie wiem jeszcze, ile wydam za szukanie. Aj waj! Koszt na koszt! Złodziej wziął już tyle i tyle znowu na śledzenie złodzieja! I znikąd zadośćuczynienia! i znikąd zemsty! Nigdzie biedy, tylko na moim karku; nigdzie westchnienia, tylko z mojej piersi; nigdzie łez, tylko w moich oczach!

TUBAL.

Mają biędę i inni. Słyszałem w Genui, że Antonio...

SZYLOK.

Co? co? kto? Biędę? jaką biędę?

TUBAL.

Stracił galere, która płynęła z Trypolis.

SZYLOK.

Bogu dzięki! Bogu dzięki! Czy to prawda? Czy to prawda?

TUBAL.

Mówilem z parą majtek, którzy ocalali z rozbicia.

SZYLOK.

Dziękuję ci, giter Tubal! Dobra wiadomość, dobra wiadomość! Gdzie? w Genui?

TUBAL.

Wasza córka wydała w Genui, jak slysze, jednego wieczora ośmdziesiąt dukatów.

SZYLOK.

Tubal! Wpychasz we mnie sztylet. Nigdy już mego złota nie zobaczę! Ośmdziesiąt dukatów na jeden raz! Ośmdziesiąt dukatów!

TUBAL.

Kilku wierzycielów Antonia przyhyło ze mną razem do Wenecyi; zapewniali, że musi fersal zrobić.

SZYLOK.

Bardzo się ciesze z tego; będę go dręczyć, będę go torturować: bardzo się ciesze.

TUBAL.

Jeden z nich pokazywał mi pierścień, który mu wasza córka dała za małpę.

SZYLOK.

Żeby ją donder! Tubal torturujesz mnie: to był mój turkus: dostałem go od Lei, kiedy byłem jeszcze chłopcem: nie byłbym go oddał za cały las małp.

TUBAL.

Ale Antonio jest niezawodnie kaput.

SZYLOK.

Tak, to prawda, to prawda. Idź, mój Tubal, najmij mnie woźnego; zamów go naprzód na dwa tygodnie. Muszę mieć jego serce, jeżeli sfalluje termin; bo jak go raz nie będzie w Wenecyi, to będę mógł prowadzić mój handel, jak zechcę. Idź, idź, mój Tubal; znajdziesz mnie podle synagogi; idź, giter Tubal, podle synagogi.

(Wychodzą).

## SCENA DRUGA.

*(Belmont. Sala w pałacu Porcyi).*

BASSANIO, PORCYA, GRACYANO, NERYSA  
i służba, skrzynki wystawione na widok.

PORCYA.

Wstrzymaj się jeszcze, signore; zaczekaj  
Dzień lub dwa, zanim dokonasz wyboru.  
Bo gdybyś błędnie wybrał, pozbawioną  
Byłabym twojej obecności; bądź więc  
Cierpliwy, proszę. Coś mi skrycie mówi.  
(Lecz to nie miłość), że rozstać się z panem  
Z trudnościami mi przyszło, a sam przyznasz,  
Że nienawiści głos bywa odmienny.  
Abyś mię jednak pan lepiej zrozumiał,  
(Choć to kobiecie myśleć tylko wolno,  
Ale nie mówić), chętniebym cię miesiąc,  
Albo dwa, w moim zatrzymała domu,  
Zanimbyś odbył tę grę hazardowną.  
Mogłabym pewne podać ci skazówki  
Co do trafności wyboru, lecz wtedy  
Złamałabym moją musiała przysięgę,  
A tego nigdy nie uczynię. Tak więc  
Możesz mię chybić; jeśliś zaś chybił,  
Zaiste dałbyś mi powód do grzechu,  
Boby mi przyszło żałować, że była  
Wierną przysiędze. O, te oczy wasze  
Opanowały mię i rozdwoiły:  
Jedna połowa moja już jest waszą;  
Druga połowa waszą, to jest moją,  
Chciałam powiedzieć; lecz jeżeli moją,  
To waszą także, więc i całość waszą.  
Zawistna dolo! żeby kłaść przegrodę  
Między własnością, a właścicielami!  
I waszą jestem i nie waszą. Jeśli  
Na tém się skończy co jest, niechaj za to  
Fortuna będzie, nie ja potępioną.  
Zadługo mówię, ale to jedynie  
Aby czas przewlec, rozciągnąć, przedłużyć,  
A z nim wasz wybór.

BASSANIO.

Pozwól mi wybierać,  
Bo tak jak jestem, żyję na katowni.

PORCYA.

Bassanio na katowni? Jakaż wina  
Obciąża waszą miłość?

BASSANIO.

Żadna inna,  
Jak tylko sroga wina niepewności,  
Która mi wątpić każe, czy w miłości  
Będę szczęśliwy. Taki sam stosunek  
Zachodzi między śniegiem a płomieniem,  
Jak między winą a moją miłością.

PORCYA.

Muszę się jednak obawiać, signore,  
Czy rzeczywiście nie mówisz z katowni,  
Zkąd ludzie tylko w przymusowy sposób  
Zwykli są czynić zeznania.

BASSANIO.

O Porcyo!

Przyrzecz mi życie a prawdę ci wyznam.

PORCYA.

Żyj więc i wyznaj!

BASSANIO.

Kochaj więc! w tym właśnie  
Mieści się żywa treść mego wyznania.  
O błoga męko, gdy torturujący  
Sam zbawić zdolną poddaje odpowiedź!  
Zobaczmy jednak, co mi los przeznaczył,  
W tych tajemniczych skrzynkach. Pozwól, pani.

PORCYA.

Przystąp więc. W jednej z nich ukrytą jestem:  
Jeśli mię szczerze kochasz, to mię znajdziesz.  
Nerysso, ustąp w głąb zresztą obecnych.  
Niech wyborowi jego towarzyszą  
Dźwięki muzyki! by jego zgon dla mnie,  
Jeżeli chybi, był jak zgon łabędzia,  
Co wśród melodi gaśnie: dla większego  
Uzupełnienia tego podobieństwa,  
Czyż me będą mu strumieniem, mokrém,  
Śmiertelném łozem. Jeżeli zaś trafi,  
Czemże muzyka będzie w takim razie?  
Wtedy muzyka będzie jak ów odgłos  
Trąb, gdy przed nowo-ukoronowanym  
Monarchą wierny lud chyli kolana;  
Jak owe słodkie dźwięki, które z pierwszym

Brzaskiem dnia płyną w ucho oblubieńca,  
 I do ołtarza go wiodą. Już idzie,  
 Z równą odwagą, lecz z większą miłością  
 Niż kiedyś Alcyd, gdy szedł znieść ów haracz,  
 Jaki morskiemu potworowi Troja  
 Niosła w dziewicach. Ja tu stoję z przodu,  
 Niby ofiara; a te tam opodal,  
 To są dardańskie niewiasty, patrzące  
 Z trwogą na skutek jego przedsięwzięcia.  
 Idź, herkulesie! Życie me zależy  
 Od twego: więcej ja czuję obawy,  
 Niż ty sam, w obec tej groźnej wyprawy.  
*(Muzyka słyszeć się daje. Bassanio tymczasem zastanawia się  
 nad napisami, będącymi na skrzynkach).*

*(Śpiew).*

1 GŁOS.

Powiedz, gdzie się skłoność rodzi,  
 W głowie-li, czy w sercu młodzi,  
 Jaki życia bieg przechodzi?

2 GŁOS.

W oczach rodzi się, karmiona  
 Paszą wyroku, żyje ona  
 W swej kolébce i w niej kona.  
 Ogłośmy jej zgon:  
 Dyn! dyn! dyn! brzmi dzwon.

CHÓR.

Dyn! dyn! dyn! brzmi dzwon.

BASSANIO.

Tak, choć sam sobie często pozór kłamię,  
 Świat zawsze daje się uwodzić blichтром.  
 W sądach naprzykład: jakaż święta sprawa,  
 Pokryta gładkim pokostem wymowy,  
 Tém się wydaje czém jest? W rzeczach świętych:  
 Jestże błąd jaki, któryby pod sankcya  
 Powagi, zręcznym poparty sofizmem,  
 Nie przyozdobił się w godziwą postać?  
 Nie ma występku tak nagiego, iżby  
 Nie miał po wierzchu jakichsi cech cnoty.  
 Ilużto tchórzów, z sercem równie miękkim  
 Jak schody z piasku, nosi groźne brody  
 Na podobieństwo Alcya lub Marsa,  
 Choć w żyłach mają miasto krwi serwatki,  
 I tą powłoką męztwa straszą nieraz?  
 Przypatrzcie się piękności, a ujrzycie,

Że jest najczęściej kupioną na wagę.  
 I tu się jawi cudowność natury;  
 Bo im blask większy na zewnątrz, tém większa  
 Cześć bywa w gruncie: takimi są owe  
 Złote, falisto-trefione kędziory,  
 Na wiatr puszczone i skaczące z wdziękiem  
 Obrachowanym na efekt; częstokroć  
 W nich poznajemy własność innej głowy,  
 Która nateraz spoczywa w grobowcu;  
 Tak więc ozdoba jest kwiecistym brzegiem  
 Niebezpiecznego morza, piękną tkanką,  
 Zastaniającą twarz murzynki; słowem,  
 Jest niby prawdą, łowiącą na wędę  
 Najmędrszych nawet. Nie chcę przeto ciebie,  
 Zwodnicze złoto, ty strawo Midasa!  
 Ni ciebie, błąd służalcze, co hiegasz  
 Z ręki do ręki; ale ciebie, ciebie,  
 Skromny ołowiu, który grozisz raczej,  
 Niż jakakolwiek obiecujesz korzyść:  
 Twoja prostota wymowniej mię uci:  
 Ciebie wybieram, niech cię los uświęci!

PORCYA.

Jak się w powietrze ulatniają moje  
 Błędne obawy, wrzące niepokoje,  
 Złowieszcze troski i chwiejące względy!  
 Miłości, poskrom radosne zapędy!  
 Folguj, zmniejsz nadmiar swojego zachwytu!  
 Abym u tego szczęśliwości szczytu  
 Nie utraciła zmysłów.

BASSANIO

(otwierając ołowianą skrzynkę).

Cóż tu znaleźć?—  
 Ha! obraz pięknej Porcyi! Jakież półbóg  
 Zdołał do tego stopnia naśladować  
 Żywy arcywzór? Sąż te oczy w ruchu?  
 Czy też, przylgnąwszy do oprawy moich,  
 Zdają się w ruchu? Te na wpół otwarte,  
 Różano wargi dzieli nektar technienia:  
 Tak słodki tylko może istnieć przedział  
 Między tak śliczną parą. Tu, w tych włosach  
 Malarz, jak pajak, osnuł sieć na serca.  
 Ale jęj oczy! jak mógł patrzeć na nie,  
 Chcąc je nakreślić? nim jedno nakreślił  
 Obadwa swoje powinien był stracić  
 I niedokończyć dzieła. Ależ patrzcie!  
 O ile prawda moich słów uwłacza



Temu cieniowi, za słabo go wielbiąc;  
 O tyle także ten cień ustępuje  
 Przed rzeczywistą prawdą. Oto karta,  
 W której treść mego szczęścia jest zawarta.

(Czyta).

*Ty, coś się trzymał prawej szali,  
 Gardząc tęp, co lśni okazałej  
 Roztropność twą fortuna chwali;  
 Bądź kontent i nie szukaj dalej.  
 Serce-li twe się k' temu skłania,  
 Czego ci osiąść los nie wzbrania,  
 Zbliż się do lubej bez wahanja,  
 Upomnieć się pocałowania.*

Słodki nakazie!—Luba, pozwól zatém.

(Całuje ją).

Umocowany tym prawnym mandatem  
 Stojąc przed tobą, sam z sobą spór wiode;  
 Jak ktoś, co z drugim walcząc o nagrodę,  
 I słysząc poklask w zgromadzonym tłumie,  
 Oszołomiony topi się w zadumie,  
 I pyta siebie: dla mnież te poklaski?  
 Tak i ja, jeszcze niepewny twój łaski,  
 Nie śmiem radością mego szczęścia mierzyć.  
 O, stwierdź je, poświadczy, pozwól mi w nie wierzyć!

PORCYA.

Signor Bassanio, pisz mię, jak mię widzisz.  
 Dla ciebie samęj nie byłabym pewnie  
 W żądaniach moich zbyt wymagającą,  
 Pragnąc o wiele być lepszą niż jestem;  
 Ale dla ciebie, radabym w trójnasób  
 Dwadzieścia razy spotęgować siebie;  
 Być tysiąc razy piękniejszą niż jestem,  
 Dziesięć tysięcy razy tak bogatą.  
 Dlatego tylko, żeby większej ceny  
 Nabrać w twych oczach, radabym pod względem  
 Przymiotów, wdzięków, mienia i znaczenia  
 Stać wyżej ceny; ale cała summa  
 Wartości mojej wynosi zaledwie  
 Małe coś: jestem, ogółowo biorąc,  
 Kobiętą bez nauki, bez ogłady,  
 Bez doświadczenia; w tęp tylko szczęśliwą,  
 Żem nie za stara jeszcze do nauki;  
 Szczęśliwszą nad to, że z natury nie mam  
 Usposobienia tępego do nauk;  
 A najszcześliwszą, że słaby mój umysł  
 Poddaję teraz pod władzę twojego,  
 Byś nim kierował, jako mój małżonek,

Przewodnik i pan. Ja i wszystko moje  
 Należy odtąd do ciebie i twoich.  
 Przed chwilą jeszcze byłam właścicielką  
 Tego pałacu, panią moich ludzi,  
 Królową siebie saméj: w téj zaś chwili  
 Dom mój, i słudzy moi, i ja sama  
 Jestem własnością twoją. Przyjm nas, panie,  
 Wraz z tym pierścieniem: jeżeli go zgubisz,  
 Darujesz komu, lub w jakibądź sposób  
 Z nim się rozłączysz, będzie to skazówką,  
 Że miłość twa ostygła i powodem  
 Dla mnie do skargi na twoją niewiarę.

BASSANIO.

Pani, odjęłaś mi mowę; krew tylko  
 Z tętn mego serca przemawia do ciebie:  
 Takie jest w moich władzach zamieszanie,  
 Jakie po pięknie powiedzianej mowie  
 Ukochanego monarchy panuje  
 W kole radośnie gwarzących słuchaczy,  
 Kędy głos każdy krzyżując się z drugim,  
 Zlewa się w jeden chaos uniesienia,  
 Wyrażonego lub niemego. Ale  
 Jeśli ten pierścień kiedybądź uczyni  
 Rozdział z tym palcem, to wtedy i życie  
 Uczyni rozdział z tą piersią; o, wtedy  
 Powiedz stanowczo: Bassanio nie żyje.

NERYSSA.

Wybaczcie państwo, teraz kolej na nas,  
 Cośmy tu stali i byli świadkami  
 Spełnienia naszych życzeń, na nas kolej  
 Zabrać głos teraz i wykrzyknąć: wiwat!  
 Wiwat pan młody! wiwat panna młoda!

GRACYANO.

Signor Bassanio i ty, cna signoro!  
 Życzę wam wszelkich pociech, jakich sobie  
 Życzyć możecie; nie przypuszczam bowiem,  
 Abyście sobie mogli tego życzyć,  
 Iżbym takowych ja był pozbawiony.  
 Skoro zaś macie uroczyste święcie  
 Zakład wzajemnej wiary, toż pozwólcie  
 I mnie współcześnie zostać oblubieńcem.

BASSANIO.

I owszem, tylko sobie znajdź wprzód żonę.

GRACYANO.

Jużem ją sobie znalazł, z waszój łaski.  
 Wzrok mój w chyżości równa się waszemu:  
 Signor ujrzałeś panią, a ja pannę;  
 Zakochałeś się i ja zakochałem,  
 Bo powolnością nie grzeszę, podobnie  
 Jak mój łaskawy pan. Los twój, signore,  
 Zależał od tych tajemniczych skrzynek,  
 I mój też, jak się w skutku okazało.  
 Czyniąc tu bowiem moje oświadczenia  
 Tak, żem aż spotniał, i zaprzysięgając  
 Moje affekta tak, że ni od zakłęb  
 Aż podniebienie wyschło, otrzymałem  
 Od tój piękności w końcu przyrzeczenie,  
 Jeżeli się na przyrzeczeniach kończy,  
 Że mi swe serce odda, skoro tylko  
 Szczyście uczyni cię, signore, panem  
 Ręki jej pani.

PORCYA.

Prawdażto, Nerysso?

NERYSSA.

Tak, pani, jeśli pani to potwierdzisz.

BASSANIO.

Myśliszże o tém na seryo, Gracyano?

GRACYANO.

Jak najseryoźniej.

BASSANIO.

Związek wasz uświatni

Nasze wesele.

GRACYANO

*(do Neryssy).*

Zalóżym się z nimi  
 O tysiąc dusiów, komu się urodzi  
 Piérwszy successor.

NERYSSA.

I położym stawkę?

GRACYANO.

Nie, raczój z sobą to uczynim. Ale  
 Któżto się zbliża? Lorenc z swą poganką.  
 Ho! i mój stary przyjaciel Salerio.

*(Lorenzo, Jessyka i Salerio wchodzą).*

BASSANIO.

Lorenc, Salerio, witam was, o ile  
 Wolno mi witać was gośćmi w tym domu,  
 W którym tak jeszcze młode mam znaczenie.  
 Pozwól mi, droga Porcyo, gośćmi nazwać  
 Moich przyjaciół i współziomków.

PORCYA.

Z serca

Mienię ich témże nazwiskiem i witam.

LORENCO.

Dzięki ci, pani. Co do mnie, signore,  
 Nie zamierzałem przyjść cię tu odwiedzić,  
 Ale Salerio, którego przypadkiem  
 W drodze spotkałem, zawezwał mię w sposób,  
 Żadnej odmowy nie przypuszczający,  
 Abym mu tutaj towarzyszył.

SALERIO.

Tak jest,

I uczyniłem to nie bez powodu.  
 Signor Antonio pozdrawia cię, panie,  
 Tym listem.

*(Oddaje list Bassaniovi).*

BASSANIO.

Zanim go rozpierzętuje,  
 Powiedz, jak się ma ten zacny przyjaciel?

SALERIO.

Nie jest on chory, prócz chyba na duszy;  
 Ani zdrów, chyba na duszy. W tym liście  
 Znajdziesz, signore, stan jego skreślony.

GRACYANO.

Nerysso, bądź uprzejmą dla tych panów;  
 Podejm ich wdzięcznie. Daj rękę, Salerio!  
 Cóż tam w Wenecyi słyhać? Jak się miewa  
 Poczciwy nasz Antonio, ten król kupców?  
 Wiem, jak go nasza pomyślność ucieszy:  
 Myśmy Jazony, co zdobyli runo.

SALERIO.

Bogdaj to runo, które on utracił!

PORCYA.

Musi ten papier kryć coś bardzo złego,  
 Kiedy tak spędził barwę z lic Bassania.

Zapewne umarł ktoś mu drogi: cóżby  
 Bowiem innego mogło tak dalece  
 Zmienić człowieka silnego na ducha?  
 Coraz-to gorzej. Wybacz mi, Bassanio,  
 Jam twa połowa i mnie więc dotyczy  
 Połowa tego, co ten list zawiera.

BASSANIO.

O Porcyol nigdy jeszcze mniej przyjazna  
 Wieść nie splamiła papieru. Najmilsza!  
 Gdy m poraz pierwszy oświadczał ci miłość,  
 Wręcz ci wyznałem, że całym mém mieniem  
 Jest krew szlachetna, co w mych żyłach płynie.  
 Wtedy mówiłem prawdę, ale teraz  
 Dowiesz się, pani, jak chelpliwy byłem  
 Ceniąc majątek mój z niczym na równi.  
 Zamiast powiedzieć, że nic nie posiadam,  
 Właściwie trzeba mi było powiedzieć,  
 Że mam mniej jeszcze niż nic, bom zaciągnął  
 Dług u drogiego przyjaciela; ten zaś,  
 Aby mi pomódz, zadłużył się swemu  
 Najzawziętszemu nieprzyjacielowi.  
 List ten, o pani, jest, wyobraź sobie,  
 Jakoby ciałem mego przyjaciela,  
 A każdy wyraz w nim, jakoby raną,  
 Którą ucieka życie. Czy być może?  
 Salerio, prawdażto? Wszystkie widoki,  
 Jakie miał, spetzły? nic nie dopisało?  
 Żadenże okręt z Trypolis, Meksyku,  
 Anglii, Lizbony, Barberyi i Indyi,  
 Nieszczęśliwego nie uniknął starcia  
 Z rozbójniczymi skały?

SALERIO.

Ani jeden.

A potem, choćby miał sumnę potrzebną  
 Do spłaty żyda, tenby jój zapewne  
 Teraz nie przyjął. Nie widziałem jeszcze  
 Stworzenia, ludzką noszącego postać,  
 Któróby było tak chciwie zażarte  
 Na zgubę ludzką. Dzień i noc się wiesz  
 Przy uszach Doży, prawi o zgwałceniu  
 Publicznych swobód, jeśli mu odmówią  
 Sprawiedliwości. Ze dwudziestu kupców,  
 Sam Doża nawet i najznakomitsi  
 Senatorowie starali się jego  
 Upór przełamać, ale nadaremnie:

Wciąż się domaga zadośćuczynienia  
Z mocy obligu i praw mu służących.

JESSYKA.

Gdym jeszcze była u niego, słyszałam,  
Jak się kłął przed Tubalem i przed Chusem,  
Współwyznawcami swoimi, że woli  
Ciało Antonia, niż dwadzieścia razy  
Wziętą tę summę, jaką ma u niego;  
I pewna jestem, że jeżeli prawo,  
Władza i siła nie przeszkodzą temu,  
Z biędnym Antoniem źle się skończy.

PORCYA.

Wasz-li

Blizki przyjaciel w takim jest kłopotcie?

BASSANIO.

Najdroższy mój przyjaciel, najpocziwszy,  
Niespracowany w uczynności człowiek,  
W którym się rzymska starożytna cnota  
Przebija bardziej, niż w kimbądź we Włoszech.

PORCYA.

Jakąż on summę winien jest żydowi?

BASSANIO.

Trzy tysiące dukatów i to za mnie.

PORCYA.

Nie więcej? Wyplać mu te trzy tysiące  
I podrzć oblig: podwój mu tę summę,  
I podwojoną zwiększ w trójnasób jeszcze,  
Nimby tak zacny, szlachetny przyjaciel  
Miał z twój przyczyny choćby włos utracić.  
Pójdź teraz ze mną, luby, do kościoła,  
Nazwij mnie żoną, poczem nie zwlekając  
Jednej godziny, pośpiesz do Wenecyi  
Wydobyć z toni swego przyjaciela:  
Bo nigdy serce twe z niespokojnością  
Nie będzie biło obok mego. Dam ci  
Potrzebną ilość złota na spłacenie  
Tego małego długu w dwadzieściakroć:  
A gdy go spłacisz, zabierz z sobą tego  
Zacnego męża i przywieź tu do nas.  
My we dwie będziemy tu przez ten czas żyły  
W stanie dziewiczym i wdowim. Pójdź, luby,  
Bo pierwój muszą połączyć nas śluby.  
Bądź wesół; otwórz gościom nasze progi.

77

Drogoś mi przyszedł, będziesz mi więc drogi:  
Ale przeczytaj mi proszę to pismo.

BASSANIO

(czyta).

*Kochany Bassanio, wszystkie moje okręta zatoniły, moi wierzyciele zaczynają się srożyć, byt mój ze szczętem zrujnowany; oblięu wystawionego żydowi termin expirował, a ponieważ sptacając go niepodobna abym żył, przeto wszelkie długi pomiędzy tobą a mną zostaną umorzone. Obym cię tylko mógł widzieć przed śmiercią! Zrób jednak, jak ci wypadnie: jeżeli cię serce nie skłoni do przybycia, nie sądź się do tego zniewolony tym listem.*

PORCYA.

O luby, porzuć wszystko i wyjeżdżaj!

BASSANIO.

Gdy ty mię naglisz, cóż mię wstrzymać może?  
Lecz zanim nazad skieruję me kroki,  
Żadne, bądź pewna, nie znęci mię łożę,  
Żadna fatyga nie skusi do zwłoki.

(Wychodzą).

### SCENA TRZECIA.

(Jedna z ulic Wenecyi).

SZYLOK, ANTONIO, SOLANIO i dozorca wię-  
zienia wchodzą.

SZYLOK.

Dozorco, pilnuj go: nie pleć o względach.  
Ten głupiec darmo borgował; powtarzam,  
Pilnuj go.

ANTONIO.

Słuchaj mię, dobry Szyloku.

SZYLOK.

Muszę mieć oblię zrealizowany;  
Próżne gadanie: przysiągłem, że będę  
Przy tém obstawał. Psem mię nazywałeś,  
Nim miałeś powód do tego: ny, dobrze,  
Kiedym pies, strzeżże się mych zębów. Doża  
Jest sprawiedliwy. Dziwię się, dozorco,  
Slamazarności twojej: po co było  
Wyjść z nim na miasto?

ANTONIO.

Posłuchaj mię, proszę.

SZYLOK.

Nie chcę cię słuchać, chcę mieć to co stoi  
 W twoim obligu; zatem nie psuj gęby.  
 Nie myślcie, żebym był takim ciemiega,  
 Co spuszcza głowę, rozczuła się, wzdycha,  
 I chrześcijańskim jękom słuch podaje.  
 Precz! drwie z słów: chcę mieć to co jest w obligu.

*(Wychodzi).*

SOLANIO.

To pies bez serca, jakiego egzemplarz  
 Pomiędzy ludźmi jeszcze się nie zdarzył.

ANTONIO.

Niech sobie idzie; nie będę go więcéj  
 Bezowocnemi nachodził prośbami.  
 On na me życie dybie i wiem za co:  
 Nierazem z jego pazurów wydobyl  
 Dłużników, co się przedemną żalili:  
 Zład jego do mnie nienawiść.

SOLANIO.

Zapewne

Doża nie uzna ważności obligu.

ANTONIO.

Doża nie może wstrzymać biegu prawa:  
 Bo naruszenie w czémbądź pełnych swobód,  
 Jakie w Wenecyi służą cudzoziemcom,  
 Oslawiłoby sprawiedliwość państwa;  
 Na cudzoziemcach zaś wszelkich narodów  
 Polega handel i byt tego miasta;  
 Idźmy więc: nie ma już sposobu na to,  
 Smutki i straty tak mię wycieńczyły.  
 Że nie wiem, czy mi na jutro funt mięsa  
 Dla wierzyciela mego pozostanie.  
 Idźmy, dozorczo. Dałby Bóg przynajmniej,  
 Żeby Bassanio był przy tém, jak będę  
 Płacił za niego; mniejsza mi o resztę.

*(Wychodzi).*



## SCENA CZWARTA.

(Belmont. Pokój w Pałacu Porcyi).

PORCYA, NERYSSA, LORENCO, JESSYKA  
i BALTAZAR.

LORENCO.

Pani, jakkolwiek jesteś tu obecną,  
Przecież nie waham się wyznać, że jesteś  
Wzorem prawdziwie anielskiej dobroci;  
Dowodem tego jest, że tak spokojnie  
Znosisz małżonka oddalenie; gdybyś  
Wiedziała jednak, dla kogo je znosisz,  
Jak pocziwego ratujesz człowieka,  
Jak on wylany jest dla twego męża:  
Wtedy zaiste byłabyś dumniejszą  
Ze swego dzieła, niż zwyczajna dobroć  
Może ci na to pozwalać.

PORCYA.

Nie było

Mi jeszcze nigdy żal dobrych uczynków,  
A tém mniej teraz: bo współtowarzysze,  
Co wszystkie chwile przepędzają razem,  
Co splekli dusze w jeden węzeł bratni,  
Muszą koniecznie także równe sobie  
Rysy i umysł i cnoty posiadać.  
Wnoszę ztąd, że ten Antonio, tak drogi  
Memu mężowi, musi być niechybnie  
Pod każdym względem do niego podobny.  
Jeśli zaś tak jest, jakże małoważnym  
Jest to, com z mojej strony uczyniła,  
Aby ten obraz duszy méj uchronić  
Od piekielnego okrucieństwa. Ale  
Ta gadanina trąci samochwalstwem;  
Zatem dość tego: mówmy o czém innym.  
Mości Lorenzo, powierzam ci zarząd  
Mojego domu, oraz gospodarstwo  
Pod nieobecność mojego małżonka.  
Co do mnie, skrycie ślubowałam niebu,  
Że w kontemplacyi i modłach żyć będę  
Odosobniona, li tylko z Neryssą,  
Do dnia powrotu obu naszych mężów.  
O parę mil ztąd znajduje się klasztor,  
Tam się udamy. Proszę was uprzejmie,

Nie odmawiajcie mi podjąć się tego,  
Czego życzliwość moja i zbieg zdarzeń  
W tej chwili od was żąda.

LORENCO.

Chętnie, pani,  
Będę posłuszny we wszystkim co każesz.

PORCYA.

Już moi ludzie wiedzą o mej woli,  
I będą was tu z Jessyką uważać  
Jako zastępców moich i Bassania.  
Bądźcież mi zdrowi, nim znów się zobaczym.

LORENCO.

Swobodne myśli i godziny błogie  
Niech ci, o pani, towarzyszą!

JESSYKA.

Życzę-ć  
Łaskawa pani wszelkich pociech serca.

PORCYA.

Z podziękowaniem zwracam wam życzenie  
Tegoż samego. Bądź zdrowa, Jessyko.

*(Lorenzo i Jessyka wychodzą).*

No Baltazarze, zawszem do tej pory  
Znajdowała cię wiernym i poczciwym,  
Niechże cię takim znajdę i tym razem.  
Weź ten list, i co tylko sił ci stanie  
Spiesz z nim do Padwy; oddasz go do własnych  
Rąk mego wuja, doktora Bellario,  
A odebrawszy od niego papiery  
I suknie, które mi przez ciebie prześle,  
Najpierwszym statkiem, jaki się nastreczy,  
Odpłyniesz z niemi do Wenecyi. Nie trać  
Czasu na słowach, idź: ja wprzód tam będę.

BALTAZAR.

Śpieszę, o pani, z całą skwapliwością.

*(Wychodzi).*

PORCYA.

Mam pewien projekt, Nerysso, o którym  
Nic jeszcze nie wiesz; ujrzym naszych mężów,  
Prędzej niż myślą.

NERYSZA.

I oni nas także?

Ujrzą nas, ale ujrzą w takim stroju,  
 Że nam przypiszą posiadanie tego,  
 Na czém nam zbywa. Założę się z tobą  
 O co chcesz, że gdy obie się przybierzem  
 Za młodych ludzi, ja wydam się większym  
 Zuchem od ciebie; nosić będę szpadę  
 Z bardziej rycerską gracyą i przemawiać  
 W alt wpadającym, dyszkantowym głosem,  
 Jak chłopiec, kiedy przechodzi w wyrostka;  
 Z dwóch drobnych kroczków robić będę jeden,  
 Prawdziwie męzki; jak młody junaka  
 Rozprawiać będę o bójkach i burdach;  
 I zgrabnie kłamać, jak to o mą miłość  
 Dystyngwowane starały się damy,  
 A gdym takowej im odmówił, jak się  
 Martwiły srodze, schły i umierały:  
 Nie mogłem przecie starczyć wszystkim. Poczém  
 Żałować będę, i prawić, że jednak  
 Nie powinienem był tak ich zabijać:  
 I tym podobnych niewinnych kłamstw sypać  
 Będę bez liku, tak że słuchający  
 Przysięgną, żem już od roku z klass wyszedł.  
 Mam ich już cały repertuar w głowie.

NERYSSA.

Mamyż postacie męzkie na się przyjąć?

PORCYA.

Co za pytanie! Fe, tak się wyrażasz,  
 Jak gdybyś miała być tłumaczem prawa.  
 Pójdź, bliżej cały plan mój ci opowiem,  
 Siedząc w powozie, który czeka na nas  
 Przed bramą parku. Nie traćmy więc chwil,  
 Bo mamy odbyć dziś dwadzieścia mil.

(Wychodzą).

## SCENA PIĄTA.

(Tamże. Ogród).

LANCELOT i JESSYKA.

LANCELOT.

Tak zaprawdę: bo to, widzicie pani Jessyko, grzechy ojców mają być karane na dzieciach; dlatego wie-

rzajcie mi, że się o was frasuję. Zawszem był prostoduszny z wami, pani Jessyko; to też i teraz oświadczam wam bez przegródki moją agitacją z waszego powodu. Dlatego nie traćcie serca, bo poprawdzie, widzi mi się, żeście skazaną na potępienie. Jedna tylko zostaje wam otucha, choć poprawdzie jest to rodzaj niegodziwej otuchy.

JESSYKA.

Jakaż to otucha?

LANCELOT.

Możecie poniekąd tuszyć sobie, że nie wasz ojciec dał wam życie; że nie jesteście córką tego żyda.

JESSYKA.

Byłby to w istocie rodzaj niegodziwej otuchy; w takim razie byłabym karana za grzechy mojej matki.

LANCELOT.

Zaprawdę tak: boję się dlatego, czy nie będziecie potępioną zarówno z powodu ojca jak i matki. Uniknąwszy deszczu, to jest waszego ojca, trafiam pod rynnę, to jest waszą matkę. Nie ma rady, zkańkolwiek wziąć, czeka was zguba.

JESSYKA.

Będę zbawioną z łaski mego męża; przez niego zostałam chrześcianką.

LANCELOT.

Zaprawdę, nie można mu tego mieć za dobre. Było nas chrześcian dość i wrzody, akurat tyle, co by wyżyć jedni przy drugich. To mnożenie chrześcian podniesie cenę wieprzowiny. Jak wszyscy chrześcian jeść świńskie mięso, to wkrótce człowiek za swoje pieniądze ani kawałka szpěrki do rynki nie dostanie.

(*Lorenzo wchodzi*).

JESSYKA.

Mój mąż nadchodzi: zaraz mu powtórzę to coś mówił, Lancelocie.

LORENCO.

Wzbudzisz we mnie zazdrość, Lancelocie, jak się tak będziesz ślaniał po kątach z moją żoną.

JESSYKA.

Nie masz się czego obawiać, mój Lorenzo. Lancelot zerwał ze mną. Powiedział mi wręcz, że niebo jest

dla mnie zamknięte, bo jestem córką żydowską, i utrzymuje o tobie, że nie jesteś dobrym członkiem społeczności, bo nawracając żydów do chrześcijaństwa, podnosisz przez to cenę mięsa świńskiego.

LORENCO.

Potrafię się z tego przed społecznością lepiej usprawiedliwić, niż ty z twoich sprawek z murzynką.

LANCELOT.

Że w braku białej rzodkwi pożywiam się i czarną, tegoć mi za grzech poczylać nie można; nie jesteście zakazany owoc. Dobra zresztą i murzynka, kiedy nie sparciała.

LORENCO.

Jak też-to lada półgłówek ma gotową odpowiedź. Wkrótce przyjdzie do tego, że prawdziwy dowcip będzie się najlepiej objawiał przez milczenie, a szermowanie gębą zalecać będzie tylko papugi. Idź waść i powiedz, żeby przygotowano do obiadu.

LANCELOT.

Już się to stało, panie; brzuchy są już przygotowane.

LORENCO.

Patrzcie, co za koncepcista! Powiedzże tedy, żeby przygotowano obiad.

LANCELOT.

I to się już stało; idzie tylko o zastawienie.

LORENCO.

To go zastaw.

LANCELOT.

Ja zaś? Nie, panie; wolałbym suknię zastawić, niż obiad.

LORENCO.

Znowu dwójznacznik! Chceszże odrazu wydać cały zasób swego dowcipu? Jam prostomówny człowiek, bierz więc wprost moje wyrazy. Idź do swoich kolegów, każ im nakryć do stołu i przynieść jadło; zaraz przyjdziemy na obiad.

LANCELOT.

Stół, panie, będzie nakryty, jadło przyniesione, co się zaś tyczy waszego przyjscia na obiad, to jest dependentem waszych wól i humorów.

(Wychodzi).

LORENCO.

Święty rozsądku, co tu słów daremnych!  
 Ten cymbał wraził sobie w pamięć całą  
 Armią conceptów. Znamci niejednego  
 Półgłówka, wyżej niż ten stojącego,  
 Co się nastrzępia jak on i poświęca  
 Rzecz grze wyrazów. Cóż myślisz, Jessyko?  
 Jak ci się żona Bassania podoba?

JESSYKA.

Bardziej, niż mogę wyrazić. Bassanio  
 Powinien bardzo przykładne wieść życie,  
 Gdy go los taką małżonką obdarzył,  
 W której znajduje raj już tu na ziemi;  
 Jeśliby tego raj u nie oceniał,  
 Nie wartby dostać się do niebieskiego.  
 Gdyby dwóch niebian zapragnęło sobie  
 Do pary dobrać dwie równe ziemianki,  
 I Porcyą była stawioną na jednej  
 Z dwóch szal, do drugiej wypadłoby dodać  
 Coś więcej jeszcze dla zrównowazenia,  
 Bo ten ubogi, ułomny świat nie ma  
 Drugiej podobnej.

LORENCO.

Jaką on w niej żonę,  
 Takiego męża ty posiadasz we mnie.

JESSYKA.

O tobyś mnie się też powinien spytać.

LORENCO.

Zapewne, tylko wprzód idźmy na obiad.

JESSYKA.

Wolę cię chwalić, gdym przy apetycie.

LORENCO.

Proszę cię, schowaj to na pogadankę  
 W czasie obiadu; co bądź w tedy powiesz,  
 Z czem innem prędzej strawić to potrafię.

JESSYKA.

Zobaczysz, jakie ci sypnę pochwały.

(Wychodzą.)

## AKT IV.

## SCENA PIERWSZA.

*(Wenecya. Sala sądowa.)*

DOŻA, SENATOROWIE, ANTONIO, BASSA-  
NIO, GRACYANO, SALARINO, SOLANIO  
*i inne osoby.*

DOŻA.

Jest tu Antonio?

ANTONIO.

Jestem.

DOŻA.

Żal mi ciebie:

Masz do czynienia z twardym przeciwnikiem,  
Z srogim niecnotą, w którym niema iskry  
Litości ani ludzkości.

ANTONIO.

Słyszałem,

Że się go Wasza wysokość starała  
Ująć i zmieknąć wszelkimi sposobami;  
Ponieważ jednak obstaje przy swoim,  
I żaden prawny nie może mię środek  
Od zawziętości jego zabezpieczyć,  
Stawiam więc spokój przeciw jego złości,  
I gotów jestem z całą rezygnacją  
Poddać się skutkom jego barbarzyństwa.

DOŻA.

Niech tam kto idzie przyzwać tego żyda.

SOLANIO.

Stoi on u drzwi, panie; oto idzie.

*(Szylok wchodzi.)*

DOŻA.

Zejdźcie mu z drogi, niech stanie przed nami.  
Szyloku, wszyscy sądzą i ja myślę,  
Że tę pozorną złośliwość posuwasz  
Tylko do chwili jej wywarcia; gdy zaś  
Przyjdzie ją wyrzucić, okażesz łagodność  
I zmiłowanie, w wyższym jeszcze stopniu,

Niż to udane okrucieństwo. Zamiast  
 Poszukiwania swęj należytości,  
 Na ciele tego nieszczęsnego kupca,  
 Nietylko, tuszym, karę tę umorzysz,  
 Ale co więcj, przejęty ludzkością,  
 Darujesz nawet połowę waluty,  
 Przez wzgląd na straty, jakie świeżo poniósł;  
 Straty tak wielkie, że byłyby zdolne  
 Ze szczeniem przynieść króla wszystkich kupców,  
 I współczucie wzbudzić nawet w sercach  
 Twardych jak krzemień, w piersiach kutych z miedzi,  
 W dzikich Tatarach i Turkach, co nigdy  
 Żadnej czulości nie znali przystępu.  
 Żydzie, czekamy na twoję odpowiedź,  
 I spodziewamy się wszyscy łagodnej.

## SZYLOK.

Jużem oznajmił Waszję wysokości  
 Stały mój zamiar; poprzysiągłem w szabas,  
 Że będę żądał, co mi się należy  
 Z mocy obligu: jeśli bym w tój mierze  
 Sprawiedliwości nie uzyskał, niechaj  
 Odpowiedzialność cięży na swobodach  
 I przywilejach tego miasta. Może  
 Wasza wysokość zapyta, dlaczego  
 Wolę wziąć marny funt mięsa, niż przyjąć  
 Zwrot mych dukatów? Na to nie odpowiem.  
 Przypuśćmy jednak, że to kaprys: staniesz  
 To za odpowiedź? Gdybym, mając w domu  
 Szczura, co broi, chciał dać trzy tysiące  
 Dukatów za to, żeby go się pozbyć?  
 Nie staniesz jeszcze i to za odpowiedź?  
 Są, co nie mogą znieść kwiku prosięcia;  
 Innych w szaleństwo wprawia widok kota;  
 Są znowu tacy, którym nerwy miękna,  
 Skoro usłyszą głos kobziego nosa;  
 Wrażliwość bowiem, pani wszelkich wzruszeń,  
 Kieruje nimi wedle tego, co jej  
 Mile przypada albo odrażliwie.  
 Moja odpowiedź tak brzmi zatém: Jako  
 Nie można znaleźć słusznego powodu,  
 Dlaczego jednych razi kwik prosięcia,  
 Tych widok kota, bestyi tak niewinnej,  
 A tamtych odgłos dud wydętych; wszakże  
 Tak ci jak owi mimowolnie muszą  
 Ściągać na siebie zarzut, że zostawszy  
 Obrażonymi, wzajem obrażają:  
 Tak samo i ja, oprócz pewnej ansyi



I wstrętu, jaki czuję do Antonia,  
Ani znam, ani chcę naznaczyć powód,  
Dlaczego z własnym uszczerbkiem dochodzę  
Praw moich na nim. Dażem już odpowiedź!

BASSANIO.

To nie odpowiedź, człowieku bez serca;  
Nie zdoła ona okrucieństwa twego  
Usprawiedliwić.

SZYLOK.

Nie mam obowiązku  
Zadawania wasną odpowiedzią.

BASSANIO.

Mamyż zabijać to czego nie lubim?

SZYLOK.

Któżby oszczędzał to co nienawidzi?

BASSANIO.

Obraza racyąż jest do nienawiści?

SZYLOK.

Dacież się żmii podwakroć ukąsić?

ANTONIO.

Daj pokój; pomnij, że masz sprawę z żydem.  
Mógłbyś zarówno z morskiego wybrzeża  
Kazać ustąpić pieniaćej się fali;  
Mógłbyś zarówno prawować się z wilkiem,  
Słyszac beczącą za jagnięciem owcę;  
Mógłbyś zarówno wzbronić sosnom w górach  
Wyniosłe czoła uginać i szumić,  
Gdy niemi wicher gwałtowny szamoce:  
Słowem najcięższe chcieć złamać trudności,  
Jak usiłować wzruszyć jego twarde,  
Żydowskie serce. Szlachetni panowie,  
Nie proponujcie mu niczego więcej;  
Nie przedsiębiorcie żadnych dalszych kroków,  
Lecz pozostawcie bieg zwyczajny prawu,  
A jemu wolność czynienia co zechce.

BASSANIO.

Za trzy tysiące daję sześć tysięcy  
Dukatów.

SZYLOK.

Choćbyś każdy z tych dukatów  
Podzielił na trzy części, i chociażby

Każda z tych części dukatem się stała,  
 Nie przyjąłbym ich i żądałbym tego,  
 Co wyrażone w obliżu.

DOŻA.

Jak możesz  
 Liczyć na względy, kiedy sam ich nie masz?

SZYLOK.

Za cóżbym miał się obawiać wyroku,  
 Gdy nic nie czynię niesprawiedliwego?  
 Macie niemało płatnych niewolników,  
 Których na równi z osłami i psami  
 Do jak najniższych posług używacie,  
 Dlatego, żeście ich kupili. Gdybym  
 Ozwal się do was: powróćcie im wolność,  
 Przyjmcie ich w grono swój rodziny; poco  
 Wkładacie na nich tak wielkie ciężary?  
 Niech mają łoża tak miękkie jak wasze,  
 I strawę równie wykwinną jak wasza.  
 Wy odpowiecie: „toż ci niewolnicy  
 Są przecie naszą własnością”; podobnież  
 Ja odpowiadam: ten marny funt mięsa,  
 Którego żądam, moją jest własnością;  
 Drogom go kupił i chce go posiadać:  
 Jeśli mi tego odmówicie, hańba  
 Waszemu prawu! Ustawy Wenecyi  
 Są czezą literą, mocy nie mającą.  
 Czekam na wyrok; usłyszęż go dzisiaj?

DOŻA.

Z mocy urzędu odroczyłam na później  
 To posiedzenie, jeżeli Bellario,  
 Uczony doktor, którego wezwałam  
 O rozpoznanie przedmiotu téj sprawy,  
 Dziś nie przybędzie.

SALARINO.

Panie, tam za drzwiami  
 Stoi posłaniec z listem od doktora,  
 Świeżo przybyły z Padwy.

DOŻA.

Niechaj wnijdzie.

BASSANIO.

Śmiało, Antonio! Nie trać serca: oddam  
 Krew mą żydowi, ciało, kości, wszystko,  
 Nim za mnie jedną kroplę krwi uronisz.

ANTONIO.

Jak zarażony skop, z całego stada  
 Najstosowniejszy jestem na śmierć, bracie;  
 Najślabszy owoc najpierw spada z drzewa:  
 Niechże i ze mną stanie się podobnież.  
 Nie żądam innej przysługi od ciebie,  
 Drogi Bassanio, jak żebys żył dalej  
 I mnie położył nagrobek.

(*Neryssa, przebrana za dependenta wchodzi*).

DOŻA.

Czy z Padwy jesteś, z ramienia Bellaria?

NERYSSA.

Z obojga tego. Bellario pozdrawia  
 Waszą wysokość: oto list od niego.  
 (*Oddaje list Doży*).

BASSANIO.

Po co nóż ostrzysz z taką skwapliwością?

SZYLOK.

Żeby nim wyrznąć dług z tego bankruta.

GRACYANO.

Na sercu swoim wecuj go, poczwaro,  
 Nie na podeszwie, prędzej go naostrzysz;  
 Lecz żaden metal, żaden topór kąt  
 Nie może ani w części tak być ostry  
 Jak twoje zęby. Nicze cię nie wzruszy?

SZYLOK.

Nic z tego, coby dowcip twój wynalazł.

GRACYANO.

Niechże cię piekło schłonie, psie kamienny!  
 I niech za twoje życie sprawiedliwość  
 Odpowiedzialną będzie! Ty mię z moja  
 Wiarą poróżniasz: nieledwiebym gotów,  
 Podzielić zdanie Pitagoresowe,  
 Że dusze zwierząt w kadłub ludzki włożą.  
 Twój duch sobaczy siedział niegdyś w wilku;  
 Z którego, kiedy został powieszony,  
 Za zżarcie kogoś, wyszła czarna dusza  
 I w ciebie przeszła, kiedyś jeszcze leżał  
 W bezecnym łonie matki; wilcze bowiem  
 Są twoje żądze, krwawe i drapieżne.

SZYŁOK.

Póki nie zdołasz swymi wykrzykami  
Zatrzyć podpisu w skrypcie, póty niemi  
Daremnie sobie płuća tylko psujesz.  
Wzmocnij podpórką swój dowcip, mój panie,  
Bo się obali. Stoim w obec sądu.

DOŻA.

Poleca nam tu Bellario jakiegoś  
Bardzo biegłego, młodego doktora.  
Gdzież on jest?

NERYSSA.

Czeka w poblizkości, panie,  
Rychło-li raczysz mu dozwolić wstępu.

DOŻA.

Niech dwóch z was pójdzie natychmiast po niego,  
I jak najgrzeczniej wwiedzie go do sali:  
Pisarz tymczasem przeczyta sądowi  
Pismo Bellaria.

PISARZ

(Czyta).

„Waszój wysokości pospieszam oznajmić, że list Jój zastał mię złożonego ciężką niemocą; ale w chwili przybycia Jój posłańca, miałem właśnie gościem u siebie młodego doktora z Rzymu, nazwiskiem Baltazara. Wyluszczyłem mu całą treść sporu między żydem a kupcem Antoniem; przewartowaliśmy z sobą ksiąg niemało; wynurzyłem mu moje zdanie, które on, uzupełniwszy własnem światłem, (przechodzącem wszelką pochwałę), na moję prośbę, podjął się w sądzie otworzyć, dla uczynienia zadość życzeniu Waszój wysokości w mojem zastępstwie. Upraszam jak najmocniej, ażeby brak lat nie stał się dlań powodem braku należnego poszanowania; bom jeszcze nie znał tak starój głowy przy tak młodem ciele. Poruczam go łaskawym względom Waszój wysokości: on sam zresztą najlepij się zaleci”.

DOŻA.

Słyszycie, co nam ten świątły mąż pisze;  
A oto, zda mi się, i sam ów doktor.

(Porcyca, przebrana za jurystę, wchodzi).

Podaj mi waćpan rękę; od Bellaria  
Jesteś przysłany?

PORCYA.

Nieinaczéj, panie;

Od niego.

DOŻA.

Witaj nam i zajmij miejsce:

Jesteś pan świadom nieporozumienia,  
Jakie obecnie są nasz ma rozstrzygać?

PORCYA.

Dokładnie jestem poinformowany  
O całej sprawie. Gdzie tu jest ów kupiec  
I ów żyd?

DOŻA.

Zbliż się Antonio, Szyloku.

PORCYA.

Nazwisko wasze Szylok?

SZYLOK.

Szylok, zwę się.

PORCYA.

Dziwnéj natury jest wasze powództwo;  
Lecz w takiej formie, że weneckie prawa  
W niczém ci stawić zarzutu nie mogą.

(Do Antonia).

Wyżto jesteście przezeń zagrożeni?

Tak, czy nie?

ANTONIO.

Tak jest, sądząc z jego mowy.

PORCYA.

Czy oblig za swój uznajecie?

ANTONIO.

Tak jest.

PORCYA.

Trzeba więc, aby Szylok był łaskawym.

SZYLOK.

Co mię do tego znagli, chciałbym wiedzieć?

PORCYA.

Łaska nic nie ma wspólnego z przymusem;  
Jak deszcz ożywczy z nieba spływa ona

Z swych wysokości na ziemię; podwakroć  
 Błogosławiona: błogosławi bowiem  
 Tego co daje i tego co bierze.  
 Tém potężniejsza, im z potężniejszego  
 Płynię ramienia, przyożdabia ona  
 Władcę na tronie bardziej niż korona.  
 Berło oznacza moc światowej władzy:  
 Jest ono godłem czci i majestatu,  
 W którym ukryty postrach winnych siedzi;  
 Lecz łaska wyższą jest nad rządy berła,  
 Zajmuje ona tron w sercu monarchy,  
 Wzniosłym udziałem jest samego Bóstwa;  
 I ziemską władza najbardziej się wtędy  
 Zbliża do Boskiej, gdy jój łaska idzie  
 Z sprawiedliwością w parze. Zważ więc, żydzie,  
 Skoro domagasz się sprawiedliwości,  
 Ze sprawiedliwie rzeczy biorąc, nikt z nas  
 Nie byłby zbawion. Modlim się o łaskę:  
 Ta więc modlitwa powinna nas uczyć  
 Świadczenia łaski. Rozwiodłem się tyle,  
 By sprawiedliwość zadań twych złagodzić;  
 Trwać-li w nich będziesz, surowa ta izba  
 Będzie musiała naturalnie wydać  
 Wyrok na stronę kupca niekorzystny.

SZYLOK.

Za czyny moje sam odpowiem. Żądam  
 Uznania słusznych praw moich i kary  
 W obliżu zastrzeżonej.

PORCYA.

Czy Antonio

Nie jest w możności spłacenia waluty?

BASSANIO.

I owszem: kładłem mu ją tu przed sądem,  
 W dwójnasób nawet; jeśli to za mało,  
 Zobowiązałem się wyliczyć sumę  
 Dziesięćkroć większą i w zastaw dać ręce,  
 Głowę i serce. Gdy mu i to niedość,  
 Najoczywistszy złąd wypływa dowód,  
 Że złość przeważa w nim nawet interes.  
 O mój doktorze, zaklinam cię, nagnij  
 Jako tam prawo; wyrządź małą krzywdę,  
 Aby wykonać wielki czyn słuszności,  
 I ujmij w kluby wolę tego djabła.

PORCYA.

To być nie może: żadna moc w Wenecyi  
Nie zdoła zmienić ustaw istniejących;  
Posłużyłoby to za prejudykat,  
I błąd niejeden wkradłby się do państwa  
Za tym przykładem. Nie: to być nie może.

SZYLOK.

Daniel-to przyszedł sądzić, istny Daniel!  
Jakże cię wielbię mądry, młody sędzio!

PORCYA.

Proszę, pozwólcie mi przejrzeć ten oblig.

SZYLOK.

Oto jest, oto jest, zacny doktorze.

PORCYA.

Szyloku, dając w trójnasób walutę.

SZYLOK.

Przysięgłem, panie doktorze, przysięgłem;  
Przysięga moja zapisana w niebie:  
Mamże samo chcąc duszę mą obciążać  
Krzywoprzysięstwem? Za całą Wenecyę  
Nie zrobię tego.

PORCYA.

Hm! termin chybiony:  
Prawnie więc może się na mocy tego  
Szylok domagać wolności wyrznięcia  
Temu kupcowi funta ciała w miejscu  
Serca pobliskiem. Bądźże miłosierny!  
Przyjmij w trójnasób należną ci summę;  
Pozwól mi zniszczyć ten oblig.

SZYLOK.

Jeżeli  
Będzie spleacony wedle brzmienia swego.  
Jesteście, panie, pełnym szlachetności,  
To rzecz widoczna; znacie biegle prawo;  
Indukcyja wasza była arcy trafna:  
Wzywam was przeto w imię tego prawa,  
Którego chlubnym jesteście filarem,  
Byście swe zdanie wynurzyli. Klnę się  
Na duszę moję, że żaden głos ludzki  
Nie zdoła wymódlz na mnie ustąpienia:  
Obstaję przy tém, co stoi w obligu.

ANTONIO.

Racz, sędzie, wydać wyrok; proszę o to.

PORCYA.

Waćpanu zatem pozostaje tylko  
Bok swój pod cięcie noża przygotować.

SZYLOK.

O godny sędzio! O walny młodzieńcze!

PORCYA.

Myśl bowiem prawa i brzmienie zostaje  
W zupełnej zgodzie z karą, jakiej wedle  
Tego obliżu wypada ci uleż.

SZYLOK.

Słusznie: o mądry i sumienny sędzio!  
Jak wiele starszym jesteś niż wyglądasz.

PORCYA.

Dlatego obnaż bok.

SZYLOK.

Pierś mości sędzio:

Tak mówi obliż;—nieprawdaż, cny sędzio?  
Tuż obok serca,—wyraźnie tam stoi.

PORCYA.

W istocie, stoi tak. Sąż tu gdzie szale  
Do odważenia mięsa?

SZYLOK.

Mam je z sobą.

PORCYA.

Sprowadź, Szyloku, na swój koszt felczera,  
Aby zapobiegł ujściu krwi.

SZYLOK.

Felczera?

Czy jest w obliżu o tém jaka wzmianka?

PORCYA.

Niéma jój wprawdzie, ale cóż to znaczy?  
Przez ludzkość byś to uczynić powinien.

SZYLOK.

Gdzie jój tam szukać! niéma jój w obliżu.

PORCYA.

Kupcze, masz Waćpan co do powiedzenia?



ANTONIO.

Mało co; jestem już zrezygnowany  
 I w pogotowiu. Daj rękę, Bassanio;  
 Bądź zdrow! nie smuć się, że mię to spotyka  
 Z twojej przyczyny, bo los się tym razem  
 Bardziej uprzejmym niż zwykł okazuje.  
 Zawsze on prawie każe podupadłym  
 Przeżyć swe mienie; z zapadłemi oczy  
 Z czołem zmarszczkami pooraném patrzeć  
 Na nędzną starość; mnie on od ciężaru  
 Tój długotrwałej uwalnia pokuty.  
 Poleć mię swojej szanownej małżonce;  
 Skreśl jój ostatnie moje chwile; powiedz,  
 Jak cię kochałem: wspomnij o mnie dobrze:  
 A gdy jój wszystko powiesz, niech osądzi,  
 Czyś nie miał kogoś, co cię szczerze kochał.  
 Nie żałuj, że masz stracić przyjaciela,  
 I jemu nie żal, że dług za cię płaci;  
 Bo niech żyd tylko trochę głębiej weźmie,  
 Natychmiast całém zapłacę go sercem.

BASSANIO.

Antonio, jestem małżonkiem kobiety,  
 Która mi drogą jest jak życie; ale  
 Życie i żona i świat cały nie ma  
 Wyższej w mych oczach ceny jak twe życie.  
 Wszystkobyem oddał, wszystkiego się wyrzekł,  
 Aby cię wyrwać z rąk tego szatana.

PORCYA.

Żona Waćpana nie bardzoby pewnie  
 Była mu wdzięczna za tę abnegacyą,  
 Gdyby tu była obecna.

GRACYANO.

Mam żonę,

Którą, na honor, kocham niepoślednio:  
 Radbym atoli, żeby była w niebie,  
 Boby tam przecię mogła jakoś wpłynąć  
 Na umysł tego psubratniego żyda.

NERYSSA.

Dobrze pan czynisz, że tę chęć wynurzasz  
 Za jój oczyma, boby ten jój objaw,  
 Łatwo domowy pokój mógł zakłócić.

SZYLOK (do siebie).

Tacy-to ci mężowie chrześcijańscy!  
 Wolalbym, żeby mężem mojej córki

Był kto z plemienia Barabaszowego,  
Nie chrześcianin.

(Głośno).

Czas upływa: proszę  
O ostateczne wydanie wyroku.

PORCYA.

Funt mięsa tego kupca jest twą własnością;  
Sąd go przysądza, prawo ci przyznaje.

SZYLOK.

O sędzio, pełen prawości!

PORCYA.

Masz wolność  
Wykrojenia mu tego mięsa z piersi:  
Prawo przyznaje, sąd ci to przysądza.

SZYLOK.

O światły sędzio!—Pójdź: wyrok wydany.

PORCYA.

Zaczekaj: jest tu jeszcze mała kwestya.  
W skrypcie tym niema o krwi ani wzmianki:  
Jak najwyraźniej w nim stoi: funt mięsa;  
Weźże ty skrypt swój, a ty swój funt mięsa:  
Jeżeli jednak rznąc takowe. żydzie,  
Krwi chrześciańskiej choć kroplę przelejesz,  
Wszelkie twe mienie, wedle praw weneckich,  
Skonfiskowane będzie na rzecz państwa.

GRACYANO.

O sprawiedliwy sędzio!—Słyszysz, żydzie?  
O mądry sędzio!

SZYLOK.

Czy prawo tak mówi?

PORCYA.

Mogę ci zaraz pokazać artykuł.  
Skoro ci idzie tak o sprawiedliwość,  
To sprawiedliwość będzie—é wymierzona  
Bardziej, niż sobie tego życzysz nawet.

GRACYANO.

O światły sędzio! To mi światły sędzia!  
Nieprawdaż, żydzie?

SZYŁOK.

Ny, to już przestaje  
Na gotowiznie: wyliczcie mi tylko  
Summę w trójnasób, a skwituję kupca.

BASSANIO.

Oto pieniądze.

PORCYA.

Zaraz: nie tak skoro!  
Trzeba żydowi temu sprawiedliwość  
Ścisłe wymierzyć: dostanie jedynie  
Sztrof przynależny, nic więcej.

GRACYANO.

O żydzie!

Coto za prawy, co za światły sędzia!

PORCYA.

Gotuj się zatem rznąć mięso: nie przelej  
Krwi ani kropli; pomnij téż nie wyrznąć  
Ani mniej, ani więcej jak funt zpełna;  
Bo gdybyś wyrznął mniej lub więcej trochę,  
Jak funt okrągły, gdyby niedowyzka  
Albo przewyżka miała, ściśle biorąc,  
Być o dwudziestą część skrupuła lżejszą  
Lub cięższą; gdyby się różniły szale  
Chociażby tylko o szerokość włosa;  
Umrzesz, i mienie twe pójdzie na sekwestr.

GRACYANO.

To drugi Daniel, żydzie! istny Daniel!  
Ha, poganinie, trzymamy cię w garści.

PORCYA.

Cóż go wstrzymuje? Bierz-że swój sztrof, żydzie.

SZYŁOK.

Zwróćcie walutę i dajcie mi pokój.

PORCYA.

Zrzekłeś się onęj w obec sądu, zaczem  
Otrzymasz tylko sztrof prawnie należny.

GRACYANO.

Danielto! drugi Daniel! istny Daniel!  
Jakże ci za to jestem wdzięczny, żydzie,  
Że mię wyrazu tego nauczyłeś!

SZYŁOK.

Jakto? nie będę miał nawet waluty?

PORCYA.

Będziesz miał tylko sztrof należny z prawa,  
Który wziąć możesz na własne ryzyko.

SZYŁOK.

Niechże się djabli z nim prawują! Nie mam  
Tu czego czekać.

PORCYA.

Czekaj, żydzie: prawo

Ma jeszcze inny z tobą porachunek.  
Jest powiedziane w weneckich ustawach,  
Ze gdyby kiedy było dowiedzionem  
Cudzoziemcowi, że wprost lub ubocznie  
Godził na życie którego krajowca,  
Naówczas strona, przeciw której działał,  
Ma w posiadanie otrzymać połowę  
Jego fortuny; druga jej połowa  
Na skarb przechodzi, życie zaś winnego  
Zależć będzie jedynie od łaski  
Samego Doży. W kategorii takiej  
Ty właśnie jesteś: widno bowiem jawnie  
Z tego co zaszło, żeś uboczną drogą  
I wprost nastawał na życie Antonia;  
Za co ulegasz rygorowi prawa,  
Świeżo przezemnie zacytowanemu.  
Drzyj więc lub Doży proś o przebaczenie.

GRACYANO.

Proś, by ci wolno było się powiesić;  
Ponieważ jednak całą twą chudobę  
Skarb ma zagarnąć, zabraknie ci nawet  
Potrzebnej kwoty na kupienie stryczka:  
Będziesz więc na koszt państwa powieszony.

DOŻA.

Abyś naszego sposobu myślenia  
Różnicę poznał, daruję ci życie  
Pierwój, niżeli o to poprosiłeś.  
Połowę dóbr twych posiedzie Antonio,  
Druga połowa przejdzie na skarb państwa;  
Którąto karę wszelako pokora  
Złagodzić może i zmienić na grzywny.

PORCYA.

Tak, co do państwa, nie co do Antonia.

SZYŁOK.

Weźcie mi życie, nie szczedźcie go także!  
Co mi po domu, gdy stracę podpore  
Utrzymującą go? Co mi po życiu,  
Gdy stracę środki utrzymania życia?

PORCYA.

Antonio, cóżbyś mógł dla niego zrobić?

ANTONIO.

Jeśli się pan nasz i sąd zgodzi przyjąć  
Grzywny, za jedną jego dóbr połowę,  
Dla mnie dość będzie, skoro mi dozwoli  
Drugą połowę tak rozrządzić, iżby  
Po jego śmierci przypadła na własność  
Temu młodemu Wenecyaninowi,  
Który mu świeżo wykradł córkę. Wszakże  
Wkładam na niego przytém dwa warunki:  
Najprzód: ażeby za to dobrodziejstwo  
Bez ociągania chrzest przyjął; powtóre:  
Aby uczynił tu przed sądem prawny  
Akt darowizny wszystkiego, co tylko  
Posiadać będzie po najdłuższém życiu,  
Na rzecz swój córki i syna Lorencia.

DOŻA.

Będzie on musiał to zrobić, inaczej  
Odwołam świeżo wyrzeczoną łaskę.

PORCYA.

Cóż, żydzie? nie masz-li nic przeciw temu?

SZYŁOK.

Nie mam.

PORCYA.

Pisarzu, spisz akt darowizny.

SZYŁOK.

Pozwólcie mi się ztąd oddalić, proszę:  
Słabo mi, w domu akt podpiszę.

DOŻA.

Idźże,

Ale pamiętaj nie wzbraniać się potem.

GRACYANO.

Dwóch chrzestnych ojców będziesz miał przy chrzcinach:  
Dziesięciu miałbyś, gdybym ja był sądził,

A ci byliby cię poprowadzili  
Nie do chrztu ale wprost na szubienicę.

*(Szylok wychodzi).*

DOŻA.

Proszę waćpana przyjść do mnie na obiad.

PORCYA.

Pokornie proszę Waszój wysokości  
O przebaczenie: zniewolony jestem  
Tój jeszcze nocy powrócić do Padwy;  
Trzeba mi przeto zaraz się wybierać.

DOŻA.

Przykro mi, że masz Waćpan tę przeszkodę.  
Antonio, okaż wdzięczność temu panu:  
Zaprawdę bowiem, wiele mu winienesz.

*(Doża, senatorowie i inni komparsowie wychodzą).*

BASSANIO.

Szanowny panie, ja i mój przyjaciel,  
Uniknęliśmy, dzięki twój mądrości,  
Ciężkiego przejścia; w zawdzięczeniu czego  
Ofiarujemy ci te trzy tysiące  
Czerwonych złotych należne żydowi,  
W zamian za twoje tak życzliwe trudy.

ANTONIO.

I pozostajęm prócz tego na zawsze  
W sercu i w czynie twemi dłużnikami.

PORCYA.

Kto rad jest, ten jest dobrze zapłacony;  
Ja z ocalenia waszego rad jestem,  
Sądzę się przeto dobrze zapłaconym.  
Nigdy mych usług nie wynajmowałem.  
Bądźmy dobrymi przyjaciółmi, proszę:  
Życzę wam dobrze i z tém zapewnieniem  
Zegnam was.

BASSANIO.

Muszę moje natarczywość  
Powtórzyć: zacy doktorze, przyjm chociaż  
Jaką pamiątkę, jako dań, nie jako  
Wynagrodzenie. Wyświadcz mi dwie łaski:  
Jedną, abyś mi tego nie odmawiał,  
Drugą, abyś mi tego nie miał za złe.

PORCYA.

Tak pan nalegasz, że muszę ustąpić.  
Dajże mi swoje rękawiczki w zakład  
Dobrej pamięci; w zakład zaś przyjaźni  
Daj mi ten pierścień. Nie usuwaj ręki;  
Niczego więcej nie pragnę i tuszę,  
Że mi twa przyjaźń tego nie odmówi.

BASSANIO.

Ten pierścień, panie, ach, to taka fraszka!  
Wstydy mi było wam go ofiarować.

PORCYA.

Niczego nie chcę krom tego pierścienia;  
Zda mi się nawet, że go mocno pragnę.

BASSANIO.

Pierścień ten więcej niż wart jest mi drogim.  
Dam wam najdroższy jaki jest w Wenecyi,  
I przez publiczny anons go wynajdę:  
Wybaczcie, z tym się nie mogę rozłączyć.

PORCYA.

Jesteś pan widzę szczodry w słowach: naprzód  
Mię nauczyłeś jakto trzeba prosić,  
A teraz zdaje się, chcesz mię nauczyć,  
Jakto się daje odpowiedź żebrakom.

BASSANIO.

Pierścień ten dała mi żona, łaskawco;  
Sama wsadziła i kazała przysiąc,  
Że go nie zgubię i nie dam nikomu.

PORCYA.

Takie wymówki hardzo są dogodne  
Tym, co w dawaniu datków są oszczędni.  
Jeżeli żona pańska ma rozsądek,  
To wiedząc jakim wart tego pierścienia,  
Nie długoby się za danie mi jego  
Na was gniewała. Ale mniejsza o to.  
Pokój niech będzie z wami!

(Wychodzi z Neryssą).

ANTONIO.

Ejże, Bassanio, daruj mu ten pierścień;  
Niech moja przyjaźń i jego przysługa  
Przeważa zakaz twój żony.

BASSANIO.

Gracyano

Pobiegnij, dokoń go, daj mu ten pierścień,  
I sprowadź go do mieszkania Antonia,  
Jeśli potrafisz go namówić: spiesz się.

*(Gracyano wychodzi).*

I my też idźmy; wypocznem dziś sobie,  
A jutro, skoro świt, ruszym do Belmont.

*(Wychodzą).*

## SCENA DRUGA.

*(Tamże. Ulica).*PORCYA i NERYSSA *wchodzą.*

PORCYA.

Wywiedz się o mieszkaniu tego żyda.  
I każ mu akt ten podpisać. Wyjedziem  
Tęj jeszcze nocy, aby o dzień jeden  
Uprowadzić powrót naszych panów mężów.  
Lorenzo będzie kontent z tego aktu.

*(Gracyano wchodzi).*

GRACYANO.

Cieszę się, panie, żeś was jeszcze zdybał.  
Signor Bassanio, lepiej rzecz zważywszy,  
Przesyła wam ten pierścień i zaprasza  
Was na obiadek.

PORCYA.

Nie mogę mu służyć.  
Pierścień przyjmuję z największą wdzięcznością;  
Chciój mu to pan oznajmić i bądź łaskaw  
Temu młodemu człowiekowi wskazać  
Mieszkanie żyda Szyloka.

GRACYANO.

Najchętniej.

NERYSSA

*(do Porcy).*

Mam jeszcze panu coś do powiedzenia.

*(Po cichu).*

Zobaczę, czy mi nie uda się także



Od mego męża wyludzić obrączki,  
Którą na wieki przysiągł mi zachować.

PORCYA.

Że ci się uda, ręczę. Tożto będzie  
Dopiero zakłęć szumnych i ognistych,  
Że to pierścionki przeszły do rąk mężczyzn;  
Ale my fałsz im zadamy dowodnie.  
Idź, a pospieszaj: wiesz gdzie się zejść mamy.

NERYSSA.

Bądź pan tak greczny pokazać mi drogę.  
(*Wychodzą*).

## AKT V.

### SCENA PIÉRWSZA.

(*Belmont. Alea przed pałacem Porcyi*).

### LORENCO i JESSYKA.

LORENCO.

Jak śliczny księżyc! W takąto noc jasną,  
Gdy luby wietrzyk zlekka liść całował,  
Nie czyniąc szumu, w takąto noc pewnie  
Troilus niegdyś stał na murach Troi,  
I duszę swoje w westchnieniach posyłał  
Ku obozowi Greków, gdzie Kressyda  
We śnie leżała.

JESSYKA.

W takąto noc Tisbe  
Lękliwą stopą otrząsała rosę;  
I cień lwa widząc miasto lwa samego  
Z trwogą pierzchała.

LORENCO.

W takąto noc ongi  
Stała Dydona na dzikiém wybrzeżu,  
Z gałązką w ręku, i znak nią dawała  
Ulubińcowi, aby wrócił nazad  
Do Kartaginy.

JESSYKA.

W taką noc także  
Medea rwała czarodziejskie zioła,

Które staremu Ezonowi miały  
Przywrócić młodość.

LORENCO.

W takąto noc uszła  
Jessyka z domu bogatego żyda,  
I z jednym chłystkiem umknęła z Wenecyi  
Aż tu do Belmont.

JESSYKA.

W takąto noc młody,  
Czuły Lorenzo przysięgał jęj miłość,  
I podszedł proste jęj serce mnogiem  
Zapewnieniami, z których ani jedno  
Nie było szczerém.

LORENCO.

W takąto noc młoda,  
Sliczna Jessyka, małe nicdobrego,  
Rzucała potwarz na swego kochanka,  
Który jęj jednak potwarz tę przebaczył.

JESSYKA.

Kadabym z tobą tak całą noc gwarzyć,  
Gdyby nikt naszęj nie przerwał swobody.  
Ale, czy słyszysz? ktoś tu idzie.

*(Stefano wchodzi.)*

LORENCO.

Któżto  
Śmie mieszać spokój tęg późnęg godziny?

STEFANO.

Swój.

LORENCO.

Swój? co za swój? jak się zowiesz, swoju?

STEFANO.

Zwę się Stefano i przychodę z wieścią,  
Że nasza pani powraca do Belmont  
Przededniem jeszcze. Co chwila przystaje  
Przy świętych krzyżach, kłęka i zanosi  
Modły o szczęście w swym świeżo zawartym  
Małżeńskim związku.

LORENCO.

Czy z nią kto przyjeżdża?

STEFANO.

Jéj panna tylko i jakiś mnich święty.  
Ale powiedzcie mi, czy nasz pan wrócił?

LORENCO.

Nie wrócił i nic o nim nie slyszalem.  
Dalej Jessyko, trzeba nam się zająć  
Przygotowaniem do uroczystego  
Przyjęcia pani tego domu. Idźmy.

*(Lancelot wchodzi).*

LANCELOT.

Hola! héj! hop! hop! hola la!

LORENCO.

Któżto tak wrzeszczy?

LANCELOT.

Hola! Nie widzieliście gdzie pana Lorenca i pani  
Lorencowej! Holala!

LORENCO.

Nie holuj tak, krzykało; jestem tu.

LANCELOT.

Hola! gdzie? gdzie?

LORENCO.

Tu.

LANCELOT.

Powiedzcie mu, że sztofada przyszła od naszego  
pana, z pełną torbą nowin. [Nasz pan będzie tu równo ze  
dniem.

*(Wychodzi).*

LORENCO.

Pójdź, luba, w domu czekać na nich będziem.  
Ale dlaczegóżby koniecznie w domu?  
Mości Stefano, proszę cię, idź służbie  
Oznajmić blizki przyjazd naszej pani;  
I muzykantom każ tu przyjść.

*(Stefano wychodzi).*

Jak wdzięcznie,  
Na tym pagórku śpi światło miesiąca!  
Siądźmy tu sobie i niech dźwięk muzyki  
Płyne nam w ucho: noc i nocna cisza  
Godzą się z słodkim urokiem harmonii.  
Usiądź, Jessyko: patrz, jak przestwór nieba  
Gęsto w złociste gwiazdki jest utkany;

A każdy krzątek z tych, które tam widzisz,  
 Bieg odbywając, dołącza pieśń swoją  
 Do chóru jasnookich cherubinów.  
 Tak są harmonii pełne czyste duchy:  
 Tylko my, których duch jest powinięty  
 W skorupę prochu, słyszeć jój nie możemy.

(*Muzykanci wchodzą*).

Zbliźcie się! zbudźcie śpiewnym hymnem Dyanę,  
 Wyślijcie naprzód na spotkanie pani  
 Echo najbardziej melodyjnych tonów,  
 I przyciągnijcie ją niemi do domu.

(*Muzyka*).

JESSYKA.

Ilekróć słodką muzykę usłyszę,  
 Rzewnie mi jakoś.

LORENCO.

Bo władze twój duszy  
 Są widać wtedy pilnie natężone.  
 Popatrz na dziką i swawolną trzodę,  
 Albo na stado młodych bystrych żrebców;  
 Brykają one, beczą i rżą głośno,  
 Bo to w naturze jest ich krwi gorącej:  
 Lecz niech-no trąbka przypadkowo zabrzmiał,  
 Lub jakkolwiek muzyczny odgłos  
 Słuch ich uderzy, zobaczysz, jak nagle  
 Wszystkie przystaną, jak się ich figlarne  
 Oko zaduma, pod wpływem czarownej  
 Potęgi dźwięków.

Ztąd-to poeci mówią, że Orfeusz  
 Pociągał drzewa, kamienie i fale;  
 Bo nie ma rzeczy tak martwój, tak twardój  
 I tak burzliwój. żeby jój natury  
 Muzyka zmienić chwilowo nie mogła.  
 Człowiek, harmonii nie mający w sobie,  
 Którego współdźwięk tonów nie porusza,  
 Zdolny jest zdradzić cię, oszukać, złupić;  
 Umysł u niego ciężki jak mgła nocna,  
 A serce czarne jak Erebus. Nie ufaj  
 Nikomu z takich.—Słuchajmy muzyki.

(*Porcya i Neryssa ukazują się w oddaleniu*).

PORCYA.

Owo światelko gore w mojej sali:  
 Jak się daleko promieni choć małe!  
 Tak świeci dobry czyn w świecie zepsutym.

NERYSSA.  
 Nie widziałyśmy wprzód tego światełka,  
 Gdy miesiąc świecił.

PORCYA.  
 Tak zwykle blask większy  
 Zacięra mniejszy. Namiestnik jaśnieje  
 Jak król, dopóki król się nie ukaże;  
 Wtedy ubywa mu okazałości,  
 Jak strumieniowi, gdy z wyżyny spływa  
 W wielkie wód łoża. Muzyka! Czy słyszysz?

NERYSSA.  
 To nasza, pani, domowa kapela.

PORCYA.  
 Nic nie jest piękném bezwzględnie, jak widzę:  
 Milęd mi ona brzmi teraz niż za dnia.

NERYSSA.  
 Cisza-to, pani, dodaje jój wdzięku.

PORCYA.  
 Wrona tak dobrze śpiewa jak skowronek,  
 Kiedy się na nich nie zważa; i sądę,  
 Że gdyby słowik w dzień śpiewał, gdy wszystkie  
 Gęsi gęgają, nie większą od szpaka  
 Pewnieby wtedy miał sławę śpiewaka.  
 Ilużto rzeczom czas tylko stosowny,  
 Nadaje wziętość i przymiot szacowny!  
 Ale pst! Luna śni przy Eudymionie,  
 I nie radaby zostać przebudzoną.

(Muzyka milknie).

LORENCO.  
 Jeśli mię wszystko na świecie nie zwodzi,  
 Głos-to signory Porcyi.

PORCYA.  
 Ten pocziwiec  
 Zna mię po głosie, jak ślepy kukawkę.

LORENCO.  
 Witajże, witaj nam, łaskawa pani!

PORCYA.  
 Namodliliśmy się za naszych mężów,  
 Mości Lorenzo, i mamy nadzieję,  
 Że nasze modły były skutecznemi.  
 Czy już wrócili?

LORENCO.

Dotychczas nie jeszcze;  
Ale posłaniec przybył z oznajmieniem,  
Że wkrótce będą.

PORCYA.

Nerysso, idź moim  
Ludziom zalecić, aby nie dawali  
Po niezem zgoła poznać, żeśmy z domu  
Się oddalały.—Lorenzo, Jessyko,  
Proszę was także zachować milczenie.  
(*Słychać trąbkę*).

LORENCO.

Mąż pani jedzie, słyszę odgłos trąbki.  
Umiemy trzymać język za zębami:  
Nie bój się pani.

PORCYA.

Noc ta zdaje mi się  
Dniem, tylko błędym i zamglonym: jest-to  
Jakby dzień, w którym słońce jest zakryte.  
(*Bassanio, Antonio i Gracyano wchodzą z swym orszakiem*).

BASSANIO.

Z antypodami-byśmy jednocześnie  
Mieli dzień, gdybyś ty świeciła wtedy,  
Gdy słońce znika.

PORCYA.

Niechbym nie świeciła,  
A w czynach moich nie bała się światła!  
Witaj z powrotem, mój małżonku!

BASSANIO.

Witaj  
Najukochańsza! Oto mój przyjaciel:  
Ten sam Antonio, któremu tak wiele  
Obowiązany jestem.

PORCYA.

Powinienbyś  
Obowiązany mu być nieskończenie;  
Bo on za ciebie przyjął, jak słyszałam,  
Zobowiązania bardzo wielkie.

ANTONIO.

Które  
Zpełna zostały mu skompensowane.

PORCYA.

Panie Antonio, jesteś w naszym domu,  
Zaprawdę, nader pożądanym gościem;  
Czyny pokażą to lepiej niż słowa:  
Dlatego skracam tę ustną serdeczność

GRACYANO

(do Neryssy).

Przysięgam na ten księżyc, żem niewinny,  
Jak żyw tu stoję; dałem go, kochanko,  
Dependentowi tego adwokata.  
Niechby ten młokos eunuchem został,  
Gdy tak się zżymasz o to, że go dostał.

PORCYA.

Jakto? Już kłótnia? O cóż-to rzecz idzie?

GRACYANO.

O złote kółko, o bzdurny pierścionek,  
Który mi dała; na którym był napis  
Tak dobry dla mnie, jak kogoś drugiego,  
Madrygał: *Kochaj mnie i nie opuszczaj!*

NERYSSA.

Nie idzie tu o napis, ni o wartość;  
Przysięgłeś waćpan, gdym ci go dawała,  
Że go do śmierci nosić nie przestaniesz,  
Że go ze sobą zabierzesz do grobu;  
Jeśli nie przez wzgląd na mnie, to przynajmniej  
Przez wzgląd na swoje ogniste przysięgi,  
Trzeba ci było lepiej go szanować.  
Dependentowi! Wiem aż nadto dobrze,  
Że ten dependent, coś mu go dał waćpan,  
Nigdy nie będzie miał na brodzie włosów.

GRACYANO.

Będzie miał, skoro do lat mężkich dojdzie.

NERYSSA.

Jeśli kobieta dojdzie do lat mężkich.

GRACYANO.

Na honor, dałem go młodemu chłopcu,  
Nedorostkowi, smarkaczowi, właśnie  
Twojego wzrostu; chłopcu adwokata.  
Ten chlystek tak się go napał w nagrodę,  
Że niepodobna mu było odmówić.

PORCYA.

Żłós Wacpan zrobił, szczerze wyznać muszę,  
 Że-s się tak plocho rozłączył z najpiérwszym  
 Darem twój żony; z upominkiem, który  
 Ślub na twym palcu umieścił, a wiara  
 Powinna była doń przykuć na zawsze.  
 I jam mężowi memu dała pierścień,  
 I odebrałam od niego przysięgę,  
 Że się z nim nigdy nie rozstanie. Jakoż,  
 Tu w obec niego, śmiało mogę ręczyć,  
 Żeby go nie zdjął, ani spuścił z palca,  
 Za wszystkie skarby świata W rzeczy samój,  
 Mości Gracyano, daleś swojej żonie  
 Powód do żalu bardzo wielki. Gdyby  
 Mnie to spotkało, tobym oszalała.

BASSANIO

(do siebie).

Gotówbym sobie urznąć lewą rękę,  
 I przysiądz, żem ten pierścień w walce stracił.

GRACYANO.

Signor Bassanio darował swój pierścień  
 Adwokatowi, który o takowy  
 Prosił go i w istocie nań zasłużył;  
 A jego piszczyk, dependent, za swoje  
 Pracę w pisaniu, zażądał mojego:  
 Tak zaś pryncypał, jak jego subaltern,  
 Nie chcieli przyjąć niczego innego  
 W dank swoich usług jak te dwa pierścionki.

PORCYA.

Jakież-to pierścień dałeś mu, mój mężu?  
 Przecież nie tamten, co-s go miał odemnie?

BASSANIO.

Gdybym mógł kłamstwo dodawać do winy,  
 Tobym zaprzeczył temu; ale sama  
 Widzisz, o pani, brak tego pierścienia  
 Na moim palcu.

PORCYA.

Taki sam brak wiary  
 Jest w twojem sercu fałszywém. Na honor!  
 Nie prędzęj usta me dotkną się twoich,  
 Aż znów ten pierścień zobaczę.

NERYSSA

(do Gracyana).

I twoje  
 Moich nie prędzęj, aż mój ujrzę znowu.



BASSANIO.

Najdroższa żono! Porcyo ukochana!  
 Gdybyś wiedziała, komu-m dał ten pierścień,  
 Gdybyś zważyła, za co-m dał ten pierścień,  
 Znała żal, jaki-m czuł dając ten pierścień;  
 Gdy nie nie chciano wziąć tylko ten pierścień:  
 Zmiękłby niechybnie hart twojego gniewu.

PORCYA.

A gdybyś Waćpan był cenil ten pierścień,  
 I tę, co-ć dała ten pierścień i własny  
 Honor swój, z którym był w związku ten pierścień,  
 Nie byłby był z twych rąk wyszedł ten pierścień.  
 Któż mógł być tyle niewyrozumiałym,  
 Niedelikatnym, iżby go koniecznie  
 Był żądał, gdybyś pan trochę żarliwiéj,  
 Stanowczéj stanął był w jego obronie,  
 Mieniać go świętą pamiątką? Neryssa  
 Mię naprowadza, co mam o tém sądzić;  
 O śmierć mię to przyprawi, bo niechybnie  
 Pierścień ten dostał się do rąk kobiety.

BASSANIO.

Na honor, pani, na zbawienie duszy!  
 Ręczę ci, że go nie dałem kobiecie  
 Ale pewnemu doktorowi prawa,  
 Który ofiarowany mu przezemnie  
 Dar trzech tysięcy dukatów odrzucił  
 I pragnął tylko otrzymać ten pierścień.  
 Odmówiłem mu tego i ś ierpiałem,  
 Że się oddalił niezadowolony,  
 On, co ocalił dni drogiemu memu  
 Przyjacielowi. Cóż ci powiem, pani?  
 Zmuszony byłem mu go postać: grzeczność,  
 A nawet sam wstyd mi to nakazywał;  
 Honor mój nie mógł spokojnie znieść tego.  
 Aby go taka plamiła niewdzięczność:  
 Przebacz mi przeto, najdroższa małżonko!  
 Bo na te święte tam na niebie światła  
 Klnę się, że gdybyś tam była obecną,  
 Byłabyś była sama mi kazała  
 Dać go zacnemu temu doktorowi.

PORCYA.

Strzeżże się Waćpan, by zacny ten doktor  
 Nigdy do mego domu nie zawitał:  
 Ponieważ bowiem posiada ów klejnot,  
 Który lubiłam, i który pan, gwoli

Miłości mej przysiągłeś zachować,  
 Gotowam także być szczodłą dla niego;  
 Gotowam dać mu wszystko co posiadam,  
 A nawet udział w prawach mego męża;  
 Że go zaś ujrzę, tego jestem pewną.  
 Nie spędźże Waćpan ani jednej nocy  
 Za domem, czuwaj, pilnuj mię jak Argus:  
 Bo skoro tego zaniedbasz uczynić,  
 Skoro mię samą zostawisz, na honor,  
 Którym dotychczas jeszcze się poszczycam,  
 Zacny ów doktor spocznie w mych objęciach.

NERYSSA

(do Gracyana).

A w mych dependent: bacz więc, jak dalece,  
 Masz mię na własnej zostawiać opiece.

GRACYANO.

Nie daj mi jéno zejść się z tą figurą,  
 Bobym mu zgnieść mógł dependenckie pióro.

ANTONIO.

Jam jest nieszczęsnym powodem tych waśni.

PORCYA.

Niech cię to, panie, bynajmniej nie martwi:  
 Jesteś dlatego miłym gościem.

BASSANIO.

Przebacz,  
 Przebacz mi, Poreyo, ten błąd z konieczności;  
 W obec zebranych tu przyjaciół naszych  
 Przysięgam, na te twoje śliczne oczy,  
 W których mój obraz widzę....

PORCYA.

Zważcie tylko:  
 On w moich oczach widzi się dwoiście,  
 W każdym raz: tak więc bierzesz pan za świadka  
 Swych zobowiązań swoje ja dwoiste.  
 To mi przysięga wiarogodna!

BASSANIO.

Ależ  
 Chciój mię wysłuchać: przebacz mi tę winę,  
 A na mą duszę! nigdy od tej pory  
 Uczynionego ci nie złamię ślubu.

ANTONIO.

Dalem był pierwój ciało moje w zakład  
 Za niego; gdyby nie ten zacyjny człowiek,  
 Któremu mąż twój, pani, dał ów pierścień,  
 Byłoby po nióm było; daję teraz  
 Duszę mą w zakład, i ręczę, że odtąd  
 Nigdy małżonek twój nie złamie wiary  
 Z rozmysłem.

PORCYA.

Skoro pan za niego ręczysz,  
 To chciejże mu dać ten, razem z przestrogą,  
 Aby go lepiej szanował niż pierwszy.

ANTONIO.

Bassanio, przysiąż szanować ten pierścień.

BASSANIO.

Na Boga! ten sam dalem doktorowi.

PORCYA.

A on mnie: przebac, kochany Bassanio,  
 Za ten-to pierścień miał ze mną ów doktor  
 Słodkie sam na sam.

NERYSSA.

Przebac mi podobnież,  
 Luby Gracyano, bo za ten, tu spędził  
 Przeszłą noc ze mną ów smarkacz dependent.

GRACYANO.

To coś wygląda jak szarwarkowanie  
 Wśród lata, kiedy drogi w dobrym stanie.  
 Cóż to? na pierwszy wstęp w hymenu progi  
 Niezasłużenie przypięto nam rogi?

PORCYA.

Mów Waćpan skromniej. — Wszyscy-ście zdumieni.  
 Oto list, panie mężu: w wolnym czasie  
 Przejrzyj go; jest on z Padwy, od Bellaria:  
 Znajdziesz w nim, że doktorem była Porcyą,  
 A dependentem Neryssa. Lorenzo  
 Może zaświadczyć, żeśmy zaraz po was  
 Ztąd wyjechały i wróciły nazad  
 Przed chwilą: jeszcze mię dom mój nie widział.  
 Panie Antonio, mam dla ciebie lepszą.  
 Niż się spodziewasz, wiadomość w zapasle:  
 Dowiesz się z tego listu, że trzy twoje

Galery nagle wplynęły do portu,  
Obladowane bogatym pakunkiem:  
Nie powiem panie, jakim trafem list ten  
Doszedł do moich rąk.

ANTONIO.

Niemieję.

BASSANIO.

Tyż-eś  
Była doktorem, i jam cię nie poznał?

GRACYANO.

Tyż-eś-to była lym piszczykiem, który  
Ma mi przyprawić rogi?

NERYSSA.

Nie inaczej;

Który jednakże tego nie uczyni,  
Aż wtedy, kiedy dojdzie do lat mężkich.

BASSANIO.

Musisz mi swoje otworzyć objęcia,  
Piękny doktorze, a gdy wyjdę z domu,  
Wolno ci miewać sam na sam z mą żoną.

ANTONIO.

Tyś mię, o pani, obdarzyła życiem,  
A teraz darzysz tém, z czego żyć mogę;  
Bo wyczytuję tu z wszelką pewnością,  
Że moje statki przybyły szczęśliwie  
I stoją w porcie.

PORCYA.

Teraz na was kolej,  
Mości Lorenzo: ma tam mój dependent  
I dla was pewien gościniec w kieszeni.

NERYSSA.

I da go bez żądania honorarium.  
Oto doręczam wam i waszój żonie  
Akt darowizny, którym wam bogaty  
Ojciec Jessyki przeznacza legalnie  
Po swojej śmierci wszystko co posiada.

LORENCO.

Boskie niewiasty! Wy głodnym po drodze  
Sypiecie mannę.

PORCYA.

Już dzień prawie, przecież  
 Jeszcze wam nie dosć jasno się przedstawia  
 Bieg tych wypadków. Wnijdźmy więc do domu;  
 Tam z nas ściąganie śledztwo i na wszystko  
 Protokularną znajdziecie odpowiedź.

GRACYANO.

Zgoda. Najpierwszą kwestyą, jaką zadam  
 Mojej Neryssie, będzie ta, czy woli  
 Do przyszłej nocy wstrzymać się ze wczasem,  
 Czy pójść spać zaraz, chociaż dzień za pasem?  
 Co do mnie, niechby do jutra wieczora  
 Trwał mrok, gdy będę z piszczykiem doktora;  
 Bądź jednak pewna, że nie zgrzeszę śpiączką,  
 Czuwając, luba, nad twoją obrączką.

## KRONIKA PARYZKA

## LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Trybuna nowożytna, Villemaina. — *Les Fausses bonnes Femmes*, pięcio-aktowa komedia Barriera. — *Un Fils Naturel*, komedia Dumasa syna. — Czarodziejskie widowisko w cyrku. — Paryż w 1858 roku: przegląd w żywych obrazach przedstawiony w Ambigu-Comique. — Rachel. — Proces Dumasa z Maquetem. — Wiadomości literackie.

Wyszedł pierwszy tom *Trybuny nowożytnej* pana Villemain; księga ta blisko z sześciuset stronic złożona, zawiera życiorys polityczny Chateaubrianda, skreślony w duchu nader liberalnym. Czysto polityczna treść tego dzieła uwalnia nas od jego szczegółowego rozbioru, ograniczamy się więc tylko na przytoczeniu tutaj jedyne go ustępu, gdzie autor oderwawszy na chwilę wzrok od *ministra* i jego politycznych czynności, patrzy nań jak na literata i najslawniejsze z dzieł jego ocenia, kładąc skromnie genialne swoje spostrzeżenia w usta dostojnych gości, w salonie pani Duras zgromadzonych. W tém przytoczeniu będziemy się ściśle trzymać cudzosłowu, ażeby własnym poglądem nie zamącić światłej myśli znakomitego krytyka.

Podczas kiedy horyzont polityczny Francyi za ministeryum Villéla coraz to bardziej się zachmurzał, pani Duras mieszkająca wtedy na wsi, przyjmowała co sobota znakomitych swych przyjaciół, wmieszanych w polityczne kłopoty, udając spokój i zupełne o sprawach publicznych zapomnienie. Uczyniwszy kilka uwag o politycznym znaczeniu tej damy, pan Villemain tak dalej mówi:

... „W Saint-Germain, w pięknej willi położonej na owym tarasie, z którego przepyszny widok roztacza się na okolice, w salonie powszechnie szanowanej przyjaciółki pani Staël, zgromadziło się pierwszej czwercowej soboty kilku ludzi stanu, ambassadorów i uczonych. Był Pozzo di Borgo, zawsze w łaskach u Cesarza Alexandra, Capo d'Istria, wówczas w niełasce, ale blizki podniesienia się wraz z powstającą Grecyą, był lord Stuart, zręczny dyplomata, mąż wolnomysłny i wolnomówny, ostrożna lady Stuart, żywe przeciwstawienie męża, kilku Anglików, minister tokański zagorzały amator sztuk pięknych, sławny Humboldt, uczony nad uczonemi, Francuz duszą, kochający równie wolność jak naukę; ambassador francuzko-hiszpański, Abel-Remusat biegły orientalista, i młoda Delfina Gay (później pani Girardin) z matką.

„Skoro po obiedzie wyszliśmy na taras kończąc rozmowę o wypadkach zaszłych w obu Izbach, polityka umilkła w obec przesłicznej natury, a myśl owiana czarowną wonią, która tego wieczora obficie wydobywała się z lasów i łąk pokrytych kwiatami, do idealniejszych skierowała się przedmiotów. Zaczęto prosić panny Delfiny żeby powiedziała wiersz jaki nowo do swego skarbcza przybyły; ale dziesiąta muza tłumacząc się, że nic nowego nie wykończyła, zamiast swoich poezyi, zadeklamowała czterowiersz Chateaubrianda *do Spokoju*.

— Śliczny wierszyk — rzekł lord Stuart z ironicznym uśmiechem, — bardzo ładny, ale zdaje mi się, że ten wielbiony spokój wkrótce znudziłby Chateaubrianda: ustron i wiejskie dumania nie byłyby mu dziś miłsze jak naszemu Canningowi. Poeci tak są stworzeni: trzymają się oburącz ziemskich interesów, skoro raz ich się dotkną. Pan Villèle wie o tém tak dobrze jak ja, i dlatego ufam w trwałość dzisiejszego ministeryum.

— Ach! panowie — zawołała pani Duras — dajcież już pokój téj nieznośnej polityce! Jeżeli mamy mówić o Chateaubriandzie, to mówmy o jego najpiękniejszym i najidealniejszym dziele. Chciałabym żeby nam hrabia Capo d'Istria powiedział, czy w *Męczennikach* i *l'Itinéraire* (podróż Chateaubrianda do Jerozolimy) uczuł ojczyście powietrze i ducha starożytności — niebo i poezyą grecką.

Oddaj pan, proszę, hołd temu wielkiemu dziełu odrodzenia, którego geniusz Chateaubrianda dokonał, zanim szlachetni ziomkowie pańscy okupili je krwią swoją, i zanim ich Francya poparła orężem.

— Chętnie uczynię to pani—odrzekł dawny minister Cesarza Alexandra. Od czasu jak porzuciłem politykę, spędziłem dwa lata w Genewie nie mając innego towarzystwa prócz klasyków greckich i wyborowych książek francuzkich. Nie powiem, żeby Chateaubriand przypominał mi Homera. Lord Stuart głęboki znawca poezyi naiwnej, rozśmiałyby się ze mnie. Homerów już świat wydać nie może: młodość tak dobrze dla świata, jak dla pojedynczego człowieka, raz tylko kwitnie. Milton, którego Anglicy zowią Homerycznym, w dykcyi i obrazach równie mądry, równie skomplikowany i wyrafinowany jak nasz Homer jest prosty i natchniony.

„Takie prawo czasu. Nikt się z pod niego nie wyłamał. Ale co tylko mógł zdziałać geniusz w dziele sztuki za dni naszych, tego dokonał Chateaubriand: jest on zarazem wielkim malarzem natury i wielkim ludzi historykiem. Czy jest poeta epicznym nawet téj siły, co Apollonius Rodyjski, nie sędzę, ale kiedy zeszedł zimy w mém genewskiem ustroniu odczytywałem jego opisy dolin messęńskich, kiedy oglądałem z nim razem owe smugi kwiecia, które kontury ich zakreślają, i owe wzgórza, które ich bronią: zdało mi się że jestem w ojczyźnie... czulem ją żywą przed oczyma, i powtarzałem smutnie z poetą: ojczyzna geniusza sztuki i piękności jest łupem barbarzyńców! I wdzięczem mu byłem iż to powiedział Europie. Potém cofnąwszy się w tył o lat dwadzieścia, przypominałem sobie jak malarz Dioklecyana, Galeriusa i rzymskiego świata, wydawał nam się proroczy i prawdziwy, jak jego obrazy przeszłości, nawet trawestowane przez dzienniki paryzkie, wydawały się świetne oczom naszym! Na każdej karcie *Męczenników* poznać było można zdaleka wizerunek tyrana, który, jak mówi poeta, dlatego wydaje się wielki, że w rozbiciu cywilizacyi wdarł się na jéj szczątki.

„Piękność moralna *Męczenników* zasadzała się na odarcie z purpury zbrodni państwa, wysledzeniu i stwier-



dzeniu wszędzie potęgi kryży i zwycięstwa wiary nad siłą. Powiedzą może krytycy o autorze tego dzieła jak o Lucianie, że go wypada raczej do mówców niż do poetów policzyć: ale cokolwiekbądź powiedzą, dzieło jego będzie jedynym pomnikiem naszego wieku.

— Jest wiele prawdy w tém ocenieniu—rzekł, skoro umilkł Capo d'Istria, inny mąż poważny w zgromadzeniu—ale jeśli mi wolno zrobić uwagę, powiem, że w talencie autora *Męczenników* nad wszystko przeważa potęga polemiczna. Ta nowa epopea nie jest śpiewem biblijnym jak dzieło Miliona, ani chrześcijańsko-rycerską legiendą, jak *Jerozolima* Tassa, ani poematem narodowo-nowoczesnym jak *Lusiady* Camoënsa, ani religijno-liryczną medytacją jak *Messiada* Klopstocka. Jestto dzieło zbiorowe, a zatém sztuczne, w którym autor naśladuje rzeczy których my już naśladować nie potrafimy, a oryginalnym jest tylko wtedy, kiedy nie jest epicznym.

„Ztąd liczne zarzuty i żarty, któremi zrazu przyjęto tę książkę, ztąd ów chłód który często z niej wieje. O ileż autor *Telemaka*, także obwiniany o polityczną satyryczność, jest prawdziwszy, naturalniejszy i starożytniejszy w swych pomysłach i obrazach!”

Zdanie to oburzyło niektórych, ale większość je poparła. Powstały inne zarzuty; ludzie stanu poczęli na zimno dyssekować *Męczenników* i przez przetak politycznego rozumu ich przepuszczać; dyskusja trwała dość długo, w końcu pani domu ozwała się w te słowa:

„Obawiacie się panowie cudowności w religii, nie lubicie jej nawet w poezji: zcierpieć przynajmniej wielkość w historii, Dioklecjana w Egipcie. Cóżto za przepyszne malowidło ten grecko-rzymski Egipt ze swemi pomnikami przedgreckiej starożytności! Od trumny Alexandra w *Muzeum*, poeta prowadzi nas do celi Anachorety w pustynie. A teraz, nie zapuszczając się w dalsze pochwały, pytam biegłych polityków, tych co znają obozy i dwory, co sądzą o malowidłach umieszczonych na końcu dzieła, jak im się wydaje Dioklecjan już nie w Egipcie, ale w Rzymie, jak im się podobają obrady rzymskiego senatu? Mówią, że Chateaubriand ułożył ten ustęp z mów starożytnych, ale innie w tej pieśni *Męcen-*

ników najwięcej podoba się to, co autor wysnuł z siebie samego, to jest mowa Eudora broniącego braci.

„Od tego miejsca zajęcie, litość, przestרח i prześladowania rosna ciągle; jestto rzeczywista walka nieba z piekłem. Jakaż tam prawda w każdym szczególe cierpienia, w tych chrześcijańskich więzieniach, w tych biesiadach poprzedzających męczeństwo. Tu Chateaubriand jeżeli naśladuje, to chyba nasze nieszczęścia, naszą żalobę, męczenników dni naszych, to, co nam powiedziały rusztowania naszych ojców i matek. Ta stałość w obec pogańskich katów, ta krew wylana dla Boga, to dobrowolne wyznawanie wiary niechybną śmierć ściągające, nie sąż to cnoty ojców naszych, naszych braci wymordowanych na placach publicznych za Boga i wolność!”

„Po kilku chwilach milczącego wzruszenia, bo nikt nie chciał dyskutować tak prawdziwego uczucia, pani Duras dodała łagodnie i powoli, jakby zmordowana zapalem słów poprzednich: „Mówmy już tylko o sztuce; z tego stanowiska dozwólcie mi uwielbiać zakończenie *Męczenników*. Zdaniem waszém jest ono za proste, naganiacie to, co najprawdziwsze w całym dziele. Zamiast Cimodocci idealnie naiwnej niewiasty, zdolniejszej do poświęceń niż do polityki, wybyście radzi widzieć jakąś chrześcijańską Emilią, ciągnącą do religii przez namiętną miłość i nakazującą ofiarę. Nie jestto właściwe pojmowanie ewangelii: nie uwiedzenie winno prowadzić do męczeństwa, idzie się nań po śladzie krwi Boskiej za pomocą łaski Najwyższego. Wprawdzie Dante powiada, iż był aż do nieba porwany magnetyzmem oczu Beatryczy, ale żeby zejść na arenę, żeby pociągnąć do cierpień i katuszy, czy sądzicie, że wejrzenie ludzkie choćby zapalone najwyższą ziemską miłością i najpotężniejszą odwagą, wystarczy?”

„Nikt nie odpowiedział. Wymowniej niż stujęzyczna krytyka, przekonały nas natchnione słowa tej pełnej czucia i rozumu niewiasty, a głęboka ich prawda na zawsze w umyśle mym utkwiała”.

Jednocześnie z *Trybuną* ogłosił p. Villemain nowe wydanie *Rzeczypospolitej Cycerona*, wedle rękopisu kardynała Mai. Jestto dzieło opozycyjno-parlamentarne. Jak

wiadomo, Cyceron równie jak Platon był za rządem mieszanym; za taką formą rządu są dziś wszyscy liberaliści francuzcy, do których pan Villemain należy.

Książka o której mowa, wydana pierwszy raz w roku 1815, prócz ciekawości jaką budziło ważne odkrycie kardynała, była poszukiwana i wysoko ceniona tutaj z powodu umiarkowanych a wolnych zasad, które zawiera. Miłość tych zasad jeżeli nie wzrosła, to pewnie nie ostygła z czasem we Francyi: dlatego nowa edycja *rzeczypospolitej* poprzedzona znakomitą przedmową, niemniej sympatycznego co pierwsza doznaje przyjęcia. Do rozpowszechnienia tego dzieła niemało się przyczynia nazwisko tłumacza, które tak poważnym jak salonowym czytelnikom daje rękojmią, że znajdują naukę i zabawę: Villemain bowiem posiada dar pogodzenia tych dwóch tak rzadko z sobą w parze chodzących przymiotów. Zajęty zawsze poważną treścią, umie on jednak nadać jej ów wdzięk i powab, *interesse* zwany. W czasach, w których wedle słów Goethego „nie nie może dojrzeć,” w których każdy zboże swoje zjada niewykłoszone, żyje chwilą obecną nie myśląc o jutrze; w czasie, w którym świat bieży jakby parą pędzony: pan Villemain opracowuje i szlifuje swoje myśli jak złotnik-artysta drogocenne brylanty, miłuje samotną i cierpliwą pracę, która sama jedna tylko może spłodzić prawdziwie trwałe i pożyteczne dzieła. Villemain należy jeszcze do rzędu tych nader dziś rzadkich pisarzy, zakochanych we wszystkiem co piękne i podniosłe, dla których sztuki są pokostem dobrych obyczajai, a gust poczuciem sprawiedliwości i prawdy.

Co także niemniejszą jest zaletą Villemaina to to, iż obok wielkiej miłości swobody, posiada umiarkowanie, bez którego to najdroższe dobro ostać się nie może na ziemi. Ta miłość wolności bardzo naturalna w jakimś Brutusie, w człowieku gwałtownym, namiętym, zawsze zbrojnym, stworzonym do walki, szukającym wiecznie jakiegoś zabobonu lub przesądu do pożarcia, uderza niezmiernie w wykwintnym, salonowym i dowcipnym Villemainie, nie mającym w sobie nic z natury trybuna; żeby taki człowiek, prawdziwy literat tegoczesny, umiał zachować pośród powszechnego zwątpienia i zgrzybiałości,

młodość, szczerłość, ogień, a nadewszystko owe najprostsze i najświętsze uczucie duszy; miłość wolności, jestto rzeczą podziwienia godną, przymiotem, który zawsze w dziełach Villemaina uwielbiany.

*Les Fausses Bonnes Femmes*, dawno zapowiedziana komedia Barriera, mająca stanowić *pendant* do wyborniej komedyi *les faux bons hommes*, nie przypadła do smaku Paryżanom, co wreszcie nie trudno było przewidzieć. Publiczność zwykle surową naganą wynagradza sobie admiracją do której była zmuszona, gdyż ta, jak mówi Balzak, jest zawsze wysileniem dla rodzaju ludzkiego. Otóż, nadto chwalono *les faux bons hommes*, żeby jeszcze starczyło ochoty na pochwały dla *fausses bonnes femmes*, i to, zdaniem naszym, jest główną przyczyną niepowodzenia tej sztuki nie gorszej, ale lepszej od wielu innych, którym przyklaskują. Tożsamość tytułu przyczyniła się także niemało do jej oziębłego przyjęcia, nastroczając co chwila porównania, oraz wymogi odpowiednich idei i podobieństwa kolorytu, które w żaden sposób pomiędzy temi dwoma utworami istnieć nie mogły.

*Les faux bons hommes* zawdzięczają swoje powodzenie wielkiej trafności obserwacyi, karykaturom żywcem z natury zdjętym, wreszcie temu, że mimo nieco może zbyt czarnego na świat poglądu w ogólnym zarysie, autor oderwane sceny z wysoką skreślił komiką. Paryżanie sądzili, że patrząc na *fausses bonnes femmes* także śmiać się będą, a nie pomyśleli o tém, że komiczność nie leży weale w naturze kobiety. Kobieta jest piękną lub brzydką, miłą lub niecznołą, ale nigdy błazeńską. Musi to być prawdą, kiedy żaden ze znanych typów komicznych nie jest rodzaju żeńskiego, kiedy, ani Szekspir, ani Moliere, ani Fredro, nie ubrali żadnej niewiasty w błazeńską czapczkę. Falstaf, Sganarel, le Bourgeois Gentilhomme, pan Jowialski, wszystko to mężczyźni. Jedyń środek uczynienia kobiety śmieszną, jest wystawić ją starą, a i wtedy będzie to komiczność wątpliwa, gdyż podobno nikt nie śmieje się szczerze z przywar zgrzybiałości.

Studyując zawsze z natury, i mając głębokie poczucie prawdy, znakomity autor komedyi o której mowa,

skąpą dozą komiczności nowy swój utwór przyprawił; typy jakie przedstawił są przedewszystkiém naturalne, z czego wynika, że *obłudnice* jego nie są śmieszne, ale złe, przeto nie wesołość, ale oburzenie w umyśle widza obudzają.

Treść sztuki taka. Nadobna wdowa, pani Herminia Tremblay, kocha i ma zaślubić Jerzego Retla, młodego oficera marynarki. Ale niestety, pan Jerzy jak wielu innych co wieczystą przysięgają miłość, zakochał się po raz wtóry w pani Biance. Tój sztuka niewieścia sprawiła, iż nietylko zubożniał zupełnie dla swój dawnój bogini, ale kiedy wyszła na stół kwestya ożenienia, oświadczył bez ogródki, że nie panią Herminią, ale panią Biankę do ołtarza zaprowadzi.

Na takie *dictum acerbum*, Herminia zamiast daremnie pytać o *nobile verbum*, odpowiada czułością; podaje wiarołomnemu rękę, za otwartość dziękuje, i w zamian miłości, dozgonną obiecuje przyjaźń, a wszystko to zaprawia tak słodkim i wdzięcznym uśmiechem, że Jerzy (jak to bywa) seryo mniema, iż zmienił kochankę na przyjaciółkę z niewiększym zachodem, jak złocistą gwineę na miedziane trzygroszówki. Pani Herminia do tego stopnia nawet ujmuje tą swoją przyjaźnią dobrodusznego marynarza, iż jój przedstawia przyszłą żonę, którą, dawna na tę posadę kandydatka, zaraz na progu tak gorącą oblewa miłością, że tylko przyszły małżonek mógł w tych sentymentach czarnego nie dopatrzeć Wallenrodyzimu.

Widząc tedy tak wielką harmonią tam, gdzie się obawiał zwady i przeszkód, Jerzy któremu hymen pokoju nie daje, chce wziąć *dimissyą* i niezwłocznie zaślubić ubóstwioną Biankę; ale Herminia przekłada mu, że honor droższy nad szczęście, dobro zaś powszechnie pierwsze niż własne; że więc wypada skończyć przed ożenieniem rozpoczętą kampanią, na co młody oficer przystaje, zostawia swą przyszłą pod opieką przyjaciółki, a sam, odkładając małżeństwo do powrotu, odjeżdża.

Po odjeździe Jerzego, pani Herminia przyczepia się do Bianki jak Mefistofel do Fausta. Z nieodstępnej towarzyszki staje się powiernicą i przewodniczą narzeczonej swego dawnego wielbiciela. Podsuwa jój zgubne rady, do kompromitujących namawia schadzek, w końcu

wiezie do wód, gdzie wprowadziwszy ją w świetne koło najszkodliwszych obłudnic (tych, coto uchodzą za uczciwe kobiety) z ich pomocą spycha czystą niewiastę na najniższy szczebel, na jaki może upaść w ludzkiej, a raczej w nieludzkiej opinii. Zalecanki jakiegoś półgłówka, niemilego wiernej Jerzemu Biance, zjadliwie tłumaczone przez armią obłudnic, której przywodzi Herminia, służą za podstawę potwarzy i krzywdzących podejrzeń, które jak czarne plamy na trupa, występują z przerażającą szybkością na niepokalaną dotąd reputacją Bianki.

Tak stoją rzeczy, kiedy Jerzy powraca z podróży. Zaledwie wysiadł z powozu, aliści już węzowe języki szepcą mu w uszy, że pan X. jest szczęśliwym kochankiem pani Bianki, która litościwie zarówno sprzyja panu Y, a nie chcąc dręczyć pana Z. także nie jest mu wstrętną, i t. d. i t. d. Jerzy żalem i gniewem miotany, chce policzkować i rąbać wszystko, co mu się nawinie; jak zraniony lew ciska się w matni w którą go mściwa Herminia zaplątała. Nakoniec, straciwszy wiarę w kochankę i szacunek dla ludzi, zrywa z niewinną Bianką i powraca do występnej Herminii, zaręczając jej, że ją tylko jedną kochał i kocha prawdziwie.

Po tej scenie wciska się drobne nieprawdopodobieństwo, sprowadzone zapewne wymogami scenicznej moralności. Obłudna Herminia nasyciona zemstą staje się rzeczywiście dobrą kobietą: oczyszcza Biankę z rzuconych nań potwarzy, wraca jej miłość i szacunek Jerzego, i kojarzy rozerwane podstępnie małżeństwo.

Pominąwszy to zakończenie, które nie wydaje nam się naturalne, sztuka jest napisana niepospolicie, dobrze osnuta i pełna zwrotów niezwykłych, które cechują wszystkie utwory Barriera. Przyczyny jej niepowodzenia wskazaliśmy na początku: cała wina, powtarzamy, leży w tytule; publiczność przyszła na komedię, a zastała dramat, obiecano jej jabłko, a zamiast jabłka dano pomarańczę, więc jak popsute dziecko zaczęła tupać i wołać z gniewem: nie chcę pomarańczy! daj jabłko!!

Obstalowany przedmiot zawsze bardzo jest niedogodny dla artysty; kapryśny umysł jego nie lubi haftować na narzuconej kanwie; uporczywa praca zwykła

w takich razach zastępować łatwe natchnienie. Ludzie nie trudniący się piśmiennictwem ani się domyślają jak wielki podatek zręczności, wysień i pracy nakłada na autora źle wybrany przedmiot lub naprzód wymyślony tytuł; ileżto pracy potrzeba, żeby osoby i sceny dopasować do tego nagłówka, który myśl wyraża. Jestto toż samo (jeżeli wolno w kredensie porównania szukać) co dobierać w miejsce stłuczonej, nową do wazy pokrywę, lub nowy korek do karafki. Przez litość nad sobą samymi, autorowie powinni się wystrzegać takich z góry nałożonych tematów; a jednak przeciwnie się dzieje: najczęściej biorą oni sobie już zbite ramy i wypełniają je z trudem, którego połowy nie kosztowałoby ich dowolne sformułowanie natchnionej myśli. Wielkie to, a niewdzięczne wysilenie, tłumaczy dziwną zagadkę: czemu autorowie zwykle najczęściej kochają swe najniezdarniejsze płody. Jakżeż nie cenić tego, co tyle pracy kosztowało?!

— Z utęsknieniem wyglądany *Syn Naturalny* młodego Dumasa, pojawił się także w Gymnase i był jak wszystkie sztuki autora *Kameliowej Damy* przyjęty oznakami najżywszego zadowolenia.

Młody Dumas ma zapewne wiele talentu, ale jeszcze więcej szczęścia. Publiczność słucha go z upodobaniem, z jakim nigdy nikogo nie słuchała, nawet Dumasa ojca w najświetniejszych czasach. Na każdą sztukę jego Paryżanie przybywają śmiejąc się naprzód, naprzód wzruszeni, szczęśliwi i gotowi klaskać, czy warto czy nie warto. Autor ma sympatyą i sławę, to dosyć. W Paryżu tak jak wszędzie, większość z owiec Panurga złożona: skoro jeden klaśnie, drugi wnet krzyczy brawo, co siły; trzeci już tak szczęśliwy, że tupie i ławki rozbija, a czwarty w uniesieniu gotów kapelusz połknąć z radości. Nie prawdziwszego, jak to polskie przysłowie: lepszy lut szczęścia niż funt rozumu. Na swoje uszy słyszeliśmy mówiących w *foyer*, że od lat stu nie pojawiła się na paryżkiej scenie równie znakomita sztuka jak *Un fils Naturel*.

Tymczasem każdy bezstronny sędzia uzna, że ze wszystkich utworów Dumasa II, ten ostatni najmniej

na pochwały zasługuje. Wnosząc z tytułu, spodziewać się należało, że autor w tej nowej pracy rozwiąże, albo przynajmniej będzie usiłował rozwiązać zawiłą kwestyą naturalnych dzieci w obec praw społecznych; zadanie to, jak się pokazuje, ani powstało w głowie młodego dramaturga. Wybrał on sobie wygodnie jeden traf wyjątkowy, wypadek, że tak powiem fenomenalny: wystawił syna naturalnego, który o własnych siłach wypływa z odmętu w jaki go wtrącił nierząd rodzicielski, łamie wszystkie przeszkody, któremi najeżone życie bezimienne, i cenniony, kochany i szanowany dla siebie samego, dochodzi w dwudziestym roku do pozycyi socyalnej i trzydziestotysięcznego dochodu. Wtedy ojciec, który przedtém ani go przyznać, ani nawet znać nie chciał, usiłuje związek natury rozgrzać i uprawnić. Ale mimo usilnych starań pojednania, syn spóźnionych ofiar ojca przyjąć nie chce, względy uzyskane powodzeniem odrzuca wraz z ojcowskiem mianem i zachowuje nazwisko matki, która go również w nędzy jak w dostatkach kochała.

Taka jest osnowa tej sztuki, którą autor nie dowiódł, nie nauczył i nikogo nie przekonał. Jest ona upstrzona dowcipem i dość zręcznie posypana kwiatami w miejscach miałkich; mimo to jednak niktby tu o niej nie wspomniał, gdyby na afiszu nie stało imię ulubieńca Paryżanów, Dumasa II.

— Cyrk cesarski przedstawia rodzaj Tysiąca Nocy w trzydziestu fantastycznych obrazach. *Turlututu* ściąga obecnie największe tłumy ludzi i jest dla wszystkich stanów najulubieńszem widowiskiem. Zrazu trudno pojąć, jak dzisiejsza zachodnia społeczność tak mądra i poważna, może gustować w tego rodzaju fantasmagoryach; ale wejrzawszy głębiej w duszę tych ludzi utrudzonych życiem, łatwo ten pociąg do cudowności zrozumieć. Cóż może być miłszego dla człowieka zmęczonego zabiegami około codzien trudniejszej exystencji, przywalonego brzemieniem niepowodzeń, przeszkód, niesmaków i trudności, z któremi ustawicznie łamać się musi, jak się włoży i przez jakie trzy godziny zapomniawszy o dokuźliwej rzeczywistości, śnić na jawie. Podnosząca się kurtyna odsłania każdemu z tych męczenników cywiliza-



cyi skrzydlatego smoka, który go wnet porywa i niesie gdzieś w krainę uludy, kłusując ciągle wąską ścieżką, rozgraniczającą realność od cudowności, wijącą się gdzieś het! daleko poza czasem i przestrzenią. Scena jak kalejdoskop mieni się ustawicznie, a słuchacz nawpół marzy, nawpół drzemie i nie ruszywszy się z miejsca, ujedzie więcej drogi, niż Don Kiszot na grzbiecie swego Rosynanta. Zresztą, obrazy te blażeńską nazwą *Turlututu* ochrzczone, są z wielkim gustem malowane przez sławnego Gustawa Doré i bujnej fantazyi bardzo podobać się mogą.

Osnowa téj bajki da się zamknąć w kilku słowach. Młody rybak nazwiskiem *Turlututu*, znajduje w sieci wyciągniętej z morza pomiędzy gromadą ryb, szczelnie zamkniętą i opieczętowaną skrzynkę. Otworzywszy z niemłą trwogą tajemniczy kuferek, znajduje w nim nie gniazdo węzów, ani szarańczę, jak mniemał, ale ładną kobietkę w ponsowej spodniczce i zielonym gorseciku. Oswobodzona niewolnica powiada swemu zbawcy, że się zwie Fosforella i jest prawą żoną szatana, który pokłóciwszy się z nią pewnego wieczora, zamknął w tę fatalną skrzynię i rzucił w morze, mając nadzieję, że się tym sposobem na zawsze niemilój małżonki pozbędzie.

Tutaj krytyka może zarzucić autorowi, iż nie dość gruntownie przedmiot swój zbadał: djabeł nie jest żonaty, gospodarstwem jego trudni się stara czarownica emerytka. Legenda bardzo wyraźnie w tym punkcie orzeka; zresztą można także w téj kwestyi polegać na powadze Heinego, mającego, jak wiadomo, najdokładniejsze o piekle relacje. Domyślamy się, że młodych biografów szatana wprowadziły w błąd rogi, które widząc na jego głowie, wywnioskowali, że jest żonaty jak zwykły śmiertelnik.

Sprostowawszy tę drobną pomyłkę, powracamy do Fosforelli. Chcąc się wywdzięczyc swemu zbawcy, szatanka daje mu kapelusz pełen cudownych własności. Skoro go włożył, natychmiast opadają zeń lachmany i biedny rybak ksiązące widzi na sobie stroje, co tém więcej go uszczęśliwia, że choć ubogi i nieokrzesany *Turlututu*, wysoko spojrzeć się odważył i jak Ruy-Blas zakochany jest w królewnie.

Królewna imieniem *Śnieżny Kwiatek*, charakterem zupełnie odpowiada swój nazwie: jestto biała laleczka z lodowatym serduszkim, którego nigdy żadna namiętność nie roztopiła; ale dzięki djabelskiemu kapeluszu, królewna rozplomienia się wielką dla rybaka miłością i koniecznie żoną jego chce zostać. Widząc tak silną wolę, nawet król ojciec nie śmie się sprzeciwić swój jedynaczce i na jej małżeństwo zezwala. Ale jest inna przeszkoda, opierająca się połączeniu dwojga kochanków. Dowiadujemy się, że ów małżonek szatan dlatego wrzucił swą żonę do morza, iż się zakochał w tymże *Śnieżnym Kwiatku*, i chciałby go także zaślubić. Zaczyna się tedy walka pomiędzy rywalami, szatanem i rybakiem, czyli szatanką, która go proteguje. Djabeł wciąga śmiertelnika w tysiączne zasadzki, gdzieby biedny *Turlututu* przepadł bez śladu, gdyby nie opatrzna pomoc Fosforelli, która w gruncie jest sobie dobra djablica.

Pogoń za porwaną przez szatana królewną, stanowi dalszy wątek sztuki. Szereg przerażających obrazów przedstawia wszystkie stacye, gdzie rybak z Fosforellą doganiają trzymaną w czartowskiej mocy królewnę, a które potęgą złego ducha w najstraszniejsze osłania pozory, chcąc nimi zachwiać odwagę człowieka. Zakłęte zamki, czarodziejskie jamy, pałace pełne strachów, gdzie ani usiąść, ani spocząć nie można, bo każdy mebel konspiruje na zgubę człowieka, przesuwiają się tu przed oczyma jak pędzącemu koleją żelazną krajobrazy. Biedny rybak przez blisko dwie godziny błądzi jak istny Marek po piekle w tym strasznym labiryncie: jeżeli zmordowany siądzie na kanapie, kanapa wnet się w krokodyla zmienia; dotknie świecy, ta wraz pęka jak raca; ruszy kłamkę, ta go za rękę chwyta; stanie obok posągu, posąg ogniem bucha; chce wyjść, w progu piętrzą się larwy; chce zasnąć, a tu dokoła szatańska jawi się heca — fraszka *Walpurgis Nacht* Goëthego.

Ostatecznie, rybak z tej walki wychodzi zwycięzko, Fosforella pobija małżonka, przez co autor jednym więcej przykładem dowodzi, co wreszcie nie nowina, że djablica zawsze od djabła mądrzejsza.

Obraz finalny przedstawia ślub rybaka z królową. Żeby tylko widzieć tę ostatnią dekoracją rumianą bengalskim ogniem, odbitym sto razy przez kryształowe wodospady, złociste kolumny, szmaragdowe drzewa i brylantowe kwiaty, już warto iść do Cyrku przemienionego na chwilę w trzydziesto-piętrową studnię Alkazema.

— *Ambigu-Comique* przedstawia: „Przeгляд Paryża w 1858 roku”. Widowisko to ułożone przez pana Beauvoir jest zajmujące. Autor założył sobie w żywych obrazach wykazać tegoroczne piękności i śmieszności stolicy. Naiwny wieśniak, który szukając zgubionej krowy zaszedł aż do Paryża, chodzi po ulicach miasta i chłopskim rozumem sądząc, śmieje się ze wszystkiego co niedorzeczne, a podziwia co piękne lub pożyteczne. Pomysł tego noworocznego przeglądu wyrażonego nie słowami, lecz akcją, wydaje nam się bardzo szczęśliwy. Z obrazów najpiękniejszy jest widok Luwru i z żywych osób ułożony obraz Gérôma *les Suites d'un bal Masqué*, który szczegółowo opisaliśmy czytelnikom naszym w sprawozdaniu z ostatniej paryżkiej wystawy malarskiej.

---

Skon panny Rachel, która 3 stycznia umarła w kwiecie wieku, bo licząc dopiero lat 37, sprawił tu wielkie wrażenie. Nikt lepiej od Francuzów nie umie wyszukiwać, kształcić, cenić, a nakoniec wielbić swych znakomitości, i dlatego podobno ma ich tyle i tak sławnych. Tegoż dnia, w którym depesza telegraficzna przyniosła tu smutną wiadomość o śmierci wielkiej artystki, pojawiły się w dziennikach kilkunasto-kolumnowe nekrologi biografie Racheli. Przez więcej niż tydzień prasa paryżka wyłącznie się nią w swjej części *nie-politycznej* zajmowała: sławne, biegłe i podrzędne pióra opisywały na wyścigi tułacze dzieciństwo, szybki wzrost i kolosalną sławę swjej tragiczki; opowiadały, jak córka ubogiego kramarza Felixa, urodzona na szwajcarskim gościńcu, przez dziesięć lat tułała się z rodzicami po Europie; jak mając lat dwanaście śpiewała z siostrą po paryżkich kawiarniach, gdzie oceniona przez artystów, przyjętą została najprzód do szkoły śpiewu, a następnie do szkoły deklamacyi,

w której kształcono artystów dla francuzkiego teatru; jak tam wszedłszy nie znając liter, we trzy lata prześcignęła wszystkich elewów i mając lat piętnaście wystąpiła w roli *Hermiony* na amatorskim teatrze, gdzie tak zachwyciła znawców, że ją dyrektorowie teatrów mnogimi zasypali propozycjami; jak nareszcie, po krótkim łamaniu się z niewyrobionym smakiem publiczności i trudnościami swęj sztuki, wystąpiła w roli *Kamilli* na scenie francuzkiego teatru, gdzie jak drugi Cezar: weszła, spojrziała i zwyciężyła, a nazajutrz już była sławną. Wszystkie te i tysiące innych szczegółów opowiadali mniej więcej pięknie Janin, Gautier, Lecomte, Saint-Victor i setki mniej znanych feiletonistów paryzkich. Z zajmującego pochodzenia tego meteoru sztuki i my więc kilka podajemy faktów: boć słuszna, żeby kiedy całemu świecił światu, i nasi nadwiślańscy czytelnicy poznali dokładnie elipsę jaką zakreślił, zanim spalony własnym ogniem, padł i zagasł na wybrzeżu Śródziemnego morza.

Nie zamierzamy tu kreślić biografii panny Rachel do dziś dnia każdemu już znanęj, dzięki gorliwości francuzkich dziennikarzy; ani też chcemy szperać w jej życiu prywatnem, które rozbierać i sądzić wolno tylko rodzinie i przyjaciółom: zapiszemy tu jedynie parę dat należących do historyi sztuki, kilka uwag o rodzaju gry niezrównanej artystki i kilka anegdot rzucających światło na jej charakter pełen sprzeczności, niekonsekwencyi, słabości i sily, a niepospolitością swą uderzający nawet w chwilach zupełnego zapomnienia o argusowych oczach świata, w obec których każdy mniej więcej jest aktorem.

Rachel urodziła się 24 lutego 1820 roku w miasteczku Munf w szwajcarskim kantonie Argowii. Ojciec jej ubogi kramarz żyd, zwał się Felix, matka Esther-Haya.

Pierwsze wystąpienie Racheli, którą, jak wspomnieliśmy wyżej, na bruku stolicy wysledziło i oceniło bystre oko paryzkich artystów, miało miejsce w *Gymnase* 1837 roku, gdzie niepoznana i niemal wygwizdana przez publiczność tego teatru, przywykłą do powszednich waudevillowych gestów i tłustych conceptów, o mało na zawsze nie porzuciła zawodu, w którym tak świetnie zajaśnieć miała.

Zatrzymana na swój właściwej drodze przez Fryderyka Soulié, który mimo chwilowego niepowodzenia całą przyszłość siedemnastoletniej Racheli przepowiedział w sprawozdaniu z owój niefortunnej reprezentacji, kształcona gorliwie przez aktora Samsona, który także odkrył geniusza ukrytego w sztywném i niepozorném ciałku dziewczęcia, została wreszcie przyjęta do *Théâtre Français*, gdzie wystąpiła w roli Kamilli w *Horacyuszach* 12 czerwca 1838 roku. Od tego dnia poczyna się sława i nieprzerwane pasmo tryumfów Racheli, które z jasnej gwiazdy swego geniuszu snuła pośród nieustających oklasków całego świata, aż do dnia 27 marca 1855 roku, w którymto dniu ostatni raz w roli *Fedry* wystąpiła na téjże scenie, gdzie pierwsze zbierała kwiaty.

Dzień 12 czerwca 1838 roku podwójnie jest ważny dla artystycznego świata: Rachel nie sama ukazała się na jego horyzoncie, zeszła ona ciągnąc za sobą dawno w zimnym grobie zapomnienia spoczywającą *tragedyą*, która zbudzona zaklęciem swój kapłanki, wstała i przemówiła przez jej usta, a przez jej postać, ukazała się znowu w całym swym starożytnym splendorze zdumionej falandze romantyków, co ją z purpury odarłszy, pogrzebali, pewni, że nigdy nie zmartwychwstanie. Geniusz Racheli rozbroił nawet najzaciętszych wrogów klassycyzmu; trzeba im oddać tę sprawiedliwość, że odrzuciwszy na bok osobistości, ukłękli pierwsi przed dziełami Cornella i Racina, wyznając, iż ich przedtém nie znali. *Fedra*, *Cynga*, *Horacyusze*, *Cyd*, *Andromaka*, *Poljeukt*, które przed wystąpieniem Racheli odgrywano zwykle w pustym teatrze, ściągaly teraz tłumy, nie mogące się nasycić nieznaną dawniej szczytną pięknoscia, nagle przez geniusz wielkiej tragiczki odslonioną. Dochód z samych sztuk klassycznych, w których występowała Rachel, przyniósł teatrowi francuzkiemu w ciągu lat dwunastu blisko sześć milionów fr. czystego dochodu.

Okolo 1844 roku, mając już 27,000 fr. stałej pensyi w *Théâtre Français*, Rachel zaczęła występować w dramatach Wiktora Hugo, Dumasa, Augiego, Ponsarda, pani Girardin i innych tegoczesnych autorów. Ale we wszystkich tych sztukach odarta z draperyi, malała do

niepoznania. Surowy, prawdziwie grecki jej geniusz, nie mógł się w żaden sposób nagiąć do drobiazgów codziennego życia; marmurowa jej twarz bez uśmiechu, nie zdolna do kobięcych minoderyi; oczy palające ciemnym ogniem starożytnych bohaterek, ruchy i kibić nacechowane posągową pięknnością, którejby jej sam Fidasz pozazdrościł, w nieustannej pozostawały sprzeczności ze strojem dan tegoczesnych; cała jej postawa nie wedle form konwencyjonalno-niewieścich, ale wedle greckiego ideału urobiona, energicznie odpychała świecidła i gałganki, któremi dziś kokietki powaby swoje przysłaniają; wachlarz w jej ręku wnet przemienia się w sztylet, obnażone ramiona wołały o draperyą, a noga zamknięta w modnym trzewiku, koturna dopominała się widocznie. Słowem, Rachel w sukni *panny de Belle-Isle*, w brylantach *Adrieny Lecouvreur*, lub w robronie *Lady Tartuffe*, wydawała się jakby Venus Milo: w krynolinie i spadającym z głowy kapelusiku *à la bibi*.

Wrażenie téj niestosowności było nader niemiłe. Mimo to, i w tych rolach Rachel ściągała tysiące ludzi zawsze chciwych jej widoku i podziwiających jej talent z bezprzykładną stałością. Podatek, który w zamian za doznane wrażenia świat cały złożył u stóp wielkiej artystki w ciągu jej dwudziestoletniego zawodu dramatycznego, rachują na 12 milionów fr. Z tych dwa pozostawiła dla swych dwóch synów.

Rachel skąpa dla obcych, była nader szczodra dla rodziny, którą kochała niezmiernie. Ogromne swe dochody (zarabiała bowiem po 400 i 500,000 fr. rocznie) dzieliła skrupulatnie pomiędzy cztery siostry i brata, sędziwych zaś rodziców otaczała staraniami i zbytkiem, zawsze z ową subtelną delikatnością dusz wybranych, które nietylko nie domagają się wdzięczności, ale szczerze dziękują tym, co przyjąć raczyli. Jeden przykład z pomiędzy wielu, da pojęcie o téj miłości rodzinnej.

Młodsza siostra Racheli, Rebeka, także aktorka w *Théâtre Français* zapowiadała wielkie zdolności dramatyczne. Dla rychlejszego rozwinięcia jej talentu, Rachel, która usilnie nad jej wykształceniem pracowała, chciała jej dać jeszcze konieczną artystom niezależność. Pewne-

go tedy wieczora, kiedy występowały razem w *Angelo* Wiktora Hugo, starsza w roli *Thisby*, młodsza w roli *Katarzyny*, po ukończonej reprezentacji, Rachel rzecze do Rebeki:

— Grałaś jak anioł, moja droga, muszę cię nagrodzić: jedźmy do ciebie na kolacją.

— Jakto do mnie?—odparła zdziwiona siostra—cheesz chyba powiedzieć do rodziców.

— Nie; do ciebie—zawołała Rachel—jedziemy do ciebie, oto masz klucz.—To mówiąc *Thisbe* oddała *Katarzynie* klucz nieco większy od tego, który jej powierzył Podesta Angelo; poczem obie siostry siadły do powozu Racheli i w parę minut stanęły przed eleganckim hotelikiem, położonym tuż obok wspaniałego pałacu sławnej tragiczki. Rachel pociągnęła zdziwioną siostrę do drzwi domu, które otworzyła im stara służąca, piastunka całego rodzeństwa. Uściskawszy starą, Rebeka szła już śmiało dalej, w coraz to nowe wpadając niespodzianki. Z przedpokoju wbiegłszy do sali jadalnej, zastała prześlicznie zastawioną kolacją, dalej sypialnią, urządzoneą z wszelkimi wygodkami, dalej wykwintny salonik, dalej buduar, za nim kuchnię przepelnioną łakociami, bufet wypchany bielizną, srebrem i porcelaną. Widząc wszędzie dostatek, wszędzie macierzyńską troskliwość, rumiana szczęściem dziewczyna, ze łzami rzuciła się na szyję siostry, która rzekła z uśmiechem: „Wszystko to twoje, a teraz kochana gosposiu, siadajmy do stołu i daj mi co zjeść, bom głodna.”

Trudno podarować komu dom w przyjemniejszy sposób; samo umeblowanie jego kosztowało Rachelę 20,000 franków.

Łoża panny Rachel w *Théâtre Français* składała się z trzech pokoi. Najpierw był rodzaj garderoby dokoła zastawionej szafami, w których wieszano *chlamydy*, tuniki lniane, purpurowe płaszcze, słowem, cały bazar tragiczny. Z téj garderoby wchodziło się do obszernego salonu, a z niego do ubieralni. Salon był wybity białym jedwabnym adamaszkiem, przedzielanym pasami z karmazynowego aksamitu. Podłogę zaścielał miękki ciemnoniebieski dywan; naprzeciw komina, którego marmurową

plytę przepelniały wyborne dzieła sztuki, stała ogromna półkolista kanapa, strojna jak ogród w najpyszniejszych kwiatach. Wielkie zwierciadła, aksamitne draperye ze złotymi frendlami, i alabastrowe lampy o przyćmionym blasku, kompletowały umeblowanie tego wspaniałego salonu paryżkiej Melpomeny.

Przyboczny gabinet gdzie się ubierała, był wybity różowym atłasem; prócz wielkiego zwierciadła i gotowni w starożytnym smaku, nie było w nim innych mebli. Tam każdego wieczora, którego występowała Rachel, zgromadzała się cała jej rodzina; cztery siostry: Sara, Rebecka, Lia i Dinach, służyły jej za garderobiany; brat Rafael admirał wspaniałe stroje *Fedry*, *Emili*, *Hermiony*, *Kamilli*, czy *Andromaki*; rodzice zaś zdawali relacyą kasową, powtarzając na wszystkie tony genialnej córce, ile tysięcy, setek, dziesiątek i centimów przyniosło jej dziśniejsze wystąpienie.

Do tego *sanctum sanctorum* nigdy nie wchodził nikt prócz członków rodziny Felix. Przyjaciele, wielbiciele, gazeciarze, hrabiowie i książęta, w salonie czekali na łaskawe wejrzenie lub przyjemne słówko, które nie zawsze usłyszeli; nieraz bowiem zdarzyło się, że podczas kiedy adoratorowie smażyli komplementa, poprawiali krawaty, gładzili włosy i naciągali rękawiczki; Rachel przebrawszy się, wychodziła ze swego gabinetu innemi drzwiami, siadała do powozu i dawno już była w domu, kiedy w łóżku jeszcze na nią oczekiwał tłum dostojnych gości.

Ze wszystkich miast zagranicznych Londyn najwięcej złożył hołdów Racheli. Królowa dała przykład, wkładając sama na jej rękę sławną bransoletę z napisem: *Victoria Reine à Rachel*. Bezprzykładna łaska monarchini otworzyła Racheli wszystkie najpiérwsze salony; bransoleta królowej, jak pierścień padyszacha, odmykała przed nią najniegościnniejsze podwoje arystokracji angielskiej. Lordowe znosiły jej kosztowne dary, najpiérwsi dostojnicy państwa oddawali wizyty i pisali do niej pochlebne odezwy. Pomiedzy ogłoszonymi, znajdujemy następujący list księcia Wellingtona:

„Londyn, 9 lipca 1842 roku.” — „Marszałek książę Wellington składa swe hołdy u stóp panny Rachel, oraz



ma honor zawiadomić Ją niniejszém, iż kazał zamówić lożę, ażeby mógł być na Jój benefisie. Książę pragnie gorąco znajdować się na tej reprezentacyi, i będzie na niej niezawodnie, jeżeli tylko zdoła wydaleć się dnia tego z posiedzenia parlamentu, którego jest członkiem. Książę będzie w rozpaczy, jeżeli okoliczności pozbawią go rozkoszy oglądania raz jeszcze panny Rachel na scenie londyńskiej."

Powyższy list wiele traci w tłumaczeniu, albowiem francuzki styl zwycięzcy Napoleona, jest co w nim najciekawszego.

Ciało Racheli przywiezione do stolicy 6 stycznia, odprowadzone zostało na cmentarz izraelski przez wszystkie znakomitości paryzkie. Prócz artystów zgromadzonych w komplecie, widzieliśmy w orszaku żalobnym kilkunastu członków Instytutu, i kilku ludzi stanu. Ponieważ religia zmarłej sprzeciwia się stawianiu pomników na grobach, posąg Racheli z karraryjskiego marmuru, którym już zajęli się tutejsi najznakomitsi rzeźbiarze, stanie w przedsionku teatru francuzkiego, obok posągów genialnych mężów, których dzieła tak szczytnie wypowiadała.

---

Proces wytoczony temi dniami przed tutejszy trybunał, odsłonił światu tajemnice współpracownictwa Dumasa z Maquetem. Pan Maquet uważany powszechnie za sekretarza sławnego Dumasa, dowiódł sądownie, że jest współpracownikiem ośmnastu romansów, które wyszły z podpisem Alexandra Dumasa, pod następującemi tytułami: *le Chevalier d'Harmental*, *Sylvandire*, *les Trois Mousquetaires*, *Monte-Cristo*, *Vingt ans après*, *la Reine Margot*, *Une Fille du Régent*, *la Guerre des Femmes*, *la Dame de Montsoreau*, *le Batard de Mauléon*, *le Chevalier de Maison-Rouge*, *les Quarante-Cinq*, *les Mémoires d'un Médecin*, *le Vicomte de Bragelonne*, *Olympe de Clèves*, *l'Ingénu*, *la Tulipe noire*, i, *Ange Pilou*.

Adwokat Maqueta, p. Marie, i adwokat Dumasa, Duperdy, w obronie swoich klientów przytaczali mnóstwo listów, które obie strony podczas swój kilkonastoletniej

kollaboracyi do siebie pisywały: są to pochodnie rozświecające francuzką kuźnię literacką. Zajmującą jest rzeczą widzieć, jak dwie dzielne intelligencye spotkawszy się z sobą i razem do pracy zaprzęgli, budzą się nawzajem wytryskami życia i dowcipem. Listy tych dwóch współpracowników ważniejsze, niż sam proces, są jakby rozmową dwóch kół maszyny parowej, wiozącej zabawki świata, który ani się domyśla jakie były prace, kłopoty i zajęcia owych biegunów.

Stosunek i współpracownictwo Dumasa z Maquetem, datuje od 1842 roku. Dumas miał wtedy już wielką sławę, Maquet bardzo jeszcze młody, był professorem uniwersytetu i poświęcał się wyłącznie nauce. Ale żywa wyobraźnia jego nie znajdując tam dostatecznego dla siebie pokarmu, rwała się do poezyi. Napisał tedy kilka powieści, których obyczajem paryzkim, żaden wydawca drukować nie chciał dlatego, że były podpisane nieznanym nazwiskiem.

W owymto czasie, Maquet dręczony niepowodzeniem swych płodów, spotkał Dumasa. Ten ze zwykłą sobie bystrością, oceniwszy odrazu zdolności młodzieńca, zawezwał go do współpracownictwa, które, jak się łatwo domyślić, Maquet przyjął skwapliwie. Kollaboracya wkrótce rozpoczęła się na wielką skalę; powieści i dramy sypały się jak z rękawa; publiczność widząc imię Dumasa figurujące na najrozmaitszego rodzaju dziełach, nie mogła się wydziwić jego wszechstronności; niektórzy podejrzewali iż ma współpracowników, ale opinia powszechna przeczyła temu, twierdząc uporeczywie, że wszystkie te prace są pióra jęj ulubionego autora. Mniemanie to, choć przez samego Dumasa publicznie zbijane, w Paryżu trwało aż do dziś dnia. Znaczenie Maqueta teraz dopiero wyszło na jaw.

Dwaj przyjaciele, gdyż obaj ci panowie ścisłą byli związani przyjaźnią, w poufnj pogadance, zwykle przy obiedzie lub śniadaniu układali ogólny plan romansu; plan ten rozważony i poprawiony przez każdego z osobna, później drugi raz wychodził na stół; przejrzawszy go raz wtóry, współpracownicy dzielili na części, i stosownie do zdolności lub usposobienia, rozebrawszy pomiędzy siebie,

wypełniali z tak wielką jednością i zgodą, że najbieglejsze oko dotąd dopatrzeć nie może gdzie się kończy Dumas, a gdzie Maquet zaczyna. Rozpocząwszy romans jaki, obaj współpracownicy żyli już tylko fikcyjnym życiem swych bohaterów. Tysiące bilecików, któremi zawiadamiali się o postępie pracy, krążyły między nimi nieustannie. A propos *Chevalier de Maison-Rouge* Dumas pisze do Maqueta:

„Dopiero dziś rano przejrzałem coś napisał; widzę, żeś bohaterkę zostawił w Temple. Czyby nie lepiej było ułożyć plan ucieczki i dopiero skoro się nie uda, zaprowadzić ją do Conciergerie? Możliwy byłoby coś pięknego zrobić z tego młodego konspiratora zakochanego w królowej, jak Mortimer w Maryi Stuart. Pomyślno, jakby go do niej wprowadzić, ja pomyślę jak do nich wprowadzić czytelnika. Obrób mi tę scenę starannie z właściwą sobie oryginalnością”.

Z powodu *Reine Margot* znowu taki bilecik Dumasa:

„Co się stanie z Demourym? donieś mi, na Boga! bo nie mogę iść dalej ślepy na oba oczy. Jakie efekta wyciągnęłaś z pozycyi wierzyciela Coconasa? Trzeba go zrobić okrutnym, nie podłym. Tylko prędko, prędko, prędko!”.

Na to Maquet: „Scena będzie jak życzysz”.

A propos *Monte-Cristo* pisze Dumas:

„Dotąd nie źle idzie mimo sześciu kart zamazanych polityką; dalsze będą ciekawsze, przez co te jakoś się przełkną, à Vous, et piochez!”

Monte-Cristo był najprzód ogłaszany w feiletonie *Debatów*. Raz zdarzyło się, że feileton wygotowany przez Maqueta zaginął w drodze. Dumas pisze więc do niego: „Twój zwitek zginął!! To istna kara Boża! Słowo honoru! Napisz co rychlej drugi taki, siedź, choćby całą noc. Uwiadomij niezwłocznie Debata, że feileton zaginął, i że muszę go pisać powtórnie; a jak tylko skończysz, poślij!”

Słowa: „napisz taki drugi, a uwiadomij Debata, że go muszę napisać”, są wyborne. Pokazuje się z nich, że szanowny autor Monte-Crista nie tylko go całkowicie nie napisał, ale nawet nie widywał manuskryptu. Adwo-

kat Dumasa utrzymuje, że to tylko ten raz jeden dlatego, że był chory.

A propos *Brigelony* tak znowu pisze Dumas do Maqueta:

„Najprzód, jak się masz? To coś napisał, wyborne. Posyłam ci tak zwany pamiętnik panny La Vallière; jest tam do obrobienia śliczna scena: wejście Atosa niosącego na rękę La Vallière z wywichniętą nogą. Miała ona wtedy lat pięć, dajmy jej dziesięć, stanie się więcj zajmująca. Dowiedz się od swego doktora, któryto nerw nadwężony tak okulawia na całe życie”.

Jeszcze à propos *Maison Rouge* pisze Dumas:

„Rozdział, któryś mi przysłał, wyborny; mianowicie to mi się podoba, że taki uczony. Ale powiedz mi w dwóch słowach, gdzie nas ta nauka prowadzi? Tylko prędko! Tylko prędko! Musimy w tym miesiącu dokazać rzeczy niepodobnych. Piochez! piochez! piochez”!

Z początku za tak dzielną pomoc, Dumas płacił współpracownikowi swemu 300 i 400 fr. od tomu. W 1845 zobowiązał się zapłacić Maquetowi za udział w pracy sumę 145,000 fr., ale Maquet później rzekł się na piśmie wszelkich pieniężnych do Dumasa pretensyj. List ten Maqueta ważną grający rolę w obecnie wytoczonym procesie, wywołał publiczne przyznanie współpracownictwa Maqueta przez Dumasa, w odpowiedzi Towarzystwu Literackiemu, które zarzucało mu, iż się sam podpisuje na dziełach z cudzą pomocą napisanych. Oto ustęp z tego listu Dumasa:

„Zanim w dalsze wdamy się rozprawy, odpowiedzcie mi panowie na następujące pytania: Czy jest nadużyciem stowarzyszenie dwóch ludzi wiążących się z sobą na to, żeby produkować? Czy moja z Maquetem spółka oparta na dobrowolnej umowie, zaszkodziła komukolwiek, lub czemu bądź? W ciągu dwóch lat napisaliśmy oba ośm tomów *Muskietarów*, dziesięć tomów dalszego ciągu tychże *Muskietarów*, *le Chevalier de Rougeville*, *la Reine Margot* i *la fille du Regent*, razem 45 tomów. Czyż *Siècle*, który ich ogłaszał i Baudry, który ich wydawał źle wyszli na *Muskietarach*? albo wydawcy *Córki Regenta* czy mało na niej zarobili”? i t. d.

Maquet uszczęśliwiony powyższym listem, którym Dumas współpracownictwo jego przyznał, odpowiedział mu następującem:

„Drogi przyjacielu! Współpracownictwo nasze obywatwało się dotąd bez liczb i kontraktów. Przyjaźń, rzetelne słowo, wystarczały nam tak zupełnie, żeśmy napisali półmilionia wierszy o sprawach cudzych, nie pomyślawszy nigdy, żeby słowo o naszych własnych napisać. Ale pewnego dnia musiałeś przerwać to milczenie, ażeby nas obu obmyć z potwarzy, ażeby mi uczynić najwyższy zaszczyt jakiego mogłem dostąpić, ażeby przyznać publicznie, iż napisałem wraz z tobą kilka powieści. Wolno ci zrobić mnie sławnym, kochany przyjacielu, ale nie wolno płacić mnie dwa razy; czyż mi już nie zapłaciłeś za książki, któreśmy razem napisali? Jeżeli ja nie mam od ciebie kontraktu, ty nie masz odemnie pokwitowania. Tak być dłużęj nie może; na wypadek mojęj śmierci, jaki chciwy spadkobierca uzbrojony twoją deklaracją, może u ciebie dopominać się należytości, którą odebrałem. Za list, daję więc list, i oświadczam:

„Ze od dnia dzisiejszego zrzekam się wszelkich praw do dzieł, któreśmy razem napisali, tojest: (następuje wymienienie dzieł); uważając się raz na zawsze w zupełności wynagrodzonym przez Ciebie wedle naszej ustnej umowy. Schowaj ten list, drogi przyjacielu, żebyś go mógł pokazać chciwemu spadkobiercy, i powiedz mu zarazem, iż za życia czułem się bardzo szczęśliwy i wysoko zaszczycony będąc współpracownikiem i przyjacielem najświetniejszego z romanso-pisarzy francuzkich.”

Wyrok dotąd nie zapadł, ale jak to wnosić można z obrad, powyższy list Maqueta, wygraną na stronę Dumasa przechyli.

Wyszły dwie książki o Włoszech: *Neapol* przez Karola Paya, i *Historja Włoch*, przez p. Ricciardi. Ze wszystkich kwestyj zagranicznych, i ze wszystkiego co nie jest Francją, jedne Włochy obchodzą rzeczywiście Francuzów i posiadają ich *niczém* niezachwianą sympatją. Nie ma Francuza, któryby mimo swego zmateryalizowania nie

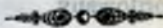
znalazł w sercu jakiegoś słowa spólcucia, jakiegoś gorącego wykrzykniku, ilekroć mowa o rozciągnionej na śmiertelném łożu pośród ciemnych mirtów i białych posągów, pięknej Italii. Oba przeto wymienione dzieła chciwie są czytane w Paryżu. Pan Paya wypowiedział historią Neapolu nieco szczegółowiej niż *Niema z Portici*, której gesta były dotąd prawie jedynym organem opowiadającym światu smutne dzieje tego raju ziemskiego. Szkoda, że autor zbyt treściwie skreślił historią tego kraju od starożytnych aż do nowszych czasów, a cały zapas wiedzy włożył w opowiedzenie wypadków zaszłych tamże pod koniec XVIIIgo, i w ciągu bieżącego stulecia. Dzieje narodu obrobione z tą samą dokładnością i talentem od początku do końca, zasługiwałyby na miano historyi; tak, są tylko do niej materyałem.

Pan Ricciardi zajmuje się wyłącznie wypadkami zaszłemi we Włoszech w ciągu ostatnich lat kilku. Książka ta pełna ciekawych szczegółów, jasno i poprawnie napisana, doskonałym jest poradnikiem dla każdego, kto się chce rozpatrzeć w długiem pasmie bezowocnych usiłowań, które Włochy w ciągu ostatnich lat dziesięciu ku swemu oswobodzeniu dokonały.

— Pan Granier de Cassaignac wydaje tygodnik literacki pod napisem: *le Reveil*. W artykule *Silence à l'orgie* redaktor powstaje mocno na obecną literaturę francuzką, woła o poprawę smaku i zawraca do klassycyzmu. Pismo to jest pod szczególną opieką rządu. *Revue de Paris* została skasowana. Doktor Veron ma wydawać także tygodnik literacki pod tytułem: *l'Intelligence*; w piśmie tém jak słyhać, ma się drukować *Córka milionera*, której pan Girardin w teatrze przedstawiać nie chce.

— Pan Philippe ogłosił życie Royer-Collarda w tymże samym duchu co Villemain życie Chateaubrianda, to jest, w liberalnym.

— Pan Augier zajął w Akademii fotel po zmarłym hrabi Salvandym. Większa połowa mowy jego była poświęcona pamięci znakomitego poprzednika. Odpowiadał nowemu członkowi pan Lebrun, trzymając się formy przyjętej raz na zawsze w tego rodzaju obchodach.



## GLADYATOR.

Choć mi szepcą duchy cielesne,  
Ze górne ścieżki potrzeba mijać;  
Ze trzeba wierzyć w szczęście doczesne  
I harmonijnie duszę rozwijać:  
Czuję, że życie jest rozdwojone.  
Ach! rozdwojone i niezgodzone  
Jak dwa stronnictwa w domowej wojnie;  
Nie chcą się zjechać dla wspólnej rady,  
Użyć nie mogą zgodnej biesiady,  
Pod jednym dachem mieszkać spokojnie!

Żaden pośrednik nie zda się na nic;  
Krwawo im słońce codzien zachodzi.  
Z sąsiedzkich domów, z sąsiedzkich granic,  
Każde spojrzenie nienawiść rodzi:  
I tak dziedzicznie, z ojca na syna,  
Codzień się stara zwada zaczyna,  
Codzień się srożą stare stronnictwa,  
Dopóki jedno nie weźmie góry:  
Wytępi braci, rozbije mury,  
I opanuje resztę dziedzictwa.

Tak samo w duszy, wiem to dokładnie,  
Wojnę prowadzą anioł i zwierzę;  
Kto kogo zwalczy nikt nie odgadnie  
Dopóki żyją oba szermierze.  
Lecz doczekamy pewnie téj chwili  
Gdy się stanowczo szczęście przechyli:  
Wtedy zwycięzca policzy rany,  
I zwolna schodząc z pobojowiska,  
Jako gladyator wróci z igrzyska  
Pokaleczony i zmordowany.

Anioł zwycięzca z szarego zmierrchu  
 Na coraz bielsze wzniesie się góry,  
 A gdy doścignie jasnego wierzchu,  
 Odmłodnionemi wzbije się pióry;  
 Zwierzę zwycięzca przez ciemne drogi  
 W jakieś nieznanne zstąpi rozłogi;  
 Nienasyconą pałając chęcią  
 Coraz to głębsze zmierzy otchłanie,  
 I z pustem sercem tam pozostanie,  
 A co najgorsze, z wieczną pamięcią!

—————

WYWIŚĆ

Tęka wileńska, wydawnictwo przez Jana z Szamara. Numer  
 pięćdziesiąt str. 278. Winię. Drukarnia  
 Teofila Głackiego. 1851. W 8-ku.

W całość pięćdziesiąt wierszy, wydawać pomógł kantar Władz-  
 sława Sytkomli, p. nr. 1. Francuska a. 1851.  
 Niek poezja myśli x dzieła znanego Fryd. Oannana (1).  
 w którym tak wydatnie postać św. Franciszka. Cały utwor nace-  
 chowany wysokim liryzmem powstawał i do osjodlatniejszych  
 Sytkomli należy. Mały ustęp pięknie słowami świętego Franciszka  
 da nam mniej wartości tej książki.

SPÓWIK

Nie wam, nie wam  
 Polakom tam  
 Gdzie nasz pieśń dostrofił  
 Nad pięknym ciałem  
 Gdzie piękny dzień  
 Franciszku i nasz

FRANCISZK  
 O tam nadszły pieśń  
 I pieśń, i pieśń  
 Nie wam, śpiewajcie pieśń,  
 Nie wam, nie śpiewajcie, obłoda  
 Pann samotna śpiewa  
 Pann samotna śpiewa  
 O tam nadszły pieśń  
 O tam nadszły pieśń

(1) Les poezes Franciszka en latin et en français de l'abbé de Paris, 1851.  
 Z dzieł tego oboparcie wydał w przekładzie S. K. J. (Francuski), podał  
 także rękopis w piśmie rękopiśm.



## KRONIKA LITERACKA.

*Teka wileńska, wydawana przez Jana ze Śliwina. Numer pierwszy str. 276. Numer drugi str. 316. Wilno. Drukiem Teofila Glücksberga. 1857. W 8-ce.*

Na czele pierwszego zeszytu, wydawca pomieścił kantatę Władysława Syrokomli, p. n.: Franciszek z Asizu.

Nasz poeta myśl wziął z dzieła znanego Fryd. Ozanama (1), w którym tak wydatnie postać św. Franciszka. Cały utwór nacechowany wysokim liryzmem poetycznym, i do najudatniejszych Syrokomli należy. Mały ustęp pieśni *słowika* i świętego Franciszka da nam miarę wartości tej kantaty.

### SŁOWIK.

Nie wam, nie wam  
Dolecieć tam,  
Gdzie nasza pieśń dostrzeli;  
Nad piętra chmur,  
Gdzie pieją: chór,  
Ptaszkowie i anieli.

### FRANCISZEK.

On sam nauczył pieśni  
I ptaka, i Cheruba:  
Nie wam, śpiewacy leśni,  
Nie wam, niebiescy, chluba!  
Panu samemu cześć,  
Panu samemu sława:  
On pieśniom daje treść,  
On dźwiękiem je napawa!

(1) *Les poëtes Franciscains en Italie au treizième siècle etc. Paris. 1855.* Z dzieła tego obszernie wyciągi, w przekładzie S. z Z. Pruszkowój, podaliśmy roku zeszłego w piśmie naszym.

## SŁOWIK.

Znam pieśń człowieczą, znam:  
 To twardych słów igraszka!  
 Ludzie, nie wam, nie wam  
 Pieśnią prześcignąć ptaszka!

## FRANCISZEK.

Bracie, śpiewaku drzew,  
 Człek się nie upokorzy:  
 Silniejszy jego śpiew,  
 Nótą miłości Bożej!

## SŁOWIK.

Ptaszkowa modlitwa strzelista, głęboka!  
 On Pana ogląda w widniejszym zakresie,  
 On cuda natury ogląda z wysoka,  
 Modlitwę na skrzydłach do niebios doniesie  
 Bez egoizmu plam,  
 A wyspiewaną prościej!  
 Ludzie, nie wam, nie wam  
 Prześcignąć nas w miłości!

## FRANCISZEK.

Bracie, śpiewaku kniej,  
 By godnie kochać Pana,  
 Wy macie środków mniej,  
 Bo ptaszkom iza nie dana.  
 My czujem tylko sami  
 Urok miłości Bożej:  
 Gdzie człowiek złany łzami  
 W ziemskim się prochu korzy,  
 Myślą przebiega góry,  
 Nurtuje otchłań wody.  
 Przebija czarne chmury,  
 Leci na księżyc młody,  
 Do gwiazd, do mlęcznych dróg,  
 I widzi ze wszech stron,  
 Że wszędzie Bóg,  
 Że wszędzie On!

On w chwale majestatu  
 Założył wszędzie tron:  
 W słońcach i pyłku kwiatu,  
 Wszędzie On!  
 Zawsze On!

A chcecie ujrzeć mocarza,  
 Co słowem światy utwarza?

Patrzcie na tój góry szczyty!  
 Stroma, straszna ze wszech stron!  
 Tam człowiek na krzyż przybity:  
 To On!

Z pod cierniowej korony krew z czoła mu tryska:  
 Ciżba widzi w nim lichy cel urągowiska.  
 Błaga o kroplę wody przykowan do drzewa:  
 A z rozdartej swój piersi zdroje krwi wylewa,  
 Zdroje łaski dla ludzi, i w skonania chwili  
 Modli się za oprawców, co go umęczyli.  
 Kiedy patrzą nań ciekawi,  
 Gdy się znęca zgrają sług,  
 Okiem światu błogosławi:  
 To On... to Bóg!

To miłość Boża, to duch wcielony!  
 O gdzież te słowa? o gdzież te tony?  
 Gdzie jest piosenka, co w rym posplata  
 Tę wielką miłość Boga do świata?

Kocham Cię Boże, całą istotą!  
 Tłumne uczucia piersi mi gniołą,  
 Tysiące hymnów szumi mi w głowie:  
 Lecz nie wyśpiewam, lecz nie wysłowię!  
 Najwyższa pieśń, gdy w proch się korzę,  
 Jęcząc ze łzami: kocham Cię, Boże!..

Obok takiego utworu Syrokomli, bladeo musi wyglądać wiersz Karoliny *Proniewskiej* p. n.: *Trzy promienie ducha*: widoczne naśladowanie Deotymy. Ale co temu potężnemu talentowi przystało, i co mu właściwe, w naśladownictwie zawsze znaleźć musi i utracić wartość. Bo każde naśladownictwo największy zkoślawi talent, a cóż mówić tam, gdzie jest tylko gładkość wiersza, bez natchnienia poetycznego. Radzimy *śpiewacze Żmudzi*, aby porzuciła drogę naśladownictwa, a poszła właściwszą sobie, idąc za samodzielnym natchnieniem: w takim kierunku może uwydatnić talent swój, i stanąć jeżeli nie obok Deotymy, Pruszkowej i Ilnickiej, to po nich zając miejsce i zapisać swe imię w literaturze ojczyźstjej. Musimy tu zwrócić uwagę redaktora Teki na jego nieoględność w układaniu artykułów swego pisma. Poezye i wiersze, jakie ma, bez względu na treść ich i wartość w jednym ciągu podaje: ztąd wynika, że piękniejsze nawet utwory tracą wiele w złem towarzystwie, a słabsze w zupełnej nagości ubogiej stają. Tak w drugim zeszycie Teki mamy 40 stronnic wierszy, w których bardzo szczupłą miarę znaleźliśmy poezyi. Na czele znowu postawić musimy śliczną gawędę Sy-

rokomli p. n.: »*Procedencye szklanicy miodu*«. Ilez tu szlachetnych, pięknych myśli, jakie pojęcie ubiegłej przeszłości ojczyściej, oddanej językiem pełnym wdzięku i energii! Wincenty Korotyński dał kilkanaście mniejszych utworów poetycznych p. n.: »*Okruchy*.« Nieraz mieliśmy sposobność wspomnienia o tym młodym, z prawdziwym poetyckim talentem pracowniku naszym. Brakuje mu jeszcze trafnego wyboru przedmiotu, ażeby rozwinął go w całości: ludowe przedmioty które wybiera (np. Tomiło), nie zupełnie przystają do miary jego talentu; mimo to, widoczne ślady niepospolitego namaszczenia poetycznego dał nam niejednokrotnie. Ze wszystkich w 2gim zeszytcie ogłoszonych poezyj, zwraca szczególnie uwagę wiersz poety rosyjskiego *Benedyktowa*, w przekładzie Kazimierza Szlagiera p. n.: *Rok 1857*, który tu w całości przywodzimy:

Nowy Rok już świta,  
Północ daje znać:  
Z tobą, stary, kwita!  
Ruszał sobie spać!

Lecz zbyt może srogo  
Sądzi starca ktoś;  
Dał on dość ubogo,  
Zawsze dał nam coś.

Sądząc go, nie błądźmy:  
Nie był dzikim on,  
A i to, osądźmy,  
Jedna z dobrych stron.

Nie był on miotany  
Przez morderczy bój,  
W nim koronowany,  
Rossyo, ojciec twój.

Zniknął z twarzy smutek,  
Bólem nastał kres;  
W jego łaski skutek  
Dużo oschło łez.

Coś się powiedziało  
Z rozmaitych stron,  
Coś się zawiązało  
W przyszłych czynów płon.

Nowe kwestye wszczęte  
Nie są głosem czcym;  
Sąto prawdy święte,  
Odpowiedzmyż im!

Dobrych czynów ziarno  
Sieją w Boży lud;  
Więc nie zginie marno,  
Wzrośnie płonów cud.

Nim się rok przeniesie,  
My stworzymy wiek:  
W górę, w górę pnie się,  
W niebo dąży człek.

Prawdy kto nie kocha,  
Jój nie słucha słów,  
Zdrzёмnął w drodze trocha:  
Bywaj bracie zdrow!

Zostań w mdłej czeredzie,  
Gdy biedz nie masz sił:  
Lecz tych co na przedzie  
Nie odciągaj w tył.

Długo prawdy blaski  
Ćmiła fałszów noc:  
Błysnął promień łaski,  
Pęknie piekiel moc.

Każdy dziś pamięta,  
Że chce prawdy świat,  
Że są remanenta  
Z upłynionych lat!

Chwała tobie Boże,  
Nasz wygrany bój!  
Próżno ludzi trwoży  
Wstecznych dążeń rój.

„W oczy prawdę palą!”  
 Krzyczy światła wróg:  
 „Oni świat obalą,  
 Niech nas chowa Bóg!  
 Jadem, złością dyszą,  
 Czas ich zamknąć, czas!  
 Piszą, piszą, piszą,  
 Aż opiszą nas!  
 Pnie się gawiedz w górę,  
 Chce na słońcu lśnić;  
 Znam ja jój naturę,  
 W mrok ją, w mrok ją skryć!  
 Od burz i powodzi  
 Zbawiłby nas mrok:  
 Przyciem światło szkodzi  
 Na nasz słaby wzrok.”

Prawiz to rodacy  
 Walki z światłem chcą?  
 Nie! to nocni ptacy,  
 O, to gady są!

Znam ja tych zelotów,  
 Co ten wnoszą głos,  
 W masce patryotów  
 Gubią kraju los.

O! to syn ciemności,  
 By swą drogą wieść,  
 Chciałby, w piekiel złości,  
 Pismo, mowę znieść.

Gdzie ruch unysłowy,  
 Gdzie dźwięk prawdy słów,  
 Widzieć on gotowy  
 Zapalenie głów.

Gdzie nie czysta sprawa,  
 Światło sprawia dreszcz,  
 Kiedy groźnie stawa  
 Z mocą słowa wieszcz.

Komu grabież, wziętek,  
 Znaczy w Bogu żyć,

Tenby w ciemny kąt  
 Chciał tu wszystkich skryć.

Próżno fałsz swój szerzy,  
 Nic nie wskóra nim:  
 Bo już nikt nie wierzy  
 Dziś paniczom tym.

Dziś się polubiło  
 Nagą prawdę już!  
 Daj, by prawdzie było  
 Światło wszzerz i wzdłuż!  
 Nie chlub się twym stanem,  
 Nie dbaj o swój ród,  
 Bądź z rozumu panem,  
 Dygnitarzem z cnót.

Nieszczęść nadzwyczajnych  
 Marą nas nie kuś:  
 Nie ma tu zdrad tajnych,  
 Próżno straszysz Ruś.

W światło Ruś, bez trwogi,  
 Idzie z grubych chmur:  
 Miałbyż ptak złowrogi  
 Wstrzymać orłów chór!

Jakąż błogość czuje  
 Ona w piersiach swych!  
 Bo zatryumfuje  
 Nad ciemnotą złych

Bo w wieniec laurowy,  
 Gdy rozproszy mrok,  
 Ją uwieńczy nowy  
 Teraźniejszy rok.

Kraj się nasz nie złęknie  
 Nieprzyjaciół hord:  
 Bo przed prawdą klęknie  
 Najbitniejszy kord.

Nowej ery zorzą  
 Błyśnie kraj tych pól,  
 Gdzie miłością Bożą  
 Rządzi światły król.

Antoniego Pietkiewicza (Adama Pługa) *Piastunka. Relikwie z pocziwój przeszłości*: jestto rodzaj serdecznej opowieści, w której tak znaczne i szlachetne pióro Pługa celuje. Lucyan Siemieński w sprawozdaniu o pierwszym zeszytach Teki, surowe i zbyt niekorzystne dał zdanie o tej pracy Pługa, i posądza o niską tendencją

tego pisarza, który jednakże żadnego prawa nie dał recenzentowi obrazkiem swoim do takiego podejrzliwego sądu (1). Nowosielski przyznaje mu wiele talentu, ale gniewa się znowu, że samych ludzi poczciwych tylko do *Piastunki* wprowadził (2). My tych zdań nie podzielamy. Obrazek ten, w obu zeszytach Teki zamieszczony, obszerniejszych rozmiarów, jest opowiedzeniem zdarzeń, które we wspomnieniach dzieciimych pisarza żywo się wypiętnowały. Mażże to dziwić i oburzać krytyka, że zachowawszy Pług całą żywość wspomnianych lat, kiedy tak kochał świat i ludzi, kiedy wszystko widział w takich barwach poetycznych, które spotęgowały się odległością czasu, gdy zamarły w rzeczywistości; że nie ścierając z tych wspomnień owego pyłku poetycznego, który je krasil jak wiosennego motyla, oddał je z dawnym zapatrzeniem się i w świat, i w ludzi. Są powieściopisarze, co zatracili w sobie to święte uczucie własnej młodości, których serce zestarzało się wraz z głową: u takich pierwsze już nie przemawia żadnym słowem młodości, głowa tylko osiwała, zbogacona doświadczeniem lat wielu, umie zręcznie rzucać na obraz i światło i cienie dla efektu artystycznego. Zapewne, że Pług niżej od wielu powieściopisarzy stoi, ale zaernością myśli, szlachetnością serca, nie ustąpi żadnemu. I jakkolwiek obrazek jego może ulegać wielu zarzutom pod względem artyzmu, to ma ustępy tak szczerze i rzewne, że czytelnik mimo woli łzę uронić musi.

Długie milezenie przerwał niedawno Bronisław Trentowski. Przed dziewięcią laty, w umiesieniu szlachetnym wystąpił z wymowną filipiką przeciw Niemcom: zdawało się, że pójdzie inną i właściwszą sobie drogą, ale niedługo ukorzył się w duchu, przeprosił się z Niemcami, i śladami ich idąc, osiadłszy napowrót w Frejburgu w Bryzgowii (w Wiel. księstwie Badeńskiem), opracował *dydaktykę*, z której *urywki* Teki nam podaje.

Maurycy Olgerbrand zawiązał jego pomocy i współdziałał do *Słownika języka polskiego*; o ile go zbogacił i uposażył własną terminologią filozoficzną, wykaże krytyka; my tu zwracamy uwagę głównie nad nłankami dydaktyki.

Trentowski okazawszy ważność rodziny, tak swoją mowę zwraca do rodziców:

»Jeżeli żądacie poczynać sobie mądrze i gruntownie, obowiązek wasz mieć na baczaniu głównie *rodzinę*: widzieć w niej *cel*

(1) Czas, dodatek, grudzień 1857 r.

(2) Gazeta Warszawska, nr 27, 1858 r.

bytu waszego, a w członkach jej li *środki i pracownicy do celu tego*; odróżniać ją od siebie samych, dziadów i potomków; kochać bardziej niż syny i córki, wnuki i prawnuki, brane z osobna; żyć i działać dla niej z poświęceniem samych siebie i wszelki pojedynczości, starać się o to, ażeby jako we wszechistnieniu i Bogu, tak w rodzinie waszej i każdym z was zlewała się wszystkość z jednością, a wyczyniała się Hegłowska idea bezwzględna, której treścią *kmiot-przedmiotowość*. *Zbożajcie*, o ile to na ziemi podobna, rodzinę za pomocą jej członków! Główne nieszczęście czasów naszych, iż *utraciły święte, głębokie rodziny znaczenie*, iż zamiast zbożo-obrazowienia rodzin dołu i wyniesienia ich przez to do równi z rodzinami góry, już zbożo-obrazowionemi, żądają zwierzo-obrazowie rodziny górne, lub równać je na gwałt z polipami i potworami dna morskiego brodu."

W ustępie drugim p. n.: *Cel rodziny* czytamy (str. 84): «Która z nich (z rodzin) poznała przeznaczenie swoje, i naznaczyła sobie kres, a mierzyła ku niemu wytrwale przez pokolenia, rozślawiła się dziejowo, żyje w świetności i czci, jest narodu swego ozdoba? Która zaś nie uczyniła tego, należała, należy i należeć będzie do społeczęńskich śmierci. *Gminowiec* mający sumienie i rozum, nie wyszydząć i ohydzać, lecz uwielbiać powinien wysokie rody, już z powodu, iż te dowiodły więcej znajomości rzeczy, cnoty i dzielności odrodu jego!"

Kończy autor ten ustęp następną przemową do rodzin polskich (str. 90): «Rodziców polskich obowiązek zostawić liczne, bezbożne nauki o równości i braterstwie, *na nizinach zwierzęcych*, lub *w otchłani*, do której *Bóg strącił szatana z wojskami jego*, płytkim ludowcom i głupim młokosom, a starać się po dawnemu, o *równość i braterstwo na wyżynach dziateczeństwa Bożego*, i paść się ku górze utorowanym już szlakiem, którym szły, idą, oraz iść będą, i u nas i wszędy, umysły głębsze; czyli *poznać i naznaczyć cel rodziny własnej, wychowywać w nim i ku niemu dzieci*, słowem, *uzacniać Bożo-obrazowość, bożyć krew swoją*."

*Kreśląc środki do tego celu*, uważa: «że małżeństwo, którego skutkiem dzieci i coraz trudniejsze ich wyżywienie, staje się co doba jawniej li zamożniejszych stanów przywilejem."

Widzi zaś *trzy widome potęgi*, które świat ten zna i ma, za pośrednictwem których odbija się utracony raj, a ściąga się niebo na ziemię, czyli przechodzi się z padolów czerni (którą wymownie opisał) na kurhany przedniejszych społeczęńskich stanów. Potęgami tymi są: *bogactwo, oświata i władza*. Trzy potęgi te

światowe i ziemskie są jedno w sobie  *błogosławieństwo niebios*, na ludzi lepszych i Bogu niłych spływające. Błogosławieństwo tego, iż tak rzekę,  *ciałem bogactwo, duszą oświata, a jaźnią władza*. Dość, że bogactwo ma się tak do oświaty, jak ciało do duszy; władza zaś okazuje się bogactwa i oświaty koniecznym skutkiem, a niezbędną ich różnojednią.”

W ustępie podającym  *sposób nabycia tych środków*, taki nam obraz wystawia rodziny szczęśliwej!

«Rodziny pracowite, w słodkim owocu usiłowań swoich przez mnogie pokolenia, mieszkają po pałacach tak czarujących i błogich, jakoby je z  *tysiąca nocy* wydobyto. Na skinienie ich Europa, Azja, Afryka i Ameryka, ze wszystkimi krajami swymi składa im drogocenne płody. I w lada miasteczku, w lada domeczku zamożniejszym ma się raj, tysiącrotnie w uciechy szcudrzejszy, niżli ów, z którego wygnany był Adam. W raju tym nie tylko skowronki lub słowiki, lecz gęźby najwdzięczniejsze od Bellinich, Donizettów, Mozartów, Betowenów, Chopinów ułożone, i zachwycające pienia serafinów z ust dorodnej córki słyszeć się dają; a umiejętność, nauka, sztuka, przemysł i rzemiosło wszechnarodów, jakoby na wystawie jakiej, okazują najcudniejsze swe utwory i walczą z sobą o pierwszeństwo pod względem uprzyjemnienia ludzkiego żywota. Raj ten jest zaprawdę już  *niebo na ziemi*; a on czcigodny  *pracy syn!* Cóżby dopiero nastąpiło, gdyby wszystek ród ludzki zabrał się tak do  *dzieła odkupienia*, jako dziś li jedna tysiączna część jego?”

Opuszczamy uczone uwagi nad  *ciałem* mężkiem i niewieściem, nad  *duszą* mężką i niewieścią,  *jaźni* ich różnorodnej, co w ustępach swęj rozprawy  *stosunek ojca do matki*, i  *stosunek rodziców do dzieci* szeroko autor rozwinął: przypominają bowiem w poprzednio wydanych dziełach, jego w tym względzie rozumowania.

Z tych podanych przez nas małych ustępów, czytelnik oceni może stanowisko frejburgskiego filozofa, z jakiego uważa ważność rodziny, i skreśla jęj przeznaczenie. Tę jęj przeznaczeniem, tą najwyższą ideą jest podług Trentowskiego  *bogactwo, oświata i władza*.

«Zdaje mi się (mówi L. Siemiński o tęg rozprawie B. Trentowskiego), że człowiek z natury ma usposobienie piąć się coraz wyżej po stopniach hierarchii społecznej, bogacić się i przewodzić nad drugimi, że w nim podsycać tęg namiętności niepotrzeba; bo w cóżby się obróciła; daleko wznioślejsza idea ewangeliczna, przyrzekająca ubóstwu, przestającemu na skromnym



dóbr ziemskich udziale, łatwiejszy przystęp do nieba, niż bogactwom i potentatom świata (1).”

My zaś dodamy, że samolubstwo z zasady podanej wynikające, które już i tak padło rdzą na wiele rodzin naszych, rozszerzać i uświęcać, jest wielkiem w pisarzu przewinieniem. Bogactwo i władza ma być jedynym celem i dążnością naszych rodzin? Czyż już innych celów dla nich Trentowski w swojej nauce znaleźć nie może? Więc ściąganie rajów na ziemię i cała jego Bożo-obrazowość ogranicza się na uciechach i wygodach ziemskich. Czarujące pałace i drogocenne plody całego świata, najwdzięczniejsza gędzba Bellinich, Mozartów, Betowenów i t. d., maż być ostatnim kresem spełnienia życzeń i dążności rodzin naszych? Czyż pochod dziejowy narodu, dzieje jego smutne nie odbiły się w rodzinach naszych, nie wypiętnowały się na nich, nie wszczepiły w krew i życie? Bogactwo i władza: oto wasz cel! woła Trentowski, przez to będziecie Bożo-obrazkami: aleć przecie są różne drogi wiodące do nich, i już niemi poszły niektóre rodziny; ale czy wyszły niepokalanie, czy zyskawszy bogactwo i cząstkę lichęj władzy sprowadziły sobie raj ziemski, i mają *Bożo-obrazowość*, a nie *zwierzo-obrazowość*, używając terminologii naszego filozofa. Kto na jego stanowisku stoi, i chce podawać narodowi swemu zdrowy pokarm duchowy: powinien mieć czystą wiarę i pokorę chrześcijańską. Tę miały i mają w większości swojej rodziny polskie, idąc ciernistą drogą ofiary i poświęcenia, lubo w nich się z żalem Trentowskiego nie «wyczyniała Hegłowska idea bezwzględna.» Ideą naszych rodzin była wiara i ziemia rodzinna. Z tą ideą przetrwali wieki, i w przyszłość muszą postępować, aby nie zmarnieli, i w nicosć się nie obrócili. Gdyby poszły kierunkiem wskazanym przez frejburgskiego filozofa, a dążyły jedynie i wyłącznie do *bogactwa i władzy*: znikczennione, strawione zarazą zgnilizny, przestałyby należeć do narodu, któremu by zgubę silniejszą, niż wszystko, zepsuciem swoim przyniosły. Bóg dobry, strzegł rodziny nasze od tego kału, i zachować je na dalej raczy, pod stałym godłem wiary i pokory.

Ani jednego ani drugiego w pracy Trentowskiego nie widzimy; powtórzmy tu słowa trafne L. Siemińskiego. «Strona religijnych wyobrażeń Trentowskiego niezmiernie wątpliwęj jest wartości; jakaś w nich mieszanina panteizmu, deizmu, protestan-

(1) Czas, dodatek, grudzień 1857 r.

tyzmu, pociągnięta pokostem wyrażen się, używanych w katolickim kościele. Czytając też niektóre wyborne jego pomysły, szczególnie gdy kreśli stan idei społecznych, żal zbiera, że genialny talent nie poznał się dotąd na prostocie, jasności, wielkości i głębokości najpopularniejszej książki na świecie, wyjąwszy między filozofami: to jest, na katechizmie."

Trentowski weale nowe nam nauki ogłasza. «Krzyż (pisze on) jest nie tylko chrześcijaństwa, ale *Bożo-obrazowości*, lub szlachetności prawdziwej znamie!" — «Komu źle idzie sam sobie winien," pisze zaraz po przedstawieniu uroczych pałaców i płodów całego świata na rozkazy będących! Jakby każdy własną wolą mógł dojść do szczęścia i bogactwa!

Marcinkowski (pod pseudonimem A. Nowosielskiego), w liście swym pisze, po wykazaniu dziwnej terminologii Trentowskiego: „Przy jego barbaryzmach, mówi, nie tu zrozumieć niepodobna. Gdyby Trentowski chciał istotnie zejść na drogę ubitą, po której chodzą ludzie, przezegualby się, splunął na ową mowę fałszującą wszystko, otrzeźwiłby się może z tej dwudziestoletniej gorączki i przemówił po ludzku do ludzi: to doprawdy, jakby sen gorączkowy. Gada, gada, a nie wiesz co on istotnie chce powiedzieć: widoczny tu nawet upadek sił umysłu; dawniej ściślej się tłumaczył, dziś w tém co nam podał, widocznie zamięszanie.... Dziwnie patrzeć, jak Trentowski stroi się we wszystko, oczywiście bez żadnych przekonań: tu jest on niby szlachcicem, jak Sopllica, albo Bejła; chce udać nawet, że jest katolikiem i nie podziela dążności protestanckiej trzech wieków ostatnich; cytuje Donoso Cortes'a, a czytelnik patrzy na to wszystko z podziwem, jak na jaką maskaradę (1)."

Ważniejsze i żywotniejsze nad rozprawę Trentowskiego są przekłady z rosyjskiego: *Kwestye żywotne* Pirogowa, i *Zadania społeczne*.

Jan Mikulski daje nam przegląd: «Przewodnika Ekonomicznego," wychodzącego w Petersburgu pod redakcją b. profesora kijowskiego, następnie moskiewskiego uniwersytetu p. Wernadskiego. Takie przeglądy ze wszystkich gałęzi literatury rosyjskiej pragnęlibyśmy znajdować w *Tece*. Pismo to dobrzeby się

(1) Gazeta Warszawska N. 27, 1858 r. Przytoczyliśmy dwa zdania recenzentów tak sprzecznych z sobą co do talentu Trentowskiego, aby czytelnik miał wyobrażenie, jak rozmaita jest ocena pisarzy naszych, i jaki przedział w dwóch sądach panuje.

wywiązywało ze swego zadania, żeby wzięło za obowiązek oznajmienia nas z tém wszystkiém, co zasłużyło na uwagę i współczucie w piśmiennictwie rossyjskiém. Od dwóch lat pisma peryodyczne, równie jak i wychodzące dzieła w Cesarstwie, podniosły się tak wysoko, tak się rozwinęły i ożywiły, że ruch ten znakomity pelen żywotnej treści, obojętnym dla nas być nie może i nie powinnienn. *Teka*, miejscowością, łatwością oznajmiania nas z najświeższymi płodami piśmiennictwa rossyjskiego, wypełniłaby ten brak jaki uczuwamy. Ale pragniemy *przeglądów*, któreby nam dały wyobrażenie ożywionego piśmiennictwa tego w głównych gałęziach literatury, w których najwięcej wydatnieje nowy zwrot jej i wprowadzenie nieznanych dotąd żywiołów, a które nazwiemy także „*kwestjami żywotnemi*” i „*zadaniami społecznemi*.” *Czas dodatek*, zdaje nam sprawę z całej prawie Europy w swęj *Kronice*: dopełniają go w tój treści nasze pisma codzienne, jak: *Gazeta Warszawska*, *Kronika* i *Gazeta Codzienna*; *Teka Wileńska* w obszernych swoich ramach mogłaby wybornie pomieścić przeglądy literatury rossyjskiej, mając głównie na celu jej zwrot nowy a pocieszający.

Władysław Syrokonla w obszernęj swęj monografii p. n. *Mińsk*, która oddzielne może stanowić dzieło, dał nam dokładnie skreślone dzieje tego miasta, od pierwszego powstania do ostatnich czasów. Ciekawe są badania Syrokonli (str. 204, Tom 1), w których dowodzi, że *Mińsk* właśnie jest miejscem owego krwawego boju, uświęconego *pieśnią o pulku Igora*; nadto że w *Mińsku*, *Bojan*, ów Homer słowiański: «najstarszy ze słowiańskich wieszczów, Bojan, który kiedy tworzył pieśń swoję, to *leciał po ziemi skokiem wilczym, szybował po powietrzu lotem orlim*, a kiedy malował boje, to zda się widział, jak dziesięć sokolów *spada na stado łabędzi*: Bojan mieszkał w *Mińsku* przed osmiuset laty.” Czytelnik dowody na to znajdzie w ważnej pracy Syrokonli. Pelen świeżości poglądu jest ustęp, obejmujący: Studium nad dawnemi *Krywiczanami*, ich wiarą, obyczajami, urządzeniami politycznemi. Takiego rodzaju monografie rzucają niemale na dzieje światło: nie możemy dosyć zachęcać naszych rodaków, czy oddanych już pracom literackim, czy nieprobujących jeszcze pióra, oddanych wyłącznie zawodowi obywatelskiemu, ażeby wszelkie podania najbliższych miejscowości, równie jak spostrzeżenia nad zwyczajami i obyczajami ludowemi skrzętnie zbierali i zapisywali. Jest kommissya archeologiczna w Wilnie; jest nowy organ w *Tece Wileńskiej*: wszystkie wreszcie nasze pisma stoją otworem do

ogłoszenia zebranych badań i spostrzeżeń. Częstkowe te usiłowania, gdyby tylko było poczucie obywatelskie, ułatwiłyby wielce prace, i wsparły tych, co jak Syrokomla monografie skreślają zajmujące i ważne. Są one, powtarzamy, wielkiem ubogaceniem ojczyźtych dziejów, i bez nich przeszłości naszej wiernie i sumiennie nie potrafimy odtworzyć.

Mikołaj Malinowski ogłosił w *Tece* rozprawę godną uwagi o *Ziemiach*, podług dawnych praw litewskich; pracę tę podjął na żądanie zmarłego ministra sekretarza stanu Ignacego Turkulla. We wstępie swoim uczony badacz mówi: «Przy urządzaniu nowych stosunków społecznych, musiano w *radzie Państwa* na każdym kroku zapytywać przeszłości, i jeden Turkull tylko chciał i uniał odpowiadać prawdziwie i dowodnie. Wszyscy pamiętają z jakimi trudnościami walczyć musieli potomkowie oficerów sztabowych, urzędników ziemskich nieobowiązkowych i woźnych, w osiągnięciu służących sobie praw do szlachectwa. Turkull wyjaśniwszy prawdziwe znaczenie uchwalonych w tym przedmiocie ustaw, rodowitość ich utrzymał, i stał się dobroczyńcą ogromnej liczby osób. W podobnych zdarzeniach starczyło mu niewątpliwie własnych wiadomości; ale czy to dla głębszego pojęcia pytania, czy dla pewności wewnętrznej, że i sam się nie łudzi, i innych w błąd nie wprowadza, miał zwyczaj odwoływać się w każdej ważniejszej rzeczy do ludzi, których nauce wierzył. Czytałem u niego wiele takich odpowiedzi: Jana Wincentego Bandtkiego, Felixa Zielińskiego, Tadeusza Kukiawicza, Ignacego Danilowicza i w. i., które na jaw wydane, rzuciłyby obfite światło na zawilsze części naszego prawodawstwa. W r. 1853 sądzono: że *ziemiom* szlachectwa odmówić należało. W rozmowie, którą Turkull z tego powodu ze mną rozpoczął, oświadczyłem się był bezwarunkowo za szlachectwem ziemian: wezwany abym to wsparł dowodami, wręczyłem mu te kilka stronnic, które dziś pod sąd czytelników oddaję.»

Rozprawa ta rozjaśniająca stanowczo kwestyę na stronę *ziemian*, wielużto rodzin nie poratowała, że nie straciły szlachectwa przywilejów, które utrzymały ich w stanowisku odwiecznemu obywatelstwa.

Z Pragi Czeskiej *Ludwik Rittersberg* umieścił: «Krótki zarys historii literatury czeskiej.» Wskazuje na czele jako najlepszą książkę do poznania jej, Józefa Jungmana: «Historyą literatury czeskiej.» Musimy tu zwrócić uwagę, jak wielką jest obojętność pomiędzy Czechami i Polakami w zbliżeniu się literackiem, na czem

obiedwie strony niemal tracią. Mało wiemy o ruchu literackim naszych pobratymców, a *Dodatek Czasu* troskliwie drukujący wiadomości nie zawsze zajmujące ważnością swęj treści, opłacający korespondentów w Paryżu, Londynie, Berlinie i Wiedniu: nie postarał się, chociaż więcej zbliżony i łatwiejsze ma stosunki o korespondenta z Pragi Czeskiej. Dziękujemy redaktorowi *Teki Wiślickiej*, że dał miejsce w swém piśmie wiadomościom, które nas żywo obchodzić powinny. Żałujemy, że dotąd nie mamy przekładów dzieł ważniejszych, i mających więcej łączności z nami. Na to zasługują ze wszech miar: *Historja czeska Palackiego*, i *Historja literatury czeskiej Jugmana*, lubo ta z pewnemi skróceniami. P. Rittersberg tego właśnie dzieła daje nam treść i podział całości dziejów literatury na okresy do r. 1846. Niemałe bogactwa mają Czesci w swęj literaturze, tak co do pomników dziejowych, jak i własnego języka, lubo w poezyi nie wygórowali. „Mickiewiczów ani Puszkiców niestety nie mamy (pisze L. Rittersberg), niejedna gwiazda Parnassu polskiego mogłaby u nas bezpiecznie za słońce uchodzić.” Są to słowa prawdy, bo Polska nigdy tak nie wybujała w poezyi, jak od czasów Brodzińskiego i Mickiewicza; tą plejadą swoich poetów może się szczycić nie tylko między wszystkimi plemionami słowiańskimi, ale góruje i nad innemi narodami. Nie wszystkie przecież gałęzie literatury wybujały tak wysoko: z pola dziejów możemy wiele skorzystać od pobratymców naszych, jak i z ich literatury. Dlatego nie przestaniem nastawać na konieczną potrzebę przekładu dzieł czeskich z tych działów, i zbliżenia się większego niż dotąd. Nie możemy pominąć milezeniem, co w końcu swęj rozprawy pisze *Ludwik Rittersberg*:

«Słowacy węgierscy od wieków byli połączeni z nami piśmiennictwem: czytając czeskie książki, które bardzo dobrze rozumieją, sami też piszą po czesku. W ciężkim boju o wywalczenie praw obywatelstwa dla młodej czeskiej literatury, bracia Słowacy stali z nami pod chorągwią sławnego Jana Kollara, P. J. Szaffarzyka i czcigodnego Jerzego Palkowicza: zawsze i mężnie nieśli swą chętną pomoc! Antoni Bernolak (ur. 1762 zm. 1813) zaczął był wprowadzić przyswajając literaturze Słowaków dyalekt nitrański, lecz każdy wkrótce się przekonał o śmieszności, beznadziejności, a najbardziej szkodliwości tego przedsięwzięcia. Nie zważając na to *Liudemil Sztur*, i *Miłosław Józef Hurben* ze swymi towarzyszymi, spowodowawszy nowe odszczepieństwo niektórych ziomków od języka czeskiego, probowali wnieść na tron litera-

tury słowackiej dyalekt liptowski: jestto dowód niepojęcia własnego interesu. Byłoby dziwnie zaprawdę, gdyby ktoś radził Polakom: „Niedobrze, że wszyscy macie literaturę polską: trzeba wam mieć literatury dyalektów lub żargonów Rzeszowskiego, Tarnowskiego, Wadowickiego, Radomskiego i t. d. czyli do każdego obwodu i miasta inny język literacki. Każdy rozumny Polak na taką radę odpowiedziałby owemu mędrkowi: „jesteś waćpan półgłówek”. Jeszczeż gdyby wszyscy Słowacy mieli jeden dyalekt, ale w każdym obwodzie, w każdym zakątku, mówi się coraz inaczej! Kto zechce puścić się w tę gmatwaninę, zabłądzi w labiryncie, z którego i nie Aryandy nie wyprowadzi. My Czechowie wcale nie mamy potrzeby gniewać się za to odpadnięcie: bo gdy się pojawił koncept Sztura, tyle już młodzi stało pod sztandarem narodowej oświaty, że zbiegostwa tego mogliśmy nawet nie postrzedz. Ruch polityczny i socyalny, wsparty środkami materialnemi naszej własnej ojczyzny, tętni życiem i zdrowiem. Pracowników mamy tyle, że moglibyśmy podtrzymać piśmiennictwo daleko bogatsze niż nasze. Dlatego nieszczęśliwie pomyslane wyśpolecznienie się Sztura, Hurbena i spółki, nikomu nie jest tak szkodliwe jak samym Słowakom. Lejąc do beczki Danaid, napróżno się wysilają, nie inszego ztąd nie mając nad to, że oświacie narodowej słowiańskiej stawiają zawady, a cudzoziemczyźnie wrota na oścież otwierają”. Pojmujemy ten żal i gorzką przymówkę szlachetnego Czecha, i dzielimy w zupełności jego zdanie. Taką chętkę oderwania się duchowego od Czechów, uważamy więcej jak nieogłędność—jak nawet przewinienie. Czechy bez Słowaków obejść się łatwo mogą; ale Słowakom bez Czechów trudno, nawet niepodobna. Mało tu słów skarcenia za podobne przestępstwo. Taki zarzew niezgody, rzucony w bratnie koło, zawsze godny pogardy.

List profesora Zappa z Pragi Czeskiej jest dopełnieniem rozprawy Rittersberga: ale rzuca większe światło na stan obecny Czechii.

„Chcielibyście (pisze) poznać duch, charakter, oświatę, narodowe i naukowe życie Czechów i Morawian, ale jakże trudno dać jasne wyobrażenie o tem wszystkiem Słowianinowi, który nie był pod wpływem rządów niemieckich, który choć przez krótki przeciąg czasu nie żył w otaczającej nas atmosferze! Jak to trudno, dowodzi powszechnie u was panujące najopaczniejsze pojęcie o nas: albo bardzo złe, albo z przesadą dobre. Wynikiem tej trudności jest

także to, że we wszystkich książkach polskich o historii powszechnej traktujących, całe dzieje Czech skupiają się na jednej małej kartce, żywcem z niemieckiego lub z francuzkiego przetłumaczonej (na potwierdzenie tego co mówię przytaczam: *Wychowanie macierzyńskie*, tomik VIII, Hist. powsz., Warszawa 1847, str. 171). A przecież Czechy są basztą słowiańską, najdalej ku zachodowi w Europie posuniętą: ich tysiąco-letnia historia, to cała olbrzymia tragedia, której katastrofę my biedni przeżyliśmy: zapomnieni od braci, potępieni i uciemienieni przez tych, którym szczęście dało panowanie nad nami. Naród czeski nie ma teraz innych przedstawicieli, prócz swoich uczonych, którzy wprawdzie niemale położyli zasługi dla Słowiańszczyzny, lecz w składzie teraźniejszego społeczeństwa, wielkiego znaczenia mieć nie mogą. Wszelako przez to jedno zasługuje ten lud, aby jego losem zajęły się inne narody słowiańskiego szczepu, nie licząc już prac na korzyść europejskiej oświaty w minionych wiekach podjętych. Szlachty u nas nie ma: została wytępiona, ta co ocalała, cudzym bogom pali kadzidla, i tём samém nie jest czeską. Literatura czeska, mająca teraz swoich opiekunów tylko w średnim stanie społeczeństwa: w małym mieszczaństwie i knieciu, dzieli się na naukową i popularną, przy których stoi niebardzo kwitnąca teraz literatura nadobna. Co do dzieł naukowych, śmiało rzec można, że jeśli nie co do ilości, to pewnie co do znajomości rzeczy i dokładności, dzieła te wyrównują wszystkim innym w europejskich językach piśnianym. Prace naszych uczonych w przedmiocie historii, filozofii, nauk przyrodzonych i t. p. znalazłyby wszędzie godne siebie ocenie, pochwały, nagrody i zaszczyty: u nas niczém się nie opłacają. Lud zabiędny aby mógł wynagrodzić zasługi tego rodzaju, przyjmuje je jako dar z serdeczném: «Bóg zapłać» i kształci się na nich; bogata część odszczepieńców, to jawni lub skryci nieprzyjaciele: im nie do tego wszystkiego, dla nich literatura narodowa nie istnieje. Popularna część literatury jest powszednim chlebem jądra narodu, prostego ludu, o ile mu przystępne życie umysłowe: z pociechą widzimy tu coraz lepsze powodzenie. Do dzieł popularnych zaliczamy pisma, mające na celu rozwiązanie trudnego zagadnienia: uczynić przystępnemi ogółowi nauki ściśle. Literatura nadobna, co właściwą literaturę stanowi, u nas teraz bardzo uboga, i nie może się podnieść od czasu rozruchów 1848 r. głównie dlatego, że wszystkie potężniejsze siły są rozerwane, lub w ściśle naukowym zawodzie czynność swą rozwijają. Przyczyną tego są nasze teraźniejsze towarzyskie stosunki."

W dalszym ciągu tego listu, wymienia zakłady naukowe: wspomina, że pomiędzy literatami czeskiemi nie masz prawie ani jednego, któryby choć czytać po polsku nie umiał; że książki polskie byłyby daleko więcej w Czechii rozszerzone, gdyby temu nie przeszkadzała niesłychanie wysoka ich cena księgarska; w końcu, co do stanu obecnego literatury, tak mówi: «Co mamy, to mamy sami przez siebie; nikt na świecie nie podaje nam ręki, pomocy; a że nasze siły ograniczone, więc nie dziw, że mało mamy. Wszakże nikt naszemu pokoleniu nie może i nie będzie mógł robić wyrzutu, że zaniedbało wykonanie powinności względem siebie i swoich rodaków.» Przyznajemy prawdę szczerą tym słowom. Za naszej pamięci, książka czeska była osobliwością: uczeni tego kraju pisali wyłącznie po niemiecku, a ojczystym językiem bawili się filologowie, jak zmarłym językiem. Odkrycie *rękopismu Krolodworskiego* przez W. Hanke, przyjęli jako podejsicie, i wystąpili przeciw jego autentyczności; powoli zapalem młodzi czeskiej zaczęła się literatura czeska rozwijać, i równocześnie niemal, gdy u nas już tak zwany *romantyzm* wziął przewagę, ta wątła duchowa roślina rozwinęła się w kwiat piękny i barwny i wonny. Rozumiemy smutne położenie Czechii, ale tém więcej mamy współczucia dla usiłowań tak szlachetnych, tak wytrwałych w utrzymaniu literatury ojczystej.

Archeolog krakowski Józef Lępkowski, w rozprawie swęj p. n. «Kraków i Norymberga. Wiadomość o wzajemnych stosunkach tych miast w przedmiocie sztuki,» głównie zwrócił uwagę na *Wita Stwosza* i jego dzieła rzeźbiarskie.

«Wiadomość historyczna o zgromadzeniach i fundacyach męzkich i żeńskich Rzymsko-katolickich klasztorów w dyecezyi wileńskiej», Eustachego hr. Tyszkiewicza, ma wartość dziejową; bogate szczegóły zebrane skrzętnie, mogą posłużyć dla przyszłego geografa starożytnej Rzeczypospolitej polskiej.

Dominik Chodźko: «*w Zmiance o życiu i pismach Adama Czarnockiego*, znanego pod imieniem Zoryana Dolegi Chodakowskiego, podał nam prawdziwą wiadomość biograficzną, zebraną z niezaprzeczonej autentyczności dowodów. Zmarły przed parą laty śp. Tymoteusz Lipiński, obszerny życiorys Czarnockiego skreślił, i odczytał na jednem z posiedzeń środowych Biblioteki Warszawskiej. W tej biografii, z autentycznych źródeł poczerpywał wiadomości swoje. Praca ta pozostała pomiędzy rękopismami Lipińskiego.



Redaktor *Teki wileńskiej* Adam Kirkor, zamknął tom drugi swego pisma wymowném wspomnieniem, pełnego zasług męża Juliana Albina Moszyńskiego. Rzecz czytana na posiedzeniu wileńskiej archeologicznej kommissyi dnia 11 października 1857 r.

Owoż szczegółowe sprawozdanie o nowo pojawioném piśmie w starym grodzie Gedymina. Przyjmujemy je z braterskiem współczuciem i życzymy jak najświetniejszego rozwoju. Nie braknie *Tece Wileńskiej* współpracowników, którzy mogą poważnie wpłynąć na podniesienie i utrzymanie tego pisma. Oprócz pisarzy, których prace *Teka* już pomieściła, mogą ją wesprzeć jeszcze A. E. Odyniec, Michał Baliński, Alexander Tyszyński, Zenon Fisz, J. I. Kraszewski i w. i. Nie możemy tu pominąć przy nowo zjawioném piśmie wspomnienia zasług *Athenaeum* J. Kraszewskiego, po którem *Teka* zajęła miejsce. Łatwiej dziś wydawać pismo zbiorowe, niż to było w czasach zjawienia się *Athenaeum*. Znamy zblizka te przeszkody i trudy z jakimi walczyć musiał Kraszewski, redagując sam swoje pismo, i dosyć się wydziwić nie możemy jego poświęceniu i energii. Zaczawszy wydawać w r. 1841 *Athenaeum*, równocześnie z powstaniem Biblioteki Warszawskiej, sześćdziesiąt sześć tomów ogłosił, a przez te lat jedenaście nie potrafił obudzić w najbliższych sobie rodakach ani pomocy, ani należnego współczucia dla swego pisma. A przecież *Athenaeum* jak treścią, tak dążnością swoją zasługiwało i na jedno i na drugie. I dziś przerzucając stronnice tego pisma, za zasługę policzymy wywiedzenie na pole pisarskie wielu ludzi, co dziś są chlubą lub nadzieją, albo byli ozdobą. Tu pierwszy zyskał rozgłos Władysław Syrokomla, Plug, Felińska i w. i. Za zasługę policzymy upowszechnienie, wydobyte z pyłu zapomnienia wielu drogocennych zabytków dziejowych, oddanych już na pastwę zniszczenia: rozbudzanie umysłowego życia w zasypiającej bezczynnie społeczności. Że tych usiłowań zacnych, uczciwych i szlachetnych nie pojęto, nie spada wina na redaktora, ale na tych, co go żadną nie wsparli pomocą. Dziś redaktor *Teki Wileńskiej* zupełnie w innych szczęśliwszych okolicznościach rozpoczął publikacją swoją, ciaśniejsza atmosfera otaczała *Athenaeum*. W niej wytrwać lat jedenaście, poświęcać darmo pracę, własne nawet pieniądze, nicmałą jest zasługą obywatelską. Zbiór *Athenaeum* pozostanie zawsze ważnym pomnikiem w literaturze naszej. Kraszewski nie mogąc współziomków z obo-

jętności rozbudzić, pożegnał ich tklivym i rzewnym wyrazem: «Czas spocząć (pisze w zamknięciu swego pisma d. 14 lutego, 1852), czas umilknąć, i czas was zaćni towarzysze i was mili czytelnicy moi pożegnać. Przyjmijcie cichy, smutny, serdeczny uścisk dłoni, którą poruszała chęć dobra, która mogła być bezsilną, ale była wiedziona zapalem dobrego i szlachetnego. Przyjmijcie pożegnanie z duszy, nie dla formy tylko i odgłosu napisane; umiałem zawsze być dla was wdzięcznym i uczucie to nie zgaśnie we mnie. Przenieście współczucie wasze do godniejszych pracowników, ale w niem nie ostygajcie. Pracy nam potrzeba dla odrodzenia moralnego, do poprawy; pracy nam potrzeba i wytrwałości. Tych dwojga, ani zapal gorący a chwilowy, ani wysilek serdeczny a strzelisty nie zastąpią: bo praca i wytrwałość są dźwigniemi najpotężniejszymi w świecie naszym. Żegnajcie mi więc po raz ostatni jeszcze wszyscy, których los zbioru tego w jakikolwiek sposób obchodził, i wiercie, że jeśli nie uczynił co chciałem, i coście pragnęli ode mnie, zawszem się starał uczynić co mogłem.»

Po upadku *Athenaeum*, sześć lat cisza panowała w tamtej stronie kraju, aż powstała *Teka wileńska*; i dorazu zdobyła sobie powszechnie współczucie: daj Boże, ażeby wytrwale i długo otaczało ten ważny organ piśmiennictwa naszego. Początek jak widzimy wiele obiecujący, wkłada na redaktora obowiązek, ażeby pismo po tak gościnnem przyjęciu, rozwijało się odpowiednio potrzebom i duchowi czasu. Stałe sprawozdania z literatury rossyjskiej, czeskiej i innych plemion słowiańskich radziłyśmy widzieli: *Teka wileńska*, jak zaczęła, mogłaby być właśnie pośredniczką wzajemnego poznania się i porozumienia na drodze literackiej. Znamy wymogi różnolitych czytelników każdego pisma; pojmujemy zawody i troski w trudnym zawodzie redaktorskim zeszytowego u nas pisma; ale oceniamy zároveň niepośledność zasługi, utrzymania go na właściwem stanowisku, i bez ponizienia uległości krzyczącej gawiedzi o zabawę i rozrywkę, która w literaturze ich jedynie dla siebie szuka i laknie, zjednania sobie współczucia licznego a poważnego grona czytelników. Takiego powodzenia życzymy *Tece wileńskiej*.

K. Wł. Wójcicki.

*Łapigrosz. Szkice obyczajowe skreślił i tekstem objaśnił A. Bartels. Kart 15 litografowanych w Paryżu u Lemerciera, w 4-ce podłużnej.*

Pod tym napisem wydawca Album wileńskiego J. K. Wilczyński wydał zeszyt stanowiący całość oddzielną, w którym A. Bartels w rycinach i tekście objął dokładny łapigrosza zyciorys. Wydawca na czele taką przestrożę umieścił:

„W krajach zachodnich Europy, oddawna artyści ze zwykłym sobie talentem i dowcipem, skreślili wszystkie stany i powołania. U nas podobne dzieła dotąd nie były znane. A. Bartels pierwszy ośmielił się przedstawić Łapigrosza tak, jak go miał zręcznie zrozumieć. Te więc kilkanaście rycin nie są ani paszkwilem, ani satyrą, dają tylko poznać ułomności ludzkie, jakie rozrzucone w rozmaitych osobach każdy napotkać może”.

Na pierwszej karcie widzimy pana Łapigrosza biegnącego przez ulicę powiatowego miasteczka, z zamiarem schwycenia opieki nad sierotami rodziców zamożnych. Artysta dał nam jego odmienne jeszcze postacie w gronie rodziny, przy zatrudnieniach gospodarskich, to już zbogaconego następnie, i w szczęśliwych marzeniach gdy zostanie marszałkiem i panem orderowym. Mamy dalej typy małżonek łapigroszów, ich potomstwa, i dworu, czyli służby, w której wydatnieje postać ekonoma i jego żony. Wiadomości naukowe Łapigroszów dowcipnie są przedstawione ze wszystkich niemal działów umiejętności; i tak wiedzę w astronomii stanowi *Kalendarz wileński*; w polityce: *Dodatek do Kurjera wileńskiego*; w sztukach pięknych *złoty dukat*; w medycynie *flaszka leroa* i *pudełko pigulek Morisona*; w matematyce  $2 \times 2 = 4$ ; w literaturze dzieło o nawozach *J. N. Kurowskiego*; w historii, *Historia o Magielonie królowej neapolitańskiej*, druk berdyczowski; w językach: pokazanie języka; w geografii mappa najbliższych okolic gdzie mieszka; w administracji domowej, tęgi batóg. Łapigrosz często wpada w zadumę o kolejach żelaznych i maszynach parowych, czytając *Kurjera Warszawskiego*, ale mu to jakoś w głowie zatrzymać się nie może. W dobrach jego drogi i mosty niegodziwe: gdy na nich łamią sobie karki podróżni, on dla *Lejby* arendarza buduje dom lepszy od tego w jakim sam mieszka. Włościanom kalekom pozwala trudnić się przemysłem zebraniny, zastrzegając tylko opłatę regularną należnych podatków. Na oddzielnej karcie mamy przed-

stawioną panią Łapigroszową jadącą w karecie zalicytowaną po kasztelanicu na kontrakta, gdy sam za swą małżonką spieszy budą krakowską. Ciągnie się obok długi szereg fur włościańskich, z sianem, owsem, słomą, drobiem, spiżarnią i kuchnią państwa Łapigroszów. Na kontraktach widzimy ten typ w kilku odcieniach; to w postaci łagodnej względem swego debitora, to zmarszczonej i surowej gdy płaci pieniądze, to w słodkiej i uśmiechającej się, gdy je zgarnia do kieszeni. Pod tym przy popiersiu żyda, co jakby stał przed drzwiami swego handlu korzennego i winnego, po dwu stronach nadpisy czytamy: Apteka, chirurg, i podpis: „Ci nigdy nie tracą na kontraktach”.

Następnie oglądamy wielki obiad w licznym gronie gości; pan Łapigrosz dwa razy na rok je daje, na swoje i małżonki imieniny, na którym, jak nas podpis poucza, figurują sago z winem czerwonym, kawa czarna zimna, wino szampańskie ciepłe, a lody w kształcie wasser-zupy. Za parawanem żydowska kapella brzni wiwaty przy wznoszonych kielichach. Na ostatniej karcie rzecz zamyka epilog zwyczajny: grób murowany. „Przeżywszy tym sposobem (pisze autor) długie lata pan Łapigrosz, czując blizki kres życia, rozporządza swym majątkiem w sposób następujący: synom wszystko; żonie dożywocie na jednej z lepszych wiosek, a zięciom trzecią część tego co obiecywał. Skon jego zatruty został wiadomością, że sprawa graniczna o trzy morgi błota, odesłaną została dla braku dowodów z sądu najwyższej instancji znowu do sądu powiatowego. Synowie nie wehodząc w to, czyli zupełnie godziwym sposobem s. p. z niczego zrobił ogromną fortunę, stawia mu pomnik, równie gustowny, jakoteż i sumienny w swym napisie”.

Pomnik ten z kamienia w kształcie trójkąta, z kulą na szczycie, mieści następny napis: „Tu spoczywają zwłoki J. Łapigrosza, który najlepszym będąc ojcem, czułym małżonkiem, troskliwym sierot opiekunem, dobroczyńcą ubogich, najgorliwszym był dziedzicem... o dobry byt swych włościan. Skończył życie doczesne w 72 wiosnie życia r. 1858, pozostawiwszy w nieutulonym żalu sąsiadów i debitorów”.

Zajmująca ta publikacya, jestto jakby *ramotka*, piórkiem artysty skreślona: jeżeli pod względem artystycznym może jeszcze wiele zostawiać do życzenia, to co do ogółu szczęśliwie pochwyconej myśli, i przedstawienia typu Łapigrosza, wyborna. Cena dostępna złp. 20, może upowszechnić tę publikacyą. Radzilibyśmy p. J. K. Wilczyńskiemu, ażeby o ile może Album

wileńskie podzielił na małe oddziały, któreby w sobie całość zamykały, i dał cenę przystępną, żeby się upowszechnić mogło w narodzie. Zbyt *pańska* cena tego album, zrobiła obojętną publiczność na wydawnictwo J. K. Wileczyńskiego.

Wł.

*Rzut oka na poszyt drugi i ostatni dzieła: Rys Grammatyki Języka Polskiego przez A. Morzyckiego. (W drukarni Orgelbranda w Warszawie).*

Ponieważ mamy już całe dzieło przed oczami, widzę przede wszystkim potrzebę wskazać jego główne części, aby sprawę o dzieło wyraźnie i jasno czytelnikom przedstawić; powtórzę się zatem niejako muszę, com już o poszycie pierwszym w tym samym piśmie powiedział.

Poszyt drugi nie jest składnią podług ogólnego przyjęcia i rozumienia; nie stanowi więc drugiej części Grammatyki, ale jest uzupełnieniem Mowni i obejmuje Pisownią. Całe bowiem dzieło składa się z trzech części: Głosowni, obejmującej naukę o głoskach, zgłoskach z jich podziałami; z Mowni, najobszerniejszej części, ponieważ mówi o wyrazach, jako obrazach rzeczy, o jich podziałach, odmianach, o jich rodzajach, o jich tworzeniu się jednych od drugich, o myślach, zdaniach, okresach i jich składzie. Ta więc część Grammatyki, będąc najrozleglejszą, odpowiada w grammatykach zwyczajnych części etymologicznej i składni. W części trzeciej, to jest Pisowni mówi o literach ze względu na jich postać zewnętrzną, o znakach pisarskich i ortografiji, czyli sposobie pisania wyrazów. Tą więc częścią składającą poszyt drugi bliżej się zajmiemy.

Mysl prześlicznie określiwszy, autor przystępuje do zdania, jako zewnętrznego jej objawu w wyrazach. Każde zdanie podług niego, aby było pełne, powinno zawierać w sobie wszystkie działki (części) do jego składu wchodzące, których jest siedem; odpowiadają ony siedmiu spadkom, jakim rzeczownik w swojej zmianie ulega. Przykład wyraźniej to przedstawi. *Człowiek* (działka pierwsza, odpowiadająca na pytanie *kto?*);— *nabożny* (działka 2-ga na pytanie *jaki?*); *modli się* (działka 3-cia na pytanie *co robi?*);— *gorliwie* (działka 4-ta na pytanie *jak?*);—

w kościele (działka 5-ta na pytanie *gdzie?*);— *Bogu*, (działka 6-ta na pytanie *komu?*);— *o! człowieku*, (działka siódma wypowiadająca podniesione uczucie). Gdy zdanie nie zawiera w sobie wszystkich wymienionych działek, nazywa się zdaniem pełnym nierozwiniętym i sam autor mówi, iż najczęściej zdań pełnych nierozwiniętych używamy. Następnie przychodzi do zdań określonych, które tym się różnią, iż w nich działki składają się z kilku wyrazów i nazywają się złożone, np. działka 1-sza: *człowiek*, jest prosta; a znowu: *namiestnik na ziemi Najwyższego Pana z niebiosów*, jest działką złożoną. Jest to zupełnie inny pogląd na zdania, a jednak oparty na rozumowaniu. Z tą samą logicznością postępuje w dalszym szczegółowym zdań rozwoju i okresów powstałych ze zdań kilku, gdzie na wiele zupełnie nowych spostrzeżeń i uwag mówniczych natrafiamy, które niezawodnie wejdą w dziedzinę przyszłej grammatyki i zwiększą jej bogactwo.

Przyzwyczajeni do innego poglądu, radzibyśmy ujrzeć naukę trojistej składni; szyku, zgody i rzędu, lecz autor nasz usprawiedliwia się, że szyk swobodny w języku naszym nie daje pierwszeństwa jednym nad drugie wyrazom. To jest prawda, jednak ta nadzwyczajna swoboda w ich układzie ma swoje prawa, i te znać powinniśmy. Składnią zgody wykazał przy odmianie wyrazów, jaką zwyczaj zakreślił, a składnią rzędu wypowiedział przy przedjmkach (stosownikach) i słowach (sprawomianach) niemniej przy innych wyrazach wpływ na drugie wywierających; słowem, nie zapomniał niczego, tylko umieścił w innym miejscu i niekiedy zbytecznie streścił, co się najwidoczniej pokazuje przy rządzie sprawomianów; przecież ta okoliczność usprawiedliwia się wyrażeniem: *Rys grammatyki nie dla dzieci*. Mownią, czyli częścią drugą zamyka nauką o stylu, tą zewnętrzną suknią myśli, którego główne własności: *jasność* i *stosowność* z wyliczeniem praw przestrzegać się koniecznie mających, jeżeli jasno tłumaczyć się mamy i z wymienieniem sposobów i zdarzeń, jakie sam przedmiot mowy następuje w społeczeństwie ludzkim.

W części trzeciej autor wywiódł, jak na dłoni, konieczną potrzebę poprawy naszego dotychczasowego gloskozbioru, a mianowicie, aby znieść dwie głoski, które jedno brzmienie wyrażają. Tu zastosowany historyzm wyjaśnia przedmiot, rozumowania jedne za drugimi jidące przekonywają, że glosko-

zbiór obecny zupełnie niedogodny; pochwała dla dawnych drukarzy najslusniejsza, a przymówka dla dzisiejszych zręczna; opieszalosc i ozięblosc nasza do postępu sprawiedliwa; znaki nowe w oddzielnej tablicy podane; warunki odpowiednich pod wszelkim prawie wzgledem glosek przewidziane i określone: krótko mówiac, tu wszystko rozważone i tak przemawiajace do przekonania, iż, zdaje się, za jednym zamachem powinienby w pył runac dzisiejszy gloskozbiór. Chociaz tak silne dowody za zmianę przemawiają, przeciez ośmielam się wyrzec, iż inne skutki wynikną z powodów następujących. Przodkowie nasi wzięli za zasadę do swojego pisma gloskozbiór laciński; że zaś na wszystkie brzmienia nie wystarczal, użyli tylko dwóch znaków, to jest: kreski nad współgłoską (') i głoski z. Kładzione kreski nie zmieniały bardzo kształtu głoski i przedstawiały jej odcień, a głoska z w jednym szeregu, chociaz często powtarzana, nie razila oka. Wyjątkiem tu jest kropka używana nad z, i c w dwójce *ch*. Kropka nie przeszkadza, bo znana w lacińskim gloskozbiórze, dziwaczne tylko złozenie glosek *ch*, które wynikło z naśladowania greezyzny, gdzie *c* jest znakiem silnego przydechu (*spiritus asper*), kładzione nad samogłoskami, a w naszym spuszczone i umieszczone w szeregu liter dla dogodniejszego pisania i uniknięcia rozbujalęj w gloskozbiórze czeskim pstrocizny, na którą się nasz autor w przypisie słusnie uzala. Nie należy sądzić, aby przodkowie nasi bez żadnego namysłu przyjęli gloskozbiór laciński, bo nie można przypuscic, aby jakiegokolwiek znaku za pierwszym pociągiem pióra nie umieli nakreślić, co rzeczywiście łatwiejszeby było, niż przemyśliwac, jakiego użyć sposobu na oddanie brzmień swoich, a tak obfitych, iż prawie zdwojily ilość glosek lacińskich: ale na uwadze mieli myśl łączności duchowej z innymi narodami, którą wyraźnie w przyjętym abecadle objawili; niedogodności zaś stąd wynikłe w porównaniu z ową górującą myślą za nie sobie nie poezytywali, zaliczajac je zapewnie na karb zwyczajnych kłopotów domowych. Sam p. A. Morzycki w głębi serca nie zrywa z przeszłością, szanuje ją, co widocznie się pokazuje z odmian przez niego poczynionych; jednakże, robiac z dwójek na oko znak jeden, przekracza minowolnie zakres tak daleko, że bezpiecznie możemy hymn pożegnalny zaśpiewac alfabetowi europejskiemu, poniewaz ten przemienia się w czysto-polski, w tym jeszcze niedoskonały, że częściciowo z pewną

ogłębnością na przeszłość dokonywany. Gdyby czas obecny był jistotną chwilą naznaczoną przez Opatrzność do wykonania tak wielkiej, tak kardynalnej przemiany: potrzebaby od jednego rzutu wynaleźć znaki pojedyncze na wszystkie spółgłoski miękkie bez kresk i bez przydałek wymuszonych. Litery te mają się odznaczać następującemi własnościami: powinny mieć uderzające podobieństwo do swoich twardych: 2) muszą być pozorne na oko; i 3) nie utrudzać ręki przy ich kreśleniu, bo niestety! dziś musimy pięknie i dużo, a zatym szybko pisać. Dokonane pod temi warunkami w piśmie, z największą łatwością przejdą do druku. Gdy to się stanie, wtenczas prawidła tak lojicznie przez autora wyłożone znajdą swoje zastosowanie; wtenczas samogłoska *i*, jako znak miękczący, sama się zrzeece swojego dotychczasowego obowiązku; wtenczas od 6 do 10 procent zyskamy na papierze, druku i czasie, otrzymując pismo bez żadnych pstrocizn. Chociaż widzę w umyśle te wszystkie okoliczności, chociaż wystawiam sobie nadobną piękność pisma i druku, chociaż się unoszę rozkoszą nad niemi; przecież jakiś głos wewnętrzny szepcze mi do ucha: „Szczegół ten jest dla ciebie świętą nietykalnością; pokrzepiają się nadzieją, że to nastąpi, ale ty nie ujrzysz tego cieleśnym okiem, inni bowiem do wykonania tego przeznaczeni”.

Jeszcze w tej części ważne znajdują się prawidła, których nie godzi się pominąć, tyżące się pisowni spółgłoski *j*. Dotąd, pomimo widocznej prawdy, przemawiającej za użyciem spółgłoski *j*, znajdującej się przed samogłoską *i*, nie chcieli ani słyszeć mownicy; A. Morzycki jednak przyznał jej to prawo, gdy jest spółgłoską przybierającą w wyrazach swojskich np.: *stoi, szyji, moji*; w innych zdarzeniach ją usuwa, np. *ich. im, imię idę, istota*, a w wyrazach obcych wyrzuca z przedniej samogłoskę, np.: *religja administracja*, skąd wynika ta niedogodność, iż w wyrazach pochodnych musimy wyrzucone przeproszać, np.: *religijność, religijny, religijnie, administracyjny, administracyjnie*; nadto mamy dużo takich jimion własnych, w których bez poprzedzającej samogłoski przed *j* obejść się nie można, np. *Lija, Liji, Maja Maji*. Ale za to znowu, jaki jej zakres oznaczył, w takim używa jej w całym dziele; zdziałał przeto dla *j* daleko więcej, niż Łazowski, który, obrawszy się za przewodnika, zaklina ziomków w przypisku swojej największej grammatyki, aby nie opuszczali *j* z przed *i*, ale niestety!



sam, czy nie chce, czy nie ma odwagi drogi jim torować; zaklęcia więc bezskutecznie skonały.

Wreście autor nasz zakończył swą pracę modlitwą rzewną, gorącą i przenikającą; w niej, jak w ognisku skupił wszystkie swoje uczucia i wezbrane w sercu razem wypowiedział.

Niech mi teraz wolno będzie cokolwiek w przeszłość się zwrócić na zaokrąglenie obrazu. Kopeczyński, chociaż wsparty pracą Szylarskiego, stwarza, można powiedzieć, pierwszą grammatykę systematyczną. Pokochał tę pracę z lubością, a lubo w wielu razach nie mógł przekonać o bogactwie, mądrości i piękności języka; przecież wiedziony, że się tak wyrażę, uczuciem, zdołał to zamilowanie przelać w swoich następnych pracowników, bo zasięw ogrzewał miłością do ostatniej chwili życia swojego. Od czasu więc do czasu pojawiały się rozmaite plony pierwszego zasiewacza; występowali różni uprawiacze, tych jednak pomijamy, bo oni po największej części krzątali się z powołania swego na niwie ojczystego języka; lecz wymieniamy tych, którym Opatrzność inne przeznaczyła stanowisko w społeczeństwie naszym, tojest: Mrozińskiego i A. Morzyckiego. Pierwszy, żołnierz, w obozie samorodnie skreśla wypadki w Hiszpaniji zasze, a przestrzeżony o błędach pod względem języka, w wielki podziw sam nad sobą wpada; z téj albowiem strony nigdy się nie spodziewał, aby mu zarzuty czyniono. Był to cios silny dla jego ducha, ale oraz chwila starowicza, bo chwila łaski dla naszego języka. Z zapalem bierze się do pracy, czyta grammatyki swojego i obcych języków, bada, a nie znalazłszy nigdzie zupełnego przeświadczenia, wydaje: *Pierwsze zasady języka polskiego* i staje się w nich prawodawcą języka, mianowicie w mowni etymologicznej. Na razie niezrozumiany dla zbyt ścisłej treściwości w poglądzie nowym, a stąd niestosownie oceniony wydaje: *Odpowiedź na recenzują*; tym dziełem wszystkich o prawdziwości zasad językowych przekonywa i wieniec zwycięstwa odnosi, albowiem najpierwsze ówczesne znakomitości, biegłością w języku świetniczące, jakimi byli: Brodziński, Bentkowski, Osiński, Szwejkowski, z grona Towarzystwa przyjaciół nauk wybrani do utworzenia komitetu, któryby wątpliwości pod względem pisowni swoim światłem wyjaśnił, mianują go swoim prezesem, przez co uznają jego wyższość nad sobą. Mroziński godnie odpowiedział

swojim współpracownikom i wywiązał się najstaranniej z trudu na siebie włożonego (1).

Drugi, A. Morzycki, ukształciwszy swój umysł w zawodzie prawnym, teorią w uniwersytecie nabytą na urzędowaniu lak kilka stwierdzał; później obywatel w nadgopelskiej krajynie, owiany miłością języka przez Kopezyńskiego, w téjże saméj ziemi zrodzonego, szuka, jak widać, sposobności, aby tylko wypowiedział swoje myśli, i ta się usposobieniu jego serca sama nasuwa. Zgasły mąż w końcu grudnia r. zeszłego, zasłużony autor w literaturze, nauczyciel, a nadewszystko miłośnik wielki cierpiącej ludzkości, Stanisław Jachowicz podupadł przed kilką laty na siłach, i zdawało się, miał doznawać tych losu, których dawniej od nędzy uchronił: bo nauczyciela i literata kapitałem—zdrowie, które on już do dna wyczerpał. Lecz dzięki Najwyższej Opatrzności, która w ludzi technęła dobrą wolę i nie pozwoliła, aby zasługa poszła w niepamięć i nie doznała moralnej ulgi w końcu przykrego żywota. Pośpieszono więc zewsząd z podaniem wiosła skolatanéj nawie i A. Morzycki w pierwszym stanął rzędzie; albowiem chwyta za pióro, pisze *Rys grammatyki języka polskiego*, nie szczędzi trudu, pracy, kosztu i składu w hołdzie zasłudze ś. p. Stanisława Jachowicza, któremu Opatrzność Najwyższa pozwoliła jeszcze doznać téj pociechy, iż ujrzał skończone dzieło A. Morzyckiego, uwieczające jego zasługi dla ludzkości złożone, iż przed zawarciem na zawsze powiek nabral tego upewnienia, że nad jego pozostałemi sierotami duch opiekuńczy czuwać będzie.

Dla wykazania ostatecznie swojego sądu o pracy A. Morzyckiego, czuję konieczność porównania tych mężów na niwie ojczyźtego języka jaśniejących. Obaj są mównikami okolicznościowemi. Mroziński, dowiedziawszy się, że pisać nie umie, stwarza nowy system w grammatyce; A. Morzycki, tkliwy na ludzką niedolę, wypowiada nowe pomysły, które wpływ muszą wyrzucić na przyszłą mownią. Obaj ludzie z innego powołania w dojrzałym już wieku, wytrawni zatym myśliciele, przystąpili

(1) W liczbie osób ten komitet składających znajduje się Kruszyński, który żadnej rozprawy na piśmie nie zostawił; jednakże, znający bliżej stosunki tych mężów, utrzymują, że Kruszyński nadzwyczaj wiele wpływał swemi uwagami na to dzieło; że Mroziński i Brodziński chętnie mu czytali wszystkie swoje prace i radami się jego kierowali w tym przedmiocie. Jeżeli tak jest, Kruszyńskiego możemy porównać z Grzegorzem z Sanoka, z których każdy pośrednio na rozwój nauki wpływ wywierał.

do badań językowych; stąd w obydwóch wiele nowych, oryginalnych, samodzielnych poglądów jaśnieje, stąd obaj zdolali uniknąć zabobonów mowniczych, o! bo i w grammatyce są zabobony tradycyjne, odziane strojną szatą narodowego zwyczaju. Pierwszy z zimną, a oraz głęboką rozważą przewycięża przeszkody; drugi do silnej rozwagi łączy gorącą miłość języka i dopina zamierzonego celu: obydwaj więc ludzie niepospolicci, których historia grammatyki zaszczytnie wspominać będzie. Mroziński musiał zgryźć najprzód twarde orzech i czekać lat dopiero kilkanaście, nim skosztował słodkiego owocu swych trudów i poszukiwań, które już dziś stały się węgielnym kamieniem w nauce języka; A. Morzyckiego ten sam los zapewne oczekuje, albowiem wszystko z bólem na świat przychodzi, albowiem nowe pomysły ani tak łatwo, ani tak szybko nie przenikają ogółu, a tu, *vox populi* wielkie ma znaczenie, dopóki rzecz dokładnie na jaśnią nie wystąpi i nie oświeci błędnych umysłów, dawną rutyną trzymanych. Obaj nareszcie mężowie, wielki stawiają nam przykład, że ani stanowisko, na którym ktoś zostaje, ani wiek nie przeszkadza nikomu do uprawy języka, jeżeli tylko z dobrą wolą i niezachwianą chęcią weźmie się do pracy. Ze swojej więc strony na zakończenie winienem publicznie takim mężom cześć złożyć i oraz życzyć, aby nasza ziemia podobnych jim synów więcej rodziła, a nasz język tak mądry, tak piękny, tak bogaty, tak dosadny, tak malowniczy do wysokiej doskonałości swoje przynioty posunie.

*Peliks Żochowski.*

**CZAS**, DODATEK MIESIĘCZNY: Grudzień 1857 r. (tom VIII zeszyt 24). Kraków 1857 r.

Zacniemy nasze sprawozdanie z *Kroniki* tego zeszytu, w której korespondent krakowski mówi właśnie o tém piśmie, i ciekawy daje nam obrazek czytelników polskich książek.

„Miesiąc temu (pisze) ważyły się losy przyszłe niniejszego czasopisma. Głosy pełne życzliwości, przemawiające publicznie i prywatnie za jego nadal utrzymaniem, wielką zaprawdę dla wydawnictwa były pociechą w doznanych stratach *materyalnych* w ciągu dwuletniego jego istnienia: pełne zaś otuchy i nadziei, nie małym stały się moralnym bodźcem i zachętą do przedłużenia by-

tu jego. Otwartość, z jaką wydawnictwo uczyniło zależnym wydawanie pisma, od dostatecznej liczby oświadczeń abonentów, dozwoliłaby tu powiedzieć, że liczba ta nie jest jeszcze tak wysoka, aby wyłącznie mogła stanowić materialną podstawę *Dodatku* w ciągu roku 1858. A cóż mówić jeszcze o dalszych latach? Czyż z końcem roku przyszłego przyjdzie na nowo powtórzyć te prawie natrętne wezwania, mogące się здаwać jakoby żebranią o nowe 10 reńskich. Bo wiemy, że dla wielu jeszcze osób w kraju naszym, wezwanie do przedpłaty na czasopisma takie ma znaczenie, jakby wyciągano do nich rękę o jałmużnę. W tém przekonaniu poczytują się oni za dobroczyńców i mecenasów piśmiennictwa ojezystego. A przecież ta książka, która im się daje w zamian za pieniądze abonamentowe, więcej kosztuje niżeli cały abonament razem wzięty. Autorska praca, nocy ślęczeń i nauki, zapal natchnienia i siła twórcza nie rodzą złotych owoców na naszej jałowej ziemi. Ten szczupły poczet ludzi w kraju, żyjących z pióra, gdyby tę swoją pracę, naukę, zapal i wytrwałość zwrócił był do roli, kupiectwa lub rzemiosła, mógłby przynajmniej mieć nadzieję zapewnienia sobie starości bez troski i nie głodnej. Aż tu oto pierwszy mistrz pióra i pierwszy geniusz swojego wieku umarł w ubóstwie, i musiano przez dwa lata żebrać dla dzieci jego, by je było za co wychować i za młodu na żebraczkę nie puścić.”

Dalej mówi o kilku pracownikach, co w starym grodzie wiodą żywot cichy i odludny. „Nie dostatki i sława, ale miłość wiedzy i nauki zawiodła ich w te ustronia, gdzie wyrzekli się uciech życia i zaszczytów tego świata. Niekiedy wyciągają ich ztamtąd gwałtem, sadzają wśród salonu na kanapie, żeby się pochłubić przed obcemi, iż się ceni nauki i uczonych, że się ich przypuszcza do równo uprawnienia salonowego, i za pan brat z nimi się żyje, tak jak to modą jest gdzieindziej. W sferach tych bowiem roszczą sobie prawo do wykształcenia, a przeto literatura bywa tam niekiedy przekąską przy herbacie: ustępuje jednak zawsze miejsca zaostrożonej skandalem ciekawości, która w braku własnych przedmiotów, na szczęście tak rzadko się nastęrczających, szuka ich w *Gazette des Tribunaux*.”

Następnie, obliczając małą liczbę czytelników książek polskich przystępuje do określenia namiętności gry, jaka opanowała młodzież krakowską, która zabiła życie towarzyskie. Nietylko to do Krakowa i Galicyi, ale i do Warszawy i całego Królestwa Polskiego da się zastosować: gorzkie owoce téj namiętności odbijają się w młodem pokoleniu.

Na czole zeszytu tego, czytamy: „Dwoje pism dyplomatycznych hrabiego Krzysztofa Masini posła nadzwyczajnego Rzplitej polskiej do książąt włoskich w 1671 r., pochodzące z archiwum tajnego Medyceuszów. „Poseł ten, w tych nieszczęśliwych czasach Rzplitej polskiej, rozesłał okólnik do dworów włoskich dla wyjednania pomocy dla Polski. Mamy w nim wymowny obraz, tak usług oddanych Europie w powstrzymywaniu nawały tureckiej, jak i niedoli ówczesnej kraju. Ale jak zawsze był to głos wołającego na puszczy. Za Zygmunta III, gdy potęga pogańska zagroziła Polsce i całemu chrześcijaństwu, rozesłano posłów po całej Europie. Zyskanoż jakąś pomoc w zaciągach lub pieniądzech? Nie bynajmniej! Polska zaufała tylko wtedy pomocy Bożej i własnym siłom: i rozbiła te chmary czerni pogańskiej, a na kartach dziejów swoich zapisała ku wiekuistej pamięci *Wyprawę Chocińską*. Drugie pismo obejmuje: „Uwagi nad nominacją kardynalską służące koronie polskiej.” przesłane Morsztynowi referendarzowi koronnemu 8 kwietnia 1668. Oba te pisma przetłumaczył z włoskiego Władysław Kuleczycki.

Kajetana Koźmiana: Biografia księcia Adama Czartoryskiego generała Ziem Podolskich jest raczej panegirkiem jak życiorysem. Snadź poczuwała to sama redakcyja, kiody w przypisie objaśnia, że biografia ta skreślona była przez autora *Ziemiaństwa* w kilka miesięcy po zgonie generała Ziem Podolskich. Z poezyi czytamy list do E. I. Juliusza Słowackiego, odznaczający się oryginalnością wyrażen i rymów: oraz wyborne bajki Fr. Morawskiego. Przywiedziem tu parę na przykład:

#### CHMURA I ŚWINIA.

Grzmiało—wiatr czarną napędzał chmurę.

Ciesząc się świnia, patrzyła w górę.

A to ni głupia! chłopek się odzywa,

Od trzech dni słońca moje gnoi żniwa,

Ciągłe leją deszcze,

Ta się zaś cieszy, że ma padać jeszcze.

A świnia na to: może, iż tu słońca

Do twój się zguby przyczyni,

Lecz będzie więcej i kałuż i błota,

Nadzwyczaj miłych dla świni.

#### ŻYD I OSIOŁ.

Miał raz żyd osła, którego tak zgłodził

Że już ledwie chodził:

Aż litość brała, serce się krajało  
 Patrząc, co z owem oślątkiem się stało.  
 Z całej mu dawnój piękności  
 Zostały tylko i skóra i kości.  
 Wsiadł on nań przecież, aby w dzień targowy  
 Skręcić jakiś szacher nowy;  
 Lecz go próżno nęka, zmusza,  
 Osiół się z miejsca nie rusza.  
 Wali piętą, kijem łoi,  
 Osiół jak stanął, tak stoi.  
 Innego może rozpaczby uniosła,  
 Zrzekłby się pewno i targu i osła,  
 Ale od czegoż główka Kaima?  
 By zmusić, przepzeć osła upor dziki,  
 Bierze więz siana, czepia w końcu tyki,  
 I tak zdała przed nim trzyma.  
 Osiół nasz chciwe wytrzeszczając oczy,  
 Chciałby się siankiem posycić,  
 Sięga więc... sięga... lecz nie mogąc schwycić  
 Zwolna za niem kroczy.  
 Kroczy i nogę za nogą stawia,  
 I zawsze próżno głodny pysk rozdziawia,  
 A żyd tymczasem jak jedzie tak jedzie,  
 I głupiego osła wiedzie;  
 I póty wiedzie i bije i siecze,  
 Aż się z tryumfem na ów targ dowlecze.  
  
 Tak to ku świata ohydzie,  
 Zwodzą się ludzie i narody zwodzą:  
 Wabiają je, nęcą, głupich za nos wodzą,  
 A osiołek idzie!

Większą połowę tego zeszytu zajmuje *fragment* J. I. Kraszewskiego p. n. *Mogiły*. Jest to utwór fantastyczny, w którym z mogił powołane do życia przesuwają się różne postacie. Z nich najpiękniejszą jest kobieta, przedstawiona w kilku chwilach życia pełnego goryczy, które z poświęceniem i wiarą, niepokalanie przechodzi.

W *przeglądzie piśmiennictwa*, Lucyan Siemiński robi sprawozdanie o pierwszym zeszycie Teki wileńskiej. We właściwym miejscu podaliśmy nasze zdanie o tej nowej w Wilnie publikacji.

Na tym zeszycie kończy się całość *Dodatku* z roku 1857, obejmujący w ogóle od jego powstania razem tomów ośm.

## ROZMAITOSCI.

### *Beethoven i jego prace.*

**C**o myślisz o Beethovenie?—spytałem kiedyś dowcipnego człowieka, z którym lubiłem rozmowę prowadzić o sztuce, będącej ciągle celem prac moich.

— Co myślę o Beethovenie?—odrzekł on, rzucając na mnie podejrzliwe i niespokojne spojrzenie—do czegoż to pytanie prowadzi?

— Ależ, ono samo wskazuje: prowadzi do tego, abys mi dał poznać twoje wyobrażenia, twój sąd o tym nieśmiertelnym geniuszu, na którego charakterze, dotąd, pomimo tylu zdań odmiennych, jeszcze się podobno nie poznano.

Po dłuższym milczeniu, które z trudnością mogłem wyrozumieć „Chodź ze mną!” wyrzekł ten szczególny człowiek. Przeszedłszy do siebie, otworzył biurko, wyjął jakiś papier, i oddał mi go, mówiąc: „Przeczytaj to pismo gdy zechcesz, a gdy to uczynisz, zrozumiesz, czemu się wahałem w daniu ci odpowiedzi, co ci się tak prostą zdawała.”

Pismo które uniosłem, zawierało w języku włoskim następujące opowiadanie:

„Wkrótce taki będzie wpływ dzieł muzycznych Beethovena, jak poematów Homera, Danta i Shaekspear'a; wzbudzą one cały szereg komentarzy, biografów i rozbiorów. Taki jest nieunikniony postępek umysłu ludzkiego.

Po wieku bohaterskim, który w sztukach jest wiekiem dzieł olbrzymich, następuje epoka historyczna, która opowiada czyny dokonane. Wyobrażenia wykonywa cuda; następnie budzi się rozum, usiłuje iść w ślady za swą boską poprzedniczką, aby pojąć

jój tajemnice i przekazać je następnym pokoleniom. Tym sposobem tworzą się szkoły i podania.

Żaden człowiek genialny nie miał w tym stopniu, co Beethoven, wypotęgowanej woli w kierunku, w jakim sobie zamierzył postępować w sztuce; żaden twórca nowej formy nie patrzył jaśniej na cel, którego dopiąć zamierzył. Wyjąwszy Glück'a, który zaledwie wszedłszy w zawód kompozytora, znalazł się w zetknięciu z dumą wirtuozów i wszystkimi niepodobieństwami opery włoskiej, którym nie raczył się poddać, Beethoven jest niezawodnie tym jedynym genialnym artystą, który umiał panować nad tajemnym objawem własnego natchnienia. Jak wszyscy ludzie wyżsi, Beethoven doznawszy wpływu otoczenia, w którym wystąpił, wyrwał się gwałtownie z tych tradycyjnych pojęć, którym byt był winien. Twórca *Symfonii* z chórami i pięciu ostatnich kwartetów, stworzył je z pełną wiedzą tego co dokonał; a jeśli to wypotęgowanie woli stanowi wielkość Beethovena w sztuce, gdzie panuje wyobraźnia i uczucie, jeśli ściśle go wiąże z wiekiem, w którym żył, jest także źródłem jego ułomności.

Jak Goethe w *Fauście*, Byron w *Manfredzie*, a Chateaubriand w *Réné*, Beethoven jest echem swojego wieku, zna jego niepokój i wielkość, energią i ułomności. We wszystkich jego dziełach wysilenie jest wyraźne, talent jego mniej wszechstronny jak Mozarta; ho nigdy Beethoven nie był doskonały ani w muzyce dramatycznej, ani w *oratoryum*, ani w religijnej. Gwałci język, zmuszając, aby co on chce wypowiedział, i nie uważa ani na konieczne prawa harmonii, ani na stosunek części, które powinny zgodnie się przyczyniać do ogólnego efektu; ale, dochodzi do celu i jako tytan buntowniczy, zdobywa ideał, nagromadzając górę na górę. Przez to Beethoven zasługuje na wybaczenie mu błędów, i zapomina się o sposobach co go zawiodły na ten tron samotny, na którym się rozsiadł wspaniale. Sonaty, koncerty, trio na fortepian, skrzypce i wiolonczellę, kwartety na instrumenta rżnięte, uwertury i dziewięć symfonii, składające oryginalny oddział kompozycji Beethovena, zawierają tyle piękności i efektu, otwierają dla sztuki takie nowe granice, jakich ani się domyślał geniusz Hayden'a i Mozart'a. Mniej wszechstronny i mniej wytworny od Mozart'a, który jest wieloną doskonałością, i z wszelką swobodą przemawia objawionym mu językiem aniołów; mniej naiwny, mniej poprawny, i mniej twórczy, w ścisłym znaczeniu tego wyrazu od stwórcy symfonii, który w 69 roku życia, napisał jeszcze arcydzieło pełne młodzieńczości *Les saisons*, w którym od lat



pięćdziesięciu czerpali wszyscy nowi kompozytorowie: Beethoven przewyższa swych dwóch nieśmiertelnych poprzedników w górnoci lirycznego natchnienia, w malowniczości instrumentacji, nieokreślonym wdzięku potężnej fantazyi, której błyski zlewają się z namiętą rzewnością. Tento charakter dramatyczny kompozycyi Beethovena, odróżnia go od Hayden'a i Mozart'a, i wciela ten potężny geniusz w ducha XIXgo stulecia.

Twórca *Symfonii pasterskiej* urodził się w Bonn, 17 grudnia 1770 roku. Dziadek jego był rodem z Maëstricht, matka Marya Magdalena Keverich, pochodziła z Coblantz, a ojciec Jan Van Beethoven był śpiewakiem, tenorem, w kaplicy elektora w Kolonii. Beethoven pochodził więc z biednej rodziny artystów; dzieciństwo jego było burzliwe, a na wychowanie jego wpłynęła gwałtowność charakteru. Początków języka łacińskiego nabył w szkole publicznej swego rodzinnego miasta, a ojciec wskazał mu prawdziwą muzykę. Potrzeba było początkowo zagnać go do uczenia się sztuki, która miała unieśmiertelić jego imię. Ze wstrętem mógł on usiedzieć spokojnie przy fortepianie i poddać ręce swoje czysto-mechanicznemu ćwiczeniu. Niemniej opierał się nauce gry na skrzypcach i trudności tego instrumentu nigdy nie pokonał. Przeszedł potem pod kierunek znakomitego oboisty Pfeiffer, którego rady najzbawienniejszy wpływ wywarły na rozwinięcie w nim smaku, jak to sam lubił później przyznawać; gdy przeciwnie, przeczył zawsze, aby był winien najmniejszą wdzięczność dla organisty dworu elektora, Neefe, od którego również nauki pobierał (1). Van der Eder nauczył go gry na organach, i pewnie to ten pyszny instrument, który zawsze bardzo cenił, obudził w tej duszy jeszcze młodzieńczej potężne, rozliczne brzmienia, które do symfonii wprowadził.

Nigdy żaden wielki człowiek nie miał bardziej jak Beethoven charakteru swego geniuszu. albo raczej geniuszu bardziej zgodnego z naturą swego charakteru. Od najpiérwszych lat objawiał chorobliwe niejednostajności usposobienia mizantropijnego, i szczytną niepodległość umysłu. Niczego nie nauczył się tak jak inni. Wyniki rozumowe odstraszały tę wyobraźnię zachwyconą widokiem natury. Głuchym był na prawidła scholastyczne, a serce jego wtenczas tylko otwierało się i napelniało bujnym wzruszeniem, gdy badał żywotne dzieła mistrzów wybranych. Działal

(1) Szczegóły te o młodości Beethovena, które tyle błędnych mniemań zbijają, znaleźć można w biografii p. Ant. Schindler. Lipsk. 1845.

przez intuicyą, co jest właściwem geniuszowi. Lubił gasić pragnienie u źródła żywego, i jako ptak niebieski, kąpać skrzydła w nurtach potoków. Bach, Haendel i Mozart byli jego prawdziwymi mistrzami. Wczytał się w ich twory i przyswoił sobie płynące z nich źródło natchnienia. Pierwszy mu pożyczył jego szczerą i dzikią harmonii i umiejętną żartobliwość jego *fug* ślicznych; od drugiego wspaniałej pełni melodyi, od trzeciego promienia łaski Bożej, której wpływ tajemny długo uczuwał. Młodość Mozarta i Beethovena, przedstawia obraz sprzeciwieństwa, jakie uważać trzeba w ich przeznaczeniu: pierwszy słodki i pokorny, pobożnie przyjmuje rady mistrzów i dźwięcznie rozkwita bez doznania boleści na łonie rodziny, w której od kolebki uwieńcza go jasność szczęśliwości; gdy drugi niespokojny i buntowniczy, wyrasta z czołem poraném burzliwą błyskawicą.

Jednakże duch co nauczył Beethovena języka tajemnic, byłto mistrz bożków i ludzi, jak mówi Platon (1), który powstał z chaosu, poddając go harmonii—byłto duch miłości. Możnaż uwierzyć, że znaleźli się pedanci, którzy z całą powagą sami siebie zapytywali, czy autor sonaty *Cis minor* i symfonii *a*, doznawał kiedykolwiek tkliwego uczucia? Oh! mędry nieświadomi! którzy wystawiacie sobie, że ludzie tacy jak Glück, Weber i Beethoven, kuja się w warsztatach *kontra punktu!* Biędni krytycy, którzy pojmują muzykę tylko jako umiejętność tonów, jak mówią, a nie jako sztukę wysławiania *i dolci lamenti* namiętności!

Była wtedy w mieście Bonn rodzina nazwiskiem Brenning, przez którą młody Beethoven był życzliwie przyjmowany. W tej rodzinie odznaczającą się bogactwem, równie jak zamiłowaniem i uprawianiem dziedziny umysłowej, znajdował spokojne schronienie młody artysta niesforenego charakteru i bystrzej wyobraźni. Uczęszczał on tam prawie codziennie, to z nowym utworem muzycznym, który tam wykonywał, to z posępną twarzą i sercem zasmuconém jakąś dziwną boleścią, która jest pokarmem i przywilejem geniuszu. Słuchano go z uprzejmością, zachęcano, starano się rozpędzić chmury powstające z jego wzburzonego ducha, z pełnem pobłażaniem na niejednostajność jego charakteru.

Niekiedy znikał na kilka tygodni, i gdy znów się ukazał w rodzinie, przyjmowano go bez okazania żalu do niego, czyniąc mu tylko słodkie wymówki. Na łonie to tej rodziny pełnej oświaty, w towarzystwie osób wykształconych, uczęszczających

(1) W Uecie.

do tego domu, i w dowcipnych ich rozmowach, nabrał Beethoven smaku do wyborowego towarzystwa, którego zawsze poszukiwał: tam nabył pierwszych wiadomości o poetach i znakomitych pisarzach swego kraju. Z liczby osób uczęszczających do domu Brenninga, była młoda osoba, blondynka, żywa, dowcipna, czuła, nieco zalotna, Joanna de Honrath: mieszkała w Kolonii i kilka razy do roku przyjeżdżała przepędzić dni kilka w tym przyjacielskim domu. Panna de Honrath była niskiego wzrostu, lecz zgrabnej figury, ukształcona, charakteru żartobliwego, biegła w muzyce i śpiewała z wdziękiem. Beethoven, którego uważała za dziecko, był jednakże żywo nią zajęty. Zdradzał on niepokój serca przez uniesienia, które bardzo bawiły miłą osobę, będącą ich powodem, przez improwizacye na fortepianie, które ją zachwycały, wprowadzały w zadumanie a niekiedy do łez wzruszały; bo taka jest właściwość geniuszu, ożywionego miłością, że zapominaamy różnicy wieku, położenia, majątku. Nie inaczej, choć p. de Honrath była już zaręczoną z młodzieńcem, którego później zaślubiła, choć najmniej o lat dziesięć starszą była od Beethovena, nie mogła bezkarnie słyszeć go grającego na fortepianie, tym posłusznym tłumaczu jego boleści lub nieokreślonych nadziei. Wzruszenie ogarniało ją wtedy; a to dziecię, które już wówczas objawiało najcudowniejszy talent do improwizacyi, rosło nagle w jej oczach, ożywione tchnieniem gorącym rodzącego się uczucia.

Panna de Honrath była daleko swobodniejszą w rozmowie z Beethovenem, wyzywając jego naiwne uniesienia przez zalotne żarciki: rzekłbyś, gazella igrająca z lwem młodym. Dnia jednego opuszczając rodzinę Brenning aby powrócić do Kolonii, p. de Honrath pożegnała swego młodego kochanka temi trzema wierszami znanéj piosenki (1):

„Mich heute noch von dir zu trennen,  
Und dieses nicht verhindern koennen;  
Ist zu empfindlich für mein Herz!“

Jednakże p. de Honrath zaślubiła austryackiego kapitana Karola Greth, który umarł 15 października 1827 roku, jako marszałek obozu i komendant 13 pułku liniowego.

Beethoven długo zachował w sercu krwawe ślady téj pierwszój miłości. Choć był jeszcze w wieku, w którym pospolite dzieci drzemią niejako snem podobnym temu, którym w łonie

(1) Dziś jeszcze cię opuścić i nie móżd temu zapobiedz, jest dla mego serca żywą boleścią.

matki spoczywały, uczył jednakże głęboko to, co nazywał niewiernością panny de Honrath, i ani lata, ani chwały odurzenie, ani nowe i silniejsze boleści nie mogły zatrzeć zupełnie obrazu tej młodej i wdzięcznej dziewicy, która w pierwszych dniach życia przejrzała się jakby w zwierciadle w jego dziewiczej jeszcze duszy. Jest wielką prawdą, że miłość jest źródłem wszelkiej poezyi i wszelkiej wyższości moralnej, a cecha odznaczająca ludzi wyższych od tej pospolitej trzody pisarzyków i pionierów, którym poruczone wszystkie ciężkie materialne roboty w społeczeństwie—jest serce zawsze młode, które jak ów ptak bajeczny, pali się, goreje i wiecznie się odradza z własnych, zaledwie ostyglych popiołów. Prawdziwi poeci i wybrani artyści nie mają prawie dzieciństwa, i nigdy się nie starzeją. Dusza ich rozkwita jako kielich kwiatów pod pierwszym jutrenki promieniem, i tylko śmierć zdolna wysuszyć to źródło zawsze żywe. Michał Anioł do lat 80 życia kochał kobietę, której nigdy nie posiadał, a Goethe na schyłku swego długiego żywota, pozyskał serce szesnastoletniej dziewicy uniesmiertelnionej przez pocałowanie, które śpiewak Małgosi złożył na jej czystym czole. Tak, kropla bursztynu wieczerza wątego motylka.

Alfieri, Byron i Canova przyznali zgodnie, że wspomnienie pierwszego dziecięcego uczucia, przeżyło w ich znękaném sercu wszystkie zmiany losu. Alfieri tak się wyraża o tych wczesnych uczuciach: „wzruszenia, które mało kto rozumie i mało kto jest w stanie doznawać; ale im tylko dano jest zyskać imię w sztukach pięknych.” Jednakże najwyższy przykład miłości wczesnej, trwałej i płodnej, jaki znajdujemy w historii, jest miłość Danta. Gdy miał dopiero lat dziewięć, twórca Boskiej komedyi uczył to straszne wstrząśnienie, które los jego miało rozstrzygnąć i stworzyć jedno z najcudowniejszych arcydzieł myśli ludzkiej. W małej książeczce pod tytułem *Vita Nuova*, również ciekawej dla filozofa jak zajmującej dla artysty, poeta opowiada, jako w miesiącu maju roku 1276 zoczył po raz pierwszy w jednym domu Florencyi tę, co się stała celem jego marzeń nieśmiertelnych. Spostrzegłszy tę młodą dziewicę o kilka miesięcy młodszą od siebie, wykrzyknął jak opowiada, w głębi swój duszy: „Oto bożek silniejszy odemnie, który mnie owładnie!” Dziewięć lat potem, spotkał Beatrice na ulicy we Florencyi; towarzyszyły jej dwie zacne niewiasty. Odziana w białą szatę, idąc krokiem pełnym poważnej dostojności, obróciła głowę i zatrzymała na drżącym i milczącym młodzianie spojrzenie czyste. Od tej chwili stanowczej, a szcze-

gólniej od śmierci Beatrissy, która nastąpiła w r. 1290, Dante postanowił użyć wszystkich swych zdolności, aby uwiecznić w pamięci ludzkiej imię téj kobiety, która w przebiegu życia rzuciła na niego cień swój uroczy.

„Beethoven, którego ponury geniusz tyle ma powinowactwa z geniuszem najpiérwszego włoskiego poety, opuścił Bonn w r. 1792, aby się udać do Wiednia dla dokończenia swych muzycznych nauk, jako ogniska gdzie się rozwinęła symfonia i cały wielki ruch muzyki instrumentalnej. Był on już poprzednio w stolicy Austrii w zimie z roku 1786 na 87, i tam szczęśliwym trafem zapoznał się z Mozartem, który mu wywróżył jego sławę. Autor *Don Juana*, usłyszawszy jego improwizacyą na zadany mu przez siebie temat, został zdumiony śmiałą hujnością jego wyobraźni, i wtedy to rzekł do kilku obecnych osób: „Oto młodzieńiec, o którym jeszcze nieraz usłyszycie.” Beethoven, który w r. 1792 miał lat dwadzieścia dwa, dotąd dał się poznać tylko przez lekkie utwory, jako piosenki, kantaty i kilka sztuk na fortepian, w których widać prawie ciągle naśladowanie metody Mozarta i gdzie indziej błyski zdradzające trudne wydobywanie się jego własnej twórczości. W Wiedniu przyjęty został z rzadką przychylnością przez doktora Van Swieten, dawnego przybocznego lekarza cesarzowej Maryi Teresy i wielkiego miłośnika muzyki.

Dom doktora Van Swieten był rodzajem akademii, gdzie się licznie zgromadzali trzy razy na tydzień amatorowie i artyści znakomici, aby wspólnie rozpoznawać arcydzieła sztuki. Tamto młody Beethoven miał sposobność coraz bliżej się zaznajomić z boskimi twórcami Bacha, Haendla, Haydna i Mozarta, nie wyłączając mistrzów szkoły włoskiej, których cały szereg rozpoznał, poczynając od Palestriny.

„W tym samym czasie, Beethoven poznał księcia Lichnowskiego, ucznia Mozarta, a którego żona była córką tego hrabiego de Thun, u którego kompozytor *Don Juana* i *Wesela Figara* mieszkał w Pradze, gdy po raz piérwszy w roku 1786 odwiedził to miasto. W domu księcia Lichnowskiego znalazł młody Beethoven tę samą troskliwą życzliwość, jakiej kiedyś doznawał od rodziny Brenning. Obchodzono się tam z nim jak z genialnym dziećciem, potrzebującym rady i pociechy. Kwartet złożony z najsłynniejszych śpiewaków ówczesnych wiedeńskich, był na rozkazy młodego muzyka. aby wykonywać twory jego geniuszu; w miarę jak powstawały. Rady tych znakomitych ludzi, wielce były pożytecznemi dla Beethovena, który tym sposobem poznał

naturę i mechanizm wszystkich instrumentów. Wpłynęli również na niego Haydn i Albrechtsberger; ten ostatni był to uczony i ścisły teoretyk, który zamiast oświecić jego ognistą wyobraźnią, zraził ją tylko. Zdaje się że ani w nim, ani w twórcy symfonii nie znalazł Beethoven mistrza właściwego dla swego geniuszu, więcej jednochwilowego niż cierpliwie uległego. Beethoven często mawiał do swych przyjaciół w ostatnich latach życia, że człowiek, który mu najpożyteczniejsze oddał przysługi co do znajomości sposobu praktycznego kompozycyi, był Schenk, miły kompozytor, którego opera *Cyrulik wiejski* miała powodzenie.

Rewolucya francuzka, wylewając na zewnątrz pożerając ją niepokój, zalała się na Niemcy i zniszczyła te wszystkie uroczę księstwa, co na brzegach Renu zaczarowany kraj tworzyły. Elektor koloński wygnany został z swych posiadłości.—Syn Maryi Teresy, Maksymilian austryacki, był to książę wspaniałomyślny i zalotny, choć duchowny, a którego dwór był ogniskiem sztuk i delikatnych rozkoszy. Opiekun prawdziwój zasługi, umiał on ocenić przedczesny geniusz Beethowena, którego mianował organistą swojej kaplicy, wyznaczając mu pensyą, aby się udał do Wiednia, dla dokończenia tam nauk. Po upadku elektora Koloński, Beethoven pozbawiony miejsca i pensyi jaką miał od tego księcia wspaniałomyślnego, na zawsze osiadł w Wiedniu, gdzie został zmuszony szukać środków utrzymania.—Wkrótce przybyli tam za nim dwaj jego bracia, których nędzne zatargi stały się dla niego źródłem goryczy, zatruwającój jego życie.

Na początku tego wieku, w epoce pełności życia i władz wszystkich, Beethoven dotknięty został najokropniejszém kalectwem dla muzyka:—ogłuchł. Ta choroba, która już w r. 1776 dała się uczuć, powiększała się z czasem, a nieumiejętność lekarzy, których rad słuchał, uczyniła ją nie do wyleczenia.

I oto kompozytor, geniusz potężny, który stwarza świat nowy, skazany aby nigdy nie słyszał tego, co wiecznie potomność zachwycać będzie! Oto poeta równie wielki jak Homer, Dante, Michał-Anioł i Shaekspear, obdarzony ich bujną fantazyą, który nigdy wejść nie zdoła do tego zaczarowanego lasu, jaki stwarza jedném dotknięciem różeczki czarodziejskiej, napełniając go tajemnymi rozdźwiękami! Czy pojmujecie jaką musiała być boleść tego wielkiego człowieka? Ponura rozpacz ogarnęła jego duszę! Wstydząc się swego kalectwa, którego nie śmiał wyznać, uciekał od ludzi, i nie mogąc już mieć stosunków z zewnętrznym światem, zamykał się sam w sobie, aby słuchać jedyne go głosu, jaki jeszcze

mógł slyszec: głosu tego poufalego ducha, który nawiedzał Sokratesa i który przemawia do sumienia wszystkich wyższych istot. W testamencie Beethovena z roku 1802, a którego oryginał znaleziono po jego zgonie, godne uwagi są te słowa:

„Ludzie, którzy mnie macie za złego, waryata lub odludka, niesłusznie rzucacie potwarz na mnie, bo nie znacie przyczyny mojego postępowania. Serce moje i rozum stworzone były do zrozumienia i kosztowania słodkich życia stosunków; lecz straszne kalectwo, które nieświadomi lekarze uczynili niewyleczonem, odłączyło mnie od tego świata, który kochałem. Obdarzony ognistym temperamentem i wyobraźnią, lubilem miłe rozmowy, wylania serdeczne, a jestem skazany żyć jak wygnaniec! Ileżto gorzkich myśli napadał mnie w tej głębokiej samotności! ile razy snułem ponury zamiar, aby gwałtownie przerwać nić mego losu; lecz sztuka, sztuka nieśmiertelna, wstrzymała rękę zabójczą!... Zdało mi się niegodnem rzucać świat ten, nim wykonam wszystko o czem marzyłem. O Boże Wszechmocny! który czytasz na dnie serca mojego, Ty wiesz, że w niem nigdy nie powstały nienawiść ani zazdrość. A wy, co czytać będziecie te słowa, wiercie, że ten, który je kreślił, wszelkich usiłowań dokładał, aby się stał godnym szacunku swych bliźnich!”

Rzekłbyś, ustęp z dzieł Russa, jedna z tych kartek, gdzie autor Nowej Heloizy opowiadał w swych samotnych dumaniach, smutek napelniający jego duszę, gdy czuł blizką ostatnią godzinę. Dlaczegoż Rousseau nie miał wiary Beethovena, gdy mu się wyrwały te bolesne słowa:—„Jakieś chłodne omdlenie czyni bezwładnem wszystkie władze moje. Technienie żywotne, stopniowo gaśnie we mnie, dusza już z trudnością tylko wyrwa się ze swęj zgrzybiałej powłoki, a gdyby nie nadzieja stanu do którego się zbliżam, bo czuję, że mam prawo do niego, nie żyłbym już jak tylko wspomnieniem! To téż, abym sam w siebie mógł wejrzeć, zanim zgasnę, muszę się cofnąć przynajmniej o lat kilka do téj epoki, kiedy utraciwszy wszelką nadzieję na tym padole i nie znajdując już na téj ziemi żadnego pokarmu dla serca, przyzwyczajałem się zwolna żywić je własną substancją i tylko w samym sobie szukać pożywienia” (1).

Beethoven sto razy nieszczęśliwszy od Russa, nie poddał się bynajmniej zbezładnieniu w samotności. Geniusz jego wstrzymał go nad przepaścią, mówiąc mu: „Idź! idź! spełnij przezna-

(1) *Rêveries d' un promeneur solitaire.*

czeniu!... i to właśnie czynił wielki kompozytor, walcząc z cierpieniami fizycznymi, zgryzotami domowymi, zawiścią zazdrosnych i zniechęceniem wewnętrznym. Tak przeszedł życie, zostawiając niespożyte ślady. Beethoven prawie zawsze zamieszkiwał w Wiedniu lub w okolicy tego malowniczego miasta. W roku 1809, trzech znawców znakomitych, arcy-książę Rudolf, księżęta Kiński i Łobkowicz lękając się, aby tak wielki artysta nie opuścił Austrii, by pełnić obowiązki kapelmistrza na dworze Hieronima Bonaparte, króla westfalskiego, złożyli się wspólnie na pensyę dla niego w summie 4,000 złotych, które ani całkowicie, ani w właściwym czasie go nie dochodziły. W roku 1810 poznał panią Bettinę Arnim, przez nią wszedł w stosunki z Goethe'm, dla którego wyznawał najżywsze uwielbienie. Ci dwaj wielcy poeci spotkali się po raz pierwszy u wód w Toeplitz, w Czechach, w lecie roku 1812. Beethoven w liście swym tyle znanym do Bettiny, opowiedział dowcipną anegdotkę, gdzie Goethe, trochę nadto zalotny na twórcę *Fausta*, tak śmieszną rolę odgrywa obok wielkiego kompozytora, który nigdy przed nikim nie chciał się upokorzyć. Albowiem, mówi Beethoven w tym liście, królowie i księżęta mogą stwarzać doradców poufnych i rozmaite dostojenstwa: ale ludzie znakomici są dziełem Boga."

W roku 1816 Beethoven miał długi proces ze swoją bratową, żoną starszego brata, zmarłego w roku poprzednim, aby pozyskać opiekę nad siostrzeńcem, którego niegodne postępowanie zatruło ostatnie lata jego życia. W czasie kongresu 1815 r. Beethoven doznał najdelikatniejszych względów ze strony księżąt skoalizowanych, a po długiej chorobie, która go nawiedziła w roku 1825, wycieńczony przez zgryzoty domowe, przez zapomnienie ludzkie, bo Rossini zajął całą uwagę opinii, zniszczony przez tyle wstrząśnień i gorączkę swego geniuszu, umarł w Wiedniu dnia 26go marca 1827 roku, mając lat pięćdziesiąt sześć, miesiące trzy i dni dziewięć. Beethoven był silnej budowy, przypominając; Haendla i Jowelli. Głowa jego potężna, włosy bujne i silnie zakorzenione, czoło szerokie, brwi gęste i dzikie z pod których błyskało rozkazujące spojrzenie, rysy silnie odznaczone, podobnie jak Gluck'a, wszystko w Beethovenie oznaczało namiętność, zapal i zwyciężką stałość. Był w nim ten sam duch co ożywiał Mirabeau, a niekiedy Danton'a. Twórca *Fidelio* nigdy nie miał żony. Pomimo kalectwa wymagającego starań kobiety prostej i poświęconej, nie chciał on nigdy zawrzeć węzła, któryby wstrzymywał polot geniuszu i ścieśniał koleje jego przeznaczenia.



Lubił igraszki losu, a serce jego, równie jak wyobraźnia lękało się karności i jarzma nakazanego prawa. Wreszcie charakter jego trudny, temperament nerwowy, usposobienie dzikie i ta niewypowiedziana melancholia, będąca, jak uważał Arystoteles, udziałem wszystkich ludzi wyższych bo oni szybko pojmują, że to życie jest tylko złudnym mamidłem: wszystkie te dziwactwa mogłyby być być wyrozumiane tylko przez istotę czystą i pobożną. Beethoven szukał samotności, w której rodzą się arcydzieła; bo gwar pospolitego tłumu zraza wstydlivość duszy i rozprasza bujne myśli, które nikną wtedy, jak stado ptaszek za nadejściem podróżnika. Uciekał w lasy, gdzie lubił oddychać upajającą wonią i słuchać tajemnego szelestu, tych westchnień natury, która zda się drga w objęciach człowieka badającego jej życie. Przepędził trzy czwarte swego życia w wesołych wioskach Baden i Heltendorf, rozciągających się wzdłuż lasu cesarskiej rezydencji Schoenbrunn. Wśród cienia lasu tego, stworzył on w roku 1800 Oratorium, *Chrystus na górze Oliwnej*, a w 1805 operę *Fidelio*. Beethoven znał wielkich poetów wszystkich krajów, najczęściej czytał dzieła Homera, Goethe'go, Schiller'a; a szczególnie Schakspear'a. Dużo pracował, a szczególnie w późnych nocnych godzinach. Myśl jego z trudnością dająca się rozwinąć, dopiero po licznych macaniach, których ślady pozostały w jego rękopismach, dochodziła do pełni; są dzieła, jak na przykład *Fidelio*, które po trzy razy pisał od początku do końca. Charakterem Beethovena, tak jak jego geniuszu, była duma i niepodległość. Nigdy nie przyjął żadnego orderu ani tytułu. Lubił wolność; szanował dumę swą duszy i umarł przejęty wiarą w Boga chrześcijańskiego i szczęśliwość przyszłego żywota. Utwory Beethovena są jednym z największych dzieł istniejących w muzyce. Tak przez rozmaitość, jak przez wielkość rozmiarów, porównać go chyba można z Michałem Aniołem lub Schaekspear'em. Pracował we wszystkich rodzajach, i komponował na wszelkie instrumenta, począwszy od pieśni lud aż do opery, od prostego *caprice* aż do *symfonii*, gdzie wszystkie dyalekty i style zlewają się w jeden potężny obraz! Jakkolwiek są piękności w operze *Fidelio*, w Oratorium *Chrystus na górze Oliwnej*, w wielkiej mszy z tonu *d*, w kantatach i w cudownej balladzie *Adelajda* Beethoven jest jednak dużo niższym od Mozarta i Weber'a w muzyce wokalne i w dramacie lirycznym. Jego olbrzymi geniusz i niewyczerpana fantazja nie mogły się zastosować do zwyczajnych granic głosu ludzkiego, od którego żądał niepodobnych wy-

sień. Są rzeczy nie do wykonania tak w jego symfoniach z chórami, jak w kantatach i w *Fidelio*. Zresztą, głuchota Beethovena nie pozwalała mu samemu przez siebie sądzić o wrażeniu sprawioném przez przejście napisane dla nieużywanych skali głosu. Pewnego dnia, gdy powtarzano pod jego dyrekcją oratorium *Chrystus na górze Oliwnej*, panny Sontag i Unger, śpiewające, pierwsza solo *soprano*, a druga *contralto*, śmieszna miały z Beethovenem rozprawę. Nie mogąc osiągnąć zbyt wysokich tonów, prosiły Beethovena aby je odmienił. „Nie, rzekł tenże, bardzo proszę tak zupełnie śpiewać jak jest napisane. Przyznaję, że moje kompozycye nie są tak łatwe do wykonania, jak ładniutkie śpiewki panów Włochów, lecz życzę sobie, aby wykonano je tak, jak są!”

— Lecz mistrzu! jeśli to niepodobna!

— Owszem! owszem!—odrzekł Beethoven potrząsając głową.

— Jesteś tyranem dla biednych śpiewaków—odpowiedziała z żywością panna Unger, i obie śpiewaczki porozumiewszy się jak dwóch psotników na jarmarku, zmieniły nie mówiąc to przejście, o które chodziło, zostawiając Beethovena w niewiadomości ich podstępu.

Potęga i oryginalność Beethovena szczególnie jaśniejają w muzyce instrumentalnej. Pełen poezji lirycznej, z duszą religijną i głęboką, wyobraźnią olbrzymią i wdzięczną, wtedy tylko jest zupełnie samym sobą, gdy się znajduje wpośród tych instrumentów muzycznych, mówiących wszystkimi językami i zgromadzających rozdzwięki całej natury.

*Sonata, concerto, trio, kwartet*, wszystkie te formy poezji tonów, które Bach, Haydn i Mozart na zawsze ustanowili, na nowo przez Beethovena przekształconemi zostały; powiększył ich zakres tworząc z nich obrazy, gdzie najdziwniejsza fantazyja spójna ze łkaniem żalu i z przekleństwem dramatu. W istocie, właściwa cecha instrumentalnej muzyki Beethovena jest ta, że znać iż stworzoną była pod wrażeniem rzeczywistego uczucia, zdradza jego tajemnicę i opowiada koleje. Są to prawdziwe dramata, gdzie namiętność wyzywając promieniowanie wyobraźni, rozwija się wpośród wszystkich jej bogactw; są tam wszystkie głosy, począwszy od zwyczajnego *recitativo*, aż do rzewnego wybuchu rozpacz. Bo też każde z dzieł jego odnosi się do jakiegoś wypadku jego życia, utrwalając jego wspomnienie. Tak np. kompozycya *Symphonie héroïque (trzecia)* skończona w r. 1804, była natchnioną przez myśl uczczenia Napoleona, w którym Beethoven, równie jak Europa, mniemał iż znalazł geniusza wolności. Pier-

wsza myśl tego żalobnego i przepysznego poematu była mu podana przez generała Bernadotte, ambassadora rzeczypospolitej francuzkiej na dworze wiedeńskim. Kwartet *opus 132*, w którym znajduje się *adagio*, tak przenikająco-melodyjne, napisane było na wiosnę r. 1825, po długiej chorobie, której wspomnienie zachował w téj dewizie:

— „*Cauzone di vingraziamento in modo lidico, offerta alla Divinita da un guarito.*”

Wśród olbrzymiego zbioru dzieł Beethovena, na czele których stoi dziewięć jego symfonij, osobne miejsce zajmują sonaty na fortepian, w liczbie 54ch; są tém w jego utworach, czém *Lieder* w dziełach Goëthego: wyrażenie doznanego uczucia, zidealizowanie wypadku z życia. Są to domowe poemata, zdarzenia całe, których treścią zawsze jest miłość. Beethoven ani jednej chwili nie miał w życiu, w którejby serce jego nie było napełnione uczuciem miłości, i dlatego nigdy nie chciał się żenić, iż lękał się przerwać ciągu swych zachwyków. Wtém miał słuszność. Nie trzeba aby artysta, aby poeta natchniony, zamykał się w więzach cywilnego społeczeństwa; niech on jak kapłan żyje w samotności, w rozpamiętywaniu świętości, a dusza jego, wolna od wszelkiej niewoli, niech się przysłuchuje głosom z wysoko!

Kilka znakomitych kobiet, wszystkie z arystokracji, umiały zwrócić uwagę Beethovena i hold jego odebrały. Z pomiędzy tych kobiet, wymieniają hrabinę Maryą Erdoedy, której dedykował dwa cudne *trio* noszące liczbę *opus 70ty*. Dama ta, mieszkająca w Węgrzech, kazała wystawić w ogrodzie swoim małą świątynią, gdzie jęj jednę tylko wstęp był dozwolony, a którą poświęciła uczczeniu geniuszu swego ukochanego. Tak wielką jest prawdą, że muzyka Beethovena, a szczególniej jego sonaty na fortepian są dramatycznym wyrazem doznanego uczucia, obraz idealny wypadku z życia, iż zalecał wydawcom, aby zachowali przy jego dziełach estetyczne nazwy jakimi je przybrał. „Moja muzyka, mawiał często, powinna być pojęta sercem, nie metronomem: trzeba, jak ustęp z poematu czuć ją i deklamować, a nie tylko wygrać palcami.” Niech nigdy nie rzuca się do wykonania sonaty *opus 81szy*, kto nie umie rozumieć co znaczą słowa: *pożegnanie, nieobecność i powrót!* Któryż prawdziwy artysta nie odgadnie, że *largo* trzeciej sonaty z tonu *d minor*, jest to sen duszy marzącej, niczém niezaspokojonej ani napełnionej, walczącej wśród nieschwyconych cieniów, co ją otaczają i spokój jęj mącą. Chcecież wiedzieć myśl zasadniczą dwóch sonat, *opus 27 i 29*, czytacie *Burzę* Shakespear'a.

Wszyscy biografowie Beethovena podzielili dzieła jego na trzy wielkie kategorie, odpowiednie trzem różnym epokom życia tego wielkiego człowieka.

W pierwszym okresie, od roku 1790 aż do 1800-go naśladuje, mniej więcej z wolnemi odmianami mistrzów co go poprzedzili, a szczególnie Mozarta, którego *dolce maesta*, z trudnością pokonał.

W drugim peryodzie zaczynającym się z tym wiekiem, aż do 1816 r. Beethoven rozdziera więzy trzymające go na krańcach przeszłości i rozwija bogactwa własnej natury. W trzecim i ostatnim peryodzie trwającym aż do jego zgonu, przesadza niektóre sposoby wyrobienia, zdradzając więcej systematu niż naiwnego wylania świeżego natchnienia. Te trzy rodzaje, jak mówią uczeni, dają się widzieć w dziełach wszystkich tworców wielkich, jeśli ci zbyt młodo nie zgaśli, jak Tasso, Rafael i Mozart; są objawem trzech wielkich epok, przez które wiecznie przechodzi umysł ludzki, nim dojdzie fatalnego kresu: młodości, dojrzałości i upadku. W pierwszej człowiek rozpoczyna i próbuje walki z życiem pod okiem matki, w drugiej rozwija się świetnie pod żarem namiętności; wreszcie słabnie i umiera: sąto trzy wieki świata, opiewane przez poetów. Dla ludzi poświęconych czci piękności, wiek *złoty*, jestto wiek miłości; namiętność to wzniosła i święta, wybuchająca w całej potęgde, w środkowych latach naszego życia. Póki tleje płomień na świętym ołtarzu, póty nie giną twórcze zdolności człowieka, a natchnione dzieła jego wytryskają z serca, nacechowane wieczną młodością. Wszak Glück w 60 roku życia napisał *Armide*. Chcąc dopełnić braku miłości, głębokimi kombinacyami umysłu wznosimy się wprawdzie wysoko, w świat myślący, lecz spadamy w dziedzinie sztuki twórczej: bo słusznie mawiali trubadury, zachowując tradycją zasad Platonicznych: „Aby dobrze śpiewać i *znaleźć* (natchnienie) trzeba *kochać* (1).” Szczęśliwy poeta, szczęśliwy artysta, który nie rozbija się wśród burzy i skończy życie jak Rafael, Tass, Mozart i Byron, na łonie boskiego kwiatu, napawając się jego czarowną wonią!

Tak myślał młody Beethoven, i najpiękniejsze dzieła swego geniuszu stworzył tylko w ciągu czasu, od 1800—1816 roku. Wtedyto poznał kobietę co grała ważną rolę w jego życiu, a której wspomnienie przetrwa wieki połączone z dźwiękami ponurój melancholii sonaty *cis minor*, która jój jest przypisana. Nazywa-

(1) „Pour bien chanter et pour trouver, il faut aimer!”

ła się Giulietta di Guicciardi; wdziękiem swęj osoby, bogactwem jasnych włosów i żywością umysłu, wskrzesiła w sercu Beethovena zamglony obraz panny de Honrath. Prawdę mówiąc, człowiek zdolny jest kochać głęboko jeden tylko typ kobiety, i tego ideału ustawicznie szuka wśród rozrzuconych w rzeczywistości ułamków. W głębi naszego serca dzieje się coś podobnego do szczepienia roślin, których dawne soki służą do wydawania nowych owoców. Tak świeże uczucia częstokroć powstają z wspomnień przeszłości, odradzając niejako minione marzenia.

Miłość Beethovena dla Giulietty di Guicciardi była nadzwyczaj silną, i przeżyła w tęg burzliwęg duszy wszystkie inne pokusy losu. Nigdy nie mógł zapomnieć tęg kobiety, co władała jego sercem w epoce najświetniejszęg jego życia, i jeszcze w ostatnięg chwili konające usta imię jęg wymawiały. Zdaje się, że stosunek ten był w całej swęg potęgde w roku 1806.

Trzy listy Beethovena, znalezione po jęg zgonie, dowodzą niezaprzeczenie, o ile ten olbrzymi geniusz różnił się od tego dzikiego twórcy symfonii, jakiego nam malują biografowie.

Te trzy listy, z których schwyciłem znaczniejsze przejsia, znajdując w nich potwierdzenie moich zasad, pisane były w ciągu kilkumiesięcznej niebytności Beethovena. Udawszy się do jakieg wioski w Węgrzech dla picia wód, tak pisał do Giulietty, 6 lipca 1806 roku:

„Aniele mój! życie moje! wszystko moje! kilka wierszy dziś tylko kresłę do ciebie twoim własnym ołówkiem. Pocóż ten smutek? czyliż miłość nie jest ideałem poświęcenia? Serce moje tak jest tobą przepełnione, że nie ma języka zdolnego określić to, co czuję. Pociesz się najdroższa! bądź mi wierną, a resztę niebu zostawmy.”

„Ty cierpisz, cierpisz, najukochańsza! A ja! gdybyś wiedziała, jak okropne zdała od ciebie wiodę życie!... Oka zmrużyć nie mogę! zdała od ciebie jestem tylko cieniem błędnym. O! kiedyż będę mógł w twém objęciu ulecieć w nieśmiertelne kraje! O Boże Wszchemogący! czemuż rozłączasz dwa serca tak potrzebne sobie wzajem? Miłość twoja Gioletto jest urokiem i utrapieniem życia mego! Z jakąż niecierpliwością czekam chwili, w której będę mógł przybiez do ciebie, abyśmy się już nie rozłączali więcéj! Miłości, miłości! duchu wszchemocny! tyś moją siłą, tyś źródłem wszelkiego natchnienia!”

Lecz któż zbadać zdoła nieprzejrzaną tajemnicę serca kobiety? W kilka miesięcy po napisaniu tych listów, które zdają się

zdradzać niecierpliwość i uszczęśliwienie zobopólnej miłości, Beethoven dowiadyje się, że ta, co jest przedmiotem czci jego, i co świeżo jeszcze dawała mu najwyższe oznaki przywiązania, jest zaręczoną z nieznanym człowiekiem, którego los wkrótce ma podzielić.

Nic nie zdoła odmalować głębokiej rozpaczycy jaka ogarnęła duszę tego wielkiego człowieka. Wtedy usunął się z Wiednia jakby lew zraniony, noszący w sobie strzałę zatrutą i udał się do Węgier, do dawniej swój przyjaciółki hrabiny Erdoedy; lecz nie mogąc usiedzieć na miejscu, znikł nagle z jej zamku: przez trzy dni błąkał się samotnie, pelen rozpaczycy, której nic ukoić nie mogło. Żona nauczyciela muzyki hrabiny Erdoedy, znalazła go leżącego nad rowem i przyprowadziła do domu. Beethoven przyznał się jej, że chciał się głodem zamorzyć. Zagnalona przez rady rodziny, a szczególnie przez matkę, która chciała, aby córka jej zaślubiła tytułowanego młodzieńca, Giulietta di Guiccardi poszła za hrabiego Gallemberg, którego przed Beethovenem знаła.

Ten hrabia de Gallemberg był także muzykiem i żył wyłącznie ze swego talentu. Skomponował muzykę do kilku baletów, które miały powodzenie. W roku 1822 hrabina de Gallemberg przygnębiona wyrzutami sumienia, przyszła ze łzami błagać przebaczenia swego pełnego chwały kochanka; lecz on popatrzywszy na nią gniewnym okiem, odwrócił głowę, nie odpowiedział jej słowa.

Imię téj kobiety, co nie umiała utrzymać się na wysokości uczucia jakie natchnęła, przetrwa jej wątłe istnienie przez sonatę z *cis minor*, gdzie Beethoven zlał jakby w kielich goryczy łkania swojej boleści (1).

*Jolanta.*

(1) Giulietta di Guiccardi zmarła w Wiedniu 1840 roku.



## KORRESPONDENCA.

### *Posiedzenie oddziału archeologii i sztuk w. c. k. Towarzystwie naukowym, odbyte d. 20 stycznia 1858 roku.*

Głównie na tém zebraniu prócz czynności dotyczących się restauracyi pomników, zajmowano się przeglądem darów liczące do muzeum Towarzystwa tą razą nadesłanych; i tak: Pan A. H. Kirkor zbogacił zbiór archeologiczny 253 sztukami monet i 16 medalami. Monety te rozgatkowane przez pana T. Żebrowskiego, następujny przedstawiają poczet; z czasów:

*Władysława Jagiełły* półgroszek koronny srebrny.

*Alexandra Jagiellończyka* półgroszek litewski srebrny, i drugi takż odmiennego stępla; trzeci koronny srebrny; nadto denar litewski.

*Zygmunta Starego* półgrosze litewskie z lat: 1511 i 1512, półgrosze koronne z roku 1510 (2 egz.), bez roku, i grosz elbląski z r. 1539 rzadkiej odmiany.

*Alberta księcia pruskiego* grosz z roku 1545.

*Zygmunta Augusta* denar litewski z r. 1558, trzy grosze litewskie z r. 1563, i półtoraki litewskie z lat: 1547, 1548, 1549, 1551, 1558, (2 egz.), 1559 (2 egz.), 1563, 1564 i 1565.

*Stefana Batorego* trzygroszówki rygskie z lat: 1585 i 1586, nadto litewskie z r. 1580 (2 egz. odmiennego stępla).

*Zygmunta III* grosze litewskie z lat: 1626 i 1627 (2 egz.), trojaki koronne z lat: 1592, 1594, 1599 i 1622, 1623 (3 egz.), 1624 (2 egz.), sześciogroszówki koronne z lat: 1596 (egz. piękny) i 1626 (stępla podskarbiego Ligezy); orty koronne z lat: 1621 i 1622 (2 egz.), podwójny denar litewski z r. 1620, solid litewski z r. 1627 (2 egz.), trzygroszówka rygska z r. 1600, i solid rygski z roku 1621.

*Władysława IV*, jako cara moskiewskiego, druga wątpliwa.

*Jana Kazimierza* szelągi lit. (4 egz.), tyńfy koronne z lat: 1663, 1664 i 1665 (4 egz.), sześciogroszówki koronne z lat: 1659, 1663, 1664, 1666, 1667 i 1683, orty koronne z lat: 1659, 1663, 1667 i 1668, nadto 11-cie monet tego króla mniejszj wartości.

*Jana III* sześciogroszówki koronne (2 egz.).

*Augusta II* sześciogroszówka z r. 1702.

*Augusta III* trojak koronny, tyńf, 3 różne złotówki i szeląg miedziany z roku 1751.

*Stanisława Augusta* złotówka, półzłotek, srebrnik z r. 1767, i sześciogroszówka z roku 1700 (?).

Nadto 11 monet miedzianych mniejszj wartości, grosz pragski, 35 kopiejek udzielnych *książąt Rusi, rossyjskich* pieniędzy miedzianych sztuk

17, srebrnych sztuk 5.—*Miasta Krakowa* pięciogroszówka.—*Miasta Rygi* moneta za Krystyny królowej szwedzkiej bita, i druga za Karola XII; nadto półtorak za Gustawa Adolfa z r. 1623.—*Szwedzkich* monet miedzianych 3, srebrnych 2, prócz tych 2 znalezione przy osypie rzeki Skidla, ze zbioru księcia Czetwertyńskiego w grodzieńskim.—*Infantska* 1.—*Westfalska* miedziana 1, srebrna 1.—*Mołdawsko-włoska* 1.—*Tureckich* miedzianych 2, srebrnych 2.—*Saskich* srebrnych 2.—*Włoska* srebrna.—*Papiezka* miedziana.—*Chińska* miedziana.—*Angielska* srebrna 1, miedziana 1.—*Pruskich* srebrnych 17.—*Francuzkich* srebrnych 2, miedziana 1, jeton mosiężny 1.—*Austryackich* srebrnych 4.—*Miasta Hamburga*  $\frac{1}{3}$  talara.—*Meklenburga*  $\frac{2}{3}$  talara.—*Brunszwickie*  $\frac{1}{6}$  talara.—1 moneta nie zdeterminowana i 23 małej wartości, wreszcie *starorzeczski* pieniądz miedziany 1, srebrny 1.

MEDALE ofiarowane przez pana Kirkora są następujące, bite dla: Kopernika (żelazny), Jana III z żoną (ołowiany), księcia J. Poniatowskiego (miedziany), Kościuszki (miedz.), à l'heroique Pologne (miedz.), napoleoński prise de Vilna (srebrny), na pamiątkę święcenia kościoła w Nistaniu (guber. wileń.), jubileuszowy ewangelików wileńskich (miedziany), dla cesarza Alexandra I przez uniwersytet wileński (miedz.), na mir Rossyi ze Szwecyą 1790 r. (srebr.), rubel z pomnikiem wystawionym ces. Alexandrowi I pod Borodynem (srebr.), rubel z pomnikiem ces. Alexandra I (srebr.), cesarza Mikołaja na pamiątkę kampanii tureckiej ostatniej (żelazny), na koronację Ces. Alexandra II (srebr.), na pamiątkę rewolucyi francuzkiej (miedziany), jeton (liczman) Witgensteina (mosięż).

Z PRZEDMIOTÓW z CZASÓW POGANSKICH w mogiłach dobytch, darował p. Kirkor sztuk 10; między temi żelaznych 4, kamiennych 5, i 20 paciorków szklistych.

Z KSIĄŻEK otrzymano od p. Kirkora 15 egzemplarzy własnego dzieła: *Przechadzki po Wilnie*, w celu sprzedania (po 2 rsr. 50 kop.) na dochód domu Tow. Nauk. Na tenże cel pismo zbiorowe: *Teka wileńska* 10 egzempl. 1-go poszytu, z obietnicą nadsyłki dalszych; przedpłata na 6 nr. 6 rsr.

Hr. Eustachy Tyszkiewicz ofiarował własne dzieła lub przez siebie wydane, jako: *Opisanie powiatu borysowskiego*, *Rzut oka na archeologią*, *Badania archeologiczne*, *Listy o Szwecyi*, *Trofea zdobyte przez Stefana Czarnieckiego na Szwedach* (wizcerunki), *Rękopism księdza Bagińskiego*, *Rachunki podskarbstwa litewskiego*.

Hr. Alexander Przedziecki, prócz kilku mniejszych broszur, darował: *Wzory sztuki średniowiecznej w Polsce*, seryą I i dalsze.

Instytut narodowy imienia Ossolińskich przysłał *ustawy* swoje, do kurenta zapisów i 7 *sprawozdań* z czynności zakładu.

Alexander hr. z Siecina Krasicki nadesłał z familijnego archiwum w Dubieku: *autograf niedrukowanych wierszy Krasickiego* arcybiskupa guieźnińskiego, i *nadanie* tyczące się roli chłopskiej pod miastem Wyzwy.

Pan Sereżyński ofiarował piękną *mapę dróg* z Warszawy do Kalisza i Słupcy, oraz z Warszawy do Brześcia i Kowna.

Ksiądz Antoni Gruszczyński proboszcz z Pierzchnicy nadesłał *grosz elbląski* z wykopaliska monet pod Szydłowem (Król. Pols.).



Pan Dr. A. Kozubowski złożył 2 kulki szkliste, niewiadomego przeznaczenia, wykopane w ogrodzie XX. Augustyanów w Krakowie.

Gdy tak szybko z licznych i cennych darów wzrastają zbiory Towarzystwa, z pociechą przychodzi widzieć w tém współczuciu kraju uznania: że na muzea potrzebny i dom, boć zbiory i przechowywano, i do publicznego użytku otwarte być muszą.

Po przyjęciu i obejrzeniu darów przedstawił sekretarz gotową już, w zakładzie *Czasu* wykonaną litografią wizerunku *Jadwigi*, znajdującego się na drzewie genealogiczném domu habsburskiego w zbiorze ambrazyjskim w Wiedniu. Rycina ta będzie do *Rocznika* dołączoną, a interesujący się rzeczą mogą mieć osobne egzemplarze.

Wreszcie posiedzenie zamkniętém zostało przyjęciem do wiadomości odezwy prezesa magistratu krakowskiego, którą uprzejmie zawiadania Towarzystwo: iż z wdzięcznością przyjmuje ofiarowaną mu przez Towarzystwo naukowe pomoc w ułożeniu archiwum w wieży ratusza będącego.



## KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1858.

27. Cmentarz Powązkowski pod Warszawą. Opisał K. Wł. Wójcicki. (Z godłem):

„Tak ludzie przeciągając za ojców koleją,  
i kolebki i trumny niosąc za nadzieją;  
Dziś różą, dziś cyprysem uwleczeni smutnie,  
Tu biją w dzwon pogrobnny, tam w weselne lutule”.

*Kastmierz Brodziński.*

Warszawa. W drukarni S. Orgelbranda. 1855—1858. Trzy tomy z 60 rycinami. W 4 - ce wielkiej. Tom 1. str. 264 i 2 karty spisu. Tom 2. str. 264 i karta spisu. Tom 3 str. XI. 264. XLII. Rsr. 21.

28. Duma z dum ukraińskich. Pieśni lirnika o ukraińskiem kozoactwie. Przez Erazma Izopolskiego. Warszawa. W drukarni *Gazety Codziennej*. 1858. (W 8ce. Str. 138).

29. Dziś i wczoraj. Rysy biograficzno-obyczajowe i bajki przez Onegajskiego, wydał Antoni Sowa. Petersburg. Nakładem i drukiem Bolesława Maurycego Wolffa. 1858. W 8-ce 2 tomy.

30. Felicyta czyli męczennicy kartagińscy. Dramat w pięciu aktach przez Antoniego Edwarda Odyńca. Wydanie drugie. Poznań. Nakładem księgarni Jana Konstantego Żupańskiego. 1858 r. (W 12-ce. Poznań, czcionkami M. Zoerna, Str. XVII—243). Rsr. 1 kop. 30.

31. Katalog Czytelni polskiej Gustawa Sennewalda. W Warszawie. 1858. b. m. d. W 8-ce str. 63. (bezpłatny).

32. Kazania i nauki z rękopismów pośmiertnych Jana Albertrande-go biskupa zenopolitańskiego. (Z portretem autora). Warszawa. Nakładem Gustawa Sennewalda księgarza. 1858. (W 8-ce str. V. 422 i karta spisu rzeczy. W drukarni Józefa Unger).

33. Małe powieści dla dzieci z dzieł J. ks. kanonika Szmidt dla użytku szkół powiatowych, elementarnych i odpowiednich im instytutów naukowych; przełożył z niemieckiego K. L. b. I. S. P. Warszawa. Nakładem S. H. Merzbacha, księgarza, 1858. (W 12-ce str. 389 i 2 karty spisu rzeczy).

34. Najwyższy ukaz oraz Najwyżej zatwierdzona Ustawa Towarzystwa rolniczego w Królestwie Polskiem. Warszawa. 1858. W drukarni Gazety Codziennój. 8-ka str. 15.

35. Nie zawsze ten zbiera, kto sieje. Powieść przez Józefę Smigiel-ską. (Z godłem):

Z starego wieku pleśni  
Jak z powijków cieśni,  
Młodzieńczych duchów ramię  
Wyzwolić się sili,  
Druzgocę i łamie.  
Czy potępisz je Panie?  
Panie! to kona wiek stary,  
Czyliż za jego konanie  
Na nowy spadną kary?  
*Jabłoński: Guido.*

16-ka. Warszawa. 1858. Księgarnia G. Gebethnera i spółki. (W drukarni Gazety Codziennój). Kart napis. 2 i str. 199.

36. O aktach stanu Cywilnego. Pismo z polecenia Jaśnie Wielmożnego Rady Tajnego P. Muchanow dyrektora głównego prezydującego w Kommissyi Rządowej Spraw Wewnętrznych i Duchownych, dla użytku osób utrzymujących akta stanu cywilnego ułożone. 8-ka. Warszawa. 1858. (W drukarni Gazety Codziennój). Kart napis. 2 str. XV i 138. Rejestru karta 1.

37. Oblężenie i obrona Saragossy w latach 1808—1809, ze względu szczególniejszym na czynności korpusu polskiego, przez generała Józefa Mrozińskiego. Rzecz przedrukowana z pisma czasowego. „Pamiętnik warszawski” rok piąty (1819) tom XIII. Wydanie Kazimierza Józefa Turowskiego. Kraków. Nakładem wydawnictwa Biblioteki polskiej. 1858. W 8-ce. Czcionkami Czasu, Str. 94.

38. Obrazek dziejów literatury polskiej dla młodzieży. Skreślił Adam Porój. Kalisz. Nakładem Nowej księgarni Edwarda Rühl. 1858. Druk Alexandra Gins w Warszawie. 12-ka str. 179.

39. Ołtarzyk polski czyli zbiór nabożeństwa katolickiego mieszczący w sobie: nabożeństwo poranne, mszalne, nieszporne i wieczorne; nabożeństwo na wszystkie przedniejsze uroczystości całego roku; do Najświętszej Panny, do świętych i aniołów Pańskich; nabożeństwo o wszystkich Sakramentach SS., Modlitwy stosowne w różnych potrzebach; nabożeństwo kompletne za umarłych, także różne nauki duchowne jako: rady do życia pobożnego, wykład nanki chrześcijańskiej, zdania z Pisma Sw. z dołączeniem stosownej wiadomości o odpustach i obrzędach kościelnych,

z różnych ksiąg krajowych i zagranicznych przez kościół św. potwierdzonych. Na cześć i na chwałę Panu Bogu Wszchemogącemu w Trójcy Świętej jedyńemu dla użytku wiernych ułożony. Wydanie trzecie, znacznie pomnożone. Wilno. Nakład i druk Teofila Glücksberga. 1858. (W 18-ce str. XIV—2 kartki kalendarza—i str. 957). Rsr. 2 kop. 25.

40. Pisma Adama Mickiewicza, wydanie nowe znacznie powiększone. Z portretem autora. Warszawa. Nakładem S. H. Merzbacha. 1858. Tom 2. (W 12-ce str. VIII. 320).

41. Pisma celniejsze uczniów i uczennic, zebrane i wydane przez Teodozego Sierocińskiego, profesora emeryta. 8-ka. Warszawa. 1858. (W drukarni Gazety Codziennej). Str. 232 i napisów kart 2.

42. Pięćdziesiąt Homilii św. Augustyna. Przekład z języka łacińskiego. Poznań. Nakładem i czcienkami N. Kamieńskiego i spółki. 1858. W 8-ce str. 262.

43. Pojawienie się Eleonory Lubomirskiej spoczywającej w grobach kościoła S. Trójcy OO. Dominikanów w Krakowie, wydane na dochód podźwignieniu z gruzów tegoż kościoła, ze zbioru podań Józefa Mączyńskiego. Kraków. 1858. (Drukiem Józefa Czecha) w 12-ce. Str. 33, nieliczb. 2.

44. Stenografia polska przez K. Krupskiego. Warszawa. Nakładem księgarni G. Sennewalda. 1858. (W drukarni J. Ungra w 4-ce str. VIII, 39 i XXVII litografowanych tablic). Rsr. 1 kop. 50.

45. Ułaz. Sielanka bojowa z błot poleskich przez Władysława Syrokomlę. (Z godłem):

„Usiadłszy na murawie pod wierzbnami w cieniu  
Pogadajmy o naszym przeszłym utrapieniu.  
Wszak i jaskółki skoro na wiosnę wylecą,  
Bez przestanku się głośno witając szczeblęcą,  
Rachując wiele żywych, wiele zmarłych w wodzie:  
Mito wspomnieć przypadki przeszłe na swobodzie.  
Zimorowicz—Sielanka kosaczyzna.

Wilno. Nakład i druk Teofila Glücksberga. 1858. W 12-ce, str. 88 Rsr. 1. kop. 20.

46. Wielka gra towarzyska z Historji polskiej z tablicą 63 portretów. Ułożona przez Wojciecha Szymanowskiego. Warszawa. W drukarni Karola Kowalewskiego. W 4-ce str. 19.

47. Włościanie z okolic Krakowa w zarysie, skreślił Józef Mączyński. Z rycinami Michała Stachowicza. Kraków. Nakład i druk Józefa Czecha. 1858 r. (W 18-ce. Str. 122). Kop. 90.

48. Zbiór Pamiętników do dziejów polskich. Wydał Włodzimierz Stanisław hr. de Broel-Plater. Tom I. 8-ka wielka. Warszawa. 1858. W drukarni Gazety Codziennej. Napisów kart 2. Przedmowy str. IV i 233. Rejestru str. III. Z podobizną listu Jana Koehlanowskiego. (Dzielo bezpłatnie dodawane do Biblioteki Warszawskiej).

49. Życie, nauczanie i śmierć Sokratesa. Napisał Michał Gliszczyński. (Zryciną). 8-ka wielka. Warszawa. 1858. Henryk Natauson. Str. 134. Rsr. 1.

50. Życie marzeń. Powieść amerykańska Donalda Mitchel (Ik. Marvel) przepolszczona przez A. B. Warszawa. Gustaw Gebethner i spółka. 1858. 8-ka str. 262 i kartka spisu rzeczy.

## DONESIENIA LITERACKIE.

## WARSZAWA.

Kazimierz hr. Wodzicki, znany z wielu prac wysokiej wartości w oddziale historii naturalnej, rozpoczął druk w drukarni Gazety Codziennej obszerną rozprawę p. n. „O sokołach i sokolnictwie“, z wyłączną uwagą na Polskę. Dzieli się na następujące ustępy: 1. Historia sokolnictwa. 2. Łowienie sokołów. 3. Nauka układania sokołów do łowów. 4. Polowanie z ptakiem. 5. Opis tak różnych gatunków sokołów, jak i jastrzębi do łowów zdalnych. Rzecz cała nadwyzczaj zajmująca, nawet dla obojętnych na łowy z ptakami. Wdzięk pióra hr. Wodzickiego jest znany z prac poprzednich, a głównie z zapisków ornitologicznych, których mieliśmy parę ciągów w Dodatku do Czasu: w nich rozwinął on szczególny urok w traktowaniu rzeczy naukowych, którym umiał zachęcić do czytania ich z zajęciem, jakby najciekawszej powieści. Przywiedziem tu zakończenie, jakie autor skreślił w pomienionem dziele:

„Zebrawszy w krótkości historią sokolnictwa w ogólności, wskazawszy jakie pamiątki niemal w każdej kronice dawniej pozostawiło, opisawszy o ile mogłem treściwie sposoby łowienia, karmienia, oswojenia i unoszenia sokołów przy opisach łowów z ptakami, a na końcu dołączywszy ryciny z natury zdjęte wszystkich gatunków sokołów i jastrzębi, jakich do polowania używano, kończę to dziełko w nadziei, że myśli tu rzucone wskrzeszą chęć do tych łowów, obudzą u nas już zastygłą żyłkę rycerską istniejącą u wszystkich ludów słowiańskich; w nadziei, że nie jeden młokos porzuci szlafrok i pantofle, a pomyśli o rumaku, sokole, legawcu i broni, bo to przecie najdawniejsi nasi towarzysze na wsi, a dopóki nas otaczali, nie było miękkiej szlafrokowej młodzieży wstającej o 10 rano do herbaty wystawnie zastawionćj, a ziewającej przy francuzkiej gazecie. Kwilenie sokoła nocą wygłodniałego obudziło pana, łaszenie wbiegających chartów i wyźłów zachęcało do polowania, a nareszcie niecierpliwość kozaczka, co chwilę zazierającego, wyprowadzały gospodarza na podwórze i dalej do obowiązków. Dziś najczęściej budzi lokaj razy kilka: śpiący przeciera oczy, pyta, czy co nowego, a na odpowiedź, że już słońce wysoko, odpowiada: „No, to daj mi jeszcze spać chwilkę, bom zmęczony (próżniactwem!)“. Dawniej był czas na wszystko: odbywały się rycerskie sprawy i wojaczka, wszyscy w kraju się znali i odwiedzali, rzecz publiczna zaniedbaną nie była i gospodarka szła nie źle, a przytém był czas pohulanki, harców i polowania: dziś wszystko wszystkim na wsi trudno, na nic czasu nie ma, a jak się pieniądze co uzbiera, to się czas znajdzie, aby za granicę popędzić. Zamiłowanie gospodarstwa, sąsiedniego braterskiego pożycia, sokoła, broni, koni i psiarni, o gdybyto znowu wskrzesić można, lepijby nam to było i mniej pieniędzy pożerałaby zagranica“.

Dzieło to w ozdobnym wydaniu z nadwyzczaj starannemi rycinami, nie powątpiewamy, że znajdzie jak najlepsze przyjęcie. Nie bra-

knie u nas zwolenników myśliwstwa, nie braknie i takich, którzy jako zajmujący obraz przeszłości naszej, oddany w zebranych wiadomościach o sokołach i sokolnictwie, z przyjemnością odczytywać będą.

— Zwrot pracowników naszych na pole właściwe literatury, jest wielce pocieszającym zjawiskiem. Oprócz głębszych studyów w dziedzinie dziejów narodowych i literatury, z bogacamy się coraz więcej staraniami przekładami arcydzieł literatury tak starożytnej, jak nowszych czasów. Przekłady z Eszyla tragedij greckich aż dwóch zajęło tłumaczy: p. Węclewski ogłosił już dwie tego tragika: myśmy otrzymali też same (Agamemnon i Ollarnice) w przekładzie Józefa Szujskiego, i wkrótce w piśmie naszym podamy. Po tłumaczeniach Kaszewskiego, Małeckiego tragiczków, mamy Platona w przekładach b. prof. Kozłowskiego i Ant. Bronikowskiego; Julian Bartoszewicz ma gotowe tłumaczenie Tucydidesa; ś. p. Mrongowiusz dał nam Xenofonta: wszystko to są zdobycze po r. 1832. Zwrot ten wywołał i studia w tym kierunku samodzielnych pisarzy naszych. Tak obecnie mamy wydaną godną uwagi w obszernych ramach rozprawę Michała Głiszczyńskiego p. u. Życie, nauczanie i śmierć Sokratesa. W przekładach czyto starożytnych klasyków, czy z późniejszych arcydzieł (Dante, Szekspir, Goete) są niezbędnymi dla czytelników polskich wstępne objaśnienia, któreby pojaśniły ich tak o wartości jak i znaczeniu dzieła, które dają w tłumaczeniu. To uważamy dla użytku ogółu za konieczne i niezbędne, gdyż w młodem pokoleniu, tradycya nawet zagięła głównie literatur greckiej i rzymskiej, a brak dzieł objaśniających dzieje powszechniej literatury, nakazuje tłumaczom, przy przekładach arcydzieł czy z średnich wieków, czy późniejszych, nie spuszczać tego głównie z myśli. Piękny dowód takich objaśniających studyów dał nam Alexander Krajewski we wstępie do przekładu swego Fausta Goete (któryśmy w r. z. w piśmie naszym ogłosili) a obecnie przy tłumaczeniu wyboru pieśni Horacyusza. Rozprawa przedwstępna pokazująca w innym zupełnie świetle niż jak dotąd uważano tego liryka Romy: nie wątpimy że zwróci wszystkich uwagę, równie jak przekład wyborny, wybranych Od Horacyusza. Prace tego rodzaju z bogacają rzeczywiście literaturę naszą, bo dają zdrowy i pożywny pokarm duchowy; przeżyją one długie lata, i trwać będą jeszcze wtedy, gdy o szumowinach literackich nawału powieści, nikt pewnie nie wspomni. Nie możemy w tym miejscu zapomnieć wydanych „pięćdziesiąt Homilii Św. Augustyna: przekład z łacińskiego języka. Znana jest ich wielka wartość: bezimienny tłumacz niemałą zastęgę oddał literaturze naszej, przyswajając je przekładem w ojczystym języku. Tłumaczenie dokładne, oddane jasnym i prostym stylem.

— Kiedy powszechnie uznanym został prawdziwie poetyczny talent Teofila Lenartowicza, a każdy jego utwór chciwie jest rozchwytywanym, czytamy w pismach codziennych naszych to obszerne zbijanie dorywczych uwag nad poematem św. Zofli, to jeremiady na nieuznanie talentu poety, na nietrwały sąd ziomków. Te, widąc odbiły się silnym wrażeniem na duszy wieszczka, bo gdy jedna z Polek panna Antonina M. podając mu swe wiersze, tak się wyraziła:

Szczęście, radość—i mniej wolno  
Z mojej ciszy i ustroni,

Jeden kwiatek, róższkę pełną,  
 Podać wielkiej wieszczu dłoni:  
 Cieszyć się że w jego rękę  
 Ten kwiat woni tyle zyska,  
 Ile w lutni jego dźwięku,  
 Ile światła z niej rozbłyska.  
 Podejm liść zerwany, wieszczu,  
 Trwożne ręce go przyniosły,  
 Bóg dał słońca, rosy, deszczu,  
 A tyś śpiewał— kwiaty rosły”.

Lenartowicz jej odpowiedział:

„Życzliwa moja, znaszli kwiatów losy,  
 Kiedy je szrony jesienne powarzą?  
 Znasz przytłumione wesela rozgłosy  
 Gdy wejdą ludzie z nieprzychylną twarzą?  
 Znasz skrzydła ptaków przetrącone w locie  
 Które po ziemi za sobą powłóczą?  
 Znasz grosz ostatni wydarty sierocie,  
 Którym się cheiwe opiekny tuczą?  
 Znajże i losy mej dzisiejszej chwały:  
 To wielkie, rychło w małe się przerodzi,  
 Zamilkną hymny które wczoraj brzmiały,  
 Wiatr nieprzyjazny uczucia wychłodzi.  
 I będę wyśmian i wyszydzone wkrótce,  
 Zwyczajnym ludzkich usposobień biegiem,  
 Wiosło odejmą życia mego łódce,  
 I nikt z przyjaciół nie stanie nad brzegiem.  
 Każdy się zaprze, i powie: Ja rzekłem,  
 Że ten jest pelen miękości i pychy.  
 Życzliwa moja, ten świat Boży cichy,  
 Czasami strasznem zaburza się piekłem!  
 Więc na tę chwilę, na tę niedaleką,  
 Kiedy mi liście wieńcowe opadną,  
 Kiedy te wszystkie zapąły przecioką,  
 Przyjaźń mi swoją zachowaj niezdradną.  
 Gdy bez litości obejdą się ze mną,  
 Kiedy się na mnie wszystkie piekła wzruszą,  
 Niechajże z twoją zostają się duszą,  
 Próżen ozdoby laurowej już zwianej,  
 Nie uwieńczony, lecz przynajmniej znauy  
 Jednej istocie, której ręka tkliwa  
 Na nieklamliwem sercu odpoczywa.

Wiersz ten wymownie świadczy, że Lenartowicz nie ocenia naleyście swego stanowiska, jakie zajął w literaturze ojczyściej. Prawda, że wiele sławnych dzisiaj pisarzy, których wielkie imiona chwilowo, już się na małe przerodziły, niedługo przysłuchną, sprawdzając staropolskie przysłowie: co się prędko wznieci, nie długo się świeci.” Przecież tego

w najmniejszym przypodobnieniu do siebie stosować nie może. Wytrwały dwudziestoletni z górą pracownik na naszej niwie duchowej, poeta w całym znaczeniu tego wyrazu, z tak podniosłym talentem, którego imię wdzięczne pieśni rozgłosiły w całym kraju, a utworami wzniosłemi jak „Zachwyconej i Błogosławionej,” stanął pomiędzy pierwszorzędnemi żyjącemi wieszczami: niepowinien mieć obawy, aby jego pocziwa sława poszła kiedyś w poniewierkę. Nasz naród miłości swej szczerzej dla swoich wieszczów nigdy się nie zaparł; a sam czując głęboko, zapamięta dobrze tych, i z wdzięczną pamięcią odda potomności tych, co potrafili do jego serca przemówić rzewnie a szczerze i z prawdą.

— Nakładem nowej księgarni Gustawa Gebetnera i spółki, wyszła powieść amerykańska p. n. „Życie marzeń.” Autorem jej jest Donald Mitchel, znany w Ameryce pod przybranym imieniem I. K. Marvela. „U nas (pisze tłumacz we wstępie) Mitchel szczególnie jeszcze ma prawo do współczucia, gdyż dziadek jego Michał Mitchel serdecznym był przyjacielem i powiernikiem najtajniejszych myśli i planów Tadeusza Kościuszki, wówczas pułkownika wojsk Zjednoczonych Stanów Ameryki, i z tym ostatnim, jako pod-szef sztabu głównego, ważny brał udział w wickopomnej bitwie pod Nowym-Yorkiem, w której lord Kornwallis został zbitym na głowę. Niemniej także pod Saratogą przeciw generałowi Bourgoyne.” Mitchel zyskawszy sobie głośny rozgłos, tak artykułami po piśmie amerykańskich peryodycznych, jako i powieściami, w r. 1853 mianowany konsulem Stanów Zjednoczonych w Wenecyi, po powrocie do kraju, osiadłszy w swojej włości „Edgewood Farm” tuż pod Newhaven, przygotowywał do druku historią nowożytnych rzeczypospolitych, między któremi policzył nie tylko rzeczpospolitą Wenecką, Szwajcarską, San-Marino, Andory, lecz także i Polską. „Ważna ta praca (pisze nasz tłumacz) daleko już posunięta została, i z napiętą uwagą oczekujemy historyi wzrostu i upadku rzeczypospolitej Polskiej.”

— Pamiętnik religijno-moralny rozpoczął z r. b. seryą drugą. W wydanym zeszycie pierwszym czytamy: 1) Wiadomość historyczną o opactwie i kościele w Łędze. 2) Wspomnienie o ś. p. Janie Gintylle, sufraganie dyecezyi telszewskiej na Żmudzi. 3) Abraham, przez ks. W. Serwatowskiego. 4) ks. Ventura i jego systemat: ustęp wyjęty z niewydanych dotąd studyów Eleonory Ziemięckiej. Wspomnienie pośmiertne ks. Dominika Przybylskiego prof. Akademii Duchownej rzymsko-katolickiej w Warszawie. Wiadomości naukowe, kronika kościelna.

— Nakładem Alexandra Nowoleckiego księgarza, wyszedł zeszyt pierwszy tomu drugiego przekładu z arabskiego „Koranu:” obszerne przypisy objaśniają sam text koranu. Przypisy tebrane są już z przekładu francuzkiego koranu Kazimirskiego, już z najlepszych wydań tej księgi w przekładach angielskich i niemieckich: najwięcej jednak przypisami ubogacił to wydanie biegły orientalista Władysław Kościuszko, synowiec Tadeusza Kościuszki. Staranne, sumienne i prawdziwie naukowe wydanie Koranu zawdzięczamy p. Nowoleckiemu, który przekonany o wartości przedmiotu, żadnych zabiegów i kosztów nie szczędził. Zeszyt 2-gi tomu 2-go obejmujący przekład reszły koranu już jest pod prasą: zeszyt 2gi tomu 1go wkrótce pójdzie do druku. Zeszyt ten zawierać będzie, rzut oka na Arabów przed Mahometem, w czasie je-

go pojawienia się i po nim, stan judaizmu w tychże czasach; sektarze między wyznawcami islamizmu; kalendarz arabski Adryana Krzyżanowskiego; zbiór modlitw codziennych i świątecznych dla pobożnych wyznawców islamu, przekład z arabskiego Wład. Kościuszki; o monetach arabskich Konstantego Świdzińskiego; w ostatku: pogląd na stosunki Polski z Turcją i Tatarami, na dzieje Tatarów w Polsce osiadłych, na przywileje tu im nadane, jako też wspomnienia o znakomitych Tatarach polskich, Juliana Bartoszewicza. Z tego krótkiego wyliczenia przedmiotów, czytelnicy ocenią wartość naukową tej publikacji.

— Znane są piękne przekłady Wład. Syrokomli piosnek Bérangera i kilka W. Korotyńskiego. Dowiadujemy się z listu Syrokomli, że drukuje się wspólny obu tych poetów przekład pieśni ulubionego śpiewaka Francji.

— Ogłoszono przedpłatę na Album Napoleona Dębickiego p. n.: „Sceny życia”. Serya pierwsza obejmująca sześć arkuszy, kosztuje drogą prenumeraty złp. 10. Arkusz pierwszy już wyszedł odbity starannie w litografii Pecy’a. Publikacja ta zwraca uwagę dowcipem i głębszą myślą. Jestto satyra lub raczej epigrammata rysunkiem oddane. Tak widzimy na czele tego arkusza: „Sen Jakóbów”, z podpisem: „Každy wiek ma swoją ideę”. Po jednej stronie zasypia na kamieniu Jakob patriarchy i we śnie widzi aniołów zstępujących z niebios; drugi naszych czasów Jakob spi smacznie w wygodnym fotelu z dymiącym cygarem w ręku, a we śnie ogląda wabne postacie baletniczek, szóstki, piątki i assa, butelki z szampanem i kielichy do nich. Pod temi Jakóбами dał nam artysta: „Podstawę społeczeństwa” w postaci wysokiego chudego w okularach i z bródką dandysa. Obok niego, żyd wystrojonymu elegantowi pokazuje wexel; podpis rzecz objaśnia. „Filistyńczyki bili Izraelitów, dziś Izraelici biją Filistyńczyków”. Z drugiej strony skreślił nam artysta stan finansów w szkicu: na ślizkim lodzie dwóch finansistów ślizgających się podtrzymują się wzajemnie: jeden już upadł i dźwignąć się nie może. Zakończy ten arkusz rok 1870. Tu widzimy w miękkim fotelu rozpartego wygodnie z długimi włosami, z wąsami i bródką hiszpańską w okularach siedzącego tancerza, który wachlarzem się chłodzi. Przed nim w kornej postaci młoda panna w obszernej krynolinie stoi, skłania głową i prosi do tańca. Tancerz niedbale jej odpowiada: „przepraszam panią, jestem strudzony”. Obok niego stoi dwóch jego towarzyszków, z tych jeden orzeźwia się wonią bukietu kwiatów, drugi trzyma wachlarz w ręku. Publikacja ta nie wątpimy, że prędko zyska upowszechnienie.

— Z listu Pauliny Wilkońskiej, znaniej powieściopisarki, dowiadujemy się, że w Poznaniu w Bazarze, w kole towarzyskiem odbywają się prelekcye w każdy poniedziałek, i wieczory te nazywają się literackimi. Niedawno mówił Leon Wegner: dał obraz pełen zajęcia i dobitności jednego ustępu z czasów Stanisława Augusta. Autorka ta wkrótce ogłosi drukiem dwie nowe powieści; „Fata Morgana” w dwóch tomach i „Pana Wojskiego”.

— Wydawnictwo Biblioteki Polskiej p. K. J. Turowskiego przeniósłszy się do Krakowa i działając wedle dobrze pomyślanego planu, wielkie zapowiada korzyści dla nauki dziejów i literatury ojczyściej.



Porzuciwszy myśl niewdzięczną przedruków dzieł z czasów okresu Stanisława Augusta i późniejszych: daje nam ze złotój epoki literatury dzieła najważniejsze, które dotąd dla ogółu nie mogły być dostępnymi. Rozwijając się to wydawnictwo wedle wybornie obmyślanego programu, może z pewnością liczyć na najświetniejsze powodzenie i największe rozpowszechnienie. K. J. Turowski wydał obecnie w Krakowie: 1. Kazania sejmowe P. Skargi i wzywanie do pokuty obywateli korony polskiej z dodaniem mowy arcybiskupa Waw. Gembickiego z fac-similem pisma Piotra Skargi. 2. Obłężenie i obronę Saragossy J. Mrozińskiego. w końcu dodany życiorys tego pisarza (w skróceniu) z dzieła K. Wł. Wójcickiego: „Cmentarz powązkowski pod Warszawą“. Pod prasą są pisma polityczne biskupa Wereszczyńskiego z podobizną własnoręcznego jego podpisu. Z prospektu dowiadujemy się o przedruku dzieł niedosyć że b. rzadkich, ale najżywiej nas zajmujących, bo objaśniających przeszłość naszej Rzeczypospolitej. Oprócz Dworzanina Górnickiego, będziemy mieli pisma Jana Tarnowskiego: *a)* Ustawy prawa ziemskiego polskiego dla pamięci lepszej krótko i porządnie z statutów zebrane. *b)* O dwojakiej obronie koronnej i o powinności urzędników wojennych. *c)* De ratione bellandi, czyli consilium rationis bellicae: (po polsku jak oryginał choć z tytułem łacińskim) dodany będzie portret wielkiego męża z familijnego zbioru Dzikowskiego zdjęty. S. Orzechowskiego: *a)* Quincunx, czyli wzór korony polskiej. *b)* Policya. Krukowskiego prymasa: *a)* Instrukcyja na sejmiki elekcye deputackiej, i kopia listów króla 1598. *b)* Exorbitancye i naprawa koła poselskiego 1596. *c)* Sentencye. Piotra Grabowskiego: Zdanie syna koronnego o pięciu rzeczach Rzeczypospolitej polskiej 1595 w Parnawie. Jana Januszowskiego: *a)* Szafarz, albo o pohamowaniu niepotrzebnych utrat. *b)* Poselstwo węgierskich posłów do Zygmunta III w r. 1595. *c)* Kopia dwu listów 1596. *d)* Cenzor obyczajów potocznych do naprawy potrzebnych 1607. Mik. Spytka Ligęzy kaszt. sandomierskiego: *a)* Votum, które miał na sejmie koronacyjnym Władysława IV 1633 r. *b)* Pismo z powodu sejmu walnego warsz. 1636. Bartosza Paprockiego: Herby rycerstwa polskiego. Szymona Starowolskiego: *a)* O reformacyi obyczajów. *b)* Prawy rycerz. *c)* O wojnie tureckiej. *d)* Opisanie Polski (w tłumaczeniu poprawnem). Prymasa Wład. Łubińskiego: Opisanie Polski wjęte z ogólnego dzieła „Świat“ etc. St. Leszczyńskiego króla polskiego, W. X. litewskiego, księcia Lotaryngii i Baru, polskie dzieła. Z poezyi: 1. Tobiasza Wiszniowieckiego 2. Sępa Szarzyńskiego. 3. St. Grochowskiego. 4. Klono-wicza. 5. Jana Białobockiego. 6. Jędrzeja Zbylitowskiego. 7. Jagodyńskiego. To redaktor zamierza w 60 zeszytach zamieścić. Pragnęlibyśmy z Ogrodu królewskiego B. Paprockiego ujrzeć ustęp poświęcony Polsce. Co zaś do samego herbarza, zwrócić musimy wydawcy uwagę na rzecz dotąd nieznaną i niezbadaną. Porównyując kilka exemplarzy tego herbarza, znaleźliśmy w niektórych kartach znakomite zmiany i dodatki, których w innych nie było. To nas doprowadziło do domysłu, że po wydaniu przez autora herbów rycerstwa polskiego, szlachta opuszczona przez niego postarała się o przedruk, lepszy druk i papier jednolity, i w dostępnych sobie exemplarzach, dawne karty wydzierając, a nowe wklejając, przez co porządku w paginacyach nie psuto. Takich

kart odmiennych kilkanaście posiadamy i chętnie udzielimy ich wydawcy, aby przy końcu dzieła zmiany te ważne objętemi być mogły. U nas w Warszawie nowa księgarnia Gustawa Gebethnera i Spółki jest głównym kantorem, przyjmującym prenumeratę na Bibliotekę Polską; lubo i we wszystkich innych znaczniejszych księgarniach można zapisywać się na toż wydawnictwo tak żywo nas zajmujące.

— Tom drugi Zbioru Pamiętników do dziejów polskich Włodzimierza S. hr. de Broel Platara, który bezpłatnie prenumeratorem Biblioteki Warszawskiej otrzymują, już jest pod prasą i obejmuje: 1. Dalszy ciąg autografów z rękopismu Wład. hr. Ostrowskiego. 2. Pokazanie błędów i naprawy ich w Rplitej naszej podczas tego bezkrólewia. Z rękopismu własnością będącego niegdyś Jana Albertrandego B. Z. Są to uwagi nad pierwszym bezkrólewem po śmierci Zygmunta Augusta, rzucające wielkie światło na owoczesny okres dziejowy. Autor niewiadomy. 3. Z tek Naruszewicza materiały nieznane do sprawy Zborowskich. Porównano wydanie Pamiętników w tym przedmiocie L. Siemińskiego i Ż. Pauli, i wybrano tylko te zabytki, które albo się zupełnie nie mieszczą w pomienionych pamiętnikach, albo też w wielce odmiennym wydrukowano teście.

— Tak niezbędnie potrzebny spis alfabetyczny nazwisk autorów objętych w dziele Jochera, wykonał P. Radziszewski. Za tę znużoną i mozolną pracę otrzymał honorarium od księgarni Zawadzkiego dukatów dziesięć i to książkami. Zapisujemy tu ten szczegół ciekawy, jak naukowa i ciężka praca popłaca.

— Henryk Merzbach, znany z drobniejszych poezji, ogłasza drukiem szkic dramatyczny p. n. Antoni Malczeski. Wydaje go swoim nakładem, a cały dochód przeznaczają do składki zbieranej na pomnik dla Ignacego Komorowskiego. W Poznaniu wyjdzie tom poezyj tegoż autora nakładem J. K. Żupańskiego p. n. Lutnia.

— We wszystkich piśmiech codziennych mamy wiadomości o świętnem przyjęciu na scenie wileńskiej nowego utworu dramatycznego Wł. Syrokomi: p. n. Kacper Karliński. Zapal licznie zebranej publiczności był niesłychany; autor musiał wyjść na scenę, i został osypany kwiatami. Przedmiot ten sam mamy w prześlizniętej scenie Alexandra Fredry p. n. Obrona Olsztyna. Wkrótce zapewne który z księgarzy wileńskich ogłosi drukiem ten dramat, wtedy poznamy go bliżej, i porównać będziemy mogli ze wzniosłym utworem Fredry.

— Nakładem księgarni S. H. Merzbacha wyszedł tom 3ci pism Adama Mickiewicza i obejmuje sześć pierwszych ksiąg powieści: Pan Tadeusz. Tom czwarty, w którym się mieści sześć ksiąg ostatnich tego arcydzieła, już jest pod prasą drukarską i wciągu kilku tygodni ukończonym zostanie.

— Gustaw Sennewald zaczął drukować nakłady swoje w Krakowie. Tak mamy teraz wydane nauki parafialne i mowy pogrzebowe, dwa dzieła pióra X. A. K. Piramowicza, wydane w drukarni Budwejsera w Krakowie. Jeżeli druk nie lepszy jak w typografiach warszawskich, papier grubszy i w lepszym gatunku, druk w odbiciu wydaje piękniejszym. Przynać też należy, że brak dobrego papieru

u nas drukowego stawia największe przeszkody w edycjach książek polskich ozdobnych.

— Ferdynand Chotomski, znany od lat wielu autor trawestowanej Eneidy Wirgiliusza, która tylko wyjątkami w naszych pismach była drukowana, wydaje teraz w całości ten utwór. Prenumerata rs. 2.

— W zajmującej wycieczce w góry Pokucia, ogłoszonej w odcinku Gazety Codziennej, ciekawą wycytujemy wiadomość o osadzie szlacheckiej, czystej krwi mazurskiej wpośród ruskich górali Huculów. Pomiedzy tą szlachtą autor tego opisu znalazł zręcznego samouka rzeźbiarza, Iwana Bodruk Berezowskiego, herbu Sas. Najudatniejszą z prac jego był Zbawiciel na krzyżu, postawiony w tej osadzie szlacheckiej Berezowie. Pragnęlibyśmy, ażeby pp. redaktorowie pism naszych codziennych, postarali się raczej więcej o takich korespondentów, którzyby kraj własny tak mało znany, szczegółowo opisywali, aniżeli opłacali korespondentów zagranicznych, którzy ciągle we wszystkich gazetach naszych o jednych równocześnie rozpisują się przedmiotach, dobrze już znanych. Czytelnicy polscy lepiej są uwiadomieni o drobnych szczegółach z Paryża, Berlina i Wrocławia, niż co się dzieje na ojczystej ziemi. Obywatele nasi ziemscy nie odmówiliby, szczególnie z młodszą generacyi, tej pomocy szlachetnej w opisywaniu zakątków swoich, i tym sposobem zebralibyśmy drogocenne zasoby do dokładnej znajomości ojczyzny naszej.

— Władysław Oleszczyński obok kilku znakomitych popiersi portretowych, wykonał projekt pomnika dla malarza Czechowicza, w kościele XX. Kapucynów. Myśl pierwszą wskrzeszenia pamięci zasłużonego artysty powziął nasz archeolog, obywatel starego Podlasia Józef Łoski, i pierwszy zasób składki zebrał.

— Młody utalentowany nasz rzeźbiarz Święcki wykończył statwę Mickiewicza w rozmiarze pół naturalnej wielkości. Odlewy gipsowe wkrótce się ukażą: cena ich dostępna (po rs. 10) dozwala mieć nadzieję, że ta jedna z najlepszych prac Święckiego, wykonaniem wchodząca w sferę dzieł wyższej sztuki, znajdzie upowszechnienie w kraju, bo niejedna rodzina, miasto cacek zagranicznych, lepiej ozdobi mieszkanie postacią wielkiego wieszca.

— M. Fajans wydał w wielkim formacie wizerunek arcybiskupa metropolity warszawskiego ks. Antoniego Melchiora Fijałkowskiego, odznaczający się nie tylko nadzwyczaj trafnym podobieństwem, ale i wykonaniem artystycznym. Siedzi w wielkim fotelu, przy ozdobnym stole, na dużej księdze wspiera lewą rękę, prawą na kolanach wsparłą trzyma rozwartą ewangelią z napisem: „Ewangeliium Domini nostri Jesu Christi.”

— S. Orgelbrand rozpoczął druk: „Mazowieckich powiastek” K. Wł. Wójcickiego. Druk historyi Mazowsza b. prof. Kozłowskiego pospiesza. Dzieło to nakładem pomienionego księgarza wyjdzie w r. b. we 2 tomach ściślego druku.

— Teofil Lenartowicz po wydaniu poematu Gładyatorowie, przygotował drugi tom Lirenki, obejmujący poezye ludowe. Między innymi jest tu ludowy kalendarz ułożony wedle przypowieści wiejskich o różnych świętych roku. Ci, którzy czytali ten utwór piszą, że nad ten utwór

muza Lenartowicza nie jeszcze nie wydała świeższego i prostszego". Wierzmy temu, bo taki właśnie rodzaj jest najwłaściwszy naszemu wieszczowi.

*Kraków.* Gazeta Krakowska niemiecka zaczyna dawać w feletonie przekład niektórych ustępów Mohorda. Nie można powiedzieć, żeby się artystycznością odznaczył, a jeszcze mniej, żeby oddawał charakter oryginału, tak trudne do ujęcia w obcym języku.—W wydawnictwie katolickim ukazała się mała książeczka napisana p. Wielogłowskiemu p. n. Kościół św. Katarzyny w Krakowie i Katarzyny w Polsce. Autor w sposób wiele trafny pokazuje różne stany i powołania radzące nad tem, jakby zrujnowaną świątynię odbudować: jak zwykle między ludźmi jedni pragną pomnożyć chwałę boską, drudzy chłodniej i obojętniej biorą te rzeczy. Jednakże wpływ tego dziełka, w którym się każdy mógł przejrzeć był tak skuteczny, że miały się posypać hojne składki na ten cel pobożny.—Ks. Pękałski b. professor tutejszego Uniwersytetu wydrukował żywot św. Wojciecha z krytycznemi uwagami nad podaniem Czechów, jakoby zwłoki tego świętego miały być złożone w Pradze. Wydanie ozdobne z dwiema rycinami przedstawiającemi grób św. Wojciecha i drzwi kościoła gnieźnieńskiego. Nakład cały w 500 egzemplarzach.—Towarzystwo naukowe krakowskie ogłosiło odezwę w wydziale archeologicznego, w której uznawszy całą ważność wykopalisk na naszej ziemi, wzywa korespondentów swoich i gorliwych obywateli, ażeby o każdym odkryciu tego rodzaju, szczegółowe raczyli nadsyłać wiadomości, wraz ze ściśłym oznaczeniem miejscowości i rysunkami wykopalisk, jeżeli samychże wykopalisk nie przesłano. Celem tej odezwy jest, ażeby wydział archeologiczny zebrawszy jak największą ilość takich opisów, mógł na odpowiedniej mappie takowe oznaczyć. Toż zastosować należy przy odkryciu grodzisk, horodyszcz, zamków. Szczęśliwato myśl zaprawdę: wykopaliska bowiem, zabytki grodzisk i horodyszcz wyznaczone na mappie, mogą wskazać ślady przechodnich plemion, i niejedną wątpliwość dziejową wyjaśnić. Radzibyśmy, ażeby ta odezwa jak najpomysłniejszy skutek otrzymała, i obudziła uczucie obywatelskiej przysługi w sercach naszych ziemian, iżby ci baczną zwrócili uwagę na tego rodzaju zabytki, a odkrycia swoje Towarzystwu naukowemu krakowskiemu jak najrychlej udzielać chcieli. Do tej odezwy dołączoną jest tablica litografowana 20 urn i naczyń rozmaitych kształtów przez znanego archeologa Józefa Łepkowskiego narysowanych, z rozdzieleniem ich na prowincye dawniej Rplitej polskiej. Tak mamy tu w najwzajemniejszych kształtach tego rodzaju zabytki z Litwy i Rusi litewskiej, ukraińskiej, małopolskiej, wielkopolskiej, szląskiej i z okolic Gdańska. Sądzimy, że aby ta odezwa czcigodnego prezesa Towarzystwa tym rychlejszy i rozleglejszy skutek otrzymała, należałoby dostateczną liczbę egzemplarzy takowej nadsyłać do redakcyi Biblioteki Warszawskiej, któraby zajęła się rozestaniem po całym kraju. Wydział tego Towarzystwa archeologiczny, wydał z litografii „Czasu” popiersie królowej Jadwigi, z drzewa genealogicznego domu habsburgskiego w Wiedniu: szczególny strój głowy zwraca uwagę.

*Poznań.* Nakładem Żupańskiego wyszło drugie wydanie znakomitego utworu A. E. Odyńca „Felicjta czyli męczennicy Kartagińscy.” Pierwsze wileńskie wydanie przeszło niepostrzeżone, tak mała liczba

egzemplarzy dostała się do nas; a jednakże (mówi Dodatek Czasu w zeszycie styczniowym r. b.) utwór ten z tej sfery co tyle czytana Fabiola i Kallista, o kilka lat wyprzedził myśl Wiesemana i Newmana. Felicjty treścią jest wielkie prześladowanie chrześcian w Afryce na początku III wieku; historya Perpetui i Felicjty, ich pojmania i cierpień opisane są przez samą S Perpetuę i przez Ś. Satura, a Tertulian naoczny podobno świadek ich męczeństwa w cyrku kartagińskim, dopełnił te akta. Dramat więc niniejszy, mniem jest dziełem fikcyi poetycznej, a całkiem prawdy na rzeczywistości opartej. Nakładem tegoż księgarza wyszło w r. z. J. Lelewela: „Obraz dziejów polskich” skreślony w r. 1828. Nakładem Kamińskiego i spółki ukazały się: Dzieje narodu polskiego, z tablicą chronologiczną do naszych czasów, dla użytku młodzieży.

*Lwów.* (Z listu) Z najwięcej obchodzących nas wiadomości, przede wszystkim donoszę wam, że gdy w słabości oczu, którą z ciężkiej i morderczej pracy dotknięty został nasz historyk Karol Szajnocha, żadnego polepszenia nie ma: troskliwa kuratorja Zakładu imienia Ossolińskich, gdzie on posadę dotąd zajmuje, kazała złożyć mu deklaracyą, czy od 1 lutego r. b. może pełnić swe obowiązki, gdyż w razie przeciwnym, na mocy ustawy śp. Ossolińskiego, z połową pensyi go usunie, a drugą połowę przeznaczy na utrzymanie jego następcy. Możecie sobie wystawić, jakie pomiędzy ludźmi mającemi uczucie, taki postępek wywołał oburzenie.

Przytaczając ten ustęp z listu, dodamy, że wszystkie korespondencye ze Lwowa o tym wypadku szeroko się rozwodzą; a postępek kuratorji Zakładu imienia Ossolińskich, zwrócił powszechna niechęć opinii publicznej na siebie. Zapewne otrzymamy bliższe wyjaśnienie wkrótce w tym przedmiocie, które nam w świetle rzeczywistej prawdy, wypadek ten ukaże. Powszechne zajęcie się losem naszego historyka, może mu służyć za dowód, jakie ma w całym narodzie współczucie, i jak oceniono ważność prac jego.

— Rozpoczęto druk Monumentów zapowiadzianych dawniej: nakład na tom pierwszy daje (jak to donosiliśmy) Wiktor hr. Baworowski. Obejmować będzie do 50 arkuszy druku, spodziewamy się, że z końcem r. b. wyjdzie z pod prasy. Niedługo ujrzymy zajmujący przedruk z dziennika literackiego Rokoszu Zebrzydowskiego, wraz z nową przemową, w której autor da rozbiór wszystkich źródeł i dzieł odnoszących się do spraw rokoszu. Znany kilka współczesnych rękopismów, dotyczących tego ważnego ustępu dziejowego. Włodzimierz hr. Plater, nadesłał do zbioru swoich Pamiętników obszerny rękopism o rokoszu. K. Wł. Wójcicki udzielił ze swego zbioru również do tych Pamiętników, współczesny obszerny także rękopism. Po porównaniu obu tych pomników, całość wydana będzie w zbiorze pomienionych Pamiętników. Nie powątpiewamy, że ogłoszenie drukiem tych zabytków, rzuci niemało światła na cały rokosz i postać Zebrzydowskiego, tak dotąd ohydzoną w historyi.

— — — — —  
Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Styczeń 1858.

Obserwatorium Meteorologiczne w Warszawie

Miejsce godzinę wzniesione jest 307,0 stopni parzystych nad p. 14° 43' 7" czyli w roku 1841, 25' 2"

Dni	Barometr w milimetrach srebrzystym do 0			Termometr alustopniowy		
	0	10	20	0	10	20
1	760.00	760.00	760.00	+	0.0	0.0
2	760.00	760.00	760.00	+	0.0	0.0
3	760.00	760.00	760.00	+	0.0	0.0
4	760.00	760.00	760.00	+	0.0	0.0
5	760.00	760.00	760.00	+	0.0	0.0
6	760.00	760.00	760.00	+	0.0	0.0
7	760.00	760.00	760.00	+	0.0	0.0
8	760.00	760.00	760.00	+	0.0	0.0
9	760.00	760.00	760.00	+	0.0	0.0
10	760.00	760.00	760.00	+	0.0	0.0
11	760.00	760.00	760.00	+	0.0	0.0
12	760.00	760.00	760.00	+	0.0	0.0
13	760.00	760.00	760.00	+	0.0	0.0
14	760.00	760.00	760.00	+	0.0	0.0
15	760.00	760.00	760.00	+	0.0	0.0
16	760.00	760.00	760.00	+	0.0	0.0
17	760.00	760.00	760.00	+	0.0	0.0
18	760.00	760.00	760.00	+	0.0	0.0
19	760.00	760.00	760.00	+	0.0	0.0
20	760.00	760.00	760.00	+	0.0	0.0
21	760.00	760.00	760.00	+	0.0	0.0
22	760.00	760.00	760.00	+	0.0	0.0
23	760.00	760.00	760.00	+	0.0	0.0
24	760.00	760.00	760.00	+	0.0	0.0
25	760.00	760.00	760.00	+	0.0	0.0
26	760.00	760.00	760.00	+	0.0	0.0
27	760.00	760.00	760.00	+	0.0	0.0
28	760.00	760.00	760.00	+	0.0	0.0
29	760.00	760.00	760.00	+	0.0	0.0
30	760.00	760.00	760.00	+	0.0	0.0
31	760.00	760.00	760.00	+	0.0	0.0
31	760.00	760.00	760.00	+	0.0	0.0

**DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE**

**w Obserwatorium Astronomiczném**

**WARSZAWSKIEM.**

**Styczeń, 1858.**

Styczeń 1858.

Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obser-

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad po-  
1° 14' 45",7 czyli w łuku 18° 41' 25",5 na

watorium Astronomiczném Warszawskiem.

ziom morza, jego szerokość geogr. 52° 13' 5", długość w czasie  
wschód względem południka paryzkiego.

Data	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stusstopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna	S T A N N I E B A				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z	
	6	10	4	10	6	10	4	10		6	10	4	10	6	10	4	10	dę- szczy	śnie- gu
	god.rano	god.rano	godz.w.	godz.w.	god.rano	god.rano	godz.w.	godz.w.		godz.rano	godz.rano	godz.wiecz.	godz.wiecz.	god.r.	god.r.	god.w.	god.w.		
1	760.95	760.57	758.67	758.12	+ 3°.6	+ 3°.6	+ 4°.6	+ 4.1	93.7	poch. mży	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
2	757.37	759.07	760.99	762.61	+ 3.2	+ 3.6	+ 0.9	- 1.4	82.8	pochmurny	lek. pochm.	pochmurny	lek. pochm.	PnZ.	Pn.	PnW.	PnW.		
3	765.93	768.29	770.61	773.95	- 9.1	- 9.0	- 10.5	- 14.9		lek. poch.	pogodny	pogodny	pogodny	Pn.	PnW.	PnW.	PnW.		
4	774.50	775.48	774.60	774.48	- 16.8	- 15.6	- 11.2	- 13.8		pogodny	pogodny	pogodny	pr. pogod.	-	W.	PnW.	PdW.		
5	772.79	772.54	771.15	771.65	- 16.4	- 14.1	- 8.8	- 11.0		pogodny	pogodny	pr. pogodny	pogodny	-	-	PnW.	-		
6	771.52	771.92	771.31	771.34	- 7.6	- 5.2	- 3.5	- 5.4		pochmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
7	769.96	770.58	769.40	769.15	- 7.6	- 7.3	- 3.4	- 8.7		pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
8	768.27	768.35	766.61	765.93	- 8.7	- 8.2	- 8.0	- 8.9		pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	-	-	-	-		
9	764.56	764.60	762.82	761.78	- 10.5	- 10.2	- 7.4	- 8.3		pochmurny	pr. pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	Pd.	PdW.	Pd.		
10	760.39	760.84	760.96	761.72	- 7.3	- 4.8	- 1.3	- 0.7		pochmurny	poch. śnieg	śnieg	poch. mgła	Pd.	Pd.	PdZ.	Z.		3.6
11	761.66	762.34	761.99	761.17	- 0.2	- 0.2	- 0.5	- 2.3	100.0	pochmurny	mgła	mgła	pogodny	Z.	Z.	PdZ.	Pd.		
12	760.59	761.06	761.32	761.44	- 5.9	- 6.3	- 2.1	- 2.3	98.2	pogodny	pogodny	pochmurny	pochmurny	Pd.	PdZ.	Z.	-		
13	759.57	759.00	756.74	755.72	- 2.1	- 1.1	- 1.4	- 2.3	97.5	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	PdZ.	PdZ.	Z.		
14	753.86	754.31	754.67	755.14	- 2.1	- 0.7	+ 0.7	+ 0.2	94.5	pochmurny	śnieg b. dr.	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		3.2
15	755.12	754.67	750.74	746.45	- 4.7	- 2.3	- 0.4	+ 0.3	97.8	pochmurny	pochmurny	śnieg	pochmurny	Z.	Z.	PdZ.	Z.		4.0
16	745.51	743.71	739.85	745.78	+ 0.7	+ 1.3	+ 0.4	- 4.7	92.5	pochmurny	poch. śnieg	pochmurny	pogodny	Z.	Z.	PnZ.	PnZ.		6.0
17	748.36	749.40	751.05	754.24	- 6.4	- 6.3	- 5.4	- 6.9		lek. poch.	pr. pogodny	napół pog.	pr. pogod.	PnZ.	PnZ.	Z.	Z.		
18	755.72	755.28	750.42	748.04	- 7.3	- 5.0	- 2.8	- 0.2	97.3	pogodny	lek. pochm.	śnieg	śnieg	Z.	Z.	PdZ.	Z.		4.8
19	745.79	745.96	740.90	734.59	+ 0.6	+ 1.1	+ 2.1	+ 2.5	98.2	poch. śnieg	poch. desz.	pochmurny	deszcz	Z.	PdZ.	PdZ.	Z.	4.0	8.0
20	735.59	735.12	730.91	729.83	+ 4.3	+ 4.5	+ 3.6	+ 2.1	97.3	deszcz	deszcz	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	11.6	
21	725.95	727.86	733.87	737.17	+ 0.4	+ 0.4	- 1.8	- 4.2	95.5	pochmurny	poch. śnieg	pochmurny	śnieg	PdZ.	Z.	PnZ.	Z.		2.3
22	741.08	743.24	746.94	751.63	- 6.1	- 6.2	- 6.4	- 8.7	92.7	pochmurny	śnieg	lek. pochm.	napół pog.	PnZ.	PnZ.	PnZ.	Pn.		2.0
23	756.88	757.47	756.16	756.44	- 9.1	- 10.3	- 6.4	- 12.6		lek. pochm.	pogodny	poch. śnieg	pogodny	PnZ.	PnZ.	Pd.	-		
24	758.94	759.72	760.64	762.42	- 13.3	- 6.7	- 4.5	- 5.6		pr. pogod.	lek. pochm.	poch. śnieg	pochmurny	-	Pd.	Z.	-		4.2
25	766.06	766.86	767.94	769.03	- 3.5	- 3.2	- 2.4	- 8.6		pochmurny	pochmurny	lek. pochm.	napół pog.	-	-	PnZ.	-		
26	768.10	767.64	766.44	765.96	- 5.6	- 5.0	- 5.7	- 7.6		pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	-	PnZ.	Z.	PnZ.		
27	764.49	764.25	763.21	763.15	- 6.5	- 5.0	- 5.5	- 5.3		pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Pn.		
28	763.84	765.54	765.69	769.02	- 4.6	- 6.2	- 6.9	- 13.8		pochmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	W.	W.	W.	PdW.		
29	770.05	771.01	769.89	769.62	- 16.4	- 14.1	- 9.9	- 12.4		pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	W.	PdW.	PnW.	PnW.		
30	767.73	766.63	764.55	759.35	- 16.8	- 15.5	- 10.2	- 13.6		pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	-	-	PdW.	PdW.		
31	754.21	751.81	747.58	745.79	- 16.4	- 12.0	- 3.3	- 3.1		pogodny	lek. pochm.	pochmurny	śnieg	PdW.	PdW.	Pd.	PdZ.		2.0
Śre.	758.882	759.197	758.362	758.446	- 6° 39'	- 5° 35'	- 3° 79'	- 5° 75'	95.2									15.6	40.1

	m.	°.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	758.722	28	0.338
Najwyżej barometr dochodził d. 4 o g. 10 r.	775.48	28	7.766
Najniżej — — d. 21 o g. 6 r.	725.95	26	9.811
Doład ani razu barometr nie wzniósł się tak znacznie.			
Średnia zmiana dzienna barometru	5.308		2.353
Największa zmiana dzienna barometru d. 30—31 o g. 4 w.	16.97		7.523
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 32 lat	7.655		3.393
Średnia temperatura stycznia wynosi: i ta jest niższa o	751.067	27	8.945
od stanu normalnego z 32 lat	— 5° 32 C.	—	4° 21 R.
poprzedzających	0.06 „		0.05 „
Największe ciepło było d. 1 o g. 4 r.	— 5.26 „	—	4.21 „
Największe zimno — d. 4 i 30 o g. 6 r.	+ 4.6 „	+	3.68 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	— 16.8 „	—	13.44 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 2—3 o g. 10 w.	3.661 „		2.929 „
	13.5 „		10.80 „

Termometrograf wskazał:

Maximum: + 5° 5 R. d. 20 po połud.

Minimum: — 13° 6 „, d. 4 i 30 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 95.2, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo co do ciężaru 3.71 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 15.6 mil. czyli 6.91 lin. par.; z śniegu 40.1 mil. czyli 17.78 lin. par.; razem z deszczu i śniegu 55.7 mil. czyli 24.69 lin. par.; ilość ta wody jest o 9.98 lin. par. większa od tej jaka zwykle w styczniu spada.

Dni pogodnych było 7, napót pogodnych 4, pochmurnych 20.

Dni deszczu 5 (d. 1, 10, 16, 19, 20).

— śniegu 12 (d. 10, 13, 14, 15, 16, 18, 19, 21, 22, 23, 24, 31).

— mgły 2 (d. 10, 11).

— gradu 2 (d. 15, 21).

Wichrów było 1 (1 Z.).

Wiatrów mocnych 14 (9 Z., 3 PdZ., 2 PnZ.).

Wiatr panujący Zachodni.

Styczeń r. b. przy nie zwykle wysokim stanie barometru z początku był pogodny, suchy i mroźny, w środku ciepły lecz nie pogodny, wilgotny, w deszcz i śnieg obfity; koniec mroźny i pogodny, w ogóle miesiąc ten był pogodny nieco jednak zimniejszy niż zwykle. Najcieplejsze dni były d. 1, 2, 11, 16, 19, 20; najzimniejsze d. 3, 4, 5, 8, 9, 23, 29, 30, 31. Pod względem ciśnienia powietrza miesiąc ten znacznie się różnił od lat innych; wyjąwszy pięć dni od d. 18 do 23 przez cały miesiąc barometr utrzymywał się bardzo wysoko i dlatego średnia miesięczna 28 cali 0.34 lin. par. jest o 3.93 lin. większa od normalnej, o 0.30 lin. od najwyższej w r. 1833 a o 7.06 lin. od najniższej średniej w r. 1839. W dniu 4 o godz. 10 rano barometr doszedł do wysokości 28 cali 7.77 lin. par., o 0.06 lin. wyżej od największej jaka była w Warszawie d. 9 grudnia 1829 r. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był pogodniejszy niż zwykle; albowiem w stanie normalnym stosunek dni pogodnych, do napót pogodnych i pochmurnych jest jak 4:6.4:20.6; w r. b. stosunek tychże dni jest jak 7:4:20. Dwa dni 19 i 20 przy nagłym opadnięciu barometru odznaczały się szczególnym ciepłem przy wichrze i deszczu.

Dnia 3, 4, 7, 9, 12, 29 pokazywały się liczne i znaczne plamy na słońcu.

Wysokość wody na Wiśle największa stóp 6 cali 10 d. 20, 30.

— — — — — najmniejsza stóp 3 cali 4 d. 5.



## SPIS RZECZY

### ZAWARTYCH W TOMIE PIĘRWSZYM

z r. 1858.

	Stron.
Od redakcyi Biblioteki Warszawskiej.....	I
<i>Materyały historyczne.</i>	
Słów kilka o starożytnej odbudowie kopalń olkuskich i machinach w tychże, o płoczkach, prażeniu rudy ołowianej i hutach dawnych pod Olkuszem, przez <i>Hieronima Łabęckiego</i> (z dwiema rycinami).....	18
Rolnicza ludność w Polsce od XV do XVI wieku, przez <i>T. Xcia L.</i>	237
Wiadomość o kassuli, dawniej miarze polskiej, przez <i>Alexandra Wejnerta</i> .....	411
Pamiętki polskie w Rzymie, przez <i>G. Z.</i> .....	505

### *Biografie.*

Ignacy Bohusz, przez <i>Juliana Bartoszewicza</i> .....	121
Beethoven i jego prace, przez <i>Jolantę</i> .....	698

## Literatura.

	Stron.
Zaczątki piśmiennictwa polskiego, przez <i>Dominika Szulca</i> .....	1, 278
Przegląd literatury zagranicznej. Literatura angielska. Hallora: Po- był w Lookoo, w Japonii i Chinach 1857. — W. K. Loftusa Po- droże w Chaldei.—Odkrycie pomników starożytności w środko- wej Ameryce.—Pamiętniki Elkanach Watsona.—Historja Nor- mandyi i Anglii, Fr. Palgrave.—Najnowsze dzieła.....	41
Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. <i>Etudes d'hi- stoire religieuse</i> , przez Ernesta Renan.—Joanna d'Arc, dra- mat historyczny w 5 aktach, przez Daniela Stern.—Projekt pod- morskiego tunelu między Francją i Anglią, podany przez p. Thomé de Gamond.—Wiadomości literackie.....	96
Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. <i>Mojżesz</i> , Rossi- ni'ego.— <i>Karnawał Wenecki</i> , opera pana Ambroise Thomas.— Uwertura ze <i>Struenzy</i> Meyerbeera.—Teatr Włoski.— <i>Don Bruschino</i> , farze Rossini'ego w <i>Bouffes Parisiens</i> .— <i>Le Ro- cher de Sisyphe</i> , dramat w pięciu aktach, przez p. Didier.— <i>Przemysł, sztuka i rolnictwo u Arabów</i> , przez p. Frau- chis.—Wiadomości literackie.....	386
Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. Trybuna nowo- żytna, Villemaina.— <i>Les Fausses bonnes Femmes</i> , pięcio- aktowa komedia Barriera.— <i>Un Fils Naturel</i> , komedia Dumasa syna.—Czarodziejskie widowisko w cyrku.—Paryż w 1858 roku: przegląd w żywych obrazach przedstawiony w Ambigu-Comique.—Rachel.—Proces Dumasa z Maquetem.— Wiadomości literackie.....	641
Klechdy podlaskie, przez <i>Stan. Mitkowskiego</i> .....	463

### Powieści.

Staropolska miłość. Urywek pamiętnika, spisany przez <i>J. I. Kra- szewskiego</i> .....	60, 343, 533
---	--------------

### Poezye.

Kolendowanie.....	38
Dola skowronka, przez <i>W. Korotyńskiego</i> .....	39
Zbieg. legenda górali kaukaskich (z Lermontowa), przez <i>Bolesława Wiktora</i> .....	117
Poezye z Longfellowa. I. Wędrowne ptaństwo. II. Strzała i pieśń. III. Spiewacy, przez <i>M. Hnicką</i> .....	408
Gładyator.....	666

### Dramat.

Kupiec wenecki. Dramat Szekspira, przekład <i>Józefa Paszkow- skiego</i> .....	301, 587
--	----------

## Rozbiory.

	Stron.
Ejsty z Krakowa, napisał J. Kremer. Wilno. 3 tomy. 1855. Przez <i>Leopolda Jakubowskiego</i> .....	167
Szermierz z Rawenny, przekład z Fryderyka Halma. Lipsk. 1857. Przez <i>Bolesława Wiktora</i> .....	192
Biblioteka lwowska. Serya I. Lwów. 1856—1857. Przez <i>Wł.</i> .....	197
Czas, dodatek miesięczny za m. wrzesień, październik i grudzień 1857 r.	202, 694
<b>I. Włościanie z okolic Krakowa skreślił J. Mączyński. Kraków. 1858.—</b>	
II. Obrazki z obyczajów ludu wiejskiego, przez W. Wielogłowskiego. Kraków. 1856.— III. Obrazki z obyczajów domownictwa wiejskiego, przez W. Wielogłowskiego. Kraków. 1857.—	
IV. Obrazek oderwany, przez W. Wielogłowskiego. Kraków. 1857.— V. Obrazek wiejskich rozkoszy. Kraków. 1857. Przez <i>K. Kalinkę</i> .....	416
Kilka filologicznych uwag nad dziełem Teodora Narbutta: Dzieje narodu litewskiego, przez <i>S. Mikuckiego</i> .....	443
O kilku nowszych zbiorach poezyj: Kwiaty i kolce, przez Felicjana. Warszawa. 1856.— Kartki życia, przez J. Łaskarysa. Wilno. 1856.— Han-Akmet, Janczar, przez E. Machczyńskiego.— Z podań ludu i z obcej mowy, p. J. Prusinowskiego. Warszawa. 1856.— Poezye mniejsze Fr. Krauza. Warszawa. 1858. Przez <i>Bolesława Wiktora</i> .....	449
Ułas, sielanka bojowa, przez Wł. Syrokomlę. Wilno, 1858. Przez <i>Wł.</i>	455
Historya prawodawstw słowiańskich, przez W. A. Maciejewskiego. Tom II. Warszawa. 1858.....	461
Teka wileńska, wydawana przez Jana ze Śliwina. Numer 1 i 2gi. Wilno. 1857. Przez <i>K. Wł. Wójcickiego</i> .....	668
Łapigrosz. Szkice obyczajowe, skreślił i textem objaśnił A. Bartels. W Paryżu, u Lemerciera. Przez <i>Wł.</i> .....	686
Rzut oka na poszyt drugi i ostatni dzieła: Rys Grammatyki języka polskiego, przez A. Morzyckiego. Przez <i>Felię Zochowskiego</i> .	688

## Nauki przyrodzone.

Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych: Chemia, przez <i>J. B...ę</i> .....	209
---	-----

## Korrespondencye.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej, od bar. <i>Edwarda Rastawieckiego</i> , przeznaczającego złp. 4,000 za napisanie Słownika synonimów polskich.....	V
Dwunaste i trzynaste posiedzenie wileńskiej archeologicznej komisyyi. ....	480
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej od <i>Ferd. Nowakowskiego</i> ....	489
Posiedzenie oddziału archeologii i sztuk w C. K. Towarzystwie naukowym, odbyte d. 20 stycznia 1858 r.....	714

*Kronika bibliograficzna*..... 214, 716

Doniesienia literackie..... 216, 490, 719

Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatorium astronomicznem warszawskiem:

    za miesiac listopad r. z. .... 233

    — — grudzień r. z. .... 501

    — — styczeń r. b. .... 729

Wypadki dostrzeżeń meteorologicznych, w Obserwatorium warszawskiem w roku 1857 robionych.

**Do styczniowego zeszytu dołączony był bezpłatnie tom Iszy zbioru Pamiętników do dziejów polskich, wydawanego przez Wład. hr. Platera.**



**Biblioteka Warszawska** najregularniej w pierwszych dniach każdego miesiąca na pocztę dla prenumeratorów jest oddawana. Nieregularne dochodzenie zeszytów BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ, nigdy winą redakcyi być nie może. Ktoby jej z prenumeratorów na pocztę nie odbierał w zwykłym czasie, to jest: najpóźniej w tydzień po wyjściu, lub odbierał nieopieczętowaną, z kartami rozciągniętymi, pobrudzonymi: proszony jest od redakcyi, aby wprost do niej się udawał na jej koszt pod adresem: „Do Redakcyi BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ przy ulicy Daniłowiczowskiej pod Nr. 619.” W razie zaś nieodebrania zeszytów, ażeby do tego dołączył kwit otrzymany pocztamtu, gdzie złożył przedpłatę. Z takim tylko kwitem redakcyja może otrzymać zadosyćuczynienie, ażeby regularnie nadal i niezwłocznie każdy zeszyt dochodził we właściwe miejsce.

Również redakcyja uprasza, aby każdy z prenumeratorów, który nie przez pośrednictwo poczty BIBLIOTEKĘ WARSZAWSKĄ prenumeruje, w razie nieodebrania zeszytu należnego raczył nieodwłocznie o tem redakcyja zawiadomić.

#### Przedpłata na rok 1858:

1. *Przedpłata całkowiła* wynosi na rok złp. 60 (rub. sr. 9).
2. *Przedpłata kwartalna* przyjmuje się za złożeniem złp. 15 (rub. sr. 2 kop. 25) na pierwszy kwartał, i za opłatą przy drugim zeszycie złp. 15 (rub. sr. 2 kop. 25) na kwartał następny. — Przy prenumeracie kwartalnej, prenumerator podpisac winien zobowiązanie, iż na cały rok zaprenumerował BIBLIOTEKĘ i warunkom prenumeraty zadosyć uczyni. Z opłat czynionych i odbieranych zeszytów, prenumerator pokwitowanym będzie na bilecie, którego jeżeli nie okaże, obowiązany jest poprzestać na kontroli w tym celu utrzymywanej.

Na urzędach i stacyach pocztowych w Królestwie zapisywać się można na BIBLIOTEKĘ na rok 1858 za opłatą roczną w ilości złp. 60 (rub. sr. 9), lub *pol-roczną*, to jest za złożeniem naraz za dwa kwartały złp. 30 (rub. sr. 4 k. 50).

W Cesarstwie Rossyjskiem przedpłata roczna z przesyłką pocztową w kopertach wynosi rub. sr. 10, które nadesłać trzeba *franco* albo: do Expedycyi Gazet w Warszawie, lub wprost: do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej, przy ulicy Daniłowiczowskiej nr. 619.

Zamknąwszy pierwszy peryod nieprzerwanego istnienia swojego pisma, postanowiła redakcyja, z powodu częstych w tej mierze zgłoszeń, ułatwić późniejszym i nowym prenumeratorom nabycie całego zbioru lub lat pojedynczych, a to przez niższenie ceny. — Odtąd cały 10letni komplet od 1841 do 1850 roku włącznie, złożony ze 120 zeszytów, czyli 40 tomów, można nabyć tylko w redakcyi za połowę ceny prenumeracyjnej, t. j. za złotych 300 (rub. sr. 45). — Komplet z lat pojedynczych 1842, 1843, 1844, 1845 i 1846, odstępuje redakcyja po złotych 40 (rub. sr. 6). Na kompletach z lat 1841, 1847, 1848, 1849, 1850, 1851, 1852, 1853, 1854, 1855, 1856 i 1857 jako znacznie lub zupełnie wyczerpanych, niższenia ceny redakcyja postanowić nie może. — Pojedyncze zeszyty z całego ciągu Biblioteki o tyle tylko mogą być osobno sprzedawane, o ile ich zbywać będzie nad komplety. Cena pojedynczego zeszytu pozostaje niezmienna złotych 5 (kop. 75).

Na przedpłatę całkowiłą lub kwartalną na rok 1858, zapisywać się można we wszystkich księgarniach krajowych i zagranicznych.

Pragnąc zapewnić pismu swemu ciągłą pomoc, redakcyja wzywa i najuprzejmiej zaprasza do wspólnej pracy osoby poświęcone literaturze i zawodowi naukowemu. Artykuły nadsyłane z wdzięcznością przyjmie, a nawet jest w gotowości opłacać na żądanie wszelkie zamieszczone w piśmie swoim prace, czyto według umowy z autorem, czy stosownie do zasad, które przyjął. Żądanie jednak zapłaty powinno być wyraźnie na artykule przez autora zamieszczone.

Autorowie, księgarze i inni nakładcy, których życzeniem jest, aby ich dzieła nakładowe były rychlej wymienione w *Kronice bibliograficznej*, i ocenione w *Kronice literackiej* Biblioteki Warszawskiej, zechcą zaraz po skończonym druku składać tychże dzieł egzemplarz, do kantoru redakcyi przy ulicy Daniłowiczowskiej nr. 619.

T r e

1858/VI

	Stron.
Pamiętki polskie w Rzymie, przez <i>G. Z.</i> .....	505
Staropolska miłość. Urywek pamiętnika, spisany przez <i>J. I. Kraszewskiego</i> (dokończenie).....	533
Kupiec wenecki. Dramat Szekspira, przekład <i>Józefa Puszkowskiego</i> (dokończenie).....	587
Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. Trybuna nowożytna, <i>Villemaina</i> — <i>Les Fausses bonnes Femmes</i> , pięcioaktowa komedia <i>Barriera</i> . — <i>Un Fils Naturel</i> , komedia <i>Dumasa syna</i> . — Czarodziejskie widowisko w cyrku. — Paryż w 1858 roku: przegląd w żywych obrazach przedstawiony w <i>Ambigu-Comique</i> . — <i>Rachel</i> . — Proces <i>Dumasa z Maquelem</i> . — Wiadomości literackie.....	641
POEZJA. Gładyator.....	666
KRONIKA LITERACKA. Teka wileńska, wydawana przez <i>Jana ze Śliwina</i> . Numer 1 i 2gi. Wilno. 1857. Przez <i>K. Wł. Wójcickiego</i> . 668. — Łapigrosz. Szkice obyczajowe, skreślił i tekstem objaśnił <i>A. Bartels</i> . W Paryżu, u <i>Lemerciera</i> . Przez <i>Wł.</i> 686. — Rzut oka na poszyt drugi i ostatni dzieła: Rys Grammatyki języka polskiego, przez <i>A. Morzyckiego</i> . Przez <i>Felixa Zochowskiego</i> . 688. — Czas, dodatek za m. grudzień 1857 r.....	694
ROZMAITOŚCI. <i>Beethoven</i> i jego prace, przez <i>Jolantę</i> .....	698
KORRESPONDENCYA. Posiedzenie oddziału archeologii i sztuk w <i>C. K. Towarzystwie naukowem</i> , odbyte d. 20 stycznia, 1858 r.	714
KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA .....	716
Doniesienia literackie.....	710
Dostrzeżenia meteorologiczne za m. styczeń r. b.....	729

Ukończono druk dnia 1 marca 1858 roku.